Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz
Dziennik
rok 1933 (maj-grudzień),
rok 1934,
rok 1935 i
rok 1936 (styczeń-marzec).
Michał Römer
profesor Uniwersytetu im. Witolda Wielkiego w Kownie, doktor praw.Kowno, 1933.V.21
tom XXXV.

21 maja, rok 1933, niedziela

Skończyłem dziś artykuł dla rumuńskiej „Revista de Drept Public”, redagowanej przez prof. Pawła Negulescu w Bukareszcie (brata prof. Dymitra Negulescu, sędziego w Trybunale Międzynarodowym w Hadze). Jest to czasopismo trymestralne, organ „Institutul de Stiinte Administrative al Romaniei” (Instytutu Rumuńskiego Nauki Administracji), który w roku ubiegłym mianował mię swoim członkiem-korespondentem i prosił o współpracownictwo w piśmie. Mój artykuł jest duży, zatytułowany „L'évolution constitutionnelle en Lithuanie”. Rękopis dałem Zitce Komorowskiej do skopiowania na maszynie. Pisany po francusku.

Z Zitką spędziłem dziś kilka godzin. Zastałem u niej księcia Radziwiłła z Towian, który ją umawiał na lato w charakterze guwernantki do swoich dzieci. Byłem z Zitką w kinie, w mleczarni „Pienocentro” i w kawiarni. Tak mi mój dzień wdowi zeszedł.

22 maja, rok 1933, poniedziałek

Bardzo ochłodło. Właściwie wielkich upałów dotąd jeszcze nie było.

Rano miałem posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, na którym omawiany był projekt ustawy o ogłoszeniu przez gubernatora ustaw państwowych, mających działać na terenie kłajpedzkim i zasady ustawy językowej w Kłajpedzie.

Po obiedzie odbywały się u mnie egzaminy studenckie. Zdawało pięciu studentów. Egzaminy powiodły się dobrze.

W liczbie tematów, wskazanych przez Wydział Prawniczy dla konkursu prac naukowych studenckich, jest temat, zgłoszony przeze mnie, dotyczący analizy porównawczej pięciu konstrukcji autonomicznych współczesnych; są to autonomie Kłajpedy w Litwie, Wysp Alandzkich w Finlandii, Śląska w Polsce, Rusi Karpackiej w Czechosłowacji i Katalonii w Hiszpanii. Temat ten obudził zainteresowanie wśród studentów, bo oto już trzech studentów zwróciło się do mnie z prośbą o wskazówki co do bibliografii i metody traktowania tematu. Są to studenci prawnicy Majewski, Tadeusz Zaleski i Józef Sližys; zwłaszcza dwaj ostatni są poważni i zdolni chłopcy.

23 maja, rok 1933, wtorek

Rano miałem posiedzenie w Radzie Stanu odnośnie do przepisów projektu ustawy sądowniczej dotyczących Kłajpedy. Omawiane były pewne szczegóły, przekazane przez Prezydenta Rzeczypospolitej do oszlifowania. Wieczorem miałem wykład bieżący na II semestrze i colloquium tamże. Skądinąd nic szczególnego. Coraz oczywistsze jest dla mnie, że o mojej kandydaturze na wyborach rektora nie będzie mowy, bo gdyby się kandydatura moja wyłaniała poważnie i była wśród profesury debatowana, to ktokolwiek rozmawiałby ze mną na temat. Tymczasem nikt ze mną ani słowa o tych wyborach nie rozmawia. Bardzo ciekaw jestem, kto będzie wybrany. Jurgutis? Žemaitis?... Jurgutis mógłby być niezłym rektorem, od Žemaitisa byłby właściwszy, bo Žemaitis, człowiek bardzo poczciwy, nie ma

szerokiej głowy, jest dość tchórzliwy, w ogóle za mało indywidualny. Tylko że obaj – Žemaitis i Jurgutis – nie mogą się wykazać żadnymi drukowanymi pracami naukowymi. U Jurgutisa ten brak może by zdołała zastąpić jego działalność finansowa jako twórcy waluty litewskiej (lita) na stanowisku kierownika Banku Litewskiego, która mu wyrobiła imię w świecie finansowym, ale Žemaitis nawet tego nie ma i może się wykazać li tylko broszurami popularnymi.

24 maja, rok 1933, środa

Przed obiadem miałem w Radzie Stanu posiedzenie komisji, pracującej nad tzw. metrykacją cywilną. Komisja ta, której przewodniczę i która obecnie składa się ze mnie, prof. Kriščiukaitisa, Ciplijewskiego i referenta Raczkowskiego, zajęta jest obecnie opracowaniem projektu ustawy o małżeństwie, uwzględniającej ewentualne małżeństwo cywilne, równoległe czy raczej alternatywne do małżeństwa kościelnego. Redakcja projektu należy do referenta Raczkowskiego. Praca komisji postępuje bardzo powoli. Ani mowy nie ma o tym, abyśmy do wakacji pracę zakończyli. Oprócz rozdziałów o ślubie małżeńskim i o rozwodzie ustawa ma obejmować także stosunki osobiste i majątkowe między małżonkami i między rodzicami a dziećmi. Będzie to reforma i zarazem unifikacja prawa małżeńskiego jako jednego z działów przyszłego kodeksu cywilnego Litwy.

Po obiedzie spędziłem parę godzin na posiedzeniu u Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie tych przepisów projektu ustawy o sądownictwie, które dotyczą Kłajpedy. Omawiana była głównie kwestia dozoru prokuratury kłajpedzkiej. Minister spraw zagranicznych Zaunius wciąż usiłuje, że tak powiem, wstawiać pałki między koła i hamować wszelką inicjatywę w uporządkowaniu stosunków kłajpedzkich; nie byłoby w tym nic dziwnego i stanowiłoby to tylko zwyczajną i zupełnie zrozumiałą ostrożność w traktowaniu tej trudnej kwestii przez ministra, zdającego sobie sprawę z odpowiedzialności międzynarodowej Litwy w tym przedmiocie, gdyby nie to, że Zaunius robi to w sposób dziwnie jakoś kapryśny, nieobliczalny, tu czepiający się drobiazgu, tam znów tolerujący gest jak najszerszy interwencji, wreszcie w każdym następującym przemówieniu zmieniający radykalnie front i nagle ustępujący tam, gdzie przed chwilą był twardy, a znów upierający się tam, gdzie przed chwilą wszystko akceptował bez zastrzeżeń. I sam nie wiem, co mu jest w stosunku do mnie – czy mi zazdrości uznania mię za specjalistę, czy się gniewa na mnie – ale zdaje się specjalnie szuka wszystkiego, co by mogło specjalnie moje stanowisko podważyć i z reguły przeciwstawia się wszystkiemu, co ja tylko podniosę lub powiem; gdy natomiast ja mam jakąś wątpliwość i podnoszę szkopuł, to Zaunius natychmiast uzbraja się w odwagę i zbija moje wątpliwości, gotów akceptować tezy najryzykowniejsze i najdalej idące. Zresztą zwyciężamy go na tych posiedzeniach.

Była dziś u mnie z wizytą Halina Zasztowt-Sukiennicka z Wilna, córka mego przyjaciela Aleksandra Zasztowta, dziś znana adwokatka wileńska, która przyjechała tu dla poznania Litwy Niepodległej. Rządność Litwy zaimponowała jej. Przywiozła mi bardzo serdeczny list od Bronisława Krzyżanowskiego, który też bardzo pokochał Kowno i Litwę niepodległą.

25 maja, rok 1933, czwartek

Na obiedzie była u mnie Zitka Komorowska.

Na godz. trzecią byłem zaproszony na uroczystość otwarcia nowej korporacji studentek kierunku ludowego „Rimtis”. Nie mogłem się tam udać, bo na godz. czwartą miałem w mieszkaniu wyznaczone colloquium dla grona studentów. Skorzystałem wszakże z tej okazji, aby w pozdrowieniu pisemnym, które, jak się spodziewam, znajdzie odgłos w kołach ludowców, a może też w ich prasie („Lietuvos Žinios”), wyrazić moje stanowisko istotne w moich dążeniach do uzasadnienia nowych form społeczno- i państwowo-konstytucyjnych,

przeciwstawiających się wprawdzie demokracji indywidualistycznej, ale nie zrywających wcale z humanizmem i ideałami wolnościowymi. Była to moja odpowiedź pośrednia na pewne skierowane do mnie posądzenie o nawrócenie się do haseł obozu nacjonalistycznego i faszyzmu jako takiego. Oto treść tego pozdrowienia:

„*Didžiai Gerbiamosios i Brangios Korporantes!*

Deja – akademinės tarnybos pareigos – iš anksto studentams paskirtas colloquium'as – sutrukdė man asmeniškai dalyvauti Jūsų iškilmėse. Tad leiskite man bent raštu Jums pareikšti mano jausmus. Jūsų tvirtas idėjinis kapitalas, kaip vainikas supintas iš Jūsų aiškių įsitikinimų žiedų, Jūsų jaunystės ir skaisčios moters sielos gėlių, sudaro brangų indėlį į mūsų plačios akademinės visuomenės turtus. Mūsų gadynės socialiniame judėjime, kuris senąją individualistinę santvarką mėgina reformuoti naujais organizuoto visuomeninės aparato principais ir keičia viešojo socialinio veiksmo formas bei metodus, tačiau dar nėra suradęs tvirtų organizacinių nuostatų ir nėra sukūręs pastovių institucijų, gyliai išjudintos tautų masės vietomis grėbiasi tokių socialinių eksperimentų, kurie tikrai tinka barbarų gadynei. Šioje pavojingoje socialinio persilaužimo gadynėje, kurią gyvenime, gera yra išlaikyti tam tikras pergyventas individualistinės gadynės idealizmas, kuris davęs pastovias žmogaus gerbimo ir asmens autonomijos brangenybes. Jos yra netiktai gražios, šviesios ir malonios, bet ir sociališkai naudingos. Ir individualistinės santvarkos pakeitimas korporacine, demokratijos reformavimas į sociokratiją negali ir neturi virsti kumščio viešpatavimu arba vergijos atstatymu. Socialinę reformą mes turime varyti pirmyn, bet ne atgal į barbarų gadynę! Šiam idealizmui išlaikyti Jus, Rimtininkes, esate pašauktos. Išlaikykite ją rimtai ir žydėkite, mūsų skaisčios jaunos akademinės darbo bei gyvenimo drauges!“[1].

Następuje podpis i data.

Dotąd nie miałem listu od Jadzi z Bohdaniszek.

Wieczorem byłem w teatrze na dramacie oryginalnym litewskim Vaičiunasa „Nauji žmonės”. Moim zdaniem, rzecz jest bardzo ładna i głęboka, bardzo głęboko symboliczna i tragiczna, traktująca problem scysji dwóch społeczności Litwy – społeczności zamierającej szlacheckiej o pewnej ideologii historycznej Wielkiej Litwy i o sympatiach polskich i młodej społeczności litewskiej, zdobywczej i rozrodczej, która przez reformę rolną i siłę swego kiełkowania, wzmożonego przez Niepodległość, zalewa świat stary. Śliczny typ hrabiego dał artysta Kaczyński. Rzecz się kończy pojednaniem dwóch światów i głęboką sympatią dla hrabiego.

---

[1] Wielce Szanowne i Drogie Korporantki!
Niestety, obowiązki służby akademickiej – wyznaczone wcześniej kolokwium dla studentów – uniemożliwiły mój udział osobisty w Waszej uroczystości. Pozwólcie mi więc przynajmniej na piśmie wyrazić Wam moje uczucia. Wasz mocny kapitał ideowy, jak wieniec spleciony z kwiatów Waszych jasnych przekonań, Waszej młodości i kwiecia czystej duszy kobiecej, stanowi ważki wkład w skarbnicę naszej szerokiej społeczności akademickiej. We współczesnym ruchu społecznym, który usiłuje zreformować stary ustrój indywidualistyczny na zasadach nowego zorganizowanego aparatu społecznego i zmienia formy i metody publicznego czynnika społecznego, nie znalazł jednak jeszcze mocnych założeń organizacyjnych i nie stworzył stałych instytucji, głęboko poruszone masy ludowe miejscami chwytają się takich eksperymentów społecznych, które właściwe są chyba tylko czasom barbarzyństwa. W tych niebezpiecznych czasach przełomu społecznego, w których żyjemy, dobrze jest zachować pewien doświadczony już w okresie indywidualizmu idealizm, który dał nam nieprzemijające wartości poszanowania człowieka i autonomii jednostki. Są one nie tylko piękne, jasne i przyjemne, ale też społecznie użyteczne. I zamiana ustroju indywidualistycznego na korporacyjny, zreformowanie demokracji na socjokrację nie może i nie powinno stać się panowaniem pięści czy odrodzeniem niewolnictwa. Powinniśmy posuwać reformę społeczną do przodu, ale nie do tyłu do czasów barbarzyństwa! Do utrzymania tego idealizmu Wy, Korporantki „Rimtis”, jesteście powołane. Utrzymajcie go w powadze i kwitnijcie, nasze młode towarzyszki pracy akademickiej i życia!

26 maja, rok 1933, piątek

„Lietuvos Žinios“ nazwały moje pozdrowienie, przesłane wczoraj na otwarcie korporacji studentek „Rimtis“, które zacytowałem wczoraj w dzienniku, „bardzo pięknym i treściwym”. Pragnąłbym szczerze, aby moi przyjaciele z lewicy nie sądzili, że przechodząc od koncepcji demokratycznej społeczeństwa do koncepcji, że tak powiem, „socjalistycznej” (wyrażenie śp. Tadeusza Wróblewskiego) czy korporacyjnej, zdradziłem moją ideologię humanistyczną i wolnościową. Ewolucja tej koncepcji datuje się u mnie od lat już dziesięciu, odkąd zacząłem pogłębiać moje studia o państwie i społeczeństwie w związku z objęciem przeze mnie katedry prawa konstytucyjnego na uniwersytecie.

27 maja, rok 1933, sobota

Zarysowuje się ostry konflikt w perspektywie – konflikt między rządem a młodzieżą akademicką. Na skutek ostatnich zajść w sejmiku akademickim rząd zareagował represjami i słychać, że nosi się z zamiarem skasowanie tego sejmikowego przedstawicielstwa młodzieży akademickiej. Zajście same przez się zbyt tragiczne nie były. Zaczęło się od tego, że na skutek swego zasadniczego stanowiska opozycyjnego i może jakichś tam zarzutów, czynionych akcji urzędowej w tzw. kwestii „odzyskania Wilna”, młodzież ludowcowa kierunku „Varpasu” nie wzięła udziału w tzw. „Dniu Wileńskim”, który się niedawno odbył: nie uczestniczyła w pochodzie i nie była obecna na Placu Ratuszowym, gdzie miała miejsce publiczna przysięga odzyskania Wilna. Żeby jednak nie dawać pozoru uchylania się od zasady walki o Wilno – urządziła ona jednak tego dnia zebranie własne, poświęcone Wilnu, na którym dr Grinius wygłosił odczyt o Wilnie. Na posiedzeniu sejmiku młodzież narodowa z korporacji „Neo-Lithuanii” postawiła wniosek udzielenia nagany stowarzyszeniu „Varpas” za uchylenie się od udziału w „Dniu Wileńskim” i domagała się uchwały potępiającej. Klerykalni „ateitininki”, którzy są też w opozycji do rządu, bronili „varpasowców”. Przyszło do ostrej scysji i wymiany słów. Student Grzegorzewski z „Varpasu” zaczął przemawiać przeciwko rządowi, dotknął Prezydenta Smetony. Narodowcy się oburzali, sprowadzili na posiedzenie tłum swoich, którzy na rozkaz prezydium sejmiku nie zachcieli wyjść z sali. Wypadło zamknąć posiedzenie sejmiku. W „Lietuvos Aidas” ukazały się głosy studenckie z obozu narodowców, domagające się zamknięcia, to znaczy całkowitego skasowania samej instytucji sejmiku akademickiego. Zdaje się, że student Grzegorzewski czy Grigorowski wyraził się na posiedzeniu sejmiku w ten sposób, że młodzież postępowa nie mogła brać udziału w komedii takiej przysięgi wileńskiej, w której zaprzysiężeni udali się w pochodzie do Prezydenta Rzeczypospolitej, który sam złamał przysięgę, złożoną na wierność konstytucji po wyborze jego w roku 1926. Obecnie Grigorowski został zaaresztowany i osadzony w więzieniu, a jak słychać – komendant wojskowy, opierając się na przepisach stanu wojennego, skazał go na 5000 litów sztrafu albo na trzy miesiące kozy. Powiadają też, że rząd zdecydowany jest na zlikwidowanie sejmiku akademickiego jako ogniska jątrzeń i fermentów politycznych młodzieży. Czy dojdzie do tego zarządzenia i czy ewentualnie nie będzie to błędem ze strony rządu – o tym na razie nie mówię, ale stwierdzam, że ostre formy, jakie przyjmuje zatarg z młodzieżą, czyni przyszłą kadencję rektorską ciężką, bo z jednej strony rektor nie może walczyć z rządem i czynić mu opozycji, z drugiej wszakże musi dbać o sprawy młodzieży i bronić jej interesów.

Mój pesymizm co do szans mojego wyboru na rektora trochę się w tych dniach zachwiał. Janulaitis dodaje mi otuchy i zdecydowany jest agitować za moją kandydaturą, którą uważa za jedyną stosowną. A Nargiełowicz mi już po prostu winszował z góry wyboru. Wnoszę stąd, że o mojej kandydaturze mowa jednak jest. Nie mogę zaprzeczyć, że wybór sprawiłby mi przyjemność, choć skądinąd przebolałbym łatwo zawód, na który jestem przygotowany, a przebolałbym tym bardziej, że niektóre perspektywy tego rektoratu i ciężar tego stanowiska odpowiedzialnego trochę mię straszą. Trzy lata tej orki – to nie żart!

28 maja, rok 1933, niedziela

Habemus Papam akademickiego! A tym papieżem czy papą akademickim jest nie kto inny, jak prof. Michał Römer. Przed kilku dniami nie spodziewałem się tego i nie liczyłem zgoła na to. Byłem nawet pewny, że nie będę wybrany. Dopiero Janulaitis przed kilku dniami zachwiał tę moją pewność, budząc znów we mnie pragnienie zajęcia tego stanowiska. Teraz po dokonanym wyborze znów się czuję chwiejny i wątpliwości mię opadają. Z jednej strony mam niewątpliwie satysfakcję zwycięstwa i wysokiego honoru stanowiska. Skądinąd mój pierwszy rektorat roczny w roku akademickim 1927-1928 zostawił mi wspomnienia bardzo dodatnie. Czułem się zadowolony, miałem pracę żywą, mogłem rozwinąć energię i działać dodatnio. Z drugiej strony wszakże mam pewien lęk. Rektorat, który teraz będzie trzyletni, zapowiada się trudny. Trudny i przykry może być on przez to, że stosunki akademickie mogą się łatwo zabagnić polityką. Kontrasty między polityką rządową a aspiracjami i ideałami znacznej części młodzieży akademickiej rosną i pogłębiają się, narasta kryzys konfliktu. Zwierzchność akademicka może się znaleźć między młotem a kowadłem; trzeba będzie dużo taktu, ale może trzeba też będzie kategorycznych, może nawet jaskrawych decyzji. Co prawda, tego mniej się boję, bo liczę na moją własną rozwagę, takt, rozum i serce. Co mię bardziej – przynajmniej z odległości – gnębi, to reprezentacja uniwersytetu, mowy, uroczystości etc. Dawałem temu radę, ale to mię kosztowało wysiłku, o którym inni nie wiedzą. Mów uczyłem się zawczasu, a to jest rzecz trudna i wyczerpująca. Co prawda, robiłem to dobrze i uchodziłem za dobrego mówcę. Ta perspektywa trochę mię niepokoi. Ba, stało się. Trzymam się dewizy: nazwałeś się grzybem – leź do kosza. Moja kadencja rektorska rozpocznie się od 1 września. Wieczorem miałem kilka wizyt dziennikarzy: żądają fotografii i życiorysu.

Krótko mówiąc, wybory odbyły się tak. Uchwalono głosować na kandydatów. W pierwszym głosowaniu Czapiński otrzymał 25 głosów, ja – 24, Žemaitis – 22, inni – drobne ilości. W drugim głosowaniu Czapiński bardzo mocno podskoczył. Czapiński sam wtedy ostrzegł, że ma dość rektoratu i nie przyjmie wyboru. Wtedy w trzecim głosowaniu między mną i Žemaitisem ja otrzymałem 51 głos i Žemaitis coś koło 40-45. Zostałem wybrany. W głosowaniu na prorektora walczyły kandydatura Česnysa i Žemaitisa. Zwyciężył Česnys. Drugiego prorektora nie wybierano, bo kadencja Jodeli trwa nadal. W głosowaniu na sekretarza walczyły kandydatury Purėnasa i Jonynasa. Zwyciężył Purėnas.

Czego się istotnie bałem – to wyboru na prorektora. Chciałem albo być rektorem, albo upaść.

29 maja, rok 1933, poniedziałek

Wszyscy, kogo spotykam, winszują mi wyboru, a ja sam nie wiem, czy mam się cieszyć czy nie. Nawet grupa studentów, która dziś przyszła na egzaminy, wyraziła mi przez usta jednego spośród siebie życzenia, oświadczone w przemówieniu okolicznościowym. Podziękowałem im, ale niewiele to im pomogło w egzaminie: z sześciu – czterech odprawiłem, jednego z wielką biedą wypuściłem ze stopniem „zadowalająco” i tylko jednemu udzieliłem stopnia „dobrze”. Sam nie wiem, co to dziś był za komplet szczególny do egzaminów. Jeden w drugiego – same osły. Nie tylko nic nie umieli zgoła, ale też nic zupełnie nie rozumieli. Nie przypominam sobie, żeby mi się trafił kiedykolwiek drugi taki komplet. Egzaminy stają się wtedy męką dla egzaminatora. Z początku idzie siako tako; ale wystarczy małego pytania, małej uwagi, sprostowującej pewną nieścisłość, aby taki student się zaciął a zaciąwszy się – zgłupiał od razu i po prostu stracił umiejętność elementarnego myślenia. I złość bierze, i żal, i dopomóc usiłuję, ośmielić, zachęcić – i ani rusz. Są to jakieś dziwne natury histeryczne, które się czasem trafiają, częściej u studentek, u studentów – rzadziej. Dziś wszakże miałem samych takich.

Poza tym musiałem dziś pracować bardzo forsownie i do późna nad terminowym wykończeniem artykułu o „izbie wyższej" dla Encyklopedii Litewskiej.

Na wczorajszym rannym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, które się odbyło przed południowym posiedzeniem wielkiej Rady Uniwersytetu, uchwalono ustanowić dla wszystkich studentów prawników przymusowy egzamin historii powszechnej przy przejściu z semestru II na III, dla ekonomistów zaś – z arytmetyki. Stało się to koniecznością na skutek szalonej wprost ignorancji studentów w tym zakresie i stwierdzonego, niestety, obniżenia się poziomu wykształcenia, udzielanego przez szkołę średnią. Bez elementarnej wiedzy historycznej nauki społeczno-prawno-państwowe są niedostępne. Jednocześnie też uchwalono egzamin z języka i literatury litewskiej dla wszystkich studentów Wydziału Prawniczego, nie wyłączając, jak to było dotąd, tych, co ukończyli gimnazjum z językiem wykładowym litewskim.

30 maja, rok 1933, wtorek

Dawniej, za czasów pierwszego statutu uniwersyteckiego, wybór rektora nie był taką sensacją jak teraz. Wtedy rektor był wybierany na rok, co roku była zmiana, między wydziałami była ustawiona kolejka; i młodzież, i profesura, i miasto były przyzwyczajone do corocznej nowiny, która zresztą nie była nowiną, bo zawsze rektorem był obierany prorektor; większą więc sensacją mógł być wybór prorektora jako zawsze *in spe* przyszłego na rok następcy rektora; wszakże prorektor był nie tyle wybierany przez Radę Uniwersytetu, ile mianowany przez wydział, do którego należała kolejka; kandydat był z góry upatrzony, wszyscy o nim zawczasu wiedzieli i na tzw. wyborach Rada Uniwersytetu li tylko zarejestrowywała wskazanego kandydata. Teraz to co innego. Rektorat jest trzyletni, wybory są przeto rzadkie, nie ma żadnej kolejki wydziałów, Rada Uniwersytetu jest panią sytuacji, nic z góry nie wiadomo, wszystko zależy od nie dającej się przewidzieć gry głosowania tajnego, dla młodzieży, która w ciągu kadencji trzyletniej rektorskiej niemal cała się na uniwersytecie odmieniła (szczególnie tym razem, kiedy to ustępujący rząd uniwersytetu przebył cztery lata na stanowisku), ten wybór nowego rektora wydaje się czymś epokowym... Toteż mój wybór obecny wypadł jaskrawo, jak wypadek wielkiej wagi. Gazety pełne są mojego życiorysu, moje podobizny są ogłaszane, a wczoraj czasopismo młodzieży wydało nawet dodatek nadzwyczajny o moim wyborze z moją podobizną, malcy zaś, sprzedający ten dodatek, dla większej sensacji wołali o „śmierci Hitlera"; otrzymałem szereg depesz gratulacyjnych, przez mieszkanie moje przepłynęła fala reporterów, a teraz się zaczynają wywiady: jaki mój program, co zamierzam na stanowisku rektora zdziałać, jakie mam zapoczątkować zarządzenia, jak się zapatruję na przedstawicielstwo studenckie (sejmik akademicki), czy nie uważam, że stosunek liczebny mniejszości narodowych na uniwersytecie jest nadmierny itd.

Z Rady Stanu ze stanowiska współpracownika zapewne wypadnie mi się usunąć – tylko nie wiem, jak będzie z dokończeniem pracy nad metrykacją cywilną i prawem o małżeństwie, natomiast w komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich zapewne pozostanę.

31 maja, rok 1933, środa

Składałem dziś wizyty członkom byłego zarządu uniwersytetu – rektorowi, prorektorowi, sekretarzowi – i dziekanom wydziałów. Zresztą nie zastałem nikogo z nich w domu.

Wieczorem w gabinecie zarządu Izby Rolniczej odbyło się posiedzenie naszego komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Obecni byli: ja, dr Juodeika, dr Turowski, Kavolis, Witold Mačys, Tomkus i Kvieska. Kavolis przedstawił opracowany przez siebie projekt ustawy Towarzystwa Szkoły Nauk Politycznych, które będzie firmowym właścicielem szkoły i projekt statutu autonomicznego szkoły, który będzie musiał być

zatwierdzony przez ministra oświaty i do którego załączony będzie program nauczania w szkole. Dyskutowaliśmy dziś ustawę Towarzystwa, którego założycielami będą wszyscy członkowie komitetu organizacyjnego. Towarzystwo będzie utrzymywało szkołę i będzie mianowało rektora szkoły, który będzie nią kierował z udziałem rady, złożonej z przedstawicieli lektorów, wybranych przez ogólne zebranie tychże. Niektóre szczegóły ustawy odroczyliśmy jeszcze do następnego zebrania. Chcielibyśmy w czerwcu wstępny okres organizacyjny zakończyć.

Losy sekcji ekonomicznej naszego Wydziału Prawniczego zostały, zdaje się, przesądzone. Wczoraj Gabinet Ministrów powziął już uchwałę o zlikwidowaniu tej sekcji i założeniu w Kłajpedzie Wyższej Szkoły Handlowej. Jest to projekt Ernesta Gałwanowskiego, który go od dłuższego czasu forsował. Ernest Gałwanowski będzie rektorem tej Szkoły. Dla Kłajpedy, zwłaszcza dla sprawy litewskiej w Kłajpedzie, założenie tam wyższej uczelni litewskiej będzie niewątpliwie wielkim atutem. Młodzież bowiem akademicka jest zawsze i wszędzie zaczynem pewnego ruchu. Nasi profesorowie ekonomiści z prof. Jurgutisem na czele są tym bardzo zmartwieni. Jurgutis, Rimka i Šalčius pozostaną wprawdzie, bo ich przedmioty są obowiązujące dla prawników, ale ich umiłowana sekcja ekonomiczna upadnie. Będzie się ona likwidowała stopniowo, tracąc z roku na rok po dwa semestry od dołu w ten sposób, aby wszyscy obecni studenci ekonomiści mogli swoje studia dokończyć.

Jutro napiszę o wystąpieniach filolitewskich Bronisława Krzyżanowskiego w Wilnie i o artykule Heli Römer-Ochenkowskiej.

1 czerwca, rok 1933, czwartek

Obiecałem w dzienniku wczoraj wspomnieć dziś o występach Bronisława Krzyżanowskiego w Wilnie. Cała prasa litewska z dnia wczorajszego była pełna relacji o tym. „Elta" rozesłała do pism szeroki komunikat, streszczający przemówienie Krzyżanowskiego na jednym z odczytów publicznych, na którym zdawał on sprawę ze swych wrażeń z Kowna i Litwy Niepodległej, oraz artykuł Heli Römer-Ochenkowskiej, napisany po wysłuchaniu tych relacji. Zaiste jeżeli Krzyżanowski mógł zrazić niektórych Litwinów w Kownie swoim zbyt kategorycznym na zebraniu u mnie oświadczeniem, że pomimo narastające w Wilnie wśród Polaków miejscowych sympatie autonomiczne, nikt zgoła – ani żadna grupa, ani żaden osobnik – nie dopuszcza żadnej myśli o oderwaniu Wileńszczyzny od państwa polskiego, to przez obecne swoje wystąpienie relacyjne w Wilnie, szczegółowo tutaj streszczone, zdobył on wielkie i szczere uznanie. Krzyżanowski w relacji swojej nie tylko że stwierdza wielką umiejętność zagospodarzenia się Litwinów w sferze zwłaszcza ekonomicznej i, że tak powiem, policyjnej oraz wybitne postępy kulturalne kraju, ale też obszernie mówi o sentymencie irracjonalnym Litwinów do Wilna i znakomicie ujmuje panujący tu niepodzielnie nastrój w tej kwestii, tę tęsknotę stolicy, tę ideologię Ziemi Obiecanej, która przepoiła całą psychikę litewską niezależnie od środków i programu wykonania akcji wileńskiej. Ładnie, silnie i trafnie kreśli Krzyżanowski ideologię wileńską Litwy, wyrażając osobiście i budząc u słuchaczy szczerą sympatię ludzką do tego młodego i niewielkiego narodu odrodzonego, który będąc małym liczebnie, jest wielkim w swoich uczuciach i swoim harcie woli i pełny życia i wiary – śmie chcieć i kochać, a co ukochał – tego się nie zapiera i nie wyrzeka za żadną cenę, gotów do poświęceń i do wielkiej naiwnej i prostej wiary, która góry z miejsca dźwiga i przenosi. Relacje Krzyżanowskiego są uzupełnione przez artykuł Heli Białej w „Kurierze Wileńskim", pełny sympatii dla Litwinów i dla ich miłości Wilna, stwierdzający intuicją kobiety, której serce zawsze dla miłości jest otwarte i przez miłość zdobywane, że w promieniu tej miłości gorącej Litwinów Wilno jest nie tylko ich przeszłością, sentymentem i tęsknotą, ale także ich przyszłością realną.

Jednocześnie z tymi relacjami prasowymi o występach Krzyżanowskiego otrzymałem z Wilna list Ludwika Abramowicza, zapowiadający jego przyjazd na jesień, zwłaszcza

wyrażający protest przeciwko oświadczeniom, uczynionym tu w Kownie na zebraniu u mnie przez Krzyżanowskiego co do absolutnej niechęci Wilnian do zlania się z Litwą państwową. Ludwik stwierdza, że Krzyżanowski wyrażał zupełnie nie to, co stanowi istotę uczuć i dążeń tych ludzi, od których imienia przemawiał (autonomistów i grupy demokratycznej prorządowej „Kuriera Wileńskiego"). Powiada, że dowodem, do jakiego stopnia Krzyżanowski jest nastrojowcem i nie orientuje się w polityce, jest to, że sam był najmocniej zdziwiony, gdy zobaczył, że ci, co go wysyłali, są tym jego oświadczeniem i sposobem ujęcia sprawy zgorszeni. Był przekonany święcie, że wywiązał się z zadania znakomicie. Oczywiście – powiada Ludwik – nie można stawiać kwestii tak, jak ją postawił Krzyżanowski: czy ktoś pragnie w Wilnie wcielenia Wileńszczyzny do Litwy obecnej? – to znaczy zapanowania Kowieńszczyzny na Wilnie i Wileńszczyźnie. Kwestia winna była być postawiona tak: czy pożądane jest połączenie Litwy Wileńskiej z Litwą Kowieńską w jedno państwo? Na takie pytanie – powiada Ludwik – odpowiedź wypadłaby inaczej. Na jakich warunkach to połączenie mogłoby nastąpić? – oto co powinno było być przedmiotem pogadanek. Ale i Ludwik Abramowicz stwierdza, że Krzyżanowski wrócił z Kowna zachwycony.

2 czerwca, rok 1933, piątek

Dowiedziałem się wczoraj od prorektora ks. prof. Česnysa, że Prezydent Rzeczypospolitej Smetona zamierza zaprosić na obiad na jutro obecny zarząd uniwersytetu, to znaczy obecnego rektora Czapińskiego i prorektora Česnysa (a może obu prorektorów, to znaczy także Jodelę) i w mojej, jako przyszłego niebawem rektora, osobie – nowy zarząd – dla omówienia sytuacji, wytworzonej przez ostatnie zajścia w sejmiku akademickim i naradzenia się nad zarządzeniami, które należy stąd wysunąć na przyszłość. Pewne odłamy młodzieży nacjonalistycznej podniosły hasło zupełnej likwidacji przedstawicielstwa studenckiego (sejmiku akademickiego) jako instytucji szerzącej zamęt wśród młodzieży i tworzącej ośrodek niezdrowego rozpolitykowania młodzieży. Takąż agitację na rzecz zupełnego skasowania tej instytucji prowadzi organ urzędowy „Lietuvos Aidas", co wywołuje zaniepokojenie w kołach najliczniejszych młodzieży chrześcijańsko-demokratycznej i postępowej (ludowców i lewicy socjalistycznej i komunistycznej). Wywołuje to nastrój nerwowy w życiu akademickim. Koniec roku akademickiego, egzaminy, colloquia, oczekiwanie wakacji – osłabiają nieco ten nastrój, a raczej go rozpraszają. Na razie nie ma obawy jakichś komplikacji wśród mlodzieży, ale takie lub inne decyzje rządu mogą zrodzić na jesieni różne trudności i komplikacje. Dobrą drogę wybiera Prezydent, odwołując się do kontaktu z władzami akademickimi. Słychać, że Prezydent Smetona osobiście nie sprzyja zarządzeniom skrajnym zupełnej likwidacji sejmiku akademickiego, ale szuka dróg takiego unormowania tej instytucji, aby nie mogła się ona stać narzędziem podniecania akcji opozycyjnej przeciwko rządowi. Ponieważ jednak dziś wyjeżdżam na dni kilka do Bohdaniszek, więc pozwoliłem sobie wczoraj zwrócić się listownie do Prezydenta, prosząc go o odroczenie zamierzonej narady do przyszłego tygodnia, kiedy tu wrócę.

W sprawie zatwierdzenia uchwały Rady Wydziału Prawniczego, udzielającej prof. Leonasowi prolongaty rocznej wykładania bez względu na przekroczenie granicy wieku, nic nie słychać. Sprawa od czasu interwencji senatu akademickiego stoi na martwym punkcie i trwa w zawieszeniu. Słychać, że tak Prezydent Smetona, jak minister oświaty Šakenis są skłonni cofnąć odmowę zatwierdzenia tej uchwały w stosunku do Leonasa, ale temu się podobno sprzeciwia... Tubelis, który tym razem ma być usposobiony bardzo kategorycznie i ostro. Gdyby zwyciężyła odmowa zatwierdzenia Leonasa – uczyniłoby to wrażenie bardzo ujemne i nawet zaszkodziłoby rządowi, dając Leonasowi aureolę męczeństwa i powodując głośne manifestacje młodzieży i profesury na rzecz Leonasa. Rektor Czapiński, sekretarz wydziału naszego prof. Wacław Biržiška i prof. Janulaitis zwracali się do mnie, prosząc,

abym ja osobiście zainterweniował u Tubelisa. Same przewlekanie się tej decyzji ma pewien smaczek jakiegoś znęcania się nad starym prof. Leonasem, któremu z samego tytułu wieku i przeszłości należy się pewien szacunek. Nie udało mi się uzyskać przed obiadem widzenia się z Tubelisem, który zresztą też dziś na tydzień wyjeżdża na wieś. Prosiłem tylko sekretarza Gabinetu Ministrów Mašalaitisa, aby uprzedził Tubelisa, że w przyszłym tygodniu chcę się do niego w kwestii Leonasa zwrócić, i prosiłem, aby na razie Tubelis przed swym wyjazdem nie przesądził jeszcze sprawy na rzecz odmowy zatwierdzenia. Czy co z tego będzie – nie wiem.

O godz. trzeciej po południu wyjechałem do Abel, gdzie z opóźnieniem półtoragodzinnym stanąłem koło pierwszej w nocy.

3 czerwca, rok 1933, sobota

W Abelach, gdym koło pierwszej nad ranem tu przyjechał, spotkała mię na stacji Jadzia. Do Bohdaniszek przyjechaliśmy o wschodzie słońca. Dzień był pogodny, słoneczny, ale zimny, bo dął przenikliwy wiatr północny. Nie chciałem spać i nie kładłem się już wcale. Jadzia się na parę godzin położyła, a ja poszedłem oglądać drzewka moje, tak owocowe, jak dekoracyjne. Obejrzałem też cielęta, świnie, bydło na polu, ptactwo. Wiosna tutaj jeszcze wczesna, na drzewach liście jeszcze niezupełnie rozwinięte, zwłaszcza na jesionach, bzy jeszcze nie zakwitły, drzewa owocowe dopiero kwitnąć zaczynają. Widoki są jednak prześliczne, zieleń roślinności – delikatna, wody pełne i świecące szafirowym błękitem. Zaprosiłem Mieczkowskich i Budkiewiczów na kawę z tortem, który przywiozłem z Kowna. Potem z Jadzią byłem na jej folwareczku, a o zmroku, nie paląc lampy, poszedłem już spać. Przeziębiłem się, mam katar i kaszlam mocno.

4 czerwca, rok 1933, niedziela

Powietrze – takie samo. Pogoda, słonecznie, ale ostry zimny wiatr północny.

Marynia, która z mężem, Justynem Budkiewiczem, wybrała się na Zielone Świątki do jego folwarku Rumiszek, zaprosiła tam na dziś na kawę mnie i Mieczkowskich. Wraz ze mną zaprosiła Jadzię, która jest bardzo wrażliwa na takie zaproszenia, bo to ją towarzysko podnosi i dźwiga z pewnego rodzaju upokorzenia, jakiego doświadcza, gdy ją w przyjęciach u moich sióstr pomijają. Towarzysko pozycja jej jest dość nieokreślona, uchodzi ona poniekąd za moją gospodynię, poniekąd zaś – za wychowankę. Nie mogę nazwać ją formalnie żoną.

Toteż jeżeli dziś się wybrałem do Rumiszek, to tylko dla Jadzi. Pojechaliśmy w odnowionej mojej bryczce resorowej, kupionej od Maryni, zaprzężonej w parę koni. Jechaliśmy na Abele i stamtąd gościńcem bliższym mniej więcej wzdłuż toru kolejowego, idącego z Abel na Łotwę. Rumiszki położone są o jakieś 8 kilometrów od Abel nad samym torem kolejowym, o 4 kilometry od Subocza Kurlandzkiego (Subbotu), w miejscowości wysokiej wodorozdziału górnych dopływów jeziora Sart – za Druczesami. Są tam jeziora i jeziorka w głębokich dolinach na powierzchniach dość mocno poszarpanej wzgórzami i dolinami. Same Rumiszki stanowią folwark mały, 24-hektarowy, dobrze zagospodarowany i bardzo starannie zabudowany z niemałym ogrodem i budynkami murowanymi, przeważnie z cegły własnej. Należy podziwiać, jak dużo zdołał Budkiewicz dokonać na swoich 24 hektarach. Jednemu z synów dał wykształcenie gimnazjalne, drugiego uczy teraz na weterynarza, córka młodsza skończyła dwie klasy i na razie się nie uczy, ale ma się uczyć dalej. Synowi daje po 2000 litów rocznie na naukę. Dom jest zasobny – doskonałe wędliny, miód, ciasta. Na kawie byliśmy my z Jadzią, Elwira z mężem i córką Helcią, Paweł Koziełł z Użukrewnia ze starszą córką. Stefan Mieczkowski – bez humoru, znudzony, Paweł Koziełł – choć bankrutuje, nie traci rezonu, żartuje, kpi, wesoły, pomysłowy w anegdotach i pikantnościach.

5 czerwca, rok 1933, poniedziałek

Przyjeżdżała Elizka Komorowska z Kowaliszek. Wbrew zwyczajowi, zajechała wprost do mnie, nie zaś do starego domu do sióstr. Uczyniła to zapewne dlatego, żeby się nie spotkać w starym domu z Maryni mężem Justynem Budkiewiczem, którego Elizka bojkotuje i nie uznaje, uważając go za intruza rodzinnego. Elizka była na obiedzie u mnie, na podwieczorku – u Elwiry, gdzie bawili w gościnie pp. Wojnarowscy z Antuzowa, kolację zjadła znów u mnie i odjechała.

Elizka nosi się teraz z zamiarem dokupienia drugiej cząstki kamienicy naszej w Wilnie. Chciałaby ją odkupić od Henrysia Wołłowicza, przejmując na siebie jego dług dla mnie, dla siebie i dla Maryni i dopłacając kilka tysięcy samemu Henrysiowi. Liczy ona wartość jednego udziału na 2500 litów. Jeżeli jej się nie powiedzie odkupić część Henrysia, to chce ona postarać się odkupić część moją za tę samą cenę. Ja bym się zgodził sprzedać. Wolę stamtąd pieniądze wycofać i kupić za nie co innego, niż tkwić we wspólnej własności bez końca.

6 czerwca, rok 1933, wtorek

Dzień niby trochę cieplejszy, niż dotąd, ale też nie taki, jakiego bym pragnął dla Bohdaniszek o tej pięknej porze roku.

Późnym wieczorem wyjechałem na kolej do Abel. Zabieram też Jadzię na dni kilka. Oprócz kataru, który mię tu dręczył, doświadczam też pewnej ociężałości, z którą się łączy i którą zapewne sprawia osłabienie funkcji serca. Nie wiem, czemu to przypisać – kawie czy papierosom z tytoniu rosyjskiego. W Kownie bowiem stosowałem dość energicznie w ciągu miesiąca kurację podgładzania się, która mi zwalczyła senność, podczas gdy tu znów jej doświadczać zacząłem.

Pociągi teraz między Abelami a Kownem chodzą bardzo niewygodnie. Z Kowna nocnego pociągu nie ma. Natomiast z Abel do Kowna jest pociąg nocny, ale wychodzi bardzo późno – o północy – a że się zwykle bardzo mocno późni (dziś np. dopiero o drugiej po północy odjechaliśmy), więc się nie można wyspać i jazda staje się bardzo męcząca.

7 czerwca, rok 1933, środa

Po męczącej podróży nocnej przyjechaliśmy z Jadzią rano koło godz. dziesiątej do Kowna. I tu wypocząć nie mogłem, bo od dwunastej do drugiej miałem posiedzenie komisji Rady Stanu w sprawie projektu metrykacji cywilnej, po obiedzie od piątej do siódmej – posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, od godz. siódmej do ósmej wykład na II semestrze i następnie jeszcze godzinę colloquium.

Zmęczony się czuję i niewyspany bardzo.

W Kownie nic nowego w ciągu tych dni kilku nie zaszło. Zatwierdzenie prof. Leonasa dotąd nie nastąpiło, ale też nie zakomunikowano dotąd władzom uniwersyteckim odmowy zatwierdzenia. Jak słychać, przeciwny zatwierdzeniu jest zwłaszcza Tubelis, którego w Kownie nie ma.

8 czerwca, rok 1933, czwartek

Prezydent Rzeczypospolitej Smetona zaprosił dziś do siebie na śniadanie cały obecny zespół zarządu uniwersytetu wraz z nowo obranymi członkami przyszłego zespołu, który zacznie funkcjonować od jesieni. To znaczy byli zaproszeni: rektor Czapiński, ja jako przyszły rektor, obaj profesorowie – ks. Česnys i Jodelė, którzy pozostają na swych stanowiskach, ustępujący sekretarz prof. Raudonikis i przyszły sekretarz prof. Purėnas. Obecny też był minister oświaty Šakenis i przygodnie – prof. Izydor Tamošaitis, który, zdaje się, stale się w prezydenturze stołuje. W śniadaniu brała też udział pani prezydentowa. Śniadanie było dobre, wina – jeszcze lepsze. Rozmowa podczas śniadania była towarzyska. Dopiero po śniadaniu – przy czarnej kawie w gabinecie – rozpoczęły się przemówienia na temat spraw uniwersyteckich i znowuż... reformy. Dotyczyło to dwóch dziedzin: naukowej,

czyli organizacji nauczania i wychowawczej, czyli spraw młodzieży, sejmiku akademickiego, dozoru nad młodzieżą itp. Długo się wypowiadał Prezydent, potem nie mniej długo rektor Czapiński, wreszcie ja, a po mnie jeszcze prorektorowie i Purėnas. W zasadzie wypowiadano się na rzecz utrzymania sejmiku, ale podnoszono kwestię reformy wyborów do sejmiku i kategoryczne wzmocnienie dozoru nad działalnością tegoż i zwłaszcza nad przemówieniami członków. Moim zdaniem, skasowanie sejmiku byłoby niebezpieczne i nawet niepożądane, ale nie może być tolerowany taki stan rzeczy, że na posiedzeniach sejmiku kwitnie „nieograniczona" „wolność słowa", podczas gdy poza murami akademickimi panuje stan wojenny i na wszystkich zebraniach publicznych czuwają przedstawiciele policji, ale za to po kilku dniach studenci, którzy z „wolnictwa" skorzystali i dali się wciągnąć w pułapkę, są osadzeni w więzieniu za niedopuszczalne przemówienia, zwierzchność zaś uniwersytecka, która nie dopełniła obowiązku dozoru, dopiero się rzuca „ratować" uwięzionych i czynić starania na rzecz ich zwolnienia.

9 czerwca, rok 1933, piątek

O południu odbyło się na uniwersytecie uroczyste posiedzenie akademickie, poświęcone pamięci zmarłego księdza Józefa Tumasa-Vaižgantasa. W komplecie był senat akademicki, dużo profesorów, studentów, w głębi wzdłuż ściany ze stołem prezydialnym ustawiły się delegacje korporacji akademickich w mundurach ze sztandarami barwnymi. Zagaił posiedzenie rektor Czapiński, następnie o Tumasie mówili: prof. Michał Biržiška jako o człowieku, i prof. Mykolaitis-Putinas jako o literacie. Odczyt Biržiški był blady; o takim człowieku, pełnym życia i wybuchowej dynamiki, jak Tumas, Biržiška, zawsze równie spokojny, zrównoważony, skupiony w sobie, nie jest prelegentem właściwym. Lepiej się wywiązał z zadania subtelny literat Mykolaitis-Putinas.

Na Wydziale Prawniczym zapowiada się ciężkie przesilenie w łonie profesury. Dotknie ono zwłaszcza tej części profesury, która wykłada przedmioty ściśle prawnicze. Nowy projekt ustawy o sądach, który reformuje także adwokaturę, zabroni łączenia funkcji profesorskich z adwokaturą. Projekt ma być już wkrótce ogłoszony. Mamy szereg profesorów, którzy są jednocześnie adwokatami. Wielu z nich będzie musiało porzucić profesurę dla adwokatury, która im daje chleb; zwłaszcza, że pensja profesorska będzie jeszcze bardziej obcięta. Usunie się z profesury z pewnością Stankiewicz, Bielackin, Kazimierz Szołkowski, zapewne Tumėnas, może też Pietkiewicz, a nawet nie jest wykluczone, że i Janulaitis (choć Janulaitis jest bardzo do profesury przywiązany, a adwokaturą zajmuje się nieduże, ale niedawno kupił on dom i wlazł w długi, wskutek czego całą pensję uniwersytecką używa na płacenie długów, utrzymanie zaś ma z adwokatury; toteż pozostać na jednej profesurze nie będzie w stanie, chyba że dom sprzeda). Jeżeli do tego dodamy ustąpienie z wydziału Leonasa, które zdaje się już być przesądzone, a jeszcze za 2-3 lata, a może i za rok – ustąpienie Kriščiukaitisa i Mačysa, których wiek jest już bardzo podeszły, to wytworzy się ogromna i dotkliwa luka. Dotkliwa może nie tyle co do talentów i wartości naukowej tych osób, ile co do znalezienia zastępców w prędkim czasie. Za mało dotąd nasz wydział przygotował nowych sił naukowych do zastąpienia ubywających. Z prawników ścisłych pozostaną na stanowiskach na pewno: ja, Jaszczenko, Wacław Biržiška. Zaawansuje Antoni Tamošaitis i Dominik Kriwicki, da się poniekąd zużytkować Żakiewicz, który jest jeszcze materiałem surowym, ale brak będzie jeszcze wielu. Będzie to rewolucja w profesurze.

10 czerwca, rok 1933, sobota

Byłem na wieczorku studentów stowarzyszenia „Varpas". Miła to jest młodzież, posiadająca dużo chłopców inteligentnych, światła i posiadająca zacięcie idealistyczne. Co prawda, jest ona dość połowiczna między zdecydowaną prawicą i równie zdecydowaną lewicą, usiłująca utrzymać równowagę pewnym balansowaniem między radykalizmem

społecznym a „prawomyślnością" narodową, ale jest to może właśnie jej cechą intelektualistyczną, która czyni z niej ludzi miłych i kulturalnych, aczkolwiek nieco rozlewnych i do ścisłego czynu niezupełnie zdatnych. Takimi są bodaj ludowcy nasi w ogóle. Są to analitycy i krytycy, nie – twórcy życia. Dużo rozmawiałem z obecnym na tym wieczorku Michałem Ślażewiczem.

11 czerwca, rok 1933, niedziela

Rano odbyło się na uniwersytecie ostatnie w bieżącym roku akademickim posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Miały się odbyć wybory dziekana i sekretarza wydziału na kadencję trzyletnią. Ze względu na to, że sprawa zatwierdzenia Leonasa jest w zawieszeniu, bo dotąd wciąż jeszcze nie ma ani odmowy, ani zatwierdzenia – wybory na wniosek prof. Wacława Biržiški odroczono do jesieni. Odroczenie było motywowane tym, że Leonasa, jako jeszcze nie zatwierdzonego po przekroczeniu granicy wieku, wybierać teraz nie możemy, nikogo zaś innego poza nim, dopóki nie została stracona nadzieja na jego zatwierdzenie, wybierać nie chcemy. Na ogół na posiedzeniu dzisiejszym Rady panowała pewna konsternacja. Profesura jest mocno zaniepokojona nową ustawą kryzysową, która obcina bardzo znacznie jej wynagrodzenie za wykłady. Do dotychczasowej redukcji dodana będzie nowa znaczna, która ostatecznie zmniejsza prawie że do połowy tę stopę wynagrodzenia profesury, jaka jej się należała formalnie i jaką pobierała ona do roku 1932. Teraz docent będzie miał ogółem do 700, profesor zwyczajny do 900-1000 lt. W szczególności zaś profesura naszego wydziału jest jeszcze zaalarmowana zakazem łączenia profesury z adwokaturą, przewidzianym przez mający być niebawem ogłoszony projekt ustawy o sądownictwie; zakaz ten może wywołać opustoszenie szeregów naszej profesury. Wszystko to razem wzięte – a do tego dochodzi jeszcze ewentualna likwidacja sekcji ekonomicznej – wywołuje nastrój jakiejś nieokreśloności i niepewności jutra. Zresztą prof. Kriščiukaitis mówił mi prywatnie, że mu się zdaje (choć nie jest tego zupełnie pewny), że w przepisach przechodnich ustawy o sądownictwie ma być przewidziana możność uczynienia pewnych wyjątków od tej nowej reguły w stosunku do obecnych profesorów, trudniących się jednocześnie adwokaturą. Jest to niezbędne w naszych warunkach i szczególnie konieczne w stosunku do Janulaitisa. Aby dać Janulaitisowi możność utrzymania się na profesurze, uważałbym za wskazane wybrać go na dziekana wydziału, bo to by go podsukursowało materialnie i choć trochę uniezależniło od adwokatury (oczywiście – o ile Leonas zostanie usunięty). Niektórzy członkowie profesury, którym o ewentualnej kandydaturze Janulaitisa na dziekana wspomniałem (mając na myśli oczywiście wybory jesienne), życzliwie na to zareagowali, ale Wacław Biržiška, który jako sekretarz wydziału ma tu u nas wpływy i ewentualnie sam, gdyby tylko zechciał, zostałby dziekanem obrany, zaoponował mi. Jego zdaniem, Janulaitis w żadnym razie na dziekana się nie nadaje, bo jest nierówny, ma swoje kaprysy, jest zanadto podmiotowy w sądach, arbitralny, usiłuje narzucić innym swoją decyzję i wolę, sam się nikomu nie podporządkowując. Zdaniem Wacława Bižiški, na dziekana należy wybrać, jeżeli już nim nie będzie Leonas, raczej prof. Jurgutisa. Co do mnie, wolę Janulaitisa niż Jurgutisa, który jest zarozumiały i fantasta, a prac naukowych nie ma. Nie przeczę prze to, że prof. Jurgutis pewne zalety ma.

Po obiedzie pojechaliśmy z Jadzią parostatkiem po Niemnie i Niewiaży w kierunku na Bobty do Stefanostwa Römerów do Szaszewicz. Śliczną mieliśmy podróż: ciepło, pogoda, roślinność w pełnym rozwoju, w zaroślach nad wodą – słowiki, widoki – piękne, łąki i zboże bujne. Wysiedliśmy w Sztabownicy i udaliśmy się pieszo do Szaszewicz. Aby biednych Stefanostwa w ich ubogiej gospodarce nie ogałacać i nie objadać – przywieźliśmy ze sobą upieczonego indyka.

12 czerwca, rok 1933, poniedziałek

Zanocowaliśmy z Jadzią w Szaszewiczach u Stefanostwa Römerow. Wczoraj z wieczora i dziś rano obejrzeliśmy szczegółowo gospodarstwo ogrodowe Stefana, który rozpoczął zakładanie szkółki drzew i krzewów owocowych i dekoracyjnych. Trzeba przyznać, że w stosunku do środków, jakimi rozporządza, zdziałał w tym względzie bardzo dużo i przedsięwzięcie swoje zakroił szeroko, ile tylko mógł. W pracę tę wkłada on całą swoją energię, całą ogromną pracowitość swoją i wielki entuzjazm. W ciągu roku ubiegłego wystudiował on bardzo pilnie ogrodnictwo metodami samouctwa, czytając książki, czyniąc z nich wypisy i notatki, łowiąc zewsząd wiadomości i praktykę, nauczył się szczepienia, zdobył nawet pewną metodę. Energia, z jaką się wziął do tej pracy, jest zaiste godna podziwu; jest to ten rodzaj zaciętej energii, który przełamuje wszelkie przeszkody i cudów dokonywa. Moja pomoc Stefanowi, wyrażająca się w udzielaniu na subsydium 100 litów miesięcznie, daje mu możność istnieć jakoś na wsi, obchodząc się na razie bez innych dochodów i nawet spłacając kroplami długi, które Stefanostwo na folwark w Szaszewiczach pozaciągali. Daj Boże, żeby Stefan zdołał wytrwać w tym przedsiębiorstwie szkółki i mógł z niej kiedyś mieć dochody albo ją na Fredę przenieść.

Bardzo miła i – powiem – ciekawa jest mała siedmioletnia Stenia, córka Stefanostwa jedyna. Ruchliwa jest, pełna fantazji, niezrównana w mimice, prawdziwa aktorka. Jest w niej jakiś żywioł aktorski gry, który ciągle jest czynny. Ma ona po ojcu naturę artystyczną. Będzie to ciekawa i niezwykła dziewczyna, jeżeli rodzice jej wychowania nie wypaczą lub nie obciążą jakimś balastem czegoś obcego, co jej zdolności naturalne przytłoczy. Szkoda tylko, że wychowują ją w zupełnym i radykalnym odcięciu od kultury krajowej, w egzotycznym odosobnieniu od wszelkiego otoczenia, w cieplarnianej wyłączności polskiej. Tą metodą wychowanie daleko nie pójdzie. Ale Stefanostwu tego z głowy nie wybijesz. W swoich uprzedzeniach, pełnych pogardy dla litewskości, w czym się oboje Stefanostwo doskonale dopasowali, nie zastanawiają się oni nad tym, co z tego wyniknie dla ich dziecka, które przecie będzie żyło w społeczeństwie żywym i w kraju realnym, a nie gdzieś w zaświatach przesądów. Będzie to jeszcze jedno z tych stworzeń nieszczęśliwych bez gruntu pod nogami, jakieś cieplarniane i zawieszone między niebem a ziemią. Zdolności w tym dziecku są wielkie, ale rodzice je zmarnują.

Odjechaliśmy z Jadzią autobusem. Wyszliśmy, odprowadzeni przez Stefanostwo, na gościniec, zatrzymując przejezdne autobusy. Przeszły dwa, ale oba pełne po brzegi. Doszliśmy do Bobt i tam parę godzin zaczekaliśmy na trzeci autobus – z Poniewieża, w którym znalazły się miejsca wolne. Koło południa byliśmy w Kownie.

13 czerwca, rok 1933, wtorek

Po obiedzie w gmachu Izby Rolniczej odbyło się posiedzenie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Obecni byli: ja, dr Turowski, dr Juodeika, Kvieska, dr Natkiewicz, Witold Mačys i Kavolis. Przedyskutowaliśmy w drugim czytaniu i z pewnymi poprawkami przyjęliśmy opracowany przez Kavolisa projekt ustawy Towarzystwa, tworzonego na rzecz utrzymania szkoły. Pozostaje do przyjęcia statut samej szkoły, który będzie musiał być zatwierdzony przez Ministra Oświaty.

Na obiedzie była dziś u nas Marysia Stefanowa Römerowa, która przywiozła z Szaszewicz Stenię. Stenię zostawiła u nas, a jutro Jadzia odwozi ją do Bohdaniszek „do babci” (do Maryni) na wakacje letnie.

W związku z kryzysem, a poniekąd też dla zwiększenia pojemności aparatu państwowego dla młodych narastających sił inteligenckich, którym jest coraz ciaśniej w państwie i które nie znajdują sobie miejsca w urzędach i nie są w stanie awansować, rząd zdecydował się jąć na szerszą skalę zwalniać ze służby państwowej pracowników starszych, którzy mają już wysłużoną emeryturę, choćby nawet niezupełną. W Ministerium Sprawiedliwości – w sądownictwie – szeregowi osób ze starszego pokolenia sędziów i

prokuratury zaproponowano już urzędowo zgłosić dobrowolnie dymisję do emerytury. W liczbie tych, którym taką propozycję uczyniono, znalazł się naczelny prokurator Trybunału Najwyższego Jerzy Kalvaitis, prezes Sądu Okręgowego w Kownie Grigaitis, sędziowie okręgowi w Szawlach Šurna i Ziakin. Wiem, że Kalvaitis czuje się tym zarządzeniem mocno dotknięty. Materialnie nie jest to dla niego wcale ciosem, bo będzie pobierał koło 1000 litów emerytury miesięcznej, a mając ładny i pięknie zabudowany oraz zagospodarowany folwark pod Kownem nad Niewiażą (między Czerwonym Dworem a Bobtami) – będzie zupełnie zabezpieczony. Ale moralnie dla człowieka starego i zajmującego stanowisko wysokie i odpowiedzialne jest to cios bolesny, gdy mu się brutalnie mówi: Idź sobie! Jesteś stary i niepotrzebny! Przestałeś mieć wartość wybitnego specjalisty – idź w cień i ustąp miejsce innym! Zwłaszcza zaś Kalvaitis to odczuł boleśnie przez to, ze propozycja została mu uczyniona w sposób niezręczny, nie na cztery oczy, oszczędzając rozgłosu, ale pismem urzędowym, idącym drogą służbową przez urzędników, dla których to jest sensacją. Abstrahując się jednak od sposobu mniej lub więcej zręcznego, w jaki to wykonano, samo zarządzenie jako takie jest mądre. Litwa musi się uwalniać stopniowo od tłoczących jej państwowość starych kadrów urzędniczych szkoły rosyjskiej, którzy mieli wprawdzie rutynę i byli państwu na razie potrzebni, ale mieli też usterki biurokracji carskiej i metod wschodnich. Państwo musi też łagodzić problem dróg dla narastających sił młodych.

14 czerwca, rok 1933, środa

Rano wyjechała do Bohdaniszek Jadzia, zabierając też Stenię ze sobą. Odprowadziłem ją na dworzec.

Co do mnie, do pierwszych dni lipca zabawię w Kownie, a wtedy dopiero udam się do Bohdaniszek na wakacje dwumiesięczne. Zamierzałem pierwotnie spędzać w czerwcu co tydzień cztery dni w Bohdaniszkach, pozostawiając trzy dni na Kowno, ale taka ciągła jazda między Kownem a Bohdaniszkami wypadłaby drogo i byłaby niedogodna i męcząca ze względu na nieodpowiedni rozkład pociągów. Zrezygnowałem więc z tych fragmentowych wywczasów bohdaniskich w czerwcu i przesiedzę te dwa tygodnie w Kownie. Nudno tu teraz co prawda, roboty niewiele, lato nie usposabia do miasta, ale co robić!

Dziś miałem o południu posiedzenie komisji Rady Stanu w sprawie „metrykacji cywilnej” (małżeństwa cywilnego), wieczorem na uniwersytecie – ostatnie colloquium na II semestrze.

15 czerwca, rok 1933, czwartek

Święto Bożego Ciała. Miałem na obiedzie Zitkę i Litkę Komorowskie. Ta ostatnia przyjechała na kilka dni do Kowna, przywożąc na egzaminy swoją uczenicę, Zosię Geysztorównę, która uczy się u niej i zarazem mieszka w Kowaliszkach. Po obiedzie leniłem się pracować, toteż poszedłem do kina, a wieczorem z Zitką i Litką – do teatru letniego w ogrodzie miejskim. Miały tam miejsce występy gościnne baletu łotewskiego z Rygi – nie tyle całego zespołu baletowego, ile pięciu solistów i solistek baletowych, w ich liczbie dwu baletnic i trzech baletników. Widowisko było bardzo ładne. Szczególnie ciekawy spośród tancerzy mężczyzn był Eugeniusz Leszczewski, zarazem kompozytor i artysta dekoracyjny, wspaniały zwłaszcza w tańcach pantomimowych charakterystycznych, pełny wyrazu i komizmu. Z tancerek zaś prześliczny typ wyrazisty łotewski dała Mirdza Kalnin, piękna i tak wybitnie narodowa, że w niej odnalazłem moją Annin niezapomnianą i wszystkie znane mi z młodości łotewskie Żenie i Tamary, piękne, ogromnego temperamentu i siły dziewczyny, jakich poza narodem łotewskim nie spotykałem nigdzie. I w ruchach, i w rysach twarzy, i w wyrazie, i uśmiechu tancerka Mirdza Kalnin była zupełną i skończoną Łotewką, córką nieodrodną tego narodu pochodzenia litewskiego, który stworzył syntezę litewsko-fińską i którego kobieta musi jeszcze zasłynąć wśród ludów Północnego Wschodu Europy jako

fenomen jedyny, za mało dotąd znany, a stanowiący skończoną doskonałość najpiękniejszego kwiecia ludzkiego. O, Aninko moja, przez postać i ruchy Twojej siostry Mirdzy Kalnin Tyś dziś przemówiła do mnie!

16 czerwca, rok 1933, piątek

Miałem przed obiadem posiedzenie komisji metrykacji cywilnej w Radzie Stanu, wieczorem zaś – posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Więcej – nic.

17 czerwca, rok 1933, sobota

Dowiedziałem się od prof. Kriščiukaitisa, że na jego prośbę prezes ministrów Tubelis wyznaczył mu na dziś na godz. 11 przed południem audiencję. Ponieważ jednym z przedmiotów, dla których Kriščiukaitis prosił o audiencję, była kwestia ustrzeżenia Wydziału Prawniczego od niebezpiecznych skutków zbyt radykalnego zastosowania nowej zasady o niedopuszczalności połączenia adwokatury z profesurą, przyjętej przez projekt ustawy o sądownictwie, a sprawa ta leży mi też na sercu, więc poprosiłem Kriščiukaitisa, żeby pozwolił i mnie także wziąć w tej audiencji udział. Kriščiukaitis przystał bardzo chętnie. Właściwie jest to sprawa, należąca nie tyle do rektoratu, ile do Wydziału Prawniczego i jego zwierzchności. Ale ponieważ nasz dziekanat wydziałowy, który w osobie prof. Leonasa jest na noże z rządem, spraw wydziałowych u rządu nie broni, a zresztą w tej chwili nasz dziekanat, w związku z kwestią zatwierdzenia Leonasa przez rząd, jest sam poniekąd zawieszony, ta zaś sprawa jest dla wydziału groźna („*periculum in mora*“), więc tak Kriščiukaitis, jak ja postanowiliśmy interweniować u władz, Kriščiukaitis z tytułu współautorstwa projektu ustawy o sądownictwie, ja – z tytułu wyboru na rektora. Tytuły te wprawdzie nie są formalne dla spraw wydziałowych, ale skoro władze wydziałowe są nieczynne, zastąpić je może na ochotnika każdy szeregowy członek wydziału. Sytuacja jest dla wydziału groźna dlatego, że, jakem w dzienniku wspominał, może zachodzić obawa, iż wydział straci od razu do sześciu profesorów, którzy nie zdecydują się na zerwanie z adwokaturą, z której chleba mają więcej niż z profesury i dlatego profesurę porzucą. Chodzi tu o profesorów Stankiewicza, Bielackina, Kazimierza Szołkowskiego, Tumėnasa, Janulaitisa i może Tadeusza Pietkiewicza. Jeżeli dodamy do tego niezatwierdzenie Leonasa i przewidywane już za jakichś parę lat wycofanie się Kriščiukaitisa i Mačysa, którzy dla podeszłego wieku będą się musieli usunąć, to profesurze może naraz ubyć dziewięciu profesorów albo koło tego. Jeden z przepisów przechodnich do projektu ustawy o sądownictwie przewiduje wszakże możność czasowego połączenia adwokatury z profesurą dla obecnych profesorów-adwokatów, ale tylko na rok jeden. Oczywiście, że w ciągu jednego roku wydział nie zdoła wykwalifikować tylu młodych uczonych, ile zawakuje katedr, bo wykwalifikowanie te wymaga czasu, a zresztą wydział rozporządza tylko jednym stypendium, przeznaczonym do pogłębiania za granicą studiów dla gotujących się do zawodu profesorskiego. Prawda, że liczbie tych, co ewentualnie ubędą, jest taki np. Tumėnas, którego ustąpienie nie sprawi żadnej luki, bo jego przedmiot należy właściwie do mojej katedry, ale pod innym względem luki byłyby kapitalne: pozostałaby bez profesury katedra prawa cywilnego i katedra prawa karnego... Można być zdania, że większość tych profesorów-adwokatów to są dyletanci, którzy nauce nic prawie nie dają, gdyż nawet czasu na to nie mają. Być może, ale na razie lepszych jeszcze w tym zakresie nie mamy, uczonych specjalistów jeszcze w tej dziedzinie nie wyprodukowaliśmy, a ci, co już wykładają od lat dziesięciu, mają przynajmniej pewną rutynę, której nowi tacyż dyletanci mieć nie będą. Dotkliwą też stratę stanowiłoby usunięcie się Janulaitisa, który w swoim fachu (historia prawa) dyletantem nie jest i jest właśnie jednym z tych nielicznych, co pracują naukowo dużo. Koniecznym więc jest albo przedłużenie czasu niestosowania nowego przepisu do obecnej profesury, albo w ogóle zwolnienie obecnych profesorów-adwokatów od tego zakazu połączenia adwokatury z profesurą.

18 czerwca, rok 1933, niedziela

Odwiedziłem dziś w klinice prywatnej chirurgicznej prof. Hagentorna ciocię Paulinkę Weyssenhoffową, wdowę po śp. Antonim Weyssenhoffie z Pokrewnia, zmarłym przed laty dwudziestu. Po sprzedaży Pokrewnia ciocia Paulinka od lat siedmiu mieszka bądź w Łukini u swojej młodej bratowej – pani Lali Kończyny, wdowy po p. Franciszku (trzeciej żony p. Franciszka), bądź w Kiszkiliszkach u swojej synowej, wdowy po Medardzie Kończy, synu Franciszka. Z pieniędzy, uzyskanych za Pokrewnie, ciocia Paulinka kupiła dom w Wiłkomierzu i zachowała trochę gotówki. Starość ma więc zabezpieczoną i dobrą, bo ma środowisko rodzinne i jest ciotką pieniężną, już przez to samo miłą dla bliższych krewnych. Wieku doczekała się ciocia Paulinka pięknego – ma lat 82, jak się sama przyznaje, jeżeli tylko nie więcej. Jest to już jedna z ostatnich żyjących osób z pokolenia naszych ojców. W rodzinie Römerów mamy jeszcze kilka takich, przeważnie kobiet weteranek z poprzedniego pokolenia: stryjenka Wanda Alfredowa Römerowa, ciocia Marynia Römerówna na Antokolu, stryjenka Elżusia Bolesławowa Römerowa, stryjenka Kazia Kazimierzowa Römerowa... Już i nasze pokolenie jest stare – u schyłku życia, a tamte niedobitki jeszcze stoją żywe nad grobem. Ciocia Paulinka Wyessenhoffowa przed dziesięciu dniami przeszła operację. Miała ona od dawna jakieś narośle tłuszczowe na głowie u podstawy czaszki z tyłu; narośle te w ostatnich czasach otworzyły się i zaczęło się z nich sączyć materia. Teraz wycięto cioci te narośle. Operacja udała się i ciocia ma się nieźle. Dochodziły mię pogłoski, że te narośle u cioci Paulinki są natury rakowatej. Jeżeli tak jest, to już będzie początek końca. Nie widziałem cioci Paulinki od lat siedmiu. Trochę się twarz skurczyła i nabrała większego podobieństwa do pomarszczonego jabłuszka, ale umysłowo ciocia jest jeszcze żywa i nawet ruchliwa.

Wczoraj wieczorem w gabinecie prorektorskim na uniwersytecie odbyło się zebranie grona założycieli litewskiego Związku „Pan-Europy”, utworzonego na modłę organizacji hr. Kalergiego. Inicjatorem założenia związku litewskiego jest generał Kurkowski, który w roku ubiegłym był na zjeździe „Pan-Europy” i stał się adeptem entuzjastycznym idei, a potem urządzał w Kownie wystawę „Pan-Europy”. Uczestnicy wczorajszego zebrania, którzy podpiszą statut związku jako założyciele tegoż są: gen. Kurkowski, rektor uniwersytetu prof. Czapiński, Jan Vileišis, dr Purycki, prof. Zygmunt Žemaitis, dziennikarz narodowiec Gustainis i ja. Przedyskutowaliśmy projekt statutu i przed podaniem go do zatwierdzenia, raczej do zarejestrowania, mamy się jeszcze raz zebrać. Koncepcja Pan-Europy, którą akceptuje związek, jest klasyczną, to znaczy taką, jaką ją określa propaganda Kalergiego: federacja państw Europy, czyli Stany Zjednoczone Europejskie. Co do mnie, to ja bym wolał konstrukcji pan-europejskiej nie określać, żeby związek był otwarty także dla zwolenników koncepcji Europy terytorialnie unitarnej, federującej personalne związki narodowe.

19 czerwca, rok 1933, poniedziałek

Po obiedzie odbyło się posiedzenie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Przyszło nas tylko pięciu: Kvieska, Tomkus, Witold Mačys, Kavolis i ja. Debatowaliśmy projekt statutu szkoły, który trzeba będzie zgłosić do zatwierdzenia ministra oświaty. Wątpię, byśmy do 1 lipca zakończyli pracę nad projektem statutu Towarzystwa utrzymującego szkołę i statutu samej szkoły. Szkoda, bo wypadnie pracę organizacyjną przerwać na wakacje, a to będzie duża strata czasu.

Miały być dziś u mnie egzaminy studenckie, ale nie doszły do skutku, bo zamiast siedmiu stawiło się tylko trzech. Odesłałem ich do przyszłego poniedziałku. Kandydatów do egzaminów zapisanych jest pięćdziesięciu kilku, a przychodzi do egzaminu... trzech, choć przyjmuję naraz po siedmiu. W ostatnich czasach studenci zdają u mnie egzaminy coraz gorzej. Nie wiem, czemu to przypisać. Zwyczajną staje się rzeczą, że większą połowę zdających muszę przepędzać, bo nie tylko że nie umieją, ale wprost nie są w stanie myśleć.

Na pozawczorajszej audiencji u prezesa ministrów Tubelisa tyleśmy z Kriščiukaitisem wskórali, że Tubelis przyrzekł podnieść wobec Prezydenta kwestię zrewidowania przepisów przechodnich co do zakazu łączenia adwokatury z profesurą, przynajmniej w stosunku do katedr prawa cywilnego, prawa karnego i historii prawa. Na audiencji tej podniosłem też kwestię zatwierdzenia Leonasa, ale coś nie widzi mi się, żeby była wielka nadzieja na uzyskanie zatwierdzenia. Tubelis podnosi dużo zarzutów przeciwko Leonasowi, najważniejszy zaś ten, że Leonas miewa agitacyjne przemówienia przeciwrządowe na zebraniach młodzieży i że przeto młodzież tę prowadzi na tory politykowania i akcji wywrotowej. Nic więc w tej kwestii Tubelis nie obiecał, właściwie nie dał odpowiedzi żadnej. Kriščiukaitis interweniował ze swej strony na rzecz prokuratora Trybunału Kalvaitisa i sędziów (Grigaitisa, Šurny i Ziakina), którym uczyniono urzędowo propozycję podania się do dymisji na emeryturę. Taka propozycja, uczyniona urzędowo na piśmie, równa się usunięciu sędziego. W stosunku do prokuratora Kalvaitisa Kriščiukaitis zastrzeżeń legalności nie zgłaszał, bo prokuratura u nas przywileju nieusuwalności nie posiada, jeno zgłaszał zastrzeżenie *in meritum*: że w Litwie nie ma nikogo, kto by miał takie doświadczenie i rutynę w zawodzie prokuratora, jak Kalvaitis, a przeto usunięcie go wytworzy lukę, której zapełnić nie ma możności, bo nikt inny dziś mu nie dorówna; że skądinąd forma urzędowa takiej propozycji w stosunku do człowieka, zajmującego wybitne stanowisko służbowe i który obowiązki swoje spełniał należycie i niczym nie zawinił, jest obraźliwą i lekceważącą; można było w ostateczności uczynić tę propozycję poufnie, zachowując należne względy dla człowieka starszego i bądź co bądź zasłużonego, który nie jest w państwie jakąś *quantite néglibeable*. W stosunku zaś do sędziów, to Kriščiukaitis wskazał, że uczynienie im takiej propozycji koliduje z zasadą nieusuwalności sędziów, która dotąd w Litwie była szanowana i tylko jeden raz w r. 1925 była pogwałcona za rządów ministra sprawiedliwości Tumėnasa, kiedy sędzia Trybunału Janulaitis był bez jego wiedzy i woli mianowany prezesem Sądu Okręgowego w Poniewieżu i przez to samo faktycznie zmuszony do dymisjonowania. Pogwałcenie tej zasady obecnie jest tym mniej usprawiedliwione, że niebawem ogłoszona zostanie nowa ustawa o sądownictwie, która w związku z potrzebami reorganizacji sądownictwa zawiesza na lat trzy nieusuwalność i niewzruszalność stanowisk sędziów. Nie było więc racji śpieszyć i łamiąc ustaloną zasadę robić w tej chwili nielegalnie to, co niebawem – po ogłoszeniu nowej ustawy – można będzie zrobić legalnie, korzystając z owego trzylecia zawieszenia zasady. Tubelis to wszystko wysłuchał, ale decyzji nie powziął, a przynajmniej jej nie wyraził. Czy wyciągnie stąd wnioski – nie wiemy.

20 czerwca, rok 1933, wtorek

Literat i krytyk litewski Witold Bičiunas, jeden ze zdolniejszych i wytrawniejszych krytyków, esteta, sam też po trochę artysta, były poseł do Sejmu z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, po moim wyborze na rektora zwracał się do mnie po szczegółowsze informacje, dotyczące mojej przeszłości, moich prac, moich stosunków rodzinnych, moich stosunków z Piłsudskim itd. Ponieważ skądinąd Bičiunas jest zajęty źródłami do monografii o księdzu Kocielle z Poniemuńka, którą pisze czy dopiero ma pisać i ponieważ chce w tej pracy ująć piękną postać tego wiejskiego apostoła oświaty litewskiego w związku z całym jego życiem i na tle epoki dziejowej, więc prosił mię on także o wszelkie informacje o ks. Kocielle, którego jeszcze znałem, o Kazimierzu Świąteckim z Poniemuńska, o starym Edwardzie Römerze z Antonosza, który był jednym z najbardziej znanych i wpływowych ludzi w naszych stronach w czasie powstania r. 1863, podczas gdy ks. Kociełło był w tym czasie wikariuszem w Jeziorosach i brał pewien udział czy też miał pewien kontakt z powstaniem, i o wielu innych ludziach i rzeczach z przeszłości. Zaproponowałem wtedy Bičiunasowi zapoznać go z Eugeniuszem Römerem, który więcej ode mnie wie o Edwardzie Römerze i w ogóle o czasach i ludziach popowstaniowych. Zaprosiłem więc dziś na obiad bawiącego w Kownie

Eugeniusza i Bičiunasa. Byli obaj. Rozmowa toczyła się po polsku. Eugeniusz, który ma naturę gawędziarską i zna oraz lubi tę przeszłość od powstania do Wielkiej Wojny, dużo opowiadał o ludziach, stosunkach i zdarzeniach, Bičiunas zaś zapytywał i notował. Rzeczywiście zdumiewające jest, jak mało mamy wiadomości z naszej najbliższej przeszłości krajowej. Gdy się sięga do takich lat, jak 1850, to wszystko jest ciemne i niewiadome: niepodobna dociec, czym wtedy ludzie żyli, kto robił i co robił. Żaden chyba kraj nie jest tak ubogi w zakresie samowiedzy o wypadkach sprzed paru pokoleń, jak Litwa. Właściwie tak jest aż do roku 1905, kiedy odzyskaliśmy prasę krajową. Trzeba wszystko rekonstruować z fragmentów, błąkać się w domysłach, operować wspomnieniami ludzi starych, którzy coś o tych czasach jeszcze słyszeli, lub tradycją bardzo nieścisłą. Nie ma ścisłych pamiętników, nie ma monografii ani materiałów kronikarskich zakonserwowanych.

Dowiedziałem się od Eugeniusza Römera po wyjsciu Bičiunasa, że ojciec Bičiunasa, który był wpierw rzemieślnikiem w Szawlach, potem dorobił się fortuny i kupił nawet majątek w okolicy Cytowian, uważa się za Polaka i nazywa się Bezumowicz. Bičiunas więc [się] jeno osobiście zlitwinizował i zaczął się nazywać Bičiunasem. Stary Bezumowicz, jego ojciec, gorszył się nawet, że syn przystał do „krikščioniów“ i wyrzekał się go.

21 czerwca, rok 1933, środa

Nareszcie jest nadzieja, że rząd ogłosi te dwie ustawy zasadnicze kłajpedzkie – ustawę o uprawnieniach gubernatora do dozoru statutowego organów autonomicznych Kłajpedy i ustawę o sądzie statutowym, których projekt został już przed kilku miesiącami przez komisję konsultantów do spraw kłajpedzkich ostatecznie ułożony. Właściwie geneza tych dwóch projektów jest znacznie starsza. Datuje się ona bodaj od roku 1929 czy co najmniej 1930. Inicjatorem jej pierwotnym był Tadeusz Pietkiewicz, który, uogólniając pewne tezy niemieckiej konstytucji weimarskiej z r. 1919 o interwencji bezpośredniej rządu centralnego w stosunki i akcję członków federacji i o zasadzie „Reichsrecht bricht Landrecht“, był skłonny przyjąć i dla Kłajpedy przepisy analogiczne o bezpośredniej interwencji władz państwowych Litwy w wypadkach bezczynności organów autonomicznych albo ich akcji przeciwnej statutowi. W pierwotnych projektach tych ustaw, opracowywanych przez Radę Stanu, dominowała zasada interwencji bezpośredniej, a sąd statutowy był zaprojektowany dla odwoływania się Kłajpedzian przeciwko tej interwencji. Obecnie, po zeszłorocznym wyroku haskim i w ścisłym uzgodnieniu z zasadami motywów wyroku, konstrukcja tych ustaw i samej funkcji sądu statutowego została zasadniczo zreformowana. Władza państwowa nie interweniuje bezpośrednio, lecz przez organ gubernatora zaskarża nielegalne akty organów autonomicznych do sądu statutowego, do którego też organy autonomiczne zaskarżają tak ustawy, jak akty administracyjne władz centralnych, które gwałcą statutowe prawa autonomiczne Kłajpedy. Sąd statutowy po stwierdzeniu nielegalności statutowej tego lub innego zaskarżonego aktu – uchyla go wyrokiem sądowym. Co do bezczynności władz autonomicznych, to tylko w niektórych ściśle określonych kwalifikowanych wypadkach tejże władza centralna przez organ gubernatora uzyskuje prawo interwencji, ale też nie bezpośredniej, jeno po zaskarżeniu tej bezczynności do sądu statutowego i po stwierdzeniu przez sąd kwalifikowanego charakteru tej bezczynności. Przepisy tych projektów ustaw, z wyjątkiem tego, który traktuje o interwencji w wypadku bezczynności po stwierdzeniu tejże przez sąd, są oparte ściśle na zasadach, głoszonych przez motywy wyroku haskiego, nie wyłączając zasad *votum separatum* mniejszości sędziów, toteż przyjęcie tych dwóch ustaw zafiksowuje od razu ustawowo to wszystko dodatnie, co się w tym wyroku dla Litwy mieści. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, bo wyrok jest tylko wyrokiem *ad hoc* i kiedyś nowy komplet sądu w Hadze może i same zasady zmienić, wychodząc z innych założeń interpretacyjnych statutu. Trzeba jak najspieszniej wyciągnąć z wyroku haskiego wszystkie korzyści, jakie się w nim mieszczą i utrwalić je ustawowo, bo w razie sporu dziś te ustawy obronić w Hadze

zdołamy, a czy byśmy obronili jutro lub pojutrze, gdy się w Hadze większość zmieni może w duchu van Eysingi i de Bustamantego – tego nie wiemy i nie możemy być pewni. Ale nawet ten jedyny wyłom w tych ustawach, który nie jest oparty na wnioskach z wyroku haskiego, jest tak oględnie zredagowany i w ścisłe zastrzeżenia zaopatrzony, że i on bardzo niebezpieczny nie jest. Pomimo tego rząd litewski się dotąd tych ustaw bał, a szczególnie na rzecz kunktatorstwa i dmuchania na zimne działał minister spraw zagranicznych Zaunius. Zwyciężył dopiero ten wzgląd, że skoro już nowa ustawa o sądownictwie zawiera cały szereg zagadnień spornych, dla których Litwa może się znów okazać w sytuacji oskarżonej przed Trybunałem Haskim, to lepiej jest naraz dać do likwidacji wszystkie ewentualne spory, niż je cedzić po kropli w całym szeregu spraw detalicznych. Dlatego też rząd przypomniał sobie te dwa projekty ustaw i chciałby je ogłosić jednocześnie z ustawą o sądownictwie.

22 czerwca, rok 1933, czwartek

Wreszcie więc ustawa o sądzie statutowym dla spraw Kłajpedy ujrzy może światło dzienne. Będzie to dobre, bo jest to jedyny sposób ustalenia owoców prawnych zeszłorocznego wyroku haskiego. Na razie jednak prezes ministrów Tubelis przekazał projekt ustawy do rozpoznania Radzie Stanu. Šiling zebrał cały areopag Rady, który teraz bada i rozważa projekt. Na razie zaczęto w Radzie krytykować, a najbardziej na projekt napadał Merkys. Kriščiukaitis i Papečkys też wiele dostrzegali usterek. Ja musiałem się jeden bronić, bo Pietkiewicz, który też był na tym zebraniu, milczał zniechęcony. Zebranie to miało miejsce wczoraj. Dziś i jutro będzie ono kontynuowane, ale ja w nim udziału brać nie będę. Z naszej komisji konsultantów będzie brać udział Pietkiewicz, a dopiero w przyszłym tygodniu, kiedy Rada cały projekt rozejrzy i ewentualnie zaprojektuje poprawki, zwołane będzie wspólne posiedzenie Rady z komisją konsultantów dla powzięcia decyzji ostatecznych.

23 czerwca, rok 1933, piątek

W rodzinie naszej stało się nieszczęście: Stefan Römer, syn Maryni, postradał zmysły. Zdaje się, że zwariował. W każdym razie jest nieprzytomny. Stało się to nagle, jak żeby grom uderzył z jasnego nieba. Marysia Römerowa, jego żona, która go przywiozła do Kowna, powiada, że w ostatnich dniach Stefan był na ogół w dobrym humorze, z zapałem pracował w swoim ogrodzie, miał dobry apetyt. Tak było do dnia wczorajszego włącznie. Dziś rano Marysia wstała i wyszła gdzieś z domu (w Szaszewiczach); Stefan był jeszcze w łóżku; gdy wróciła – nie zastała Stefana gotowego do śniadania i nie było go też w łóżku; okazało się, że wziął poduszkę i poszedł do swego pokoju; leżał. Na jej pytanie i przemówienie odpowiadał nie do rzeczy, plącząc słowa, wstawiając jakieś niezrozumiałe wyrazy, coś zaczynał mówić i zapominał, nie kończył zdania albo kończył bez związku. Cały dzień nic nie jadł i był nieprzytomny. Marysia sprowadziła na razie felczera z Bobt, ale ten nie bardzo mógł rozpoznać, co mu jest, zastrzyknął jeno coś na wzmocnienie serca. Wobec tego Marysia zdecydowała się przywieźć Stefana do Kowna. W Kownie w aptece wskazano jej psychiatrę dr Kutorgę, dobrego specjalistę. Ten na razie przepisał brom na uspokojenie i kazał zrobić analizę krwi dla sprawdzenia przez reakcję Wessermanowską, czy to nie jest na tle wenerycznym (syfilis). Analiza krwi będzie zrobiona jutro. Gdym przyszedł o godz. ósmej, o niczym nie wiedząc, do domu, zastałem już Stefana w łóżku. Leżał i spał snem kamiennym. Rozmawiałem tylko z Marysią, która jest bardzo poruszona i znękana. Powiada, że Stefan nie bardzo poznaje ludzi, nie orientuje się, gdzie jest, nie poznał Kowna. Miewa wprawdzie przebłyski świadomości, ale na krótką chwilę, zapadając zaraz znów w stan nieprzytomny. Porusza się jak automat, idzie, dokąd go Marysia prowadzi, zresztą jest bardzo osłabiony i prędko się męczy. Ponieważ Stefan spał, nie próbowałem z nim rozmawiać i nie przyjrzałem mu się. Zobaczę go jutro.

Smutne to i żal biednego człowieka, który ma niewątpliwie wybitne zdolności artystyczne i któremu tak się wszystko w życiu nie wiedzie. Smutny też los biednej żony, kobiety młodej i pełnej sił. Jestem prawie pewny, ze choroba Stefana jest na tle wenerycznym. Od dawna słychać było, że Stefan chory jest na syfilis. Zdaje się, że nabawił się tej choroby jeszcze w Wilnie, to znaczy przed powrotem do Litwy w roku 1922. Mało też albo prawie wcale się nie leczył. Zresztą nie miał za co, a nie przyznawał się do choroby nigdy. Prawda, tej zimy napisał do mnie razu pewnego list rozpaczliwy, skarżąc się na odnowienie się zastarzałej choroby wenerycznej, która go zatruwa fizycznie i moralnie; co prawda – nazywał w liście tę chorobę tryprem, ale nietrudno mi było się domyślić, że chodzi tu o syfilis. Przyrzekłem mu wtedy, że będę go leczyć moim kosztem i sam opłacę kurację. Ale potem już Stefan o chorobie nie wspominał, a gdym mu o leczeniu mówił, nie zgadzał się za nic, abym z nim szedł do doktora, ja zaś nie zgodziłem się dawać mu do ręki pieniądze na leczenie, bo wydałby je na co inne. Znam jego charakter cygański i wiem, że nie spełni zobowiązania i pieniądze wyda, a leczyć się nie będzie. Tak się to zwlekało i oto...

Biedny chłopiec. Kocham go szczerze. Dałby Bóg, aby mu to przeszło. Pomieszanie zmysłów – to rzecz okropna.

24 czerwca, rok 1933, sobota

Przypuszczenia o wenerycznym, ściślej – syfilitycznym – tle choroby umysłowej Stefana Römera sprawdziły się w zupełności. Analiza krwi całkowicie to potwierdziła: reakcja Wessermana jest pozytywna, uzupełniona w swej formule kilku krzyżykami, wskazującymi na silny rozwój syfilisu, którego Stefan nigdy właściwie nie leczył systematycznie. Jak lekkomyślny i słaby był we wszystkim, tak lekkomyślny był i w tej kapitalnej sprawie swego zdrowia i życia. Lekkomyślnie się też ożenił, lekkomyślnie spłodził dziecko, lekkomyślny był w swoich studiach i w pracy. Był on człowiekiem pierwszego impulsu, któremu się nigdy oprzeć nie umiał. Biedny człowiek – ma dzisiaj życie złamane, ale nie mniej biedna jest jego żona, która o chorobie męża nie wiedziała.

Stefana zobaczyłem dopiero dziś rano, bo wczoraj widziałem go tylko w łóżku śpiącego; gdym się dziś rano ubrał, zastałem obojga Stefanostwo siedzących w fotelach w gabinecie moim. Milczeli. Uderzyło mię ogromne wymizerowanie Stefana. Twarz – blada, szalenie chuda, wyraz apatyczny, wzrok błędny, skierowany w przestrzeń. Ruchy ma automatu, nie mówi prawie nic. Jeżeli coś bąknie, prawie wyłącznie na zapytanie, to tylko półsłówkiem albo paru słowami, wśród których trafiają się czasem wyrazy niezrozumiałe albo nie do rzeczy. Przy śniadaniu kroił kawałek bułki na talerzu tępą stroną noża; mnie czasem poznawał i nazywał „wujkiem”, czasem nie poznawał i nazywał po litewsku „ponas” („ne, ponas”, „ačiū, ponas” – odpowiadał na moje propozycje, żeby jadł więcej). Przy obiedzie zupę zaczął jeść widelcem i nie spostrzegł tego, aż mu żona widelec odebrała i dała łyżkę, truskawki zaś chciał brać łyżeczką, obróconą dnem do góry, a gdy jagoda nie chciała się w tej pozycji utrzymać – nożem ją podpierał. Zdaje się, że ruchy rąk są u niego trochę tabetyczne, to znaczy że nie może celowo i dokładnie ruchami tymi władać. Chodzi za żoną jak cielę, dokąd go ona prowadzi, ale męczy się mocno. W domu prawie cały dzień spał bezwładnie, tylko był na mieście dla analizy krwi i u dr Kutorgi. Jednak mimo że chodzi za żoną posłusznie, jednak nie spełnia tego, o co go ona prosi: oponuje, zaprzecza, nawet niecierpliwi się; arbitralny i uparty jest, jakim był zawsze wobec bliskich, podczas gdy wobec obcych i dalszych był zawsze ustępliwy i nieśmiały. Tylko że teraz nic prawie nie rozumie, co się dokoła niego dzieje i mówi. W pierwszej chwili po obudzeniu jest jakby cokolwiek żywszy i świadomszy, ale tylko na chwilę. Pamięci, logicznego myślenia, dosnucia jakiejś choćby jednej myśli ciągłej do końca – nie jest w stanie. Marysia płacze. Wciąż siedzi przy nim, patrzy na niego, myśli i płacze. Jakie są jej uczucia – nie wiem. Czy tylko jego żałuje, czy więcej żałuje siebie i niepokoi się o zdrowiu córeczki Steni, bawiącej u babci w

Bohdaniszkach – nie wiem. Jej skrytego i głęboko zamkniętego w sobie charakteru przeniknąć nie umiem. Dr Kutorga poradził zalokować Stefana w szpitalu miejskim na oddziale wenerycznym, co zależy od dr Sidorowicza. Marysia była u dr Sidorowicza, który dał jej kartkę na przyjęcie Stefana do szpitala. Jutro go tam odwieziemy. Odbędzie on tam przede wszystkim zasadniczą półtoramiesięczną kurację leczenia salwersanem i merkuriuszem. Czy się da wyleczyć i usunąć całkowicie skutki psychiczne choroby – o tym dr Kutorga zapewnić nie może. Jak powiada dr Kutorga, jest to syfilis mózgu i kości pacierzowej, głęboko zakorzeniony w mocno rozwiniętym stadium choroby. Takie porażenia psychiczne niełatwo dają się usunąć. Biedny Stefan. Czyżby to już był zmierzch ostateczny jego zdolności artystycznych i uwiąd psychiczny stały?

25 czerwca, rok 1933, niedziela

Nieszczęśliwego Stefana Römera zawieźliśmy z jego żoną Marysią do szpitala miejskiego. Choć nieprzytomny, nie zdający sobie sprawy z tego, co się dokoła dzieje, biedak posłusznie idzie wszędzie, gdzie się go prowadzi. Do szpitala, który się mieści przy Rynku na Starym Mieście, pojechaliśmy wszyscy troje autobusem. Marysia w autobusie płakała. W szpitalu zalokowano Stefana na oddziale chorób skórnych i wenerycznych w niewielkim pokoiku o wysokiej temperaturze, dość dusznym. Są tam trzy łóżka. Dwa łóżka są zajęte przez jakichś dwóch chorych, młodych ludzi w wieku po jakichś dwadzieścia parę lat, z których jeden ma twarz pokrytą wyrzutami i gęsto zasmarowaną jakąś maścią białą, drugi – ot taki sobie młody przystojny chłopiec. Obaj są pełni życia i wyglądają, powiedziałbym, dość żulikowato. Nie wiem, czy biednemu Stefanowi będzie w ich towarzystwie dobrze. Chodzi o to, żeby mu się nie uprzykrzali. Biedny Stefan wobec nich – starzec i męczennik; jest zupełnie bezwładny, zgasły, bierny. Smutno tak zostawiać biednego chorego w samotności: w jego stanie nie upomni się on o nic, nie poskarży; czy będzie opatrzony, czy ktoś dopilnuje, żeby zjadł, co mu dadzą, itd. – nic nie wiadomo.

Czy wróci do zdrowia, czy odzyszcze władzę umysłu – lekarze z góry nie zaręczają.

26 czerwca, rok 1933, poniedziałek

Marysia Römerowa odwiedziła rano męża w szpitalu podczas wizyty lekarskiej. Mówiono w szpitalu, że wczoraj jadł dobrze; zjadł wszystko, co mu dano. Wlewania selwersanu do krwi i zastrzykiwania merkuriusza jeszcze nie rozpoczęto, bo Stefan gorączkuje; wczoraj wieczorem miał 39°, dziś rano 38°. Marysia po obiedzie odjechała do Szaszewicz; przyjedzie za dni kilka znowu. Marysia myśli ewentualnie o zalokowaniu się w szpitalu dla doglądania Stefana.

Miałem od rana egzaminy. W ostatnich czasach egzaminy szły bardzo kiepskie; trafiały się same osły; przeszło połowa obcinała się. Dziś trafił się komplet niezły. Jeden tylko Anicet Przyjałgowski, jeden z inteligentniejszych zresztą studentów, były prezes akademickiego Towarzystwa Studentów Prawników i Ekonomistów, nie zdał egzaminu, poza tym czterech zdało dobrze, a jedna panienka – bardzo dobrze.

Nie będę mógł wyjechać przed środą w przyszłym tygodniu. Obiecałem wygłosić dwa wykłady na kursach dla dziennikarzy, organizowanych przez Binkisa i Puryckiego; wykłady te odbędą się w poniedziałek i wtorek rano za tydzień.

27 czerwca, rok 1933, wtorek

Wreszcie dziś wypłacono mi 6200 litów honorarium autorskiego za moją wydaną w roku ubiegłym książkę „Dabartinės konstitucijos". Ale z tych pieniędzy wypadnie mi 5000 lt zwrócić na pokrycie pożyczki od rządu, którą w roku ubiegłym wziąłem przy wyjeździe do Hagi. Szkoda tych 5000 litów, które by się bardzo przydały. Ale co robić – przyda się i ten tysiąc z czubkiem, który jeszcze pozostaje.

Po obiedzie odbyło się posiedzenie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Tych czynności organizacyjnych przed wakacjami już ukończyć nie zdołamy. Wypadnie dokończyć je we wrześniu.

Dużo myślę o biednym Stefanie Römerze. Chciałbym się w tych dniach dowiedzieć o nim w szpitalu.

28 czerwca, rok 1933, środa

Nic wielkiego.

29 czerwca, rok 1933, czwartek

Licho mnie nadało zgodzić się na wygłoszenie paru odczytów w poniedziałek i wtorek na kursach dziennikarzy. Dla tych odczytów muszę o kilka dni dłużej siedzieć w Kownie i oprócz tego łamać sobie głowę nad ułożeniem planu i notatek do tych wykładów, nie wiedząc, w jaki sposób wcisnąć rozległy i skomplikowany temat problemów państwowych faszyzmu i sowietyzmu w ciasne ramy dwóch godzin wykładowych.

Jeździłem dziś z Justysiem Stawskim do szpitala miejskiego odwiedzić chorego Stefana Römera. Stefana zastaliśmy leżącego w tym samym pokoju, ale na innym łóżku. Stefan był żywszy niż przed kilku dniami, kiedy go lokowaliśmy w szpitalu. Czy poznał Justysia – nie wiem. Przywitał się z nami, uśmiechał się, ale był czegoś zły i usposobiony jakoś zaczepnie czy wojowniczo. Tylko że tak źle włada mową, że nie jest w stanie wyrazić myśli. Monologował coś krótkimi urywanymi zdaniami, wciąż w tonie jakimś sprzecznym i złośliwie ironizującym. O co mu właściwie chodziło – trudno było dociec. Nie dociekaliśmy też bardzo. Nie zdołaliśmy się też poinformować, czy już rozpoczęto jego leczenie. Nie było na oddziale wenerycznym ani siostry, ani sanitariuszki. Towarzysze Stefana z pokoju, w którym on leży, robią wrażenie gorsze, niż cały szpital razem wzięty i niż sama choroba Stefana. Jeden jest starzec z twarzą pokrytą strupami i ranami, inny, młody, ma część nosa zjedzoną widocznie przez lupus i plamy lupusowe na policzkach w okolicy nosa. To otoczenie czyni wrażenie ohydne, przejmujące wstrętem.

30 czerwca, rok 1933, piątek

Dziś po obiedzie odbyło się u Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony posiedzenie w sprawie projektu ustawy o sądzie statutowym dla spraw kłajpedzkich. Chodzi o to, aby ta ustawa została wydana jednocześnie z ustawą ogólną o sądownictwie, która też poniekąd dotyczy Kłajpedy, raczej problemów sądów autonomicznych kłajpedzkich. W posiedzeniu wzięli udział: Prezydent Smetona, prezes ministrów Tubelis, minister sprawiedliwości Aleksander Żyliński, prezes Rady Stanu Šiling i konsultanci do spraw kłajpedzkich: Lozoraitis, Mašalaitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Prezydent wyrażał pewne zastrzeżenia co do niektórych dyspozycji projektu ustawy, w szczególności co do zaskarżalności sądowi statutowemu ustaw centralnych państwowych; ja pozycji tej broniłem. Na ogół jednak Prezydent uznaje w zupełności potrzebę ogłoszenia tej ustawy i dość kategorycznie pod tym względem replikował Tubelisowi, który wyrażał wielkie wątpliwości ze względu na to, że, jego zdaniem, pożytku z tej ustawy będzie niedużo, bo ani Kłajpeda zechce się do sądu statutowego zwracać, ani też Niemcy będą o to wszczynali gwałt w Genewie lub Hadze, a tymczasem grozi niebezpieczeństwo, że Niemcy zareagują na to inną, najodpowiedniejszą dla ich usposobienia obecnego, a najniebezpieczniejszą dla Litwy bronią – bojkotem celnym towarów eksportu litewskiego.

Przejazdem z Wilna do swego folwarku na Żmudzi bawił dziś w Kownie dr Adolf Narkiewicz. Przywiózł mi on numer „Kuriera Wileńskiego” (organu piłsudczyków-demokratów w Wilnie) z artykułem wstępnym redaktora Okulicza (pseudonim „Testis”) pod nazwą „Echa Przeszłości”, w którym czyni zastrzeżenia i poniekąd polemizuje z moimi

twierdzeniami w wywiadzie ze mną, dokonanym przez Bičiunasa i ogłoszonym w organie „Związku Strzelców“ („Šaulių Sąjungą”) – „Trimitas”. Polemika nie jest zbyt ostra i bolesna, ale jest parę niemiłych dla mnie zwrotów, dla których zamierzam napisać z Bohdaniszek list do redakcji „Kuriera Wileńskiego”.

1 lipca, rok 1933, sobota

Układam notatki do moich wykładów na kursach dziennikarskich w poniedziałek i wtorek.

Przyjechała Marysia Stefanowa Römerowa. Była u męża w szpitalu i cieszy się, że trochę jest przytomniejszy i żywszy. Ale daleko mu jeszcze do zupełnego odzyskania świadomości i władz umysłowych.

Z Bohdaniszek przyjechała moja ochmistrzyni Anna Kiesilysówna, jako członkini Związku Strzelców na zjazd. W mundurku strzeleckim dobrze wygląda.

2 lipca, rok 1933, niedziela

Znowu pracowałem pilnie nad układaniem notatek do moich wykładów jutrzejszych i pojutrzejszych na kursach dziennikarskich. Zajmuje mi to dużo drogiego czasu, którego bym potrzebował na inne zajęcia przed wyjazdem na wakacje.

3 lipca, rok 1933, poniedziałek

Kursy dziennikarskie literata Kazimierza Binkisa, które on w tym roku założył i prowadził, są nie bezpośrednie, lecz prowadzone przez korespondencję. Właściwie Binkis wydaje krótkie treściwe broszury czy książeczki, dotyczące różnych użytecznych wiadomości dziennikarstwa i rozsyła je tym, co się na kursy zapisali. A zapisało się niezwykle dużo; jeżeli się nie mylę – do 800. Całość tych książeczek Binkisa ogarnia i wyczerpuje cały program kursów. Jest to więc rodzaj prenumeraty, zapewnionej z góry na pewien cykl książeczek, które układa poniekąd on sam, poniekąd zaś jego współpracownicy. Na zakończenie kursów Binkis w porozumieniu ze Związkiem Dziennikarzy i pod patronatem prezesa tegoż Związku – dr Puryckiego – zarządził tzw. „tydzień dziennikarski” i zjazd uczestników kursów do Kowna. Zjechało się ich sporo z prowincji. Są to dziennikarze prowincjonalni, korespondenci pism, reporterzy itd. Na zjeździe odbywają się odczyty, po obiedzie zaś wycieczki zbiorowe, zwiedzanie zabytków itd. Zjazd otwarty został dziś rano po godz. 9 rano w sali I gmachu uniwersyteckiego. Na otwarcie przybył minister oświaty Šakenis, który też wygłosił przemówienie o zadaniach dziennikarstwa litewskiego i potrzebach oświatowych państwa. Na godz. 11 rano wyznaczony był mój wykład o zagadnieniach państwowych, związanych z faszyzmem włoskim i sowietyzmem. Odczyt mój zajął dwie godziny z przerwą dziesięciominutową. Była to część pierwsza, część zaś druga nastąpi jutro rano. Nie wiem, czy mój wykład nie był zbyt akademicki, to znaczy zbyt głęboki i naukowy dla słuchaczy. Popularyzacja nie jest moją specjalnością.

Po obiedzie mieliśmy drugą naradę u Prezydenta Rzeczypospolitej w przedmiocie projektu ustawy o Ssdzie statutowym dla Kłajpedy. Wszystkie wątpliwości, które przeszłą razą Prezydent miał co do niektórych przepisów tego projektu, obecnie już prysły. Prezes ministrów Tubelis znów podnosił zastrzeżenie o tym, czy wydanie tej ustawy jest na czasie i czy nie zaszkodzi ona raczej, niż by się na coś przydała, ale Prezydent Smetona bardzo kategorycznie wypowiada się na rzecz ustawy i jest zupełnie zdecydowany ją przyjąć.

4 lipca, rok 1933, wtorek

Rano dokończyłem dziś wykładu, rozpoczętego wczoraj na kursach dziennikarskich Binkisa. Dziś już ściślej rozejrzałem na tym wykładzie ustrój faszystowski i ustrój sowiecki. Okazało się, ze te wykłady moje zainteresowały wielce słuchaczy. Dziś audytorium już było

znacznie liczniejsze, niż wczoraj. Od słuchaczy otrzymałem listownie prośbę ogłoszenia moich wykładów w druku, aby umożliwić lepsze skorzystanie z tychże. O to samo prosił mię organizator kursów Binkis, któremu przyrzekałem ułożyć i przesłać z Bohdaniszek rękopis dla wydania odpowiedniej książeczki z cyklu kursów dziennikarskich. Po skończonych wykładach moich, które dziś zajęły koło trzech godzin, Binkis mi dziękował publicznie, podczas gdy słuchacze oklaskiwali.

Cały dzień, jako ostatni przed wyjazdem do Bohdaniszek, spędziłem bardzo pracowicie. Nadpłacałem na weksle z pożyczki mojej w Banku Litewskim, tamże opłacałem ratę kupna placu na Fredzie i podatki. Po obiedzie miałem ostatnie przed wakacjami posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich i komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Projekt statutu Towarzystwa, zakładanego dla utrzymania szkoły, już gotów i zostanie w tym miesiącu zgłoszony do zarejestrowania u naczelnika powiatu. Projekt zaś statutu samej szkoły, który ulega zatwierdzeniu ministra oświaty, będzie ukończony dopiero we wrześniu.

Wreszcie koło ósmej wieczorem zostałem jeszcze wezwany do Rady Stanu, gdzie chodziło o decyzję co do pewnych zaprojektowanych przez Šilinga modyfikacji w projekcie ustawy o sądzie statutowym kłajpedzkim.

5 lipca, rok 1933, środa

Wreszcie wyjeżdżam na wakacje do Bohdaniszek. Wyjechałem pociągiem pośpiesznym o godz. 11 rano ze służącą Verutią, która już od nas odchodzi. Jazda tym pociągiem jest dość wygodna, tylko że nie ma wagonu bezpośredniego do Abel i przeto w Radziwiliszkach trzeba przesiadać na ekspres Berlin-Moskwa. Ekspresem tym jechałem w wagonie restauracyjnym. W Poniewieżu wpadł do mnie Józef Stawski z prośbą o udzielenie pewnej rekomendacji dla jego żony Marysi, ofiarowując mi za to duży kosz świeżych flansów kwiatowych ze swego ogrodu. Potem do wagonu restauracyjnego przyszli pp. Rosenowie, wracający do Gaczan z Poniewieża. W Abelach na stacji spotkała mię Jadzia wraz ze Stenią. W Bohdaniszkach czekała mię Marynia, poruszona wiadomością o chorobie syna, Stefana Römera.

6 lipca, rok 1933, czwartek

Znów jestem wśród moich ukochanych widoków, wśród moich drzewek, które podrastają i cieszą moje oko. Jadźka bardzo ładnie mi urządziła gabinet na górze, w którym chętnie pracować będę.

Sinica mi muruje most betonowy do podjazdu pod dom, Galvelis znów dorabia meble. Poznałem moich sezonowych robotników Żydów i Żydówki. Popłyną mi tu dni równo i spokojnie.

7 lipca, rok 1933, piątek

Jadzia z jedną z robotnic Żydówek pojechała do Rakiszek po zakupy produktów tygodniowych dla Żydów. Kupiła też w Rakiszkach na rynku parę prosiąt. Ja czas skracałem do obiadu pracą, po obiedzie – obchodzeniem gospodarki i spacerem. U Stefana Mieczkowskiego byłem w gościnie na rakach, które Andrzej łapał w nocy w jeziorze kumszańskim. Jezioro kumszańskie, nieduże, sławi się rakami. Jest tam ich niezliczona ilość, ale łowią je bez żadnego systemu, toteż przeważnie raki są nieduże. Elwira, która po reformie agrarnej przywłaszczyła te jezioro, porzucone przez nas na los szczęścia, ma dziś z tego jeziora pożytek. Właściwie przywłaszczyła je ona prawem kaduka – tyle, że oddawała w dzierżawę i używała, co zresztą i każdy inny z nas mógł robić, a gdy potem nowe poprawki do reformy agrarnej, wydane przez rząd obecny, zwróciły jeziora właścicielom, ona jęła twierdzić, że jezioro do niej jednej należy, bo ona jedna zeń korzystała, kiedyśmy je jako wywłaszczone porzucili i nie chcieli się do niego przyznawać, aby sched naszych w wykazie

przestrzeni nie powiększać. My z Marynią daliśmy za wygraną, choć właściwie ustawa przywróciła własność nas wszystkich.

Moi robotnicy Żydzi, których mam teraz czterech – dwóch Żydów i dwie Żydowki (spodziewamy się jeszcze jednej Żydówki) – są zebrani z różnych stron: jeden jest z Mariampola, drugi – z Olity, jedna Żydowka – z Kiejdan, druga – z Jurborka. Pracują nieźle, choć ustępują trochę robotnikom chrześcijanom. Jedna z dwóch Żydówek jest zajęta stale gotowaniem, bo mają oni kuchnię autonomiczną, a nawet naczynia osobne.

8 lipca, rok 1933, sobota

Dziś wreszcie po obiedzie – gorący i prawdziwie letni dzień. Upał.

Wiadomość, że w Bohdaniszkach u mnie pracują jako sezonowi robotnicy rolni Żydzi, rozeszła się piorunem po całym żydostwie okolicznym. Żydzi w Rakiszkach, w Abelach, w Kurkleciach – są poruszeni i żywo się interesują tymi rodakami na roli. Dziś w szabas młodzież żydowska z Abel w ilości do 10 panienek i młodych chłopców przyszła pieszo odwiedzić moich robotników i bawiła u nich w gościnie do późnego wieczora. Na moich robotników i robotnice Żydzi miasteczkowi patrzą jak na bohaterów i świadczą im gorącą sympatię.

9 lipca, rok 1933, niedziela

Niedziela. Upał. Ani jednej chmurki na niebie. Lekki wietrzyk, który ślicznie suszy. Moi Żydzi pracują. Ten robotnik w niedzielę – to jest jedna z największych dogodności robotników sezonowych żydowskich. W gorący czas roboczy bezczynna niedziela bywa wprost klęską dla gospodarstwa. Tu pogoda piękna, suszy, w polu dużo nakoszonego siana lub zboża, ale tabu... niedziela. Za to biedny ekonom ma podwójne harowanie. Dla niego w takim razie nie ma ani szabasu żydowskiego, bo wtedy pracują robotnicy chrześcijanie, ani niedzieli chrześcijańskiej, bo pracują robotnicy Żydzi. Toteż cały dzień ekonom był przy Żydach, którzy roztrząsali i suszyli siano w pokosach pod Gajem. Praca ta dla nieobeznanych z nią Żydów okazała się trudna. Tylko starszy Żyd Szlejma z Mariampola, który zna się na robotach rolnych, bo ojciec jego ma ziemię własną, umiał przewracać siano. Żyd Mowszuk, z zawodu „kapelusznik“, i mała wesoła Żydóweczka Ester z Kiejdan nie umieli sobie dać rady: roztrząsali siano, ale nie obracali je systematycznie pod słońce i pod wiatr stroną mokrą, jeno kręcili nim w kółko. Ekonom się irytował, ale Ester śpiewała i tym ujmowała srogość ekonoma.

Byłem w starym domu na rakach, które Andrzej znowu w nocy nałapał buczem. Większe raki chłopcy powybierali i powieźli do Abel na sprzedaż (setkę sztuk), mniejsze zaś – koło 300 sztuk – ugotowano. Dużo jest raków liniejących, które są miękkie jak żaby i zdychają zaraz. Te się nie nadają do jedzenia. Tak późne linienie raków w tym roku jest nienormalne.

Michaś Mieczkowski pojechał do Abel po warsztat stolarski, który dla niego kupuję. Jest uszczęśliwiony, bo robotę stolarską lubi i zna się na niej. Warsztat jest używany, kosztuje 30 litów.

10 lipca, rok 1933, poniedziałek

Rano pojechaliśmy z Jadźką do Abel na pocztę. Ja jechałem linijką, Jadzia – konno na Dubisie. Wróciliśmy wcześnie, ale ta wycieczka wystarczyła zupełnie na opalenie gwałtowne mojej skóry na twarzy, plecach i piersiach, jechałem bowiem w koszuli letniej z kołnierzem odkładanym, głęboko dekoltującym mię z przodu, a przy ściąganiu się koszuli – i z tyłu. Upał był znowu szalony, jak oto od dni czterech. Na niebie żadnej chmurki, powietrze – rozgrzane – aż drga od gorąca. W polu robotnicy moi zajęci sianokosem. Jedni koszą łąki, inni suszą siano, inni zwożą je do odryny. Zaraz trzeba się do koniczyny zabierać, a już i żyto bieleje.

W tym roku siostry moje – Elwira i Marynia – obie mają mężów. Elwira doczekała się wreszcie powrotu swego Stefana, który już od roku 1926 był wyjechał, Marynia zdobyła sobie męża w osobie Justyna Budkiewicza. Obaj mężowie są diametralnie różni i w obydwóch rodzinach stosunek małżeński jest zupełnie inny. U Mieczkowskich jest ciągła kłótnia i panuje usposobienie ponure. Stefan jest bez humoru, niecierpliwy, zniechęcony, oddziaływa na całe otoczenie przygnębiająco. Gospodarstwo ciężko idzie, nie ma na nic cen, gotówki – brak, rolnik jest obezwładniony, nie ma inicjatywy, nic począć nie może, na wszystkie strony czekają wypłaty, a pieniędzy nie ma. Chciałby Stefan jakiegoś ujścia dla swej energii, chciałby mieć jakieś zajęcie, jakiś interes zarobkowy do przeprowadzenia, ale nic się nie trafia. A tu i o kształceniu dzieci myśleć trzeba, Andrzej domaga się uniwersytetu, Michasia przez gimnazjum przepychać trzeba. Helcia stała się już panną na wydaniu, a o dobrego męża niełatwo, szczególnie gdy się ogranicza wybór do Polaków. Między Stefanem i Elwirą – wieczna wojna. Powtarza się kubek w kubek to samo, co było przed laty 10 i 8. I wtedy przed rokiem 1924, gdy Stefana Mieczkowskiego nie było, Elwira tęskniła do niego i czekała gorąco jego przyjazdu, niecierpliwiła się i wzywała go. Gdy zaś przyjechał w roku 1924 i bawił do 1926 – w domu była wieczna kłótnia i wymyślanie. Ale gdy wyjechał i nie wracał dotąd – znów Elwira się niecierpliwiła, wzywała go i spodziewała się, że z chwilą jego powrotu wszystko pójdzie dobrze. Przyjechał – i znowu jest piekło w domu. Teraz już i Elwira jest dla niego twarda, a on ją łaje ordynarnie (co prawda – nie przy mnie).

Natomiast u Maryni z mężem, choć interesy są kiepskie i materialnie jest upadek wielki – usposobienie jest słodkie. Justyn Budkiewicz jest istotnie bardzo poczciwy, cichy i dobry człowieczek, pracowity i skromny, nikomu wody nie zamąci, Marynię szanuje i dobry jest dla niej. W ogóle to zacność chodząca – grzeczny, cichy, łagodny i pracowity.

11 lipca, rok 1933, wtorek

Z rana taki sam upał, jak dni poprzednich. Na niebie żadnej chmurki. Od dziś wziąłem jednego robotnika – najlepszego parobka Tumėnasa – do Gaju. Chcę znowu oczyścić Gaj z nadmiernego przerostu chrustu, jak przed laty dziesięciu, a miejscami przerzedzić zbyt gęsto wyrastający młodniak. Chrust, który się z tego utworzy, częściowo sam użyję, częściowo zaś sprzedam. Lubię bardzo tę robotę i chętnie bym sam się jej przypatrywał, dłubiąc się przy tym z piłką ręczną, gdyby nie odstraszały mię od tego komary. Jest to sam ich sezon, a wilgotny Gaj sprzyja ich rozmnażaniu się. Toteż roi się w Gaju od tych nieznośnych owadów. Dla mnie są one plagą, bo rzucają się i piją krew moją jak żadne inne. Widocznie ludzie czy raczej krew ludzka ma pewne właściwości indywidualne, które się jednym owadom podobają, innym – nie. Na przykład pchły – mnie nie ruszają nigdy. Moja siostra Elwira jest stale przez pchły opanowana i wiecznie stacza z nimi boje. Mnie się pchły nie czepiają; w ogóle nie czuję ich ukąszenia, a gdybym był nawet w największym ich gnieździe – nie trzymają się one mego ciała i równie prędko mię opuszczają, jak prędko na razie się znajdą. Natomiast na ukąszenie komarów jestem niezmiernie wrażliwy: zaraz tworzą się w miejscu ukąszenia białe bąbelki twarde, które potem długo swędzą, rozraniają się i długo nie goją. Elwira zaś ukąszenia komarów nie lęka się. Dwukrotnie tylko dłużej w Gaju pobyłem, a już mam całą skórę na rękach i całe nogi u dołu boleśnie nakąsane i poranione.

W gospodarstwie moim – wózka siana forsowna. Po południu zbliżała się burza, chmury czarne zaczęły się podnosić z krańców północno-zachodnich horyzontu, błyskawice i grzmot już dawały znać o sobie. Ale chmury potem się rozeszły i burza się ulotniła. Trochę na wieczór temperatura zelżała, a pogoda się umocniła. Śliczny czas. Biednych moich Żydów robota w polu w taki upał wielce męczy. Pracują jednak wytrwale, choć przebąkują czasem o tym, że oni przecie się uczą robót rolnych, przeto należy się im większa względność. Trochę też mają za złe ekonomowi i ludziom miejscowym, że ich wciąż Żydami nazywają i że ekonom ich pracę kwalifikuje czasem jako „żydowską“, co w jego ustach ma odcień

pogardliwy rzeczy kiepskiej, pozbawionej wartości, a przynajmniej pośledniejszej. W istocie ci Żydzi podobają mi się. Są oni bądź co bądź ideowi i mają hart oraz dyscyplinę swoją.

12 lipca, rok 1933, środa

Całe moje siano, które było nakoszone, już zwieziono bez kropli dżdżu. Ogółem, zdaje się, 29 wozów parokonnych. Zostaje jeszcze parę łoneczek leśnych i rowy gdzieniegdzie do skoszenia. Zaczęto dziś kosić koniczynę, a Żydzi orzą ugór. Tumėnas zaś trzebi mi zarośla w Gaju. Kilkakrotnie wypadał dziś obfity deszcz. Temperatura znacznie ochłodła w porównaniu do upałów poprzednich, ale na ogół powietrze jest ciepłe i miękkie. Wieczorem – burza.

13 lipca, rok 1933, czwartek

Marynia miała list od synowej – od Marysi Stefanowej Römerowej. Pisze, że Stefan ma się znacznie lepiej, że dużo więcej rozumie, że zdaje sobie sprawę ze swego stanu, że przeto jest nadzieja, że wróci do zdrowia psychicznego i nie pozostanie wcale „idiotą“, jak się wyraziła raz Marynia. Leży teraz Stefan w pokoju sam jeden, toteż i Marysia, która przyjechała doń z Szaszewicz, ma nocować u niego w szpitalu. Ogółem dano mu dotąd jeno sześć wstrzykiwań, pozostaje zaś 18, więc kuracja jest dopiero w początku, a skutek przecie już jest. Zapytuje Marysia, czy ja bym się nie zgodził na to, aby Stefan na czas dalszej kuracji zamieszkał choćby w jednym pokoju w mieszkaniu moim. Jadzia jednak jest temu stanowczo przeciwna, bo się pomimo wszelkie perswazje boi zaraźliwości choroby Stefana i brzydzi tą chorobą. Zresztą wątpię, aby coś na tym pod względem oszczędności zyskała. Niech lepiej kończy leczenie w szpitalu.

Zresztą zapewnienia Marysi o postępach w stanie zdrowia Stefana muszą być brane z rezerwą. Marysia stara się osłaniać Stefana i bagatelizować jego stan zdrowia, przynajmniej wobec ludzi. Robi to tym bardziej, im więcej sama na tym cierpi. Chodzi jej o to, aby ludzie się nie brzydzili Stefanem i aby w ogóle choroba jego miała jak najmniej rozgłosu. Dlatego wobec ludzi i nawet rodziny nadrabia miną i stara się okazać niefrasobliwą, budząc optymizm i bagatelizując stan rzeczy. Jednak trzeba przyznać, że Marysia przedziwnie kocha Stefana. Co do Steniulki, która bawi w Bohdaniszkach u babci i doskonale się tu czuje, używając swobody na swój sposób i rosnąc sobie jak dziczka w swoich fantazjach samotnych, to nic ona o chorobie ojca nie wie.

Dziś Elwira po raz pierwszy mi wspomniała o zalokowaniu Andrzeja na zimę u mnie w Kownie. Że się Mieczkowscy zdecydowali na Uniwersytet Kowieński dla Andrzeja – to już wiedziałem. Zresztą nie mają innego wyjścia w tym obecnym stanie kryzysu gospodarczego. Andrzej zastąpi u mnie Mackusa. Dam mu do nauki pokój jadalny, spać zaś będzie w pokoju okrągłym bez okien – za parawanem. Zobaczymy, jaki będzie Andrzej w pożyciu domowym. Jest dość niemrawy i banalny, pozbawiony głębszych ideałów i porywów, jakiś przybity i połowiczny. Nie jest to typ, któryby mi się bardzo podobał. Innym go sobie wyobrażałem za czasów jego dzieciństwa. Wolę już od niego jego brata Michasia, bardziej bezpośredniego i kanciastego. Andrzej też choruje na paniczyka, nosi się z wysoka, nie „pospolituje się“ w kontakcie z ludźmi warstwy „niższej“. Albo jest rzeczywiście dumny i uważa siebie za coś wyższego pod względem rasy, albo też jest nieśmiały i ta nieśmiałość nadaje mu pozory dumnego i wynoszącego się nad innych.

14 lipca, rok 1933, piątek

Dzień znowu chłodniejszy i skłonny do deszczu. Zresztą do obiadu deszczu prawie że nie było. Jeździliśmy z Jadzią do Abel na pocztę po pieniądze, które miałem otrzymać z Banku Polskiego na opłacenie raty długu Maryni w Państwowej Kasie Oszczędnościowej w kwocie 600 litów. Jest to pierwsza rata tej dużej pożyczki, wynoszącej 10 000 litów, której spłatę wziąłem na siebie i uskuteczniam w drodze potrącania co miesiąc z pensji mojej.

Jechaliśmy do Abel parą koni kasztanów – Dubisą i Dragonem – dobrze dobranych maścią, biegiem i temperamentem, w bryczce żółtej. Jadzia siedziała na koźle i sama powoziła. Była to więc jazda sportowa, amatorska. Bardzo miła.

Po obiedzie rozdżdżyło się na dobre.

Sinica ukończył budowę jednego mostu podjazdowego na rowie przez trawnik i zabrał się do budowy schodów wejściowych do oficyny, których będzie dwoje – po dwóch końcach korytarza, przecinającego oficynę.

Robotnicy Żydzi, Szlejma i Mowsza, oczyścili w ciągu dnia wczorajszego i dzisiejszego kanał do ścieku wody z sadzawki kąpielowej na łąki i spuścili prawie całą resztę wody z tej sadzawki, przygotowanej do szlamowania. Pozostała już tylko w samym dołku środkowym płynna górna warstwa szlamu, ale tafli wodnej już nie ma. Chciałbym, żeby szlamowanie sadzawki odbyło się, a przynajmniej było zaczęte przy mnie w czasie wakacji, choć zapewne przed zimą wszystko się nie wyszlamuje, a nawet nie wyschnie całkowicie.

15 lipca, rok 1933, sobota

W nocy był lekki deszcz, za to dzień, choć pochmurny, upłynął bez deszczu. Jednak powietrze nie było suche, na koniczynę susząco nie działało. Leży ona w pokosach tymczasem, zresztą znaczna jej część, całe pole karwieliskie za gościńcem, nie koszone. Tymczasem bardzo bieleje już żyto, szczególnie moje na pagórkach pod Gajem przy drodze karwieliskiej. Zapewne za jakieś dni dziesięć – po przeskoczeniu następnego tygodnia – zaczną się żniwa. W Gaju Tumėnas ładnie oczyszcza las z zarośli leszczyny, białej olchy, jarzębiny, czeremchy, wierzby itd. Szczególnie zyskuje na tym młodniak, który te zarośla zagłuszają.

U moich Żydów znów szabas. Znowu odwiedziła ich wycieczka młodzieży żydowskiej z Abel, tym razem jeszcze liczniejsza, niż przed tygodniem. Żydzi mają w sobie instynkt stadny o wiele bardziej rozwinięty, niż my Aryjczycy. Niech gdzieś się nowy Żyd znajdzie – a już do niego Żydzi z okolicy ciągną. W tym zaś wypadku nowinkę szczególną stanowi fakt, że w Bohdaniszkach Żydzi są robotnikami rolnymi, którzy z pobudek ideowych uczą się praktycznie rolnictwa jako podstawy kolonizacyjnej Palestyny. Akcja emigracyjna palestyńska, oparta na wyszkoleniu rolnym emigrantów, jest akcją nie syjonistów, lecz ortodoksów, którzy do niedawna byli oporni na syjonistyczną ideę emigracyjną. Na młodych praktykantów rolnych Żydów lokalne małomiasteczkowe elementy żydowskie patrzą z zachwytem i szacunkiem, jak na bohaterów. Co do samych robotników Żydów – to mężczyźni są dzielni i pracują na ogół dobrze i starają się, wszakże Żydówki, zwłaszcza chuda Chana z Jurborka, są do niczego: wymawiają się, targują o pracę, nie mają sił, więcej się dłubią, niż robią.

16 lipca, rok 1933, niedziela

I w Bohdaniszkach nie zaniedbuję mojej pracy zawodowej. Układam program wykładów, raczej zapiski do nich, dla ekonomistów III-IV semestrów, zaraz też się zabiorę do ułożenia skrótu całkowitego kursu prawa konstytucyjnego z uwzględnieniem historii konstytucyjnej Litwy Niepodległej – dla wykładów na Wyższych Kursach Sztabu Generalnego. Redaguję tekst wygłoszonych przeze mnie wykładów na kursach dziennikarskich Kazimierza Binkisa, który ma być wydany w osobnej książeczce. Układam też w postaci listu do redakcji osobny artykuł do „Kuriera Wileńskiego" w odpowiedzi na artykuł Okulicza (pseudonim: Testis), dotyczący mojej osoby. Ułożę też tutaj przez wakacje mój odczyt naukowy rektorski na akt immatrykulacji i mowę rektorską inauguracyjną. Poza tym – różne jeszcze inne drobiazgi.

17 lipca, rok 1933, poniedziałek

Rano o siódmej była lekka burza. To znak nieomylny, że tegoż dnia po południu będzie deszcz i powtórzy się burza. Jakoż zaraz po obiedzie, gdy ekonom wyprowadził na górę za gumno robotników wiązać koniczynę w kupki, z zachodu niebo zaciągnęły niskie czarne chmury. Niebawem polał deszcz, przechodzący w coraz gwałtowniejszą ulewę. Zrobiło się ciemno jak wieczorem o późnym zmroku. Zaczęło błyskać i grzmieć. Niebawem już szalała gwałtowna burza z wichrem i taką ulewą, co to leje literalnie jak z wiadra. Burza okrążyła Bohdaniszki i oddaliła się dwoma ramionami – na Łotwę i na Dusiatczyznę. Zostawiła po sobie dwa pożary na widnokręgu, jeden – w Mełduciach, drugi – gdzieś na Zajeziorze abelskie. Ulewa trwała przeszło godzinę i była gwałtowna jak rzadko; łąki i rowy w kierunku na Kumsze – stanęły pod wodą, sadzawki we dworze napełniły się po brzegi i przerwały tamy na rowach odpływowych, któreyi z szumem, jak potok wiosenny, woda spływać zaczęła z jednej do drugiej aż w dół do kąpielowej, która była spuszczona i znów się napełniła mocno wodą. Powietrze ochłodło, a potem wieczorem po błotkach, kałużach i sadzaweczkach polnych rozległ się piękny koncert rechotu żab, jeden z najdźwięczniejszych i zarazem najdzikszych hymnów natury, najstarszy bodaj ze wszystkich tonów, jakimi przemawia nasza fauna, aczkolwiek już przygłuszony, będący li tylko nikłym echem potężnego chóru płazów i ziemnowodów sprzed setek tysięcy lat.

Jadzia jeździła do Rakiszek po zakupy produktów dla naszych Żydów. Nie udało się. Przywiozła mięso koszerne, aż w tym, gdy je wniesiono do kuchni, okazało się, że jest zawinięte razem ze słoniną, którą sobie zakupił stolarz Galvelis. W kuchni była właśnie jedna z robotnic Żydówek, Chana, która ujrzała to świętokradzkie sąsiedztwo i podniosła alarm. Mięso koszerne na nic – „strefione“, splugawione – przez nieczyste dotknięcie świniny. Nasi Żydzi, jako też towarzystwo żydowskie, które Żydów robotników rolnych na praktykę wysyła, są to kategoryczni ortodoksi, trzymający się święcie i ślepo przepisów rytuału. Nie przeszkadza to im kochać się „trefnie“ i w szabas wysypiać się parkami – Żyd z Żydówką – w łóżku, jak ich znaleziono w ten ostatni szabas, gdy do nich przywędrowała wycieczka Żydów z Abel i gdy lokaj Kazimierz wprowadził gości do pokoju panienek Żydówek: Chana i Ester wysypiały się słodko w objęciach Szlejmy i Mausziuka.

18 lipca, rok 1933, wtorek

Wczoraj miałem list od Kotuni Pruszanowskiej ze Wsielubia.

Zawiadamia, że Henryś Wołłowicz zgodził się na propozycje Elizki Komorowskiej odkupienia przez nią jego udziału w naszej wspólnej kamienicy wileńskiej ze spadku śp. Maryli O‘Rourke. W zasadzie Henryś akceptuje warunki Elizki, czyniąc jeno parę drobnych poprawek. Warunki te są bardzo dogodne dla Elizki. Przyjęłaby ona na siebie opłatę reszty podatku spadkowego Henrysia i jego części długu, zaciągniętego u rządcy p. Januszewskiego – obie te pozycje będą opłacone z dochodów bieżących, poza tym spłaciłaby długi Henrysia mnie (4000 złotych) i Maryni (2704 zł.) i umorzyłaby dług Henrysia sobie, to znaczy Elizce (2980 zł.), i dopłaciłaby Henrysiowi 6000 złotych gotówką. Ogółem więc Elizka by nabyła schedę Henrysia za niespełna 20 000 złotych, a gotówką wydałaby ona na to kupno jeszcze mniej, bo tylko 12 704 zł. a z procentami mnie i Maryni od 13 000 do 14 000 zł. To znaczy, że z posiadanej przez Elizkę, raczej przez Litkę, gotówki ze sprzedaży zeszłorocznej Kiereż zostałoby im jeszcze w ręku koło 10 000 złotych czy litów, co prawie na jedno wychodzi. Mnie też, a zwłaszcza Maryni bardzo by się uśmiechała doraźna spłata długu Henrysia. Z należnych mnie z tego tytułu 4000 złotych – po 1000 złotych darowałem z góry Elizce Tanajewskiej i Stefanowi Römerowi; Stefanowi będzie to teraz bardzo na rękę w chorobie. Marynię te 2700 złotych dźwignęłyby chwilowo na nogi, bo długi ją literalnie zjadają. Elwira z Marynią jadą do Elizki szturmować ją o decydowanie się na kupno. Zachodzi bowiem obawa, że Elizka zamiast schedy Henrysia na kamienicy w Wilnie wybierze kupno małej kamieniczki w Kownie gdzieś na przedmieściu w okolicy VII fortu. Zitka i Litka, dla których

właśnie to „coś" się kupuje, wracają wciąż do kamieniczki kowieńskiej. Że im dogodniej będzie siedzieć i mieć zarobek w Kownie – temu się nie dziwię, ależ ta kamieniczka na kresach Kowna – to do niczego. Da Bóg, że Elizka zdecyduje się na kamienicę w Wilnie: ona sama by to bez wahania wybrała, tylko że córki ją odciągają.

Miałem dziś kilka listów z Kowna. Był też list od Marysi Stefanowej Römerowej do Maryni. Po paru listach optymistycznych ten jest znów pesymistyczny. Stefan wprawdzie rychło wrócił do przytomności, ale dalej postępów na lepsze nie ma. Stefan jest przytomny, rozumie, poznaje ludzi, ale umysł jest osłabiony i szczególnie pamięci nie ma. Nie pamięta np. jak ja się nazywam, nie pamięta nazw Bohdaniszek, Rakiszek, mówi też nadal z trudnością, plącząc jakieś niezrozumiałe wyrazy. Ogromną część listu Marysia poświęca wyrzekaniu na Boga, w którego nie wierzy i nie chce wierzyć ani nawrócić, buntując się przeciwko różnym niesprawiedliościom tego świata. Zresztą całe to rozważanie teologiczne w odpowiedzi na zalecenie Maryni zwrócenia się do Boga – są bardzo płytkie. Płytkie też, choć złośliwe, są w jej liście drobne ukąszenia Maryni albo mnie. Nie jest ona wobec mnie wdzięczna wcale, przeciwnie – w najgłębszej głębi buntuje się, drażni ją to, że ja mam się dobrze, podczas gdy ona ze Stefanem ma źle. Wyszukuje we mnie niedbalstwo i chłód, czepia się mojej rzekomej obojętności względem mego kolegi Viollier, którego nawet nie zna i o którym nic nie wie. Nie zna Marysia i nie rozumie mego idealizmu, moich ofiar względem Litwy, całej mojej przeszłości i historii stosunku mego do Litwy, a moje obecne powodzenie życiowe, które jest li tylko prostą konsekwencją mego do Litwy stosunku i wszystkiego, co dla Niej wycierpiałem i z siebie dałem i daję, uważa po prostu za jakąś swawolę szczęśliwego losu. Nie jest to kobieta dobra i miękka, kobieta wczuwająca się głęboko. Choć miłość jej dla Stefana jest rzeczywiście wielka i niepospolita, jednak tkwi w Marysi zawsze ta sama drobnoszlachetka, ta sama „pandziulka" z Bobt, ciemna, zajadła, ślepa w swoich niechęciach, małostkowa i pospolita.

19 lipca, rok 1933, środa

Dziś kryzys żydowski u mnie. Zbuntowała się jedna z praktykantek Żydówek – panna Chana z Jurborka. Jest to w ogóle osoba cierpka, obraźliwa, o byle co się targująca, skłonna zawsze do płaczu i żalów, w istocie – histeryczka typowa. Do roboty jest mało zdatna, pieści się, cacka, na każdą uwagę ma tysiące odpowiedzi, wykrętów, zastrzeżeń itd. Jest nieznośna. Zagniewała się na uczynioną jej przez Jadzię uwagę o tym, że późno wychodzi z rana na robotę, a gdy potem Jadzia przy pleciu i okopywaniu buraków, którymi Chana wraz z kilku robotnicami Litwinkami była zajęta, pomusztrowała ją, że nie tak robi, jak trzeba, obraziła się, odeszła od roboty, zaczęła płakać i głosić, że wychodzi. Próbowała podejść do mnie i roztoczyć mi swe żale, ale ją ofukałem, co ją jeszcze bardziej obraziło, aż jej twarz przekosiło histerią ze złości. Zbuntowała też wnet Esterę, dobrą prostą dziewczynę, pogodną i wesołego usposobienia, ale naturalnie solidarną ze swą towarzyszką. Ta oświadczyła, że też wyjdzie, jeżeli wyjdzie Chana i oczywiście bez Żydówek, które im gotują jeść, opierają i prowadzą gospodarstwo, nie mogą też pozostać i Żydzi mężczyzni, ponieważ są to ortodoksi, którzy muszą mieć wszystko rytualne. Zaraz też Chana i Ester zaczęły biegać do Szlejmy i Mauszuka, snując między ogrodami i polem, gdzie ci chłopcy pracowali. Rozpoczęła się cicha pokątna agitacja między Żydami, której wszakże najodporniejszy okazał się Mauszuk, miły zręczny chłopak o oczach dziewczęcych i słodkich. Chciano, zdaje się, doprowadzić do tego, żebyśmy przepraszali histeryczkę Chanę, wściekłą ze złości. Nie, tego triumfu jej nie dam. Raczej niech wyjdą wszyscy, jeżeli inaczej być nie może. Po obiedzie zawołałem Szlejmę. Ujmował się on gorąco za Chaną, bronił i usiłował dowodzić jakichś krzywd, zastrzegał, że jeżeli Chana wyjdzie, to oni wszyscy będą musieli wyjść, ale ostatecznie wałkował tylko drobiazgi. Skończyło się na tym, że będę próbować zaradzić sytuacji, zatrzymać Chanę. Co się tam potem między nimi stało – nie wiem. Chana przecież ulotniła

się. Słychać, że wyszła do Abel. Szlejma i Mowsza pracowali, Ester gotowała im kolację. Co będzie dalej – zobaczymy.

Elwira i Marynia pojechały dziś do Elizki do Kowaliszek kuć żelazo, póki gorące, to znaczy zachęcać ją do kupna schedy Henrysia Wołłowicza w kamienicy wileńskiej.

20 lipca, rok 1933, czwartek

Kryzys moich „chałuców“ (tak są z żydowska nazywani praktykanci czy robotnicy rolni Żydzi, zorganizowani do wyszkolenia rolnego i do eksportu do Palestyny przez towarzystwo „Hecholuc-Hamizrach“) – trwa. Histeryczka panna Chana, obrażona do żywego, że jej sceny i łzy nie skłoniły nas do przepraszania jej i proszenia o łaskę pozostania, uciekła wczoraj do Abel. Inni pracowali wczoraj do wieczora normalnie. Ale Estera bała się w nocy spać sama jedna w pokoju, wobec czego Szlejma, który się uważa za starszego wśród moich czterech „chałuców“, musiał jej aż do świtu towarzyszyć. Rano Jadzia pojechała do Abel i Szlejma też naprosił się towarzyszyć jej, mówiąc, że będzie musiał się rozmówić telefonicznie z centralą towarzystwa, co mają robić. Ja ze swej strony napisałem także list do zarządu towarzystwa w Kownie, zawiadamiając, że praktykantka Chana wyniosła się i prosząc o przysłanie innej na jej miejsce, a wyrażając zupełne zadowolenie z trzech pozostałych „chałuców“. Mego listu Szlejma jednak nie wysłał, mówiąc, że go stracił, a w istocie chcąc zapewne zatrzymać w swoim ręku monopol stosunków z centralą. Szlejma nie wrócił z Jadzią. Został w Abelach, tłumacząc się, że nie miał jeszcze możności nawiązania rozmowy telefonicznej z centralą. Nie wrócił też do wieczora – ani sam, ani z Chaną. Jadzia widziała go w Abelach konferującego z Chaną. Zapewne ją namawia do powrotu, ona zaś się droży. Mauszuk zaś przez cały dzień najspokojniej i najakuratniej pracował, a Estera dlań gotowała. Jak się ten kryzys dalej rozwinie – zobaczymy. Widzę tylko, że „chałucy“ wcale się nie kwapią z realizowaniem wczorajszej pogróżki odejścia. W szczególności zaś Mauszuk jest widocznie w opozycji do tamtych trojga. Zwierzał się on dyskretnie Jadzi, że Chanę trzeba byłoby przywiązać do drzewa i popędzać dokoła na lince, zakrapiając rózgą, i że Szlejma wcale starszym nie jest, bo nikt tego starszeństwa nie ustanowił. Powiada, że towarzysze jego nie znają dyscypliny, panującej w organizacji i że cała ta awantura nic nie jest warta. Między Mauszukiem i Szlejmą jest widocznie rywalizacja.

Już wczoraj doszły tutaj wieści o katastrofie, jaka spotkała pod Berlinem lotników litewskich Dariusa i Girėnasa, którzy w tych dniach wylecieli w swój dawno zapowiadany lot z Chicago bezpośrednio do Kowna. Przelecieli oni szczęśliwie przez Atlantyk i w locie nad Europą byli już przelecieli przez Berlin, gdy oto w odległości przeszło 100 kilometrów za Berlinem w kierunku granicy litewskiej spotkała ich katastrofa w nocy: w pewnym lasku w Brandeburgii znaleziono szczątki roztrzaskanego samolotu „Lithuanica” i pokaleczone trupy obu lotników. Przyczyny katastrofy jeszcze nie ustalone. Oczywiście, że katastrofa napełniła Litwę żałobą. Tyle się po tym locie spodziewano, tak czekano lotników, tak się zapalono do ich spotkania, tak dumna była Litwa z tego wspaniałego lotu dwóch synów.

21 lipca, rok 1933, piątek

Po południu zajechał do dworu od drogi abelskiej automobil pełny „šaulysów”. Zatoczył się wpierw pod stary dom, ale niebawem stamtąd skierował się w stronę mojego domu. Dwóch starszych „šaulysów”, jeden – naczelnik policji w Abelach, drugi – šaulys, który był na kursach dziennikarskich Binkisa i w pierwszych dniach tego miesiąca na zjeździe tych kursów w Kownie słuchał moich wykładów o faszyzmie i sowietyzmie, przyjechali do mnie prosić mię o wygłoszenie odczytu pojutrze w niedzielę w Abelach na zwołanym przez oddział abelski strzelców zgromadzeniu ludowym na temat „Sytuacja polityczna i Litwa”. Zgromadzenie będzie zwołane ku uczczeniu pamięci tragicznie zmarłych lotników litewskich Dariusa i Girėnasa. Wygłoszenia odczytu regularnego i zwłaszcza na ten temat odmówiłem,

uzasadniając odmowę tym, że polityka nie jest moją specjalnością fachową i że odczyt wymagałby nakładu pracy nieco dłuższego, podczas gdy ja korzystam z wakacji i wypoczywam. Zgodziłem się natomiast wygłosić przemówienie okolicznościowe krótsze na temat śmierci tragicznej lotników, wyjaśniając znaczenie tego lotu i w ogóle zasługę zmarłych lotników dla Litwy. Z wdzięcznością mi podziękowali i odjechali, obiecują przysłać w niedzielę automobil po mnie.

Śliczną mamy znowu od dwóch dni pogodę. Koszono dziś, a po obiedzie zwożono koniczynę. Dużo jest jeszcze koniczyny do koszenia. Nakoszonej wszakże do wożenia jest względnie niemało; całą niemal suchą zwieziono, toteż wozić tymczasem więcej nie można. Ekonom lęka się, żeby zbiórka koniczyny nie utrudniła żniw, które zapewne za tydzień wypadnie rozpocząć, bo żyto bardzo już bieleje.

22 lipca, rok 1933, sobota

Śliczny letni gorący dzień. Suszący i słoneczny, złoty w słońcu i w pięknej naturze. Królestwo zbiorów koniczyny w rolnictwie. Dodatkowo – wożenie nawozu, orka, oborywanie i saletrowanie buraków.

U mnie dzień intensywnej pracy na rzecz odczytu jutrzejszego w Związku Strzelców w Abelach. Odczyt na temat śmierci tragicznej lotników Dariusa i Girėnasa. Temat bogaty i wdzięczny, ale praca wytężona i terminowa nie jest latem przyjemna. Nie chcę, by to było precedensem na przyszłość. Ale tym razem niechaj już sobie! Trzeba choć raz w życiu dać coś z siebie i okolicy własnej. Wszak Abele – to już moja okolica najrdzenniejsza, już prawie tak, jak Bohdaniszki. Będzie to mój debiut spóźniony. Wszędzie w Litwie jestem znany i oceniony jako działacz zasłużony, jeden z wybitniejszych mojego pokolenia. Tylko tu w tych stronach w osobie mojej dominuje nad działaczem zasłużonym ziemianin, dziedzic Bohdaniszek. Niechże mię i z tej strony moje Abele poznają. Odczyt mój wygłoszę z rękopisu. Rękopis udał mi się dobrze, rad zeń jestem. Myśl w nim płynie głęboko i wyraziście.

23 lipca, rok 1933, niedziela

Odbył się w Abelach w sali Związku Strzelców („Šaulių Sąjungos”) mój odczyt na temat śmierci tragicznej lotników litewskich Dariusa i Girėnasa. Na uroczystość tę wziąłem ze sobą z Bohdaniszek Jadzię i moją ochmistrzynię pannę Ańcię Kiesilisównę, która sama należy do „Związku Strzelców” (jest „šaulė”) i jest wielką patriotką Litwinką (ma to już z tradycji dusiackich); Kiesilisówna wybrała się w mundurku strzeleckim, w którym jej bardzo do twarzy. Między godz. pierwszą a drugą po południu zajechał po nas samochód z Abel, w którym siedzieli naczelnik policji kolejowej w Abelach i nauczyciel ludowy z Abel. W ich towarzystwie i z obu pannami bardzo prędko dojechaliśmy samochodem do Abel. Przyjemnie było jechać, bo wietrzyk szybkiego ruchu łagodził upał, a kurz zostawał za nami. W Abelach wprowadzono mię od razu do sali, dużej, ale niskiej, mieszczącej się w barakach, pozostałych z czasów Wielkiej Wojny po Niemczech. Tam na estradzie stał stół niewielki i krzesło dla prelegenta. Odczyt mój wygłosiłem z rękopisu. Choć umiem wygłaszać mowę z rękopisu prawie tak, jak gdybym mówił z pamięci, ale tym razem warunki techniczne utrudniły mi bardzo jej wygłoszenie płynne i wyraziste. Mianowicie dość ciemno było na estradzie, podczas gdy mój rękopis był pisany drobnym pismem, jak mak. Musiałem więc bardzo usilnie wpatrywać się w rękopis i ślęczeć nad nim, nie odrywając odeń wzroku. I to czasem zatracałem wątek i musiałem przystawać lub dokomponowywać słowa. Drugim brakiem było gorąco panujące na sali, a jeszcze straszliwsze na estradzie. Musiałem cały czas poprawiać pince-nez, które się nie chciało trzymać na mokrym potniejącym nosie, tak że pod koniec odczytu już nawet nie próbowałem je zakładać na nos, jeno po prostu trzymałem jedną ręką przy oczach. Te dość mozolne odczytywanie rękopisu wraz z ciągłym poprawianiem pince-

nez – musiało zaszkodzić efektowi odczytu. Toteż choć odczyt sam przez się ze względu na treść był dobry i bardzo mi się podobał, jednak z referatu nie jestem zadowolony. Nie tak mi się to udało, jak bym pragnął. Zresztą wrażenia słuchaczy nie wiem, bo naturalnie nikt mi się nie zwierzał. Obawiam się, że odczyt wydał się zbyt „uczony". Publiczność była wiejska, sporo włościan starych, strzelcy, urzędnicy lokalni, dużo młodych Żydów z miasteczka. Po moim odczycie jeden z miejscowych przywódców strzeleckich wygłosił dodatkowo krótkie przemówienie informacyjne o Dariusie i Girėnasie i na tym się skończyło. Ja z moimi pannami znów odjechałem samochodem do Bohdaniszek.

Rękopis mego odczytu spróbuję przesłać do druku do „Naujoji Romuvė".

24 lipca, rok 1933, poniedziałek

Jeździłem z Jadzią w linijce do Abel na pocztę po pieniądze, które wypisałem z Banku Polskiego na jej imię. Nie udało mi się w Bohdaniszkach obejść bez sięgnięcia do moich oszczędności. Majstrowie (mularz Sinica, cieśla Vingelis, stolarz Galvelis, rymarz Balčiunas) i rozmaite wypłaty gospodarskie na przednówku, których ekonom Pumpol nie jest w stanie uskutecznić, padają bezpośrednio na moją kieszeń.

Dzień był dziś znacznie chłodniejszy od poprzednich. Robotnicy koszą koniczynę, oborują kartofle.

Wypuściliśmy dziś po raz pierwszy na dwór gołębie pawiki, których parkę z Kowna na wiosnę przywieźliśmy i które już wysiedziały parę młodych. Gołąbki zdołały wieczorem wrócić na swój luft oficyny.

25 lipca, rok 1933, wtorek

Pojechałem dziś po wczesnym obiedzie z wizytą do Gaczan do Rosenów. Pojechaliśmy we dwoje z Elwirą moją parą koni. W Gaczanach teraz ludno. Nie tylko są sami Rosenowie – Piotr i jego żona – oraz cała trójka dzieci – Lutuś, Antoś i Hali, którzy spędzają wakacje na wsi i zaiste – zwłaszcza chłopcy – dobrze używają wsi: jeżdżą konno, biegają do gospodarstwa, kąpią się i pływają po jeziorze, ale są także letnicy płatni: pani Łosowska, nauczycielka gimnazjum polskiego w Poniewieżu, z dziećmi, młody chłopiec Litwin Glemża lat ±16, syn dyrektora „Pienocentrasu" z Kowna i jego korepetytor student humanista Baravykas, rodem spod Towian. Młodzież cała bawiła się swoim dworem, a myśmy się – Rosenowie, my z Elwirą, p. Łosowska i Baravykas – swoim. Baravykas – inteligentny, rozwinięty i miły chłopiec, p. Łosowska – stęskniona do flirtu, kobieta lat koło 40. Dużo się od Baravykasa dowiedziałem (sic!) o organizacji studiów na sekcji filologicznej na wydziale humanistycznym naszego uniwersytetu; sam on studiuje germanistykę. Zamierza też wstąpić na prawo i na zakładaną przeze mnie Szkołę Nauk Politycznych. Szczegóły o studiach filologicznych interesowały mię zwłaszcza ze względu na Andrzeja Mieczkowskiego, który chce wstąpić do uniwersytetu właśnie na filologię.

„Clou" zabawy naszej w Gaczanach były popisy ogiera rysaka, należącego do gospodarza Vairysa, sąsiada gaczańskiego. Koń ten zdobył nagrodę na wyścigach i popisach końskich w Dusiatach zimą na jeziorze. Piotr Rosen pod pretekstem zmyślonym, ze niby to ja chcę tego rysaka nabyć, sprowadził go z gospodarzem. Pędzano rysaka w zaprzęgu i konno po gościńcu. Biega zaiste wspaniale – z szybkością automobilu, gdy się rozpędzi, zachowując ślicznego kłusa i wyrzucając każdą nogę osobno, jak stępak.

O zmroku wróciliśmy do Bohdaniszek.

26 lipca, rok 1933, środa

Ekonom Pumpol złapał w Gaju wiewióreczkę młodą. Umieściliśmy ją w dużej klatce, przyniesionej od Maryni. Daliśmy mleko, słoneczniki, szyszki jodłowe. Mleko pije chciwie. Oswoimy zwierzątko i zabierzemy je do Kowna.

Dzień był dziś pochmurny, po obiedzie wypadł deszcz rzęsisty.

Mam w tym roku własnego robotnika do kopania dołów pod drzewka dekoracyjne i owocowe. Robi mi to Mauszuk Winnicki. Wyznaczyłem dziś miejsca na szereg dołów wielkiej alei brzozowej, którą będę pędzić górą za gumnem na wprost i dalej skośnie na drogę gajową. Pierwszych 20 drzewek tej alei już zasadziłem tej wiosny. Za tą aleją pędzić znów będę sad owocowy, dosadzając co roku po rzędzie. Stefan Mieczkowski mi odradza sadzenie brzóz w tej alei, powiadając, że brzozy osuszają niezmiernie grunt w wielkim promieniu naokoło i są przeto bardzo szkodliwe. Może być przeto, że aleję moją utworzę mieszaną – po 20 drzew każdego gatunku – brzóz, grabów, jesionów, klonów, lip, jodeł, sosen, kasztanów, osin, czarnych olch, topoli itd.

27 lipca, rok 1933, czwartek

Wieczorem przyjechała dziś do Bohdaniszek Elizka Komorowska z Julkiem. Przyjazd pani hrabiny jest zawsze wielkim ewenementem w Bohdaniszkach, które, rozdrobnione na cząstki w stylu zaściankowym, nie są już w stanie utrzymać się na stopie dworów pańskich, na której Kowaliszki, aczkolwiek zachłystujące się w długach i bliskie bankructwa, jeszcze się sztucznie w pozorach utrzymują. Toteż przyjazd Elizki, która, mając z jednej strony bardzo dużo serca nie tylko dla rodziny, ale i w ogóle dla ludzi, i dużo w życiu robiąc dla ludzi dobrego, z drugiej strony bardzo ściśle przestrzega starych granic stanowych, które uważa za wieczyste i stanowiące alfę i omegę budowy społecznej i ogromną zwraca uwagę na wszelkie formy i pozory urządzenia zewnętrznego, wprawia domy moich sióstr w stan gorączkowy ruchu: pędza się biedne ersatze służby domowej, każe się myć podłogi i sprzątać, wydobywa się z zapasów najlepszą bieliznę stołową i pościelową, dzieci się przebierają w jakieś ubranka znośniejsze, na stole ukazują się kwiaty itd. Elizka zanocowała w Bohdaniszkach; Julek nocował u mnie. Tylko u mnie wszystko jest jednakie i równe bez względu na przyjazd Elizki. Tylko że Jadzię jej przyjazd wprawia w zły humor, bo nie odważa się siadać przy Elizce i jej dzieciach (prócz Julka, kiedy ten jest sam jeden) do stołu i czuje się zepchniętą towarzysko do stanowiska sługi, równej niemal Kazimierzowi i ledwie dostrzeganej przez Elizkę, mimo że Elizka, jej chrzestna matka, lubi ją i całą jej rodzinę. Jadzia zawsze bardzo boleśnie takie upokorzenia wyczuwa i wtedy buntuje się przeciwko całej mojej rodzinie i losowi swemu, a cierpię na tym ja, jak żebym to ja był temu winien.

28 lipca, rok 1933, piątek

Dość bezbarwny i nie wiadomo dlaczego jakiś smutny dzień. Jakiś pesymizm nie wiedzieć skąd ogarnia człowieka. Nic się nie stało, ale jest jakoś tęskno i smutno. I pusto.

29 lipca, rok 1933, sobota

Wielki u rolników dzień. Rozpoczęcie żniw. U mnie, u Maryni, w wielu miejscach po wioskach, a raczej po nowych zaściankach (bo wioski w ciągu tych lat kilkunastu niemal kompletnie znikły z widowni) – zaczęto dziś kosić żyto. Żyto już dojrzałe, wysokie i bialutkie, urodzaj wszędzie znakomity, ziarno już się rozłamuje na palcu – czas żniw nadszedł. W przyszłym tygodniu masowo już będą kosić żyto, i białawo-żółte falujące łany zamienią się na rżyska, upstrzone mendlami snopów. Wszakże zwyczaj czy przesąd każe rozpoczynać żniwa w sobotę, uchodzącą za dzień błogosławiony. Powiadają, że to dlatego, że sobota jest dniem poświęconym Matce Boskiej, która łaską swoją opromienia wszystko i daje powodzenie przedsięwzięciom ludzkim. Może są zresztą jakieś głębsze, jeszcze przedchrześcijańskie tego zwyczaju źródła. W każdym razie, ja także zwyczaju tego się trzymam i oto dzisiaj żniwa zacząłem, choć na razie tylko troszeczkę – dla zrobienia samego początku.

30 lipca, rok 1933, niedziela

Dzień był dziś ciepły, upalny nawet, ale słońca – mało, za to po obiedzie – silny, kroplisty deszcz ulewny, jak w burzę. Siedziałem w domu. Wieczorem w starym domu do Elwiry przyjeżdżali starzy Pawłostwo Koziełłowie z Użukrewnia. Poszedłem tam do nich.

Mój ekonom Piotr Pumpol, Niemiec czy Łotysz, podobno mieszaniec tych dwóch narodowości, jest jednak rolnikiem doskonałym. Sam on przyznaje się do narodowości niemieckiej i bardzo poufnie, kiedy jest w dobrym humorze, dodaje, że właściwie ma w żyłach krew hrabiowską, albowiem jego matka, Łotewka, będąc panną, porodziła go z ojca hrabiego Kaiserlinga, Bałta, u którego za pokojową służyła. Później hrabia wydał ją za mąż za Łotysza Pumpola, ojczyma mego ekonoma. Stąd i nazwisko wziął od ojczyma. Służył przed wojną przez lat 26 u hr. Aleksandra Tyszkiewicza w dobrach kretyngowskich, jako ekonom w jednym z folwarków. Roboty są u niego zawsze wykonane w porę, mechaniczna uprawa roli – bardzo staranna, wszystko bez opóźnienia zebrane, nic nie zgnojone, urodzaje – dobre. Zna się on na robotach polowych i lubi je. Fizycznie też przedstawia charakterystyczny typ ekonoma dworskiego: wielki, gruby, z dobrym brzuszkiem, w butach, wielka twarz zawsze opalona i zorana przez wiatry i słońce, golona, energiczny, układny wobec pana, amator koni, które umie utrzymać w doskonałym stanie, porządny i systematyczny, apetyt ma wielki, je dobrze, chrapie śpiąc, obraz zdrowia i stateczności. A jednak ma on swój nałóg – pije. Nie tylko pije, ale się upija do nieprzytomności. Przy mnie nie pije wcale, ale jesienią i zimą, gdy mnie nie ma, jeździ ciągle, za lada okazją albo bez okazji do Rakiszek lub Abel, skąd go nieraz Żydzi odwożą spitego jak belę. Co prawda, bierze niezłe pieniądze – po 100 lt. miesięcznie pensji, ale zdaje mi się, że przepija więcej, bo nie tylko się upija, ale lubi zahulać w kompanii i bywały wypadki, że naraz przepijał po 300 litów, zebranych na opłatę podatków. Jak się dobierze w jesieni do zboża, to potem nie wystarcza na przednówku na chleb ani na ptactwo i świnie na wiosnę. Z pewnością musi przepijać część moich należności, a potem łata długami na stronie itd., choć w rachunkach wszystko w porządku. Trudno mi go skontrolować. Jest też don Żuanem, lubi dziewczyny. Żonę ma i dzieci w Kownie, ale mało się nimi zajmuje. Zresztą żona – stara, dzieci – dorosłe lub dorastające, które same sobie radę dają. W przeszłym roku miał sobie na widoku na faworytkę Werutię Eigminówną, którą potem wzięliśmy do Kowna, zgrabną elegancką dziewczynę, poezję ruchów, ładną i dystyngowaną jak najśliczniejsza panienka. Potem przez zimę zdołał rozkochać w sobie ochmistrzynię – Ańcię Kiesilusównę, cichą i słodką idealistkę, patriotkę – „šauliskę”, nie tyle ładną, ile mającą dużo kobiecości w figurze. Sam ma lat 50, podczas gdy ona – ze 23. Ale na bezrybiu i rak ryba. Młoda dość sentymentalna i mdłego temperamentu dziewczyna rozkochała się w energicznym i twardym samcu ekonomie jak powój delikatny, który się obwija na twardym suchym pniu drzewa. Może zdoła ona go trochę od pijaństwa oderwać. Oboje z ochmistrzynią nie cierpią oni starego lokaja Kazimierza, którego posądzają o plotki przeciwko nim.

31 lipca, rok 1933, poniedziałek

Sześciu kośców kosiło dziś moje żyto – trzech moich parobków i kowal Błażewicz, Piotruk Skrebys i Michał Juszkiewicz. Żniwo się mocno posunęło naprzód. Już i jęczmień mocno żółknie, pszenica też niedługo dopędzi, a jeszcze jest dobrych kilkanaście wozów koniczyny za gościńcem w Karwieliszkach do zwiezienia. Roboczy czas.

Mój pies Murza – wspaniały, pełny temperamentu i tryskający wyrazem, prześliczne zwierzę drapieżne i zarazem dyscyplinowane i wierne, owczarek rasowy irlandzki, duży, kudłaty, nos i oczy bardzo zmyślne, uszy do połowy podniesione, gdy słucha, z zachylonymi i spadającymi ku dołowi rożkami górnymi tychże – bardzo znacznie w tym roku postarzał. Nie wiem, ile ma lat. Kupiłem go w roku 1928 w Kownie, jako trzyletniego, u mnie jest pięć lat, musiałby więc według tego rachunku mieć lat 8. Sądząc z oznak starości – musi mieć co

najmniej lat 10, a nawet do 12. Głuchy jest prawie kompletnie, temperament ma osłabiony, staje się bierny, powolny i ciężki. Za to przywiązanie jego do mnie rośnie. W tylnej nodze ma jakby reumatyzm czy może początek paraliżu, pociąga tą nogą, z miejsca kuleje. Śliczny ma Murza chód – idzie i biegnie inochodem.

1 sierpnia, rok 1933, wtorek

Wszędzie żniwo dokoła. U mnie jutro całe żyto będzie już skoszone.

Pod wieczór przyjeżdżał do Bohdaniszek Julek Komorowski z dwoma starszymi synkami – Zysiem i Bisiem. Ładne chłopcy – z figury zwłaszcza bardzo podobni do Julka; z twarzy też zresztą mają typ Julka, Zitki i śp. Zygmunta. Tylko starszy Zyś czasem z dyskretnego uśmiechu przypomina matkę.

2 sierpnia, rok 1933, środa

Po obiedzie pojechaliśmy z Jadzią na pocztę do Abel. Ja jechałem Dragonem w linijce, Jadzia – konno na Dubisie w męskich bufiastych spodeńkach, co wywoływało sensację w Abelach, gdy Jadzia schodziła z konia i wstępowała do magazynów. Poczty spodziewałem się wiele więcej, niż się doczekałem. Pisałem stąd listów dość dużo, na które musiałbym mieć odpowiedzi, ale jakoś ludzie słabo reagują. Tylko z uniwersytetu od naczelnika kancelarii Gurewicza był list z informacją, o którą prosiłem w sprawie warunków wstąpienia Andrzeja Mieczkowskiego na uniwersytet. Andrzej chce wstąpić na filologię na Wydziale Humanistycznym. Maturę ma wileńską z gimnazjum jezuitów. Język litewski słabo posiada. Mieszkać będzie u mnie i naturalnie u mnie się stołować. Nie wiem, czy to będzie przyjemny domownik, bo jest bardzo zarozumiały i z natury obraźliwy. Zastąpi on u mnie Mackusa, który już wyniesie się od mnie na samodzielne mieszkanie.

3 sierpnia, rok 1933, czwartek

Przyjeżdżał wieczorem p. Bichniewicz z Poniemuńska ze swoją szwagierką – panną Marią Szostakowską. Jest to jeden z dzielnych ziemian naszej okolicy, rolnik energiczny i postępowy, którego majątek może uchodzić za wzór gospodarstwa ziemskiego. Po wojnie Kazimierz Świątecki, były właściciel Poniemuńska, również gospodarz doskonały i człowiek wielkiej wartości społecznej, żonaty z panną Kobyłecką, ale bezdzietny, ustąpił majątek swemu młodszemu krewnemu, Bichniewiczowi, rolnikowi zawodowemu i zamiłowanemu w tym fachu. Sam Świątecki z żoną zamieszkał odtąd na stałe w Wilnie, gdzie zajmuje stanowisko dyrektora banku. Świątecki jednak jest bardzo przywiązany do miejsca, w którym całe życie działał, toteż wciąż tęsknił w Wilnie do Litwy Niepodległej, jej ludzi, jej mowy, jej krajobrazu, nade wszystko do Poniemuńka. Mówiono zawsze, że Świątecki, który jest człowiekiem cichym i milczącym, pracowitym i samotnym, cały wolny czas w Wilnie spędza na słuchaniu radia z Kowna. Wreszcie lata ubiegłego wybrał się do Litwy Niepodległej, gdzie został ujęty i zachwycony organizacją pracy, ładem, administracją, postępami w rolnictwie i warunkach cywilizacyjnych współżycia (drogi etc.), inicjatywą rządu i społeczną w kooperacji, zrzeszaniu się gospodarczym itd. W tym roku powtórzył swoją wizytę. Jeździ on też po majątkach, wszystkie wspomnienia go rozczulają, wszystkie objawy postępu, gospodarstw kulturalnych dworskich, rozkolonizowanie wiosek – go interesują i cieszą. Ma starość pogodną i kochającą życie i ludzi. W tym roku w Poniemuńku miał miejsce obchód 25-lecia śmierci wielkiego krzewiciela oświaty ludowej – śp. księdza Kociełły, wieloletniego proboszcza w Poniemuńku i przyjaciela Świąteckiego. Za czasów najgłębszej reakcji politycznej w Rosji, kiedy nie tylko że nie istniała szkoła publiczna litewska, ale nawet książka drukowana litewska czcionkami łacińskimi była zabroniona, zdołał on tak zorganizować prywatne nauczanie swoich parafian – dorosłych, młodzieży i dzieci – że parafia poniemuńska stała się jedyną w kraju, w której nie było ani jednego analfabety.

Świątecki był przyjacielem i pomocnikiem ks. Kociełły w tej działalności, a Bichniewicz – kontynuatorem tradycji Kociełły. Toteż na jubileuszu Kociełły Bichniewicz był szczególnie fetowany, a nieobecny Świątecki nadesłał list, w którym streścił życiorys i charakterystykę zmarłego jubilata. List ten był drukowany w prasie litewskiej i mię Świąteckiego było też na obchodzie wspominane, a Bichniewicz z rodziną, widokami ze dworu, mleczarnią itd. był przy tej okazji nawet reprodukowany w kinie w Kownie. Poniemuniek Bichniewicza jest jednym z tych dworów ziemiańskich, które wrosły w nowe życie gospodarcze kraju, zastosowały się do niego i w kontakcie tym pozostały żywe i czynne, twórcze i wydajne. Bichniewicz, Kazimierz Świątecki – są to ziemianie obywatele, którzy się z siodła wysadzić nie dają. I ciekawe jest, że tak Świątecki, jak Bichniewicz są rodowitymi Polakami, nie zaś Polakami litewskimi.

4 sierpnia, rok 1933, piątek

Po wczesnym obiedzie jeździliśmy z Jadzią parą koni do Abel na pocztę po pieniądze z mojej pensji uniwersyteckiej.

Wczoraj były listy od Marysi Stefanowej Römerowej do Maryni i do mnie. Poza tym Marysia załączyła listek samego Stefana do matki (do Maryni) i jakieś szpargały, dość luźnie przez Stefana zabazgrane. Z tego listu i szpargałów Stefana widać, jaki jest obecnie stan jego umysłu. Na ogół zdania są krótkie, urywane, gdy są zaś dłuższe, to myśl pierwotna się zatraca, plącze i przeskakuje bez ścisłego związku z czegoś jednego na inne. Widocznie wytężyć myśl na coś jednego Stefanowi trudno; bardzo też szwankuje pamięć. Są odruchy biczowania się i jakiejś manii męczeństwa, w których się Stefan na ogół lubował. Porównuje on parokrotnie siebie do Chrystusa, podkreślając zwłaszcza tożsamość wieku męczeństwa Chrystusa i obecnej choroby swojej (33 lata). W bardzo serdecznych przelotnych zwrotach wspomina żonę, Stenię, matkę, kilkakrotnie – mnie i... Jadzię, której imienia nie pamięta i nazywa ją „miłą” albo „bardzo miłą dziewczyną”, która jest u mnie i którą on „lubi”. W ogóle myśli Stefana są serdeczne, trochę skarżące się, wyczulone, smutne. Sama Marysia w swoich listach buntuje się, jak zawsze, zwłaszcza przeciwko Bogu, ale także ma żądełko przeciwko bliźnim, nie wyłączając Maryni ze mną. Tylko względem męża, Stefana, ma jeno słodycz w sercu i litość gorącą oraz miłość rzetelną.

5 sierpnia, rok 1933, sobota

Dziś – straszliwy wicher północno-zachodni. Moje drzewka gną się do ziemi i szarpią się wściekle, w domu wyje po luftach jak w późnej jesieni, a dach blaszany trzaska i łomocze, że można pomyśleć, iż się jest na scenie burzy i zjawy duchów z opery „Damy pikowej” Czajkowskiego w czasie pogrzebu zamordowanej hrabiny. Na rżysku pod Gajem wiatr porozrzucał snopy skoszonego żyta ku wielkiemu strapieniu ekonoma, bo gdyby teraz deszcz popadł, to ziarno, przytłoczone do ziemi, porosłoby. Powietrze się bardzo oziębiło.

Wieczorem u Elwiry – goście. Zabawa taneczna młodzieży. Nie chodziłem na nią wcale.

Chleba już u mnie od kilku tygodni zabrakło. Parę razy kupiłem żyto, potem pożyczyłem, chleb upiekliśmy i tak jakoś dociągnęliśmy do świeżego żyta, ale teraz już radykalnie zabrakło i pieczywo ostatnie się skończyło. Zwieźliśmy więc pozawczoraj trochę świeżo nakoszonego żyta i wczoraj parobcy młócili je cepami sposobem archaicznym, dziś i jutro się ono suszy, w poniedziałek zmielą i we wtorek wreszcie mieć będziemy chleb świeży.

W Gaju – wielki wyrąb chrustu i pasożytniczych zarośli. Wyznaczam działki na wyrąb chrustu na połowę ludziom okolicznym. Chętnych się znalazło mnóstwo, bo chrust jest ładny. Przychodzą ludzie bohdaniscy, boniuscy, janówscy, prapultińscy i karwieliscy i proszą. Taki wyrąb chrustu w Gaju wykonałem przed laty 8-9. Odtąd znów go bardzo dużo narosło. Za to po wytrzebieniu tego chrustu las wygląda ślicznie jak park i młodniak znakomicie podrasta.

6 sierpnia, rok 1933, niedziela

W starym domu cały jarmark sąsiedztwa ziemiańskiego. Wczoraj były tańce i zabawa wieczorna u Elwiry i większość młodego towarzystwa pozostała na dziś. Dziś zaś najechali różni sąsiedzi starszego pokolenia. Gdym tam przyszedł przed wieczorem, zastałem następujących gości: pani Lisiecka z Opejkiszek, Łotysz Szura – siostrzeniec pani Lisieckiej, spędzający corocznie wakacje w Opejkiszkach, Bobuś i Jaruś Koziełłowie z Użukrewnia, ich trzy siostry – Niuta, Marynia i Recia Koziełłówny, Karolek Koziełł z Wadw, pani Wojnarowska z Antuzowa, baron Lysander z żoną, szwagierką i dwuletnim synkiem, troje młodych Budkiewiczów z Rumiszek. Błogosławiłem niebo, że to nie są moi goście. Ja zaś miałem gości także, ale innego rodzaju: był młody Chajetowicz, mój były uczeń, z siostrą i student prawnik Feliks Mackus, który u mnie w Kownie parę lat przemieszkał.

Dziś dzień – brzydki: wiatr, zimno. Moi Żydzi „chałuce" wozili żyto.

7 sierpnia, rok 1933, poniedziałek

U Mieczkowskich znowu piekło. Już to tam u nich ciągłe są między Elwirą a Stefanem sprzeczki, nieporozumienia, wojna. Niedobrani są oni i nie mogą żyć w zgodzie. Stefan Mieczkowski jest brutal, łaje Elwirę od ostatnich słów nawet w obecności parobków, lekceważy ją i postponuje, ma ją za głupią i wciąż jej to wytyka, chodzi znudzony, usposobiony pesymistycznie, zamyślony, zły. Elwira – nie jest giętka, długo pamięta i trawi obrazę, nie ma pieszczotliwości i łagodności kobiecej, potrafi ostro ukąsić Stefana, jest ambitna i nie znosi lekceważenia. Dziś poszło o chleb, którego zabrakło dla parobków na śniadanie, wskutek czego nie poszli oni do pracy; Elwira, która wczoraj szczególnie suto ich nakarmiła mięsem i masłem do chleba, zrobiła im wymówkę, że w sposób tak ostry upomnieli się dziś o chleb, o który zresztą zaraz się postarała, a gdy tymczasem Stefan wpadł od razu na nią z głośnymi pretensjami i wymyślaniem przy parobkach. Oboje się pokłócili, nawymyślali sobie, Stefan Elwirę wyłajał i wyszedł. Przyszedł do mnie na śniadanie, skarżył się, mówił, że już w Bohdaniszkach dłużej pozostać nie może, że przyjmie posadę rządcy czy ekonoma u p. Kończyny (wdowy po p. Franciszku) w Łukini za wszelką cenę i na byle jakich warunkach, byle się stąd wyrwać, bo z Elwirą i w warunkach bohdaniskich bez grosza żyć i pracować na gospodarstwie nie jest w stanie. Poszedł też zaraz pieszo do Abel i na obiad miał przyjść do mnie. Interweniowałem u Helci, która rano też ojca zwymyślała w obronie matki. Długo rozmawiałem też z Elwirą, chcąc ją skłonić de serdecznego pojednania się z mężem. Tymczasem Elwira wytoczyła mi cały akt oskarżenia na męża. Skarżyła się, jak ją poniewiera, jak się znęca nad nią, jak ją upokarza; szuka we wszystkim tylko korzyści własnej, zazdrości Elwirze, okłamuje ją; przez lata całe nie ponosił żadnych ciężarów rodzinnych na dzieci, opuścił żonę i rodzinę, miał w Wileńszczyźnie kochanki i teraz tam jedną zostawił, która zamieszkała latem w Druskienikach nad sama linią demarkacyjną litewską i oto stamtąd do Stefana pisuje. Jeden list tej kochanki dostał się przypadkowo do rąk Elwiry, która go trzyma. Słowem, rodzina Mieczkowskich – to prawdziwy splot nieporozumień i kłótni.

8 sierpnia, rok 1933, wtorek

Przyjeżdżała dziś Elizka Komorowska. Wprost do mnie. Uczyniła mi propozycję kombinacji następującej. Na wiosnę Zitka z Litką szukały w Kownie coś do kupienia za te pieniądze, które im pozostały ze sprzedaży Kiereż. Ponieważ suma tych pieniędzy jest nieduża – nieco ponad 21 000 litów, w Kownie zaś ceny nieruchomości są dość wyśrubowane, więc nic dobrego się nie trafiało. Były za tę cenę do kupienia jakieś rudery drewniane na czynszowej ziemi miastowej, które przez parę lat coś będą dawały dochodu, ale potem zaraz się rozsypią albo będą wymagały kosztownego remontu kapitalnego, podczas

gdy budynków drewnianych w śródmieściu naprawiać nie wolno, a stać mogą tylko dopóki się trzymają. Jedną tylko znalazły one za tę cenę kamieniczkę, złożoną z jednego mieszkania o pięciu pokojach, z placem ogrodzonym, ogrodami, składzikami, kurnikami etc., z wygodami wewnątrz, ale bardzo daleko na Zielonej Górze het gdzieś w okolicach VII fortu. Otóż teraz, gdy Elizce się trafia okazja taniego kupienia schedy Henrysia w naszej wspólnej kamienicy wileńskiej, trzeba byłoby wyrzec się kupna tego domu na Zielonej Górze, bo na obie realności nie ma środków. Zitka żadnych zastrzeżeń nie czyni, ale Litka woli stanowczo kamieniczkę kowieńską, bo się boi brnięcia we wspólną własność. A ponieważ tak scheda Elizki w kamienicy wileńskiej, jak również to, co teraz ma być nabyte, stanowić ma własność córek Elizy – Zitki i Litki – więc Elizka z ich wolą się liczy. Otóż umyśliła ona kombinację taką: kupić i kamieniczkę kowieńską, płacąc za nią gotówką po wytargowaniu się do minimum – za jakichś 15 czy 17 tysięcy litów, i schedę Henrysia w kamienicy wileńskiej, rozkładając cenę na kilka niedługich rat, dających możność zaciągnięcia pożyczki na hipotekę i doczekania się paru rat dochodu, z czego się Henryś i jego długi spłacą. Ale na tym nie koniec kombinacji. Wtedy zamieniłaby Elizka głowa na głowę ze mną kamieniczkę kowieńską na moją schedę w kamienicy wileńskiej. Tą drogą skupiłaby już w swym ręku trzy schedy na kamienicy wileńskiej, a ja bym został z kamieniczką kowieńską. Z tym Elizka do mnie przyjechała. Mnie się ta kombinacja nie nazbyt podoba, bo kamieniczka w Kownie jest za daleko położona dla zamieszkania osobistego, poza tym zaś moja scheda w kamienicy wileńskiej byłaby za tanio sprzedana. Zresztą tej kamieniczki w Kownie nie widziałem. Nie zdecydowałem się więc przystać na kombinację Elizki. Skądinąd wszakże zdaję sobie sprawę z tego, że nabycie przez Elizkę drugiej schedy na kamienicy w Wilnie utrudni znacznie sprzedaż i spieniężenie tam schedy mojej, bo osobno nikt jej na własności wspólnej nie kupi, a sprzedać całość będzie tym trudniej, im więcej części będzie zgromadzone w jednym ręku; po dokupieniu drugiej siódmej części Elizka będzie mniej skłonna do zdecydowania się na sprzedaż całości, raz dlatego, że sama chciałaby się na kamienicy albo na wydzielonej jej części utrzymać, a po wtóre dlatego, że będzie chciała zarobić – to znaczy wziąć ile można drożej ponad to, co sama za schedę Henrysia zapłaciła. Z tego stanowiska (niebezpieczeństwo zamarynowania na stałe mojej schedy w kamienicy wileńskiej, co dla mnie byłoby równe zupełnemu pozbawieniu wartości tej schedy) nawet ta kamieniczka kowieńska byłaby coś warta. Et, nie jestem do interesów.

9 sierpnia, rok 1933, środa

Miałem dziś stratę w gospodarstwie – krowa zachorowała i musiałem ją dorżnąć. Niewiele mam jeszcze krów, więc ta strata jest dotkliwa. Pozostaje mi tylko pięć krów dojnych, szósta – Bergamotka – młoda cielica pierwiastka własnego chowu, córka dziś dorżniętej, dopiero za kilka miesięcy się po raz pierwszy ocieli. Jest jeszcze pięć małych cieliczek z ubiegłej jesieni i zimy – Haga, Krewna, Jura, Zelwa i Minia – ale te do przyszłego lata nawet do buhaja dopuszczane nie będą. Marudna to rzecz – skompletowanie obory, albowiem dokupowanie krów na rynku jest mało celowe i skuteczne, a wyhodowanie krowy z cielęcia – to sprawa kilku lat.

Miałem już list od Stefana Römera, który już wyszedł ze szpitala i mieszka w Szaszewiczach, ale jeszcze na kurację do szpitala do Kowna jeździć będzie. List jest już lepiej pisany, niż pierwszy, ale bądź co bądź nie jest jeszcze całkowicie zadawalający. Są w nim ślady braku pamięci, na ogół myśl jest urywana i krótka, jej tok jest dziecinny. W każdym razie, postęp w stosunku do tego, co było na początku choroby, jest ogromny.

10 sierpnia, rok 1933, czwartek

Pojechałem do Kowaliszek. Byłem tam w charakterze gościa Elizki, która zajmuje pokoiki na piętrze domu mieszkalnego, podczas gdy parter, stanowiący apartamenty

zasadnicze, podzielony jest na dwa odrębne skrzydła, z których jedno tworzy mieszkanie rodziny Julka, drugie – mieszkanie rodziny Hektora.

Byłem u Elizki na obiedzie, na herbatce, na kolacji – przez cały wieczór. Przychodzili tam i Hektor, i Oleńka Hektorowa z kilkomiesięczną córeczką Jolą, i Julek, i Madzia Julkowa, słowem – cała rodzina, raczej obie rodziny z wyjątkiem chłopców Julka.

Na herbatkę przyjeżdżali i parę godzin u Elizki zabawili pp. Kazimierostwo Świąteccy z Wilna, bawiący na wakacjach w Poniemuńku u Bichniewiczów. Nie widziałem Świąteckich od lat 14, odkąd wynieśli się z Litwy Niepodległej, ustępując Poniemuniek Bichniewiczowi. P. Kazimierz Świątecki znacznie postarzał się, jakby zmalał więcej. Kocha on Litwę, rozczula się tu wszystkim, jest bardzo pogodny i miły. Z przyjemnością ich powitałem.

Zanocowałem w Kowaliszkach.

11 sierpnia, rok 1933, piątek

Rocznica wyroku Trybunału Międzynarodowego w Hadze w sprawie kłajpedzkiej. Nawiązując do tej okazji, napisałem w tych dniach list do posła Sidzikowskiego w Londynie, który w roku zeszłym był towarzyszem mojej pracy haskiej. Przypomniałem mu te niedawne czasy i pozdrowiłem serdecznie.

Skądinąd dzień 11 sierpnia jest dla mnie datą pamiątkową imienin Babuni Tukałłowej, obchodzonych przez wiele lat w Kasucie. 11 sierpnia – dzień św. Zuzanny. W szczególności od roku 1894 do 1905, zdaje się, co roku bywałem w Kasucie na tych imieninach, gdzie się cała szeroka rodzina dzieci i wnuków Babuni oraz licznych krewnych zjeżdżała. My (Römerowie), Bohdanowiczowie, Wołodkowiczowie, Tukałłowie, Świdowie, Gieczewiczowie, nieraz też inni – zapełniali wtedy Kasutę. Huczno było i gwarno. Kawalkady konne, tańce, wycieczki, zabawy – trwały tygodniami. Rżnęła orkiestra, hulano w pięknych salonach pałacu kasuckiego. Potem zazwyczaj puszczaliśmy się z Elwirą konno w daleką wyprawę w strony borysowskie do Pleszczenic do cioci Kasi Tyszkiewiczowej, tam Święciccy, Wołłowiczowie, Śliźniowie, Bryzlenne, po drodze Stajki i Maćkowce, albo na Nowy Dwór przez Orpę i Obodowce, względnie Ościukowicze, a dalej nieraz koleją do Bielcza do Pruszanowskich w strony bobrujskie nad Berezyną. Objazd ten trwał kilka tygodni z datą centralną 11 sierpnia. Tylko że ta data była obchodzona podług starego stylu, to znaczy była oddalona od odpowiedniej daty obecnej w wieku XIX – o dni 12, a w wieku XX – o dni 13 wstecz. Dziś już ani większość tych ludzi ani już samej Kasuty ówczesnej – nie ma.

Po przenocowaniu w Kowaliszkach wróciłem rano do Bohdaniszek. Do Rakiszek podwiozłem Elizkę, po którą potem miały podejść konie kowaliskie. Na obiad byłem już w domu.

12 sierpnia, rok 1933, sobota

Zwieziono u mnie jęczmień i skoszono pszenicę. W Gaju skończyłem rozdawać działki na rąbanie chrustu. Ogółem podjęli się rąbania chrustu na połowę i otrzymali działki każdy z osobna: Zybalis, Bolesław Malec, kowal Błażewicz, Morawski, Kasper Jachimowicz, Michał Juszkiewicz, Jan Juodelė i Józiuk Podolski z Bohdaniszek, Jasiek Jankowski (wnuk lokaja Kazimierza), Sakowicz, Boluk Čepas i Dylis z Janówki, Piotr Skrebys i Moskal Sidor z Prapultini, Michał Nemeikšis z Karwieliszek.

Z poczty przyniesiono list z Rosji, adresowany do Bohdaniszek na imię Michała Römera z prośbą o doręczenie Henrysiowi Wołłowiczowi. Otworzyłem ten list i ku memu zdumieniu okazał się on pisany przez... Józefa Wołłowicza, mojego szwagra, ojca Henrysia. Nie było o nim żadnej wiadomości od czasu wojny, toteż uważano go u nas za nieżyjącego. Józef Wołłowicz, mąż mojej siostry śp. Helci, zmarłej młodo po połogu przed 39 laty (w roku 1894), był po śmierci Helci czas jakiś zaręczony z Elwirą, ale rodzice nasi, po stwierdzeniu, że Wołłowicz traci majątek, zerwali te zaręczyny. Miał kochankę niejaką Cwietkową, potem

stracił majątek, wyjechał na służbę do Rosji. Tam przed przeszło 20 laty ożenił się znowu z Rosjanką, której nazwiska nie wiem. Teraz Józef Wołłowicz musi już mieć lat ze 70. Od lat 17, to znaczy od roku 1915, nie miał żadnych wieści o synu z pierwszego małżeństwa – Henrysiu. Domyślił się wreszcie napisać do Bohdaniszek. List Wołłowicza bardzo mię poruszył. Zaraz sam napiszę do niego. Owdowiał Wołłowicz, ma dwoje dzieci z drugiego małżeństwa – syna Michała i córkę Zosię, która jest zamężna za doktorem w Jegorjewsku pod Moskwą. Przy niej to Józef Wołłowicz mieszka teraz. Oczywiście jego dzieci z drugiego małżeństwa są Rosjanie, ale sam Wołłowicz pisze do Henrysia po polsku i notabene bardzo poprawnie.

13 sierpnia, rok 1933, niedziela

Prawdziwy trzynasty dzień. Cały dzień słota, wiatr północno-zachodni, zimno przenikliwe. Barometr jednak na wieczór zaczął się wyraźnie podnosić na pogodę, a o samym zachodzie skrawek nieba się zupełnie rozchmurzył i słońce zaszło pogodnie. Trzeba było cały dzień siedzieć w domu. Kazimierz zapalił u mnie kominek. Zupełnie jak w późnej jesieni.

Miała się dziś odbyć majówka towarzystwa gaczańskiego z ich letnikami. Miało to wszystko wpaść na Bohdaniszki i z zapasami prowizji udać się „na trawkę” do... Gaju, gdzie zakosztowaliby nie tyle zabawy, ile... komarów. Ale słota udaremniła te plany. Przyjechał tylko Piotr Rosen ze studentem filologiem Baravikasem i konno – synowie Piotra. Student Baravikas przyjechał na moją prośbę dla udzielenia Andrzejowi Mieczkowskiemu informacji o studiach filologicznych na uniwersytecie. Andrzej słabo jest przygotowany do studiów akademickich. Po pierwsze, prawie że nie zna języka litewskiego. Po drugie, jest bardzo niezaradny. Nie orientuje się w naturze studiów akademickich, które utożsamia prawie z gimnazjalnymi i nie ma wyobrażenia o organizacji studiów filologicznych, do których ma niby pociąg. Jest to jeszcze materiał surowy, dziecko. Niegłupi jest z natury i nawet zarozumiały, ale mocno jeszcze niedojrzały. Brak mu inicjatywy, mocnej dyscypliny wewnętrznej, indywidualności. Jest to małe pisklę w gniazdeczku na wszystkim gotowym i z horyzontem życia bardzo bliskim gniazdka.

14 sierpnia, rok 1933, poniedziałek

Dzień – słoneczny, ale bardzo chłodny nie tylko w cieniu, ale też w słońcu. Ostry wiatr północno-wschodni z dalekich stref lądowych guberni wołogodzkiej, kostromskiej, archangielskiej, z ziemi Samojedów i jeszcze dalszych tajgi i tundry Sybiru.

Jadzia wzięła dziś pod swoją komendę robotników Żydów – Szlejmę i Mausziuka – i wykopała nowe inspekty pod samymi oknami salonu i gabinetu w moim domu, w cichym zagłębieniu małego zbocza, dobrze skierowanego na słońce i zasłoniętego od zimnych wiatrów. Potem zarządziła na moją prośbę wyprawę po sosenki z ziemi Piotra Skrebysa za Prapultinią na pograniczu Janówki i Wiwieliszek, gdzie wykopała wraz z ziemią sześć niewielkich i zupełnie małych ślicznych sosenek, które następnie po przywiezieniu do Bohdaniszek posadziliśmy starannie w wykopane zawczasu dołki dokoła trawnika. Zawsze chcę mieć sosenki, ale mi się one nigdy dotąd nie udawały. Może te się udadzą, bo Jadzia ma szczęśliwą rękę (nie dawno Herbaczewski ją uważał za „raganę”!) i przesadzone są z ziemią, chociaż w porze bardzo niewłaściwej.

Wieczorem przyjeżdżał Adam Kupść z Kroszt z żoną. Jak zawsze – przyjeżdżał prosić o rekomendację dla starań o jakąś pracę zarobkową. Dawniej chciał w sądownictwie, ale mu się to nie powiodło. Dziś już chce szukać pracy w „Maistasie” u Lapėnasa.

15 sierpnia, rok 1933, wtorek

Korzystając ze święta, urządziłem dziś dożynki dla robotników, służby i najemników, którzy brali udział w żniwach. Dożynki składały się z obiadu i zabawy tanecznej. Do obiadu

zasiadło od 20 do 30 ludzi. Zasiadłem i ja – raczej do towarzystwa, niż do uczty, Jadzia, ekonom Pumpol, służba domowa – lokaj Kazimierz Jankowski, który raczej czuwał nad podawaniem i nad sprzętami, ochmistrzyni Anna Kesylisówna, pokojówka Kostusia Merkisówna, dziewczyna gospodarska starowierka Lina, rodziny ordynarników Jana Tumėnasa, Dainisa i Jankowskiego, najemnik Michał Juszkiewicz z żoną i dziećmi, głupowaty robotnik Mieczkowskich Antaniuk, muzykant z Knisy... Wódki było obficie – Tumėnas po kilku kieliszkach upił się kapitalnie, były doskonałe śledzie, zupa na mięsie wołowym, obfita pieczeń wołowa z kartoflami, kompot z jabłek, cukierki, bułka, herbata. Obiad miał miejsce pod gołym niebem – na placu przy oficynce murowanej na zbitym *ad hoc* stole z desek. Potem na tymże placu, pięknie podgrabionym i czystym, pod gołym niebem, miała miejsce zabawa. Muzykant rżnął na harmonice polkę, którą przeplatano od czasu do czasu tańcami kołowymi litewskimi pod akompaniament śpiewu rytmicznego tancerzy. Młodzieży jednak nie było zbyt dużo, bo odciągnęła ją majówka w Boniuszkach. Za to dzieci używały i wytańczyły się za wszystkie czasy, szczególnie dziewczynki.

W ogóle zabawa była miła i nastrojowa.

16 sierpnia, rok 1933, środa

W ciągu paru dni ostatnich trochę się powietrze ogrzało, bo poprzednio było już bardzo zimno. Ludzie twierdzą nawet, że w nocy były już parę razy tak zwane białe rosy; biała rosa – to już prawie przymrozek; krople wody w rosie takiej są już w stopniu zamarzania; tylko że biała rosa dotyka głównie niższych miejsc, gdzie jest duża wilgoć i gdzie mgły i opary się wnoszą. Niebezpieczeństwo już grozi ogrodom, zwłaszcza wrażliwym na mróz ogórkom i pomidorom.

Koszono dziś u mnie cały dzień owies.

W Gaju niektóre działki, rozdane na wyrąb chrustu, są już całkowicie lub częściowo wytrzebione. Ale roboty polowe wstrzymują trzebienie chrustu.

17 sierpnia, rok 1933, czwartek

Koszono u mnie owies, po obiedzie zwożono pszenicę. Wieczorem zaciągnęły ciężkie chmury, zaczął padać deszcz, potem krótka burza przebiegła.

Upływają niebawem moje wakacje. Pojadę objąć stanowisko rektora. Mam jeszcze do ułożenia i wyuczenia się mowy rektorskiej na akt immatrykulacji i do napisania – referat naukowy, który na tym akcie wygłoszę.

Już kończę opracowywać mój obszerny wykład o problemach państwowych w faszyzmie i sowietyzmie, wygłoszony w lipcu na kursach dziennikarskich w Kownie i przeznaczony obecnie do druku w biblioteczce tychże kursów Kazimierza Binkisa; ukończyłem też pracę nad grupą artykułów pod tytułem „Nie echa, lecz żywe fakty“ do „Kuriera Wileńskiego“ w związku z moim wywiadem w „Trimitasie“, ogłoszonym przez Witolda Bičiunasa, i z artykułem Kazimierza Okulicza (pseudonim: Testis) w Wilnie pod tytułem „Echa przeszłości”, ogłoszonym w odpowiedzi na ten wywiad. Te dwie prace są głównym owocem moich tegorocznych wywczasów wakacyjnych.

18 sierpnia, rok 1933, piątek

Po deszczu – wilgoć. Chmury przeciągają, zanosi się na nowy deszcz. Chwilami – parno. U ludzi główne żniwa ozimin skończone. Ponieważ nie suszy – nic zwozić nie można, więc wszyscy, którym powyznaczałem działki na chrust do Gaju, pośpieszyli dziś do lasu rąbać chrust. Gaj aż się roi od ludzi; wszędzie w różnych jego odcinkach uwijają się ludzie z kobietami i robotnikami. Las się przerzedza, zdobywa wygląd czyściutki i wesoły, pełny szlachetnych drzewek lub gęstego młodniaka, nie głuszonego przez leszczynę i olchę białą. Takie kapitalne wytrzebienie zarośli pasożytniczych w młodym lesie, powtarzane co kilka lat

– to kuracja i wielkie podniesienie przyrostu lasu, a dla okolicy – dobrodziejstwo, bo szereg gospodarzy zaopatruje się w tani i dobry opał na zimę.

Moi robotnicy dworscy koszą w dalszym ciągu owies.

19 sierpnia, rok 1933, sobota

Moi robotnicy koszą w dalszym ciągu owies. Pogoda – zmienna. Kilkakrotnie wypadał gwałtowny deszcz. Słychać było grzmoty, ale do wielkiej burzy nie doszło. W gospodarce mojej – przybytek. Maciora się oprosiła – przyprowadziła dziewięcioro prosiąt. Dobra matka, uważna, ani jednego nie zadusiła. Wszystkie prosiątka – ładne, żywe jak robaczki. Uwijają się koło matki, która jest ich pokarmem żywym, walczą zajadle o każdą cycę. Lubię bardzo młode zwierzątka.

20 sierpnia, rok 1933, niedziela

Jadzia z Żydami pracowała dziś w ogródku jagodowym pod domem. Wykopała tam doły na inspekty, okopywała krzewy i drzewka, nawoziła ziemię tłustą i nawóz.

Ekonom Pumpol zły, że nie zdołał udaremnić naszego z Jadzią zamiaru całkowitego wymłócenia zboża przed moim wyjazdem, wyjechał do Abel, skąd wieczorem wrócił pijany. Zwykle przy mnie, to znaczy – gdy jestem w Bohdaniszkach, nie pije, ale tym razem pofolgował sobie. Byłem zgorszony.

Wieczorem przyjechała Elizka Komorowska z Zitką. Elizka zdecydowana już jest na kupno schedy Henrysia Wołłowicza w naszej wspólnej kamienicy wileńskiej. Wyjeżdża do Wilna jutro z Litką, którą też sprowadziła do Kowaliszek. Po nabyciu kamienicy Zitka i Litka są zdecydowane osiąść w Wilnie na stałe, ma to jednak nastąpić dopiero w roku przyszłym. Tymczasem na tę zimę mają one obie posady: Litka – u pp. Lutyków, Zitka – w Towianach u księcia Radziwiłła, gdzie Zitce jest idealnie dobrze. Elizka w Kownie widziała Stefana Römera. Stefan jednego dnia był w bardzo dobrym humorze; mowny był, usposobiony czule i rozczulająco, ale trochę goni w piętkę jak starzec, który ma początki rozmiękczenia mózgu. Takie przynajmniej sprawia wrażenie z tego, co Elizka o nim opowiada i jaką on z nią prowadził konwersację. Jesteśmy jednak z Jadzią zgorszeni tym, że Stefanowa, która przecie zna chorobę Stefana i zdaje sobie sprawę z sytuacji, nie tylko że mieszka w moim mieszkaniu jak u siebie, ale też śpi sama i kładzie męża na naszych z Jadzią łóżkach, na naszej pościeli, pod naszymi kołdrami, nie zastanawiając się nad tym, że choroba Stefana może być zaraźliwa i że ja lub Jadzia możemy się brzydzić. Jest to dziwna gruboskórność i niedelikatność z jej strony. Będziemy musieli dezynfekować całe mieszkanie. Oto jak ludzie nadużywają niekiedy dobroć tych, co im pomagają i z których oni żyją. Jadzia jest oburzona i cała poruszona zachowaniem się Stefanowej. Dziwna kobieta – Stefanowa. Nie mam wcale adoracji do niej.

21 sierpnia, rok 1933, poniedziałek

Posłałem dziś cztery konie i trzech robotników (jednego konia i jernego robotnika dodała Marynia) po motor i młocarnię Maryni do Rakiszek. Motor Marynia chciała sprzedać i dlatego była go zawiozła do Rakiszek do Pejsacha Rucha, ale dotąd kupiec się nie trafił i Marynia podjęła się wymłócić moje zboże. Przed wieczorem motor przywieziono. Trzeba go było wieźć, robiąc wielkie koło aż na Łasze, bo na Kurklecie albo na Rakiszeczki przejechać niepodobna.

Biedna Marynia wyczerpuje się z sił. Jeździ po wszystkich targach, coś sprzedaje to mniejszego, to większego, ciągle zmienia weksle, wykręca się jak piskorz, ma prawdziwe *perputuum mobile* ruchu, należności, terminów, wypłat. Smutny to stan. Jest ona ani powieszona, ani uratowana. Wiecznie się ratuje i wiecznie ma stryczek na gardle. Tu coś zatyka – tu się rwie w innym miejscu. Z gospodarstwa wpływów coraz mniej, a ciężar długów – ten sam. Zaiste żadne zdrowie na to nie wystarczy. Toteż bardzo się Maryńka posunęła, ma

ciężką sklerozę, a teraz w ostatnich czasach niedomaga coraz więcej. Wraca z targów zupełnie rozbita, z bólem głowy, ledwo żywa, doświadcza osłabienia pęcherza, ma mocz krwawy, porusza się z trudem, zgarbiona, otyła. Obawiam się, że niedługo starczy jej sił na taką poniewierkę. I co po sobie pozostawi? Bohdaniszki w ruinie, których już dzieci nie dźwigną. W najbliższym czasie, jeżeli nie sprzeda motoru i jeżeli Elizka nie spłaci jej długu Henrysia, kupując jego schedę, Marynia okaże się w położeniu fatalnym. Jeżeli te dwie rzeczy dojdą do skutku, to ją nieco poratuje, bo da jej koło 5000 wpływów na najpilniejsze zaległości. Biedna siostra.

22 sierpnia, rok 1933, wtorek

Przyjechał mechanik, który ustawi motor i pokieruje nim przy młóceniu. Młócenie rozpoczynamy jutro. Posyłałem dziś lokaja Kazimierza do Kowaliszek po cielę, które od Elizki kupiłem. Przywiózł ładną dużą krówkę po Szwycach, dziewięciodniową, która dotąd przy matce była. Krówka – bardzo żywa i energiczna. Wyskoczyła niebawem z zagródki, do której ją postawiono, i uciekła. Trzeba było zorganizować całą wyprawę, złożoną z ekonoma Pumpola, ochmistrzyni, Jadzi służącej Kostusi, żeby ją znaleźć w polu za ogrodem Elwiry, dokąd uciekła, i złapać. Prędka jest taka, że długo ją gonili z pola do dworu, we dworze po ogrodzie i znów na polu, zanim zdołano ją wpędzić do krzaków i tam ująć. Będzie się nazywała „Sesutė" – „Siostrzyczka" – na pamiątkę, że od siostry ją nabyłem.

Pora – już jesienna. Mgły rano, białe rosy, słońce skośne, pola puste. Skończono dziś u mnie kosić owies.

23 sierpnia, rok 1933, środa

Rozpoczęliśmy młócenie. Rano motor nie był jeszcze dokładnie ustawiony i zacinał się. Wobec tego odesłano robotników do innych robót, a mechanik zajął się motorem. Wreszcie po obiedzie puszczono maszynę w ruch. Na czoło poszła pszenica, której do wieczora wymłócono trzydzieści kilka cetnarów. Jadzia siedzi przy maszynie i zapisuje umłót. Dainis waży wory z ziarnem, odwozi je do spichrza i wysypuje tamże. Ekonom przyjmuje zboże w spichrzu, a w międzyczasie pilnuje roboty przy maszynie. Jan Tumėnas podaje pszenicę do maszyny. Trzy robotnice wybierają pszenicę z przęsła, rozwiązują ją i skierowują na stół do maszyny. Lokaj Kazimierz stoi przy worach. Pokojówka Kostusia Merkisówna zbiera i odnosi plewy. Mausziuk i Szlejma odpychają słomę z maszyny i podają ją na stóg za gumnem, Estera i parobek Jankowski układają i ugniatają stóg. Maszynista się przechadza i od czasu do czasu coś w motorze porusza. Tak wygląda obsługa maszyny.

24 sierpnia, rok 1933, czwartek

Obrzydliwy dżdżysty słotny jesienny dzień. Nie można nawet do Gaju się wybrać. Cały dzień młócono u mnie. Pszenica wymłócona cała, zaczęto po obiedzie młócić żyto. Pszenicy wymłóciłem przeszło 70 cetnarów. Cały dzień siedziała przy maszynie przy wagach Jadzia. Moi „chałuce" Żydzi obrzydliwie pracują. Zdaje się, że mają się wynieść pozajutro. Szczęść im Boże! Mała z nich jako robotników pociecha. Są tylko bardzo kiepskim i niedołężnym dodatkiem do zawodowych robotników rolnych chrześcijan. Sami nie wystarczyliby nigdy. Ot, mogą coś kopać, orać, w najlepszym razie wozić. Nie ma u nich ani staranności, ani poczucia odpowiedzialności, ani ambicji pracy. Dwoje – Mausziuk i Estera – są względnie znośniejsi, ale Chana i Szlejma – to ohydne partactwo, przewrotność histeryczna i fałsz na każdym kroku, a już tandeta – u wszystkich na wyścigi.

Wieczorem zapaliliśmy w pokoju sypialnym wesoły ogień na kominku, przy którym ogrzaliśmy się z Jadzią. W taki dzień jak dziś rozkosz – to spać. Toteż przed godz. ósmą w cieple ogniska i w delikatnym błąkającym się świetle kominka już spałem na aromatycznym sienniku.

25 sierpnia, rok 1933, piątek

Jadzia wyjechała na dwa dni – do niedzieli – do rodziców do wioski Szadnikiszek.

Niepogoda. Tak samo jak wczoraj. Trudno wyjrzeć z domu. Błoto z dołu, kapie lub leje z góry. Wieczorem jednak, o zmroku, wybrałem się na przechadzkę do lasu, bo niezdrowo tak być zupełnie bez ruchu. Nie młócą u mnie dzisiaj, bo maszynista do poniedziałku odjechał. Cały owies, którego mam najwięcej, stoi u mnie na polu i nie schnie.

Taka słota na wsi – to ma swój sentyment i nastrój. Tylko że siedzenie bez ruchu jest niezdrowe i *à la longue* staje się nudne.

Opracowuję teraz moją inauguracyjna mowę rektorską na akt immatrykulacji.

26 sierpnia, rok 1933, sobota

Od rana czułem się dziś niezdrów i nieswój. Coś mi dokuczało, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, nudziłem się, nie chciało mi się nic robić, nigdzie iść, opanowała mię jakaś apatia i nuda. Niebawem spostrzegłem, że jestem chory, że ukazują się oznaki zbliżającego się kataru i gorączki influenzy. Gardło mi bolało i zasychało przy przełykaniu, podniebienie i jama ustna – piekły, zacząłem doświadczać ziębienia, nogi miałem zimne w stopach. W takim razie najskuteczniejszym środkiem jest ciepłe łóżko. Tak też uczyniłem. Jeszcze przed zmrokiem rozebrałem się, położyłem, nakryłem ciepło puchówką, kazałem Kazimierzowi zapalić kominek. W łóżku napiłem się gorącej herbaty z malinami i gorącego mleka z miodem. Zagrzałem sobie stopy u kominka i zacząłem gorączkować. Kazimierzowi kazałem się położyć obok w salonie na kanapie. Późnym wieczorem przyjechała Jadzia, która zamiast jutro – wróciła dziś.

27 sierpnia, rok 1933, niedziela

Nie wystarczyło jednego dnia wyleżenia w łóżku. Dziś rano nie wstałem. Miałem ciężką głowę, katar nadal – wielki. Po obiedzie zacząłem potnieć, a nie mogłem zasnąć, co mię z łóżka wypędziło wreszcie. Nie wychodziłem jednak z domu, a przed zmrokiem znów się położyłem i bez kolacji zasnąłem. Na dworze zaczęło się wypogadzać.

Moi „chałuce” dziś odjechali wszyscy. Niewielki żal. Robota ich była tandetą, choć prawda, że też tandetnie zgoła byli opłacani. Tylko utrzymanie ich było kosztowne.

Przyjeżdżał dziś pod wieczór Pejsach Ruch ze swym wspólnikiem firmowym Arszem.

28 sierpnia, rok 1933, poniedziałek

Dziś już poczułem się od rana prawie zupełnie zdrów i silny. Wstałem i chodziłem cały dzień.

Po kilku dniach targu Marynia sprzedała dziś wreszcie swój motor wraz z młocarnią za 3100 litów niejakiemu Vaičiulisowi, krewnemu Murmy z lasu montowskiego. Właściwie ma Marynia na tym motorze znaczną stratę, bo kupiła go przed kilku laty z namowy swego ówczesnego ekonoma Lauciusa (Łowcia) za 10000 litów. Ale gdyby teraz nie sprzedała, to straciłaby na nim jeszcze więcej, bo motor się psuje i potrzebuje remontu, a nikt u Maryni się na nim nie zna, tymczasem zaś maszyny tanieją. W każdym razie te 3000 łącznie z tymi 2-3 tysiącami, które Marynia zapewne otrzyma z długu Henrysia przy sprzedaży jego schedy w kamienicy wileńskiej Elizce, ulżą jej znacznie, dając możność zatknięcia najpilniejszych dziur w systemie jej długów.

29 sierpnia, rok 1933, wtorek

Żegnajcie, Bohdaniszki! Ujrzę was już zimą, kiedy mój domek będzie równie rozkoszny, ale kiedy nie będę miał drugiej mojej rozkoszy – drzewek moich. Znowu w jesieni

i na wiosnę przybędzie mi sadu, drzew dekoracyjnych i wielkiej alei brzozowej za gumnem. Od przyszłej wiosny chcę już nająć stałego ogrodnika.

Jutro wracam do Kowna.

30 sierpnia, rok 1933, środa

Dzień wyjazdu z Bohdaniszek do Kowna. Rano zaprzężono mi konika do linijki, w której objechałem cały Gaj wszystkimi dróżkami dla dokonania generalnej lustracji wyciętego chrustu. Potem jeszcze wyznaczałem stanowiska na kopanie jamek pod drzewka dekoracyjne do sadzenia tej jesieni i przyszłej wiosny. Po zakończeniu tych prac i po wczesnym obiedzie wyjechaliśmy z Jadzią i nową służącą Kostusią Merkisówną, córką dawnego kucharza przedwojennego w Bohdaniszkach Napoleona.

W Bohdaniszkach u mnie – pełna młócka. Ale zboże – szczególnie żyto – bardzo źle sypie. Na sprzedaż żyta nie będzie wcale, chyba trochę pszenicy i owsa. Na jakiś poważniejszy dochód, który by mi zbilansował wydatki administracyjne w Bohdaniszkach, niepodobna liczyć. Mleczarnia daje grosze, bekony dadzą paręset litów i oto wszystko. Stan finansowy gospodarstwa rozpaczliwy.

Prędkim pociągiem na godz. 9-10 wieczorem przyjechaliśmy do Kowna. Jadzia obrzydzona faktem mieszkania i spania w naszych łóżkach Stefana Römera i Stefanowej. Przesadza to obrzydzenie, bo ostatecznie stan choroby Stefana nie jest zaraźliwy. Ale niepodobna jej to wmówić.

31 sierpnia, rok 1933, czwartek

Dziś jeszcze dzień urlopu. Choć już w Kownie – u wrót mojego warsztatu pracy, które się już jutro otworzą i zaprzęgną mię do jarzma, dziś jeszcze coś jakby z posmaku Bohdaniszek, coś z wolnych dni wakacji. Z domu prawie że nie wychodziłem. Spory kawał mojej długiej mowy rektorskiej na akt immatrykulacji wykułem. W Kownie jednak dowiedziano się już o moim powrocie, o którym, zdaje się, podały gazety. Toteż miałem dość spory zastęp interesantów, nachodzących mię w domu. Przeważnie w sprawach uniwersyteckich, poniekąd też za rozmaitymi rekomendacjami. Nic nowego o uniwersytecie jeszcze się nie dowiedziałem. Jedyny szczegół – że wszelkie starania wiosenne o pozyskanie zatwierdzenia prof. Leonasa choćby jeszcze na rok jeden – poszły na marne: minister oświaty odmówił formalnie zatwierdzenia uchwały Rady Wydziału Prawniczego, prolongującej na rok utrzymanie Leonasa na stanowisku bez względu na przekroczenie granicy wieku. Pozawczoraj odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, na którym wobec tego odbyły się wybory dziekana i sekretarza wydziału: dziekanem obrany został prof. Wacław Biržiška, sekretarzem – Tadeusz Pietkiewicz. Wybór Wacława Biržiški jest bardzo odpowiedni. Choć pod względem produkcji naukowej w dziedzinie nauki prawa Wacław Biržiška nie jest luminarzem, ale to tylko dlatego, że właściwie specjalnością jego jest nie tyle prawo, co historia kultury i bibliografia. W swoich umiłowanych dziedzinach pracy i w charakterze bibliotekarza uniwersytetu i redaktora naczelnego Encyklopedii Litewskiej jest to człowiek cały oddany nauce i człowiek pracowitości wielkiej. Jako sekretarz wydziału od lat dwunastu, to znaczy od samego powstania wydziału, jest on uosobieniem tradycji wszelkich precedensów, archiwum wszystkich uchwał, historią chodzącą wydziału. Nikt tak spraw wydziałowych nie zna, jak on.

1 września, rok 1933, piątek

Na godz. 11 udałem się do uniwersytetu, gdzie w gabinecie rektorskim odbyło się przekazanie władzy rektorskiej przez prof. Czapińskiego mnie. Obecni byli przy tym obaj prorektorowie – prof. ks. Błażej Česnys i prof. Franciszek Jodelė, również dotychczasowy sekretarz uniwersytetu prof. Raudonikis i prof. Antoni Purėnas. Sama uroczystość trwała

krótko. Rektor Czapiński przemówił krótko do mnie, ja mu odpowiedziałem, po czym Czapiński poinformował mię o szeregu najpilniejszych spraw akademickich. Na tym się skończyło. Objąłem w posiadanie gabinet rektorski, złożony z dwóch małych pokoików w wielkim gmachu uniwersytetu (dawniejsza drukarnia państwowa). Na poniedziałek w południe wyznaczyłem pierwsze posiedzenie senatu akademickiego.

Zanotuję tu rzecz z odrębnej zgoła dziedziny: oto na uniwersytecie znalazłem do mnie list od... Reginy. List, datowany jeszcze z początku lipca. Ta kobieta, która oczywiście jest nie tylko głupia, ale też dotknięta jakąś „*moral insanity*", ma czelność, będąc żoną innego mężczyzny, pisać jeszcze do mnie, a nawet chwalić się swoim „szczęściem" w tym nowym związku. A czyni to po tym swoim liście z roku ubiegłego, w którym mię wyłajała stylem ordynarnym za ofiarowanie przeze mnie córce zbyt małej pensji miesięcznej. Obecnie... prosi mię o pieniądze dla tejże córki Celiny, bo... sama z powodu braku dochodów z Łunny dać jej czasowo nic nie może. Niedoczekanie ich, żeby ode mnie coś wyłudziły! Ta trójca – Regina, Celina i panna Eliza Courtôt – to przeklęte gniazdo os histerycznych, które są nieszczęściem i zakałą mojego życia.

2 września, rok 1933, sobota

Urzędowałem już na uniwersytecie w moim gabinecie rektorskim. Początek roku akademickiego, okres masowego ruchu podań – pracy jest dużo. Interesanci płyną przez mój gabinet jak woda w rzece; ani chwili nie miałem wolnej. W domu u mnie to samo. Drzwi się nie zamykają – jeden interesant wpada za drugim. Wreszcie zakazałem służącej przyjmowania interesantów; kazałem im oznajmiać, że nie ma mię w domu. Oprócz studentów, którzy mię tu nachodzą, wpadają jeszcze dziennikarze i młodzi pracownicy. Ci ostatni – to byli pomocnicy adwokatów, których nowa ustawa o sądownictwie wyrzuciła na mieliznę. Muszą oni albo naciągnąć w jakikolwiek sztuczny sposób swój staż do wykazania pięciu lat praktyki, albo przejść do kategorii obrońców prywatnych, albo rozpoczynać staż na nowo w charakterze kandydatów sądowych. Każda z tych dróg ma swoje strony dodatnie i ujemne, ale to jest im wszystkim wspólne, że na każdą dostać się jest trudno. Latają też oni jak opętani, prawdziwie ciężko dotknięci krzywdą i zaopatrują się w rekomendacje lub zasięgają opinii. Miałem też wizytę dr Sokołowskiego, który był referentem w naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Czy komisja ta będzie funkcjonowała nadal – tego nie wiem. Sokołowski w każdym razie do niej już należeć nie będzie, bo zamieszkał na stałe w Kłajpedzie jako radca gubernatora, upatrzony zresztą, jak się zdaje, na przyszłego gubernatora i właśnie w tej chwili pełniący czasowo te obowiązki w zastępstwie gubernatora, bawiącego na urlopie. Sokołowski jest pełny zapału i dokonał już kilku poważnych posunięć, paraliżujących akcję germanizacyjną czynników rządzących autonomicznych. Taki gubernator jak Sokołowski, który z wielkim nakładem energii wystudiował stosunki i zagadnienia kłajpedzkie, poznał kraj i w ogóle stał się nie dyletantem, lecz „specem" spraw kłajpedzkich, może dużo na tym stanowisku dokonać.

Przyjechał z Szaszewicz Stefan Römer i nocował w Kownie u mnie. Ma się stanowczo lepiej wobec tego, jak się miał w lipcu. Jednak do stanu normalnego nie wrócił. Trudno mu się jeszcze wysławiać, trudno o czymś dłużej myśleć; znać wielki upadek pamięci i w ogóle osłabienie władz umysłowych. Cichy jest i usposobiony serdecznie, nawet małostkowo, w tonie minorytarnym, pokorny. W gruncie nie ma humoru i energii ani wiary w siebie. Czy mu to przejdzie po drugiej lub trzeciej kuracji, czy też to już pozostanie i rozwinie się, niestety, w paraliż postępowy – to się pokaże.

3 września, rok 1933, niedziela

Przez całe wakacje letnie nie zdobyłem się na napisanie krótkiego referatu naukowego na mój rektorski publiczny wykład inauguracyjny w dniu aktu immatrykulacji. Teraz za to

muszę to odrobić w krótkim czasie. W referacie tym rozważam problem, czy prawo jest zjawiskiem li tylko państwowym, czy też społecznym, towarzyszącym wszelkim formom obcowania społecznego ludzi. Ja sam osobiście jestem zdecydowanym rzecznikiem drugiej tezy – społecznej istoty prawa.

4 września, rok 1933, poniedziałek

Odbyło się pierwsze w tym roku akademickim posiedzenie senatu uniwersytetu pod moją jako rektora batutą. W składzie senatu na stanowiskach dziekanów w tym roku zaszły dwie zmiany następujące: Wydział Prawniczy jest reprezentowany przez dziekana Wacława Biržiškę, który zajął miejsce usuniętego ze względu na wiek prof. Leonasa, i Wydział Techniczny jest reprezentowany przez dziekana prof. Grinkiewicza, który zajął miejsce niewybranego ponownie prof. Wasilewskiego. Inni dziekani są ci sami, co poprzednio i, z wyjątkiem Kuraitisa, ci sami, co byli za czasów pierwszego rektoratu mojego: prof. Krėvė-Mickiewicz, prof. Lašas, prof. Žemaitis, prof. Jokubėnas. Dwaj prorektorzy – prof. ks. Česnys i prof. Jodelė – i sekretarz prof. Purėnas uzupełniają komplet Senatu. Ze spraw, które nam dziś zajęły więcej czasu i debat, zanotuję sprawę wyboru członków Rady Gospodarczej na nową kadencję trzyletnią i sprawę egzaminów z litewskiego dla nowo wstępujących do uniwersytetu. W Radzie Gospodarczej zasiadali dotąd li tylko członkowie wydziałów tzw. nauk ścisłych (Karecki – z Wydziału Przyrody, Żyliński – z Medycyny i stary Jankowski – Techniki). W tym roku należy wybrać czterech, bo jeden pozostał nie wybrany na miejsce Jodeli przy wyjściu tegoż na prorektora. Otóż Jodelė chciał obecnie podsunąć kandydaturę technika prof. Wasilewskiego. Wszakże z mojej inicjatywy podniesiona została myśl o uzupelnieniu wyboru przez przedstawicieli wydziałów nauk humanistycznych (Teologia, Humanistyka, Prawo), które mogą się czuć pokrzywdzone, nie będąc nigdy dopuszczone do gospodarki akademickiej. W myśl mojej inicjatywy zgłoszona została kandydatura prof. Jurgutisa z prawa i Michała Biržiški z Humanistyki. Obaj też zostali wybrani, dwaj inni zaś zostali wybrani Karecki i Żyliński.

5 września, rok 1933, wtorek

Cytuję dosłownie moją mowę rektorską, przygotowaną na uroczystość immatrykulacji. Oto jej treść (początek):

„*Vytauto Didžiojo Universiteto vadovybę aš turiu garbės perimti iš prof. Vinco Čepinsko. Visų buvusiųjų mūsų rektorių – jų iš viso buvo septyni – prof. Čepinskas rektoriavo ilgiausiai: visi kiti šeši – jų tarpe ir aš – buvome rektoriais iš viso šešerius metus, kiekvienas – vienerius metus, kiekvienas – po vieną kadenciją, profesorius gi Čepinskas vienas buvo rektoriumi tris kadencijas – iš viso penkerius metus – ir jei dabar nebūtų griežtai atsisakęs, jis būtų buvęs išrinktas dar ketvirtajai kadencijai, dar trejiems metams. Mūsų akademiniam jaunimui, mūsų studentijai, kuri dabar tebėra Universitete, - rektorius ir prof. Čepinskas – tai sinonimai: jiems rektorius tai ir yra prof. Čepinskas; kitokio jie nematė ir nepažinojo. Tačiau svarbu yra netiktai tatai, kad prof. Čepinskas ilgiausiai rektoriavo ir kad jo vardas su rektoratu yra mechaniškai surištas. Ypatingai svarbu yra tatai, kad prof. Čepinskas sugebėjo aukštai pakelti rektoriaus autoritetą, kad jisai buvo visos mūsų šalies visuomenės gerbiamas, o profesūros i studentijos – be to mylimas, kad rektoriaus titulą jisai jungė su žymiu mokslo vardu ir mokslo darbais, buvo plačiai žinomas užsienių mokslo srityse, turėjo plačių santykių ir sugebėjo gražiai mus reprezentuoti, kur i kada reikėjo. Jojo žodis buvo svarus ir tikslus, jojo mintys buvo aiškios, gilios ir gražios, jojo širdis buvo jautri ir teisinga, jisai buvo džentelmenas ir šviesus humanistas, kuris žmogų myli ir gerbia ir kuris žmoniškumo jausmą pats visur reiškia ir savo mokiniuose auklėja.*

Perimdamas rektoriaus funkcijas iš tokio žymaus asmens ir mokslininko ir mūsų akademinės visuomenės vardu atsisveikindamas su prof. Čepinsku, kaip rektoriumi, aš jam

dėkoju už visą tai, ką jisai mums iš savo gražios sielos yra davęs ir tarp kito ko už jo sukurtąją gražų ir turtingą mūsų Universiteto rektoriaus stilių, ir reiškiu džiaugsmą, kad prof. Čepinskas lieka mūsų akademinėje visuomenėje, kaip profesorius ir Fakulteto narys. Šioje savo vietoje – tęsdamas savo atsakingąjį mokslininko ir mokytojo darbą, - prof. Čepinskas be abejo neatsisakys mums kartais patarnauti savo nurodymais, savo žiniomis ir prityrimu, kai bendri mūsų Almae Matris reikalai bus jo pajėgų, jo proto ir širdies reikalingi..."[2]. Ciąg dalszy – jutro.

Urzęduję co dzień na uniwersytecie rano do godz. drugiej. Interesantów mam dużo. Roboty jest.

Spodziewałem się dziś przyjazdu Andrzeja Mieczkowskiego, ale się nie doczekałem.

6 września, rok 1933, środa

Ciąg dalszy tekstu mojej mowy na akt uroczysty akt immatrykulacji w d. 15 września:

„*...Toji aplinkybė, kad aš rektoriaus funkcijas perimu iš prof. Čepinsko, mano uždavinį ir palengvina ir apsunkina. Palengvina, nes aš randu gerai paruoštas rektoriaus pareigų ėjimo tradicijas ir gaires: man užtenka laikytis garbingų mano pirmtakuno pavyzdžių, turėti galvoje jo veikimo būdą, vadovautis jo idėjiniu palikimu... Apsunkina, nes kiekvienas mano paklydimas, palyginus jį su mano pirmtakuno veikimu, bus ryškesnis. Stiprios ir gražios tradicijos, tvirtas šių pareigų ėjimo būdas, stilingas mano didelio pirmtakuno rektoriavimas reikalaus iš manęs didesnio jėgų ir energijos įtempimo ir didins mano darbo atsakomybę.*

[2] „Kierownictwo Uniwersytetu Witolda Wielkiego mam zaszczyt przejąć od prof. Vincasa Čepinskasa. Ze wszystkich byłych naszych rektorów – było ich ogółem siedmiu – prof. Čepinskas urzędował najdłużej: pozostałych sześciu, i ja w tej liczbie, było rektorami łącznie przez sześć lat, każdy po roku, każdy po jednej kadencji, profesora zaś Čepinskas jedyny był rektorem przez trzy kadencje, łącznie pięć lat, i gdyby teraz nie odmówił stanowczo, byłby wybrany i na czwarta kadencję – na kolejne trzy lata. Dla naszej młodzieży akademickiej, naszej studenterii, która obecnie jest na uniwersytecie, rektor i prof. Čepinskas – to synonimy: dla nich rektor to jest właśnie prof. Čepinskas; innego nie widziała ona i nie zna. Ważne jest jednak nie tylko to, że Čepinskas najdłużej był rektorem i że jego imię jest mechanicznie związane z rektoratem. Szczególnie ważne jest to, że prof. Čepinskas potrafił wysoko podnieść autorytet rektora, że cieszył się on szacunkiem całego społeczeństwa naszego kraju, a przez profesurę i studentów był też kochany, że tytuł rektora łączył on ze sławnym imieniem naukowym i pracami naukowymi, był szeroko znany w kołacz naukowych za granicą, miał rozległe stosunki i potrafił pięknie nas reprezentować, gdzie i kiedy tylko było to potrzebne. Jego słowo było ważkie i celne, jego myśli były jasne, głębokie i piękne, jego serce było wrażliwe i sprawiedliwe, był on dżentelmenem i oświeconym humanistą, który kocha i szanuje człowieka i który poczucie człowieczeństwa sam wszędzie szerzy i zaszczepia je swoim wychowankom.
Przejmując funkcje rektorskie od takiej znanej osoby i uczonego oraz w imieniu naszej społeczności akademickiej żegnając się z prof. Čepinskasem jako rektorem, dziękuję mu za to wszystko, co nam ze swej pięknej duszy dał, w tym za stworzony przezeń piękny i treściwy styl rektora naszego uniwersytetu, i cieszę się, że prof. Čepinskas pozostaje w naszej społeczności akademickiej jako profesor i członek wydziału. Na tym stanowisku – kontynuując swoją odpowiedzialną pracę uczonego i nauczyciela – prof. Čepinskas niewątpliwie nie odmówi nam czasami pomocy swymi wskazówkami, swoją wiedzą i doświadczeniem, kiedy dla wspólnej sprawy naszej Almae Matris jego siły, jego umysł i serce okażą się potrzebne...".

Teisingai bus iš manęs daugiau reikalaujama, nes tasai, kuris po Čepinsko drįsta apimti Vytauto Didžiojo Universiteto vadovybę, - turi sugebėti šią savo drąsą pateisinti.

Atsakomybė ir garbė – tai nėra lengvas dalykas. Tačiau lengvais darbais žmogus daug ir nenuveiks. Tad ryžkimės atlikti sunkius darbus, nepasiduokime senatvei, iš nuolatinio santykiavimo su jaunaisiais ir patys – profesoriai ir vadai – semkimės jaunystės ir tada tikrai toli nužengsime pirmyn ir daug pasieksime. Darbas ir energija, tvirtas atkaklus pasiryžimas padaryti daugiau, negu iki šiol esame padarę, aiškus supratimas, kad tasai, kuris sustojo vietoje, jau tuo pačiu atsilieka ir regresuoja, ir kad gyvybė yra darbas – tai turi būti mūsų kiekvieno obalsys ir akstinas – profesorių ir studentų, eilinių ir vadų. Mes, Universitetas, esame didelė darbo šeima, mes esame organizuota korporacinė visuomenė, mes visi vieni nuo kitų – klodas nuo klodo, profesūra nuo studentijos, studentija nuo profesūros, Fakultetas nuo Fakultetų, semestras nuo semestrų, vieni organai nuo kitų organų – pereiname taip, kad vienų darbo vaisiai tiktai kitų darbu auga ir prinoksta. Todėl darbo, energijos ir pasiryžimo obalsys turi apimti mus visus. Niekas mūsų vienas nieko nepasieks, jei visi kiti bus apsileidę ir neveiklus. Tad ir rektorius nieko iš savo pažadų neištesės, jeigu jis veiks vienas ir neragins kitų bendrai veikti. Mūsų brangiosios Almae Matris glėby mes turime auklėti solidarumo pajutimą. Teologai ir humanistai, teisininkai ir technikai, medikai ir matematikai-gamtininkai – mes visi esame šio darbo draugai – profesoriai, asistentai ir studentai, rektorius, dekanai ir semestrų seniūnai, akademinio Senato garbingi nariai ir eiliniai studentai – mus visus jungia didysis darbo solidarumas. Mes esame darbo draugai, kurie turi kitas kitą mylėti, kito kitą gerbti, kitas kitam padėti. Net ir sroviniai socialinių pažiūrų ir ideologijos skirtumai, kurie reiškiasi ypač jaunime ir kurie gyvoje visuomenėje yra būtini, vis dėlto nesudaro ir negali sudaryti kažkokių nepereinamų sienų, skaldančių mūsų akademinę visuomenę. Visos srovės ir pažiūros, visos skirtingos kultūros, visos ideologijos ir nusistatymai – tai lyg įvairių spalvų spinduliai, kurie visi eina iš vieno bendrojo šviesos šaltinio ir kurių kiekvienas atlieka savo tam tikrąją funkciją, tad jie visi savo vietoje yra reikalingi ir naudingi ir visumos neardo...“[3].
Ciąg dalszy jutro.

---

[3] „...Ta okoliczność, że przejmuję funkcje rektora od prof. Čepinskasa, i ułatwia, i utrudnia moje zadanie. Ułatwia, bo zastaję dobrze przygotowane tradycje i zasady pełnienia obowiązków rektorskich: wystarczy, żebym się trzymał szczytnych wzorów mego poprzednika, żebym pamiętał o sposobach jego działania i kierował się jego spuścizną ideową... Utrudnia, bo każdy mój błąd na tle dokonań mego poprzednika stanie się jaskrawszy. Mocne i piękne tradycje, niezłomny konsekwentny sposób pełnienia tych obowiązków, wytworny styl urzędowania mojego wielkiego poprzednika wymagać będzie ode mnie większego wytężenia sił i energii i zwiększy moją odpowiedzialność za pracę. Wymagania wobec mnie będą większe, i słusznie, bo ten, który się po Čepinskasie odważa obejmować kierownictwo Uniwersytetem Witolda Wielkiego, musi potrafić okazać się tej odwagi godnym.
Odpowiedzialność i zaszczyt – to rzeczy niełatwe. Przez łatwe prace jednak człowiek niewiele dokona. Porywajmy się więc na trudne prace, nie poddawajmy się starości, ze stałego obcowania z młodymi sami – profesorzy i kierownictwo – czerpmy młodość i wtedy naprawdę pójdziemy daleko do przodu i osiągniemy wiele. Praca i energia, twarda i uparta determinacja dokonać więcej, niż zrobiliśmy dotychczas, jasne zrozumienie, że ten, kto zatrzyma się w miejscu, już przez to samo pozostaje w tyle i regresuje i że życie to jest trud – powinny być hasłem i bodźcem dla każdego z nas – profesorów i studentów, szeregowych i wodzów. My, Uniwersytet, jesteśmy jedną wielką rodziną w pracy, jesteśmy zorganizowaną społecznością korporacyjną wszyscy się przenikamy – grupa w grupę, profesura w studentów, studenci w profesurę, wydział w wydział, semestr w semestr, jedne organy w inne – w ten sposób, że owoce pracy

Odbyło się pierwsze w tym roku akademickim posiedzenie Rady Gospodarczej uniwersytetu pod moim przewodnictwem. Odbyła się licytacja na umundurowanie stróżów i kurierów uniwersytetu. Rada zebrała się w nowym składzie. Moje przewodniczenie w Radzie Gospodarczej jest niekonieczne. Zastępować mię może prorektor do spraw gospodarczych – prof. Jodelė.

7 września, rok 1933, czwartek

Przez dyrektora Departamentu Politycznego Lozoraitisa wezwał mię na dziś do siebie minister spraw zagranicznych Zaunius. Zaangażował mię w imieniu swoim i prezesa ministrów Tubelisa do dwóch rzeczy. Chodzi o nową ustawę o sądownictwie, która, jak wiadomo, dotyczy z wielu względów sądownictwo kłajpedzkie. Niemcy czynią poważne zarzuty tym przepisom ustawy, twierdząc, że gwałcą one statut i Konwencję Kłajpedzką. Zdaje się, że chcieli oni rozpoznawać te zarzuty w komisji, obradującej nad umową handlową między Niemcami a Litwą, ale Zaunius, zdaje się, zaoponował, wskazując, że dla wszczęcia tej kwestii jest droga dyplomatyczna wymiany not. Zaunius spodziewa się, że Niemcy wkrótce to uczynią i że niebawem wypadnie debatować z nimi tę kwestię. Chce on i mnie zaprząc do tych debat. Zgodziłem się na to w zasadzie, choć oczywiście posługiwać się będę językiem li tylko francuskim, nie zaś niemieckim. Ale Zaunius domyśla się, że Niemcy nie zadowolą się debatami z Litwinami, wiedząc zresztą dobrze, że Litwini nie dadzą się przekonać i wobec tego Niemcy zechcą podjudzić przeciwko Litwie sygnatariuszy konwencji, jak to miało miejsce w przedmiocie sprawy Bötchera, ażeby przez nich wywołać debaty w Radzie Ligi Narodów, a nawet ewentualnie w Hadze. Otóż Zaunius uważa za wskazane skorzystać z okazji posiedzenia plenum Ligi Narodów, które ma się odbyć niebawem, 25 września, aby tam w Genewie wejść w kontakt z prawnikami sygnatariuszy i ich do tezy litewskiej skłonić, a przynajmniej podkopać w nich wiarę w argumenty niemieckie. Do tej akcji Zaunius chce mię także użyć. Proponuje mi on, abym na 25 września pojechał do Genewy w charakterze przedstawiciela Litwy na plenum Ligi Narodów. Nic bym tam na tym plenum nie miał do czynienia, jeno przy tej okazji byłaby zarządzona poufna konferencja z juryskonsultami sygnatariuszy – znanymi mi z roku zeszłego sir Williamem Malkinem, p. Pilottim i p. Basdevantem. Zgodziłem się i na tę kombinację. Nie są to jeszcze rzeczy pewne i

---

jednych tylko dzięki pracy innych rosną i dojrzewają. Dlatego hasło pracy, energii i determinacji powinno znajdować odzew we wszystkich. W pojedynkę nikt z nas niczego nie osiągnie, jeżeli inni będą obojętni i bezczynni. Również rektor nic nie spełni ze swych obietnic, jeżeli będzie działał w pojedynkę i nie będzie zachęcał innych do wspólnego działania. W objęciach naszej kochanej Almae Matris musimy pielęgnować poczucie solidarności. Teolodzy i humaniści, prawnicy i technicy, medycy i matematycy-przyrodnicy – wszyscy jesteśmy kolegami w tej pracy – profesorzy, asystenci i studenci, rektor, dziekani i starostowie semestrów, czcigodni członkowie senatu i szeregowi studenci – łączy nas wszystkich szczytna solidarność pracy. Jesteśmy kolegami w pracy, którzy powinni kochać się, szanować i pomagać sobie nawzajem. Nawet różnice w prądach i poglądach społecznych i ideologicznych, jakie występują szczególnie wśród młodzieży i które w żywym społeczeństwie są konieczne, mimo wszystko nie stanowią i nie mogą stanowić jakichś nieprzebytych murów, rozdzielających naszą społeczność akademicką. Wszystkie prądy i poglądy, wszystkie różne kultury, wszystkie ideologie i nastawienia są jak różnokolorowe promienie, tryskające wszystkie z jednego wspólnego źródła światła i z których każdy spełnia określoną funkcję – wszystkie są zatem na swoim miejscu potrzebne i pożyteczne i nie rozbijają całości...“.

zupełnie ustalone, ale prawdopodobne. Może więc wkrótce wypadnie mi nowa misja i podróż. Zaznaczyłem jednak Zauniusowi, że o ile wezmę udział w debatach z Niemcami w Kownie i z juryskonsultami sygnatariuszy w Genewie, to jeżeli sprawa oprze się o Trybunał Międzynarodowy w Hadze, nie będę mógł zapewne wziąć w nim udziału w charakterze sędziego *ad hoc*, bo sędzią nie może być człowiek, który w rozpoznawanej sprawie był agentem strony, udzielał jej porad, w ogóle działał z jej ramienia, bronił jej tez, uzasadniał jej stanowisko. Zaunius nie był się nad tym zastanowił i wskazał, że właśnie rząd liczył na mnie w razie odwołania się sygnatariuszy do Hagi. Nie dokończyliśmy z Zauniusem rozmowy, bo się śpieszył.

8 września, rok 1933, piątek

Młoda Rzeczpospolita Litewska nie lubi swoich początków nacechowanych głęboką demokracją, która dziś nie jest w modzie. Toteż od roku 1930 Litwa przystosowała swoje święto narodowe nie do jednego z wypadków swojej współczesnej odbudowy państwowej, jak np. rocznica zgromadzenia się Sejmu Ustawodawczego, rocznica ogłoszenia pierwszej konstytucji, lecz do odległego wypadku swej przeszłości historycznej, mianowicie do daty niedoszłej koronacji Witolda Wielkiego. Jest to właśnie data dzisiejszego dnia. Z dat uroczystych odrodzenia współczesnego Litwy pozostało nietknięte święto 16 lutego, stanowiące datę proklamowania Niepodległości Litwy. Na dzisiejsze święto złożyła się parada wojskowa z mszą polową na placu Piotra Vileišisa i wieczorem galowe przedstawienie „opery litewskiej" „Grażyny" Karnowicza w teatrze miejskim. Miałem jako rektor zaproszenie na obie uroczystości i na obu też byłem. Parada była żywa i ładna, mimo że deszcz kilkakrotnie kropił. Opera „Grażyna" natomiast nie podobała mi się. Jest bardzo monotonna, pełna maniery.

Przechodzę teraz do ciągu dalszego mojej mowy rektorskiej na akt immatrykulacji akademickiej w d. 15 września (patrz dziennik pod datą pozawczorajszą):

„*...Mes visi esame darbo draugai ir broliai ir sudarome darbo bendruomenę aukštojo mokslo srity. Būdami par excellence laisvosios profesijos veikėjai, nepaliesti klasinio suskirstymo į darbdavius ir darbininkus ir todėl nereikalingi gintis vieni nuo kitų, nes mokslo plitimas ir skleidimas, mokymas ir studijavimas sudaro solidarias funkcijas, kurios viena nuo kitos pereina ir kita kitos yra lygiai reikalingos ir todėl jos visos tilpsta vieningoje aukštojo mokslo universitetinėje korporacinėje bendruomenėje – mes išvengiame to pavojaus, kuris reiškiasi profesiniuose sindikatuose: mes nesame savo reikalų ginimo organizacija, mes nesame socialinės kovos organizuota jėga ir socialinio smurto veiksnys. Mūsų mokslinio ir švietimo darbo našumas – štai mūsų garbė, štai mūsų veikimo devizas.*

Pasiryžimas dirbti ir daugiau nuveikti ir veikimo drausmė – tai ir yra tai, kas iš mūsų teisingai laukiama ir reikalaujama. Dirbdamas žmogus visuomet duoda iš savęs tai, kas jame yra; mokslininkas tegali duoti tiktai tai, ką jisai žino; bet ką ir kiek jisai žino ir sužinoti gali – tatai pereina nuo jo pajėgų, nuo jo sugebėjimo stebėti, organizuoti savo studijas, tvarkyti savo žinių medžiagą; o tatai vėl pereina nuo pasiryžimo dirbti ir nuo darbo drausmės. Tiktai šis pasiryžimas ir drausmė – tai grynai asmeniška žmogaus darbe, tai yra toji jėga, kurią žmogus tikrai pats valdo ir už ką jis atsako. Pajėgos, gabumai – be šio pasiryžimo ir drausmės – tai niekis, tai nesunaudojami turtai be jų ekonomijos, be jų ūkiško sutvarkymo, kurie žūsta ir virsta mėšlu. Žinoma – ten, kur nėra pajėgų, kur žmogus iš viso nesugeba dirbti, ten ir didžiausias pasiryžimas nieko negelbsti. Tačiau tiktai šis pasiryžimas ir savęs valdymas, kuris sudaro drausmę, sunaudoja visą žmoguje esamą pajėgumą ir sugebėjimą, o tasai, kuris yra

davęs visą save, jau yra visą davęs ir jam jau nieko prikišti negali. Tad būkime pasiryžę dirbti ir tada mūsų pareiga bus atlikta...“[4]. Ciąg dalszy jutro.

9 września, rok 1933, sobota

W Radzie Stanu wznowiłem dziś pracę nad projektem metrykacji cywilnej i ślubów cywilnych. Jesteśmy na ukończeniu drugiego czytania projektu ustawy o małżeństwie. Do składu komisji poza Ciplijewskim, Kriščiukaitisem, mną i referentem Raczkowskim przybył Jan Vileišis. Współpracownictwo w Radzie Stanu utrzymam do czasu ukończenia prac komisji nad projektem tej reformy. Po ukończeniu tej pracy zapewne się ze współpracownictwa w Radzie Stanu usunę.

Ciąg dalszy mojej inauguracyjnej mowy rektorskiej na uroczystości aktu immatrykulacji w dniu 15 września:

„*...O dėl mūsų pajėgų ir sugebėjimų – mes nepasitikėti savimi neturime pagrindo. Tai yra kapitalas, kurį į mus įdėjo praeitis, tai yra kondensuotas mūsų socialinės gamtos, tautos, istorijos palikimas, kuris gludi mumyse. Lietuviai yra gabi tauta. Tiek senoji, tiek jauniausioji mūsų šalies istorija mus įtikina, kad bijoti ir nepasitikėti savimi, kad mes nepajėgsime padaryti tai, ką kiti daro, nėra jokio pagrindo. Mes matome, kad kai kildavo pasiryžimas žengti pirmyn ir veikti, - tai mes tiek valstybės kūrybos, tiek socialinio tvarkymosi, tiek meno, tiek ūkio ir kultūros srity esame sugebėję ne tiktai apginti tai, ką iš mūsų buvo kitų mėginama atimti, bet ir atlikti nepaprastus darbus ir pasiekti tiesiog stebuklingus laimėjimus. Paskutinių penkiasdešimties metų istorijoje – nuo Basanavičiaus „Aušros“ ir knygnešių tragingos*

---

[4] „...Wszyscy jesteśmy w pracy kolegami i braćmi i stanowimy wspólnotę pracowniczą w dziedzinie szkolnictwa wyższego. Będąc *par excellence* przedstawicielami wolnego zawodu, których nie dotyka podział klasowy na pracodawców i pracobiorców, nie potrzebujemy bronić się jedni przed drugimi, ponieważ rozwijanie i szerzenie nauki, nauczanie i studiowanie stanowią funkcje solidarne, które jedna przechodzi w drugą i są sobie nawzajem równie potrzebne i dlatego wszystkie się mieszczą w jednolitej uniwersyteckiej wspólnocie korporacyjnej nauczania wyższego – nie grozi nam niebezpieczeństwo, które występuje w syndykatach zawodowych: nie jesteśmy organizacją do obrony swoich interesów, nie jesteśmy zorganizowaną siłą do walki społecznej i czynnikiem społecznej przemocy. Wydajność naszej pracy naukowej i oświatowej – oto nasz honor, oto dewiza naszego działania.
Zdecydowanie do pracy i coraz większych osiągnięć i dyscyplina pracy – to jest właśnie to, czego się od nas słusznie oczekuje i wymaga. Pracując człowiek zawsze daje z siebie to, co w nim jest; uczony może dać tylko to, co sam wie; ale co i ile wie i może poznać – to zależy od jego potencjału, od jego zdolności obserwowania, organizowania własnych studiów, porządkowania bagażu swoich wiadomości; to zaś z kolei zależy od gotowości do pracy i dyscypliny pracy. Tylko że ta gotowość i dyscyplina są czysto osobnicze w pracy człowieka, to ta siła, którą człowiek naprawdę sam kieruje i sam za nią odpowiada. Potencjał, zdolności bez tej gotowości i dyscypliny – to nic, to niespożytkowane bogactwo bez jego oszczędzania, bez gospodarskiego nim dysponowania, które ginie i przekształca się w nawóz. Wiadomo, tam, gdzie nie ma potencjału, gdzie człowiek w ogóle nie potrafi pracować, tam żadna gotowość i determinacja nic nie pomoże. Jednakże tylko ta determinacja i samokontrola, która stanowi dyscyplinę, uruchamia cały tkwiący w człowieku potencjał i zdolności, ten zaś, który oddaje całego siebie, oddał już wszystko i niczego mu zarzucić nie można. Bądźmy więc pełni zdecydowania do pracy i wtedy nasz obowiązek będzie spełniony...“.

epopėjos – tai milžiniškas žingsnis pirmyn, kuriam lygiu mes retai kitur berasime. Ir jei vis dėlto ne viskas dar yra pasiekta, jei dar yra skaudžių spragų, jei mes dar nesame laimėję Vilnių, jei bendrojoje civilizacijoje mūsų šalis dar yra kiek atsilikusi, jei ir mokslo srity dar yra trūkumų – tai stebėtis ir pasyvizmui pasiduoti netenka. Mūsų senesnioji karta dar pati atsimena Lietuvą prieš 50 arba 40 metų; mūsų jaunesnieji arba jos visai nepažinojo, arba pažinojo ją tarp 1905 m. ir Didžiojo Karo, kada jau mūsų šalis buvo atgimusi ir kada visu frontu ėjo darbas ir kova už Lietuvos susitvarkymą ir už šviesesnę ateitį, tačiau ir jie iš gyvų tradicijų ir rašinių gali turėti supratimą, kas tai buvo toji Lietuva prieš lietuvių tautos atgimimą: tai buvo visų užmirštas užkampis, tai buvo kažkokia provincija be vardo, nesudaranti net administracinio aiškaus vieneto, o joje lietuviai – tai buvo tiktai etnografinė medžiaga, nesujungta visuomeniniu ryšiu, įvaryta į žemiausiąjį socialinį sluoksnį – pastebima tiktai mokslininkų ir gylių šalies žinovų, bet šiaip jau žmonių ir ypač politikų visiškai ignoruojama. Ir iš karto ne masės, ne organizuotos visuomenės, bet kelių, vėliau keliolikos, keliasdešimties, kelių šimtų, kelių tūkstančių entuziastų pasiryžimu ėmė augti ir tvarkytis tauta, šalies visuomenė, jos kultūra, jos nusimanymas, jos kūrybinės pajėgos, jos valstybė... Ir šiandien jau nėra jėgos, kuri galėtų ją pavergti, nes net išplėšus iš jos valstybinę nepriklausomybę, ji liktų gyva ir ankščiau ar vėliau atstatytų savo nugriautą valstybę.

Mūsų aukštas Universiteto mokslas gyvuoja vos savo dvyliktus metus, jis yra vienas brangiausių mūsų šalies atgimimo žiedų, ir jei mes visi busime taip pasiryžę, kaip buvo pasiryžę tie, kurie Lietuvą yra atstatę, jei mūsų profesūra ir studentija, jei visi mūsų organai ir fakultetai, jei visos mūsų įstaigos ir institucijos ims veikti kiek pajėgdamos, tai mes tikrai sukursime mokslo ir švietimo rūmus, kurių iš mūsų laukia Lietuva ir kuriuos mes, patys iš jos atgimimo išaugę, jai esame skolingi...“[5]. Ciąg dalszy, a może już dokończenie – jutro.

[5] „...Jeśli zaś chodzi o nasz potencjał i zdolności, to wątpić w siebie nie mamy powodu. To jest kapitał, jaki umieściła w nas przeszłość, to jest skondensowana spuścizna naszej natury społecznej, narodu, historii, która w nas tkwi. Litwini są zdolnym narodem. Zarówno dawna, jak najnowsza historia naszego kraju przekonuje nas, że nie ma żadnych podstaw, byśmy się bali i nie ufali w siebie, że nie potrafimy dokonać tego, czego dokonują inni. Widzimy, że kiedy nie brakło determinacji iść do przodu i działać, to zarówno w budowie państwa, jak w przeobrażeniach społecznych, w sztuce, w gospodarce i kulturze potrafiliśmy nie tylko obronić to, co inni chcieli nam odebrać, ale i dokonać niezwykłych czynów i osiągnąć wprost cudowne wyniki. W dziejach ostatniego pięćdziesięciolecia – od „Aušry“ Basanavičiusa i tragicznej epopei nosicieli książek – jest to gigantyczny krok do przodu, równego któremu nie da się chyba nigdzie znaleźć. I jeżeli pomimo to nie wszystko jeszcze zostało osiągnięte, jeżeli są jeszcze dosadne braki, jeżeli jeszcze nie zdobyliśmy Wilna, jeżeli w ogólnej cywilizacji nasz kraj jest jeszcze nieco w tyle, jeżeli i w sferze nauki są jeszcze niedociągnięcia – to nie należy się dziwić i poddawać się pasywizmowi. Nasze starsze pokolenie samo jeszcze pamięta Litwę sprzed 50 czy 40 lat; młodsi albo zupełnie jej nie znają, albo poznali ją w okresie między 1905 r. a Wielką Wojną, kiedy nasz kraj już się obudził i kiedy na całym froncie wrzała praca i walka o przemiany na Litwie i o świetlaną przyszłość, ale i oni z żywej tradycji i pism mogli mieć pojęcie, czym była ta Litwa przed odrodzeniem narodu litewskiego: to był zapomniany przez wszystkich zakątek, to była jakaś bezimienna tradycja, nie stanowiąca nawet osobnej jednostki administracyjnej, a Litwini w niej – to był tylko materiał etnograficzny, nie scementowany związkami społecznymi, zepchnięty do najniższej warstwy społecznej, zauważany tylko przez uczonych i głębokich znawców kraju, przez ogół zaś i zwłaszcza przez polityków zupełnie ignorowany. I początkowo z determinacji nie mas, nie zorganizowanych środowisk, lecz kilku, później kilkunastu, kilkudziesięciu, kilkuset, kilku tysięcy

10 września, rok 1933, niedziela

Rano przyjechał wreszcie Andrzej Mieczkowski. Podanie do uniwersytetu przysłał już poprzednio pocztą. Zapisze się na Wydział Humanistyczny na filologię. Sam to sobie wybrał. Mieszkać będzie i stołować się u mnie. We dnie będzie miał do swojego użytku pokój jadalny, w którym będzie miał swój stolik i lampę do sztapela, a spać będzie w łóżku za parawanem w pokoju poczekalnym środkowym bez okien.

Ciąg dalszy – a może już i dokończenie mojej mowy rektorskiej na akt immatrykulacji w dniu 15 września:

„*...Visur pasauly Universitetai dar iš Viduramžių laikų yra išsaugoję savo garbingą korporacinę santvarką, kurios pamatus prieš beveik 1000 metų yra padėję Paryžiaus ir Bolonijos teisininkų aukštosios mokyklos, virtusios Paryžiaus Sorbonos ir Bolonijos Universitetais. Šia korporacine santvarka naudojamės ir mes, Vytauto Didžiojo Universitetas. Mes, Universitetas, nuo profesorių iki studentų, šią santvarką gerbiame ir norime ją išlaikyti. Lietuvos valstybės junginy mes turime savo autonominę darbo vietą, kurią mums rūpi išsaugoti. Mes nusimanome, kad korporacijai yra reikalinga autonomija, kuria ji skiriasi nuo biurokratinės valdomosios įstaigos, ir žinome, kad mūsų korporacinė autonomija, pagrįsta valstybės mums suteiktu statutu, nėra ir negali būti priešinga valstybei, jos organams ir jos įstatymams, nes visos korporacijos valstybėje yra valstybinės korporacijos nariai, o mūsų aukštojo mokslo ir mokymo funkcija mums yra valstybės pavesta vykdyti valstybės lėšomis ir valstybės priežiūroje. Korporacinė ir tuo pačiu autonominė santvarka yra reikalinga savųjų organų; visi mūsų Universiteto korporacijos nariai – tiek profesūra, tiek studentija, tiek fakultetai, turi turėti savo teisinius organus savo bendrajam darbui dirbti, jam vadovauti, jį prižiūrėti. Šių organų konstrukcija turi laidoti jų tikslų veikimą ir išsaugoti jų funkcionalinį pobūdį, kad jie nenukryptų i kažkokius spekuliatyvinio veikimo šuntakius. Bet jeigu tokie reiškiniai atsitiktų ir jų nebūtų galima kitaip pašalinti, tai tada turėtų kilti atitinkamų organų rekonstrukcijos klausimas. Tačiau paties principo tai nekeičia ir negriauna, o principas – aiškus: visi, ypač visi organizuoti Universiteto korporacijos nariai turi turėti savo korporacinės funkcionalinės padėties srity galimybę reikštis per savo autonominiu, teisėtumo atžvilgiu prižiurimus, organus. Šio reiškimosi proceso ir organizacijos konstrukcija – tai organizacinės technikos ir teisinio meno dalykas.*

Paskutinį mano žodį aš kreipiu į mūsų jauniausius draugus, kurie šiais metais yra pareiškę norą įstoti į mūsų akademinę visuomenę. Mes juos priimame į mūsų tarpą ir tikimės, kad jie rimtai ir sąžiningai eis savo naujas pareigas ir laikysis drausmės, tradicijų ir garbingos mūsų Almae Matris nuostatą. Tačiau jie turi žinoti, kad Vytauto Didžiojo Universitetas, Lietuvos mokslinių pajėgų Alma Mater – tai nėra kažkokie užvažiuojamieji

---

entuzjastów zaczął wyrastać i kształtować się naród, społeczeństwo kraju, jego kultura, jego świadomość, jego potencjał twórczy, jego państwo... I dziś nie ma już takiej siły, która potrafiłaby go ujarzmić, bo nawet gdyby mu przemocą wydarto niepodległość państwową, pozostałby on nadal żywy i wcześniej czy później odbudowałby swoje zniszczone państwo.

Nasze wyższe szkolnictwo uniwersyteckie, choć istnieje zaledwie dwunasty rok, jest jednym z najdroższych kwiatów odrodzenia kraju, i jeżeli będziemy wszyscy tak zdecydowani, jak byli zdecydowani ci, którzy odbudowali Litwę, jeżeli nasza profesura i nasi studenci, jeżeli wszystkie nasze organy i wydziały, jeżeli wszystkie nasze urzędy i instytucje zaczną działać z cała mocą, to naprawdę zbudujemy pałac nauki i oświaty, jakiego oczekuje od nas Litwa i jaki my, wyrośli z jej odrodzenia, jesteśmy jej dłużni...".

namai, kur kiekvienas gali elgtis, kaip jam patinka. Mes čia esame susibūrę rimtam ir dideliam darbui dirbti mokslo, Lietuvos ir Žmonijos vardu ir labui. Tad ir iš jūsų mes griežtai reikalausime drausmės, idealizmo ir darbo. Seniau buvo pas mus įprotis, kad per imatrikuliacijos aktą rektorius asmeniškai fiziškai paspausdavo kiekvieno naujai įstojančio ranką. Dabar šis įprotis yra pakeistas simbolišku rankos paspaudimu žodžiu. Šiuo simbolišku rankos paspaudimu aš Jus priimu į mūsų darbo šeimą ir priimu iš kiekvieno jūsų garbės pasižadėjimą elgtis, kaip tinka Vytauto Didžiojo Universiteto akademikui“[6].

---

[6] „...Wszędzie na świecie uniwersytety jeszcze od czasów Średniowiecza zachowały swój szczytny ustrój korporacyjny, którego fundamenty zostały założone prawie tysiąc lat temu przez wyższe szkoły prawników w Paryżu i Bolonii, przekształcone później w paryską Sorbonę i Uniwersytet Boloński. Z tego ustroju korporacyjnego korzystamy i my, Uniwersytet Witolda Wielkiego. My, Uniwersytet, od profesorów do studentów, szanujemy ten ustrój i chcemy, by trwał. W związku państwa litewskiego mamy swoje autonomiczne stanowisko pracy i chodzi nam, by zostało ono zachowane.
Uświadamiamy sobie, że korporacja potrzebuje autonomii, którą różni się ona od instytucji zarządzanej biurokratycznie i wiemy, że nasza autonomia korporacyjna, bazująca na udzielonym nam przez państwo statucie, nie jest i nie może być przeciwna państwu, jego organom i jego prawom, ponieważ wszystkie korporacje w państwie są członkami korporacji państwowej, a nasza funkcja szkolnictwa wyższego została nam zlecona przez państwo do wykonania za państwowe środki i pod nadzorem państwa.
Korporacyjny, a przez to autonomiczny ustrój potrzebuje własnych organów; wszyscy członkowie korporacji naszego Uniwersytetu – zarówno profesura, jak studenci, wydziały powinni mieć własne legalne organy do wykonywania wspólnej pracy, kierowania i nadzoru nad nią. Konstrukcja tych organów powinna zapewniać osiąganie ich celów i zachowywać ich charakter funkcjonalny, aby nie zeszły one na jakieś błędne ścieżki działań spekulatywnych. Gdyby jednak takie zjawiska się ujawniły i nie byłoby można ich wyeliminować inaczej, wtedy dopiero stanęłaby kwestia rekonstrukcji odnośnych organów. Samej jednak zasady to nie zmienia i nie obala, zasada zaś jest jasna: wszyscy, szczególnie wszyscy zorganizowani członkowie korporacji uniwersyteckiej powinni mieć w sferze swego korporacyjnego położenia funkcjonalnego możliwość wyrazu poprzez swoje autonomiczne, nadzorowane pod względem prawnym organy. Konstrukcja procesu i organizacji tego wyrazu – to rzecz techniki organizacyjnej i sztuki prawnej.
Końcowe swoje słowa kieruję do naszych najmłodszych kolegów, którzy w tym roku wyrazili chęć wstąpienia do naszej społeczności akademickiej. Przyjmujemy ich do siebie i mamy nadzieję, że będą oni traktowali swoje nowe obowiązki poważnie i odpowiedzialnie i będą przestrzegać dyscypliny, trzymać się tradycji i szczytnych ideałów naszej Almae Matris. Powinni oni jednak wiedzieć, że Uniwersytet Witolda Wielkiego, Alma Mater litewskich sił naukowych – to nie jakiś zajazd, gdzie każdy może zachowywać się tak, jak mu się podoba. Zebraliśmy się tu dla poważnej i wielkiej pracy dla dobra nauki, Litwy i całej ludzkości. Będziemy więc również od was surowo wymagać dyscypliny, idealizmu i pracy. Dawniej był u nas zwyczaj, że podczas aktu immatrykulacji rektor osobiście fizycznie ściskał dłoń każdemu immatrykulowanemu. Obecni ten zwyczaj został zastąpiony przez symboliczny, słowny uścisk ręki. Tym symbolicznym uściskiem dłoni przyjmuję was do naszej rodziny i odbieram od każdego z was uroczyste przyrzeczenie, że będziecie się zachowywać tak, jak przystoi akademikowi Uniwersytetu Witolda Wielkiego“.

Na tym moją mowę zakończę.

11 września, rok 1933, poniedziałek

Ukończyłem dziś mój inauguracyjny rektorski wykład naukowy na akt immatrykulacji. Wygłoszę go z rękopisu. Temat: „Społeczne pochodzenie prawa" („Visuomeninė teisės kilmė").

12 września, rok 1933, wtorek

W czasie mego urzędowania na uniwersytecie zawiadomiono mię, że na godz. pierwszą po południu wzywa mię do siebie Prezydent Rzeczypospolitej. Śpiesząc do niego, myślałem, że jest to w związku z zeszłotygodniową propozycją ministra Zauniusa co do mojej jazdy do Genewy. Nie o to jednak chodziło. Byłem wezwany do Prezydenta jako rektor, ale chodziło o sprawy nie tyle ogólnouniwersyteckie, ile dotyczące Wydziału Prawniczego. Nade wszystko chodziło o wysadzenie z uniwersytetu docenta Antoniego Tumėnasa i o pewną reformę katedr wydziałowych, mianowicie o skasowanie katedry encyklopedii i katedry historii filozofii prawa i o ewentualne ustanowienie nowej katedry prawa kanonicznego czy też prawa państwowo-kościelnego. Rząd zdołał się już pozbyć Leonasa, który uprawiał na uniwersytecie politykę opozycyjną, a teraz solą w oku mu jest Tumėnas, który czyni to samo: wykładając „prawo konstytucyjne litewskie" – Tumėnas uprawia wyraźną propagandę polityczną; wyłącznym przedmiotem jego wykładu jest konstytucja z r. 1922, której on sam jest autorem i która była uchwalona przez Sejm Ustawodawczy za rządów chrześcijańsko-demokratycznych, natomiast nie liczy się wcale z przewrotem grudniowym r. 1926 i jego pogłębieniem kwietniowym z r. 1927, nie przyznaje żadnej mocy prawno-twórczej tym przewrotom i ignoruje zupełnie prowizorium konstytucyjne z roku 1928. Rzeczywiście Tumėnas zupełnie nie naukowo te rzeczy traktuje i nie umie się pozbyć skóry politycznej dla naukowej, a sam żadnej zgoła wydajności nie wykazuje, bo przez lat 12 nie napisał i nie wydrukował żadnej rozprawy, żadnego nawet artykułu naukowego; jego opieszałość jest po prostu skandaliczna. Katedry „litewskiego prawa konstytucyjnego" statut wcale nie przewiduje, bo przedmiot ten mieści się w mojej katedrze prawa konstytucyjnego i ja bym bardzo chętnie objął w moich wykładach prawo konstytucyjne litewskie. Rząd przeto chce zainterweniować, żądając wykreślenia z programu wykładów Tumėnasa jako równoległych do moich. Ale chce on pójść dalej i znaleźć sposób na wydalenie z wydziału samego Tumėnasa.

Po obiedzie odbyło się pierwsze zebranie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Obecni byli: ja, prof. Izydor Tamošaitis, dr Juodeika, Tomkus, dr Turowski, Karobis, Witold Mačys. Ustawa Towarzystwa Szkoły Nauk Politycznych jeszcze nie jest zatwierdzona, ale niebawem już zostanie zgłoszona do zatwierdzenia. Co do statutu szkoły, który trzeba będzie dać do zatwierdzenia ministrowi oświaty, to dziś przyjęliśmy jego rozdział III, którego projekt ja latem ułożyłem, inne zaś rozdziały były już przez nas na wiosnę przyjęte. Teraz więc przejrzymy jeszcze ostatecznie program i wtedy zgłosimy statut z programem do ministra.

13 września, rok 1933, środa

Nasza komisja konsultantów do spraw kłajpedzkich żyje. Obawiałem się, że zostanie zlikwidowana, zwłaszcza po wyjeździe do Kłajpedy dr Sokołowskiego, który był jej duszą i *spiritus movens*. Sokołowski ma teraz w Kłajpedzie stanowisko radcy gubernatora, ale właściwie jest inspiratorem słabego z natury gubernatora Gylysa, w tej chwili zaś pełni zastępczo obowiązki gubernatora i w tej roli działa śmiało, energicznie, dzielnie i konsekwentnie. Tymczasem komisja nasza żadnego stałego referenta, jakim był dr Sokołowski, nie posiada; składa się ona z tych samych czterech członków – Mašiolaitisa,

Lozoraitisa, Tadeusza Pietkiewicza i mnie. Na dzisiejszym pierwszym po wakacjach posiedzeniu komisji nie był obecny Lozoraitis, który bawi w Berlinie, biorąc udział w pracach nad umową handlową niemiecko-litewską. Mieliśmy dziś do omówienia dwie drobne kwestie, dotyczące veto gubernatora w stosunku do dwóch przyjętych przez sejmik ustaw.

Miałem też dziś krótkie posiedzenie komisji Rady Stanu w sprawie projektu ustawy o małżeństwie. Rada Stanu szuka teraz lokalu. Obecny jej lokal wspaniały w gmachu Ministerium Sprawiedliwości zabiera sąd, zdaje się, że Trybunał, który swój lokal ustępuje Izbie Apelacyjnej. Radzie Stanu proponowane są jakieś obskurne lokale, których Šiling przez wzgląd na godność Rady Stanu przyjąć nie chce.

Na uniwersytecie mam taką moc interesantów, że nic robić nie mogę. I tam, i w domu nachodzą mię też dziennikarze, zwłaszcza pism i pisemek studenckich.

14 września, rok 1933, czwartek

Znowu to samo – pracy po same uszy. Przyjmowanie interesantów, rozmaite sprawy okolicznościowe, poszczególne kwestie do rozstrzygnięcia, potrzeby profesorów, kwestie studenckie, wywiady dziennikarskie itd. – wszystko pochłania moc czasu i energii. Stanowisko rektorskie, skomplikowana funkcja administrowania wielkiej instytucji – wniosły nowy żywy i nerwowy element w moją pracę. Praca ta jest zupełnie różną od gabinetowej i biurkowej, która przeważała w moich zajęciach. Na tę ostatnią mam już czasu mniej. Nawet w domu interesanci mię odciągają od cichej spokojnej pracy metodycznej przy biurku.

Z dziekanem Wydziału Prawniczego Wacławem Biržišką bardo dobrze i skutecznie ułożyliśmy się co do metody traktowania podniesionych przez Prezydenta Rzeczypospolitej zagadnień reformy na Wydziale Prawniczym. Bardzo słusznie Wacław Biržiška oponuje przeciwko załatwianiu tych rzeczy w drodze „*coups d'etat*" rządowych, gwałcących autonomię wydziału i dezorganizujących jego pracę, gdy w istocie te same postulaty, które wystawia rząd, dają się osiągnąć i zrealizować w drodze porozumienia i kontaktu z wydziałem; tak w szczególności co do usunięcia Tumėnasa, w dalszej zaś konsekwencji co do reorganizacji niektórych katedr – współdziałanie i porozumienie rządu z wydziałem są zupełnie możliwe, tylko... *est modus in rebus*. Postanowiliśmy prosić o wspólną dla nas obu audiencję u Prezydenta. Tymczasem zaś byłem przed obiadem u ministra oświaty Šakenisa, aby mu złożyć wizytę rektorską jeszcze przed aktem immatrykulacji i zaprosić go osobiście na uroczystość tego aktu. Šakenis mi oświadczył, że rozmawiał właśnie z Prezydentem i że otrzymał już polecenie rozpoczęcia kroków tak w przedmiocie usunięcia Tumėnasa, jak w przedmiocie zgłoszenia do Gabinetu Ministrów wniosku o skasowanie katedr encyklopedii i historii filozofii prawa. Przekonać tego słabego człowieka bez charakteru, który sam inicjatywy nie ma, ale za to ma namiętność władzy i posłuch dla swoich przełożonych politycznych – Prezydenta i premiera – to rzecz prawie niewykonalna. Udało mi się tylko skłonić go do naszej idei odbycia przeze mnie z Wacławem Biržiška konferencji z Prezydentem i naturalnie z nim, Šakenisem, co do polubownego wykonania pewnej reorganizacji i zaprojektowania reform. Udział Šakenisa w tej konferencji u Prezydenta na nic się nie zda, bo Šakenis inicjatywy nie ma, ale trudno go obejść. Zresztą w obecności Prezydenta Šakenis nie jest straszny.

15 września, rok 1933, piątek

Odbył się kapitalny akt immatrykulacji na uniwersytecie – wielka uroczystość akademicka doroczna, która szczególnie się uwydatnia w tych latach, w których następuje zmiana rektorów. Na tej bowiem uroczystości ma miejsce obrządek przekazania funkcji rektorskich i popis nowego rektora.

Na uroczystość przybył minister oświaty Šakenis, wielka ilość profesorów i sporo studentów, zwłaszcza wielka gromada nowo wstępujących. Ja, jako główny mistrz ceremonii,

stawiłem się we fraku. Uroczystość rozpoczęła się o godz. 11 rano. Po zajęciu miejsc i po ustawieniu się w głębi za prezydium całego lasu barwnych sztandarów korporacyjnych, strzeżonych przez delegacje w mundurach i z obnażonymi rapierami, ceremonię rozpoczął ustępujący rektor Czapiński. W treściwym i niedługim przemówieniu Czapiński złożył rektorat, podziękował współpracownikom, scharakteryzował moją osobę; w ogóle bardzo serdecznie mówił o mnie, wymienił dużo z mojego życiorysu. Po Czapińskim zabrałem głos. Wygłosiłem z pamięci wielką mowę, którą przed kilku dniami w dzienniku zacytowałem. Mowa udała mi się dobrze. Wypowiedziałem ją wyraziście, płynnie. Potem przemówił minister. W pierwszej części mowy minister podnosił zalety i zasługi Czapińskiego, w drugiej – moje. Następnie udzieliłem głosu prezesowi sejmiku akademickiego – studentowi Janowi Štempasowi. Po jego przemówieniu chór akademicki pod batutą kompozytora Šimkusa odśpiewał państwowy hymn litewski. Po odśpiewaniu hymnu rozpoczęła się druga część programu: mój inauguracyjny odczyt naukowy na temat „Społeczne pochodzenie prawa". Odczyt trwał godzinę. Nudny nie był, wielu profesorów zainteresował. Po odczycie sekretarz uniwersytetu prof. Purėnas udzielił informacji o ruchu służbowym i personalnym na uniwersytecie. Odśpiewanie hymnu akademickiego „Gaudemus igitur!" zakończyło uroczystość. Pomimo zmęczenia – czułem się wesoły i podniecony, jak po wielkiej pracy, która się udała, jak żniwiarz na dożynkach. Po zakończeniu uroczystości publicznej odbyło się jeszcze krótkie posiedzenie publiczne rady uniwersyteckiej, na którym uchwalono na wniosek Wydziału Prawniczego udzielić tytuł profesora honorowego profesorowi Leonasowi, opuszczającemu uniwersytet dla późnego wieku, a następnie jeszcze posiedzenie senatu akademickiego dla kilku spraw pilnych. Dopiero po godz. trzeciej, mocno zmęczony, wróciłem do domu na obiad.

16 września, rok 1933, sobota

Znów dzień szalenie wyczerpujący: egzaminy studenckie, przeplatane innymi pracami. Już o ósmej rano zgłosiło się do mnie grono kandydatów do egzaminu – pełna siódemka; był w ich liczbie prezes sejmiku akademickiego Jan Štaupas, notariusz z Płungian Antoni Rogowski, mój zeszłoroczny słuchacz wzorowy Jan Undraitis (garbus), ekstern Masiliunas, kóry studia odbywał w Niemczech i prawo konstytucyjne słuchał u prof. Schückinga, mego zeszłorocznego kolegi z Hagi, gdy tenże jeszcze wykładał w Berlinie. Trzech przeegzaminowałem zaraz do dziesiątej i pośpieszyłem do uniwersytetu, gdzie na przyjmowaniu interesantów i załatwieniu podań oraz papierów bieżących szybko mi czas do południa upłynął. W południe pośpieszyłem do Rady Stanu na posiedzenie komisji do spraw metrykacji cywilnej. Stamtąd wróciłem jeszcze raz do uniwersytetu i potem na obiad. Po obiedzie miałem parę wizyt: Kazimierza Binkisa w sprawie mojego rękopisu o faszyzmie i sowietyzmie, który Binkis wydaje do swojej biblioteczki kursów dziennikarskich, i Tadeusza Katelbacha, dziennikarza polskiego z Warszawy z ramienia prorządowej „Gazety Polskiej", który przyszedł mi złożyć wizytę. Od szóstej miałem znowu egzaminy, które się skończyły dopiero po dziewiątej. Dziś egzaminy szły dobrze: z siedmiu egzaminujących się – czterej zdali celująco (Masiliunas, Walukiewicz, Štaupas i Undraitis). Po egzaminie byłem już z nóg zbity.

W Radzie Stanu dowiedziałem się dziś o panującym tam od lipca kryzysie: prezes Rady Stanu Šiling podał się do dymisji; rząd chce go utrzymać na stanowisku, ale Šiling dotąd podania nie cofnął. Šiling oponuje przeciwko rugowaniu Rady Stanu z Gmachu Sprawiedliwości, zarządzonemu przez ministra Aleksandra Żylińskiego, ewentualnie domaga się innego lokalu nie mniej efektownego, uważając, że Rada Stanu jest instytucją zbyt poważną, aby mogła się pogodzić z lokalem podrzędnym. Poza tym Šiling uważa, że rząd zbyt mało podkreśla zasługi Rady Stanu w sprawie ustawy o reformie sądownictwa. Zdaje się że Šilingiem powoduje głównie zazdrość względem ministra Żylińskiego, z którym się obaj

nienawidzą szczerze. Zdaje się, że Šiling liczył na to, iż po ogłoszeniu przez Prezydenta ustawy o sądownictwie, on, Šiling, zostanie powołany na stanowisko ministra dla wprowadzenia tej ustawy w życie – i zawiódł się.

17 września, rok 1933, niedziela

Cały dzień przesiedziałem w domu. Na obiedzie był u mnie Eugeniusz Römer, wieczorem wpadła Litka Komorowska, która wróciła z wakacji i spędzi całą zimę w Kownie jako guwernantka w domu pp. Lutyków. Litka była z Elizką w Wilnie. Elizka nie kupiła schedy Henrysia na kamienicy spadkowej. Zmieniła ona tylko rządcę tej kamienicy, mianowicie usunęła p. Januszewskiego i najęła Lola Wołodkowicza, swoje zaś pieniądze zlokowała częściowo w banku, częściowo zaś na hipotece kamienicy, przejąwszy na siebie należność hipoteczną p. Januszewskiego.

Ułożyłem dziś pozdrowienie dla arcybiskupa metropolity litewskiego księdza profesora Józefa Śkwireckiego, który jutro obchodzi swoją 60 rocznicę urodzin. Pozdrowienie napisałem bardzo wzniosłe i uroczyste.

18 września, rok 1933, poniedziałek

Na skutek mojej inicjatywy odbyła się dziś u Prezydenta Antoniego Smetony audiencja, udzielona przezeń w obecności ministra oświaty Šakenisa – mnie i dziekanowi Wydziału Prawniczego prof. Wacława Biržišce. Audiencja powiodła się znakomicie. Kontakt osobisty między rządem a władzami uniwersyteckimi jest zawsze najlepszy i najskuteczniejszy w załatwianiu spraw uniwersyteckich. To właśnie było ujemne w urzędowaniu naszego poprzedniego dziekana Wydziału Prawniczego, że, będąc w opozycji ideowej do obecnego rządu i będąc osobiście pokłócony z naczelnymi osobami tegoż, prof. Leonas lekceważył i ignorował rząd; nie zwracał się do niego nigdy, nie wchodził w kontakt, unikał go nawet, wszystkie potrzeby wydziału załatwiał w formie pisemnej; toteż wciąż były nieporozumienia i zatargi. Inne wydziały za pośrednictwem swoich giętkich dziekanów umiały obronić o co im chodziło, rozszerzyć się i rozrastać, zyskiwać to i owo od rządu, toteż się rozwinęły, podczas gdy Wydział Prawniczy był traktowany po macoszemu, uchodził za podejrzany i nic nie warty; nie było się komu zań ująć. Wydział operował drogą papierową, rząd się niecierpliwił i na bierny opór papierowy wydziału, na ignorowanie wniosków rządowych skłonny był odpowiadać aktami przemocy, rozkazami itd. Wacław Biržiška, następca Leonasa na stanowisku dziekana, ma właśnie dar giętkości i osobistego traktowania spraw. Toteż rozmowa dzisiejsza, stanowiąca pierwsze nawiązanie kontaktu, od razu rozwiał chmury jakiejś reformy arbitralnej z góry, narzucanej wydziałowi, jak się to dotąd przedstawiało. Porozumienie okazało się zupełnie łatwe, bo ostatecznie tak Prezydentowi Smetonie, jak dziekanowi Biržišce chodzi nie o jakieś gnębienie wydziału lub o męczeństwo ofiary rządowej, jeno o dobro nauki i uczelni, o poprawienie tego, co ma jakieś braki, o ulepszenie, nie zaś o psucie i wzajemne szkodzenie sobie. Z jednej strony, Wacław Biržiška znalazł rozwiązanie dla usunięcia Tumėnasa od wykładów litewskiego prawa konstytucyjnego i nie upierał się co do skasowania w przyszłości katedry encyklopedii i historii filozofii prawa i co do wprowadzenia nowej katedry prawa kościelnego, z drugiej – Smetona zrezygnował ze wszelkich zarządzeń radykalnych i ostrych, tolerując na razie Tumėnasa i nie forsując natychmiastowego kasowania katedry encyklopedii i filozofii, które się połączy z ogólnym programem reorganizacji katedr, natomiast prezydent bardzo gorąco poparł uwagi Wacława Biržiški co do konieczności wyszkolenia nowych sił profesorskich spośród młodych, którzy by zdołali za parę lat zastąpić tych, co wyjdą; trzeba bowiem przewidzieć ustąpienie już rychłe profesorów Kriščiukaitisa i Mačysa, którzy przekroczyli już granicę wieku i zbliżają się do siedemdziesiątki, oraz Bielackina i Stankiewicza, którzy w myśl nowej ustawy o adwokaturze będą musieli ustąpić bądź z adwokatury, bądź z profesury i z pewnością wybiorą

adwokaturę; jeżeli się do tego doda nową katedrę prawa kościelnego i ewentualnie nowy kurs prawa administracyjnego niemieckiego (kłajpedzkiego), to się widzi, ile trzeba będzie wydziałowi sił nowych do podołania zadaniom. Wyszkolenie nowych sił wymaga powiększenie liczby asystentów na sekcji prawniczej. Prezydent zaraz wyraził na to zgodę i zaofiarował trzy nowe asystentury prawnikom. Kandydatów do wyszkolenia na profesurę mamy dość – Olgierd Penkaitis, Konstanty Raczkowski (referent Rady Stanu) i paru innych, ale stanowisk etatowych i kredytów nie było. Słowem, konferencja zakończyła się bardzo ładnie i owocnie. Minister Šakenis zanotował sobie przyjęte wytyczne do wniesienia ich do Gabinetu Ministrów; wszakże potrzebne będzie jeszcze uzyskanie zgody prezesa ministrów Tubelisa.

19 września, rok 1933, wtorek

Andrzej Mieczkowski już od dni dziesięciu jest w Kownie i mieszka u mnie. Obserwuję, jak się zabiera do swojego życia akademickiego i w ogóle jak się zachowuje. I muszę z przyjemnością stwierdzić, że się mocno co do niego myliłem. W Bohdaniszkach w ostatnich kilku leciech robił on na mnie wrażenie przykre chłopca przedwcześnie zbłazowanego, znudzonego, niezaradnego, niedołęgi, który nie wie, czego chce, nie umie panować nad sobą, nie umie też niczego mocno chcieć. Pod tym względem daleko wyżej stawiałem jego młodszego brata Michasia. Tymczasem stanowczo się myliłem. Być może Bohdaniszki tak usposabiały Andrzeja, który rolnictwa nie lubi i którego może przygnębia arbitralny charakter ojca. Tutaj Andrzej jest właśnie pełny życia, inicjatywy, zaradny, ruchliwy, spostrzegawczy. Wszędzie go pełno, wszystko na uniwersytecie szybko wybada, o wszystkim się dowie, orientuje się doskonale, jest pomysłowy i wszystkiego ciekawy. Robi bardzo dodatnie wrażenie. Jest przy tym grzeczny, dyscyplinowany, ma humor równy i dobry, zawsze wesoły, ani cienia snobizmu. W domu też jest bardzo łatwy i cichy, gawędzi grzecznie i żartuje z Jadzią, bawi się z kotkiem, drażni dziecinnie małą Kostusię, naszą służącą-podlotka, ale wszystko w miarę i grzecznie, poza tym cicho przy swoim stoliku siedzi, jest pełny taktu i umie się zastosować do trybu domowego.

20 września, rok 1933, środa

Rozpocząłem dziś wykłady ekonomistom na semestrze III. Mam im wykładać skrócony kurs prawa konstytucyjnego, łączący doktrynę z konkretnym prawem konstytucyjnym litewskim.

21 września, rok 1933, czwartek

Sądziłem już, że z mojej ewentualnej jazdy do Genewy nic nie będzie, bo od owej rozmowy z Zauniusem przed dwoma tygodniami nic o tym nie było słychać. Wprawdzie przed kilku dniami gazety kowieńskie, a nawet „Сегодня” ryskie, rozgłosiły wiadomość o mojej jeździe, ale była to zwyczajna kaczka, którą dziennikarze upolowali od tych, co słyszeli ode mnie o mojej rozmowie z Zauniusem. Ale oto dzisiaj odwiedził mię w moim gabinecie rektorskim dyrektor Departamentu Politycznego Ministerium Spraw Zagranicznych Stanisław Lozoraitis i w imieniu ministra dr Zauniusa ponowił pytanie, czy gotów jestem do jazdy do Genewy. Odpowiedziałem twierdząco, on zaś mi oświadczył, że dziś jeszcze podpisany zostanie przez Prezydenta Rzeczypospolitej akt, mianujący mię delegatem zastępczym („*délégué adjoint*”) na sesję plenum Ligi Narodów. Delegatem głównym będzie ekscelencja minister dr Zaunius, do delegacji będą też należeli posłowie litewscy w Paryżu i Londynie – Piotr Klimas i Sidzikowski. Moje zadanie będzie czysto zakulisowe. Będzie ono polegało na uzasadnieniu tez litewskich co do nowej ustawy o sądownictwie, o ile dotyczy ona Kłajpedy. Będzie chodziło o bronienie tych tez ze stanowiska ich zgodności ze statutem i konwencją – wobec juryskonsultów sygnatariuszy na prywatnych spotkaniach z nimi. Minister Zaunius

wyjeżdża do Kłajpedy w poniedziałek 25 września. Mogę wyjechać z nim razem albo też później w ciągu tygodnia, byle nie później, niż w następny poniedziałek.

Po obiedzie miałem dziś posiedzenie organizacyjne sądu honorowego Związku Dziennikarzy, do którego związek ten powołał mnie, prof. Bielackina i prof. Mykolaitisa-Putinasa.

Potem wieczorem miałem zwyczajne posiedzenie senatu akademickiego. Spraw bieżących było tak wiele, że posiedzenie przeciągnęło się od godz. siódmej do godz. dziesiątej. W ogóle uważam, że praca rektorska stała się dziś o wiele bardziej skomplikowana i treściwa, niż przed 5-6 laty, kiedy byłem po raz pierwszy rektorem. Świadczy to o rozroście naszego uniwersytetu, o rozwoju jego żywotności i funkcji. Stanowisko rektora wymaga dziś wielkiego wytężenia energii i pracy. Dziś bym już zapewne nie zdołał połączyć tak funkcji z pracą sędziowską w Trybunale Najwyższym, jak to miało miejsce przed kilku laty. Zresztą teraz prędzej się męczę, niż dawniej.

22 września, rok 1933, piątek

Znowu poranek pracowity na uniwersytecie: pełno interesantów, polecenia naczelnikowi kancelarii Gurewiczowi, jego referaty, podpisywanie orderów i rezolucji, rozmaite sprawy profesorów... Wieczorem miałem drugi wykład dla III semestrze ekonomistów.

23 września, rok 1933, sobota

Znowu bardzo rozbiegany dzień. W domu miałem wyznaczone na dziś egzaminy, a jednocześnie musiałem choć godzinkę poświęcić sprawom bieżącym na uniwersytecie, o godz. jedenastej być u ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego, od godz. dwunastej na posiedzeniu komisji Rady Stanu w sprawie metrykacji cywilnej, o godz. pierwszej z minutami – u Zauniusa w Ministerium Spraw Zagranicznych, wreszcie późnym wieczorem o godz. dziesiątej – u Zauniusa prywatnie na raucie, wydanym na cześć pięciu członków parlamentu angielskiego, którzy przyjechali do Litwy na dni kilka.

U ministra Żylińskiego byłem jako u zastępcy premiera Tubelisa; czytałem gdzieś czy słyszałem, że Tubelis ma urlop miesięczny i że go Żyliński zastępuje. Miałem aż trzy interesy do Żylińskiego, z których dwa uniwersyteckie. W jednym z tych interesów byłem u niego z dziekanem Wydziału Medycznego prof. Lašasem i prof. Żylińskim, anatomem, w sprawie ewentualnej dopłaty prof. Żylińskiemu za pewne prace dodatkowe na wydziale; w drugiej z tych spraw chodziło o zapomogę dla Herbaczewskiego, który to odmawia przyjęcia emerytury, to znów żąda zapomogi z tejże emerytury, a w obydwóch wypadkach łaja tych, co mu coś proponują, jak również tych, których prosi o wyjednanie zapomogi. Herbaczewki założył wprost fabrykę listów łających, którymi atakuje rząd, władze uniwersyteckie, każdego z osobna i wszystkich razem. Łaja za to, że mu nie dają pieniędzy albo że dają mało, odmawia przyjęcia pieniędzy i znów żąda pieniędzy; ma manię prześladowczą, wyobraża sobie jakiś powszechny spisek przeciwko niemu, węszy jakąś szatańską przeciwko sobie intrygę. Od jakiegoś czasu wybiera się do Warszawy, gdzie mu Polacy mają dać katedrę czy lektorat języka litewskiego na uniwersytecie. Ale swoją drogą szkoda biednego starego człowieka, wiecznego Don Kiszota, który jest w nędzy bez wyjścia. W sprawie Herbaczewskiego byłem u ministra z prof. Augustaitisem. Żyliński sprawy Herbaczewskiego ruszać nie chciał – trzeba więc będzie atakować samego Tubelisa. Interwencja prywatna w sprawie osobistej adwokata Trusfusa, mojego byłego ucznia z Wydziału Prawniczego, który mię prosił o wstawiennictwo, aby mu zaliczono do stażu pewne prace i przyjęto w poczet adwokatów przy układaniu ich listy na zasadzie nowej ustawy – to była trzecia sprawa.

U ministra Zauniusa omawialiśmy z nim i Lozoraitisem te zagadnienia, jakie trzeba będzie omówić w rozmowach z juryskonultami sygnatariuszy w Genewie. Minister już w

poniedziałek do Genewy wyjeżdża. Ja pozostanę tutaj jeszcze dni kilka, w ciągu których urządzimy na paru posiedzeniach repetycję generalną wszystkich argumentów litewskich w spornych zagadnieniach litewskich. Ta repetycja generalna wykonana będzie w komisji konsultantów (Mašalaitis, Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz, ja), uzupełnionej przez kilku członków i współpracowników Rady Stanu (Starkus, Kriščiukaitis, Ciplijewski).

Późnym wieczorem poszedłem na raut do Zauniusa. Raut miał miejsce ze względu na parlamentariuszy angielskich, którzy przyjechali do Litwy w liczbie pięciu. Raut był liczny, zebrało się parę setek osób z wyższych sfer towarzystwa litewskiego, zwłaszcza sfer rządowych. Było wiele ładnych pań, eleganckie toalety, kobiety – przeważnie młode mężatki, panien – mniej. Obcowanie z Anglikami okazało się jednak trudne, bo z pięciu gości tylko jeden mówił po francusku, inni zaś – tylko po angielsku. Za to goście angielscy prawie cały czas bez przerwy kręcili się koło pięknej panny Maszotasówny, córki prof. Jana Mašiotasa, która dobrze mówi po angielsku i zna Anglię; Anglicy jej asystowali i lgnęli do niej jak pszczoły do miodu. Było trochę tańców, bufet, rozmowy. Poznałem kilka młodych miłych pań – p. Balutisową, p. Lozoraitisową, p. Šakenisową. Bardzo milutka była sama p. Zauniusowa – solistka operowa Jonuškaitė, która jutro na specjalne zamówienie występuje w operze w roli Karmeny z Cyprianem Piotrowskim w roli Don Joségo. Będzie to wspaniała gala przedstawienia dla Anglików. Właśnie się wybieram na tę operę.

24 września, rok 1933, niedziela

Dziś miałem trzy wielkie rzeczy: a. posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, na którym załatwiona została sprawa Tumėnasa, b. otwarcie Olimpiady Bałtyckiej związku SELL, c. opera „Karmen".

Zacznę z kolei od pierwszej sprawy. Nietrudno było dziekanowi Wacławowi Biržišce obiecać Prezydentowi, że usunięcie Tumėnasa od wykładania litewskiego prawa konstytucyjnego da się z łatwością wykonać uchwałą Rady Wydziału bez operacji chirurgicznej zarządzeń państwowych. Ale gdy przyszło do wykonania – rzecz się okazała trudniejsza. Zresztą Wacław Biržiška okazał się nieprzygotowany. Rzecz była trudna. Biržiška nadmienił o tym, że koła rządowe życzyłyby usunięcia Tumėnasa i dał do zrozumienia, że gdyby wydział sam się na to nie zdecydował, to zachodziłaby ewentualność arbitralnego usunięcia Tumėnasa z rozkazu rządu, a następnie usiłował uzasadnić rację powzięcia przez sam wydział odpowiedniej decyzji o usunięciu Tumėnasa twierdzeniem, że faktycznie Tumėnas wykłada poniekąd to samo, co ja, a przeto wykład jego jest równoległym do mego, poza tym zaś – że Tumėnas w wykładach swoich uwzględnia tylko starą uchyloną konstytucje z r. 1922 i ignoruje konstytucję działającą z r. 1928, która mu się nie podoba, a przez to samo wnosi do wykładów swych moment polityczny. Po takim zainaugurowaniu sprawy, która uczyniła na Radę wrażenie jak najgorsze, albowiem wszyscy zrozumieli, że od Rady żąda się uchwały pod naciskiem rządu i że argumenty treściwe są tylko sztucznie sklecone dla upozorowania czegoś, co właściwie jest li tylko brutalnym rozkazem, sytuacja stała się bardzo ciężką. Większość członków wydziału zaczęła zaraz argumentować tak: jeżeli władze rządowe chcą dokonać gwałtu, to niech go dokonają, ale z jakiej racji sam wydział ma uprzedzać ich życzenie i zadawać cios koledze niby z własnej woli i inicjatywy, aby rządowi ułatwić dopięcie celu i obronić go od zarzutu pogwałcania autonomii uniwersytetu. Zabrał głos sam Tumėnas, który zaprzeczył twierdzeniu o tym, że wykłada li tylko konstytucję 1922 r. i że się nie liczy z pozytywnym ustrojem konstytucyjnym, jaki faktycznie istnieje i działa. Takie oświadczenie Tumėnasa wytrąciło jeszcze bardziej broń z rąk Biržiški. Pewna doza prawdy w oświadczeniu Tumėnasa była: wprawdzie rzeczywiście analizuje on w swych wykładach li tylko konstytucję z r. 1922, którą przyjął Sejm Ustawodawczy i której on sam był autorem, i ignoruje konstytucję z r. 1928, ale czyni tak dlatego, iż drogą pewnego rozumowania dochodzi do wniosku, iż po przewrotach z lat 1926 i 1927 czynną i pozytywną

jest li tylko dyktatura faktycznego rządu, która nie liczy się nawet z własną „konstytucją”, ogłoszoną w akcie pod tą nazwą z r. 1928, albowiem akt ten nie został dotąd wykonany. Taką jest teza poglądów Tumėnasa, którą on w wykładach swych rozwija i która istotnie nie odrzuca pozytywnego ustroju konstytucyjnego, jeno upatruje go nie w „konstytucji” z r. 1928 i dlatego umożliwia ignorowanie tejże. Tumėnas tu tego nie rozwijał, jeno się odciął tezą o liczeniu się z realnym czynnym stanem konstytucyjnym. Rozpoczęła się dość jałowa dyskusja, nie wróżąca nic dobrego. Zrozumiałem wtedy, że ocalenie sytuacji leży li tylko w moim ręku jako legalnego gospodarza katedry prawa konstytucyjnego. Gdy mówię „ocalenie sytuacji“, to mam na myśli stworzenie takiego stanu rzeczy, który by ustrzegał autonomię uniwersytetu od zamachu rządowego, usuwającego profesora własną władzą. Oświadczyłem więc, że choć z przykrością, ale zabieram głos w tej kwestii i daję rozwiązanie takie, jakie z tytułu moich praw do tej katedry dać mogę. Robię tak dlatego, że jeżeli Tumėnas zostanie utrzymany na wykładach prawa konstytucyjnego litewskiego, to rząd go usunie arbitralnie, usunięcie zaś profesora przez rząd zagraża autonomii uniwersyteckiej. Chodzi mi o to, aby za mojego rektoratu taki precedens nie zaistniał. Uważam obronę autonomii akademickiej przed tego rodzaju precedensem za jeden z moich obowiązków. Dla wyjaśnienia tego obowiązku robię użytek z moich praw do katedry, z których dotąd użytku nie robiłem. Otóż katedra jest moja i etaty przewidują jedną li tylko osobę w zakresie katedry. O udzieleniu części wykładów, należących do mojej katedry, docentowi Tumėnasowi, ja wydziału nie prosiłem, bo sam z pomocą mojego asystenta dr Kriwickiego całą katedrę obsłużyć jestem w stanie i całość wykładu zdecydowany jestem objąć. W zakresie więc mojej katedry miejsca dla nikogo poza mną i moim asystentem nie ma. Ponieważ przeto ja sam będę wykładać całe prawo konstytucyjne włącznie z litewskim, więc wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego docenta Tumėnasa stają się czymś równoległym, nie mogącym obowiązywać studentów i dowolnym. Wobec tego oświadczenia, które Rada Wydziału i sam Tumėnas zrozumieli jako podyktowaną troską o dobro uniwersytetu i o uratowanie pewnej wartości wyższej, nie biorąc mi przeto tego za złe ze względów koleżeńskich, Rada i sam Tumėnas stwierdzili, że jego wykłady po prostu odpadają, a wobec tego Tumėnas pozostaje tylko przy swojej katedrze polityki komunalnej na sekcji ekonomicznej. Taką – niezbyt przyjemną – drogą ułatwiłem bezbolesną operację usunięcia Tumėnasa z zakresu mojej katedry. Bez tej mojej interwencji byłoby doszło do nowego zatargu między wydziałem a rządem i może do nowych zamachów na uniwersytet.

25 września, rok 1933, poniedziałek

Kwestię asystentów na posiedzeniu wczorajszym Rady Wydziału Prawniczego przekazano komisji, złożonej z profesorów Bielackina, Stankiewicza i mnie. Chodzi tu o nowych asystentów, którzy mają być przygotowani do zawodu profesorskiego i w pierwszym rzędzie skierowani do pogłębiania studiów i zdobycia doktoratu. Na skutek naszej z dziekanem Wacławem Biržišką rozmowy z Prezydentem Smetoną pozyskaliśmy trzy nowe asystentury dla Wydziału Prawniczego – przy katedrach prawa konstytucyjnego, karnego i cywilnego. Kandydatury ogłoszone są: Olgierda Penkaitisa, referenta Rady Stanu Konstantego Raczkowskiego, Witolda Čepasa... Znajdzie się i zgłosi zapewne więcej. Uchwalono też udzielić obecnym asystentom naszego wydziału termin dwuletni dla uzyskania stopnia naukowego, chodzi bowiem o to, aby posady asystentów były użytkowane na rzecz zaopatrzenia wydziału w nowe siły profesorskie i nie zostały po trochę zajęte przez ludzi, którzy nie są w stanie czynić postępów i zamarynowują to miejsce. Miano na względzie zwłaszcza dwóch takich asystentów – Weryhę-Darewskiego i Żołkowskiego.

Po wczesnym obiedzie wczoraj udałem się automobilem taxi do Wysokiego Poniemunia na stadion wojskowy na otwarcie kolejnej „Olimpiady“ akademickiego Związku czterech krajów bałtyckich – „Sell“ (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa). Zresztą Finlandczycy

nie przyjechali i „Olimpiada“ przedstawiała się dość ubogo. „Olimpiada“ ta odbywa się pod protektoratem ministra oświaty Šakenisa i moim jako rektora. Minister Šakenis jednak nie przyjechał i przysłał w swoim zastępstwie dyrektora departamentu Danilewskiego. Mowę wygłosił Danilewski, potem ja, potem prezes sejmiku akademickiego Štaupas, następnie naczelnicy drużyn litewskiej, estońskiej, łotewskiej. Moje przemówienie wygłosiłem z rękopisu, który mi natychmiast „skonfiskował” do zużytkowania prezes czy dyrektor „Sporuty” (Izby Sportowej czy też Izby Kultury Ciała) dr Jurgielonis. Rozpoczęły się zawody lekkiej atletyki, którą publiczność nasza mniej lubi, niż „foot-ball”, toteż publiczności było niezbyt dużo. Jednym z tych, co zdobyli zasłużone pierwszeństwo, był młody Komar, syn Konstantego Komara z Rogówka. Był bieg z przeszkodami, bieg na przestrzeń, skoki na odległość i na wysokość itd. Po godzinie widowiska odjechałem do domu i tegoż wieczora poszedłem z Jadzią i Andrzejem na „Carmen” do teatru. P. ministrowa Zauniusowa w roli „Karmen” była wspaniała. Andrzej był po raz pierwszy na operze – zachwycony.

Dziś rozpocząłem wykłady na I semestrze prawników. Ze względu na jazdę do Genewy i konieczność pewnego przygotowania się do niej – od dziś przerywam moje urzędowanie rektorskie, które przekazałem prorektorowi Česnysowi.

26 września, rok 1933, wtorek

Rano w sali posiedzeń Gabinetu Ministrów odbyła się „repetycja generalna” uzasadnienia ze stanowiska konwencji i statutu kłajpedzkiej tych przepisów nowej ustawy o sądownictwie, które w ten lub inny sposób dotyczą Kłajpedy. Konferencja ta miała miejsce ze względu na mój wyjazd do Genewy. Chodziło o uprzytomnienie sobie raz jeszcze wszystkich argumentów. Wzięli w niej udział: Mašalaitis, Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz, prezes Rady Stanu Šiling, prof. Kriščiukaitis, generał Šniukšta, Ciplijewski, Zygmunt Starkus, Merkys i referent Rady Stanu Konstanty Raczkowski.

Na uniwersytecie dziś już nie urzędowałem. Wieczorem wszakże wykład na I semestrze odbyłem.

27 września, rok 1933, środa

Mieliśmy dziś drugą i ostatnią „repetycję generalną” obrony litewskiej przeciwko zarzutom niemieckim co do legalności poszczególnych ustaw i zarządzeń, wydanych przez centrum w stosunku do Kłajpedy. Konferencja ta odbyła się w tym samym składzie personalnym, co wczoraj.

Po konferencji tej Mašalaitis poprosił mię do swego gabinetu i spytał, czy nie uważam, że zadanie, złożone przez ministra Zauniusa na barki moje, jest tak ciężkie, że należałoby mi dodać pomocnika. Odpowiedziałem, że dotąd sam się nie bardzo orientuję, w jakiej formie wypadnie mi działać w Genewie, bo skoro rząd chce mię rezerwować na sędziego narodowego w Hadze, o ile sprawa trafi do Trybunału Międzynarodowego, to w Genewie będę musiał unikać wszelkich pozorów konferowania z ramienia rządu, a wtedy moja rola może się sprowadzić do bardzo wąskich ram jakiegoś jednorazowego wyrażenia mego poglądu osobistego na kwestie sporne, nie wchodząc czynnie w sam tok sporu. Trudno mi więc orzec, czy zadanie moje będzie trudne i intensywne czy nie; w tych warunkach nie mogę przesądzać, czy mi może być potrzebny pomocnik. Mašalaitis wszakże skłaniał mię do zażądania pomocnika i powiadał, że mówił już o tym z premierem Tubelisem, a wreszcie zaproponował mi konkretnie Tadeusza Pietkiewicza. Powiedziałem, że obecność Pietkiewicza byłaby mi oczywiście na rękę, bo jest on jednym z najczynniejszych inspiratorów akcji rządowej w naszej komisji konsultantów i ma w głowie wszystkie nasze argumenty, a więc może mi się przydać. Nie śmiem żądać pomocnika, ale skoro rząd mi go proponuje, to chętnie akceptuję. Stanęło więc na tym, że Pietkiewicz pojedzie także. Cieszę się z tego. Jest mi on bliższym od Zauniusa, a nawet od Sidzikowskiego i Klimasa. Zachodzi tylko obawa, że

Zaunius będzie z jazdy Pietkiewicza nierad. Między Zauniusem a Pietkiewiczem jest pewna nieufność wzajemna, może nawet niechęć. Skądinąd zaś są pogłoski, że rzekomo Zaunius, który cały czas był przeciwny aktywizmowi litewskiemu w zarządzeniach kłajpedzkich, pragnie porażki litewskiej i chciałby doprowadzić do niej. Posądzenia takie są nawet w kołach bardzo bliskich rządowi upowszechnione. Ja osobiście nie posądzam go o taką przewrotność, która by przede wszystkim jego samego wysadziła z siodła.

28 września, rok 1933, czwartek

Dzień mojego wyjazdu do Genewy. Rano pozałatwiałem różne interesy związane z jazdą i kupiłem waluty niemieckiej i szwajcarskiej w Banku Litewskim, kupiłem w agencji Coocka bilet wycieczkowy na jazdę z Kowna do Genewy i z powrotem, zajrzałem do Mašalaitisa i na uniwersytet, kupiłem owoców na drogę itd. Wyjeżdżam w tę podróż chętnie, choć nie bardzo zdaję sobie sprawę z tego, w jakiej formie wypadnie mi tam bronić tez litewskich tak, aby to nie zakrawało na wykonywanie przeze mnie pewnego mandatu od rządu litewskiego i nie przeszkodziło mi w przyszłości być w tej sprawie sędzią narodowym w Hadze, o ile sprawa się ewentualnie o Hagę oprze. Pogoda nawet tu w Kownie jest od tygodnia bardzo ładna, pełna słońca i ciepła jak latem, toteż Genewa musi być o tej porze śliczna. Samo zaś plenum Ligi Narodów bardzo mało mię wzrusza – nie mam tam nic zgoła do robienia prócz przyglądania się widowisku, ile i dopóki zechcę. W ogóle będę tam miał względną wolność poza okolicznościowymi usługami, których inscenizacja też nie do mnie będzie należała.

Po obiedzie byłem już zupełnie gotowy do wyjazdu i czekałem z Jadźką na automobil Ministerium Spraw Zagranicznych. O ileż by mi ta podróż była milsza i ciekawsza, gdybym był mógł wziąć ze sobą Jadzię! Nie mogę jednak myśleć o tym. Dopiero latem, kiedy się zupełnie prywatnie wybiorę do Karlsbadu, zabiorę ją ze sobą. O piątej podany został automobil, którym udałem się w towarzystwie Jadzi i Andrzeja na dworzec. Tam zebrali się jeszcze, aby mię odprowadzić i pożegnać na drogę: Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz i dwaj referenci Rady Stanu – dr.Juodeika i Konstanty Raczkowski. Niebawem pociąg ruszył. Jadę wygodnie, w wagonie sypialnym II klasy. Paszport dyplomatyczny i bilety oddałem przewodnikowi wagonowemu, toteż na granicy żadnych formalności nie miałem.

Zapomniałem zanotować wyżej, że się dziś do mnie zgłaszał chcący kandydować na posadę asystenta na Wydziale Prawniczym Tomkus. Wskazałem mu, że ewentualnie wolną byłaby asystentura katedry prawa karnego. Tomkus gotów się decydować na prawo karne, choć wolałby ogólne publiczne. Mam wrażenie, że w osobie Tomkusa mielibyśmy nabytek dodatni. Jest on co prawda zarozumiały, może nie dość karny i złośliwy, ale zdolny, kochający naukę, pilny, głęboki i ambitny bardzo.

29 września, rok 1933, piątek

Dzień św. Michała, moje imieniny – spędzam w podróży samotnie. Jestem w Berlinie. Przyjechałem tu o godzinie dziewiątej rano i bawię do godziny czwartej z minutami po południu. Wyspałem się w wagonie sypialnym i zmęczenia nie czuję. Przeszedłem się po Unter den Linden, na rogu tej ulicy i Friedrichstrasse posiedziałem w kawiarni, wysłałem pierwsze pocztówki Jadzi i Andrzejowi. Pogoda – prześliczna, sprzyja podróży. Berlin – dość ożywiony. Hitleryzm w Berlinie jest widoczny zewnętrznie, manifestacyjny, ale w sposobie traktowania cudzoziemców w niczym szczególnym się nie wyraża. Mnóstwo się uwija mężczyzn i młodzieży, a nawet dzieci (chłopców) ze swastyką Hakenkreutzu na ramieniu, wielu z nich pełni jakąś służbę publiczną, stojąc i przechadzając się w miejscach publicznych. Witają się hitlerowcy dość malowniczo, podnosząc prawą rękę na trzy ćwierci do góry. Żadnych jednak gwałtów, żadnych impertynencji nie czynią; raczej przeciwnie – grzeczność zewnętrzna poczyniła postępy i w ogóle Niemcy jak gdyby się uczynili bardziej giętcy czy

bardziej dyscyplinowani. Są to naturalnie tylko wrażenia obserwatora bardzo powierzchownego. Uderza też fakt znacznego osłabienia prostytucji, przynajmniej pokazowej po kawiarniach i na ulicy; dawniej aż się roiło od prostytutek, które najbezwstydniej wystawały na posterunkach do wzięcia jak dorożki lub taksi – zaczepiały, napraszały się mężczyznom; teraz – jest ich znacznie mniej i są one o wiele dyskretniejsze. I należy też stwierdzić wyraźne zmniejszenie liczby ubogich, żebrzących o litość na ulicach Berlina i zaczepiających przechodniów o jałmużnę, co przed rokiem było po prostu masowe.

Po południu przewiozłem rzeczy na dworzec anhalski, w pobliżu dworca zjadłem obiad i o pół do piątej wyjechałem pociągiem bezpośrednio do Genewy, dokąd przyjadę jutro o południu.

30 września, rok 1933, sobota

Jechałem z Berlina w wagonie sypialnym specjalnego pociągu pośpiesznego – FDZug, kursującego bezpośrednio między Berlinem a Genewą w czasie posiedzeń plenum Ligi Narodów. Przyjechałem dziś w południe do Genewy – wygodnie, wyspany. Z dworca pojechałem wprost do hotelu „Touring Balance", który jest położony za jeziorem i w którym zamieszkała delegacja litewska na tegoroczne plenum. Hotel – względnie niewielki i stary. Zaraz po moim przyjeździe znaleźli się też Zaunius i Sidzikowski, z którymi poszliśmy na śniadanie. Dowiedziałem się od nich, że nic jeszcze z juryskonsultami sygnatariuszy nie zaczęli w sprawach kłajpedzkich rozmawiać. Obaj – Zaunius i Sidzikowski – wyjeżdżają dziś, każdy na inną wycieczką, do poniedziałku. Ale czymże ja gorszy od nich?! Skoro oni bawią się w wycieczki, zabawię się i ja. Toteż jutro wybiorę się autokarem do Chamonix. Tymczasem dziś pochodziłem sobie trochę po Genewie i na tym dzień skończyłem.

1 października, rok 1933, niedziela

Niedziela, dzień świąteczny, żadnych posiedzeń Ligi Narodów nie ma, pogoda sprzyja – resztki lata, wszystko się rozjechało na wycieczki, nasza delegacja – Zaunius, Sidzikowski, Klimas – także się cała rozbiegła. Nic mi przeto lepszego nie pozostało, jak również wyjechać. Obstalowałem więc sobie przez szwajcara hotelowego bilet na wycieczkę autokarem do Chamonix, wstałem wcześnie, wypiłem kawę i o ósmej czekałem już przed hotelem na autokar. Niebawem nadszedł. Wiózł ze 32 do 36 osób, w rzędach po cztery. Zająłem miejsce ku tyłowi, obok jakiejś cichej samotnej panienki. Autokar popędził. Nie wiedziałem nawet, że Chamonix u stóp Mont-Blanc leży głęboko na terytorium francuskim, w departamencie Sabaudii Górnej – Haute Savoie. Przekonałem się o tym zaraz na wstępie, kiedy gdzieś na samych jeszcze przedmieściach Genewy autokar stanął w ciasnym przesmyku uliczki, a na murach ujrzałem napis „Douane". Zresztą tuż obok na ulicy granicę francuską demonstrował nam celnik francuski, rewidujący plecaki i kieszenie cyklistów. Nie mam w paszporcie wizy francuskiej, ale nie patrzano naszych paszportów. Widocznie dla wycieczek ze Szwajcarii wiz do Francji nie ma i nie trzeba. Nadal więc, a właściwie całą niemal drogą jechaliśmy przez terytorium Francji wśród widoków podgórskich, dolinami rzek i strumieni. Po bokach mieliśmy szczyty porysowane, ostre, ale bez śniegów. Do Chamonix z Genewy ma być pono koło 100 kilometrów – nie są to więc bliskie okolice. Patrząc w przejrzyste powietrze z Genewy na Mont-Blanc, góra ta wydaje się być blisko, ale to złudzenie w proporcjach tych olbrzymów górskich. W małym miasteczku Sallanches o 30 kilometrów przed Chamonix – krótki popas dla wyprostowania członków. Za Sallanches wjeżdżamy już w dzikszą okolicę górską. Coraz mniej miejsca, doliny coraz się zwężają, szczyty rosną, droga biegnie skrajami zboczy, wykuta w skale, czasem przebiega tunel lub przerzuca się przez wysoki most na przeciwległe zbocze, wije się, spada w dół i znów wznosi, śniegi coraz widoczniejsze, wreszcie jarzy się bielizną nieskalaną swoich lodowców Mont-Blanc tuż naprzeciwko; dojeżdżamy do Chamonix, stajemy w miasteczku o godz. jedenastej przed

południem. Niestety, chciałem stamtąd udać się wiszącą kolejką napowietrzną na szczyt Mont-Blanc na tzw. morze lodowe, ale okazało się, że komunikacja ta właśnie od dziś – od 1 października – została na zimę przerwana. Odjazd powrotny autokarem był wyznaczony na wpół do piątej. Wypadło przeczekać ten czas w Chamonix, które po sezonie letnim turystów i letników wróciło do stanu zimowego cichej małej mieściny górskiej. Nie nudziłem się jednak. Włóczyłem się, kupowałem i pisałem pocztówki, łaziłem po kawiarniach, obiad zjadłem, przyglądałem się wspaniałemu widokowi Mont-Blanc, którego lodowce w kilku miejscach spuszczają się głęboką masą rzeki lodowej daleko w dół ku dolinie, podczas gdy gdzie indziej roztopione szumią i spadają z ogromnych wyżyn. Zważywszy, że rzeki lodowe z gletczerem spływają aż pod samą niemal dolinę, pierwszy raz z tak bliska widziałem lodowce, acz deptać ich nie mogłem. Ciepło było i ładnie. Senne życie cichego miasteczka górskiego ma dużo poezji i charakteru. Np. w porze obiadowej (śniadaniowej) o godzinie pierwszej po południu ulice literalnie pustoszeją – jak w najgłębszą noc. Ani żywej istoty. Ładnie znów i przyjemnie było wracać o zachodzie słońca i zmroku przez szeregi sennych miasteczek, których ludność napełniała święte kawiarnie, odtwarzając tu życie miasteczek typowe jeszcze od średniowiecza, jak z dekoracji „Fausta”. Śnieżne szczyty gór za nami pałały blaskiem zachodzącego słońca.

2 października, rok 1933, poniedziałek

Dziś zapoznałem się z Ligą Narodów. Moja praca właściwa, dla której tu przyjechałem i która ma polegać na rozmowach z juryskonsultami sygnatariuszy (Anglii, Francji, Włoch) i wykazywaniu im, że ustawa litewska o sądownictwie i parę innych ustaw, które dotyczą też poniekąd Kłajpedy, nie gwałcą żadnych przepisów konwencji lub statutu autonomicznego Kłajpedy, jeszcze się nie rozpoczęła i nie wiadomo, kiedy się rozpocznie. Zapewne doczekamy się pod tym względem przyjazdu Tadeusza Pietkiewicz, który, stosownie do dziś nadesłanej depeszy, ma przyjechać dopiero pozajutro. Zaunius trochę się krzywi na przyjazd Pietkiewicza; mam wrażenie, że dostrzega w tym pewnego rodzaju nieufność względem siebie, ponieważ przyjazd Pietkiewicza został postanowiony bez jego wiedzy i dowiedział się on o tym tylko z gazet. Uważa on też obecność Pietkiewicza za zbyteczną, bo Pietkiewicz sam z juryskonsultami nie gada, wymawiając się nie dość biegłym posiadaniem języka francuskiego, a zakulisowe podpowiadanie argumentów, gdy chodzi o żywą rozmowę, jest mało skuteczne. W ogóle ten przyjazd Pietkiewicza zadrasnął nieco ambicję Zauniusa.

Tymczasem byłem dziś na posiedzeniu I komisji – prawniczej, i po obiedzie – na posiedzeniu plenum. Delegacja litewska wpisała mię do składu komisji pierwszej (prawniczej) i piątej (zagadnienia społeczne). Jednak systematycznie pracować w tych komisjach nie zamierzam. Na posiedzeniu I komisji toczyły się dziś debaty nad projektem rezolucji referatu prof. Pella z Jass (Rumunia), dotyczącym pewnych bardzo ostrożnych i połowicznych wniosków na rzecz międzynarodowego ujednostajnienia pewnych przepisów prawa karnego. Sale posiedzeń komisji są wygodne, obszerne; powietrza dużo, na posiedzeniach wolno palić, siedzi się wygodnie w krzesłach ruchomych, przymocowanych do ziemi i obracających się na wszystkie strony; miejsca dużo tak dla delegatów przy stołach osobnych, jak dla dziennikarzy i dla publiczności. Nudne, ale nieuniknione tak w komisjach, jak na plenum jest po każdym przemówieniu tłumaczenie tegoż bądź na angielski, bądź na francuski, zależnie od tego, którym z tych języków wygłoszono przemówienie. Ale ma to i pewną dobrą stronę. Na plenum przez czas tłumaczenia ludzie uciekają do kuluarów, mają tam czas na rozmowy, mogą sobie i popalić i herbaty się napić i wrażenie ostatniej mowy przetrawić. Na ogół obecna XIV sesja plenum Ligi Narodów jest, zdaje się, dość bezbarwna. Minęły czasy entuzjazmu dla Ligi i wiary w jej cudotwórcze panaceum. Z jednej strony, szerzący się albo przynajmniej kiełkujący wszędzie nawrót do ostrego nacjonalizmu, połączonego z dyktaturą i gwałtem w stosunkach wewnętrznych państwowych, zwłaszcza zaś

zwycięstwo hitleryzmu w Niemczech wskazuje na szukanie metod innych, niż Liga Narodów do rozwiązywania problemów, tłoczących życie narodów. Z drugiej strony, Liga Narodów nie ma egzekutywy. Silni, gdy im Liga staje na drodze i usiłuje ich od jakiejś akcji powstrzymać, po prostu występują z niej, jak to uczyniła Japonia, i idą samopas i robią swoje. Liga wyszeptuje się, leje potoki słów, ale zdaje się nie posiadać sekretu koordynowania polityki światowej i zwłaszcza radykalnego zapobieżenia wojnie. Konferencja rozbrojeniowa, konferencja ekonomiczna dla zwalczenia kryzysu gospodarczego – nie dały wyników. Ich fiasko podkopało wielce autorytet Ligi i wiarę w nią jako metodę sprawiedliwości międzynarodowej i wzajemnych ustępstw. Na plenum co kilka dni cedzi się po jakimś wielkim przemówieniu. Charakterystyczne jest dla panującego ustroju przeciwstawienie hitlerowskich czy nacjonalsocjalistycznych Niemiec wszystkim innym. Niemcom dużo gorzkich i niemiłych pigułek łykać tu wypada. Czynione są raz po raz aluzje do ich skrajnego nacjonalizmu, przeciwstawiającego Niemcy całemu światu i potencjalnie zawierającego w sobie twierdzenie wojny i siły jako prawa niemieckiego wobec wszystkich narodów ludzkości. Nade wszystko zaś wyzyskiwane są do okolicznościowego piętnowania Niemców ich teorie o rasie, na których opierają oni gwałtowne pokrzywdzenie zwłaszcza Żydów. Oto mała tylko wiązanka drobnych kwiatków ciągłego konfliktu pozycji niemieckiej z pozycją ogółu państw Ligi, która dziś wpadła do uszu moich. W I komisji delegat niemiecki, zabierając głos w sprawie ujednostajnienia prawa karnego, musiał stwierdzić: „Dążymy, co prawda, w kierunku prawa, osadzonego głęboko w świadomości narodowej, a więc narodowego, swoistego i odrębnego”, ale się na pewne w granicach ścisłych ujednostajnienie zgadzamy”. Na plenum przy omawianiu niemiłego dla Niemców wniosku holenderskiego o przekazaniu komisji wystudiowania uregulowania międzynarodowego sytuacji prawnej emigrantów politycznych niemieckich, co samo przez się stwierdza istnienie prześladowania w Niemczech, delegat niemiecki zastrzegł rezerwę w tej kwestii. Mówca hiszpański w dużej mowie zasadniczej porównywał ideę Ligi Narodów z ideą Cesarza Karola V (Karola I hiszpańskiego) o związku europejskim. Idea Karola wszakże była jałowa, bo ogarniać chciała jeno Europę chrześcijańską, negując światy islamu i Izraela. Liga Narodów powinna objąć całą ludzkość bez wyjątku. Dziś Hiszpania żywi cześć jednaką dla chrześcijan, jak dla islamu i Żydów, którzy dali jej kulturze wiele pięknych pierwiastków, wielu wielkich ludzi i wiele serca i myśli wspaniałych... A wybitny mówca francuski Paul Boucourt w swojej mowie na plenum, mówiąc o tym, że Francja pozostała wierna idei Ligi Narodów jako metody utrwalenia pokoju, uszanowania praw i obowiązków narodów, zagwarantowania ich współpracy, w ten sposób kąsał Niemcy hitlerowskie: „Ona (Francja) z wami, panie delegacie Norwegii (aluzja do wniosku o emigrantach politycznych niemieckich), jest ona i z wami, panie pierwszy delegacie Austrii (aluzja do mowy kanclerza Dollfussa, który na pierwszym posiedzeniu plenum wypowiedział płomienną mowę na rzecz niepodległości Austrii), jest ona i z wami, panie delegacie hiszpański (aluzja do jego mowy dzisiejszej, rehabilitującej głośno Żydów)”...

3 października, rok 1933, wtorek

Moja praca jeszcze się nie zaczęła. Podobno Zaunius i Sidzikowski mieli już sposobność pomówienia z juryskonsultem francuskim Basdevantem i juryskonsultem angielskim sir Wiliamem Malkinem, ale to jeszcze nie była rozmowa merytoryczna. Obaj juryskonsulci zapewnili, że wpierw sami muszą przestudiować nieco naszą ustawę o sądownictwie oraz zarzuty, które ustawie tej czynią Niemcy, a następnie chętnie przedyskutują sporne kwestie z obecnymi prawnikami litewskimi, to znaczy ze mną i ewentualnie Tadeuszem Pietkiewiczem. Koła polityczne francuskie, które Zaunius w tej materii oględnie wybadał w osobie Paula Boucourta, powiadają, że im właściwie o nic tu w sprawie kłajpedzkiej nie chodzi, ale że gdy Niemcy odwołują się do nich jako do

sygnatariuszy, to nie mogą oni nie reagować i zmuszeni są, po zasięgnięciu opinii swoich juryskonsultów, sprawę wnieść do Trybunału Międzynarodowego. Gdyby jednak swoi juryskonsulci przekonali się, że Niemcy zmyślają, to i żadnej sprawy nie będzie. Nie chcą oni robić wrażenia, że są niedbałymi sygnatariuszami konwencji i że puszczają płazem jakiekolwiek nadużycie, ale skądinąd nie chcą ulegać kaprysom niemieckim.

Widziałem się dziś z Jadzią Römerówną, córką śp. stryja Bronisława Römera, współwłaścicielką Antonosza. Nie widziałem jej lat przeszło 20. Była wtedy młodziutkim podlotkiem, a może nawet nie była jeszcze podlotkiem; zapowiadała się piękna. Przed wojną na lato przyjeżdżała czasem z bratem Tadziem do Antonosza, ale stale hodowała się u swej ciotki – p. Jadwigi Jundziłłówny we Fryburgu w Szwajcarii. Po wojnie ani ona, ani żaden z jej braci do Antonosza ani zajrzał, choć zachowują kult platoniczny dla tego dziedzictwa przodków i sprzedać go nie chcą. Jadzia Römerówna, której język francuski jest równie ojczystym, jak polski, otrzymała posadę stałą w sekretariacie Ligi Narodów jako urzędniczka etatowa tej instytucji i ma się materialnie bardzo dobrze. Utrzymuje siebie i starą ciotkę, z którą mieszka. Wiedziałem o tym, że jest ona tutaj i chciałem ją tu odszukać. Już od razu wczoraj na posiedzeniu I komisji pokazał mi ją Sidzikowski. Tego dnia jednak nie miałem sposobności z nią się przywitać i nie wiedziałem, czy ona wie o mnie i czy mię poznaje. Ale gdym wrócił do domu, telefonowała do mnie ona i jej ciotka i przez telefon sprawdziły, czy to ja jestem istotnie, bo w spisach delegatów nazwisko moje podane jest w pisowni litewskiej, jako „Römeris”. Toteż umówiliśmy się z nią spotkać na dziś. Poszliśmy do parku, usiedliśmy na ławeczce i dobrą godzinę gawędziliśmy. Była bardzo miła i bardzo serdeczna. Zaprosiła mię do siebie i ciotki na obiad w piątek. Mówiliśmy też z nią o szansach porozumienia polsko-litewskiego, bo w polityce jest ona ze względu na swoje stanowisko dość biegła. Wyraziła ona gotowość zapoznania mię z kim zechcę z delegacji polskiej, na której czele stoi premier polski i minister spraw zagranicznych Beck, kreatura Marszałka Piłsudskiego, a w liczbie członków jest generał Burhardt-Bukacki, niegdyś mój komendant batalionowy w Legionach i kilku innych znanych ludzi. Na razie kwestia kontaktu z członkami delegacji polskiej pozostała otwarta. Osobiście Becka poznać chciałbym.

4 października, rok 1933, środa

Wreszcie przyjechał Tadeusz Pietkiewicz. Juryskonsulci sygnatariuszy – sir Malkin i Basdevant, z którymi mają kontakt nasi dyplomaci Klimas i Sidzikowski, wciąż jeszcze „studiują” naszą ustawę o sądownictwie i analizują zgodność tejże ze statutem i konwencją, rezerwując na potem swoje wnioski do rozmowy ze mną. Korzystając z przyjazdu Pietkiewicza, Zaunius zarządził wieczorem przy kawie małą naradę całego kompletu delegacji litewskiej dla uprzytomnienia sobie raz jeszcze wszystkich argumentów. Na tej konferencji wszakże nie tyleśmy operowali argumentami w zakresie przepisów spornych tej ustawy, ile wysłuchaliśmy *exposé* Zauniusa co do różnych szczegółów i zastrzeżeń taktyki w traktowaniu tych rzeczy z sygnatariuszami. W szczególności Zaunius chce, abyśmy nie tylko rozmawiali z sygnatariuszami, ale także z Niemcami, z którymi ma on tu omawiać ich zarzuty. Ja osobiście byłbym przeciwny rozmowom z Niemcami, którym chodzi nie o pewne porozumienie *bona fide*, jeno o poznanie naszych słabych punktów i o zdobycie argumentów do pognębienia nas. Ale ostatecznie decydować będzie Zaunius. On przecie jest tutaj szefem całej delegacji litewskiej.

Niemcom się na sesji Ligi Narodów nie powodzi. Mogą oni upajać się swoim hitleryzmem u siebie, ale nikomu zgoła na zewnątrz nie imponują i nikogo pozyskać nie są w stanie. Wszyscy się od nich odwracają jak od zapowietrzonych, a nawet jedyni może Węgrzy, którzy im sprzyjają, nie odważają się ich popierać. Są oni izolowani najzupełniej. A jednak sami nie tracą oni rezonu i z właściwą Prusakom butą stoją samotni, ale dumni i nie wahają się nawet podnosić wniosków, bezczelnie i jaskrawie nie licujących z ich własnym

postępowaniem. Jest coś demonicznego w tym strasznym narodzie, którego konwulsje grożą dzikimi klęskami całej Europie.

Oto w komisji szóstej delegacja niemiecka z von Kellerem na czele wystąpiła w obronie mniejszości i zgłosiła ni mniej ni więcej, jak wniosek o rozbudowę i rozszerzenie procedury mniejszościowej. Hitlerowskie Niemcy, stosujące u siebie doktrynę wyłączności rasowej, wyłączającą Żydów poza nawias praw obywatelskich i równości cywilnej, negujące ohydnie i brutalnie wszelkie prawa zbiorowe mniejszości – występują cynicznie w roli szermierzy uciśnionych mniejszości na forum zjazdu powszechnego ludzkości. Tego było za dużo. W mowach, które się posypały, a zwłaszcza w mowach Francuza i Anglika, odezwało się oburzone sumienie ludów. Nic nie pomogły obłudne twierdzenia Kellera, jakoby Niemcy byliby szczęśliwi, żeby ich mniejszościom w państwach obcych działo się tak, jak się dzieje mniejszościom obcym w ich państwie, oraz subtelne wywody o tym, że Żydzi nie stanowią żadnej mniejszości ani językowej, ani rasowej i że zagadnienie żydowskie jest zgoła innej natury, niż mniejszościowe i wymaga osobnego omówienia i osobnego rozwiązania, które z mniejszościowym nie powinno być mieszane. Mowy, które się posypały potem, były po prostu odruchem sumienia, odruchem uczucia prawdy na obłudę krzyżacką. Pod znakiem tego odruchu szły wczoraj i dzisiaj obrady w komisji szóstej. Było też kilka rzuconych myśli ciekawych o naturze obrony mniejszościowej, ale na ogół dominował odruch oburzenia na Niemców. Von Keller z całym kompletem delegacji niemieckiej siedział chmurny i twardy jak pod pręgierzem. Ale się nie ugiął. Heil Hitler! Straszny to naród.

5 października, rok 1933, czwartek

Dziś dr Zaunius w imieniu delegacji litewskiej zaprosił na godz. pierwszą na śniadanie delegacje wszystkich państw bałtyckich prócz Polski i Niemiec, no i oczywiście prócz Sowietów, które zresztą, jako nie należące do Ligi Narodów, żadnej delegacji tu nie mają. Zaproszone więc były delegacje państw skandynawskich – poniekąd seniorów i arystokratów zespołu bałtyckiego – Danii, Norwegii i Szwecji – i delegacje trzech tzw. państw bałtyckich kresowych Finlandii, Estonii i Łotwy. Przyszło tych panów dyplomatów, względnie ministrów spraw zagranicznych – koło 15 osób. Z nimi przyszła także księżniczka Radziwiłłówna z gałęzi nieświeskiej (rodząca się z Rzewuskiej), która ma siebie za Litwinkę i ma posadę stałą w Lidze Narodów, będąc jednocześnie informatorką Litwy. Śniadanie było wyszukane, z bażantami na pieczyste i dobrymi winami. W tym zespole brakło niewątpliwie Polski. Czemuż Polska przez zabór Wilna zbałkanizowała cały układ stosunków bałtyckich! I gdybyż była przynajmniej tę sprawę wileńską po myśli swojej – to znaczy po myśli głównego sprawcy tych nieszczęsnych rozwiązań – po myśli Marszałka Piłsudskiego – załatwiła. Gdzież tam! I sprawę wileńską rozstrzygnęła bez tego zacięcia wielkofederalistycznego, o którym marzył Piłsudski, i zmarnowała atut wileński, czyniąc zeń jakiś drobny epizod aneksyjny do „kresów” narodowego państwa Polskiego, i całe stosunki nad Bałtykiem zatruła. Jeżeli już konieczny był Polsce akt przemocy, to o ileżby był on skuteczniejszy, gdyby nie na Wilno, lecz na Prusy Wschodnie był skierowany. Niemniej i dla Litwy li tylko z Polską Związek Bałtycki mógłby mieć jakąś wartość realną. Dla Wilna Litwa ze związku się wyłącza i bez niej związek ten jest pustym dźwiękiem, ale też i ona sama utworzyć tego związku z państw sąsiednich bez Polski – nie zdoła.

6 października, rok 1933, piątek

Przestałem już chodzić na posiedzenia Ligi Narodów a raczej jej komisji. Wprawdzie sporadycznie zdarza się tam coś ciekawego, ale są to tylko epizody. Na ogół w Lidze panuje wielka depresja i dezorientacja. Z jednej strony, hitleryzm niemiecki napełnia całą Europę niepokojem, z drugiej – niepowodzenie konferencji rozbrojeniowej i konferencji ekonomicznej ukazuje niemoc Ligi Narodów do wydźwignięcia wozu ludzkości z bagien, w

których ugrzązł. Zadanie moje nie polega na udziale w pracach Ligi Narodów, więc mogę nie chodzić na te posiedzenia. Wolę spędzać czas na swobodzie. Włóczę się po mieście, przystaję, zachodzę do kawiarni... Nie mogę się tylko na wycieczki wybierać, bo muszę być wciąż „*disponible*" na ewentualne rozmowy z juryskonsultami sygnatariuszy czy, jak chce Zaunius, także prawnikami niemieckimi. Dziś byłem o pierwszej po obiedzie u Jadzi Römerówny i jej ciotki starej – panny Jadwigi Jundziłłówny. Panna Jundziłłówna postarzała naturalnie mocno, ale wygląda nieźle. W rozmowie naturalnie potrącaliśmy dużo o sprawę litewską. Przekonałem się, że o wiele zajadlejsza w duchu antylitewskim jest p. Jundziłłówna, niż Jadzia Römerówna. Zresztą obie żyją pod tym względem w legendzie plotek i grubych bajek, bardzo dalekich od rzeczywistości. O Litwie realnej nie mają one pojęcia. Cała Litwa wydaje im się jakimś zbiorowiskiem parobków antonoskich – niczym więcej. Na niedzielę wieczorem mam się spotkać u Jadzi z kilku członkami delegacji polskiej – w szczególności z hr. Raczyńskim, młodym Poznańczykiem, i zdaje się – hr. Łubieńskim z Grodzieńszczyzny. Niestety, Becka już nie poznam i nie spotkam, bo wyjechał już do Warszawy.

7 października, rok 1933, sobota

Na koniec po tygodniowym czekaniu nastał nasz „wielki" dzień. Prawnicy sygnatariuszy dali znać, że już wystudiowali litewską ustawę o sądownictwie i że są gotowi do rozmowy z prawnikami litewskimi, od których pragnęliby otrzymać pewnych wyjaśnień co do niektórych poszczególnych przepisów tej ustawy. Już poprzednio Zaunius został poinformowany, że sygnatariusze ograniczają swoje studia do ustawy o sądownictwie, nie tykając innych ustaw czy aktów, które Niemcy także kwestionują. Poza tym przed dwoma dniami Zaunius otrzymał (nie wiem – skąd, od kogo i jaką drogą) depeszę szyfrowaną o tym, że Paul Boucourt, francuski minister spraw zagranicznych, postanowił nie robić w obecnym stadium żadnego „*démarche*" przeciwko Litwie z powodu zarzutów niemieckich i tylko wystudiować prawny stan rzeczy. W imieniu juryskonsultów sygnatariuszy zaprosił nas na konferencję do siebie na godzinę 11 przed południem juryskonsult angielski – sir William Malkin. Zebranie miało miejsce w numerze Malkina w hotelu „Beau Rivage" nad jeziorem. Udaliśmy się tam we trzech – Sidzikowski, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Klimas jest chory, gorączkuje, a Zaunius sam nie szedł, bo chodzi o naradę speców prawniczych, a nie dyplomatyczną. Łącznikiem między nami prawnikami a politycznym momentem sprawy był Sidzikowski, który zna się na obu aspektach. U sir Malkina zastaliśmy trzech innych juryskonsultów, Francji – Basdevanta, Włoch – Ferrari (zeszłoroczny juryskonsult Pilotti, który tak gorliwie napadał na Litwę przed Trybunałem w Hadze i tyle krwi napsuł Sidzikowskiemu, teraz już juryskonsultem nie jest, albowiem awansował na wicesekretarza generalnego Ligi Narodów) i Japonii – Ito. Przewodniczył i centralizował obrady Basdevant, który stawiał pytania i prosił o wyjaśnienie w imieniu całego zespołu juryskonsultów sygnatariuszy. Nasze wyjaśnienia Basdevant starał się dobrze pojąc, toteż dopóty pytał, dopóki dokładnie myśli naszej w całej rozciągłości nie uchwycił, następnie je streszczał i notował pilnie na marginesie. Właściwie polemiki nie było, Basdevantowi chodziło w pierwszym rzędzie o informację, o ścisłość naszej tezy, nie zaś jeszcze o jej krytykę; w paru szczegółach bardziej polemiczny był tylko Ito i większej rezerwy trzymał się Malkin. Włoch Ferrari był najmniej aktywny. Z delegacji litewskiej najwięcej przemawiałem i wyjaśniałem ja. Trochę – zupełnie w miarę i dobrze – sekundował mi Sidzikowski. Tadeusz Pietkiewicz z góry – jeszcze w Kownie – nas uprzedził, że będzie tylko naszym wewnętrznym radcą w naszych własnych naradach jednostronnych, w pertraktacjach zaś i konferencji na zewnątrz głosu zabierać nie będzie, bo mu po francusku przemawiać trudno. Nie zabierał też wcale głosu, tylko mi podsuwał materiały lub teksty, potrzebne do uzasadniania lub ilustrowania tego, co mówiłem. Ta konferencja z prawnikami sygnatariuszy sprawiła na nas bardzo dodatnie wrażenie. Być może, że naszych argumentów nie krytykowali oni dlatego, że sami

chcieli je wpierw usłyszeć i zrozumieć i między sobą je omówić, zanim nam coś o nich powiedzą, toteż ich rezerwa i niepodnoszenie dyskusji może wcale nie oznaczać zaakceptowania wszystkich twierdzeń naszych, ale bądź co bądź widać u nich chęć wypośrodkowania prawdy i wystudiowanie *bona fide* sprawy. Nie stawiają oni nas bynajmniej w roli jakichś oskarżonych, o których winie są już z góry przekonani. Niejedno z twierdzeń naszych może przyjmą i może w ogóle uznają, że gra nie warta świec. W każdym razie, chcą być sprawiedliwi, chcą dobrze zrozumieć i działać bez uprzedzenia jako ci, którzy są stróżami statutu autonomicznego Kłajpedy i żadnych tytułów zainteresowania nie mają. Ciekawe jest, że juryskonsulci sygnatariuszy nie tylko że zgłaszali swoje pytania w tej kolejności, w jakiej są zgłoszone zarzuty niemieckie, ale też co do niektórych przepisów ustawy, w stosunku do których Niemcy bardzo ostro atakują, wcale żadnych pytań nie postawili. Czy to oznacza, że niektóre zarzuty niemieckie dotyczą rzeczy, które u sygnatariuszy żadnych wątpliwości nie budzą (dotyczy to zwłaszcza udzielonego plenum Trybunału Najwyższego mocy interpretowania ogólnego ustaw i uczynienia tych aktów interpretacyjnych obowiązującymi dla wszystkich sądów, nie wyłączając kłajpedzkich oraz Sekcji Kłajpedzkiej tegoż Trybunału), czy też może to wskazywać na to, że sygnatariusze postanowili przede wszystkim sami się zorientować, czy coś im samym wydaje się w naszej ustawie złe i że z Niemcami wcale nie gadają, żadnych zarzutów niemieckich jeszcze nie widzieli i nic nie wiedzą o nich konkretnie.

8 października, rok 1933, niedziela

Wczoraj rozpoczęliśmy kampanię interpretacyjną na całym froncie, to znaczy oprócz konferencji w tej sprawie z juryskonsultami sygnatariuszy mieliśmy potem podobną konferencję z Niemcami. Nie miałem wczoraj czasu o niej napisać. Napiszę o niej dopiero jutro, ponieważ się nie zakończyła wczoraj i jej ciąg dalszy przeniesiony został na jutro. Na dziś mam inny temat – z dnia dzisiejszego.

Korzystając z niedzieli, postanowiłem zrobić dziś wycieczkę parostatkiem po Jeziorze Lemańskim. Wsiadłem więc przed jedenastą do parostatku, odbywającego marszrutę po jeziorze wzdłuż wybrzeża szwajcarskiego („côte Suisse”) na Lozanne, Montreux i aż do granicy francuskiej. Pogoda mi nie bardzo sprzyjała. Cały czas było pochmurnie, góry przeważnie tonęły w mgłach albo przynajmniej do ich wierzchołków przyczepione były ciężkie rude chmurzyska. W ogóle bardzo piękne i malownicze są wybrzeża Lemanu i miasteczka nad jeziorem albo wioski zabudowane na wysokich zboczach gór, tylko że mi to przysłaniała szarzyzna pejzażu dżdżystego. Brak słońca pozbawiał kolorytu drzewa jesienne, nie było też widać dalszych szczytów górskich, bielejących śniegiem. Im dalej, tym bardziej padał deszcz i dominował nastrój słoty; jezioro pokryło się pianą fal. Na statku zjadłem obiad czy też lunch po południowy (śniadanie) i koło godziny czwartej przyjechałem do Montreux. Było to kiedyś ulubione miejsce pobytu śp. stryja Izydora Römera, który cierpiał na astmę i tu ulgę znajdował. Chętnie spędzał tu długie miesiące. Są to już zresztą dawne dzieje, bo było to przed laty przeszło 20.

Montreux zwiedzić nie mogłem, bo przede wszystkim padał deszcz, a następnie musiałem się śpieszyć z powrotem do Genewy, gdyż na wieczór zaproszony byłem na godzinę ósmą na obiad do Jadzi Römerówny. Wróciłem więc do Genewy koleją elektryczną. Jadzia zaprosiła mię na obiad dla ułatwienia mi spotkania i znajomości z niektórymi członkami delegacji polskiej. Ponieważ Becka już nie ma, więc zaprosiła hrabiego Raczyńskiego i hrabiego Łubieńskiego, dwóch młodych ludzi, dyplomatów polskich z działu polityki. Młody Raczyński, rodem z Poznańskiego, dyplomata zdolny, którego słyszałem przemawiającego w jednej z komisji Ligi, jest przedstawicielem stałym Polski w Lidze, młody zaś Łubieński, z rodziny polskiej, ale spowinowaconej i wielokrotnie spokrewnionej z ziemiaństwem litewskim (jego ojciec był bratem rodzonym śp. sędziego Łubieńskiego z

Łomży, z którym tamże kolegowałem w roku 1920, jest też krewnym Weyssenhoffów przez śp. panią Wandę z Łubieńskich Michałową Weyssenhoffową z Tarnowa i Jużynt z jedną z córek Kazimierza Römera, krewny z wojska i przyjaciel Antosia Römera z Janopola). Obaj – Raczyński i Łubieński – bardzo mili chłopcy, pełni humoru i swady, zabawni, łączący wesołość i dowcip z powagą myśli państwowej, obaj znają mnóstwo ziemiaństwa litewskiego, a więc pełno mieliśmy wspólnych znajomych, krewnych itd. Na razie przy obiedzie rozmowa była ogólnikowa, potem wszakże przy herbacie weszła na tory polityczne stosunków polsko-litewskich i perspektyw pojednania. Wskazałem tym panom, że w tym stanie rzeczy, kiedy Polska ma cały przedmiot sporu, a Litwa nie ma nic, początek i jakieś propozycje powinny iść od Polski, a nie od Litwy, bo Litwa nie ma z czego ustępować, tymczasem Polska ma w ręku wszystkie możliwości ustępstw i ma z czego wybierać. Tym bardziej się to od Polski należy, że Polska – jeżeli mówimy o Polsce Piłsudskiego – sama jest niezadowolona ze swego rozwiązania aneksjonistycznego sprawy wileńskiej, jakie jest siłą małą i chociaż różne mocarstwowe zagadnienia polityczne odrywają uwagę Polski od sprawy jej stosunków z Litwą, sprawa ta ma dla niej wagę nie tylko dla naprawienia krzywdy, dokonanej na narodzie dziejowo najbliższym i nie tylko dla pozyskania sympatii narodu, składającego się z charakterów takich, jakim jest Piłsudski, ale także dlatego, że li tylko pojednanie Polski z Litwą może dokonać konstrukcji politycznej bałtyckiej, w której Polska obejmie batutę, stając się jednocześnie łącznikiem między ustrojem bałtyckim a dunajskim i bałkańskim. Obaj dyplomaci polscy, sami zresztą w tradycjach sympatii dla Litwy wychowani i w tym duchu przez Piłsudskiego urabiani, słuchali mię z zaciekawieniem. Rewelacją było dla nich, że samo nawet udzielenie Wilna autonomii, a tym bardziej w połączeniu z jakimiś jeszcze posunięciami mogłoby się stać jedną z podstaw do nawiązania przynajmniej pewnych początków układu. Konkretniej nic więcej nie omawialiśmy i rozeszliśmy się. Ale dobrze, żeby już choć to kiełkowało w umysłach dyplomacji polskiej. Wiem, że i sam Beck dużo o tym myśli. A i Marszałek Piłsudski trapi się mizernymi owocami swojej polityki litewskiej i naprawienie krzywdy litewskiej uważa pono za jeden z nakazów sumienia i obowiązku swojego życia.

9 października, rok 1933, poniedziałek

Poświęcę kartę dzisiejszego dziennika naszym obradom z Niemcami. Pertraktują z nami dwaj panowie z delegacji niemieckiej – p. Würsmann z Ministerium Spraw Zagranicznych, typ południowo- czy zachodnioniemiecki, cery smugłej, twarzy otwartej, i p. Kriege, prawnik z pruskiego Ministerium Sprawiedliwości, typowy i charakterystyczny Prusak, twarz okrągła, trochę osowiała. Z naszej strony jest to komisja prawnicza „speców", której przewodzi dyplomata Sidzikowski i do której należymy my z Tadeuszem Pietkiewiczem. Ze względu na mnie, który jestem tu głównym fachowcem prawnikiem ze strony litewskiej, obrady toczą się po francusku, bo po niemiecku trudno mi mówić i oprócz tego rozumiem słabo, gdy chodzi o rozmowę wychodzącą poza zakres towarzyski. Pierwsze posiedzenie odbyło się pozawczoraj w naszym hotelu „Touring et Balance", drugie – dziś w nowym wspaniałym hotelu „Carlton", w którym rezyduje delegacja niemiecka. Czy warto było wdawać się w te debaty z Niemcami – to co innego. Niemców nie przekonamy żadnymi argumentami, bo nie chcą być przekonani, gdyż im chodzi w Kłajpedzie o cel polityczny, a nie o ścisłości przepisów konwencji. Prawnicy sygnatariuszy badają kwestię *bona fide*, Niemcy – *male fide*. To jest nie partner z tytułu układu, ale wróg w sprawie Kłajpedy. Jeżeli o co im chodzi, to tylko o poznanie naszych argumentów dla lepszego zwalczenia tychże, o zorientowanie się w słabych stronach naszej argumentacji, słowem – o podejście nas i wyzyskanie całej imprezy przeciwko Litwie. Ale nasz szef polityczny – dr Zaunius – chciał tych układów i zlecił je nam, musieliśmy przeto wykonać. Zaunius jeszcze w Kownie wdał się z Niemcami w te debaty na gruncie politycznym i zobowiązał się do ich kontynuowania. Może nie mógł tego uniknąć, bo Niemcy

mają pewien tytuł formalny jako członek Rady Ligi Narodów, który może wytoczyć oskarżenie przeciwko Litwie w Radzie. Na początku naszych obrad w sobotę Sidzikowski zaznaczył tytuł przyjazny („*titre amicel*") tego zainteresowania się Niemców sprawą, na co Wörmann dał odpowiedź prostującą, że chociaż oczywiście Niemcy są w tych obradach usposobieni przyjaźnie, to jednak mają też tytuł formalny z mocy art. 17 Konwencji Kłajpedzkiej, dający im prawo skarżenia Litwy, dopóki Niemcy są członkiem Rady Ligi. Co prawda, na drugim posiedzeniu Wörmann już nastawał na „unikalnym" tytule jako rozciąglejszym i mniej wiążącym, podczas gdy tytuł formalny może wypływać raczej w obradach politycznych, niż naszych ściśle prawniczych. Ale na ogół Wörmann przez cały czas tych naszych obrad nie był w stanie się zorientować co do jednej rzeczy: mianowicie tej, że my nie prowadzimy i nie możemy prowadzić rokowań i układów, bo jako komitet prawniczy nie mamy ani mandatu, ani kwalifikacji do tego i że przeto my nie rokujemy, jeno udzielamy wyjaśnień co do uzasadnienia tez litewskich ze względu na ich zgodność z przepisami konwencji i statutu autonomicznego. Wörmann chciał, abyśmy coś zmieniali, do czegoś pośredniego dochodzili, z czegoś ustępowali. Nie mogliśmy się w to wdawać. Naszą rzeczą było jeno obronić przepisy ustawy litewskiej o sądownictwie ze stanowiska ich „statutowości" (czynności ze statutu), bez względu na to, czy ta obrona przekona Niemców czy nie. Druga rzecz bardzo charakterystyczna, jako wypływająca z tych obrad z Niemcami – to była gwałtowna chęć Niemców doprowadzenia do protokołu wspólnego. Rozumieliśmy dobrze, że ten protokół będzie potem wiązał Litwę i że Niemcom chodzi o pewne skrępowanie Litwy, toteż kategorycznie odmówiliśmy protokołu mimo ponawiane naleganie Niemców. Przez te dwa posiedzenia wałkowaliśmy wciąż litewską ustawę o sądownictwie. Niemcy jednak nie na to kładli główny nacisk, na co go kładli prawnicy sygnatariuszy. Najsroższym zarzutom niemieckim uległa konstrukcja ustawowa interpretacji autentycznej ustaw przez plenum Trybunału. Tej kwestii, która może istotnie stanowi jeden z punktów słabszych naszej obrony, sygnatariusze nie tykali wcale. Stąd można wnosić, że między jednymi a drugimi kontaktu nie było i że obrady tu i tam szły zupełnie samodzielnie. Te obrady z Niemcami, jak również z prawnikami sygnatariuszy były dla nas jakby nową repetycją argumentacji prawniczej. I przekonałem się, że nasza obrona na ogół jest mocna i niełatwa do zbicia. Ewentualnie na Hagę mamy uzbrojenie prawnicze mocne.

In merito, jak mówiłem, te dwudniowe obrady z Niemcami nic nie dały. Niemcy nigdzie nie dali się przekonać, z niczego nie zrezygnowali. Myśmy też byli twardzi, bo mocno uzasadnieni. Ale w końcu drugiego dnia obrad dzisiaj Niemcy przekroczyli miarę. Oświadczyli, że to nie wszystko i że poza ustawą litewską o sądownictwie mają oni szereg zarzutów w stosunku do całego szeregu innych aktów, zarządzeń, projektów ustaw i ustaw, ogłoszonych przez Litwę i rzekomo przeciwnych statutowi kłajpedzkiemu. Sama enuncjacja tych aktów dała liczbę dwudziestu aktów, zakwestionowanych przez nich i mających być przez nas uzasadnionymi. Tego było za dużo, bo to się zaczynało pretendowanie Niemców na jakieś chyba kondominium z Litwą w rządzeniu Krajem Kłajpedzkim. Idąc tą drogą Litwa musiałaby z każdego drobnego aktu robić przedmiot debat i przetargu z Niemcami. To już nie do pomyślenia. Jesteśmy zdecydowani nie dopuścić do tego i uchylić się od dalszych obrad. Zaunius przystał na to. Powoli, powoli Niemcy chcieliby się wnęcić w cały tok spraw zarządu Kłajpedy.

10 października, rok 1933, wtorek

Z listy dwudziestu przeszło aktów, ustaw, zarządzeń i projektów litewskich, zakwestionowanych przez Niemców, którzy oświadczyli chęć wysłuchania wyjaśnień Litwy co do ich legalności statutowo-konwencyjnej, delegacja nasza w imieniu Zauniusa, któremu to wbiliśmy do głowy, zgodziła się udzielić wyjaśnień tylko co do jednego aktu, mianowicie co do ustawy o cudzoziemcach i udzieleniu im przez rząd centralny pozwolenia na pracę

zarobkową na całym terytorium Litwy włącznie z Kłajpedą. Zaiste Niemcy nie mają żadnego umiaru i dążą do tego, aby Litwa co do każdego zarządzenia w Kłajpedzie zmuszona była na uzyskanie aprobaty... Niemiec. Ale wtedy panami i gospodarzami zwierzchnictwa państwowego „Litwy" nad Kłajpedą staliby się Niemcy. Piękna perspektywa! Niestety, Zaunius nie umie się skutecznie oprzeć tym roszczeniom Niemiec. Na razie jednak wyeliminowaliśmy tę listę. Niemcy w osobach Wörmana i Kriegego zgodzili się poprzestać na jednym. O godz. czwartej po południu znów odbyło się z nimi spotkanie, na którym udzieliliśmy im żądanych wyjaśnień prawnych co do ustawy o cudzoziemcach. Naturalnie nie zgodzili się oni na nasze wyjaśnienia. Mniejsza o to. Właściwie ani jedno nasze wyjaśnienie w ciągu tych obrad trzydniowych ich nie zadowoliło. Znowu chciał Wörman proponować protokół... Z Niemcami na razie więc skończone.

Co do obrad z prawnikami sygnatariuszy, to Sidzikowski był dziś w tej kwestii u Basdevanta. Basdevant doświadczył, że nasze pierwsze wyjaśnienia dały im bardzo dużo; są oni zwłaszcza bardzo wdzięczni mnie, choć w pewnych względach nie są skłonni tak dalece się posuwać w wyciąganiu wniosków z zeszłorocznego wyroku Trybunału w Hadze, jak ja to czynię; że jednak przyznają, iż wyrok w Hadze stworzył zupełnie nowe perspektywy interpretacji statutu i konwencji. Prawnicy sygnatariuszy już się porozumieli po wysłuchaniu naszych wyjaśnień, które w bardzo dużym stopniu ich obawy rozproszyły i zasadnicze różnice zdań między nami wygładziły; wszakże pewne poszczególne „*divergences d'opinion*" nie dały się usunąć. Sygnatariusze bardzo by życzyli, aby Litwa w tych paru kwestiach, w których oni są innego zdania, dała im satysfakcję, choćby w drodze interpretacji ustawy, nie modyfikując tekstu. Prawnicy sygnatariuszy nie wiedzą jeszcze, czy będą uważali za wskazane zebrać się ponownie z nami, aby nam swoich zastrzeżeń udzielić w odpowiedzi na nasze wyjaśnienia. Proszą jednak, abyśmy – skoro już jesteśmy w Genewie – zaczekali jeszcze dni parę. Może się jeszcze zbierzemy z nimi, może już nie. Wobec tego przed piątkiem stąd nie wyjedziemy. Juryskonsulci sygnatariuszy z Niemcami wcale nie rozmawiali. Zastrzeżenia niemieckie ich nie obchodzą. Interesują ich tylko te wątpliwości, jakie były w ich umysłach powstały.

Jeszcze jedno z dnia dzisiejszego. Po spotkaniu się moim pozawczoraj wieczorem u Jadzi Römerówny z młodymi dyplomatami polskimi hr. Raczyńskim i hr. Łubieńskim i po rozmowie, którą z nimi miałem, w której podniosłem tę myśl, że jeżeli chodzi o nawiązanie stosunków z Litwą, to Polska powinna uczynić jakiś krok pierwszy i coś Litwie zaproponować, gdyż Litwa nic do zaproponowania nie ma, skoro cały przedmiot sporu jest w ręku Polski, a bez poczynienia żadnych zmian w przedmiocie sporu Litwa, nie będąc sforsowana, nie ma powodu do zmiany stanowiska, i że moim zdaniem taką propozycją konkretną mogłoby być nadanie przez Polskę istotnej autonomii Wileńszczyźnie, co by dla Litwy było krokiem na przód, po tej rozmowie, luźnie przebrzmiałej, wczoraj Jadzia Römerówna telefonowała do mnie, prosząc o spotkanie się, aby móc z tej rozmowy pewne wnioski wysnuć, które Raczyński i Łubiański chcieli stąd w kierunku jakiejś akcji konkretnej wyciągnąć. Wyznaczyłem Jadzi spotkanie dziś w sekretariacie Ligi Narodów. Raczyński z Łubieńskim zreferują naszą rozmowę Marszałkowi Piłsudskiemu. Pierwsze zastrzeżenie z góry Marszałka jest to, żeby bądź co bądź Litwini zechcieli z nim przynajmniej po ludzku rozmawiać, bo dotąd nigdy z nim albo jego ludźmi „po ludzku" nie rozmawiali. Autonomia Wileńszczyzny byłaby w zasadzie zupełnie możliwa. Ale z kim, jak, kiedy nawiązać kontakt do układu? Powiedziałem, że zreferuję o tym bezpośrednio i osobiście naszemu Prezydentowi Smetonie. Z Litwinów, którzy by się nadawali do takiej misji bardzo poufnej i delikatnej, wskazałem dr Jerzego Šaulysa. Natomiast kto by z Polaków mógł nawiązać z ramienia Piłsudskiego rozmowę? Wskazałem przypuszczalnie prof. Staniewicza, obecnego rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, byłego ministra w Polsce, Polaka litewskiego z Wileńszczyzny.

11 października, rok 1933, środa

Dzień bezczynności dzisiejszej przed wyjazdem postanowiłem użyć na jedną z klasycznych wycieczek z Genewy w najbliższe jej okolice – na górę Salève, położoną w najbliższym promieniu Genewy, ale już na terytorium francuskim departamentu Górnej Sabaudii. Wycieczka na Salève jest dostępna nie tylko dla alpejczyków, forsujących góry piechotą, ale też dla profanów najsłabszego gatunku, jak ja, dla których sport górski drapania się po zboczach jest zgoła niedostępny. Komunikacja tu od stóp do szczytu jest unormowana, bezpieczna, spokojna, ale razem sensacyjna i ciekawa. U stóp góry Salève mieści się miasteczko Veyrier, pogranicze francusko-szwajcarskie. Do Veyrier do samej granicy francuskiej dochodzi tramwaj z Genewy. Od stóp góry na jej szczyt można się dostać dwoma popularnymi środkami, nie licząc oczywiście alpejskiego drapania się albo jazdy automobilem po długiej zygzakowatej drodze, ciągnącej się po zboczach. Dwa popularne masowe środki lokomocji na szczyt, które są najciekawsze i stanowią clou wycieczki, są to: jeden – *funiculaire*, poczciwie pnący się po zboczach, okrążając je dokoła i nakładając drogi, przez co jazda tą drogą trwa koło godziny, i drugi, bardziej modernistyczny i sensacyjny, który do niedawna – do wynalazku aeroplanów, dawał sensację jazdy powietrznej, to tak zwany „*téléférique*”, czyli wagonik zawieszony w powietrzu i uczepiony u góry za druty, po których siła elektryczna pędzi go w górę, podczas gdy drugi wagonik takiż po drutach obok pędzony jest w dół. Oczywiście wybrałem teleferyk przed funiculairem, który już nawet u nas w Kownie jest znany, choć oczywiście tam u nas jest on dopiero ostatnim krzykiem mody, ostatnią nowinką techniki, podczas gdy tu jest środkiem przestarzałym. A nasz kowieński „funiculaire”, który podnosi się na Zieloną Górę – to taki sobie tylko kawałek funiculaire’a z Salève: nasz wznosi się może na 20 metrów albo mniej, tutaj – na kilkaset metrów; tam podróż funiculairem trwa 5-10 minut, tu – godzinę. A o teleferyku, który by mógł być u nas zastosowany nad miastem i nad doliną niemeńską z Zielonej Góry lub góry Witolda na wyżyny Fredy i Aleksoty, u nas nikt jeszcze nie słyszał. Ten „teleferyk” jest zupełnie podobny do tego, którym w roku zeszłym jeździliśmy z Jadzią na Bragesy nad Jeziorem Bodeńskim, tylko że tutaj góra jest pono wyższa. Teleferykiem jedzie się na Salève kwadrans. Gdym doszedł do teleferyku, właśnie był on w ruchu, ale mechanik, śledzący ruch wagoników, oświadczył, że wysoko w górach zerwał się wielki wicher, który czyni jazdę teleferykiem niebezpieczną, wobec czego ruch będzie czasowo wstrzymany. Postanowiłem czekać cierpliwie, popijając herbatę. Jakoż za godzinę ruch teleferyku został wznowiony. Gdy się jeździło aeroplanem – jazda teleferykiem, choć efektowna, już tej szczególnej sensacji zawieszenia w powietrzu nie budzi. Na szczycie góry ze stacją teleferyku łączy się duża restauracja w wielkiej sali z golfem, a dalej już łąki i pastwiska górskie, krzewy i zarośla, zwyczajna surowa natura górska bez zabudowań ludzkich. Tam w głębi widok na poszarpane góry, odłamy skał itd., a dopiero znacznie dalej – szczyty śnieżne, których dziś nie było widać. Natomiast widok na stok genewski – prześliczny. Jezioro Lenau jak na dłoni, wesoła wielka dolina Rodanu, pełna życia, zabudowana i w panoramie prześliczna. Po śniadaniu i nasyceniu się widokiem zjechałem teleferykiem w dół i wróciłem tramwajem z tej ładnej wycieczki do Genewy. Tam zastałem wiadomość, że już żadnych obrad zbiorowych mieć nie będziemy i że możemy wracać do kraju. Jutro po obiedzie wyruszę w drogę. Na krótko każda podróż jest przyjemna, na dłuższą jednak metę najprzyjemniejszy jest swój własny dom.

12 października, rok 1933, czwartek

Wyjechałem z Genewy dopiero wieczorem. Pozałatwiałem różne sprawunki. Kupiłem trochę drobiazgów na gościńce w domu: dla Jadzi – pół tuzina chusteczek do nosa, ładnie wyszywanych ręcznie, dla Andrzeja – pióro wieczne, dla służącej Kastuti (Karuti) Merkisówny – zegarek na rękę. Kupiłem też w Genewie kilka książek i trochę owoców

doskonałych do Kowna: winogron czarnych drobnych muskatu, fig świeżych, co u nas jest rzeczą nieznaną, jeden ananas, parę małych flaszeczek koniaku Martella i żenewjeru Bolsa z Holandii, dwa autentyczne salami – włoski i węgierski. To na zakąskę w Kownie – *pour la bonne bouche*. Kupiłem miejsce w wagonie sypialnym do Berlina. Wreszcie byłem u Jadzi Römerówny, która wczoraj przez telefon prosiła mię o zobaczenie się. Okazało się, że panowie z delegacji polskiej, o ile by miało dojść do jakichś układów między Polską a Litwą w przedmiocie autonomii Wilna, nie życzą sobie żadnych dróg poufnych przez pośredników „dobrej woli", lecz prosiliby o zgłoszenie się wprost do Becka, który zresztą będzie niebawem w Genewie na konferencji rozbrojeniowej i wskazali ze swej strony, że przez delegację polską, a raczej przez Becka i Piłsudskiego byłby mile widziany ze strony litewskiej obecny minister wojny Giedraitis. Zresztą zaczynam coraz bardziej wątpić, czy z tej całej idei układów w obecnych warunkach coś pozytywnego będzie i czy w ogóle do układów dojdzie.

Wyjechałem z Genewy o godz. szóstej wieczorem.

13 października, rok 1933, piątek

Pociągiem pośpiesznym przejechałem przez noc Szwajcarię z Genewy do Bazylei i znaczną część Niemiec. O godz. trzeciej po południu przyjechałem do Berlina. Po przejechaniu z dworca Anhalskiego na dworzec Friedrichstrasse rzeczy złożyłem na przechowanie, wymieniłem potrzebną kwotę pieniędzy, kupiłem miejsce do wagonu sypialnego, poszedłem do kina, gdzie się dość wynudziłem, zjadłem kolację i wreszcie doczekałem się odjazdu o północy.

14 października, rok 1933, sobota

Przez noc przejechałem z Berlina do granicy litewskiej, a w Kownie stanąłem koło godz. 1-2 po południu. Nikt mię na dworcu nie spotkał, bo nie spodziewano się mego przyjazdu o tej porze. W domu zapanowała wielka radość, gdym się tam znalazł; oprócz Jadzi i Andrzeja Mieczkowskiego zastałem tu też Stefana Römera, który tu już od paru tygodni bawi i jeszcze tyleż zabawi, odbywając w szpitalu kurację merkuriusza i salwersanu. Znajduję, że stan zdrowia Stefana nie uległ zmianie ani na lepsze, ani na gorsze. Pozostała mu pewna trudność wysławiania się i ogólne osłabienie władz umysłowych.

Nie wychodziłem już dziś z domu. Wieczorem sprzedawano na mieście ekstra telegramy, donoszące o tym, że Niemcy zgłosiły wystąpienie z komisji rozbrojeniowej i z Ligi Narodów. Wiadomość ta, jeżeli jest prawdziwa, stanowi sensację. Że Niemcy hitlerowskie są z natury swojej wrogie takim metodom współżycia międzynarodowego, jak Liga Narodów, to jest faktem, ale w tym wypadku działać musiały nie te względy wrogości zasadniczej. Wystąpienie Niemców z Ligi i komisji rozbrojeniowej – to środek protestu przeciwko temu, co uważają oni za krzywdę i za gwałt na osobie wielkiego narodu. Jeżeli zważymy, jednak, do czego Niemcy w istocie dążą i o jakiej hegemonii, dyktującej prawa narodom, marzą, to każdy ich krok musi być pilnie obserwowany przez wszystkie państwa Europy jako gra, która w celu ostatecznym ma doprowadzić do ujarzmienia wszystkich.

15 października, rok 1933, niedziela

Andrzej Mieczkowski i Stefan Römer – dwa kontrasty. Pierwszy – żywy, cały tryskający życiem, wszystkiego ciekawy, któremu „*nihil humanum alienum est*" i jednocześnie naiwny, bezkrytycznie wierzący w zakresie religijnym; Stefan Römer – bez inicjatywy, unikający ludzi, dniami całymi nie ruszający się z miejsca, nie wychodzący wcale z domu poza wizytami co drugi dzień do lekarza, zamknięty w sobie, przez tę swoją chorobę jeszcze bardziej zasklepiony, nie umiejący nawet w głębokim cierpieniu i w tragicznej próżni swego życia utrzymać prostą powagę rzetelności, lecz zawsze coś w sobie ważący, tajemniczo fałszywy, spekulujący na jakimś kłamstwie...

16 października, rok 1933, poniedziałek

I znów od razu w kotłowisko pracy – tylko innej. Uniwersytet do obiadu, mrowie czynności rektorskich, ani się spostrzegam, jak dobiega godz. druga – i ostatecznie nic nie zrobione poza podpisami i rozmowami, a po obiedzie – ledwie czas na dziennik i na uzupełnienie konspektu dla wykładów na kursach Sztabu Generalnego – i oto już pora śpieszyć na wykład do uniwersytetu. I tak dzień w dzień, jak wiewiórka w kole. A przecież trzeba znaleźć nieco czasu i na co innego – na Radę Stanu, na sprawy kłajpedzkie, na komitet organizacyjny Szkoły Nauk Politycznych.

Ustąpienie Niemiec z komisji rozbrojeniowej i z Ligi Narodów, które nastąpiło zaraz po moim wyjeździe z Genewy, budzi wielką sensację. Ludzie zapytują, co to teraz będzie, czy nie przyśpieszy to wojny. Co do wojny – to może jeszcze nie, ale że to będzie nowym ciosem dla Ligi Narodów, której autorytet na tym ucierpi i która się ujawni jako metoda nieskuteczna do porozumienia i nawiązanie współpracy narodów – to nie ulega wątpliwości. Zresztą na pierwszy cios hitleryzmu wystawiona jest Austria biednego idealisty Dollfussa.

17 października, rok 1933, wtorek

I znowu ślęczenie nad papierami bieżącymi w gabinecie rektorskim do obiadu, po obiedzie chwilka pracy w domu i wieczorem – wykład dla prawników I semestru. Prace powszednie.

Na ruchu hitlerowskim w Niemczech zarobiliśmy dobrą siłę naukową. Na katedrę prawa karnego kłajpedzkiego zaangażowaliśmy znanego prof. Radbrucha, Niemca, z uniwersytetu, zdaje się, heidelberskiego, prawicowego socjalnego demokratę i byłego ministra, który przez władze hitlerowskie usunięty został z profesury. Radbruch jest wybitną siłą naukową.

Wspominałem wczoraj, że na pierwszy ogień natarcia niemieckiego na dzieło Traktatu Wersalskiego wystawiona jest Austria kanclerza Dollfussa. W Lidze Narodów Dollfuss w tym roku święcił triumfy. Cały zespół państw Europy, zagrożony wulkanem, kotłującym w Niemczech, okazywał gorące uznanie Dollfussowi, całą siłą opierającemu się naciskowi Niemiec. Znienawidzenie Niemiec, strach przed widmem wojny i zaborów, które są ideałem współczesnych Niemiec, poczucie niepewności, szerzone przez nastroje niemieckie po całej Europie, przekonanie, że nowa wojna poza zniszczeniem doprowadzić może – w razie zwycięstwa Niemiec – do poddania całej Europy pod barbarzyński but niemiecki – te wszystkie uczucia budziły entuzjazm i gorące owacje na rzecz Dollfussa, który stoi na pierwszym szańcu obronnym Europy wersalskiej. Jednak mimo ten entuzjazm dominowało przekonanie, że Dollfuss utrzymać swojej pozycji nie zdoła. Dollfuss uruchomił dziś przeciwko hitleryzmowi wszystkie czynniki tradycyjne, zagrał ostatnie najgrubsze atuty: katolicyzm i instynkt dynastyczny Habsburgów w Austrii. Ale te czynniki, żywe i silne w pokoleniu starszym, w pokoleniu młodzieży austriackiej są bezwzględnie przez falę nacjonalizmu hitlerowskiego zatopione. Co zwycięży – czy świat stary instynktów tradycyjnych, czy też fala zaborcza nacjonalizmu – to się pokaże. Dollfuss zagrał w Austrii *va-banque*! Jeżeli przegra – *Anschlüss*, to znaczy akces Austrii do Niemiec stanie się wtedy faktem dokonanym i to będzie pierwszym ciosem dzieła wersalskiego.

18 października, rok 1933, środa

Byłem dziś wezwany do ministra oświaty Šakenisa. Chodziło kilka spraw bieżących, w szczególności zaś o sprawę prof. Leonasa, którego cień wciąż nie daje spokoju naszym czynnikom rządzącym. Z pewnością nie podobało się rządowi, że Leonas, zaraz po usunięciu go przez rząd dla względów formalnie starości, został na wniosek Rady Wydziału Prawniczego mianowany przez Radę Akademicką profesorem honorowym. Zakrawało to

poniekąd na demonstrację. W charakterze profesora honorowego Leonas ogłosił wykłady studentom bez różnicy wydziałów niedzielami na temat: „Podstawy prawa i państwa”. Rząd się oburzył, albowiem jasne jest, że w wykładach na ten temat Leonas znów wracać będzie do krytyki rządu, którą czyni w sposób bardzo złośliwy. Otóż Šakenis twierdzi, że Leonas nie ma prawa ogłoszenia wykładów bez zatwierdzenia rządu. Żąda przeto odwołania tych wykładów Leonasa. Rząd i Leonas uwzięli się na siebie. Chcą robić sobie na złość nawzajem. Dla uniwersytetu to zdrowe nie jest.

Byłem dziś w Radzie Stanu, która przeniosła się do nowego lokalu na Laisvės Alei za soborem. Jednak zamiast pracy w komisji metrykacji cywilnej opowiadałem członkom Rady o Genewie.

19 października, rok 1933, czwartek

Prof. Izydor Tamošaitis ze swoim „Instytutem Nauk Społecznych” rozpoczął kampanię wykładów czy raczej odczytów publicznych pod nazwą „tygodnia społecznego”. Na cykl odczytów tego pierwszego „tygodnia” złożyły się wykłady Juodeiki i Valančiusa o ustroju korporacyjnym i odczyt Tomkusa o krytyce demokracji. Był wyznaczony także mój odczyt o społecznym pochodzeniu prawa, który wszakże nie doszedł do skutku z powodu mojego wyjazdu z Kowna. Zresztą cieszę się z tego, bo nie chciałbym się znaleźć w towarzystwie Juodeiki i Valančiusa. Ich odczyty były podobno bardzo słabe, dyletanckie, pozbawione erudycji i wszelkiej myśli głębszej; była to tylko mała, zupełnie elementarna, parafraza teorii korporacyjnej Spanna. Natomiast odczyt Tomkusa był podobno treściwy i ciekawy, a zwłaszcza ciekawe i pełne indywidualności było jego ujęcie demokracji. Tak, Tomkus ma wszelkie dane na wyrobienie się zeń człowieka nauki, jest głęboki, studiuje rzetelnie, jest bardzo indywidualny w sądach, usiłuje zawsze dotrzeć do jądra rzeczy. Mój przyrzeczony Tamošaitisowi odczyt dam, ale nieco później.

Po obiedzie w gabinecie rektorskim odbyło się posiedzenie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych. Obecni byli: Witold Mačys, Kvieska, Kavolis, dr Turowski, dr Juodeika, dr Natkiewicz i ja. Dowiedzieliśmy się od Mačysa, że statut Towarzystwa Szkoły Nauk Politycznych został już przez naczelnika powiatu zarejestrowany. Dziś zakończyliśmy w trzecim czytaniu redakcję statutu samej szkoły. Statut szkoły wraz z programem tejże ulegnie zatwierdzeniu ministra oświaty.

Wieczorem od siódmej do dziewiątej odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Omawiano na nim i załatwiono szereg spraw dość ważnych, w szczególności dość długie debaty wywołała kwestia organizacji sejmiku akademickiego. Po zeszłorocznych zajściach na tym sejmiku sejmik został suspendowany; czynne jest tylko jego prezydium. Debaty toczyły się tylko na temat, czy sejmik ma być utrzymany w swojej dawnej konstrukcji „demokratycznej”, opartej na głosowaniu powszechnym indywidualnym, czy też ma być zreformowany w kierunku przedstawicielstwa korporacyjnego, opartego na zasadzie delegowania członków tegoż przez organizacje studenckie. Rekonstrukcję korporacyjną zalecaliśmy ja, obaj prorektorowie i dziekan Wydziału Ewangalickiego Jakubėnas. Większością głosów uchwalono utrzymać dawną organizację sejmiku z głosowaniem powszechnym. Znowu się rozpęta agitacja i demagogia.

20 października, rok 1933, piątek

Diskin namawia Stefanową Römerową i mnie, żeby ona wywiozła chorego męża leczyć za granicę, mianowicie do Niemiec do Królewca. Wskazuje na to, że dzięki wprowadzeniu przez władze niemieckie nowego środka płatniczego dla turystów w postaci „Reise-Mark”, które sprzedają się turystom po tańszej cenie, a przyjmowane są w zapłacie *al pari* z marką droższą, taka podróż do Niemiec, gdy się jedzie w porozumieniu z firmami handlowymi, mającymi wypłaty w Niemczech, opłaca się tak dalece, że na dokonaniu pewnej ilości wypłat

markami podróżnymi zarabia się tyle, ile trzeba na przeżycie. Żydzi pochwycili w lot to zarządzenie o „Reise-Markach" i dzisiaj mnóstwo ich rozjeżdża po Niemczech i spekuluje. Diskin podejmuje się zapewnić Stefanowej możność wypłat na taką sumę, która jej zaoszczędzi miesięcznie 800 litów na różnicy kursu i da możność przeżyć z mężem bezpłatnie na samej tylko tej oszczędności. Zdaje się, że Stefanowa zdecyduje się na to. Czy kuracja w Królewcu pomoże Stefanowi – tego nie wiemy, ale próbować może i trzeba, bo polepszenia tymczasem tu nie widać: Stefan jest przytomny, ale bardzo słaby na umyśle. Inteligencja jego spadła do poziomu dziecka. Obcowanie z nim sprawia bardzo przykre wrażenie czegoś, co się kruszy i rujnuje.

21 października, rok 1933, sobota

Dziś dla mnie dzień wypoczynkowy. Do obiadu zwykła robota rektorska na uniwersytecie, ale za to po obiedzie mam cały wieczór w domu – dla siebie. To prawdziwa rozkosz, którą się ceni wtedy, gdy się ją ma rzadko. I nawet ta okoliczność, że mam liczne towarzystwo w domu (oprócz nas z Jadzią i Andrzeja Mieczkowskiego jeszcze Stefan Römer, a od dwóch dni i Stefanowa Römerowa na obiedzie), co mię zwykle męczy i pozbawia odpoczynku domowego, że poza tym miałem gościa na kawie – Diskina – i posiedzenie komisji Wydziału Prawniczego w osobach profesorów Bielackina i Stankiewicza, nie zmęczył mię wobec spodziewanej słodyczy wieczoru domowego dla siebie.

Nadmienię tu o pewnej ofercie, którą w tych dniach otrzymałem dla uniwersytetu naszego. Zwrócił się do mnie profesor dr Stanisław Kot, którego znam dobrze z Piotrkowa z czasów Wielkiej Wojny i ruchu legionowego, kiedy był on szefem Biura Prasowego Departamentu Wojskowego NKN i redaktorem wydawanych w Piotrkowie NKN-owych „Wiadomości Polskich", a który po wojnie został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i objął katedrę kultury polskiej, jedyną w Polsce. Prof. Kot po wizycie prof. Semkowicza w Kownie w r. 1929 nawiązał ze mną stosunki, przysłał mi kilka swoich książek i zeszytów redagowanego przezeń miesięcznika „Dzieje Reformacji w Polsce"; miał on też tutaj kontakt z prof. Janulaitisem, któremu pośredniczył w przesyłaniu wydawnictw naukowych krakowskich i użytkowaniu Biblioteki Jagiellońskiej. Otóż jak mi pisze Kot, Piłsudski posądza go o to, że on był inspiratorem protestu Uniwersytetu Jagiellońskiego w głośnej w Polsce przed paru laty sprawie okrutnego traktowania więźniów brzeskich, właściwie wrogów politycznych Marszałka, więzionych w Brześciu. Uwziął się więc na niego i zastosował do niego środek, stosowany obecnie szeroko przez rząd polski w celu usunięcia z uniwersytetu elementów endeckich i innych opozycyjnych, które się zagnieździły w profesurze i ukrywają tam pod osłoną nieusuwalności autonomicznej profesorów. Metoda ta jest bardzo prosta, ale zarazem radykalna: kasuje się drogą ustawy czy dekretu odpowiednią katedrę, zajmowaną przez profesora opozycjonistę, który na skutek skasowania katedry odpada automatycznie, to znaczy traci miejsce, a gdy już je stracił – wtedy drogą ustawy czy dekretu katedra się restauruje, ale już dawnego niepożądanego profesora nie ma: został wykiwany, a przecie o to tylko chodziło.

22 października, rok 1933, niedziela

Otóż dr Kot żali się bardzo na ten ostracyzm rządu polskiego, który go dotknął. Załącza do listu egzemplarz memoriału, wystosowanego przez Uniwersytet Jagielloński w obronie katedry prof. Kota, ale memoriał ten nic nie wskórał. Załącza też listę swoich prac drukowanych. Powiada, że teraz zwija manatki i że nie pozostaje mu nic innego, jak udać się w świat z odczytami. Wyraża ubolewanie, że ze względu na stosunki polityczne między Kownem a Polską nie może i nas także do swej klienteli odczytowej zaliczyć, ale jednak ma pewną nadzieję, bo prosi, żebym pomyślał o tym i pomówił z kolegami, bo może człowiek,

który ucierpiał od władz polskich, nie będzie miał tego odium, co inni Polacy dla Litwinów. Rzeczywiście prof. Kot jest wybitnym znawcą stosunków reformacji w Litwie.

Wręczyłem list dr Kota z akcesoriami – prof. Krėvė-Mickiewiczowi jako dziekanowi Wydziału Humanistycznego. Wątpię jednak, by coś z tego wymknąć mogło. Sam fakt wykładów po polsku na uniwersytecie wywołałby ostry odruch elementów nacjonalistycznych młodzieży. Może spróbuję jeszcze dać tę ofertę Wydziałowi Ewangelickiemu.

Siedziałem dziś w domu. Pod wieczór byłem z Jadzią i Stefanem Römerem na five-o-clocku publicznym w Metropolu. Zabawiliśmy się dobrze.

23 października, rok 1933, poniedziałek

Byłem u dr Elkisa. Waga – na miejscu: 102 kg. Ale z sercem jest gorzej niż było.

24 października, rok 1933, wtorek

Marysia Römerowa gotuje się do wyjazdu za granicę: wywozi Stefana Römera do Królewca, gdzie go będzie usiłowała leczyć intensywnie. Namówił ją do tego Diskin, który przez udzielenie jej okazji do różnych wypłat w Niemczech, dokonywanych ulgowymi tańszymi „Reise-Markami", zapewnia jej możność zarabiania na różnicy kursu i przez to zdobycie bezpłatnego pobytu za granicą. Ja finansuję to przedsięwzięcie w sumie 800 litów awansu, które wszakże ma mi być w całku zwrócone. Kombinacja jest niezwykła. Zobaczymy, jak się uda.

25 października, rok 1933, środa

Współpraca z ministrem Šakenisem jest nieznośna. Sam on w tygodniu ubiegłym powiedział mi, że rząd nie zmierza udzielać władzom uniwersyteckim żadnych wskazówek co do losów przedstawicielstwa akademickiego studentów na rok bieżący i życzy tylko, aby agitacja wyborcza była ile możności ograniczona i dozór nad działalnością sejmiku skuteczny. Wobec takiego oświadczenia wniosłem kwestię suspendowanego przedstawicielstwa na posiedzenie senatu w tygodniu ubiegłym, i senat uchwalił dokonać wyborów do sejmiku na zasadach dawnych, zastrzegając jeno zgłoszenie list kandydatów wyłącznie przez grupy zorganizowane. Uchwała została już ogłoszona, młodzież uspokoiła się, prezydium sejmiku rozpoczęło wespół z prorektorem przygotowania do kompanii wyborczej. Aż oto minister Šakenis znów zaczyna kwestionować wybory i wznawia kwestię reorganizacji przedstawicielstwa. Jutro mamy z ministrem i prorektorem Česnysem iść w tej kwestii do Prezydenta. Przerobienie uchwały senatu, już ogłoszonej, uczyniłoby na młodzież wrażenie fatalne.

26 października, rok 1933, czwartek

Dwie sprawy stanęły na uniwersytecie na ostrzu noża. Jedna – to kwestia przedstawicielstwa akademickiego studentów, druga – sprawa wykładów prof. Leonasa. Dla omówienia i ewentualnego załatwienia polubownego obydwóch wybrałem się dziś z ministrem Šakenisem i prorektorem Česnysem do Prezydenta. Z Šakenisem do niczego się dogadać niepodobna; jedyny środek – to pośrednictwo Prezydenta albo Tubelisa. Żadnymi argumentami Šakenis nie daje się przekonać za wyjątkiem słów Prezydenta albo prezesa ministrów, dla których ma posłuch bezwzględny. W sprawie przedstawicielstwa studentów sam Šakenis przed 10 dniami mię upewnił, że rząd w tej sprawie żadnych wymagań kategorycznych nie stawia i zostawia rzecz do decyzji władz akademickich, prosząc je jeno o to, aby ile można ukróciły agitację wyborczą i zapewniły dozór nad przedstawicielstwem, aby nie było wybryków politycznych. W myśl tego wniosłem kwestię na posiedzenie senatu, który, wbrew opinii mojej i prorektorów, uchwalił wznowienie przedstawicielstwa na

zasadach dawnych, nie reformując go kooperacyjnie. Uchwała senatu została już ogłoszona i poczynione zostały zarządzenia na rzecz jej wykonania. Odwołanie jej teraz i nawrócenie do omawiania reformy uczyniłoby na młodzież jak najgorsze wrażenie i stałoby się źródłem fermentu. Co do sprawy wykładów prof. Leonasa, to w kołach akademickich profesury i senatu panuje przekonanie, że profesor honorowy może zupełnie samodzielnie ogłosić wykłady nieobowiązujące, jak również może wykładać jakiś przedmiot obowiązujący z polecenia wydziału, tylko bez honorarium i że do tego nie jest wymagane żadne pozwolenie ani zatwierdzenie władzy państwowej. Toteż prof. Leonas, mianowany uchwałą Rady Uniwersyteckiej profesorem honorowym, ogłosił niedzielami kurs nieobowiązujący wykładów o znaczeniu i zadaniu państwa, a oprócz tego objął kurs obowiązujący historii filozofii prawa na VIII semestrze. Natomiast minister Šakenis i rząd twierdzą, że dla wykładów profesor honorowy powinien otrzymać zezwolenie rządu. Statut uniwersytetu jest pod tym względem niewyraźny: mówi on tylko o sposobie wyborów profesora honorowego i o tym, że bierze on udział w Radzie Uniwersytetu. Sprawę wykładów prof. Leonasa, podniesioną przez ministra Šakenisa, zamierzałem wnieść na obrady senatu w zeszły czwartek, ale Wacław Biržiška prosił mię wtedy o jej odroczenie, albowiem chciał sam wpierw pomówić o tym z Šakenisem i słyszał, że Tubelis wypowiedział się przeciwko wszczynaniu tej kwestii. Tymczasem Šakenis pozawczoraj znów mię o tę sprawę zaczepił i żądał załatwienia jej, nie tając, że władza odmówi pozwolenia na te wykłady. Wobec tego poprosiłem Wacława Biržiškę, żeby poszedł osobiście przekonywać Šakenisa. Biržiška poszedł, ale nic nie wskórał. On swoje, a Šakenis – swoje. Pojechaliśmy więc dziś do Prezydenta Smetony. Tu zdaje mi się, że wszystko poszło gładko i łatwo. Co do przedstawicielstwa studenckiego, to Prezydent od razu zrozumiał, że skoro już ogłoszono wybory i zaczęto się gotować do akcji dawnym trybem, to zmiany na razie być nie może, więc sprawę reformy przedstawicielstwa trzeba odroczyć do następnego roku, a tymczasem studiować ją. Co zaś do wykładów prof. Leonasa, to Prezydent poparł interpretację statutu w myśl konieczności zezwolenia rządu na wykłady profesora honorowego, ale uznał, ze należy udzielić zezwolenia na wykłady tegoroczne prof. Leonasa, żeby opozycja władz nie zakrawała na szykanę. Byłem ucieszony pomyślnym, jak mi się zdawało, rozwiązaniem sprawy tych wykładów wobec zdecydowanego stanowiska odmownego Šakenisa. Oczywiście, że z chwilą oznajmienia woli Prezydenta wszelka opozycja Šakenisa odpadła. Oświadczyłem Šakenisowi, że jutro mu przyślę do zatwierdzenia program wykładów tegorocznych Leonasa. Wieczorem wszakże na posiedzeniu senatu wybuchła burza.

27 października, rok 1933, piątek

Na wczorajszym wieczornym posiedzeniu senatu akademickiego większość dziekanów napadła na mnie, zarzucając mi wykroczenie przeciwko autonomii uniwersytetu. Najostrzej wystąpił dziekan Wydziału Prawniczego prof. Wacław Biržiška, ostro też zasadniczo trzymał się dziekan Krėvė-Mickiewicz, ostrożniej, ale też podniecająco przemawiali dziekani Lašas i Žemaitis; ten ostatni w ogóle, jak mi się zdaje, usposobiony do mnie niechętnie jako do zwycięskiego konkurenta swego na stanowisko rektora. Toteż Žemaitis rad byłby mię skompromitować. Dziekani Jakubėnas i Grinkiewicz sami nie przemawiali, ale potakiwali tym, którzy mię krytykowali. I tylko dziekan teologii ks. prof. Kuraitis i obaj prorektorowie trzymali się zupełnej rezerwy. Chodziło o to, czy można się zgodzić na taką interpretację statutu, w myśl której profesor honorowy, chcący wykładać, musi otrzymać na to pozwolenie władz państwowych, czy też pozwolenie takie jest zbyteczne, nawet w tym wypadku, gdy mu wydział poleca wykładanie kursu obowiązującego i nawet wtedy, gdy ten sam człowiek został przez władze nie zatwierdzony, czyli usunięty z powodu przekroczenia granicy wieku, czyniącego go w przekonaniu władz niezdolnym do wykładania. Statut odpowiedzi kategorycznej nie udziela; zdawałoby się, że o ile nie ma arbitra w postaci sądu

administracyjnego, spór interpretowany musi ulegać decyzji władzy centralnej, mający dozór nad legalnością działania organów autonomicznych. W gruncie rzeczy senat nie znalazł argumentów przeciwko tej tezie, ale uważał, że należało bronić do ostatka tezy przeciwne, jako rzekomo dobrze uzasadnionej i ustąpić ewentualnie li tylko na wyraźny rozkaz pisemny władzy, a tymczasem szachować rząd memoriałami. Ja zaś ustąpiłem od razu za cenę oportunistyczną obietnicy zezwolenia na wykłady Leonasa. To mi wzięto za złe. Daremnie mógłbym przypominać o tym, że tenże sam prof. Biržiška nie wahał się we wrześniu wkroczyć na drogę do takiegoż kompromisu, gdy chodziło rządowi o pozbyciu się Tumėnasa. No ale mniejsza o to. Może pobłądziłem. Niemniej sposób, w jaki dziekani napadli na mnie i zarzucili zaniedbanie autonomii, był przykry i niewłaściwy. Uchwalili też wystosować do rządu memoriał w obronie ich interpretacji statutu i zignorowali zupełnie moje zobowiązanie się wobec rządu do podania prośby o zezwolenie na wykłady prof. Leonasa, a nawet nie chcieli się liczyć z wnioskami kompromisowymi Jodeli i moimi.

Wyciągnąłem dziś stąd wniosek – zgłosiłem dymisję moją na ręce Prezydenta za pośrednictwem ministra oświaty. Prośba o dymisję leży jeszcze w moim gabinecie rektorskim. Najformalniejsza prośba o dymisję.

28 października, rok 1933, sobota

Dziś dopiero wysłałem do ministra oświaty moje podanie o dymisję ze stanowiska rektora. Nie sądzę jednak, aby się na tym skończyło i aby dymisja została istotnie przyjęta. Podałem się do dymisji, ponieważ nie zdołałem wykonać tego, czego się wobec ministra zobowiązałem: zwrócić się do niego o pozwolenie na wykłady profesora honorowego Leonasa ani przynajmniej zawiesić te wykłady do czasu rozpoznania przez rząd memoriału uniwersyteckiego, negującego potrzebą uzyskania na nie zezwolenia od rządu. Uchwała senatu uniemożliwiła mi wykonanie tego zobowiązania. Podanie o dymisję przesłałem konfidencjalnie, w kopercie zamkniętej. Kancelaria uniwersytecka nic o zawartości tej koperty nie wie. Tylko z prorektorem Jodelą i dziekanem Krėvė-Mickiewicza mówiłem o tym.

Czas tak biegnie wśród rozmaitych zajęć, wykonywanych dorywczo, że nawet nie bardzo się mogę zastanawiać nad sytuacją, wytworzoną przez uchwałę senatu i moje podanie o dymisję albo rozważać perspektywy i ewentualności dalszego rozwoju wypadków. Zastanawiam się li tylko nad tym, co należy uczynić w chwili bieżącej, a ciąg dalszy zostawiam przyszłości. I tak oto dzisiaj od jedenastej do pierwszej miałem posiedzenie w Radzie Stanu w sprawie noty belgijskiej, wystosowanej do Litwy z powodu wiosennego unormowania cen na energię elektryczną w Kownie. Przyjęliśmy rezolucję Pietkiewicza, oddalającą samą zasadę interwencji belgijskiej w stosunki należące do sfery wewnętrznej rządów litewskich, okoliczność bowiem, że znaczna część akcji stacji elektrycznej kowieńskiej należy do Belgijczyków, nie nadaje w tym względzie żadnych praw państwu belgijskiemu. Potem wróciłem do uniwersytetu, następnie odwiedziłem chorego byłego rektora prof. Czapińskiego, po obiedzie w domu miałem szereg interesantów, o godz. piątej poszedłem na przyjęcie uroczyste (raut z herbatą) do poselstwa czeskosłowackiego z okazji 15-lecia niepodległości Czechosłowacji – i tak mi dzień przeleciał.

29 października, rok 1933, niedziela

Rano miałem posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, następnie o godz. piątej po południu uroczyste posiedzenie korporacji akademickiej oficerów rezerwy „Ramovė" na rzecz poświęcenia sztandaru korporacji i obchodu pierwszej rocznicy jej istnienia. W domu ułożyłem tekst krótkiego przemówienie powitalnego do korporacji i poszedłem. Natrafiłem akurat na przyjazd Prezydenta Rzeczypospolitej w otoczeniu dwóch ministrów – Tubelisa i Giedraitisa – i licznych wojskowych. Na estradzie u stołu prezydialnego obok ministrów

zasiadłem i ja. Przemówienie Prezydenta, mowy ministrów, moja, generałów, liczne przemówienia powitalne innych stowarzyszeń akademickich, ceremonia poświęcenia sztandaru przez kapelana wojskowego ks. Mironasa i przysięgi na sztandar zajęły dobre dwie godziny. Zaproszono nas później na herbatkę. Ponieważ Prezydent został, więc i nam nie było możności uciekać. Przy herbatce, a raczej kawie czas zeszedł na deklamacji, śpiewie, usposobieniu wesołym. Dopiero o godz. 10 wieczorem zdołałem wrócić do domu, gdzie mię czekała od kilku godzin Jadzia, z którą się miałem wybrać na miasto do Metropolu. Jadźka była nadąsana, zła. Poszliśmy z nią jednak do „Wersalu" i zabawiliśmy się nieźle.

30 października, rok 1933, poniedziałek

Umarł nagle prof. Antoni Kriščiukaitis, prezes Trybunału Najwyższego, jeden z ludzi, który mi byli najbliżsi w dobie niepodległości Litwy. Z nim najwięcej na wszystkich polach pracy wypadło mi współpracować. Jako sędzia Trybunału byłem jednym z najbliższych jego współpracowników od roku 1921 do r. 1928. Potem w Radzie Stanu znów z nim się spotkałem i współpracowałem w różnych komisjach aż do dnia dzisiejszego. W piątek jeszcze zasiadaliśmy z Kriščiukaitisem w komisji metrykacji cywilnej i ślubów cywilnych w Radzie Stanu. Wreszcie na uniwersytecie pracowaliśmy wspólnie od roku 1923 na Wydziale Prawniczym i wczoraj jeszcze zasiadaliśmy z nim w Radzie Wydziału. Antoni Kriščiukaitis umarł dziś na serce. Rano wstał dzisiaj i chciał jeszcze iść do Trybunału, ale zrobiło mu się źle i niebawem zmarł. Kriščiukaitis był jednym z najwybitniejszych ludzi na wszystkich stanowiskach, które zajmował. Może tylko na uniwersytecie mniej się uwydatnił, bo nie był uczonym właściwie. Żywy był, wszystkim się interesował, każda rzecz go obchodziła. Śmierć ta sprawiła na mnie bardzo ciężkie wrażenie. Kriščiukaitis umarł w wieku 69 lat. Oczywiście wypadnie mi jeszcze przemawiać na jego pogrzebie.

Rano dziś wezwał mię do siebie minister oświaty Šakenis. Chodziło o moje podanie do dymisji, które Šakenis dopiero dziś rano przeczytał. Powiedziałem mu, dlaczego to uczyniłem. Minister zaczeka, zdaje się, memorandum senatu akademickiego. Co do mojej dymisji, to wyraził nadzieję, że się ona okaże zbyteczna.

31 października, rok 1933, wtorek

Wieczorem odbyła się dziś eksportacja zwłok śp. Antoniego Kriščiukaitisa z mieszkania przy ul. Trockiej do bazyliki na Starym Mieście. Pogrzeb odbędzie się dopiero po Zaduszkach – w piątek rano. Swoją drogą, śmierć Kriščiukaitisa wytwarza dużą stratę w aparacie państwowym litewskim, nade wszystko na stanowisku prezesa Trybunału Najwyższego, także na stanowisku współpracownika Rady Stanu. Nie wiem, kto zdoła zająć miejsce Kriščiukaitisa w Trybunale. To zagadnienie niełatwe. Kriščiukaitis był, po pierwsze, człowiekiem pełną gębą; po wtóre, był wrażliwym artystą; po trzecie, miał kulturę prawniczą, był nie tylko człowiekiem rutyny i doświadczenia, nie tylko suchym specjalistą od kryminalistyki czy cywilistyki, ale też [miał] głęboki zmysł prawa i szerokie poczucie sprawiedliwości. To był rzeczywiście typ doskonały sędziego najwyższego u szczytu magistratury sądowej. Nieobce mu były pojęcia prawa publicznego, w których przez ten swój zmysł orientował się znakomicie. Przychodzi mi na myśl Ludwik Ciplijewski jako ewentualny godny następca Kriščiukaitisa. Co do uniwersytetu, to Kriščiukaitis mężem nauki nie był. Ale bądź co bądź jako pedagog był dodatni, bo dźwigał wysoko sztandar sprawiedliwości, sumienia i dyscypliny państwowej, opartej na prawie.

Eksportacja zwłok odbyła się wieczorem przy świetle latarni smolnych, niesionych przez studentów. W pochodzie brali udział czterej ministrowie, pod koniec przyłączył się do pochodu Prezydent Rzeczypospolitej z żoną.

Smutny orszak przeszedł wzdłuż całą Laisvės Alėją i stamtąd do Placu Ratuszowego. Obszernie był na eksportacji reprezentowany świat sądowniczy, adwokatura, Rada Stanu, starzy. Profesura wystąpiła mniej licznie.

1 listopada, rok 1933, środa

Te kilka dni spędzam sam z Andrzejem Mieczkowskim w Kownie. Jadzia wyjechała na kilka dni do Bohdaniszek. Wróci w sobotę na noc. Zazdroszczę jej tych kilku dni wypoczynku. Dla niej to fatyga, dla mnie byłby wypoczynek i rozkosz. Wyobrażam sobie długą noc, ogień wesoły na kominku, gawędkę Kazimierza, krówki, cielęta, świnie, źrebię w chlewach...

Miałem o godz. piątej po obiedzie audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej. O audiencję tę poprosiłem dla poinformowania prezydenta o rozmowach, które ze mną prowadzili przez Jadzię Römerównę w Genewie członkowie delegacji polskiej hr. Raczyński i hr. Łubiański. Jak się spodziewałem, Prezydent Smetona nie nadaje temu żadnej wagi i mianowicie uważa: a. jeżeli Polska chce uczynić Litwie propozycję nadania autonomii Wileńszczyźnie jako aktu kompromisowego, to sama Polska powinna zakomunikować Litwie tę swoją propozycje, a nie żądać, aby Litwa przysyłała do władz polskich kogoś z prośbą o to ustępstwo; b. autonomia Wileńszczyzny mogłaby być użyteczna tylko w pewnych warunkach i pewnych granicach terytorialnych, poza tym tylko o tyle, o ile by była gwarantowana międzynarodowo, na co się Polska oczywiście nie zgodzi; c. gdyby autonomia zależała li tylko od Polski, Polska mogłaby ją zawsze cofnąć, a tymczasem stosunki byłyby już przez Litwę z Polską nawiązane i ten atut pozostałby w ręku polskim, bo nawet odwołanie stosunków nie przekreśliłoby faktu, że już były przez Litwę nawiązanie; d. nawiązanie przez Litwę stosunków z Polską to przyznanie faktu zaboru Wilna. Prezydent Smetona nie wierzy, żeby za życia Piłsudskiego mogło się cokolwiek w stosunkach polsko-litewskich zmienić. Piłsudski nie panuje już nad tymi faktami, ale jego imię jest z nimi związane i to czyni je nietykalnymi.

2 listopada, rok 1933, czwartek

Na uniwersytecie dzień dzisiejszy (Zaduszny) ogłoszony został świątecznym, gdzie indziej nie miałem niczego na dzisiaj, przeto calutki dzień spędziłem dziś w domu, nie wychodząc wcale. Kiejf! Miałem wszakże jedną intensywną robotę – ułożenie mowy na pogrzeb Kriščiukaitisa jutro. Na razie mi ta mowa szła ciężko, poprawiać musiałem kilkakrotnie początek. Ale za to w środku nabrałem rozpędu i druga połowa mowy jest, zdaje się, dobra. Po obiedzie o jednej już tylko rzeczy marzyłem: żeby prędzej pójść spać.

3 listopada, rok 1933, piątek

Pogrzeb Kriščiukaitisa. Nabożeństwa żałobne w bazylice o godz. 10 rano. U stóp katafalku – rodzina; duży kordon studentów; publiczności w kościele sporo. W krzesłach i ławach honorowych za kratkami u ołtarza – Prezydent Rzeczypospolitej, ministrowie, magistratura sądowa, prokuratura, adwokatura, grono profesorów ze mną i prorektorem Jodelą na czele, Rada Stanu z Šilingiem na czele. Po nabożeństwie kondukt żałobny na cmentarz przez ul. Prezydenta, Laisvės Aleją, ul. Orzeszkowej, ul. Donelaitisa i prospekt Witolda. O godz. pierwszej dotarliśmy do cmentarza. U grobu wyznaczonych było osiem mów: a. mowa Prezydenta Smetony, b. mowa ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego, c. mowa prezesa Rady Stanu Šilinga, d. mowa moja jako rektora uniwersytetu, e. mowa sędziego Čepasa, prezesa sekcji cywilnej Trybunału, f. mowa prokuratora Trybunału Kalvaitisa, g. mowa prezesa Rady Adwokackiej prof. Leonasa i h. mowa członka zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego Toliušisa. Muszę stwierdzić, że moja mowa była jedną z lepszych i najbardziej treściwych. Zmachany wróciłem do domu.

Wieczorem miałem dwie godziny wykładów u ekonomistów III semestru, ale faktycznie wykładałem tylko jedną godzinę, albowiem na godz. ósmą byłem zaproszony do ministra spraw zagranicznych Zauniusa na obiad (we fraku naturalnie). Obiad był z tytułu przyjęcia posła szwedzkiego. Obecni byli prócz Szweda i gospodarstwa Zauniusów: prof. Izydor Tamošaitis, prof. Hołownia z żoną, generał Nagiewicz z żoną, Marcin Yčas, poseł litewski w Sztokholmie p. Sawicki, wiceminister finansów Indrišiunas (mój były uczeń z uniwersytetu) z żoną i ja. Wieczór upłynął bardzo mile. Indrišiunas z Marcinem Yčasem, z którymi wypiliśmy bruderszafta, wzięli się gorąco do propagowania myśli o mojej kandydaturze na stanowisko prezesa Trybunału na miejsce śp. Antoniego Kriščiukaitisa. Podobno myśl ta już powstała, ale minister Żyliński sądził, że nie zechcę zrywać rektoratu dla tej posady, obie zaś pogodzić – byłoby ponad siły. Mnie jednak myśl ta się podoba. Prezesostwo Trybunału jest też mniej męczące od rektoratu, a stanowisko piękne, szlachetne, pełne wielkiego majestatu. Daj Boże!

Indrišiunas (ten zwłaszcza) i Yčas są to ludzie silni z wpływami u rządu. Jeżeli oni ideę tę podniosą i zaagitują – to skutek prawie że pewny, bo skądinąd i Smetona z Tubelisem mogliby sprzyjać temu, a w każdym razie nie byliby dalecy od tej myśli.

Ładna też i głęboka była mowa Prezydenta Semtony, natomiast mowa „złotoustego" Šilinga była jałowa i płytka, sklecona z frazesów histerycznych.

4 listopada, rok 1933, sobota

Dziś rozpocząłem cykl wykładów prawa konstytucyjnego na kursach Sztabu Generalnego. Kursy Sztabu Generalnego, które funkcjonują już od lat kilku, są podwaliną przyszłej Akademii Wojennej. Przez pierwsze dziesięciolecie niepodległości brak takiej specjalnej wyższej uczelni wojennej był zapełniany przez kształcenie i specjalizowanie uzdolnionych wyższych oficerów w akademiach Belgii, Francji i Czechosłowacji. I dziś jeszcze dokształcanie specjalistów w tamtych akademiach jest nadal praktykowane, ale już kadry pierwszych wykształconych specjalistów dały możność założenia w kraju zawiązku takiej akademii, udzielając mu wykładowców fachowych. Słuchaczami kursów są oficerowi sztabowi w stopniu przeważnie majorów i nie niżej kapitanów. Otóż na III kursie tej uczelni wprowadzono do programu kilka kursów skróconych nauk prawno-społecznych, jak w szczególności prawa konstytucyjnego, prawa międzynarodowego, prawa finansowego, prawa cywilnego, bodajże karnego także. Ja zaangażowany zostałem do prawa konstytucyjnego. Zamknąć muszę moje wykłady w 20-25 godzinach. Będzie to kurs bardzo skondensowany, ale w założeniu ten sam, który wykładam na uniwersytecie.

Rano o godz. 11 przysłano po mnie do uniwersytetu automobil za Sztabu Generalnego z adiutantem kursów, który mię zawiózł do lokalu kursów. Zebrał się tam cały personel profesorski kursów z szefem sztabu i naczelnikiem kursów Kubeliunasem, który też w pełnym komplecie zasiadł w audytorium i wysłuchał dwie godziny mojego pierwszego wykładu.

Po obiedzie miałem w domu dużo roboty: a. egzaminy studenckie, b. ostatnie posiedzenie komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych i c. wizytę dziennikarza polskiego Tadeusza Katelbacha. Statut i program Szkoły Nauk Politycznych już jest gotowy. Ustawa Towarzystwa szkoły już zarejestrowana u naczelnika powiatu. Wobec tego zwołane będzie w przyszłym tygodniu pierwsze posiedzenie inauguracyjne Towarzystwa, na razie tylko w komplecie pełnego komitetu organizacyjnego. Towarzystwo się ukonstytuuje, rozszerzy się przez odwołanie się do tego składu osób, który był na pierwszym zebraniu Towarzystwa Studiów Ekonomicznych, kiedy ja zainicjowałem ideę szkoły i wtedy władze nowego Towarzystwa zajmą się zatwierdzeniem statutu i programu szkoły u ministra oświaty.

Dziś spośród członków komitetu organizacyjnego Szkoły Nauk Politycznych znów słyszałem o mojej kandydaturze ze stanowiska prezesa Trybunału. Im bardziej się nad tym

zastanawiam, tym bardziej zachęcam się do tego pięknego i niezależnego stanowiska. Z całego serca pragnę być mianowany.

Wieczorem wróciła dziś z Bohdaniszek Jadzia.

5 listopada, rok 1933, niedziela

Po krótkim posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego udaliśmy się w komplecie do fotografa dla sfotografowania się zbiorowego z naszym byłym dziekanem Leonasem. Dotąd mieliśmy tylko jedną fotografię zbiorową profesury Wydziału Prawniczego, akurat sprzed lat dziesięciu, z roku 1923. Ta będzie druga.

Wieczorem byliśmy z Jadźką i Andrzejem na kolacji w Metropolu, gdzie funkcjonuje też przy kolacji dancing i kilka numerów kabaretu.

6 listopada, rok 1933, poniedziałek

Po obiedzie od godz. piątej do siódmej miało miejsce publiczne posiedzenie Wydziału Prawniczego, na którym asystent Jan Bučas bronił swojej dysertacji na stopień doktora nauk ekonomicznych. Oponowali mu z urzędu prof. Jurgutis i prof. Rimka. Bučasowi udzielony został tytuł doktora *cum laude*.

Po dysertacji miałem jeszcze godzinę wykładu na I semestrze.

7 listopada, rok 1933, wtorek

Zwyczajny porządkowy dzień. Rano jeno miałem posiedzenie plenum Rady Stanu, poświęcone projektowi ustawy o ochronie zabytków przeszłości i niektórym orzeczeniom prawno-administracyjnym. Potem byłem krótko w rektoracie, wieczorem miałem wykład dla prawników I semestru.

Zacząłem dziś mierzyć: a. ilość spożytych dziennie płynów i b. ilość wydzielanej przez organizm uryny.

8 listopada, rok 1933, środa

Odbyło się pierwsze posiedzenie inauguracyjne nowego Towarzystwa Szkoły Nauk Politycznych, zarejestrowanego u naczelnika powiatu. Sześciu podpisanych założycieli firmowych Towarzystwa – i ja w ich liczbie – zwołaliśmy to posiedzenie i zaprosiliśmy nań pełny komplet byłego komitetu organizacyjnego. Obecni byli na posiedzeniu: Kavolis, Kvieska, Krikščiunas, Lapėnas, dr Natkiewicz, dr Turowski, dr Juodeika, Tomkus, prof. Izydor Tamošaitis, Witold Mačys i ja. Wybrano zarząd Towarzystwa z pięciu członków w osobach Kavolisa, dr Natkiewicza, Tomkusa, Lapėnasa i mnie. Charakterystyczne, że do zarządu nie trafili ani dr Turowski, ani Juodeika, najwięksi karierowicze w tym gronie, przedstawiciele stojącej za ich placami plejady młodych „doktorów zagranicznych”, żądnych posad i władzy i gotujących się do cywilizowania barbarzyńskiego kraju swojego. Widocznie nie tylko ja jeden, ale inni także poznali się na nich i nie ufają im. Musi to być dla nich wielki zawód. Turowskiego mi żal nawet, bo rzeczywiście dużo i szczerze się napracował nad układaniem programu szkoły, będąc pewny, że tu się sam usadowi mocno. Obowiązki w zarządzie podzieliliśmy między sobą w ten sposób, że prezesem zostałem ja, sekretarzem – dr Natkiewicz i skarbnikiem – Kavolis. Wybrano też komisję rewizyjną z trzech członków. Na posiedzeniu odczytano projekt statutu szkoły, który zarząd będzie musiał zgłosić do zatwierdzenia ministra oświaty, po czym zwołane zostanie drugie zebranie ogólne dla wyboru rektora szkoły. To drugie zebranie będzie zwołane mniej więcej w tym komplecie, w jakim się odbyło zebranie Towarzystwa Studiów Ekonomicznych, na którym ja referowałem inicjatywę założenia Szkoły Nauk Politycznych.

Po wykładzie dzisiejszym u ekonomistów III semestru rozpocząłem u nich moje zwyczajne colloquia semestralne.

9 listopada, rok 1933, czwartek

Wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego. Senat zatwierdził memorandum do ministra oświaty, ułożone przez komisję w sprawie wykładów profesorów honorowych. Jest to to memorandum, z powodu którego zgłosiłem moją dymisję na ręce ministra oświaty. Zresztą cała ta sprawa skończy się zapewne na niczym. Mojej dymisji rząd oczywiście nie przyjmie, a czy memorandum przekona ministra i skłoni go do zrezygnowania z żądań zatwierdzenia wykładów, czy też będzie inaczej – to się okaże. Wielkiego znaczenia sprawa ta nie ma. Cięższą i bardziej brzemienną w trudne do przewidzenia skutki jest inna sprawa. Senat, jakem pisał, uchwalił zarządzić w tym roku zwyczajne po dawnemu wybory do sejmiku akademickiego. Poczyniono tylko drobne poprawki. Kampania wyborcza już się rozpoczęła i niebawem same wybory się odbędą. I oto w tej chwili grupa korporacji „narodowych" (osiem korporacji z „Neo-Lithuanią" na czele) uchwaliła bojkot wyborów i protest przeciwko tworzeniu sejmiku na tych zasadach. Delegacja tych grup złożyła na ręce moje memorandum do senatu. Senat je odrzucił. Oczywiście senat nie mógł postąpić inaczej, bo musi stać na punkcie swej uchwały i nie może zmieniać ciągle stanowiska. Ale sytuacja może się stać ciężka. Młodzież prawicowa będzie bojkotowała wybory, wskutek czego wzrosną proporcjonalnie głosy lewicowe i mniejszości narodowych. Okoliczność ta dostarczy nowego argumentu narodowcom przeciwko sejmikowi i znów się podniesie heca. Grupy lewicowe młodzieży, które popierają demokratyczną konstrukcję sejmiku, ciężko swoją wierność zasadzie opłacają. Bronią one instytucji, która jest głównym terenem napaści przeciwko właśnie nim i którą się posługują ich wrogowie do dyskredytowania ich ideałów. Szczególnie cierpią na tym mniejszości narodowe.

10 listopada, rok 1933, piątek

Odwiedził mię dzisiaj dr.Jerzy Šaulys, nominalny poseł litewski w Berlinie, urlopowany obecnie z powodu konfliktu, jaki nastąpił między nim a ministrem spraw zagranicznych Zauniusem w przedmiocie małżeństwa Šaulysa, zawartego trybem cywilnym ze śpiewaczką włoską, obywatelką niemiecką. W dyplomacji dyscyplina jest podobna do wojennej. Dyplomata może wstąpić w związek małżeński li tylko z zezwolenia swego zwierzchnictwa służbowego. Otóż Šaulys od lat mniej więcej 15-16 żonaty jest z Polką rodowitą, z której mu się urodziła córeczka, ale która sama zachorowała psychicznie i od wielu lat jest w zakładzie dla umysłowo chorych. W Kościele katolickim Šaulys nie mógł otrzymać rozwodu, więc się ożenił z Włoszką cywilnie, ale wbrew zakazowi ministra Zauniusa. Šaulys liczył na swoją zażyłość z Prezydentem Smetoną i miał od niego oraz od Tubelisa zgodę na to małżeństwo. Zaunius obraził się, zagroził dymisją i zyskał tyle, że Šaulysowi udzielono przymusowego urlopu; podług wersji Zauniusa i Sidzikowskiego, którą słyszałem od nich w Genewie, Šaulys jest usunięty ze stanowiska posła w Berlinie; natomiast podług wersji Šaulysa, który nie cierpi Zauniusa i Sidzikowskiego, jest tymczasowo urlop, a co będzie dalej – to się jeszcze zobaczy. Otóż od Šaulysa dowiedziałem się ciekawej rzeczy, nie mającej zresztą nic wspólnego z tą kwestią jego małżeństwa i zatargu z Zauniusem. Tą ciekawą rzeczą jest fakt, o którym nic dotąd nie wiedziałem – że tego roku Šaulys widział się osobiście z Marszałkiem Piłsudskim i rozmawiał z nim w kwestii stosunków polsko-litewskich. Dr Šaulys stwierdza, że Piłsudski bardzo już postarzał, zmienił się i robi wrażenie człowieka, który się już zużył. Šaulys nie mógł się do niczego z Piłsudskim dogadać. Prawda, że Piłsudski chętnie się zagłębiał we wspomnienia Wilna i Litwy, ale w zakresie politycznym nie czynił Litwinom żadnych propozycji ani ustępstw, w ogóle nie ujawnił żadnej giętkości myśli czy koncepcji politycznej i żądał od Litwinów tylko posłuchu. Šaulys jest zdania, że dziś największą przeszkodą do jakiegoś rozwiązania polsko-litewskiego jest właśnie osoba Piłsudskiego, która w swoim czasie zbyt mocno zaciążyła na sprawie wileńskiej i ciąży na niej dotąd tak, że sprawa nie

może być z pominięciem Marszałka rozwiązana, a on sam jej rozwiązać już nie umie i dlatego złości się i jest jak pies, co leży na kupie siana, sam siana nie je i innym go jeść nie daje. Jest to ta sama opinia, którą słyszałem od Prezydenta Smetony, widocznie oparta na tej samej opinii Šaulysa.

Dziś w Radzie Stanu na posiedzeniu komisji w osobach Ciplijewskiego, mnie i referenta Raczkowskiego zakończyliśmy pracę nad projektem ustawy o małżeństwie. Projekty więc metrykacji cywilnej i ślubów cywilnych są gotowe.

11 listopada, rok 1933, sobota

Gazety wymieniają trzy kandydatury na stanowisko prezesa Trybunału: Ciplijewskiego, Čepasa i moją. Ze źródeł prywatnych słychać ostrzeżenie, że czwartym kandydatem, który może się okazać najpotężniejszym i wykiwać wszystkich konkurentów, jest obecny prezes Izby Apelacyjnej Gudowski, który ma za sobą to, że jest narodowcem partyjnym, jednym z mężów zaufania stronnictwa rządzącego. Gudowski bardzo szybko robi karierę w magistraturze sądowej. Jest to człowiek młody jeszcze, w wieku od 30 do 40 lat, bliżej zapewne 30. Studia prawnicze ukończył na naszym uniwersytecie, jest więc uczniem naszym. Przed laty 6-7, jeszcze jako student, był sędzią pokoju w Taurogach, potem mianowany został sędzią okręgowym w Szawlach i niebawem wiceprezesem Sądu Okręgowego w Poniewieżu. Na tym stanowisku uzyskał dyplom Wydziału Prawniczego. Pracę dyplomową pisał u mnie. Ma zresztą dużo taktu, umiarkowania, rozwagi sędziowskiej – materiał na sędziego dobry. W tym roku przy reorganizacji sądów na zasadzie nowej ustawy o sądownictwie awansował niezwykle na jedno z najwyższych stanowisk prezesa nowej Izby Apelacyjnej. Powiadają, że już wtedy reflektował sam czy też reflektowali dlań przyjaciele na stanowisko prezesa Trybunału, to znaczy jeszcze za życia Kriščiukaitisa, którego by musiano usunąć, na co się nie zdecydowano. Czy są obecnie jeszcze jakieś szanse na te stanowisko dla mnie – nic nie wiem. Wczoraj w Radzie Stanu słyszałem, że w najbliższym czasie ma się usunąć sam minister sprawiedliwości Aleksander Żyliński, który ma zająć stanowisko notariusza w Kownie, opróżnione przez śmierć Borowskiego.

12 listopada, rok 1933, niedziela

Dzień spędziłem w domu. Wieczorem wybrałem się z Jadzią i Andrzejem Mieczkowskim do teatru na operę „Trubadur". Nic poza tym do zakomunikowania nie mam.

13 listopada, rok 1933, poniedziałek

Obecny gubernator podał się do dymisji. Na jego miejsce mianowany ma być Jan Novakas, dyrektor Departamentu Ochrony Obywatelskiej, nie zaś, jak sądzono, dr Sokołowski, który zresztą pozostanie na stanowisku radcy gubernatorskiego.

14 listopada, rok 1933, wtorek

W gabinecie ministra sprawiedliwości Aleksandra Żylińskiego prof. Tadeusz Pietkiewicz zdawał sprawę z ostatniej rozmowy, jaką w początku listopada miał on i Sidzikowski z prawnikami sygnatariuszy w Paryżu w osobach Basdemanta, sir Williama Malkina i juryskonsulta włoskiego. Była to odpowiedź ostateczna tych panów na rozmowę, jaką w październiku miałem z nimi w Genewie ja, Sidzikowski i Pietkiewicz. Na tym sprawozdaniu dzisiejszym obecni byli ministrowie spraw zagranicznych Zaunius i sprawiedliwości Żyliński, my z Tadeuszem Pietkiewiczem, prokurator Trybunału Kalvaitis, prokurator Izby Apelacyjnej Valtys i prezes sekcji kłajpedzkiej w Trybunale Staszkiewicz. Ostatecznie odpowiedź prawników sygnatariuszy nic wyraźnego nie daje. Czepiają się oni głównie dozoru prokuratury i sędziów kłajpedzkich i chcą się zadowolić tym, żeby na razie władze litewskie po prostu nie stosowały odpowiednich przepisów ustawy. Oczywiście jest to

niewykonalne, bo rząd nie jest w stanie zobowiązać władz sądowych do niewykonywania ustawy.

W sprawie kandydatury na stanowisko prezesa Trybunału – słychać także o kandydaturze prezesa Sądu Wojennego Šniukšty. Chyba to jest kandydatura z ramienia Šilinga. Ze wszystkich byłaby ona najgorsza.

Z listów Marysi Römerowej z Królewca widać, że Stefanowi Römerowi zaszczepiono tam malarię. Jest to bardzo ciężka i radykalna forma leczenia zadawnionego syfilisu.

15 listopada, rok 1933, środa

Zdaje się, że im dłużej przesiaduję w gabinecie rektorskim, tym bardziej się mnożą nieznośne papiery, które mi naczelnik kancelarii uniwersyteckiej podsuwa do podpisu. Nieznośna to robota, zabijająca, zda się, wszelką myśl żywą.

Bardzo ciekaw jestem, jak się w sferach decydujących rozwija sprawa kandydatur na stanowisko prezesa Trybunału. Ze mną nikt z kół rządowych mówić o tym nie próbował. Albo więc się z tym nie śpieszą, albo moja kandydatura została uchylona na rzecz jakiejś innej bardziej pożądanej. Z przyjemnością wszakże dowiaduję się i stwierdzam, że cała magistratura i prokuratura Trybunału *en bloc* sprzyja właśnie mojej kandydaturze. Gdyby chodziło o zdanie samego Trybunału, byłbym kandydatem jedynym. Sam ten fakt udziela mi dużej satysfakcji. Ale jeszcze większą byłaby moja satysfakcja, gdyby mi to stanowisko zaproponowano i mianowano nań.

16 listopada, rok 1933, czwartek

Wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego. Obecny, jak zwykle, cały komplet. Poza sprawami ściśle technicznymi, w których senat jest rzeczywiście użyteczny jako pośrednik fachowy między wydziałami i centrum władz akademickich, poza tym w obszernej sferze tarć między rządem a uniwersytetem albo między uniwersytetem a młodzieżą akademicką jest senat instytucją nieznośną i obłudną. Z jednej strony stroi się w pióropusz liberalizmu, niby to obrońca i rzecznik złotej wolności, przeciwstawiając się zarządzeniom rządu i pętając władzę rektora, z drugiej – sam gnębi grupy i kierunki rewolucyjne wśród młodzieży. Nie jest stróżem prawa, bo broniąc prawa na prawicy sam je łamie bez ceremonii na lewicy; nie jest też stróżem wolności, bo nie cofa się przed gwałtem względem kółek nowatorów, które nie mają siły i uznania w społeczeństwie. Nasi panowie senatorowie – to są ludzie wygodni, bardzo przejęci sobą, mający frazes na ustach, język giętki i łatwy, ale nic z entuzjazmu, siły przekonań i wiary mocnej. Takimi są zwłaszcza w naszym gronie Lašas, Wacław Biržiška, Žemaitis, Purėnas i Grinkiewicz.

17 listopada, rok 1933, piątek

Zacząłem „leczyć zęby”. Rychło w czas, kiedy już ich właściwie nie mam. Zęby miałem zupełnie zaniedbane, zostawione własnemu losowi, właściwie nie leczone nigdy oprócz kilku doraźnych zwracań się do dentysty w młodości, kiedy zęby bolały. Powypadały mi wszystkie zęby boczne, kruszą się i kończą wypadać przednie. Ostały się tylko cztery kły, u góry poza tym jeden ząb przedni, u dołu cztery – po dwa po obu stronach każdego kła dolnego. Doszło do tego, że należało na gwałt wstawiać sztuczne zęby, dopóki jeszcze można je doczepić do ostatnich naturalnych. Zresztą już i dr Elkis kazał mi zająć się zębami. Napędzany przez Jadzię, zwróciłem się wreszcie do młodej dentystki Rosjanki, byłej asystentki naszego uniwersytetu, która w poniedziałek obejrzała mi zęby, a wczoraj rozpoczęła kurację od wyrwania mi z przodu u góry jednego korzenia i ostatniego zęba. Następnie wyrwie jeszcze dwa korzenie u góry i zapewne jeden z górnych kłów zaplombuje, po czym wstawi mi zęby sztuczne.

18 listopada, rok 1933, sobota

Dwie godziny wykładów na kursach Sztabu Generalnego, egzaminy studenckie, trochę pracy rektorskiej w gabinecie, trochę pracy w domu wieczorem i oto – dzień skończony. Zdawał dziś egzaminy Antoni Zykus, szwagier Henrysia Wołłowicza... Zdał bardzo dobrze. W gabinecie rektorskim stanął u mnie aparat telefoniczny – pierwszy i jedyny w Kownie w tym rodzaju, mianowicie złożony z pudełeczka przyjmującego głos i głośnika w kształcie ładnego pudła radiowego. Słuchawki telefonicznej nie ma wcale. Telefon ten używa się tak jak radio. Mówi on głośno na cały pokój. Takiego telefonu – to już nie bojkotuję.

Rozpoczęły się dziś na uniwersytecie wybory do sejmiku akademickiego. Obawiałem się ekscesów ze strony grup studenckich, bojkotujących te wybory, ale, zdaje się, że żadnych nie było. Nasza młodzież akademicka, dzięki Bogu, zbyt ekspansywnego temperamentu nie ma.

19 listopada, rok 1933, niedziela

Ranek – aż do godz. drugiej po południu – dyżurowałem na wyborach w gmachu uniwersyteckim tzw. pierwszym. Studentów kręci się sporo, na korytarzu obsiedli oni ławy, ale głosuje nie nazbyt dużo. Cicho, spokojnie, ekscesów żadnych nie ma. Wczoraj wieczorem, gdy dyżurował prof. Purėnas, zdarzył się jakiś wypadek sporadyczny, że ktoś tam cisnął jajkiem w jakiś plakat wyborczy. Przyłapano winowajcę, konsekwencji to jednak żadnych nie miało. „Neo-Lithuania” i inne ugrupowania prawicowe, bojkotujące wybory, zachowują się biernie i oczywiście są zdecydowani karności akademickiej nie gwałcić.

Późno wieczorem byłem z Jadzią i Andrzejem na kolacji i dancingu w restauracji hotelu „Wersal”.

20 listopada, rok 1933, poniedziałek

Zdaje się, że z nadzieją nominacji na stanowisko prezesa Trybunału wypadnie się pożegnać. Stanowisko to wciągnięte zostało w grę wysokich kombinacji, których progi są nie na moje nogi. Tak się przynajmniej słyszy, a *vox populi* wie dużo. Stanowisko to jest więc przeznaczone dla Staszyńskiego, obecnego następcy prof. Jurgutisa na stanowisku rządcy Banku Litewskiego. To wysokie stanowisko, najbardziej dochodowe w państwie, a przeto bardzo pożądane, dające 7 do 8 tysięcy litów miesięcznie, rezerwuje sobie obecny prezes ministrów Tubelis, który dla zdrowia nie może nadal pozostać na czele rządu. Stanowisko prezesa Trybunału byłoby więc kompensatą dla Staszyńskiego. Co prawda, materialnie kompensata to niezbyt wspaniała, bo z 7-8 tysięcy spada do 2 tysięcy, ale przynajmniej stanowisko spokojne, wysokie, bardzo zaszczytne i niezależne. Oczywiście, że w tych warunkach moja osoba w grę nie wchodzi. Jako ewentualnych kandydatów na prezesa ministrów na zastępstwo Tubelisa wymieniają: Lapėnasa (dyrektora „Maistasu”), Merkysa (byłego gubernatora Kłajpedy, obecnie członka Rady Stanu) i księdza Mironasa (naczelnego kapelana armii).

Dziś dentystka Guminikienė wyrwała mi resztę korzeni, pozostałych po zębach górnych na przedzie. Na szczęce górnej mam już tylko dwa kły i nic więcej. Niebawem zostaną mi wstawione całkowite komplety zębów sztucznych.

21 listopada, rok 1933, wtorek

Po długiej przerwie dziś znowu posiedzenie naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Z tej komisji naszej ubył w tym roku dr Sokołowski, który zamieszkał w samej Kłajpedzie jako radca gubernatury. Obecni więc byliśmy: Mašolaitis, Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja.

Wieczorem miałem wykład na I semestrze prawa. Nie wiem dlaczego, wykłady mi się najlepiej udają właśnie na tym semestrze, pomimo że tam nie prowadzę osobiście colloquiów

(prowadzi je za mnie Kriwicki). Na wykładach tych jest kontakt ze słuchaczami i żywa wymiana myśli.

Wieczorem z Eugeniuszostwem Römerami byłem na kolacji w „Metropolu".

22 listopada, rok 1933, środa

Byłem dziś u Šilinga w Radzie Stanu. Rozmówiłem się z nim co do mojego stanowiska w Radzie. Właściwie nie zrywam z Radą, stanowisko rzeczoznawcy-współpracownika zachowuję, ale ponieważ teraz dla nadmiaru pracy nie będę mógł w Radzie pracować, synekury zaś mieć nie chcę i pobierać 800 litów miesięcznie, nic w zamian nie robiąc, wstydzę się, więc nie będę brał czasowo żadnego wynagrodzenia. Ostatni raz wezmę za ten miesiąc, bo w tym miesiącu jeszcześmy mieli posiedzenie w sprawie metrykacji cywilnej i ślubów cywilnych. Jaki będzie los tego ostatniego projektu – ciekaw jestem bardzo.

Šiling zaprzeczył kategorycznie wszelkim pogłoskom o zamierzonym ustąpieniu premiera Tubelisa. Ponieważ Šiling jest jednym z najbliższych przyjaciół osobistych Prezydenta Smetony, więc w kwestiach zmian personalnych rządu jest najlepiej poinformowany. Natomiast bardzo ostro wypowiada się Šiling przeciwko Zauniusowi, któremu zarzuca prawie że zdradę stanu. Uważa trwanie Zauniusa na stanowisku ministra spraw zagranicznych za skandal. Również potępia ostro ministra sprawiedliwości Żylińskiego, swego wroga osobistego, za sposób wprowadzenia w życie nowej ustawy o sądownictwie, w szczególności w stosunku do adwokatury. Dzięki interpretacji bardzo liberalnej przepisów przechodnich do tej ustawy cała masa byłych pomocników adwokatów Żydów została w ten lub inny sposób do adwokatury wcielona – bądź do adwokatów prywatnych, bądź wreszcie do kandydatów, podczas gdy w myśl Šilinga ustawa ta miała wyrzucić żydostwo z adwokatury radykalnie za brzeg. Šiling uważa tę działalność Aleksandra Żylińskiego za akt sabotażu. Moim zdaniem, jest to właśnie zasługą Żylińskiego, że zdołał to prawo drakońskie w wykonaniu złagodzić i znalazł środek, pełny ludzkości w potraktowaniu praw nabytych całej młodzieży adwokackiej włącznie z Żydami.

23 listopada, rok 1933, czwartek

Zapomniałem zanotować wyniki wyborów sejmiku akademickiego. Wybrano 15 ateitininków, 4 ludowców, 4 Polaków, 4 Żydów syjonistów-socjalistów, 7 Żydów narodowców, 5 ze związku korporacji bezpartyjnych i po jednym od związku socjalnych demokratów „Žaizdras", od Rosjan, od medyków i od połączonych grup Kłajpedzian i Wilnian. W głosowaniu brało udział 53% zarejestrowanych studentów. Na skutek bojkotu prawych i narodowców litewskich zwiększyła się ilość mandatów mniejszości narodowych, a teraz prawica podniesie krzyk o zachłanność mniejszości narodowych w sejmiku. W ogóle wybory te przeszły bez ekscesów.

24 listopada, rok 1933, piątek

Nasuwa się nowa chmura zamieszek na Wydziale Medycznym. Studenci Litwini (może nawet w ogóle chrześcijanie) zgłosili do mnie pokryty mnóstwem podpisów memoriał, protestujący przeciwko faktowi brania przez studentów Żydów udziału w sekcji trupów, bez udzielenia na rzecz sekcji trupów żydowskich. Stawiają oni za warunek udzielenie trupów żydowskich i żądają rychłego rozstrzygnięcia sprawy. Kwestia ta wypływa we wszystkich krajach, gdzie jest dużo Żydów, bo religia żydowska nie pozwala na krojenie trupów, toteż zawsze zachodzi z tym trudność, młodzież zaś chrześcijańska oburza się na to i w fakcie wyłącznego krajania trupów chrześcijańskich dla nauki chrześcijan i Żydów upatruje pewnego rodzaju zniewagę zwłok chrześcijańskich. Toteż w innych krajach – w Polsce, w Rumunii, w Austrii – kwestia jest stawiana przez młodzież chrześcijańską o wiele ostrzej. U nas wypływała ona już także kilkakrotnie. Jest już opracowany przed kilku laty projekt

ustawy, regulujący dostawę trupów do Anatomikum dla celów sekcji naukowych, który zapewnia równe traktowanie trupów żydowskich i chrześcijańskich. Ale projekt ten, opracowany przed kilka laty i przejrzany, ugrzązł w kancelarii Rady Stanu. Teraz trzeba go śpiesznie uruchomić. Telefonowałem już o tym do prezesa Rady Šilinga.

Dzień upłynął względnie spokojnie. Wieczorem miałem dobry wykład na III semestrze ekonomistów i colloquium tamże. Chłonę spokój dnia dzisiejszego przed dwoma czy nawet trzema gorącymi dniami, które nastąpią i które pełne będą posiedzeń i uroczystości, na jakie jestem zaproszony.

25 listopada, rok 1933, sobota

Od sędziego Macieja Čepasa w Trybunale, który jest prezesem wydziału cywilnego i czasowo po śmierci Kriščiukaitisa spełnia obowiązki prezesa Trybunału, otrzymałem zaproszenie na ślub i wesele jego córki (dyplomowanej medyczki), wychodzącej dziś za mąż za „tvarkytojasa" w Wiłkomierzu, niejakiego Kubiliusa. Gdyby nie śmierć Kriščiukaitisa, która mię zbliżyła do Trybunału, bo podniosła moją kandydaturę na to stanowisko i przekonała mię, że Trybunał (Čepas, Staszkiewicz, Brazaitis) serdecznie tej mojej kandydaturze sprzyja, co nawiązało bliższy kontakt między mną i tymi byłymi kolegami moimi, gdyby więc – powiadam – nie ta okoliczność, to bym zapewne na to wesele się nie wybrał, a może nawet nie otrzymałbym nań wcale zaproszenia. Słowem, zaprosił mię Čepas i wczoraj jeszcze ustnie mię przez telefon zapytywał, czy będę. Przyrzekłem mu przez telefon. I byłem. Byłem tylko na samym weselu – od chwili powrotu młodych z kościoła i chciałem być krótko, ale losy inaczej zrządziły. Wesele odbywało się w sali gmachu „Neo-Lithuanii" jako korporacji, do której na uniwersytecie należały dzieci sędziego Čepasa. Przyjechałem zawczasu – o siódmej. Rodzina panny młodej i nieco gości już się zebrało i wyczekiwało przyjazdu młodych z orszakiem. Niebawem przyjechali. Nastąpiło spotkanie, powinszowania. Wszystkie panie były w strojach narodowych litewskich, mężatki – w „namiotach" na głowie, coś w rodzaju mniszek, panny znów – inaczej. Obecni byli sędziowie Trybunału, prezesi wydziałów karnego ikKłajpedzkiego Brazaitis i Staszkiewicz, sekretarz Trybunału Veidelis, rodzina Jabłońskich i spokrewnionych z nią rodzin, generał Bułota, grono Litwinów z głębokiej Syberii przed wojną, gdzie mieszkał i pracował Čepas – inżynier Raczkowski z żoną Janulaitisówną, agronom Lutkiewicz (ten sam, co za rządów lewicowych w r. 1926 był naczelnikiem reformy agrarnej) i wielu innych. Niebawem rozeszła się wieść, że na wesele przyjedzie osobiście Prezydent Rzeczypospolitej Smetona w towarzystwie żony i szwagierki – p. Tubelisowej (żony prezesa ministrów). Młodzież ustanowiła szpaler od wejścia przez całą salę i oczekując na Prezydenta śpiewała piosenki ludowe. Po przyjeździe Prezydenta z paniami fotografowano się w grupie zbiorowej w sali, poczym wszyscy zasiedli do biesiady weselnej. Na froncie stołu, ustawionego w postaci rosyjskiej litery „П" (rosyjskie „p"), zasiedli w centrum młodzi, pan Prezydent, rodzice panny młodej, swatowie, dalej z jednej strony siedział Staszyński z panią Smetonową i z drugiej – ja z panią Tubelisową, a za nami szereg gości od starszych do coraz młodszych. Mnie wypadło siedzieć między panią Tubelisową i panią Pietkiewiczową, Jabłońską z domu, córką śp. Jana Jabłońskiego. Były przekąski, mięsa i ryby zimne, wódka, wina wyłącznie owocowe, potem jeszcze rostbif gorący, lody i kawa. Uczta trwała do godz. 11. Nastrój był przyjemny, wszędzie się toczyła ożywiona rozmowa. Niebawem potoczyły się mowy. Pierwszy z dłuższą mową wystąpił Prezydent, odpowiadał mu Čepas ojciec, mówił stary generał Bułota, wykrzykiwał mowę Raczkowski, po szlachecku z fantazją przemawiał Lutkiewicz, ktoś wiersz swój zadeklamował, Čepas syn coś zaimprowizował. Czułem, że i mnie coś wypadnie mówić, toteż skupiłem uwagę i obmyśliłem sobie treść przemówienia. Nie omyliłem się – Čepas syn podszedł do mnie i szepnął, że publiczność czeka mojego słowa. Wstałem więc i przemówiłem. Ciężkie jest rektorstwo. Nie pokażesz się nigdzie, aby ci pozwolono pobyć i

odejść bez przemówienia. Po uczcie były tańce, zabawa. Spędziłem czas na weselu przyjemnie. Rozmawiałem z sędziami Brazaitisem i Staszkiewiczem, z Lutkiewiczem, z Raczkowskim i innymi. Pan młody Kubilius, geometra z zawodu, zna dobrze Bohdaniszki, bo przed kilku laty parcelował w Bohdaniszkach wioskę na zaścianki.

26 listopada, rok 1933, niedziela

Rozgardiasz, w który mię wpędził rektorat, stał mi się rzeczą codzienną. Zacząłem już do niego przywykać. Robi się jakoś po łebkach i żyje z dnia na dzień. Z moich prac własnych ledwie dziennik jestem w stanie opędzić, poza tym – nic więcej. Sobota i niedziela względnie wydają się łatwiejsze, bo w te dni nie mam wykładów wieczornych. Ale za to w te dni mnożą się posiedzenia, uroczystości, które wymagają przemówień albo przynajmniej powinszowań na piśmie. I tak oto dzisiaj miałem aż cztery uroczystości, w których musiałem bądź osobiście wystąpić, bądź pozdrowienie na pismie przesłać: a. święto zjednoczenia korporacji męskiej „Justitia" i żeńskiej „Fideles Justitiae" (Ateitininków prawników), b. święto korporacji studentek „Romuvos Vaidilutė", c. 25-lecie korporacji medyków Litwinów „Fraternitas Lithuanica" i d. poświęcenie lokalu studentek imienia Tumasa-Vaižgantasa w domu inżyniera Vizbarasa. Do tego inwentarza służby reprezentacyjnej dodać należy posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego o godz. dziesiątej rano i oprócz tego wieczorem kolacja w Metropolu z Jadzią i Andrzejem jako mała rozrywka dla biednej smutnej Jadziuńki, która musiała tę moją reprezentację opłacać samotnością.

Do połączonych korporacji „Justitia" i do „Romuvos Vaidilutė" napisałem powinszowanie na piśmie już wczoraj i przesłałem je im na posiedzenie przez Andrzeja. Na uroczysty obchód 25-lecia „Fraternitas Lithuanica" o godz. 12 min. 30 po południu udałem się osobiście. Stowarzyszenie to – „Fraternitas Lithuanica" – założone było w roku 1908 w Petersburgu przez pięciu studentów Litwinów Akademii Wojenno-Medycznej, z których czterej żyją jeszcze i zajmują wysokie stanowiska w Kownie; są to: generał dr Nagiewicz, generał dr Ingielewicz, pułkownik dr Sližys i prof. dr Oželis. Stowarzyszenie to o cechach braterskich łączyło dążenia narodowe z humanistycznymi; było ono tajne, nie miało ani statutów pisanych, ani sztandarów, które ma obecnie. Przed kilku laty stowarzyszenie to, które składało się już tylko z garstki filistrów i oczywiście przestało istnieć jako takie w Petersburgu, odrodziło się wśród studentów medyków na naszym uniwersytecie jako ciąg dalszy owego przedwojennego petersburskiego. Dwoistość zachowała się li tylko w tym, że składa się ono z dwóch korporacji: korporacji akademickiej studentów i korporacji filistrów, w której stary przedwojenny pierwiastek zlewa się z nowym, wychodzącym z kół korporacji akademickiej po ukończeniu uniwersytetu. „Fraternitas Lithuanica" – to arystokracja w naszym społeczeństwie korporacyjno-akademickim. Obchód miał miejsce w ogromnej sali klubu oficerskiego „Ramovė", był pełny dekoracyjnej okazałości, blasku, świetnego ceremoniału teatralnego. Od tego już jest Nagiewicz, aby blask i ceremonia dosięgły szczytu. Zaiste jest on ministrem niezrównanym wszelkiej okazałości i wystaw dekoracyjnych, co już na Muzeum Wojennym udowodnił świetnie. Na uroczystość przyjechał Prezydent Rzeczypospolitej Smetona, minister wojny Giedraitis, spraw wewnętrznych – Rusteika, oświaty – Šakenis. Olbrzymia sala tonęła w świetle elektryczności. U dużego stołu prezydialnego zasiedli prócz Prezydenta i ministrów: ja jako rektor, dziekan Wydziału Medycznego prof. Lašas, czterech założycieli stowarzyszenia, prezes Litewskiego Towarzystwa Medycznego dr Staugaitis i prezydium akademickiej „Fraternitas Lithuanica" w barwach i z rapierami. Dokoła stołu prezydialnego delegacja korporacji ze sztandarami. Sala pełna wyborowej publiczności. Wniesiono na salę sztandar „Fraternitas Lithuanii", prof. dr Oželis przeczytał streszczenie historii i zasad stowarzyszenia, po czym zaczęły się przemówienia, z których pierwsze wygłosił Prezydent, następnie trzej ministrowie, ja, dziekan Lašas, przemówienia studenckie, ładna uczuciowa mowa kompozytora Šimkusa,

starego druha stowarzyszonych jeszcze z Petersburga... Dokonywano też ceremonii przyjęcia kilku ukończonych lekarzy, członków stowarzyszenia, do związku filistrów i awansowania niektórych fuksów na seniorów korporacji. Głosem podniesionym w tonie dramatycznym przemawiał do nich prezes związku filistrów generał Nagiewicz, awansowanych do wierności tradycjom i ideałom, wzywał i błagał ich o cofnięcie się, jeżeli się nie czują na siłach podołania obowiązkom honoru i patriotyzmu. W przerwach śpiewano hymn narodowy, hymn akademicki „Gaudeamus igitur", wreszcie artysta Antoni Sodeika, sukursowany w referacie przez kilku innych solistów Opery, odśpiewał piękny i specjalnie dla „Fraternitas Lithuanica" ułożony hymn korporacyjny skomponowany przez Šimkusa do słów poety Ludwika Giry. Cała uroczystość upłynęła wspaniale. Po obchodzie bardzo mi się nie chciało iść znowu na poświęcenie bursy studentek. Przeważył jednak wzgląd na to, że skoro byłem na świetnościach „Fraternitas Lithuanica", na które cała śmietanka towarzyska leci, to moim obowiązkiem rektorskim jest pójść także na tę skromną uroczystość herbatki kilkunastu biednych dziewczyn, zainstalowanych w bursie, której to uroczystości całą śmietanką będą właśnie ja. Poczucie obowiązku rektorskiego zwyciężyło. Poszedłem. Oprócz kilkunastu pensjonarek byli tam obaj prorektorowie – Česnys i Jodelė, dziekan Wydziału Prawniczego Wacław Biržiška,jako jeden z egzekutorów testamentu Tumasa i drugi egzekutor ks. Mironas, Antoni Żmujdzinowicz, inżynier Vizbaras, kilku z kancelarii uniwersyteckiej z Gurewiczem na czele, prezes sejmiku akademickiego student Štaupas, uniwersytecki „ūkio vedėjas". Ruczyński i oto wszystko. Ksiądz prorektor Česnys poświęcił lokal, po którym nas oprowadzono następnie. Mieści się on w nowym domku piętrowym w dziedzińcu pałacyku Vizbara na samym cyplu Zielonej Góry z widokiem na miasto w dolinie niemeńskiej i składa się z szeregu pokoików sypialnych w systemie korytarzowym, czystych i jasnych, z ogrzewaniem centralnym, elektrycznością, wodociągiem i łazienką na każdym piętrze. W pokoju jadalnym przyrządzono nam herbatę z jabłkami, skromnymi ciastkami i cukierkami. Przy herbatce posypały się krótkie serdeczne przemówienia, rozpoczęte przeze mnie; cztery panienki z konserwatorium pośpiewały nam piosnki i na tym się uroczystość skończyła.

Wieczorem w „Metropolu" byłem już jak cytryna wyciśnięta. Jak tylko zjadłem moją przekąskę i rybę, zacząłem wpadać w sen i drzemać co chwila, aż trzeba było pospieszyć z powrotem do domu.

27 listopada, rok 1933, poniedziałek

Oto, proszę, program, wykonany dnia dzisiejszego:

a. godz. 9-ta – dentystka;

b. godz. 10–1 po południu – praca w rektoracie: przyjmowanie interesantów, sprawy bieżące, referat naczelnika kancelarii z niezliczonym mnóstwem podpisów;

c. godz. 1–2 – audiencja u ministra oświaty w sprawie Szkoły Nauk Politycznych; w audiencji biorą udział: ja, dr Natkiewicz i Kavolis;

d. godz. 2 – śniadanie w poselstwie włoskim u p. Amadoriego z okazji wyjazdu z Litwy młodego profesora włoskiego Davota (czy coś podobnego), który tu przez parę miesięcy wykładał o dialektach łaciny i sam studiował żywy język litewski;

e. godz. 4 w domu – ogląda mię szczegółowo i udziela porady lekarskiej dr Andrzej Domaszewicz z Poniewieża, mój dobry przyjaciel, który sam się ofiarował mię leczyć;

f. godz. 5–7 – przyjęcie u ministra spraw zagranicznych Zauniusa – herbatka i koncert domowy – pierwszy występ śpiewaczki pięknej żony posła czechosłowackiego w Kownie;

g. godz. 7-8 – wykład na I semestrze sekcji prawniczej.

No i proszę coś tutaj jeszcze poza tym programem zrobić lub choćby przeczytać. Brak czasu na czytanie bieżące jest dla mnie jedną z najnieznośniejszych rzeczy. Już to na pracę naukową czasu nie ma wcale. Bez czytania zaś i bez odświeżania wykładów człowiek musi w nauce regresować. Wykładanie z notatek, raz na zawsze wykończonych i nie fermentowanych

bakcylami nowych myśli, wyciąganych z lektury – to smażenie się w sosie własnym. W poselstwie włoskim poznałem się dziś osobiście z posłem sowieckim p. Karskim. Podobał mi się. Karskij prosił mię o pożyczenie mu mojej książki „Litwa", o której dużo słyszał. Ciekawa rzecz, że w poselstwie włoskim, poza kilku Litwinami, zaproszeni byli tylko ludzie z poselstwa niemieckiego i sowieckiego.

28 listopada, rok 1933, wtorek

Dziś już dzień nieco spokojniejszy, ale roboty dość, bo się zebrało z dni poprzednich. O pracy naukowo-literackiej nie ma co mówić; teraz tej pracy nie uprawiam wcale.

Dziś przynajmniej posiedzenia żadnego nie miałem.

29 listopada, rok 1933, środa

Byłem na kawie korporacji studentek Polek naszego Uniwersytetu Litewskiego pod nazwą „Znicz". Kawa ta miała miejsce z okazji 3-lecia założenia korporacji. Oprócz mnie był też na tej kawie prorektor ks. Česnys, jeden z nielicznych tak w profesurze, jak w duchowieństwie litewskim, który w gruncie rzeczy, będąc Litwinem, nie ma żadnych uczuć polonofobskich, a może nawet ma pewne ciążenie do środowiska towarzyskiego polskiego, które mu było bliskie za czasów jego profesury w Akademii Duchownej w Petersburgu i na Uniwersytecie Katolickim w Lublinie. Ks. Česnys, *bon-vivant*, człowiek towarzyski i giętki, pełny taktu i umiarkowania, potrafi doskonale godzić patriotyzm okazowy litewski z szerokim umysłem, wolnym od uprzedzeń i nienawiści.

Poza tym dziś miałem wykład, pracę ranną w rektoracie, w Ministerium Spraw Zagranicznych zgłosiłem rachunek mojej delegacji do Genewy (zwrot kosztów podróży, diety po 95 litów dziennie i honorarium extra 3000 litów).

30 listopada, rok 1933, czwartek

Dzień bez osobliwych uroczystości, ale nie mniej pracowity, bo rektorat polega na pracy codziennej. Każdy dzień wysuwa na porządek dzienny coraz to nowe zagadnienia, coraz to nowe sprawy. Wieczorem zaś mieliśmy posiedzenie zwyczajne senatu akademickiego.

1 grudnia, rok 1933, piątek

Dziś zrobiłem sobie „kiejf" – nie poszedłem na wykład wieczorny do uniwersytetu. Za to przedtem (zaraz po obiedzie) udałem się z naczelnikiem kancelarii Zygmuntem Gurewiczem do Ministerium Finansów na posiedzenie komisji budżetowej, która w końcu roku rozważa wnioski wszelkich ministeriów i urzędów, autonomicznie dysponujących swoimi kredytami budżetowymi, o przeniesienie kredytów z jednych artykułów budżetowych do innych. Na jednych bowiem pozycjach ujawniły się już oszczędności, na innych są jeszcze potrzeby i zaległości, podczas gdy kredyty – wyczerpane. Czynniki decydujące w tej komisji stanowią: dyrektor departamentu w Ministerium Finansów Lipčius, człowiek grzeczny, ale uchodzący za jednego z namiętnych obrońców skarbu w stosunku do budżetu i dyrektor Departamentu Kontroli Państwowej Stašys, ogólnie znany jako najtwardszy i najsurowszy rycerz kontroli, ograniczający wszędzie wydatki. Jednak niektóre pozycje żądań uniwersyteckich udało się nam wobec tych strasznych panów obronić.

2 grudnia, rok 1933, sobota

Na kursach Sztabu Generalnego miałem dziś mój siódmy i ósmy wykład. Zostaje jeszcze 18 wykładów, ogółem będzie 26. Zdaje się, że wystarczy na bardzo skondensowany kurs. Wykłady na tych kursach różnią się mocno od wykładów na uniwersytecie. Tam mam za słuchaczy młodzież, tu – ludzi dorosłych, oficerów dyscyplinarnych, w wieku przeciętnie

koło 30 lat, którzy na wykładzie siedzą wyprostowani, sztywni jak manekiny albo mumie. Nigdy się nie uśmiechną, nie poruszą. Z młodym audytorium studenckim nawiązuje się podczas wykładu pewien kontakt, z ich strony jest pewne reagowanie na wykład, podczas gdy tu – nic z tego. Utrudnia to znacznie wykład.

Jutro mam brać udział w posiedzeniu uroczystym sekcji akademickiej wielkiego towarzystwa „Užsienių Lietuviams Remti Draugiji", założonego w roku zeszłym, na którego czele stoi wielki mistrz propagandy społecznej adwokat Rafał Skipitis. Będę zasiadać w prezydium i mam zabierać głos. Mam mówić z pamięci, bo w ostatnich czasach przemawiałem zawsze z rękopisu; co prawda – nie bardzo się nauczyłem tej mowy i boję się, czy ją zdołam wygłosić biegle. Oto jej tekst.

„*Gyvename nepaprastus laikus, o ateity gyvensime gal dar ypatingesnius. Tačiau pati sąvoka to, kas paprasta i kas nepaprasta, yra reliatyvinė ir nuolat keičiasi. Kas mums šiandien nepaprasta – tai rytoj mūsų įpėdiniams gal bus paprasčiausia, ir atvirkščiai.*

Mes esame pripratę vienos tautos arba tautybės žmones užtikti tiktai kurioje vienoje pasaulio srity, kurioje ši tauta nuo amžių yra įsikūrusi ir nustačiusi savo tautinį centrą. Tiesa – visuomet buvo tautų, ypač jūros tautų, kurių vaikus buvo galima užtokti visame pasauly – ypač pasaulio prekybos centruose, uostuose, atogrąžų kolonijose, ant visų kelių, kuriais plaukia žmonijos migracijos srovės. Iš šitų tautų vaikų laikui einant greta jų metropolijų, dažnai labai tolimose vietose, įsikurdavo netiktai ištisos naujakurių kolonijos, bet ir didžiausios naujos tautos, kartais daug skaitlingesnės už savo metropolijos tautą.

Bet mažos neskaitlingos tautos, ypač žemės ūkio šalių tautos, šio fenomeno nerodė. Jos nuo amžių sėdi savo apgyventose vietose ir tegali būti užtiktos tiktai šiose savo vietose. Tatai mums atrodė paprasta ir normalu.

Tačiau naujos ūkiškos ir technikinės žmogaus gyvenimo sąlygos išjudino ir šiuos santykius. Žmonės važiuoja į svetimus pramonės centrus, į kasyklą, į kultūringesnius ūkius, kur prastesniem darbui yra atliekamos vietos, o tobulėjančios susisiekimo ir susižinojimo priemonės šį judėjimą palengvina ir skatina. Tiesa, karas, ūkiškoji krizė, įvairių šalių demografinė ir ekonominė politika, jųjų siekiamoji autarchija, išaugęs gyventojų skaičius, verčiąs stabdyti imigraciją iš svetur, didėjanti laisvų rinkų stoka kaip prekybinis balanso valstybinimo padarinys... visa ta dažnai sutrukdo ir trumpesniam arba ilgesniam laikui sustabdo tolimesnį tautų išsikleidimo procesą arba keičia šia proceso kryptį. Tačiau ryški erdvės nugalėjimo pažanga, milžiniški susisekimo ir susižinojimo technikos laimėjimai, ypatingai didysis XX amžiaus stebuklas – susisekimas oru ir stratosfera, - tikrai nugalės bet kuriuos ekonominės krizės padarinius ir išplės žmogaus judėjimą Žemėje. Šios peržangos nesulaikys jokios priemonės, jokios dirbtinės kliūtys. Mes gyvename tiktai pačiame naujos gadynės perspektyvos slenksty ir dar visų jos reginių mes nepajėgiame įžiūrėti.

Bet jau viena aišku ir tai mes jau regime mūsų pačių atžvilgiu. Išgyvenę šimtus, o gal ir tūkstančius metų mūsų Tėvynėje ant Baltijos jūros krantų, kuriai ir Lietuvos vardą mes iš savęs esame davę – mes jau šiandien be šios vietos – lietuvius ir lietuviškai kalbančius užtinkame ir daugely kitų šalių – Šiaurės Amerikoje, įvairiose Pietų Amerikos šalyse, beveik visur Europoje, Sovietuose, Tolimoje Azijoje, Afrikoje..."[7].

---

[7] „Żyjemy w niezwykłych czasach, a w przyszłości będziemy żyli w jeszcze bardziej niezwykłych. Jednakże samo pojęcie tego, co jest zwykłe i co niezwykłe, jest relatywne i ciągle się zmienia. Co dla nas dziś jest niezwykłe, to jutro dla naszych potomków może być najzwyklejsze i na odwrót.
Jesteśmy przyzwyczajeni widzieć ludzi jednego jakiegoś narodu czy narodowości tylko w jakiejś jednej części świata, w której ten naród osiedlił się od dawna i ma swoje centrum narodowe. Co prawda, zawsze były narody, zwłaszcza narody morskie, których dzieci spotkać można na całym świecie – zwłaszcza w światowych centrach

Do jutra.

3 grudnia, rok 1933, niedziela

Dokończenie mojego przemówienia na dzisiejsze posiedzenie sekcji akademickiej Towarzystwa Popierania Litwinów za Granicą:

„*...Subruzdę, išsiskirstę, naujų vėjų išblaškyti ir išnešluoti po visą pasaulį, vienur be pagalbos jie nyksta ir žūsta, kitur jie spiečiasi į draugijas, organizuojasi ir pajėgia netiktai išsaugoti savo asmeninę tautybę ir savo vaikam įskiepyti tautinę kilmės pajautimą, bet ir šelpti kultūrinius bei valstybinius savo tautinės metropolijos tikslus. Šitos gyvos išblaškytų lietuvių masės išsaugojimas, jos ryšio su tautos kamienu išlaikymas, jos tautinės gyvybės gaivinimas – tai darbas didelis ir svarbus. Tai viena artimiausios ateities problemų, kurios reikšmė ir svarba nuolat auga. Nuo tokio ar kitokio jos išsprendimo gali iš dalies pareiti ir lietuvių tautos likimas būsimoje rytojaus žmonijoje.*

Konstatuodamas šios problemos svarbą, aš negaliu nepasveikinti ir to fakto, kad Užsienio Lietuviams remti Draugija surado p. Skipičio asmeny žmogų, kuris, būdamas tikras visuomeniškas ir įrodęs savo nepaprastus sugebėjimus vadovauti platiems masiniams

---

handlowych, w portach, koloniach tropikalnych, na wszystkich szlakach, którymi płyną prądy migracji ludzkiej. Z tych dzieci narodów z biegiem czasu obok ich metropolii, często w bardzo odległych miejscach, powstawały nie tylko całe kolonie osiedleńców, ale i największe nowe narody, czasem znacznie liczniejsze od narodu metropolitalnego. Jednakże małe nieliczne narody, zwłaszcza narody krajów rolniczych, tego fenomenu nie wykazywały. Od wieków siedzą one w zamieszkałych przez siebie miejscach i nie występują nigdzie poza tymi swoimi miejscami. Wydawało się nam to zwyczajne i normalne.

Jednakże nowe warunki gospodarcze i techniczne życia ludzkiego poruszyły i te stosunki. Ludzie wyjeżdżają do obcych ośrodków przemysłowych, do kopalń, do bardziej kulturalnych gospodarstw, gdzie jest miejsce na prostszą pracę, a coraz doskonalsze środki komunikacji i informacji ten ruch ułatwiają i pobudzają. Co prawda, wojna, kryzys gospodarczy, polityka demograficzna i ekonomiczna różnych krajów, postępująca za nimi autarchia, rosnąca liczba ludności, która zmusza do hamowania imigracji z zewnątrz, rosnący brak wolnych rynków jako skutek upaństwowienia bilansu handlowego... wszystko to często zakłóca i na krótszy bądź dłuższy okres czasu hamuje dalszy proces stawania się narodów lub zmienia kierunek tego procesu.

Jednakże wybitny postęp pokonywania przestrzeni, ogromne osiągnięcia w technice komunikacji i informacji, zwłaszcza wielki cud XX wieku – komunikacja w powietrzu i stratosferze – bez wątpienia pokonają wszelkie skutki kryzysu ekonomicznego i poszerzą przemieszczanie się ludzi na Ziemi. Nie zahamują tego żadne środki, żadne sztuczne przeszkody. Żyjemy dopiero u samego progu perspektywy nowej epoki i jeszcze nie jesteśmy w stanie ujrzeć wszystkich jej zjawisk.

Jedno jest jednak już jasne i to widzimy na sobie. Mając przeżyte setki, a może i tysiące lat w naszej Ojczyźnie nad Morzem Bałtyckim, któremu też daliśmy z siebie imię Litwy, dziś już, prócz tego miejsca, znajdujemy Litwinów i ludzi mówiących po litewsku również w wielu innych krajach – w Ameryce Północnej, w różnych krajach Ameryki Południowej, prawie wszędzie w Europie, w Sowietach, w dalekiej Azji, Afryce...“.

visuomenės judėjimams, organizuoti juos ir tvarkyti, labiau, negu bet kas kitas, tinka šiam sudėtingam ir atsakingam darbui vadovauti.“[8]

Mowy tej, którą sobie ułożyłem dopiero w dniach ostatnich, nauczyłem się bardzo słabo. Jeszcze dziś rano wahałem się, czy ją wygłosić z pamięci czy z rękopisu. Dopiero przed samym posiedzeniem powtórzyłem ją sobie bardzo powoli i z wielkim natężeniem wnikając w każdy szczegół myśli. W ten sposób zafiksowałem ją sobie ostatecznie w pamięci i na posiedzeniu zdołałem wypowiedzieć ją z wielką wyrazistością i skupieniem z pamięci. Posiedzenie odbyło się o godz. trzeciej w sali Izby Rolniczej. Sala była niezbyt pełna. W prezydium zasiadaliśmy: ja, adwokat Skipitis, prof. Pokštas, wiceprezes nowo obranego prezydium sejmiku akademickiego, i prezes koła akademickiego Towarzystwa Popierania Litwinów za Granicą. Po sprawozdaniu zarządu, przemówieniu moim, Skipitisa, Pokštasa posypały się zwyczajne powinszowania i pozdrowienia – „sveikinimai“ – delegatów i delegatek rozmaitych kół, kółek, towarzystw, korporacji, związków itd. akademickich. Jak zwykle, tego było tak dużo, że można było słusznie zapytać siebie, jak by wyglądało to „zebranie“, gdyby nie obecność tych delegatów i delegatek stowarzyszeń obcych. Być może zebranie świeciłoby pustką zupełną.

Wczoraj w nocy wrócili z Królewca do Kowna po ukończeniu kuracji Stefana Stefanostwo Römerowie. Stefan ma się znacznie lepiej. Jest żywszy i przytomniejszy. Brakuje mu jeszcze tylko słów w mówieniu, ale humor, energię – ma.

4 grudnia, rok 1933, poniedziałek

Stefan Römer ma się bez żadnego porównania lepiej. O ile salwersan zabija syfilis, o tyle zastrzykiwanie choremu malarii jest bodaj jedynym środkiem na zwalczenie paraliżu postępowego, przynajmniej w jego początkach. U Stefana zaś był to już początek paraliżu postępowego, który dotknął władz umysłowych i na razie zwłaszcza mowy. Trudność wysławiania się nie została jeszcze całkowicie usunięta; są jeszcze słowa i nazwy, których Stefan nie może sobie przypomnieć albo wymówić, ale za to władze umysłowe wróciły u Stefana do stanu normalnego albo w każdym razie tak zbliżonego do normalnego, że nie można poznać choroby. Jest energia, inicjatywa, myśl żywa, orientowanie się; poprzednie przygnębienie, osowiałość, bierność – minęły. Kuracja w Królewcu była ciężka, ale, dzięki Bogu, skuteczna. Szczepienie malarii powodowało szaloną gorączkę; co drugi dzień Stefan miał po 40 i po 41° gorączki, osłabł też szalenie; w klinice karmiono go bardzo nędznie. Ale cięższe jeszcze były przejścia Marysi Stefanowej Römerowej. Żyła ona pod ciągłym strachem

---

[8] „...Poruszeni, rozdzieleni, rozrzuceni przez nowe wiatry po całym świecie, gdzieś, pozbawieni pomocy, zanikają oni i giną, gdzie indziej zaś skupiają się w stowarzyszenia, organizują się i potrafią nie tylko zachować swoją osobistą narodowość i zaszczepić swoim dzieciom poczucie przynależności narodowej, ale też wspierać cele kulturalne i państwowe swojej metropolii narodowej. Zachowanie tej żywej masy rozproszonych Litwinów, utrzymanie jej więzi z rdzeniem narodowym, pobudzanie jej życia narodowego – to wielka i ważna praca. Jest to jeden z problemów najbliższej przyszłości, którego waga i znaczenie ciągle rośnie. Od takiego lub innego jego rozwiązania może po części zależeć również los narodu litewskiego w ludzkości dnia jutrzejszego.
Stwierdzając wagę tego problemu, nie mogę nie powitać tego faktu, że Towarzystwo Popierania Litwinów za Granicą znalazło w osobie p. Skipitisa człowieka, który, będąc prawdziwym społecznikiem i mając dowiedzione swoje niezwykłe zdolności w kierowaniu szerokimi masowymi ruchami społecznymi, organizowaniu ich i zarządzaniu nimi, bardziej niż ktokolwiek nadaje się do kierowania tą złożoną i odpowiedzialną pracą.“

kryminału i brnąć musiała fatalnie w ten kryminał. Polegało to na tej spekulacji, na której Diskin oparł pobyt Stefanostwa w Królewcu. Spekulacja ta była taka. W związku z akcją na rzecz wysokich ceł ochronnych, autarchii i utrzymania waluty marki, zakazu wywozu dewiz itd., Niemcy, jako *contre-coup* na rzecz ściągnięcia turystyki zagranicznej do kraju i ożywienia handlu przez turystykę – wymyśliły specjalne „marki podróżne“ („Reise-Marki“), które przyjeżdżający do Niemiec cudzoziemcy mogą nabywać po cenach znacznie niższych od kursu marki (powiedzmy – po 1 lit 50 centów zamiast po 2 lity 50 centów; zresztą za ścisłość wskazanej tu proporcji nie ręczę – podałem ją na chybił trafił dla przykładu). Te „marki podróżne“ są następnie w bankach wymieniane na zwyczajne pieniądze *al pari*, przez co podróżny ma na każdej marce znaczny zarobek. Marki te może na wszystko wydawać oprócz tylko na spłatę długów i należności ze starych rachunków i musi je koniecznie wydać w kraju, bo wywieźć pieniędzy nie może. Otóż Diskin zakupywał tu po tańszej cenie i posyłał do Marysi „marki podróżne“ wraz z poleceniami firm do wypłacenia w Niemczech tych lub innych należności, Marysia zaś spieniężała marki podróżne i uiszczała należności. Różnica w cenie „marek podróżnych“ i pieniędzy stanowiła czysty zysk, który w pewnej mierze będzie zaliczony na korzyść firm spłacających należności, w pewnej zaś mierze – będzie zaliczany na zarobek Marysi. Tą drogą znaczna część kosztu pobytu i kuracji w Królewcu wypadnie darmo. Tak spekulacyjna spłata długów jest właściwie zabroniona, chociaż bardzo szeroko praktykowana przez Żydów litewskich i polskich w Niemczech. Gdyby Niemcy zwrócili na to uwagę i zechcieli walczyć z tą spekulacją, to oczywiście z łatwością by tę spekulację ujawnili, zwłaszcza gdy to robiła Marysia na miejscu, co dzień zmieniając marki podróżne na pieniądze w tym samym banku i wysyłając pieniądze z tej samej poczty. Te obawy męczyły Marysię, która cały czas działała pod wpływem paniki.

5 grudnia, rok 1933, wtorek

Z rozkoszą myślę o wyjeździe na święta Bożego Narodzenia do Bohdaniszek i z jeszcze większą rozkoszą – o wyjeździe z Jadzią latem na kurację do Karlsbadu. Za niespełna dwa tygodnie spodziewam się wyjechać. Będę spełniał rozkazy lekarzy – będę co dzień odbywał spacery piesze do Gaju, co dzień też – przejażdżki sanną, o ile sanna będzie i poza tym co dzień sobie poczytam, napiszę kilka artykułów czy odczytów obiecanych, dokończę notatki do wykładów i załatwię trochę korespondencji osobistej. Są to rzeczy, na które teraz tutaj czasu nie mam.

Sprawa nominacji prezesa Trybunału na razie stanęła na martwym punkcie. Nic w tej kwestii nie słychać. Chyba po nowym roku kwestia znowu wypłynie. Dałby Bóg, aby wtedy czynniki rządzące przypomniały o mnie.

6 grudnia, rok 1933, środa

Dzień – zwyczajny. Rektorat do obiadu, wieczorem – dwie godziny wykładu ekonomistom i colloquium. Zacząłem po obiedzie chodzić na przechadzkę z Jadzią. W tym tygodniu w piątek – święto, ale mnie to nie cieszy wcale i wytchnienia nie daje, bo każde święto przynosi ze sobą jakieś posiedzenie lub uroczystość, na których trzeba być i zawsze – przemawiać. Uprzykrzyło mi się już to aż zanadto.

7 grudnia, rok 1933, czwartek

Na dziś wyznaczona była uroczystość obchodu 10-lecia ministrowania ministra rolnictwa Aleksy. Aleksa był ministrem rolnictwa dwukrotnie: raz – za czasów Sejmu Ustawodawczego, gdy zajął to stanowisko z ramienia ludowców jako entuzjasta reformy agrarnej, w stosunku do której jednak niebawem ostygł i po jej ogłoszeniu ułożył bardzo liberalny plan jej wykonania. Najbliższym jego współpracownikiem z tego okresu był obecny rektor Akademii Rolniczej w Datnowie agronom Tomkunas, człowiek bardzo światły. Wtedy

Aleksa był ministrem w ciągu lat trzech i ustąpił na rzecz swego konkurenta księdza Michała Krupowicza z Chrześcijańskiej Demokracji, który, nie licząc się ze względami gospodarczymi i kierując się nienawiścią do ziemian Polaków, nadał reformie charakter jaskrawie demagogiczny i szykanujący boleśnie ziemian. Był to kilkoletni okres destrukcyjny reformy agrarnej. W r. 1926 za rządów lewicowych krótko stał u steru rolnictwa agronom Krikščiunas, lepszy już znacznie od Krupowicza, mający bowiem na celu pewien program konstrukcyjny. Po przewrocie grudniowym r. 1926 w rządzie koalicyjnym Voldemarasa na stanowisko ministra rolnictwa wrócił Aleksa, który jest na nim dotychczas – jedyny wśród obecnych ministrów, który przetrwał od pierwszego przewrotu dotąd. Za tych jego ostatnich rządów zreformowano poniekąd reformę agrarną, o ile ona jeszcze nie była wykonana, położono wielki nacisk na organizację gospodarczą, dźwignięto i zracjonalizowano kooperację, zwłaszcza w dziedzinie mleczarstwa, eksport, produkcję świń, meliorację, kredyt rolny itd. Wielkie organizacje i instytucje, jak „Pieno centras”, „Lietūkis”, „Maistas”, „Bank Kooperacyjny” itd., rozwój Izby Rolniczej, cukrownictwo, sieć kółek kontroli obór, hodowli poszczególnych gatunków drobiu i ras bydła i koni itd., itd. – wszystko to stworzone zostało w tym ostatnim okresie ministrowania Aleksy. Aleksa jest człowiekiem ciekawym, samodzielnym i twórczym. Politycznie jest on niezależny, nie należy nawet wcale do organizacji narodowców, do której, zdaje się, wszyscy inni ministrowie obecni należą, natomiast założył jakąś własną organizację ideologiczną, swoją kapliczkę, w której głosi własną ideologię, odrębną od innych, opartą o jakąś filozofię społeczną swoistą, której dał wyraz w książce dwutomowej. Ogółem uchodzi za dziwaka; dziwakiem i półgłówkiem uważają go ludzie w jego stronach rodzimych, za takiego też mają wszyscy, którzy go znają. Ale go szanują. Bo u niego wszystko indywidualne oparte jest na przekonaniu, szczere, głębokie, nieugięte. Aleksa – to typ ciekawy i dzielny, bo bardzo pracowity i bardzo jednostronny, łączący głębokie marzycielstwo z wielką trzeźwością umysłu. W Gabinecie Ministrów korzysta on z rodzaju autonomii. Rolnictwo jest mu jakby w pacht oddane – to jego królestwo niepodzielne, w które inni ministrowie mało się wścibiają, natomiast on nie bardzo się wtrąca w zagadnienia innych ministeriów i rzadko bywa w Gabinecie Ministrów.

Obchód dzisiejszy dziesięciolecia ministrowania Aleksy odbył się w „Metropolu”. Polegał on na obiedzie, w którym wzięło udział do 15 osób. Byli wszyscy ministrowie, oprócz Vileišisa z Ministerium Komunikacji, pracownicy Ministerium Rolnictwa, profesura Rady Stanu, dużo osób z Ministerium Finansów, Spraw Wewnętrznych, Kontroli itd. Mowę oczywiście i mnie jako rektorowi wypadło powiedzieć. Po obiedzie do późna w noc rozproszono się po stolikach, pito kawę z krupnikiem i likierami, gawędzono, młodzież śpiewała pieśni ludowe...

8 grudnia, rok 1933, piątek

„Clou” dnia dzisiejszego było dziesięciolecie założenia stowarzyszenia młodzieży akademickiej „Varpas”. Jest to młodzież lewicowego środka albo prawego skrzydła lewicy, to znaczy – ludowców. Są to najbliżsi na lewo sąsiedzi Chrześcijańskiej Demokracji, właściwie – klasyczni liberali, w naszych warunkach ideologii parlamentaryzmu i demokracji czy raczej nacjonałdemokracji wcale nie straszni radykali, za jakich czasem chcieliby uchodzić.

Co prawda, w obecnych okolicznościach politycznych kraju ludowcy udają wielkich opozycjonistów, a wódz ich – Michał Ślażewicz – hołduje zasadzie wielkiej „Bürgerfriede” opozycyjnej całej lewicy Chrześcijańskiej Demokracji aż do komunistów włącznie na lewo, ale dość ludowca trochę po wierzchu poskrobać, aby się przekonać, ze pod tym zabarwieniem radykalno-opozycyjnym ukrywa się zwykła natura bardzo umiarkowanego kierunku mieszczańskiego. Zresztą stronnictwo ludowców przeżywa ciężki kryzys; wielu ludzi uciekło z niego albo, jeżeli się jeszcze w szeregach utrzymuje, zachowuje się biernie; jeden tylko Ślażewicz z panią Bortkiewiczową i paru satelitami robi ruch i nadrabia frazesem. Naturalnie,

że w młodzieży ruch ten jest szczerszy i że tu frazes Ślażewicza jest brany za dobrą monetę. Na uroczystości dzisiejszej w sali „ateitininków" zebrało się publiczności dość dużo; do prezydium zaproszono mnie jako rektora, prof. ks. Česnysa jako prorektora i członków honorowych stowarzyszenia dr Kazimierza Griniusa, Michała Ślażewicza i prof. Lašasa. Potoczyły się zwyczajne „powitania", które rozpoczęła moja mowa. Na samym ostatku – dwie dłuższe mowy „programowe": dr Griniusa i Ślażewicza. Ślażewicza mowa była gorąca jak lawa; była ona wezwaniem do walki o wolność, wielkim hymnem na rzecz nieśmiertelnych ideałów człowieka wolnego, zbuntowanego przeciwko panowania gwałtu i despotyzmu. Mowa ta – to było jątrzenie i agitacja. Na młodzież działała ona jak narkotyk, ja zaś słuchałem jej z pewną przykrością, bo przecie jest to obłuda. Szanuję tych, którzy są szczerzy i bezpośredni: komunistów, narodowców, w naszych stosunkach także – „aušrininków", bo ci są tym, za kogo się głoszą. Ale ludowcy, którzy tu dziś agitują, żonglując frazesem i hasłami, a tu, gdy się dorwali władzy, ubolewają, że sama ludność nie rozbija szkółek polskich, które oni, ludowcy, otwierać pozwalają albo gdy chodzi o zarządzeniu przeciwko buntującej się prawicy, „zachorowują", aby odium za zarządzenie spadło z nich na ich towarzyszy w rządzie – socjalistów, taka żonglerka frazesowo-ideowa ludowców, którzy chcą sami wyjść czyści i nie tknąć brudu, ale zarazem pragną, aby brud był uprzątnięty cudzymi rękami niby bez ich wiedzy, za brud uważają w gruncie rzeczy to, co na słowach głoszą za ideał i prawo – mnie to wstrętem napawa. O, Boże, ile tu jest jeszcze obłudy!

9 grudnia, rok 1933, sobota

Dziś wieczorem nasz chór akademicki, złożony z młodzieży obojga płci, pod kierunkiem swego nowego dyrygenta, młodego muzyka kompozytora Kaweckiego, zaaranżował swój pierwszy występ samodzielny. Jako okazję do tego – wybrał 60-letnią rocznicę urodzin jednego ze starszych kompozytorów litewskich – Mikasa Piotrowskiego (jest to brat rodzony śpiewaka i słynnego solisty operowego Kiprasa Piotrowskiego). Na program koncertu użyto też samych piosnek kompozycji solenizanta. W koncercie zgodziła się też wziąć udział solistka Opery śpiewaczka pani ministrowa Zauniusowa. Koncert – za biletami płatnymi – po 50 ct. dla studentów i po 1 licie dla obcych – odbył się o godz. 7 w sali aktowej I gmachu uniwersyteckiego. Z profesury obecni byli: ja, prorektor Česnys, prof. Žemaitis, prof. Volter i bodajże nikt więcej. Zresztą sala była pełna. Byli studenci i było trochę publiczności cywilnej, w ich liczbie zauważyłem młodego prezesa Izby Apelacyjnej Gudrowskiego, który przed kilku laty sam był jeszcze studentem. Koncert odbył się bardzo ładnie, z wielkimi owacjami dla starego Mikasa Piotrowskiego, który przybył osobiście na koncert i był rozrzewniony. Mocno uwydatniona skleroza i usposobienie paralityczne – wzrok sztywny, rozrzewnienie się, gest wielki, zastępujący ubóstwo słowa, odnoszenie wszystkiego do siebie – nadają Mikasowi Piotrowskiemu cechę ruiny starczej. Pani Zauniusowej jeden bukiet ofiarowałem ja, drugi – chór. Śpiewała też ona pysznie. Chór też się zaprezentował dobrze.

10 grudnia, rok 1933, niedziela

Dziś miałem dzień nieco swobodniejszy. Rano miałem tylko posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego i wieczorem pierwsze zebranie publiczne nowego stowarzyszenia „Pan-Europy", założonego z inicjatywy generała Kurkowskiego jako sekcji narodowej litewskiej związku „Pan-Europejskiego", na którego czele stoi znany rzecznik i apostoł tego ruchu Wiedeńczyk hr. Coudenhove-Callergi. Założycielami firmowymi tego towarzystwa jesteśmy: gen. Kurkowski, prof. Wincenty Czapiński, prof. Zygmunt Žemaitis, dr Krikščiunas, Jan Vileišis, dr Purycki... Stowarzyszenie jest zatwierdzone (zarejestrowane) i dziś zaprezentowało się publiczności. Posiedzenie odbyło się w sali aktowej uniwersytetu.

Gen. Kurkowski wygłosił referat o idei „Pan-Europy” na tle analogicznych związków „Pan-Ameryki”, „Pan-Brytanii”, „Pan-Azji”, „Pan-Rosji”, o istocie i celach tego ruchu i zupełnie niepotrzebnie doczepił do swego referatu gorącą apologię osobistą hr. Callergi, utożsamiającą ruch „Pan-Europy” z osobą tego apostoła ruchu. Następnie dr Krikščiunas zdawał sprawę z konferencji ekonomicznej związku „Pan-Europy”, na którą był delegowany przez założycieli stowarzyszenia litewskiego, po czym dokonano wyborów zarządu. Publiczności zebrało się dużo; szczególnie dużo było Żydów, którzy także się do stowarzyszenia zapisali i do zarządu jednego Żyda wprowadzili (ja także do zarządu wybrany zostałem). Idea „Pan-Europy”, sama w sobie zdrowa i moim zdaniem konieczna i aktualna, jest przez zbytnie jej utożsamienie z p. Callergi uszkodzona. Callergi jest przede wszystkim Niemcem, ma też swoje uprzedzenia, swoje zbyt jaskrawe pomysły, które popularyzacji tej idei szkodzą. W szczególności u nas osoba jego dyskredytuje ruch pan-europejski przez to, że w swoim programie rewizji Traktatu Wersalskiego usiłuje on propagować zasadę skasowania korytarza polskiego na Pomorze i jakichś kombinacji zamienno-kompensacyjnych z Kłajpedą i Wileńszczyzną w stosunkach litewsko-polsko-niemieckich. To w oczach wielu dyskredytuje samą ideę.

11 grudnia, rok 1933, poniedziałek

Przyjechał do Kowna z fundacji Rockefellera w Paryżu urzędnik tejże –merykanin p. Tracy Barrett Kittredge. Fundacja ta udziela stypendiów młodym ludziom rozmaitych krajów, pragnących się poświęcić karierze naukowej, na pogłębianie studiów za granicą. Stypendia te (są one dwóch rodzajów – po 100 czy 120 i 200 dolarów amerykańskich miesięcznie) są udzielane na studia bądź przyrodnicze, bądź medyczne, bądź społeczne, bądź higieny publicznej i sanitarii. Ze stypendiów tych korzystali już u nas obecny asystent na sekcji ekonomicznej Dzidas Budrys i niejaki Viliamas, studiujący geografię polityczną (może byli też inni stypendyści na innych wydziałach). O przyjeździe delegata i o tym, że stypendium przeznacza się nam na studia społeczne, fundacja zawiadomiła nas już w listopadzie. Wobec tego na posiedzeniu wczorajszym Rady Wydziału Prawniczego wydział wyznaczył kandydata na to stypendium. Na wniosek dziekana Wacława Biržiški tym kandydatem został asystent Żakiewicz, zięć prof. Michała Biržiški. Żakiewicz chce się specjalizować w zakresie prawa administracyjnego. Gdy dziś p. Kittredge przyjechał i gdym mu w gabinecie rektorskim w obecności dziekana Wacława Biržiški i prof. Pokštasa przedstawił naszego kandydata do stypendium Żakiewicza, tom się mimo woli trochę zawstydził; właściwie wstyd mi było nie tyle ubóstwa naszego, bo wiem, że Żakiewicz jest chłopcem pracowitym, zdolnym i dzielnym, który podoła zadaniu, ale pozorów ubóstwa, bo Żakiewicz jest typowym Litwinem, który zareklamować się nie umie. Gdy się go po raz pierwszy widzi, wygląda tak jak żeby do dziesięciu zliczyć nie potrafił. Siedzi taki prezentowany egzemplarz jak z drzewa wystrugany bałwan – bezwładny, ciężki, niemrawy; zdaje się – umyślnie zadaje kłam wszelkiemu zachwalaniu i ściąga całą ceremonię z wyżyn nieba na poziomy ziemi. Mówi się, że zwierzęta i dzieci mają to wspólne, że gdy się je chwali i opowiada o nich coś niezwykłego i chce to coś niezwykłego w nich zademonstrować, to one akurat wtedy jak najzwyklej się zachowują i zadają najoczywistszy kłam wszelkiemu zachwalaniu. Do kategorii zwierząt i dzieci trzeba dodać trzecią – Litwinów. Ludzie tego narodu reklamować się nie umieją i stanowczo więcej dają, niż obiecują. Na zewnątrz i po wierzchu są szarzy i nie zwracają na siebie uwagi, z pozorów nie błyszczą, ale pod pozorami pospolitości chowają szczere złoto. Żakiewicz zaimponować p. Kittredge nie zdołał, przeważnie milczał lub odpowiadał półgębkiem, wyglądał osowiały, że się aż chciało go podkurstać. P. Kittredge dał mu do wypełnienia ankietę i termin do lutego. Z powodu spadku kursu dolara fundacja skierowuje teraz stypendystów do Ameryki. Wobec tego udzielenie stypendium uzależniane jest od dobrego nauczenia się języka angielskiego. Żakiewicz ma pod tym względem czas do jesieni. Do jesieni też wykrystalizuje on program swoich studiów. Choć Stany Zjednoczone nie mają

prawa administracyjnego, to znaczy tej właśnie sfery prawa, w której Żakiewicz chce się specjalizować, to jednak gwałtowne narastanie funkcji państwowych rozwinęło już i tam wybitną działalność administracyjną państwa, które prowadzi do prawa administracyjnego. Otóż wystudiowanie tej ewolucji i ustalenie jej wytycznych i jej wytworów prawniczych w zestawieniu z systemem administracyjnym francuskim, panującym w Europie, stanowiłoby sferę niezmiernie ciekawą dla studiów Żakiewicza.

Pana Kittredge zaprosiłem do „Metropolu" na obiad, który spożyliśmy w towarzystwie profesorów Czapińskiego, Pokštasa i Tadeusza Pietkiewicza.

12 grudnia, rok 1933, wtorek

Zwróciła się do mnie jako rektora delegacja niektórych „narodowych" korporacji akademickich, które w d. 17 grudnia w niedzielę urządzają wspólne posiedzenie na rzecz uczczenia rocznicy przewrotu z d. 17 grudnia 1926. Delegacja zaprosiła mię do wzięcia udziału w posiedzeniu (w prezydium) i do wygłoszenia odpowiedniego przemówienia. Odpowiedziałem, że wyjeżdżam z Kowna i że tego dnia już nie będę. Wykręciłem się więc jak na ten raz. Dotąd tych obchodów na uniwersytecie, zdaje się, nie robiono, a przynajmniej nie zapraszano na nie rektora; było to zupełnie naturalne, dopóki rektorem był prof. Czapiński, którego ów przewrót strącił właśnie z fotela ministerialnego. Ale teraz, gdy rektor się zmienił, wzgląd ten odpada. Jednak przewrót, dokonany siłą zbrojną, na którym dotychczas opierają się rządy narodowców i który dotąd nie został zlikwidowany przez nowy mocny ustrój konstytucyjny, jest aktem *par excellence* politycznym, który jedni błogosławią i czczą, drudzy – potępiają i nienawidzą. Dlatego też wciąganie urzędowe uniwersytetu w sferę tego rodzaju aktów, budzących namiętności polityczne, wydaje mi się bardzo niewłaściwe i cieszę się, że okoliczności pozwolą mi uniknąć tego precedensu. Zdaje mi się, że prorektor Česnys, który mię będzie zastępował, ma zamiar wziąć udział w tej uroczystości, chociaż w przemówieniu chce moment polityczny usunąć na stronę i konstatować jeno historyczny fakt dokonany.

W gazetach rozeszła się kaczka dziennikarska o mojej rzekomej jeździe na święta do Wilna.

Wczoraj dentystka p. Gaminiukowa, bardzo dobra młoda specjalistka, nałożyła mi zęby sztuczne na szczękę dolną i górną. Nie umiem nosić całego tego aparatu, a zwłaszcza jeść. Noszę więc tymczasem tylko dolną szczękę.

Rano mieliśmy u ministra sprawiedliwości Żylińskiego posiedzenie w sprawie ustawy o organizacji sądownictwa, o ile ona dotyczy Kraju Kłajpedzkiego. Obecni byli: ministrowie: sprawiedliwości Aleksander Żyliński i spraw zagranicznych Zaunius, konsultanci ja, Lozoraitis i Tadeusz Pietkiewicz, prezes sekcji kłajpedzkiej w Trybunale Stankiewicz, prokurator Kalvaitis i Valtis i gubernator Kłajpedy Novakas. Chodziło o dozór służbowy prokuratury lokalnej kłajpedzkiej i o sankcje tego dozoru realizowane przez sąd dyscyplinarny w centrum. Juryskonsulci sygnatariuszy są temu przeciwni i żądają niestosowania tego przepisu, grożąc w przeciwnym razie zaskarżeniem Litwy do Hagi. Na co się zdecyduje rząd – nie wiem, ale nasze posiedzenie uznało, że sankcje te są konieczne i nie są przeciwne statutowi. Zapomniałem dodać, ze na posiedzeniu był obecny także poseł litewski w Paryżu Klimas, który najbardziej się skłaniał do tezy sygnatariuszy.

13 grudnia, rok 1933, środa

Z okazji przyjazdu do Kowna gubernatora Kłajpedy Novakasa Mašolaitis zwołał wieczorem posiedzenie naszej dawnej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Narasta tam w Kłajpedzie konflikt poważny w przedmiocie rugów cudzoziemców ze służby autonomicznej. Dyrektorium Kłajpedy nie chce uznać ustawy, legalnie ogłoszonej w państwie o tym, że wszyscy cudzoziemcy, którzy zajmują posady państwowe lub samorządowe,

powinni być przez swoją zwierzchność służbową przedstawieni do zatwierdzenia w terminie do 10 grudnia r. b. Zatwierdzenia tego udziela arbitralnie lub odmawia w Kraju Kłajpedzkim gubernator. Na żądanie gubernatora dyrektorium przedstawiło mu listę cudzoziemców, pracujących w instytucjach autonomicznych, ale nie załączyło prośby o ich zatwierdzenie i wręcz zastrzegło, że takiego zatwierdzenia nie może uznać. Gubernator natomiast orzekł usunięcie całego szeregu cudzoziemców od zaraz, innych – od 1 lipca 1934, reszcie udzielił zatwierdzenia. Naturalnie, dyrektorium odmówiło wykonania rozkazu gubernatora i oto konflikt kategoryczny i ostry. Ale nie ma rady. Litwa musi iść na ten konflikt. Musi złamać opór germanizatorów Kłajpedy, którzy dziś, podnieceni hitleryzmem, stawiają opór coraz to cyniczniejszy.

14 grudnia, rok 1933, czwartek

Jestem już na wyjezdnym do Bohdaniszek. Dziś rano odjechali do Bohdaniszek na święta Stefanostwo Römerowie, którzy – raczej jeden Stefan – po powrocie z Królewca przesiadywali w Kownie u mnie. Stan nerwowy Stefana, który na razie po powrocie z Królewca wydawał się znacznie lepszy, znów się pogorszył. A wraz ze stanem nerwowym pogarsza się u niego lub polepsza ogólny stan władz umysłowych. Jutro wyjeżdża do Bohdaniszek Jadzia, a w niedzielę lub poniedziałek wyjeżdżamy ja, Andrzej Mieczkowski i służąca Kostusia Merkisówna.

W Bohdaniszkach nowy kłopot narasta z Marynią. Było to do przewidzenia. Trzeba będzie się nad sytuacją zastanowić, co robić. Marynia funduszu, to znaczy swojej schedy Bohdaniszek, nie utrzyma i długom nie podoła, mimo że ja wziąłem spłacenie jednego z kapitalnych jej długów na siebie (dług 10 000 lt. w Państwowej Kasie Oszczędnościowej). Trzeba rozpoczynać likwidację, ale gdzie się Marynia podzieje, co się z nią stanie, skądinąd zaś i ja bym nie chciał w jej pozycję wchodzić, bo ciężary są za wielkie.

Drugą mam biedą, nie lepszą od pierwszej, to z córką. Nachodzi ona teraz Anię Virionową w Warszawie i skarży się na krzywdę, że ją oboje rodzice zapominają i że tylko z łaski Francuzki panny Elizy Courtôt ma możność nędznego egzystowania. Virionowa alarmuje Zosię Eugeniuszową Römerową i Helę Römer-Ochenkowską, a te znów szturmują do mnie. Oczywiście, że Celina nie chwali się przed nimi dotychczasowymi sposobami, jakimi mię traktowała i które wpłynęły na to, że nic ode mnie nie dostaje i że z nią zerwałem. Oj, to ananas!

15 grudnia, rok 1933, piątek

Rano wyjechała już do Bohdaniszek na święta Jadzia. Zostaliśmy z Andrzejem sami w mieszkaniu. Za parę dni pośpieszymy i my także.

Otrzymałem bardzo miły list z Warszawy – od mego kochanego przyjaciela i kolegi Leona Altera. Przysyła mi on też jakąś ładną książkę – „Wyzwolenie człowieka” dr Władysława Spasowskiego z dedykacją autora dla mnie.

16 grudnia, rok 1933, sobota

Choć już wakacje faktycznie się rozpoczęły – przynajmniej wakacje uniwersyteckie, jednak roboty miałem nie mniej dzisiaj, niż innych dni. Toteż przypuszczam, że gdybym z Kowna na te święta nie wyjeżdżał, to nie miałbym ani wypoczynku, ani czasu na inne – wolne – roboty, które przez ten czas chciałbym odrobić.

Co prawda, późno dziś wstałem, toteż nie mogłem rano ani pójść do uniwersytetu, ani do dentystki, ani rozpocząć w mieszkaniu egzaminów. Musiałem zacząć od wykładów na kursach Sztabu Generalnego. Przygotowałem się do nich w domu i udałem się do audytorium. Wykłady te przeważyły się już na drugą połowę i spostrzegam, że kurs, nawet mocno

skrócony, jest jednak za długi na tę ilość godzin (26 godzin ogółem) – nawet bez uwzględnienia prawa konstytucyjnego litewskiego.

Po wykładzie musiałem pośpieszyć do Prezydenta Rzeczypospolitej, gdzie na godz. pierwszą po południu wyznaczona była audiencja dla mnie i trzech dziekanów (Žemaitisa, Lašasa i Krėvėgo-Mickiewicza). Chodziło o pewne wyjaśnienie przepisów statutowych dla umożliwienia wypłaty honorariów za wykłady asystentów, posiadających tytuł prywat-docentów i o niektóre inne wyjaśnienia rzeczy spornych między uniwersytetem a Ministerium Oświaty. Prezydent dał satysfakcję niektórym pretensjom dziekanów, ale poruszył też sprawę wykładów profesorów honorowych, nie rostrzygniętą dotąd ze względu na memoriał senatu, który gdzieś ugrzązł w Ministerium Oświaty. Jest to ta sprawa, w której zaszedł konflikt między mną a senatem i z powodu której byłem zgłosił podanie o dymisję. Minister oświaty podanie to mi zwrócił, nie przyjmując zgłoszenia mego, ale konflikt zaistniał i formalnie zlikwidowany nie jest.

Po audiencji u Prezydenta udałem się do uniwersytetu dla załatwienia bieżących spraw rektorskich, po czym po obiedzie miałem u siebie posiedzenie zarządu litewskiego towarzystwa „Pan-Europy" i wreszcie egzaminy studenckie. Z członków zarządu „Pan-Europy" przyszli tylko generał Kurkowski i prof. Czapiński. Długo namawiali mię oni do przyjęcia stanowiska prezesa towarzystwa. Nie miałem wcale ochoty do tego, bo wielu czyni rozmaite zarzuty temu związkowi ze względu na osobę Callergiego, z którym ten związek jest bardzo ściśle skombinowany i który w kwestii Wileńszczyzny i korytarza pomorskiego polskiego wypowiadał się w sposób czysto niemiecki, obrażający uczucia i dążenia narodowe Litwinów. Ja osobiście też się niezupełnie na koncepcję Callergiego piszę w kwestii „Pan-Europy" i chętnie bym emancypował ruch pan-europejski od osoby tego pana, podczas gdy to nasze towarzystwo wyrosło właśnie z tchnienia hr. Callergiego poprzez generała Kurkowskiego. Jednak dałem się namówić.

17 grudnia, rok 1933, niedziela

Rano byłem u dr Elkisa. Właściwie dla tej wizyty odłożyłem wyjazd do Bohdaniszek na jutro. Poszedłem do niego z fotografią Roentgena, analizą uryny i statystyką bilansu między dzienną konsumpcją płynów a dzienną wydajnością uryny. Doktor stwierdził, że wszystkie te dokumenty świadczą jak najlepiej o moim stanie zdrowia i ze przeto wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zły stan mego serca. Stan serca pogorszył się od roku. Rzeczywiście sam to czuję. Skądinąd waga zmniejszyła się znacznie: ważę 98 kilo; przed niespełna dwoma miesiącami ważyłem jeszcze 102 kilo, a na ogół od grudnia 1931 r. przez cały czas leczenia się u dr Elkisa straciłem 9 kilo wagi. Objaw ten jest pocieszający. Dr Elkis zdecydowany jest prowadzić kategorycznie do większego zmizernienia i na tym opierać cały system leczenia. Zresztą przepisuje mi on też pewne środki lecznicze na serce.

Wieczorem dziś na pożegnanie zaprowadziłem Litkę Komorowską i Andrzeja Mieczkowskiego do teatru na operę „Cavalleria Rusticana" i „Pajaca", a stamtąd na kolację i dancing do „Wersalu". Dla Litki dancing – to nowina kusząca, dotychczas zakazana. To rewelacja jakichś zawrotnych igrzysk zmysłowych – zwłaszcza te tancerki nagie, które się produkują jako „numery" programu kabaretowego. A sam też taniec publiczności w ścisku i tłoku sali restauracyjnej na maleńkim placyku wolnym między stołami ucztujących – to dla niej była uciechą szaloną. Toteż zabawiła się moja panna pełną gębą jak chyba nigdy, bo to miało dla niej smak owocu zakazanego, który, jak wiadomo, jest ze wszystkich owoców najsłodszy.

18 grudnia, rok 1933, poniedziałek

Wyjazd z Kowna. Nagderałem się przy tym wyjeździe, bo Andrzej jest niesłychanie marudny i lubi wszystko na ostatnią chwilę zwlekać, a Kostusia Merkisówna jest bierna i

potrzebuje ciągłego popychania jak szkapa żydowska. Wszystko się na ostatnią chwilę skupiło, tak że omal nie spóźniliśmy się. Andrzej z Kostusią jechali trzecią klasą, ja – drugą. W Radziwiliszkach wypadło przesiąść na prędki ekspres berlińsko-moskiewski. Stamtąd już popędziliśmy lotem strzały na Abele, zabawiając się częściowo w wagonie restauracyjnym. W Abelach spotkały nas konie i Jadźka. My z Jadźką siedliśmy do wielkich moich sań parokonnych, Andrzej wziął do siebie Kostusię, parobek Dainys wziął rzeczy. Jechaliśmy do Bohdaniszek na jezioro. Po dziesięciu dniach ostrych mrozów kilkunastostopniowych dziś mróz zelżał do kilku stopni. Sanna wyśmienita, śniegu niedużo, pyszna jazda. W moim domu w Bohdaniszkach – ciepło i słodko.

19 grudnia, rok 1933, wtorek

Pierwszy całkowity dzień w Bohdaniszkach. Mróz niewielki z silnym wiatrem, sanna – pyszna. Zaprzęgliśmy sobie konika i pojechaliśmy do Gaju, a stamtąd Jadzia dalej, podczas gdy ja spacerowałem po lesie. Gaj w tym roku cały poprzecinany dróżkami, albowiem latem był cały oczyszczany z niepotrzebnych chrustów, które teraz po świeżym śniegu wywożono.

Byłem też w starym domu. Mieczkowskich nie widziałem, bo Stefan spał, Elwira była w Rakiszkach, a dzieci gdzieś się tłukły. Z Marynią rozmówiłem się. Być może spodziewała się ona, że znów jej „pożyczę" i wyciągnę z biedy. W istocie byłby to ratunek, który nic by nie uratował i tylko doraźnie na tę chwilę oddalił cios, ale na ogólną sytuację nie wpłynął. Radziłem Maryni, żeby, grzecznie mówiąc, „zbankrutowała", ale bez skandalu i z zapewnieniem spłaty kapitału. Chodziłoby o zaniechanie płacenia procentów i ograniczenia się do opłaty ratówek Banku Ziemskiego i Państwowej Kasy Oszczędnościowej. Zwłaszcza chodziłoby o uwolnienie Maryni od długu Piotrowi Rosenowi, długu, opartego na wekslach, ale bez żyra. Bezprocentowe zlikwidowanie tego długu jest, zdaje się, warunkiem „*sine qua non*". Zresztą pomyślimy jeszcze i przewałkujemy tę sprawę przez ten miesiąc. Wciągniemy może do rady i Stefana Mieczkowskiego.

20 grudnia, rok 1933, środa

Znowu przejażdżka do Gaju i przechadzka w Gaju. Nie jest zbyt zimno, ale wiatr – ostry. Byłem w starym domu. Smutno tam. Marynia strapiona, zapłakana, sama nie wie, jak się wydobyć z interesów i co począć. Jej sytuacja jest rzeczywiście krytyczna. Stefan Mieczkowski zaczyna mi podsuwać myśl o podzieleniu się schedą Maryni, wziąwszy ją od niej za długi.

21 grudnia, rok 1933, czwartek

Dr Elkis, który jest zdecydowany zbijać nadal moją wagę, stanowiącą główny czynnik złego stanu serca, zalecił mi przestrzegać ściśle w mojej diecie jeden dzień mleczny, w którym poza czterema szklankami mleka wolno spożyć tylko cztery jabłka, i jeden dzień owocowo-jarzynowy, w którym zjeść wolno tylko 500 gramów owoców i 500 gramów jarzyn wodnistych, jak kapusta, buraki, marchew, kalafiory. „Dnie" takie były przewidziane w diecie pierwotnej, ale uznałem je za zbyt ciężkie i zaniechałem. Dziś mam taki wznowiony dzień mleczny. Ale żebymże to widział skutek realny mojej „głodówki"! Prawda – wagi ubyło nieco, ale ogólny stan sił poszedł na ubytek.

22 grudnia, rok 1933, piątek

Nędza teraz we dworze. Zupełna nędza. Nie mówię naturalnie o tych dworach, które mają jakiś sukurs ze strony. Mając choć trochę pieniędzy, można teraz na prowincji litewskiej żyć wygodnie, a zwłaszcza suto pod względem jedzenia. Produkty rolne są za bezcen. A dwory? Dziś właściciele takowych z żonami i dziećmi sami jeżdżą na targi do miasteczek i sprzedają, co się da – jajka, kury, gęsi, cebulę, jabłka, koniczynę itd. Z tego też żyją, z tego

kupują naftę, sól, cukier, tanie obuwie. A gdy jest trochę długu wekslowego, to choć siadaj i płacz. Rady żadnej nie ma. Co się stanie z Marynią – nie wiem. Czy zdoła wylawirować wśród wekslów protestowanych, bo na likwidowanie ich regularne nie ma już sił, czy też bankructwo ją całą zaleje i zatopi, czy też może przetrwa i doczeka się sukursu z kamienicy wileńskiej i z Zamosza. Płacze ona, płacze poczciwy Budkiewicz. Stefan Römer, który bawi u matki, nie rozumie jej położenia. Jest on po chorobie zupełnie dziecinny. Pisze, układa jakieś katalogi drzewek, pisze też czy przepisuje coś o Tumasie (Vaižgantasie) itd. – bawi się tym bez żadnego sensu praktycznego. Wstaje raniutko, o siódmej już siedzi i pisze, pracuje jak najpoważniej z niesłychanym zapałem, a wszystko to niewarte skorupki od zjedzonego jajka. Słodki jest i serdeczny dla matki, żony i ojczyma. Marysia Stefanowa mniej ma tej słodyczy, ale dla Stefana jest dobra i kocha go bardzo. A ma ona teraz dwoje dzieci – męża dziecinnego Stefana i córkę Stenię, która w Bohdaniszkach urosła bardzo.

23 grudnia, rok 1933, sobota

Ponieważ Boże Narodzenie wypada w tym roku na poniedziałek, a przeto wigilia – na niedzielę, więc wielu spożywa kucję dzisiaj – w sobotę, aby nie robić postu w niedzielę. Tak też i my zrobiliśmy w Bohdaniszkach, ja i obie siostry moje w osobności, ponieważ każde z nas spożywa kucję swoim dworem osobno.

U mnie do stołu wigilijnego zasiedliśmy z Jadzią, jej małą siostrzenicą sierotą Renią Bohdanówną, która ma być jej wychowanką, ekonomem Pumpolem, starym lokajem Kazimierzem Jankowskim i dwiema służącymi – kowieńską Kostusią Merkisówną i bohdaniską – starowierką Liną. Ucztę wigilijną mieliśmy wspaniałą: była ryba, darowana przez Sinicę na święta, konserwy z Kowna, śledzie i przysmaki, przyrządzone przez Jadzię...

Rano wybrałem się z ekonomem do Gaju, gdzie wybraliśmy parę jodełek na choinkę dla mnie i dla Maryni.

24 grudnia, rok 1933, niedziela

Dzień upłynął jak tyle innych. Czuję się dobrze wyspanym i wypoczętym w Bohdaniszkach. Kładziemy się z Jadzią koło godz. 9 wieczorem – ona często wcześniej nawet – i mamy długą noc przed sobą. W nocy śnię, budzę się, delektuję się rozkosznym ciepłem łóżka między siennikiem z dołu i puchówką z góry, a potem czekam pierwszych zwiastunów ranka, jakim jest rozjarzenie się szybek górnych u drzwi na korytarz, wskazujące, że Kazimierz już wstał i poszedł z lampą do korytarza podpalić piec w pokoju Jadzi; potem słychać trzask płonących w piecu drew, Kazimierz przychodzi wziąć ubranie moje do czyszczenia, wreszcie w oknach ukazuje się świt i dzień.

25 grudnia, rok 1933, poniedziałek

Boże Narodzenie. Cicho. Mróz kilkunastostopniowy. Jeździmy z Jadzią saneczkami na spacer. Na obiedzie indyk, na który zaproszeni są Mieczkowscy. Dobrze też, spokojnie i przyjemnie tu pracuję. Odzyskałem lekturę książek, na którą mi rektorat w Kownie czasu nie pozostawiał, pracuję co dzień po trochę nad kilku odczytami publicznymi, które następnie w postaci artykułów ogłoszę w prasie. Dobrze mi ta praca idzie. Odzyskałem utraconą poniekąd pewność siebie, bo mi się już czasem zdawać zaczynało, że tracę świeżość i głąb myśli i że uwiąd starczy, czyli skleroza tępi moją zdolność twórczą w dziedzinie myśli. Tutaj na mojej pracy się przekonywam, że jeszcze tak źle nie jest.

Po obiedzie zapaliliśmy w jadalnym choinkę dla dzieci służby, które miały swoją loterię zabawek ze wszystkimi biletami wygrywającymi, dostały poza tym cukierków i kakao z ciastem.

26 grudnia, rok 1933, wtorek

Mróz się podnosi, parokrotnie zmienia kierunek wiatru. Z domu nie wychodziłem oprócz tylko przyjścia do starego domu i z powrotem.

Jadzia za moją zgodą, za którą jest mi bardzo wdzięczna, wzięła na wychowanie swoją siostrzenicę sierotkę dziewięcioletnią Irenę Bagdonaitė. Jest to córeczka śp. Stasia Bagdonasa, który był furmanem, szoferem, generalnym mechanikiem, wreszcie człowiekiem najzaufańszym i przyjacielem osobistym Hektora Komorowskiego. Stasiek umarł przed paru laty na suchoty gardlane galopujące. Teraz i matka umarła na takie same suchoty. Syna, Janka, Hektor zalokował w przytułku rzemieślniczym w Kownie, córeczkę Renię Jadzia przyjęła. Dziewczynka jest grzeczna, dyscyplinowana, nie kaprysi nigdy. Jest ona u nas od tygodnia – od czasu przyjazdu naszego do Bohdaniszek na te święta.

27 grudnia, rok 1933, środa

Wybraliśmy się z Jadźką do Abel na pocztę parą koni. Wiózł nas parobek Jan Tumėnas. Mróz zelżał, droga – doskonała przez błota na Gaj, Popiele i jezioro. Miła była wycieczka. Pod wieczór wiatr zaczął się zmieniać na wschodni, który studzić zaczął nasze z Jadzią pokoje sypialne, w których siedzimy. Tymczasem jest jeszcze znośnie, ale jeżeli ten wiatr się utrwali, to jutro będzie źle. Bo w moim domu z której strony wiatr wieje – tam jest zimno, podczas gdy za wiatrem jest rozkosznie ciepło. Zawsze więc znaleźć można w domu kąt ciepły, ale trzeba być zawsze przygotowanym na migrację z pokoju do pokoju.

28 grudnia, rok 1933, czwartek

Wiatr wziął kierunek zdecydowanie wschodni. Pokoje sypialne są wystudzone, nic nie pomaga intensywne palenie w piecach i kominku. Wieje przez podłogę, wieje przez okna. Chętniej się siedzi w jadalnym niż w sypialnym. Dziś jeszcze z biedy wytrwać można, ale co będzie jutro, o ile wiatr się nie zmieni? Zamyślam się już o rejteradzie jutro na... korytarz, przynajmniej w stosunku do pracy.

Chodziłem dziś pieszo na spacer do Gaju. Potem przyjeżdżali z Gaczan Piotr Rosen, Józef Stawski z synem Justynem i córką podlotkiem Marysieńką, Alfred Charmański z Miedziat, panna Rapacka z Szetekszni. Piotr Rosen dyplomatycznie zamilczał o porażce, poniesionej przez niewykupienie wczoraj przez Marynię weksla, który on w banku zdyskontował. Dowiedział się o tym tu. Może liczył na to, że ja tym razem nie dopuszczę do protestu weksla. Spuścił nos na kwintę i o tym nie mówił, a Maryni szepnął, że się ułoży z bankiem i dług ten na trzy miesiące odroczy.

29 grudnia, rok 1933, piątek

Cały dzień szalała zawieja, pędząc kłęby śniegu, przeważnie z dołu, ale także z góry. Potworzyły się zaspy i wały śnieżne, gdzie indziej za to śnieg zwiany skrzętnie aż do ziemi. Kierunek wiatru – przeważnie wschodni, ale podwiewa tez z północy i południa. Wobec tego w domu moim panuje chłód, który w pokojach sypialnych jest wprost lodowaty. Ubiegłej nocy nawet pod puchówką i na sienniku spać było zimno, bo się nogi przez całą noc zagrzać nie zdołały. Siedzieliśmy i ja pracowałem w pokoju jadalnym, jedynym znośnym. O nocy myślę ze strachem. Będę próbował przy kominku dobrze przed pójściem do łóżka się zagrzać. Daj Boże ciepła na jutro, a przynajmniej zmiany wiatru!

30 grudnia, rok 1933, sobota

Jakoś tej nocy lepiej się spało, choć wiatr się nie zmienił i pokój był równie zimny. Nauczyłem się zaradzić temu, wysiadując przed rozpalonym kominkiem przed samym położeniem się do łóżka.

Jeździłem rano z ekonomem do Gaju, gdzie wyznaczałem drzewo na wyrąb i oglądałem jesiony grubsze, które chciałbym sprzedać na obody do kół.

Wypoczynek bohdaniski służy mi dobrze. Pracuję coraz lepiej. Senność mię mniej trapi, a w każdym razie nie jest ciągła i tylko po obiedzie mię na pewien czas nachodzi.

31 grudnia, rok 1933, niedziela

Ostatni dzień roku 1933.

Gdy pomyślę o datach lat mojego dzieciństwa i młodości, gdzieś z ostatnich lat wieku XIX, z lat 90-tych albo nawet z pierwszych niniejszego wieku, to z ówczesnej perspektywy lata obecne zdawały się gdzieś tkwiące w odległości niedościgłej. Wszystko przemija. Dziś oto lata te płyną i przechodzą rok po roku. 30-te lata wieku XX-go!

W noc Sylwestrową nic nie wróżyliśmy z Jadzią i nie czekaliśmy nadejścia północy. O północy spaliśmy od dawna smacznie.

Ze starego domu wszyscy się rozjechali na noc Sylwestrową. Został tylko Stefan Römer z żoną, który po chorobie nigdzie w gościnę nie wyjeżdża, i Michaś Mieczkowski.

1 stycznia, rok 1934, poniedziałek

Co mam sobie życzyć na ten rok nowy? Oto przede wszystkim życzę sobie zdrowia, dalszego wydatnego zmizernienia, powrotu do sił fizycznych, jakie miałem jeszcze przed kilku laty. To jest życzenie kapitalne, które jest podstawą wszelkich innych. W mojej sytuacji życzę sobie gorąco nominacji na stanowisko prezesa Trybunału Najwyższego.

W sprawach publicznych pragnąłbym gorąco pojednania Litwy z Polską, zwłaszcza pojednania szczerego, a nie tylko kompromisu. Nie przewiduję jednak tego.

Jadzia dziś wyjechała rano do matki i do siostry. Jestem sam w domu. Jadzia wraca jutro.

2 stycznia, rok 1934, wtorek

Otrzymałem list od Kotuni Pruszanowskiej, która jest moją plenipotentką do spraw kamienicy wileńskiej. Umówienie Lola Wołodkiewicza na rządcę tego domu na miejsce p. Januszewskiego, dokonane w jesieni przez Elizkę Komorowską, okazało się od razu bardzo skuteczne. Lolo zajął się domem energicznie, mieszkania są wynajęte, intrata odrestaurowane, podatek spadkowy wypłacony, skorzystano przy tym z ulgi i jeszcze Lolo wyspekulował 600 złotych na spłacie jakimiś obligacjami zamiast gotówki. Wskutek tego niespodzianie okazał się już teraz pewien niewielki dochodzik do podziału między współwłaścicieli, co na mnie wyniosło 178 złotych. Nadal będzie nam wpływało, o ile nic nie zajdzie, po tysiąc kilkaset rocznie na każdego.

W szeregu listów, które stąd napisałem, jest także list mój do Heli Römer-Ochenkowskiej w odpowiedzi na jej list ostatni, w którym pisze mi o córce mojej Celinie i nawołuje mię do spełnienia obowiązku względem córki, udzielając jej wsparcia. Oto odpis mojego listu do Heli:

„Kochana Helu! List Twój ostatni, napisany w szczególnej materii, wymaga też odpowiedzi szczególnej.

Córce mojej, która się okazała kobietą fałszywą, na co mam dowody z jej własnych listów, należy zastosować to samo prawidło ogólne, że jak sam sobie człowiek ściele, tak się też wysypia. Jeżeli źle sobie podesłała – źle spać będzie. Na to nie poradzę i tego nie zmienię.

Dopóki chciała i spodziewała się wyłudzić ode mnie obfitą dotację, dopóty mi pochlebiała i bardzo brzydkie rzeczy wypisywała na matkę, gdy zaś ja zaproponowałem jej przyjazd do mnie albo ewentualnie, gdyby tego uczynić nie chciała, zaproponowałem jej miesięcznie 300 złotych (podobno poza tym miała otrzymywać od matki po 500, ale gdyby nawet nie otrzymywała, to przecież tylko ode mnie zależy określenie sumy, jaką ja chcę, mogę i uważam za stosowne jej udzielać), ona, uznając tę sumę za „śmiesznie małą” (niechże się śmieje!), nie tylko że nic mi nie odpisała i odtąd sama zerwała wszelkie korespondowanie

ze mną (ja do niej jeszcze trzy listy poza tym napisałem bez żadnej odpowiedzi), ale jeszcze za pośrednictwem matki przesłała mi szereg impertynencji, które jej szanowna mama ubrała w styl, godny zaiste stosunków między parobkami. Na tym się skończyło. Oczywiście nic rarogowi temu nie daję i dawać nie myślę.

Droga do mnie jest otwarta. Nie przekląłem dotąd Celiny, więc jeżeli sobie życzy – przyjechać może. Co prawda, nie bardzo wiem, co to za gatunek człowieka i co by tu po przyjeździe do mnie robiła i robić chciała, bo dotąd poza złością i fałszem nic innego mi ze swojej natury nie ujawniła. Bądź co bądź, inicjatywa dziś należałaby do niej, ale nie do mnie. Że się błaźnica nie chce upokorzyć – to mnie nic do tego. Woli stękać przed ciotkami i udawać ofiarę, a wszystko po to, aby wyłudzić ode mnie pieniędzy. Jest to też metoda. Każdy ma swoją.

Zastrzegam się natomiast przeciwko wszelkim usiłowaniom pogodzenia mię z Francuzką panną Elizą Courtôt. Każdy mieć może o niej swoje zdanie. Ja mam też swoje, drogo zdobyte, ale za to mocne i twarde. Być może, że Tobie lub Ani wydaje się ona ideałem cnoty, zalet, ofiarności i najlepszych wpływów i uczuć dla mojej córki. Wolna wola Wam w to wierzyć. Ale wolna też wola mnie inaczej tę osobę pojmować i cenić. Gdybym pannę Courtôt dręczył, zabijał – moglibyście przez uczucie ludzkie stawać w jej obronie. Ale ja jej nie ruszam i niczego od niej nie żądam, o nic ją nie proszę i znać jej ani nic o niej wiedzieć nie chcę. Nie będziecie chyba twierdziły, że mam jakieś obowiązki wobec niej także. Nie dość, że się człowiek nieszczęśliwie ożenił, jeszcze mu przez całe życie rozmaite paskudztwa pod nos podsuwają i przekonywają, że przecie to nie tak bardzo śmierdzi. Może komuś pachnie, ale mnie śmierdzi i – „dwie dziurki w nosie i skończyłem”. Doprawdy mam dość tego. Czy towarzystwo panny Courtôt jest dla mojej córki dodatnie czy ujemne – niech sobie każdy sądzi jak chce, ale nie mam żadnego obowiązku uznawania go za dodatnie, bo ja wiem więcej, niż Wy wiecie.

Kiedyś, Helu, kiedy mój związek z Reginą się zrywał, wzięłaś to błoto, którym mnie oblewano, za czystą monetę i byłaś dla mnie niesprawiedliwa. Potem sama się przekonałaś. Nie mam za to żalu do Ciebie. Dziś w moim stosunku do córki znowu jakieś pozory usiłują uwieść. Strzeż się. Zaufaj mi – chyba wiesz, że jestem uczciwy, że był czas, kiedy Celinę bardzo kochałem i tęskniłem do niej, że nie mam zwyczaju krzywdzić ludzi i tym bardziej bliskich i że raczej przeciwnie – jestem dla ludzi za miękki i zbyt często przez nich wyzyskiwany. Mam przekonanie, że im więcej osób będzie się wtrącało do mego stosunku z Celiną, tym mniej będzie nadziei na to, że się ten stosunek kiedykolwiek wyprostuje i wygładzi. Możesz to i Ani zakomunikować....”.

3 stycznia, rok 1934, środa

Mróz ostry – kilkanaście stopni, ale za to wiatru – żadnego. Toteż w domu moim, który się boi tylko wiatru, jest wszędzie równo ciepło.

Byłem w lesie. Wskazywałem ekonomowi do zaznaczenia drzewa na wyrąb. Zaczęto dziś już rąbać; jest to wyrąb zwyczajny, coroczny, na drwa dla opału domowego.

4 stycznia, rok 1934, czwartek

Jeździliśmy z Jadzią na spacer. Dzień był piękny, słoneczny, mróz – kilkunastostopniowy prawie że bez wiatru, drzewa ubrane w szadź śnieżną. Pojechaliśmy przez Boniuszki na Pakienie, tam laskami na Orłowszczyznę wyjechaliśmy na gościniec zakumszański (odcinek Pokrewnie-Boniuszki), skąd znów na Busiszki i Gaj wróciliśmy do domu.

Wielkie zagadnienie gospodarskie w Bohdaniszkach – wyszukanie i wynajęcie gospodyni. Dziewki mam w zapasie aż dwie – albo starowierka Lina, która już przesłużyła

rok, albo Paulinka, która służyła kilka lat u Elwiry i obecnie kilka miesięcy u Maryni. Ale o gospodynię doświadczoną i dobrą – trudniej.

5 stycznia, rok 1934, piątek

Nic szczególnego. Jadzia jeździła do Rakiszek na rynek. Ja siedziałem w domu i pracowałem; chodziłem tylko do Gaju i do starego domu.

6 stycznia, rok 1934, sobota

Dzień Trzech Króli. Dla mnie osobiście to wszystko jedno, bo moja prace osobiste tu są odrabiane bez względu na święto, zaś na zabawy żadne nie wyjeżdżam i sąsiedztwa nie odwiedzam. W tym względzie ustępuję prym siostrom moim w Bohdaniszkach i ich rodzinom: tam wciąż są goście albo też sami gdzieś w gościnę jeżdżą.

Jeden tylko Stefan Römer, syn Maryni, bawiący w starym domu w gościnie u matki na rekonwalescencji; tak samo jak ja siedzi krukiem w domu i nigdzie nie wyjeżdża, oprócz tylko do Rakiszek dwa razy na tydzień dla zastrzyków salwersanu. Stefan całkowicie do zdrowia nie wrócił. Oczywiście jest przytomny, ale osłabienie władz umysłowych trwa i już chyba pozostanie. Jednocześnie jakoś dziwnie zaakcentowały się u Stefana Römera jego cechy charakterystyczne: zarozumiałość, przechwalanie się, niecierpliwość, popędliwość, obraźliwość, zazdrość, zasklepianie się w oddalaniu i unikaniu ludzi, wszelkie manie, począwszy od manii wielkości i skończywszy na manii ogrodnictwa. Przesiaduje Stefan godzinami i dniami w otoczeniu całych gór katalogów różnych zakładów ogrodniczych, katalogi te sprowadza z całego świata, studiuje je, zestawia i porównuje, coś z nich wypisuje do specjalnych zeszytów, które przechowuje, jak świętość, a które wraz z tymi, co ma w Szaszewiczach, tworzą już potężną masę rękopisu, zawierającego całą mądrość zawodową Stefana. Jest to praca jałowa jak onanizm.

7 stycznia, rok 1934, niedziela

Za wszystko już płacę teraz w Bohdaniszkach z kieszeni, to znaczy z moich dochodów osobistych, pochodzących nie z Bohdaniszek, lecz z mojej służby państwowej. Gdym w roku 1932 brał na siebie gospodarkę po zrzeczeniu się dzierżawy przez Marynię i najmował ekonoma, ekonom mi obiecywał, że bieżące rozchody na Bohdaniszki, jak opłata najemnika, pensje parobków, służącej, ochmistrzyni i jego własna, podatki, pokryte będą z dochodów bohdaniskich i z własnej kieszeni opłacać będę tylko kapitalne remonty, budowanie się, nowe urządzenie. W pierwszym roku siako tako, choć też nie zupełnie, pilnowaliśmy się tego, ale teraz już nawet nie próbujemy. Wszystko spadło na moją kieszeń osobistą. I podatki, i pensje wszelkie, i wypłaty – wszystko tu pokrywam. Bohdaniszki tak nic nie dają, że nic z nich opłacić niepodobna. Punkt mleczarski w Bohdaniszkach zamknięto, gdzie indziej wieźć daleko i nie opłaca się, bo masło jest strasznie tanie; bekony także staniały i nie bardzo się opłacają. Ptactwo, zboże, bydło – nie ma ceny. Nie ma za co się chwycić.

8 stycznia, rok 1934, poniedziałek

W życiu wiejskim wielki wypadek – zakłucie wieprza. Cały dzień oficyna – pod znakiem wieprza. W kuchni, gdzie się teraz wieprz rozbiera, króluje Jadzia, mająca do pomocy przede wszystkim dziewcząt i bab. Rozbieranie tuszy, gatunkowanie mięsa, oddzielanie i topienie szmalcu, czyszczenie kiszek. Na obiad – jusznik, wycinki z karku wieprzowiny... Jutro – kiszka nadziewana kaszą jęczmienną z krwią, robienie kiełbas, gotowanie pączków i chrustu, nacieranie solą i pieprzem mięsa, przeznaczonego na solenie i wędzenie. Słowem – wielka fabryka konserwowa wieprzowiny.

9 stycznia, rok 1934, wtorek

Dzień, który się nie zaznaczył niczym trwalszym w pamięci i przeżyciach. Chyba to, że Jadzia pączki doskonałe na szmalcu wieprzowym ugotowała!? Oto i wszystko – na dziś.

10 stycznia, rok 1934, środa

Na tę część Gaju, która w dziale dostała się Maryni, a w roku 1929 odkupiona została od niej przeze mnie, chcę w tym roku śpiesznie sporządzić akt formalny przelewu własności, konieczny ze względu na możność bankructwa Maryni. Akt ten robić będę wprost na imię Jadzi, która tą drogą mieć będzie w Gaju już 10 hektarów. Z tej części lasu, bardzo mocno już przerzedzonej i przeważnie młodniakiem porosłej, wybierałem dziś do wyrębu dla siebie pewną część pozostałych tam grubych drzew, zwłaszcza pięknych jodeł. To, co pozostanie, to już przejdzie Jadzi. Ostatni raz w tej cząstce Gaju, najbardziej mi obcej i tylko czasowo moją będącej, wybierałem towar na budulec, na deski i na opał. Jest tam sporo ładnych jesionów. Jadzia będzie miała piękny kawałek lasu, tylko w figurze bardzo wydłużonej i skośnej.

11 stycznia, rok 1934, czwartek

Przyjechała dziś z Kowaliszek Elizka Komorowska z synową Oleńką Hektorową Komorowską. Zajechały wprost do mnie i Elizka przywiozła mi starą lampę wiszącą kowaliską do zawieszenia w pokoju jadalnym – antyk, którego już dziś, w dobie panowania elektryczności jako środka oświetlenia, kupić nie można. Dziś w miastach, w sklepach, ozdobnych lamp naftowych zgoła nie ma. Dlatego też bardzo się ucieszyłem z tej starej lampy zarzuconej – ładnego antyku brązowego, który mi Elizka za bezcen – za 20 litów – sprzedała.

Elizka została u mnie, Oleńka zaś odjechała zaraz do starego domu, gdzie u Mieczkowskich znalazła sobie właściwszą do towarzystwa młodzież. Elizka była u mnie na kawie, potem gawędziliśmy z nią w moim pokoju sypialnym przy kominku, wreszcie odjechała i ona do starego domu na kolację i na noc, zapowiadając się do mnie na obiad na jutro. Elizka dobrze się teraz urządziła na starość. Ma swój apartament z kilku pokoi w Kowaliszkach, parę krówek, sługę, mały dochodzik miesięczny w gotówce od dzieci i żyje cicho jak u Pana Boga za piecem, korespondując z córkami, z którymi ewentualnie kiedyś może zamieszka w mieście.

Rano dziś w Gaju znowu obszedłem działkę lasu w tej części byłej Maryni, którą oddaję obecnie Jadzi. W działce tej wyznaczałem drzewa do wyrębu dla mnie przed ostatecznym oddaniem jej Jadzi. Mnie i ekonomowi towarzyszyła w tej pracy mała Renia Bohdanówna, sierotka, siostrzenica i wychowanka Jadzi, dziewczynka bardzo miła, rezolutna i sprytna.

12 stycznia, rok 1934, piątek

Znowu w Gaju to samo – wyznaczanie z ekonomem Pumpolem drzew do wyrębu, tak na opał, jak na budulec. Wyznaczenie to było likwidacyjne, to znaczy ostateczne, po którym przeznaczam już te działki Gaju na własność Jadzi. Jednak z tych cząstek Gaju, aczkolwiek bardzo już nadwątlonych i rzadkich, mieć będę materiału sporo.

Na obiedzie były u mnie Elizka Komorowska, Elwira Mieczkowska, Marynia Budkiewiczowa i Oleńka Hektorowa Komorowska. Po obiedzie Komorowskie wyjechały, przyjechał natomiast pod wieczór Julek Komorowski, który nocuje u mnie.

13 stycznia, rok 1934, sobota

Miałem dziś obiad „męski”, na którego ze starego domu zaprosiłem Stefana Mieczkowskiego i siostrzeńców moich Julka Komorowskiego, Stefana Römera i Andrzeja i Michasia Mieczkowskich.

W Gaju przed obiadem skończyłem wyznaczanie drzew na wyrąb w działkach, które oddaję Jadzi na własność.

Spostrzegam się, że na potrzeby samej tylko mojej schedy Bohdaniszek – na sam opał – nie wystarcza Gaju, przynajmniej jak ten opał jest dziś w Bohdaniszkach szafowany. Las w Gaju potrzebuje co najmniej 50-60 lat dla odnowienia się. Gdybym zaś co roku ciął na opał tyle, ile teraz tnę na rok, to na lat 50-60 Gaju by nie starczyło. Najwyżej, najwyżej – starczyłoby na lat 30. Trzeba będzie w niektórych latach zakupywać dzielanki z lasów państwowych.

14 stycznia, rok 1934, niedziela

Nie ma, niestety, rzeczy, która by nie miała swojego końca. Tak więc oto się skończył i mój wypoczynek zimowy w Bohdaniszkach, który trwał cały miesiąc i zrobił mi bardzo dobrze. Czuję się wypoczęty, dosyć zdrowy i zdolny do pracy. Utraty tej zdolności, upadku sił – najbardziej się obawiałem, a czułem tej jesieni wielki brak takowych, daleko więcej, niż się odważyłem o tym mówić.

Koło godz. 12 w południe, po lekkim obiedzie, wyjechaliśmy z Jadzią „całym dworem” na stację kolejową do Abel. My z Jadzią i jej wychowanką – małą sierotką Renią Bogdanówną – jechaliśmy w wielkich saniach, zaprzężonych w parę koni – Huzara i Dragona, powożonych przez parobka Tumėnasa. Konie były okryte siatką, obszytą po brzegach w kutasiki kolorowe. W drugich saneczkach w pojedynkę, otoczona rzeczami, jechała służąca Kostusia Merkisówna, którą wiózł parobek Dainius. Tak z wielką paradą przejechaliśmy przez jezioro i rynek abelski, pełny ludu z okazji festu parafialnego. Za godzinę w Abelach przyszedł pociąg. Ja wsiadłem do II klasy, Jadzia z Renią i Kotusią – do III dla oszczędności. Do Poniewieża jechał też Pawełek Koziełło dla spraw wyprawy córki, którą wydaje za mąż za kuzyna Koziełłę z Wadw, syna śp. Lola Koziełły, pijaka i syfilityka.

W Radziwiliszkach przesiadaliśmy. Jadzia z Kotusią do pomocy dyrygowała rzeczami, ja zaś miałem ze sobą Renię, która była wielce zaniepokojona o to, aby jej Jadzia nie drapnęła, pozostawiając ją na ręku moim. Spotkaliśmy się jednak niebawem z Jadzią w wagonie restauracyjnym, w którym przesiedzieliśmy też aż pod same Kowno.

15 stycznia, rok 1934, poniedziałek

Rozpocząłem już dziś moją pracę zwyczajną w Kownie za wyjątkiem tylko wykładów, które rozpocznę od jutra. Wysiedziałem cały ranek do obiadu w gabinecie rektorskim, gdzie wszakże prócz pracy rektorskiej pracowałem też nad tekstem odczytów, które mam do wygłoszenia. Postanowiłem teraz zawsze poświęcać pewien czas mojego wysiadywania rektorskiego na uniwersytecie moim technicznym pracom osobistym.

Na uniwersytecie nic szczególnego przez czas mojego pobytu w Bohdaniszkach nie zaszło. Umarł tylko prof. Filip Butkiewicz z Wydziału Matematyki i Nauk Przyrodniczych. W Kownie też nic szczególnego. Ciężko tylko chora jest pani Smetonowa, żona Prezydenta. Powiadają, że prof. Butkiewicz został właściwie zabity przez nieudolne leczenie. Zatruł się on rybą czy minogami zepsutymi, ale wymiotował i byłoby mu przeszło jak jego żonie, ale jednocześnie miał coś w ślepej kiszce, wskutek czego nie czuł się zdrów. Lekarz, do którego się zwrócił i który go zalokował w swej klinice prywatnej, zaczął mu płukać wnętrzności mimo ostrzeżenia innych lekarzy i wywołał zapalenie plewy brzusznej. Potem był już wzywany śpiesznie chirurg Kuźma, ale było za późno; zapalenie plewy nie dało możności czynienia operacji i chory umarł. Drugi to już wypadek takiego zabójczego leczenia chorych przez niektórych lekarzy w Kownie. Ten sam był los księdza Tumasa w roku ubiegłym.

16 stycznia, rok 1934, wtorek

Rozpocząłem już dziś wykłady na II semestrze sekcji prawniczej. W szeregu listów, które zastałem w Kownie, znalazłem też list prof. Antoniewicza, który tu w końcu r. 1929 bawił z prof. Semowiczem. Prosi o ułatwienie mu wjazdu do Litwy dla pracy naukowej,

wymagającej pewnych studiów w Kłajpedzie, Szawlach i Kownie. oczywiście poczynię starania odpowiednie. Do Polski jeździł w czasie Bożego Narodzenia i Nowego Roku prof. Michał Biržiška. Zdaje się, że tym razem nie był tak fetowany, jak przed kilku laty.

Herbaczewski w Warszawie pisał jakieś artykuły na tematy litewskie w „Tygodniku Ilustrowanym”. Treść ich była bardzo polonofilska i pełna ostrej i bolesnej krytyki Litwy. Radio wileńskie skorzystało z tych artykułów. Mówiono mi, że coś tam było w nich i o mnie; podobno nazwał mię Herbaczewski rzeczywistym czy prawdziwym Polakiem, piłsudczykiem i legionistą, tłumacząc tym tę okoliczność, że ja mogę „wytrzymać” obecne rządy litewskie, podczas gdy on, Litwin, właśnie dlatego, że jest Litwinem, ścierpieć tych rządów nie może.

17 stycznia, rok 1934, środa

Dziś rozpocząłem wykłady na IV semestrze ekonomistów.

Jeszcze czuję duży zapas wypoczętych sił, które mi dały Bohdaniszki. Będę się teraz strzegł i umiarkowanie pracował, aby nie dopuścić do wyczerpania, jakiego doświadczałem w jesieni.

Dałem dziś ogłoszenie do gazet litewskich o poszukiwanej do Bohdaniszek ochmistrzyni. Toteż po obiedzie i wieczorem Jadzia była napastowana i oblegana przez kandydatki – stare i młode, brzydkie i ładne. Mamy z nich na widoku jedną, Żmudzinkę spod Kretyngi, w średnim wieku (lat koło 40), najsympatyczniejszą z tych, co się zgłaszały, ale droższą od innych (50 litów miesięcznie).

18 stycznia, rok 1934, czwartek

Miałem dziś krótkie posiedzenie senatu akademickiego, które ze względu na czas jeszcze na wpół wakacyjny, kiedy wykłady regularne jeszcze się nie rozpoczęły, zwołałem na godz. pierwszą po południu. Tą drogą zyskałem sobie wieczór wolny. Na wokandzie senatu sprawy były drobne, podrzędne.

Zarysowuje się w naszych stosunkach akademickich konflikt między dziekanem Wydziału Technicznego prof. Hrynkiewiczem a prorektorem Jodelą z tegoż wydziału na tle krytyki pewnej pracy quasi-naukowej Hrynkiewicza, wydanej przez wydział. Jodelė napisał krytykę tej pracy, która obraziła Hrynkiewicza i dała mu asumpt do napisania zjadliwej repliki. Krytyka i replika nie były drukowane. Jodelė chce tę sprawę skierować na tory sądu dyscyplinarnego nad Hrynkiewiczem i w tych dniach mu zgłosić na moje ręce skargę. Tymczasem tylko ustnie rozmawiał o tym ze mną.

Wieczorem przyjechał z Bohdaniszek Andrzej Mieczkowski.

19 stycznia, rok 1934, piątek

Herbaczewski wypisuje w pismach polskich bardzo brzydkie rzeczy przeciwko Litwie, które radio wileńskie skwapliwie roznosi po świecie. Ze strony Herbaczewskiego to co najmniej nieładnie, tym bardziej że wyjeżdżając stąd zapewniał uroczyście, że przeciwko Litwie występować nie będzie i nie da się wyzyskać dla celów podstępnego kompromitowania Litwy. Ale któż by mógł słowu Herbaczewskiego zaufać! Zawsze on je prostytuował. Jak potrafił on czasem gromy miotać na Litwę, wynosząc pod niebiosa Polskę, tak po krótkim przeciągu czasu potrafił się wręcz przerzucić, plugawiąc Polskę. Ten całe życie tylko łająć potrafi, a kogo – o to mniejsza.

20 stycznia, rok 1934, sobota

Dziś wznowiłem wykłady na kursach Sztabu Generalnego. Ogółem bez dzisiejszego wykładu mam do wygłoszenia na tych kursach jeszcze pięć wykładów po dwie godziny, to znaczy dziesięć godzin. Przez te dziesięć godzin chcę rozpoznać różne ustroje demokratyczne, a także ustrój sowiecki i faszyzm. Litewskiego prawa konstytucyjnego nie

zdążę już dać w tych wykładach. Wykład na tych kursach jest dość trudny, dlatego że audytorium słuchaczy jest bardzo poważne; składa się ono z ludzi dojrzałych, z wyższych oficerów od stopnia kapitana do stopnia pułkownika włącznie. Wprawdzie audytorium jest bardzo zdyscyplinowane i grzeczne, prawdziwie gentlemańskie, wzorowe, ale nie ma ono werwy młodzieńczej. Utrudnia to kontakt między lektorem i słuchaczami, nie słychać żadnych komentarzy, nikt nie zapisuje wykładów, nie notuje; gdy się powie coś dowcipnego, jakiś kawałek wesoły dla ilustracji, to pada to w próżnię: audytorium nie odpowiada uśmiechem, nie reaguje wcale i dowcip zamiera na ustach profesora.

21 stycznia, rok 1934, niedziela

W tym roku Litwa obchodzi jedenastą rocznicę Powstania Kłajpedzkiego, które poprzedziło wcielenie tej dzielnicy do państwa litewskiego – pod znakiem aktywizmu. Polityka litewska w Kłajpedzie zajęła wreszcie stanowisko zdecydowanie aktywne. Przewodnikiem tej polityki jest nowy gubernator Novakas. Koła polskie wyrażają dlań podziw i zapewne tak spopularyzują jego imię, jak popularny jest w Polsce były gubernator Kłajpedy z czasów dyrektorium Böttchera Merkys, dzisiejszy burmistrz miasta Kowna. W tej chwili aktywizm polityki Novakasa, nie wychodzący zresztą z granic ściśle legalnych statutowych, wyraża się zwłaszcza w kategorycznym usuwaniu cudzoziemców, poddanych niemieckich, ze stanowisk w urzędach i organach autonomicznych. Niemcy odpłacają za to Litwinom bolesnymi ciosami w eksport litewski. Co robić! Cena ta jest niewątpliwie droga, boleśnie bijąca po kieszeni państwa rolniczego i jego ludności wiejskiej, zwłaszcza wtedy, gdy ta ludność jest najbardziej umęczona przez niesłychanie ciężki rozwijający się od lat kilku i pogłębiający kryzys gospodarczy powszechny. Ale skądinąd właśnie Kłajpeda z jej portem morskim, o której przynależność państwową Niemcy tą walką z Litwą podnoszą, jest dla Litwy jedynym środkiem zdobycia dla swego eksportu dróg omijających Niemcy i skierowanych do innych państw. Niełatwo te rynki w innych krajach znaleźć, ale bez Kłajpedy wszelkie szukanie innych dróg byłoby wyłączone i Litwa byłaby zaduszona w monopolu handlowym Niemiec. A zresztą wszelka walka musi kosztować drogo; za tanią cenę tylko rzeczy marne i tandetę nabyć można. Chcąc mocno i dobrze posiąść Kłajpedę, trzeba ponieść ofiary. Im drożej będzie ona kosztować, tym będzie droższą i cenniejszą Litwie.

Założony w roku zeszłym związek powszechny stowarzyszeń akademickich litewskich dla spraw Wilna i Kłajpedy wyznaczył na dziś obchód rocznicy Powstania Kłajpedzkiego. Na obchód złożyły się cztery odczyty – mój, docenta Vailionisa, prokuratora Żołkowskiego i docenta Wydziału Ewangelickiego Paupera, i dział koncertowy. W grudniu przyrzekłem wziąć udział w tym obchodzie, ale potem zapomniałem o nim i nie przygotowałem się. Dopiero przed kilku dniami mi o nim przypomniano. Przez trzy dni więc śpiesznie napisałem tekst odczytu i dziś go odczytałem na obchodzie. Temat był: sprawa kłajpedzka na forum międzynarodowym. Trochę się w tym odczycie o zabarwieniu wybitnie politycznym nawet zapędziłem, zajmując może zbyt jaskrawe jak na rektora stanowisko antyniemieckie i zalecając aktywizm bezwzględny Litwie. Kilkakrotnie mi przerywano odczyt grzmiącymi oklaskami. Po odczycie moim wyszedłem.

22 stycznia, rok 1934, poniedziałek

Wciąż otrzymuję zaangażowania na artykuły i odczyty. Dosyć dużo obiecuję, choć to wszystko na darmochę korzysta ze mnie – przeważnie studenci, społecznicy, prasa. Zdaje się, że te drobne zdawkowe prace pochłoną mi cały semestr wiosenny. Drukuje się już moja wielka, dwutomowa praca, zatytułowana „Valstybė", którą przed dwoma laty skończyłem pisać i która odtąd przeleżała w rękopisie. Dzięki Bogu, że jest już ona w robocie. Dziś

przyniesiono mnie pierwsze kartki korekty tej pracy. Zresztą rzecz jest tak duża i druk zapewne do lata się nie zakończy.

Otrzymałem list od starej stryjenki Bolesławowej Römerowej (cioci Elżusi) z Wilna. Błaga mię i oblewa list łzami, abym kupił z jej ruchomości jakiś pamiątkowy piękny zegar antyk za 1500 złotych, co uważa za bezcen, aby móc dopomóc swemu synowi, Stefanowi Römerowi starszemu, który w kurorcie niemieckim w Oeynhausen pędzi smutne resztki życia bez grosza, sparaliżowany, skazany na nędzę. Biedna stara! Ale skądże ja się na to nastarczę gotówki, aby cały świat wspierać. A co do zegara pamiątkowego, to tyle mi on potrzebny, co śnieg przeszłoroczny. Smutna sytuacja, właściwie beznadziejna. Może coś dla cioci da się pozyskać z dochodów zaległych Henrysia na rzecz moją. Zrobię co się da, ale mało nadziei.

23 stycznia, rok 1934, wtorek

Nic szczególnego na tym kowieńskim padole płaczu nie zaszło.

24 stycznia, rok 1934, środa

I dziś nic szczególnego do zanotowania nie mam. Dzień jak inne. Pracowity, przypieczętowany dwiema godzinami wykładu i colloquium. Z Rumunii, z redakcji miesięcznika „Revista de Drept Public”, przysłano mi pewną ilość zeszytów tego numeru, w którym był drukowany mój artykuł pod tytułem „L’evolution constitutionelle de la Lithuania” i kilkadziesiąt egzemplarzy tej pracy w odbitkach osobnych.

25 stycznia, rok 1934, czwartek

Posiedzenie senatu akademickiego. Mnóstwo spraw bieżących drobnych, ale wśród nich największa i dość nieprzyjemna, polegająca na oskarżeniu przez prorektora Jodelę dziekana Wydziału Technicznego prof. Hrynkiewicza o wydanie pod firmą wydziału i kosztem wydziału książki, pełnej błędów elementarnych, dziś jeszcze na porządek dzienny nie wypłynęła. Wydział Techniczny zwąchał pismo nosem i zainterweniował, aby Jodelę, obrażonego za odpowiedź lekceważącą Hrynkiewicza na jego recenzję, obłaskawić i skłonić do cofnięcia oskarżenia, Jodelė więc prosił mię o odroczenie referowania sprawy na tydzień.

Mój odczyt niedzielny o Kłajpedzie, wygłoszony na obchodzie akademickim rocznicy Powstania Kłajpedzkiego z roku 1923, wydrukowany dziś został *in extenso* w „Lietuvos Aidasie“ i wieczorem prawie że dosłownie zacytowany przez radio kowieńskie.

26 stycznia, rok 1934, piątek

Fala niechęci do Niemiec w związku z walką o Kłajpedę wzrasta w opinii publicznej litewskiej. Aktywizm litewski w Kłajpedzie, obudzony od lat paru i coraz bardziej się akcentujący, obecnie – za gubernatora Novakasa – szczególnie się uwydatnia. Rolę mu dobrze uprawił gubernator Merkys, wyrok haski z d. 11 sierpnia 1932, obrady w komisji konsultantów przy Gabinecie Ministrów i w Radzie Stanu, a teraz ją dobrze czyści gubernator Novakas.

Proces opozycyjny (zwłaszcza ludowcy) dawno już nawołuje do frontu antyniemieckiego i coraz natarczywiej domaga się ugody z Polską i oparcia się w tej nowej potrzebie o politykę polską. Stronnictwo urzędowe z „Lietuvos Aidasem“ trzymało się pewnej rezerwy, ale teraz daje się coraz bardziej pociągać na front antyniemiecki.

27 stycznia, rok 1934, sobota

Ze wszech stron mi winszują mojej niedzielnej mowy o Kłajpedzie na obchodzie akademickim, drukowanej w „Lietuvos Aidasie“. Podobała się ona ogólnie.

Wieczorem w sali posiedzeń Trybunału Najwyższego (jest to ta sama sala, która była poprzednio salą Rady Stanu) odbyło się zebranie doroczne Litewskiego Towarzystwa

Prawniczego. Po raz pierwszy posiedzenie to otworzył nie prezes Trybunału śp. Kriščiukaitis, który przez cały czas istnienia Towarzystwa był jego prezesem i redaktorem jego organu „Teisė”. Otworzył posiedzenie dzisiejsze wiceprezes Towarzystwa adwokat prof. Stankiewicz, który poświęcił część swojej mowy wspomnieniu o Kriščiukaitisie. Zebranie było liczne. Zwłaszcza licznie była reprezentowana magistratura sądowa i adwokatura, która się zjechała z całego kraju na swoje ogólne zebranie jutro, na którym zreformowana adwokatura będzie po raz pierwszy wybierać swoją autonomiczną radę.

Po sprawozdaniach odbyły się wybory zarządu Towarzystwa Prawniczego na rok 1934. Do zarządu wybrani zostali: prof. Stankiewicz, sędziowie Trybunału Byla i Grigaitis, adwokat Toliušis i ja.

Po śmierci Kriščiukaitisa poprzedni zarząd zlecił czynności redaktora „Teisė” sędziemu Byle i uchwalił uczynić to czasopismo trymestralnym – po cztery numery rocznie zamiast dwóch, jak dotąd.

28 stycznia, rok 1934, niedziela

Rano mieliśmy na uniwersytecie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Na zasadzie wniosków referatu naszej komisji, złożonej ze mnie i profesorów Bielackina i Stankiewicza, Rada Wydziału mianowała asystentami następujących kandydatów: a. Olgierda Penkaitisa – asystentem na katedrze prawa cywilnego, b. Witolda Jurgutisa – asystentem na katedrze prawa karnego (z prof. Jurgutisem nic poza nazwiskiem wspólnego ten młody prawnik nie ma), c. Konstantego Raczkowskiego, referenta Rady Stanu – asystentem na katedrze prawa państwowego (konstytucyjnego); Konstanty Raczkowski będzie moim asystentem, ale się będzie gotował do objęcia nowej, projektowanej przez rząd katedry prawa kościelnego i przeto za temat do dysertacji obierze sobie coś z zakresu stosunku Kościoła do państwa. Mamy już teraz na obu sekcjach Wydziału Prawniczego – prawniczej i ekonomicznej – spory kontyngent asystentów, stanowiących kadry przyszłej profesury; do sekcji prawniczej należą asystenci: Kriwicki, Żołkowski, Żakiewicz, Penkaitis, Jurgutis, Raczkowski; na sekcji ekonomicznej jeszcze więcej.

Na obiedzie dziś miałem oboje Eugeniuszostwo Römerów, Hektora Komorowskiego i Litkę Komorowską. Eugeniusz Römer, który w ogóle często jeździ do Polski i tym razem wraca stamtąd; był w Wilnie i Warszawie. W szczególności w Warszawie widział się z moją córką Celiną i przywiózł mi od niej list. Nie bardzo jestem rad z tej interwencji, jak również z tego, że Celina, jeżeli już jest w tak wielkiej potrzebie i koniecznie potrzebuje pomocy ode mnie, zamiast się upokorzyć i wprost zwracać do mnie, wybiera drogę inną, pośrednią – przez rodzinę cytowiańską albo jeszcze gałęzie Edwardowiczów, skarżąc się przed Anią Virionową, żaląc się Eugeniuszowi, docierając do Heli Białej Römer-Ochenkowskiej, ale tylko nie wprost do mnie i unikając zawsze moich sióstr. Nie czytałem jeszcze listu Celiny, bo cała ta rzecz bardzo mię porusza i irytuje. Te drogi okólne, przez skarżenie się rodzinie i przez protekcje trzecich osób – to pole intrygi panny Elizy Courtôt. Dziwię się Eugeniuszowi, że chce się brać do tego. Ostatecznie wyznaczę Celinie uposażenie z kamienicy wileńskiej i na tym koniec. Ale zmuszę ją do podporządkowania się pośrednictwu Kotuni Pruszanowskiej. Eugeniusz mi powiadał, że Regina kończy już puszczać Łunnę. Jest już zupełną bankrutką, jest już położona ostatecznie – na obie łopatki, jak się Eugeniusz wyraził. Ten jej nowy „mąż”, jak było do przewidzenia, bardzo rychło ją obrał do ostatniej nitki. Oto ma Regina swoje „szczęście”, którym się tak chwaliła. Ale teraz prócz Francuzki gotowa i ona usiłować „siąść” na fartuszki Celiny, licząc na dojenie mnie. Tak, akurat, na to ja mam pracować, żeby te kobiety mię obierały. Niedoczekanie ich.

29 stycznia, rok 1934, poniedziałek

Rano przychodził do mnie młody Zubow z Szawel (zresztą nie jest on już młody, ale tak go nazywają w przeciwstawieniu do „starego” Zubowa, jego ojca, który po rozstaniu się z żoną jeszcze przed wojną, zamieszkał z panią Bielską, ex-żoną Wacława Bielskiego, w majątku Medemrode, jeżeli się nie mylę – stary Zubow niedawno już umarł). Otóż Zubow zwrócił się do mnie w takim interesie. Jest on, jak wiadomo, spokrewniony przez Billewiczów z Marszałkiem Józefem Piłsudskim. Jego, Zubowa, matka, jest Billewiczówna, jak Billewiczówna jest również pani Staniwsławowa Narutowiczowa, wdowa po tragicznie zmarłym przed rokiem Stanisławie Narutowiczu; obie Billewiczówny – Zubowa i Narutowiczowa – są siostrami Stefana Billewicza, który tu w kraju mieszkał do roku mniej więcej 1926 i nawet miał się wyraźnie za Litwina i był na służbie państwowej litewskiej, ale potem wyprzedał tu swoje majątki i wyjechał z kraju do Polski na stałe, gdzie na Pomorzu kupił sobie nową własność ziemską i w niej osiadł. Otóż obie te panie wraz ze Stefanem Billewiczem są cioteczno-rodzonym rodzeństwem Marszałka Piłsudskiego. Dla nich Marszałek jest nie jakimś bohaterem z bajki i wielkoludem legendarnym, ale Ziukiem z ich dzieciństwa. Córka Stanisławostwa Narutowiczów (siostrzenica tragicznie zamordowanego pierwszego Prezydenta Polski Gabriela Narutowicza), bliska przeto krewna Marszałka Piłsudskiego, mieszka w Warszawie. Bawiąc na Litwie, zwróciła się ona do młodego Zubowa, kuzyna swojego, zapraszając go do przyjazdu do Polski dla zobaczenia się z Piłsudskim. Zubow zastanawiał się nad tym, ale potem odmówił, motywując, zdaje się, tym, że wszelkie rozmowy z Piłsudskim w sprawach polsko-litewskich są jałowe, ponieważ Piłsudski żadnej koncepcji w sprawie tego zatargu nie ma i będąc osobiście sprawcą konfliktu wileńskiego, jest jeno zawadą do jakiegoś rozwiązania sporu. Powtórzył więc tę opinię czy bajeczkę, którą tu powtarzają sfery rządzące. Narutowiczówna wyjechała z Litwy i musiała powtórzyć Marszałkowi słowa Zubowa. I oto Zubow otrzymał znów od Narutowiczówny bardzo naglące wezwanie przyjazdu; wezwanie jest uczynione od imienia Marszałka Piłsudskiego. Zubow przyjechał do Kowna, aby się zorientować, czy warto jechać czy nie i pomówić o tym z ludźmi, stojącymi u steru rządu – ze Smetoną, z Tubelisem. Zanim jednak dotarł do tych dwóch, widział się z Merkysem i z księdzem Mironasem, którzy dość sceptycznie się do tego odnieśli. Niebawem Mironas telefonicznie zawiadomił Zubowa, że miał okazję rozmawiania w tej sprawie z prezesem ministrów Tubelisem i że Tubelis jest zdania, iż nic tu do zrobienia nie ma. Wobec tego Zubow postanowił zwrócić się do mnie i poradzić się, co robić: czy pojechać i pomówić z Piłsudskim, czy też – wobec wyraźnej niechęci czynników rządzących – dać spokój wszystkiemu. Moim zdaniem, należy jechać. Tak też poradziłem Zubowi, który, zdaje się, przekonał się, bo zresztą był skłonny do przekonania się. Ma się wrażenie, że ze strony polskiej robią się pewne poszukiwania ludzi i sposobów do rozpoczęcia układów szczerych, ale spoza kół dyplomacji urzędowej litewskiej. Zubow, jako krewny Piłsudskiego, poza tym człowiek zupełnie niezależny i nie robiący na tym kariery, mógłby szczerze z Piłsudskim pomówić i dużo od niego się dowiedzieć. Chybiona próba dr Jerzego Šaulysa ubiegłego lata niczego nie dowodzi. Dr Šaulys, jak sam Smetona, Mironas i większość dyplomacji litewskiej i z mężów stanu pierwszej „Taryby” litewskiej z lat 1918-1920, ma pewne grzeszki germanofilstwa, które się poniekąd przerodziły w instynkt nieufności do wszystkiego, co polskie i wyrozumiałość dla tego, co niemieckie. Piłsudski zna ludzi i wie o nich. Toteż zapewne dlatego właśnie nie chciał się z niczym zdradzać przed Šaulysem i myśli swojej mu nie otwierał. Poza tym podobno Šaulys znowu zaczynał od tego, że zarzucał Polsce złamanie traktatu szawelskiego, co też Piłsudski uważał za mówienie „nie po ludzku”, lecz zarzutami wzajemnymi. A ta okoliczność, że Piłsudski mu wciąż podkreślał, że „Wilno jest moje”, jakby odseparowując je od Polski, to może właśnie głębszemu analitykowi i dyplomacie mogła podsunąć myśl, że nie w układzie z Polską, lecz w układzie z Piłsudskim jest rozwiązanie sprawy. „Wilno jest moje” – a więc, powiada, nie zapominajcie o tym, że tylko przeze mnie dojść możecie do Wilna i że tylko ja jeden mam

klucz do rozwiązania sprawy, jeżeli wam istotnie chodzi o to". Taki mógł być sens tego refrenu, którego Šaulys nie zrozumiał.

30 stycznia, rok 1934, wtorek

Z wszech stron otrzymałem gorące wyrazy uznania i powinszowania z powodu mojego przemówienia w sprawie Kłajpedy na uroczystości studenckiej z przedostatniej niedzieli. Pierwszy raz mi się zdarza słyszeć tyle zachwytu i entuzjazmu dla niewielkiego artykułu mojego. Uznanie to wyrazili mi wiceprezes Trybunału Čepas, prezes Rady Stanu Šiling, młody dziennikarz z obozu narodowców Gustainis, referent Rady Stanu Konstanty Raczkowski, podprokurator Trybunału Żołkowski, hrabia Aleksander Tyszkiewicz z Kretyngi, gubernator Kłajpedy Novakas (listownie), mój przyjaciel adwokat Adolf Grajewski (listownie)... Najwięcej mię poruszył list Grajewskiego, bo wiem, że pisany jest z głębi serca i z najtragiczniejszych jego tęsknot do pojednania polsko-litewskiego. Grajewski nazywa moją mowę wzorem myśli państwowej. Niektórzy uważają ją za cios, wymierzony Zauniusowi. Zdaje mi się jednak, że nic osobliwego tam nie wyraziłem poza wskazaniem na konieczność aktywnej polityki litewskiej w Kłajpedzie i w ogóle na froncie antyniemieckim i na głęboki solidaryzm Litwy z Polską w stosunku do sąsiada zachodniego, skąd już słychać tony pobudki zaczepnej. Myśli analogiczne nieraz były wypowiadane, ale cóż z tego, kiedy je wciąż pęta kwestia wileńska. Charakterystyczne jest jednak, że w opinii publicznej litewskiej dokonał się już duży zwrot w tym przedmiocie i wyczuwa się tęsknota do ugody polsko-litewskiej. Gdyby teraz znalazł się dobry *modus vivendi* z Polską, gdybym teraz Piłsudski zdobył się na coś radykalnego w sprawie wileńskiej, mógłby on pociągnąć Litwę i wygrać politykę wschodnią, która mu dotąd szła tak opornie.

Rozmawiałem wczoraj z porf. Krėvė-Mickiewiczem o mojej rozmowie z Zubowem i jego zamierzonej jeździe do Piłsudskiego. Na to mi Krėvė -Mickiewicz opowiedział bardzo charakterystyczne głosy niektórych mężów stanu litewskich, gdy przed dwoma laty na skutek pewnych wynurzeń i propozycji Kościałkowskiego rozmawiał on z nimi na ten temat. Przede wszystkim minister finansów Tubelis aż się za włosy chwycił i zawołał, że zwrot Wilna Litwie w obecnym stanie byłby największą katastrofą dla Litwy, której skarb jest pusty, podczas gdy do Wilna trzeba iść z kieszeniami mocno wypchanymi złotem, poza tym zaś odzyskanie Wilna i przeniesienie doń stolicy od razu przekreśla wartość całego tego nakładu pieniędzy, który uczyniono na podniesienie Kowna. To bardzo charakterystyczne. Skądinąd Šiling był przejęty tym, że rządy sejmowe w Kłajpedzie i w Wilnie uniemożliwiłyby obywanie się bez Sejmu w Kownie (Litwie centralnej). Tak, wielu jest, dla których faktyczne odzyskanie Wilna dziś byłoby niepożądane. Powtarzają oni: „Wilno! Wilno!" i ustami modlą się głośno do niego, ale w sercu mają jedną odpowiedź: „Nie daj Boże!".

31 stycznia, rok 1934, środa

Dzień – zwyczajny. Dzień pracy.

Słychać, że Niemiec prof. Radbruch, głośny kryminalista, socjalny demokrata, wyrzucony z uniwersytetu przez rządy Hitlera za przekonania wolnościowe i demokratyczne, który był przez nas angażowany do objęcia katedry prawa karnego kłajpedzkiego, waha się teraz i odmawia jechać ze względu na kłajpedzką politykę Litwy. Jednak Niemcy są jednacy. Każdy z nich broni „Vaterlandu" i wszystkich zaborów tegoż. A wobec huraganu nacjonalistycznego wszyscy, bez względu na swe etykietki partyjne, są cisi i potulni jak trusie i dyscyplinowani jak wierne psy. To ci potęga dyscypliny niemieckiej!

1 lutego, rok 1934, czwartek

Dziś na posiedzeniu senatu akademickiego zmuszony byłem wnieść na porządek dzienny kwestię wytoczenia sprawy dyscyplinarnej dziekanowi Wydziału Technicznego prof.

Hrynkiewiczowi z oskarżenia prorektora Jodeli, który się nań bardzo obraził za lekceważącą odpowiedź, jaką Hrynkiewicz dał i rozesłał członkom wydziału na recenzję ostrą Jodeli o książce naukowej Hrynkiewicza, wydrukowanej w wydawnictwach wydziału. Właściwie są to dwie różne sprawy: jedna – zatarg osobisty między Jodelą i Hrynkiewiczem o recenzję, druga – oskarżenie formalne Hrynkiewicza przez Jodelę o kompromitowanie wydziału i uniwersytetu przez lekceważenie nauki i fałszowania jej tez elementarnych w tej książce. Senat odroczył kwestię do przyszłego posiedzenia, aby dać dziekanom możność zapoznania się z istotą oskarżenia. Szkoda mi nieco Hrynkiewicza, który sprawia wrażenie przybitego. Jodele jest jednak zajadły i umie być złośliwy, gdy się go zaczepi.

2 lutego, rok 1934, piątek

Skorzystałem z tego, że dziś z okazji Matki Boskiej Gromnicznej (Oczyszczenia Matki Boskiej) jest święto kościelne, choć przez państwo do urzędowej listy świąt nie zaliczone, żeby oznajmić studentom ekonomistom IV semestru, że wykładu mego dziś wieczorem nie będzie i skorzystać z tej okazji, ażeby pójść na herbatkę dyskusyjną Towarzystwa Studiów Ekonomicznych w lokalu Izby Rolniczej. W jesieni sam zarząd tego Towarzystwa zwrócił się do mnie z propozycją wstąpienia na członka, na co chętnie przystałem, ale nie mogłem brać udziału w organizowanych przez Towarzystwo pogadankach dyskusyjnych, albowiem odbywają się one w piątki, kiedy ja mam wykład. Tym razem postanowiłem pójść, tym bardziej że temat dyskusji był ciekawy i aktualny – środki wybrnięcia z kryzysu gospodarczego. Zdawało mi się, że ekonomiści zdołają dać dobrą diagnozę tych środków. Osób było koło 50, dużo elity ze sfer bankowych, Maistasu, Pienocentrasu, Lietukisu, Izby Rolniczej i Izby Przemysłowej, przemysłowców, rolników, kooperatystów, dziennikarzy. Debaty jednak smutne na mnie sprawiły wrażenie. Ekonomiści są zdezorientowani. Jedni zalecają drogę szerzenia eksportu, a przynajmniej utrzymanie go w stanie ciągle żywym, choćby kosztem dopłat państwowych, środki na ulżenie długów rolnikom, inni – wołają rewolucyjnie o dewaluację lita, inni – idealizują tzw. autarchię. Żadnej głębszej myśli, żadnego oryginalnego całokształtu, żadnej wielkiej sensacyjnej idei – nie ma. Doprawdy się zadaje sobie pytanie, czy to nie zmierzch cywilizacji nadchodzi albo jakiś taki moment kryzysu, z którego li tylko komunizm wyprowadzić zdoła.

3 lutego, rok 1934, sobota

W lokalu Trybunału Najwyższego miałem dziś posiedzenie zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Na prezesa Towarzystwa wybrany został adwokat docent Włodzimierz Stankiewicz, który piastować będzie tę godność po zmarłym Kriščiukaitisie. Omówione zostały sprawy zebrań odczytowych Towarzystwa i wydawnictwa „Teisė”.

Wieczorem byłem zaproszony na herbatkę przez prorektora prof. Błażeja Česnysa, który dziś obchodzi swoje imieniny. Poszedłem. Zastałem towarzystwo wyłącznie męskie, złożone przeważnie z księży oraz grona zawołanych graczy w winta, stałych partnerów ks. Česnysa. Do tych graczy partnerów należą dwaj bracia Wacław i Wiktor profesorowie Biržiškowie i Feterowski, z księży zaś byli ks. prałat Šaulys, ks. Mironas, ks. Vailokaitis, ks. prof. Kuraitis i jeszcze paru. Jadła i napojów było dużo, jak tradycyjnie u księży, ale – nudno.

4 lutego, rok 1934, niedziela

Po obiedzie o godz. piątej miałem na uniwersytecie odczyt publiczny na temat „Nacjonalizm w Europie i Pan-Europa”. Odczyt ten odbył się staraniem korporacji „Žalgiris”, należącej do obozu ludowców. Słuchaczy zebrało się dużo – pełna sala. Odczyt mój był dziś długi. Na ogół, sądząc z oklasków i powinszowań, odczyt dość się podobał. Ze starszych osób widziałem na sali p. Felicję Bortkiewiczową i członków towarzystwa „Pan-Europa” – generała Kurkowskiego i Jana Vileišisa z żoną.

Wprost z odczytu pośpieszyłem do teatru na operę „Carmen" z Piotrowskim i Zauniusową w rolach głównych. Na operze byłem z Litką Komorowską.

5 lutego, rok 1934, poniedziałek

Odwilż. Od dłuższego czasu mamy ciepło.

Skądinąd dzień dziś u mnie bardzo pospolity. Nic szczególnego nie zaszło, nic bardzo ciekawego do zanotowania nie ma.

6 lutego, rok 1934, wtorek

W myśl grudniowego polecenia dr Elkisa, dałem dziś w laboratorium chemicznym dr Leszczyńskiego do analizy moją krew. Pójdę teraz niebawem do Elkisa i pokażę mu analizę, a jednocześnie w myśl polecenia dr Domaszewicza rozpocznę zastrzykiwanie żelaza i kamfory. Chciałbym bardzo zwalczyć nie tylko moją tuszę, ale też moją senność, która w pewnych porach dnia bardzo osłabia moją wydajność pracy i jest poza tym przykrą.

7 lutego, rok 1934, środa

Przeczytałem list Celiny, który mi doręczył Gienio Römer. List mi się nie podoba. Czuję w nim fałsz. Nie o takim stosunku córki do mnie marzyłem kiedyś. I nawet wolałbym obie krańcowości – albo zupełne oddania się mnie i pośpieszenie do mnie, albo nienawiść i zerwanie stanowcze, niż to połowiczne skowyczenie zdawkowe i urabianie intrygi przez ciotki, a wszystko li tylko na rzecz pieniędzy ode mnie.

8 lutego, rok 1934, czwartek

Dość dużo miałem dziś roboty. O godz. 12 w południe w kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się, jak zwyczajnie przed dniem 16 lutego, posiedzenie kapituły Orderu Wielkiego Księcia Litewskiego Giedymina. Obecni byli: prezes kapituły Matalaitis i członkowie: generał Bulota, generał Šniukšta, minister Zaunius i ja; nieobecny był prałat Šaulys. Debatowaliśmy nad zgłoszonymi przez różne ministeria kandydatami do orderu, wybrakowując z rzadka tego lub owego kandydata.

Koło pół do drugiej musiałem pośpieszyć do uniwersytetu na posiedzenie senatu akademickiego, zwołane dla spraw preliminarza budżetowego na rok 1934. Z tym preliminarzem co roku coraz ciężej. Ze wzrastającym z roku na rok kryzysem gospodarczym Litwa w gospodarce finansowej państwa walczy wyłącznie oszczędnością, tak okrajając wydatki, żeby zamknąć budżet bez deficytu. Preliminarz z roku na rok się redukuje. I tak się jakoś pcha taczkę przez te ciężkie czasy. Ale te czasy – coraz cięższe: za aktywistyczną politykę w Kłajpedzie Niemcy boleśnie biją Litwę i grożą zupełnym zamknięciem eksportu litewskiego do Niemiec po wytchnieniu obecnej umowy handlowej.

Po obiedzie o godz. piątej w gmachu Instytutu Fizycznego na Aleksocie odbył się obchód akademicki, poświęcony pamięci genialnego chemika Mendelejewa. Ja otworzyłem posiedzenie zagajeniem: „*Mes esame susirinkę paminėti vieną didžiausiųjų pasaulio mokslo genijų, gyvenusių XIX ir XX amžiuose, tikrąją žmonijos mokslo didvyrį, chemiką-filosofą Mendelejevą, kurį kai kurie mūsų profesūros nariai dar turėjo progos ir garbės ir laimės pažinti ne tiktai iš jo nuveiktųjų darbų, bet ir asmeniškai. Mes tuoj apie jį išklausysime eilę paskaitų, kurias mums yra surengęs Matematikos-Gamtos Mokslų Fakultetas*"[9]. A zwracając

[9] „Zebraliśmy się, aby uczcić jednego z największych geniuszów świata naukowego, żyjącego w XIX i XX wieku, prawdziwego bohatera nauki ludzkości, chemika-filozofa Mendelejewa, którego niektórzy członkowie naszej profesury jeszcze mieli możliwość i zaszczyt poznania nie tylko z dokonanych przezeń prac, ale i osobiście. Zaraz

się do siedzącego obok mnie sowieckiego połpreda Karskiego odezwałem się dalej po rosyjsku: *„Ja imieju czest' otmietit' prisutstwije sredi nas gospodina połnomocznogo predstawitiela Sojuza Sowietskich Socjalisticzeskich Respublik, w sostawie kotorych nachoditsia Wielikij Russkij Narod, dawszij czełowieczestwu Mendielejewa. W Waszem, Gospodin Połpred, lice ja goriaczo priwietstwuju Russkij Narod wo imia toj solidarnosti i bratstwa, kotoryje nauka wsiegda rozwiwała sredi narodow, napominaja im o tom, czto my wsie – ludi i czto my wsie sliwajemsia w czełowieczestwie i w lubownom stremleniji k obszczemu czełowieczeskomu ideału*“[10].

Referaty zostały wygłoszone: 1. Przez prof. Stankiewicza – prawnika (sic!) – o osobie Mendelejewa, 2. Prof. Wincentego Czapińskiego i 3. Prywatnego docenta Brazdžiunasa. Obchód był treściwy i ładny – trochę nieco za długi.

9 lutego, rok 1934, piątek

Wczoraj ogłoszona została głośna ustawa o bezpieczeństwie państwa („Valstybės saugumo įstatymas”), od dawna, przez całą ubiegłą wiosnę i lato studiowana przez Radę Stanu, a obecnie studiowana forsownie przez Gabinet Ministrów. Pozawczoraj jeszcze sekretarz Gabinetu Ministrów Mašalaitis przysłał mi projekt tej ustawy, prosząc, abym się wypowiedział, czy nie obraża on w czymkolwiek statutu autonomicznego Kłajpedy. Specjalnej obrazy statutu nie dostrzegłem, choć, co prawda, bardzo mało czasu miałem na przestudiowanie programu... Sama przez się jednak ustawa ta jest niesłychanie ostra, wprost drakońska; skierowana jest ona do walki z ruchami, wytwarzanymi na rzecz usposobienia antypaństwowego w masach, takimi zwłaszcza, jak ruch „narodowo-socjalistyczny“ czy hitlerowski w Kłajpedzie. Już dziś gazety przyniosły wiadomość o aresztach, poczynionych w Kraju Kłajpedzkim z mocy tej ustawy w szeregach neumannowców i sassowców, szerzących ruch powyższy. Zaostrzy to jeszcze bardziej zatarg niemiecko-litewski o Kłajpedę, wywołując nowe represje ekonomiczne ze strony niemieckiej, a może też „putsche“ na rzecz oderwania Kłajpedy od Litwy. Ludzie, którzy przyjeżdżają z Kłajpedy, powiadają, że nastrój tam jest tak napięty, iż wszystkiego się spodziewać można. W związku z tym coraz aktualniejszym się staje porozumienie Litwy z Polską dla wciągnięcia Litwy w system tych bloków, których bronią nowe pakty, zawarte przez Polskę z Niemcami i Sowietami. Zubow był znowu u mnie. Decyduje się on jechać do Polski dla widzenia się z Marszałkiem, ale chce wpierw uprzedzić o tym Prezydenta Smetonę i zyskać jego aprobatę. Odmawiałem go od tego, bo Smetona ma pod tym względem uprzedzenia i gotów zabronić Zubowowi jechać: lepiej byłoby, żeby się po fakcie dowiedział, ale Zubow nie dał się przekonać.

10 lutego, rok 1934, sobota

Na kursach Sztabu Generalnego moje wykłady mają się już ku końcowi. Jeszcze tylko dwa wykłady (4 godziny) i już będzie po wszystkim. Pomimo ogromnego skrócenia kursu, nie zdążę w tych wykładach omówić system sowiecki i system faszystowski oraz ewolucję

---

wysłuchamy o nim szeregu odczytów, przygotowanych dla nas przez Wydział Nauk Matematyczno-Przyrodniczych”.

[10] „Mam zaszczyt odnotować obecność wśród nas pana przedstawiciela pełnomocnego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, w których składzie jest Wielki Naród Rosyjski, jaki dał ludzkości Mendelejewa. W Pańskiej, Panie Przedstawicielu Pełnomocny, osobie gorąco witam Naród Rosyjski w imię tej solidarności i braterstwa, które nauka zawsze rozwijała wśród narodów, przypominając o tym, że wszyscy jesteśmy ludźmi i że wszyscy zlewamy się w ludzkości i w pełnym ukochania dążeniu do wspólnego ludzkiego ideału”.

konstytucyjną Litwy Niepodległej. Zdaje się, że te wykłady nauk prawniczo-społecznych na kursach Sztabu Generalnego są tylko dodatkiem ogólnokształcącym – bez żadnych egzaminów.

Wieczorem poszedłem z Jadzią i Andrzejem do teatru na operę „Žydė” („Żydówka”). W roli Eleazara występował Kipras Piotrowski, w roli Racheli – Grigaitisowa. Do Grigaitisowej mam słabość szczególną. Głos jej jest tak silny, że zaiste podziw budzi. Najwyższe tony bierze ona z taką łatwością, jak żeby mówiła zwyczajnie. Całość jej postaci wraz z głosem sprawia na mnie wrażenie bardzo sympatyczne; jest to wielka artystka. Jej rolę najlepszą jest, zdaje się, rola hrabiny w „Damie pikowej”. Piotrowski w roli Elzeazara – niezły, ale to nie jego najlepsza rola. Zawiódł mię Stanisław Sodeika w roli kardynała. Tenże artysta w roli Rigoletta i w roli Prologa do „Pajaców” jest świetny.

11 lutego, rok 1934, niedziela

Miałem na dziś rano zaproszenie urzędowe na uroczystą mszę pontyfikalną z odśpiewaniem „Te Deum laudamus!” w bazylice z okazji jedenastej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską Ojca Świętego Piusa XI. Chciałem się wybrać na tę uroczystość kościelną, ale zaszedłem do uniwersytetu na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego i tam pozostałem. Na posiedzeniach Rady nasza stara profesura coraz bardziej tonie w rosnącej masie młodych asystentów, których ilość bodaj już do dziesiątka dorosła. Tylko że ta młodzież nie bierze udziału w debatach, słucha milcząco i nie głosuje.

12 lutego, rok 1934, poniedziałek

Ten tydzień jest bez wykładów. Jednak kancelaria uniwersytecka funkcjonuje, więc sprawy bieżące wciąż są. Moje przeto czynności rektorskie nie uległy przerwie. Piszę teraz różne drobiazgi. W szczególności w tej chwili piszę artykulik do redakcji nowego czasopisma prawicowego narodowców „Tėvų Žemė” w odpowiedzi na ankietę o tym, jaki powinien być parlament w Litwie, uwzględniając zasadę korporacyjną społeczeństwa. Ankieta ta jest wyrazem modnego dziś u narodowców naciągania programu do form, ujawniających się w faszyzmie. Odpowiedź moja będzie umiarkowana; nie odrzucam pierwiastka demokratycznego, jeno go kombinuję z socjokratycznym. Ale demokratom i to się zapewne wyda grzechem z mej strony.

13 lutego, rok 1934, wtorek

Nigdy nie mam spokoju i kiejfu. Uczę się forsownie mowy rektorskiej na dzień 16 lutego, który jest dniem nie tylko Niepodległości, ale także założenia uniwersytetu. Co prawda, nie bardzo mam o czym mówić. Ale siaką taką mówkę wykoncypowałem. Oto ona:

„*Dvylika metų gyvena Universitetas, gavęs garbingą Vytauto Didžiojo Universiteto vardą. Nedidelėje ir neturtingoje valstybėje, kurioje iš viso tėra vienas Universitetas, Universiteto darbas yra ypatingai atsakingas ir svarbus, reikalaująs iš visų jo narių – tiek iš studentijos, tiek iš profesūros ir pagalbinės mokslo personalo – nepaprasto jėgų įtempimo ir nepaprasto darbštumo. Tiesa – mes, Universitetas Lietuvoje, turime vieną rimtą darbo draugą – Žemės Ūkio Akademiją Dotnuvoje – tačiau nors mūsų tikslai iš dalies yra bendri, vis dėlto mūsų darbo specialybės yra skirtingos ir mūsų funkcija yra šiomis specialybėmis suskirstyta. Bet mūsų darbo atsakingumą veikia netiktai toji viena aplinkybė, kad Nepriklausomoje Lietuvoje be mūsų – kitų Universitetų nėra ir kad tokiu būdu mum vieniems tenka visa mūsų darbo našta kelti. Jį veikia dar tatai, kad politinėje nelaisvėje, kurioje mūsų šalis buvo iki Didžiojo Karo, aukštasis mokslas buvo mūsų žmonėms sunkiai prieinamas, tuo tarpu išsivadavę ir įkūrę savo nepriklausomą valstybę, mes visose srityse esame ypatingai reikalingi specialistų, žmonių, išėjusių aukštąjį mokslą, kurie pajėgs išvengti dile tautų daromųjų klaidų. Be to dažnai skundžiamasi, esą mūsų šaliai ir ypač liaudžiai esant Europos Vakarų kultūros*

tauta – senesnieji mūsų inteligentijos sluoksniai esą palinkę į Rytų kultūrą ir pasidavę Rusų-bizantinės civilizacijos įtakai. Jei tai ir būtų tiesa, tai aukštasis mokslas ir susijęs su juo gilesnis savęs pažinimas – tai ir būtų toji sritis, kurioje įvyko šios rūšies pakrikimų ištiesimas, grąžinant jaunąją inteligentiją tautinei liaudies kultūrai, pagrįstai Vakarų Europos ir savo nuosavos senovės elementais. Sunkus, bet didelis ir gražus yra mūsų Universiteto darbo kelias, garbinga – jojo tarnyba Tėvynei. Aišku, kad savo darbo Universitetas netiktai per 12 metų, bet ir niekuomet neužbaigs. Tai yra darbas nuolatinis, nebaigiamas, kuomet atnaujinamas kiekvienai naujajai jaunimo bangai, kaip organizmo kvėpavimas, kaip kraujo organizme judėjimas...“[11].

14 lutego, rok 1934, środa

Ciąg dalszy tekstu mojego przemówienia rektorskiego na dzień 16 lutego na uniwersytecie:

„Jau pirmoji mūsų profesūros karta, toji, kuri Universitetui besikuriant, iš senesniosios inteligentijos išėjusi, drįso užimti pirmas akademinio mokslo ir mokimo vietas, nors dar savo daugumoje yra gyva ir veikli, vis dėlto pamažu jau pradeda apleisti savo vietas. Visa eilė žymių asmenų iš jos tarpo jau yra mirę arba pasiekę amžiaus ribą. Kasmet amžius ir mirtis išplėšia iš profesūros šios kartos atstovus. Iš visuomenės, iš viešosios opinijos, iš jaunų išsimokslinusių jėgų, kurios tačiau pačios dar nėra įrodžiusios savo sugebėjimų, ši profesūros karta yra sulaukusi daugelio įvairių priekaištų. Jai prikišamas diletantizmas, per mažas mokslinis veiklumas, mokslinio entuziazmo stoka ir kita. Jei šiuose priekaištuose objektyviškai ir būtų ši tas teisinga, tai atsižvelgiant į tai, kad prieš 12 metų dar jokių jaunųjų profesorių pajėgų šaly nebuvo, kad dar prieš Universitetui įsikūrus iš šios profesūros kartos tapo iškelta Aukštųjų Kursų iniciatyva, paruošusi dirvą Universitetui, kad pagaliau diletantizmas, kaip apsileidimas, negali būti prikištas šios kartos žmonėms, nes šie žmonės savo jaunystėje niekuomet nė svajoti negalėjo apie mokslinę karjerą ir apie mokslo darbą ypač savajame, lietuviškame Universitete ir niekuomet šiam darbui nesiruošė, o reikalui kilus – jie stojo į darbą ir darė jam tai, ką jie daryti galėjo, bet kuris šiuo atžvilgiu kaltinimas atkrenta ir pasmerkimas būtų neteisingas. Senoji profesūros karta, kuri dar prieš Didįjį Karą buvo šalies visuomenėje veikli ir kuri drįso sudaryti pirmuosius akademinio mokslo ir mokimo personalo kadrus, yra garbingai atlikusi savo pareigą Tėvynei ir Universitetui. Yra jos tarpe diletantai,

[11] „Dwanaście lat istnieje Uniwersytet, noszący zaszczytne imię Uniwersytetu Witolda Wielkiego. W niedużym i niezamożnym państwie, w którym ogółem jest tylko jeden Uniwersytet, praca Uniwersytetu jest szczególnie odpowiedzialna i ważna, wymagająca od wszystkich jego członków – zarówno studentów, jak profesury i pomocniczego personelu naukowego – niezwykłego wytężenia sił i nadzwyczajnej pracowitości. Co prawda, my, Uniwersytet Litewski, mamy jednego poważnego partnera w pracy – Akademię Rolniczą w Datnowie – jednak choć nasze cele są po części wspólne, mimo to specyfika naszej pracy jest różna i funkcje nasze są przez tę specyfikę podzielone. O odpowiedzialności naszej pracy decyduje nie tylko ta okoliczność, że w Litwie Niepodległej innych Uniwersytetów prócz nas nie ma i że wskutek tego na nas jednych spada całe brzemię pracy. Decyduje jeszcze to, że w niewoli politycznej, w jakiej tkwił nasz kraj przed Wielką Wojną, wyższe nauczanie było dla naszych ludzi trudno dostępne, tymczasem po wyzwoleniu i utworzeniu własnego niepodległego państwa potrzebujemy we wszystkich dziedzinach specjalistów, ludzi z wyższym wykształceniem, którzy potrafią uniknąć błędów, popełnianych przez inne narody. Poza tym, słyszymy często skargi, że kiedy nasz kraj, a zwłaszcza lud jest narodem kultury zachodnioeuropejskiej – przedstawiciele starszych warstw naszej inteligencji skłaniają się ku kulturze Wschodu i ulegają wpływowi kultury rosyjsko-bizantyjskiej. Gdyby to nawet była prawda, to wyższe nauczanie i związane z nim głębsze poznawanie siebie byłoby właśnie tą dziedziną, w której zachodzi prostowanie odchyleń tego rodzaju, przywracające młodą inteligencję narodowej kulturze ludowej, bazującej na elementach kultury zachodnioeuropejskiej i własnej przeszłości. Trudna, ale też wielka i piękna jest droga pracy naszego Uniwersytetu, zaszczytna jest jego służba Ojczyźnie. Jasne, że swoich prac Uniwersytet nie zakończy nie tylko po dwunastu latach, ale i nigdy. Jest to praca ciągła, niekończąca się, stale wznawiana z każdą nową falą młodzieży, jak oddychanie, jak krwiobieg w organizmie...“.

yra gabesni ir mažiau gabus mokslininkai ir dėstytojai, bet yra ir tikri mokslo entuziastai, yra darbštus vyrai, kurie įvairiose srityse savo darbu yra padėję pamatą Lietuvos mokslui ir Lietuvos mokslo literatūrai ir kurie, galima sakyti, yra sukūrę šį mokslą šaly ir pastatę Universitetą ant kojų. Nemanykime, kad kur nors pasauly mes būtume galėję rasti Universitetą, kurio visa profesūra, visas mokslo personalas be jokios išimties susidėtų vien iš pasaulio garsenybių ir mokslo žvaigždžių. Visur yra įvairių profesorių, visur greta žymesnių yra ir ne tiek žymių. Tas pats yra ir bus ir pas mus. Tiktai patys savęs nežeminkime, labiau gerbkime tai, ką turime, nustokime šiuo nelemtu palinkimu peikti visą, kas savo ir spjauti neištyrus dalyko. Jei mes patys savęs negerbsime, tai ir mus niekas negerbs. Toks dvasinis nihilizmas ir spjovimas į visą, kas nėra svetur paruošta, tai kaip tik ne lietuviška, bet yra iš mūsų rytų kaimyno paskolinta. O ypatingai liūdna ir skaudu tai girdėti iš tų, kurie patys neskaito jokių Universiteto leidinių ir Universiteto darbo nepažįsta...“[12].

Dokończenie dam jutro.

---

[12] „Już pierwsze pokolenie naszej profesury – to, które przy powstawaniu Uniwersytetu, pochodząc ze starszej inteligencji, odważyło się zająć czołowe miejsca w nauczaniu i nauce, choć w większości swej jest jeszcze żywe i czynne, jednak powoli zaczyna już ustępować. Cały szereg znanych osobistości z tego środowiska już zmarło bądź osiągnęło wiek emerytalny. Każdego roku starość i śmierć zabiera z profesury przedstawicieli tego pokolenia. Ze strony społeczeństwa, opinii publicznej, młodych wykształconych sił, które jednak same jeszcze nie dowiodły swoich zdolności, to pokolenie profesury doczekało się wielu różnych zarzutów. Zarzucają mu dyletantyzm, brak entuzjazmu naukowego i inne rzeczy. Gdyby nawet w tych zarzutach obiektywnie i była jakaś część racji, to uwzględniając fakt, że 12 lat temu jeszcze żadnych młodych sił profesorskich w kraju nie było, że jeszcze przed powstaniem Uniwersytetu z tego pokolenia profesury wyszła inicjatywa Wyższych Kursów Naukowych, które przygotowały glebę pod Uniwersytet, że wreszcie dyletantyzm jako zaniedbanie nie może być zarzucany ludziom tego pokolenia, bo ci ludzie w swej młodości nigdy nawet marzyć nie mogli o karierze naukowej i o pracy naukowej zwłaszcza na własnym, litewskim Uniwersytecie i nigdy się do tej pracy nie szykowali, ale kiedy zaistniała potrzeba – stanęli do tej pracy i robili to, co potrafili, wszelkie zatem oskarżenia wobec nich odpadają, a potępianie ich jest niesprawiedliwe. Stare pokolenie profesorów, które było czynne w społeczeństwie jeszcze przed Wielką Wojną i które odważyło się utworzyć z siebie pierwsze kadry nauki akademickiej i personelu nauczającego, godnie spełniło swój obowiązek wobec Ojczyzny i Uniwersytetu. Są wśród nich dyletanci, są zdolniejsi i mniej zdolni uczeni i wykładowcy, ale są tez prawdziwi entuzjaści nauki, są ludzie pracowici, którzy w różnych dziedzinach swoją pracą założyli podwaliny pod litewską naukę i litewską literaturę naukową i którzy, można powiedzieć, stworzyli tę naukę w kraju i postawili Uniwersytet na nogi. Nie sądźmy, że gdziekolwiek na świecie potrafimy znaleźć Uniwersytet, w którym cała profesura, cały personel naukowy składa się wyłącznie ze sław światowych i gwiazd nauki. Wszędzie są różni profesorowie, wszędzie obok znanych są mniej znani. To samo jest i będzie u nas. Nie poniżajmy tylko sami siebie, bardziej szanujmy to, co mamy, przestańmy z tego powodu ganić wszystko, co swoje i opluwać bez uprzedniego rozejrzenia się w rzeczy. Jeżeli nie będziemy sami siebie szanować, to i nas nikt szanować nie będzie. Taki nihilizm duchowy i opluwanie wszystkiego, co nie pochodzi od obcych, akurat nie jest litewskie i zostało zapożyczone od naszego wschodniego sąsiada. A szczególnie smutno i boleśnie jest słyszeć to od tych, którzy sami nie czytają żadnych wydań uniwersyteckich i nie znają pracy uniwersyteckiej...“.

15 lutego, rok 1934, czwartek

Oto dokończenie mojej mowy rektorskiej na jutro na 12-stą rocznicę założenia Uniwersytetu:

„*...Bet senosios mūsų profesūros dienos jau suskaitytos. Jos pirmosios eilės kasmet yra amžiaus, lygos, senatvės ir mirties griaužiamos. Kaip praretėjusioje girioje, kol dar senieji medžiai tebestovi, apačioje, ypač retesnėse vietose, jau smarkiai dygsta ir auga tankus jaunas miškelis, kuris pakeis senąjį smunkantį mišką, taip ir čia Universitete per paskutinius kelerius metus išdygo platus kadrai jaunesniojo mokslo personalo – būsimosios profesūros. Tai rinktinis mūsų buvusiųjų mokinių elitas, kuris vėliau dar užsieniuose buvo ruošiamas mokslo ir profesūros darbui ir grįžo mūsų darbą tęsti, jį tobulinti, seniesiems padėti ir juos pavaduoti, atsirandančias spragas užpildyti. Šioje jaunoje profesūroje mūsų viltis. Ji pataisys tai, kas yra netobula senųjų darbe, ji pakels darbo našumą, ji mums duos naujus mokslo darbo metodus ir be abejo žymiai sumažins diletantizmą mūsų tarpe. Nesmerkdami senųjų, atvirkščiai – būdami jiems dėkingi už jų nuveiktąjį sunkų pradžios darbą, mes viltį perkeliame į tuos, kurie jau auga mūsų tarpe ir yra pasiryžę senesniuosius pavaduoti ir Lietuvos mokslo rūmų statybą iš mūsų rankų perimti*“[13].

Uczenie się tej mowy na jutro przeszkadzało mi w innej robocie. Nie lubię tego. Męczy to bardzo.

W południe odbyło się dziś posiedzenie senatu akademickiego, poświęcone przeważnie sprawie obcięcia preliminarza na rok bieżący. Sprawa zatargu między prorektorem Jodelą a dziekanem Wydziału Technicznego prof. Hrynkiewiczem, która groziła wytoczeniem dochodzenia dyscyplinarnego przeciwko Hrynkiewiczowi, została szczęśliwie przez Wydział Techniczny zlikwidowana, wobec czego prorektor Jodelė cofnął swoje oskarżenie. Senat go nagrodził oklaskami.

16 lutego, rok 1934, piątek

Od rana powtórzyłem sobie parę razy mowę moją i na godz. 12 w południe pośpieszyłem do pałacu Prezydenta dla złożenia panu Prezydentowi życzeń okolicznościowych. Uniwersytetowi (rektorowi) miejsce było wyznaczone w grupie „rządu” u boku ministra oświaty. Spóźniłem się o trzy minuty: członkowie rządu – pp. ministrowie z prezesem ministrów Tubelisem na czele już się byli udali do salonów przyjęć. W poczekalni zbierali się dyplomaci – przedstawiciele państw obcych. Musiałem przeczekać tę grupę, jak również grupę następną – wyższych wojskowych. Wreszcie koło pierwszej przyszła kolej na grupę wyższych urzędników, do której się wścibiłem. Zanim przeszliśmy do salonów i ustawiliśmy się tamże, zanim wyszedł pan Prezydent, obszedł wszystkich, każdego życzeń wysłuchał i każdemu coś odpowiedział – było już po pierwszej. Na pierwszą zaś było wyznaczone uroczyste posiedzenie uniwersytetu. Z pałacu Prezydenta Turowski odwiózł mię do uniwersytetu, gdzie już była zebrana cała profesura i minister oświaty Šakenis z sekretarzem generalnym ministerwsta p. Daniłowskim. Uroczystość na uniwersytecie była

---

[13] „...Jednak dni naszej starej profesury są już policzone. Pierwsze jej szeregi przerzedzają z roku na rok wiek, choroby, starość i śmierć. Jak w przerzedzonym lesie – stare drzewa jeszcze stoją, ale w dole, zwłaszcza tam, gdzie rzadziej, już kiełkuje i rośnie gęsty młody zagajnik, który zastąpi dożywający wieku drzewostan, tak i tu na Uniwersytecie w ciągu ostatnich kilku lat wyrosła liczna kadra młodszego personelu naukowego – przyszłej profesury. Jest to doborowa elita naszych byłych uczni, która następnie była jeszcze kształcona za granicą, szykowana do kontynuowania i doskonalenia pracy naukowej i wykładowczej i wróciła do pomocy i zastąpienia starszych, wypełniania pojawiających się luk. W tej młodej profesurze jest nasza nadzieja. Ona naprawi to, co jest niedoskonałe w pracy starszych, podniesie wydajność pracy, da nam nowe metody pracy naukowej i niewątpliwie zmniejszy dyletantyzm w naszym środowisku. Nie potępiając starszych, przeciwnie – będąc im wdzięczni za ich ciężką pracę u źródeł, przenosimy nasze nadzieje na tych, którzy wzrastają wśród nas i są gotowi do zastąpienia starszych i przejęcia z naszych rąk budowy pałacu nauki litewskiej“.

dość bezbarwna. Złożyły się na nią dwa odśpiewane przez chór akademicki hymny – hymn państwowy i hymn akademicki „Gaudemus igitur!”, przemówienie moje i sprawozdanie sekretarza. Najdłuższe z tego wszystkiego było moje przemówienie. Dziś po jego wygłoszeniu wydaje mi się ono nieco dziwaczne i nie bardzo właściwe. Było ono jakąś mową pogrzebową starszemu pokoleniu profesury, wtrąceniem tego pokolenia w śmierć, odrąbywaniem go od życia, jakimś aktem rozpaczy i pieśnią łabędzią starych, odśpiewaną w ich imieniu przez ich rektora wbrew może ich woli życia. Mówiło mi też potem kilku profesorów, że wyglądałem bardzo zmęczony, toteż zapytywali mię o zdrowie. Może treść posępna mojego przemówienia tak oddziałała na mój wygląd, bo specjalnie gorzej się nie czułem niż zwykle. Po uroczystości uniwersyteckiej odbyło się jeszcze posiedzenie poufne Rady Akademickiej, na którym przyjęto regulamin uniwersytetu. Po obiedzie w nowym gmachu Muzeum Witolda Wielkiego odbyła się uroczystość poświęcenia i otwarcia wykończonej części muzeum. Była ceremonia przed pomnikiem poległych za Niepodległość w starym ogródku Muzeum Wojennego, tamże przemawiał minister Aleksander Żyliński, po czym – uroczyste posiedzenie w naszym gmachu. Przewodniczył Šakenis, poświęcał gmach ksiądz prorektor Česnys. Było kilka ładnych przemówień. Czułem się zmęczony i na ostatni akt uroczystości 16 lutego – na koncert publiczny do teatru – nie poszedłem.

17 lutego, rok 1934, sobota

Chwała Bogu, że już dzień 16 lutego minął i minęła ta mowa, której musiałem się uczyć. Było to nieznośne. Te mowy zapamiętywane bardzo są nużące. I w ogóle od wszelkich uroczystości pragnąłbym być jak najdalej.

Teraz po przejściu dnia 16 lutego czuję się uspokojony – bez troski ciągłej na głowie. Rano miałem mój wykład na kursach Sztabu Generalnego, jedyny wykład w tym tygodniu. Po obiedzie miałem egzaminy studenckie. W tym roku egzaminuję naraz tylko po czterech studentów zamiast po siedem, jak dotąd.

Wczoraj umówiłem do Bohdaniszek młodego ogrodnika Józefa Narbuta z powiatu uciańskiego gminy użpolskiej, który przed dwoma laty przesłuchał sześciomiesięczne kursy ogrodnicze, organizowane co roku w Kownie przez Izbę Rolniczą. Kolegował on na tych kursach z Justysiem Stawskim, który mi go zarekomendował. Nająłem go za 50 litów miesięcznie. Zimą będzie mi on strzegł lasu.

18 lutego, rok 1934, niedziela

Po obiedzie o godz. piątej u Janulaitisa miałem posiedzenie Towarzystwa Historyków Litewskich, na którym przewodniczyłem. Jest to towarzystwo, które wydaje czasopismo (rocznik) „Praeitis”. Obecni byli na posiedzeniu: prof. Janulaitis, prof. Jonynas, prof. Michał Biržiška, prof. Wacław Biržiška, ja, Tarasenko, Konstanty Jabłoński, prof. Galaunė i dwóch młodych historyków – Šapoka i Iwiński. Posiedzenie trwało parę godzin. Debatowana była szczególnie kwestia, czy „Praeitis” ma być wydawane całymi tomami czy też poszczególnymi pracami i artykułami w zeszytach, składających się następnie na tom. Poza tym była omawiana kwestia wznowienia wydawnictwa pamiętnikarskiego „Mūsų Senovė”, która przez czas jakiś wychodziła pod redakcją Tumasa-Vaižgantasa jako wydawnictwo Ministerium Oświaty.

19 lutego, rok 1934, poniedziałek

Udałem się dziś do Rady Stanu, w której już od kilku miesięcy nie pracuję. Ponieważ nie usunąłem się z niej zasadniczo i formalnie zachowałem stanowisko biegłego-współpracownika Rady, jeno na razie nie spełniam żadnych czynności i nie pobieram wynagrodzenia, więc Šiling skierował do mnie niedawno pewną kwestię prawno-administracyjną co do stosowania art. XVIII Konkordatu Litwy ze Stolicą Apostolską.

Poszedłem do Rady poradzić się jeszcze ze Starkusem co do moich wniosków w tej kwestii. Widziałem się tam tylko z Šilingiem, gubernatorem Novakasem i Starkusem. Novakas pełny humoru i zadowolony ze swej akcji w Kłajpedzie. Daj Boże, żeby się jego cele spełniły.

20 lutego, rok 1934, wtorek

Jako sezonową drobną pracę bieżącą – układam teraz odczyt o Związku Bałtyckim na obchód rocznicy ogłoszenia Niepodległości Estonii, mający się odbyć w sobotę z ramienia Towarzystwa Litewsko-Estońskiego.

Na godz. 5 minut 30 po obiedzie w Ministerium Finansów wyznaczone było posiedzenie komisji budżetowej dla rozejrzenia preliminarza uniwersyteckiego na rok bieżący i dokonania w nim poprawek na rzecz obcięcia sumy rozchodów. Obecny był dyrektor Lipčius z urzędnikiem, dyrektor Stašys z Kontroli Państwowej i z ramienia uniwersytetu ja, naczelnik kancelarii Zygmunt Gurewicz i dziekani wydziałów. Komisja zabrała się energicznie do obcinania pozycji, ale potem dość liberalnie traktowała różne pozycje i niejedną z nich dała nawet podnieść. Posiedzenie to przeciągnęło się do dziewiątej. Wykład mój opuściłem.

21 lutego, rok 1934, środa

Nastąpiły nieprzyjemne zajścia. Przed paru tygodniami dokonano w Litwie szeregu aresztowań z powodu tajnego nauczania polskiego (nauczania w tajnych kompletach); aresztowania miały miejsca przeważnie w stronach poniewieskich. W kilka dni potem władze polskie w Wileńszczyźnie tytułem odwetu dokonały aresztowań wśród nauczycieli litewskich, zaznaczając przez radio charakter wyraźnie odwetowy tych zarządzeń. Mamy więc nową edycję „retorsji" z r. 1927. Prasa litewska rozdmuchała te aresztowania odwetowe, jak prasa polska uczyniła to zapewne co do pierwotnych aresztowań litewskich. Retorsje, *ambo meliores*, wart Pac pałaca, a pałac – Paca... Wieczysta piosenka współczesnych stosunków polsko-litewskich... W odpowiedzi na to zareagowała młodzież akademicka litewska. Istnieje tu od roku „związek stowarzyszeń akademickich litewskich", obejmujący wszystkie grupy od narodowców i faszystów aż do ludowców włącznie, który się utworzył na rzecz wypowiedzenia się opinii akademickiej w zagadnieniach ogólnonarodowych Kłajpedy i Wilna. „Związek" zarządził wczoraj wieczorem wiec protestujący przeciwko aresztowaniom wileńskim. O pozwolenie zwrócił się do mnie osobiście, ponieważ prorektor Česnys chwilowo nie urzęduje. Nie miałem zasady do odmówienia pozwolenia, firmowość zaś tego wiecu i natura firmy wydały mi się zupełną gwarancją powagi zebrania. Zresztą organizatorowie wiecu mieli zaprosić na wiec prof. Michała Biržiškę (ten się okazał zajęty i nie wziął w wiecu udziału). Prorektorzy o wiecu nic nie wiedzieli, Michał Biržiška nie przyszedł, ja zaś byłem na posiedzeniu komisji budżetowej Ministerium Finansów (inaczej byłbym się doczekał początku wiecu, wyznaczonego na godz. 9 po moim wykładzie). Nikt przeto z profesury na wiecu nie był. Sam wiec miał przebieg umiarkowany. Protestowano, ale do żadnych odwetów nie nawoływano, przeciwnie – ostrzegano przed ekscesami. Wszakże na samym wiecu pewne usposobienie ekscesowe ujawniły się – tylko nie w rezolucjach. Otóż po tym wiecu grupa studentów – podobno w sile 200 osób – w nocy udała się w pochód przez miasto, rozdzieliwszy się na dwie gałęzie. Policja nic o wiecu nie wiedziała i nie była na nic przygotowana. Manifestanci pobili okna w kawiarni Perkowskiego jako polskiej, rzucali ciężkie cegły do środka, uszkodzili dużo towaru, wdarli się do wnętrza, gdzie wszakże napotkali energiczny protest kilku obcych tam Litwinów (Ślażewicz, Našliunas); ucierpiała też nieco księgarnia „Stella", były też inne usiłowania w tymże rodzaju. W samym uniwersytecie nieznani sprawcy uszkodzili witryny stowarzyszeń polskich. Rzecz jest przykra, bo brutalne ekscesy wandalizmu są niewątpliwie dziełem studentów. Władze państwowe bardzo to wzięły do serca.

O godz. piątej w lokalu Gabinetu Ministrów odbyło się posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Ani Pietkiewicz, który ma urlop z powodu choroby, ani Lozoraitis nie był obecny. Byliśmy tylko ja, Mašalaitis i gubernator Novakas. Gubernator uzasadniał swoją koncepcję wzięcia we własne ręce ustalania warunków przynależności kłajpedzkiej. Po dyskusji zaakceptowaliśmy jego tezę.

Wieczorem z inicjatywy Kvieski i kilku innych osób odbyło się zebranie organizacyjne świeżo założonego „Klubu Politycznego". Obecni byli przeważnie ludzie z dotychczasowej opozycji, ale mianowicie tacy, którzy są bardziej giętcy i chcieliby zerwać ze sztywnością bezwładu opozycyjnego i brać udział w omawianiu i układaniu koncepcji organizacji państwa. Do zarządu weszli prof. Czapiński, Kvieska, Pokštas, Rodziewicz, Jan Vileišis. Do sądu honorowego – ja, Tamošaitis Antoni i Raulinaitis. Klub Polityczny może być instytucją użyteczną.

22 lutego, rok 1934, czwartek

Dziś miałem wieczór wolny, bo posiedzenia senatu akademickiego nie było. Skorzystałem więc, aby zaprowadzić Andrzeja do teatru na operę „Faust", której on nie słyszał nigdy. Naturalnie, że i Jadźka poszła razem.

Opinia publiczna jest bardzo poruszona ekscesami studentów w dniu pozawczorajszym. Władze państwowe też są niezadowolone i pragną szczerze ukarania winnych. Był dziś u mnie komendant wojenny w tej sprawie; mówił, że śledztwo da możność ustalenia tożsamości co najmniej ośmiu winnych studentów, których też on ukarze. Przychodzi mi na myśl ogłosić odezwę do studentów, potępiającą ostro sprawców tych wybryków i zapowiadającą oddanie ich pod sąd akademicki niezależnie od ewentualnej kary państwowej, jaką poniosą. Naszkicowałem taką odezwę.

23 lutego, rok 1934, piątek

Poradziłem się co do zaprojektowanej wczoraj odezwy mojej do studentów – prorektora Česnysa, dziekana Krėevė-Mickiewicza i byłego rektora prof. Czapińskiego. Wszystkim się ta myśl podobała; treść odezwy też zaaprobowali. Kancelaria jednak nie zdążyła jeszcze odbić tych odezw, wobec czego zrobi się to jutro.

Zubow znów dał znać, że się chce zobaczyć – tym razem wraz z prof. Krėvė-Mickiewiczem i prof. Bolesławem Sruogą. Na razie przed przyjściem Zubowa Sruoga jął opowiadać, że Zubow otrzymał następującą wiadomość o warunkach stawianych przez Polskę: a. Wilno wraca pod zwierzchnictwo litewskie jako jednostka autonomiczna, ale stolicą Litwy pozostaje Kowno; b. Polacy mają prawo przyjazdu do Wileńszczyzny bez wiz, osiedlania się i nabywania nieruchomości oraz wykonywania pracy zawodowej bez pozwolenia władz litewskich. Gdy jednak przyszedł Zubow, okazało się, że Sruoga naplątał. Nic jeszcze o propozycjach polskich Zubow nie wie, bo dopiero jedzie do Polski dla zobaczenia się z Piłsudskim. Wie tylko to, co on chciałby od Polski jako minimum otrzymać. Naradzaliśmy się przez czas pewien. Autonomia Wileńszczyzny w Polsce – to dość mizerne. Ja bym radził, żeby Zubow pozyskał przynajmniej obietnicę wpisania tej autonomii do układu z Litwą oraz poddania Trybunałowi Międzynarodowemu w Hadze wszystkich sporów, wynikających z ugody z Litwą. Radziłbym też nastawać na rektyfikację granicy ostatecznej z Litwą przynajmniej na razie w Suwalszczyźnie, gdzie kwestie te są mniej skomplikowane, niż w Wileńszczyźnie.

24 lutego, rok 1934, sobota

Ogłosiłem dziś moją odezwę do studentów. Prasa jej widocznie jeszcze nie dostrzegła, bo w pismach dzisiejszych nie ma o niej wzmianki. W odezwie potępiam sprawców zajść – bardzo ostro.

O godz. szóstej wieczorem w wielkiej sali Klubu Oficerskiego „Ramovė” odbyło się uroczyste posiedzenie, poświęcone uczczeniu 16j rocznicy Niepodległości Estonii. Sala była przepełniona publicznością wyborową. Obecni byli ministrowie: spraw zagranicznych Zaunius, wojny – Giedraitis, komunikacji – Vileišis, poseł estoński i poseł łotewski, wysocy wojskowi, wysocy dygnitarze, działacze publiczni, dziennikarze, panie itd., itd. – ogółem kilkaset osób. Uroczystość urządziło Towarzystwo Litewsko-Estońskie. Na pierwszą część złożyły się mowy (zagajenie prezesa Towarzystwa Jana Vileišisa, mowa ministra Zauniusa, mowa posła estońskiego po litewsku i mowa delegata Estonii po rosyjsku) i mój odczyt na temat Związku Bałtyckiego, na drugą po przerwie – dział koncertowy (chór Korzenowskiego, śpiew solistów litewskich i estońskich). Uroczystość udała się bardzo dobrze. Ciekaw byłbym wiedzieć, jakie wrażenie sprawił na słuchaczy mój odczyt, głęboko polonofilski, aczkolwiek zastrzegający zawsze Wilno. Oklaskiwano mię, wielu potem winszowało mi i wyrażało uznanie. Rękopis zabrał redaktor Šeinius dla „Liet. Aidasu”. Czy wszyscy jednak podzielają moje zdanie w stosunku do Polski – nie wiem. Niemało musi być agentów niemieckich. Posłowie łotewski i estoński, którzy po litewsku tylko piąte przez dziesiąte rozumieją, prosili mię także o tekst kompletny odczytu na wypadek, gdyby „Lietuvos Aidas” nieco skrócił czy obciął coś w tekście.

25 lutego, rok 1934, niedziela

No, ma Piłsudski za swoje. Kiedy brał on Wilno, był przekonany, że to mu ułatwi rozwiązanie kwestii litewskiej po myśli jego i że to sforsuje wolę Litwinów. Nie znał tego narodu, nie doceniał jego uporu, mimo że sam ma upór litewski, a oto teraz Wilno jest przekleństwem stosunków na wschodzie bałtyckim. Polityka polska z lat 1920-1922 w sprawie wileńskiej tak doskonale zbałkanizowała stosunki polsko-litewskie, że dziś nie wiadomo, jak je naprawić i jak zruszyć wóz z miejsca. A czas na to najwyższy. Moment do ugody polsko-litewskiej jest taki, jak nigdy. W Kłajpedzie zaangażowana aktywna polityka litewska, od której Litwa już cofnąć się nie może i nie chce. Skądinąd Niemcy wzięli na kieł i nie ustąpią, mszcząc się na Litwie i zdecydowani ją odebrać przemocą. Z pewnością – może w pierwszym rzędzie stoi w polityce niemieckiej nie Kłajpeda, jeno „Anschluss” Austrii, odzyskanie kolonii, może nawet korytarza polskiego na Pomorzu – to kwestia metody, ale odzyskanie Kłajpedy stało się kategorią polityki niemieckiej. A póki „odzyszcze” Kłajpedę, tymczasem mści się na Litwie, aby ją najboleśniej dotknąć. Niemcy ograniczają więc eksport litewski (import z Litwy do Niemiec), co w dobie kryzysu gospodarczego jest dla Litwy ciosem ciężkim. Słychać, ze w najbliższych dniach ma się skończyć działanie dotychczasowego układu handlowego litewsko-niemieckiego i że Niemcy są zdecydowane całkowicie zamknąć wtedy wszelki eksport litewski do Niemiec. Choć Litwa dziś wywozi przez Kłajpedę do Anglii więcej niż do Niemiec, jednak Niemcy stanowią w jej eksporcie pozycję wielką; dla Niemiec zamknięcie tego eksportu choćby z równoległym zamknięciem eksportu niemieckiego do Litwy – to rzecz podrzędna, dla Litwy wszakże to rzecz kapitalna. Ale w obronie Kłajpedy Litwa wszystko znieść musi, bo posiadanie Kłajpedy jest warunkiem jej niepodległości i daje jej możność szukania innych dróg dla eksportu, podczas gdy bez Kłajpedy Litwa jest w zupełnej zależności gospodarczej od Niemiec – na ich łasce i niełasce.

Dziwi mnie ta okoliczność, że Polska, której polityka zaznaczyła się w ostatnich miesiącach taką niesłychaną aktywnością i giętkością (nominalnie jest to polityka Becka, faktycznie wszakże – marszałka Piłsudskiego, który nim kieruje), dotąd nie znalazła sposobów na *modus vivendi* z Litwą. Jeżeli nawet z Niemcami Polska znalazła *modus vivendi* na lat 10, kiedy tam wszystko tych dwóch sąsiadów różni jak wodę z ogniem albo kota z psem, to niepojętnym jest utrzymanie konfliktu z Litwą. Polska bowiem jest zainteresowana bezpośrednio w obronie Litwy przed germanizacją. Odrzucając wszelkie sentymenty długiego współżycia historycznego i wszelkie uczucia braterskie ze wspólnej przeszłości i stając na

stanowisku wyłącznie egoizmu narodowego polskiego – trzeba stwierdzić, że dla Polski germanizacja Litwy, to znaczy przedłużenie Prus Wschodnich dalej aż do Łotwy i ewentualność pochłonięcia Łotwy i Estonii, to znaczy zapanowanie Niemiec na całym wybrzeżu wschodniobałtyckim byłoby klęską historyczną nie do zniesienia. Faktem zaś jest, że odebranie Kłajpedy od Litwy poddałoby Litwę Niemcom nie tylko gospodarczo, ale też politycznie. Polska więc nie może tolerować tej akcji niemieckiej i musi Litwy bronić. Może ona to uczynić albo anektując Litwę, albo udzielając Litwie pomocy na rzecz jej niepodległości i odparcia Niemców. Droga aneksji Litwy jest jednak dla Polski niebezpieczna, bo niełatwo strawić naród młody, żywy i do wolności już wprawiony, tym bardziej, że Polska ma już mniejszości narodowych dość. Zostaje więc jedna droga: Polska musi wzmocnić Litwę politycznie i dać jej oparcie. Czyżby Polska tego nie rozumiała i nie myślała, jaką drogą to się da zrobić!?

26 lutego, rok 1934, poniedziałek

Jak zawsze w końcu miesiąca, daje się w Kownie dostrzec większe ożywienie elementów ziemiańskich, bo do tej pory miesiąca dostosowane są tu różne zjazdy, zebrania itd. organizacji ziemiańskich i w ogóle polskich krajowych. Zawsze też przyjeżdża wtedy do Kowna Eugeniusz Römer z żoną, a czasem i z dziećmi. Dziś się z nim i jego żoną spotkałem wieczorem w restauracji „Metropol” po wykładzie uniwersyteckim moim. Omawialiśmy wypadki bieżące, ekscesy antypolskie młodzieży akademickiej, perspektywy ugody polsko-litewskiej, ewentualną rolę Polaków litewskich w tej sprawie. Niestety – odniosłem wrażenie przykre. Choć w zasadzie Polacy litewscy, a przynajmniej ich koło kierownicze, mają wciąż na ustach stanowisko niepodległościowe litewskie i wyznają ideał krajowo-obywatelski, jednak ich sytuacja tutaj, pełna upokorzenia, wpływa na ich rozgoryczenie może nawet mimowolne, które ich wewnętrznie, choć się do tego nie przyznają, cieszy z niepowodzeń i trudności litewskich, uzależniających Litwę od polityki polskiej. Bez szczerości pośrednictwa żadnego nie spełnią. Są oni jak gałąź uschła, chociaż to schnięcie jest bardzo bolesne i przez Litwinów im narzucone.

Dowiedziałem się dziś od Zosi Römerowej i z listu Heli Römer-Ochenkowskiej, że w Wilnie w tym miesiącu umarła stryjenka Bolesławowa Römerowa, czyli ciocia Elżusia, ostatnia z dzieci starego Edwarda Römera z Antonosza, przedostatnia żywa wnuczka pradziada Michała Römera (ostatnią jest ciocia Marynia Römerówna z Antokola). Ciocia Elżusia pochowana została na Rossie. Kamienicę na Bosakach ciocia zapisała na własność Maciejowi Römerowi, zaś dożywocie – synowi Stefanowi Römerowi. Biedna ciocia. Tyle miała męki w ostatnich czasach ze względu na syna! Żyją jeszcze trzy stare ciotki-stryjenki w rodzie Römerów – pokolenia ojców i stryjów naszych. Są to: a. najstarsza – ciocia Marynia Römerówna na Antokolu w Wilnie, w wieku lat 88, córka dziada Seweryna, siostra stryja Kazimierza; b. stryjenka Wanda z Sulistrowskich Alfredowa Römerowa z Karolinowa w święciańskim, która skończyła lat 80, matka Heli Białej Römer-Ochenkowskiej; c. stryjenka wdowa Kazimierza ze Skirmuntów Kazimierzowa Römerowa, zamieszkała w Wilnie.

27 lutego, rok 1934, wtorek

Późno, zmęczony jestem, nie warto zaczynać pisać; nie zdobędę się na nic ciekawego. Dobranoc.

28 lutego, rok 1934, środa

W Kownie bawi prof. Antoniewicz z żoną, ten sam, który w roku 1929 bawił tu z prof. Semkowiczem. Antoniewicz przyjechał tu dla swoich studiów archeologicznych. Pośredniczyłem mu w uzyskaniu pozwolenia na wjazd do Litwy. Otóż dziś zaprosił profesorostwo Antoniewiczów na obiad Michał Biržiška. Oprócz rodziny bezpośredniej

Michała Biržiški – jego żony, jego dwóch córek i zięcia Żakiewicza – obecni byli na tym obiedzie prof. Wacław Biržiška z żoną, prof. Galaunė i Konstanty Jabłoński. Z tych dwóch gości Polaków z r. 1929 – Semkowicza i Antoniewicza – Semkowicz zostawił po sobie wspomnienia głębsze niż Antoniewicz, który jest słodki jak lukrecja i przeto nie robi wrażenia szczerego. Miła jest natomiast bardzo jego żona, młoda jeszcze, ale siwa zupełnie.

1 marca, rok 1934, czwartek

Niestety, z powodu zajść ulicznych o charakterze antypolskim pogromowym, które miały miejsca przed tygodniem, opinia i prasa polska, odpowiednio urabiana przez czynniki, lubujące się w jątrzeniu stosunków polsko-litewskich, a zwłaszcza przez emigrantów polskich z Litwy („Związek Polaków Ziemi Kowieńskiej”), zajęte są wyłącznie przejaskrawieniem tych zajść i rozkoszą drażnienia. Aż przykro to ciągle słyszeć i czytać w kółko. Jaka tam przesada, kłamstwo, traktowanie tych rzeczy za manifestację nakazaną przez rząd, co jest w tym wypadku grubą nieprawdą. Ta akcja zasłania przed opinią i prasą polską dojrzewające w społeczeństwie litewskim nastroje do ugody z Litwą, zamyka jej szpalty na takie objawy, jak moje ostatnie odczyty ugodowe z Polską, jak cała akcja litewska w Kłajpedzie, jak wreszcie wielka i charakterystyczna manifestacja na rzecz Związku Bałtyckiego na sobotnim obchodzie Niepodległości Estonii, oparta na współpracy i solidaryzmie z Polską, co się wyraziło szczególnie w mowie ministra Zauniusa i moim odczycie. Ta ostatnia manifestacja z moim odczytem bardzo jest komentowana w Niemczech, w Estonii, w Łotwie. Tylko Polska milczy i jakby tego nie dostrzega. Oto co robią takie głupie ekscesy.

2 marca, rok 1934, piątek

Na dziś postanowiłem zaprosić prof. Włodzimierza Antoniewicza z żoną na przejażdżkę po pięknych okolicach Kowna. W zasadzie już pozawczoraj ich o tym uprzedziłem. Ze względu na brak stosunków urzędowych między Litwą a Polską goście uczeni polscy nie mogą tu być u nas przyjmowani urzędowo na uniwersytecie, nie mogą mieć wykładów publicznych; profesura nasza może z nimi li tylko kontakt prywatny utrzymywać. Smutne to i przykre. Tymczasem między uczonymi polskimi, którzy tu rzadko zaglądają, trafiają się szczerzy i gorący sympatycy Litwy, ludzie, w których mamy prawdziwych przyjaciół, o wiele więcej warci naszej gościnności i serdeczności, niż różni Łotysze i inni przygodni, których tu z pompą przyjmujemy. Państwo Antoniewiczowie też do takich należą. W swoim czasie (w r. 1929), gdy Antoniewicz z Semkowiczem po powrocie z Litwy do Polski ogłosili tam swoje wrażenia z wizyty litewskiej, podnosząc z wielką i szczerą sympatią to, co tutaj stwierdzili i doświadczyli, byli oni w prasie polskiej brzydko napastowani przez tzw. „uchodźców polskich z Litwy Kowieńskiej”, którym chodzi za wszelką cenę o jątrzenie i utrzymywanie legendy prześladowań polskich w Litwie i w ogóle legendy fałszu o Litwie, bo to jest przecie ich „*métier*”, które ich pozuje na męczenników i bohaterów, a właściwie na pasożytów Polski.

Przez prorektora Jodelę wystarałem się wczoraj od sekretarza generalnego Ministerium Komunikacji, docenta Wydziału Technicznego Jankiewicza – o automobil tegoż ministerium. Dziś o jedenastej rano podano mi ten automobil, dobrą mocną maszynę ze znakomitym szoferem. Zabrałem pp. Antoniewiczów z hotelu „Metropol” i powiozłem ich wpierw do uniwersyteckiego Instytutu Fizycznego na Aleksocie. Tam złożyliśmy wizytę byłemu rektorowi Czapińskiemu i dziekanowi Žemaitisowi. Stamtąd drogą ponad wąwozami, jedną z najbardziej uroczych dróg kowieńskich, powiozłem moich gości mimo Maistasu na Fredę. Ziemia, wąwóz, drzewa i zarośla były świeżo pokryte bielutkim śniegiem wczorajszym, co czyniło widok bardziej czarującym. Z Górnej Fredy zjechaliśmy szosą między wąwozami na Dolną Fredę pod most kolejowy i stąd wybrzeżem niemeńskim do Poniemunia. Niemen, który już był ruszył, stoi znowu, cały krą poszarpany i powoli się piętrzący zatorem. Z Poniemunia udaliśmy się na Szańce, skąd znów – pod Górę Tunelową, którą okrążając nad

samym Niemnem przejeżdżać musieliśmy miejscami przez kawałki drogi zalane Niemnem i krą zarzucone, a następnie wspięliśmy się na Górne Szańce, skąd laskami dotarliśmy do Doliny Mickiewiczowskiej i do miasta. Po obiedzie w restauracji Wersalu pożegnałem pp. Antoniewiczów. Wycieczka była bardzo ładna.

3 marca, rok 1934, sobota

Ani się obejrzałem, jak się skończyły moje wykłady prawa konstytucyjnego na kursach Sztabu Generalnego. Zaangażowałem się tam do wygłoszenia kursu prawa konstytucyjnego w 14 wykładach dwugodzinnych (28 godzin wykładowych). Skróciłem jak mogłem mój kurs uniwersytecki i pomimo to nie zdążyłem go zmieścić w tych wykładach. Mianowicie nie zmieściły się do wykładów: a. ustrój sowiecki, b. faszyzm i c. ewolucja konstytucyjna litewska. Dziś już tego wykładu nie miałem.

Wczoraj wieczorem przyjechał do Kowna z Bohdaniszek mój stary lokaj Kazimierz Jankowski. Przywiózł produktów sporo. Opowiada o Bohdaniszkach. Ochmistrzyni przedstawia się wcale nieźle, ogrodnik Narbut już przyjechał i krząta się koło inspektów. Tylko ekonom Pumpol pije i sprzedaje zboże.

4 marca, rok 1934, niedziela

Nie miałem dziś żadnych posiedzeń. Wieczorem tylko poszedłem z Jadzią i Andrzejem Mieczkowskim do kina Odeon na przedstawienie filmu z życia Eskimosów kanadyjskich. Zabawiłem się dobrze.

5 marca, rok 1934, poniedziałek

Dziś córka dr Andrzeja Domaszewicza, studentka medyczka, zdająca egzaminy dyplomowe, zaczęła mi zastrzykiwać kamforę na ożywienie działalności serca. Trzeba też się będzie podciągnąć z dietą przed Wielkanocą, bo w ostatnich czasach dużo mięsa jadłem.

6 marca, rok 1934, wtorek

W gazetach ukazały się już wiadomości o tym, że Zubow był przyjęty przez Marszałka Piłsudskiego i że miał audiencję u Prezydenta Mościckiego. Oby Pan Bóg błogosławił tej akcji! Z obydwóch stron jest dużo wrogów pojednania, którzy spekulują na mąceniu wody. A ponadto jest potężny sąsiad z zachodu, dla którego wszelkie pojednanie polsko-litewskie było zawsze i jest rzeczą, której należy przeszkodzić.

7 marca, rok 1934, środa

Dziś wieczorem po wykładzie, który miałem na IV semestrze ekonomistów, miałem wyznaczony referat „o parlamencie" w nowo założonym Klubie Politycznym, którego prezesem jest Kvieska. Był to pierwszy referat w tym Klubie. Osób zebrało się jednak niedużo; ogółem było koło 20 osób; byli w ich liczbie ludowcy, chrześcijańscy demokraci, słowem – ludzie, wychodzący z opozycji, którym bezczynność opozycyjna dokuczyła i którzy by chcieli już szukać jakichś nowych dróg współpracy z rządem, gotowi do szeregu ustępstw ze swego stanowiska dotychczasowego. Ale narodowców w ich liczbie nie było. Szkoda. Bo jeżeli narodowcy wciąż nawołują do jedności i współpracy i jeżeli istotnie chcą tego – to powinni iść na spotkanie tych elementów z byłej opozycji, które wyrażają gotowość do współpracy.

Mój referat podzieliłem na dwie części. W części pierwszej dzisiaj dałem systematyczny wykaz kilku, zwłaszcza trzech rodzajów parlamentaryzmu, mianowicie – klasycznego parlamentaryzmu angielskiego, parlamentaryzmu francuskiego i najnowszego parlamentaryzmu angielskiego, które się wyrażają w trzech różnych postaciach ustosunkowania rządu i parlamentu w ich współpracy wzajemnej. Dyskusji tym razem

właściwie nie było; odbędzie się ona dopiero wtedy, gdy przedstawię wnioski konkretne dla Litwy. Tymczasem tylko niektórzy z obecnych poczynili pewne uwagi względnie zastrzeżenia czy poprawki do tego, co powiedziałem. W szczególności zabierali głos: prof. Janulaitis, Kvieska, prof. Czapiński, prof. Pokštas i ktoś jeszcze. Z tych uwag przekonałem się, że, niestety, głowy starych inteligentów są bardzo mało giętkie i nie umieją się zgoła orientować w problemach konstytucyjnych. Nic nie pomaga im kłaść łopatą do głowy, co to jest parlamentaryzm i na czym polega istota jego odmian. Jak tylko zaczynają mówić, wnet wracają do swoich pojęć wulgarnych o tych rzeczach.

W następnym tygodniu, w drugim referacie, dotknę konkretnie z wnioskami dla Litwy – stosunku rządu dla parlamentu i kwestii budowy personalnej parlamentu. Wtedy się rozwinie dyskusja. Ale będą w niej krzyki kapitalne.

8 marca, rok 1934, czwartek

Słychać, że ruch voldemarasowski ożywił się i cieszy się większym powodzeniem. Podobno ujawniony został jakiś spisek czy coś podobnego w wojsku, w kołach młodszych oficerów. Powiadają, że z tym w związku jest wywiezienie Voldemarasa z Kowna i internowanie go w Jeziorosach. W kołach narodowych młodzieży akademickiej też słychać o narastaniu sympatii voldemarasowskich, które są właściwie z istoty swej zbliżone do maksymalizmu nacjonalsocjalistycznego niemieckiego. W tym kierunku grawituje zwłaszcza korporacja „Lietuva” na skrajnym skrzydle prawicowym organizacji studenckich; ten prąd także wziął górę w prorządowej korporacji narodowców „Neo-Lithuanii”: wybrany tam został nowy zarząd, złożony z voldemarasowców, co przyczynia dużo trosk narodowcom rządowym. Jaki właściwie jest program voldemarasowców – trudno dociec. W metodach działania voldemarosowcy się znacznie różnią, ale czego chcą dopiąć merytorycznie – nie wiem. Czy aby tylko nie germanofilstwa, któremu hołduje sam mistrz. Że się tam kręcą agenci niemieccy – to fakt.

9 marca, rok 1934, piątek

Byłem na święcie skautów w teatrze. Zdaje się, że to 16-ta rocznica założenia skautów litewskich. W teatrze między godz. czwartą a szóstą po obiedzie skauci odegrali parę obrazków, poza tym był śpiew, deklamacje, kilka numerów muzycznych, wykonanych na starych instrumentach narodowych, jak „skudučiai” i inne. Obecny był w swej loży Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona jako wódz skautów litewskich, ministrowie, oficerowie, dygnitarze. Bilety były rozesłane przy zaproszeniach.

10 marca, rok 1934, sobota

Dziś po obiedzie byłem w kinie „Kapitol” na pokazie wzorowym pierwszego filmu litewskiego, przedstawiającego podróż naokoło świata po wszystkich krajach egzotycznych. Jest to inicjatywa grupy nauczycieli litewskich, którzy dążą do stworzenia kina szkolnego. Na pokazie był Prezydent Rzeczypospolitej, ministrowie, wysocy dostojnicy i urzędnicy. Film – wykonany we Francji, dobry, ale tekst objaśniający litewski jest bardzo ubogi, polegający prawie wyłącznie na podaniu nazwy miasta lub widoku.

Wieczorem miałem w domu egzaminy studenckie. W tym roku egzaminuję tylko po czterech studentów dziennie – raz na tydzień.

11 marca, rok 1934, niedziela

Miałem dwa posiedzenia dzisiaj, jedno – mniej poważne, tylko ceremonialne, jak zabawa dziecinna, i drugie – zwyczajne.

Pierwsze „posiedzenie” – to był akt uroczysty 7-mej rocznicy istnienia korporacji akademickiej „Fraternitas Juvenum”. Jest to korporacja, której członkami, czyli filistrami

honorowymi jesteśmy: solista Opery Kipras Piotrowski, ja i prorektor prof. Jodelė. Na akt uroczysty składa się: posiedzenie w sali z udziałem sztandarów barwnych całego szeregu korporacji narodowych, strzeżonych przez delegacje w mundurach fantastycznych, następnie – akt promocji grona fuksów czy braciszków na braci, akt pełny ceremonii i sakramentalnej chińszczyzny, a wreszcie – pozdrowienia... Większość korporacji, których jest kilkadziesiąt, nie ma żadnej treści ani charakteru osobistego; każda z korporacji litewskich hołduje nacjonalizmowi i tym się szczyci, ale co ją różni od innych korporacji – na to odpowiedzieć nie potrafi. Oto – inne barwy, inny zarząd, nieco odrębna ceremonia – i to wystarcza. Chodzi chyba o to, żeby więcej było prezydiów, więcej zaszczytów i honorów, więcej sztandarów. Korporacja akademicka – to zabawka dla dorastających dzieci, które się tym bawią z werwą i powagą, jak gdyby chodziło o rzecz pierwszorzędnej wagi, coś jak gdyby zbawienie ludzkości. Wieczorem miałem wziąć udział w „piwku" („alutis") „Fraternitas Juvenum", ale Jadzia mię od tego wstrzymała.

O godz. piątej odbyło się posiedzenie Towarzystwa „Pan-Europy". Z członków zarządu byli obecni generał Kurkowski, Czaapiński, ja, który przewodniczyłem, Purycki... Gości było kilkudziesięciu. Na posiedzeniu odczyt wygłosił Kurkowski, poza tym Czapiński wystąpił z przemówieniem, poddającym w wątpliwość samą zasadę i ideę Pan-Europy. Odpowiedź na te wątpliwości Kurkowski obiecał dać na następnym posiedzeniu. Dziwaczne dość jest polemizowanie samych członków zarządu z ideą Towarzystwa, którego zarząd stanowią.

12 marca, rok 1934, poniedziałek

Rano wpadli do mnie Eugeniuszostwo Römerowie. Zosia jedzie do Rzymu, korzystając z ulg komunikacyjnych, zarządzonych z powodu wystawy faszystowskiej, Eugeniusz ma jakieś interesy tutaj. Jak zawsze – będąc w Kownie wpadają oni do mnie i umawiamy się gdzieś spotkać i spędzić czas na gawędce: bądź na obiedzie u mnie, bądź w kawiarni czy restauracji. Tym razem oprócz tego ogólnikowego wpadnięcia chodziło im jeszcze o nowiny. O nowiny z pobytu Zubowa w Polsce, jego wizyty u Piłsudskiego. Okazało się, że wiedzą więcej ode mnie. Ich wiadomości są te, które kursują wśród Polaków w Kownie. Powiedzieli mi więc, że Zubow z Polski już wrócił, zabawił tu króciutko i wyjechał do Warszawy z powrotem. Największe więc było ich zaciekawienie – co przywiózł z Warszawy i z czym znów wyjechał. Ten przyjazd na króciutko i ponowny wyjazd czynił wrażenie, że coś się klei, że są jakieś propozycje i że Zubow wpadł tu po instrukcje. Nic na to Eugeniuszostwu powiedzieć nie byłem w stanie, bom się od nich w ogóle po raz pierwszy o powrocie Zubowa dowiedział. Trochę mię to zdziwiło, bo Zubow wyjeżdżał w kontakcie ze mną. Obiecałem Eugeniuszowi w ciągu dnia zasięgnąć języka. Nie miałem czasu na zbieranie wiadomości po mieście, będąc przykuty do moich prac. Tylko wieczorem w pokoju profesorskim na uniwersytecie spotkałem Wacława Biržiškę, od którego nieco się dowiedzieć mogłem. Wacław Bižiška powiada, że Zubow był przyjęty przez Piłsudskiego, ale Piłsudski nie chciał mu nic mówić, dopóki Zubow nie będzie miał jakiegoś upoważnienia od rządu litewskiego. Właściwie więc Zubow wrócił z niczym. Lednicki urządził Zubowi audiencję u Mościckiego i w ogóle zapoznał z różnymi ludźmi ze świata politycznego. Zubow się przekonał, że w Polsce usposobienie na rzecz ugody z Litwą jest dobre, ale że nikt nic konkretnego w tej kwestii nie umie zaproponować, a zwłaszcza nikt nie wie, co o tym myśli Marszałek i jakie są jego wnioski. Wszakże Zubow miał odnieść te wrażenie, że Piłsudski uważa rzecz układu z Litwą za zupełnie dojrzałą, która powinna być właśnie teraz załatwiona i że ma on plan gotowy tego załatwienia, który chce za swego życia zrealizować i który będzie w stanie zadowolić obie strony. Co do ponownej jazdy do Warszawy – to Wacław Biržiška zaprzeczył temu.

13 marca, rok 1934, wtorek

Byłem dziś u Mašalaitisa po pensję za udział w komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Wspomniałem mu o Zubowie, który, jak się okazało, czeka właśnie w poczekalni na prezesa ministrów Tubelisa. Nadmieniłem Mašalaitisowi w postaci pytania, że cóż, pono Zubow niewiele wskórał u Piłsudskiego, a tu już obiegały pogłoski, że ponownie wyjechał do Warszawy. Mašalaitis bąknął, że sprawa jest rzeczywiście trudna i poufnie dodał, że Zubow ma rzeczywiście ochotę wrócić jeszcze do Warszawy. Więcej nie rozpytywałem, ale wychodząc spotkałem Zubowa i prosiłem, żeby zaszedł do mnie. Zubow obiecał i wpadł do mnie o siódmej przed samym moim wyruszeniem na wykład. Zastrzegał wielką tajemnicę, której żąda od niego Tubelis. Pisłudski przyjął go bardzo uprzejmie i nawet serdecznie, wysłuchał go, ale mówić konkretnie w sprawie rozwiązania kwestii wileńskiej i czynić jakieś propozycje – odmówił, dopóki Zubow nie ma żadnego upoważnienia od władz litewskich. „Wilno i spór litewsko-polski – powiada Piłsudski – to nie kiełbasa, o którą się dwóch pokłóciło i którą można się podzielić i zjeść”. Sprawa musi być rozwiązana poważnie i sprawiedliwie, uwzględniając interesy obydwóch stron, aby możliwie obie zadowolić. Tylko w poważnej rozmowie z czynnikami odpowiedzialnymi Piłsudski powie, co myśli. Zresztą nie chce on krępować władz litewskich i żądać wielkich formalności. Wystarczy mu, żeby Zybow przyjechał z listem od Tubelisa. W tym celu Piłsudski wydał Zubowi podpisaną przez Piłsudskiego własnoręcznie przepustkę na przekroczenie w każdym miejscu granicy z Polski do Litwy i z powrotem z Litwy do Polski. Zubow jest przekonany, że Piłsudski ma pewną koncepcję rozwiązania sprawy, której przed nikim nie ujawnia i że należy działać. W tym kierunku oddziaływa on na Tubelisa, który na ogół zgadza się na wysłanie Zubowa w drodze próby, ale zastrzega ścisłą i bezwzględną tajemnicę. Zubow prosił tylko Tubelisa o pozwolenie poinformowania o tym mnie i Lozoraitisa, z zastrzeżeniem zresztą tajemnicy. Jest wszakże kategoryczne i uparte przeciwdziałanie tej akcji ze strony... ministra spraw zagranicznych Zauniusa, który jest obrażony tym, że się cała sprawa dotąd prowadziła za jego plecami i bez jego wiedzy. Tubelis był z Zubowem u Zauniusa i Zauniusowi polecił napisanie listu polecającego Zubowi, ale Zaunius dotąd listu nie napisał i wciąż zwleka i wykręca się. Zubow powiada, że Zaunius grozi dymisją i że dziś zwracał się do naczelnika Banku Litewskiego Staszyńskiego, prosząc o udzielenie mu miejsca w tym banku (zapewne miejsca dyrektora na wypadek dymisji).

14 marca, rok 1934, środa

O godz. 1 ½ miałem audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej. Byłem tam w dwóch sprawach – w sprawie uniwersyteckiej profesorów-cudzoziemców, od których Ministerium Spraw Wewnętrznych ściąga podatek za pracę w myśl nowej ustawy o cudzoziemcach, i w sprawie mojego projektu Szkoły Nauk Politycznych. W pierwszej sprawie powiodło mi się znakomicie. Prezydent Smetona zrozumiał naszą interpretację przepisów, zwalniających niektóre kategorie cudzoziemców od podatku pracy i przyznał, że zasada do zwolnienia naszych profesorów od tego podatku jest mocna. Prezydent przyrzekł sam o tym z ministrem spraw wewnętrznych Rusteiką pomówić.

Sprawa Szkoły Nauk Politycznych utknęła na martwym punkcie. Od chwili, gdyśmy zgłosili do ministra oświaty Šakenisa projekt statutu szkoły, sprawa stanęła i stoi. Minister Šakenis położył ją pod sukno i ze zwykłą mu biernością nic w sprawie tej nie robi. Na pytanie niektórych naszych ludzi, co słychać co do losów szkoły, odpowiada, że sprawa jest trudna, że może być załatwiona li tylko drogą ustawy, albowiem stanowi nowy dotąd w Litwie typ szkoły wyższej, że wobec tego rząd raczej sam założyłby taką szkołę, uznając jej potrzebę, niż udzielił koncesji inicjatywie prywatnej, tym bardziej, że założyciele proszą o wsparcie pieniężne od rządu. Prezydent, któremu zreferowałem ideę Szkoły Nauk Politycznych, przyjął ją przychylnie i obiecał ją rozważyć z Tubelisem. Polecił złożyć jemu i Tubelisowi

odpowiedni memoriał z załączeniem wszystkich dokumentów, dotyczących programu wykładów, statutu szkoły itd.

Dotknęliśmy też w rozmowie z Prezydentem kwestii Kłajpedy i Wilna, czyli stosunku do Niemiec i do Polski. O wycieczce warszawskiej Zubowa i o ewentualnych dalszych stąd perspektywach Prezydent nic nie wspomniał, choć jest z pewnością o wszystkim poinformowany; sądzi zapewne, że ja o zamiarze Zubowa ponownej jazdy nie wiem, bo udzielenie ewentualne Zubowowi pełnomocnictwa do rokowań jest trzymane w ścisłej tajemnicy. Prezydent jest bardzo pesymistycznie usposobiony do widoków ugody z Polską i sądzi, że Piłsudski żadnej koncepcji w tej kwestii nie ma. Wszystkich Litwinów, którzy do niego przyjeżdżają lub zgłaszają się w sprawie ugody, zresztą za jego wiedzą, Piłsudski spotyka tym samym pytaniem: „No, z czymże Pan przyjeżdżasz i co powiesz?" – ale sam nie mówi nic. Tak było ze Staszyńskim, tak było z Jerzym Šaulysem, tak, powiedzmy, było z Zubowem. Prezydent Smetona zgorszony jest też układem pacyfikacyjnym Polski z Niemcami, który uważa za akt nielojalności polskiej względem Francji i w szczególności akt wymierzony przeciwko sąsiadom. Obawia się on, że polityka obecna Polski wkracza na tory polityki Konrada Mazowieckiego i innych książąt Mazowsza przeciwko polityce Światopełka Pomorskiego, broniącego praw polskich na zachodzie i wyrażającego politykę solidarności z ludami bałtyckimi, zagrożonymi przez niemiecki „drang nach Osten". Prezydent Smetona stanął dziś ze swym rządem wyraźnie i kategorycznie na stanowisku walki z Niemcami i ratowaniu sprawy kłajpedzkiej. Z germanofilstwa jego nie zostało nic w polityce czynnej litewskiej, ale widać i czuć, że go sytuacja wielce niepokoi, bo nie czuje on mocnego i szczerego oparcia o Polskę ani czuje on tego w stanowisku Polski.

15 marca, rok 1934 czwartek

Wczoraj od godz. piątej do ósmej wieczorem w lokalu Gabinetu Ministrów obradowała nasza komisja konsultantów do spraw kłajpedzkich, która teraz bardzo rzadko się zbiera. Obecni byli: Mašalaitis, dyrektor Departamentu Politycznego Ministerium Spraw Zagranicznych Stanisław Lozoraitis, gubernator Kłajpedy Novakas i ja (Tadeusz Pietkiewicz – od dłuższego czasu chory). Aktywizm polityki litewskiej w Kłajpedzie coraz bardziej się akcentuje, a właściwie teraz toczy się siłą nabranego rozpędu i rozwija się w akcji bardzo szybkiego dojrzewania. Chodziło na wczorajszym zebraniu o dwie rzeczy. Jedną z nich była odpowiedź litewska na ostatnią notę niemiecką, zredagowana przez Lozoraitisa. Nota niemiecka dotyczyła ogłoszonej przez Litwę ustawy o bezpieczeństwie państwa, rozciągającej się na całe państwo włącznie z Kłajpedą. Na zasadzie tej ustawy, skierowanej przeciwko ruchom zagrażającym państwu, rozpoczęło się wielkie śledztwo przeciwko stronnictwom nacjonal-socjalistycznym Sassa i Neumanna w Kłajpedzie, uzależnionym od hitleryzmu niemieckiego. Śledztwo dało już bogaty materiał oskarżający, ujawniający, że stronnictwa te dążyły do oderwania Kraju Kłajpedzkiego od Litwy, gromadziły broń i działały na rzecz państwa obcego. Odpowiedź litewska, którą Litwa wraz z notami niemieckimi i całym materiałem śledztwa prześle w odpisach sygnatariuszom, odrzuca notę niemiecką, wychodząc z założenia, że akcja państwowa Litwy w Kłajpedzie (nawet gdyby pogwałcanie statutu autonomicznego miało miejsce) jest sprawą wewnętrzną litewską, do której Niemcy wtrącać się nie mają żadnego tytułu. Litwa odpowiada przed sygnatariuszami konwencji, wobec których zobowiązała się do utrzymania statutu autonomicznego Kłajpedy, ale nie wobec Niemiec. Gubernator Novakas żądał, żeby odpowiedź litewska nie zawierała nic innego nad to stwierdzenie niedopuszczalności interwencji niemieckiej w sferę stosunków wewnętrznych Litwy i oponował kategorycznie przeciwko zawartemu w nocie Lozoraitisa stwierdzeniu, że teza niemiecka ustanawia niedopuszczalny zgoła fakt, jakoby zwalczanie przez państwo akcji, skierowanej przeciwko bezpieczeństwu państwowemu, mogło być przeciwne statutowi autonomicznemu, czyli że statut autonomiczny broniłby taką akcję przeciwpaństwową przed

państwem. Druga kwestia – to plan dalszego działania gubernatora. Nie jest wykluczone, że Litwa może być ze względu na ustawę o bezpieczeństwie państwa pociągnięta przez sygnatariuszy przed Trybunał w Hadze. I oto gubernator chce na ten wypadek tak okoliczności ułożyć, żeby wina w całej jaskrawości uwydatniła się po stronie dyrektorium. Robi on to tak. Zażąda on zaraz od prezesa dyrektorium Schreibera, aby zawiesił w czynnościach prokuratora Roppa i 21 policjantów krajowych Kłajpedy, których przynależność do stronnictw Sassa i Neumanna została przez śledztwo stwierdzona. Gubernator jest pewny, że Schreiber odmówi ich suspendowania, ponieważ samo śledztwo uważa za nielegalne. Wtedy gubernator odwoła prezesa dyrektorium Schreibera, jak to już miało miejsce z Böttcherem przed wyrokiem haskim. Ujawnienie przez śledztwo kompromitującego materiału względem tych dwóch stronnictw, ustalenie, że były one kierowane zza granicy i miały na celu oderwanie prowincji od państwa. Chodzi o to, żeby wytworzyć atmosferę i wrażenie, że chodzi istotnie o jeden z tych „*actes graves, contrevenant au statut de Memel et portant atteinte à la Souveraineté de la Lithuanie*", kiedy „*à défaut d'autre moyen*"[14] odwołanie prawne dyrektorium jest w myśl wyroku haskiego zupełnie legalne. Słowem w Kłajpedzie idzie na ostro.

16 marca, rok 1934, piątek

I znowu – po raz trzeci – nawracam do środy, w której miałem audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej, posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich i wieczorem jeszcze posiedzenie Klubu Politycznego, na którym referowałem drugą część mojego odczytu o parlamencie. Tym razem dotknąłem problemu stosunku parlamentu do rządu, ale dość pobieżnie, podkreślając jeno pożądaność ich równości, lecz ostrzegając przeciwko wzmożeniu władzy rządzącej aż do potęgi dyktatury i o wiele szczegółowiej – problemu struktury personalnej parlamentu. Pod tym względem wypowiedziałem się znowu, jak niedawno w artykule w odpowiedzi na ankietę czasopisma „Tėvų Žemė", na rzecz dwoistego parlamentu z podziałem między dwiema jego połowami – polityczną i ekonomiczno-zawodową – kompetencji ustawodawczej z poprawkami „veto" (apelacji od referendum) między tymi parlamentami. Byłby to parlament polityczny, oparty na demokracji głosowania powszechnego i parlament „socjokratyczny" gospodarczy, oparty na przedstawicielstwie korporacyjno-zawodowym. Obok tych dwóch zarysowuje się w mojej konstrukcji jeszcze parlament trzeci – kulturalny. Moją konstrukcję dwoistego parlamentu zapożyczam poniekąd z teorii „gildii" w Anglii i poniekąd z konstytucji, którą w r. 1920 Gabriel d'Annunzio był nadał stworzonemu przezeń państewku Fiume nad Adriatykiem (Rzeczpospolita Carnaro). Moja konstrukcja jest bardzo umiarkowana i stanowi jeno poprawkę korporacyjną do demokracji, która dziś jest atakowana na całej linii i zalewana przez hasło korporacyjności w budowie politycznej. W debatach większość członków Klubu zajęła wobec wniosków stanowisko przychylne. Zresztą są to dopiero „*des tâtements*". Dla wielu jest to kwestia, w której się jeszcze połapać nie bardzo umieją.

Prasa, zwłaszcza lewicowa, traktuje Klub Polityczny z pewnym przekąsem, posądzając go o agenturę do odrywania ludzi od lewicy i skierowywanie ich do ideologii faszystowskiej. Szczególnie ta okoliczność, że założycielem Klubu jest ex-ludowiec Kvieska, nie daje spać lewicy.

17 marca, rok 1934, sobota

Klęska nieurodzaju dotknęła ze szczególną siłą północne powiaty Ziemi Wileńskiej – brasławski, dziśnieński, święciański. Na przednówku ten nieurodzaj zaczyna się wyrażać w

[14] „istotnych czynów, sprzecznych ze statutem Kłajpedy i niosących uszczerbek zwierzchności Litwy", kiedy „z braku innego sposobu"...

głodzie ludności miejscowej. W Wilnie utworzył się komitet wojewódzki ogólny niesienia pomocy miejscowościom dotkniętym klęską (komitet ten jest pod przewodnictwem generała Żeligowskiego), skądinąd zaś Litwini wileńscy też się zajęli utworzeniem takiego komitetu. Na razie władze nie zgadzały się na nic więcej ze strony Litwinów, jak na zasilanie ofiarami komitetu wojewódzkiego, na co Litwini, zwłaszcza ze względu na osobę prezesa komitetu wojewódzkiego, nie mogli się zgodzić. W ostatnich dniach jednak władze wileńskie poszły na ustępstwa i udzieliły pozwolenia na akcję samodzielną komitetu litewskiego w kontakcie z wojewódzkim. Uformował się więc w Wileńszczyźnie komitet litewski obok wojewódzkiego (komitetowi litewskiemu przewodniczy Stašys). Zaraz też powstała tutaj myśl założenia komitetu do zbierania ofiar na rzecz głodnych w Wileńszczyźnie i kierowania tych ofiar do komitetu litewskiego w Wilnie. Tu kwestię tę podjął związek stowarzyszeń akademickich litewskich i pewne koła Wilnian z prof. Zygmuntem Žemaitisem na czele (prof. Zygmunt Žemaitis, dziekan Wydziału Przyrodniczo-Matematycznego, osobiście przyjaciel Polaków i Polski, ale pod warunkiem zwrotu Wileńszczyzny, sam rodowity Wilnianin-Dzuk ze Święciańszczyzny, jest prezesem stowarzyszenia „Związek Wilnian" – „Vilniečių Sąjunga", konkurującego z „Vilniui Vaduoti Sąjunga" – „Związkiem Odzyskania Wilna", robiącym więcej hałasu i spekulacji). Žemaitis zakrzątnął się, zwołał naradę grona ludzi, porozumiał się z upatrzonymi wodzami organizacji i na pozawczorajszym posiedzeniu przedstawicieli instytucji społecznych w sali Izby Rolniczej założony został Komitet Pomocy Głodnym w Wileńszczyźnie, personalnie skopiowany z Komitetu Pomocy Litwie Północnej sprzed pięciu lat. Różnica u szczytu organizacji tylko ta, że zamiast pani prezydentowej Smetonowej jako prezeski honorowej, tam prezeską honorową jest pani premierowa Tubelisowa (Chodakowska z domu, siostra rodzona pani prezydentowej), zaś wiceprezesową honorową – pani Bronisława Michałowa Biržiškowa, prezesem zaś rzeczywistym jest Žemaitis (tam był nim Władysław Putwiński, zmarły w toku urzędowania), poza tym zaś dosłownie jak w tamtym komitecie: I i II wiceprezesem efektywnym – ksiądz dziekan kapelan wojskowy Mironas i ja, kasjer – Zygmunt Toliušis i sekretarz – Zygmunt Starkus.

18 marca, rok 1934, niedziela

Dwie dziurki w nosie i – skończyło się.

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, poza tym nigdzie żadnych posiedzeń, zebrań, uroczystości itp. – nie miałem. Wieczorem byłem z Jadzią i Andrzejem w kinie na filmie węgierskim.

Dwie dziurki w nosie i – skończyło się.

19 marca, rok 1934, poniedziałek

Rano miałem posiedzenie zarządu Towarzystwa Szkoły Nauk Politycznych. Zreferowałem na nim moją audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej. Postanowiliśmy w myśl udzielonej przez Prezydenta wskazówki zwrócić się ustnie do prezesa ministrów Tubelisa i skłonić go do naszej tezy, wyrzekając się nawet subsydium rządowego, gdyby Tubelis czynił swoją aprobatę zależną od tego; oprócz tego zgłosimy memoriał do Prezydenta i prezesa ministrów.

O godz. 4 min. 30 musiałem, jako wiceprezes komitetu Pomocy Głodnym w Wileńszczyźnie, udać się w zastępstwie prezesa tegoż Komitetu, profesora Žemaitisa, który miał jakiś wypadek wczoraj i zachorował, do lokalu Związku Dziennikarzy w restauracji „Lietuvaitė" przy ul. Dowkonta dla poinformowania prasy o składzie osobistym, zadaniach i przewidzianej pracy tego Komitetu. Wykonałem to *ex promptu*, sam nie bardzo dokładnie o wszystkim poinformowany.

Potem miałem wykład i colloquium na II semestrze prawa, po czym jeszcze udałem się do teatru na ósmą, gdzie nasz chór akademicki pod batutą młodego dyrygenta Kowackiego

dawał koncert publiczny. W koncercie wzięło też udział dwóch solistów opery – Marianna Rokowska i wielki Cyprian Piotrowski. Po koncercie sfotografowałem się na scenie z chórem i solistami Opery.

20 marca, rok 1934, wtorek

Mamy śliczny czas wiosenny. Słońce, powietrze łagodne i czyste, ptaszki polne i leśne się odzywają. Już i z Bohdaniszek piszą, że śnieg już stopniał i że zamróz już puścił. Są już tam skowronki, szpaki. Śliczny czas! Z radością za tydzień wyjadę na wieś na święta Wielkanocne. W połowie maja tego roku chcę się wybrać do Karlsbadu na wielką kurację. W stanie mojego zdrowia zmian nie ma. Niestety – polepszenia wyraźnego nie czuję, mimo że już od 2-3 tygodni robię codziennie zastrzykiwanie kamfory pod skórę i co trzy dni – zastrzykiwanie żelaza do muskułów. Ale senność wciąż jest wielka i nie ustaje, upadek sił – znaczny, pracować mogę znacznie mniej produkcyjnie niż dawniej i na ogół ilościowo mniej; doświadczam też osłabienia pamięci i męczę się bardzo prędko. Od wczoraj wznowiłem kurację głodową dr Elkisa z całą ścisłością, jak w pierwszych czasach przed dwoma laty. I zdaje mi się, że to jest ze wszystkiego najlepsze i najskuteczniejsze w moim stanie.

21 marca, rok 1934, środa

Wybierałem się wczoraj na wykład na IV semestrze ekonomistów i stamtąd na posiedzenie Klubu Politycznego. Stało się jednak inaczej. Otrzymałem na godzinę szóstą wezwanie od Mašalaitisa na posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Zastałem Mašalaitisa, Lozoraitisa i Tadeusza Pietkiewicza, który, acz jeszcze niezupełnie zdrów, bo co dzień gorączkuje, z domu już wychodzi i obowiązki swe spełnia.

Sytuacja w Kłajpedzie jest niedobra. Gubernator Novakas zanadto się gorącuje i naraża przez to sprawę. Jego plan działania, skierowany do odwołania prezesa dyrektorium Schreibera, omówiony w tygodniu ubiegłym, uległ zmianie. Żądanie zawieszenia w czynnościach prokuratora Roppa i 21 policjantów w stosunku do Roppa upadło, ponieważ Ropp został z rozkazu sędziego śledczego zaaresztowany i dyrektorium mianowało już prokuratorem niejakiego Adomaitisa. Gubernator w pierwszym piśmie swoim do Schreibera, datowanym z d. 16 marca, zwrócił jego uwagę na fakt należenia 21 policjantów do organizacji politycznej, która, jak uwydatniło śledztwo, była skierowana do oderwania Kraju Kłajpedzkiego od państwa. Na to Schreiber odpisał, że on tę okoliczność rozważy. Wtedy gubernator wystosował do niego drugie pismo, ultymatywne, z terminem wykonania do 23 marca, żądające kategorycznie wydalenia tych 21 policjantów i jednocześnie zażądał od Schreibera podania się do dymisji z powodu przemówienia, które tenże wygłosił na posiedzeniu sejmiku i w którym krytykował czy też poddawał w wątpliwość legalność statutową ogłoszonej przez rząd centralny ustawy o bezpieczeństwie państwowym. Na tym punkcie powstał rozdźwięk między rządem a gubernatorem. Rząd uważa, że nie należało tych rzeczy stawiać tak ostro i ultymatywnie, albowiem niewykonanie tych żądań nie może usprawiedliwić odwołania prezesa dyrektorium. My też ze swej strony drogą analizy prawniczej stwierdziliśmy, że argumenty Novakasa nie mogą – w myśl formy wyroku haskiego – usprawiedliwić odwołania prezesa dyrektorium, bo gdyby nawet było można twierdzić, że zachodzi tu „*les grave*“, co zresztą jest wątpliwe, to nie ma tu kwalifikacji „*à de fant d'entre moyens*“, albowiem ani policjantów, ani Schreibera nie pociągnięto do odpowiedzialności, co w myśl ustawy o bezpieczeństwie państwa należy do centrum. Słowem – Novakas przeholował i rząd nie odważa się go aprobować. Na tym zyskuje natychmiast Zaunius, którego pozycja się wzmacnia i który dąży do złagodzenia kursu antyniemieckiego w Kłajpedzie, zaś upłynięcie terminu ultimatum bez wyciągnięcia wniosków daje Schreiberowi zwycięstwo nad Novakasem i kompromituje gubernatora, który może się okazać w pozycji z jedynym wyjściem – własnej dymisji. Dymisja zaś gubernatora Novakasa

byłaby dziś porażką polityki litewskiej w Kłajpedzie i mogłaby oznaczać cofnięcie się na całej linii, bo liczne czynniki germanofilskie w samym rządzie kowieńskim z Zauniusem na czele mogłyby się rzucić do ataku na aktywistów, brak zaś w Kłajpedzie na stanowisku gubernatora takiego człowieka zdecydowanego jak Novakas mógłby przesądzić upadek aktywizmu i powrót do marazmu poprzedniego. Fakty te w związku z nieświadomością co do istotnego znaczenia paktu polsko-niemieckiego i rozsiewaniem przez połpreda Karskiego pogłosek, że pakt polsko-niemiecki sięga o wiele dalej, niż się przypuszcza powszechnie, odbierają odwagę Litwinom. Czynniki litewskie nic nie wiedzą, czy można liczyć na Polskę czy nie, a tymczasem ekonomicznie zatarg z Niemcami jest bardzo ciężki. Sprawia to, że czynniki, nawołujące do umiarkowania czy nawet pewnej uległości wobec Niemców – mogą zyskiwać na posłuchu, podczas gdy aktywiści nie są w stanie powołać się na ewentualną pomoc Polski, która zachowuje pozycję sfinksa i – otulona w pakt z Niemcami – patrzy i milczy.

Potem posiedzenie konsultantów, zapomniałem już pójść do Klubu Politycznego.

22 marca, rok 1934, czwartek

Jestem usposobiony dość pesymistycznie co do najbliższych perspektyw w polityce zagranicznej Litwy. Nic nie wiem i nie mam możności dowiedzenia się, czy Zubowowi dano na koniec list, żądany przez Piłsudskiego do rozpoczęcia rokowań i czy Zubow wyjechał do Warszawy czy nie. Jeżeli Zubow jest w Warszawie, to sytuacja nie może być jeszcze niebezpieczna, bo jest to fakt takiej wagi, że władze litewskie z pewnością się z nim liczą i wyszukują skutku. Nim się coś z tej akcji Zubowa ujawni, dopóty władze litewskie nic stanowczego nie przedsięwezmą i linii dotychczasowej w Kłajpedzie nie zmienią. Jeżeli jednak akcja Zubowa została zaniechana, to rzecz się przedstawia w najbliższych perspektywach kiepsko. Wtedy ewentualność załamania się zbyt gorącej akcji gubernatora Novakasa i ewentualność jego dymisji, która się zarysowuje, może zapowiadać kapitulację Litwy wobec Niemiec i osłabienia tempa aktywizmu litewskiego w Kłajpedzie. Są na to mocne dane. W rządzie dwa prądy wciąż się ścierają. Germanofilów jest niemało w dyplomacji litewskiej, w kołach rządzących. Na wskroś germanofilski jest kierunek Voldemarasa, w rządzie do germanofilstwa ciąży mocno Zaunius, pewne tradycje polityki germanofilskiej żywe są nawet w psychice Prezydenta Smetony i Tubelisa; przyłącza się do tego tendencja pewnych kół gospodarczych, które w ugodzie z Niemcami widzą jedyną doraźnie perspektywę sanacji gospodarczej kraju. Siły te i czynniki mogą się połączyć i korzystając z załamania się aktywizmu Novakasa zarządzić zwrot w polityce kłajpedzkiej. W tych okolicznościach sfinksowa postawa Polski, brak wszelkiej z tej strony zachęty Litwy do wytrwania może oddziałać na decyzję Litwy fatalnie. Ta sfinksowość Polski nabiera cech szczególnych wobec jej paktu z Niemcami, o którego istocie nikt nic dokładnego nie wie, a każdy się czego innego domyśla, gdy w dodatku z kół poselstwa sowieckiego szerzone są insynuacje czy sugestie, że pakt ten organizuje o wiele szersze i głębsze porozumienie polsko-niemieckie, niż się powszechnie przypuszcza. Bo przecie trzeba wiedzieć, że wszelki aktywizm litewski w Kłajpedzie może się zasadzać li tylko na przypuszczeniu oparcia się o Polskę; jeżeli w Polsce oparcia tego nie ma, to aktywizm litewski skazany jest na przegraną.

Eugeniusz Römer, któremu dziś to wszystko opowiadałem, jest bardzo zafrasowany i poruszony. Uważa on, że Polska powinna zrobić jakiś gest, wykazujący solidarność z Litwą w jej polityce kłajpedzkiej, aby Litwę zachęcić do wytrwania. Chce też oddziałać w tym kierunku na czynniki decydujące w Polsce via poseł Bankowicz w Rydze. Sytuacja jest w każdym razie ciężka.

23 marca, rok 1934, piątek

Od kilku dni rozpocząłem, raczej wznowiłem najściślejszą kurację głodową, raczej podgładzanie się, jaką mi przed dwoma laty przepisał dr Elkis, a której w ciągu ostatnich 1 ½ roku zaniedbałem (co prawda, nie wróciłem nigdy do całkowitego obfitego najadania się do syta, jak dawniej). I nie wiem, czy to na skutek tego głosowania, czy też na skutek zastrzykiwanej mi kamfory i żelaza, a może dla obu tych przyczyn – w ciągu tego tygodnia wzmocniłem się ogromnie. Czuję się zdrów i silny, jak dawno się nie czułem. Od razu mi przybyło energii, sił i fantazji. Daj Boże, aby tak szło dalej i aby Karlsbad jeszcze bardziej to utrwalił.

Wieczorem zaproszony byłem do poselstwa sowieckiego na koncert i przyjęcie towarzyskie. Pierwszy raz byłem na przyjęciu w tym poselstwie. Przyjęcia sowieckie sławią się niezwykłą znakomitością przysmaków i przekąsek, najbardziej wyszukanych i wyborowych, najdoskonalszych, na jakie stać tylko Rosję z jej czasów carskich zbytkownych. Kawior z Astrachania, ryby z Wołgi, wyśmienite drogie konserwy i przysmaki rzek północnych i sybirskich – wszystko to zalega stoły gościnne połpredztwa sowieckiego. Wódki, likiery, wina, owoce, ciasta – uzupełniają rozkosz smakoszów. W salonie poselstwa zebrało się sporo gości – do 80 osób. Z ministrów byli Šakenis, Zaunius, Vileišis, Rusteika, poza tym przeważnie świat polityczny, profesorski, trochę sztuki. Dużo też było pań. Na koncert złożyły się utwory młodych kompozytorów sowieckich, wykonane przez artystów orkiestry operowej naszej, względnie przez uczniów konserwatorium w Kownie, a w jednym wypadku – i był to właśnie najładniejszy z numerów koncertu – odśpiewana przez solistę Opery, basa Nagrodzkiego (pieść ludowa rosyjska „Leciał kruk”). Były też numery orientalne – piosnki turkmeńskie i kazachstańskie.

24 marca, rok 1934, sobota

Rano Jadzia i Andrzej Mieczkowski wyjechali już na święta do Bohdaniszek. Ja ze służącą Kostusią Merkisówną wyjadę dopiero we wtorek.

Byłem dziś na moim stanowisku rektorskim na uniwersytecie, poza tym zaś spędziłem dzień w domu. Egzaminowałem studentów, wieczorem pisałem artykuł do Wilna.

Przed wieczorem przyszło do mnie dwóch studentów ze zrzeszenia stowarzyszeń litewskich, prosząc o pozwolenie na wiec protestacyjny w sprawie Kłajpedy. Zakomunikowali mi oni, że prezes dyrektorium odmówił żądaniu gubernatora wydalenia ze służby policjantów, którzy należeli do organizacji hitlerowskich Sassa i Neumanna, ale do odpowiedzialności sądowej przez sędziego śledczego pociągnięci nie zostali. O tej odmowie dowiedzieli się studenci od gubernatora Novakasa i chcieli przeciwko temu protestować, domagając się represji na opór dyrektorium. W gazetach jeszcze nic o tej odmowie nie było, ale była ona do przewidzenia. Wskazałem studentom, że sytuacja jest wcale nie tak prosta, jak im się zdaje, że zachodzi w ogóle wątpliwość, czy samo żądanie gubernatora było statutowo legalne i że nie jest wykluczone, czy odmowa prezesa dyrektorium nie poskutkuje nawet dymisją gubernatora. W każdym razie, rząd będzie rozważał sytuację; nie należy uprzedzać decyzji i w kwestiach polityki zasadniczej rzucać się przedwcześnie, nim się nie ujawniła decyzja rządu, aby rządowi nie utrudniać pozycji i nie odosabniać go. Studenci zrozumieli moje argumenty i ulegli im; prosili jednak o pozwolenie na wiec, przyrzekając jeno, że kwestii odmowy dyrektorium dotykać nie będą. Pozwoliłem na tych warunkach, ale z zastrzeżeniem, że na wiecu będzie ktoś z profesury, któremu instrukcji udzielę. Wrócili do mnie niebawem z prof. Żołkowskim, podprokuratorem Trybunału i byłym gubernatorem Kłajpedy, któremu udzieliłem instrukcji i upoważniłem do dozorowania wiecu.

Sytuacja w Kłajpedzie rzeczywiście trudna. Ciekaw jestem, jak rząd z niej wybrnie. Szkoda byłaby wielka, gdyby Novakas upadł z tego powodu.

25 marca, rok 1934, niedziela

Dokończyłem artykuł po polsku do Wilna. Wyślę go Ludwikowi Abramowiczowi. Streściłem w nim tezę, że walka Litwy z Niemcami o Kłajpedę jest dziś walką forpocztową przeciwko niemieckiemu „Drang nach Osten!”, godzącemu w wolność wszystkich ludów na wschodnim wybrzeżu Bałtyku do Estonii włącznie i w głębokim hinterlandzie, ogarniającym Polskę, Białoruś i nawet ewentualnie Rosję północno-zachodnią (Polaków). Głęboki więc i przedmiotowy solidaryzm wiąże tę akcję litewską i samą Niepodległość Litwy, zależną od posiadania Kłajpedy, ze sprawą wszystkich tych ludów, nie wyłączając Polski. Tego faktu przedmiotowego nie pomniejsza ta okoliczność, że Litwa z Polską ma przewlekły i nie dający się dotąd wygładzić konflikt, wynikły z polityki polskiej z lat 1919-1922. Nie pomniejszają go nawet takie okoliczności, jak pakt polsko-niemiecki Becka, którego istoty nie znamy i który odciążył w tej walce Polskę na rzecz obciążenia Litwy służbą forpocztową, osłaniającą tę samą Polskę wraz z jej Pomorzem, albo jak enuncjacja Becka sprzed kilku dni, obrażająca Litwę lekceważeniem i pogardą. Stawiam więc politykę Polski pod znakiem zapytania i wołam do sumienia polskiego o inicjatywę do ugody, opartej na sprawiedliwym uwzględnieniu interesów i roszczeń obydwóch stron w kompromisowym zlikwidowaniu sporu.

Na uniwersytecie w sali tzw. pierwszego gmachu (przy ul. Mickiewicza) otwarta dziś została wystawa obrazów Percikowiczówny i rzeźby Norkiewicza. Percikowiczówna i Norkiewicz są uczniami Justyna Wienażyńskiego. Senat akademicki udzielił im lokalu na wystawę na skutek rekomendacji dyrektora Muzeum Czurlanisa – docenta Hołowni (Galaunė). Nie wiem jednak, czy nie pożałuje tego, bo o ile rzeźba Narkiewicza jest wcale niezła, o tyle obrazy Percikowiczówny są przeważnie słabe i mdłe; są to dziwaczne kompozycje, fragmenty przekrzywione, jakby pijane, miasta, portrety zmanierowane i niepodobne, styl robionego prymitywu... Jest tam i mój portret, także portret prorektora ks. Česnysa i prof. Bielackina. Mój portret, o którym mi Percikowiczówna mówiła z zachwytem, ujrzałem dziś po raz pierwszy (szkicowała go ona raz w moim mieszkaniu podczas egzaminów studenckich i po naszkicowaniu zawinęła i wyniosła nie pokazując). Jestem na tym portrecie zgrzybiały, cały osiadły w głąb, jak szmata bez energii i sprężystości, podobny z rysów twarzy do śp. dr Antoniego Vileišisa, a z ogólnego wyrazu – do Jaśnie Oświeconego maniaka Xięcia Jana Giedymina-Bierżańskiego-Klausutisa herbu Pomian. Tylko że sama artystka Percikowiczówna, Żydówka, jest rozbrajająco przekonana o doskonałości swoich utworów, miła, entuzjazmująca się i pełna cichego ognia wewnętrznego, niezmiernie kobieco słodka i przylepiająca się szczerze do każdego spotkanego człowieka.

26 marca, rok 1934, poniedziałek

Byłem dziś u Prezydenta Smetony na audiencji wraz ze studentem Popławskim, prezesem związku wydziałowego studentów humanistów, dla uproszenia Prezydenta o wygłoszenie dla młodzieży akademickiej odczytu na temat wychowania narodowo-państwowego. Humaniści bowiem zamierzają w kwietniu urządzić „tydzień kultury”, na który ma się złożyć cykl odczytów (w tej właśnie liczbie – Prezydenta, dziekana Krėvė-Mickiewicza, mój, prof. Izydora Tamošaitisa, Vydunasa) i następnie na zakończenie – wieczór literatury litewskiej w teatrze. Prezydent zgodził się na to chętnie. Student Popławski, chłopiec bardzo wrażliwy, był zachwycony.

Po obiedzie miałem z Natkiewiczem i Kavolisem audiencję u prezesa ministrów Tubelisa, który jest zawsze bardzo miły. Była to audiencja w sprawie Szkoły Nauk Politycznych. Prezes Tubelis nie tylko że wysłuchał naszych argumentów i zgodził się na nie, ale jeszcze ze swej strony długo argumentował na rzecz szkoły. Mamy więc zapewnione poparcie jego i Prezydenta Smetony.

Potem odbyło się posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich (Mašalaitis, Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja). Okazało się, że sprawy z ultimatum gubernatora stanęły

nie tak źle, jak się zdawało: co do większości urzędników, których usunięcia gubernator był zażądał, dyrektorium wytoczyło im sprawę dyscyplinarną; w istocie innego sposobu usunięcia urzędnika jak wyrokiem dyscyplinarnym w Kłajpedzie nie ma; dyrektorium więc zrobiło, co do niego należało, a nic więcej zrobić nie mogło; co innego, że sąd dyscyplinarny w Kłajpedzie ich zapewne uniewinni. Przesilenia więc nie ma. Ale zachodzi niebezpieczeństwo: sejmik kłajpedzki decyduje się na wystosowanie skargi do Ligi Narodów.

Znalazł się czas i na Andzię.

27 marca, rok 1934, wtorek

O godzinie jedenastej przed południem wyjechałem z Kostusią Merkisówną z Kowna. Na mój wyjazd do Bohdaniszek natura ubrała się w szatę zimową: w nocy wypadł śnieg i rano ziemia cała pokryta była bielą nieskalaną, która stopniowo w ciągu dnia, ale powoli, topniała, ustępując z otwartych miejsc powierzchni w szczeliny.

Dojechałem do Radziwiliszek, tu zmieniłem pociąg i jechałem dalej ekspresem berlińsko-moskiewskim w wagonie restauracyjnym. O piątej po obiedzie byłem już w Abelach. Spotkał mię parobek Dainys w bryczce parą moich koni, drugi zaś parobek Tumėnas jednym koniem wiózł rzeczy i Kostusię. Droga paskudna, błoto zmieszane ze świeżym śniegiem, ale już grunt się po puszczaniu zamrozu zamknął, więc głębokich roztopów nie ma.

W Bohdaniszkach spotkała mię Jadzia. Zastałem tu wszystkich z mojej służby bezpośredniej: ekonom Pumpol, ochmistrzyni, ogrodnik Narbut, lokaj Kazimierz Jankowski, dziewczyna do inwentarza – Moskiewka Lina, nasza służąca osobista z Kowna – Kostusia Merkisówna, mała wychowanka Jadzi – Renia Bohdanówna i pasierbica ochmistrzyni, która się uczy w Antoleptach i stamtąd na święta na wakacje przyjechała. Gospodarstwa nie oglądałem, bo już było ciemno. Do starego domu też nie chodziłem, bo błoto szalone.

28 marca, rok 1934, środa

Przyjemnie szwendać się po Bohdaniszkach, zaglądać do gospodarstwa, do obory, gdzie mój buhaj mruczy złośliwie na intruzów i gdzie gromadka cielątek świadczy o dorastającej oborze, oglądać drzewka dekoracyjne, cieszyć się rozległym ogrodem, witać kochane widoki. Błoto tylko szalone. Ale wiatr i powietrze wiosenne, jak wino. Rozkosznie.

29 marca, rok 1934, czwartek

Dnie płyną tu w Bohdaniszkach tak równo i spokojnie, że trudno znaleźć coś, co byłoby godne notowania w dzienniku. Dziś u sióstr moich wielki dzień spowiedzi. Marynia, Elwira z dziećmi – spowiadały się w Abelach. U mnie Jadzia zajęta była robieniem kiełbas. Ekonom z parobkami – piłują i rąbią drzewo na drwa i usypują stogi drew. Zapasu drew poczyniłem tej zimy na jakieś dobre dwa lata, a może nawet na dłużej. Z ochmistrzyni nowej – pani Żukowskiej – jak dotąd jestem bardzo zadowolony – zna się na wszystkim, jest doświadczona i czynna. Ogrodnik natomiast mniej mi się podoba; mam wrażenie, że się trochę leni i że nie bardzo się zna na rzeczy.

Chcę stawiać latem ptasznik. Za postawienie ptasznika z paru chlewikami świńskimi w nim – ogółem 15 metrów długości na 6 metrów szerokości – za całą robotę od podmurówki do dachu i stolarskiej roboty włącznie, majster, rekomendowany przez Budkiewicza, żąda 650 litów. Budynku jeszcze nie obstalowałem. Majster ma przyjść jeszcze i dać mi ścisły wykaz materiału, potrzebnego do budowy.

30 marca, rok 1934, piątek

Co dzień to samo. Ptactwo, jaja, obora, stajnia, chlew, rąbanie drzewa na drwa, oglądanie drzewek, chłód, błoto. Marynia i Mieczkowscy tak zbiednieli, że nawet gazet nie prenumerują. Marynia aż płakała, pisząc po nowym roku do redakcji „Dnia Kowieńskiego“,

aby jej gazety nie przysyłano. Względy niezbędnej oszczędności nakazały też Maryni wyrzec się radia. Gazety pożyczają oni czasem od Neefów z Rakiszek. Stefan Mieczkowski się opuścił, chodzi niedbały i brudny, dużo we dnie śpi, tylko wczesnymi rankami alarmuje dom, chodzi, budzi dom, krzyczy. Z Elwirą się wciąż kłócą.

Rozpoczęły się dziś przygotowania do święconego. W starym domu rej wodzi Helcia Mieczkowska, która napiekła już siedem mazurków, piecze babki i torty. Marynia, zdaje się, za całe święcone mieć będzie tylko szynkę. U mnie będzie szynka w chlebie, indyk, polędwica wieprzowa świeża, szpekuchy i pieróg ruski, nadziewany mięsem wołowym, parę babek, tort czekoladowy, mazurek cygański, jaja, piwo. Fabrykacja święconego rozpocznie się u mnie i zakończy jutro.

31 marca, rok 1934, sobota

Punkt kulminacyjny przed świętem. Życieześrodkowuje się w kuchniach. Panują kobiety. Wieczorem wyprodukowane przez kuchnię ciasta i mięsiwa wjeżdżają do pokoju i zajmują miejsca na stole, czekając na spełnienie swego losu, którym jest ich pożarcie.

1 kwietnia, rok 1934, niedziela

I dzień Wielkiejnocy. Dzień się zaznaczył, jak zwykle na Wielkanoc – obfitym jadłem. Tego dnia ludzie są przeładowani mięsem i ciastem. Na śniadaniu byłem z Jadzią u Mieczkowskich, na obiedzie cały stary dom, to znaczy cała rodzina Mieczkowskich i oboje Budkiewiczowie – wszyscy przyszli do mnie.

Wiatr ustał i powietrze się stopniowo poprawia. Ziemia szybko schnie.

Mała Renia (Irena, Irutė) Bohdanówna (Bagdonaitė), sierota bez ojca i bez matki, córka śp. Staśka, furmana i szofera Komorowskich z Kowaliszek, wiernego sługi i przyjaciela osobistego Hektora Komorowskiego, człowieka bardzo zdolnego i szczególnie uzdolnionego do wszelkiej mechaniki, dziewczynka dziewięcioletnia, którą Jadzia, jako krewną swoją, wzięła na wychowanie – oj, to gagatek. Nie wróżę Jadzi nic dobrego po tej wychowance. Zimny to charakter, bez żadnego przywiązania i wdzięczności. Zakochana w sobie, pragnąca li tylko na siebie zwracać zawsze powszechną uwagę, skłonna do kłamstwa i przewrotności, uparta i obłudna. Może będzie zdolna, może nawet bardzo zdolna w jakimś kierunku, ale egoistka do szpiku kości, lubująca się w zbytku i pańskości. Oj, to dopiero raróg i numer!

2 kwietnia, rok 1934, poniedziałek

Dość mam mięsa: wróciłem dziś do mojej diety z tą tylko różnicą, ze pozwalam sobie po świątecznemu na ciasta.

Dzień był tak śliczny, że niepodobna było się oprzeć pokusie spędzenia czasu na dworze. Ziemia pachnie wiosną, słoneczko łagodnie grzeje, żadnego wiatru.

Umówiłem dziś tracza Stiepankę do piłowania materiału budowlanego. Piłowanie desek i belek płatne będzie po 40 centów za „sznur" długości trzysążniowej, zaś brzozy i jesionu – po 50 centów. Decyduję się na stawianie ptasznika w tym roku.

3 kwietnia, rok 1934, wtorek

We dnie jest słonecznie i za wiatrem bardzo ciepło, w nocy zaś – dobry mróz. Rolnicy już się tym nerwują i zapowiadają zły rok. Powiadają, że takie grzanie dzienne i mróz nocny szkodzą żytu młodemu.

Wieczorem posłaniec umyślny z Kowaliszek przyniósł mi list Elizki Komorowskiej. Przypomina mi ona sąd polubowny między Hektorem Komorowskim o dzierżawę Antonosza. Do sądu tego jesteśmy powołani ja i Paweł Poklewski-Koziełł, superarbitrem zaś będzie p. Bichniewicz z Poniemuńka. Sąd ten, korzystając z mojej obecności w tych stronach, miał się

odbyć w czasie świąt. Elizka prosi mię o wyznaczenie terminu i miejsca sądu. Wyznaczyłem go na pojutrze – czwartek – w Antonoszu.

4 kwietnia, rok 1934, środa

Miałem z Bohdaniszek jechać po świętach do Kowna nie wprost, jeno na Kłajpedę, gdzie na niedzielę przewodnią miałem pod firmą towarzystwa „Aukuras" wygłosić dawno zapowiedziany odczyt. O terminie tym zawiadomiłem stąd towarzystwo „Aukuras". Atoli dziś otrzymałem od towarzystwa w Kłajpedzie depeszę, zawiadamiającą mię, że w niedzielę odczyt do skutku nie dojdzie. „Aukuras" zaprasza mię na ten piątek albo na któryś inny stosownie do porozumienia. Może to i lepiej. Może tą drogą w ogóle mój odczyt w Kłajpedzie upadnie. W odczycie tym, którego tekst mam już opracowany, jednym z głównych twierdzeń jest to, ze Litwa w odpowiedzi na zakusy niemieckie w Kłajpedzie powinna wystawić hasło podziału z Polską tych części Prus Wschodnich, które zachowały jeszcze żywą ludność litewską (Litwa Tylżycka – północno-wschodnia część Prus) i mazurską (część południowa i zachodnia Prus). Dopóki Prusy Wschodnie zachowują te cząstki żywe litewsko-polskie, których przetrawianie germanizacyjne jest dziś przez nie wykonywane, dopóty są one twierdzą wypadową niemieckiego „Drang nach Osten!" i dopóty w tym charakterze zagrażają one tak Pomorzu polskiemu, przez które szukają połączenia z Rzeszą Niemiecką, jak Kłajpedzie litewskiej, stanowiącej warunek gospodarczy Niepodległości Litwy. Dopiero Prusy Wschodnie, pozbawione elementu polskiego i litewskiego, sprowadzone do tego, co jest czysto niemieckie i stanowiące izolowaną drobną wysepkę niemiecką na pograniczu polsko-litewskim, przestaną być dla sąsiadów i dla pokoju w tej strefie Europy niebezpieczne. Otóż głoszenie tej śmiałej tezy w Kłajpedzie może mieć cechy prowokowania Niemców. Gdyby już Litwa była z Polską uzgodniona i szła z nią ręka w rękę – to ogłoszenie tej tezy byłoby słuszne i bezpieczne. Dziś zaś dyplomacja litewska boi się tego. Sam Lozoraitis jest tym trochę zaniepokojony. Może to istotnie nie na miejscu, zwłaszcza gdy Polska zawarła z Niemcami pakt Becka, a Litwa nie posunęła ani o jotę sprawy swej o Wileńszczyznę z Polską. Maksymalizm małej Litwy może się wydać arogancją i megalomanią. Nie jestem więc pewny właściwości tego odczytu.

5 kwietnia, rok 1934, czwartek

Pojechałem do Antonosza na sąd polubowny. Zjechali się tam arbitrowie w osobach Pawła Koziełły z Użukrewnia i Władysława Bichniewicza z Poniemuńka. Okazało się, że nie Bichniewicz, ale ja jestem superarbitrem tego sądu, Bichniewicz zaś jest sędzią z ramienia Komorowskich jako strony powodowej, przedstawiającej właścicieli Antonosza. Jako strony obecni byli: przedstawiciele właścicieli, to znaczy Römerów antonoskich – Macieja, Tadeusza i Jadzi – obaj Komorowscy – Hektor i Julek, i dzierżawca Antonosza Paweł Piotrowski. W toku wyjaśnień stron ujawniło się, że istota sporu, która się wydawała na razie bardzo wielka, jest bardzo drobna i sprowadza się raczej do gwarancji wykonania pewnych pozostałości wypłat, niż do sankcji za niewykonanie. Przed trzema laty Antonosz był wydzierżawiony Piotrowskiemu za 4000 litów rocznie na lat cztery (do roku 1935 św. Jerzego), ale potem Hektor, uwzględniając warunki kryzysowe, zgodził się na zniżkę tamtej dzierżawnej o połowę za wyjątkiem roku pierwszego. Skądinąd Komorowscy przyjęli cały szereg rachunków, opłaconych przez Piotrowskiego na rzecz różnych remontów detalicznych. W rezultacie więc okazało się, że do nadchodzącego 23 kwietnia Piotrowski nie dopłacił tylko 221 litów do rąk właścicieli oraz podatki państwowe i samorządowe za II półrocze roku 1933. Zaczęto przeto dyskutować o sposobie i gwarancjach opłacenia tej należności, jak również ostatnich 2000 litów arendy za rok 1934-1935. Piotrowski zaproponował terminy i gwarancje dość dogodne i realne, które z pewnymi poprawkami i uzupełnieniami zostały przyjęte i

ustalone. Wobec tego stanął układ ugodowy, spisany i podpisany przez strony. Sąd wykona swą czynność dopiero w razie niespełnienia układu. Na tym rozjechaliśmy się wieczorem.

Antonosz wciąż upada. Jego piękne zabudowania przedstawiają już tylko, jak mówi Bichniewicz, obraz nędzy i rozpaczy. Dom mieszkalny, czyli pałac, wymaga też gwałtownie naprawy dachu, który w różnych miejscach zacieka i kapitalnego remontu wieżyczki, która gnije i rozsypuje się w gruzy. Wewnątrz pałacu Piotrowski odrestaurował piece i dał dubelty w oknach paru pokoi, które przez to uczynił mieszkalnymi i wydzierżawił je nauczycielkom z Abel za 600 litów rocznie. Jest to wielki salon z malowidłem Alfreda Römera na piecu i pokój niegdyś cioci Elżusi panieński. W tym ostatnim też obradowaliśmy dzisiaj. Ale na ogół Antonosz jest smutny: *sic transit gloria mundi!*

6 kwietnia, rok 1934, piątek

Dziś zachmurzyło się i jednocześnie ocieplało. Może nawet nie tyle ocieplało, ile powietrze złagodniało. Dotąd była pogoda słoneczna: we dnie na słońcu bywało bardzo ciepło, ale za to w nocy temperatura gwałtownie spadała i ostry mróz skuwał powierzchnię ziemi, teraz powietrze staje się równe bez tych ostrych kontrastów dnia i nocy.

Ekonom wsiał dziś koniczynę w żyto. Ogrodnik Narbut dopatruje swoje trzy okna inspektów, przeflansowuje pomidory po skrzynkach, rozwija jabłonki z gałęzi jodłowych i słomy, którymi były one spowite na zimę i bieli wapnem ich pnie.

Każdy mój przyjazd do Bohdaniszek kosztuje mię drogo. Ze wszystkich stron zgłaszają się ludzie po zapłatę. Robocizna po prostu zjada gospodarstwo, a dochodów – żadnych.

7 kwietnia, rok 1934, sobota

Umówiłem dziś majstra Markowa, Moskala starowiera, rekomendowanego mi przez Justyna Budkiewicza, do budowy ptasznika z chlewikiem dla świń. Będzie to budynek długości 15 metrów i szerokości 6 metrów. Postawienie będzie kosztowało 700 litów. Cały materiał – mój. Będzie to wydatek duży na moją kieszeń, ale póki mogę – trzeba się oporządzić w Bohdaniszkach.

Przyjemnie i pięknie jest na wsi, ale pora już wracać do Kowna. Jutro stąd wyjeżdżam.

8 kwietnia, rok 1934, niedziela

Szkoda wyjeżdżać z Bohdaniszek, kiedy nastaje właśnie najpiękniejsza pora wiosny – kiełkowanie trawki, pękanie pączków i rozpuszczanie listków na krzewach. Ale cóż robić! Chwała Bogu i za to, że tyle już mam z Bohdaniszek, ile jest czasu świąt na uniwersytecie (raczej wakacji). Wypłukany z gotówki, którą mi pochłonęły Bohdaniszki, wyjechałem w południe z Jadzią, jej wychowanką Renią Bohdanówną i służącą Kostusią Merkisówną. Odwieźli nas do Abel na stację ekonom Pumpol i ogrodnik Józef Narbut. Podróż do Kowna pociągiem była dość uciążliwa, bo podróżnych było bardzo dużo i na każdej stacji wsiadało coraz to więcej. Ale na to jest ucieczka: można siedzieć w wagonie restauracyjnym, gdzie też od Radziwiliszek aż pod same Kowno siedzieliśmy z Jadzią.

Znajomych widziałem, ale z nikim nie miałem okazji rozmawiania. Nowin więc żadnych nie mam.

9 kwietnia, rok 1934, poniedziałek

Byłem już na uniwersytecie, rozpocząłem urzędowania rektorskie. Na uniwersytecie ruchu jeszcze nie ma, młodzieży akademickiej – bardzo mało. Widziałem się z prorektorami prof. Ks. Česnysem i prof. Jodelą. Nic nowego przez czas świąt nie zaszło.

Wiosna tu znacznie mocniej posunięta, niż w naszych stronach. Krzewy już pękają. Chodzi się już w paltotach letnich, a można nawet bez paltotu.

10 kwietnia, rok 1934, wtorek

Wieczorem miałem już wykład i colloquium na II semestrze prawa. Rozpocząłem dziś zabiegi o doprowadzenie do skutku aktu kupna-sprzedaży cząstki Gaju, która w dziale po śp. Papie dostała się do schedy Maryni. Marynia odsprzedała mi tę cząstkę Gaju już w roku 1929; całą cenę w sumie 7000 lt. wtedy jej wypłaciłem, ale aktu nie zrobiliśmy „przez oszczędność"; nazywało się, że własność się ustali przez przedawnienie, bo przecie Marynia, po otrzymaniu zapłaty, odbierać sprzedanego kawałka (9 ha młodego lasu w Gaju pod Ginduryszkami) nie będzie. Ale gdy Marynia zaczęła brnąć w długi, gdy zaciągnęła pożyczki pod zastaw całej posiadanej ziemi, w którą formalnie wchodzą i te 9 ha gajowe, gdy wreszcie zagrażać zaczęło niebezpieczeństwo jej bankructwa, zrozumiałem, że moje 9 hektarów też są zagrożone. Wierzyciele bowiem nie uwzględnią nigdy tej sprzedaży nieformalnej, do przedawnienia jeszcze daleko, a zresztą gdyby nawet miało ono miejsce, to może być zarzucona fikcyjność posiadania w stosunkach między bratem a siostrą na szkodę wierzycieli. Postanowiłem więc teraz, póki jeszcze nie późno, doprowadzić tę sprzedaż do aktu formalnego. Będzie to mię kosztowało, ale trzeba to zrobić, bo może być gorzej. Teraz będę musiał zapłacić za Marynię 1500 lt. zaległości w Banku Ziemskim i przejąć na te 9 ha cząstkę długu tego banku w kwocie, którą sam proponuję, 500 lt., jeżeli bank nie zechce przełożyć większej sumy. Naturalnie, że koszta aktu spadną też na mnie. Kupno tych 9 ha Gaju robię na imię nie moje, lecz Jadzi, do której folwarku ten kawałek Gaju przylega. Po nabyciu tej cząstki lasu folwarczek Jadzi będzie wynosił dobrych 19 ha, a nawet 19 dziesięciu, czyli prawie całkowitą włókę ziemi.

11 kwietnia, rok 1934, środa

Z wykładu o godz. 8 wieczorem pośpieszyłem na posiedzenie Klubu Politycznego na odczyt prof. Pakštasa o zagadnieniu wileńskim. Jak zawsze, tak i tym razem, wśród obecnych nie było narodowców patentowanych. Było wprawdzie kilku zbliżonych do narodowców, ale mniej lub więcej „trefnych", jak Marcin Yčas, Gustainis, referent Rady Stanu Juodeika, redaktor Keliuotis. Zato przybyło kilku patentowanych chrześcijańskich demokratów, jak prof. Dovydaitis, prof. Stanisław Szołkowski. Poza tym wielu było tych samych, co stale na zebrania tego Klubu przychodzą, jak sam założyciel i prezes tegoż Kvieska, prof. Czapiński (stale wybierany na przewodniczącego), Jan Vileišis, Vilkaitis, Žygelis, dr Turowski, ludowiec aptekarz Makowski, podprokurator Trybunału Żołkowski, prof. Janulaitis, Dagys i szereg innych. Odczyt Pakštasa o Wileńszczyznie był bardzo treściwy, ale ze stanowiska litewskiego pesymistyczny i przez to tym bardziej uzasadniający konieczność szukania rozwiązań choćby jakichś połowicznych, które by dały możność ocalenia na rzecz Litwy tego, co inaczej zginie. Wszakże wniosków swoich co do litewskiego kompromisowego rozwiązania sprawy przez podział Wileńszczyzny, rektyfikację granic w powiatach sejneńskim i suwalskim, doprowadzenie Litwy choćby tylko do przedmieścia Wilna (Śnipiszki) i wreszcie przez kantonalną konstrukcję państwa litewskiego – Pakštas nie rozwinął. Debaty odroczono do następnej środy.

12 kwietnia, rok 1934, czwartek

Wieczorem odbyło się zebranie, zwołane przez zarząd akademickiego stowarzyszenia studentów-humanistów w sprawie zaprojektowania przezeń „tygodnia kultury", na który by się złożyły odczyty: Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony, ministra oświaty Šakenisa, mój i profesorów Žemaitisa, Żołkowskiego, Izydora Tamošaitisa i Mykolaitisa-Putinasa i na zakończenie „wieczór literatury" w teatrze. Odczyt Prezydenta Smetony odbyłby się też w teatrze, inne ewentualnie – w lokalach uniwersyteckich. Oprócz komitetu studenckiego, do wykonania tego programu powołano też komitet honorowy w osobach mnie jako rektora, lektorki p. Zofii Czurlanisowej, prezesa Związku Dziennikarzy dr Puryckiego i

prezesa Związku Literatów Mykolaitisa-Putinasa. Podebatowaliśmy z półtorej godzinki. Zdaje się, że program ten w całej rozciągłości wykonać się nie da, bo czasu za mało; zapewne odbędzie się parę odczytów i wieczór literatury, ewentualnie zaś dalszy ciąg pomysłu zrealizowany zostanie w jesieni.

13 kwietnia, rok 1934, piatek

Wieczorem po wykładzie miałem w lokalu Gabinetu Ministrów posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, w którym wzięli udział Mašalaitis, Lozoraitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Gubernator Kłajpedy Novakas szuka okazji do usunięcia prezesa dyrektorium Schreibera, który jest bardzo sprytny i ostrożny i nie daje łatwego pretekstu do usunięcia go. Chodzi bowiem o to, że usunięcie czy odwołanie prezesa musi być zainscenizowane tak, aby odpowiadało warunkom legalnym odwołania, określonym przez wyrok haski z d. 11 sierpnia 1932. Novakasowi zależy na pozbyciu się Schreibera ze względu na to, że w skutku zapoczątkowanej przez Litwę ostrej akcji przeciwko germanizacyjnej i przewrotowej polityce czynników autonomicznych i pod wpływem wrażenia, jakie akcja ta wywiera na ludność miejscową litewską, zarysowują się już możliwości pewnych załamań i przemian w układzie większości sejmikowej, otwierające perspektywy na wzrost linii ugodowej. Podobno przeszkodą do tego jest właśnie Schreiber. Należałoby więc powołać na czoło rządu innego człowieka, skłonniejszego do ugody. Ale Schreiber właśnie dlatego nie ustępuje. Gubernator spróbował teraz z całego szeregu drobiazgów utkać oskarżenie Schreibera o faworyzowanie ruchów przewrotowych Sassa i Neumanna, stając się przeto współwinnym tej akcji i na tym oprzeć usunięcie Schreibera. Lozoraitis i Pietkiewicz uważali podstawę do usunięcia za zbyt słabą i nie nadającą się do wyroku haskiego.

14 kwietnia, rok 1934, sobota

Zachodził do mnie na krótko do gabinetu rektorskiego dziennikarz polski p. Tadeusz Katelbach, który świeżo wrócił z Polski. Przywiózł mi książkę młodego historyka polskiego z Uniwersytetu Warszawskiego – Paszkiewicza: „Jagiellonowie i Moskwa" z dedykacją osobistą autora. Jak mię poinformował Katelbach, ten historyk Paszkiewicz – to potomek wielkiego patrioty litewskiego i pisarza żmudzkiego z pierwszej połowy wieku XIX Dionizego Poszki, który był urządził sobie altankę-pracownię w olbrzymim pniu królewskiego dębu, zwanego „Baublysem". Paszkiewicz ten chce obecnie przyjechać do Litwy i nawiązać tu kontakt z historykami litewskimi.

Z Katelbachem, który wyraził chęć dłuższej rozmowy ze mną, mamy się spotkać na kolacji w poniedziałek.

Tymczasem z przelotnej rozmowy dzisiejszej z Katelbachem dowiedziałem się, że znane oświadczenie Becka, polskiego ministra spraw zagranicznych, wypowiedziane przed świętami Wielkiejnocy w tonie obrażającym Litwę, było odpowiedzią bezpośrednią Marszałka Piłsudskiego na odmowę rządu litewskiego do upoważnienia Zubowa do pertraktowania z Piłsudskim. Jak wiadomo, Piłsudski zażądał od Zubowa, aby mu przywiózł list upoważniający od Tubelisa. Tubelis na razie decydował się na to, ale gwałt przeciwko temu podniósł Zaunius. Mam wrażenie, że przeciwko temu musieli też oddziałać ks. Mironas i może sam Prezydent Smetona osobiście. Słowem – Tubelis zaczął zwlekać i wreszcie listu Zubowowi nie dał. Zubow – o czym nie wiedziałem – pojechał znów do Warszawy i poinformował Piłsudskiego, że listu nie ma. Piłsudski serdecznie go przyjął, rozmawiał jak z krewnym, ale w dwie godziny po wizycie Zubowa nastąpiło obrażające Litwinów oświadczenie Becka.

15 kwietnia, rok 1934, niedziela

Rano posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Wieczorem – posiedzenie Towarzystwa „Pan-Europy” z odczytem na tenże temat dr Kaškelisa.

Ponieważ 15 maja mam wyjechać do Karlsbadu, a właśnie 15 maja ma się odbyć w Wiedniu posiedzenie seniorów związku międzynarodowego „Pan-Europy” i następnie konferencja ekonomiczna tegoż Związku, więc generał Kurkowski namawia mię do reprezentowania naszego stowarzyszenia na tym zjeździe. Nie bardzo mam do tego ochotę, ale wątpię, aby mi się udało wykręcić od tego.

16 kwietnia, rok 1934, poniedziałek

Spotkałem się dziś wieczorem po wykładzie z p. Tadeuszem Katelbachem w restauracji „Metropol”. Myślałem, że Katelbach, dziennikarz polski, rezydujący w Litwie, świeżo wracający z Warszawy, ma mi coś szczególnego do powiedzenia, skoro się ułożył na wieczór do restauracji. Nic jednak szczególnego nie powiedział. Była to tylko zwyczajna rozmowa. Katelbach starał się mię przekonać, że polsko-niemiecki pakt Becka głębszego znaczenia nie ma i orientacji polskiej nie zmienił wcale. Poza tym rozmawialiśmy o Polsce, o nieudałej inicjatywie pojednawczej Zubowa, o poszczególnych działaczach litewskich.

17 kwietnia, rok 1934, wtorek

Swój zamierzony „tydzień kultury humanistycznej” studenci humaniści zdecydowali się rozpocząć w tym tygodniu. Otwarcie „tygodnia” przez odczyt w gmachu teatralnym ma nastąpić już pozajutro, we czwartek o godz. czwartej po południu. Następne odczyty wygłoszone będą w ciągu następnych dni kilku w sali uniwersyteckiej. Pierwszym prelegentem po Prezydencie mam być ja. Mam przemawiać w piątek wieczorem. Próbowałem trochę się wykręcić albo całkowicie się uchylić, albo przynajmniej przełożyć mój referat na dni dalsze, ale humaniści ani słuchać o tym nie chcieli. Muszę więc teraz forsownie pracować nad moim odczytem. Doprawdy mam już tego dość, ale nic się poradzić na to nie da. Za to już po tym odczycie wypocznę sobie i zajmę się sprawami wyjazdu mego i aktu kupna-sprzedaży cząstki Gaju od imienia Maryni na imię Jadzi.

18 kwietnia, rok 1934, środa

I dzisiaj znaczną część dnia poza bieżącą pracą rektorską i wykładami poświęciłem wykończeniu mojego odczytu dla „tygodnia kultury” humanistów. Ten odczyt dotyczy Związku Bałtyckiego i jego znaczenia dla Litwy i dla pacyfikacji północnego wschodu europejskiego. Temat jest zbliżony do tematu mojego odczytu z d. 24 lutego na obchodzie rocznicy Niepodległości Estonii, tylko nieco inaczej ujęty. Podkreślam w nim zwłaszcza tę myśl, że Litwa przez swą obecną walkę o Kłajpedę przeciwko jej germanizacji i oderwaniu już faktycznie spełnia swą funkcję czołową solidaryzmu bałtyckiego, a zważywszy, że przegrana Litwy w tej walce przesądziłaby całkowitą gospodarczą, a przez to i polityczną zawisłość jej od Niemiec, ten opór Litwy „*usque ad finem*” jest w stosunku do Polski, Łotwy i Estonii walką „o naszą wolność i Waszą”, albowiem powstrzymuje całą nawałnicę niemiecką i broni cały wschód bałtycki przed „Drang nach Osten”.

19 kwietnia, rok 1934, czwartek

Rozpoczął się więc dzisiaj ten „tydzień kultury” humanistów. O godz. czwartej po południu do teatru miejskiego, zapełnionego doborową publicznością, którą zwabiło imię Prezydenta, i młodzieżą akademicką, przybył Prezydent Rzeczypospolitej p. Antoni Smetona, spotkany u wejścia przez ministra oświaty Šakenisa, przeze mnie jako prezesa komitetu honorowego „tygodnia kultury” i studenta Popławskiego, prezesa akademickiego stowarzyszenia humanistów. Prezydent udał się wpierw do loży swojej; za jego ukazaniem się w loży orkiestra Opery łącznie z chórem akademickim wykonały hymn. Wtedy prezydent

udał się z nami na scenę, gdzie zasiadł w fotelu środkowym między Šakenisem i mną. U tegoż stołu na scenie zajęli miejsca członkowie komitetu honorowego: p. Zofia Czurlanisowa, prof. Michał Biržiška, prof. Mykolaitis-Putinas, dr Purycki i redaktor Šeinius, wreszcie prezes humanistów student Popławski, który krótkim przemówieniem zagaił zebranie, po czym wygłosił swój odczyt Prezydent Smetona. Odczyt Prezydenta był przezeń czytamy z rękopisu, zajął 1 ½ godziny, był translowany przez radio. Temat odczytu Prezydenta: Państwowe wychowanie narodu. Odczyt Prezydenta był treściwy i utrzymany istotnie w tonie humanistycznym. Prezydent Smetona, aczkolwiek nacjonalista zdecydowany, daleki jest od dzikiego „nacjonalsocjalizmu” w stylu hitlerowskim. Nacjonalizm Smetony jest idealistyczny i przepojony kulturą humanistyczną. Po odczycie studentka z zarządu stowarzyszenia humanistów doręczyła prezydentowi bukiet kwiatów białych, na czym się też uroczystość skończyła. Miałem jeszcze potem posiedzenie senatu akademickiego.

20 kwietnia, rok 1934, piątek

Na dziś był wyznaczony mój odczyt jako drugi z cyklu „tygodnia kultury humanistycznej”. Wyznaczony był na godz. ósmą wieczorem w sali uniwersyteckiej (w tzw. gmachu pierwszym, gdzie się mieści zwłaszcza Wydział Prawniczy). O godz. siódmej, to znaczy na godzinę przed moim odczytem publicznym, miałem jeszcze mój wykład na IV semestrze sekcji ekonomicznej, po czym o ósmej rozpoczęło się posiedzenie „tygodnia kultury” towarzystwa humanistów. Po słowie wstępnym prezesa tego towarzystwa, studenta Popławskiego, wygłosiłem mój odczyt. Był on parokrotnie przerywany oklaskami i, zdaje się, podobał się publiczności. Uwydatniłem w nim charakter walki litewskiej o Kłajpedę jako forpocztowej walki z najazdem niemieckim na cały kompleks ziem bałtyckich, ogarniający Litwę, Łotwę i Estonię oraz hinterland polski. Uwydatniłem, że jak Polska swoje bohaterskie walki o Niepodległość w wieku XIX głosiła prowadzonymi „za naszą wolność i Waszą!”, stosując słowo „Waszą” do samych Rosjan, gnębionych przez carat, tak dziś Litwa, walcząc o Kłajpedę, walczy za wolność swoją i wolność Polski, Łotwy i Estonii. Zakończyłem pytaniem: czy zrozumieją to Polacy, czy rozumieją Łotysze i Estończycy?

21 kwietnia, rok 1934, sobota

Dziś w cyklu „tygodnia kultury” miał miejsce odczyt księdza dziekana Mironasa o Wilnie. Nie wiem, dlaczego akademicy humaniści dla odczytu o Wilnie dali pierwszeństwo ks. Mironasowi przed dwoma zawodowymi „znawcami” tej kwestii – prof. Michałem Biržišką i prof. Zygmuntem Žemaitisem. Czy dlatego, że Mironas, jako narodowiec, bliższy jest kierunkowi rządowemu, któremu nadawano pierwszeństwo w odczytach „tygodnia”, czy też dla jakichś innych względów? Sami organizatorowie „tygodnia” mówili mi, że wybrali Mironasa dlatego, iż im mówiono, że Mironas dać może więcej „nowych myśli” w sprawie Wilna, niż Biržiška i Žemaitis. Że Žemaitis i zwłaszcza Michał Biržiška już się wyszeptali o Wilnie i są w stanie już się tylko powtarzać – to pewne. Ale mają oni gorącą ambicję przodowania w kwestii wileńskiej i to pominięcie ich musi być dla nich bolesne. Co do Mironasa, to mam wrażenie, że jest on bardziej nieprzejednany, że jest radykalniejszy i twardszy polonofob od obu profesorów powyższych. Mironas był proboszczem i dziekanem w Wileńszczyźnie, w poweacie, zdaje się, trockim, i tam przez wiele lat prowadził akcję na rzecz litwinizacji nabożeństwa dodatkowego, walcząc z polonizacją kościelną. Rozwinęła się w nim zacięta nienawiść polskości. I dziś – mam wrażenie – jest on twardym wrogiem ugody, który w otoczeniu Prezydenta Smetony przeciwdziała skutecznie wszelkim próbom szczerego szukania dróg do porozumienia z Polską i do kompromisu w sprawie wileńskiej. A wpływy ma on w tym otoczeniu duże i zakulisowa siła jego władzy jest wielka. Nie poszedłem na jego odczyt.

22 kwietnia, rok 1934, niedziela

Jadzia ze swoją wychowanką Renią Bohdanówną i Andrzej wyjechali dziś rano do Szaszewicz do Stefanostwa Römerów. Ja zostałem w domu. Wieczorem oni wrócili. Zresztą – nic ciekawego nie zaszło.

23 kwietnia, rok 1934, poniedziałek

Byłem dziś u dr Elkiesa po świadectwo na wyjazd do Karlsbadu dla załączenia tegoż do mojego podania o urlop. Dr Elkies jednak się jeszcze waha; nie jest całkowicie przekonany o pożytku Karlsbadu dla mnie. Ma już wszystkie niemal dane do opiniowania – fotografię Röntgena, analizę uryny, kilka analiz krwi... Teraz nakazał jeszcze jedną analizę uryny, wydanej bez picia płynów i jutro będzie decydował o Karlsbadzie. Ale jeżeli dr Elkies nie jest jeszcze całkowicie o Karlsbadzie przekonany, to za to przekonany jestem ja. W każdym razie, bez względu na to, co powie dr Elkies, do Karlsbadu pojadę.

Wieczorem dziś w teatrze miejskim odbył się „wieczór literacki", urządzony przez studentów humanistów jako jeden z elementów „tygodnia kultury". Polegał on na tym, że deklamowano ustępy z poezji zmarłych Donelaitisa, Maironisa i Tumasa, a poza tym trzydziestu poetów litewskich żyjących ze starym ks. Dąbrowskim-Jakštasem na czele odczytywało ustępy ze swych utworów. Nie brali jednak w tym popisie udziału poeci z grupy „Trzeciego Frontu", grupy bodaj najzdolniejszej, ale usposobionej komunistycznie (Venclova, Borutis, Salomeja Neris...). Nie wszyscy umieją należycie deklamować. Bądź co bądź jednak popis był dość ciekawy. Skończył się o godz. pół do dwunastej w nocy, po czym jeszcze nastąpiła fotografia wspólna na scenie z udziałem Prezydenta Smetony.

24 kwietnia, rok 1934, wtorek

Dr Elkies udzielił mi aprobaty na jazdę do Marienbadu i Karlsbadu. Zalecił mi spędzić jeden miesiąc w Marienbadzie i dwa tygodnie w Karlsbadzie. Tak też uczynię. Da mi on listy do lekarzy w obu tych kurortach.

Nie mogę się doczekać odesłania mi przez Marynię podpisanych przez nią podań do Banku Ziemskiego i do Państwowej Kasy Oszczędnościowej o pozwolenie na sprzedaż przez nią jej cząstki Gaju Jadzi Čepasównie. Śpieszy mi się, bo chciałbym ten akt sprzedaży uskutecznić przed wyjazdem, to znaczy przed 10 maja. Jeżeli się on odroczy do lata, to tymczasem mogą się utworzyć nowe zaległości Maryni w Banku Ziemskim, które trzeba będzie przed sporządzaniem aktu pokryć, co znacznie powiększy koszt. Tymczasem teraz miałem i mam cały szereg wydatków na Bohdaniszki, które mi fatalnie obciążają kieszeń.

Na kurację w Marienbadzie i Karlsbadzie mam odłożonych 5000 litów. Daj Boże, żeby tego wystarczyło.

25 kwietnia, rok 1934, środa

Dziś znowu miałem dzień przeładowany, co mię obecnie zawsze bardzo męczy, nawet wtedy, gdy w tym przeładowaniu posiedzeń na mnie nie spadają specjalnie obowiązki czynne. Oto proszę sądzić: po obiedzie o godz. 4 posiedzenie prezydium Komitetu Pomocy Głodnym w Wileńszczyźnie, o godz. 5 – posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich, o godz. 6-8 mój wykład prawa konstytucyjnego na IV semestrze ekonomistów, wreszcie o godz. 8 – zebranie dyskusyjne Klubu Politycznego. Toteż o pół do jedenastej wracałem do domu ciężki jak koń spędzony, z obrzękłymi stopami.

Na posiedzeniu prezydium Komitetu Pomocy Głodnym w Wileńszczyźnie obecni byli: prezes Žemaitis, wiceprezeska honorowa p. Michałowa Biržiškowa, wiceprezesi ks. Mironas i ja i skarbnik Toliušis. Już się wyjaśniło, że władze polskie stanowczo odmówiły zezwolenia na dowóz zboża do miejscowości dotkniętych głodem; wobec tego jedyna pomoc jest pieniężna na zakup zboża polskiego; faktycznie więc nasza akcja „ratunkowa" pośrednio

służy do wzmacniania bilansu handlowego polskiego i zarazem do podnoszenia cen na zboże polskie. Mizerny to owoc. Jednocześnie, o ile tu przyjmujemy ofiary w zbożu, które musimy tu na miejscu spieniężać, to rzucając na rynek miejscowy większe partie zboża, obniżamy jego ceny lokalne ku zgorszeniu rolników miejscowych. Gra nie bardzo warta świec.

Wieczorem w Klubie Politycznym toczyła się dyskusja nad wnioskami referatu Pakštasa o sprawie wileńskiej. Dominującą nutą było niechętne zejście z pozycji nieprzejednanej. Chciałem przemawiać, ale byłem zapisany do głosu ostatni i czułem się już bardzo zmęczony, więc zrezygnowałem.

26 kwietnia, rok 1934, czwartek

Byli dziś u mnie na obiedzie Eugeniuszostwo Römerowie. Zosia świeżo wróciła z Rzymu, jest zachwycona. Nabawiła się tam, poznała bardzo dużo nowych ludzi, przeważnie z Polski, bo przez Tadzia Römera była w ciągłym kontakcie z poselstwem polskim w Rzymie, dwa razy była na audiencji zbiorowej u Ojca Świętego Piusa XI, raz – z wycieczką polską, drugi – z wycieczką litewską. Obcowała najwięcej z Tadziem Römerem i jego żoną Wańkowiczówną z domu oraz Jadzią Römerówną, która przyjeżdżała na Święta Wielkanocne ze Szwajcarii do brata.

Wieczorem miałem dziś posiedzenie senatu akademickiego. Posiedzenie było żywe i ciekawe.

Radio kowieńskie i gazety litewskie doniosły dziś jako o wielkiej sensacji o zgłoszeniu przez Litwę do rządów Łotwy i Estonii memoriału urzędowego, wskazującego na konkretne formy realizacji Związku Bałtyckiego. Źródła litewskie twierdzą, że przyjęcie wniosków litewskich zapoczątkuje fakt Związku. Jakie są te wnioski i propozycje – dokładnie nie wiem, ale niewątpliwie fakt jest ciekawy. Może to będzie zarazem droga do nawiązania stosunków z Polską i do wyraźnego frontu antyniemieckiego.

Wszystko to jest dobre, jeżeli tylko nieprawdą są plotki czy domysły (sam Eugeniusz Römer mi o nich wspominał), że pakt polsko-niemiecki Becka oparty jest na oświadczeniu Polski o jej „*déssinteréssement*" co do Kłajpedy w sporze o nią Litwy z Niemcami. Jeżeliby takim istotnie był pakt Becka, to rzecz byłaby fatalna, w moim przekonaniu – gorsza jeszcze od afery Żeligowskiego w Wilnie. Trudno mi w to nawet uwierzyć. Zresztą Eugeniusz nie twierdzi tego, tylko wspomina o istnieniu takich domysłów. Dla mnie byłoby to straszne. Nie miałbym w sumieniu moim żadnego usprawiedliwienia dla Polski i Marszałka Piłsudskiego.

27 kwietnia, rok 1934, piątek

Znowu mam parę mów do wygłoszenia w niedzielę, do których muszę się przygotować. Zresztą, gdy mowy nie są długie, nauczenie się ich z góry na pamięć nie jest trudne. Jedne przemówienie mam wygłosić na otwarcie Muzeum imienia Tumasa-Vaižgantasa na Uniwersytecie. Oto tekst tego przemówienie:

„*Vytauto Didžiojo Universitetas įgyja dar vieną įstaigą – Tumo-Vaižganto Muziejų. Universitetui ji yra brangi, kaip brangus jam buvo gyvas kunigo Tumo-Vaižganto asmuo ir kaip brangūs yra Lietuvai Tumo-Vaižganto nuveikti darbai ir visas jo kūrybinis palikimas.*

Šviesiame kunigo Tumo-Vaižganto asmeny jam mirus mes netekome geriausiojo ir žmoniškiausiojo mūsų tarpe, didelio Lietuvio ir Krikščionio, tiesos ir širdies žmogaus, kurio žodis ir darbas, gyvenimas ir veikimas, privatus ir viešas reiškimasis buvo visuomet vieningas ir vienlypis, vienu pamatu pagrįstas, tvirtinęs kits kitą. Jisai mums ir busimoms kartoms lieka netiktai didelio tautinio veikėjas, tautos mokytojo, kovotojo, rašytojo, bet ir žmogaus idealiniu pavyzdžiu. Vos vieneri metai praėjo nuo jo mirties, o jisai, kaip tikras didysis žmogus, jau aukštai pakilo ir išaugo mūsų sąmonėje ir širdyse ir beaugdamas dėkingas Tautos legendoje jis galėtų pasakyti apie save Lotynų poetų žodžiais:

Non omnis moriar!

Multaque pars mei vitabit Libitinam,
Usque ego posteram Crescam laude recens,
Dum capitolium scandet cum tacita
Virgine pontifex...

Jis tai galėtų apie save pasakyti todėl, kad savo darbais jis sau žmonėse pasistatė paminklą, kurio to paties poeto žodžiais yra

„...aere perennius
Regalique situ piramidum altius,
Quod non imber edax, non Aquilo impotens
Possit diruere aut innumerabilis annorum series
Et fuga temporum...“

Ši įstaiga – Tumo-Vaižganto Muziejus Vytauto Didžiojo Universitete – jungia visą tai, kas liko iš privataus kuklaus kunigo Tumo gyvenimo, su tuo, kas iš jo darbų, kaip iš savo šaknų, ims dygti it augti, sudarą Lietuvių kultūros dokumentus. Universiteto vardu aš džiaugiuos šios įstaigos įkūrimu ir dėkoju tiems asmenims, kurie šią idėją sumanė ir įvykdė“[15].

28 kwietnia, rok 1934, sobota

---

[15] „Uniwersytet Witolda Wielkiego pozyskuje kolejną instytucję – Muzeum Tumasa-Vaižgantasa. Jest ona droga uniwersytetowi, jak droga mu była osoba księdza Tumasa-Vaižgantasa za życia o jak drogie są Litwie dokonania Tumasa-Vaižgantasa i cała jego spuścizna twórcza.
W świetlanej osobie księdza Tumasa-Vaižgantasa utraciliśmy jednego z najlepszych i najbardziej ludzkich wśród nas, wielkiego Litwina i Chrześcijanina, człowieka prawdy i serca, którego słowo i czyn, życie i dokonania, życie prywatne i publiczne były zawsze zwarte i jednolite, stojące na jednym fundamencie i nawzajem się wzmacniające. Dla nas i dla przyszłych pokoleń pozostaje on idealnym wzorem nie tylko wielkiego działacza narodowego, nauczyciela narodu, bojownika, pisarza, ale i człowieka. Zaledwie rok minął od jego śmierci, a on, jak prawdziwy wielki człowiek, już wzniósł się wysoko i wyrósł w naszej świadomości i sercach i rosnąc w legendzie narodu mógłby on powiedzieć o sobie słowami poety łacińskiego:
Non omnis moriar!
Multaque pars mei vitabit Libitinam,
Usque ego posteram Crescam laude recens,
Dum capitolium scandet cum tacita
Virgine pontifex...
Mógłby on powiedzieć to o sobie dlatego, że swoimi pracami wzniósł on sobie u ludzi pomnik, który, według słów tegoż poety, jest „...aere perennius
Regalique situ piramidum altius,
Quod non imber edax, non Aquilo impotens
Possit diruere aut innumerabilis annorum series
Et fuga temporum...“.
Ta instytucja – Muzeum Tumasa-Vaižgantasa Uniwersytetu Witolda Wielkiego – łączy w sobie wszystko to, co pozostało ze skromnego życia prywatnego księdza Tumasa, z tym, co z jego prac, jak ze swoich korzeni, zacznie kiełkować i rosnąć tworząc dokumenty kultury litewskiej. W imieniu Uniwersytetu wyrażam radość z powodu utworzenia tej instytucji i składam podziękowanie osobom, którzy z tym pomysłem wystąpili i go wykonali”.

Byłem dziś zaproszony do ministra spraw zagranicznych Zauniusa na obiad (o godz. ósmej wieczorem), wydany przezeń dwum panom z Sekretariatu Ligi Narodów, którzy wczoraj przyjechali na trzy dni do Kowna i stąd jadą dalej do Rygi, do Tallina i do Helsinek. Jeden z tych panów jest Anglik, drugi – Belgijczyk. Anglik – to p. Walters, zastępca sekretarza generalnego Ligi, drugi – Belgijczyk – nie wiem, jak się nazywa – przyjechał zamiast p. Steponiego, Włocha, który miał przyjechać; zdaje się, że ci panowie przyjechali bez misji specjalnej – ot tak, dla kontaktu. Walters mówi dobrze po francusku. Po obiedzie my z gubernatorem Kłajpedy Novakasem i dyrektorem Departamentu Politycznego w Ministerium Spraw Zagranicznych Lozoraitisem obsiedliśmy p. Waltersa przy kawie i dobrze mu wyjaśnili całą sytuację w Kłajpedzie; Novakas zreferował mu szczegółowo wszystkie szczegóły konfliktu i akcji niemieckiej.

Mój Boże – co to za różnica teraz i przed laty 10. Gdy wtedy zawitał gość z Ligi Narodów – to był potentat, o którego względy zabiegano i który uosabiał arbitra Europy. Dziś autorytet Ligi Narodów zbladł do tego stopnia, że tym panom świadczy się wprawdzie grzeczność, ale stosunek w głąb jest dość lekceważący dla tych panów. Nikt ich tragicznie nie bierze.

Ponieważ p. Zauniusowa była nieobecna, bo wyjechała gdzieś za granicę na występy, więc w obiedzie wzięła udział jedna tylko kobieta – pani Zofia Czurlanisowa. Ogółem gości było ze 20-25 (Janulaitis, burmistrz Merkys, gubernator Novakas, wiceminister Indrašiunas, Lozoraitis, Šiling i wielu innych).

29 kwietnia, rok 1934, niedziela

Dziś miałem a. otwarcie Muzeum imienia Tumasa-Vaižgantasa i b. bankiet na rzecz gości z Ligi Narodów.

Muzeum Tumasa mieści się w uniwersytecie i jest przydzielone do biblioteki. Wykonawcy testamentu Tumasa, jednym z których jest dziekan Wydziału Prawniczego i bibliotekarz uniwersytecki prof. Wacław Biržiška, połączyli w tym muzeum dwa działy: a. dział osobisty, na który składają się dwa pokoje, zawierające wszystkie meble i urządzenia domowe mieszkania ks. Tumasa w dniu jego śmierci, wszystko tak leżące i w takim stanie, w jakim je śmierć Tumasa zastała. Tu są i kalendarze, zdarte do dnia jego śmierci (29 kwietnia 1933), i zegary, wskazujące chwilę jego śmierci, i książki, otwarte tam, gdzie je otwarte zastała śmierć Tumasa, i oba kanarki histeryczne Tumasa w swoich dawnych klatkach, i obrazy, i portreciki, i karykatury Tumasa; b. dział drugi stanowią rękopisy; jest to i będzie zbiór rękopisów nie tylko samego Tumasa i zebranych przez niego, ale też wszelkich innych, które są lub będą zebrane, zwłaszcza jako dokumenty kultury litewskiej. Tu np. będzie się i mój dziennik po śmierci mojej mieścił.

Otwarcie Muzeum Tumasa nastąpiło po południu. Przyjechał Prezydent Smetona, minister Šakenis, członkowie senatu akademickiego, kilku specjalnie zaproszonych gości, dziennikarze, personel służbowy biblioteki... Prezydent śpieszył, nie przemawiał, nie przemawiał również Šakenis. Jedyne przemówienie uroczyste wygłosiłem ja (patrz jego tekst pod datą pozawczorajszą w dzienniku). Potem Wacław Biržiška poinformował o zadaniach i urządzeniu muzeum i oprowadzał gości, udzielając wyjaśnień.

Wieczorem w Metropolu odbył się bankiet, wydany przez litewskie Towarzystwo Popierania Ligi Narodów (prezes prof. Janulaitis) na rzecz gości z Ligi Narodów, którzy tegoż wieczora o jedenastej wyjechali do Rygi. W bankiecie wzięło udział 40-50 osób. Przemawiali: prezes Towarzystwa prof. Janulaitis po litewsku, minister spraw zagranicznych dr Zaunius po francusku, prof. Czapiński – po angielsku i odpowiadał po angielsku pan Walters. Bankiet udał się dobrze. Po kolacji kontynuowano kawę przy osobnych stolikach w grupach dowolnie dobranych. Przed kilku dniami myślałem, że i mnie także wypadnie na tym bankiecie przemawiać i już się zacząłem przygotowywać, ale potem to odpadło.

30 kwietnia, rok 1934, poniedziałek

Mam już służbowy paszport zagraniczny na wyjazd za granicę z wizami Austrii, Niemiec, Belgii, Holandii, Anglii (do Czechosłowacji wizy nie potrzeba). Paszport to jest dyplomatyczny, ten sam, za którym jeździłem w jesieni do Genewy. Jadzia też ma już paszport i wizy, tymczasem oprócz angielskiej. Już ze wszystkich sił pragnę wyjazdu i odpoczynku.

1 maja, rok 1934, wtorek

Wpierw nim dotknę najważniejszego punktu dnia dzisiejszego – wypadków pierwszomajowych na uniwersytecie i wkroczenia policji w obrąb uniwersytetu, zreferuję akt ostatni „tygodnia kultury humanistycznej“. Ten akt, który miał miejsca dziś po obiedzie w ogródku Muzeum Wojskowego, polegał na pięknym odczycie Vidunasa z Tylży na temat „Młodzież – kwiat i wiosna narodu!“ (zresztą ten temat został przez samych studentów Vydunasowi narzucony i ogłoszony – bez jego wiedzy – ale Vydunas go przyjął, bo jest on właśnie w jego stylu) oraz na przemówieniach krótkich generała Nagiewicza, moim i ministra oświaty Šakenisa. Między przemówieniami śpiewał chór uniwersytecki, czasem sam, czasem z towarzyszeniem orkiestry wojennej, następnie miała miejsca piękna uroczystość modlitwy inwalidów u pomnika poległych za Niepodległość, złożenia wieńca na tenże pomnik i wreszcie zasadzenia młodego dębu imienia Wodza Narodu („Tautos Vado” – to znaczy Antoniego Smetony).

Z uroczystości powyższej udałem się do uniwersytetu. Była godzina siódma. Podług rozkładu miałem mieć wykład na II semestrze prawa. Ale z okazji dnia 1 maja, który jest na poły świątecznym i ze względu na zmęczenie – ograniczyłem się do colloquium bieżącego w stosunku do grupy studentów, wezwanych na dzień dzisiejszy, po czym koło godz. 8 min. 30 wróciłem do domu. Między godz. 9 i 10, gdym w negliżu pił herbatę w towarzystwie Jadzi, Andrzeja Mieczkowskiego i Stefana Römera, wpadł do mnie poruszony prorektor ksiądz profesor Česnys. Wpadł z wiadomością o wtargnięciu policji na uniwersytet. A było to tak. Wczoraj zgłosił się do mnie do gabinetu student z prośbą o pozwolenie na wywieszenie ogłoszenia. Powiedziałem, żeby szedł z tym do prorektora. Odrzekł, że go nie ma i tego dnia nie będzie. Zajrzałem do ogłoszenia: na czerwonym papierze trzy stowarzyszenia akademickie socjalistyczne – socjalno-demokratyczny „Žaizdras“, stowarzyszenie „aušrininków” i stowarzyszenie socjalistów-syjonistów – proszą o udzielenie im wolnego audytorium w gmachu pierwszym na dzień 1 maja na urządzenie wspólnego zebrania na rzecz obchodu święta majowego. Oświadczyłem, że udzielę zezwolenia, ale dopiero wtedy, gdy przyniosą mi oni kartkę od któregokolwiek profesora, że się zgadza być obecnym na tym zebraniu i ponosić odpowiedzialność za przebieg tegoż. Student wyszedł i więcej do mnie z tym nie wrócił. Sądziłem, że rzecz upadła. Dopiero dziś rano zaszedł do mnie prorektor Česnys i oświadczył, że pozwolenie na zebranie zostało przezeń dawno udzielone i chodziło tylko o moje pozwolenie na nowe ogłoszenie o nim. Ponieważ jednak zażądałem obecności kogoś z profesury na zebraniu, więc Česnys zwracał się do Purėnasa i Wacława Biržiški jako bliższych ruchu socjalistycznego, ale obaj odmówili. Na zebranie udał się zatem sam Česnys. Byłem zupełnie uspokojony. Česnys powiada, że był na otwarciu zebrania, przemawiał, zastrzegając zachowanie porządku i posłuszeństwa, po czym wysiedział na jednym referacie – o historii majowego święta robotniczego, po czym wyszedł, gdy miały być śpiewane tradycyjne pieśni rewolucyjne. Na zebraniu nastrój wydawał się spokojny; na pozór spokój zakłócali jedynie studenci narodowi, zebrani na korytarzu naprzeciwko audytorium socjalistów: stamtąd szły krzyki, pogróżki, żądania zamknięcia zebrania... Dopóki tak Česnys chodził i siedział w profesorium – nic pozornie nie zaszło oprócz incydentu pobicia jakiegoś małego szesnastoletniego Żydka przez kontrmanifestantów. Żydka tego z krzykiem

histerycznym wyprowadziła jego siostra studentka. Aż nagle do gmachu wkroczyła policja. Na zapytanie Česnysa dowódca oddziału policji oświadczył, ze w gmachu uniwersyteckim odbywa się nie zebranie organizacji studenckich, ale mityng publiczny z udziałem elementów, nie mających nic wspólnego z uniwersytetem i że policja przychodzi z rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Ciąg dalszy jutro.

2 maja, rok 1934, środa

Ciąg dalszy opisu wtargnięcia wczorajszego policji do uniwersytetu.

Prorektor, dowiedziawszy się o wkroczeniu policji i poinformowawszy się, że policja działa z rozkazu ministra spraw wewnętrznych, udał się od razu do audytorium XIX, gdzie odbywało się to zebranie pierwszomajowe socjalistów, by je zamknąć i nakazać zebranym rozejście się. Gdy ogłosił zamknięcie zebrania, członkowie tegoż odśpiewali zwrotkę Międzynarodówki, ale prorektor przerwał dalszy śpiew i powtórzył rozkaz niezwłocznego rozejścia się. Poparł go prezes stowarzyszenia socjalno-demokratycznego „Žaizdras" student Kilikiewicz, który wezwał zebranych do usłuchania rozkazu i spokojnego wykonania tegoż. Udano się do drzwi, ale te okazały się już obsadzone przez policjantów, którzy nie pozwolili wychodzić. Wtedy policja weszła do audytorium i rozpoczęła sprawdzanie dokumentów obecnych. Kto miał legitymację akademicką, tego puszczano swobodnie, kto jej nie miał – aresztowano i partiami odsyłano do urzędu policyjnego. Prorektor wtedy przybiegł do mnie. Choć byłem zmęczony, poszedłem z nim na miejsce zajścia. Obecność moja jednak na nic się nie zdała. Policja kończyła już swoją czynność, o sprzeciwianiu się nie mogło być oczywiście mowy.

Wypada skonstatować, że stała się rzecz zła. Zaszedł precedens, którego w dziejach naszego uniwersytetu dotąd nie było.

Analizując incydent, należy stwierdzić, że zawiniły wszystkie trzy strony: młodzież socjalistyczna, która zwołała zebranie o charakterze wiecowym, zwierzchność akademicka w osobie prorektora, która zaniedbała sprawdzenia osób, obecnych na zebraniu, i władza państwowa, która bez koniecznej potrzeby wkroczyła na teren uniwersytecki. Organizatorzy zebrania, członkowie zarządów trzech stowarzyszeń socjalistycznych, nie mogli nie spostrzec, że na zebraniu są ludzie obcy, nie należący do ich stowarzyszeń i nawet do młodzieży akademickiej; ludzi takich, jak już stwierdziła dziś policja, było przeszło 50. Z pewnością też zebrani wiedzieli o tym, że na zebranie przyniesiono dużo odezw rewolucyjnych i bibuły partyjnej, która jest nielegalną. Młodzież socjalistyczna, która zawsze najgłośniej krzyczy o autonomii uniwersyteckiej i największy podnosi skandal z powodu działania policji, sama swoim postępowaniem nielegalnym prowokuje interwencję policji i naraża tę autonomię na największe niebezpieczeństwo. Gdy się już zło stanie – wtedy nie pamięta o tym, że sama dała do tego asumpt. Rozumie ona oczywiście dobrze, że skoro władza państwowa utrzymuje stan wojenny i zabrania wieców politycznych, nie udzielając nikomu pozwolenia na demonstracje lub obchody publiczne dnia 1 maja, to oczywiście w murach uniwersytetu mieć to miejsca nie może. Autonomia jest akademicka, ale nie jest autonomią gmachu dla byle kogo, komu się udało wejść do gmachu. Autonomia – to nie znaczy, że kto się dostał do gmachu, ten już może w nim swobodnie robić to, co gdzie indziej jest zabronione. Z autonomii korzystać mogą li tylko czynniki akademickie i li tylko w ramach tego, co zwierzchność akademicka, jako władza pedagogiczna, uznała za dopuszczalne. W święcie robotniczym majowym władze akademickie mogą dopuścić li tylko do rozważania istoty tego święta, jego charakteru i historii, ale nie do akcji politycznej przeciwrządowej, nie do podjudzania politycznego, nie do manifestacji, które są zabronione w państwie i których zakaz formalnie obowiązuje także władzę akademicką. Autonomia akademicka – to w żadnym razie nie prawo czynienia tego, co jest zakazane. Czy zakaz jest dobry czy zły – to co innego. Jest i basta. Tymczasem podług poglądów tej młodzieży – prowokować wolno i to się

nie nazywa gwałceniem autonomii, a gdy sprowokowane władze zareagują – to dopiero wtedy taki czyn, ale nie czyn zaczepny młodzieży, jest pogwałceniem autonomii. I nic w tym nie ma rzekomo złego, że młodzież, prowokując reagowanie policji, jednocześnie oszukuje naiwną lub okazującą jej zaufanie władzę uniwersytecką: w obecności prorektora czyta się z rękopisu modny referat, a gdy tylko prorektor wyjdzie za drzwi, rzuca się hasła i rozpoczyna rozpalanie namiętności.

Winna tu jest władza akademicka, że nie sprawdziła tożsamości uczestników zebrania i sama zaniedbała niedopuszczenia osób obcych i przekształcenia zebrania akademickiego na wiec. Prorektor Česnys jest zresztą zawsze słaby i miękki, dający się prowadzić za nos, choć zacny i dobry. Dla świętego spokoju, żeby nie drażnić młodzieży, zachowuje tylko pozory stróża legalności, ale najchętniej zmyka i zamyka oczy na to, co się tam za jego plecami dzieje, a młodzież to czuje i korzysta skwapliwie.

Wreszcie jest i policja czy też minister spraw wewnętrznych. Bo właściwie potrzeby interwencji w tej formie nie było. Policja zawsze jest doskonale poinformowana o wszystkim, co się na zebraniach organizacji lewicowych studenckich stało lub stać ma, ale nigdy zawczasu nas o tym nie ostrzega. Gdyby wczoraj policja zawiadomiła prorektora, obecnego w gmachu uniwersytetu, albo mnie, który do wpół do dziesiątej też tam byłem, a potem w domu siedziałem – że na zebraniu studenckim są elementy obce, my byśmy potrafili sami sprawdzić i ludzi obcych byśmy z pomocą stróżów zdołali usunąć z gmachu, a nawet całe zebranie, jako nielegalne, rozwiązać i wszystkich z gmachu wypędzić, wytaczając jednocześnie sprawę dyscyplinarną winnym stowarzyszeniom. Policja zaś mogłaby stać u drzwi wejściowych i otoczyć cały gmach, kontrolując wychodzących na ulicę i aresztując tych, co nie mają dokumentów, bo już na ulicy nasza władza ustaje i zaczyna się panowanie policji. Ale zdaje się, że Rusteice chodziło specjalnie o ten pretekst do wkroczenia na uniwersytet i zaznaczenia władzy policji, dominującej nad władzą akademicką.

3 maja, rok 1934, czwartek

Rano wyjechała do Bohdaniszek na trzy dni Jadzia. Cel jej jazdy – sporządzenie w Rakiszkach u notariusza aktu na sprzedaż jej przez Marynię tej cząstki Gaju (9 ha) od granicy Ginduryszek, która w dziele naszym po śp. Papie w roku 1921 dostała się Maryni, a następnie była w roku 1929 sprzedana przez nią mnie za 7000 litów, ale wtedy akt sprzedaży nie został sporządzony. Teraz musiałem opłacić za Marynię koło 1500 lt. zaległości ratówek w Banku Ziemskim, żeby uzyskać pozwolenie banku na sporządzenie tego aktu.

Ja sam wieczorem wyjeżdżam do Kłajpedy, gdzie jutro mam wygłosić odczyt na temat: „Litewskość Kłajpedy jako element pacyfikacji północnego wschodu europejskiego”. Wyjeżdżam tylko na jeden dzień: pojutrze rano mam być z powrotem w Kownie.

W związku z incydentem 1 maja na uniwersytecie – wkroczeniem policji w obręb uniwersytetu – wczoraj we dnie zwołałem extra posiedzenie senatu akademickiego. Po ożywionych i na ogół dość zgodnych debatach uchwalono: w stosunku do studentów socjalistów i ich organizacji, które brały udział w zebraniu 1 maja, senat postanowił zarządzić dochodzenie w celu ustalenia winnych dopuszczenia osób obcych na zebranie i pociągnięcie winnych do odpowiedzialności dyscyplinarnej (były głosy, żądające poza tym niezwłocznego zamknięcia tych trzech organizacji akademickich, ale ja sam zaoponowałem temu). W stosunku do dozoru stowarzyszeń przez władze akademickie postanowiono opracować odpowiednie przepisy regulaminu w kierunku ścisłego zapewnienia obecności na zebraniach stowarzyszeń li tylko stowarzyszonych albo przynajmniej studentów oraz w kierunku ustanowienia funkcji opiekuna dla każdego stowarzyszenia; każde stowarzyszenie musi sobie pozyskać w drodze porozumienia opiekuna spośród członków profesury. W stosunku wreszcie do zarządzenia wkroczenia policji na uniwersytet senat stwierdził, że akt ten był zbyteczny, bo ten sam skutek mógł być osiągnięty bez interwencji policji w obrębie gmachu

uniwersyteckiego, a także był szkodliwy dla uniwersytetu, bo gwałci autonomię akademicką, obniża autorytet władz akademickich, niezbędny dla funkcji pedagogicznej uniwersytetu i stanowi niebezpieczny precedens, jakiego dotychczas nie było. Postanowiono opracować memoriał i uzyskać audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej i u prezesa ministrów dla delegacji w osobach mojej, prorektora Česnysa i dziekana prof. Wacława Biržiški dla wręczenia memoriału i ustnego wyjaśnienia rzeczy. Dzisiaj wszakże audiencji u Prezydenta pozyskać się nie udało, bo Prezydent chce być wpierw poinformowany przez ministra oświaty. U ministra oświaty byliśmy z Česnysem, ale Šakenis – to człowiek bierny, który nic nie zaradzi i który nigdy sam nie wie, co i jak należy przedsięwziąć i zarządzić.

4 maja, rok 1934, piątek

Przyjechałem rano do Kłajpedy. Na dworcu spotkałem kilku znajomych, w ich liczbie sędziego śledczego z Kretyngi Niezabitowskiego, mojego byłego ucznia z Wydziału Prawniczego, który tu obecnie prowadzi ciężkie i odpowiedzialne śledztwo w sprawie Sassa, Neumanna i towarzyszy, czyli w sprawie nasadzania tu ruchu hitlerowskiego o charakterze spiskowo-powstańczym. Specjalnie na moje spotkanie przyjechał jeden z urzędników gubernatury, referent szkolny, który mię zabrał i zawiózł automobilem do pałacu gubernatorskiego. Tam mi już i pokój przygotowano, choć, jak się potem okazało, zarząd Towarzystwa „Aukuras" zarezerwował dla mnie pokój w hotelu „Wiktoria". Ale już gubernator Novakas nie wypuścił mię z rąk swoich. Był bardzo gościnny i starał się być miły dla mnie. Jest on dla mnie zawsze z wielkim uznaniem i respektem, które datuje się jeszcze z czasów, gdy był on szefem kancelarii w Radzie Stanu, ja zaś – członkiem Rady. Jest to niewątpliwie cechą dodatnią Novakasa, że wzniósłszy się na wyższy szczebel służbowy nie tylko że nie maltretuje i nie lekceważy tych, wobec których był poprzednio służbowo niższy, ale zachowuje się wobec nich skromnie i z atencją, wyróżniając ich i dając im pierwszeństwo. Co prawda, względem Voldemarasa ten sam Novakas wręcz przeciwnie się zachował, ale to już był zapewne jakiś porachunek głębszy.

Bardzo miła jest też żona Novakasa, moja była uczennica na Wydziale Prawniczym, jedna z najlepszych i najambitniejszych studentek, jakie miałem, z domu Janė Deveikówna. Chciała ona i zamierza dotąd doktoryzować się w zakresie historii czy historii prawa. Jest uspołeczniona i bardzo miła, trochę sentymentalna. U Novakasów w gubernaturze wypiłem kawę, zjadłem śniadanie, pospacerowaliśmy w pięknym ogrodzie gubernatorskim, poczym gubernator zaproponował mi do dyspozycji statek policyjny – „dreadnought floty litewskiej", jak go żartobliwie nazwał – na wycieczkę do Sandkrug i Juodkrantis lub gdzie indziej, gdzie bym zachciał. Zgodziłem się chętnie, a niebawem i sam Novakas, zachęcony przepięknym powietrzem i znęcony chwilą wypoczynku bez troski, zdecydował się na towarzyszenie mi. Wsiedliśmy więc do automobilu i pojechaliśmy na przystań na rzece Dandre, gdzie stoi ów statek policyjny, nazwany „Partizanas". Jest na nim załoga, złożona z kapitana i pięciu majtków. Statek nieduży, ale ma dwie armatki i karabin maszynowy do ostrzeliwania przemytników. Towarzyszyli nam dyrektor policji politycznej, młody referent szkolny i mój były uczeń, syn dyrektora Towarzystwa „Aukuras" i znanego działacza litewskiego w Kłajpedzie – Jerzy Stikliorius. Na moje życzenie wyjechaliśmy na pełne morze. Było rozkosznie w ciepłym słońcu majowym i pod wietrzyk morski. Przejechaliśmy tak koło 15 mil morskich, obejrzeliśmy szczegółowo statek, rozkoszowaliśmy się widokiem i wrażeniami, po czym wróciliśmy, aby przesiąść na mniejszy stateczek „Šaulys" i udać się nim na Kanał Wilhelma, łączący Zalew Kuroński z rzeką Minią i dalej Minię z Niemnem. Wjeżdżając z morza – Kłajpeda się przedstawia wspaniale, jak duże miasto portowe. Wyciągnięta jest ona nad zalewem długą linią swych przystani i dalej fabryk, składów na drzewo itd. aż het prawie do horyzontu. Słyszałem już w Kownie, ze Kłajpeda zwiększyła się nie do poznania, bo i samo jej zaludnienie podwoiło się w ostatnim lat dziesiątku. Ale to zwiększenie jest głównie,

zdaje się, skoncentrowane w okolicy dworca kolejowego i kolei żelaznej. Widziałem to z okien wagonu i automobilu przyjeżdżając. Gdzie indziej takiego odnowienia i wzrostu miasta nie spostrzegłem. Za to ruch, zwłaszcza portowy i fabryczny, jest bardzo widocznie mocno rozwinięty. Zresztą nie przeszedłem się ani razu po mieście i nie oglądałem go, poza przygodnym rzutem oka przez okno automobilu albo poprzez widok dekoracyjny z zalewu i morza. Na Kanale Wilhelma przepięknie było w ciszy i spokoju upału letniego. Byłem upojony powietrzem.

Koło godziny trzeciej wróciliśmy z naszej pięknej wycieczki. W pałacu gubernatorskim zebrało się na obiad na moją intencję grono zaproszonych gości spomiędzy wysokich urzędników gubernatury i działaczy litewskich lokalnych. Z tych ostatnich był „Führer" narodowy litewski Simonaitis, prof. dr Gaigalaitis, dyrektor Stikliorius z synem, były student z Kowna Grigalaitis, dziennikarze – redaktor litewskiego „Ostsee-Beobachter" (Żyd) i redaktor „Lietuvos Keleivis", wiceprezes Związku Dziennikarzy dr Pajaujis, dr Sokołowski i kilku innych. Po obiedzie i kawie przedrzemałem się trochę i o godzinie siódmej, po herbatce, pojechaliśmy z pp. Navakasami na posiedzenie towarzystwa „Aukuras" w sali hotelu „Wiktoria", gdzie też wyznaczony był mój odczyt. Dokończę jutro.

5 maja, rok 1934, sobota

Rano wróciłem do Kowna. Dowiedziałem się, że Prezydent Rzeczypospolitej był wyznaczył właśnie na wczoraj audiencję delegacji uniwersyteckiej łącznie z ministrem oświaty w sprawie incydentu z dnia 1 maja. Wszakże audiencja ze względu na mój wyjazd do Kłajpedy do skutku nie doszła. Dziś ją wyznaczono z prezydentury na poniedziałek.

Wracam jeszcze do Kłajpedy, to znaczy wracam tylko w dzienniku i do dnia wczorajszego. Otóż na godzinę 7 minut 30 wieczorem udaliśmy się z gubernatorem Novakasem i jego żoną do hotelu „Wiktoria" na posiedzenie towarzystwa „Aukuras", gdzie miał mieć miejsca mój odczyt. Sala już była pełna, gdyśmy weszli i zajęli miejsca w loży. Po bokach są tam loże, gdzie zasiadają znaczniejsze persony z rodzinami, środek zajmują rządy krzeseł, prezydium – na estradzie. Mój odczyt był połączony z dorocznym ogólnym zebraniem towarzystwa „Aukuras", które łączy Litwinów uświadomionych miejscowych z zamieszkałymi w Kłajpedzie Litwinami z Litwy Wielkiej. Towarzystwo to ma cele ogólnonarodowe budzenia uczuć litewskich i poczucia państwowości, środkami zaś są rozrywki kulturalne i towarzyskie, odczyty, rodzaj klubu. Osób było zebranych przeszło setka. Odczyt mój był wpleciony w porządek dzienny walnego zgromadzenia, które się rozpoczynało od koncertu na skrzypcach. Następnie ukonstytuowano prezydium, na przewodniczącego zebrania powołano byłego prezesa ministrów z czasów sejmowych Ernesta Gałwanowskiego, mnie także zaproszono na estradę, po czym prezes zarządu towarzystwa Stikliorius referował o działalności towarzystwa. Po tym sprawozdaniu zarządu przyszła kolej na mój odczyt. Wygłosiłem go z rękopisu, ale ze względu na panujący na sali upał odczytywanie rękopisu miało ten feler, że na spotniałym nosie pince-nez mi się nie trzymało, musiałem je więc przez cały czas przytrzymywać ręką. Nadawało to czytaniu pewną sztywność. Jednak, zdaje się, mój odczyt podobał się publiczności, bo mię oklaskiwano bardzo rzęsiście, dziękowano *ex praesidio*, potem też dużo miłych słów od znajomych słyszałem. Mówiono, że spodziewano się dużo, ale że dałem jeszcze więcej, niż się spodziewano. Winszowano mi i dziękowano. Redaktor „Lietuvos Keleivisa" ofiarował mi oprawione w karton wycinki z tego pisma, dotyczące moich odczytów tegorocznych w Kownie i mojej osoby. Jest tam i życiorys mój, i dwie podobizny, i szczególnie ładny artykuł o mnie z dnia mego przyjazdu na odczyt do Kłajpedy, artykuł powitalny, omawiający moją osobę. Wypowiedziano w nim, jak kocham kraj i Litwinów, jak cenię sprawę drobnych narodów, jak, będąc z kultury Polakiem, zawsze w chwilach decydujących stawałem do współpracy z Litwinami, jak umiałem znaleźć linię sprawiedliwości społecznej i narodowej w

najważniejszych chwilach i wypadkach, jak żadne względy narodowe czy inne nie wypaczyły u mnie nigdy poczucia sprawiedliwości, jak nigdy nie stanąłem w szeregach czynów Żeligowskich lub innych podobnych aktach, pomimo że nie słyszano ode mnie nigdy słowa renegacji i łajania Polski; szedłem z bólem samotnie po linii mojej prawdy, choć mię mogły boleć pewne czyny polskie. W ogóle stwierdzono bardzo mocno moje stanowisko obywatelskie niewzruszone i broniące zawsze praw i dobra kraju i jego ludności.

Natrafiłem wczoraj w Kłajpedzie na sytuację polityczną dość skomplikowaną. Ale o tym chyba jutro.

6 maja, rok 1934, niedziela

Staram się ten ostatni tydzień pobytu w Kownie przed wyjazdem na kurację spędzić jak najspokojniej, unikając wszelkich uroczystości, zebrań, mów, odczytów... Toteż i dzisiaj nie poszedłem na żadne uroczystości. Dzień spędziłem zupełnie prywatnie. Na obiedzie byłem z Andrzejem Mieczkowskim w restauracji „Wersalu" i potem na lodach, wieczorem zaś z Litką Komorowską wybrałem się do teatru na operę „Sprzedana narzeczona" kompozytora czeskiego Smetany. Opera – śmieszna, zakrawająca na farsę, wesoła, polegająca na zabawnych i pogmatwanych sytuacjach. Muzyka – lekka, łatwa, sztuka odegrana dobrze. Zabawiłem się dobrze. Po operze wstąpiliśmy z Litką w Ogrodzie Miejskim do kawiarni na kwaśne mleko, herbatę i lody.

W domu po powrocie z Opery zastałem Jadzię, która wróciła z Bohdaniszek. Akt kupna cząstki Gaju od Maryni jest już sporządzony. Chodzi li tylko o jego zatwierdzenie przez starszego notariusza.

7 maja, rok 1934, poniedziałek

Zaniepokojony byłem te dni znacznym brzęknięciem nóg. Nigdy mi do tego stopnia nie brzękły. Zawsze przez noc obrzęknięcie schodziło i rano stopy i nogi w kostce były suche. Tymczasem teraz obrzękłość przez noc nie schodzi, tylko trochę się zmniejsza i od samego rana, jak tylko wstaję, coraz się zwiększa, podchodząc aż pod kolana. Ale zauważyłem, że gdy się ruszam i chodzę – obrzękłość się zmniejsza i to mię pociesza. Może to na skutek upałów. Dziwne jest to, że brzęknięcie nóg łączy się z polepszeniem stanu ogólnego, który wyczuwam wyraźnie od dłuższego czasu – zapewne w skutku kuracji kamfory i żelaza, które mi przed Wielkanocą zastrzykiwano. No – wszakże niebawem wyjeżdżam na kurację. Co będzie dalej – zobaczymy.

Dziś o południu mieliśmy wyznaczoną uniwersytetowi audiencję u Prezydenta Smetony. Udaliśmy się na nią we troje – ja, prorektor ks. Česnys i dziekan Wydziału Prawniczego prof. Wacław Biržiška. Ja zredagowałem Prezydentowi sytuację ogólną i wskazałem w szczególności na ujemne skutki interwencji policji w obrębie uniwersytetu, tym bardziej, że interwencja ta nie była bynajmniej konieczna. Prorektor zreferował przebieg faktyczny zajścia. Prezydent nie bardzo bronił decyzji ministra Rustejki, raczej się zgadzał z nami, ale radził nam utrzymywać w tych wypadkach kontakt z ministrem Rustejką i w porozumieniu z nim czynności policyjne regulować, a następnie mówił o zamierzonych i zdaniem Prezydenta koniecznych nowych reformach statutowych uniwersytetu. Nic wyraźnego zresztą ta audiencja nie dała.

8 maja, rok 1934, wtorek

Niezwykłą mamy wiosnę. Prześliczny był cały kwiecień, a teraz od paru tygodni mamy upały nieznośne, że aż wytrzymać trudno.

Byłem dziś z Jadzią i Andrzejem na obiedzie u Diskina. Przez całe życie moje miałem skłonność do ludzi dziwacznych, trochę „mizoginowatych", którzy tak lub inaczej nie są normalnymi. Stosunki towarzyskie, domowe – utrzymuję tylko z takimi ludźmi, bo są oni

niekrępujący i są przede wszystkim ludźmi. Z „trzech braci” z bajki, z których dwaj byli „mądrzy”, a trzeci „dureń”, ja mam słabość zawsze do durnia, który zawsze jest najbardziej człowiekiem. Ludzi zrównoważonych, sztywnych – „mądrych” – nie lubię. Towarzyskie obcowanie z nimi nie daje mi żadnej przyjemności. Znam ich, mam z nimi liczne stosunki w zakresie pracy, ale to mi wystarcza; owszem – wielu z nich lubię, cenię, ale towarzysko oni mię nużą. Poza tym zresztą utrudnia mi towarzyskie obcowanie z nimi mój stosunek z Jadzią, który jest quasi-małżeński, nieuregulowany prawnie, a więc nie nadający się do popisywania się jawnego.

Robimy przygotowania do wyjazdu.

9 maja, rok 1934, środa

W przeszłym tygodniu we wtorek czy środę czasopismo, zdaje się – dwutygodniowe „Tėvų Žemė“, niedawno założone przez organizację polityczną „Towarzystwo Odbudowy Litwy”, zarządziło w sali uniwersytetu dyskusję publiczną na temat „Związek Bałtycki a Wilno”. Organizacja „Towarzystwo Odbudowy Litwy” jest dawne, datujące się jeszcze z czasów sejmowych. Jest ona dosyć dziwaczna, bo usiłując być stronnictwem politycznym – usiłowała ona być i głosić się za „bezpartyjną” (coś niby stronnictwo narodowców bezpartyjnych). Niegdyś usiłowała ona nawet sięgać po mandaty do Sejmu, ale nigdy mandatu nie zdobyła. Prezesem tej organizacji jest stary generał weterynarii Bulota, który też jest redaktorem naczelnym pisma „Tėvų Žemė“. Pismo usiłuje być ruchliwym i aktualnym. Przed paru miesiącami ogłosiło ono ankietę na temat, jakim ma być przyszły parlament Litwy, teraz zarządziło tę dyskusję publiczną. Do udziału w dyskusji byłem też zaproszony ja, ale udziału brać nie chciałem i nie wziąłem. Dyskusja ta była poniekąd powtórzeniem debat na ten temat w Klubie Politycznym, tylko że w niej nie wzięli udziału ci, co w Klubie bronili integralności tradycyjnej (to znaczy nieprzejednanej) polityki wileńskiej Litwy. Wzięli zaś udział w dyskusji prof. Czapiński, prof. Pakštas, Kavolis, Gustainis, Żołkowski. Wszyscy oni wypowiedzieli się za Związkiem Bałtyckim bez względu na rozstrzygnięcie litewskie kwestii Wilna; niektórzy, jak Kavolis i Gustainis wypowiedzieli się też za nawiązaniem stosunków z Polską na zasadzie *status quo* faktycznego, nie przesądzając kwestii wileńskiej, a Pakštas i Czapiński szli jeszcze dalej. Pakštas, jak zawsze, dał bardzo pesymistyczny obraz sił litewskich w Wileńszczyźnie i zalecał rewizję maksymalistycznych żądań litewskich, akceptując wszelkie ustępstwo polskie. Wreszcie Czapiński poszedł najdalej: oświadczył, że odebranie Wilna od Litwy było łaską Boską, bo Litwa nie dałaby z nim sobie rady i nie zdołałaby ugruntować swojej Niepodległości; w ogóle sens przemówienia Czapińskiego był ten, że należy się godzić z Polską bez względu na Wilno, które dla Litwy było fetyszem, ale które realnego znaczenia dla niej nie ma, a nawet może się okazać szkodliwe i zabójcze dla państwowości litewskiej. W ogóle traktowanie sprawy wileńskiej w tych debatach było zgoła niezwykłe, a twierdzenia Czapińskiego były czymś zupełnie nowym, czego się dotąd nie słyszało. Oklaskiwano go jednak. Żadnego sprzeciwu ze strony publiczności nie było. Dopiero w kilka dni później ukazał się w urzędowym dzienniku „Lietuvos Aidas” artykuł krytyczny, ostro potępiający te dyskusje i zwłaszcza twierdzenia Czapińskiego. Sądząc ze sposobu argumentowania i koncepcji ogólnej stosunków międzynarodowych, artykuł w „Aidasie” mógł być pisany przez Janulaitisa. Janulaitis uważa, że spór obecny z Niemcami o Kłajpedę w gruncie rzeczy jest nieistotny i że Niemcom o Kłajpedę nie chodzi; uważa on, że wcześniej czy później Niemcy, choćby hitlerowskie, znów odzyszczą kontakt z Rosją, choćby sowiecką, bo te dwa kraje łączy solidaryzm gospodarczy, dla którego potrzeba dróg i mostów; tym mostem jest Litwa, która wciąż musi spekulować na zbliżeniu sowiecko-niemieckim, które jej da Wilno; Polska, zdaniem Janulaitisa, to najistotniejszy wróg i niebezpieczeństwo Litwy. Zresztą nie wiem, czy artykuł w „Aidasie” należy do pióra Janulaitisa.

Zapytywałem dziś Czapińskiego, co myśli o artykule „Lietuvos Aidasu". Powiada, że mocno stoi na gruncie swych twierdzeń, które oczywiście nie podobały się nacjonalistom i działaczom z „Vilniui Vaduoti Sąjungos", ale też z pewnością nie spodobałyby się Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Piłsudski bowiem, jak Czapiński sądzi, po to wziął Wilno i trzyma je, żeby Wilno przyprowadziło doń Litwę skruszoną czy wojowniczą. Na to było czasu mu potrzebne i maksymalizm litewski w sprawie Wilna jest wodą na młyn polityki Marszałka. Litwa w tej grze Piłsudskiego jest podobna do człowieka, który siedzi na ośle, podczas gdy z tyłu utwierdzony jest drut, idący nad głową jeźdźca i zachylonym końcem sięgający poprzed nos osła, a na tym końcu druta jest wiązka siana. Osioł, widząc przed sobą siano, wciąż dąży naprzód, aby je dosięgnąć i zjeść. Ten osłem z przynętą Wilnem zaprowadzi Litwę do Polski, gdzie zatraci ona swoją Niepodległość na rzecz odzyskania Wilna... w Polsce.

10 maja, rok 1934, czwartek

Na dziś zwołane było wielkie posiedzenie plenarne szerokiego komitetu obchodu 60-tej rocznicy urodzin Prezydenta Rzeczypospolitej i „Wodza Narodu" („Tautos Vadas"), jak go od paru lat nazywać zaczęto, Antoniego Smetony. Inicjatywę uroczystego obchodu narodowego tej rocznicy podjął prezes Rady Stanu Stanisław Šiling, który przed tygodniem zwołał naradę wstępną kilkunastu osób dla ustalenia organizacji obchodu. Na tę naradę byli zaproszeni ludzie osobiście bliscy Prezydentowi oraz ci, którzy reprezentują różne instytucje i kategorie funkcji państwowych i społecznych. Ja zaprezentowałem na niej jako rektor uniwersytet. Na naradzie owej uchwalono powołać do życia wielki komitet obchodu z całego kraju, powołując doń ludzi ze wszystkich powiatów. Ten wielki komitet miał za zadanie wyłonić prezydium honorowe obchodu i komitet wykonawczy czynny. Dziś właśnie komitet wielki zebrał się na posiedzenie. Chciałem być na jego początku, ale czekano tam parę godzin na przyjazd zaproszonych gości z prowincji, więc po pewnym czasie wyszedłem jeszcze przed otwarciem posiedzenia. Jak mi później mówiono, do prezydium honorowego wybrano starych działaczy, którzy przekroczyli 65 lat życia i na których czele stanął najstarszy ze starych – stary Kairiukštis. Wreszcie wybrany został czynny komitet wykonawczy. Obchód 60-lecia Prezydenta Smetony ma się odbyć we wrześniu.

11 maja, rok 1934, piątek

Rano dziś zajęty byłem w Banku Komercyjnym finansowaniem mojej podróży. Przeznaczam na to 5000 litów własnych pieniędzy i 1300 lt. od uniwersytetu na opłacenie podróży do Anglii, razem 6300 lt. Na przeszło 1 ½ miesiąca na dwie osoby – to suma nie nazbyt wielka. Zakupiłem bilety z Eytkun do Berlina i z powrotem, pewną ilość koron czeskich na pierwszy pobyt w Pradze i szylingów austriackich na pobyt w Wiedniu, 35 funtów angielskich, pięć kuponów na „Reisemarki" niemieckie po 50 marek i akredytywę na bank w Marienbadzie i Karlsbadzie na 17 000 koron czeskich. Załatwiałem to za poradą Diskina.

Po obiedzie przyszli do mnie na kawę członkowie zarządu „Pan-Europy" – generał Kurkowski i dr Purycki z bawiącym w Kownie głośnym skrzypkiem sławy wszechświatowej Hubermannem, Żydem polskim rodem z Częstochowy, który koncertuje w Kownie. Hubermann, człowiek bardzo sympatyczny, łączący patriotyzm lokalny polski z internacjonalizmem żydowskim, sam jest wielkim przyjacielem i rzecznikiem „Pan-Europy", do której związku międzynarodowego sam należy. Mam się z nim w przyszłym tygodniu w Wiedniu na konferencji „Pan-Europy" spotkać. Tu się z nim zapoznałem i bardzo mile pogawędziliśmy. Wrażliwy to człowiek, natura nerwowa i artystyczna, ma gorący zmysł społeczny.

Wieczorem odbyło się ostatnie zwołane przeze mnie posiedzenie senatu akademickiego, na którym omówiliśmy cały szereg spraw kapitalnych i które zajęło całe cztery godziny bite. Pracowity dzień ostatni.

12 maja, rok 1934, sobota

Nastąpił wreszcie dzień odjazdu na kurację. Urzędowałem jeszcze rano na uniwersytecie, w ogóle zresztą wszystkie prace moje uporządkowałem, wszystkie obowiązki opatrzyłem, wszystko zostawiam w stanie bieżącym bez jakichś zaległości i większych zakłóceń. Niechże mi kuracja – pierwsza prawdziwa – pójdzie na zdrowie i na korzyść. Życzę sobie zmizernienia, ale też odzyskania sił i naprawienia mojej zdolności do pracy, która się w ostatnim szczególnie roku nieco zachwiała. Jadzia, która się cieszy z jazdy ze mną, jednak biedaczka boi się też jej. Przestraszyło ją zwłaszcza brzęknięcie moich nóg w ostatnich kilku dniach i groźna uwaga doktora Elkiesa, że na wszystko ma w stosunku do mnie sposób oprócz jednak serca: nowego motoru, nowego serca mi nie włoży, a jeżeli to nie dotrzyma, to on na to rady nie ma: trzeba się strzec i zachować wielką ostrożność. Nie, zaiste, na śmierć jeszcze przygotowany nie jestem, toteż umierać mi jeszcze za wcześnie. Zwłaszcza w stosunku do Bohdaniszek, które są dla mnie jedną z rzeczy najistotniejszych i na ziemi najdroższych. Gdyby Bohdaniszki spadły po mnie na moją córkę Celinę, która ich nie zna i nie może kochać i u której sama Litwa żadnego sentymentu nie budzi, sprzedałaby je ona byle komu, a wtedy całe moje dzieło osobiste w Bohdaniszkach zmarniałoby. Nie byłoby żadnego pietyzmu, któryby coś oszczędził i nic by Bohdaniszek z moim imieniem nadal nie łączyło. Ale usunąć Celinę od Bohdaniszek w drodze testamentu nie mogę, bo należą one do kategorii majątków rodzinnych, które w myśl naszych ustaw działających nie mogą być rozporządzane testamentem z pominięciem spadkobierców legalnych. Chcąc więc usunąć – trzeba za życia zrobić akt „kupczej" na rzecz osób innych. Ale tu powstaje kwestia, jak się zabezpieczyć, aby te osoby nie odebrały też wnet Bohdaniszkek ode mnie samego. Bądź co bądź, jest przecie i ten szkopuł, że wydziedziczenie rodzonej córki jest rzeczą trochę drastyczną. Atoli wczoraj wypłynęła rzecz innej natury, złośliwszej, która da mi nową podnietę i zasadę do tej akcji. Mianowicie otrzymałem wczoraj list od mego dawnego młodszego kolegi i pupila ze Szkoły Prawa, a zarazem przyjaciela serdecznego Gienia Falkowskiego w Wilnie, do którego pisałem niedawno. Gienio, kalwin po matce (po Świdach), jest kalwinem gorliwym i czynnym, bodajże prezesem synodu kalwińskiego, ogarniającego wszystkie ziemie Litwy historycznej. Prosiłem go, aby mi zakomunikował, jaki zapadł wyrok w dniu 15 listopada 1932 w sprawie rozwodowej Reginy przeciwko mnie. Że wyrok rozwodowy zapadł – nie wątpiłem, jak również nie wątpiłem, że na mocy tego wyroku Regina, która zmieniła wyznanie katolickie na kalwińskie, poślubiła swego drugiego kochanka. Gienio Falkowski potwierdził mi orzeczenie rozwodu przez kościół kalwiński, ale dodaje, że w wyroku jest zastrzeżenie o ściągnięciu 550 złotych kosztów przy wydaniu odpisu. I oto... nikt odpisu wyroku nie zażądał i tych 550 złotych nie uiścił. Bez odpisu wyroku rozwodowego Regina nie mogła wziąć drugiego ślubu. To znaczy, że żyje ona ze swym drugim mężem (nazwiska jego nawet nie wiem) nieślubnie. Widocznie te 550 złotych odstraszyły ją i postanowili wraz z mężem zadowolić się faktem. Z jego strony to mogło być nawet „mądre", bo tą drogą pozbywał się on wszelkich na przyszłość obowiązków utrzymania kobiety i ewentualnej przyszłej rodziny, gdy już resztki fortuny Reginy (Łunna) zostaną stracone, ale Regina wychodzi na tym interesie jak „Zabłocki na mydle". Mnie osobiście to obchodzi o tyle, że Regina może się jeszcze próbować kiedyś mnie czepiać, ale jeszcze bardziej obchodzi to, że Regina mieć jeszcze może dzieci ze swego drugiego „męża", które, nie będąc zamężna, zapisywać może do metryk na moje imię jako rzekomo dzieci ślubne swoje i przeto... moje. Tą drogą może mię bez mojej wiedzy obdarować całym bukietem „potomków" płci obojga, którzy, rosnąc cierpliwie z daleka ode mnie, abym nic o nich nie wiedział i nie słyszał, a przeto i podjęcia kroków nie wszczynał na

rzecz sprostowanie ich metryk, potem nagle po mojej śmierci rzucą się na mój spadek jako rzekome dzieci moje. Otóż jeżeli już nie od Celiny, która bądź co bądź jest moją córką wyraźną, to przynajmniej od tych ewentualnych bękartów ratować Bohdaniszki muszę. To mi moją decyzję wzmoże. Bohdaniszki podzieliłbym między Jadzią Čepasówną, Marynią i Elwirą aktami notarialnymi kupna-sprzedaży.

13 maja, rok 1934, niedziela

Zabieram się do opisu podróży. Wyjechaliśmy z Jadzią wczoraj po piątej po południu. Nikt nas w Kownie tak nie żałuje, jak Andrzej Mieczkowski, nasz domownik obecny. Przywiązał się on do mnie, a właściwie do nas obojga z Jadzią serdecznie. Ma on też, jak my oboje, coś z natury dziecka w sobie, to znaczy należy nie do tzw. „mądrych", lecz do „głupich" w życiu, którzy, jak wiadomo, zawsze w bajce pokonywają „mądrych". Ale i poza sferą bajki „głupi" w wielu zakresach przelicytowują „mądrych": w nauce, w Królestwie Bożym, w sztuce itd. Otóż Andrzej dlatego tak dobrze do nas pasuje, że ma naturę szczerą artystyczną, daleką od mądrości diabelskiej. Nasze we trójkę życie domowe – to pewnego rodzaju teatr, ciągła gra, ciągłe przedstawienie naiwne.

Na dworcu odprowadzali nas: Andrzej Mieczkowski, Diskin i Feliks Mackus. Niebawem odjechaliśmy klasą III do Eytkun, skąd mamy do Berlina bilet klasy II. Na granicy pruskiej lękaliśmy się trochę o papierosy, których sporo wieziemy. Tymczasem nie papierosy, ale najniespodziewaniej zostały nam zaatakowane... gazety, które wieźliśmy. Żandarm pruski chwycił dwa numery ilustrowanych „Sekmadienis" i „Diena", które Jadzia sobie na lekturę na jutro szczędziła; zabrał je do sprawdzenia, czy nie należą do tych, którym debit w Niemczech odebrano. Co mu jemu dało sprawdzenie nie wiemy: gazet tych nam już nie zwrócono. Jadzia była zgorszona. Przez całą noc do Berlina nie zmrużyła oka. Choć byliśmy z Jadzią w przedziałce sami i mogliśmy się rozciągnąć na ławce, jednak mnie leżeć było niewygodnie i wszelkie próby snu spełzły na niczym. Ale dziwne – niewyspanie nie osłabiło mię zbytnio i nie wywołało zbytniej senności we dnie. W Berlinie dowiedziałem się, że pociąg na Pragę wychodzi z dworca Anhalckiego o godz. 10 z minutami. Zaraz więc przejechaliśmy na ten dworzec i puściliśmy się w drogę. Przejechaliśmy Brandenburgię, Drezno, które stanowi olbrzymi konglomerat miejski, rozlany na całą wieś dokoła, jak żeby tu już wieś zupełnie zginęła i miasto pozostało jedyne – i dalej wybrzeżem Elby przez malowniczą „Szwajcarię Saską" do granicy Czechosłowacji. Żandarmeria i komornicy celni czescy, po stwierdzeniu dyplomatycznego charakteru mego paszportu, zaniechali rewizji. Do Pragi przyjechaliśmy o godzinie 4 i pół po południu. Zarekomendowano nam niezły hotelik Wilsona w pobliżu dworca kolejowego. Tu też stanęliśmy. Poszliśmy z Jadzią na miasto. Na razie Praga Jadzi się nie spodobała; zresztą była niedziela, handel – nieczynny, magazyny – pozamykane, nie wszystkie witryny otwarte i oświetlone. I ruch też w niedzielę po obiedzie i pod wieczór był nienajwiększy, bo z powodu upału i święta Prażanie zapewne popędzili na wieś – na wycieczki. Dopiero spacer nad Vltavą, wspaniała kawiarnia na przeciwko „Narodnego Divadla" i przejście się późnym wieczorem po zalanym światłem reklam kolorowych „Vaclavskim Namesti" – usposobiły Jadzię do Pragi nieco lepiej. Na tym nam dzień dzisiejszy upłynął.

14 maja, rok 1934, poniedziałek

Dzień dzisiejszy pojednał zupełnie Jadzię z Pragą. Mianowicie już wczoraj na dworcu kolejowym kupiliśmy dwa bilety jazdy miejskiej okrężnej autokarem na dziś rano. Rano autokar zajechał przed hotel i wyruszyliśmy. Pozbierał on z różnych stron ogółem koło 10 osób publiczności, dla których obsługi dodano trzech przewodników: jednego w języku niemieckim, jednego – w języku angielskim i jednego – w języku polskim specjalnie dla nas z Jadzią. Zwiedziliśmy Praszną Bramę, przejechaliśmy przez różne ciekawsze miejsca miasta,

szczegółowiej obejrzeliśmy ratusz, dzielnicę byłego ghetto żydowskiego z tzw. „staro-nową” synagogą i starym cmentarzem żydowskim, krzyż złocony z napisem na nim żydowskim na Karlovym Moście, Hradčany, złożone z pałacu ex-królewskiego i katedry zamkowej. Wtedy dopiero Praga wyrosła i nabrała szacunku w przekonaniu Jadźki. Wycieczka ta zajęła nam trzy godziny czasu. Na ogół Praga jako stolica państwa niepodległego nie może się powstydzić swoich szat zewnętrznych. To przecie nie nasze Kowno, które nigdy stolicą nie było i do samej wojny było miastem prowincjonalnym, którego indywidualność była poza tym tłumiona przez twierdzę wojenną. Pragę, stolicę dawną Korony Czeskiej, odziedziczyli cesarze rzymscy krwi niemieckiej, którzy wcielili kraj z jego stolicą historyczną do swoich dóbr dynastycznych jako wyposażenie samej rodziny Habsburgów, którzy – dziedzice ziem austriackich, Korony Czeskiej św. Wacława i Węgierskiej św. Stefana oraz innych prowincji i krajów, rozsianych po Alpach, Włoszech, Hiszpanii i Niderlandach – sięgali po koronę cesarską nie z pustymi rękami, lecz bogaci przez się, mogący się i bez niej utrzymać i mogący nie tylko brać, lecz także dawać, materialnie wyposażeni, bogaci, udzielający blasku Koronie. W ręku cesarzy Praga była wciąż ozdabiana pomnikami, pałacami, zabytkami piękna, które się gromadziły i którymi rosła. Była się ona zniemczyła, ale odrodzenie narodowe czeskie w wieku XIX odzyskało jej czechizację. I dziś w Pradze Niemców jest dużo, wciąż się słyszy po niemiecku i wszyscy po niemiecku umieją, obok uniwersytetu czeskiego jest niemiecki, są instytucje kredytowe i publiczne niemieckie, które jeno reklam i szyldów nie mają, bo te są nakazane po czesku dawać, a Niemcy tego nie chcą.

W obecnym czasie jest tu szczególnie dużo Niemców i Żydów niemieckich jeszcze dlatego, że hitleryzm niemiecki wpędził tu falę emigracji żydowskiej i socjalistycznej z Niemiec.

Po wycieczce rannej i po obiedzie zamierzałem wyruszyć dziś dalej – do Wiednia, atoli okazało się w rozmowie z Jadźką, że przez nieporozumienie nie wzięliśmy z Kowna żadnej marynarki czarnej mojej: tylko frak i szarą marynarkę podróżną. Byłem bardzo zirytowany, ale cóż robić. Po dłuższej naradzie doszliśmy do przekonania, że trzeba spróbować kupić gotowe czarne ubranie – marynarkę i kamizelkę dla mnie, spodnie zaś zdadzą mi się frakowe. Z wielką biedą w jednym z uniwersalnych magazynów znaleźliśmy choć nie czarną, ale ciemno-granatową marynarkę na mój wzrost i tuszę. Czarnego gotowego ubrania na moją miarę – nie ma wcale. Trzeba było jeszcze trochę przerobić kupione ubranie, więc już na dzisiaj nie wyjechaliśmy z Pragi.

15 maja, rok 1934, wtorek

Rano wyjechaliśmy z Pragi. Nie sądziłem nigdy, żeby z Pragi do Wiednia trzeba było jechać koło siedmiu godzin. Tak się jednak okazało. Jechaliśmy pociągiem prędkim czyli „rychlikiem” według urzędowej terminologii czeskiej i jadąc via Brno dotarliśmy do Wiednia koło godziny 3-4. W Wiedniu – mała niedogodność. Znaleźliśmy się bez pieniędzy, bo miałem w kieszeni jeno czek na szylingi austriackie, ale nie gotówkę. Nie było co robić. Banki już zamknięte. Trzeba było próbować zrealizować czek u portiera w hotelu. Wsiedliśmy do starej karety dorożkarskiej parokonnej, której furman był do nas podszedł i pochwycił rzeczy nasze. Miłym truchtem podków końskich po kamieniach jezdni potoczyliśmy się przez ulice wiedeńskie do hotelu „Imperial”, zaleconego mi przez skrzypka Hubermanna, dotarliśmy do Kärtner-Ringu, gdzie położony jest ten hotel. Chwilka nieprzyjemna wyjaśnień i oto już służba hotelowa realizuje mi czek na szylingi. Na obiad nie ma czasu. Przebieram się, kupuję czarny krawat, golę się, Jadzię odprowadzam na Kärtnerstrasse na pożeranie wystaw w oknach sklepowych (Jadzia tak świetnie się orientuje w mieście, że w każdym najbardziej obcym mieście raz gdzieś nie bardzo daleko doprowadzona – będzie się teraz najdłużej kręciła i zawsze wróci dokładnie do domu, a po kilku wycieczkach takich zna już bliższe okolice na wylot), sam zaś wsiadłem do taxi i pojechałem

do domu twórcy i prezesa ruchu pan-europejskiego – hrabiego Coudenhove-Kalergi. Tam bowiem u niego miała się zebrać Rada Naczelna związku, na którą miałem zaproszenie. Zastałem tam kilku panów jeszcze przy herbatce z kanapkami i ciastami. Oprócz obojga hrabiostwa byli tam obecni przedstawiciele narodowych związków pan-Europy: Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, Belgii, Hiszpanii, Litwy (ja) i – zdaje się – Luksemburga. Niebawem – po herbatce – przeszliśmy do sali obrad. Posiedzenie zagaił hr. Kalergi. Stwierdził on tezy następujące dla ruchu pan-europejskiego na dziś: a. ośrodek ruchu dziś należy zakładać na wschodzie europejskim (od północy do południa – Finlandia, Bałtyka, państwa dunajskie, Bałkany), nie zaś na zachodzie, albowiem nadzieja na pojednanie franko-niemieckie zawiodła i wielkie mocarstwa sposobią się raczej do wojny i hegemonii, albo ewentualnie opierać usiłują pokój na dyrektoriacie; b. podstawą Pan-Europy winny być związki regionalne europejskie, z których ona wykwitnie; c. sferą aspiracji pan-europejskich staje się ekonomika, nie zaś polityka; d. w pan-europeizmie są najbardziej zainteresowane czynniki gospodarcze rolnicze, nie zaś industria; e. ruch pan-europejski rozwijać i na jego rzecz działać należy przez rządy państwowe, a nie spontanicznie i tym bardziej nie przeciwko rządom, które są dziś wielką potęgą i rozporządzają środkami. Odbyła się mała dość ciekawa dyskusja, w której przemawiał najciekawiej Węgier, a której już streszczać nie będę. Jutro – otwarcie konferencji ekonomicznej.

16 maja, rok 1934, środa

Dziś o godz. 10 rano we wspaniałym pałacu byłego parlamentu austriackiego, pochodzącym jeszcze z cesarstwa i pełnym świetnych tradycji, jak również głośnym ze skandalów na tle walk nacjonalistycznych (dziś nowa konstytucja Austrii korporacyjnej Dollfusa instytucję parlamentu zmiotła z widowni), wyznaczone było otwarcie uroczyste międzynarodowej konferencji ekonomicznej Związku Pan-Europy. Uroczystość odbyła się w mniejszej sali, do której się wchodzi wprost z ogromnego przedsionka ozdobionego popiersiami parlamentarnych mężów stanu z doby cesarstwa. Z Polaków są tam popiersia mężów tej miary, jak Franciszek Smolka, Grocholski, Jaworski.

Na estradzie – członkowie konferencji, po obu stronach wzniesienia prezydialnego przewodniczący delegacji narodowych, mający przemawiać. Naprzeciwko – publiczność. Na uroczystość przybył kanclerz Dollfuss, jeden z najciekawszych i – mam wrażenie – największych dziś ludzi w Europie, zawsze enigmatycznie uśmiechnięty, promieniujący jakimś entuzjazmem wewnętrznym – który zasiadł na wzniesieniu prezydialnym obok hrabiego Coudenhove-Kalergi; przybyło też kilku ministrów rządu austriackiego. Dollfuss dziś nie przemawiał. Ma on mieć wielką mowę do członków konferencji jutro.

Jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości delegat czeski obchodził wszystkich mających przemawiać i prosił, aby każdy mówca zaczął mowę w swoim języku krajowym i dopiero po paru pierwszych frazesach przeszedł do języka francuskiego lub niemieckiego. Zagaili uroczystość prezes hr. Coudenhove i jeden z ministrów austriackich, po czym przemawiali delegaci grup narodowych w tym porządku: Francuz, Belgijczyk, Hiszpan, Węgier, Czech, Litwin, Luksemburczyk, Finlandczyk, Szwajcar i Rumun. Gdy przeszła kolejka moja, rozpocząłem jak inni – po litewsku i po kilku słowach mówiłem już po francusku. Gdym skończył i usiadł pod oklaskami, zauważyłem, że mój sąsiad Francuz niespokojnie się porusza i na wpół obrócony do mnie kilkakrotnie powtórzył: „*Mais c'est très intéressant ce que Vous venez de dire*”[16]; sądziłem, że to jakiś komplement zdawkowy, ale po uroczystości Francuz mię zainterpelował. Okazało się, że go w podziw sprawiło to, że delegacja litewska mówi o związku regionalnym bałtyckim jako konstrukcji pożądanej, podczas gdy podług pojęć panujących Litwini ze względu na swój spór z Polską i swoje stanowisko nieprzejednane –

[16] Ale to jest bardzo ciekawe, co pan właśnie powiedział.

stanowią rzekomo główną przeszkodę do nawiązania bloku bałtyckiego. Po uroczystości, gdym wychodził z sali, podszedł do mnie pewien wysoki pan w wieku średnim i po francusku zaczął mi winszować przemówienia i wyrażać najwyższe uznanie, podziw i entuzjazm, dodając, że jest Polakiem. Odpowiedziałem mu po polsku, że cóż osobliwego można upatrywać w tym, że Litwini, będący narodem małym, szukają oparcia i obrony w związkach regionalnych i związku paneuropejskim. Odrzekł, że nie tyle to go ujęło, ile to, że Litwin wyraził się publicznie z potępieniem aktu rozbioru Polski jako zarazem rozbioru Litwy, w akcie tym zaznaczając źródło niewoli swojej. Istotnie nazwałem akt rozbioru Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego największą zbrodnią wieku XVIII. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Polacy mieliby się dziwić takiemu wartościowaniu przez Litwinów aktów bandytyzmu i rabunku czy rozboju międzynarodowego. Po uroczystości miał być lunch wspólny, potem praca w sekcjach, ale ja już uciekłem i więcej się w Pan-Europie nie pokażę. Jutro wyjeżdżamy z Jadziuńką do Marienbadu i zabieramy się do kuracji.

17 maja, rok 1934, czwartek

Trzeba było wymienić na szylingi austriackie aż trzy funty sterlingów angielskich, żeby się zebrało na bilet kolejowy III klasy z Wiednia do Mariańskich Łaźni, czyli Marienbadu. O godzinie dziesiątej odjechaliśmy z Wiednia, gdzieś koło godziny drugiej przejechaliśmy granicę czeską w okolicy Budziejowic, ale jedziemy wciąż krajem mowy niemieckiej. Czesi bowiem w swojej czeskiej części państwa zrealizowali swoją niepodległość nie w kategorii narodowej, lecz w kategorii historycznej ziem Korony Świętego Wacława (Czechy właściwe, Morawy i cząstka Śląska) bez względu na statut narodowy tych ziem, wchłaniając tą drogą do państwa paromilionową ludność niemiecką na terenie zwartym. Tylko w stosunku do Śląska zmuszeni oni zostali do podziału go z Polską na Śląsku Cieszyńskim, czyli dawnym austriackim. Za to w Słowacczyźnie, czyli Słowacji, stanowiącej drugi trzon państwowy Czechosłowacji współczesnej, Czesi realizowali swoje terytorium państwowe przeciwko Węgrom na zasadzie terytorium narodowego słowackiego w proporcjach maksymalistycznych, wcielając doń także prowincję Rusinów podkarpackich, mającą być rzekomo autonomiczną.

W Marienbadzie stanęliśmy o godzinie piątej z minutami po południu. Powietrze bardzo znacznie ochłodło, jest już zimno. Dorożką z dworca kolejowego udaliśmy się w głąb Marienbadu. Dorożkarz nas zawiózł do hoteliku „Rauscher” przy głównej ulicy. Tam też może się zalokujemy na stałe.

Przeszliśmy się trochę po Mariańskich Łaźniach, w szczególności do źródeł. Oczywiście, że dziś jeszcze kuracji nie rozpoczynamy. Jutro zaczniemy od lekarza.

18 maja, rok 1934, piątek

Rozpoczęliśmy z Jadzią nasz pierwszy dzień kuracji marienbadzkiej od tego, że udaliśmy się do lekarza po wskazówki. Tym lekarzem jest niejaki dr Liebeskind, jak samo brzmienie nazwiska wskazuje – Żyd, mianowicie Żyd polski, pochodzący z Krakowa. Toteż doskonale mówi po polsku. Do niego mianowicie miałem list polecający od dr Elkiesa z Kowna. Jadzia miała od swego lekarza, dr Laurinavičiusa list do innego lekarza – niejakiego dr Olberta, ale za jednym zachodem dr Liebeskind „zafasował” oba listy i tą drogą pochłonął obu klientów. Po opukaniu, obejrzeniu itd. wpierw mnie, potem Jadzi dr Liebeskin powtórzył mi, co słyszę zawsze: przestrogi o moim sercu i oparł moją kurację na diecie. Mam więc trzy razy na tydzień mieć trochę mięsa lub ryby na obiad, innych dni natomiast, a poza tym i w dni mięsne poza obiadem – żywić się przeważnie jarzyną, jajami i owocami. Wszelkie zupy – wykluczone, tłuszcz – także, piwa, wina, alkoholu – nie wolno, ciast – także, herbata na śniadanie i kolację, kawa czarna – raz na dzień na podwieczorek. Wody mi pić doktor zalecił – tylko Kreuzbrunu – dwa razy na dzień po 200-250 gramów – w „Mariańskich Łaźniach”

bez wody ze źródeł nie można, nawet gdyby bez niej było zdrowiej, bo w cóż się zamienią te „bady" bez popijania tradycyjnego wody z kubka?! Kąpiele zalecił mi doktor kwasowo-węglowe. Oprócz tego co dzień rano o godzinie szóstej będzie przychodził do mnie masażysta. Spacerować mi zalecono, ale ze względu na serce – nie za dużo i nigdy pod górę. Doktor wypisał mi szereg miejscowości, do których należy dojeżdżać autobusem, a stamtąd wracać w dół piechotą.

Kuracja Jadzi jest inna. I ona dostała wody i wanny. Jej wody – to Ferdynandowe Źródło, a kąpiele – stalowe. Jeść musi jak najwięcej i jak najtłuściej, chodzić i ruszać się – najmniej. Zresztą Jadzi kuracja – to tylko ot tak sobie – przy okazji.

Zimno było dzisiaj i smutno jakoś. Czas płynie monotonnie. Jest właściwie nudno. Najgorsze to, że do wód, do kąpieli i do autobusów wycieczkowych – wszędzie trzeba piąć się pod górę. Co prawda, nie bardzo wysoko i daleko, ale stromo i chodzenie to pod górę niezmiernie mię męczy i osłabia. Zdaje mi się, że się czuję jeszcze słabszy, niż w Kownie i ten kawałek drogi, powtórzony kilkakrotnie pod górę ze wsparciem o wierne i kochane ramię Jadzi, to prawdziwa męczarnia dla mnie. Ano zobaczymy, jak to będzie dalej.

Marienbad – Marianskě Lázně – ładne czyste miasteczko wśród gór porosłych lasem iglastym. Sezon kuracyjny jeszcze nie rozwinięty. Czysto tu i na ogół spokojnie. Dominuje język niemiecki, ale i czeski poczynił postępy. Ze służbą dużo gdzie rozmówić się można po czesku (względnie po polsku). Masaże i kąpiele rozpoczynamy od jutra.

19 maja, rok 1934, sobota

Dziś już dzień regularny – i masaż, i wody, i kąpiele, i dieta. Masaż – bardzo przyjemny i mam wrażenie – będzie skuteczny. Masażysta – człowiek młody jeszcze, fachowiec dobry, wykonywa robotę starannie. Na ogół kuracja moja weszła już na swe tory. Wśród kuracjuszy nie widzę nikogo nawet z widzenia znajomego. Spodziewałem się, że tu zobaczę choć kogoś z Żydów kowieńskich, ewentualnie kogoś znajomego z Polski, ale nie. Zresztą, wnosząc z gazet, stosunki polsko-czeskie bardzo się zaogniły z powodu jakichś zatargów o traktowanie przez Czechów mniejszości polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Gazet litewskich nie mam tutaj, listów jeszcze nie mam od nikogo, bo dopiero zaczynam mój adres do znajomych podawać.

20 maja, rok 1934, niedziela

Zielone Świątki! Marianskě Lázně (Marienbad) w wielkim poruszeniu. Wczoraj przyjechała tu wielka wycieczka z Nürnbergu w Bawarii – 15 tysięcy osób naraz, która zalała całkowicie hotele, restauracje, kawiarnie, uruchomiła taxi, dorożki, autobusy. Wycieczka nocowała tutaj, dzisiaj odjechała ona do Karlovych Varów (Karlsbadu), jutro jedzie do Francesbadu. Odbyła się też dzisiaj jakaś manifestacja okolicznej ludności, to znaczy niemieckiej części Czech. My z Jadzią spokojnie przepędziliśmy tu nasz świąteczny dzień – przez masaże, wody, pi-pi, spacery. Tylko wanien nie mieliśmy. Po obiedzie udaliśmy się w autokarze na jakąś „Rundreise" po okolicy na Kaiserwald i inne miejscowości. Ot, trochę wrażeń świeżych. Tłuściochów to tu admirować możemy. Jest tego na wszelkie gusty i odmiany. Cała teoria wszelkich rodzajów narastania tłuszczu na człowieku.

21 maja, rok 1934, poniedziałek

Najnieznośniejsze jest w Marienbadzie to, że teren jest nierówny. Z hotelu Rauscher, w którym mieszkamy, musimy iść do wód, do kąpieli, do autobusów – pod górę. A więc co najmniej kilka razy na dzień. Pięcie się dosyć strome i mnie ono ze względu na serce bardzo męczy. Dziś mi już może cokolwiek lżej iść pod górę, ale pierwszych parę dni to była męczarnia nieznośna. W ogóle czuję dobrze, że serce moje jest bardzo osłabione i trzeźwo sobie stawiam pytanie, czy ze mnie coś jeszcze będzie. Skłonny jestem sądzić, że mi już

niedługo do życia na tym świecie zostało. Nie przerażam się tym bynajmniej, tylko będę musiał Bohdaniszki zabezpieczyć.

Pierwsza część podróży, która była ruchliwą, zabrała mi dużo pieniędzy. Teraz więc niepokoję się trochę, czy mi na wszystko na resztę pobytu wystarczy. Zaczynam się wahać co do jazdy do Oxfordu. Choć mam pieniądze skarbowe na tę podróż, ale wyjdzie więcej. Zdaje się, że uniwersytetowi nie uczyniłbym wielkiego zawodu, gdybym nie pojechał, bo coś mi wygląda, że taki arbitralny podział uniwersytetów na zaproszone w roku zeszłym na konferencję i na zaproszone w roku bieżącym czyni te drugie jakąś wartością uznaną mniejszą i wykracza przeciwko zasadzie równości formalnej. Wszystko, co wybitniejsze, a właściwie co większe – wzięło już udział w konferencji uniwersyteckiej roku zeszłego, a teraz są proszone tylko uniwersytety podrzędniejsze. Nie wiem, czy warto brać udział. Sama podróż do Anglii i widok Oxfordu nęci bardzo, ale rzecz może się okazać ujemna i środków może zabraknąć albo trzeba będzie extra zażądać. Na dwoje więc jeszcze babka wróżyła, czy pojadę.

Kuracji też dzielić na Marienbad i Karlsbad nie będę. Wystarczy sam Marienbad.

22 maja, rok 1934, wtorek

Płynie czy też sączy się w Marienbadzie czas dzień za dniem – powoli i jednostajnie. Marienbad – to nie plaża tryskająca słońcem i młodzieżą, to nie stacja klimatyczna, słynąca z dancingów, sportu i zabawy, lecz kurort ludzi starych, ciężkich, zmęczonych, kurort tych, którzy przeważnie mają życie lekkie i niczego sobie nie odmawiają, toteż Bóg im dał ciężar w ich własnej osobie, którą dźwigać muszą, obarczeni brzuchami i tuszą. Tu przybywają dla spędzenia brzucha i tuszy, muszą się męczyć, ruszać dużo, płukać żołądki wodą, kąpać itd., zwłaszcza niedojadać, nie pić ulubionego piwa itd., toteż nudna tu atmosfera. Gdyby nie Jadzia – byłbym tu nieszczęśliwy. Z nią jednak nie nudno mi nigdy. Ma ona w sobie pełno życia głębokiego, pełno entuzjazmu, zaciekawienia, spostrzegawczości. Są w niej tętna głębokiego życia, są pokłady niewyczerpane wiecznego dzieciństwa i wiosny. My sobie umiemy świat tworzyć swój własny. Przedmiotowe rzeczowe kadry naszego życia mogą być monotonne i nieciekawe – my sobie nie z nich barwy czerpiemy, jeno z wnętrza swojego, z bogactwa podmiotowego, w którym nigdy treści i tematu nie zabraknie.

23 maja, rok 1934, środa

A oto nasz dzień z Jadźką w Marienbadzie ze ścisłością prawie matematyczną. O godzinie szóstej rano puka do moich drzwi i wchodzi masażysta, który rozpoczyna bardzo przyjemny proceder masażu. Bierze wpierw jedną rękę, potem drugą, następnie masażuje brzuch, potem jedną nogę i drugą z przodu; potem masażuje kark i plecy aż do bioder, wreszcie nogi – z tyłu. Potem naciera jeszcze wszystkie miejsca masażowane jakimś olejkiem aromatycznym. Masaż należy do najprzyjemniejszych epizodów kuracji.

Masaż trwa nieco ponad pół godziny. Masażysta zmyka i ja zaczynam się ubierać. Jadźka z sąsiedniego pokoju słyszy, że u mnie był masażysta, ale leni się trochę wstawać, toteż zawija się, by zdrzemnąć jeszcze i wyszmuglować trochę słodkiego snu rannego. Ja zaś korzystam z tego i ubierając się coś piszę lub czytam. Koło siódmej – wielki alarm. Jadzia woła wielkim głosem, żeby wstawać, bo trzeba jeszcze iść do wód i czekać całą godzinę na śniadanie. Jadzia wpada błyskawicznie do mego numeru, napędza mnie, pomaga nałożyć obuwie i oto wychodzimy do wód – na godzinę ósmą. Pijemy nasze wody – po kolei ja i Jadzia. Po wodach schodzimy w dół do miasta. Na śniadanie przeważnie sobie sami kupujemy, Jadzia – szynki praskiej lub salami węgierskiego, ja – jajka ugotowane i bryndzę owczą górską. Śniadanie jemy w swoich pokojach. Jeżeli to dzień wanien, to po drodze z wód na śniadanie obstalowujemy wannę lub wanny. Po śniadaniu każde z nas czeka swego czasu do wanny, względnie, jeżeli idziemy do doktora, czekamy odpowiedniej godziny. Na

śniadaniu, doktorze, wannie – schodzi czas do obiadu. Po wannie – nakazany mały kiejf. Obiad ± o godzinie pierwszej. Obiadujemy w restauracji naszego hotelu. Po obiedzie krótka sjesta w domu, po czym udajemy się autobusem do jednej z wysokich kawiarni leśnych pod Marienbadem, najczęściej do „Panoramy". Tam spędzamy czas na kawie, pięknych widokach okolicy i gazetach polskich. Z kawiarni wracamy w dół do miasta piechotą ładnymi drogami leśnymi. Jest już wtedy godzina szósta wieczorem, to znaczy godzina wód wieczornych. Znów pijemy wody i koło godziny 7 ½ schodzimy do hotelu, biorąc ze sobą z miasta kolację, podobną do śniadania rannego. W domu po kolacji Jadzia zaraz idzie do łóżka, ja zaś trochę jeszcze pracuję, a potem jeszcze trochę czytam w łóżku.

24 maja, rok 1934, czwartek

Dziś dopiero – po pięciu dniach – udałem się po raz drugi do doktora. Za pierwszą wizytą doktor chciał, abyśmy zaglądali do niego co dzień, ale ja sobie tego nie życzyłem wcale. Ci lekarze w miejscach kuracyjnych to po prostu biorą sobie w pacht kuracjuszy. Doją ich jak chcą, drobiazgowymi przepisami utrzymują w nieznośnej niewoli i w ciągłym wrażeniu, że robią coś ważnego dla zdrowia i dla ciebie.

Dr Liebeskind, Żyd z Krakowa, do którego nas jego rodak, Elkies z Kowna, skierował, jest jednym z typowych i zachłannych lekarzy kurortowych. Trzyma on pacjenta, osnuwa go i obszamerowuje przepisami, stosuje w tej lub innej dawce wszystkie możliwe środki i metody, które są tu w użyciu, a więc inne wody dla mnie, inne – dla Jadzi, inne kąpiele dla Jadzi, inne – dla mnie, masaż ręczny dla mnie, wibracje, czyli masaż elektryczny głównego mięśnia sercowego, wykonywany osobiście przez doktora na mnie, jakieś zastrzykiwanie dla Jadzi, również osobiście przez doktora wykonywane. Zmusza więc nas przychodzić do niego co drugi dzień, co też będziemy musieli czynić, ale unika stawiania z góry kwestii pieniężnej i nie mówi, ile to będzie kosztowało. Nie bierze nawet za wizyty, zastrzegając, że porachujemy się na ostatku. Ile wtedy zaśpiewa? Tyle – ile zechce. Wszakże dr Liebeskind jest zarazem sympatyczny i jak każdy Żyd – ludzki. Wdaje się w rozmowę, zapoznał nas ze swą żoną, przychodzi na wody z żoną, aby nam czas urozmaicić i dotrzymać towarzystwa. Wyczytał gdzieś w gazetach polskich jakieś dalekie echa mojej mowy w Kłajpedzie z początku maja i dumny jest, że ma mnie za pacjenta swojego. Cacka się z nami, układa marszruty spacerów dla mnie. O, *vanitas vanitatum*!

25 maja, rok 1934, piątek

Nie wiedziałem, że poziom wzniesienia nad morzem wynosi dla tej miejscowości aż 700 metrów. Jest to więc klimat podgórski tutaj. Dlatego też nawet w najcieplejszym sezonie nie ma tu podobno duszności i nie potnieje się tak, jak w krajach większego ciśnienia. Rzeczywiście i teraz, choć to może porze roku przypisać także należy, czuje się wciąż chłód podstawowy, mimo że słońce z góry grzeje.

Doktora Liebeskinda, jego żonę i syna spotykamy w różnych lokalach i miejscach. Chętnie przysiada się do nas, gawędzi, informuje.

Dziwi mię to, że nie mam dotąd ani jednego listu z Kowna, choć sam co dzień wysyłam pocztówki, a od kilku dni wysyłam też co dzień po jednym liście zamkniętym. Dziwi mię szczególnie brak listu od Andrzeja Mieczkowskiego, do którego regularnie co dzień piszę. Może pisze on do mnie na *poste restante*, ale przecie od zamieszkania w Mariańskich Łaźniach co dzień mu w pocztówce nazwę hotelu naszego wskazuję.

26 maja, rok 1934, sobota

Czekam już bardzo listu z Kowna, szczególnie od Andrzeja Mieczkowskiego, któremu mam dać różne zlecenia, dotyczące rozrządzenia mojej pensji uniwersyteckiej za maj, którą on podejmie. Do Andrzeja posyłam z podróży pocztówkę co dzień i raz stąd wysłałem

dłuższy list, ale od niego nie miałem nic. Wyjeżdżając mówiłem Andrzejowi, żeby w razie potrzeby pisał do mnie do Marienbadu na *poste restante*. Co prawda, dawno mu już posłałem stały nasz adres (Hôtel Rauscher), ale Andrzej mógł nie domyślić się, że to już zastąpi *poste restante*. Spróbowałem więc dziś udać się na pocztę i zareklamować *poste restante* dla mnie. Niestety – od Andrzeja nie ma nic. Jest list tylko od mego asystenta akademickiego – Konstantego Raczkowskiego.

Zły jestem na Andrzeja. Ja mu pokażę! Zacząłem już w ostrym tonie do niego pisać – musi to poskutkować. Lada dzień na pewno napisze. I Jadzia jest zdziwiona obojętnością Andrzeja, tak jaskrawie odbijającą od serdeczności, którą ma zawsze na ustach. Dziwne, bo przecie Andrzej nie jest fałszywy.

Pierwszego dziś spotkaliśmy znajomego z Litwy. Jest nim inżynier Viskont (Viskantas) z Kowna. Pierwsza jaskółka.

27 maja, rok 1934, niedziela

Z dnia na dzień jest coraz zimniej. Chłód doszedł już chyba do zenitu, bo jak mi dziś mówili mój masażysta i mój portier hotelowy, nad ranem temperatura wynosiła 2° ciepła, a więc, gdyby ochłodzenie miało jeszcze dalej postąpić, to nastąpiłby powrót do zimy. Swoją drogą, ten chłód czyni pobyt tutaj nieznośnym, bo nie ma się gdzie schować od chłodu. I hotel, i kawiarnia domagają się ogrzewania, ale naturalnie że nikt z gospodarzy tych lokalów nie myśli o tym, bo ma kłopoty pilniejsze z uzbieraniem dochodów, niż z powiększeniem wydatków. Po powrocie z wód i wizycie u doktora Liebeskinda nie wychodziliśmy z domu do obiadu, bo wanien ze względu na niedzielę nie mieliśmy. Dopiero przed czwartą wybraliśmy się na spacer – tym razem pieszo i nie do żadnej kawiarni leśnej czy górskiej, lecz na dworzec kolejowy dla pewnych informacji wycieczkowych. Wracając z dworca zaszliśmy do kina, gdzie trafiliśmy na dobrą sztukę. Przed siódmą wieczór po kinie pośpieszyliśmy do wód, skąd wróciliśmy do domu. Zimno, nogi brzękną, w łóżku dopiero kiejf.

28 maja, rok 1934, poniedziałek

Zimno. Dżdżysto i pochmurnie, więc nawet na pociechę doraźnie nie można na słoneczku się pograzć. Od Andrzeja wciąż nie ma listu. Co dzień go atakuję pocztówką, której treść jest z dnia na dzień coraz gwałtowniejsza i dla Andrzeja przykrzejsza.

Jednym z najprzyjemniejszym zajęć jest codzienny masaż poranny w łóżku. Masaż ten obejmuje całe ciało – od stóp do głowy. Ale po masażu chciałoby się pospać, bo zostawia on po sobie uczucie lekkiego zmęczenia. Tymczasem właśnie trzeba się pośpieszać ze wstawaniem do wód. Kąpiel kwaśno-węglową miałem już dziś ostrzejszą. Kąpiele te, które oblepiają całe ciało pęcherzykami powietrze (gazu), bardzo przyjemnie działają podniecająco na skórę. Podobno są one i na serce skuteczne.

Dnie są tutaj podobne do siebie, jak krople wody.

Dr Liebeskind zapewnia mię, że stracę kilka kilo wagi i że pod działaniem kąpieli, umiarkowanych spacerów oraz wibracji elektrycznych mięśnia sercowego stan tegoż się nieco polepszy. Ja jednak żadnych wyraźnych oznak polepszenia nie wyczuwam. Jest zupełnie tak samo, jak mi było. Jak tylko trzeba cokolwiek podejść pod górę – czuję osłabienie i ciężar niesłychany. Nogi mi brzękną bardzo mocno, choć przez noc obrzękłość schodzi. Za późno rozpocząłem kurację marienbadzką. Jestem przekonany, że nie ma już dla mnie ratunku radykalnego i że lata moje, jeżeli nie miesiące, są już policzone. Życie już mnie męczy.

W sprawach politycznych – jedno państwo po drugim zrywa z ustrojem parlamentarnym i w drodze zamachu stanu wkracza na tory dyktatury władzy rządzącej i reform faszystowskich. Bułgaria i Łotwa wkroczyły teraz na tę drogę, w Rumunii coś się też analogicznego zarysowuje. Polityka jest zresztą u mnie tu tak na ostatnim planie.

29 maja, rok 1934, wtorek

Na koniec przyszedł list od Andrzeja Mieczkowskiego. List bardzo serdeczny, długi, szczegółowy, bardzo treściwy i z wielką szczerością opisuje całe życie Andrzeja po naszym wyjeździe, jego uczucia, biedy i roboty. Jeździł też Andrzej z jakąś wycieczką studencką na kilka dni nad morze – statkiem z Kowna po Niemnie mimo Tylży i Ragainė na Mierzeję Kurońską do Nidy, Juodkranti (Schwarzort) i Kłajpedy i stamtąd z powrotem statkiem. Kosztowało go to jakieś śmieszne grosze – bodaj czy nie 8 litów (nie pamiętam, boję się skłamać), zabawił się doskonale, bo w gronie uczestników wycieczki były też koleżanki, nawiązał trochę stosunków z kolegami Litwinami, nałaził się, nabiegał po piaskach pustyni kurońskiej, trzy noce nie spał, w Kłajpedzie Litwini miejscowi przyjęli ich zabawą taneczną, w której Andrzej się nahulał i syt wrażeń i ruchu wrócił do Kowna. Przysyła Andrzej parę fotografii z wycieczki. Na ogół to kochany chłopiec, żywy, szczery, bezpośredni i bardzo prawy. Na nim polegać można. Jest w nim grunt mocny jak skała, przez Elwirę mu nadany. Ucieszył mię jego list bardzo i od razu zupełnie z nim pojednał. Wszelkie pretensje, żale i gniewy prysły.

Zaraz będę doń pisał, dając mu szereg zleceń. Albowiem koło 10 czerwca Andrzej już, zdaje się, do Bohdaniszek na wakacje letnie wyjeżdża.

30 maja, rok 1934, środa

Jestem pod miłym wrażeniem wczorajszego listu Andrzeja Mieczkowskiego. Piszę do niego, udzielając mu dokładnych instrukcji co do rozporządzenia moimi pieniędzmi, pochodzącymi z mojej uniwersyteckiej pensji miesięcznej i co do jego czynności pośredniczych w bankach Komercyjnym i Polskim w przedmiocie uzupełnienia mojej kasy podróżnej (akredytowej) o 2000 litów. Uzupełnienie to zarządzam ze względów bezpieczeństwa, całej tej bowiem sumy dodatkowej wydać nie zamierzam. Ale w podróży rezerwa jest zawsze dobra i pożądana, bo z góry wszystkiego obliczyć się nie da.

Pogoda po trochę się w Marienbadzie poprawia i dziś już była wcale niezła. Cieszy nas to; odżyjemy. Jadzia w niepogodę traci wszelką zdolność poruszania się.

Nie mogę zdobyć polepszenia w Marienbadzie. Ani mi wagi nie ubyło, jak się zdaje, ani mi chodzić lżej. Nogi nadal tak brzękną, jak nigdy dotąd. Smutno i nieco przykro czuć się poza działaniem uzdrawiających czynników. Niestety!

31 maja, rok 1934, czwartek

Przed paru dniami, pisząc do Maryni Budkiewiczowej do Bohdaniszek, skarżyłem się, że najbliższa rodzina zapomina o mnie, że nikt do mnie tu nie pisze, że gdy człowiek starzeje – to dokoła niego robi się coraz większa pustka, którą on z przykrością stwierdza i wyczuwa. Wskazałem, że gdyby nie jedyna wierna moja Jadzia, która mi towarzyszy, byłbym i czułbym się sam jak palec, co w pozycji mojej dręczonego chorobą i już nie mającego nadziei prawdziwego powrotu do zdrowia jest szczególnie ciężkie. Pisałem to, co rzeczywiście czułem i skarżyłem się przez to siostrom na ich milczenie, podczas gdy ja cały już szereg pocztówek do Bohdaniszek wysłałem, wskazując w nich mój adres. I oto nie doszedł jeszcze mój list do Maryni – a oto otrzymuję dziś wielki list zbiorowy od całej rodziny Mieczkowskich z Bohdaniszek – od Elwiry, Stefana, Helci i Michasia. List bardzo serdeczny, miły, wdzięczny za doskonałe zaopatrzenie Andrzeja na czas mojego wyjazdu. List Mieczkowskich, jak przed paru dniami list Andrzeja, sprawił na mnie bardzo miłe wrażenie.

Utrwalił się u nas z Jadzią zwyczaj jeżdżenia codziennie po obiedzie na kawę podwieczorkową do kawiarni „Panorama” w lesie wysoko na górze. Można się tam w słońcu opalić dobrze i ma się przed sobą wspaniały widok podgórski w stylu bohdaniskim, jeno majestatyczniejszy.

Często bądź tam na terenie kawiarni „Panorama", bądź na wodach spotykamy się to z dr Liebeskindem i jego rodziną (żona, syn), to z inżynierem Wisborem z Kowna.

1 czerwca, rok 1934, piątek

Andrzej Mieczkowski przysłał paczkę gazet litewskich z Kowna, Ludwik Abramowicz – kilka ostatnich numerów „Przeglądu Wileńskiego". Zresztą gazet mam i tutaj – tylko nie litewskich. W kawiarniach są tu do czytania i w kioskach do kupienia gazety polskie, przeważnie z Krakowa i Warszawy.

2 czerwca, rok 1934, sobota

Dziś upływają trzy tygodnie od wyjazdu z Kowna, a we czwartek upłynęły dwa tygodnie kuracji marienbadzkiej. Cieszę się z ubiegającego czasu, bo już chciałbym prędzej wrócić, ale skutku kuracji nie widzę. Jedyna rzecz, że mi wanny kwaśno-węgolowe tak rozmiękczają skórę, że natychmiast się potem w otwartych miejscach skóra opala. To daje pozory dobrego wyglądu i zdrowia. Są to jednak tylko pozory.

Sfotografowaliśmy się dziś z Jadzią na wodach – każdy osobno i razem.

3 czerwca, rok 1934, niedziela

Dokonaliśmy z Jadzią wycieczki do Karlsbadu. Wzięliśmy za 100 koron czeskich dwa miejsca w autokarze *aller et retour* i o godz. 9 min 30 wyjechaliśmy z Marienbadu. Jazda bardzo miła po okolicy ładnej nie znużyła nas wcale. Karlsbad znam sprzed 24 lat. Byłem w nim w roku 1910 w maju z Mamą. Towarzyszyłem Mamie, która sama jechać nie mogła, ale poza tym jechałem i dla siebie, bo przed tym chorowałem na żółtaczkę. Miło mi więc teraz było oglądać Karlsbad i przypominać sobie, gdzieśmy z Mamą obiad jadali, gdzie chodzili itd. Poznałem miejsce, gdzie mieszkaliśmy z Mamą – w domu „Odessa" wprost naprzeciwko parku miejskiego i wejścia do restauracji Kurparku. W ogóle nachodziliśmy się z Jadzią po Karlsbadzie. Jadzia, opanowana przez prawdziwy patriotyzm lokalny marienbadzki, chwali wciąż Marienbad i gani Karlsbad. Rzeczywiście, niepodobna zaprzeczyć, że Marienbad jest cichszy, czystszy, bardziej tonący w zieleni parków, mniej miejski niż Karlsbad. Ale dla mnie Karlsbad ze swoją figurą wydłużoną między wysokimi górami leśnymi, ze swoją rzeczką o łożysku kamiennym, ze swoim Sprudlem gorącym i Mühlbrunnem, a zwłaszcza z tą gęstą oponą wspomnień o Mamie – ma urok pierwszeństwa przed trzeźwym Marienbadem.

4 czerwca, rok 1934, poniedziałek

Nogi mi brzękły od dawna. Brzękły na wieczór w kostce nad stopą, ale zawsze przez noc obrzękłość spadała. Tak było od wielu lat. Dopiero przed samym obecnym wyjazdem moim do Marienbadu – w pierwszych dniach ubiegłego maja – spostrzegłem nagle pogorszenie: obrzękłość nóg (stóp) przez noc niezupełnie ustępowała, a rano zaraz po wstaniu tak się podnosiła, jak dawniej nigdy wieczorem. Tak było potem w drodze do Marienbadu, tak - w samym Marienbardzie. Stan mój na ogół się pogorszył. Na razie sądziłem, że to tu tak przejdzie. To się nie sprawdziło. Przeciwnie – obrzękłość stopniowo się zwiększała i podnosiła; przez noc zmniejszała się trochę, ale nie ustępowała zupełnie i od samego rana powracała szybko do stanu z dnia poprzedniego. Toteż obrzękłość nóg szła coraz wyżej. Wieczorem nogi bywały jak kłody; obrzękłość ogarniała kolana i przechodziła na górny człon nóg. Aż wreszcie przed kilku dniami, w ubiegły piątek czy sobotę w nocy, stwierdziłem, że obrzękłość w samym kolanie utrzymuje się przez całą noc i całkowicie nie schodzi. Zaniepokoiłem się tym wielce, poskarżyłem się Jadzi, ale cóż mogłem na to poradzić. Zrozumiałem tylko, że jest źle, ale byłem na to bezradny.

5 czerwca, rok 1934, wtorek

Dziś – mała rewolucja w naszej kuracji, a właściwie burza w szklance wody. W nocy jakoś mi się źle spało, a że byłem pod wrażeniem świeżo stwierdzonego większego brzęknięcia nóg aż pod kolana co najmniej, więc na tym tle zacząłem w nocy snuć marzenia i wnioski. Wydało mi się, że całe nogi przynajmniej aż do kolan stały się podobne do kłód i że wieczorem obrzękłość ogarnia już sferę dolną brzucha. Zdawało mi się, że oto niech jeszcze dalej kilka dni ta obrzękłość się podnosi, a woda zaleje serce i wtedy nastanie śmierć. Zacząłem traktować siebie jak skazańca, którego dni są literalnie policzone. Co u diabła! – myślałem sobie – jeżeli mam zaraz umrzeć, to wolę już umrzeć u siebie, a przynajmniej w kraju, niż gdzieś het za granicą na obczyźnie. Zresztą trzeba i spadek mój uporządkować, pewne akta poczynić. I postanowiłem wracać zaraz i prosto do Kowna, nie wdając się w żadne wycieczki dodatkowe. Postanowiłem wyjazd na jutro. Rano odprawiłem masażystę, gdy przyszedł, a gdy Jadzia wstała, objawiłem jej moją decyzję. Była na razie zdziwiona, ale rychło przejęła się niebezpieczeństwem mojej śmierci i w żalu oraz trosce zgadzała się na wszystko, byle się ratować. Nie wstałem i nie poszedłem rano do wód – przyniosła mi wodę Jadzia. Po śniadaniu pojechałem z nią do dr Liebeskinda. Już w dorożce czułem się niepewny, rozumiejąc, że argumenty moje są raczej uczuciem czy wrażeniem i nie wiedząc przeto, czy się oprzeć doktorowi zdołam, jeżeli on zaoponuje kategorycznie. Jakoż zaoponował i ja się oprzeć nie zdołałem. Doktor wykazał mi całą nierealność mojej konstrukcji o podnoszeniu się puchlizny i zalaniu serca przez wodę, obejrzeniem i pomiarami stwierdził przesadę moich wrażeń nocnych, dał jeszcze nowe zalecenia i środki na serce, ale nastał na tym, że cofnęliśmy wniosek wyjazdu. Słowem, mały bunt projektów, uśmierzony przez doktora. Jadzia płakała, doktor, któremu się ona podoba, gniewał się na nią i niecierpliwił, wreszcie dla jej satysfakcji zarządził na jutro analizę mojej uryny i fotografię Röntgena żołądka mego dla stwierdzenia, czy nie ma w nim jakich ranek, guzów i nowotworów rakowatych. Doktor jest przekonany, że to zbyteczne, ale ustąpił Jadzi i jej naleganiom. Prawie cały dzień wypadło doktorowi cackać się z nami, a wieczorem jeszcze był on u nas w hotelu na wizycie.

6 czerwca, rok 1934, środa

Już bunt skończony i zlikwidowany. Znów siedzimy pokornie w Marienbadzie, pijemy wody i robimy przepisowo wszystko, co doktor każe. Dr Liebeskind odniósł zwycięstwo na całej linii. Zostajemy w Marienbadzie jeszcze co najmniej na dni dziesięć. Ale żeby ostatecznie pognębić ducha opozycji Jadzi, odwrócić wszelkie jej posądzenia i przekonać nas przedmiotowo, że u mnie chodzić może tylko o serce, nie zaś o inne organy wewnętrzne, które są zdrowe, dr Liebeskind zarządził analizę moczu mego i poza tym skierował mię do wybitnego rentgenologa, kierownika odpowiedniego zakładu – dr Premingera – dla zbadania stanu mego żołądka i kiszek ze względu zwłaszcza na ewentualność jakichś nowotworów rakowych, których się obawiała Jadźka. Dr Preminger jest z pochodzenia Żydem polskim, mówi po niemiecku, po angielsku, po francusku i trochę po polsku. Latem urzęduje w Marienbadzie, zimą w Egipcie, w Heluanie. Rzeczywiście ma tutaj duży pierwszorzędny zakład, z maszynami, z urządzeniami wszelkimi, z obsługą, który prowadzi ze swą żoną. Jako człowiek robi wrażenie bardzo przyjemne – jest energiczny, zdecydowany, cały w ruchu i czynie. Wziął mię on dziś w swe obroty. Do południa musiałem być na czczo – nawet wód pić nie mogłem. O godzinie dziewiątej rano pod aparatem Röntgena doktor napoił mię jakimś napojem z kufla, szumiącym jak piwo, ale o smaku mdłym i nieprzyjemnym. Był to, jak się okazało, jakiś metal, spreparowany za napój. Metal ten w żołądku jest biały i pozostaje widoczny. Otóż później doktor śledzi jego odchodzenie z żołądka do kiszek, co musi być po trzech godzinach skończone. Jeżeli po trzech godzinach metal jeszcze nie wyszedł z żołądka, to znaczy, że są tam jakieś guzy, wrzody czy inne twory, które metal oblepia i zostaje w skupieniach dokoła guza czy wrzodów. U mnie dzięki Bogu wszystko okazało się dobrze. Żadnego śladu ani podejrzenia raka czy czegoś podobnego – nie ma. O godzinie czwartej po

południu skończyłem u dr Premingera. Na tym koniec. Dwie dziurki w nosie... Żadnych raków nie mam. Dr Preminger dziwił się nawet, skąd takie posądzenia mogło u dr Liebeskinda powstać. Bo też powstało ono nie u doktora, ale u Jadziuńki.

7 czerwca, rok 1934, czwartek

Próba żołądku kosztowała mię dość słono. Kasjerka dr Premingera – jego żona – zaśpiewała 550 koron czeskich, co wynosi koło 140 litów. Prawda, że próba w zastosowaniu do rentgenizacji została wykonana podług najnowszej techniki i najdoskonalszych metod. Ale nie żałuję zapłaty, gdy się za tę cenę dowiedziałem, że mam żołądek zdrowy. Zresztą że nie mam w żołądku raka, o tym i bez tej próby wiedziałem, bo bym mizerniał przede wszystkim i w ogóle nie tył.

W Marienbadzie wysiedzę jeszcze ze dni dziesięć. Czy potem kopnę się prościutko z powrotem, czy na zakończenie zarządzę małą „Rundreise" i mianowicie dokąd – tego jeszcze nie przesądziłem. W każdym razie na „Konferencję Uniwersytetów" do Oxfordu w misji urzędowej nie pojadę. Męczenie się po kuracji nie jest dobre. Wszyscy mi tego odradzają.

W Marienbadzie wciąż pogoda zmienna. Upałów przy mnie tu wcale nie było. Nawet w największe słońce czuło się w cieniu powietrze chłodne i świeże. Podobno jest to skutek wysokiego położenia Marienbadu nad poziomem morza. Nie ma też tu wcale much. Jak piszą z Bohdaniszek, temu ochłodzeniu powietrza tu odpowiadało gwałtowne ochłodzenie tam. W samych Bohdaniszkach wypadły ciężkie grady, przymrozki mocno zaszkodziły ogrodom, u Budkiewicza dwa ule zginęły od chłodu, niektóre posiewy jarzyny uszkodzone. W Marienbadzie sezon właściwy jeszcze się nie zaczął, ale publiczności już przybywa. Są pogłoski, że ma tu przyjechać na kurację „narkomindieł" sowiecki Litwinow. Jak się dowiaduję nawet, niektórzy kuracjusze mnie za Litwinowa brali.

8 czerwca, rok 1934, piątek

I znowu kuracja weszła w łożysko normalne i tryb życia powrócił nam ten sam. Dziś miałem wprawdzie gwałtowny list od Elizki Komorowskiej, do której pisałem o moim stanie serca, o brzęknięciu nóg, o nieskuteczności Marienbadu dla mnie. Elizka gorąco mię wzywa do przerwania natychmiast kuracji w Marienbadzie i niezwłocznego stąd wyjazdu, bo w tym, co o Marienbadzie piszę, są nieomylne znaki tego, że Marienbad mi wprost szkodzi. Cytuje przykłady: stryja Bronisia Römera niegdyś w Nauheimie i współczesnego Władysława Komara w Karlsbadzie, którzy w tych kurortach poczuli się źle, stracili energię i może by tam pomarli, gdyby nie znalazł się ktoś, kto się nimi zaopiekował i ich stamtąd wywiózł. Radzi mi więc Elizka nie oglądając się na nic – przerwać kurację, w Wiedniu naradzić się u jakiegoś sławnego profesora i wracać albo osiąść w jakimś dobrym sanatorium, a natomiast zaniechać jazdy do Oxfordu na konferencję uniwersytetów i wszelkich innych obowiązków, nawet być może przygotowanym do ustąpienia z rektoratu i profesury na czas jakiś. Teraz już ten list Elizeczki przebrzmiał. Przed trzema dniami byłby on dolał oliwy do ognia. W ogóle list Elizeczki, bardzo uczuciowy, poruszył mię serdecznie, ale czynnego skutku już nie wywarł.

9 czerwca, rok 1934, sobota

W moim marienbadzkim trybie kuracji wszystko wróciło do normy. Znowu masaż rano w łóżku, znowu dwa razy na dzień wody, znowu wanny kwaśno-węglowe co drugi dzień, znowu co drugi dzień wizyta u doktora i „wibracje" serca. Przybyły mi jeno jeszcze trzy nowe rzeczy: jakieś zastrzyki nowe u doktora, trzykrotne na dzień przyjmowanie jakiegoś proszku czy kropel w wodzie i dwukrotne wtykanie w otwór odchodowy (mówiąc zrozumialej – w dupę) jakichś „świeczek" o ostrym końcu, pokrytych po wierzchu tłuszczem, które wewnątrz topnieją i asymilują do ciała swoją zawartość leczniczą. Te trzy ostatnie nowinki są, jak się zdaje, na serce, choć doktor wyraźnie nie mówi, co zawierają. Ma to skutkować

wzmocnieniem funkcji serca, które ma zapobiec albo cofnąć brzęknięcie nóg. Dotąd jednak brzęknięcie nóg nic się nie zmniejsza, raczej przeciwnie – wzrasta. Przestałem też chodzić pod górę. Gdzie teren jest nierówny i mianowicie podnoszący się – tam jadę albo autobusem, albo dorożką.

Dziś na podwieczorek zrobiliśmy z Jadźką wycieczkę ładną o 25 kilometrów do miejscowości „Rheinmühle", gdzie naturalnie jest kawiarnia i restauracja. Ładne są okolice, przez które się jedzie, ładny kraj, ciekawe widoki i obserwacje. Są dziś w gazetach jakieś nowiny bałamutne z Kowna o zamachu stanu, który miał mieć miejsce w nocy na czwartek. Podług jednak wersji, zamach stanu (wykonany przez voldemarasowców) został przez rząd zwalczony całkiem, podług innych – doszło do jakiegoś quasi-kompromisu.

10 czerwca, rok 1934, niedziela

Niedziela – dzień na wodach nudny. Nie wypadała na dziś wizyta u doktora, nie było przepisanych wanien (zresztą – niedziela! Wanien w ogóle nie ma), cała więc ceremonia kuracyjna sprowadzała się do masażu rannego i picia wód. Po wodach siedzieliśmy w hotelu, drzemaliśmy, czytaliśmy gazety, ja pisałem listy. Tak nam czas zeszedł do wieczornych wód, bo nawet do „Panoramy" nie jeździliśmy, gdyż się po obiedzie na dobre zadżdżyło. Dopiero po wodach wieczornych wybraliśmy się na kolację do restauracji „Walhalla" w mieście koło wód, gdzie ma siedzibę jakaś żydowska organizacja syjonistyczna i gdzie od czasu do czasu odbywa się kabaret żydowski. Dziś miało mieć właśnie miejsce otwarcie tego kabaretu. Na kabaret składają się dwie Żydówki i dwóch Żydów. Jadzia naturalnie nic nie rozumiała, bo kabaret odbywał się w żargonie „jidysz"; siedziała więc jak na chińskim kazaniu. Ja rozumiałem wszystko. Farsa, którą artyści odegrali na ostatku, była bardzo słaba, ale kilka pieśni i deklamacji na początku było bardzo ładnych, poetycznych, odtwarzających biedną duszę Żyda miasteczkowego z jego ubogim światem pojęć i wrażeń, rzewnością jego nieskomplikowanych, ale bardzo ludzkich uczuć... Ładne to i głęboko ludzkie. Nie mniej ciekawe od sceny było audytorium żydowskie. W Marienbadzie tu prawdziwy raj Żydów. Pełno ich tu z Niemiec, a osobną i bardzo malowniczą grupę stanowią biedne pejsate Żydki galicyjskie, których tu jest legion.

11 czerwca, rok 1934, poniedziałek

Korespondencja moja staje się tu coraz obfitsza. Wysyłam co dzień po jednym liście zamkniętym i po jednej pocztówce do różnych osób, nie licząc codziennej regularnej pocztówki do Andrzeja Mieczkowskiego. Na razie listy moje – to był nakład kapitału *à fond perdu*, dziś zbieram już plon. Tak oto dzisiaj otrzymałem naraz aż pięć listów – od Heli Białej Römer-Ochenkowskiej, od Ewy Meyerowej, od Józefa-Albina Herbaczewskiego, od Jadzi Römerówny i od Hektora Komorowskiego. Wszyscy – prócz Ewy, która nic nie wie – są zaalarmowani moim stanem zdrowia, w szczególności brzęknięciem niezwykłym moich nóg. Wszyscy bardzo serdecznie śpieszą z radami, ale podczas gdy jedni radzą uciekać z Marienbadu – inni radzą siedzieć jak najdłużej i czekać dobrego skutku. Najgoręcej reaguje Hela Biała, moja przyjaciółka serdeczna, egzaltowana i utrzymująca mię w rodzinie na poziomie patentowanego luminarza i bohatera ze względu na mój udział w Legionach w czasie Wielkiej Wojny. W tonie sztucznym mentorskim pisze Hektor Herbaczewski, choć też nawiązuje do mego stanu zdrowia, rychło jednak zapomina o nim, wpadając na tory żalów i pretensji do Litwy. Pobyt na emigracji nie zmiękczył dotychczas serca Herbaczewskiego. Ten mściwy Litwin cały płonie jeszcze urazą do swojej ojczyzny, której darować nie może, że go otaksowała „za tanio", wyznaczając mu emeryturkę w kwocie 350 czy 400 litów. Polska, którą przed czterema laty w Kownie z błotem mieszał, dziś mu jest symbolem honoru, prawości i cnót wszelkich. Ale u Herbaczewskiego nowinki bywają częste. Zaczekajmy parę latek, a Bóg jeszcze raczy wiedzieć, co wtedy on śpiewać będzie.

Gazety kilku ostatnich dni wyjaśniły cały przebieg i rezultaty niedoszłego zamachu stanu Voldemarasa w Kownie w tygodniu ubiegłym. Z tego „puczu” wyszedł zwycięsko Antoni Smetona. Jego autorytet zyskał jeno na tym. Rząd Tubelisa poniósł porażkę, nie zdołał bowiem nie dopuścić do zamachu stanu ani go zwalczyć. Nie zdołał też stanąć między autorami przewrotu a Prezydentem Smetoną, oddzielając go od sprawców zamachu. Przeciwnie – wykonawcy zamachu z Voldemarasem na czele (Voldemaras został przez puczystów przywieziony w nocy aeroplanem z Jezioros) zwrócili się właśnie wprost do Prezydenta Smetony, pomijając rząd Tubelisa, i nawiązali rokowania. Pośrednictwa tego – dla nawiązania kombinacji „Smetona-Voldemaras” – podjął się sam szef sztabu generalnego Kubiliunas. Smetona wszelkie propozycje kontaktu i kombinacji odrzucił, oświadczając krótko i kategorycznie (węzłowato), że z awanturnikami politycznymi nic do czynienia mieć nie chce. I oto o ten opór kategoryczny Smetony, oparty nie o siłę, lecz wyłącznie o jego autorytet moralny, rozbiła się cała akcja spiskowa: choć, zdaje się, spiskowcy byli panami sytuacji i rząd przewagi nad nimi nie miał, to jednak sami spiskowcy nie odważyli się forsować Smetonę i zmuszać go do czegokolwiek. Po prostu, natrafiwszy na ten opór, wyczerpali się i dali za wygraną. Jest to wielki triumf Smetony i ogromne jego zwycięstwo osobiste. Voldemaras powędrował do więzienia, rząd stopniowo odzyskał władzę nad sparaliżowanymi przez opór Smetony spiskowcami. Słusznie obecnie rząd Tubelisa musiałby ustąpić. Na placu zwycięski pozostał Smetona. Zwycięstwo Voldemarasa oznaczałoby kapitulację Litwy wobec Niemców i rezygnację z walki o Kłajpedę.

12 czerwca, rok 1934, wtorek

Nasza kuracja w Marienbadzie jest już na schyłku. Jeszcze tydzień – i znikniemy z widowni marienbadzkiej. Ciekaw jestem, czy będzie dla mnie jakiś skutek dodatni tej kuracji. I jakie będą następstwa obecnego brzęknięcia nóg moich? Tymczasem wszystko po dawnemu: masaż, wody, kąpiele, wibracja elektryczna serca, jakieś lekarstwo na serce do picia, jakieś inne (posądzam, że kamfora) zastrzykiwane, wreszcie trzecie – w postaci czopków, wtykanych (za przeproszeniem) – w dupę.

Na obiad wybraliśmy się dziś z Jadzią do kawiarni-restauracji zamiejskiej w lesie „Waldheim”. Byliśmy tam pierwszy raz. Prześliczny rozległy podgórski widok na obszerną dolinę, przeciętą drogami, koleją żelazną i porosłe lasem wzgórza; gdzieniegdzie zza wzgórz wyzierają miasta, wszystko skąpane w mgiełce błękitnej. Pod naszą kawiarnią na tarasach i spadzie ku dolinie – drzewa owocowe, wśród drzew szezlongi dla spragnionych wypoczynku, dróżki, basen dla kąpieli zimnych, dróżki w las... Tu zabawiliśmy aż do wód wieczornych.

13 czerwca, rok 1934, środa

Dziś pierwszy raz poczułem ulgę w nogach – mianowicie z nocy odpuściło mi stopy, zwłaszcza na lewej nodze. Wyżej obrzękłość trwa i w ciągu dnia narasta, ale stopy są prawie normalne i tylko nieznacznie przez dzień zbrzękły. To już postęp. Lękam się, że jutro mi się trochę pogorszy, bo jedziemy do Pragi, będzie więc pewne zmęczenie. I w ogóle jeden dzień polepszenia to jeszcze mało; fundować na tym jakichś mocnych twierdzeń nie można.

14 czerwca, rok 1934, czwartek

Wybraliśmy się dziś z Jadzią do Pragi – głównie dla poinformowania się, czy władze polskie udzielą nam przepustki na wycieczkę do Polski. Pojechaliśmy rano pociągiem o siódmej – i po dziesiątej byliśmy w Pradze. Pojechaliśmy tam do poselstwa, potem do konsulatu polskiego. W jednym i drugim przyjęto nas bardzo grzecznie i najmniejszych trudności nie czyniono. Prawda, że kazano nam wypełnić niezmiernie długi, skomplikowany i drobiazgowy kwestionariusz, ale to była jakaś „Nebensache”, jakaś nudna formalność wymagana przez przepisy i nie mająca wpływu ani związku z pozwoleniem. Zaraz też w

konsulacie wypisano nam przepustki, zwolniono od przedstawienia fotografii, przepustki wydano bezpłatnie. W ogóle byłem pełny uznania dla pracy tego konsulatu. Przede mną, dopóki załatwiałem naszą sprawę i pisałem kwestionariusz, przesunął się cały szereg interesantów do konsulatu – przeważnie żulików typowych, wypraszających to zapomogi na powrót do kraju, to ulg jakichś, to świadectw o przynależności państwowej itd. Ile to trzeba z tymi osobnikami ostrożności, uwagi, sprytu, żeby się nie dać nabrać, żeby ich fortele wyjaśnić, żeby zapanować nad nimi!

Po załatwieniu sprawy przepustek do Polski i spożyciu obiadu już była pora wyjeżdżać. Godzina druga po południu z minutami. Mogliśmy wprawdzie zabawić do następnego prędkiego pociągu o godz. szóstej, ale nie należało przeciążać zmęczenia. Sam ruch wielkomiejski w Pradze męczył mnie. Toteż wróciliśmy. Do Pilzna jechaliśmy pociągiem elektrycznym motorowym, dalej – zwyczajnym. W Marienbadzie trafiliśmy jeszcze na wody wieczorne. Ze względu na zmęczenie dalszego polepszenia dziś nie czułem.

15 czerwca, rok 1934, piątek

Zdaje się, że i dzisiaj było pewne polepszenie w stanie obrzękłości nóg, zwłaszcza w stopach. Ale ze względu na wczorajsze zmęczenie podróżą te symptomy polepszenia były mniej widoczne. Doktor mi dał jakiś nowy gatunek „czopków” do wtykania do d... jako ostry środek na serce. Zdaje się, że „czopki” te zawierają digitalis. Czopki te są przyrządzone z masy kakao roztartego z tłuszczem, w którą wpuszczone jest lekarstwo.

16 czerwca, rok 1934, sobota

Andrzej przysłał nam znowu (po raz czwarty) kilka numerów gazet litewskich. W ich liczbie z „Aidasu” dowiadujemy się o składzie personalnym nowego gabinetu ministrów. Na czele, jako premier, stoi ten sam Józef Tubelis, minister finansów. Dwie teki są w tym samym ręku, co były: teka spraw wewnętrznych – Rusteika – i teka rolnictwa – Aleksa; notabene Aleksa jest jedynym ministrem, który utrzymał się na tym stanowisku bez przerwy od samego przewrotu grudniowego 1926, a pochodzi to bynajmniej nie stąd, że wyraża doskonale panujący kierunek narodowy, ale właśnie stąd, że ma swoją ideologię odrębną, podług której buduje własne stronnictwo i ruch ludowy, a Ministerium Rolnictwa jest mu oddane jako specjaliście poniekąd w pacht. Nowym są ci ministrowie: Šiling – ministrem sprawiedliwości na miejsce Aleksandra Żylińskiego, były prezes Sądu Wojennego generał Šniukšta – ministrem wojny na miejsce Giedrojcia. Šniukšta – to pusty worek, nadęty ambicją i nienasyconym pożądaniem honorów; dawniej uchodził za ludowca; Sąd Wojenny na razie bardzo dobrze rozwinął, ale potem hołdować zaczął zasadzie samowoli i bezwzględnej twardej ręki jako jedynej mądrości w kierowaniu mas ludzkich; w tej swojej ideologii dał się poznać i ocenić Šilingowi jako prezesowi Rady Stanu, który został nim zachwycony i wciągnął go do czynnej współpracy; niewątpliwie Šiling i teraz go na ten fotel ministerialny dźwignął. Dalej na miejsce Zauniusa ministrem spraw zagranicznych mianowany został Stanisław Lozoraitis – jedna z najlepszych nominacji w tym gabinecie, człowiek porządny, światły, dyplomata stylowy. Na miejsce Vileišisa ministrem komunikacji został jakiś nieznany mi inżynier, a ministrem oświaty na miejsce Šakenisa – prof. Tonkunas, dotychczasowy rektor Akademii Rolniczej w Datnowie; Šakenis – mianowany kontrolerem państwowym. Nominacja Tonkunasa należy też do najlepszych. Tonkunas jest człowiek rozumny, myślący, z głową i sercem. To nie „poczciwy, ale dupa”, jak Šakenis, który nigdy sam nie wie, czego chce i wszystkiego się lęka. Mnie to obchodzi, bo jako rektor mam najwięcej do czynienia właśnie z ministrem oświaty. Z Šakenisem nic nigdy załatwić nie było można. Wszystkiego, co nowe, bał się zasadniczo, a w tym, co stare, zawsze chciał się trzymać niewolniczo rutyny. Żeby coś przeforsować – trzeba było się zwracać albo do Prezydenta Smetony, albo do Tubelisa.

Jest też wiadomość z Kowna o śmierci prof. Jaszczenki z naszego wydziału. Osierocona zostaje katedra prawa międzynarodowego. Kto ją u nas obejmie? Janulaitis, Tadeusz Pietkiewicz czy Kriwicki?

U dr Liebeskinda słyszeliśmy dziś o zamordowaniu w Polsce ministra spraw wewnętrznych Pierackiego, który padł ofiarą aktu terrorystycznego; szczegółów nie wiemy. W gazetach nic jeszcze nie ma o tym.

17 czerwca, rok 1934, niedziela

Do końca kuruję się w Marienbardzie sumiennie. Teraz ostatnie dni do doktora chodzimy już co dzień, doktor osobiście zastrzykuje coś mnie i coś Jadzi, osobiście też elektryzuje mi okolice serca. Poza tym biorę wanny kwaśno-węglowe, piję jakieś krople od serca, od serca też wtykam sobie „czopki" do d... .

Jutro zaczniemy się krzątać w sprawie wyjazdu, wyznaczonego na pojutrze wtorek. Choć Marienbad dobrze urządzony, miły, ładny, to jednak, jak każdy kurort, sprawia wrażenie więzienia. Dlatego w wyjeździe czuję moment jakby wyzwolenia.

18 czerwca, rok 1934, poniedziałek

Zacząłem przygotowania do wyjazdu jutrzejszego. W banku sprawdziłem, czy już uzupełniono z Kowna moją akredytywę, jak tego zażądałem. Okazało się, że pieniądze już są. Przed wieczorem w biurze podróżniczym czeskim „Čedok" (coś jak „Coock", jak „Wagons-Lits", jak niemiecka „Mitrope") ułożyłem marszrutę naszej wycieczki i kupiłem bilety. W streszczeniu więc ta nasza wycieczka planuje się tak. Wyjazd z Marienbadu jutro o godzinie 18.27, przyjazd do Pragi – godzina 21.32. Wyjazd z Pragi ku granicy polskiej (Zebrzydowice) o godzinie 23.31, w międzyczasie zaś trzeba walizki, których do Polski nie zabieramy, złożyć na przechowanie w garderobie kolejowej i być może przejechać z jednego dworca na inny. Na tę jazdę nocną z Pragi mam już bilety sypialne do Dziedzic. W Dziedzicach, które są już na Śląsku polskim, pociąg się rozdziela: jedna część z wagonem sypialnym jedzie do Warszawy, druga – zbacza na Kraków. W Krakowie będziemy o godzinie 8.37. Środa i czwartek do południa poświęcam Krakowowi. We czwartek o godzinie 13.25 wyjeżdżamy do Zakopanego, dokąd przyjeżdżamy o godzinie 17.17. W Zakopanem stajemy w hotelu Morskiego Oka. Czwartek wieczór, piątek – spotkanie z Ewą Meyerową, sobota – autobusem albo furmanką z Zakopanego do prawdziwego Morskiego Oka i Czarnego Stawu w Tatrach na samej granicy polsko-czeskiej. Stamtąd autobusem czeskim przejechałbym do Czech (raczej Słowacji) do starego Smokowca i Starbskiego Plesso. Z tej ostatniej miejscowości w Wysokich Tatrach byłbym się przejechał kolejką elektryczną górską do Popradu, skąd trafiłbym na dużą linię kolejową na Pragę. Z Popradu odjazd o godzinie 21.56, do Pragi przyjazd o godzinie 7.48. Wtedy o godzinie 8.56 odjazd z Pragi do Bodenbachu na granicy czesko-niemieckiej. Z Bodenbachu do Drezna statkiem po Elbie przez Szwajcarię Saską – przyjazd o godzinie 18.45. Z Drezna wyjechałbym nazajutrz o godzinie 17.56, w Berlinie byłbym o godzinie 19.58, tegoż wieczora wyjechałbym na Eydtkuny i nazajutrz byłbym po południu w Kownie, a jeszcze dzień później – w Bohdaniszkach. Kiejf! A wtedy już... śmierć.

19 czerwca, rok 1934, wtorek

Nastał wreszcie oczekiwany dzień wyjazdu z Marienbadu. Po raz ostatni rano poszliśmy do wód i napiliśmy się ich; wody – to jedne z najprzyjemniejszych w Marienbadzie rzeczy, do których się przywyka i które *à la longue* smakują, tak że z żalem się je przerywa. Podjąłem w banku wszystkie pieniądze, ostatnią złożyliśmy wizytę dr-owi Liebeskindowi, którego też opłaciliśmy za całe leczenie. Doktor policzył sobie honorarium w kwocie 3800 koron czeski, co wynosi prawie 1000 litów. Jest to suma bardzo pokaźna. Co prawda, jeżeli się uwzględni ciągłość i ilość usług i świadczeń doktora (wizyty co drugi dzień, a pod koniec już co dzień,

osobiste wykonywanie przez doktora zastrzyków mnie i Jadzi, osobiste wykonywanie na mnie wibracji serca za pomocą odpowiedniego przyrządu elektrycznego, parokrotne wizyty lekarskie u mnie w domu i w łazienkach), to może honorarium i nie jest zbyt wygórowane, ale jeżeli w stosunku do mnie to było konieczne, bom bądź co bądź z moim brzęknięciem nóg był poważnie chory i wymagał rzeczywiście ciągłej opieki i zabiegów lekarskich, to w stosunku do Jadzi było to zupełnie zbyteczne. Dr Liebeskind jest rzeczywiście lekarzem starannym i człowiekiem miłym, który bardzo wiele poświęca czasu i starań swym pacjentom, poza tym i towarzysko z nimi utrzymuje kontakt, ale też ich doi i traktuje jak zapachtowanych sobie. Jest on aż nadskakujący, a nawet zdrowemu wmawia chorobę, żeby leczyć, a cóż dopiero gdy czuje w ręku chorobę istotną. Ale jest uważny, pilny, staranny. Nie zaniedbuje się nigdy.

Przewłóczyliśmy się jakoś w Marienbadzie do godz. piątej po południu. W hotelu w Marienbadzie wyjazd gościa należy do wielkich ewenementów. W restauracji hotelowej, gdzieśmy stale obiady jadali, na obiad dzisiejszy udekorowano specjalnie kwiatami nasz stolik i z listków na skos ułożono napis „*Au revoir!*" Hotel Rauscher, w którym mieszkaliśmy, jest przyjemny przez to, że ma bardzo miłą i jakąś szczególnie zacną służbę: portier, obie dziewczyny służące, „Hausdiener" – bardzo miłe i dodatnie typy.

Po godzinie piątej odjechaliśmy na dworzec kolejowy, skąd niebawem wyjechaliśmy do Pragi. W Pradze przeczekaliśmy dwie godziny na pociąg idący do Polski. Większą część rzeczy naszych – cztery walizki – złożyliśmy w Pradze na przechowanie, sami zaś jedziemy do Polski z jedną walizką. Jedziemy w wagonie sypialnym II klasy.

20 czerwca, rok 1934, środa

O godzinie szóstej rano przejechaliśmy granicę czesko-polską w Zebrzydowicach, po czym o godzinie siódmej rano w Dziedzicach przesiedliśmy się z wagonu sypialnego idącego dalej na Warszawę do wagonu idącego do Krakowa. W ogóle, pomimo wagonu sypialnego, noc spędziłem źle. Nie tylko że się nie wyspałem, ale też nie wypocząłem. Mocz też w nocy prawie że nie odchodził i obrzękłość nóg przez noc nie spadła. Toteż z ciężkimi nogami, spuchłymi jak kłody olbrzymie i z mocno podpuchniętym z dołu brzuchem wstałem z pościeli i przyjechałem do Krakowa. I przez cały dzień nie było mi lepiej. Szczególnie rano. Byłem już nawet zaniepokojony. Tylko po obiedzie, gdym parę godzin poleżał, ulżyło mi nieco.

Zajechaliśmy w Krakowie do hotelu Francuskiego przy ulicy Świętego Jana – u jej wylotu na Planty. Do obiadu kręciliśmy się po przepięknym rynku krakowskim i w szczególności po Sukiennicach. Chciałem Jadzi pokazać Muzeum Narodowe, ale w muzeum tym jest właśnie wystawa jakichś dywanów i ceramiki, wskutek czego wszystkie prawie obrazy usunięto. Widzieliśmy coś tylko jednego Matejkę („Hołd pruski"), jednego Siemiradzkiego („Żywe pochodnie"), jednego Jacka Malczewskiego (złotowłosa dziewczynka, umierająca w chacie sybirskiej na wygnaniu), dwa Chełmońskie („Na folwarku", rozkoszna „Czwórka w zaprzęgu"). Po obiedzie dorożką obwoziłem Jadzię po mieście, pokazując jej osobliwości. W szczególności patrzeliśmy witraże Wyspiańskiego w kościele franciszkańskim – cacko, które szczególnie lubię. Widzieliśmy i Wawel (zewnętrznie), i dziedziniec Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, i Kazimierz żydowski. Jadzia musiała przyznać piękno kościołów krakowskich, Sukiennic itd., ale słusznie stwierdziła, że Kraków jest brudny. Istotnie, jest on zaniedbany, tynk w wielu miejscach nie naprawiany, służba w białych fartuchach lub bałachonach zaplamionych robi wrażenie nieestetyczne. Za to jedzenie u Hawełki – tak doskonałe, jak nigdzie. Wieczorem jeszcze byliśmy w teatrze na komedii z francuskiego, bardzo dobrze odegranej i wesołej. W teatrze na jednym z antraktów spuszczona była słynna kurtyna Siemiradzkiego.

21 czerwca, rok 1934, czwartek

Do godziny pierwszej po południu zabawiliśmy jeszcze w Krakowie. Niestety – cały czas deszcz ulewny padał. Zawiozłem Jadzię na Wawel zwiedzić katedrę z pomnikami i grobowcami królów i odrestaurowany Zamek Królewski. Wszak dla Litwinów Wawel jest szczególnie pouczający i ciekawy. Dobre trzy czwarte tego, co reprezentuje w znaczeniu państwowym Wawel, jest z krwi i kości litewskie. Jagiellonowie, największe z dynastii, które panowały nad Polską – to byli Litwini, to byli nasi książęta, jak dziś jeszcze naszym z krwi i kości jest władca Polski – Józef Piłsudski. Mieliśmy siły, mieliśmy wspaniałe tradycje i moc, niestety – na eksport. Tak też odpowiedziałem dziś w wagonie na pytanie pewnej pani Polki, która, słuchając mojej z Jadzią rozmowy po litewsku, wielce zaintrygowana zgadywaniem, po jakiemu mówimy, zwróciła się do mnie z odpowiednim zapytaniem. „Pani – odrzekłem – jesteśmy pełni kultu dla waszego wielkiego Wawelu, który wszakże już umarł i milczy. Bo gdyby Wawel był żywy i gdyby ci, których czcicie na Wawelu, mogli mówić, to nie musielibyście nas pytać, jaką mową mówimy. Usłyszelibyście ją bowiem z ust królów i panów waszych dynastii litewskiej."

Katedrę obejrzeliśmy w jakiejś grupie turystów, którym pewien braciszek zakonny udzielał wyjaśnień „fachowych" zawodowego cicerone. Po zamku wcale nie łaziłem, bojąc się zmęczenia. Posłałem Jadzię samą.

Po tych wizytach pośpieszyliśmy na obiad do Hawełki, a stamtąd na kolej na prędki pociąg do Zakopanego, oczywiście po zabraniu poprzednio rzeczy z hotelu. Deszcz ustał. Wypogodziło się nieco. Pociąg szedł coraz wyżej wśród bogactwa widoków. Im bliżej Zakopanego, tym pogoda się coraz bardziej psuła, aż pod Zakopanem przeszła w gęsty deszcz. Widok gór był całkowicie zamknięty przez niskie chmury i mgłę. Stanęliśmy w hotelu „Morskie Oko" na Krupówkach. Zjedliśmy kolację na werandzie hotelu pod dźwięki orkiestry i dancingu. Wcześnie też poszliśmy spać.

22 czerwca, rok 1934, piątek

Jeszcześmy siedzieli rano przy śniadaniu na tarasie krytym hotelu „Morskiego Oka" na Krupówkach, gdy Jadzia, pilnująca ulicy, zawołała: „O, już pani Ewa przyjechała!", po czym pobiegła na jej spotkanie. Wypatrzyłem się przez okno i ujrzałem witające się Ewę z Jadzią u doróżki góralskiej, w której siedziała i żywo się poruszała dziewczynka lat kilku. W dziewczynce tej poznałem Lizę, córeczkę Ewy, temperamentu żywego srebra. Ewa, która tu we wsi Rysulówce gminy kościeliskiej spędza wakacje z córeczką bez męża (mąż jeszcze zdaje egzaminy na Wyższej Szkole Intendentury w Warszawie). Ewa wygląda nieźle, mało się zmieniła, ale jej dziewczynka jest śliczna i miluśka. Nie może chyba być rozkoszniejszego dziecka. Wprawdzie osobowość tego dziecka jest pokryta tajemnicą, ale niemniej i w każdym razie jest ona „*ben trovata*". Mogłaby zachodzić wątpliwość, czy Liza jest w ogóle córką Ewy, a nie dzieckiem,kupionym od górali, ale nie posuwając podejrzeń aż tak daleko, przyjmujemy je w pół drogi. Liza nie ma najmniejszego podobieństwa do Ewy, a sama ciąża Ewy i potem przyjście dziecka na świat odbyły się w warunkach tak uciesznych i nienormalnych, że późniejsze z nich wywody na rzecz urodzenia córki wydawały się zupełną niemożliwością i jakąś śmieszną niekonsekwencją. Zresztą wiadomo było, że Kot Meyer, mąż Ewy, miał wypadek, w którym stracił możność spółkowania i zapładniania kobiet, więc nie mógł być ojcem Lizy. Przyjęto więc w rodzinie uważać za prawdę tę wersję, podług której Ewa, nie mogąc mieć dzieci z mężem, a pragnąc mieć koniecznie choć jedno, poczęła Lizę ze związku przelotnego w tym celu z jakimś góralem. Byłoby to więc dziecko autentyczne Ewy, ale nie jej męża. Jakie są podstawy tej wersji – nie wiem, ale zdaje się, ze sama Marynia tę wersję utrzymuje, więc zapewne ma rację.

Ewa odprawiła swego górala z doróżką, polecając mu w myśl naszych projektów wycieczkowych czekać nas o pewnej godzinie przy wjeździe do Doliny Kościeliskiej. Tam też po wczesnym obiedzie pojechaliśmy. Pogoda nam bardzo sprzyjała. U Doliny

Kościeliskiej zmieniliśmy konie i głęboko w jej piękny wąwóz wjechaliśmy. Znałem tę dolinę sprzed lat 20 – z mojej wycieczki z Aninką Wolberg. Jadzi podobało się bardzo. Jest majestatyczna i dzika w pięknie swoim i pięknie potoku Dunajca. Po powrocie do Zakopanego wcześnie spać poszliśmy. Ewa nocowała w pokoju Jadzi. Daj Boże pogody na jutro.

23 czerwca, rok 1934, sobota

Wycieczka do Morskiego Oka i wyjazd z Zakopanego i przez to samo z Polski. Na razie jeszcze rano i do obiadu włącznie towarzyszyła nam Ewa Meyerowa. Ponieważ ze względu na moje wybrzękłe nogi nie mogę dużo chodzić, zwłaszcza po nierównym terenie zakopiańskim i po nieporządnych brukach i chodnikach tutejszych, więc sam z towarzystwa Ewy nie korzystałem, poszła zaś z nią do muzeum etnograficznego zakopiańskiego Jadzia. Przy tej sposobności nakupiła też Jadzia pamiątek. Zakopane podobało się Jadzi bardzo.

Po obiedzie o drugiej przyszedł czas rozstania. Ewa wsadziła nas do autobusu, pożegnaliśmy się serdecznie i odjechaliśmy. Po malowniczej drodze dotarliśmy do Morskiego Oka, gdzie mieliśmy 2 ½ godziny czasu. Niestety – o wycieczce od Morskiego Oka na Czarny Staw ani marzyć nie mogłem. Jadzię więc tylko do tej wycieczki namówiłem. Pojechała łodzią przez Morskie Oko, w okolicy Czarnego Stawu wysiadła z kilku innymi i wdrapała się na Czarny Staw. Gdy wróciła do schroniska, idąc brzegiem Morskiego Oka, była dobrze zmachana. Wiem coś o tym, bo pamiętam, jak się sam z Annin drapałem w roku 1914. Widoki tu nad Morskim Okiem i z Czarnego Stawu są klasyczne. Takich się nie zapomina. O godzinie szóstej, po dwugodzinnym przeszło postoju, autobus nasz zabrał swoich gości i skierował się do powrotu, ale dla nas z Jadzią był to nie powrót do Zakopanego, jeno wyjazd z Polski na stronę czeską. W pewnym punkcie szosa Zakopane-Morskie Oko w części zbliżonej do Morskiego Oka, w samych Tatrach, dotyka granicy czeskiej, którą stanowi most na Białce. Po jednej stronie mostu jest budka i posterunek polski, po drugiej – posterunek czeski i budynki. Tu autobusy polskie dowożą turystów, chcących zwiedzić miejscowości górskie słowackie, tutaj dojeżdżają też autobusy czeskie, żeby zabrać tych gości. W Białce więc pożegnaliśmy Polskę, którą Jadzia pierwszy raz widziała i która jej na ogół się spodobała w tych stronach, mimo że musiała wraz ze mną stwierdzić, że w Polsce jest brudno, że urządzenia są bardzo zaniedbane, że jest tak, jak Pan Bóg dał, a nie jak ludzie tworzyć chcieli.

Autobusem czeskim przed podgórze słowackie dojechaliśmy na gęsty zmrok do Starego Smokowca. Wpierw przejeżdżaliśmy przez proste wsie słowackie, potem przez współczesne kurorty, stacje klimatyczne z pięknymi urządzeniami parków, budowli stylowych itd., przeznaczone dla chorych na płuca, właściwie – suchotników. Są to właśnie te miejscowości, do których w roku 1928 na wiosnę dr Łaurinowicz z Kowna chciał wysyłać Jadzię, przeciwko czemu ona się wtedy tak buntowała. Dziś oglądała je zdrowa. W jednej z takich właśnie miejscowości – w Starym Smokowcu – zanocowaliśmy w pięknym okazałym hotelu.

24 czerwca, rok 1934, niedziela

Po przenocowaniu w Grand-hotelu w Starym Smokowcu powłóczyliśmy się do godziny jedenastej po tej miejscowości leczniczo-sanatoryjnej. Raczej gdy mówię o chodzeniu, o włóczędze i wyrażam się w pierwszym przypadku liczby mnogiej – należałoby w niniejszej podróży raz na zawsze dać wyjaśnienie, że w takim wypadku ja gdzieś w umówionym miejscu siedzę i czytam albo drzemię jak stara kwoka albo jak niegdyś Mama ze mną, a Jadziuńka krąży i obserwuje, orientując się po swojemu, ale zawsze bardzo dokładnie. Potem mi ona opowiada, gdy wraca do mnie i ja jestem tak poinformowany, jak gdybym sam był na miejscu.

O godzinie jedenastej udaliśmy się autobusem do Štrbskie Pleso, to znaczy nad jezioro Sztyrbskie w Wysokich Tatrach, położone koło 1000 metrów nad poziomem morza. Ładne to jezioro górskie, ale nie tak dzikie, jak Morskie Oko lub Czarny Staw, bo zabudowane z jednej strony białym miasteczkiem restauracji, hoteli, różnych urządzeń sportowych i letniskowych. Latem tu są kąpiele, pływanie, taternictwo, zimą – ski. Jadzia obeszła całe jezioro dokoła, cieszyła się, była pełna życia. Po obiedzie wyjechaliśmy stamtąd przez Stary Smokowiec. W Łomnicy przesiedliśmy na pociąg i żegnani burzą z piorunami w górach odjechaliśmy małą kolejką do Popradu. W Popradzie natrafiliśmy na wielką magistralę kolejową i na duży pociąg tranzytowy na Pragę.

25 czerwca, rok 1934, poniedziałek

Po nocy spędzonej w wagonie, mimo że się miało miejsce sypialne, nogi – wybrzękłe i ciężkie jak kłody. Praga. Mamy ogółem coś dwie godziny czasu. Trzeba przejechać z jednego dworca na inny, wziąć rzeczy z przechowania, wypić śniadanie. Wyjeżdżamy wreszcie na Drezno. Oto i Szwajcaria Saska nad Elbą. Ze względu na zmęczenie nie przechodzimy na parostatek na Elbie, jeno jedziemy do końca pociągiem. Zresztą dowiedziałem się potem, że ze względu na długotrwałą suszę woda na Elbie tak upadła, że żadne statki po niej teraz nie chodzą. Niebawem Drezno. Zajeżdżamy do Palast hotelu, jemy obiad i na tym kończymy dzień. Do galerii obrazów – jutro. A tymczasem wypoczniemy kapitalnie, ja się wyleżę.

26 czerwca, rok 1934, wtorek

Stwierdziliśmy, niestety, nowy smutny objaw w stanie mego zdrowia. Mianowicie po dłuższym przespaniu się w pozycji leżącej obrzękłość się uwydatnia na twarzy: pod oczami ukazują się worki, nabrzmiewają usta, mocno zwisa podbródek dolny. Nie jest więc lepiej. To, że przez noc obrzękłość nieco się zmniejsza w nogach, to jest skutek tylko tego, że się bardziej wtedy po całym ciele rozchodzi i nie tak się koncentruje w tych częściach ciała, które w postawie siedzącej są położone u samego dołu. No, byle by już tylko dojechać szczęśliwie do domu, a tam zabierzemy się energicznie do leczenia: albo się uda zwyciężyć chorobę albo – nastąpić musi... śmierć. Pomimo też wszelkie optymistyczne pozory zmniejszenia obrzękłości rano – faktem jest, że ilość uryny odchodzi minimalna, daleko mniejsza dziennie, niż ilość płynu konsumowanego, więc gdzieś się ten nadmiar podziewa? Oczywiście zostaje w organizmie, zwiększając obrzękłość ogólną.

Przejechaliśmy się z Jadźką po Dreźnie, pochodziliśmy po tarasie Brühla, pod zamkiem królewskim i kościołem dworu, wreszcie po Zwinglu i zwiedziliśmy galerię obrazów szkoły flamandzkiej, włoskiej, niemieckiej, francuskiej.

Po obiedzie przejechaliśmy z Drezna do Berlina, ale i tam nie odważyliśmy się jechać dalej w nocy – choćby nawet wagonem sypialnym. Stanęliśmy na noc w hotelu Centralnym przy Friedrichstrasse Bahnhof.

27 czerwca, rok 1934, środa

Rano wyjechaliśmy z Berlina. Ostatni przejazd do Kowna i podróż – skończona. Potem to już tylko ruch domowy między Bohdaniszkami a Kownem.

Zabiorę się zaraz do leczenia i leczyć się będę u dr Gudowicza. Do Elkiesa nie mam zaufania. Kilka lat niby mię miał leczyć, ale nigdy się do tego nie zabrał; wodził mię po manowcach, podsuwał mi jakieś fantastyczne cyfry mojej wagi.

Gudowicza znam od dawna i mam do niego zaufanie. Jest to nie tylko dobry lekarz, ale też człowiek z krwi i kości, szczery, życzliwy, swój. Szorstki jest trochę, gderliwy, czasem lubi nawet grubo wyłajać, ale pod tymi pozorami mieści się subtelna delikatność humanisty.

Wiem teraz, co mi jest. Ciężkimi myślami nocnymi w chwilach troski i smutku poznałem mój stan. Jeszcze niedawno – w ostatnich dniach Marienbadu – wziąłem za objaw

zdrowienia ustępowanie brzęknięcie nóg. Ale już w Dreźnie przejrzałem z dokładnością najściślejszą: nie o to chodzi, czy obrzęknięcie tak czy inaczej się rozkłada zależnie od pozycji ciała, ale wyłącznie o to, czy zapas moczu nie wydzielonego gromadzi się w organizmie czy nie. Czy więcej moczu odeszło, niż się nowego płynu pochłonęło, czy też odwrotnie? Jeżeli zapas moczu narasta – źle jest. Jeżeli więcej odchodzi, niż się płynów pochłania – dobrze jest. Mam mocno zaobserwowane, że u mnie odchodzi tylko minimalna ilość moczu, czyli że narastanie brzęknięcia jest po prostu szalone.

28 czerwca, rok 11934, czwartek

Wreszcie po wielu dniach włóczęgi wstałem z własnego łóżka we własnym mieszkaniu, ale cóż za nędza! Wstawałem jak żebrak, jak starzec nad grobem, jak umierający. Przez noc obrzękłość zmieniła formy i, jak to już od dni kilku coraz bardziej się uwydatniało, zalała twarz, czyniąc mię też intelektualnie słabym. Czułem się jakby pijany. Osłabłem zaś tak, że ubierając się nawet guzików o własnych siłach zapiąć nie mogłem. Musiała zapiąć Jadzia.

Miałem już tylko zameldować się u dr Gudowicza jako przyszły jego pacjent po powrocie z Bohdaniszek od 5 lipca i otrzymać odeń instrukcje. I zaraz miałem jechać do Bohdaniszek, Jadzia zaś – na pociąg wieczorny. Ale... dysponuje Pan Bóg. Dr Gudowicz spojrzał na mnie, krótko obejrzał, rozpytał i kazał bez żadnych zastrzeżeń i komentarzy kłaść się do łóżka na osiem dni, a wszelkie jazdy do Bohdaniszek i pełnienie czynności rektorskich od 5 lipca – wybić sobie z głowy. Sytuacja jest poważna i niebezpieczna. Organizm jest cały przesiąkły uryną, podtopiony przez nią, dźwiga w sobie kilkadziesiąt litrów tego płynu, którego mu co dzień przybywa, bo z chwilą, gdy brzęknięcia moczowe się zaczęło – moczu odchodzi zawsze mniej, niż go się ze spożywanego płynu wytwarza. Od nalania uryną potwornie zgrubiałem i waga narosła szalenie. Podług ostatnich wersji majowych Elkiesa ważyłem 97 kilo, podług Liebeskinda w dniu przyjazdu do Marienbadu – 114 kilo, teraz – 126. Aż się sam Gudowicz zdziwił. Wypędzać mocz trzeba zaraz. Jest *periculum in mora*. Grozi zatrucie i śmierć.

Poszedłem do domu i położyłem się. Jestem posłuszny. Posiłek mój dzienny składa się z czterech szklanek mleka po jednej co cztery godziny. Po trzech dniach będę dostawał poza tym bułeczki i masło. Od jutra ma zacząć odchodzić mocz.

29 czerwca, rok 1934, piątek

Drugi dzień leżenia i diety bezwzględnej. Wezwana przez Jadzię telefonicznie służąca Kastutė Merkisówna przyjechała dziś z Bohdaniszek do Kowna.

Wczoraj i przez noc byłem w stanie drzemiącym. Rano przyszedł dr Gudowicz, zarządził środki na rzecz pędzenia moczu. Coś zastrzyknął (jakąś dawkę końską), nadal zalecił difetalis. Dieta ta sama: cztery razy na dzień po szklance mleka i nic więcej.

Popędziło też dziś urynę. Wypłynęło jej przeszło siedem litrów. Miękkie się zrobiły nogi, tylko brzuch jeszcze twardy i cały pełniutki uryny.

To był dziś egzamin. Dzień próby. Zwyciężyło życie. Gdyby organizm nie zdołał uryny wypędzić – byłby już wyrok śmierci. Już i samo serce, skąpane w urynie, było wielkie i sztywne. Teraz i ono się skurczy i odzyszcze tężyznę pracy. Chwila była niebezpieczna. Nie chciałbym ponawiać próby. Ostatni, ostatni termin.

30 czerwca, rok 1934, sobota

Nie chcąc zbytnio forsować zmęczonego serca i innych organów wewnętrznych, doktor Gudowicz dziś żadnego moczogonnego środka nie zastosował. Dieta wciąż ta sama: cztery razy na dzień po szklance mleka – nic ponadto, nic poza tym. W każdym razie przez dzień wczorajszy ubyło mi już dobrych siedem kilo bagażu uryny w ciele. Lżejszy i rzeświejszy się czuję. Nogi i całe ciało, prócz brzucha, już są miękkie.

W Kownie odbywa się kongres eucharystyczny. Całe Kowno jest zatopione inwazją kongresową wsi. Cały czas rozlega się śpiew, dreptanie, dźwięki jakichś staromodnych muzyk, wykonywanych *à la maniera grandiosa* na jakichś ogromnych instrumentach, których dźwięki mają łączyć siłą z majestatycznością. Są to jakieś dudy znakomite pomysłu litewskiego.

1 lipca, rok 1934, niedziela

Czwarty dzień leżenia i diety. Doktor Gudowicz, który odbył u mnie wizytę rano, dał mi znowu moczopędzące lekarstwo – mianowicie zastrzyknął dużą (końską) dawkę „salyrganu", który też, działając, wypędził mi przez dzień dzisiejszy znowu przeszło pięć dalszych litrów uryny.

Dieta nie uległa jeszcze zmianie. Gdym się kładł, doktor mówił, że po trzech dniach zacznie dodawać do mleka bułki i masła. Tymczasem tego nie zarządził. W dalszym ciągu piję tylko mleko – bez żadnego dodatku. Doktor pozwolił mi tylko zastąpić jedną szklankę mleka przez szklankę wody z winem białym i poza tym extra parę szklanek jagód.

Na ogół czuję się dobrze. Chciałbym widzieć kogoś z Bohdaniszek.

2 lipca, rok 1934, poniedziałek

Dieta – wciąż jeszcze ta sama. Nie jem nic – tylko wypijam po cztery szklanki mleka dziennie. Urozmaicenie jest to, że jedną ze szklanek mleka mogę zastąpić szklanką wody zmieszanej z naturalnym białym winem francuskim w proporcji ¾ wody do ¼ wina i że poza tym rachunkiem szklanek mogę spożyć jeszcze jedną do dwóch szklanek jagód w stanie naturalnym – malin, poziomek, truskawek. Diety nie przykrzą, wielkiej chęci jedzenia nie mam, zraża mię do tego ból dziąseł w rodzaju zapalenia, wywołanego zawczasu przez urynę.

Humor mi służy, mam ambicję i pragnienie szybszego wypędzenia uryny, która jeszcze nie cała odeszła. Ale doktor trochę marudzi, nie chce wysilać organizmu, w zarządzeniach moczopędnych robi po dniu, po dwa – wypoczynki. A mnie się zdaje, że gdy się od razu wszystko wypędzi, to potem w ogóle nieco pozostanie i to będzie początek nowego narostu tej obrzydliwości.

Rano miałem pierwszego kochanego gościa z Bohdaniszek. Była to Elwira Mieczkowska. Pierwsze odwiedziny rodzinne. Elwira zabawi do jutra.

Po obiedzie odwiedziła mię delegacja naszego senatu akademickiego w osobach obu prorektorów – prof. księdza Błażeja Česnysa i prof. Franciszka Jodeli i dziekana Wydziału Medycznego prof. dr Władysława Lašasa. Delegacja bardzo łaskawie i serdecznie prosiła mię o nic się nie troszczyć, leczyć się, wypoczywać i nabywać sił aż do immatrykulacji w dniu 15 września. Załatwienie wszystkich spraw bieżących przez czas wakacji delegacja akademicka unormuje bez mojego udziału.

3 lipca, rok 1934, wtorek

Elwira odjechała do Bohdaniszek z powrotem. Przekonała się, że niebezpieczeństwo minęło, że jestem pod dobrą opieką lekarską, że wracam stopniowo do zdrowia. Wszakże do Bohdaniszek doktor obiecuje mię puścić dopiero po jakichś dniach dziesięciu. W diecie dziś mały postęp – pozwolono już bułkę. Ale ponieważ dziąsła są wybrzękłe i przeto wszelkie kąsanie jest bolesne, więc nie korzystam z bułeczki.

Odwiedzał mię dziekan prof. Zygmunt Žemaitis i student Feliks Mackus. Dużo jeszcze listów otrzymałem odesłanych mi tu z Marienbadu. Między innymi z tych listów dowiedziałem się o nominacji członka Rady Stanu Ludwika Ciplijewskiego na stanowisko prezesa Trybunału Najwyższego. Jest to to miejsce, opróżnione przez śp. Kriščiukaitisa, na które ja też poniekąd reflektowałem. Ale chociaż pragnąłem pozyskać to stanowisko dla

siebie, muszę przyznać, że nominacja Ciplijewskiego jest doskonała. Ma on wszystkie kwalifikacje po temu.

4 lipca, rok 1934, środa

Kuracja idzie dobrze. Uryna coraz bardziej ustępuje. Z dnia na dzień odchodzi jej coraz więcej (właściwie odchodzi coraz mniej, bo stopniowo co dzień też mniej zostaje, ale ilość bezwzględna moczu w ciele zmniejsza się stale). Wiem już teraz od dr Gudowicza, kiedy nagromadzenie się podskórne moczu w organizmie staje się śmiertelne: wtedy, kiedy mocz zalewa płuca albo mózg. U mnie ta chwila była już bardzo bliska. Prawdopodobnie, gdybym był wyjechał do Bohdaniszek, a nie zwrócił się tutaj do dr Gudowicza, już bym dziś nie żył. Świeży grób na mogiłach parafialnych abelskich (gdyby mię tam władze kościelne przyjęły, w przeciwnym razie – jakaś skromna mogiłka gdzieś na Monticulu pod Gajem w Bohdaniszkach), pokrywałby miejsce ceremonii pogrzebowych zwłok pierwszego zmarłego rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego. W ogóle dr Gudowicz się dziwi, że w takim stanie rozpaczliwym zdrowia, w jakim przed tygodniem byłem, zdołałem jeszcze przyjść do niego pieszo. Teraz wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jedno: moczopędzący środek, który mi stosuje dr Gudowicz, oparty jest na kalomelu i przeto zapala i rani dziąsła, co mi sprawia ból i utrudnia jedzenie. Apetyt mi już przychodzi, nie mogę się zadowolić mlekiem, ale skądinąd jedzenie sprawia ból.

Wśród wizyt, które miałem dzisiaj, najwięcej mi zaszczytu uczyniła wizyta starego profesora Leonasa, byłego długoletniego dziekana naszego wydziału.

5 lipca, rok 1934, czwartek

Dużo dziś miałem odwiedzających. Przede wszystkim było kilku z rodziny – przyjeżdżał mianowicie z Szaszewicz Stefan Römer, zachodził bawiący w Kownie Hektor Komorowski, wieczorem zaś – Eugeniusz Römer, który o mojej chorobie i moim powrocie do Kowna dowiedział się z gazet dzisiejszych. Poza tym był student Feliks Mackus, z którym zagrałem partyjkę szachów. Z uniwersytetu był sekretarz prof. Purėnas. Najliczniejszą wszakże była Rada Stanu, która mię odwiedziła w osobie czterech: członka Rady Papečkysa, nowego biegłego-współpracownika („žinovas-bendradarbis”) – młodego naszego prof. dr Dominika Kriwickiego, referenta Konstantego Raczkowskiego i naczelnika kancelarii Morkusa.

Dowiedziałem się, że w toku ostatniego przesilenia rządowego, spowodowanego przez nieudany zamach voldemarasowców, wypłynęła realnie moja kandydatura na ministra oświaty. Była to kandydatura z tytułu rektorskiego. Dopiero z powodu nieobecności mojej ministrem mianowano rektora Akademii Rolniczej prof. Tonkusana.

Dziś gazety po raz pierwszy ogłosiły obszerną relację o mojej chorobie, stwierdzając, że już niebezpieczeństwo minęło i że mię leczy dr Gudowicz.

6 lipca, rok 1934, piątek

W tym preparacie moczopędowym, który mi dr Gudowicz zastrzykuje i który istotnie działa dobrze, jest kalomel. Są tego kalomelu duże ilości, które przez to mocno działają na dziąsła. Ja zawsze miałem i mam dziąsła wrażliwe na merkuriusz (kalomel), toteż i teraz są one u mnie zbolałe i wybrzękłe. Szczególnie rankami bolą nieznośnie. Wytargowałem dziś u doktora odroczenie bieżącego czwartkowego zastrzyku moczopędowego na dwa dni.

Dziś wreszcie dr Gudowicz uzupełnił moją dietę pierwotną. Na śniadanie pozwolił na jajko na miękko z kawałkiem chleba, na obiad – pół kurczęcia pieczonego (ile można – suchego i bez soli) i kompot. Nazajutrz – zamiast jajka i kurczęcia – kaszka jęczmienna na mleku.

7 lipca, rok 1934, sobota

Z inicjatywy prof. Žemaitisa i prof. Purėnasa prof. Lašas, dziekan Wydziału Medycznego, poszukuje obecnie do udzielenia mi do Bohdaniszek studenta medyka na ukończeniu, który stosownie do instrukcji dr Gudowicza będzie mię doglądał, robił niezbędne zastrzyki, śledził przebieg mojej rekonwalescencji i w ogóle dozorował stan mego zdrowia, jeżdżąc od czasu do czasu do Kowna i zdając sprawę lekarzowi. Lašas ma jakiegoś upatrzonego studenta III kursu, byłego felczera, ale dr Gudowicz chce mieć studenta V kursu i nie chce, żeby to był felczer.

Daj Boże, żeby się już na jednym jeszcze tygodniu leczenie skończyło, abym za tydzień – w połowie lipca – mógł wyjechać do Bohdaniszek. Dr Gudowicz chciałby, aby przed wyjazdem do Bohdaniszek cała woda była z mego organizmu wypędzona. Tymczasem jej resztki trzymają się jeszcze mocno w kostkach u stóp i wzdłuż kosteczki, łączącej kolano ze stopą, również w połci podbrzusza.

Dziś miałem wielu i wybitnych odwiedzających. Był minister sprawiedliwości Šiling, prof. Janulaitis, dziekan Wydziału Ewangelicko-Teologicznego prof. Jokubėnas, adwokat Robinzon i inni. Šiling był bardzo uprzejmy, nagadał mi komplementów, serdeczny był i konfidencjalny. Robinzon opublikował wielką żmudną pracę wielkiej erudycji – parę tomów komentarzy do statutu (zapewne i konwencji) kłajpedzkiego. Janulaitis – jedyny, którego tu spotkałem, sympatyk Voldemarasa i w głębi sam germanofil. Co prawda, maskuje się trochę, ale to zbyt zeń wyziera. Zresztą naturalnie – jest on germanofilem *bona fide*, bo u Janulaitisa polityka jest wyrazem li tylko przekonań i ideału, ale nigdy spekulacji osobistej. Zastrzegam się jednak: mówiąc, że Janulaitis jest „germanofilem”, mam na myśli li tylko jego wiarę w kulturę i rdzeń historyczną polityki niemieckiej; nie jest on ani hitlerowcem, ani oczywiście sympatykiem ideologii „nacjonalsocjalistycznej”.

8 lipca, rok 1934, niedziela

Rano przyjechał z Szaszewicz Stefan Römer, ofiarowując się siedzieć przy mnie. Nie bardzo mi to potrzebne, ale skoro Stefan dba o mnie, niech siedzi. Użyję go bądź do dyktowania listów, bądź do rejestracji starej korespondencji. Trochę jest on nudny, bo się obraża o byle co, nie zna się na żartach, jest cały pełny jakichś pretensji i maniery, ale ostatecznie niezły chłopiec i biedny skrzywdzony przez życie.

Mówił mi Janulaitis, że ex-minister Zaunius ma ochotę dostać się do uniwersytetu i pragnąłby reflektować na katedrę prawa międzynarodowego, opróżnioną po zmarłym prof. Jaszczence albo przynajmniej na coś mniejszego i szczegółowego w zakresie tej katedry. Wzmiankuje, że ma przecie pewną praktykę dyplomatyczną. Jeżeli kandydatura Zauniusa będzie kiedy w naszym wydziale postawiona – będę jej przeciwny. „Praktyka dyplomatyczna” – kilka posiedzeń Ligi Narodów, jedna-druga umowa zawarta – to wiedzy teoretycznej nie zastąpi i na całe życie bagażem naukowym nie będzie. Żadnych zaś skłonności naukowych u Zauniusa nie dostrzegam. Jest to człowiek, który lubi łatwy i natychmiastowy skutek swojego działania, nauka zaś takich łatwych i tanich owoców nie daje. Zaunius dostaje nominację do Rady Stanu, która poniekąd służy za rezerwuar dla byłych zdeklasowanych wielkości, którym trzeba dać pewne zaopatrzenie materialne. Ale i w Radzie Stanu, jak słyszę, nie bardzo się zeń cieszą, bo ma on opinię intryganta, który będzie dezorganizował stosunki koleżeńskie.

9 lipca, rok 1934, poniedziałek

Kupiłem dziś wagi do ważenia się osobistego. Zważyłem się nago. Ważę 101 kilo. To znaczy, że od rozpoczęcia leczenia, czyli od kulminacyjnego punktu mojej choroby, kiedy dr Gudowicz mię położył do łóżka i zaczął leczyć dietą, wypędzaniem moczu i wzmacnianiem serca – a więc od niespełna dwóch tygodni – straciłem 25 kilogramów (półtora puda) wagi.

Ważyłem wtedy bowiem u dr Gudowicza 126 kilo (co prawda, w ubraniu). Jest to rezultat w każdym razie bardzo piękny. Przez ten czas spędziłem koło 20 litrów starych zaległości moczu i zapewne coś z ciała ponadto. Dr Gudowicz chciałby dopędzić moją wagę do 85 kilo.

Wieczorem przyjechała z Bohdaniszek (automobilem rakiskim) Marynia Budkiewiczowa.

Jeszcze szczegółik z mojej choroby. Jeżeli bym po powrocie do Kowna nawet jeszcze w ciągu paru dni nie umarł, o ile by woda nie dostała się do płuc lub mózgu, to w każdym razie, gdybym nie rozpoczął leczenia natychmiast, byłbym co najmniej natychmiast oślepł i na ciele otworzyłyby mi się rany, które mogłyby być niebezpieczne ze względu na gangrenę lub różę. W oczach przez noc gromadziła mi się materia bardzo ostra i zjadliwa, która mi zalewała całe oko i wypływała bruzdami twarzy, powodując ich stan zapalny. Tak samo wszędzie na ciele, gdzie się ciało z ciałem schodziło lub fałdowało, zaczynały się tworzyć bolesne plamy czerwone – ocieki podskórne krwi, z których wytworzyłyby się rychło rany bolesne i jątrzące.

10 lipca, rok 1934, wtorek

W paru dniach ostatnich odwiedziło mię znów sporo osób: wiceprezes Rady Stanu Bolesław Masiulis, członek tejże Starkus, adwokat Nargiełowicz, pani Felicja Bortkiewiczowa, Michał Ślażewicz, generał Aleksander Kurkowski, młody Witold Mačys i inni.

Jem teraz trochę posilniej. Dietę mleczną stosuję co drugi dzień, a w międzyczasie, to znaczy też co drugi dzień na przemian, jem na śniadanie i kolację po jajku z chlebem, a na obiad – albo kurczęcia lub kury kawałek, albo cielęciny lub wołowego w stanie gotowanym lub pieczonym, ale bez żadnego sosu, do tego kawałek chleba, sałata, pomidor lub kalafior.

11 lipca, rok 1934, środa

Dziś doktor dał mi piąte ukłucie z iniekcją preparatu moczogonnego, na którego skutek wypłynęło jeszcze do trzech litrów uryny – oczywiście więc w tej liczbie i resztek starej wody podskórnej, bo świeżych płynów dziś najwyżej do jednego litra wypiłem. Dobrze więc działa ten preparat i dobrze nań reaguje serce. Jedno tylko w tej kuracji i zwłaszcza w tym preparacie mię gnębi, to – obecność w nim kalomelu, który działa na moje dziąsła. Dziąsła są całe wybrzękłe, zapalone, zbolałe. Nic kąsać nie mogę, tylko w ślinie zwilżam w ustach, pokręcam i połykam. Zresztą tylko co drugi dzień mam coś do jedzenia poza mlekiem.

Z dr Gudowiczem był dziś rano medyk nazwiskiem Vileniškis, którego dr prof. Lašas daje mi do Bohdaniszek dla dozoru lekarskiego nade mną. Jest to młody medyk lekarz, który ukończył już uniwersytet, zdał egzaminy i już dyplom uzyskał, ale jeszcze odbywa staż praktyki dla zdobycia praw lekarskich. Medyk Vileniškis jest rodem z powiatu rakiskiego; rodzice jego mają folwark z dworu Rawiszek pod Kwetkami.

Między innymi był dziś u mnie Mašolaitis i minister Šiling. Dowiedziałem się od nich o nowej zaprojektowanej ustawie do zwalczania intrygi germanizacyjnej w Kłajpedzie. Ustawa ta, która ma być już jutro ogłoszona i której dyspozycje zostały szczegółowo ustalone na kilku posiedzeniach pod przewodnictwem osobistym pana Prezydenta Rzeczypospolitej (projektodawcą pierwotnego jej tekstu był Tadeusz Pietkiewicz, ale w toku obrad projekt pierwotny uległ znacznym zmianom), mierzy wprost w sejmik autonomiczny kłajpedzki, który germanizatorzy kłajpedzcy uważali za swoją twierdzę autonomiczną niewzruszoną, nieuchwytną dla akcji gubernatora litewskiego. W myśl tego projektu ustawy, formalnie dotyczącego tak sejmiku kłajpedzkiego, jak Sejmu państwowego, samorządów lokalnych i izb gospodarczych zawodowych, w czasie stanu wojennego (faktycznie stan ten jest u nas stanem stałym) komendant wojenny ma prawo zamknąć wszelkie stowarzyszenia, związki, organizacje (stronnictwa, partie), których działalności jest niebezpieczną dla państwa i może każdego członka tej zamkniętej organizacji, o ile on z niej sam sześć miesięcy przed jej

zamknięciem nie wystąpił i o ile przyczynił się on osobiście do jej działalności niebezpiecznej, pozbawić prawa głosowania do odpowiednich organów (sejm, sejmik, samorządy, izby gospodarcze) albo pozbawić mandatu. Tą drogą w myśl tej ustawy sejmik autonomiczny kłajpedzki może być bądź w drodze nowych wyborów, bądź w drodze likwidacji mandatów zamkniętych stronnictw Sassa i Neumanna oczyszczony z elementów germanizatorskich i oddany w ręce reprezentacji narodowo-litewskiej w Kłajpedzie. To jest właściwym celem tej ustawy. Środek jest ostry, ale formalnie, moim zdaniem, dający się usprawiedliwić motywami stanu wojennego jako wyjątkowego w warunkach grożącego państwu niebezpieczeństwa, zwłaszcza mając na względzie ściśle osobisty charakter odebrania prawa głosu lub mandatu z motywami *ad personam*. Jest to Meisterkundstück twórczości ustawowej z zachowaniem pozorów zasad prawnych dla celów politycznych.

12 lipca, rok 1934, czwartek

Dziś już dr Gudowicz urzędowo mi pozwolił wstawać z łóżka i po kilka razy w ciągu dnia po dwie godziny siedzieć, stać, chodzić, ruszać się – ale tylko wewnątrz mieszkania, przeplatając wstawanie leżeniem. Czuję, że nasz wyjazd do Bohdaniszek, do którego już bardzo tęsknię, znowu się odwleka, niestety... Nie tak łatwo jest wrócić do zdrowia, jak się na początku leczenia zdaje. Jest coraz lepiej, ale wciąż jeszcze nie koniec.

Młody medyk Vileniškis, który miał mi towarzyszyć do Bohdaniszek, cofnął się, bo dostał praktykę w szpitalu rakiskim, która mu będzie zaliczona do stażu. Wobec tego ma być wyznaczony przez prof. Lašasa inny medyk, student V kursu, do towarzyszenia mi do Bohdaniszek.

Przed kilku dniami ogłoszona została decyzja Rady Wojennej w sprawie likwidacji niedoszłego zamachu stanu z d. 7 czerwca. Z decyzją tą wiąże się „ustawa o amnestii” (zdaje mi się, że akt ten ma formę ustawy) dla sprawców i uczestników tego zamachu. Po przełamaniu zamachu w d. 7 czerwca Prezydent Smetona czy to li tylko z dobrego serca, czy też z radości zwycięstwa osiągniętego i bojąc się doprowadzać do rozpaczy uczestników zamachu, którzy zdecydowali się na cofnięcie swojej akcji zamachowej, przyrzekł spiskowcom, że ze względu na unikanie przez nich przelewu krwi nie będą oni oddani pod sąd. Wszakże rząd i elementy prawowierne w wojsku, które po zamachu poszły w górę i są panami sytuacji, uznali, że obietnica Prezydenta za daleko idzie i że pozostawienie w wojsku elementu zamachowego jest niebezpieczne, a zupełna bezkarność zaszkodziłaby dyscyplinie i rozzuchwaliła zamachowców. W szeregu przeto narad zdecydowano się na drogę pośrednią, która ma z jednej strony uszanować formalnie obietnicę Prezydenta, z drugiej przecież – skarcić i usunąć z wojska element zamachowy. Przede wszystkim uznano, że trzech najgrubszych winowajców zamachu – byłego szefa Sztabu Generalnego Kubiliunasa, oficera Bačkisa i oficera Novakasa – obietnica Prezydenta nie dotyczy i że ci trzej przeto zostaną oddani pod sąd (wojenny czy polowy?). Reszta – 100 oficerów – nie będzie w myśl przyrzeczenia Prezydenta oddana pod sąd, ale ulegnie wyrokowi dyscyplinarnemu. Ten wyrok dyscyplinarny stanowi właśnie sankcję aktu ogłoszonego.

13 lipca, rok 1934, piątek

Oficerowie, dotknięci wyrokiem dyscyplinarnym Rady Wojennej za udział w zamachu stanu 7 czerwca i zwolnieni słowem Prezydenta od odpowiedzialności sądowej, są podzieleni na dwie kategorie. Wszyscy są usunięci z wojska, ale pierwsza kategoria, do której zaliczeni są najwinniejsi, którzy należeli do spisku, są zdegradowani na prostych żołnierzy szeregowych i jako tacy usunięci. Drugą kategorię stanowią ci, co są wydaleni z wojska bez degradacji. Są oni podzieleni na dwa pododdziały w równej liczbie: należący do pierwszego pododdziału są usunięci z góry – bez podania prośby, należący do drugiego pododdziału –

mają prawo podania prośby o wystąpienie z wojska i zaliczenia do zwolnionych na własną prośbę.

Chociaż oczywiście sankcje tego wyroku dyscyplinarnego są łagodniejsze, niż mogłyby być sankcje sądu wojennego – zwłaszcza polowego (tu byłoby i ciężkie więzienie, i rozstrzelanie), to jednak sankcje te tak w kołach wojskowych, jak w cywilnych uchodzą za surowe i są niespodziewane. Wielu uważa, że wytworzy to w samym wojsku i poza nim w kołach dotkniętych degradacją i wydaleniem nie tylko ostre niezadowolenie i poczucie krzywdy, ale także zachwianie wiary w słowo Prezydenta, obniżenie jego wysokiego autorytetu i pragnienie rewanżu politycznego, mogące się stać źródłem nowych spisków i przewrotów polityczno-wojennych. Wielu z tych, co mię odwiedzali (Nargiełowicz, Starkus i inni) wyrażali te wątpliwości i obawy. Może to być nowa woda na młyn Voldemarasa. Podobno, jak twierdzą koła spiskowe, obietnica Prezydenta Smetony była radykalniejsza, niż tylko uwolnienie winnych od sądu. Podobno Prezydent Smetona – po ostatecznym i kategorycznym odrzuceniu propozycji spiskowców i wszelkich pertraktacji z Voldemarasem – miał oświadczyć, że o ile spiskowcy odstąpią natychmiast od swych zamiarów, sami odprowadzą oddziały wojska do koszar i zaniechają wszelkiej akcji, to całe zajście będzie pokryte zapomnieniem bez żadnych konsekwencji, jak gdyby nic nie zaszło. Z pewnością takie oświadczenie Prezydenta było zbyt daleko idące, ale bodajże było ono właśnie takie i odpowiadało wówczas usposobieniu Prezydenta, który złości w sercu nie miał i pragnął rychlej i jak najspokojniej zlikwidować ruchawkę autorytetem własnym. Otóż uchwały Rady Wojennej wychodzą poza granice słowa Prezydenta i nachodzą nieco to słowo. Prawda, że skądinąd nie brak motywów i na rzecz decyzji powziętej. Jak mi dziś mówił ze słów własnych Prezydenta prof. Zygmunt Žemaitis, uwzględniona była taka sytuacja możliwa, w której sami żołnierze albo podoficerowie uknują jakiś spisek i wystąpią z akcją przewrotu politycznego. Jakże można ich będzie karać, gdy się za takiż czyn pozostawiło bez kary oficerów!! Bezkarność jednych logicznie pociąga za sobą bezkarność następnych, zwłaszcza niższych. W każdym jednak razie sytuacja jest nieco zamącona tym epilogiem 7 czerwca. Ta partia kilkudziesięciu wydalonych, a zwłaszcza zdegradowanych oficerów – to ferment nowy.

14 lipca, rok 1934, sobota

Od kilku dni wstaję i w moim pięknym szlafroku czeskim chodzę po mieszkaniu, pracuję trochę przy biurku, ale niezbyt intensywnie, to znów leżę w łóżku i wypoczywam. Nie ubieram się jeszcze i nie wychodzę z domu. Waga trzyma się na poziomie 97-98 kilogramów. Na ciele i na twarzy zmizerniałem już bardzo. Każdy, kto do mnie przychodzi, od razu to stwierdza i winszuje mi tego skutku. Nie jestem jednak zbyt radośnie i optymistycznie usposobiony, a nawet mam jakby pewien regres pesymistyczny i rezygnacji biernej po pierwszej fali energii i radości, jaka cechowała moje usposobienie w ciągu pierwszych dwóch tygodni leczenia. Szkoda mi dni lata uciekających, jakby ukradanych Bohdaniszkom. Nie to jedno mię wszakże smuci czy trapi. Mam strach przed recydywą choroby. Zdaje mi się, że znów uryna przestanie odchodzić i że znów brzęknąć zacznę. Istotnie w tych dniach, kiedy nie ma moczopędzącej iniekcji, jak również nie nazajutrz po tej iniekcji (działa ona w pewnej mierze i na drugi dzień), uryna odchodzi leniwiej, zwłaszcza we dnie, a nawet gdzieniegdzie na stopach można z wieczora dojrzeć nieduże nabrzęknięcia. Jednak waga trzyma się na ogół równo i przez noc uryna obficie odchodzi, a we dnie trzeba też coś policzyć na potnienie, którego czasem doświadczam. Rozumowo więc kwestię traktując – stan nie jest zły, ale na człowieka działają jakieś obawy i przeczucia podświadome, da Bóg – zwodnicze. Przykra też bardzo jest bolesna wybrzękłość dziąseł i głębokich pod szczęką sfer ciała, w których osadzone są korzenie zębów. Od korzeni dwóch kłów górnych – jedynych zębów górnych, jakie mi pozostały – ta sfera bolesna rozciąga się na całą nasadę nosa i aż pod oczy. Nie mogę nic kąsać ani jeść bez bólu. Tylko mleko i jajko na miękko bez soli i chleba nie sprawia mi

bólu. Wybrałem też zęby sztuczne, zarówno dolne, jak górne, bo mi ból sprawiają, uciskając dziąsła. Jest to skutek kalomelu, zawartego w preparacie moczopędzącym „Salyrgan". Gdyby nie ten skutek kalomelu, doktor już by mi więcej tego „salyrganu" wpuścił, bo dwukrotnie wyprosiłem odroczenie iniekcji licząc, że w toku dłuższej przerwy między dwiema dawkami zapalenie dziąseł przejdzie. Jednak nie przechodzi ono wcale. I teraz od środy wytargowałem odroczenie następnej dawki do poniedziałku, ale polepszenia nie mogę się doczekać. Może po nocy z rana, kiedy ból dziąseł jest najintensywniejszy, staje się on po kilku dniach przerwy lżejszy, ale w stosunku do jedzenia – ani trochę nie mniejszy.

Mniej mię już ludzie odwiedzają, bo kto miał odwiedzić – ten już odwiedził, przekonał się o rekonwalescencji i na tym poprzestał. Przychodzą tylko ci, co mają jakiś interes lub są zależni służbowo. Wyjątek – prof. Żemaitis.

Marynia też wczoraj odjechała. Zostaliśmy znów we dwoje z moją wierną, kochaną nieocenioną Jadzieńką, z którą nam doskonale we dwoje. Wieczorem mię dziś ona pomyła w wannie.

15 lipca, rok 1934, niedziela

Waga wciąż spada. Dziś rano wagi wskazały już tylko 96 kilogramów! Jest to upadek wagi na 30 kilogramów w ciągu niespełna trzech tygodni. Ze 126 na 96 kilo. Prawie dwa pudy w ciągu 17 dni. Coś rekordowego. Wyglądam już o wiele mizerniej, niż nie tylko po powrocie z Marienbadu, ale też przez wyjazdem i przed chorobą. Zupełnie też ustąpiła senność, która mię trapiła tak w Marienbadzie, jak długo przedtem i stawała się nieznośną, czyniąc mię niezdolnym do pracy. Senność ta ustąpiła od razu w pierwszych dniach leczenia. Dzieje tej senności były u mnie dawne. Zaznaczyła się ona wyraźnie co najmniej od roku 1931; wtedy już na posiedzeniach komisji Rady Stanu, o ile sam nie przewodniczyłem lub nie musiałem przemawiać, wpadałem w drzemkę, której nie mogłem przezwyciężyć. W grudniu 1931 (może się co do daty mylę), gdy mi dr Elkies przepisał surową dietę, którą na razie przestrzegałem ściśle, senność na razie minęła. Nie doświadczałem też jej albo doświadczałem bardzo mało w Hadze. Ale już ku końcowi r. 1932, po powrocie z Hagi, pokazała się ona znowu i zaczęła rosnąć szybko. Ubiegłego roku akademickiego (1933-1934) stała się ona nieznośną i była prawdziwą plagą moją: zasypiałem w gabinecie rektorskim, w domu u biurka przy pracy, na wszelkich posiedzeniach i zebraniach, o ile sam nie przemawiałem, podczas przemówień i odczytów, słowem – wszędzie, publicznie. Doszło do tego, że kilka razy senność mię na własnym moim wykładzie chwytała. W Marienbadzie, gdy byłem wybrzękły, uwydatniło się to jeszcze bardziej. Teraz – minęło bez śladu. Jestem pewny, że moja choroba datowała się od dawna i że złe odchodzenie moczu i zanieczyszczenie krwi zużytą cieczą, która zatruwała mi mózg i sprawiała senność, poprzedzając odkładanie nadmiaru tej cieczy pod skórą, stanowiło długie preludium tej choroby, która się wreszcie rozwinęła w całej pełni w maju-czerwcu. Dzięki Bogu za ten kryzys długiej choroby, który mię teraz może postawi na nogi i odmłodzi.

16 lipca, rok 1934, poniedziałek

Chwała Bogu – doktor mi dziś „salyrganu" nie wstrzyknął. Waga sama przez się spada regularnie, więc stosowanie środków sztucznych na wypędzanie resztek moczu z organizmu, które już i tak oczywiście uchodzą, staje się zbyteczne. Dla mnie zaś to zaniechanie iniekcji „selyrgenu" albo choćby przerwa dłuższa w tych iniekcjach – to balsam na dziąsła. Wprawdzie polepszenie w stanie dziąseł jest minimalne, ale przecież troszeczkę się już ono zaznacza. Wszakże gryźć nic jeszcze nie mogę; zresztą do jedzenia nie mam nawet apetytu; natomiast chce mi się szalenie pić. Zdaje się – piłbym ciągle, przez cały dzień.

Waga utrzymuje się dziś na poziomie wczorajszym 96 kilo. Ci, co mię odwiedzają, stwierdzają ogromną zmianę na lepsze w wyglądzie moim. Istotnie – zeszczuplałem już

bardzo. Twarz stała się suchsza, nie ma obwisłości podwójnego i potrójnego podbródka, brzuch zmalał (choć jeszcze jest), szyja się znów uwydatniła, z tyłu wszakże na plecach i wzdłuż kości pacierzowej słonina jeszcze jest.

Pierwszy raz ubrałem się dziś i posiedziałem godzinkę na słońcu w ogródku pp. Mašiotasów. Wypociłem się dobrze. Na miasto dopiero jutro wyjdę.

Mam nadzieję wyjechać do Bohdaniszek w sobotę. Medyka dla mnie prof. Lašas coś nie znajduje. Mnie się zdaje, że to tym lepiej.

17 lipca, rok 1934, wtorek

Wagi pokazały rano 95 kilo ciężaru mego ciała; na wieczór wszakże pokazywały znów 96 kilo. W każdym razie, tendencja zniżkowa utrzymuje się nadal; drobne wahania między wieczorem i ranem większego znaczenia nie mają.

Dziś pierwszy raz mogłem wyjść na miasto. Trochę się tym niepokoiłem, trochę ociągałem; po prostu się lękałem. Naturalnie że odważyłem się wyjść li tylko w towarzystwie Jadźki, która była z tego uszczęśliwiona; całą pałała radością, że oto znów chodzi ze mną i że odżyłem cudownie po moim niedołęstwie marienbadzkim i po ciężkiej chorobie; jest też ona – moja towarzyszka kochana i poczciwa – w siódmym niebie z powodu, że się pozbyłem mojej senności dawnej.

Wycieczka nasza na miasto była taka: z naszego mieszkania u początku ulicy Donelaitisa doszliśmy pieszo do miejsca postoju taksi przy kościele garnizonowym (dawnym soborze), stamtąd automobilem pojechaliśmy na szosę wiłkomierską do ortopedysty Niemca, u którego był obstalowany dla mnie gorset; po nałożeniu gorsetu, bardzo starannie i z dobrego materiału uszytego, znów automobilem pojechaliśmy do fryzjera przy Ogrodzie Miejskim na Laisvės Alei, stamtąd – po ogoleniu się – pieszo do cukierni Perkowskiego na czystą herbatkę i od Perkowskiego pieszo do domu. Spacer nie bardzo mię zmęczył, alem miał go dość. Później był jeszcze u mnie Julek Komorowski, bawiący przelotnie dla interesów w Kownie.

W gazetach dzisiejszych ogłoszony wyrok wojennego sądu polowego na generała Kubiliunasa i pułkowników Novakasa i Bačkisa. Wszyscy trzej skazani na karę śmierci, którą Prezydent złagodził dla Kubiliunasa na dożywotnie ciężkie więzienia, a dla dwóch pozostałych – na ciężkie więzienie po lat kilkanaście. Zdaje się, że wina tych trzech jest niewątpliwa i że ze stanowiska wojennego kara nie mogła być inną, ale ze stanowiska politycznego przybywa kilku „męczenników” radykalnej opozycji wojskowej, która się streszcza w obozie ultranarodowców, skupiających się dokoła imienia sztandarowego Voldemarasa. Jest to niebezpieczny zaczyn dla fermentu przyszłych ewentualnych przewrotów. Dziwne jest co prawda to, że ultranarodowcy czy faszyści litewscy obrali sobie za wodza i za sztandar Voldemarasa, który jest jaskrawym germanofilem, a przeto Litwę prowadzi pod batutę największego jej wroga – Niemca – i zdaje się nie dbać o zaprzepaszczenie Kłajpedy, ale w ruchach politycznych działają czynniki nie tylko rozumowe, ale też ślepe, które raz do czegoś doczepione – pozostają w nich na zawsze. Takim czynnikiem jest osoba Voldemarasa w odpowiednim ruchu litewskim. Ten ruch, zasilony teraz skazaniem samego Voldemarasa i trzech jego satelitów najwybitniejszych oraz degradacją kilkudziesięciu młodszych oficerów i wydaleniem z wojska kilkudziesięciu innych, znajduje też duży posłuch wśród narodowej młodzieży akademickiej, która, nie wyłączając dotychczasowych pupilów rządu „Neo-Lithuanów”, orientuje się coraz bardziej w kierunku „voldemarasowym”.

O utworzeniu nowej komisji czy Rady Kłajpedzkiej z łona Rady Stanu powiem, jeżeli nic nie przeszkodzi, jutro.

18 lipca, rok 1934, środa

Rano miałem wizytę doktora. Nic nie pomogły moje prośby, żeby mi doktor „salyrganu” jeszcze nie zastrzykiwał i moje protesty, uzasadnione bólem zapalonych i poranionych dziąseł. Doktor uznał, że przed wyjazdem zastrzyk ten jest konieczny i zastrzyknął. Ale jednocześnie zacząłem dziś płukać dziąsła solą Bartholetową; poradziła mi to w liście Elwira, a dr Gudowicz płukać pozwolił; choć sól ta bardzo gryzie dziąsła przy płukaniu, ale sprawia ulgę. Zastrzyknięty „salyrgan” działa i pędzi mocz. Praca forsowna serca i nerek nad wypędzaniem uchodzącego starego moczu oraz głodówka dzisiejsza, bo to właśnie dzień „mleczny”, kiedy poza piciem mleka (jeden litr) nic jeść nie wolno, bardzo mię wyczerpały. Czułem wieczorem, kiedym wyszedł z domu, wielki upadek sił. Przeszliśmy się z Jadzią do cukierni Konrada, posiedzieliśmy tam i wróciliśmy nazad.

19 lipca, rok 1934, czwartek

Po wczorajszej głodówce (wyłącznie mleko) i „salyrganowym” pędzeniu moczu („salyrgan” wydoił wczoraj ze mnie jeszcze całe 3 litry i 400 gramów uryny) czułem się z rana bardzo zmęczony, a upał i pocenie się intensywne jeszcze bardziej mię osłabiały. Za to waga spadła z 95-96 na 93 kilo; z pewnością, jak zwykle, jutro się zaznaczy mała reakcja, ale bądź co bądź bilans ubytku wagi będzie wyraźny – jutro będzie zapewne 94 kilo. W każdym razie, waga regresuje stale. Chwała Bogu, że mi nie tylko ta choroba, ale jeszcze bardziej rekonwalescencja wypadła na czas wakacji: mogę zbijać wagę i wracać do zdrowia i sił swobodnie, nie szkodząc pracy uniwersyteckiej.

A więc już wyjeżdżamy z Jadźką do Bohdaniszek pojutrze. Minister oświaty Tonkunas, którego o to w moim imieniu prosił prorektor Jodelė, obiecał udzielić mi automobil ministerialny. Wyjedziemy więc automobilem w sobotę raniutko między godziną czwartą a piątą. Przed południem będziemy zapewne w domu.

Wspominałem wczoraj o utworzeniu specjalnej Rady Kłajpedzkiej, którą się wydelegowuje do Kłajpedy do pomocy litewskiemu dyrektorium Reizgysa. Chodzi o to, że ryrektorium to, dla zyskania sympatii ludności miejscowej i dla przeciwstawiania się rządom dotychczasowych dyrektoriów niemieckich, szeroko reklamuje i zapowiada zarządzenia oszczędnościowe i reformy administracyjne, które mają obniżyć ciężar podatków i podnieść wydajność aparatu urzędniczego, redukując jednocześnie ilość urzędników i zmniejszając ich wynagrodzenie. Naturalnie, że takie obietnice są dla ludności, płacącej podatki, nęcące. Cała rzecz – jak to wykonać. Ani dyrektorium Reizgysa, ani w ogóle Litwini kłajpedzcy głów zbyt wybitnych nie mają. Otóż dla zaprojektowania tych reform gospodarczo-administracyjnych z uwzględnieniem też strony prawnej Tubelis po naradzie z Šilingiem, Tadeuszem Pietkiewiczem i innymi powziął decyzję o wydaleniu stąd Rady Kłajpedzkiej, która pojedzie na miejsce i zacznie działać. Będzie to instytucja nieurzędowa i czasowa. Wydelegowano do niej i członka Rady Stanu Zygmunta Starkusa jako prezesa, referenta Rady Stanu – ekonomistę Juodejkę, Staszysa z Kontroli Państwowej (jedna z dobrych głów) i dwóch prawników młodych z Rady Stanu i razem Wydziału Prawniczego – prywatdocenta dr Dominika Kriwickiego, który od wiosny zajmuje stanowisko biegłego-współpracownika w Radzie Stanu, oraz referenta Rady Stanu Konstantego Raczkowskiego, który jest młodszym asystentem na Wydziale Prawniczym. Wczoraj wyjechali już oni i zainstalują się w Juodkrantisie nad morzem.

20 lipca, rok 1934, piątek

Rano był dr Gudowicz, obejrzał, uznał, że poprawa jest już znaczna, że wody zaległej w organizmie już prawie nie ma (może jeszcze szczątki są w pewnym zaflegmieniu płuc), i dał ostatecznie zezwolenie na mój wyjazd do Bohdaniszek jutro. Za dwa tygodnie pokażę się jeszcze doktorowi, to znaczy przyjadę się pokazać do Kowna. Wtedy doktor zastrzyknie mi jeszcze raz „salyrgan”. Tymczasem brać będę stale digitalis dla utrzymania serca w stanie

czynnym i stosować będę ścisłą dietę, którą doktor podyktował Jadzi. Chodzi o spędzenie już nie moczu zaległego, ale tłuszczu, którego pokłady są jeszcze znaczne zwłaszcza na podbrzuszu i na karku oraz poniekąd na podbródku. Po mojej wizycie u doktora w Kownie za dwa tygodnie – we trzy tygodnie potem sam dr Gudowicz przyjedzie do Bohdaniszek na polowanie na kaczki i cietrzewie, a wtedy i mnie naturalnie obejrzy. Za całe leczenie dotychczasowe dr Gudowicz policzył sobie 300 litów – bardzo skromnie wobec sumy 1000 litów (4000 koron czeskich), które zażądał w Marienbadzie dr Liebeskind. Dr Gudowicz sam mię ciągle odwiedzał w mieszkaniu, własnoręcznie robił głębokie zastrzyki salyrganu i był na ogół bardzo troskliwy. Jego też leczenie postawiło mię na nogi i właściwie uratowało mi życie. Natomiast Liebeskind, choć osobiście był dla mnie miły i okazywał staranność, jednak w istocie nie leczył mię wcale, działał na zdrowie moje jak najgorzej i mało co do grobu mię nie wpędził. Dr Gudowicz bardzo serdecznie się ze mną pożegnał. Choć to człowiek na pozór szorstki, jednak serca w istocie ma dużo. Nie lubi on frazesów i nie jest słodkawy. Tym bardziej byłem poruszony, gdy mi dyskretnie wyznał, że przez to leczenie przywiązał się do mnie i uważa mię za człowieka bliskiego sobie.

Spakowaliśmy dziś rzeczy. Wieczorem poszedłem na miasto ogolić się, ostrzyc i na kwaśne mleko do „Pienocentrasu”. Jutro raniutko wyjeżdżamy z Kowna automobilem Ministerium Oświaty, udzielonym mi łaskawie przez ministra Tonkunasa.

21 lipca, rok 1934, sobota

Wreszcie nastąpił długo oczekiwany wyjazd do Bohdaniszek. Wstaliśmy o godzinie trzeciej rano, może jeszcze nawet jeszcze wcześniej, dokończyliśmy pakowania rzeczy i przygotowań do wyjazdu. Niebawem po czwartej zajechał automobil Ministerium Owiaty, duża wygodna maszyna na cztery miejsca, nie licząc ławki szofera. Na miejscu przednich siedzeń pokładliśmy walizki i bagaże, w głębi siedliśmy we dwoje z Jadzią, a Karutia usiadła przy szoferze. Automobil ruszył. Wygodnie było jechać. Maszyna dobra i solidna, mniej trzęsąca, niż zwykła takaż. Przez ulicę Žemaičių wyjechaliśmy na szosę wiłkomierską, rychło już mieliśmy miasto za sobą. Wkrótce minęliśmy Janów, przecięliśmy tor kolejowy, przejechaliśmy most na Wilii i pędziliśmy na Wiłkomierz. W godzinę i kilka minut po wyjeździe już pędziliśmy przez Wiłkomierz, w którym byłem dotąd raz w życiu przed 39 laty (w roku 1895), kiedyśmy szli tędy pieszo z Mamą i dwiema siostrami – Elwirą i Marynią – pielgrzymką ofiarowaną do Ostrej Bramy w Wilnie. Z Wiłkomierza równie dobrze i prędko przez Leluny dotarliśmy do Uciany. Z Uciany jazda szła wolniej, bośmy zjechali z szosy na gościńce. Jechaliśmy na Użpole (przez Wiżuny), na Jużynty i stamtąd już wprost do Bohdaniszek. Koło godziny 8.30 byliśmy w Bohdaniszkach. Tu nie spodziewano się nas tak wcześnie. Oficjaliści moi, również Marynia i Mieczkowscy, witali mię bardzo serdecznie. Rozebrałem się do szlafroka, wyleżałem się, potem chodziłem po domu, zaszedłem do starego domu, oglądałem drzewka moje. Nie czułem się zbyt zmęczony podróżą.

22 lipca, rok 1934, niedziela

Wczoraj przyjechali do Bohdaniszek Cyganie. Cały duży tabor, złożony z sześciu wozów, nakrytych brezentami i pełnych Cyganów, Cyganek i Cyganiąt – od starych do najmłodszych. Przyjechali oni wkrótce po moim przyjeździe. Prosili u Mieczkowskich pozwolenia założenia obozu w lesie w Staczeragach, bo Elwira im co roku tam stanąć pozwalała, ale tym razem Mieczkowski skierował ich do mnie. Pozwoliłem im założyć obóz w Gaju pod Karwieliszkami przy gościńcu. Usadowili się na łące, wchodzącej w Gaj i między tą łąką a gościńcem. Wczoraj i dziś od rana rozesłali oni Cyganki na wszystkie strony w okolicę – do Bohdaniszek-dworu, do wiosek, do zaścianków – wróżyć, czarować, odczarowywać, prosić-cyganić. Tabor składa się z mniej więcej 30-40 głów ludzkich, 10 koni i kilku psów niskich z ogromnymi ogonami. W liczbie głów ludzkich jest tylko troje starych –

stara otyła Cyganka, dobra znajoma i gadatliwa, ale niezła, rozrzewniająca się, jej mąż – stary milczący Cygan – i jej brat z siwą brodą. Młodych Cyganek, mężatek i panien – dobry tuzin, jeżeli nie więcej i tyluż chłopców młodych, a dzieci – bez liku. Cyganów w średnim wieku – kilku zaledwie; są to przeważnie muzykanci. Cyganek w wieku średnim nie widziałem ani jednej. Tabor dość zasobny, pościele w namiotach – suto zasłane, są chusty jaskrawe w desenie, są błyskotki i świecidełka. Cyganie muzykanci grają, Cyganki śpiewają albo tańczą z wyrostkami i chłopcami. Jest w taborze ładna Cyganka, która występowała w Kownie w „Wersalu", inna młodsza dziewczyna, śmiała i zalotna, lubiąca się stroić jaskrawo – jeszcze piękniejsza. Dziś w niedzielę w taborze ruch wielki. Drogami do Gaju ciągną całe sznury młodzieży litewskiej i dzieci przejrzeć się Cyganom, ich ruchowi i tańcom, posłuchać pieśni, obserwować ten inny świat temperamentu, tak daleki od głębokiego i skupionego charakteru litewskiego, ciekawy dla włościan, choć odrazę budzący, bo właściwie nie cierpią Cyganów, gorszą się nimi i ich zwyczajami, mają jakiś instynkt niechęci i pogardy dla nich, nawet obrzydzenie do ich czarnej cery. Na polance przed taborem gromada Litwinów, zwłaszcza młodzieży i dzieci, zbita w wielką kupę, nie zbliża się i nie łączy z Cyganami, nie rozmawia z nimi, tylko obserwuje i patrzy, jak na widowisko w teatrze. Byliśmy tam z Jadzią i Mackusem, który ze swym aparatem przyjechał z Narkun. Fotografowaliśmy Cyganów jego i moim aparatem. Do fotografii Cyganie – amatorzy wielcy, tak starzy, jak dzieci, a młode Cyganki stroją się w chusty jaskrawe, uwydatniają warkocze, biorą papierosa w zęby i pozują gracko i malowniczo. Trzebaż im tyle gąb nakarmić za darmo! Mężczyźni nie żebrzą i nie cyganią, jeno kobiety posyłają, a te pomimo wszystko – choć to i ludzie są im niechętni, i gospodynie skąpe na darmozjadów – potrafią wycyganić i znoszą mleko słodkie i kwaśne, chleb, słoninę, nawet trochę pieniędzy. Odczarowują niby czary, przywracają krowom mleko, pognębiają zazdrosnych przeciwników itd. Wiedzą, czym trafić do starych, czym do młodych – i cyganią.

23 lipca, rok 1934, poniedziałek

Jakoś nie bardzo mi zdrowie służy: nie czuję wyraźnego polepszenia, zwłaszcza w Bohdaniszkach. Waga mi nie spada, raczej ma tendencję do wzrastania, mimo że zachowuję ścisłą dietę i prawie nic nie jem. Lękam się wciąż, że uryny odchodzi za mało, zwłaszcza w ciągu dnia i że na wieczór stopy w kostkach są cokolwiek wybrzękłe, a waga powiększona. Przez noc uryna odchodzi obficiej i rano waga jest najniższa; ale bądź co bądź nie przekracza ona w dół 94 kilo, a ma nawet skłonność dochodzenie do 95, wieczorem zaś jest znacznie więcej. Chodziłem dziś po polu, opatrywałem drzewka, byłem w starym domu, gdzie nikogo nie zastałem, chodziłem do Gaju, ale do wnętrza lasu nie zachodziłem, bo nie chcę się spotykać z Cyganami, których jest pełno. Uprzykrzyli mi się oni, szczególnie swym natrętnym i nigdy nie nasyconym wypraszaniem. Boję się też, że porobią mi szkody i połamią młode drzewka w pasiece, położonej przy łące, gdzie się mieści ich tabor. Sami przez się są oni ciekawi, ale uprzykrzeni. Osobiście nie gorszę się i nie dziwię wcale ich pociągowi do próżniactwa i włóczęgi, gdy inna ludność na wsi dokoła pracuje. Włościanie nasi nie mogą pojąć tej cechy ich charakteru i wskutek tego patrzą na Cyganów z pogardą i złością: dewiza bolszewicka, wyrażona nawet w konstytucji Sowietów (RSFSR) – „kto nie pracuje – ten niech nie je!" – jest doskonałym wyrazem pojęć ludowych włościańskich, które w dodatku tę „pracę" utożsamiają z pracą wyłącznie fizyczną. We współczesnych warstwach kulturalnych budzi się ten sam pociąg do podróży, do włóczęgi, do latania po świecie, do życia obozowego, jaki się zachował w stanie ciągłym u Cyganów. Dla współczesnego człowieka wysokiej kultury praca – tak fizyczna, jak umysłowa – jest sportem i sportem też jest włóczęga, podróż, obóz: podróżnicy, lotnicy, automobiliści, skauci itd.

24 lipca, rok 1934, wtorek

Nic nowego. Waga – 95 kilo. W żaden sposób niżej nie spada. Zgryziony jestem gospodareczką moją w Bohdaniszkach. Nie powodzi się, niczego nie ma, wszystko idzie jak z kamienia. Oficjaliści moi kłócą się, a cierpi na tym gospodarka. Nie ma zboża, nie ma mleka, mało poszoru, drzewka owocowe w moim młodym sadzie nie owocują, świnie i cielęta zachudzone, ptactwo młode nędzne. A kosztuje mię ta gospodarka prawie ponad siły.

25 lipca, rok 1934, środa

To samo. Dni parne, burze przechodzą, deszcz strumieniami pada i znów przechodzi. W diecie mojej – dzień mleczny. Cały dzień na mleku, nic nie jem, tylko kontrabandą wieczorem zjadłem (bez chleba) jedno jajko.

Nie mogę się doczekać wyjazdu Cyganów z Gaju. Obiecują wyjechać z dnia na dzień i nie ruszają się z miejsca. Wciąż jakiś pretekst znajdują.

26 lipca, rok 1934, czwartek

Dowiedziałem się dziś o zamordowaniu kanclerza austriackiego Dollfusa. Gazet jeszcze nie mam, nie czytałem o tym, toteż szczegółów nie wiem. Powiedziała mi o tym Marynia, która o tym wczoraj wieczorem czy dziś rano przez radio z Polski słyszała. Naturalnie, że zamachu dokonali nacjonał-socjaliści niemieccy (swoi austriaccy czy też przybyli z Rzeszy?). Podobno większa ich ilość przyjechała automobilami (nie wiem, czy to było w Wiedniu? Czy też prawdopodobnie gdzieś w jakiejś rezydencji letniej?); wpadli oni do lokalu, gdzie był kanclerz Dollfuss i dwóch ministrów austriackich, aresztowali wszystkich, Dollfussa wyprowadzili do drugiego pokoju i tam zastrzelili. Umierający Dollfuss prosił ministrów, którzy wpadli do pokoju, o opiekę nad jego rodziną, nie mającą żadnych środków. Co będzie dalej – czy znajdzie się następca Dollfussa, silny i zdecydowany jak on, który poprowadzi Austrię drogą jej niepodległości i po linii polityki zmarłego kanclerza, czy też zapanują w Austrii także nacjonał-socjaliści i ogłoszą „Anschluss" Austrii do Rzeszy Niemieckiej, rozbijając na tym pierwszym punkcie dzieło traktatów powojennych, i jakie będą konsekwencje tego – to są zagadnienia doniosłe i groźne. Chmury ciężkie zwisają nad Europą Środkową, grożąc burzą całej Europie i naturalnie w pierwszym rzędzie obecnemu układowi bałtyckiemu na północnym wschodzie europejskim.

Jeżeli nie Kłajpeda litewska i jeżeli nie Pomorze polskie jako rzekomy „korytarz Gdański", to na pewno Austria i program „Anschlussu" w stosunku do niej miał być pierwszą pozycją rozbijania przez Niemcy układu wersalskiego. Ta pozycja do ofensywy rewanżowej zdawała się najdogodniejsza przez to, że „Anschluss" miał i mógłby być dokonany nie w drodze napadu i wydarcia Austrii, lecz w drodze zgodnego obopólnego zlania się Austrii z Rzeszą bez krzywdy i gwałtu. Dollfuss i jego polityka niepodległości Austrii – to była największa przeszkoda do tego. Stąd pochodzi ta nienawiść nacjonal-socjalizmu niemieckiego do „zdrajcy" Dollfussu i do jego systemu, przeciwstawiającego się polityce niemieckiej hitleryzmu. Już od dłuższego czasu nacjonal-socjaliści niemieccy i austriaccy, urzędowo w Austrii zlikwidowani, uprawiali tam terror i sabotaż: urządzali zamachy na koleje żelazne i urządzenia rządowe, niszczyli mosty, dopuszczali się wszelakich gwałtów, dezorganizowali co się dało... Ich akcja terrorystyczna i sabotażowa była prawie nieuchwytna, bo znaczna część ludności w Austrii sprzyjała im lub się ich zemsty i zwycięstwa bała. Ich metody rządzenia w Niemczech, polegające na gwałcie i bezwzględnym tłumieniem przeciwników, przerażać musiały Austriaków, nawet nie zjednanych dla ich programu. Dollfuss, który też się nie cofał przed polityką twardej ręki i który sam zdołał krwawo stłumić ruch socjalistyczny w Austrii, opierając swój nowy katolicko-korporacyjny ustrój Austrii na ostrej dyktaturze, forsował represje przeciwko nacjonal-socjalizmowi aż sam padł ofiarą, co było do przewidzenia. Dramat to ciężki i głęboki, dramat skali europejskiej.

Dla tego właśnie przeciwstawienia się hitleryzmowi, jego ideologii pogańskiej i jego usiłowaniom dokonania pierwszego wyłomu w układzie wersalskim Dollfuss był w sferach wersalczyków popularny i lubiany. W jesieni roku 1933 w Genewie był on ulubieńcem i pieszczochem Ligi Narodów: kochano go, oklaskiwano, robiono mu owacje za proklamowanie mocne niepodległości Austrii, zapominano i darowywano mu jego dyktaturę i jego twardą rękę przeciwko socjalizmowi. Widziałem Dollfussa i poznałem go osobiście w maju tego roku na otwarciu konferencji ekonomicznej Związku Pan-Europy, na którym mnie wypadło przemawiać, gdy Dollfuss zasiadał w prezydium honorowym; znajomość była niewielka – tylko przedstawienie się i uścisk dłoni. Mały drobny Dollfuss z naiwnym szczerym uśmiechem dziecka na drobnej twarzyczce czynił wrażenie bardzo sympatyczne. Był to człowiek woli i niezwykle śmiały rzecznik i wykonawca swojej idei.

27 lipca, rok 1934, piątek

Przyszły gazety, które sprowadziłem z Rakiszek. Przyniosły one szczegóły o zajściach w Wiedniu i o zamordowaniu kanclerza Dollfussa. Był to rodzaj powstania, zainscenizowanego przez nacjonal-socjalistów austriackich. Rzecz się miała w samym Wiedniu. Krótko mówiącm byli oni zdobyli stację nadawczą radiową i rozsyłali stamtąd pożądane dla siebie fałszywe wieści. Wszakże wojsko i policja pozostały wierne rządowi. Ludność wiedeńska i dolnoaustriacka też pono sprzyjała rządowi, a w każdym razie w Wiedniu ludność powstańców nie popierała, chłopi zaś dolnoaustriaccy podobno śpieszyli do Wiednia dla okazania pomocy rządowi. Z pomocą wojska i policji rząd się w Wiedniu uporał z powstańcami, odebrał z ich rąk stację radiową i stał się panem sytuacji. Ale tu zaszedł pewien epizod, który miał skutki tragiczne dla Dollfussa. Kilkuset spiskowców nacjonalistycznych, przebranych dla omylenia czujności w mundury oficerów i policji, zajechali automobilami przed gmach kancelarii państwowej federalnej, gdzie bawił w tym czasie kanclerz Dollfuss i dwóch ministrów czy też wiceministrów sekretarzy stanu. Uwięzili oni tam wszystkich obecnych wraz z urzędnikami i pracownikami urzędu kanclerskiego, Dollfussa zaś w osobnym pokoju postrzelili. Rząd opanował i ten lokal, ale Dollfuss zmarł z ran otrzymanych. Bądź co bądź, rząd się utrzymał u władzy, zachowując stanowisko programu Dollfussa. Rząd Rzeszy Niemieckiej urzędowo i formalnie zachował wobec powstania austriackiego neutralność i wyraził rządowi austriackiemu ubolewanie z powodu śmierci Dollfussa. Tak się w krótkim streszczeniu rzeczy miały. Niemniej stan rzeczy w Austrii jest ciężki, sytuacja polityczna w Europie jest przez to zajście jeszcze bardziej zagmatwana.

Wracając z Europy i jej wielkich problemów i wypadków do Bohdaniszek i moich spraw codziennych, zanotuję chyba tylko to, że doczekałem się wreszcie wczoraj wyjazdu Cyganów z Gaju i zaczynam odbywać większe spacery. Czuję się nieźle i zwłaszcza mocniejszy, ale choć dieta głodowa utrzymuje mię stale w stanie pustek żołądkowych, a gorset ściska brzuch, waga nie spada.

28 lipca, rok 1934, sobota

Niedużo mam dziś do pisania. Po dwóch dniach, w których waga trzymała się na poziomie 94 kilo, dziś rano wynosiła ona 95 kg. Ciągłe wahanie między 94 i 95. Dziś dzień „mleczny”: na śniadanie szklanka mleka, na obiad – szklanka mleka, na podwieczorek – szklanka lekkiej herbaty z małą łyżeczką miodu lub konfitur i tylko na kolację – ale i to kontrabandą – jedno jajko na miękko i talerz kwaśnego mleka, ale zupełnie chudego. Zresztą wielkiego apetytu na jedzenie nawet nie mam.

Jeździłem w linijce do Bohdana w zaścianku nad Jeziorem Kumszańskim (zaścianek nazywa się, zdaje się, Nowopole). Jest to zawołany myśliwy. Pojechałem się dowiedzieć o cietrzewiach, na które w sierpniu chciałby po przyjeździe do mnie zapolować dr Gudowicz.

Bohdan, choć to myśliwym pod tym względem wierzyć nie bardzo można, twierdzi, że w Kumszach i okolicy cietrzewi nie ma, jeno są one w Skujni. Przyrzeka sam zapolować z dr Gudowiczem.

29 lipca, rok 1934, niedziela

Po wczorajszym dniu „mlecznym", stanowiącym właściwie głodówkę, waga ciała mego spadła dziś rano do 93 kilo. Jest to najniższa norma, która już raz była notowana, mianowicie w Kownie przed wyjazdem po ostatniej dawce „salyrganu". Ale cóż z tego, kiedy w najbliższych dniach następnych, po nieco lepszym odżywianiu, wraca ona do 94, a nawet do 95 kilo. Ważę się tylko rano koło godz. 7-8, kiedy wstaję na śniadanie; wtedy waga jest najniższa, bo w ciągu nocy uryna mi najobficiej odchodzi; widocznie serce najlepiej działa w nocy.

Na wsi u nas od mojego przyjazdu co dzień są deszcze. Jest to u nas rzecz zwyczajna. Deszcze najczęściej się zbiegają ze żniwami. Żyto u mnie całe w ubiegłym tygodniu skoszono, toteż deszcz nie ustaje. Ale u mnie przynajmniej koniczyny już w polu nie ma: u Mieczkowskiego jeszcze kilkadziesiąt wozów koniczyny w polu w kupkach stoi, a w Rakiszkach u Apolinarego Wienożyńskiego koniczyna pogniła już w pokosach.

Siedzę znowu kilka dni bez gazet. Stęskniłem znów do wiadomości ze świata. Ciekaw jestem, co się dzieje w Austrii. Z ostatnich numerów gazet dowiedziałem się o śmierci Dobkiewicza, prezesa Izby Handlowo-Przemysłowej. Niezbyt stary był jeszcze człowiek.

30 lipca, rok 1934, poniedziałek

Przyjechała Elizka Komorowska z Julkiem. Przez cały czas mojej choroby Elizka, oddalona ode mnie, okazywała mi niezmiernie dużo troskliwości i serca. Na pierwszą wieść o złym stanie mego zdrowia pisała do mnie do Marienbadu, udzielając porad i wskazówek i prosząc mię na wszystko, abym czym prędzej z Marienbadu wyjeżdżał, bo kuracja ta mi szkodzi. Proponowała mi nawet swój przyjazd do Marienbadu, potem telegrafowała, zapytując, czy ma przyjechać; odpowiedziałem jej wtedy odmownie, bom już sam był na wyjezdnym. Potem, gdym leżał chory w Kownie, telefonowała do mnie przez pp. Mašiotasów, dopytując o moje zdrowie, pisała, znów proponowała przyjazd, proponowała automobil po mnie na stację kolejową do Abel, sądząc, że przyjadę pociągiem. Tylko choroba wnuka, a potem Zitki opóźniła teraz jej przyjazd do Bohdaniszek. Rozpytywała mię dziś o wszystkie szczegóły choroby, była bardzo serdeczna, płakała ze wzruszenia, ale znalazła, jak to zresztą wszyscy zgodnie stwierdzają, że wyglądam bardzo dobrze, że zmizerniałem znacznie i odmłodniałem. Zaiste sam to czuję. Chwała Bogu – waga dziś się utrzymała na poziomie 93 kilo. Elizka jedzie do Kowna – wiezie Zitkę na operację w gardle do kliniki uniwersyteckiej dr Zubkusa. Zajdzie one do dr Gudowicza, zda mu relację o moim zdrowiu i dowie się, czy konieczny jest mój przyjazd do Kowna na 4 sierpnia dla pokazania się doktorowi. Nam się zdaje, że niekonieczny.

Julek pod wieczór poszedł z Andrzejem Mieczkowskim na polowanie nad jeziorko Pakieńskie, zastrzelił cietrzewia i starą czaplę.

31 lipca, rok 1934, wtorek

Rano wyjechała Elizka Komorowska z Julkiem, wieczorem zaś doczekałem się innego gościa, mianowicie malarza Ejdukiewicza z Kowna, który tej wiosny robił mój portret olejny w gabinecie rektorskim (notabene – portret dość słaby, więcej podobny do Eugeniusza Römera niż do mnie i technicznie jakoś dziwnie wykonany, jak żeby twarz się składała z jakichś oderwanych kawałków); zaprosiłem go wtedy na sierpień do Bohdaniszek, żeby biedak miał gdzie wypocząć i spokojnie posiedzieć; bo to człowiek bardzo biedny, który ze swej profesji dużo mieć nie może, szczególnie w tych gospodarczo ciężkich czasach i w

kraju, w którym kultura artystyczna jest niska; dzieła sztuki malarskiej są u nas przedmiotem zbytku, ludzie są biedni, mecenasów sztuki nie ma; taki biedny artysta malarz, który z tego musi żyć – to głodomór, który ledwie wegetuje i musi ciągle myśleć o tym, jak kogoś naciągnąć, skąd wydostać grosz na płótno i farby, jak komuś wepchnąć swój obraz lub do obstalowania albo kupienia portretu namówić; zresztą nie jest to człowiek wielkiego talentu. Przyjechał też bez grosza; zaczął od tego, że musiałem zapłacić 5 litów za najętą przezeń furmankę z Abel; zaraz też zaczął się napraszać, żebym mu kupił farb i płótna. A tu u mnie samego właśnie krucho z pieniędzmi, bo choć mam je jutro z poczty otrzymać, to jednak wypłat pilnych mam jeszcze więcej, niż tych spodziewanych pieniędzy.

Dziś trzeci dzień, jak waga się utrzymała na poziomie 93 kilo.

1 sierpnia, rok 1934, środa

Jeździliśmy z Jadzią do Abel na pocztę po pieniądze, ale dość niefortunnie, bo choć przekaz przyszedł, ale poczcie abelskiej zabrakło gotówki do wypłacenia, więc trzeba było odłożyć sprawę do jutra.

Deszcz, który już pada co dzień od dnia mojego przyjazdu (chociaż z przerwami) i który już wywołuje panikę wśród gospodarzy, bo całe żyto skoszone stoi na polu, a już i jęczmień i owies się kosi, dziś wzmógł się do ulewy i kilkakrotnie lał przez czas dłuższy jak z wiadra. Ta panika rolników udziela się każdemu, kto jest na wsi. Zapowiadają wciąż z różnych wróżb naturalnych, że się pogoda wkrótce przesili i że deszcz ustanie, ale dotąd jakoś nic z tego. Mój malarz Ejdukiewicz nie wychodził wcale z domu, jeno wieczorem trochę się przechadzał.

Waga moja dziś rano spadła do 92 kilo. Jest to minimum po raz pierwszy zanotowane.

Radio, które ma i którego słucha tutaj Marynia, doniosło o ciężkiej chorobie Hindenburga. Podobno stan jest niebezpieczny. Zresztą u człowieka, który liczy 87 lat wieku, każda choroba jest ciężka i niebezpieczna. Można więc liczyć na śmierć rychłą tego bądź co bądź niepowszedniego i dzielnego człowieka, wielkiego wodza w sztuce wojennej, który się wsławił na Wielkiej Wojnie i który potem przez szereg lat był z powszechnego wyboru Prezydentem Rzeszy, dwukrotnie na to stanowisko wynoszony. Po triumfie nacjonal-socjalizmu i Hitlera Prezydent Hindenburg był czynnikiem statecznym w rozwydrzonym rządzie Niemiec, jedyną właściwie ostoją tego, co się daje szanować i co jest uczciwe i sprawiedliwe w rządach tego nieszczęśliwego i ze skóry się wydzierającego narodu, który dziś cały fermentuje i jak jakaś choroba na ciele europejskim – gotów jest falą namiętnej złości rozlać się na wszystko dokoła, niosąc zemstę dziką rozpacz i pożogę wojny na cała Europę. Ciekawa rzecz, czy w razie śmierci Hindenburga Hitler się jeszcze do szczytów Prezydentury Rzeszy podniesie. Hitler – to dziki barbarzyńca, nieokrzesany półinteligent, który gra na psychozie obłąkanego narodu, sam może obłąkany. Jego akcja krwawa z dnia 30 czerwca, kiedy w ciągu jednej nocy objechał on całe Niemcy, mordując – poniekąd własnoręcznie – kilkudziesięciu najwybitniejszych ludzi z ruchu, który go wyniósł do władzy, mordując dlatego, że się rzekomo gotował spisek i jakaś ruchawka przewrotowa – ale bez żadnego sądu, bez żadnych nawet pozorów dróg legalnych – to było przecie coś potwornego i bestialskiego, do czego nigdy ani Mussolini, ani Lenin czy Stalin, ani nikt inny we współczesnych dyktaturach europejskich nie doszedł. Hitleryzm – to jakaś orgia pogaństwa, to coś ze wskrzeszenia Hunusów i Tatarów. Na nacjonal-socjalizmie Hitlerowskim ciąży też świeże morderstwo Dollfussa w Wiedniu. Powiadają, że po krwawym akcie z d. 30 czerwca gwiazda i autorytet Hitlera w samych Niemczech przygasły, ale czy tak jest istotnie, to się pokaże z następstw ewentualnej śmierci Hindenburga. Właściwie Europa, gdyby była zdrową i znalazła apostoła swojego „faszyzmu" pacyfistycznego, powinna by była zamiast powolnych metod kojarzenia związków regionalnych państw – zainterweniować w Niemczech zbrojną rękę i zdusić ten ferment narodowy nacjonal-socjalizmu, rozdzielając

Rzeszę na odrębne państwa, samodzielne jak Austria, i policyjnie ten nowy układ utrzymując. Z pacjentem chorym w gorączce, szczególnie z chorym psychicznie furiatem – nie ma żartów i ceregieli: tutaj gwałt jest na miejscu.

2 sierpnia, rok 1934, czwartek

Waga – 93 kilo. Czułem się przed południem niezupełnie dobrze; miałem niespokojne bicie serca. Pogoda dziś wytrwała cały dzień, jest nadzieja na pogodę i na jutro, choć pewności zupełnej nie ma. Rolnicy z pogody się cieszą, obserwują wszelkie prognostyki i boją się wznowienia deszczu. Jeżeli pogoda potrwa jutro, to jutro po obiedzie pola się zaroją furmankami i ludźmi; zacznie się powszechna zwózka żyta. Zdaje się jednak, że szanse na pogodę są: muchy znów odżyły i masowo atakują mieszkania ludzkie, są energicznie i żywe; wieczorem wielkie chóry żab odzywają się z błot i sadzawek...

Radio (informacja Maryni) oznajmiło o śmierci Prezydenta Rzeszy Niemieckiej Marszałka Hindenburga i o objęciu jego urzędu (zapewne prowizorycznie) przez kanclerza Hitlera.

3 sierpnia, rok 1934, piątek

Waga tak samo – 93. Do południa znowu nie szczególnie się czułem. Pogoda się utrzymała, ale koło południa zdawała się być niepewna. Ze względu na zwózkę żyta ekonom zarządził wczesny obiad o godzinie jedenastej, po czym do zachodu słońca wożono żyto. Kazimierza posłałem do Kowaliszek po parę ładnych świneczek czarnych berkszyrek, które od Julka kupiłem.

Pod wieczór przyjechał z Poniewieża Justyś Stawski.

4 sierpnia, rok 1934, sobota

Nic się nie zmieniło. Dziś u mnie dzień „mleczny”, ale czuję się silniejszy, niż dwóch dni poprzednich. Skończono u mnie zwozić żyto. Chwała Bogu – całe żyto mam już pod dachem. Pogoda zdaje się być mocna; wieje silny wiatr północno-wschodni – „wiatr z Rosji” jak się u nas mówi: ostry i suchy, wybitnie lądowy.

Mój gość – malarz Ejdukiewicz – ma stanowczo źle w głowie: jest „miszuginowaty” według mojej terminologii. Z jednej strony żal mi biedaka; jest pracowity, zajęty swoim malarstwem od rana do nocy, przejęty swoim talentem, zakochany w swoich „dziełach”, ale goły jak święty turecki; talentu wielkiego nie ma, jest raczej „peckiel” niż malarz, choć poczucie artystyczne piękna ma; niełatwo malarzowi u nas utrzymać się ze swej pracy, szczególnie podrzędnemu, nie mającemu też wybitnych stosunków i protekcji; musi on swoje obrazy rozpychać między ludzi, szukać i różnymi sztuczkami zdobywać nabywców, narzucać się i łapać klientów; nie jest to łatwe, bo każdy się wykręca i chce się co prędzej odczepić, w najlepszym razie weźmie coś za bezcen, żeby się natręta pozbyć, ale to tylko w najlepszym razie. Rola takiego biednego artysty jest pełna upokorzenia i smutna, bo dająca mu zaledwie nędzną wegetację. Szkoda biednego człowieka. Może by się i talent jego rozwinął lepiej, gdyby nie konieczność walki codziennej o kęs chleba; gdybyż miał on jakiegoś mecenasa lub impresaria! Ale o tych jest najtrudniej. Wlecze się oto taki nędzarz przez życie, tuła się i tłucze, walczy, ale oto i starość się zbliża (Ejdukiewicz ma lat 40 i siwieć zaczyna) i nic się w jego perspektywach życiowych nie zmienia. Żadna nadzieja na wielkie imię w sztuce, na sławę, dobrobyt – nie świta. Tak do końca, aż gdzieś kiedyś śmierć litościwa (oby tylko litościwa, jeżeli nie okrutna) zamknie mu oczy. I nie ma biedak ani inteligencji, ani temperamentu silniejszego, które by mu życie urozmaicały i upiększały. Zarozumiały jest tylko, pewny swojego talentu, uparty, ale i w tym może tylko nadrabia miną. Kto tam wie i kto zbada, jakie załamania i zwątpienia go czasem trapią może. Tylko zdaje się, że mu na to brak krytycyzmu i refleksyjności głębszej. Ale jeżeli z jednej strony budzi on żal i zasługuje

na współczucie serdeczne, to z drugiej – drażni swoim narzucaniem się i arogancją żądań i wymagań. Wszystkiego mu mało, o wszystko się upomina, żąda dla siebie wygód, rozkazuje służbie, zachowuje się jak wielki pan, jest niedyskretny i niedelikatny, w jedzeniu nie zna miary, nie zadawala się tym, co jest, ale się domaga i wygód, i rozmaitych dodatków, i wszystkiego, czego mu się tylko zachciewa. Nie żałujemy mu z Jadzią jedzenia; daje mu się wszystkiego, co jest na stole, obficie i dostatnio, ale on nie zna miary i naprasza się nie tylko tego, co jest, ale i czego nie ma. Nie licząc tego, że je do syta i za dwóch, spijając śmietankę do kawy, całą esencję herbaty, wypróżniając cukiernicę, pchając masło nie tylko na chleb, ale nawet do zupy i do potraw, ale jeszcze wymawia, dlaczego tego lub owego nie ma, żądając dodatkowo różnych rzeczy itd. Typowy hołysz i głodomór miejski, któremu się zdaje, że na wsi wszystkiego jest w bród i że wystarcza tylko sięgnąć, aby mieć. Chce np. świniny po obiedzie, na którym zjadł pół kurczęcia i dziwi się, że nie ma świniny, skoro przecie sam widział świnie – i wszystko w tym rodzaju. Tak samo wymagał dla siebie miękkiej pościeli, pierzyny, stor na okna i dziwił się, że może tego nie być. I tak dalej i tak dalej.

5 sierpnia, rok 1934, niedziela

Był list od dr Gudowicza. Przysyła recept na digitalis dla serca, ale żąda, żebym koniecznie przyjechał do Kowna osobiście. Domyśla się, że boję się głównie nowej iniekcji „salyrganu", który mi działa boleśnie na dziąsła, toteż zapewnia mię, że jej nie zastosuje, ale serce zbadać chce koniecznie. Cóż robić! Zapewne wypadnie pod koniec nadchodzącego tygodnia pojechać.

W Niemczech rząd hitlerowski po śmierci Hindenburga ogłosił ustawę o połączeniu stanowiska Prezydenta Rzeszy z funkcjami kanclerza. Okazuje się, że ta ustawa konstytucyjna będzie poddana plebiscytowi. W warunkach obecnych nie ulega chyba wątpliwości, że w drodze plebiscytu będzie ona przyjęta. Żadna akcja przeciwko tej ustawie, żadna agitacja na rzecz odrzucenia wniosku Hitlera nie może mieć miejsca, jest ona nawet wprost nie do pomyślenia. Jest to plebiscyt cezariański, który jest niezawodny. Ale wzmocni on jeno stanowisko Hitlera, przynajmniej na razie.

6 sierpnia, rok 1934, poniedziałek

Dziś w Polsce dzień uroczysty. Dwudziesta rocznica wymarszu strzelców z Krakowa pod wodzą Piłsudskiego i Beliny dla wzięcia przez Polskę udziału w wojnie przeciwko Rosji. Jak to prędko czas mija. Akt ten – pierwsze zarzewie powstania narodów na zachodnich kresach Rosji pod sztandarem niepodległości – choć wszczęty przez jedną Polskę (raczej nawet nie przez Polskę, jeno przez Józefa Piłsudskiego z garstką jego wiernych szaleńców wbrew opinii i wbrew sympatii ówczesnej w Polsce, ale pod znakiem Polski, choć wolą i czynem syna Litwy) – był właściwie aktem wspólnym. Jest to akt czy prolog, który otwiera wrota tego, co się miało ziścić w tej wojnie na terenie Europy Północno-Wschodniej: epilogiem miała być państwowość niepodległa oswobodzonych tutaj przez odpływ Rosji i Niemiec ludów. Aby się ta państwowość niepodległa ziścić mogła – trzeba było obudzić wolę i czyn własny tych ludów. Akt 6 sierpnia 1914, stworzony przez Piłsudskiego, był właśnie tym pierwszym krokiem na tej drodze, szalonym, ale w swym szaleństwie najbardziej realnym. Cześć Piłsudskiemu, cześć strzelcom polskim! Jaka szkoda, że w dobie likwidacji niepodległościowej tego wspólnego dzieła ten sam wielki Józef Piłsudski napadł słabszą Litwę i przemocą wiarołomną wydarł jej stolicę ze szmatem ziemi litewskiej, bałkanizując na długie lata stosunki dwóch wyzwolonych narodów. Niestety!

Myślą i sercem łączę się w hołdzie strzelcom Piłsudskiego, bo to, co się potem – w latach 1920-1922 – w stosunku do Wilna stało, nie obciąża sumienia tych, co w dniu 6 sierpnia 1914 wyszli z Krakowa na Kielce. Jeżeli nawet obciąża sumienie Józefa Piłsudskiego, to nie wypływa z aktu 6 sierpnia, który pozostaje czysty i wspaniały.

U mnie ewenementem był dziś przyjazd pięknym automobilem młodego studenta Juliusza Smetony, syna Prezydenta Litwy, na egzamin do mnie. Zapowiedział on ten przyjazd listownie i dziś stawił się wraz z drugim studentem, niejakim Leonowiczem, bo pojedynczo studentów nie egzaminuję. Przyjechał z nimi także trzeci – niejaki Zemrybas, ale ten już ukończył uniwersytet na Wydziale Humanistycznym i jest nauczycielem w gimnazjum „Aušry" w Kownie; ten przyjechał nie dla egzaminu, lecz dla wycieczki. U mnie w domu przyjazd syna Prezydenta w automobilu wywołał sensację. Cała służba się zbiegła i przez wszystkie szpary obserwowała młodego „Smetoniuka"; stary lokaj Kazimierz usługiwał do stołu z powagą i wytrawnością, nabytą w szkole długiej służby za dawnych czasów świetnych, dostał też 5 litów od Smetony na wyjezdnym. Jadzia też pośpieszyła wrócić z Rakiszek z targu, aby choć przy kawie usiąść do stołu z tymi gośćmi, zanim odjadą. Przyjąłem ich obiadem, który się szczególnie udał, bo była doskonała zupa rakowa i kurczęta, po egzaminie zaś przed ich odjazdem była podana smaczna kawa. Juliusz Smetona okazał się bardzo dobrze przygotowany do egzaminu i zdał celująco, Leonowicz – tylko dobrze. Młody Smetona – miły i grzeczny chłopiec, ma ładne usta, podobny jest do matki, ale ma lekki przebłysk podobieństwa i do ojca. Ludzie we dworze dziwili się naiwnie, że syn Prezydenta do mnie, a nie ja do niego na egzaminy przyjeżdża. Stąd popularna konkluzja, że przecież ja jestem bardzo wielka figura, co wytwarza legendę.

7 sierpnia, rok 1934, wtorek

Jadzia wybrała się na spacer konny w towarzystwie malarza Ejdukiewicza. Ejdukiewicz sam chciał tej przejażdżki, choć się okazało, że pojęcia o jeździe konnej nie ma. Dopóki koń idzie krokiem, Ejdukiewicz siedzi dobrze, ale jak koń biegnie, to on skacze i trzęsie się cały jak galareta: i ciało jego luźnie podskakuje na koniu, i ręce i łokcie skaczą i trzęsą się. Wygląda śmiesznie, że aż cała moja służba zebrała się patrzeć na to dziwowisko, gdy wyjeżdżał i wracał, i śmiała się do rozpuku. Pomimo to jednak dojechali z Jadzią do Pokrewnia i Ejdukiewicz wrócił bardzo zadowolony i odświeżony. Nie jest to zły człowiek – ten biedny Ejdukiewicz, tylko brakuje mu jakiejś „klapki" w głowie i poza tym jest nieumiarkowany w swoich żądaniach, co żenuje gospodarzy i czyni go przykrym. Ale ostatecznie nie obraża się, gdy mu się odmawia, tak że po pewnym czasie przestaje być uciążliwym. Nie nudzi za to i nie męczy, bo sam siedzi przez dzień cały w pokoju swoim na górze nad swoimi obrazami albo sam nagi używa kąpieli słonecznych lub idzie do Gaju, szkicuje sobie albo czyta poezje francuskie. Jadzi wpierw widocznie nie lubił, bo ona mu się często fukała i odmawiała jego żądaniom różnych specjałów i smaczności, których nie ma albo o które jest trudno. Teraz jednak odnajduje on ten szczególny „szarmik" Jadzi, który jej zjednał i Andrzeja Mieczkowskiego i Diskina, choć im także Jadzia na razie się nie podobała; potem stali się oni wielbicielami jej wdzięku i sympatycznego układu, który jej daje bardzo dużo czaru.

8 sierpnia, rok 1934, środa

Czytam dziś w „Lietuvos Aidasie" w wywiadzie z ministrem sprawiedliwości Šilingiem, że w sprawie byłego posła litewskiego w Berlinie, a potem w Londynie Sidzikowskiego, z którym pracowaliśmy i zbliżyliśmy w roku 1932 w Hadze, już sporządzony jest akt oskarżenia i rozprawa sądowa spodziewana jest na wrzesień. Jest to sprawa karna brzydka: Sidzikowski, o ile wiem, choć wiem to tylko z pogłosek mniej lub więcej ścisłych, ale pochodzących od ludzi miarodajnych, oskarżony jest czy to o łapownictwo, czy też o ściąganie nienależnych mu poborów. Podobno będąc posłem litewskim w Berlinie Sidzikowski żądał czy też tylko brał od konsulów honorowych litewskich w miastach niemieckich jakieś prezenty czy grubsze datki pieniężne. Podobno materiał oskarżenia jest dlań bardzo obciążający. Jeżeli tak jest – wielka szkoda człowieka.

Jest to człowiek niewątpliwie zdolny, utalentowany, mający dobrą głowę, spryt, zręczność i dużo taktu. Był on jednym z najzdolniejszych dyplomatów litewskich, z którym tylko Piotr Klimas w Paryżu może się równać. Ma też dobre kwalifikacje na prawnika – ścisłość, giętkość, umiar, logikę, dialektykę – zalety, które wykazał w toku sprawy kłajpedzkiej w Hadze przed dwoma laty, kiedy to ja byłem sędzią narodowym litewskim, a on bronił tezy litewskiej przed Trybunałem Międzynarodowym. Wtedy to Niemcy, mszcząc się na Sidzikowskim, wywlekli w swej prasie te szczegóły brzydkie z czasów jego posłowania w Berlinie. Merytorycznie mieli rację i władze sądowe litewskie, choć z pewnym ociąganiem się władz politycznych, które o cały rok opóźniły interwencję sądową, wytoczyły Sidzikowskiemu obecną sprawę karną. Oczywiście, dobrze się stało, że bez względu na kompromitację sprawę wytoczono i zabrano się do prania brudu. Ale Sidzikowskiego mi szkoda i szkoda mi talentu zmarnowanego. Mam wrażenie, że złym duchem Sidzikowskiego była w tym względzie jego żona, kobieta bezdzietna, lubiąca używać życia i lubiąca wrażenia, niesympatyczna i moim zdaniem – zła. *Sic transit glorie mundi!* Przed dwoma laty zbierał on chciwie czynione mu po sprawie haskiej w kraju owacje – dziś siada na ławie oskarżonych.

9 sierpnia, rok 1934, czwartek

W świecie roślinnym i zwierzęcym prawie wszystko zależy od przypadku: samo zaistnienie i cały niemal bieg życia rośliny i zwierzęcia jest wypadkową działania czynników, które wychodzą poza sferę psychiczną świadomości i woli tych stworzeń. Inaczej się rzecz ma u człowieka. Człowiek, choć się nie zdołał i zapewne nigdy się nie zdoła całkowicie i bezwzględnie uniezależnić od działania obiektywnego przyrody, to znaczy czynników poza nim będących, jednak racjonalizuje coraz bardziej życie swoje i w ogóle ludzkie aż do samego zaistnienia tego życia, a nawet humanizuje coraz bardziej samą przyrodę.

Sentencje powyższe przychodzą mi na myśl, gdy rozważam genezę własnego życia mojego. Rodzice moi mieli na razie jedną po drugiej cztery córki: Konstancję (Kotunia Pruszanowska), Elizę (Elizka Komorowska), Helenę (śp. Helcia Wołłowiczowa, zmarła w młodym wieku w roku 1894 w rok po ślubie, po urodzeniu dziecka – Henrysia Wołłowicza) i Elwirę (Elwira Mieczkowska). Chcieli mieć syna. Wreszcie po czterech córkach urodził się im w roku 1876 synek, którego nazwali Michałem; był to mój braciszek, ale nie ja. Urodzenie syna spełniało ich pragnienie czy też tęsknotę. Byliby na tym poprzestali i gdyby ten mój braciszek Michaś, który dziś miałby już 58 lat, żył, zapewne nie mieliby więcej dzieci; przynajmniej nie chcieli ich mieć więcej. Ale w roku 1877 ten mały Michaś jako dziecko kilkumiesięczne umarł, otwierając w sercu Rodziców jeszcze głębszą tęsknotę za synem. Rodzice wtedy spróbowali raz jeszcze: ale w roku 1878 urodziła się im znowu córka – piąta; jest to obecna Marynia *1° voto* Witoldowa Römerowa, *2° voto* Justynowa Budkiewiczowa. Trzeba było spróbować szczęścia raz jeszcze: i wtedy dopiero w dniu 5 [maja] starego stylu, a 17 nowego stylu roku 1880 przyszedłem na świat ja, nazwany znowu Michałem. Wyżyłem i więcej Rodzice moi dzieci nie mieli. Gdyby braciszek Michaś nie był umarł albo gdyby Marynia urodziła się chłopcem, a nie dziewczynką, to bym zapewne na świecie Bożym między rokiem 1880 a tysiąc dziewięćset nie wiadomo jeszcze którym nie istniał. Jest więc w zaistnieniu moim przypadek, ale jest też wola świadoma Rodziców moich. Właśnie w tych dniach przed 55 laty – w sierpniu roku 1879 – stało się to, co dało początek memu zaistnieniu embrionalnemu.

10 sierpnia, rok 1934, piątek

Pojechaliśmy dziś rano we troje – Jadzia, malarz Ejdukiewicz i ja – do Abel. Jechaliśmy w bryczce żółtej, parą koni; my z Ejdukiewiczem na siedzeniu, Jadzia – na koźle za furmana; Jadzia powoziła. Bardzo miły odbyliśmy spacer. Zajechaliśmy do Antonosza, żeby pokazać ten piękny dwór Ejdukiewiczowi, byliśmy tam nad jeziorem, zwiedziliśmy opuszczony, na

poły w ruinie będący piękny pałac antonoski, na którego nadpsutej baszcie wyrasta już brzózka niemała. W Abelach na poczcie podjąłem obstalowane przeze mnie z banku pieniądze, z których 850 litów zapłaciłem kupcowi Chajetowiczowi za nabrany od niego towar żelastwa do budowy w Bohdaniszkach...

Pościłem czy raczej głodziłem się dziś na mleku. Był to drugi „mleczny dzień" w tym tygodniu, przeniesiony z dnia jutrzejszego na dziś, żeby jutro móc jeść mięso, bo będzie baranina świeża. W takim dniu postnym czuję się bardzo lekki, choć wcale nie osłabiony. Apetytu zbyt wielkiego zresztą nie czuję, raczej chce mi się pić, niż jeść. Czekam wciąż dalszego upadku wagi, która tu spada bardzo powoli: podczas gdy w Kownie przez czas leżenia i intensywnej kuracji z iniekcjami „salyrganu" moczopędnego ubyło mi na wadze w ciągu trzech tygodni całe dwa pudy, to teraz w Bohdaniszkach w ciągu trzech tygodni waga spadła tylko o dwa kilogramy – z 95 na 93. Z 93 nie rusza się ona wcale w dół. Zresztą już dr Gudowicz w Kownie mię uprzedzał, że nadal waga nie będzie spadała tak szybko, jak na razie: na razie bowiem usuwany był z organizmu mocz, którego wielkie zaległości były się nagromadziły i który odchodził w wielkich ilościach, powodując szybkie obniżanie się wagi, podczas gdy teraz chodzi o likwidację „słoniny", która się usuwać tak szybko nie daje. A trzeba jeszcze dopędzić wagę przynajmniej do 85 kilo, to znaczy spędzić jeszcze 8 kilo (z 93 do 85). Wtedy już może wystarczy.

Wieczorem dziś zebrały się ciężkie chmury i wypadł wielki kroplisty i zimny deszcz. Przerwał on zwózkę owsa, ale sam przez się był na roślinność wszelką i zwłaszcza na ogrody użyteczny, bo już od dni 10 deszczu nie widzieliśmy.

11 sierpnia, rok 1934, sobota

Znowu dziś deszcz padał parokrotnie. Nie można było wznowić przerwanej wczoraj zwózki owsa, ale to niewielka bieda, bo niedużo już zostało do zwożenia. Kosić owies dziś do obiadu skończono.

Obchodziłem dziś z ogrodnikiem Narbutem moje drzewka dekoracyjne i udzielałem mu instrukcji, gdzie i jakie ma zasadzić nowe. W moich drzewkach dekoracyjnych najbardziej się kocham w Bohdaniszkach, bardzo pilnie obserwuję ich wzrost i formy, cieszę się, gdy mi się które udało i pieszczę się wizjami przyszłości, gdy się te drzewka rozrosną i ozdobią tę stworzoną przeze mnie siedzibę, kiedy już zapewne mnie nie będzie. Są w liczbie młodych drzewek, posadzonych przeze mnie, niektóre bardzo ładne. Są topole piramidalne włoskie, dotąd ogółem trzy (dwa nad trawnikiem na prawo od domu i jeden – przy starej drodze busiskiej); jest pięć prześlicznych drzewek płaczących (brzózka, osinka, olchy) i dwie płaczące o łodygach żółto-różowych wierzby koszykarskie. Topole piramidalne i drzewa płaczące należą do moich ulubionych. Jest jeszcze topola piramidalna o liściach z dołu srebrzystych, bardzo prędko i ładnie rosnąca, i druga, zdaje się, takaż – mała. Są trzy topole berlińskie, szeroko rosnące i bardzo prędko, z których dwie koło studni już się wcale okazale prezentują. Największa z przeze mnie zasadzonych jest jedna brzózka, niezwykle prędko i bujnie rosnąca blisko domu i sadzaweczki, i cała gromadka brzózek, które się bardzo ładnie tutaj udają, oraz początek alei z brzózek, która prowadzić będzie z gumniska górą do Gaju. Modrzewie tylko dwa się dotąd udały – przy domu i nad sadzawką kąpielową. Są dwa klony o liściach czerwonych, a kloników młodych, zasadzonych lub dziko wyrosłych, mnóstwo; trzy jodełki o srebrnych igłach na pędach młodych i dwie jodełki zwyczajne; lipek, które się dobrze udają i bujnie rosną, jest dużo, tak samo dużo jest jesionków; kilka jest dębuszków niewielkich, dwa pseudoplatany, dwa czy trzy kasztany, kilka osinek, jedna jodełka płacząca poczwarna, bardzo oryginalna, trzy maleńkie sosenki, które Jadzia ubiegłego lata posadziła...

Malarz Ejdukiewicz zabrał się dziś do portretowania Jadzi, zrobił na razie tylko jej szkic ołówkiem, ale coś nie bardzo udatnie.

12 sierpnia, rok 1934, niedziela

Odwiedził mię dziś prof. Lašas, dziekan Wydziału Medycznego na uniwersytecie naszym. Pochodzi on ze stron rakiskich i część wakacji letnich spędza na wsi u brata pod Rakiszkami. Najął w Rakiszkach auto od Neefa i złożył mi wizytę. Bawił dość krótko, wypił herbaty, zjadł ogórków z miodem, rozpytywał mię o zdrowie, pogawędził i odjechał. Żadnych szczególnych nowin i wiadomości nie przywiózł. Zresztą sam dawno z Kowna wyjechał.

Od Maryni słyszałem o samobójstwie Aleksandra Lednickiego w Warszawie. Jest to wiadomość z radia. Lednicki był już w wieku bardzo podeszłym, miał blisko 70 lat. Co mu się stało, że się zdecydował na samobójstwo – nie wiem. Gdym go przed paru laty widział w Kownie – zdawało się, że jest zdrów i że czuje się dobrze. Prawda, że był to człowiek bardzo ambitny, tęskniący do rozgłosu i do grania wielkiej roli, do której może nie dorósł, i że w Polsce niepodległej nie zdołał on ani w części pozyskać te wpływy i to znaczenie, jakie przed wojną miał w Moskwie, a nawet miał tu jakieś przykrości i jakieś wytoczone mu sprawy karne czy honorowe. Ale bądź co bądź miał się, zdaje się, nieźle, mógł sam rozumieć, że postarzał i że nie czas mu już sięgać po pierwsze skrzypce w stosunkach, tak bardzo różnych od tych, z którymi miał w swojej poprzedniej działalności do czynienia. Zresztą dawano mu w Polsce możność odgrywania pewnej roli w przyjmowaniu różnych znakomitości międzynarodowych i prezesowania w towarzystwach i związkach czy klubach, mających na względzie kontakt z zagranicą. Zresztą nie było w tych okolicznościach przyczyn do samobójstwa. Musiały być przyczyny inne.

13 sierpnia, rok 1934, poniedziałek

Długo odwlekałem jazdę do Kowna dla zaprezentowania się dr Gudowiczowi, z którym umówiłem się przed wyjazdem z Kowna, że przyjadę na 4 sierpnia. Prawdę mówiąc – leniłem się ruszać z Bohdaniszek, a skądinąd zdawało mi się, że nie ma potrzeby, bo czuję się na ogół nieźle, wszyscy stwierdzają, że wyglądam tak dobrze, jak dawno nie wyglądałem, waga utrzymuje się na poziomie, a nawet po trochę spada, ale w każdym razie nie podnosi się... Napisałem więc do doktora (i Elizka Komorowska miała mu to potwierdzić, będąc w Kownie), że uważam przyjazd za zbyteczny i prosiłem o zwolnienie od przyjazdu. Doktor jednak odpisał, ze musi zbadać stan serca mego, bo chciałby zmniejszyć dozę digitalisu albo nawet zupełnie digitalisu zaniechać, żeby nie przyzwyczajać serce do tego środka pobudzającego. Zażądał przyjazdu mego na ubiegły piątek, ale znów nie przyjechałem, tłumacząc się tym, że chcę uniknąć natłoku w pociągu, jaki będzie przed niedzielą wczorajszą, w której odbył się w Kłajpedzie „Dzień Morza” („Jūros diena”); na ten „Dzień Morza” tłumy jechały, korzystając z ogromnej zniżki ceny przejazdu. W głębi serca spodziewałem się, że może tymczasem Elizka będzie u doktora i zdoła go przekonać, że jazda moja nie jest konieczna. Ale żadnego listu od Elizki nie otrzymałem, a tymczasem skończyły się moje proszki na serce i bałem się zostać bez lekarstwa. Toteż dziś się wybrałem.

Na stację do Abel odprowadziła mię Jadzia. Nie wziąłem jej ze sobą ze względu na koszt, ale mi jednemu ciężko i jakoś nieswojsko jechać. Jadźka była bardzo poruszona i niespokojna, bo trochę się czułem gorzej dziś rano jadąc końmi na stację. Serce mi jakoś biło niespokojnie. Ale może to imaginacja. Zresztą 13 dzień miesiąca i poniedziałek – zły omen. Jadźka mię odprowadziła i żegnała prawie ze łzami w oczach.

Wyjechałem z Abel o drugiej po południu, koło dwieiątej byłem w Kownie. Zdaje mi się, że stopy w kostkach znowu mi trochę wybrzękły.

W Kownie zajechałem do pustego mieszkania mojego. Wanda, służąca Mašiotasów, przyrządziła mi pościel. Dowiedziałem się od niej, że Elizka Komorowska jest w Kownie, że mieszkała w moim mieszkaniu, a teraz nocuje w klinice u Zitki, która leży w klinice uniwersyteckiej dr Zubkusa.

14 sierpnia, rok 1934, wtorek

Spędziłem dzień w Kownie. Byłem cały dzień w ruchu. Byłem u dr Gudowicza, byłem w uniwersytecie, byłem u Elizki Komorowskiej, która siedzi i nocuje w klinice uniwersyteckiej na oddziale chorób nosa, uszu, gardła i jamy ustnej młodego profesora dr Zubkusa przy chorej Zitce, której zrobiono operację w gardle; załatwiałem sprawunki, które mi polecono z Bohdaniszek, obiad mleczny zjadłem w „Pienocentrze", byłem w kawiarni u Perkowskiego, spotkałem kilku znajomych... Słowem – dzień zeszedł niepostrzeżenie na różnych drobnych zajęciach, jak zwykle, gdy się na jeden dzień przyjedzie ze wsi do miasta.

Fizycznie mię to chodzenie trochę zmęczyło, bo dzień był ciepły i musiałem dreptać pieszo, bo zresztą i pieniędzy na jazdę nie miałem. Ale czułem się dobrze – lepiej, niż wczoraj w drodze.

Doktor Gudowicz mię zbadał szczegółowo, sprawdził wagę (było 93 kilogramy), na ogół był z mego stanu zadowolony. Nie przepisał mi nadal digitalisu, aby serce moje od tego środka mocnego odzwyczaić; przepisał przyjmowanie przez dwa tygodnie jakiegoś innego środka, działającego podobnie, a po dwóch tygodniach aż do powrotu mego z wakacji moje serce będzie zostawione własnemu działaniu. Potem we wrześniu doktor ma mi jeszcze zastrzykiwać „salyrgan" na pędzenie moczu. Kazał mi też co tydzień dawać listownie sprawozdanie ze stanu zdrowia. Dr Gudowicz jest bardzo dumny z tak skutecznego leczenia mię. Rzeczywiście powiodło mu się bardzo dobrze. Wyleczenie rektora stało się dość głośne. Gudowicz chciał mię w zeszłym tygodniu nawet demonstrować jakiejś znakomitości medycznej z Moskwy, która tu bawiła przejazdem, tylko że ja wtedy nie przyjechałem.

Na uniwersytecie nic nowego. Czas ogórkowy. Widziałem się i rozmawiałem z dziekanem Wydziału Prawniczego prof. Wacławem Bižišką i z sekretarzem uniwersytetu prof. Purėnasem, który mię teraz zastępuje. Najważniejszą teraz kwestią na uniwersytecie jest układanie preliminarza na rok finansowy 1935. Preliminarz uniwersytecki jest już dawno ułożony i przesłany do Ministerium Oświaty, które obecnie – w myśl uchwały Gabinetu Ministrów – poleciło nam zmniejszyć preliminarz znowu o 10% w stosunku do kredytów budżetowych roku 1934. Nie jest to zadanie łatwe, bo nie ma z czego obcinać. Pociągiem wieczornym – w wagonie sypialnym III klasy – wyjechałem z Kowna z powrotem na Abele do Bohdaniszek.

15 sierpnia, rok 1934, środa

Koło godziny 5-6 rano przyjechałem do Abel. Spotkała mię na stacji Jadzia. Na opowiadaniu moim o Kownie szybko nam zeszła droga końmi do Bohdaniszek. Nic tu nowego, nic szczególnego. Zresztą cóż się tu bardzo zmienić mogło od pozawczoraj? Jedyna bodaj „nowina" istotna – natury gospodarczej – że owies wczoraj zwozić skończono.

W tych dniach podobno mają się rozstrzygnąć losy tzw. „paktu wschodniego", o który zabiega Francja, która na tym gruncie współdziała z Sowietami, odnawiając dawną z czasów carskich przyjaźń swoją z Rosją. W osnowie tego aktu mają być bodaj dwa fakty, mające szachować Niemcy od północnego wschodu: a. założenie podwalin regionalnego Związku Bałtyckiego (Litwa-Łotwa-Estonia) i b. akt o nieagresji, gwarantujący nietykalność trzech powyższych małych replik bałtyckich, zawarty z nimi przez Rosję i ewentualnie przez Polskę. Niemcy podpisania takiego paktu o nieagresji z republikami bałtyckimi odmówiły, Polska – wyraziła w stosunku do niego pewne wątpliwości i rezerwy i skądinąd są dane, że usiłowała mu przeciwdziałać, odciągając od tej akcji Łotwę i Estonię. Francja i Rosja bardzo forsują tę kombinację, a z republik bałtyckich głównym narzędziem tej akcji jest Litwa. Niedawna podróż ministra Lozoraitisa do Moskwy jest w związku bezpośrednim z tą akcją i stanowi zarazem odpowiedź na poprzednią wizytę polskiego ministra Becka do Rygi i Tallina. Polska w tej sprawie prowadzi jakąś grę dwuznaczną. Otóż podobno w tych dniach Polska ma dać odpowiedź kategoryczną, czy się solidaryzuje z akcją franko-sowiecką, czy też pozostaje

wraz z Niemcami na uboczu. Jest to pierwszy wielki rozdźwięk polityczny między Polską a Francją, którego geneza datuje się od zawarcia przez Polskę tej wiosny układu z Niemcami, układu, który w swoim czasie sprawił efekt wybuchu bomby. Co do Litwy – to ta chwyta się skwapliwie polityki franko-sowieckiej, tym skwapliwiej, że polityka ta jest nie tylko wymierzona przeciwko Niemcom i wzmacnia przeto Litwę w Kłajpedzie, gdzie właśnie Litwa zdobyła się wreszcie pod rządami gubernatora Novakasa na wyraźny i mocny aktywizm, ale jest też rozbieżna z nową linią polityczną Polski, której izolacja jest przez Litwę upragniona, albowiem osłabia siłę polskiego faktu dokonanego na Wilnie. Jakimi w istocie pobudkami kieruje się Polska – trudno zrozumieć. Co znaczy ta nowa i dziwaczna przyjaźń Polski z Niemcami wbrew tradycji i jakby wrodzonej głębokiej niechęci polsko-niemieckiej („jak świat światem – nie będzie Niemiec Polakowi bratem"), która się wżarła w mózg i krew obu powaśnionych narodów – to chyba wie tylko Piłsudski jako rozkazodawca faktyczny Beka i tajne kancelarie dyplomacji polskiej. Są – i nie tylko tu, ale nawet w samej Polsce – pewne pogłoski, deszyfrujące to dziwne posunięcie germanofilskie polityki polskiej (Piłsudskiego), ale byłoby w tym coś fantastycznie niedojrzałego. Zresztą w obecnej sytuacji ustępstwo Polski i poddanie się jej polityce franko-sowieckiej upokarzałoby Polskę wobec republik bałtyckich i zwłaszcza wobec Litwy, bo ujawniłoby, że Polska chciała czegoś innego i nie zdołała postawić na swoim, będąc zmuszona do ustępstwa. To byłby ciężki cios dla prestiżu polskiego i dla ambicji pana Marszałka. Polska się zaplątała w zbyt kunsztownej intrydze.

16 sierpnia, rok 1934, czwartek

W dniu dzisiejszym nic takiego nie zaszło, o czym byłoby warto napisać, toteż kontynuować będę na temat zagadnienia politycznego, o którym pisałem wczoraj. Jeżeli wierzyć pogłoskom, wyjaśniającym, na czym polega dziwny układ polsko-niemiecki, zawarty przez Becka z inspiracji Marszałka Piłsudskiego, układ ten ma w założeniu umowę tajną o podziale sfery wpływów czy sfery ekspansji na wschodzie między Polską a Niemcami. Ten podział miałby być taki: Polska oświadcza swoje „*désintéressement*" w stosunku przede wszystkim do Kłajpedy, którą przez to samo Niemcy mogą bez sprzeciwu Polski pochłonąć, a nawet w stosunku w ogóle do dalszych krajów wschodniego wybrzeża Bałtyku – Litwy, Łotwy i ewentualnie Estonii; Niemcy gotują wojnę na wschód przeciw Sowietom i mogą zaanektować te kraje, natomiast Polska jako rekompensatę otrzymuje zdobytą (wspólnie?) na Sowietach Ukrainę (po Dniepr z Kijowem włącznie i ze szmatem Białej Rusi Mińskiej?). Tą drogą Niemcy zapanowałyby w myśl swojego „*Drang nach Osten!*" na Bałtyku, Polska zaś, odwracając się od Bałtyku, zwróciłaby się frontem na Morze Czarne. Czy układ ten przewiduje coś w stosunku do Pomorza polskiego i Gdyni – tego nie słyszałem. Pogłoski takie dają się słyszeć tu, ale podobno też słychać o nich z pewnymi wariantami w samej Polsce, jak to mi przed kilku miesiącami Eugeniusz Römer po powrocie z Polski wspominał. Ile w tym prawdy – nie wiem. Wydaje się to fantastyczne, gdyby nie to, że inspiratorem układu z Niemcami jest Piłsudski, nieobliczalny jak zawsze, i gdyby nie to, że treść tej pogłoski dosyć się zbiega z programem imperialistycznym polityki wschodniej Piłsudskiego z czasów Wielkiej Wojny i z roku 1919. Piłsudskiemu w dobie Wielkiej Wojny istotnie prawie że nie chodziło o odzyskanie dawnego zaboru pruskiego, tym bardziej Śląska i Pomorza. Cała jego uwaga i wola zwrócone były na wschód na stworzenie wielkiego imperium, którego członami pod batutą Polski byłyby Litwa, Białoruś i Ukraina ze stolicami Wilnem, Mińskiem i Kijowem. Może więc ta pogłoska jest tylko przez wrogów Piłsudskiego odkopanym dawnym jego programem, ubranym w szaty legendarnej umowy tajnej z Niemcami. Może wrogowie Piłsudskiego – endecy w Polsce – sami umyślnie tę pogłoskę skonstruowali („*si non e vero – e ben trovato*"), aby skompromitować politykę Piłsudskiego, bo tego rodzaju umowa wywołałaby chyba niewątpliwie w Polsce duży sprzeciw, bo oczywiste jest, że żeby

nawet nie przewidywała ona wprost zwrotu Niemcom Gdyni, Pomorza polskiego („korytarza gdańskiego”) i Śląska, to w każdym razie jej realizacja musiałaby prowadzić automatycznie do odebrania tych ziem – może nawet z Poznańskiem włącznie – przez Niemców. Nie mogłyby przecie Prusy Wschodnie, rozszerzone na Litwę, Łotwę i Estonię, a nawet na jeden z tych krajów, nie szukać połączenia bezpośredniego z ośrodkiem Rzeszy Niemieckiej po tamtej stronie „korytarza” polskiego. Jest to przecie prosta logika. Realizacja takiej umowy, o ile umowa istnieje, wytworzyłaby dwa ściśle odseparowane imperia: jedno bałtyckie – niemieckie, drugie czarnomorskie – polskie czy polsko-ukraińskie. To drugie nie miałoby już nic na Bałtyku do czynienia. Ale ten twór sztuczny byłby ciosem dla Polski narodowej. Taka „Polska” stałaby się raczej Ukrainą, niż Polską. Polska w takim imperium straciłaby kapitalną część swoich ziem etnograficznych, najbogatszych i najbardziej kulturalnie i gospodarczo cennych, wyrzekłaby się Gdyni i wszystkiego, co łożyła i co już osiągnęła na zachodzie i w kierunku Bałtyku, straciłaby swoje stanowisko na Bałtyku i swoją orientację zachodnią, byłaby majoryzowana przez element ukraiński i wreszcie rozpętałaby jeno dalszą ekspansję agresywną Niemiec na pozostałe tereny etnograficzne polskie, stanowiące naturalny „hinterland” bałtycki. Nie mogę uwierzyć, żeby nawet Piłsudski powziął dziś jeszcze taką koncepcję i żeby pogłoska ta była w całości prawdziwa. Poza tym – czyżby to było wykonalne? Ale swoją drogą polityka filoniemiecka Polska (Becka) jest zagadkowa. Coś w niej tkwi osobliwego, co burzy całą konstrukcję obrony przed Niemcami na północnym wschodzie europejskim.

17 sierpnia, rok 1934, piątek

Kiedy byłem ciężko chory – w końcu czerwca roku bieżącego, tego dnia, gdym nazajutrz po powrocie zza granicy do Kowna zwrócił się po raz pierwszy do dr Gudowicza – Jadzia ofiarowała Bogu mszę św. na intencję mojego wyzdrowienia. Dr Gudowicz, człowiek dobrego serca, ale formy szorstkiej, nastraszył ją wtedy bardzo: powiedział jej – oczywiście pod sekretem ode mnie – że stan mój jest tak ciężki i groźny, że ręczyć za uratowanie mię nie może. Nic dziwnego zresztą, bo rzeczywiście śmierć mi już w oczy zaglądała i dr Gudowicz sam był przejęty i zaniepokojony. Nie mógł być pewny, czy organizm mój, a zwłaszcza serce, jeszcze się odchwycić zdoła. Tę ofiarę mszy świętej na moją intencję moja zacna Jadźka spełniła w ten poniedziałek: po odprowadzeniu mię do Abel na stację kolejową, gdym wyjeżdżał do Kowna, zajechała w Abelach na plebanię i dała księdzu pieniądze na mszę. Msza odprawiona została dzisiaj: pojechała na nią Jadźka ze starym Kazimierzem, który też chciał się pomodlić za mnie. Wyrażając się językiem wiary prostaków – „Pan Bóg Jadźkę wysłuchał” i mnie zdrowie „wrócił”. Miły mi był ten naiwny odruch przywiązany do mnie i kochanej Jadzieńki – biednego „ptaszeczka” mojego, jak ją nazywam, która jest wierna jak skała, oddana dla mnie i niczego ode mnie nie wymagająca, choć może inni inaczej o niej myślą. Gdyby Regina umarła lub gdyby wprowadzono u nas opracowaną już w Radzie Stanu ustawę o małżeństwie cywilnym, zalegalizowałbym ten nasz związek z Jadźką, który jest zresztą mocniejszy i głębszy od większości małżeństw formalnych.

Mój gość – malarz Ejdukiewicz – jeździł dziś do Rakiszek rowerem majstra Moskala Markowa, stawiającego u mnie kurnik. Naturalnie, że rower zepsuł. Jest on nie tylko półgłówek, ale także niedołęga.

Na skutek nastawania Jadzi ekonom objeżdżał dziś okolicę, poszukując maszyny do młócenia i motoru. Był u Flora w Krewnach i gdzieś jeszcze. Żądano po 4 i po 3 lity 50 centów za godzinę młócenia. Wreszcie za Rogielami w Kosiach u Kieły znalazł dobrą maszynę z motorem i umówił się po 50 kilogramów żyta w naturze za godzinę młócenia. Ceny na zboże tak spadły, zwłaszcza teraz po żniwach (nigdy jeszcze takiej ceny nie było: żyto po 5 litów, pszenica po 7 litów za cetnar!), że za gotówkę – po 4 lity za godzinę młócenia – nie bardzo się samo młócenie opłaca, bo ileż to jeszcze przy tym trzeba robotnika, a przecie

i samo wyprodukowanie tego zboża kosztowało. Z konieczności najlepiej i najsprawiedliwiej jest przejść na zapłatę w naturze.

18 sierpnia, rok 1934, sobota

Od kilku dni waga moja utrzymuje się na poziomie 92 kilogramów, to znaczy w porównaniu do przeszłego tygodnia spadła o 1 kilo.

Dziś w gospodarstwie moim rozpoczęło się młócenie zboża. Jest to wielki ewenement gospodarczy. Ekonom jest zawsze przeciwny temu, żeby w jesieni od razu wymłócić wszystko, bo wtedy ustala się ścisły rejestr zboża i ekonom nie może nim tak rozrządzić, jak mu się chce. Ale Jadzia, córka gospodarska i Litwinka, ma nie tylko gospodarność, ale też doskonały zmysł administracyjny i kategoryczną wolę: chce wymłócić zboże przy sobie, sama siedzi przy robocie, waży ziarno i zapisuje. Mając moją aprobatę, umie przełamać opozycję ekonoma i postawić na swoim. Zresztą w tym roku ekonom już nie bardzo nawet oponował i w ogóle liczy się już z Jadzią bez zastrzeżeń i nawet na niej się opiera, bo czuje w niej nie tylko moc, mającą zupełne w razie czego poparcie moje, ale także autorytet ładu, miary i sprawiedliwości, a więc jest ona tym czynnikiem, który zawsze popiera rygor, tryb i zarazem karci wszelkie zaniedbanie i bezład. Toteż ekonom w swych skargach na ogrodnika czy ochmistrzynię ma w Jadzi ramię, które służy mu pomocą, gdy skargi te są słuszne. W ogóle ekonom Pumpol jest w gospodarstwie dodatni, zna się fachowo na wszystkim, co do rolnictwa należy, jest pracowity, ma powagę i ambicję. Jedną ma tylko wadę – że lubi wypić, a nawet się upić, choć się teraz bardziej tego wystrzega i rzadziej mu się zdarza upijać. Reszta mojej służby w Bohdaniszkach – to wiatr, choć ludzie nieźli. Powagę i stateczność utrzymuje tylko Pumpol. Tylko że reszta – ochmistrzyni Żukowska, ogrodnik Narbut, robotnica Lina, lokaj Kazimierz – to jedna partia, zbuntowana przeciwko ekonomowi i wroga ma we wszystkim.

Namłócono dziś przez cztery godziny 60 cetnarów żyta. Maszyna działa doskonale, tylko ludzi do obsługi było mało. Gdy będzie więcej ludzi – wymłóci się jeszcze więcej.

19 sierpnia, rok 1934, niedziela

Jadzia z malarzem Ejdukiewiczem i małą Renią Bogdanówną pojechali do Rakiszek. Ejdukiewicz pojechał, by się zwrócić do księdza dziekana Łabanowskiego, proboszcza rakiskiego, i do hr. Jana Przeździeckiego z propozycją obstalunków na obrazy lub portrety. Wziął ode mnie listy polecające do nich; zresztą o kim tylko, cokolwiek znaczniejszym lub zwłaszcza bogatszym, posłyszy ode mnie, wnet mię prosi o rekomendację do tej osoby. Jadzia wybrała się z nim, licząc na to, że może siostrę w Rakiszkach spotka w kościele. Po obiedzie poszedłem na ich spotkanie aż do wielkiej góry i ruczaju Bierżupisu za Staczeragami. Góra ta, która była zawsze karkołomna, teraz została świeżo skopana na drodze, a na ruczaju zbudowano dobry dość duży most drewniany na wysokim nasypie. Dotychczas, jadąc przez tę górę, trzeba było wysiadać i iść pieszo (w myśl przysłowia, które Papa zawsze lubił powtarzać: „jeśli chcesz mieć kark prosty – szanuj góry i mosty”, co charakteryzowało doskonale i ściśle nasze przedwojenne drogi i „mosty” na nich). Za okupacji w czasie Wielkiej Wojny Niemcy tę drogą spadzistą z góry do Bierżupisu nasłali okrąglakami drzew jodłowych, przez co uczynili rodzaj pomostu. Ale w kilka lat po wojnie drzewo w ziemi pogniło, niektóre okrąglaki powypadały i poginęły, przez co w drodze poczyniły się dziury i stała się ona jeszcze gorsza, niż była kiedyś. Nikt już prawie tędy nie jeździł, bo zresztą do Rakiszek bliżej na Rakiszeczki albo na Rudele, a wszystkie trzy drogi aż do gościńca równie złe. Ale oto w niepodległej Litwie zajęto się drogami, namnożono gościńców w postaci żwirowanych dróg bitych i teraz mamy drogi choć jeszcze nie doskonałe, jak w Niemczech lub na Zachodzie, ale znośne, do których przedwojenne ani się umyły. Przez Staczeragi, a więc i przez górę nad Birżupisem ustanowiono gościniec abelsko-komajski, który się przy tej

górze z obu stron urywał, aż wreszcie w tym roku uregulowano górę, skopując ją na drodze i dano u dołu nasyp i duży most przez Bierżupis.

Ukradziono dziś w okolicy dwa konie: u mojego byłego gospodarza Piotra Skrebysa w Prapultini i u Żydów w Kurkleciach. Od wielu lat – co najmniej od pięciu albo więcej, odkąd konie bardzo staniały i zbyt na nie do Łotwy upadł, kradzieże koni, dawniej częste, ustały. Nie było słychać o wypadkach takiej kradzieży. Zaniechano żelaznych pęt zamczystych, przestano strzec konia na pastwisku w nocy. Toteż kradzież tych dwóch koni tej nocy sprawiła duże wrażenie.

20 sierpnia, rok 1934, poniedziałek

Maszyna młóciła dziś w dalszym ciągu. Robotników do obsługi znalazło się już znacznie więcej, niż w sobotę. Oprócz parobków i domowników, którzy stanęli do pracy, donajęto szereg bab i mężczyzn. Praca szła gorącym tempem. Zboże sypie bardzo dobrze, ziarno jest bujne i ładne. Skończono młócić napoczęte przęsło żyta, młócono dalej pszenicę i jęczmień. Jadzia ani na chwilę nie odchodzi od maszyny, skrupulatnie waży i zapisuje umłot. Ogrodnik Narbut, którego ekonom nie cierpi i przedstawia mi za próżniaka kompletnego, bardzo dzielnie podaje zboże do maszyny. Nawet stary Kazimierz stoi cały dzień przy maszynie, zakładając worki pod maszynę i dopilnowując ich napełnienia wymłóconym ziarnem. Tylko ekonom chodzi zły i nieswój, bo chciał, żebyśmy nie całe zboże wymłócili, a ja – właściwie Jadzia przeze mnie – nastałem, żeby było młócone do końca. Ekonom jest uparty i wściekły, gdy się coś robi nie tak, jak on postanowił: zżyma się, tłumi w sobie gniew, wybucha przy lada okazji, jest cały napompowany gniewem jak bomba naładowana prochem czy dynamitem. W roku ubiegłym w analogicznej sytuacji był tak zły, że aż się upił ze złości, choć w ogóle przy mnie nie pije.

Waga moja, która od powrotu z Kowna w przeszłym tygodniu trzymała się co dzień na poziomie 92 kilo, wczoraj spadła na 91 i dziś się na tym poziomie (91) utrzymała. Waga, którą notuję, jest wagą ciała mego rano przed śniadaniem i po stolcu – bez ubrania (tylko w leciutkim szlafroku jedwabnym i pantoflach lekkich). Wtedy wagę stwierdza Jadzia. Natomiast potem, w ciągu dnia i wieczorem, często sam w ubraniu staję na wagi i obserwuję, ile ważę: otóż zawsze jest potem znacznie więcej (o 2, 3 do 4 kilogramów). Jest to zjawisko stałe. Oczywiście trzeba coś potrącić na rzecz ubrania, obuwia i tego, co noszę w kieszeniach. Ale i tak jest co najmniej o parę kilo więcej, niż rano. Mówiłem o tym doktorowi w Kownie, który się nie dziwił, bo, powiada, trzeba się przecie liczyć z zawartością żołądka, póki nie jest wypróżniony. Otóż chodzi o to, że w ciągu dnia odchodzi mi bardzo mało uryny, a za to uryna odchodzi mi obficie w nocy. Doktor powiada, że to niedobrze i że należałoby doprowadzić do tego, aby uryna odchodziła we dnie, a w nocy abym nie potrzebował się moczyć, bo to znak osłabienia serca. Jadzi o tym dotąd nie mówiłem, ale dziś powiedziałem. Była pod wielkim wrażeniem tego i bardzo się niepokoiła. Wieczorem po rozebraniu się moim zważyła mię: było 93 kilo. Naturalnie, że słabe odchodzenie uryny w ciągu dnia powoduje na wieczór lekką, bardzo leciutką obrzękłość nóg w kostce. Ale zbytnio się tym nie niepokoję, bo obfite odchodzenie uryny w nocy mam już co najmniej od lat 16 (pamiętam dobrze, że mię to trapiło w roku 1918 latem w Szczuczynie, gdym w mieszkaniu nie miał urynału), a brzęknięcie lekkie nóg wieczorem mam też od wielu lat, nie pamiętam nawet od kiedy. Nie uważam więc tych objawów za groźne lub mające związek bezpośredni z ostatnią ciężką chorobą moją, choć oczywiście tło jest te same. Bądź co bądź waga stale mi spada. Spada zarówno minimum ranne, jak maksimum wieczorne, ale wahanie między tymi dwiema krańcowościami pozostaje. Gdyby się jeszcze to wahanie dało usunąć, to znaczy dałoby się przenieść całe wydzielanie moczu z nocy na dzień, to już byłbym zupełnie zdrów na serce. Ale tego już zapewne nie osiągnę.

21 sierpnia, rok 1934, wtorek

Młócono u mnie w dalszym ciągu. Dziś młócono owies. Ekonom Pumpol, który rano jeszcze się buntował przeciwko młóceniu od razu całego zboża i usiłował wyszukiwać przeszkody, musiał na wyraźne żądanie moje ustąpić, aż wreszcie po obiedzie się udobruchał i rozkrochmalił. Złość mu przeszła.

Konie Piotra Skrebysa i Żydów z Kurkleć, o których ukradzeniu w niedzielę wspominałem – znalazły się. Nie były to wypadki koniokradztwa, jeno rozpusty chłopaków, którzy zabierają cudze konie z pastwiska, aby gdzieś pojechać – najczęściej na jakieś zabawy, a potem te konie puszczają wolno. Takie wypadki chuligaństwa są dziś dosyć częste. Nic bym nie miał przeciwko temu, gdyby za takie występki hultajskie ustanowiono karę cielesną rózeg. To by było najskuteczniejsze.

22 sierpnia, rok 1934, środa

Nic szczególnego nie zaszło. Młócono w dalszym ciągu. Pogoda wciąż ładna. Zwieziono resztki owsa, który był koszony później, i groch. Wożono z pola wprost do młocarni. Pozostaje do wymłócenia drobinka pszenicy i połowa plonu żyta. Jutro zapewne młócić skończymy.

Waga moja ta sama: 91 kilo. Może jutro znowu spadnie trochę, bo dziś „dzień mleczny", kiedy poza dwiema szklankami mleka (jedna na śniadanie i jedna na obiad) i poza szklanką herbaty z łyżeczką miodu albo konfitur na podwieczorek – tylko wieczorem coś zjadam, ale i to niedużo: talerz kwaśnego mleka z trzema kartoflami, jedno jajko albo trochę grzybów gotowanych z cebulą albo trochę pomidorów smażonych i kromka chleba razowego.

Źle dziś spałem w nocy. Z wieczora był u mnie Stefan Mieczkowski i nastraszył mię, przedstawiając w czarnych barwach kosztowność mojego gospodarstwa, straty moje i niepraktyczność trzymania gospodarki na siebie. W nocy się obudziłem, niepokoiłem się, rachowałem w głowie wydatki narastające i tak się przerażałem, że ani zasnąć, ani uleżeć nie mogłem. Zdawało mi się, że już nie wybrnę nigdy z rozchodów i zaległości wypłat, że nie wystarczy mi na to nigdy tego, co zarabiam, że wlazę w długi itd., itd. Aż wstałem, budziłem Jadzię, chodziłem po pokoju. Tak samo się kiedyś niepokoiła i nerwowała Mama. Jest to, zdaje się, cecha ludzi cierpiących na serce. Rano trzeźwiej na wszystko spojrzałem i jakoś raźniej mi się zrobiło, ale rachunków nocnych nie sprawdzałem. Uspokoiła mię Jadzia, która powiedziała, żebym jej dał z resztek mojej rezerwy pieniężnej tysiąc litów i złożył na nią wypłaty bohdaniszkie (pensje, robotnika, kilka długów w sklepikach), a ona ze sprzedaży w stosownej porze nadmiaru zboża i może innych źródeł (bekony, ewentualnie mleczarnie) – zwróci mi ten tysiąc z procentami. Może tak i zrobię.

23 sierpnia, rok 1934, czwartek

Waga moja znowu spadła cokolwiek. Wynosi niespełna 91 kilo, to znaczy – można liczyć 90 kilo. Ubytek postępuje bądź co bądź systematycznie. Skutek diety jest widoczny.

Młócenie trwa. Skończono dziś przed obiadem młócić pszenicę, po obiedzie do wieczora młócono pozostałe żyto i nie ukończono jeszcze. Skończą jutro do obiadu. Pogoda – śliczna. Słońce, we dnie upał, niebo czyste, tylko noce w pełni księżyca chłodnawe, a nad rankiem – zimna mgła, od której srebrzą się już nieco łąki.

Malarz Ejdukiewicz jest nieznośny. Rozporządza się jak u siebie. Jest bardzo niedelikatny i źle wychowany. Wszystkiego mu się zachciewa, wszystkiego się domaga, a na górze, gdzie go ulokowałem, rządzi się jak szara gęś. Nic też nie rozumie, co to jest gospodarstwo, co jest, a czego nie ma. Zdaje mu się, że na wsi można by się kąpać w mleku, śmietankę pić szklankami, miodu mieć ile dusza zapragnie, na zawołanie mieć wszelkie mięso, herbatę pić samą esencję, słodzić, ile wlezie itd. Co zobaczy – tego by zaraz chciał i każe sobie podawać. Trzeba mu odmawiać, trzeba przed nim wszystko zamykać, bo sam się

dobiera do bufetu. Roznosi też naczynia, zabrudza je, jak również pościel, ręczniki, meble na górze, nierad z tego, że Murzę rano przywiązują na łańcuch i że on wtedy szczeka i „nie daje mu spać", gołębie na lufcie mu przeszkadzają, źle mu, że firanek i stor nie ma, toteż sam przeniósł kuszetkę, na której śpi, do ciemnego składziku na lufcie, gdzie wszystko zabrudził i zrobił nieporządek, wyrzuca z góry przez balkon jakieś brudne papiery, kwiaty powiędłe, od Maryni z ogródka co parę dni brzemieniami wynosi kwiaty, które maluje, szpera się w książkach starych, które czasowo na lufcie złożyłem i drze je, gołąbka małego mi zamęczył, zawijając go w ręcznik, żeby nie piszczał rano, bo zdawało mu się, że gołąbek piszczy z chłodu, podczas gdy on matkę o pokarm wołał), zdaje mu się, że na zawołanie powinny być konie i powóz... Sam nic nie ma i cudzego nie szanuje, pełny zaś jest wymagań dla siebie, o sobie tylko myśli i wszystko mu służyć musi, nie szanuje nie tylko własności, ale też pracy cudzej, nic go nie obchodzi, czy służba zmęczona czy nie, rozkazuje i dyryguje, poucza, choć sam pojęcia o tym, czego uczy, nie ma. Dureń jest, wyrażając się dosadnie, ale trafnie.

24 sierpnia, rok 1934, piątek

Skończyliśmy dziś u mnie młócenie. Wyniki są takie: żyta 201 cetnar, pszenicy 114 cetnarów, owsa 150 cetnarów, jęczmienia 87 cetnarów, grochu 21 cetnar, ogółem zboża – 572 cetnary. Jadzia wyliczy szczegółowo, ile trzeba będzie zostawić zboża dla siebie na chleb, ile na siew, ile na ordynarię parobkom, ile – dla koni, dla cieląt i buhaja, dla świń, dla ptactwa i ile zostanie na sprzedaż. Marynia radzi sprzedać zaraz, bo choć cena teraz najniższa, ale za to potem, gdy cena się podniesie, to się okaże zboża mniej, bo... „szczury zjedzą", choć to mogą być ewentualnie „szczury"... dwunożne. Jadzia jednak woli zaczekać na lepszą cenę, licząc na to, że jednak ubytek na „szczurach" (włączając w nie nawet „dwunożne", którym by się zachciało czasem wypić kosztem zboża) nie będzie tak wielki, żeby pochłonął całą różnicę na cenie. Kłopot z tą gospodarką nie lada. Co ja bym zrobił, gdybym nie miał Jadzi! Ona jest tu moją głową i zastępuje mię w decyzjach gospodarskich i we wszystkich delikatnych sprawach ze służbą. Po wymłóceniu mojego zboża młocarnię z motorem zabrał Budkiewicz na rzecz zboża Maryni.

Pogoda była dziś słoneczna i upalna z gwałtownym wiatrem południowo-wschodnim. Trochę tylko było duszno. Koło godz. piątej po południu zaczęły się gromadzić chmury, zaczęło grzmieć, deszcz polał. Na wieczór zadżdżyło się na dobre, błyskało mocno na horyzoncie i wciąż dalekimi krańcami horyzontu krążyła burza, grzmiąc i hałasując; piorunów z bliska jednak nie było.

25 sierpnia, rok 1934, sobota

Byliśmy dziś z Jadzią na poczcie w Abelach. Wśród listów, które otrzymałem, był list od obecnego ministra sprawiedliwości Šilinga. W imieniu komitetu obchodu 60-letniej rocznicy urodzin Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony Šiling mię zawiadamia, że uroczystość obchodu wyznaczona została przez ten komitet na dzień 10 września i prosi, abym przed tym terminem przyjechał do Kowna, by wziąć udział w uroczystym posiedzeniu publicznym w teatrze. W liczbie bowiem mówców, których komitet do przemawiania zaprosić przewidział, jestem i ja jako rektor jedynego w kraju uniwersytetu – przemawiać mam w imieniu nauki litewskiej. Zastosuję się oczywiście do tej prośby. Komitet wymaga też rękopisu mowy, a ponieważ zapewne uroczystość ta będzie translowana przez radio, więc przypuszczam, że można będzie wygłosić przemówienia z rękopisu, co mi ułatwi znacznie zadanie. Otrzymałem też obszerny list od dr Gudowicza jako lekarza mego, któremu co tydzień przesyłam relację o stanie zdrowia mego. Dr Gudowicz wyraża zadowolenie, że waga mi znów spadła, ale stwierdza, że niedobre jest to, iż uryna u mnie odchodzi nie we dnie, lecz w nocy głównie. Powiada, że to jest oznaką nieomylną, iż serce nie jest jeszcze w stanie podołać swemu zadaniu. To – powiada – musi być usunięte, a na to – słyszę – są dwie rady:

albo pobudzać serce do intensywniejszej działalności lekarstwami, albo zmniejszyć wagę ciała w myśl zasady niezawodnej, że lepsza lub gorsza działalność serca zależy bezpośrednio od objętości masy ciała; im większe ciało, tym cięższą i przeto gorszą jest działalność serca i odwrotnie. Pierwszej drogi dr Gudowicz chciałby uniknąć, woli więc wybrać drugą jako naturalną. Wobec tego zapowiada mi, że trzeba będzie zbić wagę do – 82-83 kilogramów (poprzednio mówił o 85; ale i liczba 82 kilo w istocie nie jest dla mnie zbyt mała, bo w stosunku do mego wzrostu waga normalna ciała powinna by u mnie wynosić 78 kilo). Ponieważ teraz ważę rankami 90-91 kilo, przeto mógłbym śmiało pozbyć się jeszcze dziesiątka kilo bez szkody dla zdrowia. Oprócz dwóch dróg, wskazanych przez doktora w liście, dla wzmocnienia działalności serca i skuteczności tejże działalności ja wiem jeszcze drogę trzecią, ale to trzymam w sekrecie przed doktorem i Jadzią, bo nie daliby mi z tym spokoju: tą drogą byłoby – zaniechanie palenia, które – czuję to wyraźnie – działa mi ujemnie na serce; ale trudno mi się tego wyrzec, bo skądinąd jest mi to potrzebne do pracy mojej.

List doktor kończy żartobliwie, abym nadal zbijał wagę i nie poddawał się kuszeniom przez moją „grubą siostrę" (Marynię czy Elizkę?) i przez „wroga" doktora – starego lokaja (nie wiem, kto doktorowi mówił, że mój stary lokaj, to znaczy Kazimierz usiłuje mi podsuwać najsmaczniejsze kąski i specjały; już mi raz to doktor sam mówił; może to i prawda zresztą).

Przyszła wiadomość, ze wczoraj u p. Bichniewicza w Poniemuńku spaliły się dwa gumna z całą tegoroczną niemłóconą krestencją! Pożar wybuchł od iskry czy płomienia z motoru, kiedy się zabierano do młócenia zboża. Wiatr był wczoraj szalony i wnet od jednego gumna ogień się przerzucił na drugie, które też się zajęło i spaliło. Straszny to wypadek. Całkowita ruina gospodarstwa. Bichniewicz był dotąd gospodarzem wzorowym, majątek ma w wysokiej kulturze, ma śliczną oborę finów, z której i ja mam troje ładnych cieląt, ma spółkową mleczarnię dużą, hoduje dużo kur i ma dużą produkcję jajek na eksport wyborowy, jest lubiany i szanowany ogólnie przez ludność okoliczną. Jest to typ kulturalny ziemianina, człowiek i rolnik dzielny. Wielkie to nieszczęście dla niego, a nawet cios dla rolnictwa okolicznego.

26 sierpnia, rok 1934, niedziela

W zaścianku Jadzi pod Gajem (zaścianek ten nazywa ona Ejczupisem od nazwy starej ruczaju, płynącego wzdłuż granicy busiskiej; właściwie ta nazwa w dokumentach starych brzmi: „Eibučiupis", Papa zaś ją wymawiał: „Bučiupis"), w zaścianku więc tym, dzierżawionym od Jadzi przez jej brata Janka Čepasa, odbyły się dziś chrzciny pierworodnej córki tegoż Janka, ochrzczonej imionami „Janina-Birutė". Chrzest miał miejsce w Abelach, w zaścianku zaś odbyła się tylko uczta okolicznościowa. Jadzia była matką chrzestną dziecka, jej kumem był Bareišis, szwagier Jadzi, żonaty z jej siostrą Stefcią. Ja zaproszony byłem na ucztę. Prócz kumów i rodziców dziecka obecni byli: oboje rodzice ojca, a więc i Jadzi – starzy Ignacy Čepas i Urszula Čepasowa, z domu Strumska, Stefcia Bareišowa z dziećmi – moim chrzestniakiem Michasiem i córeczką Stefcią, drugi brat Jadzi – Baluk Čepas z żoną Savutią, z domu Kulisówną z Janówki, stara matka Jankowej Čepasowej, jej druga córka zamężna z mężem i niewielką córeczką, wreszcie wychowanka Jadzi – Renia Bogdanówna. Oto bodaj wszyscy – cała rodzina. Wódki było niedużo, było piwo domowe, baraniny obficie z wczoraj na ten cel zarżniętej owcy, szynka surowa, bułka słodka, chleb, pomidory, ogórki solone, herbata, mleko, cukierki, ser, masło... Dość dużo i smacznie zjadłem, gawędziłem, spędziłem tam ze trzy godziny.

27 sierpnia, rok 1934, poniedziałek

Nic szczególnego. Waga – 91 kilo. Pracuję teraz trochę intensywniej. Prócz różnych drobniejszych prac bieżących, opracowuję też zapiski do nowych wykładów moich prawa konstytucyjnego litewskiego, które traktuję w związku z genezą samej państwowości

litewskiej współczesnej jako wykwitu ruchu odrodzenia narodowego litewskiego. Tą drogą ta nowa praca moja wiąże się z moją „Litwą”, pierwszą moją wielką pracą naukowo-literacką, którą wykonałem niegdyś przed laty 27 na emigracji w Krakowie, nie domyślając się wtedy wcale, że się ona kiedyś nawiąże w moją działalność profesorską, o której oczywiście ani marzyłem wówczas. Zresztą ta moja ówczesna „Litwa” – to był początek logiczny całej mojej działalności późniejszej aż dotąd; ona mi dała imię, ona mi wyznaczyła stanowisko i zaważyła na całej mojej przyszłości więcej jeszcze, niż wcześniejsza od niej i trudniejsza „Gazeta Wileńska”.

28 sierpnia, rok 1934, wtorek

Jeszcze tydzień – i moje wakacje się skończą. Wrócę do Kowna i znów się rozpocznie moja praca codzienna na uniwersytecie. Niech mi tylko zdrowie służy, a podołam jej. Po kryzysie ciężkim, który przebyłem tego lata, kiedy mi już śmierć w oczy zajrzała, i po kuracji radykalnej czuję się teraz silniejszy, niż przed rokiem. Dobrze jest czasem doprowadzić chorobę do stanu ostrego przesilenia: wtedy przynajmniej zwalczanie choroby nabiera energii i jeżeli się chory uratuje, to już skutecznie i kategorycznie; lepsze to, niż ciągłe kwękanie i tracenie sił powolne wśród niedołężnych półśrodków leczniczych.

Dziś rano Jadzia wraz z całą czeladzią żeńską – jej małą wychowanką Renią, ochmistrzynią Żukowską, pasierbicą tejże Zosią i służącą Kostusią Merkisówną – wybrała się na wielkie grzybobranie do Puszczy Rudelskiej, Kazimierz zaś powiózł do Rakiszek malarza Ejdukiewicza, który po raz trzeci wybiera się do hrabiego Jana Przeździeckiego w nadziei, że tenże zechce obstalować u niego jakiś obraz lub portret. Za każdym jednak razem Przeździecki pokazuje mu obrazy ze swojej galerii (ma ich zbiór rzeczywiście bogaty) i poleca mu przyjść jeszcze innym razem, w kwestii zaś obstalunków ewentualnych milczy. To samo było i tym razem.

Ekonom Pumpol rozpoczął u mnie siewy oziminy (żyta).

29 sierpnia, rok 1934, środa

Dziś u mnie „dzień mleczny”. Jest to głodówka do wieczora, którą wytrzymuję dzielnie, mimo że podczas obiadu nie brak mi pokus u stołu. Ale wieczorem wyłamuję się nieco z rygoru tego „dnia mlecznego” i dziś np. wieczorem na kolację wypiłem szklankę doskonałego kapuśniaka, zaprawionego na kwasie jabłecznym, ugotowanego do obiadu na świeżej baraninie i odgrzanego na wieczór i zjadłem upieczonego bez masła młodego gołębia dzikiego z Gaju, którego wczoraj ogrodnik Narbut odebrał w polu ze szponów jastrzębia, ale że biedny ptak był skaleczony przez drapieżcę, dorżnięto go.

Mamy jeszcze na ogół ciepło, choć już białe rosy rankami bywały. Dziś się chmurzyło, wieczorem krążyła burza, nie zbliżając się jednak zbytnio. Potem dął gwałtowny wiatr południowo-wschodni, nie zimny jednak, choć tak huczący i wyjący w szczelinach okien i kominach oraz luftach pieców, jak w późnej jesieni. Jesień bo też niewątpliwa na dworze, choć wczesna jeszcze. Odleciały już dawno bociany, odleciały jaskółki, natura już się do snu gotuje, nawet już koniki polne umilkły. Ogrodnik Narbut zbierał już dziś pomidory i odnosił je do domu, gdzie – rozłożone na podłodze – będą dojrzewały.

Jadzia zajęta była rachunkami gospodarskimi z ekonomem Pumpolem i dyspozycjami. Jest ona świetna do tego i zastępuje mię znakomicie. Ustaliła wszystkie pozycje należności pensji oficjalistom i parobkom, należności najemnikom dziennym, różnych dłużków drobnych w sklepach miasteczkowych, majstrom itd., rozdzieliła zboże na chleb, na ordynarię, na nasienia, na karm dla koni, cieląt, buhaja, świń, ptactwa, na sprzedaż. Jest ona tu moim, jak ją nazywam, ministrem. Jest rezolutna, gospodarna, orientująca się, umie postawić na swoim, nie daje się wywieść w pole, rżnie prawdę w oczy, ma poczucie sprawiedliwości, umie oceniać wartość ludzi i ich pracy, jest dla mnie pomocnicą nieocenioną. Ma zapewne

niemało wrogów w służbie, ale i ci nawet muszą doceniać jej spostrzegawczość, energię, sprężystość i czystość intencji oraz życzliwość dla mnie i gospodarność.

30 sierpnia, rok 1934, czwartek

Przed obiadem jeździłem dziś z Jadzią do Abel po pieniądze (moja pensja uniwersytecka) na pocztę i po niektóre sprawunki domowe. Jak zwykle, jechaliśmy na Pokrewnie i Antonosz, wracaliśmy zaś – na dwór abelski i Matejki. Miasteczko Abele bardzo się rozrasta i zabudowuje w trójkącie między kościołem, dworem i stacją kolejową. Prócz odcinków szosy i gościńców (dróg bitych), które tędy przechodzą, wyplantowano tu i wyprowadzono kilka nowych ulic szerokich pod miasteczko i już się sporo większych i mniejszych domków tu zabudowało. Rzadkie to jeszcze jest miasteczko, ale z dnia na dzień gęstnieje. Użyto na to parceli wywłaszczonego w tym miejscu terenu dworskiego, podnietą zaś do zabudowywania się tutaj stanowi obecność komory celnej i innych urzędów na stacji kolejowej, która się stała głównym punktem kolejowym pogranicznym po stronie litewskiej w kierunku na wschód. Urzędy te zatrudniają licznych urzędników, którzy się w tej części miasteczka w pobliżu stacji lokują. Poza tym powstały przy stacji hurtowe składy prywatne na kupców (zboże, owoce itd. magazynowane na eksport, nafta, smary itd. magazynowane z importu na potrzeby miejscowe), które potrzebują odpowiednich lokalów same dla siebie i dla personelu obsługi. Że zaś stacja kolejowa Abele obsługuje ruch towarowy na dosyć daleki rejon na północno-wschodnich kresach Litwy, pozbawiony kolei żelaznej – zwłaszcza cały powiat jeziorski aż po linię demarkacyjną polską – więc Abele stają się dosyć znacznym ośrodkiem i rosną. Może pewien cios zada pod tym względem Abelom projektowana wąskotorówka, mająca połączyć Jeziorosy z Rakiszkami, która pójdzie chyba na Rogiele-Czywile-Szuty-Dusiaty i która ma być tutaj przeniesiona z obecnej linii Szawle-Birże, przerabianej na szerokotorową.

Po obiedzie przyjechał mię odwiedzić i poradzić się w różnych interesach majątkowych młody Richter z Komaryszek. Przed kilku laty odwiedzał mię jeszcze jego ojciec, którego i ja też odwiedzałem w Komaryszkach, ale już staruszek nie może, bo jest bardzo stary, jeden z najstarszych w okolicy, liczy bowiem 78 lat.

31 sierpnia, rok 1934, piątek

Wreszcie w samym końcu moich wakacji wyjechał z Bohdaniszek mój nieznośny gość – malarz Ejdukiewicz. Ledwo go się zdołałem pozbyć. Marudził z wyjazdem, a obrzydł mi już tak, że chciałem choć kilka dni ostatnich nie mieć go na karku. Jest jednak tak gruboskórny, że nic nie umie wyczuć, iż jest komuś, z którego gościny korzysta, ciężarem. Siedzi i rządzi się jak szara gęś, robi swoje uwagi, coś wymawia, jest z różnych rzeczy niezadowolony, sam łazi do kuchni, grzebie się we wszystkich składach, wszystko wyszpera, jest wymagający, łakomy, brudny, nieporządny, nie umie się zachować w gościnie. Takiego wpuść – a on ci rozkazuje w domu, sam się urządza, wymaga od służby, wszystkiego chce, bierze, co znajdzie, bez ceremonii. Nieznośny gość. Dobrze jeszcze, że mnie się trochę lęka, a najlepsze jest to, ze nie potrzebuje towarzystwa i całymi dniami ślęczy nad swoimi obrazami, gada głośno ze sobą, czyta głośno książki francuskie, czasem do lasu chodzi i nie durzy mi głowy. Widywałem go tylko przy stole jadalnym. Ale sam schodzi na dół, szpera po bufecie, wylewa herbatę, żeby Kazimierz zasypał świeżej, dyryguje w kuchni, gdzie go zresztą nikt nie słucha i na serio nie bierze. Wszystko to robi za moimi plecami, ale to jest irytujące, a przy stole tak się zachowuje niedelikatnie i natrętnie, że go musiałem kulka razy ofuknąć głosem podniesionym, co mi samemu wobec gościa przykre było. Nie miałem jednak innej rady, bo z takim jegomościem gruboskórnym inaczej nie można: wlazłby ci na głowę. Na ofuknięcie ucicha jak trusia. Gdybym mu nie powiedział wyraźnie, że trzeba mu wyjeżdżać, bo potrzeba uprzątnąć dom przed wyjazdem moim, to siedziałby aż do dnia mego wyjazdu.

Wyznaczyłem mu już wyjazd na dziś. Zechciał jeszcze wyjazd odłożyć i powiedział Jadzi, że jeszcze parę dni zabawi. Powtórzyłem, żeby wyjeżdżał. Aż oto dziś rano – deszcz. Malarz znów schwycił okazję do pozostania, ale zażądałem kategorycznie, aby wyjeżdżał, bo już i deszcz ustał. Wyjechał więc na autobus do Rakiszek. Odwiozła go Jadzia, która jechała po sprawunki.

1 września, rok 1934, sobota

Nie ma dziś nic do pisania. Dzień – dość wietrzny, dość ciepły, przeważnie pochmurny, ale bez deszczu. W polu – siewy oziminy. Dziś zasiano pszenicę, ale jeszcze żyta siać nie skończono. Ekonoma nie ma, wyjechał na trzy dni w interesach własnych do Kłajpedy, korzystając z taryfy ulgowej przejazdu kolejowego z powodu zjazdu mleczarskiego tamże, zarządzonego przez „Pienocentras". W Gaju oglądałem dziś moje pasieki przy drodze karwieliskiej i w środku lasu za mostkiem na drodze centralnej (z dawna zwanej „roboczą drogą" – „darbo kelias", bo ją utorowali kiedyś i tędy chodzili do dworu na pańszczyznę poddani z Ginduryszek). Obie pasieki zarastają ładnie: pierwsza – zwłaszcza brzózką i jodełką i zwłaszcza na pagórku nad łąką, gdzie wyrąb był najpierwszy, druga – zwłaszcza osinką. Jednak dużo tam jeszcze trzeba będzie walczyć z zaroślami pasożytniczymi, przeważnie białej olchy i leszczyny.

W tym tygodniu Elwira woziła do Poniewieża swego syna młodszego – Michasia Mieczkowskiego, dryblasa 15-letniego, ogromnego wzrostu, ale bardzo zaniedbanego w naukach i niezbyt zdolnego do nauki. Woziła go na egzamin do klasy III w gimnazjum polskim. Niestety, Michaś nie zdał; gdyby był zdał, Elwira go miała w Poniewieżu zalokować. Teraz jeszcze sama nie wie, co robić. Czy go w domu zostawić i uczyć prywatnie, czy spróbować oddać do gimnazjum polskiego w Kownie? Ale na Kowno trudno o pieniądze, a ja nie jestem już w stanie nikogo więcej do mieszkania mego na lokatę i utrzymanie przyjąć. Najlepiej by Elwira zrobiła, gdyby zrzuciła pychę z serca, oddała Michasia na parę lat do gimnazjum w Rakiszkach, co by ją najtaniej kosztowało, a po skończeniu czterech klas, zamiast go dalej pchać na inteligenta, oddała do jakiejś szkoły technicznej lub innej zawodowej, bo w tym kierunku – do techniki, mechaniki – chłopiec ma i ochotę, i zdolności, i spryt, do nauki zaś klasycznej, humanistycznej – żadnego pociągu ani zdolności nie ma. Ale gdzie tam! Gimnazjum czy szkoła litewska – *fi donc!!* Któż o tym słyszał, żeby tam szło dziecko pańskie (choć już po trochę idą)! Żeby to jeszcze była szkoła francuska, niemiecka, ale to... litewska?! Tak rozumują nasi polono-ziemianie, a przynajmniej ci, co idą w ich ogonku. Pierwsze czoło – ci, co mają pieniądze – posyłają dzieci uczyć się do Polski lub polskiego Wilna; skromniejsi kontentują się gimnazjum polskim w Poniewieżu lub Kownie; ale już coraz liczniejsi są ci, którzy nie pogardzają i szkołą litewską, bo ich zmuszają do tego względy praktyczne. Pogardliwe traktowanie szkoły litewskiej przez Polaków miejscowych powoli ustaje. Wpierw zaniechano abstynencji względem uniwersytetu litewskiego, teraz słabnie abstynencja względem szkoły średniej. Gdzieniegdzie już sami nawet ziemianie oddają dzieci do szkółki ludowej. Zaczyna też wzrastać dbałość o nauczanie dzieci języka litewskiego, czego nie tylko kiedyś, ale nawet w pierwszych leciech niepodległości nie robiono w polskich domach ziemiańskich, raczej unikano nawet. Same już wymogi praktyczne warunków społeczno-życiowych zmuszają do ustępstw z radykalizmu nieprzejednanego. Oto i Marynia, moja siostra, choć zajadła Polka i zawsze traktująca litewskość z góry, a polskość wynosząca na szczyty „pańskości", kultury i wszelkiej doskonałości – zdecydowała się posyłać swoją wnuczkę Stenię Stefanównę Römerównę – do szkoły ludowej w Bohdaniszkach. Choć sama Stenia, pod wpływem w tym względzie swojej matki, jest strasznie zaciekła przeciwko wszystkiemu, co litewskie. Ledwo od ziemi sama odrosła (ma lat 8), a już przepojona jest pogardą dla kraju i ludu, w którym i wśród którego żyje. Smutne to i na samych Polaków litewskich ujemnie oddziaływa. Rozwija to w nich

asocjalne instynkty wilcze. Jak wilki nie są solidarne z otoczeniem fauny, wśród której żyją i przeciwstawiają się jej, tak samo ci Polacy w Litwie, mimo że sami przeważnie z krwi litewskiej wyszli. Ciekaw jestem, jak podziała na Stenię pobyt w szkółce litewskiej.

2 września, rok 1934, niedziela

Byłem dziś po obiedzie u mego chrzestnego syna Michała Nemeikšysa w jego zaścianku w Karwieliszkach. I on sam, i jego trzyletni synek Antukas (Antoni) są moimi chrzestnymi synami. Ładnie położony jest jego zaścianek – na wysokim wzgórzu, dominującym nad doliną Piełani i Gaju, przy samym gościńcu, pięknie zadrzewiony brzózkami i młodą osiną. Bardzo ładna jest też dla mnie młoda żona Michała, z domu Lingiówna ze Staczerag, o twarzy ściągłej, bardzo poważnej i nawet surowej, dystyngowanej, pełnej myśli i smutku.

Wracałem stamtąd do domu przed zmrokiem; było ciepło i po deszczu wilgotno w powietrzu; z łąk podnosiły się białe opary mgieł; powietrze było pachnące, rozkoszne; szedłem przez Gaj, zaglądałem do pasieki, cieszyłem się mnóstwem brzózek kiełkujących albo dywanami malutkich jodełek, które spod ziemi wyzierają i zaściełają ich podnóże. Gdym przyszedł do domu, zastałem tam Elizkę Komorowską z Zitką, które przyjechały mię odwiedzić jednym konikiem, same się powożąc. Miały na noc wracać do Kowaliszek, ale lunął deszcz i musiały zanocować u mnie. Opowiadały o pożarze u Bichniewicza w Poniemuńku, który zniszczył mu cały plon zboża tegoroczny wraz z całą krescencją. Ziemianie powiatu rakiskiego, zwłaszcza zachodniej jego części i aż w powiecie birżańskim, za inicjatywą Hektora Komorowskiego zarządzili zbiórkę poszoru (koniczyny, słomy) i zboża (ziarna) dla pomocy w naturze pogorzelcowi. Niektórzy zgłosili pomoc w postaci przyjęcia na zimę na przekarmienie cieląt i koni jego. W tej obywatelskiej akcji ratunkowej w naturze wzięli udział Komorowscy z Kowaliszek i Podbirż, Przeździeccy, Rutkowscy z Koźliszek i Szakal, dr Zaborski, nawet Gerard Kościałkowski z Polepia... Zgłoszonymi deklaracjami już dotąd została pokryta połowa szkody, nie licząc naturalnie samych budynków i spalonego wagonu lokomobili. Neef udzielił automobilu, którym Hektor ma jeszcze objechać innych sąsiadów dla pozyskania ich udziału w akcji ratunkowej. Resztki naszego ziemiaństwa, które w Rakiszczyźnie zachodniej jeszcze ocalały, zamanifestowały swoją solidarność dosadnie i tym razem ładnie.

3 września, rok 1934, poniedziałek

Rano wyjechała Elizka Komorowska z Zitką. Kupiłem od niej za 25 litów cielę od krowy, urodzone już przed czterema tygodniami i trzymam cały czas dotąd przy matce. Posłałem po nie do Kowaliszek ogrodnika Narbuta. Cielę okazało się śliczne, duże o sierści lśniącej, czerwone z plamami białymi. Nazwałem je „Gražuolė”.

Śliczny czas, nie chce się jeszcze wyjeżdżać, bo wieś jest piękna. Ukończono dziś u mnie siewy.

Skończyłem redagowanie mowy na uroczystość obchodu 60-letniej rocznicy urodzin Antoniego Smetony. Musiałem ją redagować bardzo starannie i z wielką rozwagą, bo czynię to w imieniu Nauki i Uniwersytetu. Czy mi się udała – sam nie wiem.

Mowy na akt immatrykulacji uczę się na pamięć. Mam ją całą dokładnie spisaną. Umiem ją już prawie całą. Moja metoda wyuczania się mów jest taka, że każde zdanie po uważnym przeczytaniu go – powtarzam głośno i po każdym nowym zdaniu znów recytuję całą mowę. Jest to praca mechanizmu słuchowego. Brzmienie kolejne słów i intonacja głosu, akcentujące treść, utrwalają się słuchowo w pamięci jak na płycie gramofonowej i płyną potem samo przez się. Dobre to jest dla mów, które są zawczasu do przewidzenia.

4 września, rok 1934, wtorek

Ostatni dziś cały dzień w Bohdaniszkach. Jutro w południe wyjeżdżamy. Karutię Merkisówną dziś już z częścią bagażu do Kowna autobusem z Rakiszek wysłaliśmy. Pogoda jest tak śliczna – słońce, ciepło bez upału, drzewa jeszcze w pełnej zieleni, ruń zielenieć zaczyna – że się z żalem wieś opuszcza. W Kownie – znowu praca nerwowa, uroczystości, przemawiania, bieganina, a niebawem już przyjdą wykłady itd.

Był dziś u mnie mój były uczeń z uniwersytetu – Kurklietis, rodem z gminy abelskiej, bodaj ze Strupejek. Jest on jednym z tych kilkudziesięciu oficerów, którzy za udział w zamachu z d. 7 czerwca r.b. zostali zdegradowani i wydaleni z wojska, a następnie internowani w miejscu zamieszkania swoich rodziców, skąd im wyjeżdżać poza granice gminy bez pozwolenia policji nie wolno. Kurklietis był oficerem kawalerii, był dowódcą szwadronu, potem adiutantem pułkowym. Teraz jest w cywilu, jego kariera wojskowa złamana. Musi siedzieć w wiosce bez zajęcia i zarobku. Chciałby kończyć egzamin na prawie i uzyskać dyplom uniwersytecki. Powiada, że on i większa część innych zdegradowanych nie bardzo się orientowali w programie akcji zamachowej, do której zostali wciągnięci przez swych zwierzchników jako ludzie zaufani. Powiada, że w żadnym razie nie zamierzali niczego przeciwko Prezydentowi Smetonie i nic z góry nie wiedzieli o udziale Voldemarasa w tej akcji i o roli, jaką spiskowcy właściwi Voldemarasowi wyznaczyli. Teraz pomimo woli siłą rzeczy zostali w opinii publicznej z Voldemarasem związani jako rzekomi „voldemarasowcy".

5 września, rok 1934, środa

Wreszcie dziś wyjechałem z Bohdaniszek z Jadzią i jej wychowanką Irenką Bagdonisówną. Wyjeżdżam spłukany radykalnie z gotówki i z całą jeszcze litanią zaległych wypłat i należności, spisanych akuratnie przez Jadzię, która stała się dla spraw bohdaniskich moim generalnym kasjerem, buchalterem, dozorcą i zwierzchnikiem całej administracji. Mnie wszystkie te rzeczy tak nerwują i trapią, że sam nie dałbym im rady i nie wybrnąłbym chyba nigdy. Zresztą w tym roku przynajmniej zboża nie zabraknie na własne potrzeby dworu i jeszcze się coś okroi na sprzedaż później, gdy się cena podniesie.

Na stację kolejową do Abel odwiózł nas sam ekonom Pumpol, rzeczy zaś wiózł parobek Dainys. Jechaliśmy eskpresem berlińskim do Radziwiliszek, tam przesiedliśmy na pociąg pośpieszny Ryga-Kowno. Koło godz. dziewiątej wieczorem byliśmy w Kownie. Spotkała nas na dworcu Karutia, która z rzeczami i Irenką odjechała do domu, a my z Jadzią zaszliśmy jeszcze do Pienocentrasu na kolację złożoną z chłodnika i jajka, po czym też udaliśmy się do domu.

6 września, rok 1934, czwartek

Zacząłem mój pierwszy dzień w Kownie od doktora, jak się należało w moim stanie zdrowia. Poszliśmy tam z Jadzią. Dr Gudowicz zbadał mię szczegółowo, poważył, wyraził na ogół zadowolenie za stanu mego, pochwalił. Zbijanie wagi dla zmniejszenia tuszy ciała jeszcze nie skończone. Trzeba spędzić wagę co najmniej do 85 kilo albo jeszcze nieco więcej. Ale naturalnie choroba moja nie jest taka, jak jakaś szkarlatyna lub inna choroba ostra infekcyjna i przemijająca albo jak choroby wieku młodego, po których można odzyskać zdrowie całkowite. Choroby starości podleczją się, ale nie ustępują i wymagają ciągłego czuwania, bo wciąż usiłują wznowić swoją ofensywę i zwykle wcześniej czy później odnoszą zwycięstwo nad starzejącym organizmem, gdy już zabraknie mu sił do obrony i wreszcie wpędzają zużyty i schorzaly organizm do grobu, o ile go przed tym coś innego nie powali. Tak samo jest z moim chorym sercem. Można przez zmniejszenie tuszy ciała ułatwić sercu warunki działania, można je nieco wzmocnić, można mu udzielić pomocy, ale odnowić, odrodzić, zamienić na inne zdrowe – niepodobna. Doktor w drodze próby był mi ostatnim razem zalecił przestać brać digitalis jako środek na serce bardzo ostry, od którego chce mię

odzwyczaić; wskutek tego zalecił mi brać przez dwa tygodnie jakiś słabszy środek na serce, a potem tydzień – bez żadnego lekarstwa; to już odbyłem. Doktor stwierdził, że serce bez digitalisu trochę się rozszerzyło, co nie jest dobre; ale jeszcze przez tydzień potrzyma mię bez lekarstwa na serce. Natomiast w poniedziałek doktor mi jeszcze raz zastrzyknie salyrgon na pędzenie moczu i może to jeszcze nie będzie raz ostatni, bo jeszcze pewne zaległości wody podskórnej w nogach tu i ówdzie są. Kazał mi też doktor obserwować nadal ścisłą dietę na schudnięcie i co ranek, ze względu na siedzący tryb życia i mojej pracy zawodowej, odbywać dłuższy spacer pieszy.

Z wiadomości, które dziś usłyszałem, zacznę od tej, którą mi dr Gudwicz opowiedział. Mówiąc o Prezydencie Smetonie, którego jubileusz 60-lecia urodzin ma być w tych dniach szumnie obchodzony, dr Gudowicz, który, jako socjalista z przekonań, nie jest zwolennikiem rządów Smetony, nadmienił, że sam Smetona nie byłby najgorszy, gdyby nie wtrącenie się żony jego do spraw publicznych (wielu to istotnie zarzuca), wskutek czego Litwa jest dziś rządzona przez „dynastię Chodakowskich”, bo i p. Tubelisowa jest Chodakowską z domu, siostrą rodzoną Prezydentowej Smetonowej. Dalej mi powiedział, że obecnie Smetonowa uwzięła się na gubernatora Kłajpedy Navakasa i chce go wygryźć, a czyni to rzekomo dlatego, że Navakas chce się rozwieść ze swą żoną, którą przed paru laty zaledwie poślubił, Dewejkówną z domu, moją byłą uczennicę na uniwersytecie, prawniczkę dyplomowaną, która jako studentka była bardzo zdolna i dzielna, a potem jeszcze była na studiach w Paryżu. Otóż okazuje się, że p. Navakasowa jest hermafrodytą, niezdatną do stosunków płciowych i jałową. Do małżeństwa tego miała skłonić Navakasa p. Prezydentowa, która teraz jest nierada z zamierzonego rozwodu. Navakas zaś chce mieć dzieci i żonę nie tylko działaczkę i uczoną. Wiadomość ta mię zasmuciła. Żałuję zarówno Navakasa, jak p. Navakasową, a cenię bardzo akcję energiczną Navakasa w Kłajpedzie.

Druga wiadomość, którą mi zakomunikował dr Gudowicz, to ta, że jeden ze zdegradowanych za udział w spisku z d. 7 czerwca oficerów, jeden z wybitniejszych – Pyragius, który wystąpił w prasie z obszernym aktem skruchy, potępiając czyn, do którego sam tak niedawno należał, choć zapewne nie byłby tak skory do tego potępienia, gdyby się zamach był udał, był podobno skłoniony do tego aktu z góry i przekupiony. Dostał podobno 10 000 litów za skruchę. *Relata refero*, a czy to prawda czy plotka złośliwa – nie wiem.

Trzecia wiadomość, którą słyszałem w uniwersytecie od dziekanów wydziałowych przed posiedzeniem senatu akademickiego, jest ta, że podobno świeżo został wykryty nowy spisek na rzecz zamachu stanu, spisek tym razem podobno podoficerów. Mówią, że do spisku należało bodaj 60 podoficerów.

Byłem dziś i urzędować zacząłem na uniwersytecie, a wieczorem miałem posiedzenie senatu, którego aprobacie poddałem moją mowę, wygotowaną na uroczystość Prezydenta Smetony, którą mam w niedzielę wygłosić w teatrze od imienia uniwersytetu i nauki litewskiej. Tekst mojej mowy odczytałem senatowi, który z kilku drobniutkimi poprawkami ją zaaprobował. Zanotuję jeszcze kilka szczegółów o Wydziale Prawniczym, których się dowiedziałem od dziekana tego wydziału prof. Wacława Biržiški. Pierwsze posiedzenie Rady Wydziału już miało miejsce. Rada Wydziału w stosunku do prof. Mačysa w tym roku już nie powzięła uchwały o przedłużeniu mu prawa wykładania jeszcze na rok jeden. Wobec tego Mačys, który dawno przekroczył już granicę wieku, będzie musiał ustąpić. W ciągu roku nasz wydział stracił już czterech starych członków swej profesury: Leonasa, Kriščiukaitisa, Jaszczenkę i Mačysa. Wprawdzie dużo przyjęliśmy młodych asystentów, ale z nich tylko jeden Dominik Kriwicki na sekcji prawniczej awansował na prywatdocenta i może być użyty do zapełnienia luk. Inni – Jurgutis młodszy, Penkaitis, Żakiewicz, Konstanty Raczkowski – dopiero wyjechali lub wyjeżdżają za granicę dla uzupełnienia i pogłębienia studiów i dla przygotowania się do doktoryzacji. Na miejsce zmarłego Jaszczenki rada wyznaczyła do wykładania prawa międzynarodowego Kriwickiego, a na miejsce Mačysa – do wykładania

procesu cywilnego – docenta Kazimierza Szołkowskiego. Na Wydziale Prawniczym jedyni pozostali profesorowie zwyczajni są: ja, dziekan Wacław Biržiška i Augustyn Janulaitis, oraz cudzoziemiec – stary, przeszło 70-letni prof. Sokołowski, zaś profesorami nadzwyczajnymi, czyli zastępczymi są Bielackin i Jurgutis starszy.

7 września, rok 1934, piątek

Byłem dziś u ministra sprawiedliwości Šilinga, którego zastałem w Radzie Stanu (Šiling, obejmując stanowisko ministra, zachował stanowisko prezesa Rady Stanu, tylko że jednocześnie Bolesław Masiulis, jako z tytułu starszeństwa nominacji najstarszy, po ustąpieniu Kalnietisa, moim i Ciplijewskiego, członek Rady, mianowany został wiceprezesem Rady dla zastępstwa prezesa Šilinga). Doręczyłem Šilingowi, jako prezesowi komitetu obchodu 60-lecia Prezydenta Smetony, moją mowę na pojutrze w teatrze i poinformowałem się o szczegółach protokołu ceremonii jubileuszowych. Šiling jest cały przejęty tymi uroczystościami i lata z posiedzenia na posiedzenie, z jednej narady na inną, kręci się jak w ukropie. Jest on amatorem uroczystości i w rozgardiaszu posiedzeń czuje się w swoim żywiole. Krzątanina gorączkowa, drobne zabiegi, debatowanie finezji – to jego raj. Stworzony jest on do tego, a nie do wielkiej twórczej roboty rzeczowej. W tym zaś wypadku za skóry wychodzi, bo rzecznikiem tych uroczystości jest sam Prezydent Smetona, względem którego stosunek Šilinga bardzo przypomina stosunek dewotki do księdza.

Potem byłem u ministra oświaty – prof. Tonkunasa. Jest to człowiek poważny, milczący, dzielny. Złożyłem mu wizytę służbową, podziękowałem mu za pożyczenie automobilu w lipcu dla powrotu mego do Bohdaniszek, zaprosiłem na akt immatrykulacji na uniwersytecie w d. 15 września (nie obiecał się stawić, zastrzegając się, że jest zwolennikiem upraszczania wszelkich ceremonii, których jest u nas za dużo). U ministra Tonkunasa spotkała mię niespodzianka: doręczył mi on Order Witolda Wielkiego II stopnia, którym mię obdarował Prezydent. Jest to jedna z najwyższych odznak, bo Order Witolda hierarchicznie jest wyższy od Orderu Giedymina, który mam także w II stopniu, a stopień II jest dla zwykłych śmiertelników najwyższy, bo I stopień ma tylko Prezydent, arcybiskup i może jeszcze ktoś jeden albo dwóch w kraju i tylko wybitnym cudzoziemcom jest on hojniej udzielany.

8 września, rok 1934, sobota

Rozpoczęły się trzydniowe uroczystości obchodu 60-lecia urodzin Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony, którego narodowcy przezwali „Pierwszym Prezydentem Litwy” i „Wodzem Narodu”. Uroczystościom tym nadawana jest zgoła niezwykła pompa. Czy Smetona jest istotnie tak wielkim człowiekiem, jak go dziś czynią narodowcy – nie wiem. Mnie osobiście się zdaje, że choć jest on istotnie wybitny i czysty i ma w sobie pewne cechy wielkości – zwłaszcza wlanie się całym jestestwem w jedną wielką ukochaną ideę, upór fatalizmu i ludzkość – to jednak Basanowicz był większym od niego. Można Smetonę porównać do Masaryka czeskiego – to są wielkości współmierne, ale Mussolini i Piłsudski są bodaj więksi od niego. Zresztą nie będę się w to wdawał.

Wziąłem dziś udział w trzech momentach programu uroczystości. Rano byłem na uroczystej mszy świętej w bazylice. Obecny był naturalnie sam jubilat z żoną, członkowie rządu z Tubelisem na czele i ministrem wojny gen. Šniukštą, wciąż asystującym bezpośrednio Prezydentowi, korpus dyplomatyczny, wysocy wojskowi, dygnitarze państwa, wysocy urzędnicy, słowem – same szczyty państwa i społeczeństwa, w głębi nawy – wojsko. Po mszy świętej modły uroczyste za Prezydenta odprawił arcybiskup metropolita Skwirecki w bogatych szatach i wspaniałej asyście. Po nabożeństwie minister sprawiedliwości Šiling wziął mię do swego automobilu i zawiózł do Rady Stanu, chcąc, abym jako bliski Radzie człowiek, który z nią stosunki zachował, był obecny na uroczystym doręczeniu przez Tubelisa

członkom Rady orderów Witolda Wielkiego II stopnia. Ordery te otrzymali w Radzie Stanu: prezes Trybunału Ciplijewski, wiceprezes Rady Stanu Bolesław Masiulis, członkowie Rady Papečkys, Starkus i Jan Vileišis. Po obiedzie, który się dziś u mnie składał ze szklanki mleka i nic więcej, udałem się na popisy hippiczne, urządzane przez trzy dni (pozawczoraj, wczoraj i dziś) na cześć Prezydenta Smetony na placu Piotra Vileišsa. Widowisko było ładne i bardzo malownicze, tylko trochę za długie. Popisywano się konną jazdą i braniem przeszkód. Mniej ciekawe były popisy cywilów, ale za to wspaniałe były popisy podoficerów kawalerii. Prześliczne były konie, znakomita jazda konna i wspaniałe branie przeszkód. Wieczorem o godz. 7 ½ pojechałem we fraku z orderami do Pałacu Prezydenta wziąć udział w pozdrowieniu go przez grupę rządu, do której prócz ministrów są dołączeni: rektor uniwersytetu (ja), prezes Trybunału (Ciplijewski), naczelnik Banku Litewskiego (Staszyński) i naczelnik Banku Ziemskiego (Radušis) jako zwierzchnicy instytucji autonomicznych. Po pozdrowieniu Prezydent członków tej grupy, jak również grupy komitetu jubileuszowego z Šilingiem na czele i grupy wojskowej ze Šniukštą na czele zatrzymał i zaprosił do oglądania w jego asyście z balkonu i okien pałacu defilady z pochodniami płonącymi i lampkami kolorowymi długiego szeregu różnych organizacji przeważnie młodzieży, na których końcu szedł długi wąż licznych organizacji żydowskich młodzieży.

9 września, rok 1934, niedziela

Dziś centralny i główny dzień uroczystości 60-lecia Antoniego Smetony. Do godz. czwartej po południu nie wychodziłem jednak z domu. Na mszy św. polowej, celebrowanej uroczyście na placu Piotra Vileišisa przez arcybiskupa metropolitę Skwireckiego w asystencji zwierzchniego kapelana wojskowego ks. Mironasa i innych, i na paradzie wojskowej, która bezpośrednio potem miała miejsce tamże, nie byłem. W toku tych uroczystości miała miejsce kanonada honorowa z armat. Dano 60 strzałów armatnich na uczczenie 60 lat wieku Prezydenta Smetony. Siedziałem w domu, odbyłem znaczną część mojej dziennej porcji pracy, na obiedzie miałem kilku gości zaproszonych z moich skromnych prywatnych znajomych domowych – ludzi wcale nie wysokiego stanowiska, pasującego do „mojej Magnificencji" i do mojej wysokiej pozycji w szeregu dygnitarzy Litwy; na obiedzie tym byli: malarz Ejdukiewicz, Diskin, Stefan Römer, Mackus, Andrzej Mieczkowski, no i Jadźka, ja i wychowanka Jadzi – Renia; obiad składał się z przywiezionych dziś rano z Bohdaniszek przez Andrzeja indyka i kury.

Koło godz. czwartej, ubrany we frak z orderami, udałem się do Pałacu Prezydenta. Wczoraj pozdrawiałem Prezydenta Smetonę w grupie rządu sam, jako rektor. Albowiem ponieważ uniwersytet jest instytucją autonomiczną, która w zakresie swojej autonomii wychodzi poza Ministerium Oświaty i nie pokrywa się przez odpowiedniego ministra, przeto rektor, jako najwyższy zwierzchnik tej instytucji autonomicznej, bierze udział w prezentacji u Prezydenta obok ministrów w grupie rządu jako w zakresie autonomii akademickiej równy ministrom. Natomiast dziś w grupie wysokich urzędników stawił się do prezentacji u Prezydenta senat akademicki; wobec tego musiałem i ja się stawić, aby przewodniczyć senatowi i w jego imieniu jego adres Prezydentowi odczytać i doręczyć, co też uczyniłem.

Wieczorem na godz. siódmą udałem się do teatru, gdzie brałem udział w wielkim akcie uroczystym, stanowiącym punkt kulminacyjny obchodu 60-lecia Antoniego Smetony. Teatr był pełny po brzegi – wszystkie bilety były przez komitet rozdane i przez doborową publiczność wszystkich sfer i klas rozchwytane. Na przedniej scenie ustawione były rzędy foteli z obu stron frontem do wolnego korytarza, zostawionego wolnym do przejścia. Tu w tych fotelach było miejsce dla jubilata i jego asysty, złożonej ze wszystkiego, co stanowi same szczyty społeczeństwa; tu byli i weterani odrodzenia narodowego litewskiego (dr Jan Šiupas, Marcin Jankus, najstarszy wiekiem Kairiukštis z Wilna, Matulaitis stary, gen. Bułota, Donat Malinowski i inni), i grupa dygnitarzy Kościoła (arcybiskup metropolita Skwirecki,

biskupi Staugaitis, Kukta, Paltarokas), i ministrowie, i profesorów grupa ze mną u szczytu, i komitet jubileuszowy, dobrany z ludzi najbardziej reprezentacyjnych, i dygnitarze wojskowi, i szereg innych grup i postaci, świecących orderami i zdobiących ten zespół imionami i stanowiskiem swoim. Dalej w głębi sceny umieszczona była wielka grupa sztuki – na przedzie kompozytorzy i dyrygenci, to znaczy muzycy (Šimkus, Tallat-Kiełpsz) i soliści teatru (Kipras Piotrowski, Oleka-Żyliński, Antoni Sodeika, Januszkówna-Zauniusowa), dalej piętrami ku górze – połączone orkiestry i chóry połączone. Rozpoczęła się uroczystość aktu od pieśni, wykonanej częściowo przez deklamację, śpiew solistów, grę orkiestry i śpiew chóru, osnutej na motywach ludowych, okolicznościowej i symbolicznej, ułożonej ze słów Kazimierza Binkisa i z muzyką Karnowicza. Potem następowały mowy uroczyste, których było dwanaście: 1. mowa prezesa komitetu – ministra Šilinga, 2. mowa prezesa ministrów Tubelisa, 3. mowa arcybiskupa metropolity, 4. mowa burmistrza Merkisa, 5. mowa prezesa Dyrektorium Kłajpedzkiego – Reizgysa, 6. mowa moja jako rektora w imieniu nauki litewskiej i Uniwersytetu Witolda Wielkiego, 7. mowa gen. Nagiewicza, 8. mowa dr Jana Šliupasa – jednego z filarów „Aušry", 9. mowa drugiego takiegoż patriarchy Odrodzenia – Marcina Jankusa z Kraju Kłajpedzkiego, 10. mowa Stašysa – w imieniu Litwinów wileńskich, 11. mowa Vydunasa jako Litwina pruskiego, odczytana, ponieważ sam przybyć nie mógł, 12. mowa Żmujdzinowicza.

10 września, rok 1934, poniedziałek

Dziś dr Gudowicz zastrzyknął mi znowu preparat „salyrgan" na pędzenie moczu. Od lipca, kiedy wyjechałem z Kowna do Bohdaniszek, „salyrgan" nie był mi zastrzykiwany. Ponieważ jednak doktor pewne pozostałości brzęknięcia w nogach skonstatował, więc mi ten środek jeszcze raz – i bodaj nie ostatni – zastosował. Jest on podwójnie skuteczny, bo jednocześnie – przez wypędzanie zaległej surowicy – działa i na obniżenie wagi. Istotnie mocz mi dziś przez cały dzień znacznie obficiej niż zwykle odpływał. Za to nie pozwolił mi dziś doktor wychodzić z domu. Cały więc dzień chodziłem w szlafroku. Ale zajęcia miałem dość, bo oprócz mojej pracy zwykłej przy biurku – miałem też gości i interesantów. W szczególności nagawędziłem się z Diskinem, a po obiedzie był też u mnie dziekan naszego Wydziału Prawniczego prof. Wacław Biržiška, z którym szereg spraw i w szczególności sprawy tegoż wydziału omówiłem.

Ale wracam jeszcze do wczorajszego aktu uroczystego obchodu 60-lecia Prezydenta Antoniego Smetony w teatrze. Jak mię dochodzą głosy, moja mowa miała być jedną z najlepszych. Mnie się podobała mowa arcybiskupa Skwireckiego, mowa dr Jana Šliupasa, poniekąd – ze względu głównie na serdeczną intonację kobiecą – mowa pani Putwińskiej. Natomiast nie podobała mi się wcale przesadna pochlebna mowa Żmujdzinowicza, a wręcz zgorszony byłem pierwszą wypowiedzianą mową – ministra sprawiedliwości i prezesa komitetu jubileuszowego Stanisława Šilinga. Sens tej mowy służalczej i godnej dewotki, ale nie ministra i zwłaszcza nie ministra sprawiedliwości, doskonale się streszcza w kilku charakterystycznych, zawartych w niej frazesach, które przytoczę tu, aczkolwiek nie dosłownie: oto w swym egzaltowanym entuzjazmie dla osoby Antoniego Smetony doszedł Šiling do takiego zachwyconego zapatrzenia się w Smetonę, że powiada „gdy Cię widzimy zasępionego – niepokój ogarnia nasze serca; gdy się uśmiechniesz – serce nam rośnie i wszystko się rozjaśnia; gdy Ty nam ze zwykłym Ci spokojem potakujesz – stajemy się odważni...". A dalej znowu: „Ty rządzisz nie tylko czyny nasze, ale także nasze uczucia i myśli...". Tak przemawiał do naczelnika państwa minister... sprawiedliwości! Oczywiście powinna być granica hołdu i uznania; przekraczając tę granicę i koncentrując wszystko – od uczuć i myśli aż do gestów i odruchów – w jednej osobie jubilata i wyrzekając się na jego rzecz wszelkiej własnej myśli, inicjatywy i orientacji – pomniejsza się samego wodza, czyniąc zeń pastucha trzody, pobawionej woli i głów własnych. Pojęcie wodza i karności

szeregów nie suponuje koniecznie jednolitej masy idiotów i bezmyślnego zapatrzenia się w wyraz twarzy wodza. Takie traktowanie autorytetu jest wręcz antyspołeczne. Ale najciekawsze jest to, że znając dobrze Šilinga – wiem, że jest on zupełnie szczery i sam wierzy święcie w to, co mówi, a przynajmniej wierzy w tej właśnie chwili, kiedy mówi, sam się podniecając i nakręcając jak jakaś maszynka, nakręcana na egzaltację. O mojej własnej mowie cóż mam mówić, skoro sam jestem jej autorem.

Na uroczystości wczorajszej w teatrze, raczej przed samą uroczystością zaniemógł nagle najstarszy z kompozytorów litewskich Naujalis, który był przyszedł na uroczystość. Odwieziono go zaraz do szpitala, ale Naujalis zaraz umarł, nie odzyskując przytomności.

11 września, rok 1934, wtorek

Poświęcę kartkę dzisiejszą sprawom Wydziału Prawniczego na Uniwersytecie. W ciągu roku ten nasz wydział poniósł duże straty w osobach starszych członków swej profesury. W roku ubiegłym ustąpił ze względu na wiek były dziekan wydziału prof. Leonas, umarł prof. Kriščiukaitis, tego lata umarł prof. Jaszczenko, ustąpił ze względu na wiek prof. Mačys. Choć nie wszyscy oni stanowią osobiście wielką stratę – najmniejszą stratę poniósł wydział w osobie Mačysa – to jednak bądź co bądź powstała stąd luka, którą trzeba zapełnić. Zapomniałem jeszcze wymienić docenta Alfonsa Morawskiego z sekcji ekonomicznej, który w roku akademickim ubiegłym także ustąpił, przekroczywszy granicę wieku. Wprawdzie sporośmy za to przyjęli do wydziału młodych asystentów, kandydujących do profesury, ale z nich jeden tylko Dominik Kriwicki zupełnie się wykwalifikował, awansował na prywatdocenta i może być zużytkowany do wykładów na wakujące miejsca. Inni, spośród których wymienię jako należących do sekcji pranwiczej Olgierda Penkaitisa, Jurgutisa młodszego, Żakiewicza, Kontantego Raczkowskiego, dopiero wyruszyli na uzupełnianie i pogłębianie studiów za granicą, nie doktoryzowali się jeszcze i wykładać samodzielnie jeszcze nie mogą. Kriwickiemu zlecono teraz prawo międzynarodowe po Jaszczence, zamiast zaś Mačysa wykładać będzie procedurę cywilną Szołkowski. Kriwicki zachował poza tym wykłady encyklopedii prawa i w zakresie mojej katedry – wykłady kłajpedzkiego prawa statutowego. Wykładów zaś historii filozofii prawa Kriwicki się zrzekł, objął więc je docent Stankiewicz. Oczywiście, że Kriwicki, jako mój dotychczasowy asystent i pomocnik, odpada, mój zaś asystent formalny, który zresztą bawi obecnie we Włoszech – Raczkowski – specjalizuje się na rzecz katedry prawa kościelnego (stosunek prawny Kościoła do Państwa), która ma być utworzona z woli Prezydenta Smetony. Wobec tego potrzebny mi jest asystent specjalnie dla prawa konstytucyjnego. Chcę nań wykwalifikować mojego pupila Feliksa Mackusa, który już przesłuchał cały cykl wykładów na prawie, ale jeszcze paru egzaminów nie zdał i dyplomu nie ma, ale go niebawem zdobędzie. Słychać, że Janulaitis zamierza znów stawiać kandydaturę Jakuba Robinzona do profesury wydziału! Choć jest on Żydem i to może wywołać komplikacje i protesty młodzieży narodowej, ale zdaje się, że jest on (bo był przynajmniej) *persona grata* u rządu i wobec tego może mieć szanse przejścia. Ja bym gorąco kandydaturę Robinzona popierał. Prof. Radbruck z Niemiec, znany i głośny kryminalista (nie zbrodniarz kryminalny oczywiście, jeno wybitny uczony w zakresie prawa karnego, a więc raczej kryminolog niż „kryminalista"), którego rząd Hitlera wydalił z uniwersytetu (bodajże w Heidelbergu) za to, że jest czy był socjalnym demokratą i był ministrem sprawiedliwości w jednym z rządów socjalistycznych w Niemczech, i którego myśmy zaangażowali do wykładów prawa karnego niemieckiego (kłajpedzkiego) – jakoś nie przyjeżdża. Wpierw się bardzo ucieszył, gdyśmy go zaangażowali i gdy Prezydent ten wybór zatwierdził, i już był obiecał przyjechać na 15 września, ale potem napisał, ze jeszcze przyjechać nie może dla przyczyn, które nie od niego zależą. Domyślamy się – i takie są też pogłoski – że wcale nie przyjedzie. Czy się sam boi, czy też go nie puszczają, bo Niemcy są źli na Litwę za jej politykę kłajpedzką i nie chcą ułatwiać Litwie zorganizowania katedry prawa kłajpedzkiego,

rozumiejąc, że to posłuży do emancypacji sądownictwa kłajpedzkiego od Niemiec i uniwersytetów niemieckich.

12 września, rok 1934, piątek

Na razie nic bardzo szczególnego do zanotowania nie mam. Odbywam co dzień rano przed pójściem do uniwersytetu dłuższy spacer pieszy, dziś mam „dzień mleczny", przed dwoma dniami dostałem porcję „salyrganu", który mi wypędził znów nieco ponad normę moczu, ale jakoś waga nie spada i trzyma się na 90 kilogramach. Było co prawda w poniedziałek wieczorem i wczoraj z rana 89 ½ kilo, ale wnet wróciło do 90.

Od jutra zaczynam z polecenia doktora pić rano w wodzie sole marienbadzkie na zwolnienie żołądka, aby organizm nie zużytkował całego pokarmu, co ma ułatwić dalszą redukcję wagi. Zobaczymy.

13 września, rok 1934, czwartek

Dziś na godzinę szóstą po obiedzie wezwany byłem do Pałacu Prezydenta na posiedzenie prezydium „Komitetu Pomocy Litwie Północnej" z roku 1929 pod przewodnictwem prezeski honorowej tegoż komitetu – pani Prezydentowej Zofii Smetonowej. Zebrało się całe prezydium w komplecie: p. Prezydentowa, wiceprezesi ksiądz Mironas i ja (prezes czynny tegoż komitetu – Władysław Putwiński – od lat kilku już nie żyje), skarbnik Zygmunt Toliušis, sekretarz Zygmunt Starkus, członek Jan Lapėnas, kancelista Aleksandrowicz. Obecny też był w charakterze informacyjnym wiceminister finansów Indrėšiunas w zastępstwie ministra Tubelisa. Komitet ten, zawiązany w roku nieurodzaju dla niesienia pomocy tym miejscowościom północnych powiatów kraju (przeważnie birżańskiego i szawelskiego, poniekąd rakiskiego i możejkowskiego), choć już lat kilka odtąd przeszło, formalnie się jednak nie rozwiązał, bo w dyspozycji jego pozostała jeszcze ze składek i ofiar ówczesnych pokaźna suma 300 000 litów nie zużytkowanych. Ponieważ w prezydium komitetu była różnica zdań co do celu, na który należałoby przeznaczyć tę sumę, więc plenum komitetu nie zostało zwołane i rzecz pozostała w zawieszeniu dotąd. Pieniądze są złożone w Banku Kooperacyjnym. Co roku prezydium przeznaczało nagromadzone odsetki na jakiś cel pokrewny – mianowicie na zapomogi różnym miejscowościom, które ucierpiały od gradu, nieurodzaju, powodzi lub innych klęsk elementarnych rolnictwa. I teraz przeznaczyliśmy 20 000 litów na rzecz zakupu żyta na siew dla pewnych gmin północnych powiatu suwalskiego, w których tego roku grad zniszczył plony. Ale dziś rozważaliśmy także kwestię zasadniczą rozrządzenia likwidacyjnego samego kapitału. Znów powstała kwestia kurortu dla zużytkowania źródeł siarczanych majątku Likieny (vel Smordonie) w powiecie birżańskim. Tym razem jednak kwestia była stawiana nieco inaczej: chodzi o założenie kurortu w samych Birżach; chodziłoby tylko o sprowadzenie rurami wód z Likien, ewentualnie o znalezienie takichże źródeł w bliższej okolicy Birż, na co podobno liczyć można, a rząd udzieliłby na ten cel park Tyszkiewiczowski na wyspie Jeziora Birżańskiego i pałac Tyszkiewiczowski, który się sypie w gruzy. Rząd gotów jest dać Tyszkiewiczowi na zmianę gdzie indziej ziemi lub lasu, na co się zarząd dóbr Tyszkiewicza pono zgadza. Toliušis i Starkus oponowali zdysponowaniu pieniędzy na gruźlicę. Większość prezydium jednak przyjęła w zasadzie wniosek o przeznaczeniu pozostałego kapitału (300 000 litów) na rzecz organizacji kurortu z zastrzeżeniem podwójnego warunku: a. że wniosek ten zatwierdzi plenum komitetu, które będzie zwołane, gdy już organizacja kurortu birżańskiego będzie konkretnie projektowana i b. że cała ta organizacja będzie konkretnie i rzeczowo zaprojektowana i będzie się przedstawiała poważnie tak co do warunków zdrowotnych, jak co do sfinansowania przedsięwzięcia. Następnie prezydium przyjęło jeszcze delegatów z Birż w osobach naczelnika powiatu i p.

Variakojisa – plenipotenta hrabiego Tyszkiewicza birżańskiego, którym prezydium zakomunikowało swoją uchwałę.

14 września, rok 1934, piątek

Znowu nic szczególnego do zanotowania.

Wspomnę tu tylko to, że przed kilku dniami otrzymałem z poczty przez Łotwę list od mojej córki Celiny z Warszawy, pisany w końcu sierpnia. Pisze mi, że otrzymała już od Kotuni Pruszanowskiej pierwszą drobną sumkę 103 złotych z moich dochodów z kamienicy wileńskiej i że napisała do Kotuni z podziękowaniem. Ale znowu i tym razem bodźca do napisania tego listu do mnie dał Eugeniusz Römer, który był w Warszawie na zjeździe Polaków z zagranicy jako jeden z delegatów z Litwy. List Celiny jest grzeczny, ale dość sztywny – etykietalny. Wspomina mi o tym, że jest cierpiąca na wątrobę, czego nie wiedziałem, ale zdaje się, że to coś chronicznego, jak z jej listu wynika.

15 września, rok 1934, sobota

Akt immatrykulacji na uniwersytecie. O godzinie dwunastej w południe ubrałem się w smoking i udałem się na uniwersytet. Profesorów zebrało się dość dużo, studentów – także sporo, przede wszystkim wszyscy ci, którzy obecnie wstąpili na uniwersytet, także i inni – ci ostatni za biletami, albowiem nasza sala aktowa wszystkich zmieścić nie może; było też trochę gości, wszakże nikogo z osób urzędowych. Nie był też obecny minister oświaty prof. Tonkunas, który nie lubi uroczystości i ceremonii i z zasady unika tychże. Jego poprzednik – p. Šakenis – zawsze bywał na tych aktach uniwersyteckich. Wolę jednak Tonkunasa, który na uroczystości nie przychodzi, ale za to jest człowiekiem myślącym, pracowitym, gruntownym, mającym swoje zdanie i wolę, niż Šakenisa, który na uroczystościach bywał, ale poza tym był niezdarny, połowiczny, ciężki, bez energii, bez inicjatywy i bez określonego zdania.

W akcie wziął też udział chór akademicki pod dyrekcją Kaweckiego i delegacja wszystkich korporacji akademickich w uniformach, barwach, emblematach i ze sztandarami. Akt immatrykulacji był w tym roku krótki, bo nie było zmiany rektora, a więc nie było też inauguracyjnej prelekcji rektorskiej. Głównym punktem programu uroczystości była moja dłuższa mowa rektorska, wygłoszona po odśpiewaniu hymnu państwowego. Mowa moja zajęła pół godziny czasu. Wygłosiłem ją z pamięci ściśle podług rękopisu, który ułożyłem jeszcze w Bohdaniszkach i z którego się jej nauczyłem, przez czas dłuższy recytując ją co dzień głośno od początku i co dzień dodając po jednym lub dwa nowe zdania; głośne recytowanie jest najlepszą metodą słuchową nie tylko zapamiętania tekstu, ale także ustalenia intonacji ze wszystkimi modulacjami wymowy. Wymaga to tylko czasu. Mowa moja była podzielona na cztery części. W części pierwszej po króciutkim wstępie ogólnym dotknąłem powstawania nowych uczelni wyższych w kraju, wspominając zarazem o zaprojektowanej przeze mnie Szkole Nauk Politycznych. W części drugiej omówiłem zmianę personalną, zaszłą na stanowisku ministra oświaty i wyraziłem szereg życzliwych myśli i uczuć w stosunku do ministra Tonkunasa. W części trzeciej, najobszerniejszej i najgłębszej, mówiłem do całej młodzieży akademickiej, zalecając jej idealizm czynny, entuzjazm naukowy, obowiązkowość i wiążąc te zalecenia z zadaniami społecznymi i narodowo-państwowymi w kraju, który jak feniks z popiołów odrodził się przez idealizm czynny kilku pokoleń ostatnich; ostrzegałem też młodzież akademicką przed przyjmowaniem wzorów i ideałów z haseł barbarzyństwa, którym są zarażone nieszczęsne Niemcy współczesne. Wreszcie w części czwartej zwracałem się do nowych studentów, ulegających immatrykulacji. Przypominałem im obowiązki akademickie, przemawiałem do ich honoru i ambicji, dawałem zalecenia i wskazówki ogólne co do ich prac akademickich, dyscypliny, ich pozycji w środowisku akademickim itd.; wyraziłem im też moje uczucia serdeczne dla nich i zakończyłem proklamowaniem otwarcia roku akademickiego i semestru jesiennego. Jestem rad ze swojej

mowy, która też innym się podobała. Po mojej mowie sekretarz uniwersytetu prof. Purėnas udzielił informacji o różnych zmianach i faktach, zaszłych na uniwersytecie od d. 16 lutego do daty dzisiejszej. Zmian dużych nie ma, jeno dopływ nowych studentów do uniwersytetu nie tylko że się znów, jak to już od lat paru ma miejsce, zmniejszył, ale wprost spadł bardzo radykalnie i gwałtownie. Szczególnie się to odbiło na naszym Wydziale Prawniczym: sekcji ekonomicznej Wydziału Prawniczego znaczną konkurencję uczynił Instytut Handlowy Ernesta Gałwanowskiego, założony w Kłajpedzie, sekcja zaś prawnicza opustoszała na skutek zeszłorocznej ustawy o sądownictwie, która bardzo radykalnie utrudniła młodym prawnikom dostęp do sądownictwa i adwokatury. Zdaje się, że liczba nowych studentów, którzy się zapisali na sekcję prawniczą, wynosi dotąd od 30 do 40 osób. Dawniej – przed kilku laty – liczba ta dochodziła do kilkuset. Młodzież żydowska na prawie bodajże całkiem zanikła.

Po sprawozdaniu informacyjnym prof. Purėnasa wypowiedział jeszcze mowę powitalną do nowych studentów wiceprezes sejmiku akdemickiego, po czym odśpiewano powszechny hymn akademicki „*Gaudemus igitur!*" i na tym akt został zakończony. Po akcie odbyło się jeszcze posiedzenie senatu akademickiego dla kilku zagadnień śpiesznych.

16 września, rok 1934, niedziela

Byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Między innymi zagadnieniami bieżącymi, które rozpoznawano, omawiano kwestię dyspozycji asystentów oraz znowu ewentualnego zaangażowania adwokata Jakuba Robinzona do profesury na katedrę prawa karnego kłajpedzkiego (niemieckiego). Kandydaturę Robinzona podnieśli znowu Janulaitis i Wacław Biržiška. Biržiška wskazał, że zeszłoroczny sprzeciw formalny senatu sam przez się by upadł, gdyby Robinzon się doktoryzował. Wielka dwutomowa praca naukowa, którą on świeżo wydał po niemiecku (komentarz do autonomicznego statutu Kłajpedy) mogłaby być przez wydział przyjęta za dysertację, a od egzaminów doktorskich wydział by go zwolnił. Ja jednak wskazałem na tę przeszkodę formalną, że ustawa zeszłoroczna o sądownictwie zabroniła łączyć profesurę z adwokaturą i zrobiła wyjątek terminowy (dwuletni, który upływa w jesieni roku 1935) jeno dla tych adwokatów, którzy już obecnie są profesorami, a przeto wyjątek ten – nawet w granicach tego krótkiego terminu – nie może być stosowany do Robinzona, który jest adwokatem, ale profesorem jeszcze nie jest. Ja osobiście z całego serca i całą mocą przekonania jestem zwolennikiem kandydatury Robinzona jako człowieka bardzo wybitnych kwalifikacji naukowych, ale ze stanowiska prawa obowiązującego może on być powołany na stanowisko profesora li tylko o tyle, o ile zechce ustąpić z adwokatury albo o ile ustawowo uczyniony będzie nowy i szerszy wyjątek z zasady ogłoszonej. Niestety – wątpię bardzo, aby Robinzon zechciał dla profesury, której jeszcze nie zakosztował, zrezygnować z adwokatury, w której wyrobił sobie imię i stanowisko i które mu materialnie daje dużo więcej, niż dać u nas może nauka i uniwersytet. Kwestia więc kandydatury Robinzona pozostała w zawieszeniu, ale ja nadziei mam mało.

Wydział postanowił, nie zadawalając się szukaniem kandydatów dla objęcia katedry prawa kłajpedzkiego, zabrać się do wykwalifikowania własnej młodzieży na ten użytek. Dla przygotowania się do prawa karnego kłajpedzkiego upatrzono młodego Litwina z Kłajpedy (zdaje się, że się nazywa Anysas), który ukończył studia prawnicze w Niemczech, był wicekonsulem (zdaje się) litewskim w Hamburgu, a teraz objął jakąś posadę w Kłajpedzie. Dla wykwalifikowania zaś specjalisty na katedrę prawa cywilnego kłajpedzkiego upatrzony został młody Witold-Konstanty Čepas, syn sędziego Macieja Čepasa. Ten po skończeniu u nas uniwersytetu korzysta obecnie ze stypendium Ministerium Oświaty i studiuje prawo cywilne w Szwajcarii; obecnie wydział postanowił go skierować do któregokolwiek – stosownie do jego wyboru – z uniwersytetów niemieckich. Zastrzegłem i ja dla siebie nowego asystenta, bo Kriwicki już ode mnie uciekł, a Raczkowski specjalizuje się w prawie kościelnym. Mam na widoku Feliksa Mackusa. Tylko że Mackus jeszcze ma kilka

egzaminów, z którymi musi pośpieszyć. Dziekan Wacław Biržiška upatruje dla niego stypendium Ministerium Oświaty, byle prędko skończył i po uzyskaniu dyplomu był gotów jechać.

17 września, rok 1934, poniedziałek

Moją rektorską mowę immatrykulacyjna, którą mi chwalili profesorowie i zachwalały gazety, ofiarowałem do druku miesięcznikowi młodzieży katolickiej „Židinysowi", wychodzącemu pod naczelną redakcją jednego z najczynniejszych naukowo naszych profesorów i zarazem jednego z ludzi krystalicznie czystych – filozofa prof. Stanisława Szołkowskiego. „Židinys" jest pismem bardzo kulturalnym, bardzo dobrze redagowanym, przekonaniowym. Nigdy w nim nic nie drukowałem, bo zresztą od obozu Chrześcijańskiej Demokracji jestem daleki, a za czasów rządów chrześcijańsko-demokratycznych byłem obozowi temu wręcz wrogi. Teraz, jako rektor, chcę zachować neutralność i być równie przyjaźnie dla wszystkich grup ideowych młodzieży usposobiony, rozumiejąc zresztą, że każdy prąd ideowy, o ile tylko jest szczery, jest godny uznania i spełnia pewną określoną funkcję użyteczną w społeczeństwie. Już raz przed laty kilku literat prof. Mykolaitis-Putinas, który wtedy był redaktorem naczelnym „Židinysu", prosił mię o rękopis pewnego mego odczytu dla „Židinysu", ale mu go wtedy udzielić nie mogłem. Toteż wreszcie teraz okazję znalazłem. Poprosiłem o przysłanie do mnie współpracownika pisma, któremu bym mógł moją mowę podyktować z pamięci. Redakcja przysłała mi go po obiedzie. Mowa jest dość długa. Mówiona – zajmuje ona przeszło pół godziny, dyktowana zaś – zajęła kilka godzin czasu.

Miałem dziś różne wizyty. Był jakiś Węgier, który objeżdża kraje Europy Wschodniej z ramienia jakiegoś wydawnictwa almanachowego angielskiego, poświęconego skatalogowaniu biograficznemu żyjących i czynnych współcześnie ludzi wybitnych w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Musiałem mu udzielić informacji biograficznej o sobie, o pracach naukowych moich i stanowiskach, które zajmowałem. Redakcja wydawnictwa jest w Szwajcarii, siedlisku Ligi Narodów.

Drugą miałem wizytę rysownika karykaturzysty łotewskiego, który szkicuje charakterystyczne, ale nie złośliwe karykatury różnych bardziej znanych działaczy państwowych, kulturalnych i innych w trzech krajach bałtyckich (Litwie, Łotwie i Estonii). Zbiór tych karykatur z jakimiś notatkami *ad personam* ma być umieszczony w jakimś wydawnictwie almanachowym w Rydze, które ma się ukazać w związku z nawiązaniem ściślejszego porozumienia bałtyckiego jako jedno z narzędzi zbliżenia tych krajów i poznania się wzajemnego.

Wykładać na uniwersytecie jeszcze w tym tygodniu nie zacznę. Ogłoszę rozpoczęcie wykładów w tygodniu przyszłym – od poniedziałku.

18 września, rok 1934, wtorek

Tego lata utworzony został w Kownie pierwszy w Litwie zawiązek głośnego międzynarodowego „Rotary-Clubu", którego zarządu głównego siedziba jest w Nowym Jorku w Ameryce i który po wojnie rozszerzył się po całym świecie, tworząc we wszystkich krajach organizacje narodowe tego klubu, a nawet tworząc poszczególne kluby lokalne nie tylko w krajach, ale nawet we wszystkich większych miastach. Dość powiedzieć, że jedynymi krajami w Europie, w których „Rotary-Clubu" nie było, były tylko Litwa i... Albania. „Rotary-Club" jest organizacją statutowo ściśle scentralizowaną, co nie przeszkadza, że poszczególne jego kluby krajowe i lokalne, mając identyczne statuty, cele ogólne, zasady i tryb funkcjonowania, mają skądinąd wolność zupełną wytykania sobie zadań konkretnych. „Rotary-Club" jest organizacją bardzo zbliżoną do wolnomularstwa, zapewne ekspozyturą masońską, jeno wolną od obrządków i przepisów szczególnych masońskich. Zebranie „Rotary-Clubu" są zamknięte,

członków obowiązuje solidarność wzajemna, szacunek i braterstwo, klub hołduje humanizmowi w znaczeniu najszerszym. Zasadą klubu jest, żeby z każdego zawodu, z każdej kategorii społecznej czy społeczno-zawodowej należał do klubu ktoś jeden, ale nie więcej niż jeden. Członkowie, których nie może być mniej niż 18 i nie więcej jak pewna liczba określona (zdaje się – czterdziestu kilku), muszą się zbierać co najmniej raz na tydzień, zwykle na wspólny obiad lub inną wspólną ucztę, w której trakcie przewodniczący udziela informacji i jeden z członków („braci”?) musi wygłosić krótki referat na jakiś temat, po czym następuje ewentualnie dyskusja. Obowiązuje tajemnica obrad, ale nie tajemnica samego istnienia klubu. Żadnej przysięgi nie ma. Udział we wspólnej uczcie tygodniowej jest obowiązkowy. Dla przyjęcia nowego członka trzeba zgody wszystkich.

Na wiosnę czy latem podprokurator Trybunału i asystent katedry prawa karnego na uniwersytecie Karol Żołkowski, jeżdżąc do Estonii, spotkał tam i poznał się z „gubernatorem” zarządu centralnego „Rotary-Clubu” na kraje bałtyckie (Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę) i po porozumieniu z nim podjął się inicjatywy założenia Rotary-Clubu w Kownie. Tu z grupą kilku osób, z którymi wszedł w kontakt, zaczął werbować członków-założycieli, tworzących dziś zawiązek klubu. W przeszły wtorek zebrali się oni na pierwszy obiad wspólny w restauracji Metropolu (Hotelu Litewskiego). Wtorek od godziny 2 ½ do 3 ½ wyznaczony został za stały dzień obiadu wspólnego tygodniowego w gabinecie „Trzech Książąt” („Trijų Kunigaikščių kambarys”) restauracji Metropol. Tam uchwalono jeszcze kilka nowych kandydatur, w tej liczbie i moją, toteż ja byłem dziś po raz pierwszy. Klub jeszcze nie jest ukonstytuowany, obecny zespół stanowi jeno zawiązek założycieli. Gdy liczba założycieli dojdzie do 18, wtedy przyjedzie delegat, który dokona inauguracji uroczystej „Rotary-Clubu” w Kownie. Na obiedzie grupy założycieli obecni byli dzisiaj: prezes Żołkowski, burmistrz Kowna Merkys, dyrektor „Maistasu” Lapėnas, adwokat Toliušis, przemysłowiec Vosylius, były dyrektor „Elty”, a obecnie poseł litewski w Pradze Turowski, adwokat Jakub Robinzon, geograf prof. Pakštas, solista Opery Kipras Piotrowski, prezes Związku Dziennikarzy dr Józef Purycki, ekonomista i były minister za rządów chrześcijańsko-demokratycznych dr Karvelis, chirurg docent Kuzma, adwokat i docent Włodzimierz Stankiewicz, ja i paru innych, których nie pamiętam i nie znam. Dowiedziałem się, że był proszony, ale odmówił udziału prezes Trybunału Ciplijewski, byli zaproszeni, ale nie przyszli prezes „Pienocentrasu” Glemža i członek Rady Stanu Zygmunt Starkus. Dziś uchwalono kooptować prezesa Izby Apelacyjnej Gudowskiego, docenta Tadeusza Pietkiewicza, byłego rektora prof. Czapińskiego i paru innych. W zawieszeniu pozostały tymczasem kandydatury prof. Krėvė-Mickiewicza z ramienia Wydziału Humanistycznego, prof. Mykolaitisa-Putinasa z ramienia literatów, ks. Kapočiusa z ramienia duchowieństwa katolickiego, prof. Jakubėnasa z ramienia duchowieństwa kalwińskiego, młodego Griniusa z ramienia armii, prof. dr Lašasa z ramienia Wydziału Medycznego. Wspominano jeszcze o prorektorze prof. Česnysie, o przedstawicielu prasy codziennej, o przedstawicielu dramatu, o dyrektorze gimnazjum rosyjskiego Tymińskim...

19 września, rok 1934, środa

Był u mnie Dominik Szydłowski-„Visuomis”, założyciel nowej religii społecznej. Mieszka on od lat kilku w okolicach wielkiej wsi Bredesy, położonej na dużym gościńcu z Abel do Antuzowa i z Krewien tamże, w powiecie jezioroskim, w gminie, zdaje się, dusiackiej, a może antuzowskiej, prawie że na pograniczu powiatu rakiskiego gminy abelskiej, dawniej w tym miejscu – krewieńskiej. Miejscowość tam jest bardzo ładna – między wzgórzami i wąwozami nad wielkim jeziorem Sarty i w pobliżu kilku innych jezior, wśród lasów, wód i widoków prześlicznych. Od kilku już lat Szydłowski zabiega o założenie tam stacji letniskowo-klimatycznej. Zaagitował on przed paru laty dwóch inteligentów z Kowna – inżyniera docenta Gravrogka, byłego burmistrza miasta Kowna, i astronoma docenta

Kuodaitisa, Kłajpedczyka rodem – do nabycia tam na półwyspie jeziora Sarty parceli ziemi na rzecz postawienia tam will letniskowych dla siebie. Miejscowość tę na półwyspie, który ma z trzech stron wodę, a z jednej – las, nazwali oni z tradycji starolitewskiej „Romuva". Szydłowski marzy i zabiega o zbudowanie tam wielkiego hotelu dla turystów i letników. Otóż dowiedziałem się od niego o nowym zamierzonym kierunku projektowanej kolejki wąskotorowej z Rakiszek do Jezioros. O tym, że taka kolejka jest projektowana, wiedziałem. Miała ona iść czy ze Skopiszek, czy z Rakiszek na Komaje, Jużynty, Dusiaty. Otóż podobno teraz postanowiono stanowczo, aby szła ona z Rakiszek w myśl zasady łączenia kolejami żelaznymi miast (Rakiszki-Jeziorosy), a nie jakichś wsi, miasteczek lub innych osad drobnych, a ze względu na zmniejszenie kosztu, na skrócenie linii i na dogodniejsze warunki terenu – postanowiono zmienić kierunek projektowanej wąskotorówki i prowadzić ją nie na Dusiaty, lecz na Krewny-Antuzów. W takim razie, jak twierdzi Szydłowski, szłaby ona z Rakiszek na las rudelski i dalej gościńcem (gościniec tu zrobiony przed paru laty, dawniej była zwyczajna droga wiejska) na Rudele-Wiwieliszki-Prapultinię-Karwieliszki-skrawek mojego Gaju-Ginduryszki (Malcinię)-Busiszki, potem znów drogą krewieńską przez Borówkę na wioskę Pokrewnie, gdzie by stanął most na Krewnie, i dalej wprost na Barczany, zostawiając Krewny o pół kilometra w bok na prawo, z Barczan zaś byłaby skierowana naokoło małego jeziorka Miałańskiego (tak, zdaje się) na brzeg jeziora Sarty pod Pozorciami, gdzie przez nasyp i most przecięłaby dolinę ruczaju, płynącego z Jeziora Kieleżerskiego i podnosiłaby się stopniowo, posuwając się wzdłuż wybrzeża Sart, na górę i rosnący tam las, a potem już by szła na Bredesy, Antuzów itd. Szydłowski mówi, że ten nowy kierunek jest w zasadzie zdecydowany, że popiera go stanowczo sam dyrektor czy naczelnik zarządu kolejek wąskotorowych inżynier Bulota, również oczywiście Gravrogk, który poprzednio był tym dyrektorem, i podobno – ze względów oszczędnościowych – sam minister finansów i prezes ministrów w jednej osobie – Tubelis. Szydłowski ma jeszcze agitować wójtów w Antuzowie i Abelach, aby gminy poparły czynnie projekt tego kierunku kolejki i zapewniły pomoc w robociźnie w naturze przy kopaniu ziemi, sypaniu nasypów, zwózce materiałów itd. Jeżeli kolejka tą drogą pójdzie, to przecinać będzie moją ziemię bohdaniską pod Karwieliszkami i w Gaju. Daj Boże! Byłoby to przyjemne i podniosłoby Bohdaniszki, a może gdzieś blisko byłby i przystanek kolejki. Szydłowski twierdzi, że rzecz już prędko będzie wykonana – przez zimę ma być teren szczegółowo wystudiowany, a z wiosną rozpoczną się roboty nad budową kolei w terenie, za rok zaś – kolejka zacznie już funkcjonować. Daj Boże!

20 września, rok 1934, czwartek

Dziś – po wczorajszym „dniu mlecznym" – waga spadła znowu o jeden kilogram. Mianowicie rano ważyłem 88 kilo. Cyfra ta dziś się po raz pierwszy w rubryce wagi mojej ukazała. Oczywiście przez czas jakiś waga, jak zawsze, będzie się jeszcze wahała między 88 i 89, aż się wreszcie ustali na 88, by znów zacząć spadać dalej. Ta walka systematyczna z ciężarem własnego ciała na rzecz spędzenia zastojów wody i narosłego tłuszczu, walka o zmniejszenie wagi – ma w sobie coś ze sportu, który roznamiętnia i zarazem podnieca jakąś ambicję. Każde kilo mniej cieszy mię jak zabawka cieszy dziecko. Wieczorem byłem dziś u dr Gudowicza. Stwierdził on, że jeszcze w nogach moich woda podskórna się trzyma. Wobec tego w przyszłym tygodniu znowu mi salyrgan zastrzyknie.

W mojej lekturze trafił mi się teraz stary numer pisemka akademickiego niemiecko-litewskiego „Juniores", które zaczęło wychodzić w roku 1929 na wiosnę i które dziś, wraz z samą ideą, której służyło, od dawna jest już, dzięki Bogu, pogrzebane. Była to idea nawiązania kontaktu serdecznego między narodową młodzieżą akademicką niemiecką w Królewcu a takąż młodzieżą litewską w Kownie. Tło tego kontaktu serdecznego, doskonale wyrażone bez żadnych osłon w pisemku, wręcz polityczne: przeciwstawienie się wpływom polityki francuskiej, pognębienie Polski, nienawiść do Traktatu Wersalskiego, idea

odzyskania przez Niemcy i odpolszczenia Pomorza polskiego („korytarza") i Śląska Górnego na rzecz Niemiec i odzyskania Wilna na rzecz Litwy. Ze strony młodzieży litewskiej patronował temu zbliżeniu Wilnianin Čiburas, który w swoim czasie był prezesem korporacji narodowej „Neo-Lithuania". Jest tam i artykuł powitalny ówczesnego rektora naszego uniwersytetu prof. Jodeli, który dał się wciągnąć w tę imprezę. Ohydne to zbliżenie, bo pod pokrywką serdeczności taiła się drapieżność krzyżacka Niemców pruskich, zabójcza dla Litwy. Dziś to się czyta jak bajkę, choć to było zaledwie przed pięciu laty! Rozwój wypadków w Kłajpedzie, akcja gubernatorów kłajpedzkich Merkisa i Navakasa wyzwoliły narodowców litewskich od iluzji germanofilskich i podcięły radykalnie intrygę krzyżacką w młodej Litwie.

21 września, rok 1934, piątek

Po obiedzie egzaminowałem kilku studentów, już po raz drugi od rozpoczęcia semestru. Skądinąd nic szczególnego do zanotowania nie mam.

Andrzej Mieczkowski, który u mnie mieszka, zdał dziś na uniwersytecie egzamin z języka litewskiego, który jest wymagany od tych wstępujących na nasz uniwersytet studentów, którzy ukończyli bądź za granicą, bądź nawet w Litwie niepodległej takie gimnazjum, w którym językiem wykładowym jest język nie litewski. Tym, którzy ukończyli gimnazjum poza granicami Litwy niepodległej, egzamin litewski odraczany bywa na ich żądanie na cały rok. W tej pozycji był też Andrzej, który skończył gimnazjum jezuitów w Wilnie i w roku akademickim ubiegłym wstąpił na nasz uniwersytet na Wydział Humanistyczny na filologię. Przed rokiem umiał on bardzo słabo po litewsku – tylko tyle, ile na wsi koniecznym jest dla rozmówienia się we dworze z robotnikami – i to kiepsko. Cały rok ubiegły poświęcił on bardzo pracowicie studiom starannym nad językiem. Miał do pomocy korepetytora – kończącego studenta humanistę Baravykasa; wystudiował doskonale pisownię, gramatykę, literaturę, tylko w mowie ustnej nie zwalczył akcentu polskiego. Bał się tego egzaminu, ale zdał go dobrze dzisiaj.

22 września, rok 1934, sobota

Dzisiejszą kartę dziennika poświęcę sprawie, która nie ma żadnego związku z dniem dzisiejszym, a zresztą nie jest żadną „sprawą", jeno po prostu – tematem, o którym chcę napisać. Mianowicie – chcę poruszyć osobę dziekana Wydziału Medycznego, prof. dr Lašasa i jego działalność w charakterze kierownika Wydziału. Lašas, rodem spod Rakiszek, syn zamożnej rodziny gospodarskiej, po ukończeniu studiów uniwersyteckich na medycynie był osiadł w Rakiszkach jako lekarz praktykujący. Praktykował tam w czasie wojny i za okupacji niemieckiej. Był jeszcze młody, znakomitością nie był, żadnych zdolności wybitnych nie ujawnił. Był przeciętny, ani zły ani dobry – ot, sobie zwyczajny lekarz prowincjonalny. Zresztą jego kwalifikacji zawodowych i naukowych nie dotykam, bo się na nich nie znam. Mam wrażenie, że jest mierny. Jako człowiek, jako umysł i charakter – jest bardzo pospolity, małostkowy, przywiązany do konwenansów, płytki, ale za to bardzo ambitny i życiowo sprytny. Jest on ludowcem partyjnym, co mu za czasów sejmowych i bloku ludowców z Chrześcijańską Demokracją rządzącą ułatwiło przeniesienie się z Rakiszek do Kowna i dostanie się na Wydział Medyczny zakładającego się uniwersytetu w charakterze profesora. Gdy w roku 1924 ówczesny pierwszy dziekan tego wydziału, prof. dr Avižonis, człowiek bodaj przykrego charakteru i nie bardzo lubiany, choć specjalista okulista niewątpliwie wybitny, został wybrany prorektorem (w następnym 1925-1926 roku akademickim był on rektorem), Lašasowi się upiekło: wydział go wybrał na dziekana i odtąd jest on dziekanem stale dotąd. Rozumiejąc, że dla zupełnego ugruntowania się w profesurze, zwłaszcza na stanowisku dziekana, trzeba mieć stopień naukowy (szczególnie na medycynie!), Lašas, który jest nie tylko ambitny i sprytny, ale umie być także, gdy trzeba, pracowity, nie zaniedbał

doktoryzowania się: odbył sumiennie całą procedurę doktoryzacji, napisał dysertację doktorską, obronił ją publicznie, uzyskał stopień formalny doktora medycyny. Wiedział on dobrze, że ma dużo wrogów w świecie lekarskim, którzy go dla różnych powodów nie lubią lub wprost zazdroszczą, bo sami nie są na uniwersytecie, i zabezpieczył się od nich doktoratem. Pozornie zdawałoby się, że mocne trzymanie się przez Lašasa partii ludowców nie może być brane za objaw karierowiczostwa, raczej przeciwnie – bo dziś ludowcy są w opozycji i żadnego wpływu na rządy w państwie nie mają. Ale tak jest tylko pozornie. Po władzę polityczną w państwie Lašas nie sięga. Może by i sięgnął chętnie po jakąś tekę ministerialną, gdyby ludowcy byli u steru. Tymczasem wszakże chodzi mu tylko o uniwersytet i swoje w nim stanowisko, zwłaszcza na Wydziale Medycznym, gdzie zdołał on tak się urządzić zręcznie, ze jest jak wmurowany w fotel dziekański i że faktycznie rządzi wydziałem jak chce, a przez senat, w którym umie zręcznie lawirować i grać na ambicji kolegów i ma popleczników, jak zwłaszcza Zygmunt Žemaitis, ulegający jego wpływowi, usiłuje wywierać wpływ na całokształt spraw akademickich. Tu w Wydziale Medycznym jego przynależność partyjna do ludowców jest mu bardzo pomocna. Wydział Medyczny pod wodzą Lašasa i Towarzystwo Medyczne Litewskie, na którego czele stoją tradycyjne od dawna takie filary ludowców, jak stary dr Kazimierz Grinius i stary dr Staugaitis, ludzie osobiście czyści i zacni, ale zacietrzewieni partyjniacy, wzajemnie siebie popierają i w jedną dudkę grają. A kompletując młode siły dla tworzenia kadrów przyszłej profesury wydziału kwitnie faworytyzm partyjny na rzecz utrzymania przewagi ludowców. System protekcyjny partyjny jest tam w stanie kwitnącym, a patronuje mu Lašas, który się tym trzyma.

Może innym razem więcej o nim jeszcze napiszę, z czego będzie widać, że umie on połączyć pozory ideowca wolnościowego z praktyką nacjonalistyczną, mogącą iść w zawody z najskrajniejszymi nacjonalistami.

23 września, rok 1934, niedziela

Dziś żadnego posiedzenia ani uroczystości nie miałem. W ogóle dotąd mam pod tym względem spokój względny: za wyjątkiem extra-uroczystości 60-lecia Prezydenta Smetony i naszego dorocznego aktu akademickiego immatrykulacji nic pilnego poza tym nie miałem. Zacznie się zapewne w październiku. Bez tych uroczystości jest spokojniej, lepiej się pracuje i dużo więcej można zrobić w dziedzinie pracy naukowej. W ogóle w tym roku maja praca jest dużo wydajniejsza, niż w ubiegłym; w roku ubiegłym byłem już ciężko chory i tylko z wielkim wysiłkiem mogłem pracować; zasypiałem ciągle i przy każdej robocie, tak że lwią część czasu marnowałem na drzemkę niezdrową, która była nie reakcją wypoczynkową zapracowanego organizmu, ale objawem chorobliwym zatruwania mózgu przez „wodę”, czyli surowicę krwi zużytej, nie wydalaną z organizmu w drodze moczu. Kilkakrotnie mi się w roku zeszłym nawet zdarzyło, że senność napadła na mnie podczas wykładu, tak że aż traciłem wątek myśli i zaczynałem coś nie bardzo do rzeczy mówić, tracąc przytomność: odchwytywałem się wprawdzie wysiłkiem woli i nie wiem, czy słuchacze to byli spostrzegli, ale w każdym razie utrudniało mi to pracę wykładową i było nader przykre. W pracy zaś przy biurku, a już zwłaszcza w toku czytania albo jakiejś roboty mechanicznej, ale nawet podczas pisania listów albo układania mów lub opracowywania artykułów i odczytów – wpadałem w drzemkę stale i ciągle. Po każdym zaś jedzeniu po prostu nie mogłem przez kilka godzin pracować. Najgorsze zaś było to, że ta dolegliwość wciąż szła *crescendo*. Sam się zastanawiałem nad tym, co to będzie, bo spostrzegłem, że senność wciąż postępuje. Czułem, że już rychło dojdę do tego stanu, kiedy stracę zdolność do pracy. Czułem, że przedwcześnie starzeję i że niebawem będę w pełnym uwiądzie umysłowym. Cierpiałem nad tym wiele, ale przykro mi o tym było bądź mówić, bądź pisać – nawet w dzienniku. Nie skarżyłem się i ból ten w sobie taiłem. Przewidywałem już, że niebawem, jeżeli te objawy będą postępować, wypadnie mi zaniechać wykładów, usunąć się z uniwersytetu i zresztą wycofać się ze

wszelkiej pracy zawodowej bądź w Radzie Stanu, bądź gdzie indziej, jak np. w sądzie, bo nie mogę usiedzieć bez drzemki na posiedzeniach i staję się niezdatny do niczego. Musiałbym ze wszystkiego zrezygnować i osiąść jako emeryt w Bohdaniszkach na jakiejś emeryturze z łaski (bo prawa do emerytury jeszcze nie wysłużyłem) – i tam czekać smutnego końca w pełnym uwiądzie sił nie tylko fizycznych, ale też psychicznych. Smutna perspektywa!

Teraz odżyłem i odmłodniałem, odzyskałem energię, jędrność i prężność umysłową i nawet fizyczną. Senności nie doświadczam wcale. Nie umiem wyrazić, jak wdzięczny jestem dr-owi Gudowiczowi i jak się cieszę z tej zmiany. Czuję teraz, że jeszcze pożyć mogę dłużej – być czynnym i użytecznym społecznie. Chcę już na wiosnę zabrać się do drugiej części mojej wielkiej pracy naukowo-literackiej, obejmującej całą naukę prawa konstytucyjnego.

24 września, rok 1934, poniedziałek

Rozpocząłem dziś rano wykłady na uniwersytecie. Pierwszy wykład miałem dla prawników I semestru, którym wykładam dwa razy na tydzień (w poniedziałki i środy) po dwie godziny (razem cztery godziny tygodniowo). Wykładam im stary mój kurs prawa konstytucyjnego – części ogólnej. Ekonomistom I semestru wykładać będę dwie godziny tygodniowo (we czwartki) ten sam kurs skrócony. Zaś raz na tydzień dwie godziny wykładać będę nowy, świeżo przeze mnie opracowany kurs prawa konstytucyjnego litewskiego dla prawników i ekonomistów III semestru, który w tym roku słuchać będą także prawnicy V semestru, bo w roku ubiegłym kursu tego nie było. Wykłady części ogólnej, tak obszerniejszej dla prawników, jak skróconej dla ekonomistów, przeniosłem w tym roku znowu, jak to już miało miejsce przed kilku laty, na godziny ranne – od dziewiątej do jedenastej, zaś prawo konstytucyjne litewskie wykładać będę wieczorem (we wtorki) od godz. siódmej do dziewiątej. Wieczorem też (w soboty) odbywać się będzie seminarium prawa konstytucyjnego, które tylko na razie poprowadzę sam, względnie trochę Kriwicki, a po nowym roku w semestrze wiosennym poprowadzi je mój asystent Raczkowski, który już wróci wtedy z Rzymu.

Mój pierwszy wykład dzisiaj, dla prawników I semestru, udał mi się dobrze. Był to jeno wstęp – różne informacje i zastrzeżenia o moich metodach nauczania, o środkach studiów (literatura przedmiotu), o nazwie wykładanej nauki, o systemie i podziale mego kursu, poczym przeszedłem do ogólników pojęć elementarnych.

Tegoroczne audytorium I semestru sekcji prawniczej jest bardzo nieliczne – zaledwie coś ze 40 do 50 najwyżej słuchaczy. Jeżeli tyle zaledwie jest na pierwszym wykładzie, to ileż będzie bywało później! Chyba po kilkanaście albo może po kilku. Dawniej semestr I liczył po 400 i 500 słuchaczy. Ilość prawników bardzo zmalała. Odstraszyła ich nowa ustawa o sądownictwie, która bardzo skomplikowała staż dla dostępu do adwokatury i do magistratury sądowej i bardzo ten dostęp zwęziła. Żydów na I semestrze prawa bodajże wcale nie ma albo może wyjątkowo znajdzie się jakiś jeden-drugi, a dawniej Żydów na prawie bywało multum.

25 września, rok 1934, wtorek

Byłem po raz drugi na obiedzie wspólnym „Rotary-Clubu”. Przybyło kilku członków nowych: starszy notariusz Kubilius, mój były uczeń z uniwersytetu, dyrektor „Pienocentrasu” – Glemža, dyrektor Izby Rolniczej Tallat-Kiełpsz... Obecnych było 18 osób. Łącznie z paru nieobecnymi i kilku nowymi, których już uchwalono zaprosić do udziału, liczba ogólna założycieli wzrosła do przeszło 20. Wobec tego uchwalono przystąpić już do formalnego zainaugurowania kowieńskiego (pierwszego litewskiego) Rotary-Clubu. Zostanie o tym zawiadomiony gubernator prowincji czy rejonu, do którego Litwa należy – Finlandczyk, który na tę uroczystość przyjedzie i dokona ceremonii. Wyznaczono to na sobotę 6 października.

Wieczorem rozpocząłem wykłady litewskiego prawa konstytucyjnego, którego słuchają u mnie naraz dwa semestry (III i V) prawników i jeden semestr (III) ekonomistów. Wykładam

prawie całkowicie z notatek czy zapisek, które ułożyłem bardzo szczegółowo. Zacząłem od streszczenia przebiegu i istoty ruchu narodowego litewskiego i doszedłem w wykładzie dzisiejszym do roku 1905. Wykład, zdaje mi się, wypadł dobrze, barwnie i jędrnie i mam wrażenie, że się słuchaczom prawdziwie podobał i sprawił na nich duże wrażenie dodatnie. Ciekaw byłbym ich opinii.

26 września, rok 1934, środa

Przyjechał z Wilna dr Witold Legiejko. Był przed paru dniami u mnie, dziś ja go odwiedziłem. Dr Legiejko pochodzi ze średnio zamożnej szlacheckiej rodziny ziemiańskiej z pow. szawelskiego, która jest pochodzenia litewskiego, ale spolonizowana. Jego językiem domowym jest polski, większość jego rodziny uważa się za Polaków, ale on sam ma się za Litwina. Współżyje z Litwinami w Wilnie, pracuje zawodowo jako lekarz w poliklinice litewskiej tamże, jest w Wilnie jednym z miejscowych inteligentów Litwinów. Jest to człowiek sympatyczny, pogodny i jowialny, w politykę nie bardzo się wdaje, usposobiony jest pod względem kulturalnym ugodowo i pojednawczo w stosunku do Polaków, aczkolwiek politycznie trwa na stanowisku litewskim państwowym. Dr Legiejko mi mówił, że w ostatnich czasach w kołach inteligenckich polskich w Wilnie – wśród Wilnian rdzennych o kierunku mniej lub więcej „postępowym” – zainteresowanie Litwą i pragnienie nawiązania z nią bliższych stosunków, słowem – zwrot w kierunku pojednania i zbliżenia – bardzo wyraźnie się zaznacza. W szczególności bardzo przyczyniają się do tego wycieczki poszczególnych Wilnian Polaków do Kowna i Litwy niepodległej, gdzie widzą oni wybitne owoce państwowości i pracy Litwinów. Uznanie dla Litwy rośnie. Nie należy tego oczywiście utożsamiać z jakimś dążeniem do wcielenia się do państwowości litewskiej; takiego dążenia w tych kołach nie ma. Niedawno odbyło się tam parę szerszych zebrań tych sympatyków Litwy z udziałem także kilku Litwinów, w których liczbie był i Legiejko. Mówiono tam o zbliżeniu, o nawiązaniu stosunków wzajemnych, o czymś w rodzaju towarzystwa polsko-litewskiego, które należałoby zawiązać. Był tam naturalnie Ludwik Abramowicz, który gorąco przemawiał, był Bronisław Krzyżanowski i inni. Na jednym z tych zebrań wystąpił nawet i przemawiał... Wacław Studnicki, zawołany poprzednio nacjonalista i państwowiec polski, wróg Litwy, który zawsze lekceważył Litwę i Litwinów traktował nieufnie. Podobno Studnicki, który sam przed półtora rokiem czy coś koło tego był przyjechał do Kowna, wystąpił tym razem bardzo pojednawczo na rzecz zbliżenia, podkreślając, że oto on sam poprzednio odmawiał Litwinom cech narodu, uważając ich jeno za grupę etniczną do zasymilowania państwowego czy narodowego przez innych, ale obecnie zdanie to zmienił, ma dla Litwinów uznanie i pragnąłby bardzo nawiązania z Litwą kontaktu społeczno-kulturalnego. To wystąpienie Studnickiego było nawet poniekąd małą sensacją.

Ale – powiada Legiejko – o ile w tych kołach inteligenckich wzrastają sympatie do Litwy i Litwinów i uwydatnia się chęć zbliżenia, zdaje się – dosyć szczera, o tyle władze polskie w Wileńszczyźnie swojej akcji antylitewskiej nie osłabiają bynajmniej. Przeciwnie – prowadzą ją twardo i konsekwentnie, choć w kontakcie osobistym są grzeczne i kurtuazyjne. Zwalczają one szczególnie szkolnictwo litewskie, zamykają szkółki narodowe Litwinów, dążą konsekwentnie do polonizacji. Toteż w kołach litewskich te objawy przyjaźni kół inteligenckich polskich są przyjmowane chłodno i niezbyt ufnie.

Najgorsi zaś pono, najzajadlejsi, brużdżący wszędzie i podniecający wszystko, co drażnić może, z pianą na ustach szkalujący Litwinów i wszystko co litewskie, są emigranci z Litwy niepodległej – Polacy litewscy, którzy z niepodległej części kraju tam do Wileńszczyzny zbiegli. Istotnie – emigranci polityczni są wszędzie tacy sami. Gorzknieją oni na emigracji, tęsknią do siedzib, z których uciekli, i nie mogąc wrócić – nienawidzą rządy krajowe, złorzeczą i czekają zmiany, która by im pozwoliła wrócić w charakterze triumfatorów. To jest element nieprzejednany, tragicznie wściekły, szkodliwy społecznie. Są

to biedni ludzie, nędzni moralnie i litości godni, ludzie społecznie chorzy, u których złość gorzka i nienawiść stały się namiętnością. Nie wszyscy emigranci polityczni są tacy, ale taka jest ich większość, ich ogół przeciętny.

27 września, rok 1934, czwartek

Rano rozpocząłem dziś wykłady skróconej części ogólnej prawa konstytucyjnego ekonomistom semestrów I i III. Wykłady te prowadzić będę podług zapisek, ułożonych w ubiegłym roku akademickim dla wykładów na Wyższych Kursach Sztabu Generalnego. Początek był bardzo dobry. Co do audytorium moich słuchaczy tegorocznych z sekcji ekonomicznej, to chociaż jest ono mniej liczne od audytorium moich wykładów litewskiego prawa konstytucyjnego (w nim biorą udział aż trzy semestry – dwa sekcji prawniczej – III i V – i jeden sekcji ekonomicznej – III), jest ono znacznie, co najmniej poczwórnie liczniejsze od audytorium moich wykładów nie skróconej części ogólnej, na które się składa sam jeden semestr I prawników, który w tym roku jest szczególnie mały. W tym ostatnim audytorium nie dostrzegłem wcale Żydów i widziałem tylko dwie kobiety studentki. W dzisiejszym natomiast audytorium dwóch semestrów ekonomistów widziałem także Żydów i całe mnóstwo studentek, wynoszących prawie połowę ogółu słuchaczy.

Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego na uniwersytecie. W liczbie wielu drobnych kwestii rozpoznanych była też jedna nieco ogólniejszego znaczenia, którą senat nie tyle rozstrzygał, ile wysłuchał i udzielił mi porady, o którą go prosiłem. Zreferowałem mianowicie senatowi list osobisty, który latem w czasie choroby mojej otrzymałem od rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, prof. Staniewicza, którego zresztą znam osobiście. Rektor Staniewicz, ziemianin z powiatu trockiego (majątek jego jest po stronie litewskiej), były minister rolnictwa w Polsce, należący od dawna do grupy demokratycznej postępowców polskich w Wilnie i piłsudczyk, zwraca się w tym liście do mnie jako rektora uniwersytetu w Kownie, zaprasza mię do przyjazdu do Wilna w celu wygłoszenia na uniwersytecie odczytów o organizacji nauki w Litwie niepodległej, podnosi wniosek przyjazdu też do Kowna kogoś z ramienia uniwersytetu wileńskiego na zaproszenie nasze dla wygłoszenia u nas odczytów o uniwersytecie i nauce w Wilnie i motywuje swoją inicjatywę pożądanym zbliżeniem między „Obojga Narodami”. Z góry sam z własnej inicjatywy zdecydowany byłem i jestem odpowiedzieć na propozycję tę grzecznie wprawdzie, ale zasadniczo odmownie. Nie tylko co do mnie samego dlatego, że do Wilna ani z odczytami, ani bez takowych jechać nie zamierzam i żadnej chęci nie mam, ale też dlatego, że zasadniczo nasz uniwersytet, jako litewski, w stosunkach obecnych z Polską i w sporze prawnym o Wilno nie może i nie chce wchodzić w stosunki bądź oficjalne, bądź przyjaźni z uniwersytetem polskim w Wilnie, założonym przez państwo, będące ze stanowiska państwowego i narodowego litewskiego nielegalnym i na gwałcie opartym okupantem faktycznym stolicy Litwy. Poza tym względem zasadniczym i przez to samo decydującym byłby jeszcze ten wzgląd, że wszelki odczyt bądź publiczny, bądź akademicki, wygłoszony u nas nie tylko po polsku, ale tym bardziej przez kogoś z ramienia uniwersytetu wileńskiego wywołałby tutaj sprzeciw i reagowanie protestujące przynajmniej młodzieży akademickiej i skończyłby się skandalem, wreszcie nie do przyjęcia zgoła jest motyw, podany przez rektora Staniewicza. Dla Litwy kontakt między Wilnem i Kownem, między Wilnianami i Kownianami nie jest i nie może być porozumieniem „dwojga” czy „obojga” „narodów”. Co najwyżej, mogłaby być mowa o porozumieniu między dwoma odłamami ludności krajowej, dwiema grupami krajowymi. Jeżeli jeszcze mogłaby być jakaś mowa o takich lub innych stosunkach między uniwersytetami czy uczonymi Kowna i Warszawy lub Krakowa, Poznania, to w każdym razie nie może to być rozciągane na konstytucyjną stolicę litewską – Wilno. Senat był zdania, że odmowę najlepiej będzie motywować krótko, ale otwarcie: w stosunkach obecnych – *non possumus*.

Po posiedzeniu senatu byłem w restauracji „Metropolu” na umówionym spotkaniu z Eugeniuszostwem Römerami, bawiącymi w Kownie z synem Redziem i starszą córką Zosienią. Było jeszcze kilka osób poza tym. Młodzież brała udział w dancingu, jedzono kolację i rozmawiano. Nie jestem amatorem takich wieczorów restauracyjnych. Są one dla mnie o wiele nudniejsze od pracy samotnej. W ścisłej swojej kompanii – to co innego. Szeroko towarzyski nie jestem.

28 września, rok 1934, piątek

Dziś nie wychodziłem wcale z domu, bo rano znowu dr Gudowicz zastrzyknął mi salyrgan na pędzenie moczu. Wciąż jeszcze doktor stwierdza trwanie pewnego obrzęknięcia w nogach od kolana do kostki, mimo że nogi wyglądają suche i są kształtne bez żadnego na oko nabrzmienia. Ale przy naciśnięciu skóry palcem pozostaje przez czas jakiś dołek charakterystyczny, świadczący o istnieniu pewnej obrzękłości. Że to jednak tak trudno ją zwalczyć! A waga przecież spada i już osiągnęła minimum 87 kilogramów, choć się jeszcze waha między 87 i 88, a czasem podskakuje nawet do 89. Chodziłem cały dzień w szlafroku.

Na obiedzie był u mnie Eugeniusz Römer i nasz profesor ekonomii politycznej na Wydziale Prawniczym Piotr Šalčius. Urządziłem im to spotkanie się na obiedzie u mnie na prośbę prof. Šalčiusa, który chciał się z Eugeniuszem zapoznać, aby zasięgnąć odeń informacji o ruchu spółdzielczym w kraju przed wojną i jeszcze przed rewolucją z roku 1905. Šalčius jest kooperatystą, zarazem jest sam czynnym działaczem kooperacji i studiuje zagadnienia teoretyczne kooperacji, a w szczególności pracuje nad dziejami kooperacji w kraju. Eugeniusz zaś przed wojną brał bardzo czynny udział w całym ruchu społecznym ziemiańskim w kraju i w organizacjach ziemiańskich, poza tym zaś założył i stał na czele spółki „Biruta”, prowadzącej wyrób i eksport masła do Danii.

Potem wieczorem miałem egzaminy studenckie. Słabych miałem studentów do egzaminu.

29 września, rok 1934, sobota

Dzień moich imienin – św. Michał. Nie obchodziłem ich wcale, nikogo do siebie nie zapraszałem i jedyne, czym ten dzień zaznaczyłem, było to, że wypadający na dziś głodowy „dzień mleczny” przeniosłem na poniedziałek, a obiad dzisiejszy uświetniłem kaczką na obiad.

Choć imienin formalnie nie obchodziłem, jednak ten i ów o nich sam pamiętał. Z Szaszewicz przyjechał Stefan Römer, zachodził też wieczorem Diskin, prof. Kriwicki, Feliks Mackus, prof. Jurgutis. Powinszował mi na bilecie wizytowym Piotr Rosen w imieniu swoim, żony i dzieci, depesze przysłali mi moi byli uczniowie bracia Rapoportowie, cała Rada Stanu w osobach Masiulisa, Papečkysa, Starkusa, Vileišisa, Zauniusa, Juodeiki, Tomkusa, Jana Jabłońskiego i Morkusa (nie podpisany tylko prezes – minister Šiling, który zapewne nie wiedział o depeszy), prezydium sejmiku akademickiego, korporacja akademicka „Fraternitas Juvenum”, bardzo ładnej treści depesza Michała Ślażewicza, listy z powinszowaniem od mojego ekonoma Pumpola i ogrodnika Narbuta, od Maryni Budkiewiczowej, od mojego asystenta na Wydziale Prawniczym Konstantego Raczkowskiego z Pizy we Włoszech.

Wieczorem byłem na pierwszym seminarium moim w uniwersytecie. Rozdawałem tematy dla prac seminaryjnych, wyznaczałem studentów do tłumaczenia konstytucji państwowych.

30 września, rok 1934, niedziela

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Kwestii ciekawszych i bardziej zasadniczych nie było.

Po obiedzie na kawie był u nas Diskin, Stefan Römer, Feliks Mackus i swoi domownicy – ja, Jadzia, Andrzej. Wycyganili oni u mnie buteleczkę dobrego starego rumu, który kupiłem tego lata w Marienbadzie. Rum był doskonały – mocny, aromatyczny, humory się nam poprawiły, posypały się bruderszafty, rozmowy. Bruderszafta na „ty" wypili Andrzej z Mackusem, Stefan z Mackusem, Stefan z Diskinem, Diskin ze mną. Słowem – pobrataliśmy się prawie wszyscy.

Chodzą pogłoski, że stanowisko premiera Tubelisa jest zachwiane. Powiadają, że intrygę przeciwko niemu prowadzi intrygant urodzony – Stanisław Šiling, minister sprawiedliwości i prezes Rady Stanu. Jest to bardzo prawdopodobne. Šiling lubi pchać się na czoło, a jego wielka wziętość osobista u Prezydenta Smetony, który go szczególnie lubi i ufa mu, ułatwia mu z pewnością zabiegi. Naturalnie Šiling tę akcję, jeżeli tylko to prawda, prowadzi dla siebie, aby zająć samemu miejsce Tubelisa. O ile sam Smetona jest człowiekiem wartościowym, o tyle ma on słabość otaczania się ludźmi, którzy nieraz wartości nie mają, jak poprzednio Voldemaras (człowiek rozumny i zdolny, ale niezbyt czysty i nie twórczy, choć znakomity analityk), a teraz Šiling. Co do Tubelisa, to w każdym razie jest on o wiele od Šilinga lepszy i wartościowszy. Uważam Tubelisa za człowieka uczciwego, dobrej woli i szczerego patriotę; jest niegłupi, trochę uparty, trochę pedant, ale niezły człowiek, ludzki, staranny, ma dużo tzw. zdrowego rozsądku, dość gadatliwy, sprawiedliwy. Jeżeli jest niepopularny, zwłaszcza podobno w wojsku, to raczej przez żonę, Chodakowską z domu, która jest siostrą rodzoną prezydentowej p. Smetonowej. Złe języki twierdzą, że p. Tubelisowa działa do spółki z wdową po adwokacie Romanie Chodakowskim, bracie rodzonym p. Smetonowej i p. Tubelisowej. Wdowa p. Romanowa Chodakowska przyjmuje w dalszym ciągu klientów zmarłego męża i nowych i za grube pieniądze – podobno do kilkunastu tysięcy litów honorarium – załatwia im podobno za pośrednictwem szwagierki p. Tubelisowej, mającej jako żona premiera duże wpływy wszędzie, rozmaite interesy majątkowe w urzędach i instytucjach, dzieląc się honorarium z p. Tubelisową. Ile w tym prawdy – nie wiem, ale te pogłoski o roli spekulacyjnej i interesownej jego żony bardzo szkodzą Tubelisowi i są dla niego kompromitujące. Jeżeli wielu nie lubi p. Smetonowej i uważa ją za złego ducha Prezydenta Smetony, zarzucając Smetonie, że daje się sam rządzić i daje rządzić krajem żonie, która jest ambitna i żądna władzy, to jeszcze bardziej zarzuty te są kierowane do Tubelisa i p. Tubelisowej, a wielu też, zwłaszcza w związku z powyższym, ten fakt, że obie siostry Chodakowskie są przez mężów u władzy obie jednocześnie: mąż jednej jest Prezydentem – zwierzchnikiem państwa – i to bynajmniej nie tytularnym tylko, nie malowanym, a jednocześnie mąż drugiej – premierem, odpowiedzialnym w braku Sejmu li tylko przed tymże Prezydentem, szwagrem swoim.

Wracając do rzekomych intryg Šilinga, pogłoski twierdzą, że intrygom tym i ewentualnemu dążeniu Šilinga do władzy przeciwstawia się jednak i przeciwdziała minister spraw wewnętrznych Rusteika, którego wpływy po niefortunnym zamachu stanu z d. 7 czerwca r.b. bardzo wzrosły, bo policja Rusteiki była głównym czynnikiem, który udaremnił ten zamach stanu.

1 października, rok 1934, poniedziałek

Rano miałem na I semestrze sekcji prawniczej. Poza tym urzędowałem w rektoracie i potem pracowałem w domu. Wieczorem wpadły do mnie Zitka i Litka Komorowskie, bawiące chwilowo w Kownie.

2 października, rok 1934, wtorek

Znowu posiedzenie, raczej uczta wspólna (obiad) – Rotary-Clubu. Trzeci obiad, w którym biorę udział, ogółem zaś czwarty, ponieważ ja dopiero od drugiego należę. Zresztą Rotary-Clubu właściwie jeszcze nie ma. Jest jeno grupa jego założycieli, sam zaś klub ma być

uroczyście otwarty (ufundowany) w nadchodzącą sobotę, a swój dyplom formalny, czyli kartę otrzyma dopiero za parę miesięcy. W dzisiejszym obiedzie brało udział kilku nowych członków, dobranych do grona założycieli: znakomity literat prof. Mykolaitis-Putinas, dyrektor Sołowiejczyk (Żyd, bankowiec i przemysłowiec), dyrektor departamentu w Ministerium Spraw Zagranicznych dyplomata Bizowski... Prof. Czapiński, prezes Trybunału Ludwik Ciplijewski – udziału odmówili, jeden – ze względu na wiek, drugi – ze względu na brak czasu. Solista Opery, słynny śpiewak Kipras Piotrowski, który miał dziś wygłosić pierwszy w klubie referat, nie przyszedł, wymawiając się pracą terminową w Operze. Po nim drugim z kolei referentem mam być ja.

Wieczorem miałem drugi z kolei wykład prawa konstytucyjnego litewskiego, który mi się równie dobrze udał jak pierwszy, zresztą nie udać się nie może, bo mam do tych wykładów zapiski bardzo szczegółowe, z których prawie wszystko słowo w słowo czytam, trochę tylko miejscami rozwijając lub ilustrując myśl. W wykładzie dzisiejszym, rozpoczętym od roku 1905 i tzw. „Wielkiego Sejmu Wileńskiego", doszedłem do roku 1917, to znaczy do samego początku zabiegów o stworzenie państwa litewskiego.

Wracam w dzienniku raz jeszcze do Wydziału Medycznego i osoby dziekana tegoż prof. Lašasa, o czym pisałem trochę przed mniej więcej tygodniem. Faktycznie ten wydział stał się folwarkiem ludowców. Szeroko tam jest praktykowana zasada: ręka rękę myje. Wydział, na którego czele stoi prof. Lašas, popiera Towarzystwo Lekarskie, na którego czele stoją stare mamuty ludowców – dr Staugaitis i dr Kazimierz Grinius (były Prezydent Rzeczypospolitej) i odwrotnie. Wszelka krytyka z tej lub tamtej strony między wydziałem i zawodową organizacją lekarską jest wykluczona i tłumiona. Na wydziale co do asystentów, mających zapełnić w przyszłości kadry profesury, pierwszeństwo jest dawane notorycznym ludowcom albo ludziom politycznie bezbarwnym, lekceważąc kryterium zdolności (choć czasem, o ile nie zachodzi niebezpieczeństwo dla ludowców, wybitne talenty – np. Zubkus, Kulma – awansują). Są w szeregach wydziału i narodowcy, jak np. profesor anatomii Żyliński, który doskonale z ludowcami i dziekanem Lašasem kwadruje, myjąc ręka rękę. Ludowcy mają zasady i w szczególności zasady tolerancji narodowej przeważnie na eksport, jako zdawkowy frazes ładnie brzmiący dla ucha mniejszościowego, zwłaszcza żydowskiego, w tajnikach zaś swoich praktyk konkurują pod tym względem o palmę pierwszeństwa z nacjonalistami najczystszej wody. Różnica jest, zdaje się, tylko ta, że gdy nacjonaliści robią to otwarcie, ludowcy, którzy im w tym potakują, robią to samo z ukrycia, obwijając rzecz w bawełnę formułek niewinnych. Zresztą i narodowiec Żyliński nie ma nic przeciwko tej bawełnie niewinności pozornej, gdy rezultat jest ostatecznie ten sam. Np. na Wydziale Medycznym nie lubią skandalu, nie chcą, aby młodzież sama rozwijała akcję antysemicką, w szczególności np. w przedmiocie domagania się trupów żydowskich dla sekcji anatomicznych albo niedopuszczania studentów Żydów do udziału w sekcji trupów chrześcijańskich. Z tymi skandalami, wszczynanymi przez studentów chrześcijan, tak Lašas, jak Żyliński walczą, przeciwstawiają się też hasłom ustanowienia „*numerus clausus*" dla Żydów. Ale żeby do tego nie dochodziło, znaleźli sposób radykalniejszy i unikający wszelkiego skandalu; sposób to bardzo prosty – zupełnie nie dopuszczać Żydów (a już za jednym zamachem i innych nie-Litwinów) do wydziału. Oczywiście robi się to nie otwarcie: nie mówi się i nie głosi, że się Żydów i innych nie będzie przyjmowało; byłoby to i skandaliczne i nielegalne. Ale są na to sposoby „niewinniejsze", choć równie skuteczne: ustanawia się np. konkurs dyplomów z pierwszeństwem dla maturzystów gimnazjów rządowych, przez co maturzyści gimnazjów mniejszościowych, jako prywatnych, automatycznie odpadają. Albo, o ile Żydzi znajdują na to sposób i kończąc gimnazjum rządowe litewskie przesączają się w ten sposób po trochę na wydział, ustanawia się dla zakwalifikowanych kandydatów oględziny lekarskie dla dopuszczenia do studiów tylko najzdrowszych osobników, a któż sprawdzi, czy komisja do tych oględzin, na której czele stoi Żyliński, popełniła pomyłkę, stwierdzając dodatni stan

zdrowia Litwina i ujemny – Żyda. I kto sprawdzi, czy odrzucając Żyda dla względów zdrowia, przeważył wzgląd na to, że kandydat jest upośledzony na zdrowiu, czy też wzgląd na to, że jest Żydem. Chodzi tylko o rezultat, a nie o procedurę. Rezultat zaś jest ten, że Żydów w tym roku nie przyjęto wcale. Oczywiście formalnie przyczyny nieprzyjęcia nic wspólnego z faktem, że kandydat jest obrzezany, nie mają. Tak jest na ustach, a na ręce i tym bardziej w serce się nie patrzy. Były kwestie te i w senacie akademickim drogą skarg podnoszone, ale jeden tylko dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz miał odwagę nazwać rzeczy po imieniu i protestować. Nikt inny nie podniósł zarzutów. Dziekani i prorektorzy, jak również sekretarz esdek (prof. Purėnas) milczeli. Formalnie zaś to do senatu nie należy. Pojęcie zaś „*détournement de pouvoir*" jest u nas, niestety, nie zawsze.

3 października, rok 1934, środa

Rano miałem wykład na I semestrze prawników. Udał się dobrze, zwłaszcza na drugiej godzinie. Wciąż jeszcze wyjaśniam im pojęcia elementarne z ogólników dwóch pierwszych części kursu, po czym dopiero zacznę im wykładać szczegółowo i systematycznie część III kursu ogólnego prawa konstytucyjnego, przeznaczoną „na warsztat" tych moich wykładów w bieżącym roku akademickim.

Po wykładzie i zajęciach bieżących w rektoracie – resztę dnia spędziłem na pracy w domu. Spod Rakiszek przyjechał dla porady lekarskiej w Kownie szwagier Jadzi – młody Boreišis ze Spieczun, mąż Stefci Čepasówny. Przywiózł listy od sióstr moich z Bohdaniszkek, trochę jabłek dla Andrzeja i łopatkę cielęciny. Wieczorem Jadzia zaprowadziła go do teatru na przedstawienie utworu prof. Krėvė-Mickiewicza – „Šarūnas". Przedtem zaś była z nim u dr Gudowicza.

Dziś u mnie ciężki „mleczny dzień", w którym jednak wieczorem na kolację pozwalam sobie nieco post całodzienny pogwałcić, byle nie za wiele. Zresztą te „dni mleczne" nie są zbyt ciężkie – przywykłem do nich. Tylko w porze obiadowej głód nieco dokucza – nie zanadto, a niebawem to mija i już się o jedzeniu nie myśli. Praca jest najlepszym środkiem, ubijającym te pretensje niewczesne żołądka. A tymczasem waga wciąż, chwała Bogu, spada. Obecnie rano, na czczo, po wypróżnieniu zawartości żołądka, ważę już tylko 86 kilogramów. Znakomicie na spadek wagi działają sole marienbadzkie, które mi dr Gudowicz zapisał i które co dzień rano na czczo wypijam w szklance gorącej wody. Co dzień też rano odbywam przechadzkę.

Dawno już chciałem dotknąć w dzienniku kwestii, która dla mnie ma wagę zasadniczą, ale która oczywiście nie wiąże się z aktualnością tego lub owego dnia, więc się w dzienniku odwleka. Tą kwestią jest moje samookreślenie się narodowe. Ponieważ wyrosłem i wychowałem się w kulturze polskiej i pochodzę z rodziny oraz należę do rodziny, która ma siebie za polską i nawet tę polskość bardzo akcentuje i ponieważ mój kontakt z ruchem narodowym litewskim, choć dziś już bardzo dawny, nawiązał się dopiero wtedy, kiedy już byłem psychicznie dojrzały – co najwyżej od roku 1904 (przez Józefa Petrulisa w Paryżu – założenie stowarzyszenia studenckiego w Paryżu „Lithuania", potem w roku 1905 Jan Zacharewicz, ruch rewolucyjny litewski, tzw. „Wielki Sejm Wileński"), kiedy już miałem lat 24, a ściślej od roku 1906 („Gazeta Wileńska", jej stanowisko tzw. krajowe, kontakt z grupą demokratyczną Litwinów – Paweł Wyszyński, Jan Jabłoński, Antoni Smetona i Jan Vileišis, a potem z Michałem Biržišką – na rzecz autonomicznego działu lituanistyki w tejże „Gazecie Wileńskiej"), a nawet jeszcze ściślej od lat 1907-1908 (mój kontakt w Krakowie z Józefem-Albinem Herbaczewskim, Staneiką, Gabrysem) i ponieważ wreszcie tak przedtem, jak potem, do roku co najmniej 1920-1921, byłem stale czynny w różnych akcjach społecznych polskich, choć zawsze, o ile w tych akcjach ujawniał się moment polityczny, wnosiłem do nich – nie wyłączając nawet Legionów – pierwiastek polityczny litewski, więc narodowo określałem się jako Polak. Było to naturalne i wypływało z samej istoty rzeczy jak coś, co się samo przez się

rozumie i co jest jeno stwierdzeniem faktu obiektywnego. Zawsze bowiem, choć uznawałem metodę podmiotowego samookreślenia się narodowego, miałem skłonność do obiektyzowania natury narodowej osobnika w narodowym (narodowościowym) zróżniczkowaniu społecznym.

Zagadnienie, które tu poruszyłem, jest zbyt skomplikowane i głębokie, abym je w kartce dzisiejszej wyczerpać zdołał. Przerywam więc do ciągu dalszego w dniach najbliższych.

4 października, rok 1934, czwartek

Miałem wykład rano dla ekonomistów I i III semestrów, wieczorem zaś byłem w domu – posiedzenia senatu akademickiego nie miałem.

Moja praca nad zapiskami do wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego rozrasta się. Zajmuje mię ona bardzo. Nie tylko czasu zajmuje, ale też uwagi i zainteresowania, to znaczy – daje mi zadowolenie. Zapiski te układam tak wyczerpująco (co prawda – treść jest skondensowana, ale w tym skondensowaniu wykład myśli jest zupełny, bez skrótów notatkowych), że mógłbym je dać wprost do druku. Toteż zaczyna mi świtać projekt wydania tego jako książki, jako podręcznika akademickiego, oczywiście przez uniwersytet, przez jego Wydział Prawniczy. To mię jeszcze bardziej zachęca do staranności w układzie tych zapisek. Pracuję nad nimi jak nad książką. Traktując założenie współczesnego państwa narodowego Litewskiego i jego ewolucję konstytucyjną historycznie, nie tylko studiuję i analizuję teksty konstytucyjne litewskie od roku 1918, to znaczy od urzędowej deklaracji niepodległości w dniu 16 lutego tegoż roku, a nawet od Konferencji Litewskiej w Wilnie z roku 1917 (poniekąd nawet od uchwał „Wielkiego Sejmu Wileńskiego" z roku 1905), ale też historię polityczną swego czasu, tworzącą warunki społeczne dla zaistnienia tego państwa i jego form konstytucyjnych. Doprowadziłem już tę pracę do kwietnia roku 1919 i w szczególności do pierwszego zdobycia Wilna przez Piłsudskiego na bolszewikach w związku z planem jego „polityki wschodniej". Praca jest ciekawa i wdzięczna.

Nie udzielę już dziś miejsca dalszemu ciągowi tego, com wczoraj pisać zaczął. Nie chce mi się i nie bardzo mam czasu. Odłożę to do innego razu.

5 października, rok 1934, piatek

Kontynuuję na temat „zagadnienia mojej narodowości" czy przynależności narodowej. Jest ono dla mnie istotnie ciężkie i trudne. Jakem mówił pozawczoraj w dzienniku, określałem się zawsze jako „Polak". Stało się to samo przez się – tak z urodzenia i wychowania mego, jak z natury moich prac od początku mojej działalności. Pewne zachwianie ścisłości tego określenia istniało zawsze, o ile chodzi o pierwiastek litewski, bo od najmłodszych lat czułem zawsze ścisły mój związek z tym właśnie pierwiastkiem, związek, nawiązany jeszcze od niemowlęctwa, albowiem urodziłem się i całe wczesne dzieciństwo spędziłem w okolicy, gdzie wszystko dokoła jest litewskie – mowa, krzyże, pieśni... – i gdzie polskim był tylko nasz dwór, raczej sami panowie dworu, którzy stanowili moją rodzinę, i sąsiedztwo ziemiańsko-szlacheckie – małe, choć materialnie i cywilizacyjnie wydatne wysepki w jednolitym morzu ludowym. Pierwszą też mową moją była właśnie litewska, bo miałem starą kochaną niańkę, oczywiście Litwinkę, która tak kaleczyła mowę polską (mówiła: „ten Marynia, ta... Mikaś"), że Rodzice moi, aby nie zepsuła mowy, zabronili jej usiłować mówić z nami po polsku. Toteż nauczyłem się najpierw mówić po litewsku – z nianią, a dopiero w drugim stopniu – z Rodzicami i siostrzyczkami – po polsku. Język litewski, pejzaż nawet – wszystko mię w dzieciństwie spokrewniało z pierwiastkiem litewskim, który poniekąd wsączył się we mnie sam przez się. A gdy potem byłem w Petersburgu „prawowiedem", gdzie w internacie szkolnym mówiłem wyłącznie po rosyjski, a w święta w domu starych pp. Budrewiczów wyłącznie po polsku i gdym już po litewsku był prawie zapomniał, pamiętam, jak razu pewnego – miałem wtedy lat może 14 – będąc w kościele u św. Katarzyny na

prospekcie Newskim słyszałem pieśni kościelne litewskie. Pieśń ta, śpiewana przez tłum pobożnych, żywo mi przypomniała nasze kościoły litewskie, powiała na mnie czymś swojskim i kochanym i tak wzruszyła, jak mało które inne wrażenie doznane w życiu. Poczułem wtedy, że to jest oto moje najistotniejsze, że to jest to coś, co w serce mi wrosło i stanowi mój najgłębszy pierwiastek rodzimy. Nigdy pieśń polska, a tym bardziej obca mi fonetyka mowy właściwego ludu polskiego z Polski etnograficznej zwłaszcza, tak wzruszyć mnie nie zdołała. Potem też, gdym miał lat ± 17-18 i gdym próbował tworzyć wiersze (któż przez taki okres poetyzowania nie przeszedł!), układałem poematy romantyczno-patriotyczne, w których ojczyzną była zawsze Litwa, a ja – Litwinem.

Wszystko to miało miejsce długo przed tym, zanim w roku 1904 w Paryżu po raz pierwszy przez kolegę Józefa Petrulisa zetknąłem się i nawiązałem kontakt świadomy z żywą Litwą narodową jako czynnym ruchem społecznym, emancypacyjnym, świadomym swoich celów i własnej swojej istoty indywidualnej.

Ale te czasy „zamierzchłe" w życiu osobnika starego – te lata wieku XIX – 1880, 1881-1890, 1894, 1897... – w Bohdaniszkach, w Petersburgu – to była tylko liryka, coś z instynktu podświadomego, coś, co o pojęciach narodowości u mnie nie stanowiło. Zresztą wtedy nie wyodrębniałem jeszcze litewskości z polskości. To się u mnie jakoś zlewalo, kojarzyło harmonijnie, ale nie przeciwstawiało. Wobec kolegów moich „prawowiedów" byłem równie Litwinem, jak Polakiem. Nazywałem siebie i tym, i tym imieniem, nie zaznaczając różnicy treściwej, której jeszcze i sobie nie byłem uświadomił. Do innego razu.

6 października, rok 1934, sobota

Dziś u mnie – dzień uroczystości, które się zaczęły o godz. czwartej po obiedzie i przeciągnęły się do nocy. Złożyły się na to dwie różne rzeczy: a. akt uroczysty otwarcia „Rotary-Clubu" w Kownie i b. uczta pożegnalna dla byłego ministra oświaty (obecnie kontrolera państwowego) Šakenisa.

Akt otwarcia „Rotary Clubu" – pierwszego w Litwie – odbył się z udziałem gubernatora Rotary organizacji na prowincję Północno-Wschodnią Bałtycką, ogarniającą Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę – Finlandczyka p. Pawła Torwalda. Posiedzenie miało miejsce w sali „Pienocentrasu" pod przewodnictwem burmistrza miasta Kowna Merkysa. Obecna była większość członków założycieli. Żadnych ceremonii przyjęcia masońskich nie ma. P. Torwald był witany przemówieniem niemieckim prezesa komitetu organizacyjnego podprokuratora Trybunału Żołkowskiego, sam zaś odpowiadał w pierwszej części swojego przemówienia po angielsku (tłumaczył na litewski sekretarz Klubu Połtanowicz), w drugiej zaś połowie przemówienia – czytał je z tekstu litewskiego. Choć nic nie rozumiał z tego, co czytał, ale wymawiał odczytywane słowa dość znośnie. Przyjęto ustawę i statut regulaminowy Klubu, które będą zarejestrowane trybem zwyczajnym. Następnie wybrano organy Klubu. Do zarządu wybrani zostali na polecenie odpowiedniej komisji organizacyjnej: Żołkowski, Lapėnas, Pakštas, Merkys, Toliušis i Urmanas. Jeden z tych sześciu ma zostać – przy podziale funkcji między członkami zarządu – prezesem klubu. Sądzę, że zostanie nim burmistrz Merkys. Do komisji klasyfikacyjnej, która ustala kwalifikacje zawodowe kandydatów na członków Klubu, wybrani zostali Vosylius, Bizowski i Robinzon, wreszcie do komisji badania zalet osobistych zaprojektowanych kandydatów wybrani zostali Jankiewicz, Karvelis i ja. Klub jest prowizorycznie założony.

Wieczorem w sali restauracji „Metropolu" (Hotelu Litewskiego) miała miejsce z inicjatywy urzędników Ministerium Oświaty kolacja pożegnalna dla byłego ministra Šakenisa, wiceministra Danilewskiego i kilku innych wyższych urzędników centralnych tegoż ministerium (Kasakaitisa, Žukasa i jeszcze jednego), którzy wraz ze zmianą ministra ustąpili ze swych stanowisk. Prócz solenizantów obecni byli: nowy minister oświaty Tonkunas, grupa uniwersytecka, złożona ze mnie, obu prorektorów, sekretarza Purėnasa, prawie wszystkich

dziekanów i kilku profesorów, urzędnicy centralni Ministerium Oświaty, przedstawiciele duchowieństwa, teatru, sztuki i ogromna liczba dyrektorów i inspektorów szkół średnich, zawodowych i szkolnictwa elementarnego. Stanowiło to tłum ogromny. Panie były tylko dwie – obie młode – p. Šakenisowa, żona solenizanta głównego, i bardzo ładna pikantna brunetka – p. Masiliunasowa, żona obecnego wiceministra (sekretarza generalnego) tegoż ministerium, która była moją damą, bo siedziała obok mnie przy stole i była bardzo miła. Ja jedyny w całym tym zgromadzeniu byłem we fraku. Naturalnie posypały się mowy. Choć osobiście cieszę się z zamiany ministra Šakenisa, człowieka kulturalnego wprawdzie i światłego, bodaj nawet dobrego, ale niedołężnego, bez inicjatywy i tchórzliwego, na Tonkunasa, który jest energiczny, mądry, treściwy, ma głowę nie od parady tylko i bardzo czysty i sprawiedliwy, to jednak etykieta uroczystości pożegnalnych wymaga naturalnie chwalenia tego, którego się żegna. Niepodobna go przecie ani ganić, ani krytykować, ani wyrażać radość z jego ustąpienia. Trzeba albo milczeć, albo chwalić. Mnie wszakże, jako rektorowi, milczeć w takiej okazji niepodobna. Jest to element służby rektorskiej. Toteż chwaliłem, chociaż dość umiarkowanie.

Po mnie przemawiał cały szereg mówców, z których ostatni, pewien prowincjonalny inspektor szkół początkowych, w długiej i nudnej mowie aż ze skóry wyłaził, żeby wykazać swoją gorliwość, zapał patriotyczny i służbowy, zachwalić Šakenisa, a przy okazji i nowego ministra Tonkunasa, aż wreszcie zaczął śpiewać dytyramby już nawet na rzecz profesorów. Ostatnim przemawiał minister Tonkunas, po czym wszystkim ogólnie w imieniu własnym i innych solenizantów odpowiedział Šakenis.

Po kolacji jeszcze bawiono się długo przy stolikach osobnych grupami – rozmową, kawą i krupnikiem. Drobineczkę się podchmieliłem.

7 października, rok 1934, niedziela

Dzień dzisiejszym mimo że to niedziela, minął szczęśliwie bez żadnych uroczystości i demarszów reprezentacyjnych. Odbyłem z Jadźką rano duży spacer – przez ul. Wystawową (Parodos gatvė) Zieloną Górą na szosę wiłkomierską, potem schodami w dół na ul. Orzeszkowej i stamtąd ulicą Putwińskiego do domu. Potem znów wieczorem poszedłem z Jadźką i Andrzejem Mieczkowskim do nowej kawiarni „Aldona” Perkowskiego.

Słyszałem wczoraj od Natkiewicza, który wrócił z Genewy, gdzie brał udział w delegacji litewskiej na sesji plenum Ligi Narodów, że jednak akcja niemiecka w sprawie kłajpedzkiej, forsowana przez Kłajpedczyka Niemca Meyera, byłego wiceprezesa sejmika autonomicznego, tyle wskórała, że sygnatariusze wystosowali przecież notę poufną do Litwy, zwracając jej uwagę na sytuację w Kłajpedzie i czyniąc pewne zastrzeżenia co do zgodności niektórych zarządzeń litewskich ze statutem autonomicznym Kłajpedy i konwencją gwarantującą ten statut. Meyer, który uciekł z Kłajpedy do Niemiec, ponieważ zarządzeniem komendanta w myśl nowej ustawy o bezpieczeństwie państwa został pozbawiony mandatu poselskiego w sejmiku i pociągnięty do odpowiedzialności karnej, rozwinął w kołach Ligi Narodów w Genewie energiczną agitację antylitewską, skarżąc się i demonstrując zażalenia i memoriały. Co prawda – jak powiada Natkiewicz – spośród sygnatariuszy Francja i Włochy nie bardzo się kwapią brać w obronę Niemców, ale Anglicy popierają wyraźnie Niemców i obruszają się przeciwko Litwie. Nota poufna sygnatariuszy, którą dyplomacja litewska i rząd utrzymują w sekrecie, nie jest jeszcze oczywiście żadnym ultimatum ani czymś od razu bardzo groźnym, ale bądź co bądź stanowi krok formalny, wymaga tłumaczenia się Litwy, a gdy za tym stoi potęga brytyjska – może pociągnąć rozmaite jeszcze konsekwencje, które nawet ewentualnie do Hagi zaprowadzić mogą. W Hadze zaś sprawa ta byłaby trudniejsza do wygrania, niż sprawa w kwestii Böttchera przed dwoma laty. Może by znowu mnie wypadło jechać, ale tym razem jechałbym z większym strachem. Choć jazda do Hagi na rozprawę w charakterze „sędziego narodowego” daje wspaniałe wyposażenie, niezależne od wyniku

sprawy, ale wolałbym, żeby do tego nie doszło, bo o ile zwycięstwo w Trybunale Międzynarodowym podnosi autorytet, o tyle porażka wywołuje w opinii publicznej niezadowolenie i krytykę.

8 października, rok 1934, poniedziałek

Nawracam znowu do tematu, który poruszyłem przed paru dniami – określenia narodowości mojej (samookreślenia narodowego). Samo życie moje pchnęło mię w swoim czasie na określenie siebie jako Polaka. Stało się to bez żadnego wysiłku z mojej strony, bez żadnego zastanawiania się i rozstrzygania problemu. Nie tylko wyrosłem i żyłem w rodzinie polskiej, ale też w młodości studenckiej czynny byłem w ruchu młodzieży polskiej za granicą, potem w Wilnie czynny byłem w ruchu społecznym miejscowym polskim. Stało się to samo przez się. Nie było w tym nic sztucznego, jak na przykład sztucznym by było, gdybym się nagle ni stąd ni zowąd określił jako Żyd, Włoch lub Chińczyk. Ale też samo to życie moje zaszczepiło we mnie głęboki pierwiastek litewski – wpierw w dzieciństwie podświadomy, potem już – od roku 1904 – uświadomiony. Ten pierwiastek litewski, głęboko utkwiony w całej mojej psychice, nie dający się oddzielić (zresztą nigdy go oddzielić nie usiłowałem) od moich uczuć i ideałów społecznych, zawsze obecny i żywy w moich poczynaniach i pracy, zabarwił w sposób szczególny moją polskość, czyniąc ze mnie dualistę narodowego. Co prawda, mogłem się równie dobrze nazywać Litwinem, jak Polakiem. Tak mię też i ludzie, sądzący o mnie z prac moich, określali: jedni mię uważali za Litwina, inni – za Polaka. Jak już zapewne kiedyś pisałem w dzienniku ,w istocie nie byłem ani wyłącznie Polakiem, ani też wyłącznie Litwinem. Byłem zawsze i jestem mieszaniną, raczej może syntezą obojga, dla której, jako wytworu narodowego *sui generis*, nie fenomenalnego jednak, jeno specyficznego w naszym kraju, terminologia do spraw narodowych właściwej swoistej nazwy gatunkowej nie posiada. Że z dwóch terminów – Polaka i Litwina – wybrałem (bez żadnego zresztą wyboru z mojej strony) pierwszy (Polaka), to stało się nie tylko dlatego, że tak siebie zawsze nazywali Rodzice moi i cała rodzina oraz że czynny byłem wpierw w ruchu polskim, niż w litewskim, ale też dlatego, że, jakem przed paru dniami mówił, w czasach dzieciństwa mojego i bardzo wczesnej młodości nie uświadamiałem sobie odrębności tych dwóch pojęć: litewskość dla mnie wtedy mieściła się w polskości jako element rodzajowy tejże.

9 października, rok 1934, wtorek

Jak co roku, obchodzony był żałobą dzień 9 października, dzień, w którym przed laty 14 Litwa straciła swoją stolicę – Wilno. Zarządzona była wielka zbiórka uliczna ofiar, o południu miała miejsce minuta wstrzymania wszelkiego ruchu na znak skupienia żałobnego, obwieszczona gwizdem syren i wystrzałem armatnim, miasto było udekorowane do połowy spuszczonymi na znak żałoby chorągwiami, wieczorem w różnych częściach miasta i różnych lokalach odbyły się staraniem Związku Wyzwolenia Wilna („Vilniui Vaduoti Sąjunga) – odczyty publiczne. W uroczystościach tych nie wypadło mi brać udziału.

O zwykłej porze, jak w każdy wtorek, odbył się w restauracji „Metropol” obiad naszego Rotary-Clubu. Obecny był jeden nowy członek – wiceminister (sekretarz generalny) oświaty Masiliunas. Krótki referat ze swej zeszłorocznej podróży do Afryki – o wodospadzie Zambezi, ilustrowany fotografiami przezeń osobiście wykonanymi – wygłosił nasz geograf prof. Pakštas. Dowiedziałem się, że na prezesa naszego Rotary-Clubu wyznaczony został przez Zarząd nie burmistrz Merkys, jak suponowałem, lecz podprokurator Żołkowski, inicjator Klubu.

Przed obiadem w gabinecie rektorskim u mnie odbyło się posiedzenie zarządu nowej zreformowanej Komisji MiędzynarodowejWspółpracy Intelektualnej w osobach mnie jako prezesa, członków prof. Hołowni (Galaunė) i dr Natkiewicza oraz sekretarza Komisji Soblysa. Uchwaliliśmy zwołanie posiedzenia plenarnego komisji na 17 października i

omówiliśmy porządek dzienny tegoż oraz sprawy bieżące, które mi wypadnie na posiedzeniu tym referować.

Wieczorem na Wydziale Prawniczym miałem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Doprowadziłem go do początku roku 1918 – prawie że do historycznego aktu ogłoszenia niepodległości w dniu 16 lutego tegoż roku. Audytorium tych wykładów mam liczne.

10 października, rok 1934, środa

Rano po wykładzie dla prawników I semestru, o godz. jedenastej pośpieszyłem na otwarcie nowego gmachu Izby Kultury Fizycznej (Kultury Ciała) i zarazem tamże – otwarcie Wyższych Kursów Kultury Fizycznej. Gmach – bardzo ładny, zaprojektowany i wykonany przez inżyniera Landsberga, w stylu modernistycznym, doskonale zastosowany do potrzeb ćwiczeń i w ogóle przeznaczenia swego. Na uroczystość otwarcia przybył Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona, prezes ministrów Tubelis, ministrowie – oświaty prof. Tonkunas i wojny (obrony krajowej) generał Šniukšta, kontroler państwowy Šakenis, którzy – jak i ja także – utworzyli prezydium honorowe posiedzenia. Był też burmistrz Merkys, stary generał Bulota, grupa wyższych urzędników Ministerium Oświaty, szereg działaczy i funkcjonariuszy nowych otwieranych instytucji, dziennikarze, fotografowie, wreszcie – grupa kilkudziesięciu kursantów Kursów Kultury Fizycznej, których większość składa się ze studentów humanistów i poza tym z młodych wojskowych.

Aktu poświęcenia gmachu dokonał kapelan wojskowy ksiądz dziekan Mironas, który też powiedział słowo wstępne. Po nim krótki referat informacyjny wygłosił dyrektor Kursów i Izby Augustowski. Następnie przemawiali: Prezydent Smetona, minister Tonkunas, ja w imieniu uniwersytetu jako rektor i burmistrz Merkys w imieniu miasta Kowna. Na tym się uroczystość skończyła.

Przyszła wiadomość o dokonanym wczoraj w Marsylii zamachu na króla jugosłowiańskiego – Aleksandra Karageorgijewicza (kolegowałem z nim kiedyś jako małym chłopcem w Szkole Cesarskiej Prawa, czyli „prawowiedów” w Petersburgu, chociaż był on o kilka klas niżej ode mnie i zresztą nie był jeszcze nawet królewiczem, jeno synem emigranta i pretendenta do tronu serbskiego Piotra Karageorgijewicza, który później panował pod imieniem króla Piotra I). Zamachu dokonał osobnik przybyły z Kroacji, na miejscu zlynchowany przez tłum marsylski. Król Aleksander i towarzyszący mu francuski minister spraw zagranicznych Berthon niebawem zmarli. Wrażenie zamachu jest wstrząsające, ale swoją drogą król Aleksander, jak całe jego Serbskie Królestwo Jugosławii, oparte na krzywdzie Bułgarii i na ucisku Kroatów, byli małej wartości. Osobiście król Aleksander był, zdaje się, dzielny, ale zaprowadził osobiste rządy despotyczne i nie orientował się w złożonym problemie współżycia państwowego trzech ludów – Serbów, Kroatów i Słoweńców, opierając to współżycie nie na związku, lecz na dominacji elementu najciemniejszego z tych trzech – serbskiego.

11 października, rok 1934, czwartek

Nic szczególnego dziś do zanotowania nie mam.

Miałem rano wykład dla ekonomistów, potem byłem na spacerze, urzędowałem w rektoracie, po obiedzie przez cały wieczór pracowałem w domu.

Napisałem w charakterze rektora od imienia uniwersytetu list kondolencyjny do posła francuskiego w Kownie z okazji tragicznej śmierci francuskiego ministra spraw zagranicznych Barthona i dokonanego przez cudzoziemca na ziemi francuskiej zamachu zabójczego na gościa Francji – króla Aleksandra jugosłowiańskiego. Wyraziłem w tym liście moje uczucia gorące dla Francji.

12 października, rok 1934, piątek

Wieczorem miał miejsce w sali aktowej tzw. I gmachu uniwersyteckiego wieczorek koncertowy, urządzony z inicjatywy naszego chóru uniwersyteckiego i poświęcony pamięci zmarłego przed miesiącem jednego z najstarszych i bardzo zasłużonych litewskich artystów muzyki, kompozytora Józefa Naujalisa. Nasz kierownik chóru akademickiego, który od roku zajmuje to stanowisko, młody muzyk Konrad Kawecki, jest bardzo ruchliwy i oddany pracy, dzielny, pełny inicjatywy, miły, popularny wśród chórzystów.

Na koncert dzisiejszy chóru akademickiego złożyły się: referat kompozytora Šimkusa, ucznia zmarłego Naujalisa, o twórczości i zasługach mistrza w zakładaniu i organizowaniu kultury muzycznej w kraju, gra na fortepianie muzyka Dvarionisa i gra skrzypka Motiekaitisa, śpiew solistów Opery – Jonuškaitė-Zauniusowej i Mažeiki, wreszcie śpiew chóru akademickiego. Wykonane były wyłącznie utwory Naujalisa. Sala była wypełniona po brzegi. Bardzo dużo było studentów, sporo gości obojga płci; profesury – mało; obecna też była cała rodzina zmarłego Naujalisa – jego wdowa (Polka Warszawianka, po litewsku prawie że nie mówiąca), córka i synowie, wśród których jeden – mój były uczeń z uniwersytetu. W charakterze rektora otworzyłem wieczór krótkim zagajeniem powitalnym, potem wręczyłem p. Zauniusowej bukiet. Wieczorek udał się bardzo ładnie, bardzo umiejętnie był ułożony program, zakończony zaś został wieczór fotografią wspólną chóru, artystów i rodziny zmarłego Naujalisa ze mną – rektorem uniwersytetu – w po środku.

Czterech studentów miałem dziś na egzaminie. W ich liczbie dwóch dosyć wybitnych z obozu narodowców: dziennikarz Rastenis, zdolny, ale zarozumiały, który nieraz pozwalał sobie w „Lietuvos Aidasie" atakować uniwersytet i profesurę tonem mentora, i drugi – Maurukas, chłopiec ubogi, wybitnie zdolny i pracowity, ładny, narodowiec gwałtowny, krnąbrny w stosunkach z władzami akademickimi, którego w roku ubiegłym musiałem skarcić ostro, choć mam dla niego szacunek i sympatię. Obaj zdali egzamin celująco.

13 października, rok 1934, sobota

Wydział Medyczny jest na uniwersytecie środowiskiem, w którym ciągle najbujniej się krzewią jakieś fermenty natury nacjonalistycznej. Tam najjaskrawiej manifestuje się antysemityzm tak ze strony studentów, jak również w ostatnich czasach ze strony samych władz wydziałowych, które tą drogą (w myśl widocznie znanej zasady rosyjskiej, że należy wybijać „klin klinem") usiłują ubić nacjonalizm studentów, tam także skupiają się zazwyczaj wszelkie inne zajścia natury nacjonalistycznej, jak np. w roku ubiegłym wrogie demonstracje studentów narodowców na wykładzie habilitacyjnym prywatdocenta Żyda Gutmana. Od wielu lat – za przykładem zresztą młodzieży innych krajów (w Polsce, w Austrii) – studenci medycy chrześcijanie protestują przeciwko udziałowi studentów Żydów w sekcjach anatomicznych trupów chrześcijańskich, przemocą ich z miejsca sekcji usuwają, podają do władz akademickich skargi i protesty, żądają, aby do sekcji były używane też trupy żydowskie w proporcji, odpowiadającej stosunkowi liczebnemu Żydów na wydziale. Ponieważ rabinat żydowski na dostarczanie trupów żydowskich na rzecz sekcji nie zgadza się, uważając to za pogwałcenie religii, której przepisy na to nie pozwalają, więc trzeba było opracować ustawę o dostarczaniu pewnych kategorii trupów na ten użytek na żądanie odpowiednich organów wydziału, osiągając w ten sposób automatycznie dopływ trupów także żydowskich, należących do przewidzianych w ustawie kategorii. Z łona też studentów medyków podnoszone były przed kilku laty pierwsze żądania ustanowienia dla Żydów tzw. *numerus clausus* na uniwersytecie. Aby stłumić ten ruch, a raczej ubić rozruchy i skandale, wypływające z tego ruchu i kompromitujące uniwersytet, władze wydziałowe, inspirowane przez profesora anatomii Żylińskiego i dziekana Lašasa, umyśliły odebrać tym manifestacjom żar przez staranne filtrowanie nowych wstępujących na wydział studentów w ten sposób, aby Żydzi li tylko w minimalnej ilości przez ten filtr się przesączać do wydziału mogli, choć

oczywiście formalne kryterium, użyte do tego filtru, miało być pozornie niewinne i nic z zagadnieniem rasy nie mające, jak oto konkurs świadectw matury z pierwszeństwem dla gimnazjów rządowych i przeto upośledzeniem faktycznym prywatnych gimnazjów mniejszościowych z językiem wykładowym nie litewskim, a w tym roku jeszcze dodatkowo oględziny lekarskie dla brakowania kandydatów z defektami fizycznymi lub fizycznie słabych. Wreszcie w tym roku filtry te doprowadzono na Wydziale Medycznym do takiej precyzji i perfekcji w ich funkcjonowaniu na użytek tamowania dostępu dla Żydów, że do wydziału nie został przyjęty ani jeden student Żyd (!), co wywołało żywe protesty i komentarze prasy żydowskiej oraz takie poruszenie opinii żydowskiej, że z jej reagowaniem zaczęto się już nawet liczyć u góry i że władze wydziałowe (Lašas) będą bodaj nawet zmuszone cofać się z nadmiaru swej gorliwości i naprawiać błąd, by przyjąć pewną ilość odsuniętych poprzednio Żydów. Drugim terenem zajść natury nacjonalistycznej na Wydziale Medycznym są protesty młodzieży narodowej przeciwko dopuszczaniu do profesury nie-Litwinów, choćby nawet obywateli litewskich i angażowaniu cudzoziemców, wykładających bądź po rosyjsku, bądź po niemiecku. Niedużo wprawdzie jest takich profesorów i dziś na innych wydziałach unika się starannie takich nabytków, ale jeszcze się to czasem zdarza z konieczności, a na medycynie zdarza także i właśnie dziś na tym tle miało miejsce nowe zajście, o którym już chyba jutro napiszę.

14 października, rok 1934, niedziela

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Już od 12 lat prawie regularnie co drugą niedzielę o godzinie 10 rano (bo jestem członkiem wydziału od samego jego założenia) odbywają się te posiedzenia i z małymi wyjątkami wszyscy zawsze na nich bywają. Dziekanem i kierownikiem moralnym naszego zespołu wydziałowego był przez lat 11 stary prof. Leonas, teraz od roku jest nim prof. Wacław Biržiška, zacny i mądry człowiek (stawiam jego wyżej od jego brata – gwiazdy uznanej rodziny Biržišków – Michała, który zmalał w Kownie i jest kierowany przez ambitną żonę, ale, niestety, na drożdżach jakoś nie rośnie, bo zresztą „wielkim” – za jakiego go w rodzinie mają – w istocie nie jest). Wacław Biržiška, nasz obecnie dziekan i zarazem bibliotekarz uniwersytetu, jest bardzo rzeczowy, poważny specjalista w swoim umiłowanym zakresie bibliofila, znawcy książki i historii druków litewskich, również w zakresie historii kultury intelektualnej litewskiej, a także – dobry i bardzo sumienny i staranny administrator wydziału, z którym nikt z nas konkurować by nie mógł. Co prawda, jako profesor na Wydziale Prawniczym nie może zasłynąć, bo wykłada prawo administracyjne, do którego nie ma ani pociągu, ani zamiłowania i które właściwie bynajmniej jego specjalnością nie jest. Jego miejsce w profesurze byłoby raczej na Wydziale Humanistycznym, jeno że tam nie ma dla jego specjalności katedry. Jest on też człowiekiem z charakteru, który można podziwiać i dla którego należy mieć uznanie. W latach 1918-1919 z szeregów socjalnej demokracji ewolucjonował on do szeregów komunizmu litewskiego. Gdy wódz komunistów litewskich, skądinąd szczery patriota litewski Mickiewicz-Kapsukas organizował Litewską Rzeczypospolitą Sowiecką w Wilnie, Wacław Biržiška był jednym z jego współpracowników i zajmował stanowisko komisarza bodajże oświaty. Zresztą i tam wtedy chodziło mu raczej o kulturę, niż o przewrót społeczny, choć niewątpliwie był, a nawet i pozostał w duszy rewolucjonistą społecznym i komunistą, choć jest bardzo opanowany dyscypliną wewnętrzną i lojalny wobec państwa litewskiego istniejącego. Jego przeszłość komunistyczna z roku 1919 czyni, a zwłaszcza czyniła go tu w pierwszych latach po powrocie „na łono” Litwy burżuazyjnej poniekąd politycznie „trefnym”. Rozumiejąc to i wcale nie dla względów kariery – bo jest on wprost antytezą organiczną karierowicza – zamknął się on szczelnie od wszelkiej polityki, szczelnie aż do podziwu, i oddał się wyłącznie i całkowicie – bez najmniejszego odchylenia przez lat już 15 – pracy kulturalnej. Moc i ścisłość, z jaką to czyni, jest wprost zadziwiająca. Jest on w tym względzie

po prostu żelazny. Nic go wytrącić z tej nakazanej sobie równowagi nie jest w stanie. Ale jest mu z tym dobrze, bo całą duszą i całą istotą swoją umiłował kulturę. Taki jest nasz drugi dziekan wydziału. Cenię go i kocham. To człowiek godny imienia człowieka.

Z żalem stwierdzam, że dziś w Radzie Wydziału nas kilku – Janulaitis, ja, Wacław Biržiška, Bielackin, Tumėnas – jesteśmy już najstarszym szeregiem profesury, kandydatami pierwszymi z kolei do zepchnięcia w nirwanę starości emerytalnej, z której pozostanie już tylko jedno i już ostatnie wtedy wyjście – śmierć. Nie liczę tu tylko starego prof. Sokołowskiego, już przeszło 70-letniego (wprawdzie doskonale zakonserwowanego), który jako cudzoziemiec jest u nas tylko czymś w rodzaju gastrolera, ale nie właściwego członka wydziału. Prawda, że my mamy jeszcze czas, mamy dobrych 10 lat do granicy statutowej wieku profesorskiego, a ja osobiście czuję się w tym roku nawet znacznie młodszy, niż w ciągu kilku lat ostatnich, a już bez żadnego zgoła porównania młodszy, niż w roku ubiegłym, w którym byłem w pełnym uwiądzie i który mi jest jakby mgłą przysłonięty, jakby jakieś majaczenie senne w moim życiu. Ale fakt pozostaje, że w zespole naszego wydziału my – nasze grono rówieśników – przesunęliśmy się na pozycję najstarszych. Nasze pierwsze czoło starych sprzed lat 10 już jest zepchnięte: umarł stary Pokrowski, umarł Kriščiukaitis, zeszli do emerytury Leonas, Mačys, Morawski, umarł świeżo nasz niemal rówieśnik Jaszczenko. Za to narosło nowe skrzydło, najmłodsi, których szereg otwierają Tamošaitis, Kriwicki i Bučas – ten ostatni dziś właśnie awansowany na docenta prywatnego – a za nimi cała gromada młodych asystentów, z których bodaj pięciu siedzi tutaj w naszym gronie i jeszcze tyleż, a może i więcej – dopełnia swoją specjalizację za granicą. Środek zaś między nami, starymi a młodzieżą – Jurgutis starszy, Rimka, Šalčius, Stankiewicz, Żołkowski, Weryha-Darewski. Tak płynie czas i tak my w nim ku starości płyniemy, gotując się do zapadnięcia w przeszłość. Tak.

15 października, rok 1934, poniedziałek

Wczoraj w gmachu „Białego Łabędzia" („Baltosios Gulbės"), to znaczy ratuszowym, tak („Baltoji Gulbė") nazwanym z powodu pewnego podobieństwa wrażeniowego do tego ptaka, odbywał się zjazd delegatów sekcji głośnego „Związku Odzyskania Wilna" („Vilniui Vaduoti Sąjunga"), którego stałym od lat wielu prezesem jest prof. Michał Biržiška, który imię swoje powiązał ściśle ze sprawą Wilna i tego związku strzeże pilnie. Organizacja „Vilniui Vaduoti Sąjunga" jest bodaj najbardziej ze wszystkich rozgałęziona, liczy bodaj 500 oddziałów w mnóstwie większych i mniejszych miejscowości kraju, w różnych poza tym instytucjach, zakładach, urzędach. Działalność związku nie zawsze jest szczęśliwa i właściwa. Wydaje on czasopismo „MūsųVilnius", dużo broszur agitacyjnych na rzecz propagandy, bardzo dużo korzysta z radia państwowego, przez które przemawiają stale Andrzej Rondomański po polsku i były student, funkcjonariusz płatny związku – Uždavinys – po litewsku, urządza wieczory i odczyty agitacyjne, utrzymuje „fundusz Wilna" (skarb specjalny) i operuje najrozmaitszymi pomysłami propagandy, agitacji i pompowania ofiarności publicznej. Że akcja tego związku z natury rzeczy jest skierowana przeciwko Polsce, która właśnie Wilno zabrała i nie idzie na żadne ustępstwa – to się rozumie, bo inaczej i być nie może, ale swoją drogą jest wielka przesada i przesolenie w tendencji antypolskiej, często aż niesmaczne i przeciwne tym samym zasadom, na których właśnie Litwa opiera swoje prawa do Wilna. Bo przecie na przykład Litwa i Polska w stosunku swych roszczeń społeczno-prawnych do Wilna są w zupełnej analogii do Polski i Niemiec do takichże roszczeń wzajemnych do Pomorza, Poznańskiego i Górnego Śląska. Roszczenia Polski tam mają tę samą zasadę, co tu ma Litwa, tutaj zaś roszczenie Polski są tej samej zasady, co tam roszczenia Niemiec. Prawda, że tam Polska trzyma obiekt w ręku, a Niemcy napadają, tutaj zaś napada Litwa, to znaczy że Polska w obu wypadkach jest „*beatus possideus*". Ale Polska ma tam właśnie to, co Litwa chce i domaga się mieć tu. Tytuł litewski tu zbiega się z tytułem

polskim tam, a niemiecki tam – z polskim tu. Zamiast to uwydatniać i wytykać Polsce, że w Wilnie uprawia ona to, co sama zwalcza na swoim zachodzie, panowie ze związku biorą w obronę w stosunku do Pomorza i Śląska właśnie Niemców, albo ogłupiając przeto Litwinów, albo wytrącając samej Litwie broń zasad z ręki w walce o Wilno. Tak działają nieraz literaci i prelegenci związku, zaślepieni nienawiścią lub przesadzający w gorliwości. Obaj też prelegenci radiowi związku – szczególnie Rondomański, który przemawia po polsku i doskonale posiada język, a ma słowo cięte i ostre, na każdym kroku drażni i obraża uczucia polskie; jego przemówienie docierają do Polaków litewskich w Wileńszczyźnie, ale tą metodą nie zdoła on ich przekonać i zjednać, jeno zniechęci i odstręczy, a przecie pozyskanie ich lub przynajmniej przekonanie o słuszności sprawy litewskiej może być dla Litwy tylko korzystne, bo przecie nie dla kogo innego, jak właśnie dla nich te prelekcje istnieją i oni tam stanowią siłę masową. Sama idea Związku Wyzwolenia Wilna jest dobra i akcja taka jest funkcjonalnie konieczna, ale tym bardziej błędy są w niej szkodliwe. Zarzuca się też często związkowi, że zbierając dużo pieniędzy na cele swej akcji, rzekomo lwią część tychże używa na opłacanie i utrzymanie samych wykonawców tej akcji tutaj, to znaczy, że związkowcy pod pretekstem różnych honorariów sami dzielą się i żywią tym, co uzbierają, a sama sprawa nic albo bardzo mało ma z tego. Zdaje się, że te zarzuty są albo zupełnie nieuzasadnione, albo bardzo przesadzone, a w każdym razie sam Michał Biržiška nic materialnie z tego nie korzysta i pod tym względem jest osobiście ponad zarzutami. Jednak dużo jest wad w tej akcji związku.

Na zjazd wczorajszy związku nie poszedłem, bo sam do niego nie należę, a w programie było zastrzeżenie, że pozdrowienia są przyjmowane tylko na piśmie. Wobec tego na piśmie tylko pozdrowienie przesłałem zjazdowi. Ale jak tu „pozdrawiać” organizację wyzwolenia Wilna w 14 rocznicę stracenia Wilna, które bynajmniej wyzwolone nie zostało i niczego w perspektywie nie widać, co by to wyzwolenie zbliżało lub zapowiadało, kiedy sam zjazd odbywa się nie w stolicy wyzwolonej, ale w stolicy prowizorycznej, w Kownie. Wyraziłem też to w moim „pozdrowieniu”. Witać i pozdrawiać można li tylko samą wolę i prawo, na których się idea odzyskania Wilna zasadza – raczej świadomość prawa i płynące z niej postanowienie wytrwania.

16 października, rok 1934, wtorek

Zapomniałem nadmienić wczoraj, że z drukarni „Varpas”, gdzie się ona drukowała, przysłano mi pierwszy spod prasy egzemplarz tomu I mojej ostatniej książki „Valstybė”, nad którą pisaniem pracowałem od roku 1929 do roku 1932 i która stanowić ma część pierwszą zamierzonego przeze mnie cyklu „Valstybė ir jos konstitucinė teisė”, ogarniającego cały system prawa konstytucyjnego ogólnego, wykładanego przeze mnie na Wydziale Prawniczym już od lat 12. Książkę tę wydaje mi Wydział Prawniczy, którego wydawnictwa redaktorem jest prof. Augustyn Janulaitis. Praca ta przeleżała u Janulaitisa w rękopisie dwa lata. Zaczęto ją drukować w tym roku przed wakacjami. Korektę wykonywał Andrzej Mieczkowski, zaś wykaz alfabetyczny imion własnych i terminów naukowych do niej wybrał z tekstu i ułożył Feliks Mackus.

Wieczorem przed moim wykładem wpadł do mnie... Wacław Studnicki z Wilna. Ucieszyłem mu się, ale na dłuższą gawędkę nie miałem już dziś czasu. Mam się z nim jeszcze w tych dniach spotkać i wtedy wrócę do niego w dzienniku.

Na moim wykładzie wieczornym prawa konstytucyjnego litewskiego było, jak zawsze na tych moich wykładach, mnóstwo słuchaczy. Przedmiot jest żywy i ujęty w konstrukcję nową, uwzględniającą obszernie historię polityczną powstawania Litwy Niepodległej. Zdaje się, ze zainteresowuje to wielce słuchaczy. Audytorium – przepełnione, jak na wielkich odczytach publicznych. Wykład doprowadziłem już do uchwały Litewskiej Rady Państwa („Valstybės Taryby”) z d. II.VII.1918 o zaproszeniu na tron konstytucyjny litewski Wilhelma

księcia Uracha pod imieniem króla Mindaugasa (Mendoga) II. Mnie samego te moje wykłady bardzo zajmują.

Napiszę o zajściu w sobotę na Wydziale Medycznym. Była tam w roku ubiegłym wolna katedra histologii. Kandydata – młodego wychowanka naszego uniwersytetu, podobno wybitnie zdolnego, który uzupełnił swą specjalizację za granicą, odebrał Wojenny Zarząd Sanitarny (generał Nagiewicz) jako byłego stypendystę swego. Wobec tego Wydział Medyczny, po dokonaniu pewnych poszukiwań, znalazł kandydatkę – kobietę na stanowisko profesora tej katedry, Rosjankę, niejaką panią Dauczakową, o której dziekan Lašas cuda nam opowiadał w senacie. Pracowała już ona w profesurze w Szwajcarii. Wydział Medyczny i senat ją zaakceptowały, Prezydent Rzeczypospolitej ją zatwierdził. Gdy przyjechała, okazała się wcale nie osobliwa. Nie wiem – może jest „gwiazdą" w nauce histologii, o której nie mam pojęcia, ale że jest dziwaczką, histeryczką pretensjonalną i nie jest orłem w zakresie inteligencji ogólnej – to wiem, bo już kilka razy przybiegała do mnie z rozmaitymi skargami, żalami, pretensjami i prośbami. Np. zgłaszała żądanie, abym nakazał Wydziałowi Medycznemu, żeby członkowie wydziału na posiedzeniach, gdy jest mowa o sprawach katedry histologii, przemawiali bądź po rosyjsku, bądź po francusku, bo ona po litewsku nie rozumie. P. Dauczakowa w zagadnieniach elementarnych prawa nie orientuje się i jest jak małe dziecko. Otóż w sobotę wyznaczony był jej publiczny wykład próbny na wydziale. Koła narodowe naszej młodzieży akademickiej są zdecydowanie wrogie angażowaniu do profesury bądź Żydów, bądź cudzoziemców, zwłaszcza Rosjan i dopuszczaniu wykładów po rosyjsku. Przed samym wykładem publicznym Dauczakowej otrzymałem od policji politycznej poufne ostrzeżenie, że grupa młodzieży gotuje się do zaprotestowania przeciwko językowi rosyjskiemu. Pośpieszyłem zawiadomić o tym dziekana Lašasa, ale on nie znalazł możności nic zarządzić przeciwko temu. Radziłem mu w ostateczności odwołać wykład, ale dziekan na to się nie zgodził, uważając to za przeciwne prawu. Wykład się rozpoczął, odpowiedziały mu okrzyki i gwizd i dziekan Lašas był zmuszony przerwać wykład. Rzecz jest przykra – zaszedł skandal – prasa się rozpisuje o tym. Ja oczywiście nie byłem na tym. Ale co na takie rzeczy poradzić?!

17 października, rok 1934, środa

Po obiedzie – od godz. piątej do ósmej – w lokalu Gabinetu Ministrów miało miejsce posiedzenie plenarne litewskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Jest to, jak wiadomo, wielka instytucja międzynarodowa, złożona z organizacji narodowych (państwowych), związanych w rodzaj konfederacji, której ośrodkiem jest odpowiednia komisja Ligi Narodów w Genewie. Nasza komisja narodowa istniała od przeszło lat 10, zorganizowana przy uniwersytecie albo raczej w jego łonie; składała się z członków, delegowanych po jednym od każdego wydziału, mając na czele rektora albo zazwyczaj w jego zastępstwie – prorektora. Ale nigdy nic zgoła nie robiła. Bardzo trudno ją było zebrać, a gdy się – zwykle raz na rok – zebrała, to się zorganizowała, to znaczy „wybrała sekretarza" (bywał nim Janulaitis, ja, Jonynas), umiejącego po francusku i na tym poprzestawała. Zazwyczaj nigdy więcej się nie zbierała i żadnych spraw nie załatwiała. Wybrany „sekretarz" też się sprawami nie interesował i nie zajmował, żadnej korespondencji nie załatwiał i nawet nadsyłanych z Genewy papierów i druków nie miewał w ręku, bo te się gromadziły na biurku prorektora i potem gremialnie wędrowały, jako masa archiwalna, do biblioteki uniwersyteckiej, a co się tam z tym dalej robiło – tego nie wiem. Był to nieporządek, ale rektorzy i prorektorzy co roku się zmieniali i nieporządek ten trwał i z roku na rok był przekazywany. A tymczasem Genewa wprost zalewała nas potokiem nadsyłanych do komisji druków, wydawnictw większych i ulotnych, ankiet, kwestionariuszy, listów... Wszystko to pozostawało bez odpowiedzi. Następnego roku powtarzało się to samo i tak dalej beznadziejnie bez końca. Co prawda, parę razy była podnoszona myśl o zreorganizowaniu i

zaktualizowaniu komisji, Jonynas raz nawet zaprojektował tę reorganizację, ale rzecz nie została zruszona z miejsca i komisja spała po dawnemu. Dopiero mój poprzednik – rektor Czapiński, pierwszy rektor kadencji trzyletniej – zgorszony i zniecierpliwiony tą niedołężną praktyką – wystąpił z wnioskiem zlikwidowania tej komisji jako instytucji uniwersyteckiej, co też zostało wykonane. Ale Ministerium Spraw Zagranicznych, zawsze wrażliwe na kontakt międzynarodowy i liberalniejsze od innych urzędów państwowych, nie zechciało dać zamrzeć tej potrzebie. W porozumieniu ministrów spraw zagranicznych i oświaty komisja została zreorganizowana, otrzymała statut, została przydzielona do Ministerium Spraw Zagranicznych, pod którego protektoratem i kontrolą pozostaje, a wreszcie – co najważniejsze – Ministerium Spraw Zagranicznych wyznaczyło jej sekretarza generalnego, płatnego przez ministerium, co komisję na nogi postawiło, bo jest wreszcie ktoś, kto służbowo sprawy jej przegląda, korespondencję załatwia, inicjatywę podnosi, utrzymuje ruch i bieg spraw. Tym sekretarzem generalnym komisji jest Soblys, człowiek młody, pracowity, chętny, biegły w kontakcie międzynarodowym, dobrze umiejący po francusku, obecny prezes Towarzystwa Litewsko-Francuskiego. Do prezydium komisji należą: ja jako jej prezes (prezesem jest rektor *ex officio*), prof. Galaunė – wiceprezes, dr Natkiewicz – skarbnik i Soblys – sekretarz generalny komisji. Do składu komisji należą: rektor uniwersytetu, delegaci po jednym od każdego wydziału (prof. Bagdonas – Medycyna, prof. Morkalis – Teologia, prof. Gaigalaitis – Teologia Ewangelicka, prof. Jankiewicz – Technika, prof. Janulaitis – Prawo, prof. Jonynas – Humanistyka, prof. Žemaitis – Matematyka-Przyroda), poza tym dyrektor biblioteki uniwersyteckiej (prof. Wacław Biržiška), dyrektor Radiofonu Państwowego (Bieliunas), dyrektor Teatru Państwowego (p. W. Kasakaitis), dyrektor Muzeum Czurlanisa (prof. Galaunė), delegat Ministerium Spraw Zagranicznych (dr Natkiewicz), delegat Ministerium Oświaty (prof. M. Raczkowski) i sekretarz generalny. Na dzisiejszym posiedzeniu plenum obecny był też minister Lozoraitis, który zagaił zebranie i delegowany *ad hoc* przez ministra oświaty wiceminister Masiliunas. Przewodniczyłem ja z urzędu. Soblys, który był latem na kilku zjazdach i kongresach w Genewie, referował o tym, poza tym omawiane były różne wnioski prezydium w zakresie prac komisji. Sekretarz generalny Soblys ma sporo inicjatywy i może dobrze rozwinąć jej pracę, bo ma zmysł taktu i kontaktu, a członek prezydium Galaunė jest człowiekiem żywym i głębokim. Podniesiono dużo użytecznych myśli. W szczególności bardzo akcentowany jest ściślejszy kontakt bałtycki (Litwa-Łotwa-Estonia). Tylko trochę za długo przewlekano posiedzenie. Można było trzy godziny skrócić do jednej – wystarczyłoby.

18 października, rok 1934, czwartek

Wczoraj mówił mi minister spraw zagranicznych Lozoraitis, że działalność naszej komisji do spraw Kłajpedy przy Gabinecie Ministrów niebawem będzie wznowiona i zaktywizowana. Komisja ta nie jest zlikwidowana, mimo że w roku ubiegłym, gdy z niej ustąpił dr Sokołowski, który objął stanowisko jednego z radców gubernatury w Kłajpedzie, działalność jej była bardzo słaba i tylko dorywcza i epizodyczna, a od wiosny ustała faktycznie. Formalnie komisja istnieje, pensje miesięczne jej członkom się wypłaca regularnie – po 400 litów co miesiąc, ale roboty nie ma żadnej, bo nikt jej nie zwołuje i roboty nie daje. Członkami tej komisji obecnie są: Mašalaitis jako jej prezes i członkowie – ja, Tadeusz Pietkiewicz i Lozoraitis, który został ministrem. Lozoraitis z Pietkiewiczem bawili we wrześniu w Genewie na sesji Ligi Narodów, Mašalaitis jest ciężko chory i dopiero zdrowieje. Nie wiem, czy Lozoraitis jako minister będzie nadal członkiem komisji, ale mają do niej wejść jako nowi członkowie Zygmunt Starkus z Rady Stanu, nasz młody świeżo upieczony prof. Dominik Kriwicki i bodaj minister sprawiedliwości Šiling. Tak mię informował Lozoraitis. Wznowienie akcji komisji, jak powiada Lozoraitis, jest konieczne, bo kierunek spraw kłajpedzkich stał się dosyć chaotyczny, a w każdym razie oderwał się od wszelkiej ścisłej podstawy prawnej, co zaczyna być niebezpieczne dla państwa ze stanowiska jego

zobowiązań międzynarodowych konwencyjnych. Trzeba sprawom kłajpedzkim nadać dyscyplinę prawną.

Wieczorem miało miejsce posiedzenie bieżące senatu akademickiego. Samo posiedzenie było dość bezbarwne, ale po nim miałem ciekawą rozmowę z Purėnasem, który mi radzi wnieść do senatu sprawę zamaskowanej wprawdzie, ale dość skandalicznej akcji antysemickiej Wydziału Medycznego i zapewnia, czego, sądząc z dotychczasowych prób, wcale pewny nie byłem i nadal nie jestem, że inicjatywa przeciwko temu antysemityzmowi na rzecz jego przynajmniej umiarkowania zostanie w senacie mocno przez poważną grupę jego członków (ja, Purėnas, Krėvė-Mickiewicz, Žemaitis, Wacław Biržiška, Grinkiewicz) poparta.

19 października, rok 1934, piątek

Rano w bazylice odbyło się nabożeństwo żałobne za dusze zamordowanego w Marsylii francuskiego ministra spraw zagranicznych Barthona i zmarłego byłego ministra i byłego Prezydenta Rzeczypospolitej Francji Raymonda Poincaré, który niegdyś przed samym wybuchem Wielkiej Wojny w roku 1914 odwiedzał jako prezydent cara Mikołaja II i układał z nim wspólnictwo wojny, a potem jeszcze po wojnie grał wybitną rolę w polityce francuskiej i światowej. Byłem na tym nabożeństwie. Był Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona, prawie wszyscy ministrowie z Tubelisem na czele, korpus dyplomatyczny, wysocy wojskowi, dygnitarze i wysocy urzędnicy. Mszę świętą celebrował prałat prof. Kazimierz Šaulys, modły przy katafalku żałobnym, nakrytym wstęgami o barwach Francji, odprawiał arcybiskup metropolita Skwirecki w asystencji wyższego kleru. Po obiedzie w sali uniwersyteckiej Towarzystwo Litewsko-Francuskie urządziło uroczyste posiedzenie publiczne na rzecz uczczenia pamięci obu zmarłych mężów stanu. Nie byłem na tym posiedzeniu obecny. Zastąpił mię prorektor Česnys.

Miałem w domu egzaminy studenckie.

Wieczorem o godzinie dziesiątej poszliśmy z Jadzią i z Andrzejem Mieczkowskim na kolację do restauracji „Metropolu“, urozmaiconą dancingiem i kabaretem. W ten sposób pożegnałem Jadźkę, która jutro na dni 10 odjeżdża do Bohdaniszek robić porządek w gospodarstwie moim.

20 października, rok 1934, sobota

Rano Jadźka odjechała na tydzień lub dni dziesięć do Bohdaniszek dla spraw gospodarskich. Nudno i smutno będzie w domu bez niej. Tylko że nie bardzo jest czas na nudzenie się.

Nasza komisja do spraw kłajpedzkich przy Gabinecie Ministrów, która, jak przed kilku dniami wspominałem, od dłuższego czasu była nieczynna, dziś wreszcie została zwołana. Nie było ani Tadeusza Pietkiewicza. Natomiast oprócz mnie w posiedzeniu wzięli udział czterej ministrowie – prezes ministrów Tubelis, minister sprawiedliwości Šiling, minister spraw zagranicznych Lozoraitis i minister wojny Šniukšta, poza tym – prezes Trybunału Ciplijewski, członek Rady Stanu Zygmunt Starkus, prof. Kriwicki, młody referent Rady Stanu student Jan Jabłoński (bodajże w roli sekretarza, nie biorącego udziału w debatach) i gubernator Kłajpedy Navakas. Porządek dzienny obrad, mających się toczyć jeszcze jutro, obejmował coś ze 7 punktów. Dziś była debatowana tylko jedna kwestia – kwestia usunięcia dwóch sędziów kłajpedzkich, których dyrektorium Reizgysa usunęła ze stanowiska bez żadnej decyzji sądu dyscyplinarnego i wbrew zastrzeżonej w statucie nieusuwalności sędziów. Chociaż ze stanowiska litewskiego usunięcie tych sędziów jest dodatnie, to jednak jest ono nielegalne i Litwa może za to, jako za pogwałcenie zagwarantowanego międzynarodowo statutu, odpowiadać. Usprawiedliwiać się tym, jak proponował Navakas, że władza centralna nie posiada środków statutowych do zareagowania na akt dyrektorium, gwałcący przepisy statutu, nie można, bo po pierwsze Litwa zasadniczo powinna negować

brak absolutny środków władzy i obstawać przy twierdzeniu, że władza państwowa musi mieć i ma zawsze środki do poskromienia nielegalnej akcji organów autonomicznych, a po wtóre – nie odpowiada to rzeczywistości, bo wyrok Trybunału Haskiego z roku 1932 Litwie posiadanie tych środków przyznał i ona ich wyrzekać się lub pozostawiać bez użytku ani tym się tłumaczyć nie może. Kij, jak wiadomo, ma dwa końce. Skądinąd wszakże, choć na dyrektorium, które obecnie jest przecie litewskie, wpłynąć można i uzyskać skierowanie sprawy tych dwóch sędziów na tory sądu dyscyplinarnego, to jednak dziś na tej drodze sprawa nie poszłaby po myśli litewskiej, bo sądem dyscyplinarnym dla sędziów kłajpedzkich jest sekcja kłajpedzka Trybunału Najwyższego, a w tej sekcji większość stanowią dwaj sędziowie Niemcy – Plümicke i Hesse, którzy są zdecydowanymi germanizatorami. Jedyna więc droga – zreformowanie składu osobistego sekcji kłajpedzkiej w Trybunale. Choć ci sędziowie trybunalscy są także nieusuwalni zasadniczo, ale jeden z nich – Plümicke – jest już bardzo stary i mógłby być przeniesiony w stan spoczynku. A wtedy na miejsce Plümicke mógłby być mianowany jeden z sędziów kłajpedzkich Litwinów, których teraz jest już sześciu i z których jednego – Bruzdeliusa (tak, zdaje się) Navakas ma upatrzonego. Ale w toku tych naszych debat Kriwicki pod wpływem Starkusa był wystąpił z pewnym twierdzeniem, stanowiącym herezję z punktu prawa, tak że byłem zgorszony. Twierdził on bowiem, że nieusuwalność sędziów, zastrzeżona w statucie, jest tożsama z zastrzeżoną tamże zasadą nietykalności tzw. praw nabytych („*droits acquis*") urzędników. I jak urzędnika, w myśl teorii praw nabytych, można usunąć z posady, jeno mu pensję nadal wypłacać trzeba, bo można mieć prawa nabyte li tylko do wynagrodzenia, ale nie do funkcji publicznej, tak też rzekomo może być usunięty sędzia pod warunkiem tylko wypłacania mu nadal pensji. Takie komentowanie nieusuwalności sędziów jest głęboko obskuranckie. Nie uwzględnia ona tego, że instytucje nieusuwalności sędziów i praw nabytych urzędników, ściśle rozróżniane zresztą w samym statucie kłajpedzkim, są różnego pochodzenia i natury różnej. Nieusuwalność sędziów płynie z zasady podziału formalnego funkcji państwowych i służy środkiem do zapewnienia zupełnej niezależności władzy sądowej od władzy rządzącej lub ustawodawczej, podczas gdy prawa nabyte urzędników nic wspólnego z tym nie mają i służą do unormowania stanu urzędniczego jako element statutu urzędników czy statutu służby państwowej. Sam Kriwicki mi to potem w rozmowie prywatnej przyznał i długo się tłumaczył przede mną.

21 października, rok 1934, niedziela

Wczoraj wieczorem w skromnym lokalu restauracji Kursów Kulinarnych Czekanowskiej na Laisvės Alei (w domu kościoła szarytek) odbyła się kolacja pożegnalna Wydziału Prawniczego dla trzech byłych członków tegoż wydziału, którzy zeń wystąpili ze względu na przekroczenie „granicy wieku", profesorów Piotra Leonasa, który był pierwszym i stałym aż do roku ubiegłego dziekanem wydziału, Władysława Mačysa i Alfonsa Morawskiego. Faktycznie wydział żegnał ich wszystkich trzech, chociaż formalnie pożegnanie było ogłoszone dla dwóch – Mačysa i Morawskiego, ponieważ Leonas już w roku ubiegłym odmówił przyjęcia uczty pożegnalnej, sam ofiarowując zamiast tego pewną kwotę pieniężną na nagrody dla prac konkursowych studenckich. Ale ponieważ Leonas na pożegnanie Mačysa i Morawskiego przyszedł, więc faktycznie sam wpadł w sidła i wcielony został do grona żegnanych. Byli obecni prawie wszyscy członkowie obydwóch sekcji wydziału – prawniczej i ekonomicznej – począwszy od głów, a kończąc na najmłodszych – asystentach. W pożegnaniu wziął udział formalnie także sam uniwersytet, reprezentowany nie tylko przeze mnie jako rektora, będącego skądinąd także członkiem Wydziału Prawniczego, ale także obydwóch prorektorów – prof. Česnysa i prof. Jodeli, którzy do wydziału naszego nie należą. Kolacja była skromna. Składała się przeważnie z licznych, obfitych i starannie przyrządzonych przekąsek, pieczystego z indyka, wódki, piwa, wody mineralnej, krupniku i kawy. Produkty – świeże, przekąski przeto – nie trujące, jak to się w „Metropolu" zdarza,

przyrządzenia – smaczne. Usposobienie było serdeczne. Oczywiście przemawiałem ja jako rektor, przemawiał dziekan Mačys. Milczał tylko zawzięcie, jak zawsze już od lat 15 co najmniej, Morawski, który niegdyś za młodu był żywym człowiekiem, działaczem ruchliwym i pełnym temperamentu i energii; niegdyś w Wilnie w latach 1895-1896 – wraz z dr Andrzejem Domaszewiczem – był gorącym przeciwnikiem PPS-u, organizatorem, a nawet inicjatorem samodzielnego litewskiego ruchu socjalistycznego i założycielem LSDP, która już wtedy, pierwsza przed wszystkimi innymi partiami i grupami litewskimi, ogłosiła w swym programie postulat Litwy Niepodległej. Choć nigdy Morawski nadmiarem inteligencji nie grzeszył, ale był dzielny i pełny ruchy niespokojnego. Później jeszcze, przed wojną, pamiętam go w organizacji kooperatywy kredytowej litewskiej, a przed samą wojną był on *spiritus movens* zjazdu Izby Eksportowej w Wilnie w przedmiocie nowego traktatu handlowego Rosji z Niemcami, a nawet jeszcze po wojnie w roku 1920 w Wilnie podnosił pewne inicjatywy społeczne, zwoływał zebrania, ruszał się. Ale niebawem zgasł całkowicie jak świeca, która się dopaliła. Przez kilkanaście lat pracy w Wydziale Prawniczym siedział bez ruchu i bez słowa na posiedzeniach Rady Wydziału, nie zabrał głosu nigdy, jak bezwładne ciało, w którym tylko oczy niespokojnie biegały. Czuł się upośledzony, był dziwnie przygnębiony i bezwładny. Profesorem był bardzo słabym, choć pracowitość miał niezwykłą i prawdziwą manię gromadzenia materiałów, cyfr, wycinków, dotyczących finansów i gospodarstwa społecznego. Ale te materiały zlewały się u niego w jakiś chaos cyfr i faktów detalicznych, których nie umiał usystematyzować, opanować, ująć myślą syntetyczną i zbudować na nich wyraźne i mądre wnioski twórczości naukowej. Wykładał „visuomenės ūkis" i wraz ze swym kursem był tylko balastem sekcji ekonomicznej, choć przy tym swoim niedołęstwie psychicznym myśli i woli był bardzo ambitny, chciwy wywyższenia, zazdrosny i wciąż cierpiał moralnie, czując się niedoceniony i przez innych ubiegany. Jest on smutnym zabytkiem przeszłości, w której był niegdyś polot, romantyzm, zasługa czynu serdecznego, a w której potem wyrosła próżnia i uwiąd.

Zresztą sama taka uczta pożegnalna, jak dziś, choć była serdeczną, jest jednak smutna, bo oto trzej ludzie żywi odchodzą, zapadają w nicość emerytury i przed sobą już nic nie mają prócz śmierci. Kto wie, czy takie pożegnanie nie jest w głębi boleśniejsze od pogrzebu, kiedy człowiek, działacz umarł od razu i na prawdę.

O godzinie szóstej w konserwatorium zebrało się kilkadziesiąt osób, zaproszonych przez kilku artystów Opery i Dramatu do udziału w komitecie jubileuszowym dla uczczenia solistki operowej, pierwszorzędnej śpiewaczki p. Grigaitisowej. Zebrali się przeważnie artyści Opery i Dramatu, muzycy, kilku profesorów (Janulaitis, Juodelis) i działaczy społecznych (w ich liczbie Michał Ślażewicz), kilka pań (p. Zauniusowa, Michałowa Biržiškowa, Janowa Mašiotasowa i kilka innych). Obchód jubileuszu wyznaczony na 9 listopada. Wystawiona będzie opera „Tosca" z udziałem jubilatki, następnie odbędzie się akt obchodu na scenie – przemówienia, adresy itd. Oczywiście i ja przemawiać będę, witając w osobie jubilatki sztukę w imieniu nauki. Uroczystość będzie reprodukowana przez radio. Poza tym będą różne obchody lokalne. Wybrano komitet wykonawczy w osobach artystów p. Zauniusowej, Aleksandra Kutkowskiego, Sodeiki, Pilki, także prezydium honorowe komitetu w osobach mojej jako rektora, burmistrza Merkysa, wielkiego Kipra Piotrowskiego i dyrektora konserwatorium.

22 października, rok 1934, poniedziałek

Jak komisja do spraw kłajpedzkich spała – to spała na dobre. Posiedzeń nie było wcale. Za to gdy ją obudzono – to się puściła w ruch całą siłą pary: w sobotę pierwsze posiedzenie, w niedzielę dwa posiedzenia – rano od dziewiątej do jedenastej i wieczorem od siódmej do dziesiątej, w poniedziałek znowu dwa posiedzenia po tyleż godzin. Ale obawiam się, że to jej przebudzenie, aczkolwiek ujawnione niezwykle intensywną akcją, będzie krótkie i niebawem

znów się ona dla braku karmu w drzemkę pogrąży. Taka metoda pracy, polegająca bądź na długiej bezczynności zupełnej, bądź na nagłej gorączce wysiadywania niemal bez przerwy, zapominając o wszelkim innym zajęciu, jak żeby na świecie było to jedno – to jest typowo amatorska metoda Šilinga. W tym on celuje, wtedy czuje się w swoim żywiole. Zresztą poniekąd sama sytuacja w Kłajpedzie usprawiedliwia tym razem to krótkie, co prawda, ale niezwykle intensywne tempo narad kłajpedzkich. Sprawa kłajpedzka jest w samym centrum polityki litewskiej, tak międzynarodowej, jak wewnętrznej. Litwa w tej chwili robi wielki wysiłek na rzecz ściślejszego związania Kłajpedy z państwem, na rzecz umocnienia w niej pierwiastka narodowo-litewskiego. Autonomia Kłajpedy, opanowana przez Niemców, bardzo komplikuje akcję litewską państwową, której wykonawcą jest gubernator Navakas. Trzeba wydzierać pozycje z rąk niemieckich i robić to tak, żeby ile można były zachowane pozory prawne i była formalnie utrzymana zgodność wszelkich zarządzeń z przepisami statutu. Wymaga to lawirowania, sofistyki prawniczej, naciągania w interpretacji przepisów. Jest to sztuka bardzo trudna i dla prawnika bardzo nieprzyjemna, jak zawsze, kiedy prawo istniejące musi iść na usługi polityki, nie mogącej go po swojemu dowolnie modyfikować i zmuszonej do osiągania swych celów metodą wyłącznie interpretacji. Dobrze, że wyrok haski z roku 1932 cokolwiek rozszerzył możliwość tej interpretacji na rzecz Litwy, ale nawet te rozszerzone ramy nie wystarczają i zbytnio krępują politykę litewską. Skądinąd zaś Niemcy nie drzemią i notują każdy błąd prawniczy litewski, każdą wadliwość interpretacji. Niemcy podnoszą gwałt i krzyk, a mocarstwa sygnatarne, które z tytułu konwencji są gwarantami legalności statutowej w Kłajpedzie, interpelują Litwę, żądają wyjaśnień, wytykają jej zarządzenia. Litwa akcji przerwać nie może, ale ewentualne potępienie jej przez Trybunał w Hadze kompromitowałoby jej politykę kłajpedzką i zadałoby jej cios polityczny ogromny. Toteż musi ona wystrzegać się wszelkiej jaskrawości, przestrzegać bardzo ściśle pozory, unikać możliwości interwencji Hagi, rezerwować sobie wszelkie środki obrony prawnej, a jednak robić swoje i wytrwać w samych celach i istocie swej polityki kłajpedzkiej. Zadanie to jest nie lada. Obrady obecne w komisji musiały wszechstronnie całą tę sytuację skomplikowaną rozważyć. Minister Lozoraitis zebrał wszystkie najistotniejsze punkty reklamacji sygnatariuszy, by je rozważyć, a jednocześnie chodziło o ustalenie tez prawnych dla zamierzonych najbliższych posunięć polityki litewskiej w jej akcji kłajpedzkiej, wśród których na czoło wysuwają się zwłaszcza dwa momenty: zwołanie sejmiku i wielki proces karny przeciwko organizacjom narodowo-socjalistycznym niemieckim Sassa i Neumanna w Kłajpedzie, w którym rozprawa główna będzie się toczyła w Sądzie Wojennym w Kownie zapewne od połowy grudnia i potrwa najmniej parę miesięcy. Cały ten kompleks spraw – tak poszczególnych reklamacji co do różnych aktów i zarządzeń dokonanych, jak pewnych ważnych szczegółów tych dwóch spraw kapitalnych – został wytoczony na obrady komisji i rozpoznany w tych pięciu jej posiedzeniach. Oczywiście w obradach, jakem już, zdaje się, wspominał, brali udział czterej ministrowie – prezes ministrów i zarazem minister finansów Tubelis, minister Lozoraitis, minister Šiling i minister Šniukšta – gubernator Navakas, członkowie komisji – prezes Trybunału Ciplijewski, członek Rady Stanu Starkus, referent Rady Stanu prof. Kriwicki i ja – protokolista komisji Jan Jabłoński i w pewnych momentach, gdy chodziło o sprawę Sassa i Neumanna, prezes Sądu Wojennego (następca Šniukšty na tym stanowisku) Leonas (oczywiście nie prof. Piotr Leonas).

Szczegóły postaram się podać innym razem. Gdybym chciał je streścić wszystkie szczegółowo – byłoby tego niezmiernie dużo.

23 października, rok 1934, wtorek

Na zebranie, a raczej na obiad Rotary-Clubu, którym się zresztą zbytnio nie zachwycam, dziś nie poszedłem, bo zaprosiłem dziś Wacława Studnickiego do siebie na obiad. Studnicki przyjechał tu w sprawach przeważnie organizacyjnych reformackich. Zawsze

dawniej był on bezwyznaniowcem i antyklerykałem, a z urodzenia i chrztu był katolikiem rzymskim. Dopiero gdy się rozwodził ze swoją pierwszą żoną, Kozłowską z domu, którą znałem dobrze w Wilnie i która obecnie ma posadę w archiwach grodzieńskich (poszła śladami ex-męża), przyjął on wyznanie kalwińskie, ale stał się gorliwym i czynnym kalwinem, biorącym żywy udział w sprawach reformackich, zaciekłym antypapistą i stałym działaczem organizacji reformackiej. Organizacja zaś reformacka obydwóch stron linii demarkacyjnej, dzielącej Litwę na niepodległe litewskie Kowno i polskie Wilno, zachowała swą jedność. Naturalnie, że przy tej okazji Studnicki nie zaniedbuje też zwiedzania tutejszych archiwów, do których ma zawsze pasję. Zapoznaje się z nimi, szpera po nich, nawiązuje stosunki z działaczami kulturalnymi i szperaczami archiwalnymi tutaj, zachwycony jest muzeum „Aušry" w Szawlach, zachwycony jest również Bugailiškisem, Konstantym Jabłońskim. Choć w sercu nie przestał być państwowcem polskim, ogarniającym w tej państwowości także Wilno, ale wyzbył się radykalnie dawnych swych uprzedzeń i niechęci (może raczej pogardy) do Litwy i Litwinów i stał się zupełnie szczerym przyjacielem państwowości litewskiej (z wyłączeniem z niej wszakże Wilna). Skądinąd zachowuje się bardzo taktownie, unika wszelkiej dyskusji na temat Wilna, nie dotyka wcale tej kwestii bolącej. Stwierdza on – i ma rację – że w stosunkach społeczno-politycznych Litwy jest bardzo dużo analogii do takichże stosunków w Polsce. Jutro już Studnicki wraca przez Jewje do Wilna. Choć mię wiele z nim dzieliło, jednak lubiłem go i lubię. Jest to człowiek bardzo szczery, człowiek poza tym żywy i wyraźny. Łączą mię z nim dawne stosunki nie tylko z Wilna, ale jeszcze z Paryża ze „Spójni" z czasów studenckich.

Na wieczornym wykładzie moim z litewskiego prawa konstytucyjnego doprowadziłem wykład do konstytucji tymczasowej z d. 2.XI.1918.

A teraz przechodzę do naszych niedzielnych obrad kłajpedzkich. Jedną z ciekawszych kwestii była kwestia zwołania sejmiku. Jak wiadomo – po odwołaniu przez gubernatora poprzedniego prezesa dyrektorium, Niemca Schreibera, który posiadał zaufanie niemieckiej albo raczej nacjonal-socjalistycznej, to znaczy – hitlerowskiej większości sejmiku, gubernator Navakas powołał na to stanowisko Litwina Reizgysa, który utworzył obecne czysto litewskie dyrektorium. W myśl statutu autonomicznego sejmik był terminowo zwołany dla wysłuchania deklaracji nowego dyrektorium i ewentualnego wyrażenia mu zaufania lub nieufności. Ponieważ z góry było pewne, że większość sejmikowa zaufania Reizgysowi odmówi, a skądinąd, stosownie do ostatniego punktu wyroku haskiego z roku 1932, rozwiązanie sejmiku przez gubernatora w porozumieniu z dyrektorium jest dopuszczalne li tylko w takim wypadku, gdy zgody na to rozwiązanie udzieli gubernatorowi także dyrektorium, które już poprzednio choć raz było otrzymało votum zaufania sejmiku albo faktycznie z sejmikiem współpracowało jako tolerowane przezeń, więc w tym konkretnym wypadku rozwiązanie sejmiku było wykluczone i gdyby sejmik wyraził Reizgysowi votum nieufności, to dyrektorium Reizgysa musiałoby niezwłocznie podać się do dymisji. Ponieważ zaś gubernator tego nie chciał, bo jemu i polityce litewskiej w Kłajpedzie chodziło właśnie o to, żeby skorzystać z faktu, że dyrektorium jest w ręku litewskim i dokonać szeregu zarządzeń władzy autonomicznej, paraliżujących zarządzenia wyraźnie germanizacyjne dyrektoriów poprzednich i ustalających litewski kierunek administracji krajowej, więc postarano się o to, aby przy zebraniu się sejmiku zabrakło quorum legalnego do wysłuchania deklaracji dyrektorium i wyrażenia votum bądź zaufania bądź nieufności. Tak się też stało i dyrektorium Reizgysa pozostało u steru władzy autonomicznej. Sesja sejmiku była wszakże otwarta i przeto prezydium tegoż miało prawo zwołania posiedzenia. Nie zwoływało go jednak, widocznie czując, że znów zabraknie quorum. Tymczasem centralna władza państwowa wydała ustawę o bezpieczeństwie państwowym, w myśl której komendant wojenny lokalny w dobie stanu wojennego (stan wojenny istotnie jest utrzymywany) może także członków sejmiku kłajpedzkiego, których działalność skądinąd jest skierowana przeciwko

bezpieczeństwu państwa, pozbawiać mandatu sejmikowego. Zostało to więc zastosowane do najradykalniejszych posłów sejmikowych kierunku germanizatorskiego.

24 października, rok 1934, środa

Piszę w dalszym ciągu o naszych ubiegłych obradach kłajpedzkich w komisji. Nawiązuje bezpośrednio do tego, na czym przerwałem wczoraj. Po kilku miesiącach sesji sejmikowej, rozpoczętej niefortunnie przez posiedzenie, niedoszłe ze względu na brak quorum, prezydium niemieckie sejmiku, które przez ten czas wcale go nie zwoływało, zdecydowało się wreszcie znów zwołać posiedzenie. W tym czasie już szereg najzacieklejszych germanizatorów w składzie sejmiku został już mocą rozporządzenia komendanta wojennego na zasadzie nowej ustawy o bezpieczeństwie państwa pozbawionym mandatów. Posiedzenie znów do skutku nie doszło i znowu dla braku quorum. Dobrze nie wiem, ale zdaje się, że tym razem obstrukcja abstynencka pochodziła z łona Niemców. O co im chodziło – dobrze się nie orientuję. Gubernator wszakże już wszedł w smak rządzenia „autonomicznego” z pomocą oddanego mu dyrektorium litewskiego (Reizgysa). Nie chciał on linię polityczną tych rządów litewskich, gruntującą litewskość Kłajpedy i wysadzającą to, co w niej były nasadziły poprzednie rządy germanizacyjne Schreiberów i innych, czynić zależną od przygodnego quorum lub braku quorum sejmiku. Miał on już swój pomysł inny. Toteż niezwłocznie po drugim niedoszłym posiedzeniu sejmiku zarządził – w porozumieniu z dyrektorium, jak tego wymaga statut – zamknięcie sesji. Na to zarządzenie zamknięcia sesji bez wysłuchania przez sejmik deklaracji dyrektorium i wypowiedzenia się jego w kwestii zaufania albo nieufności, gubernator ma formalny argument niezły: cóż po takiej sesji, trwającej miesiącami, kiedy albo prezydium sejmiku wcale posiedzeń nie wyznacza miesiącami, albo gdy posiedzenie jest wyznaczone – nie może się zebrać quorum. Dwukrotnie powtórzona próba dwukrotnie się z braku quorum nie udała. Zamknięcie sesji miało na względzie zwołanie przez gubernatora niebawem nowej sesji – nadzwyczajnej. Członkowie rządu centralnego – zwłaszcza minister spraw zagranicznych Lozoraitis (także minister Šiling) – bardzo nalegają na szybsze zwołanie tej sesji nadzwyczajnej, aby nie było wobec zagranicy wrażenia, że Litwa umyślnie utrudnia wypowiedzenie się sejmiku, aby przedłużyć rządy dyrektorium litewskiego, działającego dotąd bez żadnego kontaktu z sejmikiem (co prawda, byłby na to argument ten, że Litwa samowolnie czynić tego nie jest nawet w stanie, bo pewna określona ilość członków sejmiku może sama zażądać zwołanie sesji nadzwyczajnej – i wtedy sesja musiałaby być zwołana, ale posłowie sejmikowi sami żądania tego nie zgłaszają). Tak lub owak – rząd centralny nalega na gubernatora, aby zwołał tę sesję nadzwyczajną jak najprędzej. Gubernator Navakas zamierzał ją zwołać za miesiąc, ale Lozoraitis i Šiling ani słyszeć o tym nie chcieli, żądając, aby to nastąpiło za jakiś tydzień lub dni dziesięć. Dotąd Navakas nawet nie mógł tego zrobić, bo musiał wpierw w porozumieniu z rządem centralnym i z komisją naszą konsultantów ustalić pewne tezy planu działania w związku z tym zwołaniem sesji nadzwyczajnej. Jeden z istotnych elementów tego planu jest ten, że na porządek dzienny tej sesji, układany przez gubernatora w porozumieniu z dyrektorium – ponieważ to on w porozumieniu z dyrektorium tę sesję zwołuje – deklaracja dyrektorium, a przeto i kwestia zaufania jako element wysłuchania deklaracji nie będzie wcale wpisana. Chociaż statut wyraźnie żąda, aby nowe dyrektorium, stając po raz pierwszy przed sejmikiem, wygłosiło mu swoją deklarację programową, by dać możność ujawnić się zaufaniu lub nieufności sejmiku i nawet zobowiązuje władze do specjalnego terminowego *ad hoc* zwołania sejmiku w tym wypadku, gdy nowe dyrektorium ukonstytuowało się w czasie, gdy nie ma sesji sejmiku, to jednak gubernator i dyrektorium motywuje niewpisanie obecnie deklaracji do porządku dziennego sesji nadzwyczajnej tym, że przepis statutowy o deklaracji już został wykonany, bo po ukonstytuowaniu dyrektorium Reizgysa sejmik w terminie statutowo przepisanym był zwołany i deklaracja do porządku dziennego była wpisana, więc

sejmik miał możność wysłuchania deklaracji i wypowiedzenia się w przedmiocie zaufania, a jeżeli nie uczynił tego dwukrotnie dla braku quorum, to widocznie sam tego nie zechciał. Nie ma więc racji powtarzać to do nieskończoności i czynić komedię, a tymczasem ta sesja będzie nadzwyczajna i pilne sprawy bieżące, dla którym ona jest zwoływana, nie mogą być wiecznie odkładane *ad infinitum* i funkcja ustawodawcza w kraju zamrzeć nie może.

25 października, rok 1934, czwartek

Umarł dr Józef Purycki. Umarł nagle nad ranem na serce. Niestary był jeszcze człowiek – przynajmniej w stosunku do śmierci; zdawało się – był w pełni sił. Był o trzy lata młodszy ode mnie, urodzony w roku 1883, to znaczy – miał lat dopiero 51. Sądziłem, że jest młodszy. Śmierć jego, choć nagła i zgoła niespodziewana, śmierć z choroby sercowej, jak u mnie, i pomimo że był prawie w moim wieku, nie sprawiła na mnie takiego wrażenia, jak przed rokiem śmierć prof. Kriščiukaitisa, znacznie starszego. Może dlatego, że z Kriščiukaitisem byłem w szczególnie bliskich i zażyłych stosunkach, ale może jeszcze bardziej dlatego, że w roku ubiegłym sam byłem ciężko chory i że nurtował mię wciąż głęboki niepokój pod tym względem, podczas gdy teraz czuję się psychicznie silny i fizycznie prawie że zdrowy.

Dr Purycki był niewątpliwie człowiekiem wybitnych zdolności publicystycznych, bodajże najwybitniejszy z publicystów litewskich. W ostatnim dziesięcioleciu był stałym prezesem Związku Dziennikarzy Litewskich. Jego pióro w artykułach wstępnych było świetne. Pisał pod pseudonimem Vygandasa i zasilał zwłaszcza rządowy „Lietuvos Aidas", biorąc wspaniałe honoraria od wiersza. Przeszłość jego była krótka, ale wyrazista. W czasie wojny i okupacji niemieckiej bawił w Szwajcarii (bodajże w katolickim Fryburgu) jako młody ksiądz na studiach i tam się też doktoryzował. W Szwajcarii brał czynny udział w akcji emigranckiej na rzecz Niepodległości Litwy. Zaraz po wojnie objął stanowisko litewskiego posła w Berlinie, niebawem – ministra spraw zagranicznych Litwy. Jeszcze na stanowisku posła w Berlinie nawiązał poufnie rokowania pokojowe z Sowietami, z których następnie wypłynął traktat pokojowy moskiewski z d. 12.VII.1920. Potem wybuchła głośna afera z przemycaniem sacharyny do Rosji i skupywaniem tam oraz sprowadzaniem do Litwy i dalej na zachód różnych przedmiotów zbytku – dywanów i futer kosztownych i innych rzeczy. Wytoczono Puryckiemu sprawę karną, która oparła się o Trybunał Najwyższy. Pomimo usiłowań Chrześcijańskiej Demokracji rządzącej i prezesa ministrów ówczesnego Tumėnasa, usiłujących nie dopuścić do rozprawy, rozprawa się odbyła w r. 1925. Kriščiukaitis, Čepas i ja sądziliśmy Puryckiego i uniewinniliśmy go, bo cech przestępstwa karnego nie było, chociaż brud był. Kariera polityczna Puryckiego na tym się skończyła. Pozostał on jednak nadal wybitnym działaczem społecznym i publicystą wytrawnym. Choć bardzo zdolny, nie był on jednak człowiekiem czystym. Z obozu Chrześcijańskiej Demokracji po jej upadku przeszedł on w ostatnich latach do obozu panującego narodowców. Był sceptykiem, toteż przed kilku laty zerwał ze stanem kapłańskim, z którym nie licował i bawiąc jakoś w Rosji ożenił się tam i przywiózł stamtąd piękną żonę Ukrainkę.

26 października, rok 1934, piątek

Ponieważ nic poważniejszego do zanotowania pod datą dzisiejszą nie mam (chyba tylko fakt cotygodniowy egzaminów studenckich), więc korzystam z okazji, żeby pisać w dalszym ciągu o naszych przed kilku dniami obradach kłajpedzkich w komisji. Gubernator zatem ma zwołać w najbliższym czasie sesję nadzwyczajną sejmiku kłajpedzkiego, nie wpisując do porządku dziennego sesji deklaracji dyrektorium Reizgysa. Gubernator liczy na 14 głosów w sejmiku, zjednanych w ostatnich czasach na rzecz ogólnej linii politycznej litewskiej. Należy tu frakcja litewska, zdaje się – komuniści i jeszcze kilku poszczególnych posłów izolowanych, których udało się zjednać. Czternaście z ogólnej liczby, zdaje się, dwudziestu pięciu – stanowi większość. Słowem – polityka litewska może operować większością. Tak

sądzi gubernator. Gubernator sądzi, że większość ta jest pewna i dlatego jest zdania, że dobrze byłoby, aby sejmik także deklarację wysłuchał i wypowiedział się w sprawie zaufania dla dyrektorium. Dlatego też gubernator zamierzał wpłynąć na wiernych polityce litewskiej posłów sejmikowych, aby zaraz po ogłoszeniu przez gubernatora o zwołaniu sesji nadzwyczajnej z porządkiem dziennym bez deklaracji – zgłosili w myśl statutu żądanie od siebie również zwołania sesji nadzwyczajnej dla wysłuchania deklaracji rządu. Takie żądanie jest przewidziane przez statut. Wtedy bezpośrednio po załatwieniu przez sejmik gubernatorskiego porządku dziennego sesji nadzwyczajnej – bardzo krótkiego – odbyłaby się następna, druga, sesja nadzwyczajna, oparta na inicjatywie posłów i na niej też zostałaby załatwiona kwestia deklaracji i zaufania. Dlaczegoż w takim razie, skoro gubernator jest pewny większości pro-litewskiej, nie chce on sam do swojego porządku dziennego sesji wpisać deklarację? Oto dlatego, że gubernator chce przede wszystkim na wszelki wypadek mieć w ręku atut, który, w myśl wyroku Trybunału Haskiego z r. 1932, uprawnia gubernatora w porozumieniu z dyrektorium rozwiązać sejmik w wypadku wyrażania przezeń votum nieufności dyrektorium. Tym atutem jest faktyczne współpracownictwo sejmiku z dyrektorium przed wyrażeniem tego votum nieufności. Jeżeli sesja nadzwyczajna, zwołana przez gubernatora, dojdzie do skutku i te projekty ustaw, które dyrektorium wnosi na tę sesję, zostaną przez sejmik rozpoznane i uchwalone, to fakt współpracownictwa zaistnieje. Tego tylko gubernatorowi i dyrektorium potrzeba. Wtedy może nastąpić sesja z deklaracją; gubernator jest przekonany, że po wysłuchaniu deklaracji sejmik większością prolitewską 14 głosów uchwali votum zaufania; ale gdyby nawet wbrew oczekiwaniu uchwalił votum nieufności, to już gubernator będzie miał broń w ręku i nie będzie zmuszony do poświęcenia dyrektorium Reizgysa. Ażeby zaś ten atut polityczny zdobyć, gubernator i dyrektorium wpisują na porządek dzienny kilka krótkich projektów ustaw takich, których sejmikowi trudno będzie nie uchwalić i przeciwko którym nie tylko tych 14 posłów głosować się nie odważy, ale nawet posłom niemieckim trudno będzie z opozycją wystąpić, nie chcąc się narazić opinii ludności kłajpedzkiej, której masę stanowią nie subtelni dystyngowani politycy, ale bardzo praktyczni rolnicy-włościanie, wrażliwi szczególnie na względy swojej kieszeni. Tych kilka krótkich projektów ustaw, mających być wędką na uzyskanie atutu faktycznej współpracy sejmiku z dyrektorium, będą dotyczyły zredukowania liczby urzędników, która jest nadmierną i jeszcze kilku zarządzeń oszczędnościowych, które zredukują wydatki skarbu autonomicznego, także w związku z tym dotyczyć będą zmniejszania ciężaru podatków. Uderza więc to w najczulszą strunę duszy i aspiracji płatników, tworzących masę ludności.

27 października, rok 1934, sobota

Wieczorem wróciła z Bohdaniszek Jadźka. Wraz z nią wróciło do domu mojego ciepło ogniska rodzinnego. Kobieta w domu – to radość, wypoczynek, słońce, uśmiech. Bez niej dom jest pusty, zimny, obcy. Jadzia przywiozła różnych smaczności i konserw, które zaopatrzą obficie spiżarnię domową: indyka, kiełbasy, brukselkę, jabłka, śmietanę itd. Przywiozła też ze sobą Stenię Römerównę, córkę Stefanostwa, po którą w tych dniach przyjedzie ojciec lub matka zabrać ją do Szaszewicz.

Odbył się dziś pogrzeb śp. Puryckiego. Byłem tylko na eksportacji zwłok, które prowadzono z mieszkania zmarłego w jego domu przy ul. Vaižgantasa na Górze Witolda – na cmentarz ewangelicki, stanowiący pewien odcinek wielkiego cmentarza ogólnego przy prospekcie Witolda. Kondukt żałobny prowadził superintendent kościoła reformowanego (kalwińskiego) ksiądz profesor Jakubėnas w asystencji księdza profesora Kurnarowskiego i dwóch innych młodszych księży reformatów. W kondukcie żałobnym szła wdowa zmarłego, krewni i liczne grono osób mu bliskich z wyższych sfer rządowych, literackich i dziennikarskich, działaczy społecznych, šaulysów itd. Byli też ministrowie: sprawiedliwości – Šiling i spraw zagranicznych – Lozoraitis. Sporo też było dyplomatów. Dużo było wieńców,

niesiono też ordery zmarłego. W drodze na cmentarz zwiałem do domu, gdzie przez radio wysłuchałem wszystkich mów, wygłoszonych nad grobem.

Purycki, jak wiadomo, był księdzem katolickim, który zerwał z Kościołem, porzucił kapłaństwo, zaniechał w ogóle praktyk religijnych, ożenił się faktycznie. Jak się okazuje jednak – formalnie wyznania nie zmienił, nie wstąpił do żadnego innego Kościoła. Pozostał bezwyznaniowym. Toteż duchowieństwo katolickie odmówiło udziału w pogrzebie grzesznika, który umarł nienawrócony. Do duchowieństwa reformackiego zwrócono się na życzenie wdowy, na której życzenie odbyło się też wczoraj przy zwłokach nabożeństwo żałobne ukraińskie, odprawiona przez popa prawosławnego (wdowa jest rodem Ukrainką). Zdaje się, że Purycki formalnego małżeństwa ze swą żoną nie zawarł – chyba sowieckie w Rosji, skąd ją przed laty ośmiu przywiózł jako żonę. Był on człowiekiem bogatym, miał dwie kamienice w Kownie i bodajże kapitały za granicą, a może i kamienicę w Berlinie. Wzbogacił się w pierwszych latach Niepodległości, będąc posłem litewskim w Niemczech i ministrem spraw zagranicznych. Jednym z czynników jego bogactwa był spekulacyjny handel wymienny, prowadzony pod płaszczykiem dyplomatycznym w Rosji na wielką skalę, jak również wielka gra giełdowa na spadkach i zwyżkach różnych walut w tymże czasie. Stąd to była powstała przed laty dziesięciu wielka jego sprawa karna, która go o mały włos nie zgubiła. Czysty to człowiek nie był, ale zdolny i wybitny i miał zasługi dla Litwy. Był on wtedy – w kilku pierwszych leciech Niepodległości za rządów sejmowych Chrześcijańskiej Demokracji – jednym z filarów tego stronnictwa, później wszakże przeszedł do obozu narodowców, rządzących obecnie.

28 października, rok 1934, niedziela

O godzinie piątej po południu w sali aktowej uniwersytetu odbyła się uroczystość nałożenia barw i przysięgi seniorów świeżo założonej korporacji zawodowej studentów prawników i ekonomistów „Unitas", której założyciele mianowali mię swoim szefem, zaś filistrem honorowym – ministra Šilinga, a mecenasem – p. Glemžę, dyrektora „Pienocentrasu". Oczywiście musiałem być na tej uroczystości obecny, bo jako szef przede wszystkim sam sobie nałożyć musiałem czapeczkę korporacyjną i przepasać się przez ramię wstążeczką o barwach korporacyjnych (ciemnozielona – biało-zielona), potem nałożyć je Šilingowi, Glemžy i członkom prezydium korporacji, a wreszcie – zaprzysiąc tychże członków prezydium i seniorów korporacji. Oczywiście też, że musiałem wygłosić mowę stosowną, co też uczyniłem nieźle. Ale szczególnie ładną i treściwą mowę wygłosił Šiling, który ma niewątpliwie wybitny dar słowa. Bardzo pięknie uwydatnił służbę społeczną prawnika, w szczególności na rzecz państwa, stwierdzając konstrukcyjne zadanie tej służby, którą porównał do służby żołnierza w obronie fizycznej państwa i podkreślił znaczenie studiów i nauki oraz dyscypliny społecznej dla tejże służby. Nic do mowy tej dodać i nic z niej ująć nie można. Wszystko odbyło się ładnie i programowo. Fotografii wykonano aż kilka. Potem wieczorem odbył się tradycyjny „alutis" korporacyjny („piwko" koleżeńsko-towarzyskie) w Metropolu, na który jednak nie poszedłem. Co do tej korporacji „Unitas" – to trudno jeszcze coś pozytywnego o niej powiedzieć. Tyle ich jest! Coś ponad do 100! I wciąż powstają nowe, ale nieraz też stare więdną i gasną. „Unitas" ma być korporacją apolityczną, narodowo-litewską, opartą na zasadzie zawodowej, łączącą pierwiastek studiów z koleżeństwem i towarzyskością. Zasady piękne, choć ileż to jest korporacji, które takie same zasady głoszą! Z doboru zaś wysokich protektorów – może nie tyle mojej osoby i Glemžy, ile zwłaszcza ministra sprawiedliwości Šilinga – można wnosić, że jednak względy kariery nie są obce założycielom korporacji, bo bliski kontakt z ministrem ułatwia dostęp do posad w sądownictwie.

Miało też dziś miejsce uroczyste 10-lecie akademickiej organizacji skautów z udziałem ich szefa – Prezydenta Smetony. Nie poszedłem jednak na tę uroczystość, bo wszystkim

uroczystościom akademickim podołać – nie jestem w stanie. W zastępstwie moim udał się tam prorektor Jodelė.

I znowu śmierć. Umarł tym razem Marian Świechowski, zacny człowiek, idealista wielkiej miary, niestrudzony i niewyczerpany działacz pojednania litewsko-polskiego. W latach 1919-1921, kiedy się rozstrzygały losy Litwy i Wilna, był on w obozie Piłsudskiego, a w szczególności w czasie afery Żeligowskiego popierał ją całą siłą swego przekonania, ale gorąco zarazem pragnął, aby bądź Żeligowski całą Litwę zdobył, albo... żeby Litwini zdołali Wilno odebrać. Tragedią dla niego było rozpołowienie Litwy i w ogóle połowiczność rozstrzygnięcia sporu, który ugrzązł na martwym punkcie i usankcjonował rozdwojenie. Mieszkając po stronie polskiej, robił, co tylko było w jego siłach, aby łagodzić polonizacyjne zarządzenia w Wileńszczyźnie i brał u władz w obronę Litwinów, a przyjeżdżając często tutaj – utrzymywał bliski kontakt przyjazny z wielu Litwinami, którym na sercu leży Wilno (Žemaitis, Michał Biržiška, Jonynas i inni) i usiłował zawsze krzesać i rozpalać wszelką iskierkę pojednania, porozumienia i przesądzenie sprawy wileńskiej i sprawy stosunku polsko-litewskiego w tym duchu. Był to czysty i znany człowiek, wielki idealista, męczennik idei zapoznanej i... wieczny suchotnik umierający. W ostatnich czasach przyjechał do Litwy, bawił tu czas pewien i wrócił już do Wilna, gdy oto w drodze wydarzyła mu się katastrofa automobilowa, na której skutek, doznawszy pewnych uszkodzeń kręgosłupa, legł chory w klinice prywatnej dr Zacharina. Tu od leżenia dostał zapalenia płuc i wczoraj w nocy umarł.

29 października, rok 1934, poniedziałek

Byłem wczoraj na eksportacji zwłok śp. Mariana Świechowskiego z kliniki dr Zacharina do Wiliampola, skąd zwłoki przewiezione zostały automobilem do Niemokształów na Żmudzi, gdzie jest rodzinna własność ziemska Świechowskich. W eksportacji tego osobliwego Polako-Litwina, idealisty czystego i wielkiego serca, wzięła udział prócz rodziny cała zorganizowana polska młodzież akademicka z Kowna, szczyty kowieńskiej kolonii polskiej i organizacji Polaków litewskich z Budzyńskim, Konstantym Zyberk-Platerem, Okuliczem, Kazimierzem Janczewskim i innymi na czele, duży zastęp miejscowej ludności polskiej i grupa przedstawicieli społeczeństwa litewskiego w osobach kontrolera państwowego, ex-ministra oświaty Šakenisa, profesorów Michała Biržiški, Ignacego Jonynasa, Zygmunta Žemaitisa i Czapińskiego, Michała Ślażewicza i kilku innych. Sporo było wieńców z chryzantem białych z napisami polskimi. Kondukt żałobny był prowadzony przez jednego z nielicznych szczątkowych przedstawicieli duchowieństwa polskiego w kraju – „Mohikanina” polskości w klerze – księdza Lausa. Na pogrzeb Świechowskiego przyjechało z Wilna szereg wybitnych osobistości z miejscowych działaczy społecznych – rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie prof. Witold Staniewicz, mój przyjaciel senator Bronisław Krzyżanowski, zdaje się też burmistrz miasta Wilna, którego nazwiska nie wiem, redaktor „Kuriera Wileńskiego” (organu piłsudczyków-demokratów wileńskich) Okulicz, brat tutejszego Okulicza, niejaki Wysłouch z „Klubu Włóczęgów”... Na eksportację spóźnili się oni; pojadą na pogrzeb na Żmudź. Dziś rano na uniwersytecie rektor wileński Staniewicz złożył mi wizytę. Nie mogłem go rewizytować, bo zaraz wyjeżdżał na Żmudź. Skąd dziś wieczorem wraca do Kowna i po zanocowaniu jutro rano śpiesznie odjeżdża do Wilna. Inni pozostaną jeszcze do pojutrza. Rektora Staniewicza znam jeszcze sprzed Wojny w Wilnie. Zbliżony był wtedy do grupy Witolda Abramowicza. Po Wojnie był usposobiony dość wrogo do roszczeń państwowych litewskich, ale teraz, zdaje się, hołduje kierunkowi pojednawczemu. Był on w Polsce przez czas jakiś ministrem czy rolnictwa, czy reform rolnych. Ma własność ziemską gdzieś pod Wilnem, ale po stronie litewskiej; mieszka tam stale jego matka. Tego lata, w związku z prądami ugodowymi polsko-litewskimi, rektor Staniewicz był wystosował list do mnie z inicjatywą kontaktu między naszymi uniwersytetami. Dopiero w tych dniach właśnie, po porozumieniu się z naszym senatem

akademickim, odpisałem mu, podkreślając szlachetność jego inicjatywy, ale zarazem formalnie ją uchylając dla względów politycznych, uniemożliwiających nam kontakt formalny z polskim uniwersytetem państwowym w Wilnie, skądinąd wszakże zaznaczając, że kontakt prywatny między poszczególnymi ludźmi nauki i członkami profesury naszej i wileńskiej będzie zawsze możliwy, dodatni i pożądany. Listu tego jeszcze do Staniewicza nie wysłałem, gdy on sam przyjechał. Mniej więcej to samo mu ustnie powtórzyłem, na co on sam pośpieszył odpowiedzieć, że rozumie dobrze, iż teraz w jesieni sytuacja jest inna, niestety, niż była na wiosnę, i że przeto zaczekać trzeba, aż znów wiosna zabłyśnie. Porozmawialiśmy bardzo kurtuazyjnie i na tym się wizyta skończyła.

Byłem dziś znowu u dr Gudowicza, aby mu się pokazać. Waga moja spadła już do 84 kilogramów. Dr Gudowicz zbadał mię, chwalił i był zachwycony stanem mego zdrowia i serca. Kilkakrotnie wyrażał mi uznanie, że mam charakter, skoro zdołałem tak konsekwentnie utrzymać dyscyplinę diety i doprowadzić do takiego zredukowania wagi. Istotnie, straciłem równo 1/3 część mojej wagi poprzedniej: gdym się w końcu czerwca – ciężko chory – zwrócił do dr Gudowicza – ważyłem 126 kilo; teraz ważę 84 kilo; spędziłem 42 kilo wagi. Doktor już mię zaczyna wstrzymywać od dalszego spędzania wagi i myśli już o tym, jak by wagę moją utrzymać na poziomie obecnym. Ja wszakże chciałbym ją jeszcze trochę spędzić – do jakichś 78 kilo.

30 października, rok 1934, wtorek

Wieczorem miałem mój tygodniowy wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Dotarłem do konstytucji tymczasowej z d. 4.IV.1919., ogłoszonej przez byłą Radę Stanu („Valstybės Tarybę”). Dowiedziałem się, że wśród moich słuchaczy tego wykładu, którzy notują tekst tegoż, są stenografiści, którzy ten mój wykład stenografują, albowiem na razie stanowi on jedyne źródło dla nauki; podręcznika nie ma. Ogłosiłem dziś na wykładzie pierwszą listę wezwanych na przyszły wtorek do colloquium.

Po wykładzie udałem się do restauracji „Metropolu”, gdzie byłem się umówił z Bronisławem Krzyżanowskim z Wilna, że się spotkamy na kolacji. Umówiliśmy się, że ja przyprowadzę kilku Litwinów, on zaś – kilku Wilnian, którzy tu przyjechali na pogrzeb śp. Mariana Świechowskiego. Spośród Litwinów zaprosiłem na tę kolację-pogadankę profesorów Zygmunta Žemaitisa, Krėvė-Mickiewicza, Pakštasa, Augustaitisa i Jonynasa i jedynego polityka i męża stanu, ale dziś należącego do opozycji – Michała Ślażewicza. Z Polaków wileńskich przyszli: Krzyżanowski, redaktor „Kuriera Wileńskiego” Okulicz i czterej młodszego pokolenia (w wieku ± lat 30), należących do tzw. „Klubu Włóczęgów” w Wilnie, organizacji, zdaje się, wzorowanej na historycznym sprzed setki lat w tymże Wilnie „Związku Szubrawców”. Organizacja Klubu Włóczęgów towarzyszy tej młodzieży, zdaje się, od okresu jej studiów gimnazjalnych, potem poprzez ich studia akademickie, a dziś „Włóczędzy” weszli już w czynne życie społeczne i docierają już do pewnych stanowisk wpływowych. Organizacja „Włóczęgów” jest pozapartyjna i przede wszystkim hołduje zasadzie krytycyzmu, humanizmu, poznawania itd. „Włóczędzy” interesują się krajem i od pewnego czasu nawrócili się także w kierunku debatowania stosunków społeczno-narodowych w kraju, zagadnienia Litwy, stosunków polsko-litewskich i w tej materii ujawnili sporo żywej inteligencji, szczerych usiłowań poznania i skonstruowania tez sprawiedliwych i bezstronnych, a nawet zbliżyli się do koncepcji tzw. „krajowej”. Podobno w ostatnich czasach pod tym względem nieco ochłodli, ale bodajże tworzą oni jedno z tych nielicznych w Wilnie środowisk polsko-inteligenckich, w których można znaleźć pewne zrozumienie dla tych zagadnień. Z tych czterech „Włóczęgów”, których dziś poznaliśmy, jeden – Nagórski – jest dziś wiceburmistrzem Wilna, drugi – Swaniewicz, - jest profesorem, a przynajmniej tak się tytułuje, trzeci – może najwybitniejszy z nich – Wysłouch – nie wiem kim jest, a czwartego nawet nazwiska nie wiem. Wszyscy czterej robią wrażenie bardzo sympatyczne i dodatnie.

Cechuje ich zwłaszcza szczerość, prawdziwa chęć poznania prawdy i zrozumienia tego, co widzą i słyszą tutaj, nie uprzedzoność, brak tego sceptycyzmu zmanierowanego i nieufnego, poniekąd nawet zblazowanego, który cechuje wielu z pokolenia starszego i czyni wszelką rozmowę z nimi próżną. Wszyscy goście wileńscy, a szczególnie „Włóczędzy", którzy po raz pierwszy są w Litwie Niepodległej, są bardzo szczerze przejęci tym, co tu zaobserwowali. Zainteresowało ich nie tylko Kowno, ale też to, co stwierdzili na wsi, bo mieli okazję przejechać się po znacznej połaci kraju automobilem na Żmudź i z powrotem ze względu na pogrzeb Świechowskiego w Niemoksztach. Szczególnie ich uderzyło rozparcelowanie dawnych skupionych wiosek na zaścianki, u nas już prawie zakończone i szybkie postępy zagospodarowania się kulturalnego wsi litewskiej. To, co my tu, patrząc na to ciągle, nie bardzo widzimy, to ich obserwację uderza jako nowe. Dostrzegają też energiczną i ścisłą rozbudowę państwową Litwy i są pełni uznania dla ujawnionych sił twórczych młodego państwa i narodu, tak bliskiego i pokrewnego im z gruntu. Te wizyty Wilnian do Kowna i Litwy Niepodległej – to wielki atut propagandy prolitewskiej. Każdy z nich, kto tu przyjeżdża, jest pod wrażeniem. Kolacji prawie że nie jedliśmy, jeno przekąsiliśmy nieco i piliśmy herbatę, w której toku rozwinęła się bardzo ciekawa dyskusja aż do godziny 3 ½ rano. Chcę jutro tę dyskusję streścić.

31 października, rok 1934, środa

Mogę śmiało kontynuować o wczorajszej naszej pogadance z Wilnianami w gabinecie restauracji „Metropolu", albowiem z dnia dzisiejszego żadnych ważniejszych aktualiów do zanotowania nie mam.

Rozmawiało się naturalnie o stosunkach polsko-litewskich, ściślej – wileńsko-kowieńskich, o perspektywach i drogach pojednania. Wpierw się rozmawiało ot tak – towarzysko, bez żadnego tematu, ale niebawem rozmowa zboczyła żywiołowo na ten temat dla nas wszystkich najaktualniejszy i zarazem najsporniejszy i stała się ogólną, a wreszcie nawet – stała się poniekąd formalną, z zapisywaniem się do głosu i moim przewodniczeniem. Głosu nie zabierali wcale, choć słuchali z wielką uwagą do samego końca – tylko Krėvė-Mickiewicz, Augustaitis i Jonynas ze strony litewskiej, oraz jeden z „Włóczęgów" ze strony wileńskiej. W koncepcjach pojednania czy porozumienia uwydatniły się wybitne różnice indywidualności. Koncepcja Žemaitisa była pozornie najprostsza, ale też najmniej giętka i bodaj najmniej realna. Dla niego nie ma nic innego, jak proste prawo litewskie do Wilna jako stolicy i przeto wszystko się streszcza do restytucji Wilna przez Polskę na rzecz Litwy i punkt. Žemaitis rezonuje prosto: dla Litwy Wilno jest kwestią jej stolicy, jej prawa historycznego, najważniejszego rzekomo warunku jej życia narodowego i państwowego; Polska posiadła Wilno nielegalnie, drogą gwałtu i wbrew zobowiązaniu umownemu (umowa suwalska); oddajcie Wilno Litwie! Dla Polski Wilno jest drobnostką, jak sądzi Žemaitis – to tylko mały głuchy skrawek prowincjonalny gdzieś na dalekich kresach. Oddajcie – i wtedy koniec sporu. Na gruncie tego rozwiązania – jedynego i prostego bez żadnych subtelności – Žemaitis jest ugodowcem i nawet polonofilem najgorętszym i istotnie zupełnie szczerym, całkowicie oddanym przyjaźni z Polską i nawet tęskniącym do tej przyjaźni (że ten polonofilizm Žemaitisa jest najzupełniej szczerym i uczuciowo oraz rozumowo u niego prawdziwym – to fakt) – ale tylko na tym gruncie. Ten grunt – to alfa i omega koncepcji Žemaitisa. Podług słów Žemaitisa, poza tym gruntem nie ma dróg do pojednania. Gdyby nawet ktoś chciał – nic nie wskóra: społeczeństwo litewskie nawet słuchać nie będzie i wszelkie inne kombinacje poza tym prostym i jedynym rozwiązaniem nie znajdą i nie znajdują dostępu do psychiki litewskiej, tak się od niej odbijając, jak akurat groch od ściany. Zgoła inaczej traktuje tę rzecz Pakštas. Żadnych szczególnych przesłanek uczuciowych polonofilskich, jak Žemaitis, Pakštas nie ma. Uważa on, że należy się liczyć z faktami realnymi, z możliwościami tak dla jednej, jak dla drugiej strony, uwzględniając także ich

wspólny interes obrony przed germanizacją z zachodu i trzeba szukać kompromisu konkretnego, nie wyłączając nawet możliwości podziału Wileńszczyzny albo rozpoczęcia od załatwienia pojednawczego choćby pewnych epizodów poszczególnych sporu przez obustronne ustępstwa. Trzeba przede wszystkim zacząć formułować i omawiać obustronnie propozycje konkretne, a w tym celu zacząć od rozpoczęcia rozmów obustronnych między choćby niewielkimi grupami polsko-wileńskiemi i litewsko-kowieńskiemi, spotykając się jak najczęściej bądź tu w Kownie, bądź w Wilnie, bądź wreszcie na gruncie neutralnym – w Dyneburgu, w Rydze... Pakštas wierzy w wartość realną i praktyczną takiej wymiany zdań w dyskusji i w szukaniu formuł praktycznych rozwiązania, kierowanych dobrą wolą. Toteż zalecał temu zebraniu zainicjowanie takich zjazdów i zabrania się do konkretnego wykonywania takiej akcji. Ta myśl Pakštasa nie jest zupełnie nowa. Kiedyś – w roku 1921 – była ona tak ujmowana w kołach międzypartyjnych w Kownie i nawet rozpoczęta z moim w niej udziałem łącznikowym (moja wtedy jazda do Wilna z przedstawicielami ludowców Makowskim i Raczkowskim oraz socjalnym demokratą Węsławskim, obrady w Wilnie z grupami i organizacjami demokratycznymi polskimi itd.). Chrześcijańscy demokraci też wtedy do tej akcji należeli, tylko narodowcy odmówili udziału. Nic wtedy z tej akcji nie wyszło. Grupy wileńsko-polskie, mając mocne oparcie w rządzie polskim i w fakcie posiadania Wilna przez Polskę, ujawniły zbyt wielką odporność.

1 listopada, rok 1934, czwartek

Wychodziłem z domu tylko wieczorem do kawiarni z Jadzią. Był u mnie rano Diskin, na obiedzie Mackus. Pracowałem.

Nawracam jeszcze do pogadanki z Wilnianami pozawczoraj w „Metropolu". Ja zająłem stanowisko odrębne. Oponowałem przeciwko koncepcji ugodowej tak Žemaitisa, który widzi tę ugodę poprzez wspaniałomyślne zwrócenie Wilna przez Polskę Litwie, jak Pakštasa, który ją upatruje w jakimś konkretnym kombinacyjnym projekcie kompromisowym, mającym się wyłonić praktycznie z pogadanek między grupami Litwinów kowieńskich i Polaków wileńskich. Moja koncepcja była taka. Nie wierzę w pogadanki i w ich wartość praktyczną. Obie strony będą powtarzały swe żale i będą broniły każda swego punktu widzenia, a właściwie tego, co każda z nich dokonała. Autorowie pewnych czynów nie wyrzekną się ich i nie potępią, albowiem sami by zaprzeczyli swojej logice. Dopiero ci, co przyjdą po nich, mogą spojrzeć krytycznie na dzieło poprzedników i jąć się jakiejś naprawy. Pokolenie, które dokonało rozdarcia Litwy, nie może jej zjednoczyć. Nic nie pomoże „dobra wola" i nic nie pomogą sentymenty, których starsze pokolenie ma aż za dużo i które nawet przyćmiewają jego sąd trzeźwy o rzeczy. Dajmy pokoleniu temu wymrzeć w spokoju. Jeżeli zawiniło ono, to zawiniło dlatego, że w psychice swojej nie miało syntezy. Niech śmierć błogosławiona dokona swego dzieła oczyszczenia. Naiwnie znów byłoby przypuszczać, że Polska, która ma w ręku atut wileński, raptem ni z tego ni z owego „zwróci" Wilno Litwie, uniósłszy się przedziwną wspaniałomyślnością. Sprawa wileńska, jak mi się zdaje, może znaleźć rozwiązanie litewskie albo na gruncie jakiejś wielkiej wojny na wschodzie Europy, której wyniki wytworzyłyby jakieś szczególnie pomyślne dla Litwy i niepomyślne dla Polski koniunktury, albo też w solidaryzmie polsko-litewskim bądź w przeciwstawieniu do niemieckiego „Drang nach Osten", które jest zupełnie realne już dziś i będzie niewątpliwie realne nadal, bądź w przeciwstawieniu do rosyjskiego parcia do Bałtyku, które dziś w Sowietach nie jest realne (dziś Sowiety są raczej najpewniejszym sojusznikiem tego solidaryzmu antyniemieckiego), ale ewentualnie kiedykolwiek, jak to już bywało, odrodzić się i ujawnić może. Jeżeli taki solidaryzm polsko-litewski zaistnieje, to w nim rozwiązanie znajdzie i sprawa wileńska – oczywiście rozwiązanie obustronnie sprawiedliwe i pojednawcze. Ale żeby ten solidaryzm zaistniał – choć warunki obiektywne dlań (podług mego rozumienia) już istnieją – trzeba, żeby od steru rządów w Polsce odpadli ci, co dziś nią

z ramienia Polaków wileńskich rządzą i przede wszystkim pan Marszałek Ziuk Piłsudski. Tu znowu śmierć będzie dobroczynna. Trzeba, żeby w Polsce do steru doszły interesy zachodu polskiego, żeby zaważyło Pomorze, Śląsk, Poznańskie – Wielkopolska. Wielkopolska jest najlepszym i najpewniejszym partnerem Litwy, ona i wielki problem Bałtyku, który dla Wielkopolski, Pomorza i Śląska jest najbliższy – to są siły, które działają i działać będą na rzecz tego solidaryzmu bałtyckiego, w którym zrealizować się może ugoda polsko-litewska i blok bałtycki wraz z rozwiązaniem sprawy wileńskiej i oczywiście likwidacją krzyżackiego gniazda Prus Wschodnich. Taka jest moja teza. Najbliższy jej z Litwinów był Ślażewicz, którego dzieliło ode mnie bodaj tylko to, że on zbyt optymistycznie i radykalnie wyklucza wszelką ewentualność, nie tylko na teraz, ale i na potem, niebezpieczeństwa wojny.

Co do Wilnian – to Bronisław Krzyżanowski i „Włóczędzy" bardzo gorąco witali koncepcję ugodową Pakštasa, która od razu zyskała ich sympatię bez zastrzeżeń, jakby im spod serca była wyrwana. Ta koncepcja jest bowiem właśnie ich marzeniem. Chłodniej i z rezerwą zachowywał się redaktor Okulicz, który bodajże najlepiej myśl moją uchwycił i znalazł w niej mądre ziarno, ale który jednak, jako piłsudczyk, jest zbyt napojony nacjonalizmem i „wielkomocarstwością" Polski, a to mu plącze i wiąże myśl.

2 listopada, rok 1934, piątek

Nie dokończyłem jeszcze pisać o przedmiocie naszych obrad kłajpedzkich w komisji przed niespełna dwoma tygodniami. Gubernatora plan polega na tym, żeby po zwołaniu sesji nadzwyczajnej sejmiku dać sejmikowi na żer kilka krótkich, ale treściwych projektów ustaw, skierowanych do zmniejszenia podatków i do zredukowania rozchodów na administrację autonomiczną w Kłajpedzie. Chodzi o to, żeby przez te projekty, których treść jest oczywiście popularna, bo ludność zawsze i wszędzie woli płacić mniej, niż więcej, zaszachować posłów germanizatorskich, a tym bardziej chwiejnych, aby głosowali na rzecz projektów rządowych; spekuluje się tu na tym, że nie odważą się oni głosować przeciwko tym projektom albo udaremnić w jakiś sposób przyjęcie tychże, bojąc się narazić opinii publicznej ludności. Gdy zaś sejmik uchwali projekty, zaproponowane przez dyrektorium, to przez to samo zaistnieje już fakt współpracy sejmiku z dyrektorium, a wtedy nie będzie już dla dyrektorium Reizgysa strasznym nawet ewentualne wyrażenie mu przez sejmik votum nieufności, gdyby do tego przyjść miało, bo zaistnienie współpracy faktycznej daje dyrektorium możność, jak to jest ustalone przez tezę wyroku haskiego z d. 11.VIII.1932, niekoniecznie podania się do dymisji po otrzymaniu takiego votum, ale ewentualnego zareagowania na rzecz rozwiązania sejmiku przez gubernatora. Rozwiązanie sejmiku niekoniecznie jest dla polityki litewskiej pożądane, bo wyniki wyborów nowych nie są pewne, toteż Litwa wolałaby, aby do votum nieufności nie doszło, ale w każdym razie lepiej jest mieć w ręku więcej ewentualnych atutów do gry, niż ich nie mieć. Dla zaprojektowania i zredagowania tych projektów ustaw oszczędnościowych, mających stanowić wędkę na zaistnienia faktycznej współpracy sejmiku z dyrektorium, komisja na wniosek gubernatora delegowała do Kłajpedy Zygmunta Starkusa, bo dyrektorium Reizgysa samo nie potrafi sobie poradzić.

Sprawa sejmiku – jego zwołania, deklaracji i tych projektów ustaw – to było głównym punktem obrad komisji. Poza tym było kilka innych jeszcze kwestii spornych, poruszonych przez sygnatariuszy i zakwestionowanych przez nich co do legalności statutowej, które minister Lozoraitis poddał rozpoznaniu komisji, jak kwestia napisów litewskich na szyldach prywatnych w Kłajpedzie, nakazanych przez rozporządzenie dyrektorium Reizgysa, kwestia litewskiej transkrypcji nazw miejscowości w adresach na listach i przesyłkach pocztowych i kilka innych kwestii jeszcze. Wreszcie komisji wypadło jeszcze rozważyć ze stanowiska prawno-politycznego (polityka z prawem są zwykle najtrudniejsze do uzgodnienia) pewne zagadnienia procesualne w głośnej sprawie karnej organizacji nacjonalsocjalistycznej Sassa,

Neumanna i innych, w której rozprawa główna ma się rozpocząć w Sądzie Wojennym w Kownie koło 15 grudnia. Ale o tym napiszę już innym razem.

3 listopada, rok 1934, sobota

Na naszych obradach kłajpedzkich w komisji przed dwoma tygodniami razu pewnego przyszedł na posiedzenie prezes ministrów Tubelis w towarzystwie prezesa Sądu Wojennego pułkownika Leonasa. Chodziło o opinię prawniczo-polityczną komisji w przedmiocie bardzo delikatnym. Oto w tej dużej sprawie o charakterze wybitnie politycznym, na którą zwrócona jest uwaga nie tylko całej Kłajpedy i całej Litwy, ale też całych Niemiec i bez wątpienia także sygnatariuszy Konwencji Kłajpedzkiej, obrona wniosła podanie o wezwanie w charakterze świadków całego szeregu osobistości przeważnie wybitnych i zajmujących różne stanowiska w Niemczech i Prusach Wschodnich, a w ich liczbie także dwóch pierwszorzędnych wodzów hitleryzmu wojującego – ministrów Gobbelsa i Hessego. Jeden z nich jest „ministrem propagandy" – najszczwańszy ze szczwanych, mistrz agitacji, szermierz słowa jak nikt inny. Przyjazd ewentualny tych panów – mocarzy niemieckich – w charakterze świadków obrony nadałby procesowi rozgłos ponad wszelką miarę, zwróciłby nań uwagę całego świata, uczyniłby zeń sensację polityczną powszechną, obróciłby rozprawę sądową na meeting, rozreklamowałby „krzywdę Memellandu", dałby okazję do zjazdu powszechnego dziennikarzy, do wywiadów i ewentualnie zajść rozmaitych, a panom hitlerowcom dałby okazję nie tylko do wygłoszenia mów agitacyjnych pod firmą świadków, ale także może do intrygi kompensacyjnej w Litwie. Cała Kłajpeda niemiecka nasrożyłaby się i rozzuchwaliła, czerpiąc argumenty z propagandy Goebbelsa i pasując oskarżonych na męczenników i bohaterów idei hitlerowskiej. Nic dziwnego, że żądanie obrony poruszyło nie tylko sąd, ale także rząd polityczny. Sąd odrzucił prośbę obrony wezwania tych świadków, uznając, że zeznania tych świadków, w szczególności tych dwóch wysokich panów, ze względu na okoliczności, które mają w myśl podania stwierdzić, nie mają znaczenia istotnego w sprawie. Ale zachodziła obawa, że obrona, którą kieruje adwokat prof. Stankiewicz, zgłosi żądanie udzielenia pozwolenia na sprowadzenie tych świadków przez samą obronę. Chodziło o to, czy jest możność prawna i jaka odmówienia tej prośbie, zważywszy, że okoliczności, dla których stwierdzenia obrona tych świadków mieć chce, choć zostały przez sąd uznane za nie mające związku ze sprawą. Długośmy się nad tym zastanawiali i debatowali. Mieliśmy wrażenie, że prośba obrony, działającej zapewne w kontakcie z poselstwem niemieckim i przez to poselstwo opłacanej (powiadają, że Stankiewicz bierze za tę sprawę 50 000 litów i po 100 litów diet dziennych, sprawa zaś zajmie koło trzech miesięcy), jest oparta na życzeniu samych tych panów przyjazdu na rozprawę do Litwy w celu akcji politycznej. Zdecydowaliśmy się po długich naradach na to, aby sąd zarządził odmowę ewentualnej prośby pozwolenia sprowadzenia tych quasi-świadków. Teraz dowiaduję się, że kwestia upadła. Obrona w stosunku do Goebbelsa i Hessego żadnego żądania nowego nie podniosła. Charakterystyczne jest jednak to, że w sprawie tej, jak to się z konieczności w wielkich procesach natury prawno-politycznej zdarza, sąd jest w ścisłym kontakcie z władzą polityczną, z którą się porozumiewa przez prezesa sądu i konferuje poufnie i działa w istocie jako agentura władzy politycznej. Nie jest to zgodne z klasycznym stanowiskiem sądu, które w sprawach innego rodzaju jest przez sędziów ściśle przestrzegane. Ale w sprawach o zabarwieniu ściśle politycznym, gdzie w grę wchodzą interesy żywotne państwa i poniekąd byt jego jest przez nie dotknięty, bywa to nieuniknione. Dla mnie osobiście jednak jest to przykre. Jest w tym pewien fałsz i obłuda. Skądinąd rząd w tej sprawie wznawia akcję prokuratury przez angażowanie adwokatów do obrony powodów cywilnych prywatnych, o których wytoczenie sam poufnie zabiega i sam adwokatów tych ze skarbu państwowego opłaca.

4 listopada, rok 1934, niedziela

Byłem wczoraj wieczorem na balu dorocznym korporacji narodowców „Neo-Lithuanii" w jej gmachu własnym. Korporacja ta jest najstarsza na uniwersytecie (chrześcijańsko-demokratyczny Związek „ateitininków" jest starszy wprawdzie, ale nie jest on korporacją, a korporacje, które do niego, jako organizmy sfederowane, należą, powstały później). Jest ona – „Neo-Lithuania" – nie tylko najstarszą, ale też główną, patentowaną korporacją narodowców („tautininków), bo choć w ostatnich latach powstał cały szereg nowych korporacji o zasadniczym zabarwieniu narodowym, to nowe korporacje i korporacyjki narodowców powstają i mnożą się jak grzyby po deszczu i dużą tutaj rolę grają względy kariery i wpływów politycznych, to jednak „Neo-Lithuania" stoi na czele młodzieży akademickiej obozu „tautininków", jest też z tych korporacji najliczniejsza, najzamożniejsza i najwpływowsza. Wynudziłem się co prawda na tym „balu", bo tylko na samym początku byłem na sali i widziałem publiczność młodzieży i tańce, a następnie, gdy przyjechał Prezydent Smetona z małżonką – zaprowadzono „wysokich gości", do których liczby i ja jako rektor trafić musiałem, do pokoju dla gości, gdzie przy kawie z benedyktynem i owocach oraz ciastach przetrzymano nas kilka godzin. Byli tam w tym pokoju dla gości: Prezydent z żoną, grupa dyplomatów (posłowie: Włoch – Amedori, Estonii – Leppik, Sowietów – Karski), kontroler państwowy Šakenis, burmistrz Merkys i kilku innych, także członkowie zarządu „Neo-Lithuanii" i członkinie zarządu zblokowanej z „Neo-Lithuanią" korporacji żeńskiej „Filiae Lithuaniae", potem wpadło tam jeszcze grono mocno podhumorzonych nowych gości, którzy przyjechali z balu wojskowego. Przez cały czas tam gadał ze mną, a właściwie gawędził, sam bez ustanku mówiąc, Prezydent Smetona – o najróżniejszych rzeczach – o dialektach litewskich, o faunie zwłaszcza ptasiej w kraju, o nowym pomyśle przymusowej konsumpcji gęsi itd., itd. Wysiedziałem i wynudziłem się kapitalnie, a za te nudy zapłaciłem cenę zmęczenia, bo przesiedziałem w ten sposób do godziny 2 ½ w nocy.

Dziś byłem tylko na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego rano, a pod wieczór poszedłem się z Jadzią przejść i byliśmy na kawie w cukierni Perkowskiego „Aldona".

W tych dniach napisałem artykuł dla „Przeglądu Wileńskiego" pod tytułem ekscentrycznym: „Śmierć, Pomorze i Wilno", który wysyłam do Wilna do Ludwika Abramowicza. W artykule tym sformułowałem moją koncepcję problemu ugody w sprawie wileńskiej, mianowicie tę koncepcję, którą w poniedziałek wyraziłem w „Metropolu" na pogadance z Wilnianami.

5 listopada, rok 1934, poniedziałek

Dziś po wykładzie na I semestrze sekcji prawniczej rozpocząłem colloquia, które odtąd we wszystkich trzech moich audytoriach będą się toczyły przez cały rok regularnie.

Przyjechał i był u mnie na obiedzie i kolacji, a wieczorem odjechał – Julek Komorowski. Jednocześnie też przyjechał z Szaszewicz Stefan Römer, który także był na obiedzie i kolacji i zanocował.

Zrobię sobie ulgę i przerwę na tym dziennik.

6 listopada, rok 1934, wtorek

Byłem na obiedzie tygodniowym „Rotary-Clubu". Referacik porządkowy – o służbie konsularnej – wygłosił Bizowski. Pierwszy raz na obiedzie naszego „Rotary-Clubu" obecny był gość. Był nim kapitan czy major Grinius, syn byłego Prezydenta Rzeczypospolitej dr Kazimierza Griniusa. Nie powiem, żeby nasz ten „Rotary-Club" bardzo mię zachwycał. Dosyć się nudzę na tych obiadach tygodniowych. Zobaczymy, jak dalej będzie.

Wieczorem miałem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego i pierwsze colloquium na tym kursie słuchaczy. Dokończyłem analizy konstytucji tymczasowej z d. 4.IV.1919. Coloquium zainicjowane zostało bardzo dobrze.

Nowiną u nas jest teraz konsumpcja przymusowa gęsi. Litwa wyprodukowała tyle gęsi na eksport (podobno 500 000), że teraz nie wiadomo, co z nimi zrobić. Eksport gęsi zawsze tradycyjnie i masowo szedł do Niemiec. Tymczasem Niemcy, które ze względu na Kłajpedę stosują do Litwy represalia ekonomiczne, nie przyjmują gęsi litewskich. Na jakieś 100 000 gęsi jest zapewniony eksport gdzie indziej i, zdaje się, na tyleż jest jeszcze nadzieja eksportu. Ale resztę gęsi Litwa skonsumować musi sama, bo nie ma co z nimi zrobić. Fabryka konserw „Maistasu", który centralizuje eksport produktów mięsnych, jest formalnie oblegana przez włościan producentów gęsi, którzy przywożą naraz transporty tego ptactwa w ilościach tak ogromnych – do 20 i więcej tysięcy naraz, że „Maistas" nie jest w stanie ich przyjąć, a właściciele gęsi nie chcą odjeżdżać z nieprzyjętym towarem. W tych warunkach organizatorzy eksportu w porozumieniu z rządem wpadli na pomysł oryginalnego zarządzenie przymusu spożycia gęsi. Gęsi zostałyby zapewne spożyte i bez tego, ale zalanie masowe rynku tym towarem zredukowałoby ceny gęsi do minimum fantastycznego, zwłaszcza że producenci nie mogą gęsi, a tym bardziej ostatecznie obezcenionych, długo utrzymywać, gdyż to jest zbyt kosztowne. Przymus spożycia gęsi, jak wielu twierdzi, odbije się ujemnie na spożyciu i cenach wielu innych produktów mięsnych, jak baranina, cielęcina itd., ale to samo zdziałałoby ich spożycie i bez przymusu, tylko że wtedy masowe spożycie gęsi za bezcen nie dałoby żadnego dochodu włościanom producentom gęsi. Przymus ten przeto wydaje mi się racjonalny. Utrzyma on cenę gęsi na pewnym poziomie (zdaje się, że cena będzie stała albo przynajmniej regulowana) i wobec tego ekwiwalent pieniężny przejdzie z kieszeni spożywców do kieszeni hodowców ptactwa. Przymus dotyka wszystkich urzędników tak państwowych, jak społecznych i prywatnych, proporcjonalnie do ich pensji albo kategorii służbowej, a zdaje się także, że i ludzi wolnych zawodów. Technika wykonania przymusu gęsiego, który ma być zakończony do Bożego Narodzenia, jest prosta. Właściciele gęsi otrzymują przez gminy odpowiednie kartki, które będą wydawali nabywcom gęsi przy sprzedaży tychże. Spożywcy, ulegający przymusowi, będą musieli wykazać się kartkami, że przymus wykonali.

Rychło może przyjdzie czas, kiedy dysponując obiad kucharce – trzeba będzie zajrzeć do „Vyriausybė Žinios", aby się dowiedzieć, jakie jest na dzień menu i ile kto musi zjeść tego dnia masła, mięsa, jaj, produktów mlecznych, chleba itd. Na mnie wypadnie, zdaje się, coś bodaj ze 16 gęsi do Bożego Narodzenia.

7 listopada, rok 1934, środa

Nic szczególnego dziś do zanotowania nie mam. Miałem „dzień mleczny", jak zawsze we środę; rano miałem wykład na I semestrze sekcji prawniczej, po wykładzie – colloquium, potem – urzędowanie w rektoracie, na które się składa załatwianie spraw bieżących, podpisy i przyjmowanie interesantów, cały zaś wieczór – w domu. Za to na jutro zapowiada się dzień gorący: posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich, które jest zawsze ciężkie, bo każde z wypływających zagadnień jest prawdziwą łamigłówką prawniczą, posiedzenie senatu akademickiego z przeładowanym porządkiem dziennym...

8 listopada, rok 1934, czwartek

Miałem dziś 8 ½ godzin posiedzeń, nie licząc 2 ½ godzin pracy biurkowej w rektoracie i paru godzin pracy w domu. Dla posiedzeń musiałem opuścić wykład ranny. Miałem dwa posiedzenia komisji do spraw kłajpedzkich – rano 3 godziny i wieczorem 2 godziny – i 3 ½ godziny posiedzenia senatu akademickiego.

Posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich odbyło się z udziałem ministra sprawiedliwości Šilinga, ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, dyrektora Departamentu Politycznego Ministerium Spraw Zagranicznych Urbšysa, naczelnika kancelarii Gabinetu Ministrów Mašalaitisa, członka Rady Stanu Zygmunta Starkusa, prywat-docenta dr

Kriwickiego i mnie. Obecny też był gubernator Kłajpedy Navakas. Pod obrady było poddane dziewięć punktów, wszystkie – łamigłówkowe, poniekąd te same, nad którymi już przed paru tygodniami obradowaliśmy, poniekąd – nowe. Punkty te zostały wzięte z depeszy szyfrowanej posła litewskiego w Paryżu Piotra Klimasa, który zakomunikował, że pod naciskiem Anglików sygnatariusze czy też sama Francja zamierzają skierować do Litwy kategoryczną notę, żądającą od niej wyjaśnień i zarzucającą jej złamanie konwencji (ewentualnie statutu) w dziewięciu punktach. Bardzo poufnie jednak Francja uprzedziła Klimasa, że o ile Litwa co do niektórych z tych zarzutów sama pójdzie na ustępstwa i cofnie się, to Francja nie zgodzi się na wystąpienie przeciwko Litwie i odparuje nacisk angielski. Kwestia tej noty jest utrzymana w największym sekrecie. W paru podrzędnych kwestiach na obradach dzisiejszych zdecydowano się pójść na ustępstwa, ale w zagadnieniach bardziej zasadniczych, przesądzających pewne tezy prawne, udzieliliśmy Lozoraitisowi twardą motywację do obrony tez litewskich. Kto wie, czy przesilenie obecne w polityce kłajpedzkiej nie doprowadzi Litwy znów do Trybunału w Hadze. Gra jest ryzykowna, ale są niektóre tezy, od których Litwa odstąpić nie może. W Paryżu jednak nastąpiło ostre przesilenie gabinetowe, które nie daje możności przesądzenia, jaka będzie linia polityczna nowego układu sił rządowych, który zaistnieje.

Na posiedzeniu senatu akademickiego poza całym mnóstwem spraw detalicznych, chociaż skądinąd ważnych, podniesiona została także ogólnikowo sprawa polityki antysemickiej Wydziału Medycznego. Właściwie tylko ja, Purėnas i Hrynkiewicz kwestionowaliśmy, bo Krėvė-Mickiewicz był nieobecny, natomiast Žemaitis i Wacław Biržiška, na których liczyłem, a także Augustaitis, zastępujący Krėvė-Mickiewicza i także należący do lewicy, raczej usprawiedliwiali Wydział Medyczny. Dziekan Wydziału Lašas energicznie się bronił twierdząc, że wydział żadnej polityki antysemickiej nie prowadził; wskazywał, że właśnie na Wydziale Medycznym zwłaszcza wyższe semestry są aż do nadmiaru zażydzone, bo procent Żydów dosięga tam 70% i nawet wyżej, a choć w ostatnich latach dopływ Litwinów się znacznie zwiększył, a w szczególności w tym roku nie było Żydów, którzy by ukończyli gimnazja rządowe, którym się daje pierwszeństwo, to jednak Żydzi i w tym roku byli przyjmowani, a podług słów Lašasa Żydzi w przedziwny sposób umieją się wkręcać i jednocześnie podnosić gwałt i alarm o każdego nieprzyjętego, wytwarzając wrażenie antysemityzmu i tą droga czyniąc presję. Podobno w roku przeszłym Żydów było przyjęte mało, atoli po roku na odpowiednim semestrze zdołali oni jakoś cudownie się rozmnożyć, bo okazało się ich tam coś od 30 do 50%; symulują się oni pod imionami chrześcijańskimi i nazwiskami o brzmieniu rosyjskim lub litewskim a potem nagle wypływają z tych niewinnych imion i nazwisk – Żydzi.

9 listopada, rok 1934, piątek

W teatrze miejskim (właściwie państwowym, bo nazywał się on „miejskim” jeno za czasów rosyjskich) odbyła się dziś uroczystość jubileuszu pracy scenicznej znakomitej naszej artystki – solistki Opery i profesorki śpiewu w konserwatorium – Władysławy Grigaitisowej. Jest ona Połowińską z domu, siostrą rodzoną Połowińskiego-Budrysa, wodza powstania kłajpedzkiego z roku 1923, i panny Połowińskiej – koleżanki z Wilna Ewy Meyerowej, oraz dziś nieżyjącego kulawego artysty-malarza Połowińskiego, z którym przed wojną w Wilnie miałem okazję dużo wspólnie pracować w Litewskim Towarzystwie Artystycznym („Lietuvių Dailės Draugija”) i który po wojnie został zamęczony przez bolszewików w Rosji. Językiem domowym rodziny Połowińskich był, o ile wiem, polski, ale rodzina ta była zawsze litewską i patriotyczną; Połowińscy są z Kowna i wszyscy młodzi (dziś już zaliczyć ich raczej trzeba do starych) Połowińscy od dzieciństwa brali udział w ruchu narodowym litewskim. Dzisiejsza jubilatka, dziś wielka artystka, już w wieku dziecinnym, mając lat 9, brała w Kownie udział w chórze towarzystwa śpiewackiego „Daina”, które wtedy nie było jeszcze zalegalizowane.

Potem, wyszedłszy za mąż i mieszkając w Wilnie (jej mąż, Grigaitis, dziś sędzia karny w Trybunale Najwyższym, był wtedy urzędnikiem intendentury w Wilnie), występowała jako amatorka na estradzie litewskiego klubu „Ruta" w Wilnie. Znałem ją wtedy li tylko z widzenia.

Grigaitisowa obchodziła dziś 15 lat swego udziału w Operze Państwowej litewskiej i 25 lat swojej pracy artystyczno-społecznej. Głos ma piękny i niezwykle silny. Jest ona siłą pierwszorzędną w Operze, siłą, której by się nie powstydziła żadna z wielkich oper światowych.

Na obchód jubileuszu złożyły się: przedstawienie benefisowe opery „Tosca" Pucciniego z Grigaitisową w roli tytułowej i z Kiprem Piotrowskim i Antonim Sodeiką w innych rolach głównych oraz uroczystość pozdrowienia jubilatki na scenie po zakończeniu opery. Ceremonia pozdrowienia trwała bardzo długo, ale na ogół wypadła serdeczna. Pozdrowień było kilkadziesiąt, od różnych organizacji i grup. Nie pozdrawiał tylko wcale rząd. Jubilatka otrzymała mnóstwo kwiatów, dużo ładnych i cennych darów, niezliczoną ilość adresów, listów i depesz. W liczbie pozdrawiających byłem też ja jako rektor uniwersytetu, z tego tytułu wydelegowany przez komitet jubileuszowy do prezydium honorowego obchodu. Przemawiałem w imieniu uniwersytetu, raczej zaś w imieniu Nauki litewskiej, witającej w osobie jubilatki p. Grigaitisowej Sztukę litewską. Przemówienie moje, względnie dość długie, czytałem z rękopisu, ale wyraziście. Podobało się ono na ogół tak jak jubilatce, jak publiczności, spośród której wielu mi potem je chwaliło. Cała uroczystość była translowana przez radio. W tej długiej scenie pozdrowień było parę momentów efektownych. Do najefektowniejszych należał ładny gest burmistrza Merkysa, który w zakończeniu swego pozdrowienia w imieniu miasta pięknym ruchem otworzył ramiona i uścisnął jubilatkę, znacząc braterstwo pocałunkiem, który wywołał gorącą owację całego teatru. Drugim epizodem efektownym był deszcz żywych kwiatów, który padać zaczął z góry na jubilatkę, po czym z sufitu spuścił się powoli do stóp jubilatki kosz kwiatów; efekt ten był wykonany przez pracowników technicznych teatru. Uroczystość zakończyła fotografia wspólna uczestników ceremonii na scenie z jubilatką w środku. Po uroczystości p. Grigaitisowa zaprosiła mnie na przekąskę do siebie w mieszkaniu w gronie jej bliższych przyjaciół. Nie poszedłem jednak, bo się czułem zmęczony i zresztą Jadzia z Andrzejem mię czekali u wyjścia. Jadzi, która była w teatrze na operze i całej uroczystości, uroczystość bardzo się podobała. Zabawiła się ona dobrze.

10 listopada, rok 1934, sobota

Także dzień mocno naładowany, zwłaszcza wieczorem.

Ale wpierw parę słów jeszcze do dnia wczorajszego. Wczoraj odbywało się w Kownie głosowanie w wyborach do Rady Miejskiej. Obecna ordynacja wyborcza do samorządów łączy system list wyborczych z systemem kandydatów osobistych w zasadach przedstawicielstwa proporcjonalnego. Ja osobiście w głosowaniu moim zastosowałem szeroko tzw. „*panachage*", wybierając kandydatów z najrozmaitszych często wręcz przeciwnych i wrogich sobie list. Ogółem trzeba było włożyć do koperty 24 kartki z nazwiskami drukowanymi poszczególnych kandydatów. Wybrałem tych kandydatów z list narodowców, chrześcijańskich demokratów, ludowców, bezpartyjnych, Polaków i Żydów. Kierowałem się imionami ludzi, których znam i uważam za użytecznych w zarządzie spraw publicznych. Rezultaty wyborów nie są jeszcze wiadome, bo system „*panachage*'u" niezmiernie komplikuje obliczanie głosów i rozdawnictwo mandatów.

Dziś wieczorem wyszedłem z domu o godz. szóstej po obiedzie (nie liczę przedobiedniej pracy w rektoracie) i wróciłem późno w nocy. Byłem wpierw na moim seminarium prawa konstytucyjnego na uniwersytecie, gdzie tymczasem tylko rozdaję tematy do prac seminaryjnych (z rozpoczęciem właściwych referatów czekam na powrót z Rzymu

mego asystenta Konstantego Raczkowskiego). Z uniwersytetu poszedłem na zebranie Towarzystwa Prawniczego w sali posiedzeń Trybunału Najwyższego, gdzie prof. Tumėnas wygłosił referat na temat odszkodowania za szkodę moralną i bardzo ładny koreferat na tenże temat wygłosił prof. Bielackin. Stamtąd o godzinie już dziewiątej udałem się do lokalu „Karininkų Ramovė” na koncert-bal akademickiej korporacji oficerów rezerwy studentów uniwersytetu. Gospodynią balu była p. Valiušisowa, Smetonówna z domu, córka Prezydenta Smetony. Obecny też był na balu Prezydent. Byłem tylko na koncercie i dobrze się zabawiłem. Śpiewali soliści Opery: Mažeika, Zauniusowa i Kuczyński. Po koncercie zaraz uciekłem i poszedłem z Jadźką i Andrzejem Mieczkowskim na kolację i na dancing-kabaret do restauracji „Wersal”. Nie zabawiłem się jednak dobrze, bo Jadźka była jakoś bez humoru, zasępiona i smutna. To mię nerwowało i dręczyło i sam pod wpływem podrażnienia stałem się dla niej ciężki, toteż wieczór był zepsuty.

11 listopada, rok 1934, niedziela

Udałem się dziś z wizytą do p. Grigaitisowej, aby ją przeprosić za to, że w piątek wieczorem po jej jubileuszu nie skorzystałem z jej uprzejmego zaproszenia i nie udałem się do niej na kolację. Mieszkanie p. Grigaitisowej jest pełne kwiatów, którymi ją obdarowano podczas jubileuszu. W piątek na tym jubileuszu zaszedł pewien mały epizodzik, który mię trochę skonfudował. Wspominałem, że burmistrz Merkys, po wygłoszeniu swego pozdrowienia na scenie, otworzył ramiona i uścisnął jubilatkę serdecznie, całując ją publicznie, co wywołało owację na sali. Otóż po zakończeniu obchodu, kiedy kurtyna już była spuszczona, ale na scenie byli jeszcze wszyscy ci, co jubilatkę pozdrawiali, p. Grigaitisowa podeszła do mnie, stojącego wśród wielu innych, i nachyliła się (bo jest niezwykłego jak na kobietę wzrostu – wyższa ode mnie), podsuwając twarz swoją bliziutko do twarzy mojej. Nie zrozumiałem, o co jej chodzi: pomyślałem, że chcąc mi wyrazić uznanie i wdzięczność za moją mowę ładną i biorąc asumpt z pocałunku Merkysa, podsuwa się dla pocałunku ze mną. Toteż, nie namyślając się długo, sam twarz wyciągnąłem do niej i pocałowałem ją w twarz. Atoli p. Grigaitisowa nie poprzestała na tym i znów się nachyliła do mnie i jednocześnie zaczęła coś mówić półgłosem. Okazało się, ze mię zaprasza na kolację do mieszkania. Zrozumiałem wtedy, że nachylała się wcale nie dla pocałunku, jeno dlatego, że chciała mię zaprosić do siebie i to zaproszenie wypowiedzieć cicho, aby inni nie słyszeli, ponieważ wszystkich zaprosić nie może. Zawstydziłem się moim głupim zachowaniem się i zrozumiałem, że mój pocałunek był niedorzeczny – ni w pięć, ni w dziewięć. Zresztą na tym się epizod skończył. Może p. Grigaitisowa pomyślała, że mój pocałunek był tylko ekspansywnym odruchem wielkiego wzruszenia, jakie mię ogarnęło pod wpływem uroczystości i gorącego entuzjazmu dla jubilatki.

12 listopada, rok 1934, poniedziałek

Poza wykładem bieżącym na I semestrze sekcji prawniczej i poza pracą bieżącą w rektoracie – siedziałem w domu. Nic osobliwego nie zaszło.

Rozpocząłem od kilku dni moją powinność jedzenia gęsi. Dziś zjedliśmy trzecią gęś. Że zaś tych gęsi będę musiał do Bożego Narodzenia zjeść, jeżeli się nie mylę, bodaj z pięćdziesiąt, przeto jest to zaledwie kropla (jeżeli nie w morzu, to przynajmniej w szklance wody).

13 listopada, rok 1934, wtorek

Znowu odbyły się dziś dwa posiedzenia komisji do spraw kłajpedzkich, wszakże tym razem w składzie ściślejszym – bez udziału Starkusa i Kriwickiego; nie był też obecny gubernator Navakas, którego nie ma w Kownie. W posiedzeniu wzięli udział: ministrowie Šiling i Lozoraitis, Mašalaitis, Urbšys i ja. Był odczytywany szczegółowo i analizowany oraz

korygowany i ustalany ostatecznie tekst noty, którą w sprawach kłajpedzkich w przedmiocie poczynionych zakwestionowań rząd litewski ma odpowiedzieć na poufną notę wrześniową sygnatariuszy w związku z depeszą informacyjną Klimasa sprzed paru tygodni. Nota rządu litewskiego ma być doręczona posłom państw sygnatarnych, akredytowanym u rządu litewskiego. Zdaje się, że nota, której projekt był zredagowany przez Urbšysa stosownie do rezultatów obrad naszej komisji sprzed dwóch tygodni i do wskazówek ministra Lozoraitisa, dziś skorygowana, jest niezła i bardzo logicznie prawnie ujmująca tezy litewskie. W kilku kwestiach rząd litewski w nocie czyni ustępstwa, inne kwestie opiera na mocnej argumentacji prolitewskiej statutowej. Mam wrażenie, że sprawa dobrze stanęła.

W toku tych posiedzeń dowiedziałem się z ust Šilinga i Lozoraitisa, że wskrzeszony został zamiar utworzenia sądu statutowego dla spraw kłajpedzkich. Projekt tego sądu był przez nas opracowany szczegółowo przed dwoma laty i był bliski urzeczywistnienia. Prezydent Smetona był zupełnie dla projektu tego zjednany, tylko mu się oparł wtedy były minister spraw zagranicznych Zaunius i pod wpływem Zauniusa premier Tubelis. Obecnie znów projekt ma odżyć. Šiling i Lozoraitis go popierają, Prezydent Smetona mu sprzyja. Tubelis też się dał skłonić. Uważam, że utworzenie sądu statutowego będzie dużym krokiem naprzód w przedmiocie uporządkowania prawnego autonomii kłajpedzkiej w kierunku państwowym. Będzie to też w ogóle duży krok naprzód w zakresie praworządności, wielki i nowy precedens u nas.

Przed obiadem w rektoracie miałem posiedzenie zarządu litewskiej Komisji Międzynarodowej Kooperacji Intelektualnej w osobach mojej jak prezesa, sekretarza generalnego Soblysa i członka zarządu prof. Gałauni.

Wieczorem miałem wykład i colloquium litewskiego prawa konstytucyjnego. Wykład dzisiejszy był poświęcony przeważnie Piłsudskiemu i jego „polityce wschodniej" z roku 1919, której elementem było zdobycie Wilna na bolszewikach i ustanowiony tam Zarząd Ziem Wschodnich z Osmołowskim na czele.

14 listopada, rok 1934, środa

Rano mieliśmy jeszcze jedno posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich. Był minister Šiling, Mašalaitis, Urbšys i ja. Dokończyliśmy ustalania tekstu poufnej noty litewskiej do państw sygnatarnych. Po tym posiedzeniu, które trwało krótko, miałem wykład na I semestrze prawa i colloquium bieżące. Potem funkcjonowałem w rektoracie. Po obiedzie (zresztą obiadu nie miałem, bo to mój dzień „mleczny", to znaczy – głodowy dzisiaj) siedziałem w domu. Wieczorem zaś z Jadzią i Andrzejem poszedłem do teatru na przedstawienie wznowionej opery „Dama Pikowa". W roli hrabiny, którą dawniej grała zawsze Grigaitisowa, występowała po raz pierwszy Zauniusowa. Grigaitisowa, moim zdaniem, była lepszą hrabiną, bo zwłaszcza postać miała wspanialszą.

Podział mandatów w wyborach do Rady Miejskiej jeszcze nie zakończony. Ale już ustalono, że najwięcej głosów osobiście zyskał... dr Kazimierz Grinius, były Prezydent Rzeczypospolitej. Ludowcy z tego powodu triumfują. Ich lista także otrzymała ze wszystkich list najwięcej głosów. Trzeba jednak uwzględnić, że ludowcy mieli tylko jedną listę partyjną, to znaczy byli zdyscyplinowani i scentralizowani, podczas gdy list narodowców było kilka, wyrażających różne odcienie.

15 listopada, rok 1934, czwartek

Dziś rozpocząłem po wykładzie colloquia dla ekonomistów. Zajęło mi to dużo czasu. W rektoracie miałem posiedzenie zwierzchności akademickiej w osobach mojej, obu prorektorów – prof. Česnysa i prof. Jodeli – i sekretarza prof. Purėnasa. Chodzi o utworzenie komisji, złożonej z przedstawicieli głównych organizacji studenckich pod przewodnictwem prorektora Česnysa, która by omówiła i zaprojektowała nową organizację sejmiku

akademickiego studenterii oraz warunki i podstawy funkcjonowania tegoż. Obecny bowiem sejmik, tworzony w drodze wyborów z głosowania powszechnego, nie może funkcjonować, gdyż znaczna część młodzieży akademickiej jest przeciwna tej formie tworzenia przedstawicielstwa i bojkotuje sejmik i wybory. Sejmik więc taki stracił wszelką powagę i autorytet. Skądinąd wybory przez głosowanie powszechne zarażają młodzież akademicką demagogią i agitacją w walce partyjnej, zgoła jałową i wprowadzają ferment i zamęt mityngowy do atmosfery akademickiej. Inicjatywa reformy, której w roku ubiegłym senat, wbrew usiłowaniom moim, odmówił poparcia, wyszła tym razem od samego prezydium sejmiku. Dziś w dobie rządów socjokratycznych, które atakują zdyskredytowaną indywidualistyczną podstawę demokracji, reforma ustroju sejmikowego w kierunku przedstawicielstwa mandatowego grup zorganizowanych i społecznie czynnych – żywiołowo się wyłania. Do komisji, mającej zaprojektować reformę, postanowiliśmy zaprosić następujące organizacje głównych grup młodzieży akademickiej – po jednym delegacie od każdej: korporacja narodowców „Neo Lithuania", tak zwany „Samburis", stanowiący konfederację szeregu korporacji litewskich bezpartyjnych o zabarwieniu narodowym, korporacja studentów oficerów rezerwy, blok federacyjny „ateitininków", organizacja ludowców „Varpas", grupa organizacji socjalistycznych, korporacja terytorialna Kłajpedczyków „Mažoji Lietuva", organizacja Wilnian „Vilnija", grupa organizacji żydowskich, grupa organizacji polskich, wreszcie organizacje wydziałowe: teologów, humanistów, prawników, medyków, matematyków-przyrodników, techników.

Po obiedzie wezwany zostałem znowu na posiedzenie do spraw kłajpedzkich. Jeszcze raz analizowaliśmy tekst projektu noty litewskiej do spraw sygnatarnych w stosunku do poprawek, zaproponowanych przez gubernatora Navakasa.

16 listopada, rok 1934, piątek

Umarł prof. Paweł Sokołowski, były Niemiec rosyjski, Bałt z Łotwy czyli Niemiec bałtycki (pomimo nazwiska o brzmieniu słowiańskim), właściciel ziemski w Łotwie, ale poddany nie łotewski, lecz niemiecki. Prof. Sokołowki był przed wojną profesorem prawa w Moskwie, zajmował też wysokie stanowisko kuratora okręgu naukowego charkowskiego. Był to uczony-prawnik wybitny. Jedną z ostatnich prac jego była monografia filozoficzno-prawnicza o państwie, napisana po niemiecku. Pomimo że był wieku bardzo podeszłego, bo umierając miał lat, zdaje się, 75, był żywy, energiczny, czynny, psychicznie jeszcze w pełni sił, fizycznie ruchliwy i doskonale zakonserwowany, wyglądał o lat 20 młodszy, chodził dużo, lubił sport, do późnej jesieni (w tym roku – aż dotąd) chodził bez paltotu. Umarł prawie że nagle. Co prawda – przed paru dniami ciężko zachorował, ale umarł tylko z osłabienia serca, które komplikacji choroby nie wytrzymało. Przed paru laty, gdy na naszym Wydziale Prawniczym utworzona została katedra prawa cywilnego kłajpedzkiego (właściwie dwie, jedna – prawa cywilnego i druga – karnego) z inicjatywy Janulaitisa zaproszony został na tę katedrę prof. Sokołowski. Na razie zaszedł wtedy mały incydent – Sokołowski, który się był zgodził, cofnął się pod wpływem wrogiej postawy czy też wprost zakazu niemieckiego Ministerium Spraw Zagranicznych, które nie życzy sobie należytego obsadzenia tych dwóch katedr kłajpedzkich u nas, rozumiejąc dobrze, że to prowadzi do przygotowywania w Kownie, a nie, jak dotąd, w Niemczech, nowych kadrów magistratury sądowej w Kłajpedzie, co Niemcom jest nie na rękę. Potem jednak, za interwencją znowu Janulaitisa, rzecz się jakoś wyjaśniła i zmieniła i Sokołowski objął katedrę i przyjechał. Wykładał u nas rok czy dwa. Kto go zastąpi – nie wiadomo. Zastępcy dlań jeszcze nie wykwalifikowaliśmy. Gotowaliśmy do tego zastępstwa bądź Olgierda Penkaitisa, bądź młodego Čepasa (syna wiceprezesa Trybunału), ale obaj nie są jeszcze wykwalifikowani i uzupełniają swe studia za granicą. Z nich, zdaje się, że z Penkaitisa pociechy wielkiej mieć nie będziemy; jest pedantem i ma skłonność być molem książkowym, ale perspektyw myślowych szerszych i w ogóle głowy

otwartej nie ma. Tak się przynajmniej zdaje. Co do Sokołowskiego – to umarł, zdaje się, w porę. Zbierała się bowiem burza nad jego głową. Tego lata napisał on i wydał jakąś książeczkę treści publicystycznej, w której wdawał się w rozważania problemu bałtyckiego. Książeczka – ni w pięć, ni w dziewięć. Napisana po niemiecku, wydana w Niemczech. Wydawcy umieścili na okładce mapkę, w której Kraj Kłajpedzki wcielony jest do terytorium państwowego Niemiec. To pierwszy punkt obrazy Litwy, który się daje jednak usprawiedliwić tym, że to uczynili wydawcy bez udziału Sokołowskiego. W książeczce tej Sokołowski daje upust swoim osobistym sympatiom „nacjonalsocjalistycznym” do hitleryzmu, a także swojej nienawiści do Łotwy i Estonii, które zaleca Niemcom zdobyć i zaanektować na rzecz kultury i państwowości niemieckiej. W stosunku do Litwy i Litwinów wyraża podobno wielkie sympatie romantyczne, ale ostatecznie i Litwę, jak powiadają (bo sam nie czytałem), ogarnia wpływami niemieckimi jako rodzaj ekspozytury niemieckiej nad Bałtykiem. Kłajpedę traktuje ze stanowiska niemieckiego. Jako Niemcowi – można mu się nie dziwić, ale że jest profesorem na uniwersytecie państwowym litewskim – powinien by był uszanować samodzielność Litwy i nie wyrażać swych uczuć proniemieckich, o ile one mogą zadrasnąć Litwę. Janulaitis i nasz dziekan Wacław Biržiška, którzy tę książeczkę przeczytali uważnie, twierdzą, że nic szczególnie zdrożnego w niej nie ma, a Janulaitis napisał nawet artykuł w „Aidasie” w obronie Sokołowskiego i jego książeczki. Ale opinia publiczna zaczęła fermentować, w prasie ukazało się parę artykułów ostrych, zachodziła obawa, że studenci zaczną reagować. Śmierć Sokołowskiego położyła wszystkiemu kres.

17 listopada, rok 1934, sobota

Na uniwersytecie wciąż są jakieś burze, wciąż jakieś zajścia i epizody. Gdzie jest młodzież – tam zawsze jest ferment, a z fermentu rodzą się chmury i powstaje grzmot i błyskawica. Były zajścia na gruncie antysemickim na Wydziale Medycznym, była w społeczeństwie żydowskim burza z powodu rzekomego antysemityzmu tegoż wydziału w tym roku, był gwałt studentów na publicznym wykładzie habilitacyjnym nowej profesorki histologii na tymże wydziale, Rosjanki p. Danczekowej, której wykład został z powodu języka rosyjskiego wygwizdany i zerwany, potem znów był alarm na Wydziale Technicznym ze względu na to, że Rada Wydziału uchwaliła do dyplomu nie wpisywać słowa „dyplomowany” (inżynier dyplomowany), poprzestając na określeniu krótkim „inżynier”, co wywołało protest ze strony studentów (poniekąd słuszny nawet) i bojkot egzaminów i poszczególnych profesorów, którzy głosowali za tym (za interwencją rządu i moją wyraz „dyplomowany” został następnie przez Radę Wydziału przywrócony), ostatnio znów rozpoczął się ruch przeciwko prof. Sokołowskiemu na Wydziale Prawniczym, przerwany zresztą jego śmiercią w porę, wreszcie teraz zaczynają się gromadzić nowe chmury fermentu i protestu przeciwko prof. Stankiewiczowi znów na naszym Wydziale Prawniczym. Na ogół prof. Stankiewicz, który wykłada prawo karne, jest przez słuchaczy ceniony i lubiany, bo choć jest niby lewicowcem, podczas gdy wśród studentów dominują prądy narodowe raczej prawicowe, umie być popularny i wykłada dobrze i jest inteligentny, co zawsze przez młodzież jest cenione. Ale ten ferment powstał teraz na gruncie podjęcia się przez Stankiewicza, jako adwokata (jest on najlepszym obrońcą karnym w adwokaturze litewskiej, ma wielki talent słowa i dobrą głowę), obrony w głośnej sprawie politycznej tzw. Sassa, Neumanna i towarzyszy, oskarżonych o zdradę stanu w postaci ruchu nacjonalsocjalistycznego, zmierzającego do oderwania Kłajpedy od Litwy na rzecz Niemiec. Sprawa ta jest epizodem walki ściśle politycznej między Niemcami a Litwą o Kłajpedę. Chodzi o intrygę niemiecką, przeciwko której Litwa się broni. Właściwie oskarżenie jest tutaj obroną pozycji litewskiej, a obrona jest w istocie elementem akcji niemieckiej, napastującej Litwę. Cały szereg adwokatów – Leonas, Janulaitis, Ślażewicz, może inni jeszcze – z pobudek narodowych i państwowych odmówił podjęcia się obrony, gdy się do nich

zwrócono. Nie chodzi oczywiście o to, aby pozbawić oskarżonych obrony. Gdyby oskarżeni nie znaleźli obrońców w drodze namowy, to Sąd Wojenny wyznaczyłby im adwokatów do obrony z urzędu. Wtedy oczywiście każdy z adwokatów – bez względu na swoje przekonania osobiste – spełniłby sumiennie swoją powinność zawodową. Co innego wszakże jest podejmować się w tych warunkach obrony umownej i brać za to zapłatę. A zapłata tutaj się uśmiecha, bo jest sekretem poliszynela, że organizuje obronę i opłaca obrońców sowicie – hojnie – poselstwo niemieckie, to znaczy Niemcy hitlerowskie, które dążą do zaboru Kłajpedy. Obrońcy przeto, opłacani przez Niemców, stają się agentami „Drang nach Osten!". Znaleźli się jednak adwokaci, którzy się tej obrony w tych warunkach podjęli, a w pierwszym ich szeregu jest właśnie Stankiewicz. Oprócz Stankiewicza do liczby obrońców z tytułu umowy należą Rosjanin Zorin, Niemiec rosyjski, były sędzia wojenny litewski Engler, ludowiec Torczan – na poły Niemiec i na poły Litwin, z Litwinów zaś Andrzej Bułat i... Betaitis. Najpikantniejszy jest udział w tej obronie proniemieckiej Betaitisa, który osobiście zalicza się do narodowców i jest filistrem patentowanej kooperacji akademickiej narodowców – „Neo-Lithuanii"! Co do Stankiewicza, który jest siłą najwybitniejszą w obronie, to, jak powiadają, bierze on za obronę honorarium w kwocie jednorazowej sumarycznej 50 000 (litów czy marek?) i poza tym po 500 podobno litów od dnia.

Młodzież akademicka się poruszyła i ferment wzrasta. W tych dniach na wykładzie Stankiewicza położono mu podczas przerwy na katedrę kartkę, interpelującą go w tej kwestii. Stankiewicz po przeczytaniu kartki oświadczył *ex catedrae*, że chociaż kwestia ta nie należy do akademickich i przeto studenci go o to interpelować nie mogą, a on im sprawy zdawać ze swych czynności zawodowych nie winien, to jednak im wyjaśnienia tym razem udzieli: on, Stankiewicz, jest chrześcijaninem, zaś obowiązkiem chrześcijańskim i cnotą chrześcijańską jest pomoc bliźnim w nieszczęściu i przeto tej pomocy w zakresie swoich funkcji zawodowych on im nie odmawia, jak nie odmówiłby również lekarz lub ksiądz. Odpowiedź ta jednak nie zadowoliła zupełnie studentów, którzy na to odpowiadają rezerwą, że jednak akt miłosierdzia chrześcijańskiego, połączony z tak pięknym honorarium, ma też pewien zapaszek dodatkowy bardzo namacalnego interesu.

Toteż ta interpelacja i odpowiedź Stankiewicza na nią nie ubiła fermentu. Wypłynął on na forum debat związku organizacji studenckich litewskich, obejmującego kilkadziesiąt stowarzyszeń, począwszy od narodowców i kończąc na ludowcach „Varpasu". W dalszym ciągu o tym – innym razem.

18 listopada, rok 1934, niedziela

Dzień wczorajszy i dzisiejszy upłynęły mi pod znakiem przyjaźni litewsko-łotewskiej. Mianowicie bowiem w tych dniach (zdaje się – że właśnie dzisiaj) wypada 16 rocznica Niepodległości Łotwy, która, ze względu na szczęśliwie zawarty Blok Bałtycki, który oby się stał Konfederacją Bałtycką, jest szczególnie serdecznie i entuzjastycznie w tym roku w Litwie obchodzona. Nastrój serdeczny współpracy i miłości jest szczególnie podsycany przez to, że zawarcie tego bloku, stanowiące nową solidarystyczną organizację polityczną trzech państewek bałtyckich, zbiegło się z reformą konstytucyjną estońską, zawracającą od demokracji demokratycznej do mocnych rządów jednolitej władzy rządzącej, i z przewrotem majowym w Łotwie, koncentrującym władzę w osobie „Wodza Narodu" Ulmanisa, przez co oba narody-państwa bałtyckie, jako kontrahenci związku z Litwą, zbliżyły się w swojej metodzie organizacyjnie-państwowej do metody, która się ustaliła w Litwie już od przewrotu grudniowego z roku 1926 i która się coraz bardziej u nas akcentuje i streszcza.

Pierwszym etapem tych uroczystości prołotewskich, w których mi wypadło brać udział, była wczoraj herbatka-raut w poselstwie łotewskim u p. posła Sēji. Zebrała się tam śmietanka towarzyska litewska sfer rządowych, dyplomacji, wojskowości, wyższych dostojników i urzędników, poniekąd nauki i wolnych zawodów z paniami, przedstawicieli kolonii

łotewskiej i przyjezdnych Łotyszy, także dziennikarzy i studentów Łotyszów i tych grup akademickich młodzieży litewskiej, które mają kontakt z propagandą zbliżenia litewsko-łotewskiego i bałtyckiego. Była herbata, trunki, przekąski, owoce, ciasta, był koncert na fortepianie i śpiewu solowego. Nastrój był przyjemny i swobodny, humor mi dopisywał szczególnie. W grupie studentów i dziennikarzy wypiłem dość dużo różnych wódek łotewskich i innych, jakichś z 15 kieliszków, i przekąsiłem zaledwie kilka smacznych wprawdzie, ale malutkich kanapek. Nic mi to na razie nie zaszkodziło. Wróciłem po herbatce do domu. Byłem podhumorzony, ale zupełnie przytomny i miałem szczególnie podniecaną energię. Ale widocznie wódka mi zaszkodziła, zwłaszcza że to był mój dzień ścisłego postu („dzień mleczny") i że zacząłem pić, będąc od rana zupełnie na czczo. Nagle wystąpił mi na całe ciało pot obfity, że stałem się wprost mokry i osłabłem. Jadzia z Andrzejem odprowadzili mię do łóżka. Położyłem się i brakło mi tchu. Był to rodzaj przelotnego ataku sercowego. Jadzia popędziła Andrzeja do doktora. Oboje – Jadzia i Andrzej – przestraszyli się nie na żarty. Z mieszkania Mašiotasow Andrzej telefonował do dr Gudowicza, który przybiegł niebawem poruszony i zaniepokojony, przynosząc ze sobą przyrządy do jakiegoś zastrzykiwania ratowniczego. Po zbadaniu jednak doktor się uspokoił, bo już się odchwyciłem. Skończyło się na próżnym alarmie i strachu.

Dziś miałem znowu dwa obchody rocznicy łotewskiej: jeden – na uniwersytecie, urządzony przez młodzież akademicką, i drugi – w „Karininkų Ramovė", bardzo uroczysty i ceremonialny, urządzony przez Towarzystwo Jedności Litewsko-Łotewskiej. Na pierwszym z tych obchodów przemawiał prof. Pakštas, poseł łotewski p. Sēja, króciutko – ja, prof. Volters, paru studentów. Sala była przepełniona młodzieżą akademicką i sporo też było gości. Obchód był szczery i ładny. Potem był dział koncertowy – występy solistów Opery i chóru akademickiego.

19 listopada, rok 1934, poniedziałek

Jeszcze o wczorajszym. Byłem wieczorem na wspaniałej uroczystości obchodu 16-lecia Niepodległości Łotwy w wielkiej sali „Karininkų Ramovė". Uroczystość była zainscenizowana pod egidą Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej. U stołu prezydialnego na podwyższeniu zasiadali: prezes aktualny Towarzystwa burmistrz Merkys, prezes honorowy – stary prof. Volters i członek honorowy Raupis. Ogromna sala była pełna publiczności wyborowej. Prezydenta Rzeczypospolitej nie było, ale był prezes ministrów Tubelis i ministrowie oprócz tylko Aleksy i Tonkunasa. Był też solenny gość – łotewski minister finansów Ekis, który był poprzednio posłem łotewskim w Kownie i który tu specjalnie na tę uroczystość przyjechał. Był też obecny poseł łotewski w Litwie Sēja i poseł estoński Leppik. Posłów innych państw nie było; zdaje się, że ich nie zapraszano: chodziło o nadanie uroczystości charakteru braterstwa bałtyckiego z wyłączeniem powszechności międzynarodowej. Wojskowi, dygnitarze, panie, dziennikarze, wyższy świat urzędniczy, profesura, sztuka itd., itd. Elita. Panowie – solennie we frakach, z pełnymi orderami. Zaczęło się od przemówień uroczystych. Mówił prezes Towarzystwa burmistrz Merkys, potem minister łotewski Ekis po łotewsku, dalej – minister Lozoraitis, który odczytał ładną mowę dyplomatyczną, wreszcie – poseł łotewski Sēja, który zakończył przemówienie łotewskie kilku zdaniami po litewsku. Dużo wyrażono serdeczności, dużo – ładnych rzeczy o Łotwie, dużo uznania dla jej wodza narodowego obecnego Ulmanisa, dla armii łotewskiej, dla nowej polityki narodowej, którą pokierował Ulmanis od dnia przewrotu majowego w tym roku. Na samym wstępie chór „Dainy" wykonał hymny: „Lietuva, Tėvynė mūsų" i „Dievs sargi Latviju". Potem był dział koncertowy, na który się złożyły numery przeplatane śpiewu solistów łotewskich i litewskich, gry na fortepianie, na skrzypcach i na wiolonczeli. Program tego koncertu był nieco przeładowany. Miał być potem jeszcze po przerwie śpiew chóru (piosenki przeplatane litewskie i łotewskie), dalej kolacja zimna *à la fourchette* i tańce. Ale

już ja uciekłem. Musiałem bowiem pójść jeszcze na bal dwóch korporacji studentów prawników – męskiej korporacji „Justitia” i żeńskiej „Fideles Justitiae”, należących obie do związku „ateitininków”. Udałem się na ten bal, powitany hucznie aklamacją. Zabawiłem tam godzinkę, wypiłem herbaty, popatrzałem na tańce, pogawędziłem z członkami prezydium korporacji i związku, załatwiłem pewną rozmowę „rektorską”, którą wykonać miałem i o północy wróciłem po trudach reprezentacyjnych do domu.

Dziś byłem w sprawie fermentu wśród studentów w stosunku do prof. Stankiewicza – u ministra Lozoraitisa. Ale o tym powiem już jutro.

20 listopada, rok 1934, wtorek

Wieczorem miałem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Omówiłem działalność pierwszej przedsejmowej litewskiej „Valstybės Taryby” w zakresie materialnego prawa konstytucyjnego w ostatnim jej okresie przed zwołaniem Sejmu Ustawodawczego.

Na obiedzie byłem w „Metropolu” w kole Rotary-Clubu. Obecnych było aż trzech gości – minister Lozoraitis, sędzia Byla i adwokat Bułat. Referat kolejny wygłosił rotarzysta dr Karvelis na temat konsekwencji tzw. „autarchii” dal orientacji gospodarczej Litwy. Wskazywał na konieczność intensywnego uprzemysłowienia kraju w ramach istniejących możliwości jako jedyne wyjście, wymagające wyraźnego zwrotu w dotychczasowej polityce gospodarczej, która polegała na racjonalizacji produkcji rolnej na rzecz eksportu. Oponował mu rotarzysta Lapėnas, dyrektor „Maistasu”, który krytykował orientację przemysłową referenta i bronił tezy konserwatywnej utrzymania orientacji racjonalistyczno-rolniczej, kładąc nacisk na rozbudowę eksportu, która, acz trudna w obecnej międzynarodowej koniunkturze gospodarczej, jest, zdaniem jego, jednak możliwa i dotąd jeszcze nie wyczerpana.

Nawracam jeszcze do kwestii Stankiewicza. Wśród organizacji studenckich litewskich istnieje od niedawna wielka liczebnie o charakterze konfederacyjnym, aczkolwiek słabo skonsolidowana, organizacja związkowa wszystkich organizacji litewskich od narodowców do ludowców („varpasowców”) włącznie, do której nie należą tylko organizacje socjalistyczne i oczywiście mniejszościowe. Ta organizacja związkowa służy tylko do najogólniejszych spraw wspólnych i jest raczej organizacją kontaktu, niż jakiejś funkcji czynnej. Otóż sprawa Stankiewicza i ewentualnego reagowania młodzieży akademickiej litewskiej na fakt jego udziału w obronie Sassa, Neumanna i towarzyszy wypłynęła na forum tej organizacji związkowej. Na zebraniu tej organizacji, złożonym z delegatów grup skonfederowanych, w tygodniu ubiegłym uchwał w tym przedmiocie nie powzięto, bo zdania się rozstrzeliły. Odroczono rezolucję do następnego zebrania w tę środę – jutro. Wszakże prezes tej organizacji, upoważniony przez to zebranie czy też przez jego prezydium, zwrócił się do mnie, aby mi rzecz zreferować i wysłuchać moje uwagi. Dziękowałem mu za ten dowód zaufania i lojalizmu młodzieży wobec władzy akademickiej. Powiedziałem mu, że ponieważ sprawa ustosunkowania się młodzieży do tego faktu i ewentualne jej reagowania w tej lub innej formie może dotyczyć pozycji Litwy w stosunkach międzynarodowych, albowiem proces Sassa, Neumanna i towarzyszy jest głośny i Niemcy zeń robią wielki gwałt, a przeto też zwrócona jest na tę sprawę baczna uwaga innych czynników międzynarodowych, i ponieważ boję się, że jakieś nieobliczalne kroki młodzieży mogą w tym względzie Litwie zaszkodzić, więc poprzednio pomówię o tym poufnie z ministrem spraw zagranicznych Lozoraitisem. Jakoż wczoraj u Lozoraitisa w tej kwestii byłem i rozmawiałem.

21 listopada, rok 1934, środa

O południu po wykładzie poszedłem na posiedzenia zwołanej przez rektorat z inicjatywy zresztą prezydium obecnego sejmiku akademickiego komisji studenckiej do zaprojektowania reformy przedstawicielstwa akademickiego studentów (tegoż sejmiku – jego

struktury, funkcji i środków). Ta reforma jest kierowana ideą organizacji korporacyjnej przedstawicielstwa. Ja osobiście sprzyjam takiej właśnie przebudowie, wychodząc z założenia, że nasza społeczność studencka jest bardzo zróżniczkowana i wyrażająca się w bardzo skomplikowanej organizacji korporacyjnej. Z jednej strony, młodzież ta wyraża się tak w życiu akademickim, jak poza nim, przez te swoje organizacje, z drugiej natomiast – jej formalne przedstawicielstwo akademickie zbudowane jest na pierwiastku ściśle indywidualistycznym liczby mechanicznej głosów jednostkowych. Jest w tym dysonans. To właśnie wywołuje ferment licznych grup zorganizowanych i skutkuje upadek autorytetu sejmiku. Szereg organizacji zwłaszcza prawicowych bojkotuje sejmik i wybory. Zamiana budowy demokratyczno-indywidualistycznej przedstawicielstwa przez budowę socjokratyczno-korporacyjną, która stanowi też jedną z charakterystycznych tendencji współczesnych reformy państwa, znajduje posłuch szczególny wśród grup prawicowych i narodowych litewskich młodzieży, zjednywa się też do niej stopniowo młodzież katolicka (chrześcijańsko-demokratyczne – „ateitininkai"), nieufnie się do niej ustosunkowują ludowcy, natomiast wręcz wrodzy są jej socjaliści i wszystkie grupy skrajnie lewicowe, które są organizacyjnie słabsze i które cenią moment agitacyjny i demagogiczny w wyborach indywidualistycznych, a także grupy narodowo-mniejszościowe, w szczególności najsilniejsze z nich – Żydzi i Polacy. Mnie się jednak zdaje, że z wyjątkiem demokratów klasycznych, do których należą nasi tzw. „ludowcy", grupy socjalistyczne i lewicowe nie powinny być ideologicznie przeciwne takiej idei reformy, bo idea taka leży właśnie w samej istocie ich koncepcji społecznej. Ale przeszkadza to im sobie uświadomić ich interes konkretny w danej chwili i następnie uprzedzenie, płynące ze stwierdzenia, że koła akademickie prawicowe popierają tę reformę.

Na pierwsze zebranie komisji projektodawczej dzisiaj zebrali się delegaci prawie wszystkich organizacji studenckich, które były zaproszone do udziału w komisji. Podobno bojkotują komisję socjaliści. Ja przyszedłem na otwarcie komisji, zagaiłem zebranie, wyjaśniłem naturę i zadanie komisji, jej cele także – więc problem reformy. Po moim przemówieniu zagajającym oddałem przewodnictwo i zarazem kierownictwo komisji w ręce prorektora prof. Česnysa i sam się usunąłem. Bezpośrednio i osobiście w pracach komisji udziału brać nie będę.

22 listopada, rok 1934, czwartek

Byłem dziś u dr Gudowicza. Chce on jeszcze zbadać krew moją dla stwierdzenia, czy jej nie mam za mało i gdyby się tak okazało – zasilić krew żelazem. Skierował mię więc do laboratorium chemiczno-bakteriologicznego Leszczyńskiego, gdzie mi utoczą krwi z palca i dokonają analizy. Na ogół serce jest w stanie dobrym, waga – spadła. Ważąc się rankami na czczo nago w domu – ważę 83 kilogramy. Ważąc się zaś u doktora w ubraniu i obuwiu – ważyłem dziś 86 kilo.

Wracam do sprawy prof. Stankiewicza. Minister Lozoraitis bardzo mocno nastawał na tym, żeby za wszelką cenę przeciwdziałać jakiemukolwiek reagowaniu studentów na fakt podjęcia się przez Stankiewicza obrony uczestników spisku kłajpedzkiego. Nie tylko jakieś ekscesy w rodzaju tłuczenia szyb w oknach lub innych demonstracyjnych aktów gwałtu i nie tylko bojkot bierny wykładów Stankiewicza, ale nawet rezolucja protestu, uchwalona przez młodzież i zgłoszona do rektoratu – byłaby, zdaniem Lozoraitisa, zgoła szkodliwa i niebezpieczna dla Litwy. Ja osobiście sądziłem, że nie wchodząc w to, czy reagowanie na podjęcie się przez adwokata obrony jest w ogóle zasadniczo usprawiedliwione czy nie, sama rezolucja protestu może być dopuszczona jako kanalizująca ferment młodzieży i przeto stanowiąca w każdym razie mniejsze zło. Ale Lozoraitis stanowczo jest nawet tej reformie najłagodniejszej przeciwny. Powiada, że Kowno jest niewątpliwie pełne obserwatorów niemieckich, którzy we wszystkich kołach się kręcą, węszą i zbierają informacje. Żaden gest

nie ujdzie ich uwagi, zwłaszcza protest masowy w imieniu związku korporacji litewskiej. I każdy taki gest, każdy taki akt fermentu, protestu, odruchu – będzie natychmiast zakomunikowany do Niemiec, zadokumentowany w prasie niemieckiej, wyolbrzymiony i w tej postaci rozniesiony po całym świecie ze szkodą dla Litwy jako rzekomo akt presji na obrońców oskarżonych. Lozoraitis zapytuje, cóżby było, gdyby na skutek takiego reagowania Stankiewicz zrzekł się obrony: byłoby to jaskrawym dowodem, że presja została wywarta, że obrona ucierpiała. Gdyby – powiada Lozoraitis – poselstwo niemieckie, które organizuje obronę, było mądre, to opłacałoby mu się nawet skłonić poufnie obrońcę do wyrzeczenia się obrony i zapłacić mu za to dobrze, zdobywając tą drogą atut dowodu presji wywartej. Nie wchodząc w to, czy Stankiewicz dałby się do tego skłonić czy nie (osobiście jestem pewny, że nie), któż zaręczy, że poselstwo niemieckie nie będzie o tyle mądre i nie spróbuje tego. Niemcom niewątpliwie chodzi o to, żeby zdyskredytować przeciwnika politycznego, to znaczy Litwę i przedstawić rzecz w takim świetle, że to Litwa rzekomo nie szuka prawdy obiektywnej i nie sądzi oskarżonych, jeno używa formy sądowej dla aktu represji politycznej i że przeto rozprawa ta jest właściwie aktem terroru litewskiego. Wszystko, co by mogło takie wrażenie wytwarzać, jest dla Litwy ujemne. Litwa, zdaniem Lozoraitisa, nie ma potrzeby stosowania presji i nie ma powodu do obawy: śledztwo dostarczyło bogatego materiału dla oskarżenia i można suponować, że sąd winnych ujawni i ukarze. Tykać obrony nie trzeba. Jeżeli nawet protesty nie poskutkują zrzeczeniem się obrony, co byłoby najgorsze, to w każdym razie będzie Niemcom dany powód do mówienia, że obrona była pod presją moralną i że nie mogła przeto swobodnie i w całej zupełności swoja funkcję wykonać. Zakomunikowałem ten pogląd Lozoraititsa prezydium związku korporacji litewskich. Wczoraj miało być zebranie tego związku. Nie wiem, do jakich wniosków doszli, ale mam nadzieję, że motywy te poskutkowały i uspokoiły ruch młodzieży.

23 listopada, rok 1934, piątek

Obchodzono dziś 16 rocznicę armii litewskiej. Rocznicę obchodzono niezwykle uroczyście. Miasto było dekorowane, radio kowieńskie poświęcone wojskowości, nabożeństwo uroczyste w kościele garnizonowym (byłym soborze prawosławnym), oddziały wojska, defilujące po ulicach z pieśnią lub muzyką, odczyty stosowne, nominacje, awanse i odznaczenia wojskowych... Punktem zaś centralnym uroczystości była ceremonia pogrzebania na placu przed Muzeum Witolda Wielkiego pod pomnikiem ofiar walk o Niepodległość wśród grupy pięknych krzyżów litewskich – szczątków Nieznanego Żołnierza. Litwa dotąd Grobu Nieznanego Żołnierza nie miała. Teraz, jak inne kraje, mieć go będzie. Na ceremonii był Prezydent Smetona, wszyscy ministrowie uroczyście w cylindrach, korpus dyplomatyczny, generalicja, oficerowie, wysocy urzędnicy, profesura, wyższe duchowieństwo, korporacje akademickie, mnóstwo publiczności, sztandary, wianki... Ceremonii kościelnej dokonał arcybiskup Karewicz, który przed laty 16 błogosławił pierwsze oddziały ochotnicze tworzącego się wojska narodowego, idące na walkę. W asyście arcybiskupa Karewicza był też biskup obrządku wschodniego dla Rosjan – ksiądz prof. Bučys, wyglądający zupełnie jak archijerej prawosławny, obrosły broda długa i w „riasie" charakterystycznej z krzyżem bizantyjskim na piersiach – były przed laty dziesięciu rektor naszego uniwersytetu.

24 listopada, rok 1934, sobota

Przed obiadem byłem na otwarciu uroczystym szwedzkiej wystawy sztuki stosowanej w gmachu Muzeum Witolda Wielkiego. Otwarcie było bardzo uroczyste. Znowu, jak zwykle, obecna była cała elita towarzyska z całą dyplomacją włącznie. Przyjechał też Prezydent Smetona. Rozpoczęło się od długich mów. Przemawiał poseł szwedzki, którego mowę tłumaczył prof. Šalčius, potem – minister Tonkunas jako prezes komitetu wystawowego,

Marcin Yčas po angielsku, wreszcie krótko – Prezydent Smetona. W tej wielkiej asyście śmietanki towarzyskiej trudno było potem oglądać eksponaty, toteż zaraz po mowach wyszedłem; przyjdę obejrzeć innym razem.

Wieczorem zostałem znów wezwany na posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich. Tym razem komplet był zupełnie swoisty, że tak powiem – finansowo-sądowy; obecni byli: prezes ministrów Tubelis, minister sprawiedliwości Šiling, prezes Trybunału Ciplijewski, prokurator Trybunału Kalvaitis, prokurator Izby Apelacyjnej Valtys, sekretarz generalny Ministerium Sprawiedliwości Drewiński, urzędnik Ministerium Finansów Matukas, dyrektor Departamentu Politycznego w Ministerium Spraw Zagranicznych Urbšys, Mašalaitis i ja. Tym razem chodziło o rzecz taką. W czasie dokonywanej przez Ministerium Finansów rewizji instytucji kredytowych w Kłajpedzie wpadnięto na ślad nielegalnej organizacji kredytowej, prowadzącej w Kłajpedzie z ramienia banków niemieckich kredytowanie hipoteczne rolników-włościan w celu ich ujarzmienia politycznego na rzecz Niemiec. Ta nielegalna organizacja pod nazwą nieistniejącego i nie zarejestrowanego „banku agrarnego”, obsługiwana przez aparat jednego z legalnych niemieckich banków kłajpedzkich, finansowana z Niemiec, udzielała pożyczek hipotecznych rolnikom zaufanym i wiernym polityce niemieckiej w postaci pożyczek bezterminowych, trzymając ich przez to w ręku i mogąc dowolnie bądź nic od nich nie żądać, bądź ich szachować i zniszczyć przez zażądanie zwrotu pożyczki i zlicytowanie nieszczęsnego dłużnika. Był to środek silny do rozporządzenia ludźmi, zmuszonymi materialnie do posłuszeństwa. Korupcja ta prowadziła się na wielką skalę. Nie zostało jeszcze zbadane, jak i na czyje imię robiono operacje aktów hipotecznych. Wyłoni się z tego nowy proces karny o skandalicznym charakterze politycznym. Chodziło o omówienie zarządzeń w stosunku do gotówki, dokumentów i stosunków pieniężnych, powstałych z tej nielegalnej i zbrodniczej operacji kredytowej. Rzecz jest skomplikowana, bo kredytorami hipotecznymi z tytułu tych operacji są zapewne osoby trzecie w Niemczech, których tytuły kto wie, czy się dadzą wywłaszczyć w drodze konfiskaty karnej w procesie, który formalnie ich tyczyć nie będzie.

25 listopada, rok 1934, niedziela

Byłem rano na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Profesura naszego wydziału coraz to topnieje. Ze śmiercią w roku ubiegłym Kriščiukaitisa, w tym roku – Jaszczenki i ostatnio – Sokołowskiego oraz z ustąpieniem w roku ubiegłym Leonasa i w roku bieżącym – Mačysa – pozostało nas profesorów zwyczajnych na wydziale już tylko trzech: dziekan wydziału prof. Wacław Biržiška, ja i prof. Janulaitis. Przewidywane zaś jest od semestru jesiennego r. 1935 ze względu na upływający termin połączenia profesury z adwokaturą – ustąpienie profesora nadzwyczajnego Bielackina i docentów Stankiewicza, Kazimierza Szołkowskiego i Tumėnasa. Prawie nic się nie zostanie. Z sił nowych wykwalifikowani zupełnie są tylko dwaj prywat-docenci – Antoni Tamoszaitis i Kriwicki – obaj stanowiący siły niezłe, zwłaszcza dobra siła – Kriwicki, który z mojego ramienia do profesury się dostał. Inna młodzież – asystenci – to jeszcze żółtodzioby, chociaż wśród nich jest kilku wcale obiecujących młodzianów, jak zwłaszcza na sekcji prawniczej Konstanty Raczkowski i młody Jurgutis. Profesury i młodzieży sekcji ekonomicznej tu nie poruszam. Najtrudniejsza jest kwestia dwóch nieszczęsnych katedr prawa kłajpedzkiego – cywilnego i karnego. Cywilista Sokołowski – umarł, domniemani *in spe* zastępcy jego, których do tej katedry gotujemy – Olgierd Penkaitis i młody Čepas (notabene – pierwszy z nich – bardzo mało obiecujący) jeszcze dopiero studiują w Szwajcarii i tak prędko do pracy czynnej stanąć nie zdołają. Zaś katedra prawa kłajpedzkiego karnego wciąż dotąd wakuje. Kłajpedczyk Anisas, którego byliśmy wreszcie upatrzyli (ożenił się z córką inżyniera Bielskiego Wacława z Szawel i jego żony, która później go opuściła i połączyła się z Włodzimierzem Zubowym), odmówił przedstawienia pracy habilitacyjnej, bez której nie może tego stanowiska u nas objąć (zdaje

się zresztą, że strata jest niewielka). Wyznaczyliśmy dziś komisję do zaprojektowania obsady tych dwóch katedr.

Chwała Bogu – nikt w tych dniach nie umarł, żadnych osobliwych wypadków nie było, żadna rocznica ani żaden jubileusz, ani żadna inna uroczystość lub ceremonia szczególna też z niczyjej głowy na dzień dzisiejszy nie wystrzeliła, a nawet prof. Leonas, którego 70-letnią rocznicę urodzin miano dziś obchodzić, odmówił tego obchodu, wobec czego ta niedziela dzisiejsza jakoś szczęśliwie bez żadnych osobliwości upłynęła cicho, dając mi użyć spokoju.

26 listopada, rok 1934, poniedziałek

Dziś miałem dzień mocno zapełniony. Rano miałem wykład na I semestrze sekcji prawniczej. Po wykładzie – colloquium. Tu spotkałem Janulaitisa, z którym miałem rozmowę o różnych bolączkach naszej profesury wydziałowej i o pewnych szczegółach wydawnictwa drukującego się tomu II mojej ostatniej książki „Valstybė". Stamtąd poszedłem do rektoratu, gdzie mię odwiedzili dwaj profesorowie szwedzcy ze Sztokholmu, którzy tu przyjechali z okazji otwarcia wystawy szwedzkiej sztuki stosowanej i złożyli mi wizytę w towarzystwie posła szwedzkiego – ministra pełnomocnego p. Patrika de Renterswärd. Obaj profesorowie są członkami Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego w Sztokholmie. Podnieśli oni projekt założenia w uniwersytecie naszym lektoratu języka szwedzkiego, obsadzonego przez Szweda, a w przyszłości – rozwinięcie go może w katedrę języka, literatury i historii szwedzkiej i skandynawskiej. Są robione nadzieje, że Szwecja mogłaby się także przyczynić do wyposażenia uzupełniającego takiej instytucji. Myśl jest bardzo dobra i użyteczna. Podniosę ją w kołach akademickich i u rządu. Skądinąd Szwedzi sami ją też u rządu naszego poruszają. Mówili już o tym z ministrem spraw zagranicznych Lozoraitisem i ministrem oświaty Tonkunasem. Obaj ministrowie usposobieni są do tego życzliwie. Byłoby to bardzo dodatnim uzupełnieniem w kadrach sekcji filologicznej Wydziału Humanistycznego. Sekcja ta ma cztery grupy: romanistykę, germanistykę, slawistykę i lituanistykę (poza tym jest grupa piąta – klasyczna, obejmująca grekę i łacinę, i wreszcie jest zawiązek szóstej – semitologii, która, zdaje się, nie jest jeszcze zorganizowana). Grupa romanistyczna obejmuje gałąź francuską i włoską, natomiast nie ma w niej wcale gałęzi hiszpańskiej; grupa slawistyki obejmuje gałęzie polską i rosyjską, ale nie ma ani południowosłowiańskiej (bałkańskiej) ani, zdaje się, czeskiej, zaś germanistyka obejmuje gałęzie niemiecką i angielską, natomiast gałęzi skandynawskiej nie ma wcale, toteż ta propozycja Szwedów mogłaby uzupełnić tę lukę, zwłaszcza że Skandynawia jest nam geograficznie najbliższa i stosunki z nią mogłyby się rozwinąć z wielką użytecznością dla nas.

Z rektoratu o pierwszej pośpieszyłem do lokalu Trybunału Najwyższego na posiedzenie zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego, którego członkiem jestem. Prawie nigdy na tym zarządzie nie bywam, bo zawsze się tak trafia, że czasu nie mam. Ale tym razem śmiało mogłem nie pójść. Chodziło tylko o ceremoniał przyjęcia pewnego gościa, Łotysza, prokuratora z Libawy, który w końcu tego tygodnia przyjeżdża do Kowna i w sobotę będzie miał odczyt w Litewskim Towarzystwie Prawniczym o łotewskim kodeksie karnym.

Wracając z posiedzenia tego zarządu – udałem się do Mašalaitisa, który chciał się ze mną zobaczyć. Uczynił mi on propozycję urzędową przyjęcia nominacji na członka komisji egzaminacyjnej dla egzaminowania kandydatów na referendarzy sądowych w Kraju Kłąjpedzkim. Zgodziłem się. Niedawno dyrektorium Reizgysa te sprawę wreszcie unormowało. Dotąd kandydaci byli egzaminowani w Królewcu. Było to nielegalne, ale było tolerowane, a rządy dyrektoriów germanizatorskich praktyki tej zmienić chciały. Egzaminy więc te odbywały się za granica. Prezesem tej nowej komisji egzaminacyjnej będzie sędzia Trybunału Bruzdelinas, niedawno mianowany na te stanowisko w Sekcji Kłajpedzkiej Trybunału, członkami będą dwaj prawnicy kłajpedzcy Litwini – Tolišius i drugi, którego

nazwiska nie pamiętam, i dwaj z uniwersytetu – ja i prywat-docent Wydziału Prawniczego Antoni Ramošaitis.

27 listopada, rok 1934, wtorek

Wieczorem, jak co wtorek, miałem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Dopędziłem ten wykład do konstytucji tymczasowej z d. 10.VI.1920, uchwalonej prowizorycznie przez Sejm Ustawodawczy.

Nie zanotowałem wczoraj, że wieczorem w Gabinecie Ministrów odbyło się znowu zebranie komisji do spraw kłajpedzkich, w którym wzięli udział ministrowie Šiling i Lozoraitis, Drewiński, Urbšys, Mašalaitis, Tadeusza Pietkiewicz i ja. Tym razem na porządku dziennym znalazł się nasz dawny projekt ustawy o sądzie statutowym, odgrzebany z zapomnienia. Zdaje się, że tym razem projekt ten zostanie ostatecznie przez władzę przyjęty i nowa wybitna i śmiała instytucja sądowa ozdobi państwowość litewską, stanowiąc nie tylko nowy środek praworządny do normowania stosunków autonomicznych Kłajpedy z państwem, ale także znakomity precedens dla Litwy do normowania prawnego innych sfer stosunków publicznych w państwie.

Przejrzeliśmy i rozważyliśmy raz jeszcze ten projekt, poczyniliśmy w nim jeszcze kilka poprawek i na tym pracę skończyliśmy.

Na posiedzeniu tym, jakem mówił, obecny był także Tadeusz Pietkiewicz, który już od dłuższego czasu choruje, choć lekarze nie są w stanie określić, co mu jest. Ta choroba osobliwa trwa u niego już od miesięcy, a bodajże już od roku. Podobno miewa gorączkę i stan nerwów jest zły. Łatwo wpada w depresję, czasem płacze, to znów bywa zły, o byle co się rozdrażnia, nie panuje nad sobą, jest bliski furii lub rozpaczy. Powiadają, że jest zagrożony pomieszaniem zmysłów, inni mówią, że to histeria. Na uniwersytecie w przeszłym roku na wiosnę i w semestrze bieżącym nie pracuje wcale. Nie wykłada i nawet nie egzaminuje. Siedzi w domu, chodzi na spacer po Zielonej Górze. Ale gdy chodziło o jazdę do Genewy na sesję Ligi Narodów, na czym się dobrze zarabia, to przecież pojechał. Jest to człowiek niewątpliwie zdolny i niegłupi, ale chciwy, zazdrosny, bardzo ambitny, mściwy i zachłanny. Zdaje się też – intrygant. Na Lozoraitisa ma wpływ wielki. Z juryskonsulatu Ministerium Spraw Zagranicznych wygryzł w swoim czasie Janulaitisa, potem Robinzona. Sam nabiera niezliczoną ilość stanowisk dochodowych i znacznych, bo na pieniądze i znaczenie jest chciwy. Jest docentem na uniwersytecie, adwokatem, ma stanowisko rzeczoznawcy-współpracownika w Radzie Stanu, juryskonsultem Banku Ziemskiego i Ministerium Spraw Zagranicznych, członkiem komisji do spraw kłajpedzkich... Umie też – ewentualnie nawet wbrew woli ministra (jak to miało miejsce w r. 1933) – wścibić się do delegacji zagranicznej do Genewy, za poszczególne konsultacje prawne w Ministerium Spraw Zagranicznych, choć jest tamże juryskonsultem na pensji stałej, każe sobie słono płacić – i wszystko mu się udaje. Umie być wpływowym i wziętym. Šiling także bardzo się z nim liczy.

28 listopada, rok 1934, środa

Do rektoratu przyszli do mnie nasz dziekan Wydziału Prawniczego prof. Wacław Biržiška i prof. Janulaitis, stanowiący wraz ze mną komisję promocyjną. Rada Wydziału wybrała nas trzech do tej komisji dlatego, że my, jako mający najwyższy stopień profesora zwyczajnego, osobiście już w promocji nie możemy być zainteresowani, a więc dajemy formalną gwarancję bezstronności. Po pewnej wymianie zdań ustaliliśmy zaprojektować do promocji dwóch członków wydziału: profesora nadzwyczajnego Bielackina na profesora zwyczajnego i prywat-docenta Antoniego Tamošaitisa na docenta. Podnosiliśmy jeszcze kwestię promocji docentów Stankiewicza i Kazimierza Szołkowskiego. Ale promocja pierwszego z nich – Stankiewicza – jest w tej chwili nieaktualna, bo wobec podjęcia się przez niego obrony w procesie nacjonalsocjalistów kłajpedzkich osoba jego nabrała pewnego odium

tak dla młodzieży akademickiej, która skądinąd bardzo wysoko ceni jego wykłady, jak dla rządu, który mu promocji teraz nie udzieli; co zaś do Szołkowskiego, to zaczekamy jeszcze na opublikowanie jego pracy, którą wykonał w zakresie usystematyzowania zbioru nowel prawa cywilnego.

Dwie promocje, dawno przez wydział uchwalone, są dotąd zawieszone: są to promocje Šalčiusa i Rimki. Ministerium Oświaty zarzuca im pewne braki formalne w ich dyplomach. W stosunku do Rimki da się to, jak się zdaje, uporządkować w drodze nostryfikacji jego dyplomu frankfurckiego. W stosunku do Šalčiusa – nie wiem.

Wieczorem byłem z Jadzią i Andrzejem w kinie na komicznym filmie sowieckim, na którym się uśmiałem serdecznie.

29 listopada, rok 1934, czwartek

Byli u mnie Eugeniuszostwo Römerowie na obiedzie. Zosia Eugeniuszowa bawi teraz od paru tygodni w Kownie i portretuje różne osoby dla swojej wystawy obrazów, którą projektuje na wiosnę. Zosia ma już imię w świecie krajowej sztuki litewskiej. Chociaż jest Polką i za taką się zawsze podaje, to jednak bierze udział w wystawach litewskich i jest przez artystów litewskich dopuszczana do sztuki krajowej jako wybitna tejże przedstawicielka. I teraz oto zwrócono się do niej po jej akwaforty do grafiki litewskiej, która ma być eksponowana na wystawie w Koszycach w Czechosłowacji. Istotnie, talent Zosi jest wybitny i poza tym ma ona dobrą technikę. Szczególnie ładne są jej pastele. W zakresie portretów pastelowych jest artystką znakomitą. Mój portret jej roboty sprzed lat 10 jest jeden z najlepszych. Portretowała już wiele wybitnych osób ze społeczeństwa tak polskiego miejscowego, jak litewskiego, bo portrety takie osób znanych, ładnie wykonane, są zawsze atrakcją wystawy. Oprócz mnie portretowała przed kilku laty śp. Maironisa, śp. Tumasa, generała Plechowicza, teraz sportretowała ks. Dąbrowskiego-Jakštasa, p. inżynierową Vizborową. Zosia ma bardzo wyraźną żyłkę kupiecką, jest praktyczna i umie dawać sobie radę. Wie, co trzeba dać na wystawę i czym ludzi zjednać i publiczność wabić. W ogóle jej zdolności spekulacyjne, jej umiejętność wyrachowania, jej trzeźwość i praktyczność, jej zmysł interesu, odziedziczony po matce, pochodzącej z krakowskiej rodziny kupieckiej, dziwnie i przedoskonale się kojarzą z jej artyzmem. Nie ma w niej nic z charakterystycznej cyganerii artystycznej. Jest wielka równowaga, zupełne opanowanie siebie, spostrzegawczość trzeźwa, charakter na wskroś zimny, pewien zmysł humoru, ciekawość, pewna wścibskość, upodobanie do wygody, umiejętność wyzyskiwania ludzi i wykorzystywania usług cudzych. Już to teściową będzie niemiłą dla przyszłych zięciów i synowych. Ale żoną dla Gienia jest nienajgorszą, choć mam wrażenie, że zakochaną w nim wcale nie jest. Obrazy Zosi – portreciki i inne – są też w galerii Czurlanisa. W ogóle uznanie ma w społeczeństwie litewskim i w sztuce krajowej znaczne. Ceni to ona i lubi, ale też istotnie wartość i zasługę artystyczną ma.

30 listopada, rok 1934, piątek

Dziś o godzinie szóstej wieczorem w sali uniwersyteckiej miał miejsce mój odczyt publiczny pod egidą Instytutu Nauk Społecznych („Socialinių Mokslų Institutas“) prof. Izydora Tamošaitisa. „Instytut” ten, o którego założeniu w swoim czasie, przed rokiem lub więcej pisałem, ma tendencje faszystowskie wyraźnie zarysowane. Skupia się w nim, pod przewodnictwem prof. Izydora Tamošaitisa, garstka młodych „doktorów” lub „doktorantów”, interesujących się zagadnieniami społecznymi i pretendujących do nauki, a zazdroszczących profesurze uniwersyteckiej, do której szeregów nie są w stanie się dostać, choć bardzo by tego pragnęli, toteż się za to na profesurę gniewają (wśród nich jest Tomkus, Juodeika, Kalvaitis i kilku innych, uważających się za gwiazdy i bardzo ambitnych). „Instytut” prof. Tamošaitisa urządza sporadycznie odczyty na tematy społeczno-naukowe w pewnym przeważnie

oświetleniu faszystowskim i antydemokratycznym lub antyliberalnym. Stara się powiązać te odczyty w pewne cykle, w pewne grupy, łącząc je w „tygodnie" społeczne. Faszystą nie jestem i nie chcę mieć tej marki, choć faszyzmem się interesuję i w ruchu tym, zwłaszcza w jego klasycznej formie włoskiej, pewne dodatnie wartości społeczne dostrzegam. Dlatego też, unikając marki faszystowskiej, bardzo się w akcję tego „Instytutu" nie wdawałem i nie wdaję oraz wycofałem się w roku ubiegłym z jego zarządu, do którego byłem wybrany. Ale odczyt im w roku przeszłym obiecałem. Zwlekałem i nie wygłosiłem go w roku akademickim ubiegłym, chociaż pod wiosnę tekst odczytu opracowałem. Teraz z długu tego się uiściłem. Mój odczyt może mieć tytuł: „Społeczne pochodzenie prawa" albo równie dobrze: „Odrodzenie idei prawa naturalnego". Sala była pełna; oczywiście przeważali studenci, zwabieni imieniem rektorskim. Jednak mam wrażenie, że efekt był niezbyt wielki, choć naturalnie oklaskiwano. Boję się, że odczyt był zbyt naukowy, może nieco za ciężki, a dosyć długi. Nie bardzo rad z niego jestem, chociaż naukową wartość ma, ułożony jest dobrze i ukazać się ma w druku w „Vairasie" prof. Izydora Tamošaitisa. Do pomniejszenia efektu odczytu (takie jest przynajmniej osobiste wrażenie moje) przyczyniło się może to, że dużo jest w nim długich i skomplikowanych okresów w budowie myśli i że rękopis, pisany przeze mnie ubiegłej zimy, jest mało czytelny, toteż sam miejscami odcyfrować słów nie bardzo mogłem i gubiłem się w konstrukcji zdań przy czytaniu. W roku ubiegłym byłem ciężko chory, męczyła mię wtedy ciągła senność, toteż nawet pisząc pracę naukową wpadałem w drzemkę i wtedy pióro wykonywało różne ruchy i mazało tekst pisany. I w ogóle pismo moje z ubiegłego roku było dziwnie zmienione, zdrobniałe, jakieś dorywcze – zgoła nieczytelne. Teraz – zupełnie co innego.

1 grudnia, rok 1934, sobota

Znowu rekordowy dzień – raczej wieczór. Od godz. szóstej wieczorem, gdym wyszedł z domu, ubrany w smoking, latałem i kręciłem się jak fryga do godz. trzeciej w nocy, kiedy wreszcie wróciłem do domu. Miałem przez ten czas do odbycia: seminarium prawa konstytucyjnego na uniwersytecie, ogólne zebranie odczytowe w Towarzystwie Prawniczym, kolację zbiorową prawników na rzecz gościa – prelegenta z Łotwy, i dwa bale studenckie. W Towarzystwie Prawniczym odczyt wygłosił Łotysz p. Udris, prokurator sądu okręgowego z Libawy. Referował o nowym kodeksie karnym łotewskim, osnutym na działającym poprzednio (obowiązującym także u nas) kodeksie karnym rosyjskim z roku 1903, wprowadzonym przez Niemców za czasów okupacji. Nowy kodeks karny łotewski jest właściwie zreformowanym kodeksem z roku 1903. Referent prokurator Udris wygłosił odczyt po rosyjsku. Wreszcie gdy się zapytania wyczerpały – mowę konkluzyjną wygłosił prezes Towarzystwa Prawników prof. Stankiewicz. Mówił także po rosyjsku, chociaż mowa jego była zwrócona nie tyle do prelegenta, ile do zebranych. Mówił o trudnościach kodyfikacji, przytaczał przykłady kodyfikacji karnej w Rosji carskiej i w Niemczech, uwydatniał zasługi kodyfikatora łotewskiego. Była to mowa konkluzyjna *ex praesidio*. W grupie osób, siedzących w pierwszym rzędzie koło mnie – burmistrz Merkys, prezes Trybunału Ciplijewski, członek Rady Stanu Papečkys, prokurator Sądu Apelacyjnego Valtis – zaczęto szeptać, że Stankiewicz robi niewłaściwie przemawiając jako prezes po rosyjsku w całej mowie swojej i że należałoby mu przemówić po litewsku. Będąc tego samego zdania – podzieliłem się tą informacją z siedzącym obok mnie z drugiej strony wiceprezesem Trybunału Čepasem. Čepas zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia, wreszcie wstał i, przerywając Stankiewicza, poprosił go o przemawianie po litewsku. Stankiewicz, trochę stropiony, wskazał po litewsku, że przemawia po rosyjsku ze względu na gościa, który po litewsku nie rozumie, wobec czego uważa swoje zachowanie się za właściwe i dokończy mowy po rosyjsku. Tak też jej niebawem dokończył. Interwencja Čepasa wytworzyła przykry incydent, który zapewne znajdzie w poniedziałek odgłos w prasie narodowej litewskiej.

Biedny Stankiewicz – trochę mi go szkoda. Jest już on na indeksie ze względu na obronę, której się podjął w procesie Sassa, Neumanna i towarzyszy. Ten incydent może go jeszcze bardziej podkopać. W tym wypadku wszakże nie działał on w złej wierze. Choć to było niewłaściwe w naszych warunkach politycznych odseparowania się od Rosji i w czynnej u nas atmosferze państwa narodowego, ale Stankiewicz, wychowany w innych ideach i w innej atmosferze – w liberalizmie rewolucyjno-demokratycznej inteligencji rosyjskiej – nie orientuje się wcale i nie umie odczuwać tej idei państwa narodowego litewskiego oraz tego specyficznego momentu odporności przeciwko czynnikowi rosyjskiemu, który u nas jest żywy i konkretny.

Po zebraniu w Towarzystwie Prawniczym pośpieszyłem na bal korporacji studentek „Rimtis" kierunku ludowców w sali „Varpasa". Tam zabawiłem przyjemnie godzinkę na rozmowie z korporantkami i szeregiem gości, wśród których byli profesorowie Lašas, Augustaitis i Rimka, p. dr-owa Gudowiczowa z córką, moją bardzo miłą słuchaczką tegoroczną, moja studentka p. Mackiewiczowa, wychowanka Michała Ślażewicza, pani Nowicka i wielu innych, z którymi gawędziłem. Stamtąd znów poszedłem do Metropolu na kolację prawników w gabinecie „Trzech Książąt", wydaną na rzecz gościa p. Udrisa. W kolacji brało udział ze 20 osób. Były mowy. Przemawiał sędzia Trybunału Grigaitis w imieniu nieobecnego ministra Šilinga, prezes Towarzystwa Prawniczego prof. Stankiewicz, prof. Bielackin w imieniu adwokatury, burmistrz Merkys, prokurator Rauten humorystycznie. Po litewsku przemawiali tylko Litwini właściwi – Grigaitis i Merkys. Potem humorysta Rauten, lubiący podpić, wygadywał różne facecje i bawił towarzysko – trochę może za drastycznie. Do mnie Rauten czuje sentyment szczególny i zasypuje mię komplementami, natomiast czepia się nieznośnie i dokucza Stankiewiczowi i Bielackinowi. Stankiewicz był bez humoru.

Z kolacji tej, gdym się z niej wreszcie wyrwać zdołał, poszedłem jeszcze na bal korporacji medyków „Fraternitas Lithuanica" do „Karininkų Ramovė".

2 grudnia, rok 1934, niedziela

Mój artykuł, który był zatytułowany „Śmierć, Pomorze i Wilno" i w którym streściłem moją tezę, bronioną przeze mnie na pogadance z Wilnianami w „Metropolu" w październiku, już się w „Przeglądzie Wileńskim" okazał. Wiedziałem o tym od Ludwika Abramowicza z listu jego, choć samego numeru „Przeglądu" nie otrzymałem. Ludwik zmienił tylko zatytułowanie artykułu, usuwając słowo „Śmierć"; pozostało więc „Pomorze i Wilno". Artykuł zwrócił na siebie uwagę Wilnian i w ogóle Polaków litewskich. Ważniejsze wyciągi z artykułu podał „Kurier Wileński" Okulicza, tutaj też w kołach kierowniczych polskich w Kownie, w redakcji „Dnia Kowieńskiego", wśród kierowników opinii i polityki polskiej lokalnej o artykule tym dużo się mówi i komentuje go; wiem o tym od Eugeniusza Römera. Zasadnicza myśl artykułu o solidaryzmie bałtyckim Polski i Litwy jest na ogół w sferach Polaków litewskich przyjmowana z uznaniem, zastrzeżenie są czynione tylko w stosunku do moich tez o Wilnie i o drogach realizowania się solidaryzmu. Wreszcie w omawianie mego artykułu i poniekąd w polemikę ze mną wdał się p. Ostrowski, kierownik polskiego działu spraw litewskich w radio wileńskim, który nie odznacza się zbytnim zrozumieniem spraw litewskich i sympatią do akcji litewsko-państwowej, broniąc zawsze tez Piłsudskiego i pokrewnej jego ideom polityki. P. Ostrowski w swoim referacie radiowym nie szczędzi mi osobiście słów uznania, a nawet słów pochlebnych, o artykule moim wyraża się zasadniczo z aprobatą, zapowiada rezerwy, które poczyni następnym razem (we wtorek), dodaje od siebie panegiry polityki państwowej polskiej, w której upatruje rzekomą obronę historycznej koncepcji bałtyckiej, którą ja kładę w podstawie mojej tezy solidaryzmu, chociaż skądinąd relację tej polityki polskiej fałszuje, bo zaiste trudno jest pojąć, czym się mogą przyczynić do solidaryzmu bałtyckiego takie akty tej polityki, jak zabór Wilna, usiłowanie wytworzenia

„Freistadtu” w Kłajpedzie, układ z Niemcami hitlerowskimi i germanofilska polityka Becka. Że p. Ostrowski, dla którego bynajmniej wielkiego szacunku nie żywię i którego obłudnym argumentacjom politycznym, usiłującym przewrócić kota w worku nogami do góry, nie sprzyjam, polemizuje ze mną, to mię tak bardzo nie wzrusza. Nawet gdyby mię łajał – to by mię obchodziło mało. Ale w jego enuncjacji radiowej, której tekst zastenografowany i przetłumaczony na litewski przysłał mi Andrzej Rondomański, znalazłem parę ustępów dość niewyraźnych, co do których doznałem wrażenia, że relacja o moim stanowisku jest nieco sfałszowana. Czytając pochwały dla mnie i uznania dla pewnych zasad mojej tezy, doznałem wrażenia, że Ostrowski podsuwa mi twierdzenie, jakobym za sprawców rozdarcia kraju miał nie Polaków litewskich z Piłsudskim na czele, którzy oderwali Wilno od Litwy, ale Litwinów narodowych, którzy przez ruch narodowy litewski „separatystyczny” oderwali Litwę od Polski i jakobym dostrzegał jakiś taki związek Kłajpedy z Pomorzem, który może być interpretowany na rzecz przyznania Polsce jakichś tytułów do Kłajpedy, a przez nią i do Litwy. Chciałem więc prosić Rondomańskiego, który przez radio kowieńskie polemizuje zwykle z Ostrowskim, aby sprostował to twierdzenie Ostrowskiego i postawił kropki na i. Ale Rondomański i prof. Žemaitis nie odnieśli tego, co ja, wrażenia z twierdzeń Ostrowskiego, toteż dałem temu spokój. Žemaitis uważa za pożądane, abym ten mój artykuł z „Przeglądu Wileńskiego” przedrukował po litewsku w „Lietuvos Aidas”.

3 grudnia, rok 1934, poniedziałek

Nic szczególnego do zanotowania. Oczywiście znalazłoby się, ale czasu nie ma.

4 grudnia, rok 1934, wtorek

Na wykładzie prawa konstytucyjnego litewskiego dokończyłem dziś analizy konstytucji tymczasowej Sejmu Ustawodawczego z d. 10.VI.1920.

Na dzisiejszym obiedzie „Rotary-Clubu” mieliśmy kilku gości, wśród których jednego znakomitego. Jest nim głośny śpiewak operowy rosyjski sławy światowej (bas) – wielki Szalapin. Szalapin, który mieszka z rodziną w Paryżu, jeździ i występuje po całej Europie i Ameryce. Jest to dziś człowiek niesłychanie bogaty, pobierający oczywiście wspaniałe, może nawet bajeczne honoraria – zwłaszcza w Ameryce. Otóż Szalapin zamierza teraz kupić majątek ziemski – w Litwie. Dlaczego wybrał małą Litwę? Oczywiście w ojczyźnie swojej, w Rosji sowieckiej, gdzie własność ziemska nie istnieje, zrobić tego nie może. Litwa, która należała niedawno do Rosji, jest dlań bliska. Łotwy nie lubi, Polska jest dlań bardziej obca. Do Litwy i Litwinów czuje sympatię, której dał dziś wyraz w przemówieniu swoim na obiedzie klubu. Wyraził swoje uczucia gorące dla małego, spokojnego ludu, który chce być wolny i który jest cichy, chce żyć nikomu nie mącąc wody, wszakże otoczony jest przez wielkich sąsiadów wojowniczych, pragnących mu coś wyrwać lub wręcz go ujarzmić. Szalapin oświadczył, że jego sympatia dla Litwy jest tak wielka, że gdyby któryś z jej wielkich sąsiadów napadł, to on, Szalapin, nie tylko teraz, ale nawet za lat 20, kiedy będzie starcem 80-letnim, chwyci za broń, jaka wtedy będzie w użyciu, aby bronić małego spokojnego narodu litewskiego, choćby wypadło głowę w obronie tej położyć. Oczywiście odpowiedziano mu gorącym oklaskiem. Zakończył przemówienie okrzykiem na cześć sympatycznego i dobrego prezydenta dobrego narodu litewskiego. W rozmowach prywatnych na obiedzie Szalapin mówił, że ustrój sowiecki i to, co się w Sowietach robi, to jest dziwaczne i niepoważne, ale o Niemczech współczesnych Hitlera wyraził się, że to jest straszne („это страшно”). Sentymantalny Szalapin wcale nie jest. Ma gest szeroki i zachowanie się człowieka obytego, który przywykł być wszędzie przyjmowany i traktowany jako wielki. Łatwy jest, śmieje się dużo i głośno, czuje się i porusza swobodnie. Powiadają, że jest wielkim kobieciarzem. Inni goście dzisiejsi „Rotary Clubu” to znakomitości niższego

gatunku, lokalne: prof. Bielackin, redaktor Keliuotis, ktoś jeszcze z Kiejdan... Referatu nie było żadnego ze względu na Szalapina.

5 grudnia, rok 1934, środa

W Kłajpedzie nowina: przed kilku dniami ogłoszono o dymisji litewskiego dyrektorium Reizgysa, która została przez gubernatora Navakasa przyjęta, a dziś ogłoszono o utworzeniu nowego dyrektorium Bruvelaitisa. Bruvelaitis, nowy prezes dyrektorium, to znaczy krajowego rządu autonomicznego, jest Litwinem-narodowcem, członkiem frakcji litewskiej w sejmiku. Jego nowe dyrektorium składa się z czterech osób, mianowicie z niego, z Litwina Anysasa i dwóch członków niemieckiej partii Landwirtschaftspartei – wprawdzie osobiście Litwinów, ale, jak bardzo wielu, a nawet jak większość rolników Litwinów w tym kraju, będących orientacji politycznej niemieckiej, co już widać z tego, że należą oni do Landwirtschaftspartei. Ponieważ dwa miejsca na cztery w tym dyrektorium należą do Litwinów kierunku narodowego, zaś głos przewodniczącego, którym jest Litwin, w razie równego podziału głosów przeważa, więc przewaga litewska jest w dyrektorium zapewniona. Z kombinacji tej widać jednak, że nastąpił zwrot w kierunku ugodowym. Że na to poszedł rząd litewski – temu się nie dziwię, bo oczywiście chodziło tu o przejednanie zaniepokojonych sygnatariuszy i uspokojenia Francji, której wpływom obecnie chętnie polityka litewska ulega i która pragnie widzieć dowody złagodzenia zatargu kłajpedzkiego ze strony litewskiej, aby mieć więcej argumentów do odparcia nacisku Anglii, usiłującej skarżyć Litwę i brać w obronę rzekomo pogwałcone przez Litwę interesy niemieckie w Kłajpedzie. Ale niespodzianką jest dla mnie zwrot ugodowy Landwirtschaftspartei w przeddzień rozpoczęcia wielkiego procesu Sassa, Neumanna i towarzyszy i wtedy, kiedy Niemcy z całą energią bezwzględną atakują Litwę w prasie, przez radio wobec sygnatariuszy i opinii całego świata i oblewają Litwę brudami oszczerstwa, fałszu i złości. Dziwnie, że w tak zaognionej sytuacji Landwirtschaftspartei, która była zajadle i konsekwentnie niemiecka i walczyła namiętnie z akcją litewską, a sama w konfliktach ostatnich ucierpiała, i do której przeniknęły już głęboko prądy fermentu „nacjonal-socjalistycznego” (hitlerowskiego), zdecydowała się na zwrot ugodowy. Jest to coś nowego i nieoczekiwanego. Ciekaw byłbym wiedzieć, jakie ustępstwa na rzecz tej ugody poczynili Litwini. Oczywiście warunkiem ugody ze strony niemieckiej było poświęcenie na jej rzecz Dyrektorium Reizgysa, znienawidzonego przez Niemców i symbolizującego dla nich całą radykalną akcję dotychczasową gubernatora Navakasa, ale bardzo zasłużonego sprawie litewskiej. Chciałbym się zobaczyć ze Starkusem i zasięgnąć u niego języka w tej kwestii ugody.

6 grudnia, rok 1934, czwartek

Byłem z Jadzią u doktora. Dr Gudowicz tym razem znalazł, że znów mi objętość serca trochę się zwiększyła, choć skądinąd waga jest dobra: rano nagi ważę 83 kilo, u doktora w ubraniu – 86 kilo. Analiza krwi wykazała u mnie trochę za małą ilość kulek czerwonych, na których zwiększanie doktor mi przepisał żelazo. Zabronił też jeść wieczorem, zalecając za to jeść rano i nakazał zmniejszyć ilość wypalanych dziennie papierosów. Za tydzień ma mi jeszcze raz zastrzyknąć „salyrgan”.

Wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Posiedzenie było długie – trwało od siódmej do godz. dziesiątej. Porządek dzienny był obfity, przeważnie – różne sprawy bieżące.

W tych dniach Ostrowski z radia wileńskiego do spraw litewskich dokończył relacji a raczej polemiki z moim artykułem w „Przeglądzie Wileńskim”. Oczywiście wszystko to, co w tym artykule piszę o solidaryzmie bałtyckim na rzecz porozumienia polsko-litewskiego, Ostrowski obraca na młyn polityki polskiej, usiłując dowodzić, że była ona właśnie zawsze konsekwentnie przez ten solidaryzm inspirowana. To, co ja zarzucam Polsce w stosunku do

Litwy jako właśnie sprzeczne z tym solidaryzmem – zabór Wilna, usiłowanie ujarzmienia Litwy, potem usiłowanie ujęcia jej w kleszcze od zachodu przez forsowanie „Freistadtu" w Kłajpedzie, Ostrowski tłumaczy właśnie polityką bałtycką, skierowaną do oddzielenia Wschodu od Zachodu. Na mój zarzut polskiej ugody z Niemcami hitlerowskimi – nie odpowiada wcale. Zaś moją tezę, że wydzieranie sobie wzajem ziem przez kraje bałtyckie jest grzechem przeciwko sobie, którą ja skierowałem do oderwania gwałtem Wilna od Litwy, Ostrowski zwraca do usiłowania Litwy odzyskania Wilna od Polski, co uważa skądinąd za mrzonkę jałową i za zamach na zasadę wolnego samookreślenia ludów. Zaiste próżne są pogadanki z tymi, którzy sami dokonali rozdarcia Litwy. Niech wpierw oni wymrą.

7 grudnia, rok 1934, piątek

Dr Gudowicz powiedział nam z Jadzią wczoraj, że dla zdrowia mego zamierza mię w roku przyszłym – 1935 – wysłać latem w góry, abym gdzieś pomieszkał na wysokości 700-800 metrów. Rozrzedzone powietrze górskie ma być dla mnie dodatnie. Doktor wspomniał o Zakopanem lub jakiejś innej miejscowości na podobnym poziomie. Gdyby do tego przyszło – wolałbym pojechać gdzieś na przykład do Tyrolu Włoskiego, w okolice Meranu albo do Szwajcarii, albo znów gdzieś w Pireneje w kraj Basków. Naturalnie pojechałbym tylko z Jadzią. Cała rzecz – czy znajdę na to środki, bo to wycieczka na ogół kosztowna. Bez trzech, a może do czterech tysięcy litów się nie obejdzie. Skąd ich wziąć? Mam parę tysięcy zaoszczędzonych, może do tysiąca jeszcze odłożę z honorarium za książkę „Valstybė", choć już na te pieniądze czyha całe mnóstwo należności i wypłat grubych, które tak pochłaniają tę oczekiwaną sumkę, jak słońce wiosenne pochłania śniegi. Ale może i będzie coś z tego. W razie konieczności dopożyczę.

Egzaminowałem dziś studentów. Pod wieczór wezwany zostałem przez Mašalaitisa na posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich. W posiedzeniu wzięli udział członkowie komisji Mašalaitis, ja i Urbšys (który w komisji zastąpił ministra Lozoraitisa) i z poza komisji – Zygmunt Starkus. Chodziło o omówienie konstrukcji, zaprojektowanej przez Ministerium Spraw Wewnętrznych ustawy o pozwoleniach na broń i o handlu materiałami wybuchowymi. Chodziło właśnie o to, aby ta konstrukcja umożliwiła rozciągnięcie ustawy na Kraj Kłajpedzki bez pogwałcenia statutu autonomicznego.

Przy tej sposobności dowiedziałem się o sytuacji w Kłajpedzie w związku z utworzeniem kompromisowego dyrektorium Bruvelaitisa. Ugody formalnej z partią Landwirtschaftspartei nie było. Partia ta formalnie w ogóle nie istnieje. Została ona rozwiązana w związku ze stłumieniem ruchu nacjonal-socjalistycznego w Kłajpedzie, do którego ona akcedowała. Pozostała tylko frakcja „Landwirschaftspartei" w sejmiku, złożona z członków tegoż, wchodzących do tej frakcji, którym mandaty nie zostały odebrane. Ci członkowie – są to ludzie lokalni, Litwini z urodzenia, nie inteligenci. Bruvelaitis porozumiał się z nimi osobiście i uzyskał ich zgodę na udział w dyrektorium kompromisowym. Przywódcy dawni partii – Dressler i Gubba – nic o tej ugodzie nie wiedzieli i jej swej sankcji bynajmniej nie dali. Sfery kierownicze dawnej Landwirtschaftspartei są wrogo usposobione do tej ugody, opinia publiczna w Niemczech traktuje ugodę tę jako zdradę i stacje radiowe niemieckie trąbią na alarm i wywierają presję na rzecz stłumienia ugody i wściekle napadają na ugodowców. Volkspartei też agituje przeciwko ugodzie. Czy ugoda się utrzyma wobec nagonki niemieckiej – trudno mieć pewność. Sejmik ma być zwołany 13 grudnia. Czy do tego czasu kompromis dotrwa i nowe dyrektorium kompromisowe Bruvelaitisa zwycięży – to jeszcze kwestia, ale ewentualne zwycięstwo umocniłoby bardzo ugodę i mogłoby stworzyć nową linię w ruchu politycznym Kłajpedy.

8 grudnia, rok 1934, sobota

Dzień świąteczny. Pracowałem w domu. Na miasto wyszedłem tylko pod wieczór – odwiedziłem Jana Vileišisa, który przebył dosyć ciężką operację.

Dziś prawdziwy dzień głodowy u mnie. Dotąd w „dni mleczne” powstrzymywałem się od jedzenia, pijąc szklankę mleka (bez chleba ani żadnego innego dodatku) na śniadanie, szklankę mleka na obiad i szklankę herbaty z miodem na podwieczorek – tak do wieczora, wieczorem za to wypijałem jeszcze jedną szklankę mleka i jadłem coś z mięsa zimnego lub wędliny z chlebem, umiarkowanie wprawdzie, ale bądź co bądź niezupełnie głodno. Teraz wszakże jest gorzej. Doktor ograniczył spożycie płynów do trzech szklanek dziennie (ewentualnie do dwóch szklanek mleka albo herbaty i jednego talerza zupy) i zabronił jeść wieczorem oprócz kawałka chleba z masłem albo z serem, albo z miodem. Musi się to więc stosować i do dni „mlecznych”. Toteż dziś wypiłem rano na śniadanie szklankę mleka, na obiad – szklankę mleka, o godz. szóstej wieczorem – szklankę herbaty z miodem, o godz. ósmej – jedno jajko na miękko i jeden kawałek czarnego chleba. Głodno.

Umarł śp. Rozenbaum (przepraszam – przyjęto mówić: bł. p.), przed wojną – znany adwokat miński i działacz społeczny w Mińsku, za okupacji niemieckiej mieszkał w Wilnie, wziął udział z ramienia mniejszości żydowskiej w pracy państwowej litewskiej, był ministrem bez teki do spraw żydowskich i liderem Żydów w kraju, miał kontakt z Ministerium Spraw Zagranicznych, miał, zdaje się, ochotę dostać się do uniwersytetu na katedrę prawa konstytucyjnego, którą ja dziś zajmuję, ale to mu się nie udało; potem wyjechał do Palestyny i objął stanowisko konsula generalnego litewskiego. Umarł w Tel-Avivie w wieku lat 75.

9 grudnia, rok 1934, niedziela

Dziś po obiedzie o godz. czwartej odbyła się na uniwersytecie w sali aktowej publiczna uroczystość akademicka, poświęcona śp. prof. Kazimierzowi Budze w 10 rocznicę jego śmierci. W ubiegłą niedzielę rocznica ta była obchodzona w Dusiatach, skąd rodem był Buga. Wydział Humanistyczny, z którego inicjatywy uroczystość dzisiejsza była urządzona, prosił, aby odbyła się ona pod egidą uniwersytetu jako takiego, na co się chętnie przez wzgląd na wybitną wagę naukową Bugi zgodziłem. Musiałem przeto oczywiście sam przewodniczyć i wygłosić słowo wstępne. Nikt z wielkich figur spoza uniwersytetu (z wyjątkiem jedynego, zdaje się, generała Nagiewicza) na uroczystość nie przybył. Prezydent Smetona się wymówił, minister oświaty Tonkunas się nie stawił. Za to bardzo licznie stawiła się profesura wszystkich wydziałów, albowiem po uroczystości publicznej wyznaczone było krótkie niepubliczne posiedzenie wielkiej Rady Uniwersyteckiej. Za stołem prezydialnym zasiadałem w centrum ja w asyście obu pp. prorektorów, sekretarza i dziekanów wydziałów (senat). Po moim przemówieniu wstępnym referaty o prof. Budze wygłosili jego następcy i uczniowie – profesorowie Salys i Skardžius, następnie od imienia młodzieży akademickiej przemawiał student Popławski, prezes akademickiego stowarzyszenia wydziałowego humanistów, wreszcie ostatni przemawiał z zakresu swych wspomnień osobistych o Budze dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Wincenty Krėvė-Mickiewicz.

10 grudnia, rok 1934, poniedziałek

Dziś poświęciłem dzień przeważnie domowi. Oczywiście byłem rano na wykładzie, odbyłem colloquium, urzędowałem w rektoracie, ale już wieczorem na ciekawy skądinąd referat burmistrza Merkysa o problemie reformy administracyjnej w Litwie, urządzony z ramienia „Instytutu Nauk Społecznych“, nie poszedłem. Siedziałem w domu z Jadźką, która jutro wyjeżdża już ze swą wychowanką Renią na święta do Bohdaniszek, osierocając nas z Andrzejem na tydzień. Chodziłem z Jadźką na miasto, załatwiałem sprawunki, obstalowałem sobie szczenię z Niemiec – małą rasową psinkę newfoundlandkę, która mię będzie kosztowała przeszło 200 litów. Szczenię mi przyślą wprost do Abel, skąd ją do Bohdaniszek zabiorę.

Pośredniczy kupiec Kagan. Nazwę psinkę zapewne: Jesia, może: Jura, a może zresztą: Danga albo jeszcze inaczej.

11 grudnia, rok 1934, wtorek

Rano wyjechała do Bohdaniszek Jadźka. Smutno i nudno w domu bez niej. Dziwna pustka opanowuje mieszkanie, gdy jej nie ma. Kobieta – to prawdziwa dusza domu, jego ognisko, które roztacza ciepło i wesele, nadaje ruch i tworzy życie wewnętrzne. A Jadźka moja ma tego cieplika kobiecego bardzo dużo. Przecie i przy niej jestem w domu przeważnie zajęty moją pracą samotną u biurka, a przecie samotności się nie wyczuwa. Jest ona – przechodzi z pokoju do pokoju, czasem przysiądzie u mnie, czasem przechodząc słówko serdeczne powie, to znów się uściśniemy, głos jej i krzątaninę słyszę, czuję ją nawet, gdy siedzi cicho zapracowana lub leży i czyta gazety albo nawet śpi, nawet gdy wyjdzie z domu, ale wiem, że niebawem powróci. Przy obiedzie, przy kolacji, przy śniadaniu siedzimy razem, przekomarzamy się lub ona się przekomarza z Andrzejem albo ja dowcipy stroję. Serdeczna jest, troszczy się o mnie, chce mię mieć dłużej przy sobie, wojuje o to, czasem się gniewa i gderze mię albo złości się na Renię, na Andrzeja, na Karutię. I jest dobrze. Dyscyplinuje mię, walczy o wczesne kładzenie się moje. A gorąca jest w pracy, aż się pali. Temperament ma skupiony i głęboki. Tak, to moja perła i ozdoba mojej starości. Słodycz moja i pieprzyk, i dom.

Wieczorem miałem mój tygodniowy wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Omawiałem działalność konstytucyjną Sejmu Ustawodawczego przed ogłoszeniem pierwszej stałej konstytucji państwowej.

12 grudnia, rok 1934, środa

Otrzymałem wezwanie na godz. piątej po południu na posiedzenie do Rady Stanu („Valstybės Taryby”). Formalnie pozostałem tytularnym tzw. biegłym-współpracownikiem („žinovas-bendradarbis”) Rady Stanu, ale faktycznie ze względu na moje funkcje rektorskie, które mi nie dają czasu na pracę w Radzie Stanu, już od listopada roku 1933 w niej nie pracuję i honorarium nie pobieram. Do zaproszenia był załączony odpis ułożonych niegdyś przez Tadeusza Pietkiewicza i przeze mnie motywów do tych przepisów ustawy o sądownictwie z r. 1933, które dotyczą sądownictwa w stosunku do Kłajpedy. Sądziłem, że na zebraniu dzisiejszym będzie chodziło o przejrzenie ponowne tych motywów dla jakichś celów polityki kłajpedzkiej. Okazało się, że nie o to chodzi. Posiedzenie zwołane zostało w związku z wielkim procesem kłajpedzkim Sassa, Neumanna i towarzyszy, który się rozpocznie w Sądzie Wojennym już pojutrze.

Posiedzenie było dość liczne. Przewodniczył prezes Rady Stanu minister Šiling. Wielki stół sali posiedzeń Rady Stanu obsiedli prawnicy. Obecni byli: wiceprezes Rady Stanu Bolesław Masiulis, członkowie Rady Stanu Papečkys i Pikčilingas, referent Rady Stanu prof. Kriwicki, sekretarz generalny Ministerium Sprawiedliwości Drewiński, prokurator Trybunału Kalvaitis, prokurator Izby Apelacyjnej Valtis, prokurator Sądu Wojennego gen. Vimer, podprokurator Mąstowicz, pod którego dozorem było prowadzone śledztwo w sprawie i który jest przydzielony do oskarżenia w sprawie, adwokaci Michał Ślażewicz i Zygmunt Toliušis, którzy zastępują powodów cywilnych w sprawie, ale są umówieni i płatni przez rząd dla zasilenia oskarżenia, i wreszcie naczelnik kancelarii Gabinetu Ministrów i przewodniczący naszej komisji do spraw kłajpedzkich Mašalaitis.

Posiedzenie było zwołane przez Šilinga. Chodziło o to, że obrona przypuszczalnie zgłosi ekscepcję niewłaściwości Sądu Wojennego i będzie może usiłowała dowodzić, że w myśl przepisów statutu autonomicznego Kłajpedy sprawa należy do sądów autonomicznych kłajpedzkich. Otóż ze względu na wielki rozgłos polityczny tej sprawy i na usiłowanie Niemców wyzyskania każdego epizodu procesu przeciwko Litwie chodziło Šilingowi o to,

aby prokuratura i powództwo cywilne były dobrze zorientowane co do argumentów na odparcie motywów tej ewentualnej ekscepcji obrony. Posiedzenie wszakże było krótkie, bo ja, Ślażewicz, Kalvaitis, Vimer i Kriwicki udowodniliśmy, że nie zajdzie wcale potrzeba zastanawiania się nad tym, co miałoby być, gdyby Sąd Wojenny był niewłaściwy i zapuszczanie się w dociekania, czy w takim wypadku sprawa należałaby do właściwości sądów ogólnopaństwowych czy też autonomicznych, co by zaprowadziło kwestię na teren sporny, w którym opinia litewska i opinia sygnatariuszy niezupełnie są uzgodnione. Wystarczy prokuraturze, powództwu cywilnemu i sądowi stwierdzić, że sprawa należy niewątpliwie do właściwości Sądu Wojennego, wobec czego jest obojętną kwestia właściwości sądów ogólnych. Po pewnych debatach ogólnie przyjęta została teza moja.

13 grudnia, rok 1934, czwartek

Gdybym miał czas – napisałbym o dzisiejszym posiedzeniu rektoratu, złożonym ze mnie, obu prorektorów i sekretarza prof. Purėnasa. Ale czasu nie mam. Postaram się uczynić to jutro.

14 grudnia, rok 1934, piątek

Rano był u mnie dr Gudowicz, który mi znowu po dłuższej przerwie zastrzyknął „porcję” salyrganu. Środek ten wciąż działa na mnie cudownie i pędzi mocz jak z wiadra. Szczególnie do godz. czwartej po południu było to coś w rodzaju ulewy. Byłem podobny do ciężkiej chmury, z której coraz to leje deszcz. Co pół godziny lub co godzinę czułem gwałtowny popęd do wylewania ze siebie uryny, której od dziewiątej rano do czwartej po południu wydałem 1 ½ litra.

Napiszę nieco o wczorajszym naszym posiedzeniu rektoratu, który zwołałem dla omówienia kilku kwestii aktualnych – ze względu na mój niebawem wyjazd i na to, że posiedzenie senatu do stycznia się nie przewiduje. Najaktualniejsza i najtrudniejsza jest kwestia przedstawicielstwa studenckiego. Komisja opiniodawcza, złożona z przedstawicieli różnych grup zorganizowanych młodzieży akademickiej, która miała zaprojektować wnioski co do reformy przedstawicielstwa, nie dała żadnych rezultatów pozytywnych. W najgłówniejszej zasadniczej kwestii samej organizacji sejmiku opinia młodzieży w tej komisji się rozdwoiła. Część, złożona z narodowców i bezpartyjnych organizacji narodowych, jak tzw. „Samburis” i korporacja oficerów rezerwy, wypowiedziała się kategorycznie na rzecz reformy, opartej na delegowaniu przedstawicieli mandatowych przez korporacje. Część druga – niewątpliwie liczniejsza, bo na jej czele stoi najsilniejszy liczebnie i organizacyjnie Związek młodzieży katolickiej „ateitininków”, i złożona poza tym z ludowców „Varpasu”, socjalistów i mniejszości narodowych – wypowiedziała się przeciwko reformie w tej kwestii, zastrzegając zachowanie organizacji obecnej sejmiku, opartej na masowym i indywidualistycznym głosowaniu powszechnym. Co prawda „ateitininki” oświadczyli, że gdyby senat akademicki zreformował organizację sejmiku, oni się podporządkują decyzji lojalnie. Ale prawica na oświadczenie takie się nie zdobyła, zachowując swoją tezę kategoryczną i podobnie też zachowała się lewica – zwłaszcza socjaliści. Ludowcy jako kompromis zaproponowali zarządzenie w tej kwestii plebiscytu (referendum) w całej masie młodzieży akademickiej, co byłoby najfatalniejsze, bo, po pierwsze, rozpętałoby agitację i namiętności polityczne i nie dałoby żadnego kompromisu, przeciwnie – pogłębiłoby rozdźwięk i rozłam, a w rezultacie nie przekonałoby bynajmniej tej strony, która by w referendum przegrała. W każdym przeto razie – tak czy inaczej zorganizowane – przedstawicielstwo nie objęłoby całej młodzieży i nie byłoby ogólnoakademickim.

15 grudnia, rok 1934, sobota

Wczoraj i dzisiaj udzieliłem się Żydom. Jako rektor – głowa całej społeczności akademickiej – chcę obdzielić łaskawością rektorską wszystkie grupy młodzieży studenckiej, tak ideologiczne, jak narodowe. Aby wszystkie one poczuły w „Alma Mater" swoją wielką Ojczyznę akademicką, w której dla wszystkich jest dosyć miejsca i na wszystkich serca wystarczy. Oczywiście nie wyłączam z tego wspólnictwa Żydów, których lubię zresztą i którzy są nieszczęśliwi, bo wszędzie i zawsze czują się upośledzeni, zepchnięci na szary koniec. Nadarzyła się właśnie teraz okazja – 10-lecie najstarszej korporacji akademickiej żydowskiej – „Veterii". Kiedyś, przed laty siedmiu, byłem już raz na uroczystości tejże korporacji. Teraz jej 10-lecie, duży wypadek w życiu korporacji naszego młodego uniwersytetu, który sam liczy zaledwie niespełna lat 13. Zaprosił mię na tę uroczystość członek „Veterii", mój sympatyczny i uzdolniony były uczeń uniwersytecki sprzed lat kilku – prawnik i zarazem uczeń konserwatorium. Uroczystość jest złożona. Składa się na nią posiedzenie uroczyste korporacji z udziałem filistrów i gości, które się odbyło wczoraj z kolacją dla elity, następnie wielki obiad całej korporacji z filistrami i gośćmi honorowymi dzisiaj i wreszcie dziś wieczorem – bal. Oprócz tego, wydana została jednodniówka okazyjna po żydowsku. Dałem kilka słów serdecznych do jednodniówki, które zostały wydrukowane w niej po litewsku z portretem moim i oprócz tego wziąłem udział w kolacyjce wczorajszej i byłem dziś na wielkim obiedzie korporacyjnym. Wziąłem też naturalnie udział we wczorajszym posiedzeniu uroczystym, gdzie odczytałem krótkie pozdrowienie od imienia uniwersytetu. Wszystkie te uroczystości odbywały się w lokalu domu „ateitininków". W posiedzeniu wczorajszym z Litwinów byłem ja jeden i jedyny też dziś na obiedzie. Z profesury obecni byli profesorowie Żydzi – Bielackin, Szapiro. Były też ze sztandarami delegacje innych korporacji żydowskich i delegacje dwóch starszych skonfederowanych z „Veterią" korporacji żydowskich – jednej z Rygi („Vetulia") i drugiej z Dorpatu (Tartu), której nazwy nie pamiętam. Posiedzenie było ceremonialne, bardzo uroczyste. Naturalnie byłem w prezydium honorowym i w ogóle otaczano mię honorem i serdecznością wielką, bo Żydzi są bardzo wrażliwi na dowody sympatii i bardzo wdzięczni. Przemówienia na posiedzeniu były przeważnie hebrajskie, ale sporo też było w żargonie „jidisch", na obiedzie – wyłącznie „jidisch" – poza litewskimi przemówieniami i zwrotami do mnie, po rosyjsku zaś przemawiał Bielackin. Obiad był wspaniały, pełny specjałów kuchni żydowskiej, wykonany przez restauratora Rozmaryna – znaną firmą konserw mięsnych i rybnych, pełny też temperamentu, ochoty, życia i wesela. Dużo przemawiano, śpiewano, bawiono się gorąco. Miałem wcale miłą przygodę na tym obiedzie. Zwróciłem uwagę na ładną i bardzo ciekawą młodą Żydóweczkę blondynkę o czarnych oczach, podmalowaną, palącą, pełną ognia i ruchu jak żywe srebro, poruszającą się jak fryga wśród swoich sąsiadów studentów i wybuchowo reagującą łapkami, ruchami całego ciałka, wyrazem twarzy – na wrażenie rozmowy, śpiewu, mów i dowcipów. Zwierzyłem się z mego zainteresowania Aronowskiemu, który jej przesłał kartkę o tym. Zaczęliśmy się spotykać wzrokiem i oto niebawem, podniecona przez sąsiadów, wstała i zbliżyła się do mnie, wyraziłem jej moje uznanie dla jej sympatycznych ruchów i zachowania się, a gdyśmy tak rozmawiali – mój sąsiad Bielackin zwrócił uwagę publiczną na piękny zespół nauki i młodości w parze naszej. Pod oklaski całej sali ucałowałem jej delikatną, pachnącą od manikiuru rączkę. Odeszła. Ale sąsiedzi zaczęli się przekomarzać, że ona się nie odważyła, a ja nie skorzystałem ze sposobności. Wtedy ona gestem zdecydowanym, rozbawiona, znów wstała i podeszła do mnie do pocałunku, który jej w kącik usteczek słodko wymierzyłem. Oklaski nas ogłuszyły. Niebawem Bielackin wyszedł i opróżnił miejsce przy mnie, na które ona usiadła. W wesołej rozmowie zwróciłem jej uwagę na drugą piękność w pobliżu – kontrast mojej blondynki Merkusówny – brunetkę pikantną i subtelną o spojrzeniu ognistym, jak Rachel z „Wesela". Wnet i brunetka usiadła z drugiej strony mojej i tak w otoczeniu bezpośrednim tych dwóch pięknych młodych Żydówek kończyłem obiad wesoło i radośnie. Blondynka się nachylała bliziutko do mnie, odurzając

mię pachnącym oddechem jak goździk, brunetki nogi były tuż przy moich, a jej ręka obnażona ocierała się o moją rękę. Był to obiad rozkoszny – uczta z dwóch kobiet w atmosferze, która się stała zmysłowa, jak zmysłowi są Żydzi. Ale wreszcie zakończyć musiałem obiad nieprzewidzianą mową serdeczną do zebranych i śpieszyć musiałem z wielkim opóźnieniem na seminarium z kwiatkami od moich dziewcząt w pętlicy. Młodzież żydowska, rozochocona i wdzięczna, gorąca w swej sympatii serdecznej dla mnie, wyniosła mię na rękach z sali, a moje dwie panny odprowadziły mię aż do szatni u wyjścia.

16 grudnia, rok 1934, niedziela

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Poza tym byłem po obiedzie z Andrzejem w kino na filmie sowieckim, miałem wizytę Diskina i pracowałem w domu. Służącą Karutię i Andrzeja wysłałem do teatru. Niebawem – za dwa dni – wyjeżdżam do Bohdaniszek.

Nie dokończyłem pisać pozawczoraj o uchwale rektoratu w sprawie przedstawicielstwa akademickiego studentów. Jakem mówił – komisja studencka żadnych rezultatów pozytywnych nie dała i nic zgoła nie zaprojektowała. Przeciwnie – ujaskrawiła rozłam, istniejący w tej kwestii wśród młodzieży akademickiej. Mogliśmy li tylko stwierdzić, że czy to sejmik utworzony zostanie w drodze wyborów powszechnych, jak dotąd, czy też utworzony będzie w drodze delegowania przedstawicieli mandatowych przez organizacje – w obydwóch wypadkach ten lub inny znaczny odłam młodzieży będzie go bojkotował i udziału w nim nie weźmie. W obydwóch przeto ewentualnościach przedstawicielstwo ogólnoakademickie zrealizowane nie będzie. Jakież więc zająć wobec tego stanowisko? Prorektor Jodelė postawił wniosek radykalny i logiczny: skoro nie ma sposobu utworzyć przedstawicielstwo – trzeba się go wyrzec po prostu – innej rady nie ma. Funkcje ekonomiczne, których by się taka instytucja podjąć mogła, przejdą do organizacji poszczególnych; inne – odpadną. Pozostaje jedyna funkcja reprezentowania studenterii litewskiej na zewnątrz – w stosunkach ze studenterią innych krajów, zwłaszcza w studenckiej organizacji bałtyckiej „SELL", łączącej młodzież akademicką Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii; tę funkcję można przekazać istniejącej organizacji konfederacyjnej wszystkich stowarzyszeń i korporacji litewskich, która u nas od roku już istnieje i do której należą wszystkie grupy nawet do socjalistów litewskich włącznie. Organizacje socjalistyczne młodzieży akademickiej, istniejące u nas – „Žaizdras" i „Aušrininkai" – są bowiem także litewskie; jedyna tylko organizacja komunistyczna była narodowo mieszana, ale ta legalnie już nie istnieje. Że reprezentowanie zagraniczne młodzieży krajowej litewskiej będzie w ręku młodzieży narodowej litewskiej, bez udziału mniejszości narodowych, to nic zdrożnego nie będzie. Faktycznie tak by zawsze było, a że tak będzie też formalnie – to tylko dlatego, że ogólnego przedstawicielstwa stworzyć niepodobna. Prorektor Česnys i ja musieliśmy przyznać, że wniosek Jodeli jest najracjonalniejszy. Zrobiliśmy tylko tę poprawkę, że przedstawicielstwo ogólne nie kasuje się, lecz zawiesza jeno. Purėnas, który jest socjalnym demokratą, usiłował przemawiać na rzecz referendum, zaprojektowanego przez organizację ludowców, ale myśmy stwierdzili, że referendum jeszcze bardziej by zaogniło sprawę i nie doprowadziło stron powaśnionych do pojednania i przyjęcia uchwał referendum, a zresztą grupy zorganizowane już się wypowiedziały i dla nich referendum jest zbyteczne. Większość rektoratu przyjęła wniosek prorektora Jodeli, ale to jeszcze uchwały nie stanowi, bo decyzję poweźmie senat akademicki, my zaś tylko referować będziemy sprawę w senacie. Nastąpi to już po Nowym Roku.

17 grudnia, rok 1934, poniedziałek

Nic szczególnego do zanotowania nie mam. Kończę załatwianie spraw bieżących – jutro wyjeżdżam do Bohdaniszek. Jedzie ze mną Andrzej Mieczkowski, jedzie Karutia. Tęskno mi już do Jadźki.

Ósma rocznica przewrotu grudniowego z roku 1926. Niektóre domy udekorowane flagami. Zdaje się, że tym razem rząd wielkich uroczystości nie robił. Nie było wielkich uroczystości demonstracyjnych rządu w obliczu wojska. Może wpłynął na to ten fakt, że tego roku latem wojsko było przedsięwzięło nowy zamach stanu, który spalił na panewce. Ochłodziło to entuzjazm porozumienia, istniejącego między rządem a wojskiem. Prezydent Smetona został, zdaje się, popularny, jak był, ale rząd Tubelisa zbyt popularny w wojsku już nie jest. Są ukryte strumyki „Voldemarasowe" w wojsku i wśród narodowców. A może na zaniechanie uroczystości grudniowych wpłynęła sprawa Sassa, Neumanna i towarzyszy, która się toczy w Sądzie Wojennym, budząc uwagę świata. Jest duży zjazd korespondentów zagranicznych, świadków, oskarżonych; nastrój jest utrzymywany spokoju i rozwagi poważnej.

Młodzież akademicka narodowa urządziła jednak obchód uroczysty rocznicy 17 grudnia w gmachu „Neo-Lithuanii". Sztandary, barwy, prezydium prezesów korporacji narodowych, przemówienia ostre i wojownicze. Dostało się w nich i uniwersytetowi; nawoływano do oczyszczenia atmosfery narodowej na uniwersytecie, robiono aluzje i wycieczki przeciwko autonomii akademickiej, wołano, że uniwersytet czeka jeszcze na swój 17-sty grudnia. O co im pod tym względem chodzi – sami bodaj że nie bardzo rozumieją.

18 grudnia, rok 1934, wtorek

Cały dzień spędziłem jeszcze w Kownie. Rano załatwiałem różne interesy przedwyjazdowe na mieście, między innymi – wysłałem przez Bank Komercyjny pieniądze na imię Kotuni na rzecz wypłacenia pensji miesięcznej po 150 złotych polskich mojej córce Celinie, która, upokorzywszy się wreszcie, prosiła mię o to listownie (przed dwoma laty, gdym jej proponował po 300 złotych miesięcznie, nie raczyła nawet odpisać, jeno jej matka, Regina, odpisała mi w odpowiedzi list impertynencki, odrzucający z oburzeniem ten datek, jako „śmiesznie" mały). Miałem też sporo interesów w rektoracie do załatwienia przed wyjazdem; musiałem dać pewne zlecenia prorektorowi Česnysowi, musiałem w pewnych kwestiach porozumieć się z dziekanem Wydziału Humanistycznego, prof. Krėvė-Mickiewiczem, pomówić z prezydium Wydziału Technicznego w osobach dziekana Grynkiewicza i sekretarza Moszyńskiego w sprawie pewnych zarzutów opieszałości naukowej profesorów wydziału, o czym mi minister oświaty Tonkunas zakomunikował. Na obiad Rotary-Clubu nie poszedłem. Po obiedzie chodziłem jeszcze na miasto do fryzjera i po pewne drobne sprawunki do Bohdaniszek.

Wieczorem pojechaliśmy z Andrzejem Mieczkowski i służącą Karutią Merkisówną na dworzec kolejowy i o godzinie dziesiątej z minutami odjechaliśmy. Odprowadził mię na dworzec mój asystent uniwersytecki Konstanty Raczkowski, który przed kilku dniami wrócił ze studiów z Rzymu i zacznie pełnić swoje obowiązki asystenta. Jadę w wagonie sypialnym klasy III.

19 grudnia, rok 1934, środa

Przyjechałem o godzinie piątej rano do Abel. W wagonie sypialnym spałem dobrze, choć krótko, bo tylko od północy do godziny czwartej rano. Ale czułem się wypoczęty, bo teraz śpię dobrze i mam sen posilny. Gdy sobie przypominam, jak sypiałem w czasie mojej choroby – w roku ubiegłym, szczególnie na przykład w drodze, w wagonie, i porównuję z tym, jak śpię teraz, to coś jest tak, jak ziemia do nieba. Szczególnie teraz, gdy z wieczora nic nie jadam i kładę się z pustym radykalnie żołądkiem, śpię znakomicie i smacznie. Trochę mię

apetyt męczy z wieczora, bo lubiłem jadać właśnie wieczorem, a nie, jak teraz, rano, ale na zdrowie, na serce moje – to działa znakomicie.

W Abelach spotkała mię kochana Jadźka, która naturalnie dla mnie nie pożałowała fatygi wstać w nocy i jechać nad ranem w mróz i wiatr na stację. Przyjechała w bryczce parą koni z parobkiem Bieliunasem. Druga furmanka jednokonna z parobkiem Dainisem przyszła po rzeczy. Do tej furmanki zabrali się Andrzej z Karutią, ja zaś z Jadzią – w bryczce. Wiatr mieliśmy ostry i mroźny, przenikający ciepłe ubranie i chłodzący do kości. O świcie przyjechaliśmy do Bohdaniszek. Kazimierz zafundował nam smacznej kawki, której dawno nie piłem, a Jadźka poczęstowała mię doskonałym czarnym chlebem razowym, litewskim ragainem pszennym i wyborną szynką wędzoną baranią jej własnej roboty z października. Po śniadaniu przeszedłem się z Jadźką po gospodarce – zajrzałem do mego nowego ptasznika wzorowego, do świń, z których jedna oprosiła się przed kilku dniami, do koni, do obory wreszcie, w której stwierdziłem doskonały wygląd mojego buhaja-finna, krów, zwłaszcza cielic i cieląt, co wszystko zawdzięcza się staranności gospodarczej bynajmniej nie ochmistrzyni, ale ekonoma Pumpola. Ochmistrzynię Żukowską odprawiam – jest do niczego.

U Mieczkowskich – młócą. Zaszedłem do nich do starego domu. Maryni nie ma – bawi u córki w Warszawie. Jej mąż – Justyn Budkiewicz – pojechał dziś do Rakiszek do młyna. U Mieczkowskich – to samo. Elwira ze Sefanem w ciągłej kłótni, dokuczają sobie wzajemnie, gryzą się i są na noże. Helcia Mieczkowska konserwuje się w domu w nudach samotnej i głuchej powszedniości, Michaś wyrósł i już zakrawa na kawalera; ma długi czarny włos, pod nosem mu już czernieją wąsiki, wyraźniejsze niż u Andrzeja. Bawi też u Mieczkowskich jedna z panien Koziełłówien, córka Pawełka z Użukrewnia, korepetytorka Michasia.

20 grudnia, rok 1934, czwartek

Śniegu nie ma, mrozik kilkustopniowy, wiatr ostry, ziemia radykalnie zmarzła, gruda wielka. Pochmurno, dni ciemne, rano prawie do dziesiątej ciemnawo, po pierwszej już zaczyna powoli zapadać zmrok. Przedzimie. Zapewne lada dzień można się spodziewać śniegu.

Idealna za to jest na stawach ślizgawka. Lód tęgi i czysty. Gładki doskonale. Toteż Renia Bogdanówna, której Jadzia zafundowała łyżwy, co dzień debiutuje na sadzawce przed domem moim. Już się nauczyła utrzymywać nieco na łyżwach i po trochę się ślizga, choć jeszcze pada często. Na wielkiej sadzawce dworskiej upędza się na łyżwach Michaś Mieczkowski. A o zmroku na tejże sadzawce roi się od dzieci i chłopców z wioski.

Byłem z Jadźką na spacerze pieszym w Gaju.

Zresztą nic osobliwego nie zaszło dzisiaj. Mój stary Kazimierz Jankowski utyskuje na zdrowie i jest bez humoru. Ma zgryzoty z synową, która się z nim procesuje o jakieś pieniądze za jej konia posagowego i o dom w zaścianku Kazimierza, postawiony rzekomo przez jej zmarłego męża Barnabę, co jest nieprawdą, bo Barnaba tylko mieszkał i gospodarzył u ojca, ale nie był samodzielnym gospodarzem. Kazimierz sił już nie ma, bardzo stary – ma lat koło 74.

21 grudnia, rok 1934, piątek

Dzień taki sam, jak poprzednie. Jadźka z matką i ogrodnikiem Narbutem pojechała do Rakiszek po sprawunki na święta – zwłaszcza na kucję i na choinkę dla dzieci parobczanych. Wróciła o zmroku. Ja zaś chodziłem na spacer do Gaju, byłem też w starym domu u Elwiry, która ma gorączkę i leży. W Bohdaniszkach pracuję dużo. Z Kowna nabrałem na święta sporo roboty. Mam tu ułożyć kilka odczytów zamówionych – dla stowarzyszenia studentów Kłajpedczyków, raczej na urządzany przez nich obchód rocznicy czy to powstania kłajpedzkiego, czy wcielenia Klajpedy do Litwy, dla Mariampola, dla związku stowarzyszeń akademickich litewskich, poza tym ułożyć parę mów – na uroczyste posiedzenie uniwersytetu

w dniu 16 lutego i na święto studenckie w dniu 15 lutego, spróbować ułożyć artykuł o p. Felicji Bortkiewiczowej do zaprojektowanego wydawnictwa zbiorowego, poświęconego jej osobie i jej działalności z okazji jej jakiejś rocznicy osobistej, ewentualnie parę innych artykułów, referacik dla Rotary-Clubu. Są to dość nudne drobne prace do odrobienia, których nie bardzo lubię, bo uciążliwe jest zawsze zaczynanie czegoś od początku i na krótką metę. Poza tym mam różne drobne prace porządkowe – korespondencje bieżące, dziennik codzienny, porządkowanie rejestrów studenckich słuchaczy moich, dokończenie czytania zeszłorocznych prac konkursowych studenckich, uzupełnienie i klasyfikacja notatek z książek do mojej przyszłej pracy, kontynuującej kurs całkowity prawa konstytucyjnego, wreszcie klasyfikowanie mojego archiwum zwłaszcza listów i – lektura bieżąca. Zaś poza i ponad to wszystko – wielka praca nad układaniem fundamentalnym wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, z których wyłoni się nowa książka moja na rok przyszły. Pracuję w moim pokoju sypialnym – środkowym, bo na górze w gabinecie moim zimno.

22 grudnia, rok 1934, sobota

Dzień taki sam, jak poprzednio. Chodziłem z ogrodnikiem Narbutem, który zimą pełni u mnie obowiązki leśnika, do Gaju. Wyznaczyłem drzewo do wyrębu na zapas bieżący drew. Drzewa wyznaczałem dokoła pasieki karwieliskiej i w środku Gaju pod granicą lasu Jadzi, gdzie już od paru lat wyrąbuję po trochę las pod pasiekę i pod nowy młodniak (na lewo od drogi środkowej przez las). Jadzia w kuchni gospodarzyła, przyrządzając różne ciasta i pierniki na święta i kucję.

Do dziennika dużo materiału tu nie mam. O ile więc czas i ochota pozwoli – zanotuję to i owo ze spraw i kłopotów uniwersyteckich oraz rektorskich. Będą to *varia* – ot tak, drobiazgi. Na początek wspomnę o Wydziale Technicznym. Wydział ten nie jest u nas najlepszy. Jest kilku profesorów dzielnych, pracowitych i zdolnych, ale sporo się też nabrało różnych fachowców-techników, ludzi wyłącznie praktyki, którzy do nauki ścisłej ani pociągu, ani kwalifikacji wybitniejszych nie mają. Są to inżynierowie, służbiści różnych gałęzi technicznych w zarządach państwowych, ludzie zebrani przygodni. Nie mówię już o tym, że technika w Kownie nie może stać zbyt wysoko, bo nie ma przemysłu wielkiego, fabryk, maszyn, urządzeń technicznych na wielką skalę. Pod tym względem odpowiedniejszym miejscem dla wyższej uczelni technicznej – Politechniki – byłaby Kłajpeda. Dawniej dziekanem Wydziału Technicznego był prof. Jodelė, wprawdzie nie orzeł, nie nazbyt wybitny uczony, ale bądź co bądź człowiek, mający czucie wiedzy w swojej specjalności, rozważny, taktowny, pracowity, usiłujący utrzymać poziom naukowy pracy. Po nim, gdy Jodelė został po raz pierwszy prorektorem w roku 1927, na dziekana był wybrany prof. Wasilewski, dobry człowieczek, trochę głuchy, bardzo poczciwy i pracowity, pracownik naukowy ceniony. Sekretarzem wydziału był młody prof. Kołupajło, dzielny, energiczny, uspołeczniony, mający żyłkę ambicji i entuzjazmu naukowego, jeden z najlepszych na wydziale. Ale w tym roku szara masa bezbarwna profesury wydziałowej, ta karierowiczowska i bezpłodna, naukowo impotentna, obaliła rządy Wasilewskiego i Kołupajłę i wysunęła na czoło wydziału jednego z najniedołężniejszych miernot tej profesury – prof. Grynkiewicza, człowieka małostkowego, obraźliwego, samolubnego, naukowe zero kompletne, któryby się nadawał najwyżej na nauczyciela jakiejś średniej szkoły technicznej, upartego, zazdrosnego, który polotu nie ma żadnego, ceni tylko miernoty i dla nich jest dogodny, zna i dogadza ambicyjkom, tłumi wszystko, co żywe i co stanowi ruch i pracę twórczą. Zresztą człowiek to bez energii, bez idei, bez woli sprężystej, choć uparty i drobiazgowy. Na sekretarza zaś wydziału wybrano prof. Moszyńskiego, zdolnego wprawdzie, ale też małostkowego, snoba, zajętego sobą i pogrążonego w ambicyjkach i intryżkach. No tak, dopiszę jutro.

23 grudnia, rok 1934, niedziela

Biała szadź pokryła drzewa i łąki. Ładnie wyglądają drzewa w tym ubraniu białym, uwydatniającym ich kształty. Widok jest dekoracyjny. Ale wolałbym śnieg, którego doczekać się nie można. Na kucję zostaliśmy bez świeżej ryby. Miano ją nam dzisiaj z jeziora Sart przynieść, aleśmy się jej nie doczekali. Zresztą niewielka strata: są konserwy, są doskonałe śledzie, zamarynowane przez Jadźkę, jest węgorz. Barszcz z uszkami grzybowymi, śliżyki tradycyjne, kompot, kisielek, groch i pszenica pieczona, piwo domowe, wino, którego butelkę z zapasów moich odżałuję, i wódka – dopełnią reszty. Do kucji jutrzejszej przygotowania są w pełni.

Jeszcze o Wydziale Technicznym na uniwersytecie. W jesieni powstał ten zatarg profesury ze studenterią. Rada Wydziału, wbrew opozycji kilku profesorów z Kołupajłą na czele, za inicjatywą nowego prezydium wydziału uchwaliła wykreślić z dyplomów tytuł inżyniera „dyplomowanego“. Młodzież zaoponowała, zaczęła się burzyć, organizować bojkot egzaminów dyplomowych, prac konkursowych, nawet wykładów profesorów, którzy przyczynili się do wykreślenia przymiotnika „dyplomowany“ w tytule inżyniera. Ferment zaczął się rozrastać, rząd poparł młodzież, ja interweniowałem także i Rada Wydziału cofnęła swoją decyzję. Nie przyczyniło się to do podniesienia autorytetu profesury i powagi prezydium wydziałowego. Za to wzrosła popularność Kołupajły u młodzieży. Nowe prezydium wydziału postarało się pośpieszyć z promocjami profesury. W pierwszym rzędzie do promocji na stopień profesora zwyczajnego przedstawieni zostali sam dziekan Grynkiewicz i sekretarz Moszyński. Aż oto przed dziesięcioma dniami minister Tonkunas w rozmowie ze mną podniósł poważne zarzuty w stosunku do niektórych profesorów z wydziału – w pierwszym rzędzie do samego dziekana Grynkiewicza. Doszło do wiadomości ministra, że niektórzy profesorowie (Grynkiewicz w ich liczbie) zaniedbują wykłady, opuszczają je i przez dłuższy czas wcale nie wykładają bez żadnego usprawiedliwienia formalnego, podczas gdy pensje naturalnie pobierają. Przerywają wykłady dlatego, że nie znajdują słuchaczy. A nie znajdują ich dlatego, że wykłady ich polegają na ciągłym corocznym powtarzaniu własnego podręcznika, przez nich ułożonego i wydanego przez wydział, a notabene wyczerpującego całą ich pracę „naukową“. Zamiast reagować na to pogłębieniem własnych studiów, urozmaiceniem treści wykładów, wzbogaceniem naukowym tejże, starannym przygotowaniem się do wykładów – ci profesorowie po prostu przerywają wykłady dla braku słuchaczy. Prorektor Jodelė mi to potwierdził. Wezwałem więc przed wyjazdem z Kowna dziekana Grynkiewicza i sekretarza Moszyńskiego i zakomunikowałem im oficjalnie te zarzuty względem profesury wydziałowej, nie wymieniając nazwisk. Uraziło ich to, choć obraza nie zwróciła się do mnie, bo zakomunikowałem im, że mi to mówił minister. Uważają, że to jakaś intryga złośliwa w związku z niedawnym zatargiem o tekst dyplomów. Mają zwrócić się do ministra i „bronić honoru” wydziału. Lepiej by zrobili, gdyby się zajęli dyscyplinowaniem siebie i profesury przez Radę Wydziału, aby zarzuty takie nie miały na przyszłość podstawy. Ale ci małostkowi ludzie wolą się obrażać i bronić „honoru” swego niedołęstwa.

24 grudnia, rok 1934, poniedziałek

Dzień kucji. Od trzech lat spożywamy z Jadzią kucję w moim domu w całkowitym gronie domowników, to znaczy mojej bezpośredniej służby dworskiej, która jest na moim stole (a więc z wyjątkiem parobków-ordynarników, którzy z rodzinami utrzymują się sami ze swej ordynarii i swego inwentarza). Do wielkiego stołu okrągłego w pokoju jadalnym, nakrytego obrusem na tradycyjnym sianie wigilijnym, zasiedliśmy o godzinie czwartej, gdy na niebie zabłysła (imaginacyjnie zresztą, bo za chmurami żadnej gwiazdy przewodniej nawet trzej królowie wschodu, śpieszący z darami do Betlejem, by nie dojrzeli) pierwsza gwiazda wieczorna. Zasiedliśmy w porządku takim dokoła: ja, na lewo ode mnie ekonom Pumpol, dalej ochmistrzyni Żukowska, stary lokaj Kazimierz Jankowski, służąca Karutia Merkisówna,

starowierka Lina – dziewka folwarczna, ogrodnik Narbut, mała Renia Bogdanówna i Jadzia, która siedziała obok mnie na prawo. Przełamaliśmy się wszyscy jak należy opłatkiem i jedliśmy kilki, sardynki, szproty, śledzie marynowane, węgorza, barszcz z uszkami grzybowymi, kotlety ze śledzia, śliżyki w mleku makowym, groch, pszenicę, kompot i galaretę. Na wstępie mieliśmy trochę wódki, popijaliśmy znakomite piwo domowe, zgotowane przez matkę Jadzi, i doskonałą malagę starą z moich zapasów wina. Po kucji zapaliliśmy choinkę, którą Renia z Narbutem rano z Gaju przywiozła, a potem ją z Jadzią ubrała w błyskotki, obrazki, gwiazdy, świeczki itd. Nie przestrzegałem żadnej mojej diety na kucji, toteż napełniłem się jak bąk i wieczorem długo się spać nie kładłem, pracując, bo czułem rozpoczynającą się, od dawna już nie doświadczaną zgagę, która rozwija się, gdy się leży i męczy nieznośnie, nie dając spać. Doczekałem się przejścia zgagi i wtedy dopiero się położyłem.

Każdy z biesiadników, nie wyłączając nawet mnie, znalazł przy kucji pod obrusem przy swoim nakryciu jakiś mały prezencik świąteczny dla siebie. Było to obmyślone i wykonane przez Jadzię.

25 grudnia, rok 1934, wtorek

Podczas gdy w starym domu u Mieczkowskich zbierają się i bawią „panowie“ (zresztą pożal się Boże nad tym ich „państwem“, podupadłym materialnie, gołym, moralnie i umysłowo się degradującym, ale zazdrośnie przestrzegającym swej „wyższości“ społecznie-hierarchicznej, usymbolizowanej tradycyjnie w polskości i szlacheckości!), u mnie zbiera się w święto lud w swoim obliczu włościańskim, litewskim i zwłaszcza w swoim świecie dziecinnym. Tam w starym domu – Mieczkowscy, Koziełłowie z Użukrewnia, stary Justyn Budkiewicz z synami i córkami – odseparowani od świata ludowego – „lepsi“: obfite jedzenie z wódką, tańce, gramofon, radio z Warszawy. Tu u mnie – choinka dla dzieci parobczanych i niektórych z bliższego sąsiedztwa wioskowego, z udziałem matek przeważnie, zabawki dla dzieci, rozgrywane na loterii, deklamacje dzieci, śpiew litewski ludowy w rytmicznych zabawach dzieci w kółeczku, przeplatanym figurami plastycznymi refrenów. Na choince były u mnie dzieci parobków Dainisa, Bieliunasa, Pranckunasa z matkami, mały Alfred Kligis z matką, mały Antoniuk Nemeikšis z ojcem, mała Birutė Jachimowiczówna ze swą wujenką Nastą Jachimowiczową, wnuczka Kazimierza Jankowskiego, ogółem dzieci 17, a z Renią – 18. Bawiły się, deklamowały, śpiewały i figury demonstrowały, ciekawiły się zabawkami, które wygrywały i trochę sobie zazdrościły wzajemnie, piły kakao i jadły pierniki, ciasta, orzechy, cukierki. Tu w dziecinnym światku litewskim postęp jest wielki; szkoła powszechna jednak wybitnie kultywuje i uspołecznia dzieci. Dzieci są grzeczne, dyscyplinowane, coraz lepiej ułożone, umieją wierszyki ładne, zapalają się do Wilna, do miłości kraju, do podniosłych uczuć patriotycznych, które w nich naiwnie zakwitają. Szkoła powszechna je przerabia. Pokolenie, które z nich wyrośnie, będzie cywilizacyjnie wyższe od tego, które w dzieciństwie swoim rosło, jak dziczki murzate, tonące w instynktach elementarnych. A delikatny subtelny typ psychiki litewskiej czyni z tych dyscyplinowanych i uspołeczniających się dzieci śliczne harmonijne jednostki, wytwarzając w nich nawet jakąś wykwintną pańskość. Takie dziewczynki Bieliunasówny, Dainisówny, Jachimowiczówna – to jak królewiątka subtelne i rasowe. Ubierz je i wieź choć do Paryża – a nie wstyd ci będzie tych dziewczynek: ujdą za hrabianki. Albo taki Alfredek Kligis – chłopiec, tryskający inteligencją i życiem.

Był też na obiedzie i choince Feliks Mackus, który przyjechał z Kowna do domu do Narkun na święta.

26 grudnia, rok 1934, środa

Jadzia z matką i Renią pojechała na imieniny do swojej siostry Stefci Boreišowej do Speczun. Byłem sam. Odbyłem dłuższą przechadzkę po Gaju i byłem w starym domu.

Trafiłem na duży zjazd gości. Pobyłem godzinkę i przed ich obiadem uciekłem, bo mię to towarzystwo nie bawi, a zresztą obiadu dziś nie jem, bo to mój dzień głodowy. I w ogóle nudzę się w tym „sąsiedztwie” wiejskim. Żałuję, że mój dom nie jest oddzielony od starego domu jako folwark zupełnie odrębny, nie stykający się starym dworem.

Wczoraj mieliśmy sensację. Stary Ignacy Čepas, ojciec Jadzi, który mieszka w jej zaścianku pod Gajem i pilnuje jej lasu, obchodząc las (zagląda on zawsze z amatorstwa dozoru i do mojego) spostrzegł na jednej jodle wysoko sporą chorągiewkę czerwoną. Było to na jodle przy gościńcu, przecinającej Gaj z Karwieliszek do Malcini. Na innym drzewku przybita była proklamacja rewolucyjna komunistyczna. Proklamacja i napisy na chorągwi wzywają do obalenia „zbójów z d. 27 grudnia” (aluzja do egzekucji kilku komunistów w Kownie w d. 27.XII.1926.). Wiadomość tę zakomunikowano zaraz Janowi Kligisowi, który jest „seniunem” (sołtysem) bohdaniskim. Kligis w otoczeniu chłopców wioskowych udał się na miejsce „przestępstwa” i chorągiew czerwoną sprzątnął. Przyniósł mi ją pokazać. Jest to kawałek mocnego sukna czerwonego, na którym białymi literami kredą wypisane po litewsku hasła: „Precz ze zbójami z d. 27 grudnia!”, „Niech żyje władza robotniczo-włościańska!”, „Drew dla włościan!”, „Pracy i żywności dla bezrobotnych!”. Są jakieś ręce tajemne agentów komunistycznych, które tu w okolicy od czasu do czasu demonstrują ukryty prąd komunistyczny, który zresztą powodzenia nie ma i nie szerzy się bynajmniej. Ale jest on utajony szczątkowo w sympatiach nielicznych osobników, pozostałych z czasów bolszewickich w roku 1919. Są to już dziś ludzi starsi, zresztą przeważnie nie ideowi, dla których komunizm jest tylko nadzieją rabunku i pożywienia się bez pracy. Komunistów ideowych, mających koncepcję rewolucyjną twórczą, jest znacznie mniej. Młodzież włościańska jest raczej narodowa. Ale komunistom szczątkowym na wsi sekundują młodzi Żydzi miasteczkowi, którzy do komunizmu lgną chętniej. Miejscowe ukryte „jaczejki” komunistyczne są ożywiane przez wędrownych agitatorów, którzy znają sposoby i drogi wędrowania stąd pieszo do Sowietów przez Łotwę lub Wileńszczyznę i z powrotem. Czerwony sztandar zawieszono też w lasku pod Rogielami, a w roku ubiegłym był on wywieszony na mogiłkach bohdaniskich. Niedawno też w Abelach naklejono odezwę komunistyczną na słupie telefonicznym przy samym lokalu policji.

27 grudnia, rok 1934, czwartek

Odbyłem z Jadzią dużą przechadzkę pieszą; byliśmy z nią w jej zaścianku, spacerowaliśmy po Gaju. Po obiedzie Renia Bagdonówna, która już nauczyła się ślizgać na łyżwach, woziła mię na saneczkach Jadzi po lodzie na sadzawce.

W starym domu nie byłem. Zresztą zdaje się, że tam zaraz po obiedzie wszyscy się spać pokładli po balu wczorajszym. Najechało tam było wczoraj gości bez liku. Taki najazd – to opustoszenie radykalne spiżarni i wszelkich zapasów gospodarskich. W latach kryzysu – to rzecz nie lada. Ale widocznie, pomimo wszelkie kryzysy, na które się tyle wyrzeka, jeszcze się żyje nieźle na wsi litewskiej, jeżeli się jest w stanie przyjmować i karmić licznych gości. Ale cóż robić – w domu u Mieczkowskich jest młodzież, trzeba się jej dać nabawić. Szczególnie się to robi *à conto* Helci, której zamążpójście jest jednak, zdaje się, beznadziejne, bo nie jest ani piękna, ani zbyt mądra lub wykształcona czy nawet sprytna, ani temperamentu nie ma, ani materialnie nic tymczasem nie przedstawia, bo jeszcze nie wiadomo, co mieć będzie, czy jej rodzice co i kiedy zostawią, a jest jeszcze poza nią dwóch braci, z których Andrzej może się jeszcze jakoś na samodzielnego wykieruje, ale Michaś – to już prawie że bez nadziei na wykształcenie fachowe. Wszystko to się przyczynia do obniżenia perspektyw matrymonialnych Helci Mieczkowskiej. Nie jest ona też dziewczyną samodzielną o wybitnej indywidualności, która by sama sobie miłość zdobyła i parę znalazła. Cała jej krasa polega na tym, że uchodzi za „dobrą”. Ale jest gąska domowa, pełna przesądów stanowych, zakonserwowana w poglądach przedpotopowych, a przynajmniej przedwojennych, nie

krytyczna, bierna, dość kapryśna ze skłonnością do histerii, straszliwie ciasna w swoich pojęciach i myślach, bezbarwna, bez szerszych i głębszych aspiracji i bez systematyczności nawet, bez jakichś żywszych zamiłowań i jakiejś zrównoważonej pracy. Co prawda – po Elwirze odziedziczyła prawość i uczciwość, ale to jedyne, co ma na atut. W dodatku wybór matrymonialny ma bardzo wąski, bo nie może wyjść za Litwina, tylko koniecznie i wyłącznie za Polaka i za „równego stanem", to znaczy szlachcica. Taka jest atmosfera jej wychowania, w której ona tkwi szablonowo, ślepo i nawet zajadle.

Gości najechało tam wczoraj na obiad – na „indyka" – całe mnóstwo. Towarzystwo tym razem było dość mieszane, bo było też paru Litwinów, łaskawie dopuszczonych do domu. Do obiadu zasiedli: pięcioro Mieczkowskich (Elwira ze Stefanem , Helcia, Andrzej i Michaś), pięcioro Budkiewiczów (stary Justyn, dwóch jego synów i dwie córki), pięcioro Tupalskich z Gotyńców (Tupalski z żoną – Ańcią Choynowską z domu, i trzy córeczki – od panienki do podlotka; Tupalski był „miškų urėdasem" w Rakiszkach i wtedy ukrywał starannie swą polskość, córki uczyły się w gimnazjum litewskim; teraz dosłużył się już emerytury, osiadł na folwarku swoim i nawiązał stosunki z ziemiaństwem polskim, a żona jego, zdaje się, szczególnie gorliwie nawraca do sfer i tradycji szlachecko-ziemiańskich), troje Koziełłów z Użukrewnia (Boguś, czyli Paweł, Jaruś i panna Niutka), troje Lisieckich (pan, pani i ich syn sympatyczny, ogromny i niedouczony, ale za to kobieciarz pierwszej klasy i z gruntu bardzo dobry i naturalny – bez żadnej blagi i maniery – sympatyczny Henryś), dwoje Wojnarowskich z Antuzowa (on i ona – Roppówna z domu, mądra, trzymająca się młodego męża, wściekłego wroga Litwy i Litwinów, toteż i sama zorientowana zdecydowanie na rzecz akcji polonizacyjnej, główna inspiratorka całej opinii lokalnej polskiej w duchu i kierunku wojowniczym i zaczepnym, Piotr Rosen, Romanowski spod Subocza, Litwin Žemaicziuk z Bortkiszek i wójt jużyncki Laikus, którego Rosen w interesie do mnie przywiózł. Ogółem do obiadu zasiadło 27 osób na jednego indyka, któremu zresztą sekundowały kiełbasy, polędwica wieprzowa i cielęca, ozory, inne mięsiwa, wino domowe, konfitury etc. Obfitość jadła była duża, tańczono, gadano – bawiono się.

28 grudnia, rok 1934, piątek

Wreszcie śnieży. Niedużo jeszcze, z przerwami, ale już na wieczór ziemia stała się lekko siwa, a na łąkach i runi już nawet biaława. Da Bóg, że niebawem będziemy już mieli sanną. Dosyć już grudy i suchego mrozu.

Byłem w Gaju, byłem u Elwiry, która znów się źle czuje, ma wielki ból głowy i leży. Skądinąd nic ciekawego i nic osobliwego. Jutro wybieram się do Abel na pocztę – może już przyjdą pieniądze z uniwersytetu.

Był u mnie bohdaniski nauczyciel ludowy. Prosi mię o udzielenie kawałka ziemi na budowę szkoły początkowej publicznej i na placyk szkolny dla dzieci. Co prawda, z dawna byłem zdecydowany nie tylko na udzielenie ziemi pod szkołę, ale także na wybudowanie jej własnym sumptem. Ale ponieważ nie skończyłem jeszcze zabudować się sam na własne mojego dworku potrzeby, bo mam jeszcze do postawienia świronek i może z czasem nową chatę parobczaną, co pociągnie za sobą znaczny koszt, który muszę rozłożyć na lat kilka, więc budowy szkoły nie mógłbym się podjąć wcześniej, jak za lat 8-10. Długi to czas niewątpliwie, bo potrzeba szkoły jest pilna, ale nie mogę podołać prędzej. Zresztą i budulca mam w Gaju już niedużo – trzeba dać czasu, żeby jodły podrosły i pogrubiały. Jeżeli szkołę wybudują beze mnie – tym lepiej. Ziemię dam chętnie. Przeznaczam na szkołę miejsce u wylotu ze dworu na drogę abelską za dawną stajnią roboczych koni, obecną oborą moją, albo na prawo od drogi tamże, pod małym brzeźniakiem wioskowym. Obejrzę i wyznaczę odpowiedni kawałek gruntu i jadąc do Kowaliszek pomówię o tym z naczelnikiem powiatu w Rakiszkach.

29 grudnia, rok 1934, sobota

Rano pojechaliśmy z Jadźką do Abel na pocztę. Wczorajszy śnieg był tak znikomy, że ziemię zaledwie lekką siwizną przyprószył. Droga więc jest kołowa po grudzie. Mróz był ostry, wiatr miejscami dość silny. Zimno było jechać. Niestety, wyprawa się nie powiodła, bo pieniędzy na moje imię z uniwersytetu na poczcie jeszcze nie ma. Wróciliśmy więc do domu zziębnięci i bez grosza.

Na dziś po obiedzie była zapowiedziana wizyta księdza z Krewien po kolędzie. Ksiądz ze służbą kościelną objeżdżał wpierw zaścianki bohdaniskie i dopiero o zmroku zawitał do dworu. Tu wpierw obszedł rodziny parobków i już było ciemno, gdy wstąpił do mego domu. Kolędował młodziutki ksiądz wikary, sympatyczny i wyglądający dziecinnie, który dopiero od lata objął stanowisko w Krewnach. Wydaje się gorliwy, nieśmiały, skromny i dobry chłopiec. Nazywa się, zdaje się, Mikolajunas. Czuł się widocznie onieśmielony moją Magnificencją Rektorską, bo sam w roku ubiegłym, już za mojego rektoratu, był jeszcze studentem na teologii. Czekaliśmy go z kawą i wędliną. Wypił szklankę kawy, ale był już po obiedzie u Kligisa i nic nie jadł. Śpieszył jeszcze do starego domu do Mieczkowskich i Budkiewicza. Dałem księdzu cetnar żyta i 10 litów i dla służby kościelnej kilka sieczków żyta.

30 grudnia, rok 1934, niedziela

Pojechałem do Gaczan na imieniny p. Piotrowej Rosenowej. Piękny wypadł dzień, słoneczny i dosyć mroźny, ale bez wielkiego wiatru. Od dawna nie widzieliśmy słoneczka, toteż miłe ono było i wesołe, choć słabe o tej porze roku, niewysoko ponad horyzont sięgające. Ale zawsze to słońce – źródło radości i życia, kochan, jak matka, sycąca wesele i nadzieję.

Wyjechałem z domu po śniadaniu i przed południem byłem w Gaczanach. Na razie zastałem tylko p. Rosenową i dzieci. Piotr był w kościele, przyjechał później. P. Rosenowa, która teraz od lat kilku dla nauk dzieci zamieszkała stale w Poniewieżu, a do Gaczan przyjeżdża tylko na święta i wakacje, zapełniała trochę, ale z twarzy dobrze wygląda i jest wciąż ładna. Lubię ją dosyć, bo jest kobieta rozumna i z temperamentem, choć jest zdecydowanie wroga Litwie, jedna z tych zajadłych nienawidzących kraj kobiet, które są głównym czynnikiem oporu i antyobywatelskich uczuć ziemiaństwa i mieszczaństwa polskiego w kraju. Te kobiety są inspiratorkami zaciętości i nieprzejednania, są głównym zaczynem wrogości. Mężczyźni są przeważnie łagodniejsi i wyrozumialsi, ona zaś – taka Iza Wojnarowska, taka p. Rosenowa, taka Koźmianówna w Jeziorosach – to są Torquemady nienawiści krajowej, zacięte, twarde i suche zakonnice fanatyzmu, które się palą ogniem namiętności w tej swojej akcji bez pardonu, bez wyrozumienia, bez względów. Taka by z rozkoszą męczyła, szarpała i paliła żywcem, co litewskie.

W rodzinie, w swojej sferze towarzyskiej, w swojej akcji społecznej kobiety te robią zło. Są to wielkie szkodnice, ale natury silne, ciekawe, z charakterem, nie banalne.

Dzieci Roseniuki bardzo urosły. Lutuś (Stanisław) jest już w klasie VI, wygląda na młodzieńca, wąs mu już wysypuje pod nosem. Antoś trochę bardziej dziecinny, ale już podrósł. Młodsza – Hela – też już dziewczynka lat kilkunastu.

Imieniny p. Rosenowej obchodzone nie są. Na obiad przyjechał jeszcze Stefan Mieczkowski z Andrzejem i Michasiem i z p. Niutką Koziełłówną, nauczycielką Michasia.

U Rosenów w Gaczanach za sprawą p. Rosenowej wszystko polskie warszawskie. Na stole pisma ilustrowane polskie, portret Piłsudskiego, na ścianie – fotografie popisowe ułanów polskich – „naszych” ułanów, radio nastawione stale i wyłącznie na Warszawę, o rzeczach polskich mówi się jako o naszych: „naszym” krajem, „naszym” wojskiem, „naszym” rządem są nazywane kraj, wojsko, rząd – Polski. O Litwie i rzeczach litewskich jeżeli się czasem wspomina, to tylko z pogardą najwyższą i zawsze z jakimś bolesnym ukąszeniem. Zresztą nie bardzo nawet uchodzi o tym mówić lub nad tym się dłużej zastanawiać. Słowem – wszystko

polskie warszawskie; tylko geograficznie jest Litwa, bo tego przerobić nie można. Dla mnie taka metoda i takie nastroje są wprost niepojęte – jest to coś dla mnie zupełnie obcego, co się w moim sercu nie mieści. Jeżeli ja kocham Polskę, to zgoła inaczej i w żadnym razie nie przeciwko Litwie, którą kocham jeszcze bardziej.

31 grudnia, rok 1934, poniedziałek

I dziś rano było słonecznie, ale przed południem zaciągnęły niebo chmury. Zdawało się, że wypadnie wielki śnieg. Ocieplało, choć odwilży nie ma. Wiatr się zmienił na południowo-zachodni i osłabł. W drzewach wysokich powstał szum na odwilż. Jednak do nocy śnieg nie zaczął padać.

Skończył się rok kalendarzowy. Rok 1934 był dla mnie przełomowy. O mało co w tym roku nie umarłem. Latem już niewiele brakowało. Ale w lipcu nastąpiło pod wpływem energicznego leczenia przesilenie, odchwyciłem się i wróciłem, raczej – odżyłem. Zacząłem ten rok na schyłku życia i już w czerwcu dobiegałem mety. Kończę ten rok jakby odrodzony. Wstępuję w rok 1935 w pełni sił. Boże dopomóż!

1 stycznia, rok 1935, wtorek

Rok nowy rozpoczął się słonecznie przy niedużym mrozie prawie że bez wiatru.

W Bohdaniszkach u mnie – zmiana służby. Odchodzi ochmistrzyni Żukowska, którą odprawiłem, odchodzi też Lina. Jadzia je rozliczyła. Na miejsce ochmistrzyni nająłem Adelę Jankowską, synową Kazimierza, wdowę po jego synu Barnabie. Sama się zgłosiła. Będzie miała przy sobie małą córeczkę pięcioletnią i będzie pobierała 25 litów pensji miesięcznej. Będzie sama też bezpośrednio pracowała wraz z drugą dziewką. Ochmistrzyni „pańskiej", jaką była Żukowska, a przed nią Kesilysówna, na moją gospodarkę nie potrzeba. Takie są drogie i najczęściej próżniaczą, zasmakowują w wygodach, rozpanaszają się i albo się z ekonomem spoufalają, jak Kesilysówna, albo, jak Żukowska, gryzą się z nim i robią jedno drugiemu na złość. Takie ochmistrzynie półinteligenckie stają się źródłem intryg, szczególnie gdy jest dwóch mężczyzn równoległych, jak teraz – ekonom i ogrodnik. Zaraz się wytwarzają dwie wrogie partie zwalczające się, a koszt tej walki ponoszę ja, bo gospodarka kuleje, nie ma ładu i jednolitości, robota się rozprzęga. Poza tym korzyść będę miał tę, że za tę samą zapłatę, którą pobierała jedna ochmistrzyni, teraz będę miał obie sługi pracownice. Co do Liny – to jest dobrą siłą roboczą, ale jest kłótliwa i nie poddaje się żadnej władzy. Latem sama oświadczyła, że z końcem roku chce odejść. Teraz tego żałuje, ale stało się. Trzeba ją zmienić, bo zadawniła się i tym bardziej nikogo słuchać nie będzie. Kogo Jadzia najmie na jej miejsce – jeszcze nie wiadomo. Kandydatek upatrzonych jest kilka.

Tak oto rok nowy rozpoczął się pod znakiem słońca i zarządzeń gospodarskich.

2 stycznia, rok 1935, środa

Śniegu trochę więcej, ale jeszcze na sannę za mało. Powietrze łagodne, wyraźna zmiana wiatru, zacisze. Pod wieczór zbierało się na odwilż. Wczesnym wieczorem znowu zaczął padać śnieg, ale drobniutki i mokry, przechodzący prawie w deszczyk. Wszakże później – już na początku nocy – ustalił się zimny mroźny wiatr północny, który się bardzo wzmagać począł.

Do starego domu przyjechał stary Paweł Koziełł z Użukrewnia. U mnie nie był. Nie zdobyłem się pójść z nim zobaczyć. Może to uczynię jutro rano, o ile nie wyjedzie.

Przyjechała już z córeczką i rzeczami nowa gospodyni moja – Adela Jankowska, synowa starego lokaja Kazimierza. Rozpoczęła już służbę, jutro bowiem Lina już odchodzi, a ochmistrzyni Żukowska także skończyła służbę i odjeżdża.

Zakłuto dziś kabana utuczonego i zarżnięto baranka. Jadzia cały dzień porządkowała mięso.

Prowadzę życie domowe bardzo ciche. Pracuję dosyć dużo, czytam. Bardzo ciekawe prowadzę studia nad nową ewolucja społeczną w Sowietach. Uchwytuję istotę tej olbrzymiej akcji wychowawczej, jaką podjęły Sowiety w ich obecnym stadium rozwoju pod rządami Stalina. Jest to eksperyment olbrzymiej wagi światowej, przetwarzający człowieka i zasady współżycia oraz twórczości w zagospodarowaniu prawdziwym planety. To, co się tam robi, to jest wagi światowej. Otwiera to nowe horyzonty i czyni człowieka zbiorowego – mocarzem. To jest dopiero uspołecznienie istotne i scementowanie masy ludzkiej – zorganizowanego i doskonale zracjonalizowanego kolektywu – do wielkiej potęgi czynnej. Tym się zaiste można entuzjazmować. Jest czym. Dreszcz wzruszenia przebiega myśl i ciało, gdy się wnika w to wielkie dzieło. Czy się uda – nie wiem, ale inicjatywa i idea – wspaniała i tego się dorobkowi ludzkiemu nie wydrze. Wyjdzie to daleko za ramy Związku Sowieckiego i musi odbyć ekspansję nie mniej intensywną, niż była ekspansja Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wiele szpetoty miała w sobie doba łamania starego świata, doba, w której do dzieła burzenia wlały się elementy brudu i rozpasania, ale świt twórczy nowego świata, pełny dyscypliny, mocy i rozpędu, jest cudowny.

3 stycznia, rok 1935, czwartek

Wicher był w nocy dziki od strony północnej. Z pól powiewało śnieg suchy, miejscami, choć śniegu na ogół jest jeszcze bardzo mało, już się potworzyły lekkie zaspy. Blacha na dachu mego domu mieszkalnego, która się już ustatkowała i teraz tak nie trzaska i nie hałasuje, jak w pierwszych leciech po nakryciu dachu, dziś w nocy grzmiała i stukała, jak niegdyś na początku. W korytarzu, którego okna przedpokojowe zwrócone są na północ, zimno jest jak w lodowni; chłodno też w pokoju błękitnym Jadzi. Sanny ani rusz doczekać się nie można. W ogóle nic szczególnego dziś nie zaszło. Miałem kilka listów z poczty, gazety, przyszła też wreszcie awizacja na pieniądze, przysłane z uniwersytetu.

4 stycznia, rok 1935, piątek

Wybrałem się z Jadzią do Abel na pocztę po pieniądze. Mróz był srogi – przed wschodem słońca było podobno 23° Celsjusza, potem – 17°. Słońce o wschodzie wyjrzało, ale zaraz się ukryło za chmury. Zresztą dzień był dość jasny. Mróz był spotęgowany przez wiatr, wprawdzie nie nazbyt silny, ale przy tym mrozie niezwykle zimny. Kierunek wiatru coraz bardziej się zwraca na wschodni. Jest to wiatr lądowy suchy z Rosji, który zawsze przynosi chłód. Dla mnie tu jest on podwójnie nieprzyjemny, bo wprowadza nieznośne zimno do mego pokoju, w którym śpię i pracuję (o moim gabinecie na górze zimą ani marzyć mogę, bo tam temperatura jest dosłownie lodowa).

Jechaliśmy z Jadzią parą koni w żółtej bryce, powoził parobek Bieliunas. Przenikliwe zimno przeszywało całe ciało, a policzki mróz wietrzny po prostu piekł – można je było z łatwością odmrozić. Nie na tym jednak koniec naszej niefortunnej jazdy. Gdym w Abelach zaszedł na pocztę i okazał awizację na pieniądze, wskazano mi zupełnie zasadnie, że pieniądze są do odebrania nie w Abelach, jeno w Rakiszkach. Istotnie w awizacji było napisane, że pieniądze są dla mnie w urzędzie pocztowym rakiskim. Była to wielka „dekonfitura", bo wybrać się w taki mróz wietrzny do Abel tylko po to, aby stwierdzić pomyłkę – to zawód „boleśny". Co było robić! Pieniądze są potrzebne, bo czeka na nie z odjazdem ex-ochmistrzyni Żukowska. Chciałem już z bólem serca ruszać z Abel wprost do Rakiszek. Jadzia wpadła na pomysł odprawienia koni i najęcia automobilu. Byłoby prędzej i względnie cieplej w karetce, osłoniętej od wiatru. Niestety – okazało się, że właściciel jedynego automobilu w Abelach nie wybrał biletu na jazdę i jechać nie może. Nasz furman Bieliunas, widocznie sam zziębnięty, zauważył, że konie są osłabione i nie bardzo dociągną do Rakiszek i stamtąd do Bohdaniszek. Zrezygnowaliśmy chętnie, bo chłód nie usposabiał do wycieczki. Woleliśmy wrócić do domu – byle jak najprędzej. Postanowiliśmy, że do Rakiszek

pojedziemy jutro rano. Niech sobie ochmistrzyni Żukowska jeszcze dzień poczeka. W drodze powrotnej do Bohdaniszek zziębliśmy jeszcze bardziej. Dojechaliśmy ledwie żywi. Szczęściem się okazało, że wariaci młodzi Mieczkowscy – Helcia, Andrzej i Michaś – jadą w taki chłód z własnej ochoty do Rakiszek do pp. Neefów. Dałem więc upoważnienie na imię p. Ewy Neefowej do podjęcia na poczcie pieniędzy. To mi zaoszczędzi tej jazdy osobistej jutro, o której wprost strach pomyśleć.

5 stycznia, rok 1935, sobota

Dziki wiatr wschodni. Mróz 20°. Na dworze tak wstrętnie i dziko, że z przerażeniem myśli się o jakiejś ewentualnej potrzebie jazdy. Dzięki Bogu – Andrzej pieniądze z Rakiszek przywiózł – zaoszczędzi mi to jazdy osobistej. W pokoju moim chłód – wieje ze szpar ram okiennych. Nic nie pomagają piece i kominek.

Marynia wróciła wczoraj niespodziewanie z Warszawy od córki. Miała wrócić o dwa dni później. Przyjechała wypoczęta, obdarowana sukniami i różnymi rzeczami przez Ewę, zadowolona z wycieczki, ale stęskniona do domu. Przywiozła parę indyków rasowych i kaczora. Jej mąż Justyn Budkiewicz bardzo ją czekał i jest uradowany z jej powrotu. Cicho siedziała Marynia u Ewy w Warszawie, raczej pod Warszawę na Powązkach – o godzinę drogi tramwajem od środka miasta. Z krewnych odwiedziła w Warszawie tylko Matysiów Römerów, Zulę Przybyszewską, Tukałłównę z domu, Maryńkę Wołodkowiczównę. Ewa Meyerowa źle żyje z mężem; nie kłócą się, ale nic wspólnego nie mają i – choć mieszkają razem – nawet się nie witają i nie żegnają i mówią do siebie tylko o rzeczach obojętnych, ile zachodzi potrzeba. Oto rozwiązanie wielkiej miłości po 15 leciech pożycia. Cała energia i życie Ewy streszcza się do dziecka – do tej małej kochanej Lizy, zaiste ślicznego dziecka.

Był u nas po obiedzie młody Žemaitis z Bortkiszek – „Žemaičiuk”, jak go Mieczkowscy nazywają. Jest to bardzo uzdolniony mechanik samouczek. Poprawił mi lampy i zegary.

6 stycznia, rok 1935, niedziela

Trzy Króle. Dla mnie dzień zwykły. Nawet w starym dworze nie byłem. Tylko do Gaju się wybrałem, ale i to nie tyle dla przechadzki w 20-stopniowy mróz z ostrym wiatrem wschodnim, ile dla pi-pi, które tam załatwiam. Czułem się, szczególnie z rana, niedobrze, w nocy źle spałem, bo nie mogłem nóg odegrzać, miałem głowę nawianą, usposobienie newralgiczne w kościach i mięśniach twarzy i głowy. Tylko młodzież się cieszyła. Ogrodnik Narbut i służąca Karutia poszli wieczorem do Prapultini na choinkę i tańce, Jadzia była na choince u bratowej w Janówce. Ja spędziłem wieczór w wystudzonym pokoju moim, przeplatając pracę wygrzewaniem się u płonącego kominka.

Odjechała już dziś z Bohdaniszek ochmistrzyni Żukowska. Chwała Bogu.

Zresztą nic nowego. Już nie daj Boże te mrozy. Przyjemna jest zima na wsi z sanną i łagodnym kilkustopniowym mrozikiem. Tego w tegorocznych wakacjach świątecznych nie zakosztowałem.

7 stycznia, rok 1935, poniedziałek

Dziś już jakby trochę mniej zimno. Mróz nie mniejszy, prawda, ale wiatr słabnie. W pokoju też mam znośniej. W nocy dziś mogłem się już wyspać; z wieczora zegrzałem nogi butelką z gorącą wodą pod kołdrą i już było w łóżku ciepło.

Mam jeszcze przed wyjazdem pojechać do Kowaliszek, ale nie odważam się na to, póki te mrozy trwają.

8 stycznia, rok 1935, wtorek

Wiatr, który czynił życie na wsi nieznośnym, bo i na spacer trudno było wychodzić, i w domu się marzło, dzięki Bogu – ustał. Mróz jest mniejszy, pogoda, we dnie słońce świeci,

wieczorem – księżyc młodzik, w nocy – gwiazdy na niebie, ale bez wiatru jest ciepło. W pokoju u mnie ciepło i zacisznie jak w uchu: w kominku drwa trzaskają wesoło – sucho, ciepło. Rozkosznie.

Jadzia już najęła drugą sługę do gospodarstwa, dziewkę parobczaną do inwentarza i pracy domowej do pomocy gospodyni – młodą, silną i zdrową dziewczynę, Barbarę Pranckunasównę, córkę mego parobka, byłego kiedyś furmana w Bohdaniszkach u Rodziców moich. Namyślam się w przedmiocie ogrodnika Narbuta. Byłem zdecydowany zatrzymać go do jesieni, ale teraz się skłaniam do wymówienia mu miejsca. Nienawidzą się oni z ekonomem, Narbut żadnej dyscyplinie się nie poddaje, sam jest próżniak, wałęsa się po wieczorkach i zabawach okolicznych, gdzie noce całe spędza, choruje na panicza, je za dwóch, mało się zna na ogrodzie, doświadczenia nie ma, leniwy jest i do niczego. Pieszczony był przez ochmistrzynię Żukowską, rozpuścił się, rozpróżniaczył ostatecznie. Nie pije co prawda, jest uczciwy pieniężnie, ma skłonności kulturalne, lubi czytać, interesuje się różnymi zagadnieniami z gazet i książeczek, ale korzyści nie mam z niego żadnej. Jest prawdziwym darmozjadem i swym próżniactwem demoralizuje służbę. Ma niby pilnować lasu przez zimę, ale i tu jest do niczego: nie zna lasu i nie zna się na nim, leni się do lasu chodzić, boi się złodziei leśnych, choć mu dałem rewolwer.

9 stycznia, rok 1935, środa

Mróz duży, ale bez wiatru, więc – ciepło. Ciepło w domu i nawet nie bardzo się czuje mrozu na dworze.

Chodziłem z ekonomem Pumpolem i z Michałem Nemeikšisem przez Gaj na gościniec karwieliski, gdzie chcę wyznaczyć miejsce do darowania gruntu pod budowę szkoły ludowej bohdaniskiej. Dałbym tam ± 900-1000 metrów kwadratowych za gościńcem w samym rożku mojej ziemi na pagórku pod siedzibą zaścianka Nemeikšisa. Nauczyciel bohdaniski obecny prosił mię o udzielenie ziemi pod szkołę pod samym dworem przy drodze abelskiej, wskazując, że Karwieliszki byłyby punktem niedogodnym, dalekim np. dla Boniuszek. Ale Knisa, Ażubale, Busiszki, Ginduryszki, nawet Janówka, Prapultinie, Wiwieliszki, Serbentyszki, część zaścianków bohdaniskich – wolą punkt w Karwieliszkach, Boniuszki zaś mają bliżej szkołę w Łaszach, a Bukiele są przydzielone do gminy rakiskiej. W Karwieliszkach punkt jest ładny, na wzgórzu z widokiem rozległym na Knisę, Busiszki, Ażubale itd., blisko jest Gaj, szkoła byłaby przy samym gościńcu. Nemeikšis szczególnie pragnie tego. Marzy on o założeniu tam u siebie punktu pocztowego, może też z czasem założyłby tam sklepik spożywczy. Mogłoby to dać w Karwieliszkach początek pewnemu ognisku kulturalnemu na miejscu.

10 stycznia, rok 1935, czwartek

W Gaju uzupełniłem wyznaczanie drzew na wyrąb dla siebie na opał i osiny dla Maryni na krycie dachów. Marynia z mężem są zdecydowani w tym roku rozbierać przybudówkę starego domu, która na zasadzie naszego po śp. Papie układu dzielczego z roku 1921 należy do niej, choć stoi na gruncie należącym do Elwiry. Część tej dużej przybudówki, mianowicie cały jej parter bez okien i drzwi i bez szalówki, ale z dwoma piecami kaflowymi sprzedaje mnie za 700 litów (będę miał z tego budulec na spichrz, który za parę lat stawiać zamierzam), a resztę bierze dla siebie. Materiału tego użyje na przebudowę starego spichrza, który do niej z działu należy, na dom mieszkalny (niegdyś przed laty stu kilkudziesięciu ten sam spichrz stary był już domem mieszkalnym, zanim go na spichrz przerobiono), i poza tym chce jeszcze postawić odrynę czy gumienko, a może jeszcze i chlew dla świń. Justyn Budkiewicz, który lubi dłubać się w różnych robotach urządzeń gospodarskich, cieszy się na te przeróbki i rozbudowy, które spodziewa się wykonać po trochę, przeważnie własną pracą z parobkami, biorąc tylko gdzieniegdzie do pomocy tanich majstrów znajomych. Mieczkowscy krzywią się

na rozbiórkę przybudówki starego domu przez Marynię, ale nie decydują się dać jej w zamian nowego przyrządzonego materiału, co by podług umowy dzielczej dało im prawo do zatrzymania przybudówki.

Zdrowie Elwiry jest złe. Charka całą zimę, jest bardzo osłabiona, źle wygląda, miewa gorączkę albo znów ma temperaturę niższą od normalnej. Z domu nie wychodzi, przeważnie leży. Nie leczy się systematycznie, doktorów się nie radzi, używa tylko środków domowych, od prababek odziedziczonych, zabobonnych i opartych na prastarej medycynie ludowej. Obawiam się, że biedna Elwira długo już nie pożyje.

11 stycznia, rok 1935, piątek

Wybrałem się do Kowaliszek. Wziąłem ze sobą Andrzeja Mieczkowskiego. Wyjechaliśmy po obiedzie. Mróz spadł do 10° niżej zera; wiatr – niewielki; barometr spada; jest nadzieja na śnieg. Ale oczywiście teraz pojechaliśmy bryczką; jechaliśmy na Kurklecie. W Rakiszkach miałem trochę sprawunków, poza tym byliśmy u pp. Neefów. P. Awa Neefowa była bardzo miła. Sam Neef bardzo roztył, twarz mu się zaokrągliła jak księżyc w pełni, brzuszek też urasta, przy swoim małym wzroście wygląda jak bekon utuczony. Neef jest zupełny hitlerowiec, pozostał Niemcem stuprocentowym. Jego dzieci, szczególnie starszy chłopiec Jaś, są też Niemczyki o ideałach zaborczych.

Po herbacie u Neefów pojechaliśmy dalej do Kowaliszek. Zastaliśmy tam wszystkich. Wieczór spędziliśmy u Elizki. Do Julków i do Hektorostwa pójdę z wizytą jutro rano. Z Elizką jest Litka, ale przyszli też Hektor i Julek oraz bawiąca u Julka kuzynka jego żony – młoda panienka Ryta Rościszewska, wychowana w Belgii, mówiąca przeważnie po francusku, poetka, lubiąca odczytywać swoje poezje, poza tym literatka, tłumacząca coś o Sowietach z polskiego na francuski, głupiutka, ale dość poetyczna, przystojna, bardzo pogodna, naturalna i łatwa. Zabawiliśmy na rozmowie do północy.

12 stycznia, rok 1935, sobota

Pół dnia spędziłem jeszcze w Kowaliszkach – wpierw u Elizki na górze, potem u Julków, u których obiad jadłem, wreszcie u Hektorostwa. O godzinie drugiej wyjechaliśmy z Andrzejem. W Rakiszkach miałem jeszcze parę interesów i byłem u naczelnika powiatu Rozmana. Śnieg padał drobny przy niedużym mrozie, ale z dosyć ostrym wiatrem. Toteż dość mocno zmarzłem, wracając do Bohdaniszek. Wiatr był przeważnie w oczy. Z rozkoszą zagrzałem się w domu przy kominku.

13 stycznia, rok 1935, sobota

Przedostatni dzień w Bohdaniszkach. Na obiedzie była u mnie Marynia z mężem. Rolada, pieczyste z indyka.

Parę razy zjechałem z góry za gumnem na saneczkach Jadzi, które jej w Kownie kupiłem. Saneczki – lekkie, doskonałe, ale śniegu jeszcze trochę za mało i skądinąd trudno ciągnąć je pod stromą górę. Ale – „любишь кататься – люби и саночки возить”. Dziś – dzień plebiscytu w okręgu Saary – wielki dzień próby dla Niemiec i Hitlera. O rezultacie dowiem się już chyba w Kownie. Problem Saary – to wielka sensacja światowa.

14 stycznia, rok 1935, poniedziałek

Pierwszy raz przejechałem się w tym roku saneczkami. Ale sanna jeszcze kiepska.

Wymówiłem miejsce ogrodnikowi Narbutowi. Ubędzie balastu w administracji bohdaniskiej. Ale problem znalezienia dobrego ogrodnika na jego miejsce nie będzie łatwy.

15 stycznia, rok 1935, wtorek

Dziś wyjechaliśmy z Bohdaniszek „całym dworem” – z Jadzią, jej wychowanką Renią, służącą Karutią. Sanna – zwłaszcza łąkami na jezioro do Abel – już dziś znacznie lepsza, bo od paru dni po trochę z przerwami śnieży. Jechaliśmy z Jadźką w wielkich saniach parokonnych z dzwoneczkami i siatką na koniach. Z Abel podróż pociągiem upłynęła dosyć szybko. W Radziwiliszkach wypadło przesiadać i stamtąd aż pod Kowno przesiedzieliśmy z Jadzią w wagonie restauracyjnym. W Kownie zastaliśmy niespodziankę: wcale dobrą sannę. Toteż saneczkami dojechaliśmy do mieszkania. Przejrzałem korespondencję, którą tu zastałem obfitą. W liczbie listów zastałem dwa zawiadomienia żałobne – dwie klepsydry – o śmierci byłego prezesa Trybunału Międzynarodowego w Hadze, Japończyka sędziego Mineitciro Adatci, z którym miałem zaszczyt kolegować w roku 1932 w Hadze. Jedno z zawiadomień przysyła mi wdowa pani Kanéko Adatci, z domu Takazawa, i zięć zmarłego pan Toshihiko Takatomi, poseł japoński w Hadze. Drugie zawiadomienie pochodzi od samego Trybunału Haskiego. Przypominam sobie suchą, małą, jakby woskową figurkę Adatciego, jego główkę drobną, uważną, jakby zastygłą w wyrazie, nieco naiwną na pozór, ale w gruncie bardzo skupioną, chytrą, głęboko opanowaną.

Wynik pozawczorajszego plebiscytu w Saarze jest następujący: za wcieleniem do Niemiec podano przeszło 90% głosów, za wcielenie do Francji – nieco ponad 1%, za utrzymanie *status quo* – 8%. Tryumf hitleryzmu – wielki. To zwycięstwo Niemiec hitlerowskich zaostrzy i podnieci agresywność niemiecką w stosunku do Austrii, oczywiście też Kłajpedy i innych ziem, oderwanych od Niemiec po wojnie. Utrudni toteż politykę litewską w Kłajpedzie, bo podnieci opór niemiecki w tym kraju i oporność tchórzliwą Litwinów kłajpedzkich, którzy się nie odważają oderwać od swej orientacji politycznej niemieckiej.

16 stycznia, rok 1935, środa

Rozpocząłem urzędowanie na uniwersytecie. Przez czas mojej nieobecności, ponieważ to były wakacje, nic bardzo ważnego nie zaszło, ale bądź co bądź nowiny są, a wśród nich są też nieprzyjemne. Odbyło się jedno posiedzenie senatu akademickiego pod przewodnictwem prorektora Jodeli, który mię wtedy zastępował. Między innymi na tym posiedzeniu zasuspendowano niemiecką korporację studencką „Arminia”, w której działalności ujawniły się prądy agitacyjne nacjonalsocjalistyczne i są poszlaki poważne na to, że korporacja ta szerzyła wśród członków swoich i sympatyków Niemców akcję wrogą państwowości litewskiej, zwłaszcza w stosunku do Kłajpedy. Poszlaki te zostały podniesione przez prasę jeszcze przed świętami i wywołały odruch młodzieży litewskiej. Ja sam wtedy podjąłem w rektoracie inicjatywę reagowania na to, wskutek czego prorektorowi Česnysowi zlecone zostało odpowiednie śledztwo, które jeszcze ukończone nie jest. Ale już poszlaki okazały się tak poważne i obciążające, że senat uznał za właściwe zawiesić działalność korporacji niemieckiej.

O wiele przykrzejsza jest sprawa prof. Krėvė-Mickiewicza. O sprawie tej, aczkolwiek bardzo niedokładnie, dowiedziałem się jeszcze w Bohdaniszkach z karykatury w tygodniku ilustrowanym „Sekmadienis”. Karykatura ta przedstawia mnie w postaci starej babuni – mateczki uniwersytetu – siedzącej w fotelu i robiącej prątkami pończochę; siedzę otyły, jak wyglądałem przed chorobą moją, w pantoflach, u nóg kłębek, którym się bawi kotek, suknia kobieca, w ręku prątki; redaktor naczelny „Lietuvos Aidasu”, literat Atlantis, przyprowadza do mnie małego Krėvė-Mickiewicza, skrzywdzonego do płaczu, zupełnie nagiego, którego trzyma za ucho; w ręku Krėvė-Mickiewicz trzyma książkę, wydaną pod jego imieniem, zatytułowaną „Patarlės ir Priežodžiai”, a z przodu zasłania go numer „Lietuvos Aidasu”, który ma w drugim ręku Atlantis, z artykułem: „Ar tai mokslas?”, i skarży mi złapanego na uczynku chłopaka, że się tylko przysłowiami zakrywa. Z krótkiego przypisku na stronie widać, że „Lietuvos Aidas” wystąpił z artykułem przeciwko wydanemu przez Krėvė-Mickiewicza pod

firmą wydawnictwa uniwersyteckiego zbiorowi przysłów ludowych, zarzucając temu wydawnictwu treść wyraźnie pornograficzną. Tu się dowiedziałem wszystkich szczegółów tej sprawy, nader przykrej dla uniwersytetu. Tu już o niej napisać szczegółowiej nie zdołam, toteż uczynię to innym razem, bo kwestia nie jest jeszcze wyczerpana.

Otrzymałem dziś z Ministerium Spraw Zagranicznych zapytanie, czy zgodziłbym się przyjąć wybór na członka Czechosłowackiej Akademii Nauk i Sztuki. Władze czesko-słowackie zaproponowały Litwie to zaszczytne odznaczenie, prosząc o wskazanie odpowiedniego kandydata. Ten akademik honorowy miałby w Akademii Praskiej reprezentować nie tylko Litwę, ale całą grupę krajów bałtyckich. Nasz minister Lozoraitis zaproponował kandydaturę mnie. Odpowiedziałem, że byłoby to dla mnie zaszczytem

Napisałem dziś list kondolencyjny serdeczny do prezesa Trybunału Międzynarodowego w Hadze z powodu ciężkiej straty, jaką poniósł Trybunał w osobie zmarłego sędziego i ex-prezesa Adatciego. Obecnie prezesem Trybunału, jak wiem z pism, jest sympatyczny i dzielny sędzia – Anglik sir Cecil Hurst.

17 stycznia, rok 1935, czwartek

Mašalaitis zwołał na dziś posiedzenie komisji do spraw kłajpedskich w osobach jego samego, mnie i Urbšysa, z udziałem Starkusa i Kriwickiego. Na obradach była nowa kwestia konstytucyjna, która wypłynęła na porządek kotłujących spraw kłajpedzkich: czy w myśl ustawy wyborczej do sejmiku mandat poselski może przejść z jednej listy, na której cały spis kandydatów jest wyczerpany, na inną listę, która była przy wyborach zblokowana z poprzednią? Niemcy i zainteresowane stronnictwa germanofilskie w Kłajpedzie twierdzą, że to jest dopuszczalne i ustawowe i w myśl tej interpretacji usiłowali już na ostatnim niedoszłym posiedzeniu sejmiku stworzyć precedens faktu dokonanego, do czego wszakże gubernator nie dopuścił wbrew protestom i skandalom zainteresowanych. Teza litewska, którą zdaje się potwierdzać analiza prawnicza ustawy, przeczy temu. Sprawa jest aktualna i ma wagę polityczną. Mandaty kilku posłów niemieckich zostały im na zasadzie ustawy o ochronie bezpieczeństwa państwowego odebrane i mandaty te wakują, ponieważ kandydaci na odpowiednich listach partyjnych są już wyczerpani. Otóż Niemcy chcą na ich miejsce wprowadzić kandydatów z list pokrewnych stronnictw, które były przy wyborach zblokowane. Gdyby się im to udało, przywróciliby swoją większość w sejmiku i wtedy dysponowaliby też możnością utworzenia kworum, dla którego braku posiedzenie sejmiku nie dochodziły do skutku. Polityce litewskiej to jest nie na rękę, bo wtedy sejmik obaliłby dyrektorium litewskie Bruvelaitisa i wszystkie też zarządzenia tegoż na rzecz przywrócenia pozycji narodowej litewskiej w rządach krajowych byłyby unicestwione. Opór gubernatora i władz litewskich, oparty zresztą na zasadnej interpretacji prawniczej przepisów ustawy, chociaż dyktowany niewątpliwie przez względy utylitarne polityki narodowej, napotyka gwałtowne protesty niemieckie, powodowane też naturalnie względami politycznymi walki o niemieckość kraju i naciągające do tychże względów swoją interpretację tychże przepisów. Niemcy sypią skargi do państw sygnatarnych i usiłują dowieść, że władze litewskie rozmyślnie udaremniają możność przywrócenia stanu legalnego w kraju, zakłóconego przez bezwład sejmiku, sztucznie przez Litwę zainscenizowany. Rządy państw sygnatarnych już się niepokoją i gotują do nowej akcji interwencyjnej drogą not dyplomatycznych i żądania wyjaśnień. Sprawa nie jest łatwa. Choć prawniczo w tej kwestii poszczególnej teza litewska jest uzasadniona, ale nie ulega wątpliwości, że akcja polityczna litewska celowo doprowadziła do całej sytuacji obecnej bez wyjścia, choć skądinąd Litwa innej drogi do obrony swej państwowości w Kłajpedzie przeciwko nie przebierającej w środkach niemieckości, systematycznie *per fas et nefas* zmierzającej do oderwania Kłajpedy, nie miała. Ale Niemcy, którzy są nieprzejednani i coraz bardziej ofensywni, czujący się mocni przez silne plecy hitleryzmu w Rzeszy, idą drogami i terroru, i presji, i spisków, i akcji nielegalnej wielkiego

charakteru, i wreszcie skarg i protestów, skandalu, są wrogiem niesłychanie twardym, szczególnie dziś po Saarze i wobec ich flirtu z Polską. Nasza komisja – to tylko rada prawnicza, ale jakie znajdzie wyjście polityczne z całej sytuacji obecnej Litwa – to trudno przewidzieć.

Sprawa kłajpedzka – to wielki problem Litwy i Bałtyku. Litwa ponieść porażki nie może, bo to by dla niej było rana cięższa od rany wileńskiej, rana nieuleczalna i nie do naprawienia. Ale jak może sprawę wygrać – to jest problem łamigłówkowy. Wygrać ją Związkiem Bałtyckim – to jeszcze pono środek za słaby, zwłaszcza że sąsiednie kraje Bałtyku – w szczególności Łotwa – nie są zbytnio zainteresowane w litewskości Kłajpedy; owszem – oderwanie przez Niemcy Kłajpedy od Litwy mogłoby dać głębokie zaplecze Libawie i przez to dogadzać ciasnej utylitarnej spekulacji Łotwy. Ale i w ogóle Związek Bałtycki trzech drobnych respublik – to czynnik polityczny, nie równoważący narastającej potęgi czynnika niemieckiego. Polska – tak, ale Polska Becka jest germanofilska i czucia bałtyckiego nie ma, przyczyniając się do wzmocnienia Niemiec, co oby jej samej na Bałtyku nie zgubiło, i zresztą Polska nie ma, niestety, zrozumienia niepodległości Litwy i dąży do jej zagarnięcia czy opanowania, nie zaś do solidaryzmu.

18 stycznia, rok 1935, piątek

Nawracam do zajścia z książką, wydaną pod firmą uniwersytecką przez prof. Krėvė-Mickiewicza, dziekana Wydziału Humanistycznego i prezesa tzw. „Tautosakos Komisijos" (jest to komisja, utworzona przy Wydziale Humanistycznym dla zbierania i porządkowania materiałów kultury ludowej litewskiej, mieszczącej się w pieśniach, przysłowiach, języku, zabawach, zwyczajach, obrządkach, tańcach itd. ludu). Ostatnia książka, która narobiła hałasu, jest właśnie wydana przez tę komisję, która w budżecie uniwersyteckim posiada własny preliminarz i kredyty. Jak powiadają jednak, w komisji tej o wszystkim decyduje samodzielnie sam Krėvė-Mickiewicz, jej prezes i dziekan wydziału. Książkę tę, mającą stanowić zbiór „przysłów i przypowieści" ludowych, Krėvė czy komisja wydała pod imieniem samego Krėvėgo jako jego pracę i Krėvė zainkasował za nią osobiście honorarium (5000 lt.) i to nawet nie redaktorskie, lecz autorskie. Podobno nawet nie on sam te przysłowia i wyrażenia ludowe zebrał, jeno zbierali studenci i inni. Redakcja zbioru, jak powiadają (ja sam tej książki nie widziałem), jest też bardzo zaniedbana: brak wszelkiego krytycyzmu w doborze i układzie materiału, brak systemu, brak objaśnień, zastrzeżeń... Mówią też, że pod firmą przysłów dużo się do zbiorku wkradło różnych zasłyszanych przygodnych i czysto osobistych wysłowień się tego lub innego osobnika, jakichś wyrażeń stanowiących czasem przeróbkę połajanki rosyjskiej lub zaklęcia, czasem jakieś zdanie lub dowcip osobisty, czasem wprost coś takiego, co może być zakwalifikowane jeno jako zaklęcie parobka pijanego... Co jednak wywołało największy hałas, protesty i reagowanie prasy – to wielka ilość pornografii w tym zbiorku, zgoła nie nadającej się do druku i zabrudzającej całe wydawnictwo. Pod tym względem są tam podobno rzeczy przeraźliwie jaskrawe. Oczywiście taki zbiorek nawet do użytku publicznego, a już tym bardziej do bibliotek publicznych i ludowych, dla których mają być przeznaczone wydawnictwa „Tautosakos Komisijos", zgoła się nie nadaje. Podobno uprzedzono nawet o tym Krėvė-Mickiewicza przed wydaniem zbiorku. Lingwista prof. Skardžius radził mu zrobić tak, jak to uczynili w podobnym wypadku Łotysze: wybrali z materiału zebranego folkloru ludowego to, co miało cechę pornograficzną i moralnie lub seksualnie drastyczną, oddzielili to od wydawnictwa, przeznaczonego na użytek publiczny i wydali osobno „na prawach rękopisów, nie puszczając tego w obieg, jeno przesyłając do bibliotek naukowych, do instytucji i zakładów naukowych poszczególnym też uczonym. Ale Krėvė tej przestrogi nie usłuchał. Jest on uparty i idzie swoimi drogami, nie zważając na opinię i na konsekwencje i lekceważąc wszelkie obserwacje.

19 stycznia, rok 1935, sobota

O przykrym incydencie z wydaną przez prof. Krėvė-Mickiewicza książkę zbioru przysłów ludowych dokończę innym razem. Jeszcze będę miał okazję wrócić do tego przedmiotu. Dziś pomówię o czym innym. O sprawach że tak powiem – „polskich".

Przyjechał z Polski młody prof. Henryk Paszkiewicz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, historyk, autor monografii „Jagiellonowie a Moskwa", której tom I wyszedł przed rokiem z druku, nad przygotowaniem zaś do druku tomu II Paszkiewicz pracuje obecnie. Prof. Paszkiewicz, choć sam urodzony i wychowany już w Polsce, pochodzi z Litwy. Jego ojciec umie jeszcze trochę po litewsku, a jego dziad, który mieszkał w okolicy Łyntup pod Święcianami, doskonale mówił po litewsku i był krewnym bliskim Dyonizego Paszkiewicza ze Żmudzi, znanego pisarza i poety litewskiego z pierwszej części wieku XIX, który pisał pod imieniem „Dyonizas Poška". Dziad prof. Paszkiewicza czy też pradziad korespondował nawet z Dyonizym Poszką na wpół po litewsku, na wpół po polsku, i u prof. Paszkiewicza zachowały się jeszcze listy, pisane przez Poszkę. Prof. Paszkiewicz, dla którego ja się na jego prośbę wystarałem o pozwolenie na przyjazd do Litwy, chciał poznać osobiście kraj swoich przodków dla którego żywi, jak powiada, szczerą i gorącą sympatię, i zarazem chciał się zapoznać osobiście z historykami litewskimi i ich dorobkiem literacko-naukowym, głównie w stosunku do dziejów Witolda Wielkiego, nad którymi pracuje i w ogóle dla utrzymania kontaktu naukowego nadal. Zaprosiłem go jutro do siebie na herbatkę, na którą zapraszam też grono historyków litewskich i ludzi bliskich sprawom historycznym.

Kontakt indywidualny naukowy jest niemal jedynym terenem, a przynajmniej jednym z bardzo nielicznych i zresztą ograniczonych, który jest dostępny nawiązaniu stosunków przyjaźniejszych polsko-litewskich. Poniekąd terenem takim jest też dziennikarstwo. Mamy tu i mieliśmy kilku dziennikarzy polskich, którzy tu dłuższy czas spędzili i z Litwą się nieźle zapoznali – Szummer, Merger (czy Mergiel?), ten ostatni bardzo sympatyzował Litwie i sam tu w kołach literacko-dziennikarsko-artystycznych duże sympatie pozyskał, a stale i teraz siedzi tu Katelbach. Obecnie wreszcie pojechał po raz pierwszy na stałe do Polski – do Warszawy, jako korespondent stały „Lietuvos Aidasa", młody Gustainis. Wyjazd Gustainisa do Warszawy jest dla pewnego zbliżenia polsko-litewskiego dodatni: Gustainis jest młody, niegłupi, pozna z łatwością stosunki polskie, zorientuje się w nich i będzie u nas potem jednym z młodych, którzy przedmiotowo i bezpośrednio znać i rozumieć będą Polskę. A znajomości tej i zrozumienia u nas wśród młodzieży za mało. Młode pokolenie, które od dzieciństwa wyrosło w atmosferze sporu wileńskiego, agitacji „Vilniui Vaduoti Sąjungi" i „Šaulių Sąjungi", w uczuciach nienawiści do Polski, która w ich rozumieniu stanowi jakąś bandę zbójecką, czyhającą jeno na pożarcie Litwy i pozbawioną wszelkich uczuć ludzkich, jest nieprzejednana. Gruby mur nienawiści i przesądnego wstrętu dzieli młodą Litwę nie tylko od poznania rzeczywistości polskiej, ale nawet od jakiegokolwiek krytycyzmu i próby kontaktu. Nie sądzę, aby zamiar Katelbacha zainicjowania w tym roku wycieczki młodzieży z Polski do Litwy udał się, gdyby nawet udało się dla takiej wycieczki uzyskać pozwolenie władz na przyjazd. Młodzież litewska nie zechce wejść z tą wycieczką w kontakt i w najlepszym razie odpowie bojkotem biernym. Nie znajdzie się żadna grupa młodzieży litewskiej, która by się odważyła nawiązać zbiorowo kontakt z wycieczką młodzieży polskiej. Tak sądzę, znając usposobienie naszej młodzieży litewskiej. Zdawałaby się, że terenem dla kontaktu czysto uczuciowego i kulturalnego poza wszelką sferą konfliktów politycznych – mogłaby być sztuka. Prawda, na ekranie filmowym śpiewak polski Kiepura zyskał już prawo obywatelstwa – nie bojkotują kinematografów, w których Kiepura się produkuje. Ale oto przyjeżdża tu do Kowna znana wybitna śpiewaczka polska Turska-Bandrowska, która pojutrze wystąpi z koncertem w teatrze państwowym. Zdawałoby się – co w tym może być szkodliwego dla Litwy! Ale oto słychać, że będzie przyjęta zimno i sztywno, bez żadnego spotykania i odprowadzania. Można się nawet było obawiać, że na przedstawieniu

Bandrowskiej młodzież dopuści się jakichś ekscesów. Na szczęście, do tego, zdaje się, nie dojdzie. Zwracał się dziś do mnie jako rektora w tej kwestii student Kairelis w imieniu związku stowarzyszeń akademickich litewskich. Jutro odbędą się w tej sprawie posiedzenia. Wezwę młodzież do wstrzymania się bezwzględnego do wszelkich ekscesów i aktów czynnych protestu, ale ogłoszę bojkot bierny koncertu, wzywając młodzież nie iść do teatru na koncert. Smutna jest ta nienawiść, ale, Panie Marszałku, kto sieje wiatr – ten zbiera burzę.

20 stycznia, rok 1935, niedziela

Pisać będę jeszcze o sprawach „polskich", choć miałbym do pisania też o dzisiejszym zebraniu akademickim w prawie Kłajpedy, na którym przemawiał minister Šiling i odczyt wygłosiłem ja, także o ciekawej i ważnej kwestii, którąśmy rozważali dziś rano w komisji do spraw kłajpedzkich z udziałem gubernatora Navakasa. Ale o tych rzeczach postaram się napisać jutro, dzisiaj zaś pomówię jeszcze w sprawach „polskich".

Przede wszystkim zaznaczę, że sprawa wystąpienia młodzieży akademickiej litewskiej z oświadczeniem bojkotowym w stosunku do koncertu śpiewaczki polskiej Turskiej-Bandrowskiej została szczęśliwie zlikwidowana. Oświadczenie takie zostało zażegnane. Jest to zasługa prorektora Česnysa, który na odpowiednie informacje, udzielone mu przez studenta Kairelisa, zareagował zwróceniem się do ministra Lozoraitisa dla zasięgnięcia opinii rządowej. Lozoraitis potępił taką akcję i prorektor zakomunikował o tym Kairelisowi. Młodzież karnie uległa; dobrze się stało i mnie kamień spadł z serca, bo mię ta rzecz szczerze bolała. Mam nadzieję, że do żadnych zajść na koncercie tym jutro nie dojdzie. Dobre już przynajmniej i to. Ale smutno, że nawet na terenie czystej sztuki zupełnie apolitycznej i prywatnej zachodzą takie kwestie i nie ma sposobu jakiegoś kontaktu życzliwego. I w każdym razie koncert ten przejdzie w atmosferze sztywności zupełnej ze strony litewskiej. Młodzież dała się powstrzymać nie tylko od ekscesów, ale nawet od jakiegokolwiek nieprzyjaznego wystąpienia zbiorowego, ale bądź co bądź pozostał u niej nastrój niechętny w stosunku do koncertu – protest cichy. Ze względu przeto na to i ja sam na koncert ten nie pójdę, ponieważ jestem rektorem i muszę się liczyć z panującym nastrojem młodzieży, aby zbyt jaskawie się nie wyróżniać i nie prowokować nastroju. Przykre mi to jest niezmiernie. Gdybym był tylko profesorem – nie miałbym powodu do krępowania się tymi względami na przedstawicielstwo uniwersytetu,ześrodkowane w mojej osobie.

Był u mnie wczoraj młody Narutowicz z Barwik, syn śp. Stanisława Narutowicz, który odebrał sobie życie przez paru laty i synowiec rodzony śp. Gabriela Narutowicza, pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polski, tragicznie zamordowanego przed laty kilkunastu w Warszawie. Ten młody człowiek, synowiec tego Prezydenta Polski i syn człowieka, który był jednym z tych, co podpisali Akt Niepodległości Litwy z d. 16.II.1918, jest chory dwoistością polsko-litewską, której z siebie wyplenić ani na rzecz jednostronną polską, ani na rzecz litewską nie umie i męczy się rozdźwiękiem tragicznym Polski i Litwy tak samo, jak się męczył i chorował na to jego ojciec, którego też to właśnie do samobójstwa doprowadziło. Narutowicz wrócił właśnie z Polski, w której był, zdaje się, po raz pierwszy. Wrócił pod wielkim wrażeniem i jeszcze bardziej chory. Zgłosił się do mnie, zakomunikował mi pozdrowienie serdeczne od Sławka, jednego z najbliższych i najwierniejszych ludzi Piłsudskiego. Sławek – to człowiek niewątpliwie niepospolity. Były członek czynny Bojówki z roku 1905, terrorysta czynny, człowiek nie tyle zdolny, ile oddany Piłsudskiemu i jego robocie do zupełnego zaparcia się siebie, były minister i nawet prezes ministrów, obecnie prezes „B.-B." (Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem) w Senacie czy też Sejmie, był w czasie okupacji niemieckiej jednym z głównych agentów konspiracyjnej akcji Piłsudskiego, centralizującym całą tę akcję i jej kierownikiem politycznym. Takim jest dotąd. Znałem go dobrze i stykałem się z nim w Warszawie w roku 1916. Narutowicz był z nim teraz w kontakcie bliskim i mam wrażenie, że ma od niego pewne instrukcje, ale nie bardzo wie, jak

się zabrać do wytwarzania tu jakichś zawiązków zbliżenia polsko-litewskiego, któremu całym sercem współczuje i do którego tęskni. Nie wie, do kogo się zwrócić z Litwinów, gdzie szukać oparcia i początku. Stykał się on tamże z założoną w Warszawie organizacją Związku Przyjaciół Litwy. Biedny i sympatyczny chłopiec. Współczuję szczerze, ale nie sądzę, żeby coś zrobić zdołał. Jest zbyt uczuciowy na to, mało zna ludzi, nie poruszy ani Polaków litewskich, ani Litwinów, a tacy dwoiści, jak ja – to unikaty.

21 stycznia, rok 1935, poniedziałek

I jeszcze siedzę w sprawach „polskich”. Nie są to właściwie „sprawy polskie” w znaczeniu spraw, dotyczących Polski, ale poszczególne epizody moje i tutejsze, które mają kontakt z polskością.

Wspominałem już o przyjeździe prof. Henryka Paszkiewicza z Warszawy. Dla ułatwienia mu nawiązania kontaktu z historykami litewskimi zaprosiłem wczoraj na wieczór do siebie na herbatkę prof. Paszkiewicza i kilkunastu Litwinów ze świata naukowego historyków albo mających kontakt z historią. Zaprosiłem profesorów Janulaitisa, Jonynasa, Łappo, Michała Biržiškę, Galaunė, Krėvė-Mickiewicza, historyka Konstantego Jabłońskiego, który rozpoczął lektorat na uniwersytecie, młodych uczonych historyków uniwersytetu – Iwińskiego, Šapokę i Purėnasa, prahistoryka Tarasenkę, amatora prahistoryka sędziego Grigaitisa i wreszcie młodego Narutowicza. Nie stawił się tylko Jonynas, który bawi w Rydze, prof. Łappo, który jest chory i młody profesor czy asystent Purėnas. Inni przyszli wszyscy. Herbatka przeszła w miłym i serdecznym usposobieniu. Rozmawiano prywatnie, poza tym prof. Paszkiewicz informował o swoich pracach, o stosunkach naukowych w Polsce, o pracach historyków polskich. Bardzo miłe wrażenie sprawili na mnie dwaj nasi młodzi historycy – Zenon Iwiński i Šapoka, których właściwie dziś dopiero poznałem.

Miałbym jeszcze w „polonicach” moich powiedzieć o odgłosach, które wywołały niektóre ostatnie artykuły moje w „Przeglądzie Wileńskim”, w szczególności o napaści niespodziewanej Herbaczewskiego, który zaatakował mię bardzo ostro na swój sposób histeryczny (nie historyczny) w „Kurierze Wileńskim”. Ale o tych rzeczach pomówię innym razem.

Teraz powiem o wczorajszym obchodzie kłajpedzkim na uniwersytecie. Był to obchód przeważnie studencki, zainicjowany przez stowarzyszenie studentów Kłajpedczyków „Mažoji Lietuva”. W dłuższym przemówieniu wystąpił na tym obchodzie minister Šiling, który obecnie z wielką skwapliwością przyjmuje wszelkie zaproszenia do studentów i przemawia na nich, jak również na zebraniach wojskowych. Środowisko wojskowe i środowisko młodzieży akademickiej, dwa żywe ośrodki ruchu społecznego, dwa żywe czynniki opinii publicznej i fermentu politycznego – pociągają Šilinga, który szuka popularności i na nich ją sobie wytwarza. Šiling umie przemawiać – ma talent wybitny w tym kierunku. Mowy jego są pięknie skonstruowane i zapalne. Przemówienia jego na tym wiecu kłajpedzkim młodzieży było przez młodzież przyjęte entuzjastycznie i obudziło gorący odruch manifestacyjny uznania i wierności rządowi. Po przemówieniu Šilinga wygłosiłem mój odczyt pod tytułem „Litwa w problemacie bałtyckim”, który, zdaje się, był przyjęty z uznaniem. Zasadnicza myśl mojego odczytu jest zawsze ta sama. Walka o Kłajpedę jest jednym z kardynalnych momentów obrony wolności Bałtyku; orientacja Litwy nie może być inna, jak bałtycka; jest to orientacja historyczna, nakazująca jej solidaryzm z innymi wolnymi krajami Bałtyku, nie wyłączając Polski, objętej tym solidaryzmem, aczkolwiek, niestety, rozpraszającej się orientacyjnie, jak wszystkie kraje zaplecza (hinterlandu); przedmiotem walki, tworzącej solidaryzm, jest udaremnienie germańskiego „Drang nach Osten”, którego twierdzą i awangardą są Prusy współczesne; metodą realizowania polityki bałtyckiej litewskiej może być dziś tylko związek wolnych krajów wybrzeża bałtyckiego – Litwy, Łotwy i Estonii – a następnie ustosunkowanie się solidarystyczne tego związku zorganizowanego do Polski, o ile

tylko Polska wyrzecze się swej metody imperialistycznej w stosunku do wybrzeża bałtyckiego i skądinąd o ile w samej Polsce orientacja bałtycka wyraźnie się utrwali, co wszakże nastąpić logicznie musi. Nie wiem dlaczego dzisiejszy „Lietuvos Aidas", chwaląc mój odczyt wczorajszy, twierdzi, że był on skierowany ostro przeciwko Polsce. Właśnie odwrotnie. Do niczego bardziej nie tęsknię, jak do solidaryzmu polsko-litewskiego, w który też wierzę głęboko i wiarę tę propagować pragnę i usiłuję. Tylko że warunkiem tego solidaryzmu jest zanik imperializmu polskiego, który dotychczas w Polsce, niestety, trzyma się mocno. Nie Polska, lecz imperializm polski jest wrogiem tego solidaryzmu, wrogiem, w którego uderzam.

22 stycznia, rok 1935, wtorek

Jak dziś z gazet dowiaduję, koncert śpiewaczki polskiej Turskiej-Bandrowskiej, na którym, niestety, nie byłem, udał się dobrze. Ten koncert – to była pierwsza jaskółka kontaktu kulturalnego Litwy z Polską od lat kilkunastu, od samego powstania niepodległych państw Litwy i Polski. Zdaje się, że to jest owocem zabiegów przyjaciela Litwy, publicysty polskiego Mergiela, który parę lat spędził w Litwie, poznał ją, ocenił i stał się jej przyjacielem i rzecznikiem zbliżenia. Z jego to inicjatywy ukazał się w roku zeszłym czy pozaprzeszłym zeszyt litewski warszawskich „Wiadomości Literackich", poświęcony kulturze i sztuce litewskiej, bardzo sympatycznie i serdecznie je traktujący. Dzięki Bogu, nie było żadnego bojkotu koncertu Turskiej-Bandrowskiej i zostało zażegnane demonstracyjne wystąpienie młodzieży akademickiej, której część była usposobiona do tej skromnej manifestacji kontaktu kulturalnego wrogo. Koncert miał powodzenie, publiczność bardzo licznie zapełniła salę teatralną, artystka otrzymała kwiaty, prasa bardzo dodatnio oceniła wartość artystyczną koncertu. Artystce nie szczędzono oklasków. Jedną piosenkę odśpiewała nawet po litewsku i jedną – po polsku, zresztą zaś śpiewała w językach „neutralnych" (niestety!). Było wprawdzie parę zgrzytów, ale jeszcze nie najstraszniejszych. Zacytuję tylko dwa, bo czy było ich więcej – tego nie wiem. Jeden z nich większego znaczenia nie ma, choć niby jest jaskrawszy. Oto gdy artystka jedną piosnkę śpiewać zaczęła po polsku – ktoś tam z publiczności zagwizdał. Wszakże publiczność zareagowała przeciwko temu oklaskami owacyjnymi dla artystki i niekulturalny protest umilkł, artystka zaś dokończyła piosnki. Gorszy wydaje mi się zgrzyt drugi, chociaż jest on bardziej kurtuazyjny i gładki. Oto „Lietuvos Aidas" – dziennik narodowców i organ rządowy w numerze dzisiejszym w recenzji z koncertu Turskiej-Bandrowskiej, recenzji na ogół dodatniej, w której nie szczędzi uznania dla talentu i wykonania artystki, wyraża niezadowolenie z tego, że jedna z piosnek odśpiewana została po polsku. Wprawdzie zachowuje kurtuazję względem artystki, zastrzega, że nie czyni z tego zarzutu jej osobiście jako niezorientowanej, ale wyraża żal, że ci, co urządzili koncert, nie ostrzegli jej, iż dźwięki języka polskiego z estrady teatru państwowego mogą obrażać uczucia narodowe Litwinów, których Polska tak boleśnie skrzywdziła. Ten zgrzyt jest, powiadam, gorszy dlatego, że stanowi opinię miarodajną urzędówki, z którą się liczą narodowcy i – co może jeszcze ważniejsze – różni liczni karierowicze, podszywający się pod narodowców i że takie oświadczenie, które dziś jest zastrzeżeniem *post factum*, może się stać na przyszłość precedensowym zastrzeżeniem *ante factum*, utrudniającym kontynuowanie kontaktu i dającym gorącym adeptom skrajnego nacjonalizmu pewne kryterium do wszczynania na przyszłość skandali. Jakiekolwiek bądź spory i zatargi dzielą Litwę i Polskę – to przecież sam język polski jest językiem bardzo popularnym Wileńszczyzny, którą sama Litwa uważa wszak za litewską, nie mówiąc o tym, że w tym języku polskim Litwa była wielekroć gloryfikowana. Język polski jest językiem nie tylko Piłsudskiego i tych, co dokonali zaboru Wilna, ale też językiem wielu Litwinów i obywateli Litwy, językiem Wilna, językiem Adama Mickiewicza etc. etc.

23 stycznia, rok 1935, środa

Miałbym do pisania, ale czasu nie mam.

Byłem u doktora. Dr Gudowicz zbadał mię i jest bardzo zadowolony z mego stanu. Serce w dobrym stanie, w ogóle wszystko dobrze. Wygląd mój jest coraz lepszy. Waga jeszcze trochę spadła. W ubraniu dolnym i bucikach ważyłem u doktora 84 kilogramy, a bez ubrania rano – 82-83 kilo.

24 stycznia, rok 1935, czwartek

Dziś miałem dzień tak przeładowany i zarazem rozproszony, że nic z mojego programu prac domowych wykonać nie zdołałem.

Rano od godz. dziewiątej do jedenastej miałem wykład kursu skróconego części ogólnej prawa konstytucyjnego dla ekonomistów. Potem do przeszło dwunastej – colloquium u tychże ekonomistów. Następnie w gabinecie rektorskim załatwiałem z naczelnikiem kancelarii Zygmuntem Gurewiczem sprawy bieżące i studiowałem papiery do porządku dziennego wieczornego posiedzenia senatu akademickiego. Następnie do godziny przeszło drugiej miałem posiedzenie rektoratu w osobach mojej, obu prorektorów – profesorów Česnysa i Jodeli – i sekretarza prof. Purėnasa. Na posiedzeniu tym rozpoznaliśmy trzy kwestie: a. sprawa niemieckiej organizacji studentek „Arminia"; męska korporacja „Arminia" jest z mocy uchwały senatu ze względu na jej akcję nacjonalsocjalistyczną (w duchu hitleryzmu) o charakterze antypaństwowym – zawieszona; chodziło o to, czy zarządzenie to ogarnia też „Arminię" żeńską; stwierdziliśmy, że obie organizacje są ze sobą związane i uznaliśmy, że „Arminia" zawieszona jest także w swojej połowie żeńskiej; b. sprawa organizacji studenckiej „aušrininków" o charakterze rewolucyjno-socjalistycznym; kilku ich przywódców zostało z rozkazu komendanta wojennego wysłanych z Kowna do miejsc ich zamieszkania; pozostali prosili o wstawiennictwo; tymczasem komendantura poinformowała uniwersytet, że organizowali oni rzekomo jakąś akcję terrorystyczną, co zapewne jest przesadzone, bo gdyby istotnie miano w ręku dowody organizacji terrorystycznej, to nie ograniczono by się wysłaniem winowajców, jeno z pewnością oddano by ich pod sąd wojenny; jednocześnie komendantura poinformowała o tym, że w stowarzyszeniu tym odbywały się odczyty na temat anarchizmu, zabarwione propagandą zasad anarchistycznych; rektorat uznał, ze powodu do jakichś represji nie ma, bo odczyty takie odbywały się za wiedzą prorektora, natomiast co do tego, czy miały one cechę propagandy i nawoływania do jakichś wystąpień czynnych, rektorat polecił prorektorowi rzecz zbadać; uznano też, że należy prosić ministra wojny, aby zechciał sam przejrzeć akta sprawy wysłanych dla przekonania się, czy istotnie zarzuty terroryzmu są uzasadnione i gdyby uzasadnione nie były – prosić o odwołanie wysłania, aby młodzi chłopcy mogli kontynuować studia; c. sprawa książki „Patarlės i priežodžiai" prof. Krėvė-Mickiewicza; uznano, że sprawę należy podnieść i rozpoznać w senacie ze względu tak na zarzucane wady wydawnictwa, jak na zarzut pobrania przez Krėvė-Mickiewicza honorarium autorskiego zamiast redaktorskiego. O godz. trzeciej u mnie na obiedzie obecni byli prof. Henryk Paszkiewicz, który już jutro opuszcza Kowno i dwaj nasi profesorowie – prof. Krėvė-Mickiewicz i prof. Wacław Biržiška. Prof. Paszkiewicz w ciągu tych dni kilku dużo się nagawędził z historykami litewskimi, poznał ich prace, porozumiał się i nawiązał kontakt, poinformował się o wszystkim, omówił z nimi swoje projekty zainicjowania w Warszawie zawiązku instytutu litewskiego, wymiany naukowej itd. Wrażenia jego są dobre i jeszcze lepsze są jego chęci. Niestety – nie są to rzeczy łatwe do zrealizowania, o ile o kontakt ciągły chodzi.

O godz. szóstej byłem w poselstwie sowieckim na herbatce pożegnalnej dla dwóch profesorów medycyny z Moskwy, którzy byli gośćmi Wydziału Medycznego i wygłosili kilka wykładów na kursach uzupełniających dla lekarzy prowincjonalnych w Litwie. Herbatka w poselstwie sowieckim, jak zawsze odznaczała się wyszukaną ucztą gastronomiczną

wspaniałych przekąsek i konserw oraz win i wódek. Był przeważnie świat medycyny i uniwersytetu.

25 stycznia, rok 1935, piątek

Na wczorajszym posiedzeniu senatu akademickiego do rozpoznania dwóch kapitalnych spraw bieżących – sprawy książki Krėvė-Mickiewicza „Patarlės ir priežodžiai" i sprawy tzw. przedstawicielstwa studenckiego, czyli sejmiku akademickiego – nie doszło. Ja sam się na to posiedzenie spóźniłem, będąc poprzednio na herbatce w poselstwie sowieckim. Szereg spraw drobniejszych załatwił na tym posiedzeniu w moim zastępstwie prorektor Česnys, ale pomimo to porządek dzienny był tak przeładowany sprawami detalicznymi, wymagającymi wszakże nieraz dłuższych debat i wyjaśnień, które się przeciągnęły aż do pół do jedenastej, że tych dwóch spraw kapitalnych pod obrady już nie wniosłem i zaproponowałem senatowi zwołanie specjalnego posiedzenia dla tych dwóch spraw na przyszły czwartek, co też zostało przyjęte. Zresztą w sprawie książki prof. Krėvė-Mickiewicza zwróciłem uwagę na to, że należałoby wpierw zasięgnąć w tej kwestii opinii Rady Wydziału Humanistycznego jako najbardziej kompetentnej i do której w pierwszym rzędzie należy dozór bezpośredni tego, co się w wydziale robi. Sprawa tej książki nie jest zupełnie wyraźna. Potępienie prof. Krėvė-Mickiewicza bez głębokiego wejrzenia w istotę rzeczy nie jest wcale tak łatwe, jak się to wydaje tym, co wszczęli alarm. W senacie najbardziej skłonny do potępienia jest Žemaitis, ale to jeszcze wcale wyraźne nie jest. Bądź co bądź jest to materiał naukowy, który jest taki, jaki jest. Co innego – czy się to do rozpowszechnienia publicznego i sprzedaży otwartej nadaje. Gorzej się zarysowuje rzecz co do honorarium, jeżeli prawdą jest, że Krėvė-Mickiewicz pobrał pełne honorarium autorskie. Rzecz jest jeszcze do wyjaśnienia. Ale wyjaśnić ją nam trzeba rzetelnie i dokładnie, bo w mieście już podniesiony skandal, opinia publiczna zaalarmowana, wrogowie uniwersytetu, których jest niemało i którzy się rekrutują bądź z tych licznych, co zazdroszczą, że sami w nim nie są, bądź z tych, dla których solą w oku jest autonomia uniwersytecka, kują z tych zarzutów broń dla domagania się ustanowienia specjalnej cenzury wydawnictw uniwersyteckich i ustanowienia rozmaitych innych środków ujarzmienia akcji uniwersytetu. Musimy zająć w tej sprawie stanowisko określone i wyraźne, żeby się nie wydawało, że wszystko jest u nas przygodne i że sami nie wiemy, co się u nas robi i czy to, co się robi, jest dobre czy złe.

Zostałem dziś pod wieczór wezwany na posiedzenia do Prezydenta Rzeczypospolitej, na którym prócz Prezydenta obecni byli: prezes ministrów Tubelis, minister sprawiedliwości Šiling, minister spraw zagranicznych Lozoraitis, Mašalaitis i ja. Posiedzenie miało na celu omówienie projektu ustawy o sądzie statutowym dla spraw kłajpedzkich, już przyjętego przez Gabinet Ministrów i zależnego już tylko od Prezydenta. Zdaje się, że już dojdzie do wydania tej ustawy, choć jeszcze pewne wątpliwości i wahania są. Niezupełnie wolny jest od nich sam Prezydent, a Tubelis w ogóle nie jest zwolennikiem tej ustawy, bojąc się, że ucierpi na tym elastyczność możliwości, istniejąca obecnie, zaś między Šilingiem i Lozoraitisem są pewne tarcia w przedmiocie niektórych dyspozycji projektu. Mnie się zdaje, że ustawa ta jest użyteczna i zasadna. Wątpliwości mogą zachodzić tylko w stosunku do zaskarżalności ustaw sejmikowych, dla których legalności statutowej statut ustanowił i specjalnie skonstruował veto gubernatora o charakterze sądowniczym, wobec czego zaskarżanie i obalanie ustaw niewetowanych może być statutowo kwestionowane.

Ale w końcu posiedzenia wyłoniła się kwestia donioślejsza i trudniejsza.

26 stycznia, rok 1935, sobota

Rozmawiałem z Krėvė-Mickiewiczem w sprawie jego głośnej książki „Patarlės ir priežodžiai". Poprzednio sprawdziłem w buchalterii sprawę rachunków i orderów na opłatę druku i honorarium za tę książkę. Przekonałem się z wielką ulgą, że twierdzenia o pobraniu

przez prof. Krėvė-Mickiewicza maksymalnego honorarium autorskiego są przesadne. To honorarium maksymalne, przewidziane za oryginalne poważne i wielkie prace naukowe, wynosi podług taksy rządowej po 260 litów za arkusz druku. Krėvė policzył i pobrał po 150 litów za arkusz. Wynosi to co prawda znacznie więcej, niż opłata redaktorska, wynosząca ± po 30 lt. od arkusza, ale podług udzielonych mi przez Krėvėgo wyjaśnień kto wie, czy nie ma on racji. Norma 150 lt. przewiduje prace lżejszej nieco treści, w których intensywność naukowa pracy jest mniejsza. Krėvė powiada, że posiada on wielki zbiór kilkudziesięciu tysięcy zapisanych wyrażeń, przysłów i przypowieści ludowych z różnych, bodajże przeważnie wschodnich miejscowości Litwy, na które się w szczególności składają duże, po kilka tysięcy numerów liczące, zbiory poszczególnych starszych lub dziś już zmarłych znanych księży z Trok, Merecza, Oran i inne. Do zakwestionowanej książki trafiła część tego zbioru, stanowiącego dziś własność Krėvėgo. Krėvė powiada, że gdyby np. zechciał spieniężyć ten swój zbiór w Polsce lub w świecie naukowym niemieckim, dla którego lituanistyka ma wielką wagę, mógłby śmiało zażądać ze 20 tysięcy litów. W tej proporcji te 5000 lt., które wziął tytułem honorarium, stanowią pozycję bardzo umiarkowaną. *In merito* Krėvė powiada, że tekst nieprzyzwoity niektórych przypowieści nic strasznego ani osobliwego nie stanowi. Naiwne jest sądzenie, że lud litewski jest jakiś szczególny, który nic dosadnego i drastycznego w swoim kapitale językowym nie posiada i tylko salonowo lub sentymentalnie i pensjonarsko się wyraża jak rycerze, kawalerowie salonowi, tancerze lub dobrze wychowane panienki. Wskazuje on, że takie i jeszcze o wiele drastyczniejsze rzeczy trafiają się w analogicznych wydaniach rosyjskich, polskich, francuskich i innych. Krėvė jest bardzo poruszony i nerwowo podniecony całą tą sprawą. Powiada, że jest to jednym z elementów intrygi, którą od dawna prowadzi przeciwko niemu grupa „Naujoji Romuva", łącząca klerykalizm z reakcyjnym nacjonalizmem i karierowiczostwem, do której należy też dr Juška, młody dyrektor Departamentu Kultury w Ministerium Oświaty, centralizujący w swoim ręku sprawy uniwersyteckie. Cała ta grupa od dawna szczuje na Krėvėgo i szuka zaczepki do ataku na niego. Może w dużym stopniu Krėvė ma rację. Sprawę będziemy rozpoznawać w senacie akademickim we czwartek. Bodajże najwyraźniejszą usterkę w całej tej przykrej sprawie jest to, że tych kawałków nieprzyzwoitych redakcja nie wydzieliła w zeszyt osobny i uczyniła przez to cały nakład nie nadającym się do sprzedaży publicznej i użytku powszechnego. I może też to, że nie zaopatrzyła wydawnictwa w przypiski krytyczne. Zaczekajmy jeszcze na debaty czwartkowe.

Odbyłem dziś osobiście pierwsze w tym roku seminarium prawa konstytucyjnego, którego kierownictwo oddaję memu asystentowi Konstantemu Raczkowskiemu. Ze względu na to seminarium nie mogłem być na dorocznym walnym zebraniu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Napisałem tylko do zarządu (załączając moją składkę członkowską), prosząc o niewybieranie mię do zarządu, ponieważ moje obowiązki nie dają mi możności sumiennie pracować w tym zarządzie. Mam jednak wrażenie, że i bez tego nie zostałbym wybrany, bo w tym towarzystwie dominuje świat sądowo-adwokacki, dla którego już od lat kilku stałem się obcy.

Dziś wieczorem w lokalu żydowskiego Towarzystwa „Ore" miało miejsce zebranie żałobne dla uczczenia pamięci znanego i wybitnego działacza żydowskiego dr Szabada w Wilnie, który zmarł przed kilku dniami. Dr Szabada znałem dobrze, ceniłem, szanowałem i kochałem. Był to człowiek wielkich zalet. Był on bratem naszym w Wilnie, wolnomularzem, z którym w jesieni roku 1914 byłem w Petersburgu na pamiętnym dla mnie kongresie masońskim Wielkiego Wschodu Narodów Rosji. Na ręce organizatorów obchodu ku uczczeniu pamięci Szabada przesłałem serdeczne i gorące wyrazy żalu.

27 stycznia, rok 1935, niedziela

Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Poza tym po obiedzie z domu nie wychodziłem. Na kawie byli u mnie Eugeniuszostwo Römerowie z córką Gienią, potem był Bolesław Stadziewicz, który jest obecnie komornikiem sądowym (zresztą był on u mnie bynajmniej nie w tym charakterze urzędowym jako komornik, co byłoby smutne), wreszcie – Diskin.

Z Eugeniuszem dużośmy gawędzili o napaści dziennikarskiej Herbaczewskiego na mnie i o innych echach tej sprawy w prasie polskiej, o czym chcę jeszcze osobno w dzienniku innym razem pomówić. Rozmawialiśmy też o świeżych zarządzeniach władz litewskich w sprawie używania w prasie mniejszościowej nazw miejscowości i nazwisk osobistych w brzmieniu litewskim, wreszcie o przykrej sprawie Turskiej-Bandrowskiej. Prasa lokalna polska (w Litwie) jest w wielkim kłopocie ze względu na zarządzenie litwinizacyjne nazw i nazwisk. Nie tylko Kowno musi być przymusowo nazywane Kaunasem, i nie tylko Wilno – Vilniusem, a Grodno – Gardinasem, ale także wszystkie nazwy lokalne muszą być drukowane wyłącznie w brzmieniu litewskim. Również „Dzień Kowieński“ nie może się nazywać odtąd w druku „Kowieńskim“ itd. Kłopot to i trudność nie lada. Radykalna i dość niezwykła! Ale modernistyczna.

Sprawa Turskiej-Bandrowskiej przykrą jest i bolesną przez to, że ze względu na odśpiewanie przez artystkę Polkę, goszczącą w Litwie, jednej jedynej nadprogramowej piosenki po polsku władze nakazały jej przerwać dalsze występy, które miały polegać na dwukrotnym wystąpieniu jej w operze litewskiej, choć w operze miała ona śpiewać po francusku czy włosku. Smutne i przykre. I dość barbarzyńskie. Takie odium języka polskiego – to już przesada i obraza uczuć tych Polaków litewskich i nawet Litwinów, dla których mowa polska jest mową rodzinną i domową. Jest to też dziwne i wcale nie kurtuazyjne traktowanie gościa, którego się dopuściło do przyjazdu i wystąpienia artystycznego publicznego. Nie rozumiem zgoła tej przesady.

28 stycznia, rok 1935, poniedziałek

Dowiedziałem się z gazet dzisiejszych, że w sobotę pozawczoraj 26 stycznia doroczne walne zgromadzenie Litewskiego Towarzystwa Prawniczego („Lietuvos Teisininkų Draugija”) uchwaliło mianować mię członkiem honorowym Towarzystwa. Tytuł ten udzielony został trzem osobom: prezesowi Rady Adwokackiej prof. Piotrowi Leonasowi, mnie i prezesowi wydziału cywilnego w Trybunale Najwyższym sędziemu Maciejowi Čepasowi. Jest to naturalnie zaszczyt, tytuł honorowy w świecie prawniczym. Ale jakoś te tytuły honorowe zaczynają się sypać na mnie. Jestem filistrem honorowym korporacji studenckiej „Fraternitas Juvenum”, szefem korporacji akademickiej „Unitas”, członkiem honorowym stowarzyszenia akademickiego „Vytauto Didžiojo Universiteto Studentų Teisininkų ir Ekonomistų Draugija”, członkiem-korespondentem „Institutul Regal de stiinte Administrative al Romaniei” w Bukareszcie, obecnie członkiem honorowym „Lietuvos Teisininkų Draugijos”, przedstawiony za kandydata na członka Instytutu czy też Akademii Czechosłowackiej „Nauki i Sztuki” w Pradze, na uniwersytecie naszym stanąłem u szczytu jako profesor zwyczajny, doktor praw i rektor i już wyżej awansować nie mogę, bo nie ma dokąd. Te zaszczyty i zwłaszcza tytuły honorowe mają być niby rzeczą przyjemną jako plon uznania, zdobytego pracą i zasługą, ale skądinąd znaczą one także to, że już się doszło tam, gdzie się zaczyna bezwład. Jest to rodzaj premiowania starości po ukończeniu dzieła życia. Świadczyć się to zdaje, że środowisko, w którym się działa, zaczyna na człowieka patrzeć jak na zasłużonego emeryta, którego się już opłaca honorami, ale się już od niego nie czeka nowych rzeczy i wycofuje go z obiegu. Nie powiem, żeby to było przyjemne. Leonas, Čepas są już ludźmi, którzy doszli lub dochodzą, są już w okresie siedemdziesiątki. To są już słusznie ludzie skończeni. Ale ja mam dopiero rok 55-ty i czuję się jeszcze w pełni sił twórczych, zwłaszcza po moim wyleczeniu radykalnym z roku ubiegłego. Nie chcę jeszcze

spoczywać na zaszczytach, syty sławy i zasługi, jak człowiek wylosowany z życia czynnego i już za życia patentowany i zakonserwowany w honorach jako drogi obiekt inwentarzowy. Toteż te tytuły honorowe nie należą – przynajmniej dla mnie – do rzeczy osobiście przyjemnych. Jest w nich coś, co trąci pogrzebem i wylosowaniem. Ma się trochę uczucie wymierania. Wolałbym bez tego. Do zarządu Towarzystwa Prawniczego prosiłem mnie nie wybierać. Wybrani zostali oprócz trzech dawnych – Zygmunta Toliušisa, sędziego Jerzego Byly i sędziego Grigaitisa (zamiast mnie i adwokata prof. Stankiewicza) dwóch nowych: prezes Izby Apelacyjnej Gudobski i adwokat Jakub Robinzon. Robinzon – to dobra siła i człowiek nauki, co jest bardzo pożądane, bo Towarzystwo Prawnicze, pod wpływem zwłaszcza Toliušisa, skłonne jest zasklepiać się w zagadnieniach praktyki sądowej i interpretacji kazusów do użytku sądowniczego. I w ogóle Towarzystwo Prawnicze ma tendencję zacieśnienia się do szranków towarzystwa zawodowego pracowników sądowych. Sądzę, że niewybranie do Zarządu Stankiewicza, który od dawna był w tym zarządzie i po śmierci prof. Kriščiukaitisa stał w ostatnim roku na czele Towarzystwa jako prezes tegoż, będzie osobiście dla Stankiewicza bolesne. Wyczuje on, że w tym się wyraża pewnego rodzaju dyskwalifikacja czy dyzautorytet, spowodowany przez jego zaangażowanie się do obrony w procesie Sassa, Neumanna i towarzyszy. Mam wrażenie, że Stankiewicz gryzie się tym i wyczuwa nerwowo potępienie, którym go darzy opinia publiczna. Najgorsze jest, że jak szydło z worka wyłazi i ujawnia się w procesie ta okoliczność, że obrońcy są opłaceni zbiorowo z jakichś sum ryczałtowych, które nie mogą być inne, niż płynące z kasy niemieckiej bądź Rzeszy, bądź nacjonal-socjalizmu. Panowie liberalni *à la* Stankiewicz, jak panowie rewolucjoniści i radykali *à la* Andrzej Bułat, jak wreszcie panowie narodowcy *à la* Betaitis, jak również wszelacy Niemcy i Rosjanie z adwokatury – Englery, Lichtenšteiny, Tornau'y – wszystko to karmi się w tym procesie z funduszów wrogich Litwie i przeznaczonych na usługi starej zachłanności pruskiej na ujarzmienie Bałtyku. Jest to służba sprawie „Drang nach Osten!" – służba starej sprawie krzyżackiej.

29 stycznia, rok 1935, wtorek

Andrzej Mieczkowski wrócił z Bohdaniszek. Poza tym – nic osobliwego. Miałem wykład prawa konstytucyjnego litewskiego wieczorem. Napisałem do Michała Nemeikšysa, proponując mu służbę ogrodnika u mnie w Bohdaniszkach. Choć nie jest on ogrodnikiem zawodowym i zapewne mało się zna na tym, ale by się trochę poduczył, pobyłby parę razy na krótkiej praktyce w zakładzie ogrodniczym miejskim w Kownie, gdzie by się nauczył szczepienia, okulizowania i prowadzenia inspektów, poza tym czytałby książeczki ogrodnicze, zasięgałby rad u ogrodnika powiatowego, trochę u Maryni, a w zakresie pszczelarstwa – u Justyna Budkiewicza. Grunt – że jest uczciwy, życzliwy, chętny i rozwinięty. Więcej ufam jemu, niż nieznajomemu ogrodnikowi, przygodnie zaangażowanemu, droższemu i kto wie jakiemu człowiekowi. Nie wiem tylko, czy Nemeikšys się zdecyduje, mając gospodarkę własną, drogo zaś mu płacić nie mogę: półtora ordynarii, opał, utrzymanie krowy i cielicy i po 10 litów miesięcznie pieniędzmi. Będę czekał na odpowiedź.

Nie mam dziś czasu do pisania dłuższego.

30 stycznia, rok 1935, środa

Dziś od godziny czwartej do godziny przeszło siódmej w sali Towarzystwa Litewsko-Francuskiego odbywała się pierwsza konferencja towarzystw litewskich, utrzymujących stosunki z zagranicą, zwłaszcza przez litewską Komisję Międzynarodową Współpracy Intelektualnej, której prezesem jestem *ex officio* ja jako rektor uniwersytetu. Komisja ta, która od szeregu lat istniała w łonie uniwersytetu i była nieczynna, przed rokiem została zreformowana. Obecnie jest ona przeniesiona do Ministerium Spraw Zagranicznych.

Zorganizowana jest i funkcjonuje na zasadzie statutu, ustalonego przez ministra. Ministerium też ze swych kredytów budżetowych opłaca etatowego sekretarza generalnego komisji, którym jest dr Soblys. Głównym elementem personelu komisji są przedstawiciele wydziałów uniwersytetu z rektorem na czele oraz przedstawiciele niektórych innych instytucji i zawodów. W zarządzie czy prezydium komisji jesteśmy: ja jako prezes, sekretarz generalny *ex officio*, dyrektor Galerii Czurlanisa prof. Galaunė, czwarte zaś miejsce wakuje (był dr Natkiewicz z ramienia Ministerium Spraw Zagranicznych, ale wyjechał na stanowisko radcy prawnego poselstwa litewskiego w Paryżu). Komisja, mając teraz płatnego sekretarza generalnego, funkcjonuje dobrze i sprężyście, co miesiąc też odbywają się regularnie posiedzenia zarządu. Z inicjatywy też sekretarza generalnego Soblysa zarząd komisji zwołał konferencję dzisiejszą. Na propozycję wzięcia udziału w konferencji zareagowały żywo wszystkie zaproszone na nią towarzystwa, a niektóre inne, które na razie były przez niedostrzeżenie pominięte, same się zaprosiły. Zebrało się grono dość liczne. Reprezentowanych było przeszło 20 towarzystw. Małą usterkę upatruję w tym, że poza litewskimi narodowymi towarzystwami nie były zaproszone żadne inne, choć, moim zdaniem, należało to zrobić, zwłaszcza i przynajmniej w stosunku do Żydów. Zarząd to przeoczył, a Soblys, zdaje się, rozmyślnie to uczynił. Soblys jest niegłupi i czynny człowiek, chociaż dosyć szablonowy i usposobiony nacjonalistycznie, zwłaszcza, o ile wiem, antypolsko.

Konferencja miała wielkie powodzenie. Długo się przeciągnęły sprawozdania towarzystw o swojej działalności (udzieliły sprawozdań: Towarzystwa Litewsko-Fińskie, Litewsko-Szwedzkie, Litewsko-Francuskie, Litewsko-Łotewskie, Litewsko-Estońskie, Czerwony Krzyż, Związek Esperantystów, Towarzystwo Kobiet Wyższego Wykształcenia, Związek Towarzystw Opieki nad Matkami i Dziećmi, Związek Dziennikarzy i niektóre inne). Na wstępie wypowiedział mowę deklaracyjną minister Lozoraitis, potem ja (z rękopisu szablonowego, ułożonego przez Soblysa) i burmistrz Merkys, który jest prezesem Towarzystwa Litewsko-Łotewskiego. Omówiono i przyjęto rezolucje w sprawie zakładania towarzystw przyjaciół Litwy za granicą, w sprawie inicjatywy utworzenia funduszu na potrzeby kontaktu z zagranicą, w sprawie zwoływania nadal dorocznych takichże konferencji.

31 stycznia, rok 1935, czwartek

Wieczorem odbyło się dziś posiedzenie senatu akademickiego, zwołane specjalnie dla dwóch kwestii: a. kwestia przedstawicielstwa studenckiego, czyli sejmiku akademickiego i b. kwestia książki „Patarlės ir priežodžiai”, wydanej przez uniwersytecką „Tautosakos Komisję” pod imieniem prof. Krėvė-Mickiewicza. Drugiej z tych dwóch kwestii, bez wątpienia trudniejszej i bardziej przykrej, całkowicie nie rozpoznaliśmy ze względu na spóźnioną porę, bo rozpoznanie pierwszej oraz szeregu drobiazgów terminowych, które trzeba było też wnieść na porządek dzienny i załatwić, zajęło nam dużo czasu. Wysłuchaliśmy tylko wyjaśnień sumarycznych, udzielonych senatowi przez prof. Krėvė-Mickiewicza, które na ogół znacznie ostudziły zapał i zgorszenie pierwotne członków senatu, ja wszakże zaproponowałem odroczenie debat w tej sprawie do następnego za tydzień posiedzenia senatu, aby rzecz nie była załatwiona na poczekaniu i byle jak w pośpiechu, ale była przetrawiona przez spokojne jej przemyślenie w ciągu tygodnia, licząc też na konieczność tego, aby w toku tych obrad w senacie wszystko w szczegółach zostało rozważone. Wczoraj bowiem miałem w tej materii rozmowę z ministrem oświaty Tonkunasem, który mi cały szereg zarzutów niuansowych wyraził. Trzeba będzie bardzo cieniować debaty, a na takie cieniowanie, bynajmniej nie sumaryczne tylko, rozpoznanie – pośpiech i spóźniona pora się nie nadają.

W sprawie sejmiku studenckiego senat przychylił się do wniosku, który w grudniu w rektoracie zgłosił prorektor Jodelė. Właściwie uchwały zapadły tak, jak je sformułował prof. Wacław Biržiška. Senat stwierdził, że ze względu na to, iż w młodzieży ujawniło się radykalne i nieprzejednane rozdwojenie w kwestii zasady utworzenia sejmiku (jeden odłam

żąda głosowania powszechnego, drugi – delegowania przez korporacje i stowarzyszenia) i obie strony odmawiają się poddania się decyzji senatu – przedstawicielstwo ogólne studentów Uniwersytetu Witolda Wilekiego nie może być utworzone. Senat będzie czekał inicjatywy ze strony samej młodzieży. Jeżeli ona sama poczuje niedogodności braku przedstawicielstwa i uzna je dla siebie za pożądane, a porozumie się i dojdzie do jakichś wniosków zgodnych w tej kwestii lub oświadczy, że się podda decyzji senatu, to senat sprawę organizacji sejmiku ustali. Żadnego przekazania funkcji sejmiku związkowi stowarzyszeń litewskich lub jakiejś innej organizacji senat zarządzić nie chce i nie uważa za wskazane. W braku przedstawicielstwa działać może w jego zastępstwie, o ile zechce i podoła temu, istniejące dotąd, nie zlikwidowane prezydium ostatniego (zeszłorocznego) sejmiku, będące ostatnim organem legalnym dawnego przedstawicielstwa. Czy prezydium to się utrzyma – należy wątpić. Zmalało już ono do trzech członków, nie posiada środków, autorytetu ani zapału do pracy niewdzięcznej.

1 lutego, rok 1935, piątek

Gdy człowiek ma pieniądze, gdy się materialnie miewa znośnie, to go zaraz ze wszech stron nachodzić zaczynają przyjaciele lub krewni, bombardując go rozmaitymi swymi potrzebami o pieniądze. Czasem proszą o pożyczkę, czasem – o wsparcie, o opłacenie jakiegoś rachunku, czasem – oferują za cenę pieniędzy jakiś „towar” zgoła zbędny i naturalnie drogi. Trudno i przykro wśród tych próśb opędzać, ale wszystkiego zaspokoić niepodobna. Zdaje się, że kochani i kochający krewni, którzy szczególnie pamiętają o tobie, gdy sądzą, że masz pieniądze, przypuszczają, że ten kochany pieniężny kuzyn, wuj czy brat siedzi na pieniądzach i nie wie, co z ich nadmiarem zrobić, rozmyślając nad tym, jak i gdzie je użytecznie wydać. Już same Bohdaniszki moje ssą moją kieszeń jak pompa. A tu są jeszcze długi drobne, są rozmaite wydatki bieżące, komorne, kuchnie, utrzymanie Andrzeja, niektóre długi Maryni, które spłacam (kapitalne nawet zapomogi comiesięczne dla Stefana Römera, syna Maryni), wypłata pensji córce itd., itd. Oto i w tym miesiącu preliminarz rozchodów jest już cały naładowany i prawie przeładowany, przekraczając sumę dochodów. Aż oto moja kuzynka Stefanowa Römerowa, żona sparaliżowanego Stefana, syna śp. stryja Bolesława i śp. cioci Elżusi, spędzającego ze swą nieszczęsną żoną resztki życia w Oeynhangen w Niemczech, przysyła on do opłacenia rachunek z apteki na przeszło 200 litów na pieniądze litewskie. Oto znów moja siostra Marynia Budkiewiczowa, której duże długi spłacam i oprócz tego kupuję od niej część budulca z domu mieszkalnego, który rozbiera, ułatwiając jej przez to przebudowę spichrza na dom mieszkalny, pchają mnie jednego ze swych koni młodych za 350 litów (!), bo jej pieniądze gwałtownie potrzebne na różne opłaty śpieszne. Oto wreszcie dziś odbieram list od Oleńki Hektorowej Komorowskiej z Kowaliszek, która kołacze do serca mego o nabycie jakiegoś kilkutomowego starego wydawnictwa o malarstwie za 300 litów (!), bo wydawnictwo to udzielił jej matce tytułem uiszczenia należności księgarz Ossowski w Kownie, który zbankrutował i zlikwidował się i u którego ona miała posadę, a teraz ta biedna kobieta siedzi u córki i zięcia w Kowaliszkach bez grosza i ciężko jej, bo Komorowscy jej nie lubią, patrzą na nią z góry i nie życzą jej wiecznego pobytu. Ba, tak, potrzeby są, ale na zaspokojenie wszystkiego nie poradzę. Jeżeli mam dochody i pobory niezłe, to i rozchodów mam akurat tyleż. Ciężko jest nic nie mieć, ale ciężko jest też mieć. Ze wszech stron się jest szturmowanym, a choć i tak znaczną część moich poborów poświęcam na rozmaite wydatki poboczne na potrzeby innych, to jednak i tego nie dość. Są jeszcze i inni szturmujący drobniejsi oprócz tu cytowanych.

Pracuję teraz w mojej sferze literackiej nad analizą pierwszej konstytucji litewskiej z r. 1922 do wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, których tekst chcę też wydać przez Wydział Prawniczy, poza tym piszę dłuższy artykuł, poświęcony p. Felicji Bortkiewiczowej,

mam zaś zaprojektowane prace naukowe i literackie fragmentaryczne o istocie państwowej sowieckiej i faszystowskiej, a wciąż jeszcze się przeplatają drobne robótki urywkowe.

Być może, trafi mi się znowu w tym roku jazda do Hagi. Bo zachodzi obawa, ze Litwa jednak pociągnięta znów zostanie przez sygnatariuszy przed Trybunał Haski. Tym razem sprawa byłaby jeszcze bardziej skomplikowana, niż w kwestii Böttchera przed trzema laty. Z jednej strony, podróż taka i praca w Hadze mi się uśmiecha, bo zasiłek materialny byłby dla mnie duży i rozerwanie się, a potem na zakończenie można by odbyć piękną i kosztowną wycieczkę z Jadzią po Europie, ale skądinąd zwycięstwo w sprawie nie jest pewne, a porażka – wyrok ujemny – przykre byłoby nader dla mnie i ciężkie dla Litwy. I w ogóle dla Litwy droga tu jest niebezpieczna i uciążliwa. Wolę nie mieć plusów osobistych, niż cios dla Litwy. Natomiast gdyby sprawa miała być wygrana – to dla Litwy byłby wspaniały triumf. Ale nic jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle dojdzie do tego.

Haga nasuwa mi na myśl Sidzikowskiego. Dziś właśnie miała być jego sprawa w Izbie Apelacyjnej, ale została odroczona z powodu choroby jego obrońcy, adwokata Skipitisa. Spotkałem podprokuratora Izby – p. Rautena. Rauten twierdzi, że wina Sidzikowskiego jest niewątpliwa i nazywa go „prochwostem“. Powiada, że oprócz nieruchomości, które Sidzikowski posiada w Berlinie, ujawniono jeszcze, że nabył kamienicę w Paryżu. Ja też sądzę, że jest winien, ale go żałuję. Na drogę przyjmowania darów i poborów, właściwie – łapówek, wciągnęła go niewątpliwie żona, kobieta, chciwa użycia i przeto pieniędzy. On jest człowiekiem bardzo zdolnym, dla Litwy był użytecznym i pracowitym, dyplomatycznym, wybitnym, ale miał słabość do pieniędzy i do żony, a mocnej ideowości i zasad nie miał. Demoralizowało go stykanie się ze światem bogatym i zbytkowym, był młody, dorwał się do wybitnego stanowiska, czuł się wielkim działaczem potrzebnym Litwie i potoczył się po pochyłej i śliskiej drodze. Wszak był tylko studentem niedopieczonym i od razu podniósł się na wyżyny, które mu zawróciły głowę, a żona zdemoralizowała do reszty. To pusta i małej wartości kobieta, jakem ją w Hadze w r. 1932 poznał.

2 lutego, rok 1935, sobota

Przed paru tygodniami w naszej komisji do spraw kłajpedzkich, a następnie na posiedzeniu u Prezydenta Rzeczypospolitej poruszona była sprawa niezbędnej czynności ustawodawczej w Kłajpedzie. Sprawa jest trudna. Nie tylko trudna jest sytuacja, wytworzona przez bezczynność sejmiku, który już bodaj od roku nie funkcjonuje, bo ile razy się zbiera, tyle razy dla braku kworum się rozchodzi, nie mając możności legalnej działania, ale jeszcze jest ona trudniejszą co do środków dla zaradzenia tej potrzebie. Na skutek atrofii funkcji ustawodawczej władza krajowa w Kłajpedzie wegetuje. Nie ma możności dokonania reform popularnych, zaprojektowanych przez dyrektorium w porozumieniu z rządem centralnym, takich, jak zmniejszenie podatków, reorganizacja administracji na rzecz zwężenia etatów i zmniejszenia liczby urzędników, obniżenie pensji urzędnikom, co sprawiłoby dodatnie wrażenie na ludności i mogłaby ją – przynajmniej sfery włościańskie – zjednać dla władzy litewskiej (ma to wielkie znaczenie przed wyborami, które będą musiały się odbyć latem, gdyż kadencja sejmiku się kończy), nie można nawet załatwić niektórych koniecznych spraw bieżących, dla których konieczne są zarządzenia ustawodawcze, wreszcie – nie ma budżetu legalnego. Jak na to poradzić? Są drogi trzy, które się dyskutuje: a. jedna – to tolerować, aby w tej sytuacji krytycznej, kiedy ustawodawstwo, że tak powiem, wakuje, samo dyrektorium przywłaszczyło sobie władzę ustawodawczą w zastępstwie sejmiku i wydawało dekrety z mocą ustawową; b. druga – wydać ustawę przez władzę centralną państwa, upoważniającą dyrektorium do wydawania dekretów ustawowych w wypadku bezczynności sejmiku i w jego zastępstwie; c. wreszcie trzecia – aby sama władza centralna, po stwierdzeniu bezwładu władzy ustawodawczej autonomicznej i nie mając środków legalnych do zwalczenia tej atrofii, jęła się funkcji ustawodawczej dla kraju autonomicznego w zastępstwie jego

bezczynnych organów własnych, wydając ustawy z mocą działania w Kłajpedzie na czas, dopóki sejmik nie wróci do zdrowia i działania. Oto są trzy drogi. Każda z nich ma swoje dogodności i niebezpieczeństwa. Pierwszą drogę zalecał Tadeusz Pietkiewicz. Ja wszakże uważam ją za najgorszą i najniebezpieczniejszą i zdaje się – większość w komisji, jak również większość ministrów, którzy brali udział w naradach (zwłaszcza Šiling, mniej nieco Lozoraitis), także gubernator Navakas i sam Prezydent Smetona – rozumieją moje argumenty i zgadzają się na nie. Formalnie – może byłaby ona albo raczej zdawałaby się być najostrożniejszą. Litwa – centralne władze państwowe – jak gdyby umywała ręce: nic nie wiem, w nic się nie wtrącam, niczego nie forsuję; jak tam funkcjonują organy autonomiczne – to ich rzecz; jeżeli sejmik nie działa, a dyrektorium samorzutnie przywłaszcza sobie jego funkcje i władzę, o ile tylko przez to nie wkracza ono na teren kompetencji, zarezerwowanej na rzecz władzy centralnej państwa – to mnie nic nie obchodzi; niech sobie sejmik i dyrektorium same się rachują między sobą, a jeżeli dyrektorium przez to gwałci i obraża prawa sejmiku, to za to przed tymże lub następnym sejmikiem odpowie; jest to kwestia podziału kompetencji autonomicznej wewnątrz autonomii, której takie lub inne rozstrzygnięcie nie obraża władzy państwowej i jej nie obchodzi. Tak usiłował rozumować Pietkiewicz. Może być, że pozornie Litwie byłoby to najłatwiejsze do zrzucenia ze siebie winy przed zarzutami sygnatariuszy, może nawet przed Trybunałem w Hadze. Ale pośrednio byłoby to przyznaniem przez Litwę zasady „Staatsfragmentu" Kłajpedy. Taka akcja dyrektorium, wykraczająca poza jego kompetencje i władzę statutową, taką, jak ją statut rozdzielił między dyrektorium i sejmikiem, byłaby aktem dyktatury. Otóż tolerowanie przez Litwę takiej władzy samorzutnej, takiej dyktatury byłoby abdykacją ze zwierzchnictwa państwowego. Bo tylko w państwie, lecz w żadnym razie nie w prowincji autonomicznej lub jakiejś innej jednostce prawnej subordynowanej i statutowej, zaistnieć może dyktatura – władza samorzutna faktyczna. Możność takiego zaistnienia jest właśnie jedną z cech charakterystycznych zwierzchniczego związku państwowego. Gdyby Litwa to tolerowała, to innym razem powołaliby się na to ci, co twierdzą, że Kłajpeda nie jest tylko prowincją autonomiczną statutową w Litwie, ale jest pewnego rodzaju zawiązkiem państwa i nie omieszkaliby wyciągnąć z tego wniosków prawnych przeciwko Litwie. Litwa sama podkopałaby swoją zasadę w Kłajpedzie i swoje tytuły i atuty prawne, których i którymi się dotąd broniła i już raz zwyciężyła w Hadze w roku 1932, bo Trybunał Haski także tezę zwierzchnictwa Litwy i charakteru prowincjonalno-autonomicznego Kłajpedy zaakceptował i utwierdził.

3 lutego, rok 1935, niedziela

Jestem trochę niezdrów. Wczoraj wieczorem – zapewne na odwilż – trochę mi ząb bolał; nie tyle ząb, ile gdzieś ponad szczęką górną, w sferze głębokich korzeni prawego kła górnego, jednego z ostatnich szczątkowych naturalnych zębów moich, gdzieś w okolicy nosa i kości policzkowej. Rano wstałem z rodzajem fluksji; dość mocno wybrzękła mi prawa strona twarzy i wybrzękły nieco gruczoły aż pod ucho i szyję. Postanowiłem nie wychodzić wcale z domu, aby się nie zaziębić. Jest to coś z neuralgii i grypy lekkiej, jak się zdaje. Nie poszedłem ani na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, ani do kina, jakem zamierzał, ani na kolację imieninową do prorektora prof. Česnysa. Na tę ostatnią chciałem się wieczorem wybrać, bo już się czułem lepiej, ale Jadzia kaprysiła i nadęła się, więc zaniechałem zamiaru. Jest ona zazdrosna i nie cierpi, gdy gdzieś wychodzę, o ile tylko to nie jest jakiś wykład lub posiedzenie lub o ile nie z nią idę. Każde wybranie się moje na jakąś rozrywkę lub za zaproszeniem do kogoś, co zresztą bardzo rzadko się zdarza, bo jestem daleki od wszelkiego życia towarzyskiego, wywołuje kaprysy i dąsy Jadzi; każdy taki akt rzadki muszę przewojować i przecierpieć, jak gdybym coś złego robił. A może gorszym jeszcze od otwartej

wojny czy kłótni jest milczący, zacinający się w żalu opór bierny Jadzi, który mi działa na nerwy i zatruwa wszelką przyjemność rozrywki.

Był dziś u mnie mój asystent Raczkowski, który jako referent Rady Stanu opracowuje teraz projekt scentralizowanej organizacji zwierzchniej kościołów protestanckich w Litwie. Projekt ten ma związek z Kłajpedą i w tym celu Raczkowski w tych dniach jeździł do Kłajpedy. Ciekawą rzecz mi powiedział w związku z rozmowami, które tam prowadził z Bruvelaitisem, prezesem dyrektorium kłajpedzkiego. Bruvelaitis wypowiada się przeciwko osobie Navakasa na stanowisku gubernatora Kłajpedy i twierdzi, że osoba Navakasa jest główną przeszkodą do ustalenia jakiegoś kompromisu w Kłajpedzie i że jeżeli Navakas pozostanie na stanowisku, to wybory do sejmiku, które tej wiosny czy latem mają nastąpić, zostaną przegrane. Toteż Bruvelaitis pragnie, aby gubernator został zmieniony. Podobno wadą Navakasa jest to, że nie ma ustalonego zdania (a zdawać by się mogło – przeciwnie), działa odruchowo bez metody i zanadto we wszystko osobiście się wtrąca, nie pozostawiając żadnej inicjatywy współpracownikom. Raczkowski po powrocie do Kowna zakomunikował o tym Šilingowi, na skutek czego został wezwany na zebranie ministrów, na którym byli obecni Tubelis, Šiling, Lozoraitis i Mašalaitis. Tam Raczkowski referował swoją rozmowę z Bruvelaitisem o Navakasie. Na zebraniu tym postanowiono wezwać Bruvelaitisa samego do Kowna i omówić z nim kwestię Navakasa. Tak więc stanowisko Navakasa w Kłajpedzie jest zachwiane. To niespodzianka. O ile zapadnie decyzja odwołania Navakasa – niełatwo będzie znaleźć odpowiedniego następcę. W Kłajpedzie w atmosferze wielkiego napięcia i ostrych stosunków politycznych ludzie, to znaczy działacze na stanowiskach wybitnych i odpowiedzialnych, bardzo prędko się zużywają i przeżywają. Navakas był energiczny, dzielny, bardzo śmiały, stanowczy i radykalnie zdecydowany. Może miał wady, ale zdołał bardzo zaktualizować i doprowadzić sprawę Kłajpedy w polityce litewskiej do kategorycznych decyzji. Ale przez to samo tak imię swoje związał z kryzysem politycznym sprawy, że dziś, szukając wyjścia i dalszej akcji z ewentualnym wykorzystaniem owoców tej polityki na rzecz wciągnięcia zwyciężonych do kompromisu, same jego imię jest przeszkodą do kompromisu. Przywiązał on do imienia swego pewne odium. Może zbliżył Litwę do zwycięstwa, ale pognębienie wrogów pognębia i jego samego. Trudne i nietrwałe jest stanowisko gubernatora w Kłajpedzie.

4 lutego, rok 1935, poniedziałek

Kontynuuję pozawczorajsze. Jeżeli pierwsza metoda rozwiązania w Kłajpedzie trudności, związanej z atrofią funkcjonalną sejmiku autonomicznego, mianowicie tolerowania przez Litwę samorzutnego przywłaszczenia sobie przez dyrektorię władzy faktycznej, przekraczającej jej uprawnienia statutowe i wkraczającej w sferę władzy statutowej sejmiku, jest dla państwowości litewskiej niebezpieczne, bo suponuje pewne elementarne, choćby tylko fragmentaryczne zwierzchnictwo własne Kłajpedy, a przeto stanowiłaby pośrednie przyznanie przez Litwę charakteru „Staatsfragmentu" Kłajpedy, co by *eo ipso* godziło w zasadę niewzruszoną jedynego zwierzchnictwa Litwy, to pozostają do rozwiązania metoda druga i trzecia, które wskazałem pozawczoraj. Metoda druga politycznie jest dla Litwy mniej niebezpieczna, ale stanowiłaby jawne pogwałcenie międzynarodowo zagwarantowanego statutu autonomicznego, reformując samowolnie czy korygując nie w sposób przewidziany w statucie jego przepisy o podziale kompetencji i władzy między statutowymi organami autonomicznymi. Prawnie ta metoda byłaby trudna do bronienia, gdyby Litwie wypadło jej bronić w Trybunale Międzynarodowym w Hadze. Pozostaje metoda trzecia: wykonywanie bezpośrednie przez samą konstytucyjną władzę państwową tych funkcji ustawodawczych i budżetodawczych w Kraju Kłajpedzkim, które na zasadzie statutu są przekazane władzy autonomicznej, ale wykonywanie ich z wyraźnym zastrzeżeniem, że jest to czynione li tylko w zakresie nieuleczalnej statutowo atrofii organów władzy autonomicznej i tylko na czas tej

atrofii, to znaczy do czasu, aż odpowiednie organy władzy autonomicznej odzyszczą moc faktyczną działania, po czym funkcja powróci w całej pełni do swych statutowych podmiotów autonomicznych. Sądzę, że to jest właśnie metoda i droga najwłaściwsza i legalnie zasadna. Państwo bowiem nie może tolerować, aby jakaś jego część, jego prowincja zastrajkowała w zakresie funkcjonowania swych organów publicznych i aby życie publiczne w zakresie funkcji państwowych w niej zamarło lub zostało oddane anarchii. Atrofia organów nie może być atrofią funkcji, skutkującą rozkładem państwa i jego zadań publicznych. Jeżeli organy statutowe nie działają i nie mogą być uzdrowione, to ktoś – przynajmniej w zakresie potrzeb koniecznych – musi w ich zastępstwie móc działać legalnie. Tym kimś w stosunkach autonomicznych może być tylko centralna władza państwowa, bo ona jest tytułem władzy autonomicznej i od niej tylko, jako ze swego źródła, organy władzy autonomicznej poprzez statut posiadają władzę działania. Jeżeli władza ta, która jest im delegowana, w ich ręku zamiera, to jej moc wraca do źródła i tylko do niego. Ta metoda jest zatem prawnie najmocniejsza i najbezpieczniejsza. Ją przeto zalecałem. Ale i ona ma pewną niedogodność. Pozwala ona na funkcjonowanie zastępcze centrum tylko o tyle, o ile jakaś czynność funkcjonalna jest istotnie konieczną. Natomiast nie usprawiedliwia ona nawiązania tą drogą jakiejś nowej programowej polityki ustawodawczej centrum w ustawodawstwie krajowym. Toteż wykonywanie tą metodą jakichś planowych reform, w ogóle uprawianie polityczne ustawodawstwa jest zamknięte i obronić się nie daje. To jest niedogodność tej metody dla Litwy.

5 lutego, rok 1935, wtorek

Miałem dziś obiad w „Rotary-Clubie”, na którym po raz trzeci z kolei omawiany był referat burmistrza Merkysa, raczej wnioski z tegoż, w sprawie ubóstwa w Kownie i celowego wspierania tegoż. Ostatecznie, choć się zdawały poprzednio ujawniać tendencje do zainicjowania jakiejś akcji samego Klubu w tym celu albo przynajmniej pewnego z ramienia Klubu zaangażowania jego członków i ich rodzin w taką akcję planową, skończyło się na bardzo skromnym wniosku, przypominającym popularną sentencję o olbrzymiej górze, która urodziła... mysz. Uchwalono rekomendację, zalecającą członkom Klubu każdemu indywidualnie stosownie do jego możności brać udział w akcji społecznej planowej do zwalczania ubóstwa i nędzy bądź przez towarzystwa i organizacje odpowiednie, bądź osobno i samodzielnie w kontakcie z Urzędem Opieki Społecznej. Na tym się skończyło. Ja podniosłem też myśl skierowania uwagi także na nędzę wśród młodzieży akademickiej, ewentualnie nawet zainicjowania stałej zasady opłacania corocznie przez Rotary-Club opłat semestralnych za naukę jednego studenta, wskazanego przez prorektora. Ale i w tym względzie przez niektórych, którzy się bardzo boją wszelkiego obciążenia dodatkowego, były zgłoszone różne wątpliwości i zastrzeżenia, choć bardzo gorąco i uczuciowo poparł myśl moją w pięknym przemówieniu Kipras Piotrowski. Zdaje się, że w tym względzie skończy się na tym, że się zbierze jednorazową składkę na wpłatę doraźną jednego czesnego semestralnego. W naszym „Rotary-Clubie” działa zasada, ustalona przez zarząd, którego prezesem jest podprokurator Żołkowski, członkami zaś – Merkys, Pakštas, Toliušis i Urmanas, i zaakceptowana przez ogół, że referacik tygodniowy przy obiedzie klubowym jest wygłaszany przez członków w kolejce alfabetycznej ich nazwisk. Po Merkysie więc teraz wygłosi referacik Mykolaitis-Putinas, następnie Kipras Piotrowski (Pakštas już wygłosił na samym początku jeden z pierwszych), potem Robinzon i czwartym – ja. Będę mówił o tym, co właśnie w tych dniach w dzienniku omawiałem – o różnych metodach zareagowania na bezwład sejmiku autonomicznego w Kłajpedzie ze stanowiska prawa konstytucyjnego.

W roku ubiegłym powstał Związek do spraw Kłajpedy, coś jakby prudent do Związku Wyzwolenia Wilna („Vilniui Vaduoti Sąjunga”). Związek Kłajpedzki zafundował sobie naprzeciwko uniwersytetu lokal i usiłuje się ożywić i rozwinąć systemem klubowym,

odczytami, prelekcjami propagandowymi przez radio itd. Dziś nastąpiło otwarcie lokalu związku, na którym nie byłem, ale w przyszły wtorek mam tam wygłosić odczyt klubowy, który wygłoszę z pamięci w zakresie tych myśli, które sformułowałem w moim odczycie styczniowym na uroczystości kłajpedzkiej na uniwersytecie.

Wieczorem dziś miałem mój bieżący wykład tygodniowy prawa konstytucyjnego litewskiego. Docieram już do konstytucji roku 1922.

6 lutego, rok 1935, środa

Wyczytałem w gazetach o śmierci i pogrzebie Bolesława Limanowskiego w Warszawie. Był to człowiek, zdawało się, nieśmiertelny. Miał już lat ponad 90, może nawet setkę. Gazety litewskie („Lietuvos Žinios"), wspominając o śmierci Limanowskiego, nie wskazują jego wieku. Jeszcze za moich czasów studenckich w Paryżu – a było to już przed laty przeszło 30 (lata 1902-1905) – Bolesław Limanowski, który wtedy jako powstaniec-emigrant, wybitny zasłużony publicysta demokracji, stary działacz polityczny, weteran ruchu niepodległościowego i demokratycznego i zarazem stary socjalista polski, mieszkał na emigracji w Paryżu i miał już nie wiem którą żonę z kolei, a obok synów dorosłych i już nawet podtatusiałych miał jeszcze małego synka 8-letniego czy 10-letniego, był sędziwym patriarchą ruchu dla całej młodzieży polskiej obozu „postępowego", czyli socjalistycznego i radykalnego, słowem – lewicowego, w Paryżu. On i dr Henryk Gierszyński – to byli dwaj starzy, ogólnie czczeni liderzy czy ojcowie całego obozu „postępowego" zwłaszcza młodzieży, ale także starszego dojrzałego pokolenia w kolonii polskiej w Paryżu. Ubiegano się o to, aby którykolwiek z nich był obecny na jakimś obchodzie, zebraniu, wiecu czy innej solennej uroczystości tego obozu młodzieży. Uświetniali oni swoją obecnością te uroczystości, dodawali im wagi, zaszczytu, blasku zasługi. Byli też honorowani, zasiadali w prezydium. Patrzano na nich jak na żywe pomniki tradycji i ciągłości rewolucyjnej, czczono ich jako wcielenie zasługi, niezłomności, mocy ideałów wolnościowych. Byli niezachwiani. Już wtedy, a zwłaszcza Limanowski, byli oni wycofani z obiegu życia, byli raczej symbolami, pomnikami i relikwiami, niż działaczami czynnymi. Wprawdzie Limanowski jeszcze coś pisał, pracował nad swymi książkami, których sporą ilość na temat demokracji i ruchów rewolucyjnych polskich napisał i wydał w wieku XIX, ale już w dyskusjach czynnego udziału nie brał, był nie bojowcem poszczególnego prądu, jeno sztandarem całego obozu „postępowego", chociaż był osobiście socjalistą, PPS-owcem, człowiekiem walki i upartego trwania pod sztandarem bez kompromisów. Był on od dr Gierszyńskiego, który obecnie dawno już umarł, starszy. Gierszyński był emigrantem z powstania roku 1863, Bolesław Limanowski – z akcji spiskowców między rokiem 1846 a 1863. Nam, młodym, wydawał się on jakimś pięknym zabytkiem archeologicznym, żywym zakonserwowanym wzorem doskonałości i szlachetności, streszczającym to, co było najwspanialszego w przeszłości. Traktowaliśmy go z pietyzmem. Był rzeczywiście stylowy ze swą białą brodą i białą głową. Był starcem gołębiej łagodności i niewzruszonej prawości. Patrzeliśmy nań ze wzruszeniem. Był już wtedy głuchawy i miał jakąś zaświatową pogodę i ciszę starości. A było to przed laty przeszło 30. Pamiętam go przewodniczącego i na moim odczycie w „postępowej" polonii paryskiej na obchodzie kościuszkowskim w roku 1904. Pamiętam go jak żywego. Potem widziałem go w roku 1907 pracującego w redakcji socjalistycznego „Naprzodu" w Krakowie. W otoczeniu pracowników redakcyjnych, przeważnie młodych Żydów, wyglądał dosyć dziwacznie i groteskowo: jak jakiś stary bialutki bard prasłowiański, zabłąkany między Semitów. Potem znów – i już po raz ostatni – spotykałem go przed laty 20 w czasie Wielkiej Wojny (w latach 1915 i 1916) w Krakowie, potem w Warszawie. Był już zupełnie głuchy jak pień, odcięty przez tę głuchotę od świata żywych, obcujący z nim tylko przez gazety, które czytał i do których pisywał. Ale był zawsze zdecydowanym demokratą, gorącym socjalistą, entuzjastą Legionów i Niepodległości. I potem pozostał żywy, wrażliwy na rzecz swoich

ideałów do końca, niezłomny. Był w Polsce senatorem, stał wiernie w szeregach PPS. Raz go nawet tłum endeków obił na ulicy, gdy szedł do Senatu, zdaje się – na wybory Prezydenta Rzeczypospolitej, gdy był wybierany Narutowicz. Gdy nastąpił konflikt PPS-u z Piłsudskim i PPS przeszło do opozycji – Bolesław Limanowski pozostał wierny pozycji PPS-u. Ile razy pytałem ludzi, przyjezdnych z Polski, czy żyje Bolesław Limanowski, potwierdzali mi zawsze, że żyje. Aż oto umarł i on. Wszystko mija i przemijają wszyscy. Święta jego pamięć. Święta dla mnie, ale już nie na długo, bo sam jestem śmiertelny i stary. Pochodził Bolesław Limanowski ze szlachty witebskiej na Białej Rusi.

7 lutego, rok 1935, czwartek

Posiedzenie senatu akademickiego wieczorem. Zlikwidowaliśmy na nim kwestię dozoru akademickiego w stosunku do naukowej wartości i redakcji książki „Priežodžiai ir patarlės" Krėvė-Mickiewicza. Powzięliśmy uchwałę, solidaryzującą się z uchwałą Rady Wydziału Humanistycznego, stwierdzającą wartość naukową wydawnictwa i zalecającą na przyszłość w dalszym ciągu wydawnictwu wydzielenie przysłów i przypowieści „niecenzuralnych" moralnie w osobne wydanie. Wszakże sprawa honorarium i ewentualnych strat skarbu, podnoszona przez ministra oświaty, w senacie nie była rozpoznawana i pozostała otwarta. Mamy w sobotę z prorektorem Jodelė iść do ministra w tej kwestii.

Kończę, bo czasu nie mam. Jest późno.

8 lutego, rok 1935, piątek

Nasuwa się chmura całego szeregu nowych uroczystości i ceremonii na koniec przyszłego tygodnia i na niedzielę za dwa tygodnie. Będą to uroczystości 16 lutego, kilka balów studenckich, uroczystości Niepodległości Estonii i obchód 100-lecia urodzin śp. biskupa Baranowskiego. Napracuję się i namęczę w tym czasie. Jest to pańszczyzna reprezentacyjna moja.

O południu miałem dziś posiedzenie Rady czy Kapituły Orderu Giedymina. Zebraliśmy się w gabinecie sekretarza Prezydenta Rzeczypospolitej, dr Bielskusa, który jest kanclerzem orderu, pod przewodnictwem prezesa kapituły, starego Matulaitisa. Obecni byli członkowie Kapituły: stary generał Bulota, ksiądz prałat Kazimierz Šaulys, dr Zaunius i ja. Nieobecny był tylko minister wojny generał Šniukšta. Sekretarzował młody prawnik Zaborowski, mój były uczeń z uniwersytetu. Tym razem w listach kandydatów do orderu i medalu Giedymina, zgłoszonych przez poszczególnych ministrów, które kapituła rozpoznaje i poszczególnych kandydatów aprobuje lub czyni w stosunku do nich zastrzeżenie (zresztą te uwagi kapituły nie krępują formalnie Prezydenta Rzeczypospolitej, mającego władzę nieograniczoną dysponowania orderami w zakresie statutu orderu, bo i sama kapituła jest tylko organem doradczym), zgłoszenia były bardzo skromne: najwyższe nagrody przewidziane nie przekraczały III stopnia orderu, do stopnia II nie był zgłoszony nikt. Spośród zgłoszonych kandydatów zakwestionowaliśmy tylko jednego – Vaitkusa, który był kiedyś dyrektorem Departamentu Leśnego i o którym ja wiedziałem, że był z tego stanowiska usunięty ze względu na jakieś zarzuty nielegalnych kombinacji z pozwoleniami na wyrąb lasów jakichś.

Te posiedzenia kapituły orderu są dosyć jałowe i nudne. Szczególnie zanudzają je i przewlekają nasi dwaj staruszkowie – przeszło 70-letni Matulaitis i niespełna 80-letni Bulota, którzy jak dzieci bawią się drobiazgowym studiowaniem list i szczegółów o kandydatach zgłoszonych. Dla starców zdziecinniałych to akurat zajęcie. Bawią się tym, bo nic innego do roboty nie mają, a to jest „praca" łatwa, nie wymagająca żadnego szczególnego wysiłku myśli, raczej sobie zabawka, która staruszkom daje przyjemne poczucie w postaci iluzji, że są do czegoś rzekomo potrzebni.

9 lutego, rok 1935, sobota

Wieczorem poszliśmy z Jadzią i Andrzejem do teatru na premierą opery „Kniaź Igor" Borodina. Jest to pierwsza opera, którą w moim życiu słyszałem, a było to przed laty 41 czy 42 – w roku 1894 czy 1893. Byłem wtedy w tzw. „starszym oddziale" klas przygotowawczych Cesarskiej Szkoły Prawa w Petersburgu i miałem lat 13. Opera ta, a raczej jeden akt tejże – nie pamiętam który – był wykonany siłami amatorskimi starszych wychowańców, to znaczy klas wyższych tej szkoły. Nas z klas przygotowawczych, które mieściły się w osobnym budynku przy ulicy Siergiejewskiej (na wprost ulicy Mochowej), zaprowadzono do gmachu zwanej przez nas „Wielkiej Szkoły", to znaczy właściwego gmachu Szkoły Prawa na Fontance, gdzie odbywało się przedstawienie, zakończone świetnym balem prawowiedów. Uroczystość ta wraziła mi się w pamięć szczególnie przez to, że w jakiś sposób okólny przemyciłem się do chóru, do którego nigdy nie należałem i wraz z całym chórem szkolnym znalazłem się na scenie, na której chór ten odśpiewał na wstępie przed przedstawieniem hymn państwowy Rosji – „Boże caria chrani!" Samego przedstawienia opery „Kniaź Igor" już nie pamiętam, ale wiem, że byłem pod jego wrażeniem. Dziś po leciech przeszło 40 słuchałem tej opery po raz drugi – na scenie litewskiej. Jak wszystkie opery rosyjskie – jak „Eugeniusz Oniegin" i „Dama pik" Czajkowskiego i jak „Borys Godunow" Musorgskiego („Demona" Rubinsztejna nie słyszałem na scenie nigdy – sic!) – opera „Kniaź Igor" podobała mi się bardzo. Choć wątek akcji jest dosyć urywkowy i ulepiony z fragmentów, niezupełnie powiązanych w całość ciągłą, to jednak opera ma sporo głębokich momentów psychologicznych, w szczególności też społecznych, poza tym muzykalnie jest piękna, posiada bardzo ładne i wyraziste arie i melodie ludowe, a nadto prześliczny efektowny bukiet sławnych tańców połowieckich w obozie koczowniczym Połowców.

10 lutego, rok 1935, niedziela

Dziś z Jadzią i z Andrzejem Mieczkowskim wybraliśmy się na wycieczkę zamiejską dla obejrzenia fermy lisów srebrzystych i błękitnych pod Kownem. Ferma ta jest założona od lat kilku z inicjatywy prof. Tadeusza Iwanowskiego. Mieści się ona obok fermy wzorowej osobistej prof. Iwanowskiego na gruntach, które należały poprzednio do majątku Marwy i były z majątku tego w drodze reformy agrarnej wywłaszczone i z ramienia państwa odsprzedane spółce, utworzonej dla przedsięwzięcia hodowli lisów i innych zwierzątek zdatnych na futra. Gdym przed paru dniami uprzedził prof. Iwanowskiego o moim zamiarze wycieczki, prof. Iwanowski ofiarował się zaraz towarzyszyć mnie i zaproponował towarzyszyć także dziekanowi Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego prof. Zygmuntowi Žemaitisowi, który także jest jednym z członków spółki. Obaj profesorowie byli tak grzeczni, że nie tylko ofiarowali się nam towarzyszyć, ale jeszcze sprowadzili z fermy prof. Iwanowskiego dwoje sań, z których jedne udzielili nam, a w drugich zabrali się sami. Sanie, w których my z Jadzią siedliśmy w środku, a Andrzej z furmanem na kozłach, były wygodne, koń rosły i prędki, sanna doskonała jak marzenie. Przejechaliśmy się przez całe miasto aż do Niemna, gdzie przy ujściu Wilii zjechaliśmy na rzekę i popędziliśmy lodem wzdłuż rzeki aż za Marwę na przeciwko Werszw, a stamtąd stromo pod górę na wysoki lewy brzeg Niemna, gdzie za lasem, porastającym zbocza, leży ferma prof. Iwanowskiego i ferma spółkowa lisów. Położenie tych ferm – bardzo ładne. Leżą one w wieńcu lasów i zarośli, osłaniających zbocza doliny Niemna i wcinających się nieco w głąb płaskowzgórza. Las, otaczający fermę lisów, jest lasem ochronnym, rezerwatem, w którym wyrąb i polowanie na zwierzęta i ptactwo jest zabronione. Oglądaliśmy fermę, lisy i inne zwierzątka futerkowe. Udzielali nam objaśnień obaj profesorowie i zarządzający fermą młody przyrodnik Čereška. Urządzenia fermy – bardzo ciekawe i nieskomplikowane. Zwierzątka dobrze utrzymane i ładnie się przedstawiają. Po oględzinach dano nam czarnej kawy z pączkami, ciastkami i owocami. Za dnia wróciliśmy

do domu. Pogoda sprzyjała. Wycieczka znakomicie się udała, jazda po Niemnie była świetna. Śliczne są okolice Kowna.

11 lutego, rok 1935, poniedziałek
Dziś nic pisać nie będę, bo czasu nie mam.

12 lutego, rok 1935, wtorek
Na dzisiejszym obiedzie naszego Rotary-Clubu mieliśmy gości w osobach posłów Łotwy – p. Seji, i Estonii – p. Leppika. Byli też po raz pierwszy trzej nowi członkowie klubu spośród kilkunastu świeżo przyjętych, którzy będą zapraszani stopniowo, w każdym tygodniu po grupie. Dziś pierwszymi zostali zaproszeni: dziekan Wydziału Ewangelicko-Teologicznego prof. Jokubėnas, prof. Izydor Tamošaitis, który po śmierci dr Puryckiego został obrany prezesem Związku Dziennikarzy i były minister wojny, obecnie zaś sekretarz generalny (wiceminister) Ministerium Spraw Wewnętrznych Giedraitis. Referacik o zadaniach i potrzebach współczesnej literatury litewskiej wygłosił prof. Mykolaitis-Putinas, jeden z najwybitniejszych pisarzy litewskich, trzymający prym w powieści i prezes Związku Literatów.

O godz. piątej odbyło się w lokalu własnym w starym domku, stanowiącym niegdyś dworek folwarku Kartofliszki, pierwsze zebrania odczytowe czy pogadankowe Towarzystwa Kłajpedzkiego i Litwy Wielkiej. Było to zebrania niepubliczne, w którym brali udział wyłącznie członkowie towarzystwa. Ogółem było osób do 30; młodzieży akademickiej w ich liczbie nie było. Spośród obecnych wymienię dla przykładu: prezes towarzystwa Żołkowski, Jan Vileišis, prof. Pakštas, prof. Jonynas, prof. Janulaitis, prof. Vabalas-Gudaitis, dr Zaunius, prof. Jokubėnas, redaktor Keliuotis, dr Slavėnas, adwokat Sugint, podprokurator Kavolis... Referentem byłem ja. Przemawiałem z pamięci, zapożyczając do tego referatu myśli z wygłoszonego przeze mnie w styczniu odczytu p.t. Litwa w problemacie bałtyckim. Z referatu mego nie byłem zbytnio zadowolony. W rękopisie mego odczytu był on znacznie lepiej skonstruowany i wyrazistszy, niż w relacji ustnej. Po referacie moim odbyła się mała dyskusją, w której zabierali głos prof. Vabalas-Gudaitis, prof. Pakštas, redaktor Keliuotis, prof. Janulaitis i ja. Do referatów ustnych wielkiej zdolności nie mam, natomiast znacznie bieglej i wyraziściej przemawiam w dyskusji, gdy wypada nie tyle inicjować, ile reagować i gdy w grę wchodzi temperament, który wymaga podniety. Zaczynając mówić – doświadczam skrępowania, płynącego z jakiegoś onieśmielenia przez niewiarę w siebie.

Wieczorem od siódmej miałem wykład litewskiego prawa konstytucyjnego na uniwersytecie. Dotarłem już do pierwszej stałej konstytucji litewskiej z roku 1922, której analiza zapewne wyczerpie mi cały semestr wiosenny.

13 lutego, rok 1935, środa
Są wiadomości, że już w tym miesiącu nastąpi pewne obcięcie pensji urzędniczych. Oczywiście ucierpi na tym i profesura, ucierpię i ja osobiście. Obcięcie poborów, zmniejszenie dochodów jest zawsze ciężkie, zwłaszcza na razie, kiedy trzeba z konieczności reformować preliminarz, a tymczasem rozchody są oparte na zobowiązaniach poprzednich, powstałych w warunkach wyższego dochodu i dostosowanych do niego, które trudno albo wprost niepodobna obciąć. I u mnie oto jest cały szereg wypłat systematycznych – różnych zapomóg, spłat, zobowiązań – których dotknąć i zmniejszyć nie mogę. Prawda, że w tym roku zaoszczędzę nieco na Bohdaniszkach (w szczególności na zasługach służbie i administracji), ale to nie dosięgnie nawet 100 litów miesięcznie, ±50 litów, a tymczasem obcięcie może wyniesie więcej niż 100 litów. Co prawda, moje położenie osobiste nie jest jeszcze krytyczne, bo pobory na ogół mam niezłe, ale pewien i nawet dość znaczny ciężar da się uczuć. Wszakże trudno się dziwić lub oponować temu obcięciu. W obecnych chronicznym stanie krytycznym

rolnictwa krajowego i w ogóle całej gospodarki jest to konieczne. Inaczej być nie może i uczucie obywatelskie nakazuje podporządkowanie się osobiste bez szemrania.

Widziałem się i rozmawiałem z Mašalaitisem. Spytałem go poufnie, jak się rzecz ma z gubernatorem Navakasem i czy kryzys stanowiska gubernatorskiego trwa czy też może już zapadła decyzja utrzymania Navakasa na stanowisku w Kłajpedzie. Mašalaitis, w którego ręku ześrodkowują się wszystkie sprawy i kwestie, rozstrzygane w Gabinecie Ministrów, oświadczył, że kryzys jest, wycofanie Navakasa jest już zupełnie zdecydowane. Otrzyma on na razie urlop, ale już na stanowisko gubernatora Kłajpedy nie wróci. Wszakże kwestia jego następcy jeszcze nie jest zdecydowana. Rząd nie zdołał jeszcze ustalić kandydata. Spytałem, czy nie jest rozważana kandydatura dr Zauniusa, bo choć to mi się zdawało nie bardzo pewne, jednak pewne przypuszczenie pod tym względem miałem. Mašalaitis oświadczył, że kandydatura Zauniusa nie jest podnoszona. Ciekaw jestem – na kogo „padnie los”.

14 lutego, rok 1935, czwartek

Przed paru dniami otrzymałem od Michała Nemeikšysa list, wyrażający zgodę na uczynioną mu przeze mnie propozycję objęcia u mnie posady ogrodnika w Bohdaniszkach. Cieszę się z tego, bo to człowiek porządny, sumienny, poważny i życzliwy, mój syn chrzestny. W marcu poślę go na miesiąc na praktykę ogrodniczą do Józefa Stawskiego w Poniewieżu, z którym się już o tym umówiłem.

15 lutego, rok 1935, piątek

Miałem zamiar się wybrać na bal doroczny najstarszej korporacji akademickiej żeńskiej „Filiae Lithuaniae”, ale na godz. szóstą wezwany zostałem przez Mašalaitisa na posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich, po czym już wróciłem do domu i leniłem się wychodzić.

Dziś – dzień 15 lutego, wigilia rocznicy Niepodległości i zarazem rocznicy założenia uniwersytetu, przez studentów uznawany za „dzień studentów“. Skąd? – ot, mocą inercji, wypływającej z urojenia. Nigdy nikt i mocą żadnej decyzji lub uchwały dnia tego za „dzień studencki“ nie uznał i nie ogłosił. Stało się tak, że razu pewnego w tym dniu w roku 1928 (za pierwszego rektoratu mojego) gronu studentów strzeliła do głowy myśl zamanifestowania przed świętem narodowym 16 lutego protestu przeciwko tramwajowi konnemu (tzw. „konka“), która wtedy jeszcze, jako zabytek z czasów przedwojennych, funkcjonowała w Kownie. Stara „konka“ poczciwa – tramwaj na relsach, ciągniony przez szkapę, nie licowała z faktem pasowania Kowna po wojnie na „stolicę tymczasową“ Republiki Litewskiej w dobie elektryczności, motorów, automobilów i aeroplanów. Manifestacja wykonana została przez studentów w sposób żartobliwy: grono studentów zapełniło cały wagonik tramwaju, dojechało nim w charakterze publiczności za biletami do rogu Laisvės Alei i ul. Mickiewicza i tu zatrzymało tramwaj, wysiadło, wyprzęgło konia i przewróciło pusty wagon „konki” kołami do góry, po czym go w tej pozycji sfotografowało. W następnym roku 1929 w rocznicę przewrócenia konki studenci wybrali się na miasto pochodem i dążyli środkiem Laisvės Alei, sami nie wiedząc właściwie, dokąd i po co idą. Policja ich pochód po pewnym czasie rozproszyła. Odtąd co roku coś zaprojektowywano na dzień 15 lutego, który odtąd stał się uświęconym „dniem studenckim”. Projektowano coś i na dzień dzisiejszy, ale nic z tego nie wyszło. Ponieważ sejmik studencki nie funkcjonuje, a prezydium tegoż, choć formalnie zlikwidowane nie jest, nie posiada już ani autorytetu, ani środków, przeto obchodem „dnia studenckiego” chciało się zająć prezydium związku stowarzyszeń akademickich litewskich. Nic jednak z tego nie wyszło, bo wśród studentów ujawniły się przeciwieństwa. Jedna część – „Neo-Lithuania”, tzw. „Samburis”, korporacja oficerów rezerwy – zaproponowała pochód uroczysty do pomnika ofiar Niepodległości, a stamtąd ze sztandarami korporacyjnymi pochód do Prezydenta Smetony. Wszakże przeciwko pochodowi do Prezydenta opowiedziała się kategorycznie korporacja skrajnie prawicowo-nacjonalistyczna „Lietuva”

(„voldemarasowcy”) i organizacja ludowców „Varpas”. Prezydium związku musiało zaniechać inicjatywy, aby nie wywlekać na spór publiczny kwestii pochodu do Prezydenta. „Dzień studencki” do skutku nie doszedł. Przygotowałem nań mowę – na próżno. Tylko kilka grup izolowanych maszerowało ze sztandarami do Prezydenta. Ogólnego nic nie było.

16 lutego, rok 1935, sobota

O dniu dzisiejszym napiszę jutro.

17 lutego, rok 1935, niedziela

Dzień dzisiejszy – wypoczynek po wczorajszej pracy reprezentacyjnej. Z domu nie wychodziłem wcale. Zresztą odpoczynek był kiepski, bo byłem zmęczony i znerwowany ciągłym kłóceniem się Jadzi, która jest zawsze mocno poruszona i nabuntowana, gdy mnie wypada być na jakichś uroczystościach czy tzw. „zabawach” reprezentacyjnych, na których sama być nie może. Irytuje się wtedy, nie może zwalczyć żalu i zazdrości oraz poczucia krzywdy, że się udzielam innym, gdy dla niej czasu zawsze nie mam. Ale na to poradzić nie mogę, bo moje stanowisko nakłada na mnie te obowiązki reprezentacyjne, a życiu towarzyskiemu nie udzielam się wszak wcale poza tym, co należy do ukazywania się reprezentacyjnego. Ale Jadzia traktuje to uczuciowo i w takie dni szpilkuje mię docinkami nieznośnie albo jest zachmurzona, zła, zapłakana, nie dająca się dotknąć a złośliwa. To mię irytuje i męczy, aż się sam buntować zaczynam i reaguję. Wybierałem się z nią dziś na miasto, ale zamiast tego skończyło się wieczorem na wybuchu i ostrych przymówkach, w których toku nagadałem Jadzi rzeczy przykrych, choć poniekąd zasłużonych i w rezultacie smutno było i boleśnie, a dzień zakończył się ciężko.

Ale zreferuję tu dzień wczorajszy. Scenki domowe są bardzo przykre i działają przygnębiająco, ale do referowania w dzienniku wcale ciekawe ani miłe nie są.

„Clou” dnia wczorajszego – uroczystości Niepodległości Litwy i zarazem 13 rocznicy założenia uniwersytetu – dla mnie jako rektora był obchód doroczny akademicki na uniwersytecie. Rozpoczął się on o godzinie pierwszej po południu i bardzo ładnie się udał. Obecny był minister oświaty prof. Tonkunas i arcybiskup metropolita prowincji kościelnej litewskiej ks. prof. Skwirecki, który zresztą jest członkiem naszego uniwersytetu na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym. Ich obu posadziłem po obu stronach moich za stołem prezydialnym na podwyższeniu, gdzie także zasiadł *in corpore* cały senat akademicki. Profesura była reprezentowana prawie w komplecie, a całą głębię sali wypełnił tłum młodzieży akademickiej i w samej głębi pod oknem chór akademicki, zaś wzdłuż ściany za stołem prezydialnym ustawiły się delegacje korporacji akademickich w barwach z rapierami i sztandarami. Na wstępie uroczystości odśpiewany został hymn państwowy (narodowy), po czym nastąpiła moja mowa rektorska. Mowa moja udała mi się dobrze – mogę to stwierdzać bez przesady i stwierdzali to i inni, i stwierdziły gorące owacje słuchaczy. Było dobrze skonstruowana, wyrazista i dobrze wygłoszona. Byłem z niej rad. Nie cytuję jej *in extenso* w dzienniku, jakem to robił stale, zwłaszcza w roku ubiegłym, gdym cierpiał na nieznośną senność moją, kiedy nawet dziennik lub coś innego pisząc – wpadałem co chwila w drzemkę i trudno mi było myśl skupiać i komponować, toteż zadawalałem się cytowaniem z pamięci gotowych wygłoszonych mów moich. Biedak wtedy byłem, nędzarz, nadrabiający ostatkiem umykających sił i bojący się sam przed sobą przyznać do przerażającej dekadencji fizycznej i umysłowej, przerywanej tylko przebłyskiem mojej inteligencji normalnej. Teraz jestem odrodzony i odmłodzony dobry lat dziesiątek, jeżeli nie więcej – w zupełnym posiadaniu sił umysłowych i fizycznych.

Ale już o dniu wczorajszym 16 lutego dokończę jutro.

18 lutego, rok 1935, poniedziałek

Dalszy ciąg z dnia 16 lutego. Po mojej mowie na akademickim publicznym posiedzeniu uroczystym sekretarz uniwersytetu prof. Purėnas dał sprawozdanie akademickie, w którym udzielił zwyczajnych informacji bieżących z życia i stosunków akademickich i danych statystycznych. Po nim udzieliłem głosu ministrowi Tonkunasowi, który o to prosił. Tonkunas wygłosił ładną mowę. Nie jest on szczególnie elokwentny, ale na ogół mówi biegle, a zawsze mowa jego jest treściwa, pełna myśli, dobrze skonstruowana. Ma on głowę i ma wielką ścisłość myślenia. Do mów jego ani się umyły przemówienia jego poprzednika, byłego ministra oświaty Šakenisa, człowieka może poczciwego, nawet kulturalnego, ale, szczerze mówiąc, durnia. Tonkunas poza tym ma dużo taktu, jest bardzo opanowany, grzeczny, ma też zmysł prawniczy. Każde słowo jego jest ścisłe i trafia w sedno rzeczy. Rozwijał on znaczenie zbieżności daty założenia uniwersytetu z datą rocznicy Niepodległości, uwydatniał związek uniwersytetu z państwem narodowym, zaznaczył rozwój uniwersytetu, jego zasługi i zadania, dotknął kwestii rozdwojenia ideologicznego młodzieży, na ogół poruszył wszystko to, co już ja w mojej mowie dotknąłem i swoim mądrym słowem jeno waloryzował twierdzenia moje. Po ministrze Tonkunasie udzieliłem głosu studentowi Kairelisowi – prezesowi związku stowarzyszeń akademickich litewskich. Student Kairelis przemówił ładnie, treściwie i taktownie, z uznaniem i posłuszeństwem dla Almae Matris, z uczuciem serdecznym dla niej i dla mnie jako jej wodza, którego porównał do „pater familias” w rodzinie akademickiej, następnie stwierdził jedność młodzieży litewskiej w zakresie zagadnień zasadniczych bytu państwowego, jak sprawa Kłajpedy i Wilna; w ogóle wrażenie uczynił dobre. Następnie chór akademicki pod batutą Kaweckiego, mający odśpiewać na zakończenie „Gaudeamus igitur!”, urozmaicił tę część koncertową uroczystości przez ładne odśpiewanie sześciu piosnek litewskich różnych kompozytorów, opartych na motywach ludowych. Na tym się uroczystość zakończyła i ja zamknąłem ją formalnie. Po krótkiej przerwie odbyło się posiedzenie niepubliczne rady akademickiej, to znaczy ogólnego zebrania profesury. Były rozpoznawane kwestie tzw. funduszu reprezentacyjnego profesury, dla którego postanowiono opracować regulamin, i kilka innych kwestii bieżących.

Tegoż dnia wieczorem o godzinie ósmej odbył się w teatrze państwowym okolicznościowy koncert na dzień niepodległości za zaproszeniami. Jako rektor – miałem miejsca w pierwszym rzędzie krzeseł. Prezydent Rzeczypospolitej zasiadał w swojej loży, ministrowie – w swojej. Wykonana została wielka kantata na cześć Prezydenta Smetony, skomponowana przez Kornowicza na obchód 60-lecia Smetony, na którą składa się orkiestra, chór, deklamacja (wykonał aktor Kaczyński) i śpiew solowy (śpiewak operowy Aleksander Kutkowski). Kantata jest ładna i efektowna. Następnie solistka Opery Rakowska odśpiewała kilka piosnek. Wreszcie orkiestra wykonała parę utworów symfonicznych Mikołaja-Konstantego Čurlanisa i Gruodisa.

O raucie u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa i o balu studenckim prawników i ekonomistów tegoż dnia – uzupełnię jutro.

19 lutego, rok 1935, wtorek

Jeszcze o dniu 16 lutego. Wieczorem tego dnia byłem w teatrze państwowym na urzędowym koncercie publicznym, po czym byłem na raucie czy balu u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Zebrała się tam, jak zawsze w tych okolicznościach, „śmietanka“ towarzystwa litewskiego wraz z korpusem dyplomatycznym przedstawicieli państw obcych. Obecny też był Prezydent Rzeczypospolitej Smetona z żoną, ministrowie, wyżsi wojskowi, kilku z wyższego duchowieństwa, różnego rodzaju dostojnicy i dygnitarze, szczyty świata sądowego, Rady Stanu i różnych instytucji wysokich, trochę osób z działaczy społecznych wybitniejszych, ze świata literackiego, dziennikarskiego, profesury itd. Długo czekano na przybycie Prezydenta. Publiczność, wyczekująca jego przybycia, była podzielona na trzy sale, z których w jednej był zebrany świat dyplomatyczny, w drugiej – członkowie rządu z

paniami, przedstawiciel Kurii Metropolitalnej ksiądz prałat prof. Kazimierz Šaulys, ja, szef sztabu generalnego i paru innych uprzywilejowanych, i w trzeciej – reszta gości. Po przyjeździe Prezydenta gości zaprowadzono na kolację *à la fourchette* do stołów, zastawionych obficie jadłem i napojami. W czasie tej kolacji przyczepiła się do mnie p. Navakasowa, żona gubernatora Kłajpedy, Dewejkówna z domu, która się rozstała latem z mężem, moja była studentka. Zaczęła mi się gorączkowo zwierzać ze swych stosunków z ex-mężem, mówiła niedomówieniami, często półsłówkami, nerwowo przeplatając zwierzenia zarzutami; mówiła prędko, urywkowo, po francusku, półgłosem, tak że z trudem ją mogłem zrozumieć, o co jej chodziło. Uciekłem stamtąd zaraz po kolacji, gdy goście przechodzili do salonu i rozpoczynali od tańca. Pośpieszyłem jeszcze stamtąd na bal studentów prawników, który się odbywał pod protektoratem dziekana wydziału prof. Wacława Biržiški. Prócz masy studentów obojga płci, obecni byli na tym balu z profesury: prof. Wacław Biržiška z żoną, prof. Antoni Tamošaitis, prof. Rimka z żoną, prof. Jungfer z żoną, asystenci Weryha-Darewski, Podolski... Koło godziny drugiej w nocy dopiero wróciłem do domu. Niedzielę i poniedziałek miałem wolne poza tylko wykładem poniedziałkowym, colloquium i czynnościami rektorskim.

Dziś natomiast miałem znowu pracę reprezentacyjną, a jutro zapowiada się pod tym względem dzień jeszcze gorętszy. Przyjechał na parę dni do Kowna wybitny uczony w dziedzinie prawa międzynarodowego i konstytucyjnego profesor Uniwersytetu Strasburskiego Robert Redslob, Alzatczyk, przyjaciel Litwy.

20 lutego, rok 1935, środa

Dzień pod znakiem wizyty prof. Redsloba. Ten gość z Alzacji, człowiek osobiście miły, niezmiernie ugrzeczniony, gorąco manifestujący swoje uczucia dla Litwy, jest w istocie uczonym wybitnym. Choć wykłada obecnie w Strasburgu prawo międzynarodowe, to jednak jest także wybitnym znawcą prawa konstytucyjnego. W zakresie prawa międzynarodowego ma w nauce francuskiej godnych rywali w osobach nie mniej wybitnych uczonych, jak pośród żyjących Lapradelle, Le Fur, Basdevant i inni, ale w zakresie prawa konstytucyjnego po wielkim twórcy tej gałęzi nauki prawa i moim nauczycielu z Ecole des Sciences Politiques Esmeinie, zmarłym w roku 1914, i po śmierci w roku 1929 dwóch gwiazd największych – Duguita i Hauriou'a – trzyma on bodaj prym we Francji, mając jedynego większego od siebie prof. Carré de Malberga, który po wojnie wykładał w tymże Uniwersytecie Strasburskim i który także jest Alzatczykiem rodowitym, ale był przed wojną wyemigrował do Francji. Obecnie już wszakże Carré de Malberg jest emerytem, ma lat 73 i nie wykłada więcej. Inni Francuzi konstytucjonaliści, jak Henryk Nérard, wydawca pośmiertny dzieł Esmeina, jak Roger Rennard, Joseph Barthélung, Duer – są to wobec Redsloba ludzie *minorum gentium*. Prof. Redslob mówi równie dobrze po francusku, jak po niemiecku. Rodzimym językiem jego jest i był zawsze francuski, ale ponieważ rodzina jego po wojnie franko-pruskiej z roku 1870 była pozostała w Alzacji pod rządem niemieckim, przeto, będąc państwowo Niemcem, kształcił się on w Niemczech i sporo nabrał kultury niemieckiej. Był on przed Wielką Wojną profesorem na uniwersytecie niemieckim, ostatnio – w Alzacji rodzimej, w Strasburgu. Wykładał wtedy po niemiecku i po niemiecku też pisał. Po Wielkiej Wojnie wraz z Alzacją wrócił na łono Francji i pozostał profesorem na sfrancużonym Uniwersytecie Strasburskim. Wykłada odtąd oczywiście po francusku i po francusku też pisze. Jest też zdecydowanej orientacji francuskiej. Pomimo to, pomimo swoją wybitną wartość naukową i wyraźną gorącą orientację francuską – ciąży na nim dotąd jego przedwojenna przeszłość niemiecka i świat francuski trochę się nań boczy, węsząc w nim trochę karierowicza, posądzanego o niezupełną szczerość. Poniekąd tragiczny jest los tych biednych Alzatczyków, rozrywanych między świat francuski i niemiecki. Ale może też Alzatczycy więcej niż inni Francuzi odczuć mogą psychikę litewską i poczuć sympatię do Litwy, bo jest w ich sytuacji pewne podobieństwo

przeżyć do przeżyć litewskich. Byli oni oderwani od swej ojczyzny i oprymowani przez Niemców jako kraj zdobyty. I jak Litwa pozyskała niepodległość, tak oni pozyskali powrót do Francji. Jeno że we Francji są oni czymś choć bardzo kochanym i idealizowanym, jednak jednocześnie czymś niezupełnie, nie całkowicie z Francją zlanym, czymś dodatkowym, jakby przejściowym, jakby do asymilacji ostatecznej dopiero przeznaczonym, czymś wątłym o pewnej indywidualności zanikowej, jakby owianej smutkiem zamierania i przeznaczenia do świata innego na żer czegoś większego i silniejszego. Sam Redslob jest śmiały, pewny siebie, ale i w nim czuć coś z tego sentymentu delikatnego rozchwianej i przejściowej Alzacji. O przyjęciu Redsloba i jego wykładzie powiem jutro.

21 lutego, rok 1935, czwartek

Pobyt prof. Redsloba w Kownie kosztował mię dużo zachodów. Choć gość był przyjemny i zaszczytny, a dla Litwy dodatni, to jednak poświęcenie jednemu gościowi sześciu ceremonii, jak ja to uczynić musiałem – to trochę za wiele nawet na rektora, dla którego ceremonie grzecznościowe są, niestety, chlebem powszednim. We wtorek miałem wizytę urzędową prof. Redsloba w moim gabinecie rektorskim i o godz. piątej herbatkę w „Metropolu", urządzoną na cześć gościa przez Towarzystwo Litewsko-Francuskie, którego prezesem jest dr Soblys, sekretarz generalny naszej litewskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Dr Soblys wraz z panną Avietinaite, Litwinką pochodzenia tatarskiego, bardzo miłą i kurtuazyjną panną, urzędniczką Ministerium Spraw Zagranicznych, byli przez cały czas ciceronami prof. Redsloba. Wczoraj znów byłem na śniadaniu proszonym u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa na cześć tegoż prof. Redsloba, następnie o godz. piątej na wykładzie publicznym tego profesora na uniwersytecie z ramienia Wydziału Prawniczego i wieczorem na kolacji, urządzonej prof. Redslobowi przez Wydział Prawniczy. Zarówno na herbatce pozawczoraj, jak na śniadaniu wczorajszym u Lozoraitisa przeważał element profesury uniwersyteckiej. Mów tam nie było. Wykład uniwersytecki prof. Redsloba miał za temat: Problem bezpieczeństwa w prawie międzynarodowym współczesnym. Wykład był ładnie skonstruowany i wygłoszony elegancko – z ekspresją francuską; sala była przepełniona – dużo profesury, gości, pełno studentów. Tegoż dnia rano (wczoraj) minister oświaty Tonkunas doręczył prof. Redslobowi Order Giedymina II stopnia, co bardzo ujęło gościa. Na kolacji Wydziału Prawniczego zebrała się większość profesury wydziałowej, poza tym zaś byli oprócz gościa profesorowie Pakštas i Szmitlein (Francuz, również Alzatczyk, lektor języka francuskiego i literatury francuskiej na Wydziale Humanistycznym), prorektor prof. Česnys, dyrektor Departamentu Politycznego Ministerium Spraw Zagranicznych Urbšys i dr Soblys. Ponieważ nasz obecny dziekan Wydziału Prawniczego prof. Wacław Biržiška języków zachodnich nie zna, więc przemawiać na kolacji musiałem ja. Wygłosiłem mowę francuską, którą poprzednio napisałem i wyuczyłem się. Sam się dziwię, dlaczego z większą łatwością uczę się mów francuskich, niż litewskich, choć zdawałoby się, że powinno być odwrotnie. Mowy francuskie wypowiadam akcentem doskonałym, brak mi tylko gestykulacji francuskiej. Na mową moją odpowiedział mową serdeczną prof. Redslob.

Wreszcie dziś byłem na śniadaniu proszonym w poselstwie francuskim, gdzie w zastępstwie nieobecnego posła p. Ristelhübera rolę gospodarza pełnił sympatyczny i grzeczny *charge d'affaires* p. de Negrab, Gaskończyk rodowity z departamentu Dordogne, który był poprzednio przez czas dłuższy w Warszawie i w Rydze. Prof. Redslob miał jeszcze dziś wykład publiczny w sali „Ateininkų" z ramienia Towarzystwa Litewsko-Francuskiego na temat zasady narodowości, na którym już nie byłem. Wieczorem zaś prof. Redslob odjechał do Rygi, skąd następnie uda się do Tartu i do Helsinek.

22 lutego, rok 1935, piątek

Wyspałem się wreszcie i wypocząłem po wszystkich uroczystościach 16 lutego i wizyty prof. Redsloba. Dziś siedziałem przeważnie w domu, tylko byłem w rektoracie dla załatwienia spraw bieżących o zwykłych moich godzinach urzędowania rektorskiego i wieczorem byłem z Jadzią w kinematografie na filmie „Wołga w płomieniach"; okazało się jednak, że to nie jest film sowiecki, jeno spreparowany w Niemczech, który niezbyt mi się podobał.

Niebawem wszakże – jutro i zwłaszcza pojutrze – czeka mię znów rwetes uroczystości. Jutro – bal studentów humanistów, na który ze względu na Andrzeja pójdę (Andrzej jest od dłuższego czasu w gorączce tego balu), a w niedzielę mam dwie uroczystości Niepodległości Estonii i obchód akademicki pamięci biskupa Antoniego Baranowskiego. Będę musiał trzy razy przemawiać, wszakże krótko. Poza tym będzie jeszcze posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego i cztery uroczystości jubileuszowe stowarzyszeń studenckich. Na posiedzeniu Rady Wydziału będę, ale już na „jubileuszach" studenckich – nie; wszakże na dwa z tych „jubileuszów" posyłam pozdrowienia, zredagowane na piśmie. Taka oto jest ciężka pańszczyzna reprezentacyjna rektorska.

Zebrała się dziś w rektoracie komisja Wydziału Prawniczego w osobach dziekana Wacława Biržiški, Kriwickiego i mnie, stanowiąca jury do oceny trzech prac konkursowych studenckich na temat autonomii Kłajpedy, Śląska Polskiego, Wysp Alandzkich, Rusi Karpackiej i Katalonii. W liczbie tych prac jest też praca Feliksa Mackusa. Choć są one podane pod pseudonimami, jednak wiem prywatnie, że pod pseudonimem „Felmus" ukrywa się Mackus. Dwaj inni – co także wiem poufnie z domysłów – są studenci Sližys i Majewski. Uchwaliliśmy udzielić dwom po pół premium (po 250 litów) i jedną pracę zdyskwalifikowaliśmy. Zdyskwalifikowany jest, zdaje się, Majewski.

23 lutego, rok 1935, sobota

Wieczorem dziś wybrałem się na bal studencki Wydziału Humanistycznego, który się odbył w sali gmachu korporacji „Neo-Lithuanii". Na bal ten dawno obiecałem humanistom się wybrać. Ze stowarzyszeniem humanistów i zwłaszcza z jego prezesem studentem Popławskim i narzeczoną tegoż studenta Makowską, miłą i wdzięczną przystojną panienką, łączą mię stosunki bliższe od wiosny roku ubiegłego, kiedy stowarzyszenie te urządziło tzw. „tydzień kultury", polegający na szeregu akademickich odczytów publicznych, w których brał udział Prezydent Smetona, ja, Vidunas i inni. Zresztą na bal ten wybierałem się też ze względu na Andrzeja, który brał udział w komisji humanistów, urządzającej ten bal i sam gorąco się w jego urządzeniu krzątał i był od dni kilku cały przejęty balem. W ostatniej chwili leniłem się już i żałowałem, żem pójść obiecał, bo wolałbym być wypoczęty na pracowity dzień reprezentacyjny, który mię czeka jutro. Ale już cofnąć się było niewłaściwie, bo dla studentów obecność na ich balu rektora jest uświetnieniem dekoracyjnym zabawy i trudno po udzieleniu im obietnicy uczynić im zawód. Zresztą postanowiłem być tylko na części koncertowej balu. Ubrałem się więc we frak bez orderów i o godzinie dziesiątej poszedłem. Na balu zastałem sporo profesorów Wydziału Humanistycznego i dziekanem Krėvė-Mickiewiczem z żoną na czele. Obecni byli profesorowie Jonynas, Eugert, Seremen, Izydor Tamošaitis, Bolesław Tamošaitis, Bolesław Sruoga, Michelis, Schmitllein, Skardžius, Balys i kilku innych, przeważnie z żonami. Publiczność taneczną stanowili przeważnie studenci i studentki humaniści. Zabawa szła ochoczo, Andrzej uwijał się w tańcu gorąco. W ogóle bal był udany, choć dekoracji i urozmaiceń było mało. Ale atmosfera była miła i ożywiona, o wiele bardziej elegancka, niż na balu tegorocznym studentów prawników przed tygodniem, i panny były o wiele szykowniejsze. Na moje przyjęcie powitano mię odśpiewaniem kilku zwrotek hymnu akademickiego „Gaudemus igitur!" Dopiero po godzinie jedenastej rozpoczęto dział koncertowy, dość skromny i wykonany siłami własnymi amatorów spośród studentów humanistów. „Koncercik" ten polegał na odegraniu dwóch kawałków muzycznych

na fortepianie przez studentkę Jonynasównę, córkę profesora, i jeszcze jedną pannę na cztery ręce, i na „numerze" baletowym, odtańczonym w kształcie pantomimy tanecznej przez trzy pary pierrotów i kolumbin – tak kolumbiny, jak pierroci składali się ze studentek humanistek w tanich improwizowanych kostiumach charakterystycznych. W międzyczasie między grą fortepianową a baletem była ogłoszona przerwa dziesięciominutowa, w której toku organizatorzy zabawy zaimprowizowali „zamach" na moją osobę. Wystąpił przed publiczność mistrz zabawy i oznajmił, że przed numerem baletowym odbędzie się *ex-promptu* inny kawałek choreograficzny. Jakoż do fortepianu usiadła akompaniatorka i zagrała walczyka, a na tę cząstkę sali, która stanowiła „scenę", wybiegł w tańcu Andrzej z jakąś panienką, gdy zaś przetańczyli parę kółeczek – zbliżyła się do mnie studentka p. Jonynasówna, ładna panienka w długiej sukni białej, pełna wdzięku, wysoka, dosyć pełna i w każdym razie okrągła i ładnie zbudowana, szczególnie wdzięczna w ruchu, gdy idzie drobnym szybkim krokiem, trochę brzuszkiem na przód, jak podlotek wiejski – i zaprosiła mię do tańca. Powstałem, odmawiając jej, niestety, bo w istocie nigdy w tańcu bardzo biegły nie byłem i od wielu lat tańczyć już nie próbowałem i nie chciałem się błaźnić w tym, co nie jest właściwością moją. Panna wszakże nastawała, a sala zagrzmiała oklaskami, usiłując mię sforsować i do zabawy nakłonić. Rozłożyłem ręce i swoją drogą nie dałem się. Nie bardzo mi to było miłe, bo odmowa mężczyzny pannie jest zawsze nieprzyjemna. Ale naturalnie uszło to gładko. Był to tylko epizod przelotny. Po tym dziele „koncertowym" zaprowadzono profesurę do jadalni, gdzie dano kolacyjkę. Mało jadłem, bo dziś miałem dzień głodowy i nie chciałem się na noc opychać, a nie piłem nic zgoła. Zresztą siedziałem między kilku dosyć starymi i niezbyt ciekawymi paniami profesorowymi i paru profesorami Niemcami (Sezemannem i Eugertem), dla których wielkiej sympatii nie czuję i którzy też wiedzą i czują zapewne, że do sympatyków niemieckich zgoła nie należę, bo nieraz się to już w różnych wystąpieniach i odczytach moich zamanifestowało. Niebawem też umknąłem, ale do domu dopiero koło drugiej w nocy wróciłem. Andrzej pozostał oczywiście do końca zabawy. Szary koniec profesury przy kolacji w osobach zwłaszcza Izydora Tamošaitisa, Balysa Sruogi i Krėvė-Mickiewicza mocno się podochocił i był skłonny do zabawy coraz luźniejszej. Mile spędziłem część czasu na tej zabawie w towarzystwie panien Makowskiej i Skrinskównej, miłej i niegłupiej panienki studentki, córki sędziego okręgowego Skrinski w Mariampolu.

24 lutego, rok 1935, niedziela

Oj, ciężki dzień dzisiejszy!

Na uroczystości jubileuszowe trzech stowarzyszeń studenckich nie poszedłem. Na dwie z nich – 10-lecie stowarzyszenia studentów techników „Plienas" – przesłałem pozdrowienie na piśmie, na trzecią – 10-lecia sekcji akademickiej „Šiaulių sąjungos" – nie poszedłem i pozdrowienia na piśmie nie przesłałem, bo już poprzednio dałem artykulik pozdrawiający do ich jednodniówki jubileuszowej, przeto na tym poprzestałem, choć ta uroczystość była spośród tych trzech najuroczystsza, na której był obecny i prezydent Smetona, i ministrowie Šniukšta i Šiling.

Miałem aż nadto dosyć innych zajęć i uroczystości, w których udział czynny wziąć musiałem. Pierwszym było posiedzenie zwyczajne Rady Wydziału Prawniczego. Na nim, oprócz innych spraw bieżących, dotyczących regulaminu, dyplomów, orzeczeń ekspertyzy prawniczej na żądanie senatu akademickiego itp. – rozstrzygnięto też konkurs prac studenckich na temat autonomii pięciu krajów w Europie (Wysp Alandzkich, Kłajpedy, Śląska, Rusi Karpackiej i Katalonii). Rada uchwaliła wnioski komisji, o których przed paru dniami pisałem. Nagrodę w kwocie 500 litów postanowiono podzielić po połowie dwóm autorom studentom, którymi po otwarciu kopert okazali się Sližys i Feliks Mackus, trzeciego zaś, którym się okazał student Majewski, pracę zdyskwalifikowano. Uchwalono wszystkie trzy prace zakwalifikować jako prace dyplomowe, o ile autorzy zechcą z nich na ten użytek

skorzystać. Cieszę się, że biednemu Mackusowi kapnie grosz, którego on jest spragniony. Ma on już wszystkie egzaminy zdane i gdy mu teraz tę pracę zaliczą za dyplomową – otrzyma dyplom, a wtedy ja go postaram się wciągnąć do wydziału dla przygotowania go do profesury. Niegłupi i zdolny jest chłopak, jeno cokolwiek leniwy i ociężały, co dla pracy naukowej jest felerem. U młodych adeptów nauki i profesury pożądane jest więcej entuzjazmu twórczego, energii czynnej i prometeizmu. Może go rozrusza zagranica, dokąd go postaram się przez wydział wysłać od jesieni na pogłębienie studiów i przygotowanie się do doktoratu.

Ale największą miałem dziś pracę na trzech obchodach, jednym – pamięci biskupa Antoniego Baranowskiego i dwóch poświęconych uroczystości rocznicy Niepodległości Estonii. Na wszystkich trzech musiałem przemawiać, na dwóch – zagajać i na trzecim – wyrazić kilka słów pozdrowienia. Nie były to długie mowy, ale w każdym razie jest to męczące, zwłaszcza gdy wszystkie trzy wypadają na jeden dzień. Ale najbardziej wymęczyło wysiedzenie czterech godzin prawie bez przerwy w dusznej atmosferze w przepełnionej sali uniwersyteckiej na dwóch uroczystościach jednej po drugiej.

Obchód pamięci biskupa Antoniego Baranowskiego, zmarłego w roku 1902 na stanowisku biskupa sejneńskiego, był zainicjowany przez grupę akademicką „Naujosios Romuvos bičiulių" (jest to zrzeszenie, zainicjowane od lat kilku przez redaktora tygodnika „Naujoji Romuva" Keliuotisa, mające stanowić atmosferę społeczną tego pisma; urządza ono pogadanki, debaty, obchody w kontakcie ciągłym z redakcją; „Naujoji Romuva" i jej kierunek, a przeto i jej grupa ideologiczna łączy tendencje katolicko-klerykalne z aspiracjami prorządowymi w duchu narodowców; jest to rodzaj mostu, idącego od starej Chrześcijańskiej Demokracji, zachowującej frondę opozycyjną do narodowców rządzących; dużo w tej grupie jest elementu karierowiczowskiego, wszakże zachowującego pewien odcień ideowy; jest to grupa przeważnie młodych, niecierpliwych i zazdrosnych, nieufnych względem starszych, usiłujących strącić z piedestału tych, co się słabo trzymają, aby robić sobie miejsce. W obchodzie Baranowskiego brały udział siły przeważnie Wydziału Teologicznego, było dużo księży i kleryków, ale audytorium było też pełne młodzieży akademickiej – „ateitininków" i innych. Obchód odbywał się w uniwersytecie. Ja zagajałem. Arcybiskup metropolita Skwirecki i prałat Jakštas-Dąbrowski podzielili się swoimi wspomnieniami osobistymi o Baranowskim, docenci Wydziału Teologicznego Ambroziewicz i Salys wygłosili referaciki, jeden – o poezji, drugi – o języku litewskim Baranowskiego. Na obchodzie był też minister Tonkunas. W zakończeniu artysta Kaczyński deklamował utwory Baranowskiego, a chór akademicki odśpiewał parę piosenek Baranowskiego, jak „Sudiev, Lietuva!" i inne. Obchód bardzo się udał, był urozmaicony i ciekawy i bardzo plastycznie uwydatnił ciekawą, wyrazistą i mocną, paradoksalną postać wybitnego biskupa, który będąc człowiekiem głęboko religijnym i silnego dyscyplinowanego charakteru, był wybitnym poetą litewskim, miłośnikiem Litwy, pracował nad jej językiem narodowym, ale jednocześnie był wrogiem zdecydowanym odrodzenia politycznego Litwy, całego ruchu narodowego – był ideologiem koncepcji „*gente Lithuanus, natione Polonus*", pełny w tym względzie społecznym kontrastów, człowiekiem okresu przejściowego, ale Litwinem charakterystycznym i typowym.

25 lutego, rok 1935, poniedziałek

O wczorajszych uroczystościach estońskich, w których udział brałem, napiszę jutro, bo dziś czasu mam mało. Dziś w teatrze miał miejsce wieczór literacki, polegający na deklamacji i odczytywaniu własnych utworów przez poetów i literatów, przeplatanych przez śpiew solistów i chóru oraz muzykę na kanklach i skuduczach – wskrzeszonych archaicznych instrumentach narodowych litewskich, bardzo pierwotnych. Wieczór ten był urządzony przez związek „Jaunalietuvių". Miałem zaproszenie, ale nie poszedłem. Za wiele tych uroczystości!

26 lutego, rok 1935, wtorek

Na dzisiejszym obiedzie Rotary-Clubu ciekawy referacik o wrażeniach i spostrzeżeniach osobistych z podróży swojej do Sowietów wygłosił Jakub Robinzon. Jak inni, którzy poznają i obserwują życie społeczne w Sowietach, Robinzon, człowiek bardzo rozwinięty i mądry, stwierdza ogromny wysiłek zbiorowy na rzecz racjonalizacji i intensyfikacji pracy. Ruch i wysiłek w tym względzie jest zaiste zdumiewający i imponujący. Jednocześnie Robinzon uwydatnił wielkie pogłębienie momentu inicjatywy indywidualnej w wielkiej akcji społecznej Sowietów i wyzyskanie oraz wzrost wyśrubowania współzawodnictwa i zapału osobistego, wkładanego w akcję zbiorową. Instytucja wielmożna „udarników" („rzutowców"), działanie na ambicję młodzieży i ludzi czynu, podniecanie jej, jak również poczucie obowiązku aż do stopnia entuzjazmu, premiowanie tego, podsycanie ciągłe energii osobistej, nawet orderomanii – wszystko jest uruchomione na rzecz tego celu. Obowiązek, praca, dyscyplina żelazna, prześciganie się w zapale – oto cechy, które zapanowały nad chamstwem i hultajstwem pierwszych lat rewolucji w masach. Jest wspaniała tężyzna i ogromny kult rozrostu społecznego, zespalającego się przedziwnie z pierwiastkiem indywidualnym pewnego prometeizmu. Jest to społeczeństwo, które się buduje i tryska energią zdyscyplinowaną. Nawet należenie do partii komunistycznej, stanowiące rodzaj arystokratyzmu w społeczeństwie sowieckim, nie zwyrodniało bynajmniej w karieryzm pospolity. Partia jest zdyscyplinowana, oparta na pierwiastku wodzów, bardzo silnym w całym ruchu Sowietów. Należenie do partii nie stanowi jałowej rozkoszy próżniaków, jeno pogłębia obowiązek pracy do potęgi niemal nadludzkiej i czyni z tych ludzi elitę twórczą o najtwardszej dyscyplinie wydajności. Dla mnie problem równowagi między zmechanizowaniem i zmasowaniem ludzi a pierwiastkiem inicjatywy indywidualnej w wielkim zbiorowym ruchu społecznym Sowietów jest właśnie jednym z najciekawszych. Dzieło, któremu przewodzi Stalin, jest zaiste cudowne. We mnie budzi ono nie tylko ciekawość, ale także entuzjazm. Coraz bardziej. To nie jest chuligaństwo hultajskie mas bolszewickich z doby bezpośredniej rewolucji w rodzaju naszych „komunistów" wioskowych – różnych Jachimowiczów, Sadowskich, Juszkiewiczów ciemnych z Bohdaniszek, których marzeniem jest próżniactwo, używanie, korzystanie z dóbr cudzych, słowem, elementarna chciwość, zazdrość i hultajstwo. Ciekawe też Robinzon poczynił obserwacje w przedmiocie przeżytków starego trybu, przeżytków wierzeń religijnych, zwyczajów dawnych itd. Również ciekawych informacji o niektórych stylowych brakach, jak np. w zakresie środków komunikacji masowej w Moskwie i różnych innych kwestii. Lubiłbym osobiście zwiedzić Sowiety. To musi być bardzo ciekawe. Co się tam robi – to wielka rzecz. Jak niegdyś Wielka Rewolucja Francuska była kuźnicą nowych form życia i ideałów, tak dziś kuźnicą jeszcze większą jest Wielka Rewolucja Sowiecka, wysoce humanistyczna mimo wszelkie okropności, które towarzyszyły jej narodzinom. Będzie ona promieniowała na ludzkość. Ten wielki ruch dokonywa się tuż obok nas. Pojechać bym mógł, Sowiety zapraszają, poseł sowiecki Karski i jego były sekretarz sympatyczny Kofman wyrażają gotowość udzielenia wizy, poseł litewski i w Moskwie Baltrušaitis i minister spraw zagranicznych noszą się nawet, jak się zdaje, z myślą zaprojektowania jakiejś ekskursji uniwersyteckiej z Kowna do Sowietów – oczywiście z moim udziałem jako rektora. Tylko że taka wycieczka oficjalna wymagałaby mów, uroczystości, reprezentacji, a to jest ciężkie i męczące. Wolałbym pojechać bez tego, ale to trudniejsze i zwłaszcza droższe.

27 lutego, rok 1935, środa

Nawracam dziś do niedzieli 24 lutego. Zreferuję ten dzień estoński, o ile ja w uroczystościach estońskich dnia tego udział brałem. Rocznica Niepodległości Estonii była w Litwie obchodzona zawsze dość serdecznie; zawsze w tym dniu Towarzystwo Litewsko-

Estońskie urządzało jakiś wieczór publiczny, odczyt czy coś podobnego. Ale dopiero od roku ubiegłego obchód tej rocznicy zaczął nabierać większego znaczenia. Zaognienie sprawy kłajpedzkiej, zwycięstwo hitleryzmu w Niemczech, presja niemieckiego „Drang nach Osten", skierowana w pierwszym rzędzie na Litwę, dokonały przełomu w orientacji politycznej Litwy. Koncepcja „mostu" między Niemcami a Rosją, koncepcja niehistoryczna i dla Litwy zgubna, która dominowała w pierwszym dziesięcioleciu Niepodległej Litwy, a którą tu podniecał imperializm polski, wywołujący reakcję ze strony litewskiej, w ostatnich paru leciech się załamała. Zapanowała pewna dezorientacja na razie, która trwała lat parę. Z tej dezorientacji skorzystać mogła Polska, bo Litwa oglądała się wtedy za nowymi sojusznikami i szukała koncepcji orientacyjnej. Zdawało się nawet, że Polska zacznie coś w tym kierunku robić; przyjazd Prystora do Kowna, wzywanie dr Jerzego Šaulysa do Piłsudskiego – zdawały się dawać przedsmak jakiegoś kompromisu przejściowego, po którym dojść może do ewentualnego zbliżenia. Ale w Polsce nastała doba rządów Becka i jego polityki filoniemieckiej. Perspektywy na kontakt z Polską upadły. Przeciwnie – konflikt z Polską pogłębił się i podwoił: do dawnej jego treści dołączyła się ohyda niemieckiego „Drang nach Osten". Jednocześnie wszakże świtać zaczęła jutrzenka zbliżenia z Łotwą i Estonią, kontaktu i związku organizacyjnego z nimi. W tym świtaniu odbył się właśnie zeszłoroczny obchód rocznicy Niepodległości estońskiej, urządzony w sali Klubu Wojennego „Ramovė"; był on bardzo uroczysty z udziałem dyplomatów, członków rządu i publiczności doborowej. Na tym obchodzie ówczesny minister spraw zagranicznych Zaunius wygłosił mowę, która była jaskółką orientacji związkowej bałtyckiej. Wtedy też wygłosiłem odczyt ja, poświęcony idei związków regionalnych europejskich i kooperacji bałtyckiej. Można rzec, że przez ten mój odczyt zeszłoroczny byłem jednym z pionierów i inspiratorów idei Związku Bałtyckiego, jego prorokiem. Grunt dla tej idei i orientacji był dojrzały i uprawiony. Dziś, po roku, Związek Bałtycki Litwy, Łotwy i Estonii jest już faktem, który szybko i wyraźnie ewolucjonuje w opinii publicznej i w usposobieniu kół rządzących naszych trzech krajów w kierunku konsolidacji konfederacyjnej i – daj Boże! – w dalszym rozwoju federacyjnej. Święto Niepodległości Estonii stało się w tym roku w Litwie nie tylko wyrazem sympatii dla państwa przyjaznego, ale świętem narodowym litewskim.

28 lutego, rok 1935, czwartek

Rocznica Niepodległości Estonii (17 rocznica) obchodzona była tak w Estonii, jak w Łotwie i w Litwie, uroczyście i serdecznie, jako święto narodowe. Całe Kowno było udekorowane flagami. Do Kowna przyjechał estoński minister rolnictwa i burmistrz stolicy estońskiej Tallina (Rewla). Goście byli udekorowani, przyjmowani uroczyście. Odbyła się uroczystość zwykła w ogródku Muzeum Wojennego, połączona z wieńcami na grób Nieznanego Żołnierza u stóp pomnika poległym w obronie Niepodległości, z uroczystym spuszczaniem sztandaru, dźwiękami Dzwonu Niepodległości, mowami... Na uroczystości tej osobiście nie byłem, bo miałem właśnie w tym czasie obchód pamięci biskupa Baranowskiego na uniwersytecie. Zaraz po tym obchodzie na uniwersytecie odbył się obchód uroczysty tamże rocznicy Niepodległości Estonii. Obchód ten z inicjatywy prywatnej senatu akademickiego był urządzony pod firmą dwóch stowarzyszeń studenckich (stowarzyszenie „Baltija" i stowarzyszenie „Fraternitas Baltiensis"). Na obchód przybyli goście estońscy – minister rolnictwa, burmistrz Tallina, poseł estoński w Kownie p. Leppik, szereg też osobistości litewskich. Przemawiałem krótko i akademicko ja, następnie po rosyjsku – estoński minister rolnictwa, wreszcie krótki i gorący referacik okolicznościowy wygłosił Żołkowski. Śpiewał też śpiewak operowy estoński z Tallina i nasz chór akademicki odśpiewał hymny litewski i estoński i piosenki estońskie i litewskie. Nastrój był bardzo gorący; młodzież się entuzjazmowała.

Wieczorem tegoż dnia (w niedzielę) w lokalu Klubu Wojennego „Karininkų Ramovė” odbyło się wielkie uroczyste posiedzenie publiczne, urządzone przez Towarzystwo Litewsko-Estońskie na rzecz rocznicy Niepodległości Estonii. Za stołem prezydialnym zasiadł zarząd towarzystwa z prezesem Janem Vileišisem na czele, wiceprezesem Żołkowskim, członkami notariuszem Brazaitisem i innymi. Obecni byli wszyscy ministrowie nasi z prezesem ministrów Tubelisem na czele, z żonami, goście estońscy, doborowa publiczność dygnitarzy, dostojników i wysokich urzędników oraz sfery społeczne wyższe, panowie i panie, mężczyźni we frakach i z orderami, całe morze oficerów. Powiewały sztandary o barwach litewskich i estońskich. Po zagajeniu Vileišisa z wielką mową polityczną wystąpił minister Lozoraitis, po czym przemawiał minister rolnictwa estoński, następnie poseł estoński Leppik, który swą mowę czytał z rękopisu litewskiego, następnie burmistrz Tallina i wreszcie ja; moje przemówienie było najkrótsze, składało się z czterech zdań, w których oddałem hołd Estonii i dla Związku Bałtyckiego w imieniu nauki litewskiej. Potem była część koncertowa – soliści, chór, wreszcie raut z kolacją *à la fourchette* i tańcami.

1 marca, rok 1935, piątek

Dziś rano odbyła się w sali Klubu Wojskowego „Karininkų Ramovė” uroczystość otwarcia drugiego rocznika kursów Sztabu Generalnego. Kursy te – jednoroczne, bodaj nawet kilkomiesięczne – funkcjonować zaczęły w ubiegłym roku akademickim, gdy szefem Sztabu Generalnego był jeszcze Kubiliunas. W bieżącym roku akademickim (1934-1935) otwarcie ich drugiego rocznika zostało opóźnione – ze względu zapewne na perturbacje, które zaszły w armii w związku ze stłumionym wojennym zamachem stanu z czerwca ubiegłego. W uroczystości otwarcia kursów wziął udział Prezydent Rzeczypospolitej Antoni Smetona, ministrowie: obrony krajowej (wojny) generał Šniukšta i komunikacji Staniszewski, szef Sztabu Generalnego Raštikis, główny kapelan wojskowy ksiądz dziekan Mironas, grono generalicji, lektorów kursów i kursantów. W liczbie kursantów są majorowie i kapitanowie, poruczników ledwie paru. Dobór kursantów był bardzo staranny. Uroczystość rozpoczęła się od odegrania hymnu narodowego przez orkiestrę wojskową, po czym mowę wygłosił Prezydent Smetona, minister wojny Šniukšta i ja w imieniu uniwersytetu. Szef sztabu Raštikis przemówił także, udzielił informacji i odczytał listę kursantów. Na tym się uroczystość skończyła. W roku ubiegłym na kursach tych oprócz przedmiotów ścisłych nauki wojskowej wykładana też była (bez egzaminów) grupa przedmiotów z dziedziny prawa i państwowości. W liczbie wykładowców tej ostatniej kategorii byłem też ja. Czy i w tym roku to zostanie utrzymane – nie wiem. Raštikis, zapraszając mię na uroczystość dzisiejszą, nic mi o tym nie wspomniał.

Od Eugeniusza Römera dowiedziałem się o śmierci Stefana Römera, syna Bolesława i cioci Elżusi z Römerów. Ten Stefan Römer, imiennik Stefana Römera, syna Witolda i mojej siostry Maryni także z Römerów, był moim rówieśnikiem, o rok młodszy ode mnie, umarł przeto w wieku lat 53-54. Umarł sparaliżowany od lat kilku, w nędzy, w przytułku w Oeynhausen w Niemczech za Hanowerem w kierunku granicy holenderskiej, dopatrywany jednak do końca przez wierną mu i kochającą żonę, Niemkę rodowitą. Stefan Römer należał niegdyś do złotej młodzieży Wilna. Nauk żadnych nie skończył, wykształcenie zamknął, zdaje się, na klasie drugiej czy trzeciej gimnazjum. Był chłopcem pięknym, postawnym, salonowcem i hulaką. Ojciec jego, Bolesław Römer, człowiek próżny i głupi, przejęty zasadami arystokratycznymi, nie dbał o wykształcenie syna; podług jego poglądów – Stefanowi wystarczało nazwisko Römera, majątek ojca (do Bolesława należał majątek ziemski Władykiszki pod Koszedarami, kamienica w Wilnie na Bosakach i trochę kapitału). Za dawnych czasów przed laty 30-40 był to fundusz dobry. Ojcu chodziło o to, aby syn był światowy i piękny. Tak dbał o cerę syna, że na noc okładał mu policzki surowymi kotletami cielęcymi, co miało utrzymywać różową cerę policzków. Młody Stefan lubił pić i bawić się z

kobietami. Kobiety się kochały w pięknym chłopcu. Bawił się i hulał, szalał w Wilnie z „szumanówkami" – tancerkami i śpiewaczkami głośnego w Wilnie kabaretu nocnego Szumana w Ogrodzie Botanicznym. Na hulanki potrzebne mu były pieniądze. Środków ojca nie starczyło na szalone zabawy i kobiety Stefana. Kilkakrotnie opłacał jego weksle, wreszcie odmówił mu kredytu. Stefan zaczął fałszować podpisy ojca na wekslach. Ojciec na razie płacił, wreszcie nie mógł, a weksli sfałszowanych przez Stefana narosło do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Rodzice wysłali Stefana za granicę, ratując go od procesu karnego za fałszowanie weksli. Było to koło r. 1906-1907. W roku 1908 ujawnił się nowy głośny skandal. Stefan za granicą wraz z takimiż przedstawicielami zdeklasowane złotej młodzieży różnych narodowości założył bandę międzynarodową szulerów i bandytów, która grasowała w sleeping-carach, kurortach i modnych plażach morskich i operując nazwiskami arystokratycznymi członków swoich zawierała znajomości, wciągała ludzi w grę, ogrywała ich metodami szulerskimi, okradała itd.

2 marca, rok 1935, sobota

Rano z Kowna wyjechała do Bohdaniszek na zapusty Jadzia. Jedzie nie tylko na krótką rozrywkę i dla zobaczenia się z matką i rodziną, do której jest bardzo przywiązana, ale także i zwłaszcza dla kontroli i różnych wiosennych zarządzeń gospodarskich w Bohdaniszkach oraz dla sprzedaży ewentualnie zboża zeszłorocznego, jeżeli go jeszcze na sprzedaż pozostanie. Andrzej odprowadził Jadzię do pociągu; bez niej w domu jest pusto i smutno. Ja sam nie bardzo dobrze się dziś czułem. Wczoraj czułem się bardzo przeziębiony i wieczorem trochę gorączkowałem. W nocy dobrze się zagrzałem i dziś miałem się już nieco lepiej, ale bądź co bądź katar mię męczył. Nie bardzo chciałem z domu wychodzić – i to byłoby najzdrowsze, ale musiałem, i to nawet dwukrotnie – raz na krótko do uniwersytetu do moich zajęć rektorskich codziennych, drugi zaś raz, co było gorsze, późnym wieczorem na bal studencki „Zjednoczenia Polaków Studentów Uniwersytetu Witolda Wielkiego". Balów teraz na schyłku karnawału – co niemiara. Na dziś wieczór miałem zaproszenie na trzy bale: na dwa bale studenckie, jeden – polski i jeden – korporacji studentów medyków „Gaja", i na wielki bal dziennikarzy w Metropolu, jeden z najwspanialszych balów w stolicy litewskiej. Nie jestem wcale (choć Jadzia mię o to posądza) miłośnikiem balów, toteż nie śpieszyłem na nie, a jeżeli poszedłem na studencki polski, to tylko dlatego, żeby po pierwsze – nie pominąć polskiego odłamu młodzieży akademickiej naszej w zewnętrznych oznakach sympatii rektorskiej (byłem w tym roku już bodaj na siedmiu czy ośmiu różnych balach studenckich litewskich i na jednym żydowski, należało więc być i na polskim), i po drugie dlatego, że będąc osobiście tyleż Polakiem, co Litwinem, muszę choć od czasu do czasu ten mój kontakt z polskością zaznaczyć zewnętrznie, mimo że osobiście z dominującym w naszej krajowej mniejszości polskiej usposobieniem wobec Litwy zasadniczo nie bardzo sympatyzuję. Bóg mi świadkiem, że tylko dla tych tak przeze mnie osobiście wyczuwanego obowiązku względów, nie zaś dla jakichś względów zabawy udałem się na ten bal, który się odbył w gmachu gimnazjum polskiego. Nie zabawiłem się też bynajmniej i na ogół krótko na balu byłem. Ze „Zjednoczeniem Studentów Polaków" mało mię łączy ściślejszych i serdeczniejszych stosunków. Zdaje mi się, że oni mało mają uznania dla mnie i że dobrze odczuwają, co ich i mnie w usposobieniach i ideałach naszych dzieli. Bal był słaby. Publiczności było niedużo, przynajmniej do północy. Był mały działek koncertowy – gra młodego studenta Pereszczaki na wiolonczeli, gra na skrzypcach, kwintet śpiewacki amatorów rzemieślników... Ze starszego pokolenia spotkałem tam tylko dyrektora gimnazjum polskiego p. Abramowicza, wicedyrektora Wielbuta i dwóch dziennikarzy warszawskich – zadomowionego już w Kownie Katelbacha i młodego korespondenta „Kuriera Porannego" Stachurskiego, którego dziś poznałem.

3 marca, rok 1935, niedziela

Siedziałem dziś w domu dzień calutki. Nie wyszedłem. Miałem jakieś bale proszone, uroczystości, ale nie poszedłem na nie. Z góry na wszelkie zaproszenia i perswazje odpowiedziałem, że zapust użyję na wypoczynek i rzekomo wyjadę. Na dwie z uroczystości dzisiejszych – na otwarcie tzw. „Kongresu Kultury", polegającego na cyklu odczytów na tematy kultury, literatury i sztuki o pewnym zapaszku klerykalnym w murach uniwersytetu i na obchód uroczysty w teatrze 10-lecia „Towarzystwa Kobiet Rodzin Oficerskich – przesłałem na piśmie pozdrowienia, z których drugie sam potem wysłuchałem w domu przez radio, które translowało uroczystość. Wysłałem też depeszę gratulacyjną na ślub i wesele naszego prywatdocenta Dominika Kriwickiego, który się dziś [żeni] z zamożną panną Gustaitisówną z rodziny ziemiańskiej litewskiej pod Wyłkowyszkami.

A teraz słówko jeszcze o sprawach lokalnych polskich. Od lat paru w kołach miejscowych młodzieży polskiej rozpoczął się pewien ferment reakcji przeciwko kierownictwu polityczno-ideologicznemu mniejszości polskiej i jej organizacji oświatowych i akademickich, spoczywającemu w rękach grupy ziemiańskiej starych matadorów z Eugeniuszem Römerem, Budzyńskim, nieobecnym już teraz Wielhorskim, Bolesławem Lutykiem, Okuliczem, Kazimierzem Janczewskim, Konstantym Zyberk-Platerem na czele i ich poplecznikami ze starszej generacji młodzieży akademickiej (Ugiański, Ukiński, Stoma, Kobyliśnki, Mikołajunas, Szyłkowski...). Reakcja ta jest kierowana przez młodego Tadeusza Surwiłę, który niegdyś był urzędnikiem litewskim i wyróżniał się zaciekłością przeciwko ziemianom, potem ożenił się podobno bogato, pojechał na studia do Warszawy i wrócił stamtąd z zaciekłym zapałem nacjonalistycznym polskim, wprost imperialistycznie względem Litwy usposobionym, ale posiadającym też pewne zacięcie radykalno-społeczne, słowem – coś zbliżonego do nacjonalsocjalizmu polskiego w stylu hitlerowskim. Dotychczasowemu kierownictwu mniejszości polskiej i kół akademickich Surwiło i jego zwolennicy zarzucają ugodę względem Litwy, brak poczucia honoru i godności, służalczość, słabość. Zwalczają tę starą grupę zacięcie, potępiają ją i piętnują namiętnie, wprowadzają zamieszanie i tendencje rozłamowe wśród polskiej lokalnej młodzieży akademickiej, przenikają do młodzieży rzemieślniczej polskiej w Kownie, usiłują opanować tzw. świetlice. Ferment i ruch ciekawy zapewne, ale szkodliwy i antykrajowy. Głoszą ci surwiłowcy nieprzejednanie i irredentę polską w Litwie, imperializm państwowy polski i mają się ważyć na nieobliczalne imprezy w stylu peowieckim Wąsowicza z roku 1919.

4 marca, rok 1935, poniedziałek 328

I dziś także poświęciłem dzień całkowicie swojej pracy domowej – jest to zresztą także moja praca naukowa przeważnie, przeplatana przygotowaniem odczytów i artykułów, korespondencją, dziennikiem, lekturą, porządkowaniem archiwum i rejestrów studenckich itd. Mam zawsze tego po uszy i nigdy mi zajęcia w domu nie braknie. Taki mój los – nigdy z pracy nie wybrnę i dobrze mnie w niej; z nią i z Jadzią czuję się najszczęśliwszy i żyję. Nie lubię i nawet nie umiem coś robić połowicznie; rozwinąłem w sobie obowiązkowość i dyscyplinę pracy do stopnia najwyższego i co robię – to robię intensywnie i z całym temperamentem do tego wyrazu doskonałości, na jaki mię stać.

Wychodziłem z domu tylko dwukrotnie: raz byłem z wizytą u dziennikarza polskiego p. Katelbacha, który jutro jedzie na czas pewien do Warszawy i któremu zaniosłem do wysłania w Polsce trzy listy – do prof. Henryka Paszkiewicza, do prof. Feliksa Konecznego i do Kotuni Pruszanowskiej; drugi raz wieczorem byłem z Andrzejem w kinie „Kapitol" na filmie co prawda niemieckim, ale ładnie skomponowanym i nazwanym „Nocturn".

5 marca, rok 1935, wtorek

Dziś urzędowałem już w rektoracie, ale ruch jest mały, studenci rozjechali się na zapusty, wykłady – przerwane, toteż roboty miałem mało. Wieczorem poszedłem z Andrzejem na tradycyjne pączki zapustne do kawiarni „Grand-Café”.

Wieczorem, co mi się bardzo rzadko zdarza, bo czasu na to brak, przeglądałem stare zeszyty dzienników moich. Po napisaniu nie zaglądam do dziennika prawie nigdy, zaledwie kilka razy do roku mi się to zdarza. Wtedy w tysiącach kartek mojego dziennika wybieram te, które pod tą samą datą pisałem przed rokiem, przed dwoma, trzema, pięciu, dziesięciu itd. do końca – rok po roku, ile mam zeszytów dziennika w domu. Zgoła wyjątkowo (zdarzyło się to może po raz drugi czy trzeci, odkąd mój dziennik prowadzę) w tych dniach przeczytałem po obiedzie Andrzejowi kilka kartek mojego dziennika z podróży po Finlandii w roku 1926, którą lubiłbym powtórzyć. I oto dzisiaj przejrzałem sobie szereg rocznic dnia 5 marca w dzienniku. W jednej z tych kartek – sprzed lat 19 (rok 1916) znalazłem wzmiankę o moich pomysłach ówczesnych wciągnięcia młodzieży z Litwy do Legionów Polskich w owym czasie. Tak – w latach 1915 i 1916 nosiłem się z tą myślą. To prawda. Myliłby się jednak, kto by sądził, że hołdowałem wówczas zasadom imperializmu polskiego lub polonizacji Litwy. Emancypację polityczną Litwy od Polski wyznawałem już czynnie od roku 1904 (od wpływów Józefa Petrulisa na mnie i założenia wraz z nim „Lithuanii” w Paryżu), a właściwie uznawałem tę zasadę nawet przed tą data, jeno do roku 1904 czynnie się do tego nie przykładałem. Ale w dobie Wielkiej Wojny, w latach 1914-1916 zwłaszcza, miałem ideologię legionową polską, która jednak nigdy się nie kłóciła u mnie z moim „nastawieniem” litewskim i zbiegała się z nim w mojej orientacji ówczesnej, opartej na moim wartościowaniu podmiotowym sytuacji i perspektyw politycznych. Oczywiście nie mogłem przewidywać wtedy ani zaboru Wilna przez Polskę, ani tych trudności i przeszkód, które Polska czynić będzie Niepodległości Litwy. Nie byłem wtedy pewny nawet Niepodległości Polski, a szans dla Niepodległości Litwy nie przewidywałem. Nie mogłem spodziewać się, że w wojnie tej tak Rosja, jak Niemcy poniosą porażkę i że nastąpi odpływ obu zaborców od wybrzeży Bałtyku. Ruch legionowy szacowałem choćby tylko jako manifestacyjny, ustalający wolę wolności, a spodziewałem się jakichś kombinacji austriackich czy choćby niemieckich, ale uważałem, że należy wydobyć z krajów ujarzmionych przez Rosję maksimum aktywizmu niepodległościowego w przeciwstawieniu się Rosji i nie licząc się z ofiarami osobistymi, aby wojnę tę wykorzystać na wytworzenie w psychice jak największego kapitału entuzjazmu wolnościowego na przyszłość, jakąkolwiek by ona była. Ponieważ jedyna Polska z krajów ujarzmionych przez Rosję zdobyła się pod wodzą Piłsudskiego (to jest jego czyn największy) na czynne wystąpienie niepodległościowe, przeto w moim usposobieniu ówczesnym byłem zdania, że należy, ile można, wszystkie siły wolnościowe nie tylko z Polski, ale i z Litwy wlać w ten czyn jedyny, który rozumiałem jako wspólny i sądziłem, że jest on nie polski tylko nacjonalistyczny, ale wolnościowy powszechny. Zdawało mi się, że im więcej Litwa, nie mogąca się zdobyć na czyn własny, wleje i uwydatni swej woli do tego czynu, tym więcej zyszcze dla idei swej wolności na przyszłość, choćby nawet nie oderwało to jej od Rosji lub ją do Polski na jakichś zasadach autonomicznych albo nawet bez nich wcieliło. Nie chodziło mi nigdy o atuty na rzecz ekspansji polskiej na Litwę lub o państwowość polską jako taką w stosunkach do Litwy. Zdawało mi się, że to etap do emancypacji Litwy, etap stokrotnie lepszy od biernego pozostania w morzu rosyjskim. Ani mi w głowie i wtedy nie postało, że Polska stanie się dla Litwy jeszcze niebezpieczniejsza od samej Rosji. Przedmiotowo się myliłem, podmiotowo – nie. Bo też bądź co bądź i cokolwiek bądź potem się stało – wywalczenie niepodległości Polski było istotnie kluczem do wyjarzmienia innych krajów bałtyckich.

6 marca, rok 1935, środa

Dziś, w Popielec – ostatni dzień moich wakacyjek bez wykładów i bez większej pracy poza domem. Jutro już mam wykład, colloquium, herbatkę uroczystą w poselstwie czesko-

słowackim z powodu 85-tej rocznicy urodzin Prezydenta Masaryka i jeszcze potem posiedzenie senatu akademickiego.

Odwiedziłem dziś Stefana Kairysa, który niedawno przebył jakąś ciężką chorobę i był poddany operacji, dokonanej przez dr Kuźmę w szpitalu miejskim. Teraz jest rekonwalescentem i już się przeniósł do swego mieszkania, ale go zastałem jeszcze w fotelu w szlafroku prawie bezwładnego. Rana po operacji jeszcze się nie zagoiła, rekonwalescent jeszcze z trudem się rusza, wygląda mizernie i źle, posunął się mocno. Kairys nie jest zbyt stary, zapewne nie ma jeszcze lat 60. Ma on wielkie szczęście w małżeństwie, choć oba jego małżeństwa były bezdzietne. Ale za to obie jego żony były (druga jeszcze jest) kobiety dosyć niezwykłe, niebanalne, indywidualności wyraziste i głębokie. Pierwszą jego żoną była znana poetka białoruska, pisząca pod pseudonimem „Ciotka", kobieta wielkiego idealizmu i serca, fizycznie słaba i niedołężna, cierpiąca na suchoty, na które też umarła. Druga jest córką prof. Piotra Leonasa, adwokatka, społecznie rozwinięta, głęboka, równa i beznamiętna, blondynka bez temperamentu zmysłowego, ale bardzo treściwa, ludzka, oddana Kairysowi, inteligentna. Sam Kairys, były socjalny demokrata i wódz socjalnej demokracji litewskiej, człowiek bardzo subtelny, głęboki, stylista doskonały, człowiek wielkiej prawości, w sercu patriota litewski i rycerz doskonały, przeżył ciężki i bolesny kryzys bankructwa społecznego jego linii ideologicznej – socjalnej demokracji. Linia ta, która tkwiła w tradycjach ruchu społeczno-rewolucyjnego przed wojną – po wojnie znalazła się na rozdrożu połowiczności. Nie poszła ona za komunizmem sowieckim po konsekwentnych torach rewolucjonizmu społecznego i nawet zwróciła się przeciwko niemu, usiłując skądinąd odgrodzić się frazesem pewnych tez doktrynalnych od burżuazji, z którą jednak zmuszona była współpracować i utrzymać kontakt działania, spekulując na krytyce bez czynu lub na kompromisie czynu w roli pewnego biczyka podniecającego względem demokratycznych odłamów burżuazyjnych. Rychło się też w większości krajów wyszeptała i już rozsypała, zlikwidowana przez ruchy wyraźne i energiczne. To samo bankructwo spotkało ją w Litwie. Kairys, który był jej wodzem i łudził się albo usiłował się łudzić galwanizowaniem jej trupa, musiał przeżyć i przeboleć jej dekadencję. Jest zbyt subtelnie inteligentnym i szczerym, aby nie pojmował tego istotnego bankructwa ideologicznego i uważał to za coś przejściowego. Mówić z nim o tym trudno, jak „on ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu"[17].

7 marca, rok 1935, czwartek

Miałem wykład i colloquium dla ekonomistów. Od godz. piątej po obiedzie byłem na herbatce w poselstwie czeskim u pp. Skalickich z okazji 85-tej rocznicy urodzin Prezydenta Masaryka. Obchód tej rocznicy popularnego prezydenta odbędzie się też w poniedziałek w Teatrze Miejskim jako wyraz sympatii i hołdu Litwy dla osoby sędziwego jubilata i również dla narodu i państwa czeskiego. Na obchodzie poniedziałkowym, urządzonym nie wiem dlaczego pod firmą „Instytutu Nauk Społecznych" prof. Izydora Tamošaitisa, prezydium czy też patronat honorowy obsadzony jest przez ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, ministra oświaty prof. Tonkunasa, posła czechosłowackiego w Litwie Skalickiego, burmistrza Merkysa i mnie jako rektora uniwersytetu. Dzięki Bogu jednak, że przemawiać mi nie trzeba będzie. Referat krótki o Masaryku wygłosi prof. Michał Biržiška, a potem będzie dział koncertowy. Masaryka szanuję i mam dla niego uznanie, ale za wielkiego człowieka nie uważam. Ile go znam z jego prac literacko-publicystycznych – jest niegłęboki i rozumuje bardzo banalnie szablonami.

Na herbatce w poselstwie czeskim ludzi było pełno. Z tej okazji opuściłem posiedzenie senatu akademickiego, na którym mię zastąpili prorektorowie Česnys i Jodelė.

---

[17] W domu wisielca nie mówi się o sznurze (fr.).

8 marca, rok 1935, piątek

Wieczorem Mašalaitis zwołał posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Rozpoczęliśmy rozpoznawanie projektu nowej ordynacji wyborczej do sejmiku. Jest w tym projekcie, obliczonym oczywiście na to, aby zapewnić prolitewski skład sejmiku, dużo takich szczegółów, które mi się wydają mocno wątpliwe pod względem ich uzgodnienia z tezami autonomicznymi statutu. Zakwestionowaliśmy poszczególne zasady i przepisy tego projektu, ale dalsze debaty odłożyliśmy do środy. Że projekt usuwa od wyborów i od obieralności różne kategorie osób, skompromitowanych w myśl zeszłorocznych ustaw i zarządzeń wyjątkowych – to rzecz mniejsza. Skoro się te ustawy i zarządzenia wydało i skoro one działają i formalnie zakwestionowane nie są, to całkiem naturalne, że się z nich wnioski wyciąga, mimo że te wnioski, mogące usunąć od wyborów do kilku tysięcy ludu opozycyjnego, są dosyć jaskrawe. Trudniejsze jest takie ustalenie mechanizmu wyborczego, które by zapewniało przewagę elementowi prolitewskiemu, zachowując zarazem legalność statutową. W ogólnych liniach mechanizm wyborczy projektu jest taki. Tworzy się komisja specjalna do ustalenia jedynej listy kandydatów, do której kandydatów w liczbach dowolnych zgłaszać mogą grupy wyborców i organizacje, nie strefione pod względem prawomyślności; spośród tych zgłoszonych kandydatów komisja układa listę, eliminując tych, co są zdyskwalifikowani i dyskwalifikując sama podług własnego przekonania tych, których uznaje za nieprawomyślnych państwowo; wybory odbywają się w skali ogólnokrajowej bez podziału na okręgi wyborcze; każdy wyborca głosuje na cały komplet posłów sejmiku, wybierając wszakże kandydatów li tylko z listy jedynej, ogłoszonej przez komisję kwalifikacyjną.

9 marca, rok 1935, sobota

Jadzia wróciła z Bohdaniszek. Stęskniłem już do niej bardzo. Zdaje się, że stęsknił i Andrzej, bo gdy ona jest w domu – i porządek jest lepszy, i stół bardziej urozmaicony i staranniejszy, i zwłaszcza jest jakoś weselej i raźniej, humory lepiej służą, coś cementuje i ożywia, co tylko przez kobietę w dom wchodzi. Bez Jadzi – żyjemy każdy osobno, samotnie, jak wilki – rozproszeni po różnych pokojach mieszkania. Spotkałem z Andrzejem Jadzię na dworcu kolejowym. Była bardzo ucieszona z mojego spotkania. Nagospodarzyła się w Bohdaniszkach. Przywiozła mi 716 litów ze sprzedanego do „Lietūkisu” zboża. Ta sprzedaż zboża – to jej zasługa. Ona to w jesieni nastała na wymłóceniu całego plonu, rozmierzyła całe zboże, rozklasyfikowała je z ekonomem na wszelkie potrzeby, ustaliła ilość nadmiaru, utrzymała ewidencję całego rozklasyfikowanego zapasu w spichrzu, doczekała się ceny i sprzedała dobrze. A na wszystkie potrzeby wystarczyło obficie i wystarczy do nowego plonu.

Próbuję nie jeść mięsa aż do Wielkiejnocy, o ile doktor nie zaoponuje temu. Poza tym od Popielca do jutra, a potem jeszcze przez cały czwarty i przez siódmy tydzień postu nie będę jadł chleba. Chcę spędzić wagę do 78 kilo. Teraz wynosi ona koło 80 kilo.

10 marca, rok 1935, niedziela

Dziś byłem prawie cały dzień w domu. Pracowałem i cieszyłem się Jadzią. Wyszedłem tylko w południe na parę godzin na przedstawienie poufne premiowanego na konkursie międzynarodowym filmu sowieckiego („Sowkino”) – „Czapajew”. Przedstawienie pokazowe tego filmu za zaproszeniem osobistym poselstwa sowieckiego miało miejsce w kinie „Forum”, które zapewne będzie nadal demonstrowało film publicznie, o ile cenzura litewska udzieli pozwolenia. Film „Czapajew”, dotyczący walk czerwonych z białymi w Rosji w latach 1918-1920, jest rzeczywiście bardzo ładnie zainscenizowany, ma dużo efektów i, jak wszystkie filmy sowieckie, co jest zresztą cechą ogólną sztuki rosyjskiej – nie tylko sowieckiej i nie tylko filmowej – jest niezwykle wyrazisty. Ale jest to film batalistyczny, a ja ich nie bardzo lubię.

11 marca, rok 1935, poniedziałek

Wieczorem w Teatrze Państwowym odbył się z inicjatywy prof. Izydora Tamošaitisa albo – co na to samo wychodzi – założonego przezeń tzw. „Instytutu Nauk Społecznych" – uroczysty obchód publiczny 85 rocznicy urodzin popularnego Prezydenta Rzeczypospolitej Czechosłowackiej, prof. Tomasza Masaryka. Dlaczego inicjatywy tej podjął się prof. Izydor Tamošaitis i dlaczego obchodowi dano firmę tego Instytutu – trudno byłoby pojąć, gdyby nie to, ze oczywiście chodziło o doraźną reklamę dla tego Instytutu, o spopularyzowanie jego firmy przez zespolenie jej z popularną uroczystością, która poruszyła wszystkie wyższe sfery litewskie. Bo właściwie w istocie swojej „Instytut" prof. Izydora Tamošaitisa, polegający na urządzanych od czasu do czasu epizodycznych albo pewnymi cyklami tygodniowymi odczytów publicznych na tematy społeczne i państwowe i przemycający do umysłów dążenia i ideologię faszystowską, nic zgoła pokrewnego nie ma z osobą i wręcz faszyzmowi przeciwną ideologią społeczno-polityczną zacnego, acz szablonowego demokraty Masaryka. Mniejsza o to. Do teatru na godzinę ósmą wieczór zebrało się całe doborowe towarzystwo kowieńskie, całe szczyty litewskie: Prezydent Smetona, ministrowie, dyplomaci, generalicja i oficerowie wyżsi, profesura, dygnitarze, wyższe koła sądu i urzędników państwowych, panie i mnóstwo różnego ludu wyższego stopnia społecznego i towarzyskiego. Fraki, ordery, wstęgi, jedwabie lub stroje narodowe pań... Obchód składał się z trzech części: akademickiej, koncertowej i scenicznej. W części pierwszej na estradzie za dużym stołem zasiadł komitet honorowy uroczystości z inicjatorem prof. Izydorem Tamošaitisem pośrodku, na prawo od niego ministrowie Lozoraitis i Tonkunas oraz ja jako rektor uniwersytetu, na lewo – poseł czeski w Kownie Skalicky, burmistrz Antoni Merkys i prelegent prof. Michał Biržiška. Po odegraniu przez orkiestrę hymnów czeskiego i litewskiego krótkie zagajenie wygłosił Tamošaitis, po czym przemawiał po francusku Skalicky (lepiej by zrozumiano, gdyby przemawiał po czesku i to by było oryginalniejsze), który na końcu uzupełnił swą mowę odczytanym przezeń tekstem litewskim, wreszcie referat treściwy o Masaryku, choć trochę za długi, wygłosił Michał Biržiška. W części koncertowej śpiewała żona posła, pani Skalicka, uchodząca za najpiękniejszą kobietę w Kownie, miła, powabna, pełna gracji, bardzo zgrabna i ślicznie przeciągle i nisko dygająca pani, choć dla mnie nie nazbyt piękna; głosik ma słaby i dosyć piskliwy, ale sylwetka i całość – pełne wdzięku. Piosenki – nie nazbyt ładne; sądzę, że chyba są piękniejsze czeskie, bo lud jest bardzo muzykalny i kompozytorów dużo. Za to bardzo ładna była symfonia kompozytora czeskiego Smetany, wykonana przez orkiestrę operową pod batutą Bukšty. Ja muzyki symfonicznej amatorem nie jestem, ale ta mi się podobała.

W części trzeciej odegrano na scenie akt I czeskiej opery Smetany „Sprzedana narzeczona". Rzecz dość wdzięczna, ale niegłęboka. I to mię też dziwi, że naród tak muzykalny, jak Czesi i mający tyleż kompozytorów, nie zdobył się na operę większą i bardziej wyrazistą. „Sprzedana narzeczona" jest utworem dosyć banalnym.

Chwała Bogu, że na tej uroczystości obeszło się bez mojego przemówienia. Na obchodzie była też w teatrze Jadzia z Andrzejem, dla których wystarałem o dwa miejsca w rzędzie czwartym parteru. Jadźka, która ma mało takich rozrywek towarzyskich, choćby samego tylko obserwowania towarzystwa przeróżnych uroczystości, bardzo lubi takie widowiska i cieszy się z nich jak dziecko. Ciekawsze jest dla niej widowisko samej publiczności i cały eksterior uroczystości, niż treść odczytów lub słuchowisko koncertowe i teatralne.

12 marca, rok 1935, wtorek

W „Rotary-Clubie" referaty na tygodniowych obiadach klubowych są przez członków wygłaszane w porządku alfabetycznym. Na dziś wypadła moja kolejka. Temat dla referatu wybrałem z dziedziny prawa konstytucyjnego, które stanowi moją kwalifikację klubową, w

Rotary-Clubie bowiem każdy członek jest zakwalifikowany do jakiejś jednej specjalności zawodowej, którą w klubie reprezentuje i do każdej kategorii kwalifikacyjnej może być zaklasyfikowany tylko jeden członek. Wybrałem zagadnienie konstytucyjne aktualne – zagadnienie vacuum funkcjonalnego w mechanizmie statutowym prowincji autonomicznej, oczywiście u nas – Kłajpedy, gdy dla tych czy innych przyczyn sejmik autonomiczny okazał się w stanie impotencji funkcjonalnej i co ma w takim wypadku nastąpić, aby odpowiednie funkcje władzy, o ile są konieczne, były wykonywane. Inaczej mówiąc – kto w takim wypadku ma te funkcje wykonać? Zagadnienie te i krytykę oraz wybór możliwych metod jego rozwiązania jużem raz w dzienniku rozpoznawał. To samo omówiłem w Rotary-Clubie. Referacik mój znakomicie się udał. Mówiłem z pamięci *exprompt*u. Argumentowałem ściśle i trafiłem do przekonania słuchaczy. Sam też byłem bardzo rad z mego referatu. Zapewne powtórzę go w Towarzystwie Kłajpedzkim i na tzw. „Semestrze Kłajpedzkim", który urządza na uniwersytecie nasza młodzież akademicka.

Wieczorem miałem wykład bieżący prawa konstytucyjnego litewskiego na Uniwersytecie. Analizowałem problem obywatelstwa i „*status libertatis*" w myśl konstytucji z roku 1922.

13 marca, rok 1935, środa

W numerze „Vyriausybės Žinios" pod datą dzisiejsza ukazała się ustawa o sądzie statutowym. Ucieszyłem się bardzo, gdym tę ustawę zobaczył w numerze „Vyriausybės Žinios", który mi dał Mašalaitis. Wprawdzie się już po ostatniej naradzie w tej kwestii u Prezydenta Rzeczypospolitej mogło zdawać, że wreszcie projekt tej ustawy dojrzał zupełnie i zostanie promulgowany, to jednak tyle już czasu ten projekt drzemał, tyle razy był znowu podnoszony, debatowany, reformowany, uzupełniany, doskonalony, tyle razy się zdawało, że już decyzja na jego rzecz zapadła, a pomimo to wciąż się nie ukazywał, że wielkiej nadziei na jego promulgację nie miałem. Ustawa ta o sądzie statutowym jest nie tylko użyteczna dla trybu praworządnego w biegu spraw kłajpedzkich i politykę kłajpedzką Litwy ułatwia i cywilizuje, ale jest ona także znamiennym aktem postępu praworządnego w państwowości litewskiej, aktem, który Litwie zaszczyt czyni i zbliża ją do państw, które, jak Czechosłowacja, zdobyły się na szczytową instytucję trybu prawnego – na sąd konstytucyjny. W zasadzie sąd statutowy jest odmianą sądu konstytucyjnego, jeno w zakresie ściślejszym. Jest to początek nowej tradycji. Historia genezy tej instytucji sądu statutowego datuje się od roku 1930 czy 1931. Zasługa inicjatywy należy w dużym stopniu do mnie, a kolebką tej instytucji jest Rada Stanu. Mam wrażenie, że propozycję nominacji na jednego z sędziów sądu statutowego otrzymam i ja. Zapewne otrzyma ją też Tadeusz Pietkiewicz. Co do mnie jednak, jeżeli propozycję otrzymam, będę musiał się zastanowić, bo stanowisko sędziego statutowego może mię nieraz zaszachować w ewentualnym udziale w Trybunale Międzynarodowym w Hadze – w szczególności w takim wypadku, gdyby do Trybunału w Hadze był skierowany przeciwko Litwie zarzut w stosunku do takiego aktu, który już był rozpoznawany przez sąd statutowy. Mój zaś udział ewentualny w Trybunale Haskim jest pożądany i ważny tak dla Litwy, jak osobiście dla mnie.

Mieliśmy wieczorem posiedzenie naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Rozpoznawaliśmy nadal trudną kwestię projektu nowej ordynacji wyborczej do sejmiku autonomicznego w Kłajpedzie.

14 marca, rok 1935, czwartek

Specjalnie z dnia dzisiejszego nic szczególnego do zanotowania nie mam. Wykład dla ekonomistów, colloquium po wykładzie, parę godzin urzędowania w rektoracie, po obiedzie przez cały wieczór praca w domu. A potem już dzień skończony – noc.

Jadzia po powrocie z Bohdaniszek jest bardzo miła. Humorek jej służy doskonale. Atmosfera w domu wesoła, pełna zabawy. Harmonia naszej trójki z Jadzią i z Andrzejem – zupełna. Na obiedzie był Feliks Mackus. Wykonał on już wszystko na dyplom, ale dla uzyskania w dyplomie kwalifikacji „bardzo dobrze" – musi jeszcze poprawić egzamin z prawa karnego i prawa cywilnego. Wtedy go będę próbował wciągnąć do asystentury albo pozyskać dlań stypendium wydziałowe na pogłębienie studiów za granicą.

Pierwsza część moich wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, którą jeszcze wykańczam i która obejmuje całą ewolucję od powstania państwa litewskiego do pierwszej konstytucji stałej z roku 1922, włącznie z analizą szczegółową tejże konstytucji, chcę wydać w druku przez Wydział Prawniczy. Skierowałem dziś odpowiednią ofertę do dziekana wydziału prof. Wacława Biržiški. Jednocześnie porozumiałem się z panną Oškinaitė, maszynistką Rady Stanu i w ogóle najlepszą maszynistką w Litwie, co da odbicie rękopisu na maszynce na kredyt do czasu, gdy mi wydział wypłaci honorarium za pracę.

15 marca, rok 1935, piątek

I znowu nic bardzo szczególnego do zanotowania z dnia dzisiejszego nie mam.

Powietrze mamy teraz prześliczne. Dnie są pełne słońca, wiosenne i bardzo ciepłe. Nie czuję się jednak zupełnie zdrów. Zdaje się, że oto wszystko jest dobrze, waga mi ubyła, energia jest, siły są, ale serce niezbyt dobrze funkcjonuje i wciąż je fizycznie czuję. Mam wrażenie, że mi szkodzi palenie.

16 marca, rok 1935, sobota

Po dłuższej, bodaj że dwumiesięcznej (albo blisko tego), przerwie udałem się dziś do dr Gudowicza. Stwierdził, że mi waga spadła jeszcze bardziej i uważa, że więcej zbijać wagi nie trzeba (ja bym chciał wszakże zbić ją do 78 kilogramów). Stwierdził też doktor, że stan w ogóle jest lepszy i że w szczególności znacznie się polepszyło ciśnienie krwi. Zalecił nadal żelazo, kazał rankami robić trochę gimnastyki, zabronił nie jadać mięsa i chleba, palenie papierosów zalecił ograniczyć do jednego papierosa na godzinę.

O godz. ósmej wieczorem miałem odczyt w gmachu korporacji „Neo-Lithuania" dla studentów-neolithuanów na temat „Naród i państwo". Temat – trudny, bo pojęcie „narodu" jest bardzo nieokreślone i zmienne tak w nauce, jak w publicystyce i w różnych czasach, a nawet współcześnie w różnych ośrodkach naszej cywilizacji inaczej ustalane. Tak samo nieustalony i chaotycznie określany jest problem stosunku narodu do państwa i odwrotnie. Demokracja, częściowo z pademokratycznych pojęć indywidualistycznych, częściowo zaś ze spadku po monarchii absolutnej konstruuje pojęcie narodu jako państwowo-terytorialnej masy ludzkiej. Natomiast nacjonalizm w. XIX i XX zreformował to pojęcie i samą istotę narodu, modyfikując pod tym względem stosunki zwłaszcza na wschodzie, w centrum i południu Europy, podczas gdy zachód i północ Europy oraz Ameryka – pozostały wierne tradycyjnej koncepcji demokratycznej. Ja wszakże mam w tym względzie swoje poglądy naukowe, utrwalone przez moje studia kilkunastoletnie do wykładów moich i prac naukowych. Odczyt mój opracowałem starannie i naukowo. Zdaje się, że się słuchaczom, których była pełna sala, podobał się. Rękopis wzięła redakcja studenckiego organu narodowców – „Akademikas".

17 marca, rok 1935, niedziela

Hitler rzucił bombę w stosunki europejskie – ogłosił dekret o przymusowej powinności wojskowej w Niemczech. Akt ten łamie Traktat Wersalski, ponieważ jest wręcz przeciwny odpowiedniemu przepisowi formalnemu tegoż. Złamanie jednostronne Traktatu Wersalskiego w jednym punkcie otwiera drogę do łamania go na innych punktach. Jak zareaguje na to Francja, Anglia, Liga Narodów i w ogóle państwa europejskie? Ciekawe też, jaką pozycję zajmie Polska? Jeżeli Hitler w swojej książce „Mein Kampf", uznanej za biblię

nacjonalsocjalizmu niemieckiego, mówi, że Niemcy zerwać muszą stanowczo ze swą polityką sprzed wojny, skierowaną do aktywizmu na zachód i południe, i zachowując bierność w kierunkach powyższych, nawrócić do polityki sprzed 600 lat jako iście i głęboko narodowej i historycznej, zwróconej aktywistycznie na wschód dla spełnienia przeznaczeń kultury niemieckiej na wielkich wolnych obszarach wschodu, czekających biernie dobroczynnej ekspansji niemieckiej, inaczej mówiąc – czyni apoteozę narodową dzieła Krzyżaków i stawia państwu niemieckiemu zadanie wskrzeszenia i kontynuowania tego dzieła, przerwanego przez Grunwald, to przecież ta idea – hasło Drang nach Osten – dotyczy w równym stopniu Polski i państw wybrzeża bałtyckiego; a wtedy zbrojenie się Niemiec i łamanie przez nie pęt Traktatu Wersalskiego nabiera dla naszego wschodu europejskiego szczególnej wagi i czeka nowego z naszej strony Grunwaldu. Tak jest – idziemy po tej drodze, iść po niej musimy. Jeżeli wpierw nie szła po niej Litwa, jeżeli Polska ją mąciła zaborem Wilna zamiast podziału Prus Wschodnich, jeżeli dziś Polska w polityce Becka sama z drogi tej zeszła, to przecież przyjść musi spotkanie się Litwy czy raczej Związku Bałtyckiego z Polską na tej właśnie drodze grunwaldzkiej. Mogą zajść jeszcze przeróżne komplikacje, ale logika sytuacji i stosunku działać i skutkować będzie. Ze światem niemieckim będzie musiał się zmierzyć Wschód.

Rano mieliśmy dziś posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. W zasadzie rada uznała za wskazane wydanie moich „Wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego”, oczywiście uzależniając formalnie wydanie tychże od zakwalifikowania ich przez komisję wydziałową, co może nastąpić dopiero po złożeniu przeze mnie rękopisu, przepisanego pismem maszynowym. Zaraz więc dam p. Oškinównie rękopis do drukowania na maszynce.

Na Radzie Wydziału uchwalono też wydanie dyplomu Feliksowi Mackusowi, którego zapewne spróbuję zalecić do stypendium naukowego za granicą.

O dzisiejszym i wczorajszym obchodzie rocznicy korporacji akademickiej „Fraternitas Juvenum”, której filistrem honorowym jestem, również o dzisiejszym otwarciu zainicjowanego przez Związek Stowarzyszeń Litewskich tzw. „Semestru Kłajpedzkiego” – napiszę jutro.

18 marca, rok 1935 poniedziałek

Słyszałem wczoraj od Żołkowskiego, że *attaché* wojskowy litewski w Berlinie Škirpa telefonował czy telegrafował, że nastrój uliczny w Berlinie w sobotę wieczorem i w nocy po ogłoszeniu dekretu o powszechnej powinności wojskowej w Niemczech i o podniesieniu kontyngentu armii czynnej do 36 dywizji – był tak entuzjastyczny, jak w dniu 1 sierpnia 1914 – w dniu wybuchu Wielkiej Wojny. Przez całą noc ulice Berlina były przepełnione, grały orkiestry wojskowe, publiczność śpiewała pieśni wojenne, entuzjazm panował i podniecenie wielkie.

Swoją drogą Niemcy, choć przez dekret powyższy złamały jednostronnie Traktat Wersalski, nie przyznają się do tego i usiłują pozorować lojalność. Usprawiedliwiają swój krok tym, że klauzula rozbrojeniowa traktatu w stosunku do Niemiec przewidywała względy pokoju powszechnego i przewidywała przeto ograniczenie zbrojeń także innych państw; gdy zaś się okazało, że w innych państwach akcja zbrojenia się podniosła, przez to samo złamane zostały wpierw przez innych przesłanki i warunki tej klauzuli, która wobec tego przestała obowiązywać i Niemcy. Nie one więc rzekomo ją łamią teraz, gdy już inne państwa rozwinęły akcję zbrojeniową. Skądinąd Niemcy oświadczają, że upadek klauzuli rozbrojeniowej nie dotyka wcale przepisów terytorialnych Traktatu Wersalskiego, które „oczywiście” nie mogą być uchylone aktem jednostronnym. Znaczy to, że w zasadzie nie rezygnują oni wcale z dążenia do zmiany tych przepisów terytorialnych, jeno na razie chcą się domagać tej zmiany w drodze ich rewizji, nie zaś w drodze dokonywania jednostronnego faktów. Gdy się już jednak uzbroją, wtedy naturalnie zechcą te rewizję dyktować. Taka jest logika rzeczy, ciężarna komplikacjami.

Wczoraj korporacja studencka „Fraternitas Juvenum” obchodziła swoje 8-lecie. Od lat, zdaje się, siedmiu jestem „filistrem honorowym” tej korporacji. Oprócz mnie są nimi słynny solista operowy Kipras Piotrowski i prorektor Jodelė. Obecnie zaś mianowali oni dwóch nowych filistrów honorowych w osobach ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa i prezesa Trybunału Ciplijewskiego. W sobotę wieczorem byliśmy w „Metropolu” na kolacji korporacyjnej czy komercie (może „komerczu”), gdzie było trochę przemówień, dużo pieśni i alkoholu, a wczoraj, w niedzielę, rano w sali uniwersyteckiej uroczyste posiedzenie korporacji z mowami, sztandarami korporacji pokrewnych i ceremoniami pasowania „braciszków” („fuksów”) na „braci” (seniorów) i pasowania nowych filistrów honorowych. Przemawiałem także. Korporacja ta jest dość banalna i pijacka. Kilka lat drzemała, teraz znów odżyła. Jej hasłem – towarzyskość, koleżeństwo, zupełna bierność ideologiczna i przekonaniowa; uwydatniana jest tylko jej litewskość, bo barwa narodowa jest modna i daje się ograniczyć do frazesu patriotycznego z naginaniem się do wszystkiego, co prorządowe. Są to właściwie ubodzy duchem i cisi karierowicze, choć jest w korporacji kilku sympatycznych wesołych chłopców, którzy tryskają młodością i szczerze są oddani idei koleżeństwa i wesołej zabawy bez troski, ale też bez karierowiczostwa.

19 marca, rok 1935, wtorek

Św. Józef w Polsce – imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego, tradycyjnie co roku obchodzone z wielką uroczystością i serdecznością jako święto narodowe. Słuchałem różnych epizodów tego obchodu przez radio z Warszawy i Wilna. Dużo jest w tych epizodach rzeczy ładnych i poruszających, zwłaszcza ile one dotyczą Wielkiej Wojny i walk o Niepodległość oraz wspaniałych czynów Piłsudskiego z tego okresu epicznego. Nasłuchałem się też pięknych pieśni legionowych, które znam tak dobrze jeszcze z przeżyć bezpośrednich w Legionach. Jakże mi smutno, że sprawa wileńska, rękami, niestety, tegoż Piłsudskiego tak niefortunnie i niepięknie pokierowana, wykopała rów tragiczny między Litwą a Polską, którego nic zasypać nie zdołało. Jakże bym był szczęśliwy osobiście, gdyby ta sprawa dała się jakoś zrewidować i zlikwidować sprawiedliwie w drodze jakiejś ugody kompromisowej i między obu narodami zapanowała przyjaźń współdziałania, a imieniny Marszałka Piłsudskiego mogły być i u nas w Kownie obchodzone ze czcią i sympatią, jakeśmy obchodzili niedawno rocznicę urodzin Masaryka!

W niedzielę odbyło się na uniwersytecie otwarcie tzw. „Semestru Kłajpedzkiego”, zainicjowanego przez związek stowarzyszeń akademickich litewskich i mającego polegać na szeregu odczytów, poświęconych wystudiowaniu naukowemu problemów Kłajpedy. Inicjatywa bardzo dobra i na czasie. Na otwarciu zagajałem ja jako rektor, po czym pierwszy „odczyt” wygłosił podprokurator Trybunału i asystent naszego Wydziału Karol Żołkowski, były gubernator Kłajpedy. Właściwie jednak nie był to odczyt, a zwłaszcza nie miał charakteru naukowego, jeno raczej mowa o zabarwieniu mityngowym, ale dobra i dzielna.

20 marca, rok 1935, środa

W „Lietuvos Žinios” wyczytałem o śmierci nagłej dr Andrzeja Domaszewicza, któremu nekrolog napisał tamże dr Kazimierz Grinius. Domaszewicz umarł w wieku lat pod 70. Choć stary – zachował do końca życia wielką wrażliwość społeczną, idealizm, serce entuzjastyczne i młode, wierność niezachwianą swoim przekonaniom i upartą niezawisłość charakteru, nie naginającą się nigdy do ścieżek utorowanych. Był to człowiek bądź co bądź niepospolity, dziecinny trochę, trochę dziwaczny, zawsze oryginalny i głęboko szczery. Jeżeli śmierć jego przechodzi dość niepostrzeżenie, jeżeli się go nie pasuje publicznie na bohatera, jak się w zdawkowej opinii publicznej zbyt często pasuje na takowych ludzi o wiele mniejszych po ich śmierci, jeżeli tylko opozycyjne „Lietuvos Žinios” poświęcają mu wzmianki, a prasa prorządowa milczy i radio o nim odczytów nie wygłasza, to tylko dlatego, że Domaszewicz

był nie tylko opozycjonistą, ale także – *horribile dictu!* – był do końca sympatykiem komunizmu sowieckiego, z czym się nie krył i za co go przez szereg lat władze wciąż niepokoiły, nieraz aresztowały, ciągały po sądach, dokonywały rewizji itd.

Dr Adnrzej Domaszewicz w przedziwny sposób łączył gorący entuzjastyczny i niemal nacjonalistyczny patriotyzm litewski z bardzo radykalnym socjalizmem, który go po wojnie zbliżał bardziej z komunizmem sowieckim, niż z przeżytkową połowiczną socjalną demokracją. Niedawno jeszcze – w jesieni ubiegłej – udało mu się odbyć wycieczkę do Sowietów, skąd wrócił do Poniewieża, w którym po wojnie zamieszkał i praktykował jako lekarz i gdzie też teraz umarł. Domaszewicz pochodził ze starej rodziny drobnoszlacheckiej, osiadłej gdzieś pod Laudą i spolonizowanej, o której jeszcze Sienkiewicz w „Potopie" wspomina. Z domu wyniósł kulturę polską, ale już za czasów studenckich poczuł się Litwinem, będąc zarazem socjalistą i rewolucjonistą i takim został do końca. Koło roku 1895 zamieszkał w Wilnie, gdzie z drugim takimże entuzjastą i niedokończonym studentem Alfonsem Morawskim (tym samym, który był potem od roku 1923 do roku 1933 docentem na naszym Wydziale Prawniczym) rozpoczął akcję litewsko-socjalistyczną, przeciwstawiającą się polskiemu PPS-owi. W roku 1896 w Wilnie zorganizowali oni LSDP (Litewską Socjalno-Demokratyczną Partię). Na razie obaj nie umieli po litewsku. Morawski do końca nie nauczył się dobrze po litewsku, Domaszewicz wszakże zlitwinizował się całkowicie i założył jedną z pierwszych rodzin inteligenckich litewskich w Wilnie. Będąc socjalnym demokratą, walczył on jednocześnie o prawa litewskie w Wilnie, nawet w sferze stosunków kościelnych. O wpływy i honor LSDP zawsze zabiegał w Wilnie i walczył gorąco. Charakterystyczny jest epizod z rewolucji roku 1905. W Wilnie miała miejsce manifestacja rewolucyjna robotnicza. Wojsko czy kozacy, rozpędzając tłum, strzelało i zabiło kilku manifestantów. Wśród zabitych nie było nikogo z LSDP. Nazajutrz odbył się pogrzeb poległych. Mogło to szkodzić reputacji rewolucyjnej partii i osłabiać jej wpływy na rzecz partii konkurencyjnych, demonstrujących swoje ofiary. Wtedy Domaszewicz wzniósł w partii projekt, by w pochodzie żałobnym – dla *prestige*'u partyjnego – zainscenizowała ona sztucznie ofiary swoje, niosąc puste trumny w orszaku partii i tłumów, bo któżby tam zawartość niesionych trumien sprawdzał, czy są one puste czy też pełne trupów.

21 marca, rok 1935, czwartek

Otrzymałem wczoraj od sekretarza poselstwa litewskiego w Paryżu – Daukšy – list, w którym mi pisze, że z inicjatywy grona studentów prawników Litwinów w Paryżu powstała myśl nawiązania pewnego kontaktu między Wydziałem Prawniczym Uniwersytetu Paryskiego i Wydziałem Prawniczym naszym. Zainteresował się tym prof. Niboyet z Wydziału Prawniczego w Paryżu i podjął się inicjatywy zaproponowania wydziałowi, aby tenże zwrócił się do nas z zaproszeniem formalnym wydelegowania kogoś od nas do Paryża dla wygłoszenia odczytu naukowego na Wydziale Prawniczym z dziedziny organizacji prawnej w Litwie. Prof. Niboyet zapewnił, że Wydział Prawniczy paryski chętnie na to przystanie i w odpowiedzi przyśle do nas z rewizytą kogoś ze swej profesury dla wygłoszenia prelekcji. Chodzi tylko o to, aby nasz wydział wpierw powziął w tej kwestii decyzje, aby prof. Niboyet miał pewność, że propozycja wydziału paryskiego zostanie przez nas przyjęta i zrealizowana. Prof. Niboyet proponuje, abym tym pierwszym prelegentem kowieńskim w Paryżu był ja i aby tematem prelekcji było zagadnienie Kłajpedy, stanowiące kwestię aktualną i popularną w Paryżu. Zresztą wizyta ta i odczyt miałyby miejsce dopiero w semestrze jesiennym gdzieś koło grudnia. Odpis listu Daukszy skierowałem do dziekana Wydziału Prawniczego prof. Wacława Biržiški. Osobiście chętnie bym do Paryża na taki odczyt pojechał, ale oczywiście pod dwoma warunkami: a. że odczyt będę mógł wygłosić z rękopisu; napiszę go i odczytam dobrą francuszczyzną, bo akcent francuski mam doskonały, którego się nie powstydzi Francuz, ale improwizować po francusku *ex-promptu* w odczycie naukowym

nie podejmuję się, i b. że podróż i pobyt w Paryżu zostanie mi sfinansowany wystarczająco. Spodziewam się, że oba te warunki będą mogły być przyjęte. Drugi z nich należy do Litwy. Choć sam uniwersytet nasz na to środków nie posiada, bo kredyty na delegowanie profesury za granicę są nam obcięte prawie że do zera (coś bodaj zaledwie 1000 litów mamy ogółem na to na cały rok), ale dla Litwy politycznie jest to atut tak wielki i propozycja Wydziału Prawniczego w Paryżu oraz kontakt współpracy z tą uczelnią – tak zaszczytne, że rząd na to środki znajdzie i Litwa propozycji takiej dla względów oszczędności nie odrzuci. Już mię Mašalaitis o tym zapewnił, a Mašalaitisa słowo u Tubelisa – to wszystko. Gdyby doszło do tej jazdy, to wziąłbym ze sobą do Paryża Jadźkę, żeby jej tę kochaną stolicę świata pokazać.

22 marca, rok 1935, piątek

Wieczorem w salach administracji Teatru Państwowego odbyło się zwołane z inicjatywy Kiprasa Piotrowskiego przez dyrektora teatru Žadeikę zebranie różnych przedstawicieli społeczeństwa dla utworzenia komitetu obchodu 30-lecia działalności muzyka i kompozytora Stanisława Šimkusa, jednego z pierwszych i ruchliwszych jeszcze przed wojną organizatorów chórów śpiewackich litewskich, autora wielu piosnek popularnych, bardzo upowszechnionych i w ogóle czynnego działacza na polu muzyki i społecznego ruchu śpiewackiego, mającego duże znaczenie w pogłębianiu ludowym odrodzenia narodowego. Zebrało się sporo osób – dyrektor teatru Žadeika, dyrektor Radiofonu Bieliunas, solista Opery Stanisław Sodeika, prof. Leonas, dziekan Mironas, redaktor Bružas, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych Šlapelis, literat Binkis, literat Faustas Kirša, pułkownik Augustowski i inni. Obchód centralny wyznaczono w Teatrze Państwowym na dzień 4 maja. Omówiono różne pomysły, nic nie przesądzając i przekazując decyzje komitetowi wykonawczemu, który wybrano, poza tym wybrano prezydium honorowe obchodu, do którego też naturalnie i ja, jako rektor uniwersytetu, trafiłem i na tym się na razie skończyło.

23 marca, rok 1935, sobota

Ze wszystkich wydziałów naszego uniwersytetu najniespokojniejsze są wydziały Techniczny i Matematyczno-Przyrodniczy. Pod względem zajść i fermentów studenckich niespokojniejszy jest Medyczny, ale dwa powyższe trzymają prym w niesnaskach samej profesury. W Technicznym są dwa jaskrawe obozy przeciwne, z których jeden reprezentują zwłaszcza Jodelė, Kołupaila i Wasilewski, drugi zaś – Grynkiewicz i Moszyński. Te dwa obozy się nienawidzą i zwalczają, a raczej drugi z nich nienawidzi i zwalcza pierwszy. Obóz Grynkiewicza i Moszyńskiego na Technice – to obóz niezdarności, ambicyjek małostkowych, intrygi i zazdrości. Dziś on jest na Technice panujący. Ale gorzej jest w profesurze Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, którego dziekanem jest prof. Zygmunt Žemaitis. Tam nie tylko są dwa rywalizujące obozy, ale też jest jakiś splot fragmentarycznych waśni, wybuchających ciągłymi zatargami lokalnymi natury osobistej, które najczęściej żadnej zgoła wagi nie mają. Oto cały szereg takich konfliktów lub nienawiści personalnych na tym wydziale: Czapiński przeciwko Žemaitisowi, Kawecki przeciwko Valionisowi i Žemaitisowi, Pakštas przeciwko Žemaitisowi i Iwanowskiemu, Šivicki przeciwko Iwanowskiemu itd. Poza tym zarysowuje się tamże pewien konflikt dwóch odłamów – liberalnego (Iwanowski, Žemaitis) i klerykalnego (Šivicki, Pakštas). Z pewnością w tym pokłóceniu i wybuchających wciąż zatargach osobistych winien jest poniekąd sam dziekan Žemaitis, który nie ma dostatecznie taktu i nie umie się wznieść ponad te intrygi i kwasy nurtujące, dominując je swoją wyższością; Žemaitis, choć jest bardzo poczciwy i ma dużo skądinąd zalet, sam się zbyt w tę grę namiętności wdaje i przez to jest w nie stale wciągany, nie umiejąc zachować obiektywnej bezstronności, łagodzącej i równoważającej zacietrzewienie stron.

Ale oto dzisiaj otrzymałem ogromną i brzydką skargę czy raczej denuncjację prof. Šivickiego na profesurę wydziału, pełną brudu, insynuacji, hipokryzji. Pisze w niej rzeczy

obrzydliwe, oszczercze lub zaprawione obłudą świętoszkową. Z tej denuncjacji będzie się musiała wyłonić bądź sprawa honorowa, bądź komisja do zbadania zarzutów. Wniosę tę skargę pod obrady rektoratu.

24 marca, rok 1935, niedziela

Dziś miałem niedzielę wolną – zjawisko rzadkie w mojej karierze rektorskiej. Żadnego posiedzenia, żadnej uroczystości, obchodu, odczytu. Skorzystałem z tego i z Jadzią, Andrzejem i małą wychowanką Jadzi – Renią – wybrałem się na wycieczkę do Górnej Fredy do uniwersyteckiego ogrodu botanicznego. Kierownik tego ogrodu, prof. Regel, uprzedzony o tym, przysłał mi na godzinę 11 automobil, który się bardzo przydał, bo dzień był dżdżysty. Wycieczka udała się bardzo ładnie. Obejrzeliśmy szczegółowo oranżerie uniwersyteckie na Fredzie, oprowadzeni po nich przez prof. Regala, który nas o wszystkim objaśniał. Lokale tych oranżerii są nieco za ciemne, zbiory zaś roślinne i kultura rozmaitych okazów flory różnych stref i krajów rozrastają się coraz bardziej. Prześliczne są okazy kaktusów, agaw i roślin pustynnych, bogaty dział flory zwrotnikowej, niezmiernie ciekawe poszczególne okazy roślin egzotycznych lub ekscentrycznych, dziwnych i dziwacznych bądź formą, bądź funkcją, bądź jakimś szczegółem niezwykłym, np. rośliny owadożerne ze specyficznymi woreczkami, napełnionymi płynem do łapania i przetrawiania złapanych owadów lub rośliny o liściach trujących i raniących przez dotknięcie ich powierzchni, albo rodzaj kaktusików, doskonale naśladujących kamyki, od których niepodobna je na oko odróżnić... Cała wycieczka zajęła nam półtorej godziny. Więcej z domu nie wychodziłem.

25 marca, rok 1935, poniedziałek

Dziś pisać dużo nie będę, bo czasu nie mam. Zresztą nic szczególnego. W Bohdaniszkach nowy kłopot u mnie. Michał Nemeikšis, którego byłem zaangażował na ogrodnika i który miał w tych dniach jechać na praktykę ogrodniczą do Stawskiego do Poniewieża, zapadł na zdrowiu i leży chory obłożnie na zapalenie ścięgien w kolanie. Wysłałem polecenie do ekonoma Pumpola, aby posłał do Poniewieża na tę praktykę parobka Bieliunasa. Co zrobię z Nemeikšisem – nie wiem. Nie mogę go puścić kantem, bo biedak, licząc na to miejsce, wydzierżawił swoją gospodarkę i sprzedał konia.

26 marca, rok 1935, wtorek

Dziś wreszcie po przeszło trzymiesięcznej rozprawie, rozpoczętej w dniu 14 grudnia 1934, Sąd Wojenny pod przewodnictwem prezesa pułkownika Sylwestra Leonasa wydał wyrok w głośnej sprawie kłajpedzkiej wielkiego spisku nacjonal-socjalistycznego niemieckiego Sassa, Neumanna i towarzyszy, która w związku z aktualizacją polityczną problemu kłajpedzkiego nabrała rozgłosu międzynarodowego. Sprawa ta jest dla Litwy użyteczna, albowiem demaskuje ona intrygi i machinacje niemieckie w Kłajpedzie. Jeszcze jest w zanadrzu parę spraw, nie mniej kompromitujących akcję niemiecką przeciwko Litwie w Kłajpedzie. Sprawy te ujawniają doskonale niebezpieczeństwo niemieckie dla Litwy, kształcą przeto opinię litewską w kierunku orientacji probałtyckiej i antyniemieckiej, a zarazem uzasadniają w opinii światowej konieczności pewnych zarządzeń litewskich w Kłajpedzie, mogących budzić wątpliwości co do uszanowania przez Litwę autonomii tej prowincji. Wyrok Sądu Wojennego jest dość ostry, jest szereg kar ciężkich na wodzów ruchu separatystycznego, ale na ogół wyrok robi wrażenie dobre i jest z gruntu umiarkowany. Kara śmierci i ciężkiego więzienia dożywotniego (bezterminowego) zastosowana tylko do tych przestępców, którzy akcję polityczną uzupełnili aktami terroru (zamordowanie Jesutisa, zamach na życie Lopasa), natomiast przestępstwa ściśle polityczne – bez momentu kryminalnego – nie są ani w jednym wypadku ukarane karą śmierci i mają najwyższą karą –

12 lat ciężkiego więzienia. Trochę gorsze wrażenie czynią konfiskacje majątku głównych skazanych, ale to wina nie tyle sądu, ile ustaw karnych politycznych.

Na dzisiejszym obiedzie naszego Rotary-Clubu w liczbie gości mieliśmy prezesa Sądu Wojennego pułkownika Leonasa, bohatera dnia ze względu na powyższy wyrok w sprawie Sassa, Neumanna i towarzyszy. Zdaje się, że pułkownik Sylwester Leonas, człowiek zresztą sympatyczny i sędzia niezależny, mający świadomość najlepszych tradycji funkcji sędziowskich i dyscypliny prawnej, jest mocno przejęty swoim czynem dokonanym. W liczbie gości był też nowy „dyrektor cen" – sympatyczny agronom Kurkowski, dzielny człowiek, który w roku 1920, gdy Wilno było we władzy litewskiej, był wzorowym i znakomitym komendantem Wilna, który wykazał niezmiernie dużo taktu na tym trudnym stanowisku. Dziś też po raz pierwszy w Rotary-Clubie byli nowi członkowie tegoż wojskowi – sztabowiec Grinius (syn dr Kazimierza Griniusa) i awiator Gustaitis, którzy dotychczas do klubu faktycznie wstąpić nie mogli, bo choć już byli na członków wybrani, musieli wpierw otrzymać zezwolenie władz wojskowych, które im udzielone obecnie zostało. Referat dziś w klubie wygłosił członek tegoż – dyrektor Izby Rolniczej, agronom Tallat-Kiełpsz.

27 marca, rok 1935, środa

Poznałem dziś młodego uczonego polskiego, niemal studenta – Westfala, filologa, który ukończył Uniwersytet Warszawski i został przez tenże uniwersytet skierowany do naszego dla pogłębienia swych studiów naukowych języka litewskiego. Jest on hospitantem u nas. Mówi bardzo dobrze po litewsku, studiuje pilnie, jeździ też po kraju, poznaje narzecza litewskie w ich brzmieniu ludowym. Może z niego być poważna siła naukowa. Miły chłopiec i przyjemnej powierzchowności. Nie pochodzi wcale z Litwy i tylko studia lingwistyczne naukowe przywiodły go tutaj.

Dziś na dłuższe pisanie dziennika czasu nie mam.

28 marca, rok 1935, czwartek

Zbierają się nowe chmury zajść na uniwersytecie. Tym razem chodzi o Wydział właśnie Prawniczy i w szczególności o nieszczęsnego prof. Stankiewicza. Właściwie tło czy źródło i zasada tych chmur są natury o wiele ogólniejszej. Jest to naturalnie w związku z wielkim procesem Sassa, Neumanna i towarzyszy, zakończonym świeżo wyrokiem Sądu Wojennego, o którym przed kilku dniami pisałem. Rozprawa sądowa ujawniła jaskrawie to, co już dobrze było wiadome – o wielkiej i prawie że demonstracyjnej, wprost prowokacyjnej akcji spiskowej na rzecz germanizacji ostatecznej i oderwania od Litwy Kraju Kłajpedzkiego, kierowanej bezpośrednio z Niemiec. Akcja ta była szeroko rozgałęziona, protegowana przez dyrektorium Schreibera, korzystała z usług organów władzy autonomicznej i operowała arogancko, bez ceremonii, ofensywnie. A gdy Litwa w obronie państwowości zareagowała na nią i trybem sądowym skarciła winnych – w Niemczech podniósł się gwałt, napaści dzikie na Litwę, insynuacje, pogróżki, szkalowanie i taki wrzask manifestacji, że, zdawałoby się, Litwa popełniła jakąś zbrodnię przeciwko ludzkości i cywilizacji, nie dopuszczając do uprawiania przez Niemców polityki antypaństwowej w jej własnym państwie. Manifestacje antylitewskie w Niemczech i kampanie oszczerstw przeciwko Litwie, kierowane w Niemczech przez organizacje społeczne nacjonalistyczne i przez organy państwowe, nie mogły oczywiście nie budzić żadnych odruchów w Litwie. Że odruchy te przede wszystkim manifestują się wśród młodzieży akademickiej, która jest najwrażliwszą cząstką społeczeństwa, to się dobrze rozumie. I przecież Litwini, którzy się z natury spokojni, do takich ekscesów, jakich się dopuszczają Niemcy, nie dochodzą. W związku z tym ruch młodzieży akademickiej zwrócił się przeciwko prof. Stankiewiczowi, który, jako adwokat, bronił oskarżonych w tym procesie. Już przed rozprawą i na początku tejże młodzież akademicka zaczynała się przeciwko Stankiewiczowi burzyć. Stankiewicz jako profesor jest przez młodzież na ogół lubiany;

wykłada barwnie i żywo, zdolny jest, umie zainteresować. Ale zarzut stanięcia w obronie tych, którzy działali na zgubę Litwy i byli narzędziem zachłanności niemieckiej, poruszył młodzież litewską. Już wtedy narastał przeciwko niemu ferment, zaczynały się zaczepki, podnoszone były pomysły bojkotu lub ekscesów. Udało się nam wtedy uśmierzyć ten ruch, powołując się wobec młodzieży na autorytet rządu i zwłaszcza ministra spraw zagranicznych, który stwierdził, że jakiekolwiek bądź wystąpienie przeciwko Stankiewiczowi ze względu na podjęcie się przezeń obrony byłoby dla Litwy bezwzględnie szkodliwe, albowiem dałoby Niemcom do rąk atut twierdzenia, że obrona w procesie była terroryzowana i nie mogła pod presją opinii publicznej i manifestantów funkcji swojej spełnić. Teraz po skończeniu procesu motyw ten odpadł, a natomiast przybyły dwa czynniki nowe na rzecz podniecenia protestu młodzieży: z jednej strony różne argumenty, użyte przez obronę w procesie, często niezręczne i nietaktowne, obrażające państwo lub boleśnie raniące pewne uczucia i nastroje narodowe w atmosferze wrażliwości zaognionej, poniekąd nieuniknione mimo największą staranność ekwilibryczną Stankiewicza, nie umiejącego poradzić z pogodzeniem względów narodo-państwowych z interesami obrony, z drugiej strony – manifestacje antylitewskie w Niemczech, drażniące i oburzające Litwinów.

29 marca, rok 1935, piątek

Już od początku tygodnia bieżącego, gdy Stankiewicz, po dłuższej przerwie, spowodowanej rozprawą sądową w procesie Sassa, Neumanna *et consortes*, wznowił wykłady, rozpoczęły się zaraz fermenty odruchów. Na jeden z wykładów jego grono jakichś studentów usiłowało nie dopuścić słuchaczy do audytorium, a gdy to się im nie udało i część słuchaczy się zebrała, a Stankiewicz przyszedł i rozpoczął wykład, zaczęło hałasować pod drzwiami, aby wykład zerwać. Stankiewicz sam interweniował, wdał się ze studentami w debaty. Tłumaczył się przed nimi, uzasadniał swoje stanowisko w procesie, przekonywał o czystych, wyłącznie humanistycznych intencjach swoich, zapewniał, że prasa w sprawozdaniu z procesu dużo ze słów jego przekręciła, nadała im tendencyjnie pewne zabarwienie nieścisłe, w ogóle wypaczyła prawdę. Na tumult i hałas interweniował też dziekan Wacław Biržiška, który akurat miał też wykład. Skończyło się na dyskusji, tłumaczeniach, niedopowiedzeniach. Pozawczoraj znów po wykładzie Janulaitisa grono zebranych studentów w ilości podobno do setki osób zaimprowizowało wiec doraźny, na którym zapadła rzekomo uchwała, domagająca się usunięcia Stankiewicza z profesury. Wiec ten był oczywiście nielegalny i nieformalny. Prorektor Česnys został o tym zebraniu powiadomiony telefonicznie i zamierzał już udać się na miejsce, ale zebrani tymczasem się ulotnili. Tych rezolucji „wiecowych” nie zgłosili wcale do mnie, czując oczywiście, że to nie zostanie potraktowane poważnie i że raczej władze akademickie mogą skarcić wiecowników, ale do prasy się to przedostało. Już dziś przylatywali do mnie reporterzy pism, usiłując zasięgnąć języka. Odprawiłem ich z niczym. Ale tymczasem we środę zwrócił się od mnie w imieniu związku litewskich stowarzyszeń akademickich („LSOS”) prezes tegoż, student prawnik Alfons Kairelis prosząc o pozwolenie na meeting ogólnoakademicki w niedzielę dla omówienia sprawy kłajpedzkiej w związku z ujawnioną w procesie akcją przeciwlitewską kierowaną z Niemiec i ekscesami antylitewskimi w Niemczech z okazji wyroku. Po meetingu projektowany jest pochód uroczysty młodzieży akademickiej w barwach stowarzyszeń i korporacji do Muzeum Wojennego dla złożenia wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza z plakatami, głoszącymi jedność Kłajpedy z Litwą, potępienie akcji spiskowej w Kłajpedzie, protesty przeciwko ingerencji niemieckiej i przeciwko szkalowaniu Litwy w Niemczech. Na tym meetingu zamierzone też jest potępienie obrońców w procesie, w ich liczbie i Stankiewicza. Kairelis zapewnia, że rezolucje w sprawie obrony będą względnie umiarkowane i że da się projekt tychże ustalić zawczasu, za wiedzą zwierzchności akademickiej, ale za to skanalizuje cały obecny ferment względem Stankiewicza i utopi go w

dominującym leit-motivie całej sprawy kłajpedzkiej i przez to zastrzeże przeciwko luźnemu samopas rozwojowi fermentu, mogącemu doprowadzić do ekscesów, akcji bojkotowej itd. Kairelis gwarantuje, że meeting umorzy wszelką akcję ekscesową, w przeciwnym zaś razie ekscesy staną się nieuniknione. Prezydium Związku „LSOS" skomunikowało się i ułoży z kierownictwem głównych stowarzyszeń i grup narodowców, jak „Neo-Lithuania", „Atsargos Karininkų Ramovė" i inne, wobec czego cała zorganizowana najpewniejsza część młodzieży zostanie w tej kwestii zdyscyplinowana, a ugrupowania pomniejsze, gdyby nawet do ekscesów się skłaniały, same jedne masy młodzieży przeciwko dyscyplinie głównych i silnych ugrupowań nie pociągną.

30 marca, rok 1935, sobota

Na wniosek organizacji LSOS („Lietuviškųjų Studentų Organizacijų Sąjunga")

rektorat, który zwołałem na naradę w osobach mojej, obu prorektorów i sekretarza prof. Purėnasa, postanowił udzielić pozwolenia na ogólne zebranie studentów dla omówienia sprawy kłajpedzkiej w związku z ujawnioną w procesie Sassa, Neumanna i towarzyszy interwencję niemiecką w stosunki wewnętrzne Litwy i akcję oszczerczą i zaborczą przeciwko Litwie w Niemczech. Postanowiono, żebym tego pozwolenia udzielił ja urzędowo, nie poruszając wcale kwestii Stankiewicza i ewentualnego protestu przeciwko obrońcom oskarżonych w procesie. Co zaś do omówienia i ustalenia szczegółów – miałem odesłać prezesa LSOS Kairelisa do prorektora Česnysa. Chodziło o to, żeby prorektor poufnie, niby to na własną rękę, nie z ramienia formalnie władzy rektorskiej, nic o tym urzędowo nie wiedzącej, dopilnował w porozumieniu z organizatorami zebrania, aby ewentualne rezolucje w sprawie Stankiewicza i obrony były umiarkowane i znośne, nie prowadzące do zaognienia sytuacji i do podniecenia ekscesów, lecz raczej do złagodzenia, skanalizowania i likwidacji całego zajścia ze Stankiewiczem. Chodziło też o dopilnowanie tekstu plakatów w zamierzonym po wiecu pochodzie młodzieży. Gdym wszakże nazajutrz po naradzie rektoratu, to znaczy wczoraj, przyjął studenta Kairelisa, aby mu zakomunikować urzędowo pozwolenie na wiec i kierować go dla ustalenia szczegółów do prorektora Česnysa, ze słów tegoż Kairelisa zrozumiałem, że już nie jest on tak pewny swoich poprzednich zaręczeń o tym, że na wiecu nie dojdzie do ostrzejszych rezolucji w przedmiocie Stankiewicza. Rezolucje spontanicznego zgromadzenia środowego (nielegalnego) grona studentów na Wydziale Prawniczym, głoszące żądanie usunięcia Stankiewicza z profesury, zaniepokoiło Kairelisa, który zaczął mi napomykać, że boi się, aby w związku z tą rezolucją nie wypłynął na projektowanym wiecu jakiś wniosek podobny, który w roznamiętnieniu masy wiecującej może niespodzianie zostać uchwalony. Gdym spostrzegł tę niepewność Kairelisa, zaniepokoiłem się też sam i postanowiłem nie poprzestać na poufnym działaniu Česnysa, ale dobrze się nad wszystkim w szczegółach zastanowić sam w naradzie wspólnej z Kairelisem z udziałem sekretarza prof. Purėnasa i dziekana Wydziału Prawniczego prof. Wacława Biržiški. Naradę tę zwołałem dziś. Właściwie miał być na niej nie Purėnas, lecz Česnys, ale Česnys wolał „zachorować" i nie stawić się do uniwersytetu (mam wrażenie, że Česnys zawsze w trudniejszych chwilach skłonny jest „chorować"), toteż zastąpiłem go przez Purėnasa. Narada ta dziś się odbyła. Kairelis tym razem nas uspokoił. Oświadczył, że wczoraj porozumiał się i omówił całą kwestię z przywódcami głównych wpływowych organizacji studenckich. Zajęli oni stanowisko bardzo umiarkowane i w szczególności w kierunku umiarkowanym podziałała poważna i wpływowa korporacja studentów oficerów rezerwy „Ramovė". Uznano, że żadnego protestu i rezolucji potępiającej obronę w procesie Sassa nie będzie, albowiem fakt swobodnej obrony oskarżonych jest dla Litwy raczej dodatni i ustalający dokładny bieg procesu, może więc zachodzić wątpliwość li tylko co do poszczególnych wypowiedzeń się obrońców, ale nie o to w tym wiecu chodzi. Toteż kwestia Stankiewicza na wiecu ani podnoszona, ani rozstrzygana nie będzie, chyba epizodycznie coś w przemówieniach o to

potrąci, natomiast cały walor debat i uchwał oraz pochodu skierowany będzie do energicznego, ale kulturalnego protestu przeciwko mocarstwom niemieckim.

Niemcy jako represję zamknęli zupełnie udzielanie Litwinom wiz wjazdowych lub tranzytowych do i przez Niemcy. Litwa faktycznie jest izolowana.

31 marca, rok 1935, niedziela

Dziekan Wacław Biržiška był postanowił podnieść kwestię prof. Stankiewicza na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Chodziło zwłaszcza o znalezienie sposobu niedopuszczenia do ekscesów, bojkotu lub innej akcji protestującej studentów przeciwko Stankiewiczowi. Wczorajsza jednak nasza narada ze studentem Alfonsem Kairelisem i perspektywy kojące wiecu dzisiejszego znacznie złagodziły sytuację. Ponieważ jednak Biržiška był uprzedził Stankiewicza o wniesieniu tej kwestii na posiedzenie i sam Stankiewicz wyraził chęć uzasadnienia swojej akcji w obronie oskarżonych i usprawiedliwienia się wobec kolegów wydziału, więc sprawa na porządek dzienny wpłynęła. Biržiška ograniczył się do zreferowania wszystkiego, co dotąd w tej kwestii zaszło i udzielił głos Stankiewiczowi. Ten się tłumaczył. Zaznaczył, ze z prośbą o obronę zwróciły się do niego żony oskarżonych, nie zaś bynajmniej jakieś czynniki poselstwa niemieckiego; honorarium też bynajmniej nie było tak przesadnie wielkie, jak głosiły złośliwe plotki i pogłoski (po 3000 lt. od osoby bronionej); prasa informowała o obronie stronnie i tendencyjnie, rozdmuchując lub wypaczając jedno, a zatuszowując inne w przemówieniach obrońców; w szczególności w dziesięciogodzinowym przemówieniu Stankiewicza były stwierdzenia całego szeregu niedopuszczalnych machinacji niemieckich, kompromitujących akcję Niemiec; uwydatnienie tych stwierdzeń w prasie byłoby użyteczne dla Litwy, wykazywałoby bowiem, że nawet obrona na nie zwróciła uwagę i musiała przeciwko nim protestować; prasa natomiast nie uczyniła tego, a za to wyłapywała skwapliwie i w pewnym tendencyjnym zabarwieniu uwydatniała bądź jakieś niefortunne wyrażenie, bądź twierdzenie mniej użyteczne dla Litwy. Wydział wysłuchał tłumaczenia się Stankiewicza, które mógł jeno przyjąć do wiadomości, bo nie było nic do dyskutowania nad tym. Zaś w przedmiocie przeciwdziałania ewentualnego ekscesom też nic nie było do uchwalenia lub zarządzenia, bo należało wyczekać wiecu i dalszego rozwoju wypadków. Upoważniono więc tylko władze wydziałowe do bacznego obserwowania sytuacji i w razie potrzeby przedsiębrania w porozumieniu z rektoratem środków przeciwko jakimkolwiek ekscesom i na rzecz likwidacji. W szczególności Stankiewicz chce dać publicznie jakieś wyjaśnienie, tłumaczące jego niefortunnie rzucone wyrażenie o litewskim rzekomo „Drang nach Westen", które wywołało szczególne zgorszenie. Janulaitis znów radził Stankiewiczowi wybranie ze stenogramu jego mowy tych wszystkich ustępów, w których zaznaczył on i dał należytą ocenę akcji nacjonalsocjalizmu niemieckiego i jego niedopuszczalnego mącenia stosunków wewnętrznych litewskich i ogłoszenie tychże. Poruszano też przelotnie dezyderat o ustąpieniu Stankiewicza z adwokatury. Ale „clou" dnia dzisiejszego – był wielki wiec akademicki. O tym napiszę już jutro.

1 kwietnia, rok 1935, poniedziałek

Napiszę więc dziś o wiecu studenckim wczorajszym. Na wiec ten sam oczywiście nie poszedłem, bo rektor, jako najwyższa instancja akademicka, musi rezerwować swą władzę i autorytet do decyzji ostatecznych i stanowiących *ultima ratio* i *maxima potestas*, unikając interwencji bezpośredniej tam, gdzie wystarczy władza mniejsza. Im bardziej się będzie zniżać i pospolitować rektor, tym autorytet jego szczytowy będzie maleć. Taka jest bowiem psychologia ludzi, zwłaszcza młodych i zwłaszcza w tłumie. Skądinąd zaś ukazanie się „samego" rektora na wiecu studentów zbyt wysoko podniosłoby w oczach wiecujacych „doniosłość" ich wiecu, co także nie jest dobre. Chodziło więc o względy pedagogiczno-

psychologiczne. Ponieaż zaś prorektor Česnys już od dnia poprzedniego „zachorował", więc zastąpiłem go przez prof. Purėnasa, który zresztą jest nawet do takiej funkcji właściwszy od Česnysa, do którego to z urzędu należy. Wiec upłynął bardzo dobrze i porządnie. Dał on upust nagromadzonemu fermentowi zapalnemu w uczuciach i umysłach młodzieży, skanalizował różne odruchy temperamentu na rzecz wykrzyczenia się w oklaskach i wołaniach wiecowych. Przez czas wiecu siedziałem w domu i czekałem na sprawozdanie Purėnasa, który miał przyjść po wiecu do mnie. Przed rozpoczęciem wiecu zaszło małe zamieszanie w sprawie zamierzonego pochodu. Organizatorzy byli zaprojektowali pochód zorganizowany w czapeczkach korporacyjnych z plakatami i wieńcem na Grób Nieznanego Żołnierza do ogródka Muzeum Wojennego i stamtąd po złożeniu wieńca i odśpiewaniu hymnu narodowego – dalszy pochód przez Laisvės Aleję bądź do Prezydentury, bądź z powrotem do uniwersytetu i z zatrzymaniem się przed domem mojego mieszkania dla wyrażenia mnie wdzięczności za udzielenie pozwolenia na wiec. Władza na pochód dalszy z muzeum przez Laisvės Aleję nie zezwoliły od razu, ale na pochód z uniwersytetu do „Karo Muziejus" na razie minister spraw wewnętrznych i komendant byli skłonni udzielić pozwolenia i młodzież była już tego pewna i przygotowana na to. Dyscyplinowana korporacja oficerów rezerwy „Ramovė", która hołduje zasadom karności ścisłej i posiada wielkie zaufanie i autorytet wśród młodzieży, miała utrzymywać ład i karność pochodu. Wszakże oparł się kategorycznie pochodowi minister spraw zagranicznych Lozoraitis, który na ponawiane perswazje oświadczył wreszcie, że nie może ustąpić, bo zaangażował się formalnym przyrzeczeniem wobec przedstawicieli sygnatariuszy Konwencji Kłajpedzkiej, że do żadnych manifestacji antyniemieckich nie dojdzie. Pochód więc zorganizowany upadł. Wiadomość ta podziałała na razie na wiecujących ujemnie. Jak powiada Purėnas, nastrój się na razie wytworzył nerwowy na sali. Ale prezydium z przewodniczącym Kairelisem na czele odbyło naradę z przywódcami organizacji większych i wiecowników uspokoiło, taktownie i stanowczo wezwawszy wszystkich do udania się do muzeum bez pochodu formalnego – zwyczajnie chodnikami. W ogóle Purėnas bardzo dodatnio oceniał takt organizacyjny Kairelisa i przywódców. Odbył się wiec. Nie było żadnych ekscesów lub nawoływania do tychże, nie było żadnych rezolucji w sprawie Stankiewicza lub obrony w procesie Sassa i in. W poszczególnych przemówieniach było parę wzmianek o Stankiewiczu, ale bez skutku i wniosków. W ogóle nawoływano do kulturalnego zachowania się, zaprotestowano przeciwko oszczerstwom i ekscesom niemieckim i zachowano się na wiecu bez zarzutu.

2 kwietnia, rok 1935, wtorek

Meeting studencki niedzielny, który wyłonił się poniekąd z fermentu przeciwko prof. Stankiewiczowi w przedmiocie jego udziału w obronnie Sassa, Neumanna i in., zwrócił się ostrzem przeciwko akcji oszczerczej niemieckiej, krzywdzącej Litwę i stanowiącej jeden ze środków taktycznych ofensywy niemieckiej na wschód. Meeting i przyjęte na nim rezolucje dały się utrzymać w formach kulturalnych, zawdzięczając umiejętnemu taktowi prezesa związku litewskich organizacji akademickich studenta Kairelisa i w ogóle całego prezydium tegoż związku, złożonego z przedstawicieli najwpływowszych organizacji studenckich różnych kierunków. Niestety – wypadki, które nastąpiły bezpośrednio po tym wiecu w niedzielę, nadały dalszemu ruchowi młodzieży akademickiej zupełnie nowy niespodziewany i bardzo przykry rozwój, stanowiący nową tych wypadków fazę. Zasłoniło to i odrzuciło w cień nie tylko kwestię prof. Stankiewicza, ale nawet kwestię protestu antyniemieckiego. Rozwinęło się to w groźny zatarg młodzieży akademickiej z policją. Stało się to, niestety, na skutek zakazu kategorycznego urządzenia zorganizowanego pochodu młodzieży. Gdyby ten pochód był pozwolony – z pewnością do żadnych zajść by nie doszło; porządek i dyscyplinę pochodu była się podjęła dopilnować i zapewnić poważna, mająca wielki zmysł karności i posiadający wielki autorytet wśród młodzieży korporacja akademicka oficerów rezerwy

„Ramovė”. Ale pochód był zabroniony. Młodzież, choć nieprzyjemnie zdziwiona zakazem, uległa. Spokojnie i karnie, bez żadnych plakatów, chodnikami masowo udała się do Muzeum Wojennego, gdzie spotkał ją pluton inwalidów przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Tam wykonano muzykę obrzędową inwalidów, młodzież złożyła wieniec na grób, odśpiewała hymn państwowy i zaczęła się rozchodzić. Rozchodzenie się było luźne. Ale młodzieży było się zgromadziło parę tysięcy, zaś z Muzeum Wojennego nie rozchodzi się w różne strony dwa tysiące ulic, po których mogliby się wszyscy rozejść w pojedynkę. Nic przeto dziwnego, że większe grupy młodzieży znalazły się niebawem u wylotów sąsiednich ulic na Laisvės Alei, gdzie tymczasem nagromadziły się liczne skupienia ciekawych wszelkiego wieku i zawodu, zwabione sensacją „manifestacji” młodzieży i chciwie węszące widowiska uliczne. Zapewne nie brakło tam na ulicy i agentów, a może i prowokatorów niemieckich, także uliczników i szumowin. Młodzież jednak akademicka była usposobiona na ogół pokojowo, choć może nieco podniecona i niezupełnie zadowolona, ale daleka od wszelkich zamierzeń ekscesów, przeciwnie – zdecydowanie wroga wszelkim burdom – przynajmniej w masie swojej, mimo że gdzieniegdzie rozsiewane były pogłoski o jakichś zamierzonych ekscesach w stosunku do konsulatu niemieckiego, księgarni niemieckiej, gimnazjum niemieckiego, mieszkania prof. Stankiewicza lub innych obrońców procesu Sassa etc. Grupy młodzieży idąc śpiewały „Eina garsas nuo Malborgo” i niektóre inne piosenki. Było to zresztą zupełnie niewinne i beztroskie. Policja jednak była zmobilizowana. Miała ona rozkaz przeszkodzenia wszelkiej manifestacji ulicznej i bodajże brała zbyt na serio intencje manifestacyjne młodzieży, przekonana może szczerze o jakichś złych zamiarach młodzieży na rzecz ekscesów. Na razie w pierwszych zetknięciach młodzieży z policją nastrój był raczej jowialny. Gdzieniegdzie w grupkach poszczególnych były żartobliwe przymówki, dowcipy, nawet podrzucanie policjantów na wiwat. Młodzież, zatrzymywana u wylotów jednych ulic, przebiegała na inne, bawiła się po trochę; miejscami dochodziło do drobnych scysji, strony się czasem nerwowały, ale nic zbyt szczególnego nie było. Wszakże atmosfera się zgęszczała, policja miejscami używać zaczęła pałeczek gumowych, pobiła kilku studentów lub studenci uderzyli policjantów, ale oliwy do ognia dolało ukazanie się samego naczelnika policji Jankowskiego, który w sposób ostry nakazał policji działać energicznie i bezwzględnie, użył publicznie wyrazów obraźliwych względem studentów; policja zaczęła forsować sytuację, pomnożyły się incydenty epizodyczne, sprowadzono pompy i kiszki strażackie, którymi oblewano publiczność i studentów strugami wody, bito, rozpędzano, uganiano się, gdzieniegdzie aresztowano. Większych pokaleczeń nie było, ale roznamiętnienia wzrosły, młodzież czuła się zbrutalizowana.

3 kwietnia, rok 1935, środa

Wypadki niedzielne poruszyły młodzież akademicką. Oburzenie na policję, poczucie sprofanowania uczuć młodzieży i jej intencji, które były li tylko patriotyczne i w których nie było zgoła żadnego cienia rewolucyjnego przeciwko państwu czy władzy, a nawet opozycyjnego przeciwko rządowi, poczucie krzywdy i zbrutalizowanie usposobień z natury pogodnych i szczerych – zaczęło rosnąć jak na drożdżach. W młodzieży uczucie fermentują szybko. Zawrzało. Przez poniedziałek ferment narastał widocznie, ale się jeszcze nie wylał w kształty konkretne. Prezes LSOS, student Kairelis, zakłopotany i przejęty sytuacją, choć nie tracący równowagi, uprzedzał nas, że ferment narasta groźny. Oburzenie skupiało się głównie na osobie naczelnika policji w Kownie – Jankowskiego, który już w niedzielę na ulicy odezwał się publicznie do policjantów: *„Ką jus čia su šiais banditais flirtuojate!*”[18], nakazując działać bezwzględnie, sam też osobiście biorąc udział w biciu i maltretowaniu studentów. Oburzała się też młodzież na ministra spraw wewnętrznych Rusteikę. W tym uczuciu

[18] „Co wy tu z tymi bandytami flirtujecie!”.

oburzenia i gniewu stopiły się w jedno wszystkie grupy i kierunki ideowe młodzieży, skądinąd bardzo różne. Tak „varpasowcy”, tak voldemarasowcy z „Lietuvy”, tak neo-lithuani i korporanci oficerów rezerwy, tak ateitininki i cała młodzież grup apolitycznych oraz niezorganizowani – zsolidaryzowali się w uczuciu oburzenia i protestu. Znalazł się nowy wspólny wróg – policja. Kairelis powiada, że to podniecenie uczucia tak zespoliło całą młodzież wszelkich obozów, że wszyscy studenci i studentki, spotykając się gdziekolwiek, czują się jak bracia i siostry.

W poniedziałek ferment jeszcze narastał, ale do żadnych zajść nie doszło. Ukazały się tylko na ścianach ogłoszenia bez cenzury prorektorskiej, nawołujące młodzież do zebrania się nazajutrz rano w gmachu Wydziału Medycznego dla niedopuszczenia policjantów ze szkoły policyjnej do korzystania z lokalu uniwersyteckiego w wykładzie prof. Oželisa, który wykłada tam medycynę sądową policjantom tej szkoły. Młodzież rozumowała tak: policja nas bije i maltretuje, a sama korzysta z gościnności uniwersyteckiej? Nie, my tego znieść i tolerować nie możemy! Precz z policją w naszych lokalach akademickich! O ogłoszeniu tym i nurtujących zamierzeniach jakiegoś odwetu na policji w gmachu medycznym dowiedział się z wieczora prorektor Česnys, który uprzedził o tym dziekana Wydziału Medycznego prof. Lašasa, ale skądinąd dowiedział się o tym także minister Rusteika, który ze względu na nastrój podniecony młodzieży i dla zapobieżenia nowym komplikacjom dał rozkaz nie prowadzić nazajutrz policjantów ze szkoły policyjnej na wykład prof. Oželisa. Skądinąd i prof. Oželis został uprzedzony, że wykładu nie będzie. We wtorek rano o godz. 7 w gmachu medycznym zgromadził się liczny zastęp studentów, oczywiście dla wykonania odwetu na policjantach, ale niczego się nie doczekał. Nie doszło więc tutaj do żadnych ekscesów. Epizod tego niedoszłego ekscesu był oczywiście poza sferą działania komitetu międzykorporacyjnego LSOS, pomagającego nam dzielnie w usiłowaniach zlikwidowania całej sprawy na zasadach pewnej satysfakcji dla młodzieży. Było to coś odruchowego, raczej inscenizowanego przez jakieś elementy warcholskie, działające samorzutnie, a może nawet inspirowane przez świadomych wichrzycieli lub nawet agentów i prowokatorów niemieckich, dla których oczywiście wielce na rękę było podniecanie do ekscesów dla kompromitowania Litwy. Kairelis słyszał, że wśród tych wichrzycieli niedoszłego epizodu w gmachu medycznym dojrzewał pomysł wprawdzie nie bicia policji, ale ściągnięcia majtek z jednego lub kilku policjantów (słuchaczy wykładu Oželisa) i wypuszczenia go lub ich na ulice w kalesonach. Byłby to oczywiście eksces karczemny i kompromitujący studentów, a więc dla nich samych szkodliwy.

4 kwietnia, rok 1935, czwartek

Wtorek był dniem krytycznym największego napięcia nerwów młodzieży akademickiej w obecnym jej zatargu z policją, wytworzonym przez wypadki niedzielne. Wspomniałem już pod datą wczorajszą o niedoszłym zajściu w gmachu medycznym z wtorku rano. Było też parę innych zajść epizodycznych w godzinach rannych dnia tegoż. Było parę wypadków otoczenia przez grono studentów poszczególnych policjantów posterunkowych, wymyślanie tymże i może nawet pogróżek; minister Rusteika opowiadał nam z Purėnasem, że sam widział z okna mieszkania swego, jak pewne grono studentów otoczyło policjanta, wracającego z posterunku, i wołać zaczęło: „*Mauk kelnes!*”[19], ale niebawem, gdy policjant zagwizdał, zwołując pomoc, studenci się rozproszyli; to był jeden z epizodów. Rano też dano mi znać, że w dużym gmachu uniwersyteckim młodzież się burzy, gromadzi się na schodkach wejściowych i platforemce stamtąd, zaczepiając wykrzykami policję, której posterunki przed uniwersytetem i dokoła gmachu Ministerium Spraw Wewnętrznych tamże zostały wzmocnione; udałem się wnet sam na miejsce i studentów, których zastałem na schodach,

---

[19] „Ściągaj spodnie!”.

wpędziłem do gmachu uniwersyteckiego do środka; policja jakiś czas, obawiając się ekscesów, zamknęła przejście chodnikami przy gmachu uniwersyteckim. Kilku studentów zaaresztowano, ale niebawem wypuszczono. Nic poważniejszego nie zaszło. Większych ekscesów nie było, tylko nerwy grały i oburzenie młodzieży przeciwko policji fermentowało. W ogóle z wypadków niedzielnych aresztowań poważniejszych nie było. Zaaresztowano wprawdzie kilkunastu w niedzielę na Laisvės Alei, ale wszyscy tegoż wieczora byli wypuszczeni. Studenci twierdzą, że policja przy aresztowaniu ich i prowadząc – biła ich. Cytują też pobitych, parę nawet trochę poranionych, skopanych butami przez policjantów. Jeszcze jeden z epizodów we wtorek rano – to wtargnięcie kilkudziesięciu wzburzonych studentów do redakcji gazetki brukowej „10 centų”. Młodzież była oburzona notatką, która się w gazetce ukazała o tym, że rzekomo studenci zamierzali w niedzielę wybić szyby w konsulacie niemieckim i księgarni niemieckiej. Zamiarów takich młodzież w istocie nie miała i właśnie na tym zasadza ona swoje oburzenie na policję, że ta potraktowała Bogu ducha winną młodzież jako gotującą się do jakichś ekscesów ulicznych. Toteż notatka w „10 centų” mocno młodzież obeszła jako oszczercza i osłabiająca jej pozycję moralną w konflikcie z policją. Zgromadziła się więc ona spontanicznie przed redakcją i wtargnęła do niej, żądając sprostowania fałszywej notatki, uwłaczającej młodzieży i użytecznej li tylko dla Niemców, usiłujących rozdmuchać wypadki i rozniecać alarm o pogromowych zajściach w Kownie. Podług wersji ministra Rusteiki, podanej nam z Purėnasem, gdyśmy tegoż dnia byli u ministra, studenci rzekomo porozrzucali czcionki nabranego do druku numeru gazetki, a redaktor „10 centų” aż przez okno uciekł ze strachu. W istocie, jakeśmy potem przez telefon w redakcji sprawdzili, studenci czcionek nie rozrzucili i żadnych strat redakcji nie wyrządzili; redaktor wprawdzie się na razie był przestraszył, ale potem ze studentami konferował i przyrzekł odwołać notatkę. Notatka też została odwołana. Redakcja nie tylko że nie poniosła strat materialnych, ale nawet na czysto zarobiła, bo nazajutrz czy też tegoż dnia numer gazetki był rozchwytany i nakład się rozszedł jak nigdy dotąd i w dodatku gazetce to dało reklamę.

5 kwietnia, rok 1935, piątek

Zacznę dziś na początek z innej beczki. Tu mam do zanotowania trzy rzeczy, poczym znów sięgnę do beczki, w której już od tygodnia się grzebię. A więc:

I. Przed paru dniami dwaj studenci Polacy, Dowgird i Paprocki, pierwszy z nich – zeszłoroczny i drugi – tegoroczny prezes „Zjednoczenia Studentów Polaków Uniwersytetu” w Kownie, obaj – wyznawcy nowego radykalnego kierunku narodowego Tomasza Surwiłły, który rozdwoił młodzież polską w Litwie i odciągnął znaczną jej część od dotychczasowego kierunku umiarkowanego, kompromisowego i akceptującego lojalnie państwowość litewską, reprezentowanego przez stare kierownictwo polityczne polskie w kraju z Eugeniuszem Römerem, Budzyńskim i innymi na czele oraz przez starszych przywódców młodzieży, jak Ugiański, Szyłkarski, Mikołajunas, Ukiński i Kobyliński, Stoma i inni, otóż ci dwaj młodzieńcy nowego ruchu, Dowird i Paprocki, wtargnęli do mieszkania redaktora dowcipnego i humorystycznego pisemka litewskiego „Kuntaplis” i dopuścili się gwałtu czynnego na osobie tegoż redaktora (zdaje się, że mu wymierzyli policzek czy też znieważyli czynnie w inny sposób). Powodem do tego była karykatura satyryczna, która się ukazała na szpaltach ostatniego numeru „Kuntaplisa” i przedstawiała Marszałka Piłsudskiego, ścielącego się do stóp Hitlera i całującego mu pokornie stopy. Ujęli się oni w ten sposób za obrażony honor narodowy polski. Jak mi powiadał Hektor, który oczywiście jest przeciwnikiem kierunku radykalnego Surwiłły, młodzieńcy po dokonaniu tego czynu skwapliwie słuchali radia polskiego z Warszawy, czekając (na próżno – niestety) pochwały dla ich czynu „bohaterskiego”. Dziwię się, że wypadek ten nie nabrał dotąd rozgłosu u nas i nie wywołał reakcji w opinii, zwłaszcza młodzieży litewskiej. Zdaje się, że jest ona zbyt zaabsorbowana zajściami z policją, aby się zainteresowała czymś innym ubocznym. Swoją drogą, nie

wyobrażam sobie, aby w Polsce jacyś studenci Litwini, Ukraińscy czy Białorusini pozwolili sobie na taki akt doraźnego odruchu przeciwko redaktorowi pisma polskiego. A skądinąd jakaś „Mucha” czy inne pismo humorystyczne polskie nie mniej sobie, kiedy chce, pozwala na drwiny z mężów Litwy lub innych państw, niż „Kuntaplis” litewski względem Piłsudskiego.

II. Umarł stary Wincenty Matulaitis w wieku lat 74, ojciec ministrowej Lozoraitisowej i śpiewaczki opery Matulaitisówny, były kontroler państwowy do lata roku ubiegłego i prezes Kapituły Orderu Giedymina. Poczciwy był człowiek, sumienny, pracowity, gorący patriota. Nie był orłem ani zbyt wybitnym działaczem, ale zawsze był Litwinem, patriotą i narodowcem i przez lat kilkadziesiąt był przed wojną czynnym członkiem kolonii litewskiej w Petersburgu i prezesem tzw. „Litewsko-Żmudzkiego Towarzystwa Dobroczynności”. Pogrzeb odbędzie się z wielką pompą.

III. Na miejsce Navakasa, który po „urlopie” podał się do dymisji i, zdaje się, mianowany będzie członkiem Rady Stanu, gdzie się tworzyć zaczyna archiwum strąconych z piedestału wielkości (były burmistrz Jan Vileišis, były wiceburmistrz Pikčilingas, były minister Zaunius), otóż na miejsce, opróżnione przez Navakasa, gubernatorem Kłajpedy mianowany został agronom Kurkowski, który ostatnio był od niedawna komisarzem do normowania cen. Wybór Kurkowskiego zdaje się być bardzo odpowiedni. Jest to człowiek młody jeszcze, energiczny, sprężysty i wielkiego taktu oraz kultury. W roku 1920 był on komendantem litewskim w Wilnie i na tym trudnym stanowisku okazał bardzo dużo taktu. Był jednym z nielicznych wyższych urzędników litewskich w Wilnie, którzy wykazali wiele taktu i umiarkowania i pozostawili tam po sobie nawet wśród Polaków najlepszą pamięć (on i Zygmunt Žemaitis).

Na zasadniczą beczkę studencką nie starczyło już dziś czasu i atłasu.

6 kwietnia, rok 1935, sobota

Po małej dywersji na stronę, którą pozwoliłem sobie w dzienniku pod datą wczorajszą, dziś wracam znowu do toku wypadków studenckich i mianowicie do dnia krytycznego – wtorku 2 kwietnia. Niemało mi jeszcze w tej materii do napisania zostaje, aby dopędzić bieg wypadków, który się zresztą jeszcze nie skończył. Cały wtorek rano, jakem już pisał, wypełniony był epizodami, wprawdzie niezbyt poważnymi, ale bądź co bądź niepokojącymi, bo spontanicznymi, rozproszonymi, wypływającymi okazyjnie to tu, to ówdzie, nieopanowanymi przez żadne kierownictwo, podsycanymi przez różne podniety szczegółowe na tle fermentującego nastroju młodzieży. Operować już zaczynały luźne elementy warcholskie, przy tej okazji też zaczęły się ukazywać jakieś plakaciki rewolucyjne z hasłami komunistycznymi. Te ostatnie zresztą wielkiego niebezpieczeństwa nie stanowiły, bo odruch młodzieży przeciwko policji nie miał żadnego podłoża społeczno- czy polityczno-rewolucyjnego i wyrósł na gruncie właśnie zaognionych uczuć narodowych i państwowych. Ale czynnik warcholski, a jeszcze bardziej prowokacyjny czynnik agentów niemieckich, z pewnością operujących wszędzie, usiłujących czepiać się wszystkiego, aby podniecić ferment i prowadzić do kompromitujących ekscesów, mógł być wielce niebezpieczny. Rząd ruchu młodzieży, skupiony dotąd w ręku komitetu związku stowarzyszeń akademickich litewskich, złożonego z przywódców głównych najsilniejszych organizacji studenckich z poczciwym i dzielnym Kairelisem na czele, wymykał mu się z rąk i przechodził w ręce masy i czynników nieodpowiedzialnych, działających bez żadnego kontaktu z władzami akademickimi. Kairelis był już zachwiany w pewności wpływów komitetu LSOS. Minister spraw wewnętrznych Rusteika prosił mię telefonicznie o skomunikowanie się z nim władz uniwersyteckich. Byłem u niego z Purėnasem. Bronił on policję, przesadnie wyolbrzymiał ekscesy młodzieży, podał nam cały szereg informacji nieścisłych i jednostronnych, ale sam też był dosyć zaniepokojony. W lokalach uniwersytetu ukazały się improwizowane ogłoszenia, wzywające

młodzież na wielki wiec w sali uniwersyteckiej na godzinę szóstą wieczór. Wiec był zwoływany nie wiadomo przez kogo pod hasłem protestu przeciwko akcji policji w niedzielę 31 marca i w ogłoszeniach wzywano młodzież do stawienia się „z laskami", przy czym słowa „z laskami" były podkreślone czerwonym ołówkiem. Jak się później okazało, w szeregach magazynów tego dnia zakupiono, a np. w magazynie Towarzystwa Wojenno-Ekonomicznego – wykupiono wszystkie laski, ile było na sprzedaż. Ogłoszenia zostały usunięte, ale zrobiły swoje. Hasło wiecu protestacyjnego rozeszło się po całej młodzieży i po mieście z szybkością błyskawicy i nie ulegało już wątpliwości, że uniknąć zbierania się na wiec nie będzie sposobu. Koło pierwszej zebraliśmy się w pełnym komplecie rektoratu wraz z studentem Kairelisem na naradę, aby się zdecydować co robić. Komitet organizacyjny LSOS powziął decyzję ułożenia memoriału do rządu i wystarania się o audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej. Prof. Purėnas zaprojektował ogłoszenie za moim podpisem rektorskim odezwy do młodzieży, wyrażający współczucie i sympatię dla młodzieży z okazji zajść niedzielnych z policją, zapewniający ją o przedsięwzięciu przez władze akademickie w kontakcie z kierownictwem organizacji studenckich odpowiednich kroków u rządu na rzecz sprawiedliwego zlikwidowania zajść, dalej wzywającej młodzież do spokoju i zachowania równowagi, których pogwałcenie mogłyby wypaść jeno na korzyść wrogów państwa, i wreszcie zakazującej kategorycznie zebrań i zgromadzeń samorzutnych bez zezwolenia władz akademickich. Odezwę w projekcie Purėnasa zaaprobowaliśmy i niebawem została ona we wszystkich gmachach i lokalach uniwersyteckich ogłoszona. Jednak było zupełnie jasne, że pomimo tej odezwy i formalnego zakazu zebrań samorzutnych – młodzież o godzinie szóstej się zgromadzi. Nastrój był zbyt podniecony i hasło wiecu zbyt się szeroko rozeszło i zbyt się stało popularne, aby zakaz papierowy rektoratu powstrzymał studentów od pośpieszenia na wiec, choćby przez ciekawość, a gdy się już tłum nieopanowany zgromadzi, to poradzić z nim i przekonać go chłodnymi rozumowaniami – trudno. Poza tym odezwa moja była ogłoszona już w porze obiadowej, toteż przed godziną szóstą masa studencka nie mogła się nawet z nią zapoznać. Zaś jak się później okazało – wszystkie egzemplarze tej odezwy, oprócz jednego jedynego, który był w jednym z gmachów umieszczony w witrynie pod szkłem, zostały przez niewiadomych osobników skwapliwie zdarte. Oczywiście ci, co zainicjowali wiec, jak również ci, którym chodziło o sensację i widowisko, a także wszystko, co było najgorętsze – w szczególności zaś wszyscy ci, którzy zakupili na ten wiec laski, jak później się dowiedziałem, poczynili też zapasy jajek i woreczków z piaskiem dla sypania nim w oczy policjantów (zamiast woreczków posługiwano się do chowania piasku i kieszeniami) – wszystkim tym wcale się nie chciało zaniechać wiecu i wyrzec się od razu perspektyw nowej sensacji i wszystkich ewentualności epickich z laskami, piaskiem i jajami.

7 kwietnia, rok 1935, niedziela

Znów w dalszym ciągu nawracam do krytycznego wtorku ubiegłego. Zawisło wtedy nad nami groźne widmo samorzutnego wiecu protestacyjnego studentów przeciwko policji. Tolerować spontaniczne wiece oczywiście nie mogliśmy, bo to by rozpętało żywioł anarchiczny dalszego fermentu. Wziąwszy na siebie inicjatywę likwidowania zajść w kontakcie z kierownictwem głównych organizacji studenckich, musieliśmy logicznie przeciwdziałać inicjatywie chaotycznej i żywiołowej. Musieliśmy więc w mojej odezwie rektorskiej do studentów zabronić kategorycznie wszelkich spontanicznych, bez zezwolenia zgromadzeń protestacyjnych studenckich w obrębie uniwersytetu. O zezwolenie jednak nikt z instygatorów wiecu wtorkowego do naszych władz akademickich ani myślał oczywiście się zgłaszać, a gdyby się zgłoszono, to byśmy oczywiście pozwolenia nie udzielili. Skądinąd wszakże mieliśmy pewność, że studenci na zapowiedziany wiec masowo się stawią i że moja odezwa nie zdoła przełamać chęci do wiecowania, a nawet prostej ciekawości studentów. Skorośmy zaś w odezwie kategorycznie zgromadzeń samorzutnych zabronili, musieliśmy

zapewnić i wykonanie zakazu. Trudność była tym większa, że masa studencka już się była wyłamała z kierownictwa komitetu LSOS i szła już na ten wiec samopas. Nie byliśmy pewni, czy zdołamy opanować sytuację, nie wiedzieliśmy, co z tego wyniknie, skądinąd zaś nie mogliśmy dopuścić do interwencji policji w murach uniwersyteckich, co stanowiłoby precedens bardzo ujemny i oczywiście podniosłoby nastrój protestacyjny studentów do maksimum i skierowałoby ruch na tory ekscesów nieobliczalnych. Sytuacja była trudna. Niebezpieczny był i sam wiec, i ewentualnie to, co mogłoby nastąpić po wiecu, gdy masa wiecująca młodzieży podnieconej wyleje się na ulicę. Na zebraniu rektoratu uchwaliliśmy, że na godz. 6, na którą był zapowiedziany wiec, do gmachu uniwersyteckiego (tzw. I gmach uniwersytecki na rogu ulic Mickiewicza i Donelaitisa) udadzą się prorektor prof. Česnys i prof. Purėnas dla przedsięwzięcia wszelkich środków skutecznych na rzecz zlikwidowania wiecu. Na tę samą godzinę w tymże gmachu zwołanie było posiedzenie komitetu LSOS, z którym w kontakt miał tamże wejść prof. Česnys, aby mieć jego poparcie na rzecz zlikwidowania wiecu. Jednocześnie o godz. 5 tegoż dnia miałem w „Towarzystwie Współpracy Kłajpedy z Litwą Wielką”, którego lokal mieści się vis-á-vis I gmachu uniwersyteckiego, mieć odczyt na temat „Funkcjonalne vacuum statutowe w autonomicznych Kraju Kłajpedzkim” (był to powtórzony ten sam referat, który przed paru tygodniami wygłosiłem w Rotary-Clubie), a o godz. siódmej w tymże gmachu uniwersyteckim i w tej samej sali, w której miał się odbyć zapowiedziany wiec, miałem mieć zwykły mój wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Gdym o 5 szedł na mój odczyt do Towarzystwa Kłajpedzkiego – choć to było jeszcze na godzinę przed zapowiedzianym wiecem – już widziałem liczne grupy studentów – i nie tylko studentów – zdążające do gmachu uniwersyteckiego, oczywiście na tenże wiec. Zwracało uwagę, że większość studentów szła z laskami w ręku (piasek i jaja w kieszeni, które wielu miało, oczywiście skonstatować wzrokiem było niepodobna). Grupki te szły ochoczo, w widocznym podnieceniu. Na skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Donelaitisa stało kilku policjantów. Mówiono potem, że policjanci ci mieli karabiny; sam tego nie widziałem. W czasie mego odczytu w Towarzystwie dochodziły mię kilkakrotnie z naprzeciwka z gmachu uniwersyteckiego jakieś okrzyki masowe, brawa, hałas, wołanie, owacje czy protesty tłumu. Powtarzało się to wielokrotnie w przeciągu jakiejś przeszło godziny. Hałas był taki, że nawet przeszkadzał trochę odczytowi. Byłem niespokojny, bo zdawało mi się, że zabiegi profesorów Česnysa i Purėnasa oraz studentów Korsakasa i innych z komitetu LSOS dla zlikwidowania wiecu i spokojnego rozejścia się zebranych studentów nie dały dobrych skutków, skoro okrzyki trwają tak długo, wszakże potem, ku końcowi, głosy, jakie tu ciągle dobiegały – ucichły. Debaty po odczycie moim zakończyły się koło godz. 7, kiedy mnie już był czas iść naprzeciwko do uniwersytetu na wykład, gdym wyszedł na ulicę, ujrzałem naprzeciwko gmach uniwersytetu cichy i pusty, nawet w wielkiej sali, w której odbywał się wiec i w której miałem odbyć swój wykład bieżący, zwyczajnie przed wykładem oświetlonej, bo sala zwykle się zawczasu zapełnia słuchaczami, było ciemno i martwo. Uważałem to za zły znak. Od razu wszakże, na wstępie uspokoił mię szwajcar, że wszystko się skończyło i tłum się spokojnie rozeszedł. Niebawem tu przyszedł prof. Purėnas i zdał mi pierwszą relację uspokajającą.

8 kwietnia, rok 1935, poniedziałek

Wracam znów do wtorkowego wiecu studenckiego, stanowiącego punkt kulminacyjny w zajściach tygodnia ubiegłego. Z relacji prorektora prof. Česnysa, prof. Purėnasa i studenta Kairelisa, przebieg tego wiecu, o którego zlikwidowanie nam chodziło, był następujący. Choć ogłoszenia, wzywające studentów do stawiania się najliczniejszego na wiec „z laskami”, jak było w ogłoszeniach tych podkreślone, zapowiedziały wiec na godzinę szóstą, jednak jeszcze przed piątą gmach uniwersytecki zaczął się napełniać studentami i zresztą nie tylko studentami, lecz wszelką młodzieżą, a nawet nie wyłącznie młodzieżą. Z pewnością do 50%

albo nawet przeszło 50% było obcych, wszelakiej gawiedzi, ciekawych i nie wiadomo skąd śpieszących na widowisko. Niebawem zrobiło się przepełnienie takie, że nie tylko sala, w której się przeważnie zebrali studenci, ale także korytarze, schody, przedsionek – gęsto zalał tłum. Znaczna część tłumu i wyrostków zgromadziła się też na ulicy przed gmachem uniwersyteckim, łaknąc sensacji, przez policję wszakże nie zaczepiana i nie niepokojona. O godzinie pół do piątej studenci rozpoczęli już wiec. Prorektor Česnys przyszedł przed szóstą, żeby się porozumieć z komitetem LSOS, który miał się zebrać w pokoju dawnego przedstawicielstwa studenckiego. Wiec się już był rozpoczął, ale członkowie komitetu LSOS jeszcze się nie byli zebrali. Był tylko Kairelis i paru innych. Kairelis poinformował Česnysa, że sytuacja jest trudna, bo podniecenie wiecujących – wielkie, że inicjatywa wymyka się z rąk komitetu LSOS, który dotychczas panował nad sytuacją i kierował formalnie akcją młodzieży akademickiej; że on, Kairelis, usiłował już dostać się na wiec i zabrać głos, wzywając młodzież do rozwagi i rozejścia się, ale go zagłuszono i nie dano mówić. Česnys czekał jeszcze na zebranie się członków komitetu dla wspólnego uradzenia środków działania niezwłocznego. Ale niebawem rozległ się śpiew hymnu państwowego wiecujących i Kairelis oświadczył, że zwlekać dłużej nie można, bo po odśpiewaniu hymnu zacznie się uchwalanie rezolucji wiecowych, a przeto niezbędne jest udanie się Česnysa zaraz na wiec. Purėnas pozostał, zaś Česnys z wielkim trudem, przeciskając się przez tłum gęsty, który mu jednak robił miejsce, zdołał się dostać na salę na estradę, przeczekał odśpiewania hymnu i gdy chciał zabrać głos, robiąc gest uciszenia tłumu, rozległy się... oklaski i huczne owacje. To przyjęcie gorące, którego Česnys się nie spodziewał a które świadczyło o tym, że młodzież nie straciła ani zaufania do władz akademickich, ani panowania nad sobą, dodało mu otuchy. Zaimprowizował też gorące przemówienie, w którym wyraził współczucie i uznanie dla młodzieży, trochę demagogiczne poczynił wycieczki przeciw zachowaniu się policji, zaraz też wyraził zdziwienie, że młodzież, wbrew zakazowi rektoratu, który jej sprzyja i solidaryzując się z nią w kontakcie z jej zorganizowanymi przywódcami stowarzyszeń akademickich dąży do sprawiedliwego zlikwidowania zajść i zabiega w tym kierunku u rządu, zebrała się oto na zgromadzenie nielegalne, co jest pierwszym tego rodzaju wypadkiem w kronikach naszego uniwersytetu, a nawet pozrywała odezwy rektora, wzywające do rozwagi i zakazujące zebrań spontanicznych; dotknął też strony patriotycznej, wskazując na trudną sytuację Litwy i na radość, jaka by zapanowała w pewnej wielkiej stolicy sąsiedniej (Berlinie), gdyby w Kownie doszło do większych rozruchów i zajść. W końcu swej umiejętnie zaimprowizowanej, ale demagogicznej mowy prorektor Česnys wezwał zgromadzoną młodzież do zakończenia, raczej przerwania wiecu i spokojnego rozejścia się. Przemówienie się spodobało, bo utrafiło w ton właściwy. Znów się rozległy oklaski, a jednocześnie odezwały się z sali wołania, że młodzież rozeszłaby się chętnie, ale policja, która stoi u wejścia na ulicy, nie da się rozejść spokojnie, toteż młodzież boi się rozejść i wyjść na ulicę. Prof. Česnys obiecał, że skomunikuje się zaraz telefonicznie z ministrem spraw wewnętrznych i postara się o to, aby policję usunięto sprzed gmachu i nie przeszkadzano młodzieży rozejść się spokojnie. Tymczasem jeden ze studentów zaczął czytać projekt rezolucji, który przyjęto oklaskami, choć Kairelis na to oświadczył, że komitet LSOS tej rezolucji nie przyjmuje i z nią się nie liczy, albowiem kończy już ustalać własny tekst memoriału w imieniu studentów do władz. Česnys tymczasem udał się do telefonu i nie znalazłszy ministra Rusteiki, który był akurat na posiedzeniu Gabinetu Ministrów, skomunikował się z wiceministrem Giedraitisem, który przyrzekł wycofać policję sprzed gmachu uniwersyteckiego i w ogóle usunąć większe oddziały policyjne z głównych ulic, a zwłaszcza z Laisvės Alei, aby to nie prowokowało podnieconej młodzieży i nie doprowadziło do jakichś nowych zajść, mogących tym razem przejawić się jeszcze ostrzej, niż w niedzielę, o to samo również zabiegał telefonicznie Purėnas. Rzeczywiście policja została usunięta, a przynajmniej na mieście jej nie było widać, choć pogotowie było, ale ukryte. Wiec zaczął się

rozchodzić. Młodzież i cała publika wylała się na ulice i zmieszała się z gęstym tłumem ciekawych, zgromadzonych przed uniwersytetem. Ten tłum ciekawych na ulicy, podochocony oczekiwaniem sensacji, każdym razem, gdy z wnętrza gmachu, z sali wiecowej dochodził go tumult jednej głośniejszej mowy, okrzyków, oklasków, odpowiadał na okrzyki okrzykami lub wrzawą odpowiednią. Po wyjściu z gmachu uniwersyteckiego młodzież większymi grupami i gromadkami, otoczona gawiedzią widzów, udała się przeważnie na Laisvės Aleję. Przeszła się po Laisvės Alei raz, zawróciła, czekając zapewne jakichś zabiegów policji i mając w ręku laski na ewentualne zaczepki policji, a w kieszeniach – piasek i jaja. Ale „wroga" nie ujrzała: „wróg" (policja) był nieobecny. Pochodzono więc, zapał przeminął, żaden epizod nie podniecił nerwów, nie było z kim ani o co walczyć, a potem jeszcze deszczyk pokropił i ostudził do reszty nastroje, toteż po pewnym czasie – bez żadnych zgoła ekscesów ani wypadków – młodzież, a za nią tłum gawiedzi i ciekawych rozeszły się do domów.

9 kwietnia, rok 1935, wtorek

Przerwę dziś na dzień dzisiejszy relację z zajść tygodnia ubiegłego, bo czasu mam na dziennik mało i dotknę innej kwestii. Pomówię nieco o napadzie studentów Polaków Dowgirda i Paszkiewicza (nie prezesa Zjednoczenia Paprockiego, jak mylnie przed kilku dniami w dzienniku wskazałem) na redaktora pisma humorystycznego „Kuntaplis" Tilvytisa. Nieco ciekawych informacji w tej kwestii udzielił mi pozawczoraj Eugeniusz Römer, który, jako najpoważniejszy przywódca polityczny mniejszości polskiej w kraju, właściwy kierownik jej spraw, pozostający zresztą w kontakcie bezpośrednim z Warszawą, jest doskonale o wszystkich szczegółach wszystkiego, co tu w obozie polskim zachodzi, poinformowany. Zarówno Eugeniusz i jego towarzysze nie cierpią tego odłamu radykalno-narodowego, który się szerzy wśród kowieńskiej młodzieży polskiej, działającej pod wodzą Tomasza Surwiłły, i łączącego radykalizm społeczny z nacjonalizmem o zabarwieniu irredenty polskiej, jak ci nowatorzy nie cierpią przywódców starszego pokolenia, piętnując ich mianem obszarników zacofanych, tchórzów i „ugodowców" wobec Litwy. Eugeniusz wraz z obozem starszych potępia napaść na redaktora „Kuntaplisu", choć nie dlatego oczywiście, żeby chciał przez to sympatyzować umieszczeniu w tym pisemku karykatury Piłsudskiego. Eugeniusz powiada, że takie reagowania oczywiście wszędzie się zdarzają, ale brutalnym było to, że udano się nie do redakcji, lecz do mieszkania prywatnego redaktora dla dokonania napadu. Poza tym uważa, że akt taki jest politycznie szkodliwy, przyczyniając się do nowego podrażnienia stosunków. Ale co Eugeniusza najwięcej oburza, to to, że właściwym sprawcą byli nie ci dwaj młodzieńcy, jeno emisariusz polityczny z Warszawy Stachurski, na którego rozkaz ci dwaj studenci popełnili ten akt gwałtu. Jak twierdzi Eugeniusz, Stachurski, siedzący tu pod pretekstem, że niby jest korespondentem „Gazety Polskiej" czy też „Kuriera Porannego" z Warszawy, choć żadnych korespondencji nie pisuje – istotnie jest tu nasłany przez pewne sfery młodego ruchu polskiego w Warszawie z peowiackiego obozu „Legionu Młodych", mając na celu z jednej strony szpiegowanie Katelabacha, który jest tu na wpół urzędowym przedstawicielem polskim i który bada drogi do porozumienia, a z drugiej strony Stachurski ma na celu agitowanie tu i organizowanie młodzieży w duchu ultranacjonalistycznym i zmierzającym wprost do dążeń aneksjonistycznych, usiłujących rozsadzić państwowość Litwy na rzecz Polski. Eugeniusz twierdzi, że akcja Stachurskiego prowadzi prostą drogą do wskrzeszenia ideologii spiskowej bojówek. Byłoby to więc wskrzeszenie akcji, którą w roku 1919 i 1920 prowadził tu w Kownie Wiktor Wąsowicz i która doprowadziła do procesu peowiaków. Akcję i wpływ Stachurskiego Eugeniusz uważa za zgubne i dziwi się, że go władze litewskie dotąd tolerują, choć nie mogą o tym nie wiedzieć. Stachurski operuje nie tylko wśród młodzieży akademickiej, głęboko już wstrząśniętej agitacją Surwiłły, ale sięga wprost do najmłodszych – do gimnazistów polskich, którym w głowach przewraca i, działając na ich zapalne uczucia i

budząc w nich ideologię i psychikę egzaltacji i wymarzonego bohaterstwa, prowadzi ich na tory eksperymentów nieobliczalnych, pozorowanych w szaty bohaterstwa narodowego. Ten prąd, idący z Warszawy przez Stachurskiego i pogłębiający oraz dyskontujący warcholską akcję Surwiłłowską, podszywa się także pod popularny autorytet imienia Piłsudskiego, mimo że dojrzalsze i odpowiedzialne czynniki z obozu Piłsudskiego, stojące w Polsce u władzy, są usposobione wobec Litwy iście pojednawczo i rade by znaleźć drogi porozumienia czy złagodzenia sytuacji w stosunkach z Litwą. Byłabyż to jakaś gra podwójna, płynąca z dwóch różnych źródeł, acz firmowo pokrewnych? Eugeniusz niczego by bardziej nie pragnął, jak usunięcia Stachurskiego z Litwy.

10 kwietnia, rok 1935, środa

Znowu wracam do wypadków studenckich z ubiegłego tygodnia. Zatrzymałem się pozawczoraj w relacji mojej na szczęśliwym rozwiązaniu odruchowego wiecu wtorkowego. Ani na samym wiecu, ani bezpośrednio po nim na ulicy do żadnych zajść nie doszło. Było to tym bardziej pomyślne i dobrze świadczące o zmyśle bądź co bądź karności naszej młodzieży akademickiej litewskiej, że młodzież ta była mocno podrażniona i zawczasu podniecona nastrojem wiecowym, że już inicjatywa była się faktycznie wyśliznęła z rąk komitetu Związku Litewskich Stowarzyszeń Akademickich i przeszła w ręce czynników samorzutnych i nieodpowiedzialnych, że poza tym tłum studentów wiecujących był mocno przepojony elementem z ulicy, złożonym z żądnej sensacji gawiedzi i ciekawych, wśród których nie brakło z pewnością elementów hultajskich, i że wielu studentów było uzbrojonych w laski, piasek i jaja i że tym „rycerzom” musiały swędzić ręce do „czynu”. Pomimo to wszystko tłum się dał opanować i stopniowo bez ekscesów się rozszedł. Przyczyniły się do tego trzy czynniki: a. demagogiczne przemówienie prorektora Česnysa, b. usunięcie policji z pola widzenia tłumu i c. deszczyk, który pokropił zebranych ku końcowi ich szwendania się luźnego po Laisvės Alei. Tegoż dnia jeszcze bezpośrednio po wiecu, gdym przyszedł do gmachu uniwersyteckiego i zastał salę po wiecu ciemną i pustą, kazałem zapalić w niej elektryczność i od godziny siódmej do dziewiątej odbyłem mój wykład zwyczajny prawa konstytucyjnego litewskiego, jak żeby nic nie zaszło, a po wykładzie – colloquium normalne. Nieduże wprawdzie dnia tego miałem słuchaczy, ale utrzymałem tempo zajęć akademickich powszednie. Słychać było, że późnym wieczorem zbierały się jeszcze parokrotnie większe skupienia młodzieży na ulicy przed lokalem policji, ale gdy policja nie reagowała i nie pokazywała się, a deszczyk kropił, zgromadzeni się rozeszli. Nazajutrz po podnieceniu zawiedzionych oczekiwań wiecowych wyczuwało się już wyraźnie uspokojenie młodzieży. Wszakże Kairelis i jego towarzysze z komitetu LSOS uprzedzali nas, że na tym pozornym ukojeniu umysłów zbytnio polegać nie można, młodzież bowiem czeka wyników zapowiedzianej przez rektorat i przez komitet LSOS akcji na rzecz zlikwidowania zajść i udzielenia jej pewnego minimum satysfakcji. Komitet LSOS opracował memoriał do Prezydenta Rzeczypospolitej i poprosił mię o audiencję, którą im wyznaczyłem na środę po obiedzie w mieszkaniu. Komitet przyszedł w całym komplecie z prezesem Związku LSOS Kairelisem na czele. Byli tam przywódcy następujących wpływowych korporacji i organizacji: a. „Lietuva” (voldemarasowcy), b. „Neo-Lithuania” (patentowani klasyczni narodowcy), c. tzw. „Samburis”, czyli zrzeszenie kilku większych organizacji narodowych bezpartyjnych, d. „Atsargos Karininkų Ramovė”, najbardziej dyscyplinowana, hołdująca bezwzględnym zasadom państwowości, ładu, cnót wojskowych, mająca powagę i posłuch największy wśród młodzieży i zarazem zaufanie i sympatie rządu i w szczególności Prezydenta, e. „Unitas” – zwyczajna korporacja studentów prawników, dosyć bezbarwna, której ja jestem szefem i która nie wiem jaką drogą dostała się do takich szczytów w komitecie, f. „Ateitininkų Sąjunga” – najliczniejszy związek federacyjny różnych zrzeszeń młodzieży katolickiej, pupil Chrześcijańskiej Demokracji, g. „Varpas” – stowarzyszenie

ludowców, właściwie patentowanych liberałów, i wreszcie h. kooptowany przedstawiciel młodzieży niezorganizowanej (student prawnik Juzulėnas), ten sam, który na wiecu wtorkowym wyrażał nastroje masy wiecującej i odczytywał rezolucje niedoszłe: nikt go właściwie nie wybierał i nie delegował do komitetu, który go kooptował personalnie jako wyraziciela nastrojów spontanicznych, aby je zneutralizować i poniekąd wcielić w dyscyplinę akcji komitetowej. Przyjąłem delegację, wysłuchałem relacji Kairelisa o zamierzonym memoriale i dalszej akcji, jak również prośbę wyjednania audiencji u Prezydenta Rzeczypospolitej. Podziękowałem delegacji za współdziałanie z władzami akademickimi, wyraziłem sympatię i współczucie dla młodzieży, zapewniłem, że ze swej strony poczynię zabiegi o audiencję u Prezydenta. Memoriał obiecał mi Kairelis przynieść nazajutrz. Zaznaczyłem studentom, że w sprawie audiencji u Prezydenta zwrócę się wpierw do ministra oświaty, aby dopiero za jego wiedzą i za jego aprobatą uczynić ten krok, nie wątpię zresztą o tej aprobacie. Na tym się skończyło we środę.

11 kwietnia, rok 1935, czwartek

Wracam z posiedzenia senatu akademickiego. Jest późno i na dziennik czasu dużo nie ma. Przeto choć bardzo opóźniony jestem w relacji dalszego ciągu akcji likwidacyjnej zajść studenckich sprzed dni dziesięciu, jednak odkładam tę relację do innego razu. W ogóle na ostatki przedświąteczne zawalony jestem różnymi zajęciami, które mi wytchnąć nie dają. Dziś miał miejsce jeden z ostatnich już aktów likwidacyjnych tych zajść, który oby już był ich epilogiem.

12 kwietnia, rok 1935, piątek

Przyjechali do Kowna Łotysze. Paru profesorów, wybitna artystka Opery, którą przed kilku laty widziałem i słyszałem w naszej Operze w roli Carmen, i jacyś jeszcze artyści. Przyjechali, jako goście Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej („Lietuvių Latvių Vienybės Draugija“), która urządziła wczoraj tzw. „dzień łotewski” w sali Klubu Oficerskiego „Ramovė”, na który się złożyły odczyty profesorów łotewskich, koncert łotewski i raut z wieczerzą. Poseł łotewski Sēja przy tej okazji zwrócił się w ubiegłym tygodniu do mnie, zapytując, czy z przyjazdu profesorów łotewskich nie zechciałby skorzystać nasz uniwersytet dla wysłuchania ich wykładów. Oczywiście odpowiedziałem twierdząco. Poseł Sēja wskazał mi tematy, które nam proponują do wyboru profesorowie Łotysze, spytał o język, w jakim życzylibyśmy te wykłady wysłuchać, proponując do wyboru języki niemiecki lub rosyjski, wskazał do wyboru jeden z dwóch dni na wykłady. Zapowiedziany był przyjazd prof. Berzinša, teologa i znawcy poezji ludowej łotewskiej, i prof. Balodisa, znanego archeologa, siły w świecie naukowym wybitnej. Na zwołanym przeze mnie doraźnie zebrańku rektoratu i niektórych członków senatu akademickiego wybraliśmy dla tych wykładów język rosyjski, albowiem niemiecki jest w tej chwili dla nas mniej przyjemny, dokonaliśmy wyboru zaproponowanych tematów i postanowiliśmy po wykładzie zaprosić obu profesorów na przekąskę i kawę wieczorem do mojego mieszkania, opłacając koszta przyjęcia z tzw. funduszu reprezentacyjnego naszej profesury, utworzonego z dobrowolnego opodatkowywania się członków profesury na ten cel.

Dziś właśnie te wykłady i przyjęcie się odbyły. Wszakże prof. Balodis, stanowiący większą atrakcję, z powodu choroby nie przyjechał. Zamiast niego przyjechał młodszy prof. Blesse, humanista filolog, ale podobno siła naukowa słabsza. Prof. Berzinš i prof. Blesse byli u mnie przed obiadem z wizytą, o godzinie zaś czwartej i do siódmej wygłosili wykłady w sali uniwersyteckiej. Bieda była ze słuchaczami, bo gdy już profesorowie przybyli, okazało się, że na sali nie ma ani jednego słuchacza. Zaraz wszakże Purėnas i Žemaitis rozbiegli się po korytarzach i audytoriach, zganiając zewsząd studentów. Posłano też do tzw. wielkiego gmachu uniwersyteckiego, aby napędzić stamtąd studentów humanistów. Udało się siako tako

salę zapełnić i ze znacznym opóźnieniem wprowadziliśmy profesorów na salę i rozpoczęliśmy wykład. Prof. Blesse mówił o historii tworzenia się języka literackiego litewskiego, prof. Berzinš – o idei Boga i pierwiastkach moralnych w poezji ludowej łotewskiej. Odczyty były niezbyt zajmujące i raczej publicystyczne, niż naukowe. Wieczorem u mnie odbyło się przyjęcie, zorganizowane przez prof. Purėnasa. Stoły i krzesła do jadalnego były sprowadzone z uniwersytetu, zaś jadła zimne, przyrządzone z ryb, majonezu, jaj, pomidorów itd., również wódki, woda mineralna „Birutė", kawa, krupnik, ciasta, naczynia, nakrycie i obsługa – z kursów kulinarnych. Przyjęcie udało się dobrze. Przekąski spożywaliśmy w pokoju jadalnym u stołu, kawę piliśmy w gabinecie. Obecni byli: poseł łotewski p. Sēja, sekretarz poselstwa łotewskiego, obaj profesorowie Łotysze – Berzinš i Blesse, z naszej zaś strony prorektorowie Česnys i Jodelė, sekretarz prof. Purėnas, dziekani profesorowie Jokubėnas, Krėvė-Mickiewicz, Lašys, Žemaitis i Grinkiewicz, ja, prof. Michał Biržiška i wiceprezes Towarzystwa Jedności Litewsko-Łotewskiej p. Raupis. Co prawda – [rozmowy?] było nie dużo, bo profesorowie Łotysze nie byli nazbyt ciekawi; najprzyjemniejszy i o wiele ciekawszy był poseł p. Sēja i sekretarz poselstwa.

13 kwietnia, rok 1935, sobota

Dziś miałem egzaminy studenckie, które teraz przez trzy dni odbywam, korzystając z wakacji, które nastały. Domowników moich – Jadzię z Renią i Andrzeja – odprawiłem dziś na święta wielkanocne do Bohdaniszek, sam zaś zostaję tutaj do środy. O godzinie piątej poszedłem na herbatkę proszoną do poselstwa łotewskiego. Jak zawsze – była tam przekąska i *la fourchette*, herbata, kawa, ciastka, trunki; gości było sporo. Był też ładny dział koncertowy, przeważnie śpiew. Śpiewała artystka p. Rebane, jakiś śpiewak mężczyzna, wreszcie bardzo miła i pełna niezwykłego ekspresywnego wdzięku – młodziutka panienka Berzinš, córka profesora; młodziutka blondynka w stroju ludowym, naiwna, układająca usta w śpiewie tak serdecznie naiwnie i wyraziście, jak żeby cała jej duszyczka w tych ustach się streszczała. Inny rodzaj pięknej także Łotewki, energiczniejszy i twardszy, przedstawiała córka posła Sēji, także w stroju łotewskim, ale odrębnym. Łotewki były zawsze moją pasją. Odnajduję w nich element mojej Aninki niezapomnianej, którą mi dziś zastąpiła nie mniej kochana i głęboka, choć bardzo od niej różna Jadźka moja – Litwinka. Wieczorem byłem na posiedzeniu naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem nowego gubernatora Kurkowskiego. Wałkujemy wciąż projekt ustawy wyborczej do sejmiku. Trudno idzie, bo prawie że niepodobna pogodzić trzech celów, o które chodzi: a. zgodność zasad ustawy ze statutem autonomicznym, b. uszanowanie zasady samodzielnego wyrazu woli ludności w wyborach na modłę demokratyczną i c. ustanowienie takich przepisów, które by zapewniły przewagę w sejmiku elementu państwowo-lojalnego.

Wracam znów do przebiegu zajść studenckich z ubiegłego tygodnia. We czwartek 4 kwietnia rano Kairelis wręczył mi podpisany przez wszystkich członków komitetu LSOS memoriał studentów do Prezydenta Rzeczypospolitej. Memoriał był ułożony umiarkowanie. Żądania studenckie streszczone w nim zostały do trzech punktów: a. umorzenie wszystkich incydentów i dochodzeń w przedmiocie zajść, b. przyjęcie z powrotem na służbę wszystkich tych studentów urzędników Ministerium Spraw Wewnętrznych, którzy z powodu tych zajść zostali przez ministra ze służby zwolnieni i c. usunięcie Jankowskiego ze stanowiska naczelnika policji w Kownie. Żądania te wszakże wyrażone są w memoriale w formie zupełnie dopuszczalnej. Memoriał nie „żąda" tego, byłoby to bowiem niedopuszczalne w stosunku do Prezydenta, i nawet nie „prosi" o to – tak to by mogło to wyglądać na jakąś presję, jeno wyraża opinię młodzieży, która oświadcza, że sądziłaby, żeby to było dobre („*mes manome*"), w końcu wszakże, po wypowiedzeniu tego swojego zdania podmiotowego, prosi Prezydenta o wejrzenie w sprawę i poczynienie „sprawiedliwych wniosków", to znaczy – ufna w sprawiedliwość Prezydenta – młodzież oddaje decyzję do rąk jego bez zastrzeżeń.

Kairelis mię poinformował, że ta forma ekspozycji stanowiska młodzieży, która ostatecznie została ustalona i przez wszystkich przedstawicieli grup w komitecie wraz z kooptowanym przedstawicielem młodzieży niezorganizowanej podpisana, była wszakże poprzedzona przez długie i trudne debaty. Przedstawiciele dwóch zwłaszcza ugrupowań młodzieży – voldemarasowców („Lietuva") i ludowców („Varpas") – usiłowali zaakcentować memoriał w duchu bardziej radykalnym, a nawet przez te debaty i całą akcję usiłowali przemycić do ruchu studenckiego pewne tendencje opozycyjno-polityczne. W szczególności bardzo silnie zaakcentowane były tendencje wrogiego stanowiska w stosunku do ministra spraw wewnętrznych Rusteiki, dochodzące nawet do domagania się usunięcia go ze stanowiska. Kairelis mówił, że wrogi nastrój młodzieży względem Rusteiki jest tak ostry, że gdyby komitet ogłosił tekst memoriału, to ten fakt, że memoriał nic przeciwko Rusteice nie podnosi i że w ogóle jest zbyt spokojny i umiarkowany, spowodowałby z całą pewnością wybicie szkła w witrynie ogłoszeń i podarcia memoriału jako nie odpowiadającego intencjom młodzieży. Kairelis istotnie myślał o ogłoszeniu tekstu memoriału. Odradziłem mu to robić, bo jeżeli komitet ujął akcję w swoje ręce, to powinien ją sam prowadzić, odpowiadając za swoje działanie i skutki tegoż przed organizacjami, które są w nim reprezentowane, nie zaś oddawać redakcję memoriału w ręce tłumu luźnego, tym bardziej, że zwrócenie się do Prezydenta Rzeczypospolitej nie może być dyktowane. Tegoż dnia we czwartek z tym memoriałem w ręku cały rektorat zbiorowy *in corpore* (ja, obaj prorektorowie i sekretarz uniwersytetu) udał się do ministra oświaty prof. Tonkunasa, którego poinformowaliśmy szczegółowo o całym rozwoju i przebiegu zajść. Ustaliliśmy z Tonkunasem, że się wraz z nim udamy do Prezydenta Smetony doręczyć mu memoriał studentów i udzielić mu wyjaśnień w przedmiocie tegoż oraz wyjednać u niego audiencję dla komitetu studenckiego. Nazajutrz w piątek pojechaliśmy do Prezydenta, który wyznaczył delegacji studenckiej audiencję na sobotę. Zdecydowano, abym ja jako rektor towarzyszył tej delegacji studenckiej do Prezydenta Rzeczypospolitej.

14 kwietnia, rok 1935, niedziela

O godzinie piątej po obiedzie poszedłem na herbatkę czy raczej kawę proszoną, urządzoną przez wydawców (spółka „Spaudos Fondas") i redakcję naczelną „Encyklopedii Litewskiej" z okazji zakończenia III tomu wydawnictwa. Zaproszeni byli członkowie rządu, prasa i cały szeroki zespół redaktorów działów poszczególnych i rzeszy współpracowników. Rzeczywiście wydawnictwo to, nie ustępujące takimże w krajach o wiele bogatszych i większych, pierwsze w Litwie, jest epokowym zjawiskiem kulturalnym w odrodzonym narodzie litewskim. Kawa z ciastami, jabłkami i krupnikiem miała miejsce w wielkiej sali gmachu „ateitininków". Zebrało się przeszło 100 osób, które zasiadły przy kilkunastu stołach. Kogo tam nie było! W tym wielkim dziale kulturalnym zespolili się i narodowcy rządowi, i sam rząd w osobie zwłaszcza Ministerium Oświaty, i klerykali, i ludowcy, i socjaliści – wszystkie stany, zawody i kierunki, nie braknie we wspólnej pracy nawet Żydów. Dzieło encyklopedii jest zaiste narodowe, łączące wszystkich. Wydawców reprezentował ludowiec Žygelis. Z ministrów obecny był Tonkunas i Šiling, kontroler państwowy Šakenis i kilku wiceministrów. Były przemówienia. Pierwszy przemówił redaktor naczelny encyklopedii – prof. Wacław Biržiška, w imieniu wydawców – Žygelis, obaj ministrowie, nie uniknąłem przemówienia i ja, bo moje rektorstwo zmusza mię do zabierania głosu wszędzie, gdzie się pokażę publicznie, przemawiali jeszcze: prof. Kolupaila, prof. Avižonis, p. Zofia Čurlanisowa, dziennikarz Palecki...

Z kawy encyklopedycznej udałem się na prośbę Šilinga do lokalu Gabinetu Ministrów, gdzie przez cały dzień toczyła się konferencja Mašalaitisa z Kłajpedczykami, którzy przyjechali w tym celu do Kowna – prezesem dyrektorium Bruvelaitisem, dyrektorem Instytutu Komercyjnego w Kłajpedzie Ernestem Gałwanowskim i Zygmuntem Starkusem,

który tak się zaangażował w sprawy kłajpedzkie, że pasowany już został na Kłajpedczyka i przeważnie w Kłajpedzie z ramienia Rady Stanu przebywa. Konferencja dotyczyła bardzo aktualnego obecnie zagadnienia reformy ordynacji wyborczej do sejmiku kłajpedzkiego. Kłajpedczycy nie aprobują konstrukcji wyborczej projektu, nad którym od dłuższego czasu się biedzi nasza komisja konsultantów. Wysunęli oni konstrukcję inną, opartą na listach kandydatów stanowych czy raczej kategorii zawodowych, eliminujących czynnik partii politycznych, przez które akcję wyborczą kieruje faktycznie konsulat niemiecki w Kłajpedzie. Nasz dotychczasowy projekt, nie zrywający z systemem partii politycznych, usiłował różnymi środkami sztucznymi wykluczyć z pola działania partie, mogące być posądzone o uleganie wpływom konsulatu niemieckiego. Ale to była właśnie słaba strona tego projektu, albowiem nie dawało się w tym uniknąć arbitralności presji z góry od władz litewskich i to właśnie czyniło nasz projekt nie bardzo się dającym pogodzić ze statutem autonomicznym. Konstrukcja Kłajpedczyków jest statutowo zupełnie poprawna i merytorycznie niezła, choć pewne niebezpieczeństwo polityczne w niej tkwi, ale, jak mówią Kłajpedczycy, stanowiące zło mniejsze.

15 kwietnia, rok 1935, poniedziałek

Znowu wracam do zajść studenckich sprzed paru tygodni. W sobotę 6 kwietnia udałem się z delegacją studentów (prezes LSOS Kairelis i przedstawiciele organizacji: „Samburys”, „Lietuva”, „Neo-Lithuania”, „Atsargos Karininkų Ramovė“, „Ateitininkų Sąjunga”, „Varpas”, „Unitas” – i przedstawiciel młodzieży akademickiej niezorganizowanej Juzulėnas) – na audiencję do Prezydenta Rzeczypospolitej. Prezydent Smetona wysłuchał uważnie relacji Kairelisa o zajściach i o dezyderatach młodzieży. W odpowiedzi wyraził wprawdzie współczucie dla młodzieży i uznanie dla usiłowań komitetu studenckiego utrzymać ład i łagodzić bieg wypadków, jednak stuprocentowej aprobaty studentów i stuprocentowego potępienia policji, jak by sobie życzyli przynajmniej niektórzy członkowie delegacji, nie dał. Zaznaczył, że gdy chodzi o tłum, choćby to był tłum studentów, a więc młodzieży inteligentnej i nawet najlepiej usposobionej, to ekscesy epizodyczne w zajściach muszą być zawsze domniemywane i że prawda jest zapewne pośrodku między zwaleniem całej winy na młodzież a zwaleniem jej wyłącznie na policję. Zaznaczył też trudną pozycję policji, która musi przecie wykonać rozkazy i spełnić zadania, wyznaczone jej przez władzę w zajściach z tłumem, usiłującym wykonać to, co zostało uznane za niedopuszczalne. Dla zilustrowania, jak rozbieżna jest relacja studencka od relacji policyjnej, co potwierdzać musi domniemanie, że prawda jest pośrodku, Prezydent odczytał delegacji studenckiej przedstawiony mu przez policję czy Ministerium Spraw Wewnętrznych raport o zajściach niedzielnych i wtorkowych (31 marca i 2 kwietnia). W raporcie tym naturalnie cała wina zwala się na studentów – o winach zaś policji ani słowa. Studenci słuchali pilnie słów tego raportu, robili miny zgorszone i rzucali na siebie wzajemnie spojrzenia znaczące i porozumiewawcze, a Kairelis pilnie notował w notesie szczegóły, gotując się do odpowiedzi na nie. Bardzo ciekawe i charakterystyczne było to, że gdy delegacja studencka swoją relację ustną zakończyła twierdzeniem, iż całe społeczeństwo kulturalne jest oburzone na policję, raport policji jest zakończony kubek w kubek tak samo z tą jeno różnicą, że tu już „całe” „społeczeństwo” „kulturalne” oburzone jest rzekomo nie na policję, lecz właśnie na studentów. Przechodząc do wniosków konkretnych i wzywając młodzież do umiaru i rozwagi, Smetona oświadczył, że oczywiście najlepsze będzie spuszczenie kurtyny zapomnienia na całe zajście, nie wyciągając żadnych wniosków z tego, co zaszło i nienadawania żadnych sankcji rezultatom dochodzenia, słowem – rodzaj amnestii ogólnej ze względu na to, że wszystko było raczej wynikiem nieporozumienia, niż jakiejś złej woli i że wyciąganie jakichkolwiek wniosków i dalsze grzebanie się w epizodach byłoby tylko jątrzeniem, użytecznym nie dla Litwy, lecz dla jej wrogów. To samo zastosował Prezydent do dezyderatu studenckiego o przyjęciu powrotnym

na służbę tych studentów urzędników Ministerium Spraw Wewnętrznych, którzy w związku z tymi wypadkami zostali ze służby wydaleni. Natomiast w przedmiocie usunięcia ze stanowiska naczelnika policji w Kownie Jankowskiego Prezydent uważał spełnienie tego dezyderatu młodzieży za niemożliwe i nawet samo jego stawianie za nieopatrzne, które młodzież sama powinna cofnąć. Nie tylko o to chodzi, że Jankowski jest służbistą dobrym, bardzo cenionym przez władze polityczne, który od wielu lat zajmuje te stanowisko pod rozmaitymi rządami, które się zmieniały i które wszystkie były zeń zadowolone bez względu na kierunek polityczny tychże i na metody rządzenia i że sam on jest osobiście zasłużony Litwie – były ochotnik wojskowy w obronie Niepodległości, ale też zwłaszcza dlatego, że jest nie do pomyślenia, aby rząd na żądanie młodzieży na skutek zajścia z policją usuwał nie własną decyzją, lecz jako ustępstwo wysokiego urzędnika, a jeszcze tym bardziej, że rząd żadnej winy tego urzędnika nie stwierdza.

16 kwietnia, rok 1935, wtorek

Odwiedził mię dziś wieczorem Adolf Grajewski, mój dawny przyjaciel, którego już od lat kilku nie widziałem. Z przyjemnością z nim wieczór na gawędce spędziłem, mimo że mi to w wykonaniu programu dziennego prac bieżących nieco przeszkodziło. Dla starej przyjaźni i miłej rozmowy warto coś z trybu mechanicznego poświęcić. Bądź co bądź to lepsze, niż wiele różnych mało ciekawych posiedzeń lub uroczystości, na których muszę bywać z urzędu i także czas marnować. Grajewski postarzał nieco i był dziś bez temperamentu. Lubię go jednak i zawsze mile z nim czas spędzam, a gawędzimy „*de publicis*” – o Polsce, o stosunkach polsko-litewskich, o różnych konstrukcjach Pan-Europy na rzecz rozwiązania problemu narodowego...

Na dzisiejszym obiedzie Rotary-Clubu na wniosek prezydium wybraliśmy Prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetonę prezesem honorowym klubu kowieńskiego.

Członkowie zarządu Towarzystwa Litewsko-Estońskiego – Żołkowski i Jan Vileišis – uprosili mię do wygłoszenia w Rydze odczytu na temat perspektyw Związku Bałtyckiego. Odczyt ten byłby wygłoszony na kongresie wspólnym towarzystw Litewsko-Estońskiego, Litewsko-Łotewskiego i Łotewsko-Estońskiego, który ma się odbyć w Rydze w końcu czerwca. Zgodziłem się zasadniczo. Kongres ten ma być bardzo uroczysty. Będzie pierwszym wspólnym, odtąd bowiem odbywały się takie kongresy li tylko w ramach kontaktu litewsko-łotewskiego. W czerwcu zamierzam wykonać z Jadzią i z Andrzejem wycieczkę wypoczynkową do Finlandii północnej (Laponii); zastosuję ją więc do daty kongresu ryskiego, abym wracając mógł trafić na kongres.

Stary generał (generał weterynarii) Bulota w tych dniach kończy lat 80. Niezwykły to wiek. Trzyma się wcale dobrze, bywa stale na wszystkich zebraniach publicznych, uroczystościach, obchodach, chętnie nawet wypija, bardzo często przemawia, rozczula się i przemówienia zaprawia zawsze łezką. Nie jest orłem ani zbyt wybitnym działaczem odrodzenia narodowego, ale był zawsze gorącym patriotą litewskim i ma wiele poczciwego sentymentu narodowego. 80-lecie jego urodzin będzie obchodzone. Z powodu wyjazdu na święta jeno listownie go pozdrowiłem na tę jego rocznicę niezwykłą.

17 kwietnia, rok 1935, środa

Ostatni mój dzień na wyjezdnym, a więc nudny jakiś, niedopieczony, nierówny.

Napiszę w dalszym ciągu o przebiegu zajść studenckich z początku miesiąca bieżącego. Zatrzymałem się na sobotniej 6 kwietnia audiencji u Smetony, na której byłem ja na czele delegacji studenckiej, złożonej z komitetu wykonawczego LSOS wraz z kooptowanymi przezeń przedstawicielami młodzieży niezorganizowanej. Po wysłuchaniu relacji prezesa delegacji studenta Kairelisa i poczynieniu uwag własnych, o czym już referowałem w dzienniku, Prezydent Smetona zaproponował taką metodę zlikwidowania zajść: utworzenie na

wniosek Prezydenta komisji, złożonej z ministra spraw wewnętrznych Rusteiki, ministra oświaty prof. Tonkunasa i mnie jako rektora uniwersytetu i polecenia tejże komisji rozpoznania zajść i zaprojektowania wniosków na rzecz likwidacji całej sprawy. Do wniosku Prezydenta zaproponowałem uzupełnienie, żeby do komisji tej dopuścić też prezesa delegacji studenckiej, z którą przez cały przebieg zajść władze akademickie były i działały w kontakcie i które posiada zupełne zaufanie i uznanie tychże, wobec czego byłoby pożądane, aby także w likwidowaniu zajść dać organizacji tej możność trzymania ręki na pulsie akcji, zwłaszcza, że to by mogło wpływać kojąco na młodzież całą. Prezydent nic przeciwko temu nie miał. Delegacja studencka także była za tym. Po audiencji u Prezydenta zwołałem jeszcze krótkie posiedzenie delegacji u siebie w gabinecie rektorskim, aby się zorientować we wrażeniach członków delegacji i pomówić nieco o perspektywach. U niektórych z członków delegacji wyczułem wprawdzie pewne niezadowolenie z powodu tego, że kwestia Jankowskiego została ubita, ale nietrudno mi ich było przekonać, że żądanie usunięcia naczelnika policji jest bądź co bądź wygórowane, przynajmniej jako żądanie kategoryczne, skierowane do Prezydenta, i że niepodobna było oczywiście liczyć na to, że prezydent oto od razu jednym krótkim rozkazem wyrzuci Jankowskiego na prośbę studentów i nie można mieć za złe, że Prezydent tego nie zrobił, natomiast wniosek o komisji jest bardzo dobry i racjonalny, dający rzeczywiście szanse sprawiedliwego zlikwidowania sprawy. Na tym tego dnia stanęło.

Pociągiem wieczornym w wagonie sypialnym wyjechałem dziś z Kowna do Abel. Jedzie ze mną służąca Karutė Merkytė, która już od nas odchodzi. Szkoda młodej i ładnej dziewczynki, z natury dobrej i cichej. Zakochała się po uszy w moim zeszłorocznym ogrodniku Narbucie, mało wartym osobniku, leniuchu, zakochanym w sobie i umiejącym się tylko chwalić. Narbut dostał miejsce ogrodnika miejskiego w Poniewieżu. Karutia z nim korespondowała potajemnie przez listy, na których adres był pismem maszynowym pisany, niby dla oddania służącej Mašiotów – Wandzie. Justyś Stawski tajemnicę te wykrył i Karutia przyznała mi się, że to były listy od Narbuta. Karutia odchodzi od nas, ale nie wraca do domu i nie zostaje w Kownie. Prawdopodobnie jedzie na gospodynię do Narbuta do Poniewieża. Narbut może ją oszukać, bo to blagier i człowiek płytki, podczas gdy Karutia jest głęboka. Ale żadne perswazje się nie zdadzą. Karutia jest na wszystko głucha, a miłość ją oślepia i zupełnie z równowagi wytrąca. Chodzi ona, jak zahipnotyzowana; nikogo nie słucha i nikomu nie wierzy, gdy chodzi o „niego”. Straciła głowę zupełnie. Dziecko to jeszcze, ma lat 16 czy 17, ale twarda jest w swej upartej naturze litewskiej. Jak ćma – leci na ogień swej miłości i może skrzydła boleśnie na całe życie opalić. Dziewczątka takie są głupie i mężczyzna może ich nadużyć, jeżeli sumienia nie ma. Dla mężczyzny, którego pokochały, zapominają rodziców i wyrzekają się wszystkiego. Nie ufam sumieniu Narbuta.

18 kwietnia, rok 1935, czwartek

O godz. piątej rano przyjechałem do Abel. Spotkała mię Jadźka. Przyjechał też razem z Poniewieża mój parobek Bieliunas, którego na ogrodnika sobie wyrobiłem. Był on w Poniewieżu u Józefa Stawskiego na praktyce w jego zakładzie ogrodniczym.

Droga już przeschła. Pogoda słoneczna, duży chłodny wiatr lądowy południowo-wschodni. Bieliunas z parobkami zaraz po śniadaniu posadzili u mnie drzewka dekoracyjne i owocowe, które przyszły z Poniewieża od Stawskiego. W gospodarstwie wszystko w porządku. Bydło i konie w dobrym stanie. Czeladź moja dobrze się spisuje i w ręku ekonoma dwór jest dobrze administrowany. Bez Narbuta i ochmistrzyni Żukowskiej lepiej będzie, niż było w roku ubiegłym. Narbut i Żukowska brali duże wynagrodzenie, pieścili się i nic zgoła nie robili.

Ładnie na wsi. Wiosna, dzień długi, słońce, ziemia pachnie, ptaszki śpiewają. Byłem w Gaju. Tło jeszcze zimowe, ale usiane błękitem pierwiosnków.

19 kwietnia, rok 1935, piątek

Wielki piątek. Jadzia zaczęła piec ciasta i mięso na święcone. Na razie upiekła trzy rodzaje mazurków, pieczeń cielęcą i polędwicę wieprzową w papryce. Dalszy ciąg ciast i mięsiw – jutro. W starym domu nad święconym pracuje i krząta się Helcia Mieczkowska, która przyjechała do rodziców na święta z Jezioros, gdzie od zimy ma posadę w akcji mniejszościowej polskiej, koncentrującej się tam w ręku Wojnarowskiego z Antuzowa.

Rezerwując różne wiadomości i wrażenia z Bohdaniszek do świąt – nawrócę dziś do dalszej relacji zajść studenckich z początku bieżącego miesiąca. Po audiencji mojej z delegacją studencką u Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu 6 kwietnia w sobotę parę dni następnych upłynęło bez ruchu. Wśród młodzieży nastał okres nie całkowitego wprawdzie uspokojenia, ale wyczekiwania, wszakże bądź co bądź sam bieg czasu oraz usposobienie przedświąteczne przez rozjechaniem się masowym na święta, skierowujące uwagę studentów w inną stronę, działało kojąco. Upłynęła niedziela i poniedziałek. Nikt mię nie wzywał na komisję, zapowiedzianą przez Prezydenta, i nic o tej komisji nie słyszałem. We wtorek zacząłem się informować. Przewlekanie mogło być ujemne. Kairelis i komitet LSOS też się wypowiedzieli za przyśpieszeniem akcji likwidacyjnej. We wtorek 9 kwietnia zainterpelowałem przelotnie w tej kwestii wiceministra spraw wewnętrznych Giedraitisa i ministra oświaty Tonkunasa, których spotkałem w Rotary Clubie. Wiedzieli już oni o tej komisji, bo Prezydent mówił już o niej Tonkunasowi i Rusteice, ale nic wyraźnego się od nich nie dowiedziałem. Odniosłem wrażenie, że Rusteika się ociąga, że może nie bardzo jest rad z komisji, że zbiera i przygotowuje materiał dowodowy z dochodzeń, aby w komisji móc argumentować na rzecz tez policji, że wreszcie trudno będzie uzyskać od Rusteiki zgodę na udział przedstawiciela młodzieży w komisji. Dopiero we środę za pośrednictwem Tonkunasa ułożyliśmy się zebrać w tej komisji na czwartek 11 kwietnia o godzinie 11 rano w gabinecie ministra Rusteiki. Tymczasem delegacja młodzieży, naciskana z dołu od masy studenckiej, zaczęła aktywizować sprawę likwidacyjną zajść. Udała się na audiencję do ministra Tonkunasa, zdecydowała się wreszcie prosić audiencji u ministra Rusteiki, skądinąd uważanego przez młodzież za „wroga". Dałem im kartkę do Rusteiki, prosząc, aby zechciał ich przyjąć. U Rusteiki w przedmiocie głównego i najtrudniejszego żądania swego, dotyczącego usunięcia Jankowskiego, oczywiście nic nie wskórała, ale w ogóle wrażenie z audiencji wyniosła nienajgorsze, stwierdzając, że Rusteika przyjął delegację uprzejmie i rozmawiał szczerze. Tylko paru członków delegacji już po tej audiencji krzywiło się nadal na Rusteikę. O komisji itd. – dopowiem już innego dnia.

20 kwietnia, rok 1935, sobota

Trochę się zachmurzyło, wiatr ze wschodniego zmienił kierunek na północny, ranek był zimny, ale po obiedzie temperatura się podniosła.

Prof. Regel z Ogrodu Botanicznego w Kownie przysłał mi dwie jodełki dekoracyjne, dwa modrzewie i lipkę. Jedną jodełkę i jeden modrzew dałem Jadzi do posadzenia w jej folwarku, resztę posadziłem u siebie. Cały dzień Jadzia ze służbą żeńską (Adela Jankowską, Karutią Merkisówną i Barbutią Pranckunasówną) była zajęta przygotowaniem święconego na jutro. Piekły się babki, keksy, bułki i pierogi nadziewane, gotowały się i farbowały jaja, piekły się szynka, polędwica wieprzowa, indyk. Święcone będzie na naszych domowników i czeladź obfite.

Bieliunas uwija się doskonale w ogrodzie. Urządzał inspekty, oglądał drzewka owocowe, rozsadzał krzewy porzeczek, zaglądał do pszczół. W osobie Bieliunasa, który jest bardzo czynny, pracowity, staranny i sprytny, zyskałem nabytek dla ogrodu bardzo cenny. Napraktykował się on nieźle w zakładzie ogrodniczym Stawskiego w Poniewieżu, dokąd jeszcze na praktykę wróci, i poza tym jest chętny i ruchliwy, pełny inicjatywy.

W polu bronowano. Do brony zaprzęgano też młodego konika Pajaca, nabytego przeze mnie od Maryni, który bardzo prędko się wprawił i idzie w zaprzęgu do brony dobrze.

Adela Jankowska, synowa starego lokaja Kazimierza i wdowa po zmarłym na raka Barnuku (Barnabie) Jankowskim, która jest teraz u mnie gospodynią w Bohdaniszkach czy ochmistrzynią, jest dobra, miła i bardzo charakterystyczna wieśniaczka i córka gospodarska litewska. Usposobienie ma pogodne, jest skrzętna i ruchliwa, dużo lubi gadać, ale nie jest wcale złośliwa i poza tym zna się na zabobonach i różnych przepisach sakramentalnego rytuału gospodarskiego. Posadziła dziś trzy indyczki na jajach kaczych i indyczych rasowych od Maryni. Robiła to rytualnie, w formie przepisowej. Na przykład chcąc, aby pisklęta były czubate, trzeba, żeby gospodyni, sadząc ptaki na jajkach, zaczesała włosy do góry i nałożyła sama chustkę na głowę czy też czepek...

21 kwietnia, rok 1935, niedziela

Wielkanoc. Śliczny dzień – słoneczny, ciepły, pachnący – jak latem. Wiosna w rozkwicie. Jedliśmy dużo i smacznie. Był u mnie mój chrzestny syn Piotr Janko (obecnie nazywa się Jankus) z Rudel, syn Stanisława, dawnego leśniczego Papy. Trzymałem go do chrztu w roku 1909 wespół z panną Anną Konupek, z którąśmy się kochali wtedy. Było to na wiosnę. Pamiętam dobrze... Odwiedził mię też i przywiózł smacznego piwa domowego („alus") Feliks Mackus, który bawi przez święta u swojej matki w Narkunach.

Z Poniewieża od Stawskiego przyjechał do mnie na prośbę Bieliunasa na parę dni praktykant ogrodnik, młody miły chłopiec, dla udzielenia Bieliunasowi porad i wskazówek dla mojego ogrodu.

22 kwietnia, rok 1935, poniedziałek

Dzień dziś znacznie chłodniejszy, niż wczoraj. Interesantów i gości miałem co niemiara. Większa część dnia mi na nich zeszła.

23 kwietnia, rok 1935, wtorek

Znowu dzień się powtórzył piękny, jak pozawczoraj. Wysypuje już trawka gdzieniegdzie, tylko deszczu brak. Rozpękają pączki na krzewach, już i młodsze moje drzewka niektóre – szczególnie parę kasztanów za oficyną i pseudoplatanek tamże – zaczynają z pączków wyłaniać świeże zawiązki listków. Gdyby tak Wielkanoc była o parę tygodni później, to bym trafił na najpiękniejszy czas rozwoju młodej zieleni. Okropnie lubię ten czas, a nigdy mi się nie zdarza być wtedy w Bohdaniszkach. Ładnie jest wszakże i teraz.

Trzeba mi wreszcie dokończyć w dzienniku relację ostatnich momentów zajść studenckich z początku miesiąca bieżącego. Zatrzymałem się na zebraniu komisji, utworzonej z inicjatywy Prezydenta Smetony dla likwidacji zajść. Komisja ta w osobach ministrów Rusteiki i Tonkunasa i mnie zebrała się we czwartek 11 kwietnia. Wyczerpała ona swoje zadanie w tym jednym posiedzeniu. Nie zgłębialiśmy szczegółów zajść. Zgodziliśmy się wszyscy na to, że żadnych dochodzeń ani sankcji nie będzie i że wszystko, co zaszło, będzie pokryte zapomnieniem bez ustalania winy i bez żadnych konsekwencji. Co do przyjęcia z powrotem na służbę wydalonych studentów urzędników Ministerium Spraw Wewnętrznych – Rusteika zgodził się na to w zasadzie, zastrzegając wszakże, że uczyni to nie ryczałtowo, ale indywidualnie w stosunku do każdego, który sam go o to prosić będzie i tylko po stwierdzeniu, że powodem wydalenia był wyłącznie udział w zajściach, nie zaś co innego. Co zaś do trzeciego dezyderatu studentów – usunięcia naczelnika policji Jankowskiego – Rusteika uchylił wszelką dyskusję w tej kwestii jako niedopuszczalną zasadniczo. Na tym się praca komisji skończyła. Więcej nic do zrobienia nie było. Młodzież zbyt zadowolona nie była i w każdym razie nie entuzjazmowała się rezultatami osiągniętymi. W jej pojęciu bowiem ona sama była czysta, całkowicie zaś winna była policja. Ta okoliczność przeto, że

„łaska" dotknęła niewinnych, którzy, jej zdaniem, byli właśnie ofiarą gwałtu, nie wydała się młodzieży aktem satysfakcji, natomiast w stosunku do winowajców – policji i zwłaszcza Jankowskiego – żadnych sankcji nie powzięto i nawet ich winy nie rozważano. Tegoż dnia we czwartek na tzw. „semestrze kłajpedzkim", na którym miał miejsce odczyt Tomkusa, młodzież się zgromadziła niezmiernie licznie dla zainterpelowania studenta Kairelisa jako prezesa delegacji studenckiej, prowadzącej akcję likwidowania zajść. Kairelis zreferował cały przebieg wypadków i akcji. Audytorium chwilami go przerywało i wyrażało niezadowolenie, zwłaszcza z powodu zwrócenia się delegacji do Rusteiki, ale ostatecznie żadnych protestów nie usiłowano uchwalać i wysłuchano Kairelisa do końca. Na tym się na razie skończyło. Wprawdzie nazajutrz w piątek ukazało się w I gmachu uniwersyteckim jakieś improwizowane ogłoszenie, zwołujące studentów wieczorem na wiec protestacyjny przeciwko działaniu Kairelisa, który „sprzedał sprawę studencką", ale do wiecu takiego nie doszło, bośmy zarządzili wieczorem przed godziną, wskazaną w ogłoszeniu, usunięcie studentów z lokalów gmachu i zamknięcia tegoż. Żadnych nowych usiłowań jakiegoś ruchu nie było, a właśnie nastały ferie świąteczne, większa część młodzieży się rozjechała na święta i gmachy uniwersyteckie opustoszały. Spodziewam się, że po świętach nic się już nie stanie i ferment wyczerpany się nie zaogni ponownie. Ale są naturalnie rozmaite inne fermenty i materiały zapalne, które w takim środowisku, jak młodzież, zawsze wybuchnąć jakimś płomieniem mogą.

24 kwietnia, rok 1935,środa

Znowu śliczny słoneczny ciepły dzień. Wesoło i rozkosznie w naturze. Dużo przebywam na słońcu, które mię opaliło i dodało zdrowia. Pięknie jest w moich Bohdaniszkach kochanych. Obchodzę moje drzewka, zaglądam do Gaju i do gospodareczki. Bieliunas energicznie porządkuje ogród, ekonom Pumpol posiał groch, ochmistrzyni Adela Jankowska z Barbutią Pranckunasówną krząta się i za inicjatywą własną oraz wskazówkami Jadzi „pikuje" pomidory, zasadza truskawki, sadzi indyczki na jaja, wędzi kiełbasy itd. Ruch wiosenny w pełni.

Przyjeżdżała Litka Komorowka z bawiącą u nich p. Szczęsną Geysztorówną. U Mieczkowskich – kłótnia i ciężkie zatargi nerwów między Elwirą i Stefanem. Ich współżycie to piekło.

25 kwietnia, rok 1935, czwartek

Znowu śliczny dzień. Słonecznie i ciepło. Doszło już do tego, że zrzuciłem marynarkę i chodziłem w letniej koszuli otwartej. Zupełnie jak latem. Na wieczór wszakże nieco ochłodło. Z nowinek w gospodarstwie moim są następujące: a. zaczęto siać owies, b. wykluły się pierwsze kurczątka, c. ogrodzono siatką drucianą podwórko dla kur przy ptaszniku. Bieliunas w ciągu tygodnia uporządkował mój ogród, w szczególności obcięte zostały z niepotrzebnych gałęzi i okopane wszystkie drzewka, poza tym pnie ich zostały wysmarowane mieszaniną z kredy, mąki, nawozu i gliny, gałęzie zaś opryskane odpowiednią cieczą dezynfekcyjną z rozpylacza. Poza tym porozsadzano porzeczki ze szkółki, obcięto w szkółce jabłonki zaszczepienia zeszłorocznego, zasiano pestki wisien i jabłek w szkółce. Niektóre młode drzewka dekoracyjne już rozpuszczają listki z pączków, w szczególności kasztany, brzózki, modrzewie.

U Mieczkowskich bolesna i smutna wojna domowa Stefana z Elwirą. Kłótnie ich są odwieczne i niewyczerpane. I Elwira jest ostra, i Stefan jest brutalny, znerwowany i nie panujący nad sobą. Brak pieniędzy jeszcze bardziej rozjątrza Stefana. Ma też on jakiś szczególny charakter histeryczny, który męczy jego samego i czyni go dla otoczenia nieznośnym. Zawsze był pesymistą, zawsze był skłonny do narzekania, gryzienia się, wybuchów niecierpliwości itd. Dokucza mu też to, że jest na fartuszku żony, której nie kocha.

Czuje się upokorzony i nadrabia brutalnością, a ma charakter zazdrosny, nierówny. Dziś doszło tam do wielkich scen. Stefan wyciągał rewolwer, grożąc, że się zastrzeli, Elwirę świnią nazwał. Zresztą Elwirze to nie nowina: łaja karczemnymi słowami „gówna", „dupy" i tym podobnymi. Przybiegał na skargę do mnie, niby to mnie prosząc o wstawiennictwo, aby Elwira nie płaciła zań podatku pobytowego (płaci się za jego, jako nie posiadającego obywatelstwa litewskiego, pobyt w kraju po 15 litów za kwartał), aby go choć etapem wyprawiono z Litwy do Polski, bo na wyjazd własnym kosztem nie ma środków. Skarżył się też na Elwirę, że prowokuje sama jego wybryki humoru, aby zdobyć argument coraz to nowy przeciwko niemu. W istocie jednak, zdaje się, chodzi mu nie tyle o wyjazd i o rzekome krzywdy ze strony Elwiry, ile o to, aby skargami mnie odpowiednio usposobić, przedstawić siebie w świetle ofiary, a zwłaszcza uprzedzić ewentualne skargi Elwiry. Kłótnie te są tak dla nich samych, jak dla ich dzieci ciężkie, zatruwające życie i stosunek. Znerwowanie Stefana, graniczące z obłędem i furią, jest w ostatnich czasach szczególnie podsycane jego miłością do Niuty Koziełłówny, córki Pawła z Użukrewnia, która jest w domu Mieczkowskich nauczycielką Michasia. Od flirtu i zabawy Stefan w Niucie się zakochał. Rozigrała się w nim namiętność miłości starczej. Szaleje i sam nie wie, jak do tej Niutki się zabrać. Nadskakuje jej, flirtuje, śledzi ją, lata za nią, żonę obrzydził ostatecznie i nie może jej znosić, zazdrosny jest o Andrzeja, aby Niuty nie zbałamucił, stara się więc przyśpieszyć jego wyjazd, aby się z nim Niutka po powrocie z ferii świątecznych nie spotkała, jest rozjuszony, pije, w domu sceny wyprawia.

26 kwietnia, rok 1935, piątek

U Mieczkowskich wciąż dalsze historie. Drą się i kłócą wzajemnie. Biedna Elwira, ale i on też nie jest szczęśliwy. Lepiej byłoby, żeby się wyraźnie rozstali i żeby on wyjechał. Dla gospodarstwa niby jest lepiej, że jest Stefan, że jest ręka męska i dozór. Elwira sama sił nie ma, żeby się wszystkim zajęła jedna, bo Michaś, który jest w domu, gospodarstwa nie lubi i niczym się nie zajmuje, Andrzej nie lubi go także, a zresztą tylko na wakacjach bywa, a Helcia niby jest gospodarna, lecz nie ma systematyczności i tylko doraźnie się czegoś jednego czepia, zapala i pracuje intensywnie, ale bez porządku i bez wielkiej głowy, a zresztą i ona też jest obecnie poza domem – na posadzie w Jeziorosach. Ale lepsze jest zdanie gospodarki na łaskę Boga i na słabe siły Elwiry, niż takie zamęczenie się w tym piekle stosunku między Elwirą a Stefanem. Może się to nawet źle skończyć jakimś dramatem; Elwirę to ciągłe irytowanie postarza i może do grobu wpędzić, a Stefana nerwy są tak roztargane, że mogą nie wytrzymać – może zwariować i któż wie co w napadzie furii zrobić. Marynia się cieszy, że już niebawem przeniesie się do swego nowego domu w spichrzu i już nie będzie miała tych ciągłych awantur Mieczkowskich pod samym nosem.

Helcia Mieczkowska odjechała już dziś do Jezioros. Posada, którą ona tam ma z ramienia mniejszościowej organizacji polskiej „Pochodnia", polega na zarządzaniu biblioteką popularną polską i wypożyczalnią książek oraz na udzielaniu prywatnych lekcji historii, geografii i literatury polskiej dzieciom, za co otrzymuje osobno opłatę od rodziców dzieci. Jest to *sui generis* placówka narodowa polska do czuwania nad dość głęboko tam w stronach jeziorskich zakorzenioną polskością, a raczej polonizacją, i do przeciwdziałania cichego prądom litwinizacyjnym, odzyskującym utracony stan posiadania narodowego i szerzącym się dosyć szybko, a oczywiście korzystającym szeroko z akcji państwowej i z ruchu państwowo narodowego, który dosyć intensywnie się objawia. Placówka polska, w której służbie jest Helcia Mieczkowska, funkcjonuje poniekąd pokątnie, przemycają swą akcję nauczaniem prywatnym i domowym, jednostkowym. Nie można tworzyć kompletów i nauczania zbiorowego, bo to by było traktowane jako szkółka nielegalna i naraziłoby na represje. Bezpośrednim kierownikiem tej akcji placówkowej i przez to przełożonym Helci jest Mikołaj Wojnarowski z Antuzowa, zaciekły nacjonalista i wróg histeryczny Litwinów i wszystkiego,

co litewskie, fanatyk nienawiści, człowiek małej wartości moralnej, aczkolwiek obłudnie się maskujący w faryzeuszostwo doskonałości religijnej, cnót i dobrych obyczajów. Przykre jest stanowisko Helci w atmosferze nienawiści i walki narodowej. Przykre i moim zdaniem demoralizujące jako antyspołeczne, wychowujące instynkty wilcze nacjonalizmu. Tego ostatniego momentu Helcia sobie nie uświadamia; przeciwnie – jest święcie przekonana, że akcja, której służy, jest akcją li tylko obronną przeciwko zachłanności litwinizacyjnej. Że zachłanność taka istnieje – to fakt, ale skądinąd obrona polska jest tam właściwie nie obroną rdzennej polskości, jeno obroną polonizacji, usiłowaniem zachowania jej inercji i przetworzenia biernego produktu polonizacji na czynnik świadomy i skrystalizowany polski. To się rzeczywiście robi. Ruch unaradawiający litewski znacznie już osłabił energię polonizacyjną na tych kresach litewskich, dużo też z elementu polonizującego się już odwrócił i odzyskał oraz odzyskuje nadal, ale pewna cząstka, pewien osad produktu polonizacji, choć liczebnie i rozpędowo w promieniowaniu na masy bardzo osłabiony i słabnący, utrwala się i krystalizuje w twardą i kategoryczną grupą narodową polską, świadomą i mniejszościowo zamkniętą w sobie. Do tego właśnie zmierza akcja „Pochodni”. Tak akcja litewska, jak akcja polska wspólnie z dwóch stron i przeciwnymi uderzeniami rozbijają bierną masę „tutejszą” w [powiecie] jezioroskim, mechanicznie dotąd polonizowaną lub polonizującą się, na dwie kategorie narodowe wyraźne i krystaliczne – liczniejszą litewską i mniej liczną polską. Obie wytwarzają z tej biernej masy procesów mechanicznych dwa produkty narodowe, dwie elity społeczne jak dwa jądra przeciwne, mające przyciągać dalsze koła biernych. Jest to proces społeczny ciekawy, ale tylko nie w moim duchu, zasadniczo obcy mojej naturze dwoistej litewsko-polskiej. Narastają tam Litwini i narastają Polacy, a wykonawcy tej akcji z obu stron walczą zaciekle i nienawidzą się, bo akcje ich są skierowane na ten sam materiał ludzki i są przeto konkurencyjne: komu więcej się uda przeciągnąć i pozyskać. Każdy pozyskany na tę lub na inną stronę jest stratą dla przeciwnika. Jest to atmosfera typowo kresowych stosunków w unaradawiającym się społeczeństwie, atmosfera, która w naszych stronach rakiskich nie istnieje. Analogiczny proces, ale w bez porównania słabszym napięciu przeżyliśmy tu w latach mniej więcej 1900-1914, w dobie walk między ziemiaństwem a klerem, ale tutaj był on słaby, bo masa nigdy spolonizowana nie była i elementy polskości wyrażały się znikomo słabo i powierzchownie – np. w głoszeniu Ewangelii przed kazaniem w kościołach w dwóch językach, w polskości szlachty ziemiańskiej, tworzącej rzadkie słabnące oazy; kontrakcja też polska na litwinizację, gdy się odrodzenie litewskie zaczęło, była tutaj prawie żadna i wyrażała się w najwyżej w gorszeniu się słownym i potępianiu księży „litwomanów”.

27 kwietnia, rok 1935, sobota

Mój pobyt świąteczny w Bohdaniszkach ma się ku końcowi. Jutro wyjeżdżam. Szkoda – głównie szkoda się oderwać od natury wiosennej, która na wsi i w Bohdaniszkach jest szczególnie piękna i miła. Jeszcze dwa tygodnie – i wszystko będzie w świeżej zieleni i w kwiecie.

U Mieczkowskich chociaż kłótnie wciąż trwają – są one tam chroniczne – ale jednak kryzys przeminął. Dziś już Stefan Mieczkowski mówił mi o robotach polnych, gdzie co posieje, jakiego plonu się spodziewa, co na jesieni robić zamierza, jak żeby zupełnie nie było kwestii o jego wyjeździe z Bohdaniszek. Aż mi dziwnie było, że tak prędko zapomniał, z czym do mnie pozawczoraj się zwracał, błagając mię o wpłynięcie na Elwirę na rzecz ułatwienia mu wyjazdu. Niby to zdecydowany był uciekać zaraz, jak najprędzej, byle uciec, bo już nie może wytrzymać. A dziś... mówił tak, jak osiadły tu na wieki. Jest to histeria.

28 kwietnia, rok 1935, niedziela

Wyjazd z Bohdaniszek – powrót do Kowna. Jadę całym dworem, jak jakiś pan feudalny. Wiozę ze sobą sześć osób: Jadzię, Renią Bagdonasówną, Andrzeja Mieczkowskiego, dotychczasową służącą naszą Karutię (właściwie Kastutię) Merkysównę, nową służącą Helenę i (tylko do Poniewieża – do Józefa Stawskiego na dalszą praktykę) mego nowo upieczonego ogrodnika Bieliunasa. Sam jadę II klasą, bo rektorowi tak z tytułu wypada, dwór zaś mój jedzie w klasie III; ale od Radziwiliszek jedziemy z Jadzią i Andrzejem pospołu w wagonie restauracyjnym, który jest neutralny. Wracam do Kowna opalony słońcem i wiatrami wiosennymi, zdrów. Nowa służąca nasza Helena jest dzikuską wiejską, jaką chyba tylko jeszcze w Litwie lub gdzieś w bardzo zapadłych zakątkach Europy spotkać można: nie tylko nie jechała dotąd nigdy pociągiem, ale nawet pociągu nigdy w życiu nie widziała. Rodem jest z gminy antuzowskiej, rosła w gminie dusiackiej, służyła w Antoleptach. Są to strony dalekie od kolei żelaznej, głuche cywilizacyjnie. Nie zna też światła elektrycznego. Kowno wyda się jej miastem olbrzymim, potworem wielkomiejskim, jak New-York.

29 kwietnia, rok 1935, poniedziałek

Ruszyłem z miejsca w pracę. Od rana jednym ciągiem pracowałem: wykład na II semestrze prawników, *colloquium*, posiedzenie grupy kierowniczej komitetu obchodu jubileuszu kompozytora Šimkusa, sprawy bieżące w rektoracie, wieczorem praca w domu. Maj zapowiada mi się pracowicie. Poza bieżącą pracą akademicką i rektorską – szereg aktów służby reprezentacyjnej: plenum komisji międzynarodowej współpracy intelektualnej, obchód rocznicy korporacji akademickiej polskiej „Lauda”, obchód jubileuszu Šimkusa, konferencja związku młodzieży akademickiej Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy „SELL”, opracowanie referatu na kongres litewsko-łotewsko-estoński w Rydze w czerwcu, artykuł do jednodniówki konferencyjnej „SELL” itd., itd. Ale przebiegnie pracowity maj i rychło nastanie czerwiec – wytchnienie, wycieczka wypoczynkowa na Północ...

30 kwietnia, rok 1935, wtorek

Pensja moja zmniejszyła się obecnie już o 250 litów miesięcznie w porównaniu do roku ubiegłego, natomiast rozchody nie zmniejszyły się o tyleż. Na zmniejszenie to złożyły się dwa czynniki: powiększenie stopy podatku dochodowego na rzecz zbilansowania budżetu, co wynosi 75 lt. miesięcznie, i zakup pożyczki wewnętrznej państwowej w kwocie połowy pensji miesięcznej, rozłożonej na raty w ciągu 9 miesięcy, co wynosi dla mnie miesięcznie 175 lt. Ta pożyczka państwowa, formalnie dobrowolna, jest naturalnie zamaskowanym *sui generis* opodatkowaniem. Formalnie można się na nią nie wpisywać, ale jest rodzaj przymusu moralnego; zresztą tak być powinno – jest obowiązkiem obywatelskim wesprzeć w potrzebie państwo, które jest główną podstawą naszego bytu krajowego.

Dowiedziałem się, że były gubernator Kłajpedy Navakas został już mianowany członkiem Rady Stanu. Podobno czuje się przygnębiony i pokrzywdzony. Rzeczywiście musi mu być ciężko. Skądinąd postąpiono z nim niesprawiedliwie. Dopóki był gubernatorem – nie szczędzono mu pochwał i otaczano go nimbem uznania manifestacyjnego. Gdy upadł – urzędowy „Lietuvos Aidas” nie znalazł ani słówka wzmianki przychylnej dla jego osoby. Znikł z widowni – jakby w studnię niebytu i zapomnienia zapadł. Być może, że miał pewne wady, że przez arbitralność zbytnią i szusowatość nieraz komplikował sytuację, że linia akcji jego była czasem zbyt ostra i może utrudniała nieco pozycję międzynarodową Litwy, ale bądź co bądź przecie zasadnicze wytyczne jego akcji były ustalane w kontakcie z rządem i ostatecznie sprawa litewska w Kłajpedzie niejedno zyskała na owocach jego akcji. Może w końcu stał się on personalnie zawadą do zwrotu kompromisowego, ale bądź co bądź takie radykalne wycofanie go z obiegu jako grata niepotrzebnego, bez słówka uznania, bez

wzmianki życzliwej, która się nawet umarłym nie szczędzi, jest rażąca i okrutna dla żywego człowieka, którego niedawno tak podnoszono.

Sprawa kłajpedzka się jednak komplikuje. Państwa sygnatarne przed Wielkanocą wystosowały notę do Litwy, zwracając jej uwagę na nienormalną i niezgodną ze statutem sytuację w Kłajpedzie. Sama przez się w swej treści nota ta nie jest straszna, ale wrażenie w opinii światowej czyni w każdym razie upokarzające dla Litwy, Niemcy zaś to rozdmuchują. Są też pewne oznaki jakiegoś jakby załamania w stosunkach Litwy z Niemcami, w dotychczasowej linii politycznej radykalnej, po której te stosunki kroczyły w kierunku nieprzejednania. Jakby się coś święciło. Skądinąd coś się niby gdzieś w tajnikach dyplomacji knuje na rzecz jakiegoś kontaktu z Polską. Nic wyraźnego i konkretnego namacać się nie daje, ale są jakieś pogłoski, jakieś domniemania i jest fakt, że w Genewie poseł litewski w Paryżu Klimas odwiedził polskiego ministra Becka i odbył z nim rozmowę, co jest faktem wręcz niezwykłym i dużo znaczącym. W Kownie gotuje się jakiś zjazd i konferencja dyplomatów litewskich z placówek zagranicznych.

1 maja, rok 1935, środa

Spotkałem rano na ulicy Mašalaitisa. Powiada, że wczoraj u Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się posiedzenie w sprawie aktualnej wyborów do sejmiku w Kłajpedzie. Zastanawiano się nad ostatnim projektem konstrukcji tych wyborów, zgłoszonym w kwietniu przez delegację kłajpedzką w osobach Bruvalaitisa, Ernesta Gałwanowskiego i Zygmunta Starkusa, o czym w dzienniku wspominałem. Projekt uchwalono odrzucić, kierując się tym motywem, że, krótko mówiąc, pewniejszy jest wróbel pieczony niż bażant w lesie. Projektodawcy całą swoją kombinację opierali na tym, że projekt ten wprowadzić może element neutralny i bierny tzw. „Memelländerów", którzy zastąpią obecny zdecydowanie wrogi, wojowniczy i przez konsulat niemiecki inspirowany element niemiecki albo proniemiecki. Chodziło więc o zneutralizowanie sejmiku kosztem aktywistów proniemieckich, ale może także aktywistów prolitewskich. Na posiedzeniu u prezydenta uznano, że ryzykować nie warto i że bezpiecznej jest mieć choć niewielką mniejszościową grupę aktywistów prolitewskich nawet przeciwko większości aktywistów proniemieckich, niż utopić tę większość, ale może również mniejszość wyraźną w niewyraźnym błocie „Memelländerów", na których powolność bierną zbyt liczyć nie można, bo się można na tym cielsku galaretowatym sparzyć, gdy konsulat niemiecki wleje weń energię swojej inspiracji. Co się zamierza robić dalej – nie wiem; czasu już coraz mniej zostaje. Kto wie, czy rząd nie zaniecha wszelkiego reformowania ordynacji wyborczej, albowiem wszelkie reformowanie będzie czyniło wrażenie sztuczności, która będzie wytłumaczona na niekorzyść Litwy jako manewr przeciwko autonomii, a będzie jeszcze gorzej, jeżeli pozostanie wrażenie manewru, skutku zaś dodatniego w układzie sił sejmiku się nie osiągnie. Będzie to kompromitacja podwójna. Powiedzą, że Litwa oto spekulowała samowolnie, ale tak jest w Kłajpedzie bezradna i taką ma opinię jednolitą przeciw sobie, że nawet spekulując – nic wyspekulować nie zdoła. Lepiej się więc wydało nie spekulować wcale, niż spekulować na próżno i stracić nawet to małe, co się bez spekulacji miało. Ostrożność jest konieczna zwłaszcza teraz, gdy uwaga międzynarodowa jest szczególnie na Kłajpedę zwrócona, a gra niemiecka na rzecz skompromitowania Litwy i przesądzenia sprawy kłajpedzkiej – szczególnie intensywnie rozwinięta.

O godz. piątej po południu miałem dziś posiedzenie plenarne litewskiej komisji międzynarodowej współpracy intelektualnej, której prezesem jestem. Oprócz mnie, sekretarza generalnego komisji – Soblysa – i członka zarządu prof. Galaunė, obecni byli na posiedzeniu członkowie komisji i profesorowie Wacław Biržiška, Janulaitis, Bagdonas, Raczkowski (teolog), Jakubėnas, Tadeusz Iwanowski i Balys Sruoga, przedstawiciel ministra spraw zagranicznych Bizowski, dyrektor Radiofonu Bieliunas, sekretarz generalny Ministerium

Oświaty Masiliunas, dyrektor jednego z departamentów Ministerium Spraw Zagranicznych Franciszek Dailidė, dziennikarze Kemežys, Žygelis i paru innych. W imieniu nieobecnego ministra Lozoraitisa zagaił zebranie mową Bizowski, potem wygłosiłem przemówienie sprawozdawcze ja, następnie Soblys referował o międzynarodowych instytucjach współpracy intelektualnej, następnie omówiono i przez odpowiednie rezolucje uchwalono niektóre szczegóły dalszej działalności komisji, uzupełniono skład prezydium komisji przez wybór Janulaitisa. Na tym się posiedzenie skończyło. Komisja jest teraz żywa i czynna. Jest to zasługa zwłaszcza Soblysa.

2 maja, rok 1935, czwartek

Siedziałem na obiedzie Rotary-Clubu w sąsiedztwie Zauniusa i Giedraitisa, naprzeciwko zaś miałem Żołkowskiego, Bistrasa i Merkysa. Zaszła mowa o Navakasie i wyraziłem zdanie, że postąpiono z nim okrutnie, gdy strącony z piedestału zaszczytów i glorii, jakimi go otaczano, gdy był gubernatorem, został od razu zapomniany i urzędowy „Lietuvos Aidas" nie zdobył się nawet na jakąś wzmiankę zdawkową o jego zasługach; człowieka jak szmatę zużytą rzucono w kąt – nie dając mu nawet słowa uznania. Uśmiechnął się na to gorzko Zaunius i rzekł: „Panie rektorze, gdy twój rektorat się skończy – nazajutrz ludzie na wzmiankę o imieniu twoim ze zdziwieniem będą pytali: kto to jest ten Römer? Nie słyszeliśmy nic o nim". Sąsiedzi i *vis-à-vis* moi uśmiechali się potakująco. Spostrzegłem, że wszyscy oni są byłymi ministrami lub byłymi gubernatorami. I Zaunius dodał: „My, byli ludzie, wiemy o tym". Zwłaszcza to czują Zaunius i Giedraitis, którzy jeszcze przed rokiem byli ministrami. Ale mógłbym im na to odrzec, że przecie nie wszyscy z wysokich stanowisk strąceni – są w tej sytuacji. Są bowiem ludzie i ludzie: są jedni, których jeno stanowisko zdobi i którzy po utracie stanowiska znikają, bo sami przez się są pustką; ale są też tacy, którzy sami przez się stanowią wartość i którzy bez względu na stanowisko zachowują swoją wielkość, choćby im blasku ubyło. Mam wrażenie, że jednak w pewnej mierze ja osobiście bardziej, niż Zaunius i Giedraitis, do tych drugich należę. Mam swoją wartość i zasługę, wysnutą z własnej przeszłości i nie rektorat mię stworzył społecznie, lecz właśnie z siebie samego, z mojej własnej przeszłości i wartości do rektoratu doszedłem – i tych walorów własnych nie stracę nigdy. Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego. Wśród innych różnych spraw wpłynęła na porządek dzienny także sprawa studentów Polaków Dowgirda i Paszkiewicza, który znieważyli czynnie redaktora „Kuntaplisa". Sprawę tę bardzo rozdmuchał dziennik ludowców „Lietuvos Žinios". Młodzież litewska z Wydziału Medycyny (Dowgird jest medykiem) podniosła już wobec prorektora kwestię zareagowania przeciwko Dowgirdowi. Trzeba więc było sprawę skanalizować. Formalnie należałoby ją przekazać sądowi akademickiemu. Nie zechcieliśmy jednak tego robić, bo rozprawa dyscyplinarna w tym sądzie, złożonym z przedstawicieli studentów, roznieciłaby jeno konflikt nacjonalistyczny. Uchwaliliśmy więc usunąć Dowgirda i Paszkiewicza z uniwersytetu na przeciąg czasu do początku semestru jesiennego. Jest to kara formalna, która uspokoi młodzież litewską, a jednocześnie delikwentom w ich studiach nie zaszkodzi, bo są oni z rozkazu komendanta z Kowna wysłani.

3 maja, rok 1935, piątek

Byłem na akcie uroczystym korporacji akademickiej polskiej „Lauda" z okazji siódmej rocznicy jej założenia. Była ona założona za pierwszego rektoratu mojego. Zbiegiem okoliczności zatwierdzenie tej korporacji przez senat akademicki nastąpiło w dniu 3 maja (1928), co powiązało jej tradycyjne święto rocznicy z historyczną narodową rocznicą polską Konstytucji 3 maja (1791). Korporacja „Lauda", w której się skupia bardziej zachowawcza i tradycyjnie usposobiona część młodzieży akademickiej polskiej w Kownie, utrzymuje ścisły kontakt ze starszym pokoleniem i ze społeczeństwem ziemiańskim oraz starą ziemiańską

grupą kierowniczą krajowej mniejszości polskiej. W szczególności najbliższym jej mecenasem, kierownikiem i opiekunem, który w niej jest zakochany, jest Konstanty Zyberk-Plater. Utworzył się też przy niej związek jej filistrów, do którego, prócz byłych „laudańczyków", weszli też wszyscy byli korporanci przedwojennej „Arkonii" w Rydze, zamieszkali w Litwie. Są to wszystko stare tradycyjne „żubry" ziemiańskie – niedobitki starej gwardii szlachecko-pańskiej, wychowani na tradycjach złotej ongi młodzieży „Arkanów" ryskich – dancerów i pogromców serc panienek dworskich z Litwy z końca wieku XIX i początku XX. Chociaż formalnie korporacja „Lauda" nie zerwała więzów organizacyjnych, łączących ją z ogólnoakademickim polskim stowarzyszeniem „Zjednoczenia", zachowując przepis, nakazujący każdemu „laudańczykowi" należeć do „Zjednoczenia", jednak rozdźwięk między „Laudą" a „Zjednoczeniem" jest wielki. W „Zjednoczeniu" zapanowały elementy jaskrawe, społeczno-radykalne, wrogie wpływom ziemiańskim, ostro nacjonalistyczne i zrywające z psychiką „krajowości" żubrów, elementy rozagitowane przez Tomasza Surwiłę („surwiłowcy") i kierowane organizacyjnie przez dziennikarza czy też emisariusza polskiego Stachurskiego (obaj – Surwiło i Stachurski – są w równej mierze znienawidzeni przez obóz starych i przez starą grupę przywódców). Sala jednak, w której się dziś akt „Laudy" odbywał, była pełna. Świeciło obecnością całe gremium starych przywódców (Eugeniusz Römer, Kazimierz Janczewski i inni), starzy filistrzy ex-arkońscy z czapeczkami korporacyjnymi w ręku – niektórzy z nich jeszcze zawadiacko wąsaci, acz już niedołężniejący, podparaliżowani – i sporo publiczności. Gdym był zimą na wieczorku „Zjednoczenia" – starzy przywódcy konsekwentnie świecili nieobecnością. Za to teraz nieobecni byli surwiłowcy. Byłem na akcie tylko króciutko. Wysłuchałem zagajenia prezesa korporacji, wygłoszonego zresztą dość partykularną polszczyzną, i gratulacji odczytanych z pisma. Udzielono słowa mnie; byłem jedyny gratulujący ustnie. Moje przemówienie wywołało frenetyczne i długo nie milknące oklaski. Potem uciekłem, bo nie miałem czasu. Zapraszano mię bardzo na kawę wieczorem, ale się nie wybrałem, bo i czasu nie miałem, i nie bardzo mogłem zrozumieć, gdzie to się będzie odbywało. Charakterystyczne, że gratulacji „Zjednoczenia" nie było.

O godz. szóstej byłem na posiedzeniu naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Okazało się, że ten projekt reformy wyborczej, który był przez Kłajpedczyków zaproponowany i na posiedzeniu u prezydenta przed kilku dniami, jak mię informował Mašalaitis, odrzucony, znów odżył. Na posiedzeniu u Prezydenta podjęto myśl zaprojektowania wyborów kurialnych narodowych, rozdzielając ludność na trzy kurie „narodowe", oparte na zadeklarowaniu przez mieszkańców Kraju Kłajpedzkiego swej narodowości w odpowiedniej rubryce podczas spisu ludności sprzed laty dziesięciu. Te trzy kurie byłyby: litewska, niemiecka i „Memelländerów". Jednak pomysł ten upadł wobec tego, że nie znaleziono materiału deklaracyjnego z owego spisu. Mnie się zdaje, że taka metoda kurialna, zresztą wręcz sztuczna, operująca kategorię narodową „Memelländerów", byłaby sama przez się wielce wątpliwa pod względem jej zgodności z zasadami demokratycznymi, sankcjonowanymi przez statut.

4 maja, rok 1935, sobota

We dnie roboty miałem niezbyt dużo. Rano miałem colloquium dla ekonomistów w mieszkaniu moim, koło południa byłem w rektoracie dla robót bieżących, potem pracowałem w domu do wieczora. Wieczór za to miałem zajęty uroczystością jubileuszu 30-lecia działalności społeczno-muzycznej kompozytora Stanisława Šimkusa. Wraz z dziekanem Mironasem, kapelanem głównym wojskowym, i solistą Opery Kiprasem Piotrowskim należałem do prezydium komitetu obchodu. Odbył się ładny koncert utworów Šimkusa, wykonanych przez solistów Opery, orkiestrę Opery i połączone chóry w ilości do 500 śpiewaków, po czym nastąpiły gratulacje i wręczanie jubilatowi adresów, darów i kwiatów. Wypadło naturalnie przemawiać i mnie. Nastrój był przyjemny, obchód udał się dobrze.

Šimkus, człowiek wulkaniczny, temperamentu wybuchowego i niezmiernie szczerego, był bardzo poruszony. Ma on zasługi wybitne. Nie tylko jest kompozytorem i wybitnym stylistą „dajn" ludowych, śpiewanych w całym kraju przez chóry śpiewackie i niezmiernie popularnych, ale także ma zasługi z czasów przedwojennych jako twórca chórów, z którymi objeżdżał całą Litwę i pieśniami budził uświadomienie i aktywizm narodowy Litwinów, co w warunkach ówczesnych było rzeczą wielkiej wagi, o wiele większą, niż dziś działalność niejednego męża stanu. Uchodzi też za człowieka, który jest najbardziej powołany do skomponowania opery narodowej. Niestety – jest niezamożny i rodzinę ma dużą, toteż musi zarabiać na stanowisku referenta muzycznego w Ministerium Oświaty. Wszakże jako urzędnik – „referent" – jest niemożliwy. Kłóci się z ministrami, miewa zatargi służbowe, nie umie się nagiąć do dyscypliny i służbistości urzędniczej, nie umie opanować swej natury wulkanicznej. Šimkus jest uczniem Młynarskiego w Warszawie i Naujalisa w Kownie. Jest artystą całą duszą – dzikusem sympatycznym i kochanym, wielkim dzieckiem, ale ludzkim do szpiku kości.

5 maja, rok 1935, niedziela

Dzień poświęcony Rotary-Clubowi. Jednocześnie miał dziś w Kownie miejsce „Dzień Matki" i Dzień Skautów. Ale w uroczystościach poświęconych Matce udziału nie brałem. Byłem wprawdzie jeszcze przed kilku miesiącami proszony przez kogoś z organizatorów Dnia „Matki" o napisanie jakiegoś artykuliku, poświęconego „Matce", do jakiegoś zbiorowego wydawnictwa czy jednodniówki okazyjnej, potem w końcu marca interpelowano mię o to telefonicznie i proszono dać rękopis do druku do dnia 15 kwietnia; przyrzekłem, przed 15 kwietnia napisać nie zdążyłem, ale artykulik napisałem czy wymęczyłem podczas świąt wielkanocnych w Bohdaniszkach; nikt się jednak poń nie zgłosił i artykulik niezużytkowany leży u mnie; zresztą jest on dość niewyraźny, nie bardzo mi się podoba, toteż nie żałuję, że zapewne nic z niego nie będzie; potem przed tygodniem otrzymałem za podpisem pani ministrowej Lozoraitisowej prośbę o ułożenie wzmianki o mojej Matce do radia na Dzień Matki; nie zrobiłem tego, bo czasu nie mam, a zresztą napisać o mojej Mamie do użytku publicznego – to nie jest rzecz łatwa i bagatelna; zanadto Mamę kocham i zanadto ją w sobie głęboko czuję i cenię, abym coś zdawkowego o Niej pisał. Na parę uroczystości skautowych dzisiejszych też się nie wybrałem – może pójdę do teatru jutro na jakieś przedstawienie skautowe, które ma się tam odbyć. Zadowoliłem się Rotary-Clubem, którego święto i uroczystość bezpośrednio mię jako członka obowiązuje. Był to bowiem dzisiaj wielki dzień kowieńskiego Rotary-Clubu – uroczystość doręczenia klubowi jego tytułu legalnego – jego „*charter*", to znaczy jego urzędowego aktu uznania przez władze naczelne „Rotary-International", których ogniskiem i siedzibą jest Chicago, gdzie w roku 1905 Rotary zaistniało. Na tę uroczystość naszą przyjechał wiceprezes Międzynarodówki Rotary, p. Paweł Torwal, który już był raz zimą na otwarciu formalnym naszego klubu kowieńskiego. Przyjechało też kilku gości z Rotary-Clubów Rygi i Tallinna, z żonami. Uroczystość więc doręczania „*charter*" była połączona z pewnego rodzaju manifestacją zbratania bałtyckiego „Rotary". Na naszym też gruncie kowieńskim Rotary-Club przyjął się i rozwija bardzo intensywnie. Obiady Rotary-Clubu rzeczywiście bardzo zbliżyły członków i zespoliły ich w pewną zgraną i solidarną drużynę przyjaciół. W mieście też i społeczeństwie dużo się o Rotary-Clubie mówi; stał się on popularny i budzący zainteresowanie. Bardzo wielu, którzy nie należą do klubu, gorąco pragnęłoby należeć i zazdrości tym, co są członkami; Rotary-Club, który skupia elitę ludzi bądź co bądź wybitnych i zajmujących stanowiska bardziej znaczne albo też takich, którzy w przeszłości zajmowali wysokie stanowiska, świeci imionami popularnymi i głośnymi. Toteż należenie do klubu lub przyjęcie do niego stało się rodzajem dyplomu, pasującego na pewien tytuł do elity. Bardzo wielu wzdycha do tego zaszczytu, zazdrości i po cichu cierpi nad tym, że nie trafiło do grona powołanych. Waga i

autorytet Rotary-Clubu wzrósł też przez to, że Prezydent Rzeczypospolitej Smetona przyjął tytuł prezesa honorowego klubu. Trzeba przyznać, że prezes naszego klubu, Karol Żołkowski, były minister i były gubernator Kłajpedy, a także były ludowiec (może nawet i aktualny, choć jest daleki od wszelkiego radykalizmu i opozycjonizmu) bardzo gorąco i szczerze oddany jest klubowi i bardzo umiejętnie zespół członków jednoczy i dba o jego autorytet i imię popularne.

6 maja, rok 1935, poniedziałek

Miałem dziś być w teatrze na przedstawieniu skautowym, ażeby uczcić w ten sposób święto skautów litewskich, obchodzone wczoraj i zakończone dziś w teatrze. Wczoraj być nie mogłem, toteż choć dziś chciałem zaznaczyć moje uznanie dla tego ruchu młodzieży. Ale przeoczyłem godzinę tego przedstawienia: zdawało mi się, że o pół do siódmej, aż gdym już chciał się wybrać – zajrzałem do zaproszenia i przekonałem się, że już po wszystkim.

Na wczorajszym akcie uroczystym kowieńskiego Rotary-Clubu w sali ratuszowej, pięknie ubranej świeżą zielenią palm i bzów w dużych wazonach z ogromnym herbem czy symbolem Rotary – znakiem koła, zdobiącym stół prezydialny, zebrała się publiczność doborowa. W dwóch dwurzędach krzeseł wzdłuż dwóch przeciwległych ścian sali zasiedli członkowie klubu kowieńskiego, pośrodku zaś w rzędach krzeseł frontem do prezydium – liczni goście z prezesem ministrów Tubelisem na czele i kilku innymi ministrami, również liczni członkowie korpusu dyplomatycznego, grupa rotarianów z klubu ryskiego i tallińskiego i sporo gości z wyższych sfer towarzystwa oraz pań rotaryjskich. Spodziewany był też Prezydent Rzeczypospolitej, który wszakże w ostatniej chwili zawiadomił, że przybyć nie może, ale zapowiedział swój udział w raucie wieczorem. Na estradzie u stołu prezydialnego zasiadło prezydium klubu kowieńskiego w osobach prezesa Żołkowskiego, wiceprezesa Merkysa, sekretarza Urmanasa i członka prof. Pakštasa i wiceprezes Rotary-Internacjonału – p. Thorwall. Uroczystość rozpoczął przemówieniem Żołkowski. Następnie zabrał głos Thorwall, który w toku przemówienia doręczył Żołkowskiemu „*charter*” dla klubu kowieńskiego i młotek srebrny, przechowywany w najmłodszym klubie Nadbałtyki, który będzie w ręku klubu kowieńskiego dopóty, dopóki nie powstanie nowy klub Rotary w jednym jeszcze z miast Litwy, Łotwy lub Estonii. Thorwall kilka zdań swego przemówienia odczytał wcale poprawnie po litewsku, dalej zaś przemawiał po angielsku. Następnie mowy powitalne wygłosili: prezes Klubu Ryskiego p. Celminš (były minister, burmistrz Rygi) po łotewsku i delegat klubu tallińskiego po estońsku. Pozdrowienie w imieniu litewskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej wygłosiłem też ja jako prezes tejże; nie bardzo to było potrzebne, ale mię o to uprosił poprzednio Żołkowski. Klub ryski ofiarował czasowo małą chorągiewką łotewską na postumencie, klub talliński dużą chorągiew estońską. Po czym sekretarz zreferował kilkadziesiąt depesz powitalnych od całego szeregu Rotary-Clubów różnych krajów i narodów. W ich liczbie były też depesze od kilku klubów niemieckich – z Hamburga, Drezna, Monachium, Wrocławia (dotąd kluby niemieckie nie odzywały się do nas). Z żalem stwierdziłem brak pozdrowień od klubów polskich, ale to dlatego, że nasz klub, niestety, do klubów polskich nie przesyłał zaproszeń. Smutne to, bo właściwie są to dwa narody, pomimo zatargu obecnego, najbardziej spokrewnione ze sobą związkami historii i kultury. Że też tak się ignorują i że tego uprzedzenia i uporu nawet w takich stosunkach, jak Rotary, przełamać nie mogą. Stało się to pewnego rodzaju manierą.

Po akcie uroczystym odbył się obiad wspólny Rotary w Metropolu z udziałem pań. Obiad upłynął mile. Siedziałem w towarzystwie pani Griniusowej młodej i konsula estońskiego w Rydze. Wieczorem był raut, na który nie poszedłem, przez co wykroczyłem poniekąd przeciwko dyscyplinie Rotary.

7 maja, rok 1935, wtorek

Rano wpadli do mnie Elizka Komorowska z Julkiem. Przyjechali zbiedzeni, bliscy rozpaczy. Julek, po uszy zadłużony, nie mogący już podołać, więcej niż bokami robiący, bliski już jest bankructwa. Jego upadek i utrata majątku pociągnęłaby za sobą katastrofę całej rodziny Komorowskich, bo na jego schedzie stoi dom mieszkalny kowaliski i wszystkie zabudowania dworskie. Za dług w Państwowej Kasie Oszczędnościowej w kwocie 31 000 litów, nie licząc zaległości i pen, komornik wyznaczył na sobotę opis majątku na rzecz wystawienia go na licytacji. Na razie chodzi tu o schedę, należącą formalnie do Litki i wynoszącą 112 ha, faktycznie zaś należącą w części do Julka i w części do Hektora. Część tej schedy w ilości 40 ha Julek usiłuje sprzedać z wolnej ręki, by z uzyskanych pieniędzy częściowo większe dziury w długach popłacić i nieco się podołać. Ale o sprzedaż niełatwo. Zgłaszających o kupno jest dużo, ale od zgłaszania się do dokonania sprzedaży – daleko i nie idzie to łatwo. Zachodzi obawa, że wystawienie na licytację odstręczyć może kupców z wolnej ręki i że scheda pójdzie za bezcen, a jej całej wyrwanie z majątku psułoby figurę gospodarczą całości pozostałej. Ale poza tym najbardziej się oni boją tego, że gdy inni wierzyciele (prywatni i bankowi) dowiedzą się o wystawieniu tej schedy na sprzedaż, rzucą się oni na schedę samego Julka i rozszarpią ją, nie dając mu wytchnąć, i wtedy wszystko – całe Kowaliszki – przepadnie. Chodziłem z Julkiem do dyrektora naczelnego („valdytojasa") Banku Ziemskiego Radušisa i do „valdytojasa" Kasy Oszczędnościowej Wojtkiewicza, mojego byłego ucznia. Jest nadzieja, że dokonanie opisu będzie cofnięte, a gdyby cofnięte nie zostało, to przed licytacją, która może być wyznaczona dopiero na październik, będzie można zażądać sądownie odroczenia jej na rok, w ciągu którego może się dać dokonać sprzedaży owych 40 ha z wolnej ręki. Elizka z Julkiem trochę się uspokoili. Byli oni u mnie na obiedzie, wieczór spędzili w kinie.

Miałem być dziś na balu czy raucie u ministra Lozoraitisa, wyznaczonym na godz. 10 ½ wieczorem. Bal był z okazji przyjazdu członków rządu Łotwy i Estonii na konferencję bałtycką, która się tu obecnie odbywa. Chciałem się na tę fetę wybrać, ale tak byłem zmachany całodzienną pracą i bieganiem w sprawie Komorowskich, które mię oderwało od wielu innych bieżących robót, a także głodowaniem, które mi na dzień dzisiejszy wypadło, że gdym o godz. 10 wieczorem wrócił do domu po wykładzie i colloquium litewskiego prawa konstytucyjnego, to już zrezygnowałem z „zabawy".

Miałem dziś we dnie w rektoracie posiedzenie prezydium litewskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Omawiana i ułożona została akcja kontaktu naszej komisji z komisjami łotewską, estońską i fińską w Rydze, Tallinie i Helsinkach, który mam nawiązać osobiście w czerwcu w czasie mojej wycieczki do Łotwy, Estonii i Finlandii, aby na jesień zwołać konferencję wspólną bałtycką tych komisji w Kownie. Poza tym zaprojektowaliśmy pewną akcję odczytową w aktualnych sprawach międzynarodowych, mającą być wykonaną w najbliższym czasie pod firmą Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, którego prezesem jest członek naszego prezydium Janulaitis. Towarzystwo to śpi od lat wielu. Na prelegentów upatrzyliśmy Janulaitisa i Wacława Sidzikowskiego, który świeżo został przez Sąd Apelacyjny uniewinniony w brzydkim procesie o *sui generis* łapownictwo.

Dziś czy w tych dniach ma przyjechać do Litwy adiutant Marszałka Piłsudskiego i jego osobisty mąż zaufania – Lepecki. Budzi to sensację. Skądinąd jednak twierdzą, że przyjazd ten jest ściśle prywatny.

8 maja, rok 1935, środa

Co dzień teraz pracowite dnie. Wykład rano, colloquium, rektorat, posiedzenie zarządu litewskiego towarzystwa „Pan-Europy" w osobach mnie, generała Kurkowskiego, Jana Vileišisa i Wolfa; po obiedzie – Elizka na kawie czarnej u mnie, potem mój odczyt w sekcji dziennikarzy narodowców litewskich.

Posiedzenie zarządu „Pan-Europy" zajmowało się sprawą dorocznego zgromadzenia walnego, które ma się odbyć za tydzień i sprawą delegata na kongres związku Pan-Europy w Wiedniu w d. 17 maja. Kwestia Pan-Europy w chwili obecnej jest mało aktualna i mało popularna, toteż i u nas towarzystwo to nie budzi większego zainteresowania i nie jest w stanie rozwinąć akcji czynniejszej. Raczej wegetuje i to tylko przez zabiegi generała Kurkowskiego, fantastycznie oddanego idei pan-europejskiej i wiernego adepta Coudenhove-Kalergi. Gdyby nie Kurkowski – towarzystwo nasze by zamarło. Obecnie aktualne są raczej związki regionalne, niż Pan-Europa, w szczególności zaś u nas – Związek Bałtycki, pakt wschodni, układ stosunków między Niemcami, Polską, Francją, Sowietami itd. Pan-Europą, której idee i akcja przeżywa kryzys, nikt się nie interesuje. Trudno też znaleźć amatora do udania się na kongres do Wiednia – kosztem własnym. Obecny na posiedzeniu kandydat do zarządu – przemysłowiec Wolf (Żyd) – zaprojektował urządzenie po walnym zebraniu pikniku towarzyskiego członków towarzystwa – wycieczki majówkowej z herbatką do Poniemunia, na wzór podobnych wycieczek stowarzyszonych w Niemczech. Wątpię, żeby się to udało. Na zebraniu sekcji dziennikarzy narodowców w sali „Pažangi" wygłosiłem odczyt na temat: „Statutowe vacuum funkcjonalne w Kłajpedzie". Do wygłoszenia tego odczytu zaangażował mię mój były uczeń – członek redakcji „Lietuvos Aidas" Kemežys. Łatwo mi było się zgodzić, bo odczyt ten wygłaszam po raz trzeci, w Rotary-Clubie i w Towarzystwie Współpracy Kulturalnej Małej Litwy z Wielką, a w tę niedzielę mam go jeszcze powtórzyć na tzw. „Semestrze Kłajpedzkim" w uniwersytecie. Wygłaszam ten odczyt z pamięci jak z nut – bez tekstu ułożonego. Sekcja dziennikarzy narodowców jest nieliczna, składa się niemal wyłącznie ze współpracowników i redaktorów „Lietuvos Aidasu". Audytorium moje składało się z 10 osób. Ze znanych mi byli wśród zebranych: redaktor naczelny Atlantas, redaktorowie oddziałów Kemežys i Aleksandrowicz. Odczyt miał powodzenie, jest ciekawy.

W sprawie Komorowskich jest gorzej, niż się wczoraj zdawało. Elizka i Julek nie wyjechali. Okazało się, że Państwowa Kasa Oszczędnościowa nie zgodziła się na cofnięcie opisu schedy Litki albo raczej zgodziła się o tyle, o ile niszczone będą zaległości, które się nagromadziły, ale ponieważ zaległości wynoszą do 3 000 litów, pieniędzy zaś Komorowscy nie mają i zdobyć takiej sumy nie są w stanie, więc to się równa odmowie. Sam przez się opis nie byłby straszny, bo licytacja byłaby wyznaczona na październik i zdaje się, że przed licytacją można byłoby uzyskać sądownie odroczenie licytacji na rok, co dałoby możność sprzedaży w tym czasie z wolnej ręki 40 ha z tej schedy i to by zażegnało niebezpieczeństwo. Ale Komorowscy nie są pewni dojścia sprzedaży do skutku, bo z tym jest trudno, a poza tym boją się zwłaszcza rzucenia się na Kowaliszki wszystkich wierzycieli Julka, zaalarmowanych wystawianiem na licytację części majątku. Mam iść z Elizką do Tubelisa, u którego Elizka ma szukać ratunku. Bieda Komorowskich bardzo mię męczy i nerwuje, poza tym te zabiegi mię odrywają od pracy, co w nawale tejże jest dla mnie szczególnie ciężkie. Elizka też jest bardzo znerwowana, choć nadrabia miną.

9 maja, rok 1935, czwartek

Nie mam czasu na dziennik. Bardzo szkoda, bo miałbym dużo ciekawego do napisania.

10 maja, rok 1935, piątek

Z Bohdaniszek była przykra wiadomość, że mój parobek (człowiek niezły, ale wielki niedołęga, przed wojną, przed laty 25-30, był przez kilka lat furmanem w Bohdaniszkach u Papy) Wincenty Pranckunas, pracując w sieczkarni – uległ nieszczęśliwemu wypadkowi: nóż sieczkarni odciął mu na trzy cale długości trzy palce i skaleczył dłoń drugiej ręki. Wiadomość ta, podana w liście Elwiry do Andrzeja, bardzo mię zaalarmowała i poruszyła. Ale po obiedzie przyszedł list od ekonoma, który nieco mniej tragicznie ten wypadek opisuje. Bądź co bądź kalectwo jest ciężkie.

Byłem z Elizką Komorowską w sprawie ratowania Kowaliszek u Tubelisa. 1 ½ godziny trzeba było czekać bezczynnie, bo Tubelis, wieczny maruda, spóźnił się, ale za to sama audiencja trwała zaledwie kilka minut. Tubelis przyjął nas bardzo mile i serdecznie i od razu bez żadnych ceregieli zapewnił kategorycznie, że opis Kowaliszek na licytację będzie odroczony do jesieni stosownie do życzenia Komorowskich, aby dać im możność bądź sprzedać część ziemi z wolnej ręki bądź zebrać pieniądze na nadpłatę zaległości. Elizka była ucieszona. Tubelis w ogóle zawsze jest bardzo ludzki i skłonny do czynienia ułatwień gospodarczych ludziom wtedy, kiedy można stwierdzić nie zaniedbanie i hultajstwo, jeno ciężkie okoliczności i warunki. Tubelis miły jest też przez to, że nie ma w nim nic z napuszoności dygnitarza i z ceremonialności chińsko-mandaryńskiej, jaką ma bardzo wielu ludzi na wysokich stanowiskach rządzących. Tubelis nie jest orłem, ale ma zdrowy gospodarski rozum praktyczny i rządzi gospodarką państwową oraz społeczną jak dobry gospodarz folwarkiem. Ostatecznie wszystkie instytucje kredytowe, jak Bank Litewski, Bank Ziemski, Państwowa Kasa Oszczędnościowa itd. – nawet banki prywatne poniekąd, jak również wielkie społeczno-gospodarcze firmy i organizacje handlowo-ekspertowe – Maistas, Lietukis itd. itd. – są u nas związane z państwem i ulegają dyrektywom i akcji regulacyjnej władz państwowych, koncentrujących się w dużym stopniu w ręku Tubelisa jako ministra finansów.

Mam wszakże do zanotowania w dzienniku inną sprawę, której waga może być wielkiej doniosłości państwowej. Wczoraj rano podczas wykładu mego otrzymałem wezwanie na posiedzenie specjalne do Rady Stanu. Oczywiście w sprawie wyborów kłajpedzkich. Pośpieszyłem. Na posiedzeniu obecni byli z ramienia Rady Stanu: Šiling, Bolesław Masiulis, Zaunius, Navakas, Papečkys, Kriwicki i Konstanty Raczkowski oraz z naszej komisji konsultantów Mašalaitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Okazało się, że dnia poprzedniego Rada Stanu rozpoznawała różne warianty projektów ordynacji wyborczej do sejmiku, które były poprzednio układane i debatowane w naszej komisji konsultantów: a. pierwotny projekt redakcji Mašalaitisa systemu mażorytarnego w ramach listy kandydatów, ułożonej arbitralnie przez pewną z góry mianowaną komisję; b. projekt systemu proporcjonalnego w konkurencji list, zgłoszonych przez stronnictwa polityczne, z góry w tym celu rejestrowane przez specjalny urząd rejestracyjny z wielkim i ścisłym zastrzeżeniem lojalności tych stronnictw, usuwającym wszystkie stronnictwa nieprawomyślne i prawie że eliminującym możność ukazania się list niemieckich, choćby z daleka i pośrednio tchnących podejrzeniem o nielojalności; c. projekt Kłajpedczyków Bruvelaitisa i Gałwanowskiego, oparty na listach organizacji zawodowych. Rada stwierdziła, że wszystkie te projekty mają te wadę wspólną, że ujawniają sztuczność konstrukcji i budzą różne wątpliwości pod względem ich uzgodnienia ze statutem kłajpedzkim. Przyjęcie każdego z tych projektów będzie czyniło wrażenie, że został on skomponowany *ad hoc* dla pewnego rodzaju sfałszowania wyborów, co będzie przez sygnatariuszy źle widziane, poza tym każdy ma jaskrawe braki i usterki legalności statutowej, wreszcie, wreszcie żaden nie gwarantuje istotnie dodatniego rezultatu. Byłaby to jakaś łatanina niedołężna, zarazem kompromitująca i w istocie bezcelowa. Rada rozważyła i inne jeszcze pomysły, które były podnoszone, jak np. pomysł prezydenta Smetony o systemie trzech kurii narodowych (Litwinów, Niemców i „Memelländerów"), oparty na spisie ludności z roku 1924 czy 1925, ale technicznie niewykonalny ze względu na brak autentycznych deklaracji tego spisu, gdzieś zgubionych i bez których nie ma sposobu rozsegregować ludność na kurie odpowiednie (robienie *ad hoc* nowego katastru jest niemożliwe tak ze względu na brak czasu, jak ze względu na to, że ujawniony cel tegoż spowodowałby nieobliczalne i zgoła nowe kombinacje rozsegregowania się. Było jeszcze parę innych niezłych pomysłów kombinacyjnych Raczkowskiego, zapożyczonych bądź z włoskiego systemu Acerbo, bądź z systemu kandydatur jednoimiennych.

11 maja, rok 1935, sobota

Toteż Rada Stanu na swoim posiedzeniu środowym stwierdziła, że wszystkie zgłoszone projekty i pomysły reformy wyborczej do sejmiku w Kłajpedzie są złe już to dlatego, że nie są w stanie zapewnić Litwinom i państwowości lepsze rezultaty wyborów niż dotąd już dlatego, że zawierają one przepisy, które się trudno dają albo zgoła nie dają uzgodnić ze statutem autonomicznym i przeto narażają Litwę na odpowiedzialność i kompromitację międzynarodową, już wreszcie dlatego, że wszystkie one są jawnie sztuczne, kombinacyjne, czyniące ujemne wrażenie niedołężnej sztuki kruczkowatej, wymyślonej umyślnie na sfałszowanie wyborów i nawet pomimo to nie osiągającej zamierzonego skutku, co jeszcze bardziej szkodziłoby Litwie i dałoby jeno triumf Niemcom, mogącym się powołać na to, że oto żadne środki nie są w stanie przełamać oczywistej orientacji niemieckiej i charakteru niemieckiego Kłajpedy i mieszkańców jej terytorium. Po stwierdzeniu tego Rada zaczęła się skłaniać do zarekomendowania rządowi utrzymania obecnej ordynacji wyborczej do sejmiku, która, acz niedoskonała i zapewniająca zwycięstwo politycznym elementom niemieckim, kierowanym przez konsulat niemiecki w Kłajpedzie, w każdym razie jest wypróbowana i bądź co bądź Litwinom pewną mniejszość w sejmiku zapewnia. Poza tym sam fakt utrzymania dotychczasowej ordynacji wyborczej wskazywałby sygnatariuszom na lojalność Litwy, która, rozwiązując obecny kryzys sejmikowy, żadnych spekulacji kombinacyjnych *ad hoc* nie robi i idzie drogą otwartą i prostą, nie forsując niczego. Chodziłoby tylko o to, żeby uzupełnić przepisy o unieważnieniu kandydatur takich ludzi, których dotknęły przepisy ustawy o bezpieczeństwie narodu i państwa i którzy się w ten czy inny sposób skompromitowali w stosunku do akcji nacjonalsocjalistycznej Sassa, Neumanna i innych. Do tego wniosku pesymistycznego i rezygnującego z usiłowań Rada Stanu już się skłaniała, gdy w tym w toku debat wypłynął spontanicznie – z inicjatywy, zdaje się, byłego gubernatora i obecnie członka Rady Stanu Navakasa – pomysł zupełnie nowy, bardzo śmiały, prawie że rewolucjonizujący cały układ stosunków państwowych, bardzo śmiały i zastygły w prowizorium od czasu przewrotów z lat 1926 i 1927 i konstytucji z roku 1928. Chodzi o to, ze projektując rozmaite nowe ordynacje wyborcze do sejmiku kłajpedzkiego łączono je zawsze z równoległym ogłoszeniem takiejże ogólnej ustawy wyborczej do Sejmu państwowego dla zatarcia wrażenia, że reforma wyborcza jest aktem spekulacyjnym dla oddziałania specjalnie na wybory do sejmiku i dla zachowania pozoru, że, jak zawsze było dotąd i jak to odpowiada zasadom statutu kłajpedzkiego, wybory do sejmiku są wzorowe na wyborach do Sejmu. Ale jednocześnie domniemywało się, że ustawa o wyborach do Sejmu, będąc ogłoszona równolegle do nowej ustawy o wyborach do sejmiku, pozostanie li tylko reformą i aktem papierowym, to znaczy same wybory do Sejmu ogłoszone nie będą i w stosunku do Sejmu pozostanie nadal stan próżni. Oczywiście w takich warunkach ogłoszenie tej ustawy wyborczej do Sejmu, pozostawionej bez wykonania, nie bardzo zatrze wrażenie słuszności reformy wyborczej do sejmiku. Wszystkim będzie jasne, że ustawa wyborcza do Sejmu jest tylko markowaniem pozornym, pewnego rodzaju oszukaństwem czy obłudą i że w istocie chodziło tylko o oddziałanie na wybory *ad hoc* do sejmiku. Otóż podniesiono w Radzie Stanu myśl, że zgoła inny byłby efekt, gdyby nie tylko wydano te dwie ustawy równoległe, pozostawiając jedną z nich – sejmową – na papierze bez wykonania, ale gdyby też istotnie jednocześnie z wyborami do sejmiku dokonano wyborów do Sejmu. Wtedy efekt byłby zgoła inny – tak na zagranicę, jak w kraju. Społeczeństwo krajowe byłoby zelektryzowane nowym prądem ożywczym odzyskania Sejmu, którego brak bezwzględny czyni cały ustrój obecny jakimś prowizorycznym, nie wykrystalizowanym i doczesnym. W stosunku do Kłajpedy zniknąłby zapaszek spekulacji obłudnej *ad hoc* i nielojalności (*mala fides*) i przez to sama taka lub inna reforma w Kłajpedzie, gdyby się zbiegła z ogólną reformą państwową, stopiłaby się z nią i w niej utonęła jak w zjawisku wielkim, zasadniczym i normalnym. Przez pryzmat tej reformy, ogólnopaństwowej i wielkiej, uszłoby niejedno z tego, co w innym razie, gdyby

chodziło o spekulację reformą li tylko *ad hoc* dla Kłajpedy, mogłoby budzić poważniejsze wątpliwości legalności statutowej i narazić Litwę na zarzut rozmyślnego gwałcenia statutu i autonomii dla doraźnych celów politycznych. Tak rozumowano.

12 maja, rok 1935, niedziela

Dziś miałem jedną tylko robotę za domem: o godzinie czwartej u p. prezydentowej posiedzenie prezydium odwiecznego Komitetu Pomocy Litwie Północnej z roku 1929. Jak zawsze – zbieramy się kilka razy do roku i obmyślamy, co zrobić z pozostałością pieniędzy, zebranych ze składek na rzecz pomocy ofiarom nieurodzaju ówczesnego. Pozostałość ta stanowi piękny kapitał 300 000 litów. Chętnych pretendentów do spadku niemało. Zebraliśmy się w komplecie: p. prezydentowa, ksiądz Mironas, adwokat Toliušis, dyrektor Lapėnas, Zygmunt Starkus, dziennikarz Aleksandrowicz i ja; obecny też był minister oświaty prof. Tonkunas. Decydujemy się na udzielenie pieniędzy na rzecz założenia kurortu źródeł mineralnych w Birżach czy też pod Birżami. Ale do wykonania to jeszcze daleko. Tworzy się już tam spółka do założenia kurortu, trzeba jeszcze zbadać dokładnie warunki gospodarcze przedsięwzięcia i źródeł mineralnych, poza tym potrzebna będzie jeszcze sankcja plenum komitetu. Na prośbę Tonkunasa, jako prezesa Komitetu Muzeum Witolda Wielkiego w Kownie postanowiono udzielić temu komitetowi na wykończenie budowy muzeum pożyczkę dwuletnią w kwocie 100 000 litów.

O godzinie szóstej miał się odbyć mój odczyt publiczny dla studentów na tzw. „Semestrze Kłajpedzkim" na nieśmiertelny mój temat „Funkcjonalne vacuum statutowe w Kłajpedzie". Widocznie jednak coś przeszkodziło urządzeniu odczytu, bo nie ukazały się o nim żadne ogłoszenia, a gdym się udał do uniwersytetu – zastałem tam pustkę. Nie było ani organizatorów, ani publiki, a w sali, gdzie się on miał odbyć, odbywał się jakiś odczyt prof. Czapińskiego, nie mający nic wspólnego z „Semestrem Kłajpedzkim". Były też dziś dwie uroczystości jubileuszowe korporacji studenckich – korporacji żeńskiej „Filiae Samogitiae" i korporacji „Vytautas", należący do Związku „Ateitininków". Posłałem obydwom pozdrowienia na piśmie. Poza tym miały miejsce jakieś uroczystości strażackie, na które byłem zaproszony i otwarcie Muzeum Sztuki Kościelnej w obecności prezydenta Smetony, ale na żadne z nich się nie wybrałem.

A teraz kilka słów dalej o pomyśle Rady Stanu w przedmiocie wyborów do Sejmu i sejmiku. Na posiedzeniu Rady we środę z entuzjazmem przyjęto myśl powiązania wyborów do sejmiku kłajpedzkiego z efektywnym dokonaniem wyborów do Sejmu państwowego, reformując jednostajnie system obojga wyborów. System wyborczy pomyślano mniej więcej w stylu włoskim reformy faszystowskiej. W ogólnych zarysach byłby on taki. Projekt pierwotnej listy kandydatów byłby ułożony z kandydatów, zgłoszonych przez samorządy lokalne i przez związki i organizacje samorządowe funkcjonalno-zawodowe, jak Izba Rolnicza, Izba Handlu i Przemysłu, Izba Pracy i analogiczne organizacje kłajpedskie, także ewentualnie przez pewne związki i stowarzyszenia, którym zostanie udzielony patent użyteczności publicznej. Z tej pierwotnej listy kandydatów specjalna rada, stanowiąca „elitę" społeczeństwa na wzór mniej więcej Wielkiej Rady Faszystów i złożona z ludzi bądź mianowanych, bądź wchodzących do niej *ex officio*, dokonałaby selekcji i ustaliła listę ostateczną do głosowania. Tu wchodzą w grę dwa warianty. Podług jednego, bardziej zbliżonego do ustawy faszystowskiej włoskiej, lista kandydatów ostateczna, ustalona przez radę drogą selekcji z pierwotnej, zawierałaby dokładnie taką ilość kandydatów, jaka ma być ilość posłów i ta lista zostałaby oddana pod głosowanie plebiscytowe na rzecz bądź jej przyjęcia *en bloc*, bądź *en bloc* odrzucenia. Byłby to więc specymen demokracji plebiscytowej, zbliżonej do dewizy cezarystycznej: „*l'autorité vient d'en haut, la confiance*

vient d'en bas"[20]. Wszakże w wypadku odrzucenia listy *en bloc* – nastąpiłyby subsydiarne wybory na zasadzie systemu proporcjonalnego z ewentualnymi modyfikacjami i poprawkami do obmyślenia. Podług drugiego wariantu, lista ostateczna, ułożona przez radę, zawierałaby większą ilość kandydatów, niż ma być wybrana posłów – na przykład podwójną lub potrójną – i następnie z tej listy, drogą już wyborów, nie zaś plebiscytu, trybem mażorytarnym zostaliby wybrani posłowie. Takie były pomysły, które się wyłoniły na posiedzeniu Rady Stanu we środę. Dla omówienia i poddania ich próbie dyskusji ponownej Šiling zwołał we czwartek rano drugie posiedzenie, na które prócz członków Rady z dnia poprzedniego, zaprosił, jakem mówił, nas z komisji konsultantów: Mašalaitisa, Tadeusza Pietkiewicza i mnie. Chodziło zwłaszcza o rozważenie legalności statutowej tych pomysłów. O tym do innego razu.

13 maja, rok 1935, poniedziałek

Umarł Józef Piłsudski. Prawie nieprawdopodobne, choć się przecie wiedziało, że już bardzo postarzał, że się posunął niezmiernie. Widziało się to już na jego podobiznach z ostatnich lat paru, słyszało się od tych, którym się go widzieć zdarzyło w tych czasach. Ostatnio młody Narutowicz (syn Stanisława), który po powrocie z Warszawy był u mnie, na moje pytanie, czy się nie widział z Piłsudskim, mówił mi, że Piłsudski jest już prawie niewidzialny i że stał się w Polsce prawie że mumią czy relikwią żywą, zakonserwowaną w Belwederze, w imię której wszystko się robi i która jeszcze wszystko dzierży imieniem swoim, ale z którą już kontakt społeczny fizycznie jest prawie zerwany. Umarł Piłsudski wczoraj późnym wieczorem. Umarł w wieku lat 68 z ciężkiej choroby raka żołądka i wątroby. Co mówić o tej śmierci i o tym człowieku? Jest on ponad wszelkie słowa. Cokolwiek by się o jego dziele i o różnych szczegółach jego niezwykłego czynu życia powiedzieć dało – stwierdzić należy jedno: był Wielki. Boli mię tylko to, że Józef Piłsudski – ten wielki i piękny – ten w istocie swojej Litwin, w którym geniusz litewski rozkwitł jak w Witoldzie – był bezpośrednim sprawcą rozdarcia Litwy i jej kalectwa nieszczęsnego i tego swojej wielkiej myśli zwichnięcia naprawić już nie zdołał.

Z radia polskiego, które dziś poświęcone jest wyłącznie Piłsudskiemu i żałobie po nim, biorę jeszcze cytatę ze słów Piłsudskiego: „Zwyciężeni, którzy nie ulegną, będą zwycięzcami". Takim był Piłsudski i tym zwyciężył. I to jest właśnie bodaj najbardziej litewskie w tym wielkim synu historycznej Litwy szlachecko-pańskiej. Ale to także właśnie jest słowem testamentu Piłsudskiego dla Litwy. Litwa odrodzona, która odzyskała siebie i poza którą Piłsudski pozostał, nie ma w sobie równego jemu. Był on kwiatem Litwy najpiękniejszym, ale dla niej straconym, na eksport zabranym, kwiatem, do którego nam tylko tęsknić wolno. Ale to, co się w Piłsudskim streściło i dało syntezę wielką, to jest rozlane elementarnie w ludności narodowej litewskiej, a nawet w Polakach litewskich. Mamy tu w sobie, w masie ludzi naszych, te same pierwiastki elementarne, które się złożyły na wielkość Piłsudskiego. Małych niedorosłych Piłsudskich mamy legion, mamy w sobie zarody jego wielkości i co prawie każdy nasz Litwin albo co któryś Litwin – jest z ducha embrionem wielkiego Piłsudskiego. Wytworzy więc Litwa z siebie, da Pan Bóg, takichże jak on albo bliskich mu – synów dla siebie. Nie indywidualny rozwinięty i streszczony świadomie Piłsudski Wielki, ale Piłsudski zbiorowy drzemie w Litwie, zanim się wykrystalizuje w kwiatach bohaterów osobistych. I ten właśnie Piłsudski zbiorowy w stosunku państwowym i społecznym Litwy do Wilna, stosunku dla Polski i świata niepojętym i dziwacznym, wyraża doskonale słowa Pierwszego Marszałka Polski – zmarłego Wielkiego Litwina Józefa Piłsudskiegi: „Zwyciężeni, którzy nie ulegną, będą zwycięzcami". Czy będą „zwycięzcami", czy „zwyciężą" – to zobaczymy już zapewne nie my, lecz ci, co przyjdą po nas, ale

[20] Władza pochodzi od góry, od dołu przychodzi zaufanie (fr.).

tymczasem Litwa jest w swoim stosunku do Wilna tą właśnie podług słów i zalecenia mądrości szalonej Piłsudskiego – „zwyciężoną, która nie uległa".

Przyjechał do Kowna chór akademicki męski Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze. Rano złożył mi on wizytę *in corpore* na uniwersytecie. Przyjąłem go przemówieniem, chór zaś odśpiewał kilka pieśni. Wieczorem chór ten koncertował w teatrze. Byłem, bo być musiałem na tym koncercie. Był on bardzo ładny; chór jest świetnie dyscyplinowany i precyzyjnie dobrany, piosenki łotewskie przepiękne, ale mi smutno i przykro było być na koncercie, gdy Józef Piłsudski umarł.

14 maja, rok 1935, wtorek

Na dzisiejszym obiedzie Rotary-Clubu, który był dziś szczególnie nieliczny, mieliśmy gościa w osobie bawiącego w Kownie posła litewskiego w Paryżu, jednego z najzdolniejszych dyplomatów litewskich i człowieka światłego – Piotra Klimasa, rodem Tatara, ale zupełnego i doskonałego Litwina z przekonań. Ponieważ nie było wyznaczonego na dziś prelegenta – adwokata Toliušisa, przeto burmistrz Merkys, który przewodniczył w zastępstwie nieobecnego Żołkowskiego, zaproponował Klimasowi podzielić się z nami swoimi obserwacjami politycznymi o sytuacji, uformowanymi w Paryżu. Klimas to uczynił. I trzeba przyznać, że przemówienie jego było bardzo mądre. Stwierdził przede wszystkim, że Litwa, choć mała i w świecie czynników światowych słaba, jest dziś istotnie w samym ośrodku polityki europejskiej. Dał bardzo ładne i mądre oświetlenie zdającego się być niepojętym zbliżenia czy też sojuszu polsko-niemieckiego, tak nieoczekiwanie nawiązanego w roku 1934 i stanowiącego łamigłówkę majstersztyku politycznego nie Becka bynajmniej, lecz Piłsudskiego. Ja sam tego posunięcia Polski zrozumieć nie mogłem. Nie rozumiał i nie rozumie go u nas nikt, nie bardzo go też rozumieją w samej Polsce, nie wyłączając piłsudczyków. Niektórzy usiłują to wytłumaczyć nawrotem Piłsudskiego do jego wielkiej polityki wschodniej z czasów Wielkiej Wojny i lat 1919-1920. Chodziłoby o wskrzeszenie idei wielkiego Imperium Wschodniego z czterech członów – Polski, Litwy, Białej Rusi i Ukrainy – pod hegemonią jednego z nich – Polski, a więc o aktualizację frontu antyrosyjskiego i pasywizację zachodnich dzielnic etnograficznych polskich, o przeniesienie punktu orientacyjnego polityki polskiej z Pomorza Bałtyckiego, Poznańskiego i Śląska na wschód bałtycki i czarnomorski, o wielką imprezę mocarstwa jagiellońskiego. Zdaje się, że dziś jest to mało prawdopodobne. Inni usiłują w tym upatrywać jakieś aneksyjne dążenie w stosunku do Litwy, jakąś bądź zamianę „korytarza" pomorskiego cedowanego Niemcom, na Litwę z Kłajpedą, bądź podział Litwy między Polską a Prusami... Klimas to tłumaczy inaczej i upatruje w tym mądre posunięcie polityczne Polski. Stwierdza on, że jak żadne z mocarstw nie kiwnie palcem na rzecz żadnego z państw i państewek nawet przyjaznych i związanych sojuszem, gdy nie ma w tym interesu własnego, tak Francja ignorowała i zapoznawała interesy żywotne swej sojuszniczki Polski, aż dopiero teraz, gdy Polska, balansując we własnym interesie, dała poparcie Niemcom, Francja sama zaczęła ubiegać się o Polskę, by ją pozyskać. Jest to więc nie jakiś układ specjalny z Niemcami, nie jakiś sojusz serca czy wspólnego programu politycznego, ale akt spekulacyjny, zmuszający Francję i inne państwa zainteresowane do liczenia się z Polską. Z tego wyciąga Klimas i dla Litwy wskazanie. Zdaniem jego, Litwa nie może wybierać między Niemcami i Rosją i cała się wtłaczać w orbitę jednego z tych dwóch sąsiadów, ani również opierać się całkowicie na sojuszu franko-sowieckim. Jak oparcie się na Niemcach zawiodło fatalnie, tak zawodzi oparcie się bez zastrzeżeń bądź na Francji, która sama stwierdza wyraźnie, że nie przeleje ani kropli krwi francuskiej za Kłajpedę, gdyby ją zagarniali Niemcy, ani na Sowietach, które tylko do czasu, o ile mogą spekulować na tym, manifestują poparcie Litwy, którą porzucą w chwili, gdy im o to chodzić nie będzie i gdy Litwa zapotrzebuje ofiary od nich, bo na ofiary bezinteresowne nikt się w polityce nie zdobywa. Zdaniem Klimasa, polityka jest sztuką spekulacyjną, ale dla

spekulacji nie można grać między dwoma tylko, łącząc się bezwzględnie bądź z jednym, bądź z drugim z dwojga. Spekulować można tylko w stosunku z trzema. Trzeci potrzebny jest dla balansowania niezbędnego w spekulacji politycznej. Tym trzecim dla Litwy musi być Polska. Litwa, zdaniem Klimasa, powinna zaniechać swej polityki tradycyjnej lekceważenia i kompletnego ignorowania Polski, bo to właśnie ją samą osłabia politycznie i odbiera jej atuty spekulacji, które jest dla niej, wtłoczonej między tych trzech sąsiadów i utrzymującej się spekulacją w ich grze, niezbędna. Taką jest teza Klimasa. Daleką jest ona jednak od tez naszego Prezydenta Smetony, który przy całym swoim umiarkowaniu i obiektywizmie jest w stosunku do wszelkiego kontaktu z Polską nieprzejednany i na każdym kroku ma uprzedzenie do Polski i obecną politykę Polski wobec Niemiec nazywa wręcz polityką Konrada Mazowieckiego. Bezpośrednio jednak Klimas ani słówkiem się nie wygadał o swojej niedawnej wizycie u Becka w Genewie i rozmowie z Beckiem. To by było ciekawe, ale to należy naturalnie do dziedziny bardzo poufnej. I tak już Klimas bardzo dużo powiedział w Rotary. Zebrani wysłuchali go w wielkim skupieniu i z wielką aprobatą.

15 maja, rok 1935, środa

Wrócę dziś do tego, com pisał przed paru dniami i czegom jeszcze nie dokończył – o pomyśle Rady Stanu powiązania reformy wyborczej do sejmiku kłajpedzkiego z reformą wyborczą do Sejmu państwowego nie tylko papierowo, ale wykonaną jednocześnie efektywnie. Zaraz nazajutrz po podniesieniu w Radzie Stanu tego pomysłu – we czwartek rano – Šiling zwołał posiedzenie szersze z udziałem uzupełniającym Mašalaitisa, Tadeusza Pietkiewicza i mnie. Chodziło o poddanie pomysłu sprawdzianowi biegłych prawników co do jego statutowości. Ja wypowiedziałem się tak. Zależy od tego, jak należy interpretować zastrzeżenie statutu o zasadach demokratycznych autonomii i wyborów sejmikowych. Co do przepisu statutowego o głosowaniu powszechnym, równym, bezpośrednim i tajnym, to przepisowi temu stanie się zadość bez względu na to, czy przez głosowanie to będą dokonywane wybory właściwe, czy aprobata plebiscytowa zaproponowanej z góry gotowej listy kandydatów, i bez względu na to, czy lista ta wypłynęła z inicjatywy samych wyborców, czy też jakichś organizacji i bądź swobodnie i spontanicznie, bądź z poprawką selekcyjną rady specjalnej. Ale jak pojmować „zasady demokratyczne”? Są zasady demokratyczne i „zasady demokratyczne” w cudzysłowie, jak różne też są koncepcje demokracji. Klasyczne koncepcje demokracji zasadza w masie ludowej samo zwierzchnictwo. W myśl jej zasad, u dołu, w samej tej masie, tkwi samo źródło i pełnia władzy. Toteż wszystko w wyborach – od a do z – od inicjatywy do sankcji – iść musi z dołu i pochodzić od masy. Żadnych selekcji arbitralnych z góry, żadnej interwencyjnej poprawki z zewnątrz być nie może, bo to fałszuje emanację i absolutyzm naturalny zwierzchnictwa. W świetle tej koncepcji pomysł Rady Stanu byłby przeciwny statutowi. Pojęcie wyborów demokratycznych obejmowałoby także swobodne zgłaszanie list kandydatów bez możności poprawek i selekcji arbitralnej, zgłaszanie bądź przez swobodnie dobierające się grupy wyborców, bądź przez organizacje takie lub inne – partie polityczne czy też organizacje zawodowe i gospodarcze – to już rzecz względnie podrzędna. Ale jest także inna koncepcja demokracji – demokracji, którą można by nazwać plebiscytową i której zarody tkwią tak w faszyzmie włoskim, jak, zdaje się, w nacjonalsocjalizmie niemieckim. Tej koncepcji demokratycznej, na której się niegdyś był budował cezaryzm mapoleoński, dał w swoim czasie wyraz lapidarny, zdaje się, Sieyès w swoim znanym wyrzeczeniu: „*l'autorité vient d'en haut, la confiance vient d'en bas*”. W myśl tej koncepcji demokracji, zastąpienie wyborów przez plebiscyt na rzecz listy, zaproponowanej z góry arbitralnie, albo zachowanie wyborów i inicjatywy zgłaszania list, jeno z selekcją arbitralną zgłoszonych kandydatów – nie będzie przeciwna „zasadom demokratycznym”. Zależy więc od tego, jaką treść koncepcyjną się wkłada w pojęcie zasad demokratycznych. Reforma wyborcza faszystowska z roku1927 we Włoszech łączy właściwie obie koncepcje,

bo choć zgłasza do plebiscytu jedyną listę kandydatów, dokładnie przesianą przez sito arbitralne selekcji Wielkiej Rady Faszystów, uprawnionej zresztą nie tylko do selekcji, ale także do inicjatywy w zamianie arbitralnej kandydatów zgłoszonych na kandydatów dowolnie przez nią samą wpisywanych ale w razie odrzucenia tej listy przez plebiscyt przewiduje subsydiarnie wybory istotne. Statut kłajpedzki pojęcia „zasad demokratycznych" nie określa. Chodzi więc tylko o ich interpretację. Zależy więc od tego, kto interpretuje. Ponieważ interpretatorem kategorycznym i bezapelacyjnym konwencja czyni Trybunał Międzynarodowy Haski, przeto liczyć się należy głównie z perspektywami jego interpretacji. Nie ulega wątpliwości, że większość sędziów haskich, których znam osobiście dobrze, składa się z ludzi ze szkoły demokratycznej klasycznej i poglądów popularnych przedwojennych. Koncepcja socjokratyczna lub cezarystyczna i faszystowskie niełatwy mają dostęp do umysłów tych sędziów. Toteż można sądzić, że obrona koncepcji demokratyczno-plebiscytarnej i konstrukcji wyborów sejmikowych, opartej na tej koncepcji albo nią zabarwionej, mogłaby napotkać w Hadze na trudności znaczne. Skądinąd wszakże nie ulega wątpliwości, że przyjęcie tych zasad i tej konstrukcji przez centralne ustawodawstwo państwowe w budowie Sejmu i realne wykonanie odpowiedniej reformy w całym państwie, nie zaś tylko papierowe jej manifestowanie, odebrałoby reformie wyborczej sejmikowej charakter sztuczności spekulacyjnej i ułatwiłoby znacznie obronę ewentualną statutowości tych tez w Hadze. W każdym razie odpadłoby wrażenie *malae fidei*, które jest najgorsze do obrony jakiejkolwiek tezy prawnej.

16 maja, rok 1935, czwartek

Do innych prac moich, które ukończyć muszę przed wyjazdem i których mam nawał, przybyła jeszcze jedna – trudna i odpowiedzialna, ale osobiście mi miła: artykuł o Józefie Piłsudskim, obstalowany u mnie przez redaktora... „Mūsų Rytojus". Zacząłem go pisać wczoraj. Zdaje się, że zapoczątkowanie mi się udało, zapożyczyłem je poniekąd z dziennika, z paru tam wyrażonych myśli moich, dalej kreślę jego charakterystykę w wielkich czynach jego. Artykuł zdaje się zapowiadać ładny i już mi żal, ze jest przeznaczony do popularnego pisemka przelotnego, dla którego może jest za głęboki i za długi. Wolałbym go dać do któregoś z miesięczników lub przynajmniej tygodników literackich. Wysoko stawiam Piłsudskiego w tym artykule. Pragnąłbym, żeby Litwini zdołali tego człowieka i syna Litwy zrozumieć, mimo że losem tragicznym Litwy i jego samego jego właśnie ręką zadana została Litwie rana głęboka i niezabliźniona. Zaproponuję redaktorowi „Mūsų Rytojus", żeby dał streszczenie tego artykułu, a mnie pozwoli zużytkować go *in extenso* gdzie indziej.

Polskie radio jest przepełnione wyłącznie Piłsudskim i produkcjami żałobnymi lub szczegółami wyrazów żalu i ceremonii pogrzebowych. Zdaje się, jutro wywiozą zwłoki do Krakowa, gdzie w sobotę chować je będą na Wawelu w grobach królewskich. Rzeczywiście był on największym królom równy. Piłsudski mózg swój zalecił oddać medykom na cele naukowe, serce polecił złożyć w Wilnie u stóp zwłok swojej matki, które przewiezione zostaną do Wilna z Litwy Niepodległej, gdzie spoczywają obecnie. Piękne to są zlecenia, zwłaszcza to drugie. Polska w żałobie; Piłsudskiego nazywa największym, którego Polska na przestrzeni dziejów wydała. Słusznie. Ale swoją też część w Piłsudskim ma Litwa, z której surowca on powstał. Całą Europę, cały świat poruszyła wieść żałobna o śmierci Wielkiego Piłsudskiego. Zewsząd też – od wszystkich państw, rządów i społeczeństw – wyrazy współczucia, żalu, delegacje wybitne. Pojechały też delegacje Polaków litewskich – Budzyński, Eugeniusz Römer, prezes Zjednoczenia Studentów Polaków Paprocki... Tylko jedna Litwa jest odosobniona, nie wyrażająca żalu i żałoby, Litwa, z której wyszedł Piłsudski, jej syn. Tragiczne. Jego pierwszej naturalnej matki w tej żałobie powszechnej – nie ma. Wszakże prasa litewska hołd wielkości Piłsudskiego oddaje.

Wracam znowu do kilkakrotnie przerywanej relacji o pomyśle Rady Stanu z ubiegłego tygodnia, pomyśle ciekawym i ważkim podwójnie, nie tylko w stosunku do Kłajpedy, ale nie mniej w stosunku do radykalnej innowacji państwowej – odrodzenia reformowanego Sejmu. Na rozszerzonym posiedzeniu czwartkowym w Radzie Stanu po zreferowaniu całej sprawy przez Šilinga i po uwagach moich zabierali głos inni. Navakas i Zaunius gorąco i entuzjastycznie witali i zalecali projekt. Krytycznie przemawiali Raczkowski i Kriwicki. Raczkowski rozwijał wątpliwości statutowe w stosunku do pomysłu reformy wyborczej do sejmiku. Słusznie podnosił ten wzgląd, że chociaż statut nie daje formuły „zasad demokratycznych", jednak koncepcja tychże w myśl pojęć klasycznych ujawnia się z analizy przepisów statutowych nie tylko o głosowaniu w formule demokratycznej klasycznej, ale też o całej budowie władzy autonomicznej, w której miejsce dominujące oddane jest właśnie sejmikowi i samo dyrektorium opierać się musi o sejmik i zeń czerpać swoją moc działania. Słowem – wszystko w statucie oparte jest, zdaniem Raczkowskiego, na źródle mocy organów autonomicznych, tryskającym z dołu, od samej mocy ludności, co świadczyłoby o koncepcji właśnie klasycznej „zasad demokratycznych". W tych refleksjach Raczkowskiego dużo jest prawdy i nie ulega wątpliwości, że wśród sędziów w Hadze, gdyby kwestia doszła do nich – a oni są w tych rzeczach interpretatorami arbitralnymi – bardzo mocna będzie tendencja do szukania rozwiązania zagadki „zasad demokratycznych" właśnie w analizie ogólnej tekstu przepisów statutowych. Niewątpliwie zaś tę drogę wybrałby najzdolniejszy z sędziów i bardzo wpływowy Anzilotti, bo to jest właśnie jego metoda. Kriwicki w swojej krytyce doszedł do wniosku wręcz przeciwnego.

17 maja, rok 1935, piątek

Miałem rano egzaminy studenckie, pracę bieżącą w rektoracie, po obiedzie doroczne walne zebranie litewskiego Związku Pan-Europy, którego ja jestem prezesem, sekretarzem zaś i *spiritus movens* jest generał dymisjonowany Alkesander Kurkowski, brat starszy obecnego gubernatora Kłajpedy. Sprawa Pan-Europy jest obecnie mało aktualna i mało popularna, a ruch pan-europejski, kierowany przez Coudenhove-Kalergiego, jest dosyć ekscentryczny i robiący wrażenie czegoś nienaturalnego i zbyt spojonego z dosyć dziwaczną i narwaną osobą tego wodza, bodajże bardziej histeryka czy w najlepszym razie fanatyka, niż człowieka miary istotnie wielkiej. U nas ruch ten i idea w ogóle mało budzą zainteresowania. Chociaż nominalnie Związek litewski liczy 50 członków, nie bardzo zresztą wypłacalnych, a już tym mniej czynnych, na walne zebranie stawiło się ogółem 9 członków, licząc w tym czterech członków zarządu (ja, Kurkowski, Vileišis i Wolf) i dwóch członków komisji rewizyjnej (Kvieska i Sołowiejczyk młody). Sytuację ratowało tylko to, że zebranie było zwołane w sali uniwersyteckiej, do której – jako że zebranie było publiczne – nagromadziło się „na gapę" do 50 studentów. Było też kilku wolnych gości z miasta. Kurkowski chciał już ze względu na znikomą ilość członków odwołać zebranie, ale Vileišis nastał, żeby się odbyło. Zebranie otworzyłem i zagaiłem ja, po czym Kurkowski odczytał referat na temat konferencji ekonomicznych Pan-Europy w Wiedniu. W istocie jednak Kurkowski rozwijał w dużym stopniu propagandę i agitację, czyniąc to zresztą dosyć słabo i zdawkowo argumentami ogólników i szablonów na ogół płytkich i w duchu wynoszenia pod niebiosa Coudenhove-Kalergiego. Kurkowski jest wprawdzie pan-europejczykiem entuzjastycznym, ale nie tyle idei organizacji związkowej Europy metodą badania dróg jej realizacji i studiowania przejawów tego ruchu lub choćby propagowania samej idei, ile niewolniczym adeptem Kalergiego, jego uczniem wiernym, głoszącym wiarę w mistrza i jego doskonałość oraz nieomylność opatrznościową. Obniża to do poziomu jakiejś sekty uczniów Kalergiego. Kurkowski jest jednym z takich, którzy ideę wtapiają w człowieka i służą mistrzowi raczej, niż sprawie. Bodźcem jego entuzjazmu jest osoba wodza, nie tyle zaś sprawa. Jest to człowiek kultu religijnego, nie zaś ruchu; jest on nie pan-europejczykiem, ale kalergijczykiem, jest dewotką

mistrza. Nudne, płytkie i naiwne są zwykle wywody i akcje takich ślepych uczni. Odbierają oni powagę sprawie samej.

Po referacie Kurkowskiego zarządziłem przerwę i następnie sprawy organizacyjne (sprawozdanie zarządu i komisji rewizyjnej, wybory zarządu itp.) rozpoznaliśmy w gronie ścisłym członków w profesorium. Słaby to jest ruch tego związku.

18 maja, rok 1935, sobota

Dziś miało miejsce otwarcie XII konferencji Bałtyckiego Związku Akademickiego SELL. Jest to związek konfederacyjny młodzieży akademickiej bałtyckiej, łączący młodzież litewską (Kaunas), łotewską (Ryga), estońską (Tartu) i fińską (Helsinki). Nazwa związku – SELL – pochodzi od inicjałów czterech państw bałtyckich, reprezentowanych w związku (Suomi-Eesti-Latvija-Lietuva). SELL założony został w roku 1923. W pierwszych leciech jego istnienia duże spory wywoływała kwestia dopuszczenia do związku także młodzieży polskiej, za czym byli zwłaszcza Finowie, zaś wręcz przeciwni – Litwini. SELL co roku odbywa konferencję (zjazd) w innej po kolei stolicy bałtyckiej. W tym roku gościnę daje Kowno – Litwa. Inauguracja konferencji miała miejsce po obiedzie w wielkiej sali „Karininkų Ramovė”. Odbyła się uroczyście. Naturalnie, że mowę powitalną wypadło wygłosić także mnie jako rektorowi uniwersytetu w Kownie. Wygłosiłem ją po francusku, a na zakończenie jedno zdanie powitalne odczytałem w czterech językach bałtyckich – fińskim, estońskim, łotewskim i litewskim. Po fińsku szło strasznie trudno – te nieznośne długie wyrazy z paciorkami powtarzających się samogłosek i spółgłosek. Słowa – jak różańce.

Wracam do mojej relacji o naradzie czwartkowej ubiegłego tygodnia, odbytej w Radzie Stanu nad pomysłem tejże Rady reformy wyborczej sejmikowej i łącznie sejmowej. O ile Konstanty Raczkowski w swej krytyce tego pomysłu uwydatnił zastrzeżenia z tytułu statutowych „zasad demokratycznych” przeciwko temu pomysłowi, o tyle Kriwicki opowiedział się mocno za pomysłem, motywując swój pogląd tym, że skoro statut określenia „zasad demokratycznych” nie podaje, to zasady te należy interpretować w tej ich koncepcji funkcjonalnej, która jest oparta na również demokratycznej konstytucji państwowej, reagującej na statut autonomiczny o tyle, o ile w statucie są luki lub niedomówienia. Nie można zaprzeczyć, że teza tak Raczkowskiego, jak Kriwickiego ma swoje uzasadnienie logiczne, choć są one sprzeczne. Którą z nich przyjąłby Trybunał w Hadze – trudno orzec z góry. Nazajutrz po tym posiedzeniu, w piątek 10 maja odbyło się wieczorne długie posiedzenie i narada w tejże sprawie u prezydenta Smetony, na którym obecni byli prócz samego prezydenta: prezes ministrów Tubelis, minister spraw zagranicznych Lozoraitis, minister sprawiedliwości Šiling, gubernator Kłajpedy Kurkowski, Mašalaitis, Kriwicki i ja.

19 maja, rok 1935, niedziela

Nie wiem, czy właściwie robię, pisząc dla opublikowania w prasie litewskiej artykuł obszerny o zmarłym Józefie Piłsudskim, charakteryzujący treściwie cały czyn jego wielkiego życia, uwydatniając całą wielkość postaci. Inaczej bym tego napisać nie mógł i zdaje mi się, że dobrze jest, żeby Litwa uświadomiła prawdę o Piłsudskim. Zawinił on dużo Litwie – to prawda, ale było to raczej tragiczne, niż dyktowane intencją fałszu. Tragicznym był cały stosunek Piłsudskiego do Litwy, którą kochał i którą najboleśniej skrzywdził. W artykule moim jednak nie tylko o tym mówię. O tym powiem raczej najmniej – kilku mocnymi rzutami; tak przynajmniej zamierzam. W ogóle sprawa litewska i polityka wschodnia Piłsudskiego jest największym załamaniem jego dzieła. Ale jak opinia litewska przyjmie mój artykuł, jeżeli go prasa wydrukuje? I czy jest ona dojrzała i dość głęboka w równowadze, aby mogła rzeczowego wartościowania Piłsudskiego dokonać? Dość intensywnie dziś nad tym artykułem popracowałem. Będzie on dość duży. Ponieważ pierwszy mię o ten artykuł poprosił „Mūsų Rytojus” – jemu musiałem dać pierwszeństwo. Zgłosił się dziś po artykuł

redaktor Urbanowicz. Dałem część pierwszą. Powiada, że będzie drukować przez parę numerów. Nie czytał, ale wątpliwości nie wyrażał. Jak przeczyta – może mu wątpliwości powstaną; ciekaw jestem tego. O artykuł o Piłsudskim prosił mię też „Vairas". Ale już drugiego nie napiszę. Gdyby „Vairas" zechciał i uznał to za możliwe – mógłby sobie przedrukować z „Mūsų Rutojus". Na moje uwagi redaktorowi „M. R.", czy artykuł taki nadaje się w ogóle do pisma popularnego, redaktor bez wahania odpowiedział twierdząco. Bądź co bądź pismo to jest szeroko rozpowszechniane i czytane, ma kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów, w samym Kownie – 3000. To jest wzgląd dodatni, choć znaczna część czytelników należy do półinteligencji. Redaktor mówi, że zainteresowanie Piłsudskim z okazji jego zgonu jest bardzo duże. Niech pozna Litwa swego wielkiego, szczęśliwego i zarazem nieszczęśliwego, syna.

Wieczorem byłem na balu konferencji studenckiej SELL w Klubie Wojennym „Ramovė". Delegacja studencka z Finlandii jest bardzo niewielka, liczy ledwie siedem osób, ale za to estońska i zwłaszcza łotewska – bardzo liczne. Był też minister Tonkunas, posłowie estoński i łotewski – Leppik i Sēja, burmistrz Merkis, Jan Vileišis, Żołkowski, generał Bulota i całe morze studentów. Jutro członkowie konferencji, goście i duża wycieczka studentów litewskich wyjeżdżają pociągiem specjalnym do Kłajpedy.

20 maja, rok 1935, poniedziałek

Specjalnie z dnia dzisiejszego nic szczególnego do zanotowania nie mam, toteż nawrócę znowu do tylokrotnie już urywanej relacji o pomyśle sejmikowo-sejmowej reformy wyborczej. Zatrzymałem się na zwołaniu w piątek 10 maja narady w tej sprawie u Prezydenta Rzeczypospolitej Smetony z udziałem Tubelisa, Šilinga, Lozoraitisa, Kurkowskiego, Mašalaitisa, Kriwickiego i mnie. Šiling szeroko i treściwie zreferował całą historię wszystkich pomysłów i kombinacji reformy wyborczej do sejmiku i wreszcie genezę oraz istotę ostatniego kapitalnego pomysłu Rady Stanu, przewidującego zarazem faktyczne odrodzenie instytucji sejmowej w państwie. Narada trwała od godz. piątej do dziewiątej wieczorem. Ja referowałem względy prawne *pro* i *contra*, uzupełniał mię też Kriwicki, gorąco zalecający tę reformę. Tubelis i Kurkowski skłaniali się do niej kategorycznie, Šiling przekonywał i agitował Prezydenta, sam Prezydent poniekąd się do niej skłaniał, ale zachowywał pewną rezerwę, usiłując dobrze zgłębić problem i rozważyć starannie wszystkie względy; dość mocno przeciwko reformie, a raczej pomysłowi Rady wypowiedział się tylko Lozoraitis, nie co do swoich własnych sympatii, ale ze względów interpretacji statutowej. Jest to już zawsze w naturze rzeczy tak, że każdy, który się staje ministrem spraw zagranicznych, staje się zaraz szczególnie ostrożny i wszelkie śmielsze innowacje usiłuje jeżeli nie wręcz zwalczać, to bardzo mocno krytykować, osłabiać i tłumić. Bo też minister spraw zagranicznych najwięcej się zawsze boi komplikacji międzynarodowych i będąc najbardziej związany odpowiedzialnością oraz stojąc w samym centrum debat z sygnatariuszami – wyczuwa najlepiej trudności, jakie powstaną na gruncie „nowinki". Bądź co bądź narada ta uwydatniła cały szereg trudności, związanych zwłaszcza w Kłajpedzie z ustaleniem bądź pierwszego, ściśle plebiscytowego, bądź drugiego, mażorytarnego, wariantu pomyślnej reformy. W wariancie plebiscytowym, do którego się skłania Šiling, zachodzi prawdopodobieństwo, że Kłajpeda zaproponowaną do plebiscytu listę kandydatów odrzuci, co skompromitowałoby cały system i jednocześnie zmusiłoby do powrotu znowu do wyborów zwyczajnych o rezultatach bardzo wątpliwych. W drugim wariancie, gdyby wybierano na zasadzie ściśle mażorytarnej posłów z zaproponowanej obszerniejszej listy, mogliby przejść nie tylko w większości, ale nawet wyłącznie kandydaci proniemieccy, ułożyć zaś tę listę tak, aby w niej Niemców do wyboru zachować tylko tyle, ile jest dla Litwy dopuszczalne, a resztę do dowolnego wyboru podać wyłącznie miłych Litwie – niepodobna.

21 maja, rok 1935, wtorek

Jeszcze o naradzie u Prezydenta Smetony w dniu 10 maja. Ku końcowi narady, gdyśmy się biedzili nad wyborem formuły dogodnego wykonania pomysłu Rady Stanu w tym lub innym wariancie tegoż, Prezydent Smetona wykoncypował nową propozycję, opartą na jego ulubionym pomyśle o kuriach narodowych, nieco zmodyfikowanym. Chodziłoby o to, żeby rada, dokonywająca selekcji kandydatów z list, zgłoszonych przez samorządy lokalne i funkcjonalne oraz ewentualnie przez pewne organizacje czy nawet grupy dowolne wyborców, ułożyła nie jedną listę ostateczną do plebiscytu, lecz kilka list alternatywnych, lecz w taki sposób, żeby w każdej z tych list zachowana była ściśle ta sama zasadnicza proporcja kandydatów Litwinów, kandydatów Niemców i kandydatów „Memelländer'ów", oparta ściśle na danych statystycznych ze spisu ludności w Kłajpedzie z roku 1924 czy 1925. Następnie zaś wyborcy mogliby głosować dowolnie na rzecz tej lub innej z list tak ułożonych, ale tylko *en bloc*. Wybrana zostałaby ta lista, która otrzymała większość absolutną lub względną. Pomysł dość oryginalny, ale też dość ekscentryczny. Na tych samych zasadach byłaby ułożona ustawa wyborcza do Sejmu państwowego, który też, w myśl zasadniczego pomysłu Rady Stanu, zostałby faktycznie mniej więcej jednocześnie z wyborami do sejmiku wybrany. Ostatecznie wszakże do rezultatów pozytywnych narada nie doprowadziła; decyzja pozostała otwarta – do dalszych studiów w Radzie Stanu.

Rada Stanu, zdaje się, intensywnie nad obmyśleniem dalszych kombinacji sformułowania pomysłu zasadniczego pracuje. Przed kilku dniami odbyło się w tej materii nowe zebrańko specjalne, w którym wzięli udział prezes ministrów Tubelis, ministrowie Lozoraitis i Šiling, poseł litewski w Paryżu Klimas, Mašalaitis, Kriwicki, gubernator Kurkowski i ja, oraz, jako rzeczoznawca, prof. Mandelsztam, podobno wybitny prawnik, emigrant rosyjski, niegdyś juryskonsult Ministerium Spraw Zagranicznych w Rosji za czasów carskich, obecnie zamieszkały w Paryżu. „Znakomitość" ta jest doradcą prawnym Litwy w sprawach wagi szczególnej, w kontakcie ścisłym z poselstwem litewskim w Paryżu. Mandelsztam był w szczególności adwokatem litewskim w sprawie o komunikację kolejową między Jewjem a Landwarowem w Trybunale Haskim, był także zakulisowym doradcą Sidzikowskiego w sprawie kłajpedzkiej w tymże Trybunale. Zdaje się, że Mandelsztam został specjalnie sprowadzony obecnie do Kowna dla konsultacji. Różnie na tym zebrańku mówiono, ostatecznie nic nowego nie wymyślono.

22 maja, rok 1935, środa

Mam teraz dwie główne prace, które pochłaniają prawie całkowicie cały mój czas w tym tygodniu. Jedną z nich jest artykuł o Józefie Piłsudskim, który się bardzo rozrósł i chociaż mię samego zajmuje, jednak mię już zarazem i niecierpliwi. Chciałbym go prędzej skończyć, usiłuję się nieco streszczać, ale temat jest tak bogaty, że niepodobna go zamknąć w kilku słowach. Piłsudski – to samo życie. Artykuł ten piszę jednocześnie dla dwóch czasopism: dla „Mūsų Rytojus" i dla „Vairasu". W obu będzie drukowany jako oryginał. W „Mūsų Rytojus" początek już się w druku ukazał. Muszę z tym śpieszyć, bo mam jeszcze do napisania odczyt na kongres litewsko-łotewsko-estoński w Rydze w czerwcu, a muszę to zrobić w ciągu tygodnia przyszłego, bo w przyszłą sobotę już wyjeżdżam na moją wycieczkę na Północ z Jadzią i Andrzejem.

Druga moja wielka i gorąca praca – to colloquia studenckie. Chodzi o to, że w tym roku akademickim rozpocząłem wykładać prawo konstytucyjne litewskie, które dawniej wykładał Tumėnas, a które w roku ubiegłym wcale wykładane nie było, toteż zebrało się do tych wykładów trzy semestry studentów (III-IV semestr prawników, V-VI semestr prawników i III-IV semestr ekonomistów). Oprócz tego moje wykłady skróconego kursu części ogólnej prawa konstytucyjnego przeniesione zostały z III-IV semestru na I-II semestr. Wskutek tego i na tych wykładach mam w tym roku dwa semestry studentów – I-II semestr i III-IV semestr,

który w zeszłym roku tych wykładów nie słuchał. Poza tym mam część ogólną prawa konstytucyjnego u prawników I-II semestru. Ogółem mam słuchaczy sześciu semestrów, co stanowi liczbę bardzo pokaźną. Colloquia za semestr wiosenny uległy wielkiemu opóźnieniu, bo bardzo się były przeciągnęły colloquia za semestr jesienny. Wobec tego pozostało mi do colloquiów kilkaset studentów, których wszystkich muszę przesłuchać w ciągu tych dwóch ostatnich tygodni. Toteż robię co dzień colloquia kilku partiami. Dziennie wypada po kilkadziesiąt studentów. Dziś miałem ich 45, jutro – 46. I tak co dzień. Jest to wielka i nużąca robota. Colloquia te odbywam w moim mieszkaniu prywatnym.

23 maja, rok 1935, czwartek

Nic pisać nie będę, bo czasu nie mam. Robota ta sama.

24 maja, rok 1935, piątek

W dalszym ciągu zapracowany jestem artykułem o Piłsudskim i colloquiami. Od dwóch dni z podniecenia nerwowego pracy zacząłem doświadczać bezsenności, czego u mnie prawie nigdy nie było.

Byłem dziś na śniadaniu w poselstwie łotewskim z okazji przyjazdu do Kowna prof. Balodisa z Rygi. Na śniadaniu był sam poseł Sēja z żoną, burmistrz Merkys z żoną, Michał Biržiška z żoną, Urbšys, prof. Balodis z żoną, generał Nagiewicz i ja.

25 maja, rok 1935, sobota

Skończyłem wreszcie dzisiaj mój duży artykuł o zmarłym Józefie Piłsudskim. Rękopis wypełnił osiem bitych arkuszy podaniowych pisma ręcznego, to znaczy 32 strony arkuszowe. W „Mūsų Rytojus" ukazała się już część druga tego artykułu, która nie wyczerpała jeszcze połowy jego. Sądzę, że jeszcze będzie tego na co najmniej cztery numery tego czasopisma. Nie wiem, czy „Vairas" da radę umieścić całość w jednym numerze. Mam wrażenie, że artykuł mi się udał dobrze. Sam z niego rad jestem. Wyraża on rzeczywiście cały mój pogląd na osobę i czyn życiowy Piłsudskiego i, zdaje mi się, treściwie i głęboko ujmuje istotę jego osoby i czynów. Wciąż wszakże nie mam pewności, czy pewne elementy litewskie, nie tylko z gatunku Rondomańskiego, ale także z gatunku Janulaitisa lub samego Prezydenta Smetony, nie będą zgorszone uznaniem, jakiego udzielam wielkiemu Marszałkowi, chociaż zupełnie otwarcie potępiam nie tyle intencje, ile jałowość i dziwaczność szkodliwej i bolesnej, a zupełnie chybionej akcji wileńskiej Piłsudskiego, która głęboko skaleczyła Litwę i idei zasadniczej Piłsudskiego nie dała nic, bo całkowicie posłużyła koncepcji endeckiej.

Już się gotuję do wyjazdu na wycieczkę północną, na którą się bardzo cieszę. Ja sam mam już paszport dyplomatyczny i wszystkie wizy. Jadzia też ma paszport zagraniczny i dziś wszystkie wizy pozałatwiała. Andrzej ma *sauf-conduit*, ponieważ nie posiada żadnego obywatelstwa, ale z tego właśnie względu trudniej mu o wizy wjazdowe obce, bo takiego jegomościa „bez ojczyzny" nikt wpuścić nie bardzo chce i lubi, toteż bez mojej interwencji się nie obejdzie. Za tydzień w sobotę – odlatujemy samolotem do Rygi.

Miałem dziś colloquia. Poza tym byłem pod wieczór na herbatce u prof. Michała Biržiški z okazji profesora łotewskiego Balodisa.

26 maja, rok 1935, niedziela

Jadzia wyjechała dziś na dwa dni do Bohdaniszek. Wróci we wtorek wieczorem, aby się już do podróży naszej gotować. Wywiozła też Renię ze sobą, która podczas pobytu Jadzi za granicą bawić będzie u jej siostry Stefci Boreišowej w Spaczunach. Na rozstaniu dziś poprztykaliśmy się trochę z Jadźką, toteż przykre mi zostało wrażenie głupiej i niezatartej niesnaski. No, ale na krótko.

Po obiedzie miało miejsce posiedzenie Rady Uniwersyteckiej. Zwołane było dla wyboru prorektora na miejsce prof. Jodeli, którego kadencja upływa. Jest to stanowisko prorektora do spraw gospodarczych, podczas gdy Česnys jest prorektorem do spraw studenckich. Jodelė w sprawach gospodarczych uniwersytetu jest prawie do nie zastąpienia. Zna się na nich doskonale, w Radzie Gospodarczej uniwersytetu jest od początku, poza tym człowiek to uczciwy, pracowity, systematyczny. Ale w Wydziale Technicznym, do którego należy, nie ma obecnie miru, bo partia Grynkiewicza i Moszyńskiego, która jest teraz w wydziale w większości, jest wobec niego wrogo usposobiona. Wydział więc Techniczny jest przeciwny ponowieniu wyboru Jodeli i zdecydowany nie głosować na niego. Powiadano, że technicy będą usiłowali przeforsować wybór prof. Šimkusa. Sam Jodelė dość się nerwował przed wyborami. Przykro mu, że jego wydział jest przeciwko niemu. Wahał się, czy przyjąć wybór, gdyby był wybrany, skądinąd zaś nie chciał, aby był zabalotowany. Kandydatury u nas na wyborach się nie stawiają, głosuje się od razu. Jodelė jednak zwyciężył od razu, otrzymał 75% głosów. Technicy podali głosy za Grynkiewicza, który zabrał aż... dziewięć głosów. Dziesiątek głosów się rozstrzelił. Jodelė począł się wymawiać od przyjęcia wyboru, ale rada oklaskami go uprosiła przyjąć. Na tym się skończyło. Potem było jeszcze debatowanie pewnych projektowanych zmian w regulaminie uniwersyteckim. W debatach wciąż zabierał głos Czapiński, który cierpi chyba na rozdrażnienie starcze. Jest złośliwy, zgryźliwy, pełny różnych animozji osobistych, zwłaszcza do swego dziekana Žemaitisa, tetryk, niecierpliwy, kąsający gdzie się da. Doprowadził do incydentów. Ale w gruncie rzeczy – mała burza w szklance wody.

Rano było posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Wybrano Feliksa Mackusa na mojego asystenta nadetatowego bez pensji. Jest nadzieja, że da się go w jesieni wyekspediować do Paryża na studia uzupełniające. Wypłynęła też kwestia doktoratu Robinzona. Był to owoc dawnych i długich usiłowań Janulaitisa. Rzecz jednak spaliła na panewce. Intrygę przeciwko niemu zręcznie poprowadził Tadeusz Pietkiewicz z Kriwickim i rada oddaliła wniosek udzielenia mu doktoratu bez dysertacji specjalnej. Nie podoba mi się nieco zachowywanie się Kriwickiego w wydziale. Trzyma się on wiernie Tadeusza Pietkiewicza, który jest intrygantem i zręcznym spekulantem kariery, a także człowiekiem pełnym różnych sympatii, a raczej antypatii (bo sympatii nie bardzo ma) osobistych i w dodatku jest mściwy. Mam wrażenie, że Kriwicki zaczął ulegać pobudkom karierowiczowskim i trzyma się Pietkiewicza czując, że ten ma poważne wpływy w Ministerium Spraw Zagranicznych i u Šilinga oraz Mašalaitisa.

27 maja, rok 1935, poniedziałek

Podepchnąłem mocno naprzód moją pracę nad odczytem na kongres litewsko-łotewsko-estoński w Rydze w czerwcu. Jeżeli nie jutro, to pojutrze ją skończę i będę już wolny. Ostatnie parę dni poświęcę przygotowaniom do podróży. Andrzej zdobył pierwszą wizę – estońską. Łotewską i fińską obiecują mu na jutro. Trudno mu idzie zdobywanie tych wiz, mimo moją protekcję, bo nie ma żadnego obywatelstwa (żadnej przynależności państwowej). Takich „Heimetlosów” żadne państwo wpuszczać na swoje terytorium nie chce, bo każde ma ich dosyć w postaci zwłaszcza emigrantów rosyjskich i nie wie, co z tym fantem począć, a wyrzucić ich nie może. Woli więc nie wpuszczać. Obawia się, że taki facet, raz wjechawszy, nie wyjedzie, a wtedy – szlus. Gdyby nie moja protekcja – Andrzej w ogóle wiz wjazdowych by nie dostał. Od Litwy ma on tzw. „*sauf-conduit*” na wyjazd z prawem powrotu.

O godzinie pierwszej miałem dziś zwołane przeze mnie extra posiedzenie senatu akademickiego, aby załatwić różne sprawy zaległe przed wyjazdem moim.

Poza tym pracowałem w domu. Miałem dwie grupy studentów do colloquium.

28 maja, rok 1935, wtorek

W dalszym ciągu – colloquia. Prawie że dokończyłem pisanie odczytu na kongres ryski.

Byłem wezwany do Rady Stanu na krótką naradę z sędziami Trybunału Stankiewiczem i Bruzdelinasem i komisją Rady Stanu w kwestii realizowania odpowiedzialności dyscyplinarnej kilku sędziów kłajpedzkich za to, że przez lat 10 nie nauczyli się języka litewskiego, który statutowo w Kraju Kłajpedzkim – wraz z niemieckim – [jest] językiem urzędowym. Moim zdaniem, w warunkach tolerowania przez władzę centralną w ciągu lat 10 ogólnej nieznajomości języka litewskiego w tym kraju – wytaczanie tej dyscyplinarki nie bardzo było wskazane, okoliczności zaś łagodzące przy ewentualnym wymiarze kary są bardzo wielkie i usunięcie tych sędziów nie byłoby wskazane. Sędziowie Stankiewicz i Bruzdelinas są tegoż zdania, natomiast Tadeusz Pietkiewicz i Kriwicki forsują ostre środki. Starkus jest pośrodku.

Zakończyłem dziś wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego.

Wieczorem wróciła z Bohdaniszek Jadzia.

Andrzej ma już wizę łotewską. Brakuje mu już tylko fińska.

29 maja, rok 1935, środa

Andrzej zdobył już ostatnią wizę – fińską. Wszyscy troje przeto jesteśmy do wylotu zupełnie gotowi. Obstalowałem już bilety do samolotu oraz wziąłem bilety jazdy kolejowej II klasą z Rygi do Tallina. Tam po drodze będę musiał się na jeden dzień zatrzymać w Tartu (Dorpacie) dla zobaczenia się z rektorem uniwersytetu jako prezesem Estońskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Na wieczór zaprosiłem do siebie Diskina, który jest moim przyjacielem, ale zarazem też moim doradcą finansowym – dla omówienia z nim kwestii ilości pieniędzy fińskich, estońskich i łotewskich, potrzebnych na drogę. Chciałbym, żeby cała ta podróż nasza do Oceanu Lodowatego we troje – z Jadzią i Andrzejem – mająca trwać miesiąc, kosztowała mię ogółem nie więcej nad 3000 litów. Dotąd paszporty i wizy Jadzi i Andrzeja, cena lotu aeroplanem do Rygi (trzy bilety po 45 lt. = 135 lt.) i kolej do Tallina kosztuje mię 570 lt. Podróż wycieczkowa w Finlandii z Helsinek przez Viipuri, Imatrę, jezioro Saaimaa, potoki Ulu i het nad Ocean Lodowaty i z powrotem prostą drogą koleją do Helsinek wyniesie na lity niespełna 500 litów. Na przeżycie – noclegi, utrzymanie itd. – pozostanie jeszcze do 2000 litów, przeciętnie po 50 litów dziennie. Zdaje się, że to powinno wystarczyć. Na zapas będę mieć jeszcze 1000 litów przyznanej mi pożyczki z kasy pożyczkowo-oszczędnościowej uniwersyteckiej, z których mi Diskin na moje zażądanie przyśle bądź łatami, bądź koronami estońskimi, bądź markami fińskimi, jak wypadnie. W walucie obcej wezmę ze sobą 400 łatów, 60 koron estońskich, 2000 marek fińskich gotówką i 10 000 marek fińskich w czekach. Ta waluta obca będzie mię kosztowała ± 2212 litów.

Ukończyłem dziś pisanie tekstu odczytu na kongres litewsko-łotewsko-estoński w Rydze w końcu czerwca. Rękopis dam Janowi Vileišisowi jako prezesowi Towarzystwa Litewsko-Estońskiego, którego zarząd obstalował u mnie ten odczyt. Niech sami decydują, co z nim robić i jak go zużytkować, ja zaś przyjadę na kongres do Rygi i tam się z nimi skomunikuję, czy mam odczyt wygłosić, czy może będzie on inaczej zużytkowany.

Znów miałem w dalszym ciągu colloquia.

Słyszę – Niemcy napadają na mnie. Uwagę ich zwróciły oczywiście moje odczyty i artykuły zeszło- i tegoroczne, w których dotykałem spraw bałtyckich i kłajpedzkiej. Mówiono mi, że w którymś z pism niemieckich była wzmianka o mojej podróży na Północ do Oceanu Lodowatego z sarkastyczną uwagą, że takie ochłodzenie będzie mi bardzo użyteczne po gorączce, która mię opanowała w sprawie kłajpedzkiej i że widocznie sam poczułem potrzebę ostudzenia siebie w atmosferze arktycznej. Teraz zaś Urbšys przysłał mi wycinek z niemieckiego pisma „Neue Preussische Kreuzzeitung”, w którym w artykule „Memelland unter der Knute” jest taka wzmianka o mnie: „Mit Recht hat man einen Namen besonders stark herausgestrichen. Es ist Professor Römeris, bekannt wegen seiner amussenden

Forderszeugen. Natürlich hat man seine „Glanztat" vom 4 Mai 1935 (zapewne: 1934, to znaczy chodzi o mój odczyt zeszłoroczny w Kłajpedzie) in Memel in dieser Schau nicht vergessen. Also spruch Professor Römeris: Litauen müsse den nördlichen Teil Ostpreussens haben, damit die Litauer des Memelgebietes vor Ueberfallen gesichert seien (!)". Na zdrowie! Niech się gniewają.

30 maja, rok 1935, czwartek

Przedostatni dzień w Kownie przed podróżą. Strasznie się chce prędzej tej podróży doczekać. Nie wiem, czy kiedy tak tęskniłem do dnia wyjazdu w podróż, jak teraz. Trochę się przepracowałem w maju i odpoczynek jest mi już konieczny. Czuję wprost fizycznie potrzebę wyjazdu.

Miałem dziś colloquia, robiłem rachunki, porządkując moją kasę, która (choć pieniądze są w banku) jest posegregowana na cały szereg rachunków tego lub innego przeznaczenia szczególnego. Miałem różnych interesantów i w ogóle śpieszyłem załatwić różne pilne rzeczy przed wyjazdem.

31 maja, rok 1935, piątek

Rano miałem ostatnie colloquium studenckie, zaopatrzyłem się w Banku Komercyjnym z pomocą Diskina w walutę łotewską, estońską i fińską, urzędowałem w gabinecie rektorskim. Po obiedzie napisałem kilka listów, które mi były pozostały do załatwienia przed wyjazdem, ostrzygłem się, byłem u dr Gudowicza, w domu ułożyłem swoje rzeczy do podróży, których biorę minimalnie – i już byłem gotów.

Dr Gudowicz rad jest ze stanu mego zdrowia. Waga trzyma się dobrze, serce – niezłe, nerki, wątroba – w porządku. Troszeczkę w dolnej części nóg obrzękłość się trzyma – jest to stałe, ale jest ona tak niewielka, że na oko dostrzec się nie daje; tyko przy naciskaniu palcem daje się stwierdzić. Doktor gderał mię trochę za pomysł wycieczki na Północ; uważa, że powinienem był jechać gdzieś do kurortu, wysiedzieć się tam spokojnie, pobrać wanny, a nie podróżować i jeździć, męcząc się i prowadząc życie nieregularne. Lecieć aeroplanem zabronił stanowczo, ale tego oczywiście nie usłucham. Nie mówiłem mu, że mam już bilet na aeroplan na jutro.

Dr Gudowicz, który lubi różne sensacyjki, żarciki dowcipne i wyrażeń lubi używać dosadnych, tak się wyraził – zresztą bez złośliwości, bo złośliwy nigdy nie jest – o rozporządzeniu Piłsudskiego co do zwłok jego po śmierci: serce oddać Litwie, mózg – nauce, a Polsce na Wawel – „dupę". Rzeczywiście – na Wawelu złożone tylko ciało bez serca i bez mózgu – bez tego, co było albo co przyjęto liczyć myślą i uczuciem.

1 czerwca, rok 1935, sobota

Od wczesnego ranka jesteśmy już wszyscy na nogach. Dzień wylotu w podróż. Długo i niecierpliwie oczekiwany dzień nastał. Jest pewne podniecenie nerwowe, które nie daje spać. Andrzej zapewne trochę się boi lotu, bo pierwszy raz to spróbuje. Zwykle śpioch – dziś już wstał o piątej i mył się w wannie.

Zachodzili do mnie jeszcze jacyś interesanci, którzy zawsze się w ostatniej chwili znajdują z jakimiś pilnymi dla nich sprawami, był Michał Biržiška, aby mi powiedzieć, że sekretarz poselstwa sowieckiego Kofman otrzymał dla mnie jakieś zaproszenie jazdy do SSSR i pyta, czy nie mógłbym choć z Finlandii koło 10 czerwca zboczyć do Sowietów. Odpowiedziałem, że już nie mogę, bo mam całą marszrutę ułożoną i jadę z towarzyszami, których nie mogę porzucić, wszakże mam nadzieję, że co się odwlecze – to nie uciecze i że może da się to w jesieni lub kiedy później odrobić.

Wreszcie nastała pora wyjazdu. Odprowadzeni przez Stefana Römera, który właśnie bawił w Kownie, i przez naszą służącą Helenę, która chciała zobaczyć z bliska aeroplan i

widzieć nasz odlot, odjechaliśmy z Jadzią i Andrzejem autem na aerodrom. Pierwszy raz byłem na aerodromie kowieńskim. Niebawem przyszedł też nas odprowadzić Feliks Mackus, obecnie już mój młodszy asystent nadetatowy na Wydziale Prawniczym. Aerodrom – ładny, stacja lotnicza – nieźle urządzona, tchnąca już pewnym europeizmem. Przyjechał też na aerodrom podprokurator Karol Żołkowski z żoną, który jako prezes Kowieńskiego Rotary-Clubu udaje się na zjazd bałtycki Rotary-Clubów w Rydze, mający się odbyć dziś i jutro i udaje się tam aeroplanem z żoną. Ten leci po raz pierwszy. Niebawem nadleciały i odleciały dwa samoloty, jeden – z Rygi, drugi – z Moskwy, oba udające się na Królewiec. Wreszcie w kilkadziesiąt minut ukazał się od strony Królewca nasz aeroplan, duża maszyna Darnluftu o trzech motorach i propellerach – na jakichś 16 miejsc, ze sporą liczbą podróżnych. Wsiedliśmy z Jadzią i Andrzejem we trójkę do przedniej kajuty, przeznaczonej dla palących. Z nami siedział tam jeszcze pewien Żyd. Powietrze było niezłe, choć chłodnawe, ale chmur przelotnych było dużo o rozmaitej gęstości i ciężarze: jedne wysoko w postaci obłoków, inne cięższe, jeszcze inne ciężkie i deszczowe, potokami deszczu sięgające ziemi. Taka duża ilość nierównych i ruchomych chmur powoduje zmienność ciśnienia atmosferycznego w locie i wpływa przeto na nierówny bieg aeroplanu, który się chwieje i kiwa na boki, unosi się to znów opada. Odjechaliśmy dobrze, odprowadzeni wzrokiem zachwyconym i przerażonym Heleny i zazdrosnym – Stefana. Aeroplan rozpędził się i uniósł, pędząc ponad Kownem. Andrzej, poruszony, był zachwycony. Wszakże aeroplan się chwiał i zapadał, co Jadzię trochę nastraszało. Choć się śmiała i cieszyła, jednak wciąż wykrzywiała i zażegnywałą się, że więcej nigdy już nie poleci. Była to jednak atmosfera serdecznego śmiechu i wesołości. Rozmawialiśmy, bawiliśmy się i było nam wesoło i ciekawie. Wypatrywaliśmy przez okna, dzieliliśmy się spostrzeżeniami. Nastrój był znakomity. Pędziliśmy nad Litwą, pod nami płynęły zaścianki, pólka, lasy, miasteczka, mrowiska stad mikroskopowego bydła, linie dróg, ruczajów, przecięliśmy kilka kolei żelaznych. W drugiej połowie drogi, która trwała ogółem godzinę i kilka minut, zaczęliśmy się orientować, że mamy pod sobą już Łotwę. Jadźka zupełnie się ustatkowała i doskonale znosiła podróż, ale za to w drugiej połowie podróży zaczął się dręczyć Andrzej. Zbladł, zaczęło go nudzić, walczył z tym nudzeniem, ale wreszcie, choć niedużo, doświadczył wymiotów. Odbył, że tak powiem, podwójną „jazdę do Rygi". Zwymiotował do woreczka papierowego, które są zawieszone przy każdym podróżnym do tego użytku. Mnie to nic nie robi. Lubię nawet tę pewną sensację uczucia, jakie daje podnoszenie się przodu samolotu i zapadanie jego nagłe. Daje to wrażenie silne i podniecające. Jadzia też zuch – zniosła jazdę doskonale – lepiej od Andrzeja.

Wreszcie aeroplan spuścił się efektownie pod Rygą, zawracając łuk nad Dźwiną. W Rydze Żołkowskiego spotkał jeden z rotaryjców łotewskich, na moje zaś spotkanie stawił się dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Ryskiego, sympatyczny prof. Balodis, który niedawno był w Kownie, w towarzystwie prorektora do spraw gospodarczych tegoż uniwersytetu. Przed kilku dniami w Kownie zapytywał mię poseł łotewski w Litwie p. Sēja, kiedy przyjadę do Rygi i uprzedzał, że prof. Balodis chce mię spotkać i rektor łotewski chce mię przyjąć śniadaniem. Odpowiedziałem wtedy Sēi, że dziękuję serdecznie prof. Balodisowi i rektorowi, ale proszę mnie nie spotykać i nie przyjmować, bo tym razem będę w Rydze li tylko przejazdem do Tartu i Helsinek i będę w towarzystwie innych osób, z którymi jadę, natomiast w drodze powrotnej koło 27 czerwca będę znów w Rydze i wtedy złożę naturalnie wizyty rektorowi i prof. Balodisowi i będę do ich rozporządzenia oraz miło mi będzie z nimi się zobaczyć i spędzić czas. Prof. Balodis jednak nie usłuchał tego.

2 czerwca, rok 1935, niedziela

Jeszcze o Rydze. Prof. Balodis nie dał za wygraną, gdym mu w Kownie przez ministra Sēję oświadczył, że na razie będę w Rydze przejazdem i *privatissime* i dopiero wracając w końcu czerwca będę na usługi do użytku wszelkiego. Spotkał mię na aerodromie ryskim w

towarzystwie prorektora do spraw gospodarczych. Czekali mię z automobilem ministra oświaty i zaprosili z miejsca na śniadanie w restauracji hotelu Roma, który jest własnością Uniwersytetu Łotewskiego z zapisu testamentowego dawnego właściciela tegoż hotelu. Nie mogłem odmówić. Oczywiście wraz ze mną musieli panowie zaprosić na to śniadanie i oboje moich pupilów i towarzyszy podróży – Jadzię i Andrzeja. Ze względu na Jadzię prof. Balodis wezwał na to śniadanie i żonę swoją, którą spotkał na ulicy, gdyśmy przyjeżdżali do hotelu. Śniadanie było doskonałe, ze smacznymi przekąskami, winem i kawą. Na śniadanie przyjechał także łotewski minister oświaty prof. Adamowicz, który jest jednocześnie prorektorem do spraw studenckich. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Spędziliśmy czas przyjemnie na rozmowie o sprawach akademickich i potrzebach współpracy intelektualno-naukowej bałtyckiej. Jadzia z Andrzejem, słabo się wysławiając po rosyjsku, siedzieli milczkiem, rzadko tylko i półsłówkiem reagując na jakieś odezwanie się do nich lub żart prof. Balodisa albo jego żony. Jednak i w stosunku do nich nie było wymuszenia. Prorektor do spraw gospodarczych typowy Łotysz, człowiek zresztą niegłupi i przyjemny, ale dosyć rubaszny i dobrodusznie gruboskórny. Minister Adamowicz – powściągliwy, bardziej „себе на уме", ale na ogół także dosyć przyjemny. Za to prof. Balodis i jego żona okazali się złotymi ludźmi, co do humoru i co do gościnności, łatwości stosunków, serdeczności, ekspensywności, dowcipu. Wieczorem zarówno ja, jak Andrzej i Jadzia rozstaliśmy się z obojgiem Balodisami jak z najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Po śniadaniu z profesorami w hotelu „Roma" ja pojechałem na krótką wycieczkę automobilem po mieście z ministrem-prorektorem Adamowiczem i drugim prorektorem, którzy mi służyli za ciceronów, Jadzię zaś z Andrzejem wzięli w swoją opiekę serdeczną kochani profesorostwo Balodisowie. Jak się później dowiedziałem od Jadzi i Andrzeja, profesorostwo wozili ich autem na pomorze ryskie do Bolderan, oprowadzali tam, byli z nimi w kawiarni, tańczyli nawet i tak się wesoło i serdecznie zaprzyjaźnili, jak kamraci. Zastałem ich wieczorem u prof. Balodisa ucieszonych i wesołych, a kochany profesor dworował, dowcichował, zabawiał. Jest on niezrównany w humorze i usposobieniu łatwym i zarazem pełnym taktu, a pani profesorowa – są oni właściwie młodym małżeństwem od pół roku – doskonale sekunduje mężowi, w którym sama jest szczerze zakochana. Zaiste śliczna to para ludzka. Tymczasem mię obwozili prorektorowie, potem mię oprowadzili po gmachu starym uniwersyteckim, stanowiącym centralę uniwersytetu i odziedziczonym po dawnej z czasów rosyjskich Politechnice Ryskiej, wreszcie minister-prorektor prof. Adamowicz towarzyszył mi do „Kawiarni Operowej", gdzie wyznaczone było zgromadzenie się gości bałtyckich, którzy przybyli na zjazd towarzyski ryskiego Rotary-Clubu po obiedzie wspólnym Rotary. Adamowicz sam też jest rotaryjczykiem. Zastaliśmy tam szczupłe grono tych gości bałtyckich – jeden Łotysz, nasz Żołkowski z żoną, wiceburmistrz Tartu z żoną i jeszcze jeden Estończyk, no i my z Adamowiczem. Inni goście bałtyccy ryskiego Rotary-Clubu – wsród nich i Torwel z Finlandii – mieli przyjechać nazajutrz. Niebawem rotaryjczycy się rozeszli, ja zaś zabawiłem jeszcze przy kawie do ósmej, bom był na tę godzinę zaproszony do prof. Balodisa na obiad. Zastałem tam ucieszonych i rozbawionych oboje moich pupilów, gospodarzy i prof. Švabe, historyka Uniwersytetu Ryskiego. Prof. Balodis w bardzo miłym i ładnym mieszkaniu swoim przyjął nas obiadem, na którym nie brakło nawet szampana. Potem była kawa i likiery oraz koniak, aż wrzecie sam prof. Balodis odwiózł nas na dworzec. Andrzej był mocno trynkięty. Byłem wprost rozczulony i zachwycony gościnnością i ujmującym stosunkiem prof. Balodisa.

Przez noc z soboty na niedzielę przejechaliśmy z Rygi do Tallinna. W Tartu nie zatrzymywałem się – zajadę tam wracając. Jechaliśmy II klasą, miejsca było dosyć, spaliśmy. Ja od piątej rano już byłem na nogach, ale moi towarzysze nie bardzo chcieli się dźwigać. Z okien wagonu Estonia się przedstawiała smutnie. Wiosna tu bardzo spóźniona, liści na drzewach prawie nie ma, na dworze chłód, rano był przymrozek, nawet śnieżyło trochę. Południowa częśc Estonii ma krajobraz podobny do litewskiego, wieś czyni wrażenie uboższe

od Litwy. Bliżej pod Tallinn – krajobraz typowy okolic petersburskich – nizina błotnista, rzadkie zarośla, flora uboga, nędza bagien Zatoki Fińskiej.

Rano dziś koło dziewiątej przyjechaliśmy do stolicy estońskiej.

3 czerwca, rok 1935, poniedziałek

Cofam się do dnia wczorajszego, do naszego przyjazdu rano do Tallina. Z dworca kolejowego udaliśmy się wprost na przystań. Znaleźliśmy parostatek, idący do Helsinek, ale okazało się, że odchodzi dopiero o pół do siódmej wieczorem. Wypadło więc przesiedzieć dzień w Tallinie. Na razie Tallin zrobił na nas wrażenie ujemne, zwłaszcza Andrzej się zgorszył. Między dworcem kolejowym a portem miasto nędzne, pustynne, ludzi prawie nie ma, bo to zwłaszcza niedziela, a jacy się trafiają – to niemrawi, nędzni, przygnębieni, na pytanie (po rosyjsku lub niemiecku) odpowiadają powoli, z wysiłkiem, bez cienia temperamentu. Typy przeważnie mongolskie – „Chińczycy" i „Chinki", senni, cisi, bezwładni jak upiory. Rzeczy złożyliśmy na parostatku i odjechaliśmy taksi do miasta do kawiarni na śniadanie. Szofer takiż niemrawy, ospały jak inni... Kawiarnia „Corso" – ładnie się prezentująca, ale pusta. Dziewczęta, które usługują w tej kawiarni, ładnie ubrane w niebieskich sukienkach z fartuszkiem białym i białymi kokardkami rogatymi na głowie, bardzo charakterystyczne i typowe Estonki o rysach mongolskich, ale ładne w typie swoim, starannie widać dobrane i wysokie, zgrabne. Spokojne, równe, z dystynkcją. Jedna zwłaszcza piękna „Chinka" estońska o skośnych oczach, szerokiej płaskawej twarzy, równa i spokojna, jak wielka równina fińska, jak sfinks, blondynka blada – zachwycała mię majestatem swego typu pięknego. Łaziliśmy po mieście, przyglądaliśmy się typom ludzi i miastu. U kobiet żadnej kokieterii, kobiet strojnych – nie ma, ludzie są bardzo prości; ogromna łagodność spokojna i powściągliwość. Na ogół robią wrażenie sympatyczne i wydają się dobrzy, nawet mają pewną dystynkcję wielkiej prostoty i równości, ale temperamentu – nic. Ale wyjątek stanowi młodzież, której liczne wycieczki krążyły, bo to miały być dni pieśni i popisów, na który dużo się pozjeżdżało, ale z powodu chłodu święto zostało odroczone. Ulice stare – wąskie, pozamykane. Dużo jednak placów, plantacji. W starych ulicach sporo ciekawych domów w stylu staroniemieckich miasteczek, o dachach spiczastych, szczytem do ulicy, o bramach długich i dziedzińcach prastarych. Imponujący ogromem potężnym zamek rycerzy zakonnych, wystawiony niegdyś do panowania nad tym wybrzeżem Bałtyku – kolos potworny do nie zdobycia, mur największy, jaki kiedykolwiek widziałem. Obeszliśmy go dokoła. Zamek się restauruje. Zamek ten – to symbol imponujący, ale ponury pognębienia łagodnego i cichego ludu estońskiego na tych smutnych i ubogich wybrzeżach fińskich Bałtyku. Ale dziś służy on wolnej Estonii, która przecież się ostała i podczas najazdu rycerzy zakonnych z zachodu oraz zalewu moskiewskiego ze wschodu wyszła zwycięska i dziś spokojnie ten – swój odtąd zamek – restauruje jako ozdobę i piękno swojego kraju i swojej stolicy. Obiad jedliśmy w wielkiej restauracji „Du Nord" trybem fińskim z suto zastawionego stołu, z którego goście sami sobie biorą, co zechcą. Kręci się tam żarłoków i smakoszów rój, którzy jak muchy u miodu żerują dokoła stołu.

Wieczorem wyjechaliśmy promem z Tallina na Zatokę Fińską do Helsinek. Chłód był przenikliwy na morzu po przymrozku i śniegu nocy poprzedniej. Dął wiatr ostry i morze falowało mocno. Żeby łatwiej znieść ewentualną chorobę morską, dobrześmy zjedli przed wyjazdem na statku. Niebawem Andrzej i Jadzia usunęli się nie tylko z pokładu, ale i z sali wspólnej do kajuty na dole. Morze falowało głęboko, statek się przewalał na boki, wiązania drewniane trzeszczały. Ja siedziałem jak wryty i nie czułem żadnego nudzenia. Było mi dobrze i przyjemnie. Jadzia biedaczka chorowała, wymiotowała dużo, cierpiała, Andrzej położył się w kajucie i zasnął głęboko, uniknąwszy przez to choroby morskiej. Późnym wieczorem koło godz. jedenastej wylądowaliśmy w noc białą w Helsinkach. Zajechaliśmy do hotelu Carlton.

Dziś po dobrym przespaniu się spędziliśmy dzień w Helsinkach. Andrzej jest Helsinkami zachwycony. Nie spodziewał się tak wielkiego i pięknego miasta tu na północy fińskiej. Ale w moim uplanowaniu podróży zaszło małe powikłanie. Gdym poszedł do Banku Narodowego spieniężyć czeki, które miałem z Litewskiego Banku Komercyjnego na marki, odmówiono mi wypłaty, ponieważ nie otrzymano dotąd odpowiedniego zawiadomienia z Kowna, a na rachunku Litewskiego Banku Komercyjnego było gotówki li tylko 2000 marek fińskich, które jedyne mi wypłacono. Reszta czeków na 8000 marek fińskich pozostała u mnie w kieszeni, nie spieniężona. Nie mogę więc ruszać z miejsca bez tych pieniędzy na drogę. Depeszowałem do dyrektora Sołowiejczyka do Kowna, prosząc go, aby telegraficznie rzecz tę załatwił. To mię trochę nerwuje i niepokoi. Czekam do jutra mocno poruszony.

4 czerwca, rok 1935, wtorek

Sprawa pieniężna załatwiona została dobrze. Moja depesza wczorajsza do Sołowiejczyka poskutkowała. Litewski Bank Komercyjny w Kownie nadesłał wczoraj do banku tutejszego depeszę o wypłaceniu mi pieniędzy. Wskutek tego, gdym przyszedł dziś rano do banku, spieniężono mi czeki niezwłocznie. Możemy więc ruszać w drogę. Zaraz więc poszedłem do biura „Suomen Matkatoimisto" i obstalowałem dla nas trojga bilety jazdy okrężnej pociągami, parostatkami, łodziami potokowymi i autobusami z Helsinek na Viipuri-Imatrę – jezioro Saaimaa-Savonlinnę-Punkaharju-Kuopio-Vaalę-Muhos-Oulu-Rovaniemi-Kuivalahti-Kolttakongas-Liinakhamari-Yläluostari i z powrotem na Roraniemi-Oulu-Turku-Helsinki. Za bilety te zapłaciłem razem za wszystkie trzy 364 marki fińskie, czyli na lity ± 475 litów. Jedziemy parostatkiem I klasą, pociągami – III-cią, oprócz dwóch krótkich przejazdów między Vaalą a Oulu, gdzie jedziemy II klasą i przejazdu do Viipuri i do Saaimaa, gdzie dla siebie osobiście wziąłem bilet II klasy.

Dwa dni, któreśmy spędzili w Helsinkach, upłynęły nam bardzo przyjemnie i prędko. Dzień wczorajszy poświęciliśmy wyłącznie zwiedzaniu miasta i włóczeniu się po nim. Jadzia i szczególnie Andrzej byli bardzo ucieszeni Helsinkami. Andrzej był wprost zachwycony. Jadzia widywała już większe miasta, natomiast Andrzej z większych miast był tylko w Warszawie przed kilku laty i to tylko przelotem, a zresztą zdołał ją zapomnieć. Sądził, że Helsinki – to jakaś dziura zapadła na dalekiej północy – coś mizerniejszego od Tallina i Kowna. Toteż Helsinki mu zaimponowały ruchem, cywilizacją, pięknem, europejskością. Rzeczywiście też architektura – zwłaszcza gmachów publicznych w doskonałym, ślicznie skomponowanym artystycznie stylu „*modern*" (w szczególności zwłaszcza dworzec kolejowy, muzeum narodowe fińskie, kościół ewangelicki Kioto, gmach sejmowy) – jest w Helsinkach przepyszne. Dużo też różnych innych gmachów również stylowych „*modern*" i imponujących. Do efektu przyczynia się też morze, które zatokami swymi pomiędzy szkierami wcina się w samo śródmieście, wreszcie Esplanada, szerokie bulwary, ożywiony ruch tramwajów, potężne i poważne mury granitu, sprawiają pewne pokrewieństwo typu Helsinek do typu Petersburga cesarskiego, bloki granitu, wyrastające na dalszych ulicach z ziemi, jak np. przy gmachu sejmowym i gdzie indziej. Ludność fińska jest tutaj mniej niemrawa, niż estońska w Tallinie, na rasę i charakter bardziej tu oddziałały wpływy szwedzkie, akcentujące nieco temperament, więcej jest elegancji, niż w Tallinie. Zresztą lud spokojny, zrównoważony, powściągliwy, zdyscyplinowany, pracowity i bardzo uczciwy. Śliczne są rynki ranne w śródmieściu nad samym morzem, zwłaszcza imponujące jest bogactwo ryb i niezmiernie malownicze są mewy, stadami fruwające nad rynkiem, opadające do wody, chwytające odpadki, piskliwe i tworzące efekt niezwykły ruchu. Co do Andrzeja – to teraz, będąc bardzo łakomy i niezwykłego apetytu (zapowiadam mu w niedalekiej przyszłości otyłość i wielki brzuch, bo łącznie z niezwykłym apetytem ma niepowściągliwość obżarstwa), zachwycony jest także trybem fińskim jedzenia, mianowicie tym stołem suto zastawionym smakołykami, przekąskami, konserwami, przyprawami, marynatami, rybami,

mięsiwami, z którego można dowolnie nabierać wszelkich doskonałości jadła i jeść, jeść, jeść – zwłaszcza że ilość i wybór jadła nie ma żadnego wpływu na cenę.

Dziś oprócz zwiedzania miasta i włóczęgi miałem też coś innego do czynienia. Co prawda, rano też łaziliśmy po mieście dla zwiedzania i mieliśmy to jeszcze kontynuować wieczorem, ale słota mgławicowa w stylu petersburskim, charakterystyczna dla wybrzeży Zatoki Fińskiej, przeszkodziła nam w tych zamiarach. Natomiast miałem pewne interesy stosunków z ludźmi. Przede wszystkim musiałem się zwrócić do prof. Längforsa, dziekana Wydziału Filologicznego na Uniwersytecie Helsińskim i prezesa Fińskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Jak, zdaje się, pisałem w dzienniku, nasza komisja litewska, której ja jestem prezesem a Soblys – sekretarzem generalnym, zaprojektowała zwołanie na jesień konferencji tych komisji bałtyckich – litewskiej, łotewskiej, estońskiej i fińskiej – dla omówienia szeregu zagadnień w przedmiocie z jednej strony uporządkowania współpracy kulturalnej i aktualnej krajów bałtyckich między sobą i z drugiej – koordynowania stosunków krajów bałtyckich ze światem że tak powiem – zewnętrznym – z krajami pozabałtyckimi. Porozumienie takie i współpraca szczególnie dotyczy trzech spośród tych krajów – Litwy, Łotwy i Estonii; Finlandia jest w tym względzie w stosunku nieco luźniejszym z nami, albowiem należy ona poniekąd do grupy skandynawskiej i z nią jest w stosunku szczególnym, ale dla nas jest ona tym ważniejszą, że może nam służyć za pomost i łącznik do Skandynawii właściwej i poza tym, jako politycznie bardziej od nas ustalona, dodałaby nam autorytetu. Wszakże znów skądinąd Finlandia ma pewne skrupuły do zbytniego zbliżenia się z nami nie tylko dlatego, że to ją pozbawia wyłączności skandynawskiej, a poza tym bardziej ją wiąże z naszymi krajami, mającymi słabsze stanowiska w świecie, ale także dlatego, że nasz ściślejszy związek bałtycki z udziałem Litwy może mieć pewny aspekt antypolski, czego sobie Finlandia nie życzy, chcąc utrzymać z Polską, jako ewentualnym czynnikiem antyrosyjskim, stosunek bliski i jej się nie narażać, zwłaszcza gdy korzyści są dla niej wątpliwe z sojuszu z naszą Bałtyką ściślejszą. Finlandia jest w stosunku do naszej trójki bałtyckiej w pewnym stopniu arystokratką, która pospolitować się z naszym plebsem się waha. My ją chcemy wciągnąć w nasz kontakt, ona zaś wyczekuje i nie kwapi się. W mojej podróży obecne mam podnieść ideę konferencji współpracy bałtyckiej z prezesami tych komisji w Rydze, Tartu i Helsinkach, toteż zwróciłem się w tym celu do prof. Längforsa. Prof. Längfors był z góry przez Soblysa uprzedzony o mojej wizycie i celu tejże. W zasadzie nie jest przeciwny takiej konferencji, ale bądź co bądź zachował się na razie z rezerwą i oświadczył, że będzie wpierw musiał zasięgnąć opinii swojej komisji fińskiej. Prosił, abyśmy wyłuszczyli w piśmie cele, zasady i porządek dzienny motywowany tej konferencji zaprojektowanej stosownie do tego, com mu o tym mówił. Prof. Längfors z zagadnień, któreśmy obmyślili na porządek dzienny konferencji, odnotował jedną rzecz dodatnią, być może najważniejszą. Jest to uzgodnienie podręczników szkolnych w przedmiocie informacji dokładnych i treściwych o państwach bałtyckich wszystkich, aby nauczanie każdego z tych krajów było dobre i przedmiotowe i dzieci o tych swoich sąsiadach wiedziały. Między Finlandią a grupą skandynawską to się już robi.

5 czerwca, rok 1935, środa

Wczoraj w Helsinkach przed wyjazdem, mając czas, bo z powodu zadżdżenia w stylu petersburskim niepodobna było robić wycieczek po mieście, postanowiłem odwiedzić mego dawnego znajomego, którego w roku 1926 poznałem w Rovaniemi i który mi tam wtedy tak serdecznie dał przytułek – p. Alfreda Salmelę, sympatycznego Fina, z zawodu nauczyciela. P. Salmeli nie widziałem od roku 1926, ale go zachowałem w pamięci i nawet utrzymywałem z nim pewien stosunek. Wiedziałem, ze już od lat kilku przeniesiono go służbowo z Rovaniemi, gdzie był inspektorem szkolnym na całą „Pohjolę”, czyli Laponię Fińską – do Helsinek. Parokrotnie wysyłałem kartki do p. Salmeli, a raz przed kilku laty on był w Kownie i

zachodził do mnie, ale mię wtedy nie zastał, bom był wyjechał. Znalazłem więc teraz jego adres w księdze telefonicznej i pojechałem do niego. Był bardzo serdeczny, ucałowaliśmy się i pogawędzili. Trudno nam wprawdzie idzie rozmowa, bo możemy się rozmówić tylko po niemiecku, ani zaś ja nie celuję w tym języku, ani tym mniej Salmela. No ale szło nam jakoś. Do Salmeli, który mieszka po kawalersku, bo rodzina jego spędza wakacje na wsi, przychodziła jakaś bardzo miła młoda artystka-malarka Estonka z Tartu, która przyjechała do Finlandii dla jakichś odczytów. Sympatycznie nam szła rozmowa zaprawiona sympatią litewsko-estońsko-fińską. Salmela, gorący i idealistyczny narodowiec fiński, ma wielką sympatię dla Litwy (jest uczniem zmarłego prof. Niemi, wielkiego przyjaciela Litwy) i nawet się poduczył języka litewskiego. Powiada, że potrafi nawet tłumaczyć z litewskiego na fiński, ale mówić po litewsku i uchwycić sens słowa mówionego nie zdoła. Salmela i Estonka chcieli mię prowadzić do jakiegoś malarza Fina, obchodzącego swoje imieniny, ale się wymówiłem, bo wyjeżdżałem wieczorem. Obiecaliśmy się spotkać po moim powrocie z wycieczki na Północ. Salmela chce mię wtedy zawieźć do swojej willi o 40 kilometrów od Helsinek, gdzie spędza lato jego rodzina.

Był też u mnie w hotelu wczoraj wieczorem jakiś młody dziennikarz fiński, który się o moim przyjeździe dowiedział od prof. Längsforsa. Przyszedł dla wywiadu, którego mu udzieliłem chętnie. Rozpytywał mię o zamiary naszej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, o nasz uniwersytet, o moje wrażenie z Helsinek itp. Polityki nie tykaliśmy.

Wieczorem wczoraj wyjechaliśmy z Helsinek na Viipuri. Mieliśmy miejsca sypialne. Jadzia i Andrzej w klasie III, ja – w II. Moi pupile spali całą drogę w najlepsze. Ja od godz. czwartej rano byłem już na nogach i przed szóstą obudziłem Jadzię i Andrzeja. O siódmej byliśmy już w Viipuri. Po śniadaniu na dworcu kolejowym, który jest pięknym stylowym gmachem w stylu modern (jest on mniejszy od helsińskiego i różni się od niego, że tak powiem, „stylizacją stylu", ale jest nie mniej piękny i klasyczny wzorowany jest na typie wielkich hal o rytmicznych kształtach półkolistych) – wyszliśmy na miasto. Chodziliśmy i włóczyli się po pięknej Esplanadzie, po rynkach, oglądaliśmy kościoły, wielki zamek szwedzki na wyspie, odpoczywaliśmy na ławeczkach, obiad zjedliśmy w wielkiej restauracji na Esplanadzie przy dźwiękach orkiestry, umieszczonej w konsze otwartej naprzeciwko. W tej samej restauracji jadałem przed laty dziewięciu podczas pierwszej bytności mojej w Viipuri. Piękny jest zamek i potężny, choć, zdaje się, nieco mniejszy od tallińskiego. Zamek viborski na południowo-wschodnich rubieżach ziem skandynawskich u wrót Ingermanlandii, był na wschodnich wybrzeżach północnej linii Zatoki Fińskiej ostatnią wielką placówką dominacji szwedzkiej na ziemiach fińskich i zarazem warownią przeciwko ewentualnym ekspansjom Rycerzy Zakonnych Miecza w Estonii i kupieckiego Pskowa. Po obiedzie zwiedziliśmy jeszcze ciekawy dosyć dziki park naturalny „Papulau-Puisto" na olbrzymim bloku skalistym za miastem.

Po godz. szóstej wyjechaliśmy pociągiem z Viipuri do Imatry, dokąd przybyliśmy w parę godzin potem, zmieniając pociąg w Antrze. W Imatrze od stacji do potoku Vuoksi udaliśmy się pieszo i stanęliśmy na noc w wielkim hotelu turystycznym „Valtion-Hotelli" nad potokiem. Droga ze stacji do potoku w Imatrze zmieniła się prawie do nie poznania. Dawniej szło się przez las sosnowy, dziś – prawie cała przestrzeń wzdłuż drogi jest zabudowana i zużytkowana, a sama droga wylana asfaltem czy też cementem. Zakończone też są i wspaniale się przedstawiają wielkie urządzenia elektryfikacyjne na Vuoksi, które przed laty dziewięciu były dopiero w pełnym toku tworzenia.

6 czerwca, rok 1935, czwartek

Imatra. Dziś jest ona nieco inna, niż przed laty dziewięciu, kiedym ją widział. Równolegle do starego naturalnego łożyska potoku biegnie skośnie ogromne łożysko nowe, sztuczne, o równym cementowym dnie i cementowych ścianach, pełne wody, tworzące

łącznie z rozszerzonym przez naturalne wezbranie wód zatamowanych starym łożyskiem naturalnym Vuoksi powyżej potoku ogromny zbiornik wody, zamknięty po bokach przez cementowe ściany nowego łożyska i duże damby, ograniczające rozszerzone łożysko stare, a w miejscach wypływu wód zamknięty przez dwie potężne tamy: jedną u wylotu na potok i drugą – u wylotu nowego łożyska sztucznego. Wylot nowego łożyska sztucznego, które ma szerokość ogromną, zajmuje potężny korpus gmachu fabrycznego, przerabiający siłę spadku wody na energię elektryczną, tranzytowaną następnie w bliższe i dalsze okolice kraju na potrzeby elektryfikacji przemysłu. Obok korpusu tego gmachu jest jeszcze tama na pozostałą część wylotu wód. Szczegółowo obejrzeć tych urządzeń nie mogliśmy, bo bez specjalnego pozwolenia tam nie puszczają. Nadmiar wody olbrzymiego zbiornika wypuszcza się przez tamę u wylotu potoku – w potok. W potok więc Imatry trafia tylko tyle wody, ile pozostaje ponad to, co się używa na elektryfikację. Przez to samo potok Imatry musiał zmaleć wobec tego, jakim był dawniej, kiedy urządzenia elektryfikacyjne jeszcze nie istniały i nie funkcjonowały. Może być przeto, że Imatra naturalna, gdym ją przed laty dziewięciu oglądał, była potężniejsza, niż jest obecnie, ale bądź co bądź i teraz jest ona tak potężną i dziką i tak efektowną, ze dostrzec i wyczuć tego zmalenia nie zdołałem. Jest ona wspaniała. Groza i dzikość naturalna tego szalonego potoku wód, pędzącego w wielkim spadku pochyłości terenu przez ciasny korytarz, wyżłobiony w bloku granitowym na przestrzeni kilkudziesięciu lub więcej metrów – jest z niczym nieporównana. Tak samo jak dawniej, przez potok pędzone jest drzewo w luźnych belkach, które skaczą w nim i szaleją jak małe zapałki w malutkim potoczku naszych wód wiosennych. W pewnym względzie do efektu dawnego przybył jeszcze ciekawy epizod nowy wody spadającej w kaskadach poprzez wielkie otwory tamy u wylotu zbiornika w potok. Jeden z tych otworów jest zupełnie otwarty – przeznaczony dla spławu drzewa; przezeń zbiega woda ze zbiornika w potok pochyło, jak wielka równa wstęga jakiejś ogromnej transmisji maszynowej. Dwa inne otwory w tamie stanowią szpary poniżej poziomu wody w zbiorniku. Woda przez nie spada w potok, pieniąc się dziko kaskadę i tryskając fontannami pyłu wodnego jak para lub mgła. I Andrzej, i Jadzia byli zachwyceni, a nie mniej zachwycony byłem ja, choć to już widziałem. Nigdy chyba widok i wrażenie Imatry spowszednieć nie może. I wczoraj, i dziś obchodziliśmy wzdłuż potok to z jednej, to znów z drugiej strony od jego początku do końca i odwrotnie. Jadzia przy tym nałykała się sporo strachu i niepokoju, gdy Andrzej próbował brawować i wysuwać się na krańce złomów granitu nad potok, mnie zaś Jadzia trzymała za fałdy i pilnowała każdego ruchu mego, abym się nie naraził na niebezpieczeństwo. W nocy spaliśmy w hotelu nad Imatrą doskonale, a przez całą noc nam do snu przygrywał huk nieustający potoku. Pojechaliśmy też autem rano o 6 kilometrów do potoku Wallinkoski, który jest w innym rodzaju. Tam rzeka jest rozlana szeroko, ale pędząc w ogromnym tempie, wpada na podłoże skaliste, zawalone odłamami głazów, po których pędzi, przewala się, rozbija i rozstrzela, szumiąc, pryskając i pieniąc się gwałtownie. Mieliśmy tam mało czasu do oglądania, toteż ledwieśmy tam doszli i trafili na wysoki stromy brzeg lesisty nad potokiem, musieliśmy tam z Jadzią krótkich zaledwie 10 minut postać i przyjrzeć się efektownemu zjawisku głęboko u stóp wysokiego zbocza – i już trzeba było wracać do auta. Tylko Andrzej zbiegł w dół i ledwie nas potem dopędził do auta. Pod silnym wrażeniem pożegnaliśmy Imatrę. Jadźka ten epizod podróży uważała za najciekawszy. Zdaje się, że i Andrzej był tegoż zdania.

Koło godz. drugiej odjechaliśmy z Imatry do stacji Vuoksenniska, gdzie wsiedliśmy na parostatek „Imatra II" w podróż po jeziorze Saimaa. Siedzieliśmy na pokładzie statku z tyłu. Było jednak dość chłodno. Obiad na statku był dość nędzny. Apetytu Andrzeja nie zaspokoił. Jechała z nami statkiem jakaś wycieczka kilkudziesięciu dzieci angielskich ze szkoły londyńskiej, w wieku koło 10-13 lat. Pełno ich było wszędzie. Dziwaczyli się, bili się, bawili jak szaleni. Im dalej – tym jezioro Saimaa było ciekawsze, bardziej urozmaicone przez wysepki skaliste, porosłe młodą roślinnością brzóz i sosenek, które cudem rosną w

szczelinach głazu. Ta roślinność, jak zresztą wszystkie bodaj lasy fińskie, jest zawsze młoda i wątła. Drzew, jak u nas, potężnych i grubych, rozrosłych w bory i wyrastających w puszcze, gdy człowiek ich nie rujnuje – tu się nie widzi zgoła. Nędzna jest tu ziemia, uboga jest natura głazów, skał, wód i lasów, ale piękno jest wielkie. Nie widać tu dobrobytu rolnego, nie czuć zasobnych gospodarstw, ale pracowitość bardzo rzadko rozsianej ludności. Z jeziora Saimaa tego ubóstwa nie widać i nie czuć. Tu się czuje tylko piękno dziewicze przyrody surowej – skał, zieleni wątłej, wód i wysepek, widoków malowniczych i bladego nieba oraz blasku mgławicowego białych zmroków i nocy. Świata ludzi i ich gospodarki nie widać. Wsi się nie spotyka, osady ludzkie widzi się znikomo rzadko.

7 czerwca, rok 1935, piątek

Rano dopłynęliśmy do Savonlinny (Nyslott). To ładne wesołe i czyste miasteczko w połowie wielkiego dorzecza jezior Saimaa, zwane czasem „perłą Saimaa", znane z mojej pierwszej podróży fińskiej przed dziewięciu laty. Aniśmy się obejrzeli, jak nam upłynęły te kilka godzin, które były przeznaczone do pobytu w Savonlinnie. Na program naszej wizyty savonlińskiej złożyły się: a. spacer po rynku – dzień był targowy; zresztą na rynku nic zbyt ciekawego, ciekawe tylko typy ludzkie; b. kawiarnie; c. wizyta w biurze Związku Turystów; Związek Turystów ma tu swój lokal w gmachu drewnianym, zbudowanym na wysokim występie bloku granitowego z wysoką basztą drewnianą, z której szczytu, dominującego nad miastem, roztacza się na cztery strony wspaniały widok na miasto, na starożytny zamek szwedzki Olofsborg (Olavinlinna) i na archipelag jezior, usianych wyspami i wysepkami granitowymi, obrosłymi laskiem brzózek i sosen; d. zwiedzanie zamku wspaniałego, pochodzącego z wieku XV, o murach wiecznych, zbudowanego z kamienia na wysepce skalistej, stanowiącego niegdyś klucz panowania nad tym olbrzymim archipelagiem kilkusetkilometrowym w samym środku tegoż. Ten wielki archipelag środkowofiński utworzony jest z przeolbrzymiego bloku granitowego, porysowanego przez lodowce, którego wyżłobienia napełnione są wodą, a występy tworzą archipelag wysp i wysepek oraz ląd stały, poprzecinany wodami i żyłami jezior. Całość tego dorzecza wód tokiem przedwiecznego lodowca nachyla się i nadmiar swych wód spuszcza ku południowemu wschodowi, zasilając główną swą arterię odpływową Vuoksę, która ścieka do wielkiego zbiornika Ładogi. Między poszczególnymi fragmentami dorzecza jezior Saimaa są łączniki krótkich rzek i potoków, odprowadzające te wody wciąż ku południowi. Zamek Olavinlinna jest imponujący i zachowany starannie ze swymi basztami, murami, lochami skalnymi, dziedzińcami i urządzeniami. Ponury to i potężny twór czasów przeszłych i kultury społecznej już przeżytej, wielka koncentracja energii i siły, zakuta w kamieniu, niegdyś dziejowo twórcza, dziś już, że tak powiem, muzealna i pomnikowa, ale stanowiąca jaskrawe ilustracje dziejów krajowych, pewnego rodzaju ich epizody syntetyczne. Andrzej jest szczególnym adoratorem tych zamków, które czynią nań wrażenie fascynujące, toteż zwiedza je i obserwuje namiętnie – tak w Tallinie, jak w Viipuri, jak tutaj. My z Jadzią tylko powierzchownie obejrzeliśmy zamek z zewnątrz i w dziedzińcach jego.

Po lunchu w doskonałej restauracji Rentsivintola przy ulicy Linnenhatu wsiedliśmy na parostatek „Punkaharju II" i odjechaliśmy z Savonlinny do położonej o 28 kilometrów miejscowości Punkaharju, słynącej z najpiękniejszych widoków w tym malowniczym pojezierzu środkowofińskim. Punkaharju – jest to wielka 7 kilometrów długa i wysoka morena polodowcowa, wystająca z wód jeziora wąskim długim pasem jak *sui generis* mierzeja morska, porosła lasem sosnowym, który tu rośnie wysokopienny i gruby, zupełnie jak u nas, zgoła różny od tych wątłych sośniaków, porastających grunt skalisty wysepek lub lądu fińskiego albo też bagna torfowe nizin lądu fińskiego. Tu w piasku i żwirze morenowym sosny są zdrowe, silne i bujne, wyrastające w drzewa potężne. Środkiem szczytowym moreny Punkaharju przez całą jej długość biegnie wspaniała szosa, połączona promami z gruntem

stałym. Morena Punkaharju w jednym końcu się rozszerza półkoliście, a drugi dłuższy swój koniec ma wąski i wydłużony. W jednej swojej części jest ona otoczona wieńcem wysp i wysepek granitowych, typowych w dorzeczu Saimaa, porosłych lasem jak wszystkie, a w drugiej połowie swojej biegnie samotnie przez jezioro, oblane z obydwóch stron otwartą wodą jeziora. Widoki z wierzchołka moreny są zaiste śliczne, zwłaszcza w części, w której jest ona otoczona skalnymi wyspami. Płaszczyzny błękitne, siwe, białawe, stalowe wód, zatoczek, wężykowatych kanałów naturalnych kojarzą się w kombinacjach przeróżnych z wysepkami i ich zielenią, które się odbijają w wodzie. Wszystko to tworzy przecudne widoki, coraz to inne w każdym punkcie obserwacyjnym.

8 czerwca, rok 1935, sobota

Osławione w turystyce fińskiej Punkaharju jest niewątpliwie pod względem bogactwa i malowniczości widoków, kojarzących efekty wody z efektami zieleni, wspaniałe i niezrównane i jako takie warte jest zwiedzenia, bawiąc w tych stronach, ale niemniej jest ono nie powiem – banalne, bo bym zadał kłam wprost niezwykłemu pięknu natury, ale jest w Finlandii egzotyczne, nie stylowe. Morenowy, nie skalisty (granitowy) charakter tego epizodu natury, jego roślinności, styl jego widoku – to nie jest fińskie i nawet się kłóci z naturą archipelagu Saimaa. Efekty Punkaharju mogłyby być litewskie – z naszych jezior, jak również z jezior Łotwy, Polski, Prus itp. Takich nagromadzonych wspaniałości piękna i malowniczości widoków w naszych jeziorach, zdaje się, nie mamy, ale one do naszej natury by pasowały, nie kłóciły się z nią, jak by się kłóciły inne widoki wodno-granitowe fińskie. Słowem – Punkaharju w całości nie jest oryginalnie fińskie, a przynajmniej nie jest nim wyłącznie, albowiem fragmenty oryginalne – zwłaszcza w charakterze wieńca otaczających pewną jego część wysepek, składających się na jego widoki – ma. Jest ono tu w tej przyrodzie czymś egzotycznym i sztucznym, pewnym wybrykiem natury, pewnym faktem dodanym, wprawdzie przepięknym w sobie, ale wnoszącym coś obcego ze stron naszych. Jest nieoczekiwane.

W Punkaharju Finlandia oryginalna kojarzy się z Bałtyką południową i wschodnią. Spędziliśmy w Punkaharju całe poobiedzie i wieczór wczorajszy do dziś rano nocując w „Walton-hotelu” Związku Turystycznego. Zrobiliśmy jedną krótką wycieczkę po morenie z Jadzią i Andrzejem w sferze widoków wysp, drugą dłuższą i dalszą przechadzkę z Andrzejem w noc białą i wreszcie dziś rano ekskursję autem wzdłuż całej moreny do końca.

W całym dorzeczu jezior Saimaa, a w Punkaharju szczególnie, jest raj ptactwa. Kukułka kuka tu przez noc całą, a w Punkaharju kukanie jej rozlega się bez ustanku, to się oddalając, to znów zbliżając – przeciągłe, echem odbijając się po wodach, namiętne i zachłystujące się. Wszakże ptactwa wodnego nie spotkaliśmy w dorzeczu Saimaa ani razu – mam na myśli kaczki i im podobne, tylko rybitwy białe są liczne, ale tylko w części południowej – od Savonlinny na północ, gdzieśmy dziś płynęli, nie spotkaliśmy tych drapieżców świata rybiego wcale. Zaczęliśmy odczuwać utrapienie stref północnych – komarów. Płynąc po jeziorze ich nie ma, bo wiatr je rozpędza, a może też nie lubią one strefy skalistej, ale w Punkaharju i wpierw jeszcze w Vallinkoski pod Imatrą roje ich nas opadały; mam nogi całe przez nie pokąsane, a wrażliwy jestem na ich ukąszenia niezmiernie. Od ukąszenia komarów dostaję świerzbu, robią mi się na skórze pęcherzyki swędzące, nogi się rozraniają.

Rano dziś udaliśmy się na południe do Savonlinny z Punkaharju pociągiem. W Savonlinnie mieliśmy czas tylko na lunch. Odjechaliśmy zaraz statkiem via Heinävesi na Kuopio, gdzie staniemy jutro rano. W pierwszej mojej wycieczce fińskiej jechałem do Kuopio na Leppavirta. Mam wrażenie, że droga na Heinävesi, którą teraz poznaję, jest bardziej urozmaicona, niż tamta, tylko szkiery się tutaj mniej ciekawe i drobniejsze, niż tam. W ogóle podróż przez Saimę jest w części północnej – od Savonlinny do Kuopio – znacznie piękniejsza, niż w części południowej – między Savonlinną a Vuoksą. Jest tu więcej i

większej rozmaitości wysepek, stanowiących cudo tych jezior. To wysepki skaliste, zwłaszcza drobne rozmaitych kształtów, konturów – to coś bajecznego. Najcudniejsze są one w białą noc lub o świcie, kiedy białe wody jezior są osnute delikatną senną mgławicą oparów leciutkich i cały widok wód, skał granitowych z ich mchem białawym i ich zielenią nędznego porostu brzozowo-sosnowego zdaje się jakimś widmowym, nierealnym zgoła. Na wodach. w szczególności we dnie i w części południowej i środkowej jezior, ruch jest dość duży. Często się spotyka parowce, holowniki z balami towarowymi lub długimi sznurami płytów drzewa, czasem łódeczki się gdzieś przewijają. Osady ludzkie wybrzeżami są niesłychanie rzadkie. Dokoła dzika przyroda skał i młodych lasków. Las jest wyłącznie młody, cienki, drobny. Nie brzozy i sosny, lecz brzózki i sosenki. Na skałach, które są prawie nagie, inna roślinność drzew jest niemożliwa. Drzewo nie wyrasta, bo nie ma miejsca i pokarmu dla korzeni. Wyrastają młodziutkie i giną. Gdzieniegdzie – bardzo rzadko – ukaże się między drzewkami jakaś willa lub domeczek. Znów gdzieniegdzie zamajaczy jakiś tartak, ale to na wielkich odległościach. Na wielkich też odległościach jakaś chatka, domek lub parę domków malowanych na czerwono z białymi ramami okien i albo – rzecz niezwykła – jakaś osada, a już zgoła niepospolite i prawie niesłychane zjawisko – osada rolna i pólka uprawne, bardzo nędzne, w kamieniach i głazach. Dzikie to wszystko i surowe. Osady, domki – samotne, bez żadnych ogródków, bez drzew dekoracyjnych. Najwyżej – takież dzikie samorzutnie rosnące brzózki i sosenki albo jodełki. Nie ma wcale kwiatów i kwietników, drzew rozgałęzionych i cienistych. Domki, jeżeli się trafiają, sterczą w takiejże dzikiej atmosferze przyrody, jak tam, gdzie ich nie ma. Nie inaczej zresztą jest na lądzie stałym tutaj. Ogrodów owocowych już tu nie ma. Drzewa takie jak dęby, lipy, klony itd. nie rosną. Tylko domki wśród nędznych lasków w skale lub torfie, krzywe płoty fińskie, jak u nas, na Żmudzi, czasem pólka kamieniste i tak biedne, że żal patrzeć. Ale i tam, gdzie czasem nie ma skały lub torfu czy bagna, drzewa coraz bardziej na północ karleją i tracą na rozmaitości gatunków. Sosna, jodła, brzoza, w Savonlinnie – modrzew, czasem topola, jarzębina – są niskopienne. Ciekawą i charakterystyczną ewolucję przeżywa ku północy nasza brzoza zwyczajna, bo prócz zwyczajnej jest tu w Finlandii jeszcze ładna brzoza o listkach zębatych, której dużo widziałem na Imatrze i w Savonlinnie (i Olavinlinnie). Brzoza, karłowaciejąc ku północy, zaczyna się rozrastać wszerz, imitując nasze rozgałęzione dęby, klony i kasztany i inne. Zdawałoby się, że bierze na siebie reprezentację zastępczą tego kształtu drzew. Rośnie nie w górę, lecz wszerz. Nasze brzozy są drzewem dość strzelistym, mają kształt zwrócony ku górze, podczas gdy tu stają się drzewami rozłożystymi o wielkich ramionach konarów. Dotyczy to zresztą tylko brzóz rosnących w glebie, nie zaś tych wątłych skalnych, które na gruncie na wysepkach Saimaa są delikatne i strzeliste jak w naszych młodniakach brzozowych.

9 czerwca, rok 1935, niedziela

Parostatek, którym płyniemy z Savonlinny do Kuopio, nocował, to znaczy stał od godz. dziesiątej wieczór do drugiej rano, na przystani we wsi kościelnej Heinävesi w połowie drogi do Kuopio. Wieczorem, ponieważ to była sobota i wigilia Zielonych Świątek, cała młodzież ludowa Heinävesi była się zebrała na przystań. Chłopy niewiele się różnią od naszych parobczaków wiejskich litewskich – taka sama postawa, maniery, zachowanie się i żarty „przedwieczorynkowe". Kilku było dobrze podchmielonych. Nasz kapitan, miły towarzyski i przystojny młody mężczyzna, sam także podchmielony (w Finlandii skasowano już tzw. suchy „*régime*" bez alkoholu, który tu miał miejsce za mojej pierwszej wizyty przed dziewięciu laty), wybrał się do łaźni wiejskiej, namawiając i turystów do tego, aby im pokazać tę narodową charakterystyczną instytucję fińską. Para Niemców pokwapiła się na to, ale my z Andrzejem nie wzięliśmy w tym udziału, bo dla nas łaźnia fińska nie jest nowiną. Jest ona pospolitą i w naszych zwyczajach litewskich (oprócz Suwalszczyzny), jak też

rosyjskich. U nas nazywa się ona nawet z fińska „pirtis” – od fińskiego słowa „pirtti”, która oznacza chałupę czy też dom. Niemcy potem dziwy opowiadali o tej łaźni fińskiej, której spróbowali: o wodzie polewanej na rozpalone kamienie, o parzeniu się i poceniu i temperaturze 70° Celsjusza, o smaganiu się rózgami brzozowymi i wybieganiu z łaźni do rzucania się do zimnej wody jeziora itd. Dla nas są to rzeczy pospolite, zapożyczone jeszcze przed setkami lat od Finów i mocno utrwalone w zwyczajach narodowych.

Podczas postoju nocnego w Heinävesi poszliśmy spać. Ja pisałem jeszcze na pokładzie w noc jasną dziennik i położyłem się dopiero o wpół do dwunastej w kajucie z Andrzejem. Ale gdy statek o drugiej ruszył – nie mogłem już spać. Wstałem przed trzecią. Ranek był pełny lekkich oparów nad masami wód jeziora i w bladym białawym dniu poranka fantastycznie się prezentowały wody, niebo i skalne wysepki z ich wątłą roślinnością drzewek, między którymi się uwijaliśmy, różnych kształtów i rozmiarów. Widok był śliczny jak z sagi skandynawskiej i pachnący jak bajka wysp petersburskich w białe noce majowe nad Newą. Rozkoszowałem się fizycznie tą poezją natury fińskiej, siedząc na pokładzie w chłodnej wilgoci mgieł i w rześkim ostrym poczuciu natury północnej. Niebawem wszakże zbliżając się do Kuopio, wyjechaliśmy z najpiękniejszej części archipelagu, usianego wyspami i wysepkami, na szersze wielkie przestrzenie wodne jezior, a choć potem znów zaczęliśmy napotykać wyspy, to jednak były one już mniej ciekawe, większe, symetryczniej ułożone, monotonne. Pod Kuopio piękno i poezja wielkiego dorzecza jezior Saimaa spływających ku Ładodze – przemija. Koło szóstej obudziłem Jadzię, potem Andrzeja, którzy wstali senni i niemrawi, bo więcej ode mnie potrzebują oni wypoczynku i bardziej są wrażliwi na poranki chmurne niż ja. Wypiliśmy kawę i czekaliśmy przyjazdu do Kuopio. Ale otóż i Kuopio. Zawieźliśmy dorożką rzeczy na dworzec kolejowy i rozporządzając przeszło czterema godzinami czasu, poszliśmy łazić po mieście. Nudna to i szablonowa północna mieścina fińska, monotonnie szablonowymi białawo malowanymi domkami zabudowana dość symetrycznie; domki te przypominają zabudowania stacyjne w innych krajach z czasów panowania rosyjskiego – senne i nudne. Zdaje się, że jedyna ulica Kościelna – Kirkkokatu – jest nieco mniej monotonna. Ciekawszy jest też ogródek na placu kwadratowym przed kościołem ewangelickim, do którego zajrzeliśmy z Andrzejem na nabożeństwo hymnów czy psalmów śpiewanych. Ogródek ten, jak zresztą przeciętny wygląd Kuopio i jego uliczki od dworca kolejowego do centrum, przypomnialem sobie z podróży poprzedniej. Drzewa są tu w Kuopio jeszcze charakterystyczniej północne, niż widziane przez nas dotąd. Brzozy rozwaliste, naśladujące dąb, klon lub inne nasze drzewa rozłożyste, jodły wąziutkie i strzeliste, jak prasymbol gotyku... Jest też kilka lip, zupełnie jeszcze nagich, jest oczywiście jarzębina, która w tej strefie pasowana już jest na drzewo dekoracyjne parków. W rozwoju listwy drzew i w ogóle zieleni tu w Kuorpio opóźnienie jest już znacznie większe, niż w Helsinkach, Viipurii i nawet Savonlinnie. Wynudziliśmy się w Kuopio, w którym ani mnie, ani towarzyszom moim się nie podobało i bez żalu pożegnaliśmy je, odjeżdżając pociągiem dalej na północ – na Iisalmi, Kajaani, Kontionieki, Vaalę. Do Iisalmi natura jeszcze siako taki dotrzymuje placu. Zarośla nędznych lasków w mchach, krzywe płoty, są jeszcze osady rolne, wsie, są pólka, wprawdzie nędzne. Wszakże dalej, na Kajaani, natura mocno dziczeje, Północ wchodzi w swe prawa. Opóźnienie w rozwoju wiosennym flory coraz jaskrawsze. Nawet brzózki i drobne zarośla liściaste są przeważnie jeszcze nagie, bez liści. Brzózki już nawet w tzw. lasach (ta nędza porostu w mchach, bagnach lub w najlepszym razie skałach – tylko w cudzysłowie mogą być nazwane „lasem”) – oto i nawet już w „lasach” brzózki nie tylko karłowacieją, ale zaczynają naśladować dęby i klony, a jodełki stają się szczególnie wąskie i spiczaste, strzeliste i otoczone króciutkimi i rzadkiemi gałęziami, stające się jakimś wydłużonym wąskim pniem z delikatną mgiełką gałązek coraz krótszych ku górze. Pólka uprawne prawie całkiem znikają. Za Kajaani, pod Korte Kankari i dalej ku Vaali – jeszcze gorzej. Przy bardzo rzadkich osadach, trafiających się wśród olbrzymich przestrzeni „lasów”,

pólka są zaledwie takie, jak ogródki i tylko w paru miejscach na spadach południowych nad jeziorem widać lepsze poletka uprawne. Zresztą nic prócz zarośli karłowatych i wątłych brzózki, sosenki i jodełki. Dostrzega się już miejscami zapowiedź tundry – ukazują się coraz większe bagniska, na których już nawet taki „las” rosnąć przestaje i karłowacieje oraz zanika zupełnie. Nędzna przeraźliwa pustynia. Wiosna teraz opóźniona tutaj co najmniej o półtora miesiąca w stosunku do naszej. Listków na brzozach jeszcze nie ma. W Kontiomaki zamieniamy pociąg. Nagle niedaleko kresu naszej podróży dzisiejszej, między Jaalanką a Vaalą, po raz pierwszy spostrzegamy długie płaty resztek zimowych śniegu na północnych zboczach urwisk piaszczystych. Tego już u nas nawet na Wielkanoc w kwietniu nie było. Przekroczyliśmy 64° północnej szerokości geograficznej. Od strefy arktycznej dzieli nas 2 ½ stopnia.

10 czerwca, rok 1935, poniedziałek

Do Vaali u wypływu rzeki Oulujoki z jeziora Oulujärvi dojechaliśmy wczoraj wieczorem koło godziny ósmej pociągiem z Kontiomaki przez dziką pustynię nędznych północnych zarośli leśnych, gdzieśmy widzieli jeszcze resztki śniegu zimowego, mchy, sosenki karłowate, jodełki strzeliste o rzadkim i przezroczystym rozgałęzieniu, brzózki bezlistne o tendencjach rozrostu rosochatego, gdzieniegdzie bagna – pierwsze zwiastuny tundry północno-wschodniej, czasem widoki jezior wspaniałych, na ogromnych przestrzeniach bezludnych rzadkie nędzne osady, wegetujące wśród płotków krzywych – nic ponadto. Jadzia i Andrzej spali beznadziejnie w wagonie, znudzeni ubóstwem jednostajnym widoku z okien i usypieni obfitym jadłem przekąsek fińskich i ciepłem dusznym wagonu, w którym zwyczajem fińskim okna nie są odmykane. W ogóle tak Jadzia, jak Andrzej są już dosyć zmęczeni podróżą. Są oni o wiele mniej wytrwali na podróż niż ja. Że Jadzia nie jest wytrzymała – temu się nie dziwię, bo jest z natury słaba. Niewiele je, nie wysypia się dobrze przy ciągłej zmianie miejsc w hotelach i na statku, nie znosi też nocy białych w ich blasku bladawym Północy. Ale Andrzej też się okazał słaby, choć jest tęgi, najada się więcej niż za dwóch. Potrzebuje on dużo snu, prędko się męczy, bywa senny i niemrawy, o ile się czymś nie podnieca. Zresztą starannie prowadzi notatki z podróży, kompletuje zbiór pocztówek, wielkie wrażenie uczyniły na nim Helsinki, Imatra, skały fińskie, zamki w Viipuri i Olavinlinna, widoki Punkaharju, potok Vallinkoski. Jednak noce białe nie czynią nań wrażenia, jeziorem Saimaa i archipelagiem wysepek skalnych w wielkich wodach środkowofińskich nie interesował się wcale, widoków tych prawie że nie widział, na statku się nudził widocznie. Nie zajmuje go też wcale dzikość natury północnej, jej flory ubogiej, ale bardzo charakterystycznej. Jadzia na urok piękna jest bardziej od Andrzeja wrażliwa, chociaż jej wrażenia nie są intelektualistyczne: Jadzia ma więcej czucia bezpośredniego i ma zmysł artystyczny bardziej rozwinięty, a przynajmniej z natury głębszy, choć nie dość wykształcony.

W Vaali stanęliśmy naturalnie w hotelu Związku Turystów, wybudowanym na posiadłości tegoż związku na przeciwnym brzegu rzeki, niż wioska Vaale. Oba brzegi łączy duży most kolejowy i pociąg dowozi turystów do samego hotelu, gdzie umyślnie przystaje w tym celu za mostem o 1 ½ kilometra od właściwej stacji kolejowej Vaala. Przed laty 9 za poprzedniej mojej podróży fińskiej tym samym szlakiem turystycznym – jechało się do Vaali parostatkiem z Kemi po jeziorach, a z wioski Vaali przeprawiało się do hotelu przez rzekę promem. Mam wrażenie, że wtedy nie było jeszcze kolei żelaznej z Kontiomäki przez Vaalę i Nuojuę – z Ojelonoję-Muhos do Oulu biegnącej wzdłuż północnych wybrzeży jeziora Oulujärvi i południowego (lewego) brzegu rzeki Oulujoki. Dla mnie jazda obecnie koleją z Kajaani przez Kontiomäki do Vaali, niż jazda z Kajaani do tejże Vaali jeziorem. Choć jeziorem widok jest bardziej malowniczy, ale za to jazda pociągiem daje urok wrażenia bezpośredniego tej dzikiej natury, która tutaj jest już na wpół tundrowata i bardzo

charakterystyczna, wprost groźna w swoim ubóstwie surowym. Dla Jadzi i Andrzeja była to strefa „nudna”, działająca im na sen, dla mnie była bardzo ciekawa, wcale nie mniej ciekawa od innych części kraju. Jest w niej coś niezmiernie mistycznego, co musi układać duszę człowieka północnego na wielką tajemnicę skarbów wewnętrznych w sobie samym. Pojmuję zupełnie miłość tych ludzi dla swego kraju, wydającego się ludziom z południa krajem nędzy i nudy.

Sama Vaala jest piękna. Piękna przede wszystkim przez dzikość surową swojej flory północnej, zupełnie tu jeszcze takiej samej, jak pod Kontiomäki-Kajaani, następnie przez potęgę żywiołu swych wód, na które się składa z jednej strony ogromne jezioro z wypływającą się zeń gwałtownie rzeką i z drugiej strony – potok Niskakoski, w który się rzeka też za Vaalą wlewa i który, zanim się go jeszcze widzi, już daje znać o sobie potężnym nieustającym hukiem i rykiem pędzących w dzikim tempie wód. Na piękno urocze tej osady składa się też na jednym brzegu rzeki ładna czysta osada wioski rozrzuconych domków i zabudowań rybackich z kilku gmachami większymi, ogródkami poletek uprawnych, głazami i szosą, na drugim zaś – kulturalnej osady turystycznej ładnego hotelu z zabudowaniami gospodarskimi i urządzeniami odpowiednimi, co wszystko na tle tej natury surowej i dzikiej, zwłaszcza w bladym blasku wieczora i nocy północnej, robi wrażenie niesamowite bajki prześlicznej, nie jaskrawej wszakże, ale silnej. Hotel Związku Turystów w Vaali znany z poprzedniego pobytu mojego tutaj. Utkwił mi on dobrze w pamięci, bo efekt był silny i oczekiwanie niezwykłej i nieznanej mi jeszcze wtedy jazdy łodzią po potoku czyniło duże wrażenie, toteż wszystko, co się z tym wrażeniem łączyło, podziałało mocno na wyobraźnię i pamięć. Choć tylko jedną noc tu wtedy spędziłem – zachowałem w pamięci całość osady hotelowej i samo wnętrze hotelu i pokój, a zwłaszcza widok przez okno pokoju, w którym się lokowałem i w którym po raz pierwszy pisałem dziennik o północy przy świetle naturalnym w noc białą. Wszystko to teraz odżyło w pamięci mojej i wszystko poznawałem dokładnie. I pamiętałem również dobrze miejsce, z którego się wsiadało na łodzie, choć teraz miejsce wsiadania zostało zmienione. Pokoje dostaliśmy teraz inne, niż miałem wtedy – z widokiem teraz na jezioro. Zaraz, jenośmy wypili kawę, udałem się z Andrzejem szosą kawałek, a stamtąd zboczyliśmy nad potok, aby mu się przyjrzeć z brzegu przed jazdą nazajutrz. W poprzedniej podróży mojej nie miałem czasu na oglądanie potoku i na niewidziane popłynąłem nań łodzią. Teraz przyjrzeliśmy się potokowi z Andrzejem, a dziś rano powtórnie z Jadzią. Potok rozpoczyna się kilkoma naraz strumieniami, na które się rozdziela rzeka. Wszystkich strumieni w całym ich biegu ogarnąć naraz wzrokiem z brzegu niepodobna, bo je rozdzielają wysepki, zarośnięte krzewami i drzewkami. Ale ich wyloty się zlewają w jedno łożysko wspólne, skacząc i pieniąc się jak wściekłe, a nad całością obrazu wód w pędzie rozszalałym dominuje huk silny i równy, jak harmonia kosmosu w żywiole elementarnym. Widok tego pędu jest wspaniały – jest w tym uzmysłowiona energia imponująca. Odbyliśmy też rano przed odjazdem krótką wyprawę przez most do wioski, którąśmy obeszli i obejrzeli powierzchownie. Następnie spożyliśmy lunch w hotelu i w południe wsiedliśmy do łodzi. Hotel turystów w Vaali na sezon bieżący i jazda potokiem otwarta została dopiero w sobotę. Ruch turystyczny jeszcze prawie się nie rozpoczął. Toteż wypłynęliśmy tym razem tylko jedną łodzią w siedem osób, nie licząc obsługi, złożonej z dwóch wioślarzy i dwóch sterników. Publiczność składaliśmy my troje, dwoje turystów Niemców – pp. Weberowie – brat i siostra, którzy odbywają z nami podróż turystyczną już od Imatry i z którymi jużeśmy się zapoznali, jedna Niemka w średnim wieku, miła i grzeczna osoba i jeden mężczyzna Fin dość młody. Przez pierwszą serię potoków, zwaną Niskakoski, płynęliśmy kilkadziesiąt minut. Nie potrzebuję mówić, jakże śliczne i pełne niezwykłego powabu wrażenie czyni ta jazda po szalejącym potoku. Nie jest to już nowiną dla mnie. Wrażenie, jakie to czyniło na Jadzię i Andrzeja, było ogromne.

Potok Niskakoski jest krótszy, niż następny – Pijhakoski – i wybrzeża nie są też tak malowniczo piękne, jak tam, ale za to ma fragmenty bardziej gwałtowne i burzliwe, w których więcej jest piany, skoków fali, gwałtu, niż w potoku następnym, dłuższym i szczególnie efektownym w swoich fragmentach leśnych wśród wysokich stromych wybrzeży. Tym razem jazda wydała mi się mniej straszna i niebezpieczna, niż za pierwszej mojej jazdy, ale efekt był, zdaje się, równie silny. Człowiek kocha siłę, doświadczenie niezwykłe i nawet niebezpieczeństwo i ryzyko. Dlatego też kto wie, czy kiedykolwiek znikną na świecie ludzkim wojny, choć są one tak straszne i tak bolesne.

11 czerwca, rok 1935, wtorek

Marszruta jazdy turystycznej potokami rzeki Oulujoki z Vaali do Oulu obecnie uległa zmianie w porównaniu do roku 1926, w którym tę podróż odbywałem. Wyjeżdżało się wtedy z Vaali łodzią potokową po potoku Niskakoski, następnie po wypłynięciu na wody równe przesiadało się do łodzi motorowej, która transportowała turystów przez jeziora i spokojny bieg rzeki do miejsca, gdzie się zaczyna drugi z rzędu potok Pyhikoski, tam się znów przesiadało do łodzi potokowej i pędziło potokiem do Muhos, skąd się jechało autem lub autobusem do Oulu. Teraz po przebyciu potoku Noskakoski idzie się kilometr drogi przez laski do stacji kolejowej Naujeui, gdzie się siada do pociągu i jedzie do stacji Ojolenge przy wypływie potoku Pyhikoski, a w Muhos znów się wsiada do pociągu, podanego specjalnie dla turystów potokowych i dojeżdża się do Vaalu.

Potok Noskakoski wywarł na nas wszystkich – siedmiu podróżnych, siedzących w łodzi – wielkie wrażenie. Ja jeden płynąłem nim po raz rugi, dla innych była to nowina. Andrzej został zalany falą potoku, która wpadła do łodzi, ale w sensacyjnej podróży po potoku nikt się na taką przygodę nie uskarża, owszem – to się każdemu podoba: jest to pieprzyk do sensacji. Wszyscy też płynący potokiem chcieliby, żeby ciągle było najstraszniej i gdy się jakiś czas płynie spokojniejszą wodą – tęsknią do pieniących skocznych fal kotłującego potoku i wypatrują przed siebie, chcąc jak najprędzej znów usłyszeć szum i ujrzeć bielejącą pianę, zwiastującą nowe kotłowanie potoku. Pod względem gwałtowności potok Niskakoski trzyma prym, ale jest krótszy. W Naujaui po przyjściu na stację kolejową piliśmy wspólnie kawę u jakiegoś wieśniaka przy stacji i dzieliliśmy się wrażeniami. Z Ojalenoje wpłynęliśmy na Pijika – dłuższy i o niezwykle malowniczych wysokich brzegach lesistych potok. Ten jest nieco mniej gwałtowny od poprzedniego, ale – zwłaszcza ku końcowi – jest ciąglejszy, a w jednym odcinku swego biegu, gdzie piany i skoku fal nie ma, woda, pędzi bardzo szybko nurtem głębokim, tworzy mnóstwo bardzo ciekawych i nęcących swą tajemniczą ciszą wirów, które i ten przejazd czynią niezmiernie efektownym. Że zaś i wybrzeża są tu niesłychanie malownicze, przeto ten drugi potok Pyhikoski jeszcze się bardziej Jadźce i Andrzejowi podobał, niż pierwszy. Wysiedliśmy w Muhos z żalem i tęsknotą. Płynęłoby się tymi potokami bez końca – tak to jest piękne i efektowne. Jest w tym piękno i razem poczucie hazardu, którego zmysł drzemie w każdym bodaj człowieku.

Z Muhos dojechaliśmy niebawem do Oulu. Było to wczoraj wieczorem. Na planiku miasta, którego rozkład jest niezmiernie, wprost po amerykańsku prosty, składający się z dwóch linii równoległych ulic krzyżujących się z poprzecznymi zawsze pod kątem prostym, tak że cały plan jest podzielony na równiutkie prostokątne kwadraty i tylko wyspy oraz wybrzeża rzeki Oulujoki i dalekie przedmieścia się wyłamują z tego schematu, znalazłem mój hotel, mieszczący się w gmachu, zdaje się, ratusza miejskiego i udaliśmy się doń pieszo. Jest to ten sam hotel, w którym nocowałem w roku 1926. Pamiętałem dobrze i sam hotel, i mój pokój, i widok z okna przez gmach policji na fragment morza i wysp. Pamiętałem też niektóre fragmenty miasta – plantacje brzóz nad kanałem, pierwszy most na ujście Oulujoki z potokiem, kawiarnią z basztą na wyspie za tym mostem, rynek na wybrzeżu, coś niecoś z ulic. Zażądałem od szwajcara hotelu, żeby nam udzielił pokoje z widokiem na fragment morza i

wysp i w pokoju, udzielonym Jadzi, poznałem mój pokój sprzed 9 lat, z którego obserwowałem zachód słońca o godz. jedenastej.

W Oulu zabawiłem ponad mój program jeden dzień dłużej, to znaczy cały dzień dzisiejszy, odkładając wyjazd do Rovaniemi na jutro. Uczyniłem to dla udzielenia wypoczynku Andrzejowi i zwłaszcza Jadzi, która już widocznie czuje się zmęczona i nie może się w białe noce wysypiać. Miałem więc dziś czas na zwiedzenie Oulu. Oglądaliśmy więc rynek rano, byliśmy w ładnym parku nad potokiem Merikoski na rzece Oulujoki, przeciętym całą deltą niezliczonych potoczków z jakąś może setką białych mostków przez nie co kilka kroków wzdłuż dróżek i ścieżek parku, przyglądaliśmy się z różnych punktów parku i z mostków i mostów miejskich Merikoski, przejechaliśmy się parostatkiem do wyspy Toppili i portu, jedliśmy w naszej restauracji hotelowej, którą też pamiętałem dobrze. Oulu jest ładne miasto, nie tyle ze względu na swoje uliczki symetryczne i czyste a ciche, zabudowane przeważnie z drzewa o domkach malowanych i na swoje plantacje brzozowe, ile ze względu na śliczne swoje położenie w delcie Oulujoki z ciągłym szumem pięknych Merikosków i z malowniczym wieńcem wysp między miastem a morzem. Z przyjemnością spędziliśmy ten dzień wypoczynkowy w Oulu. Wczoraj po przyjeździe do Oulu zastałem tu list od Maryni z Bohdaniszek, który mi sprawił przyjemność, bo nic złego w nim nie wyczytałem i był na ogół miły.

Na Oulu skończyła się pierwsza część naszej podróży, środkowofińska, połączona z efektami przeważnie wodnymi. Teraz wkroczymy w stadium drugie wycieczki – na daleką Północ arktyczną. To stadium rozpoczniemy jutro. Na ogół w pierwszym stadium wycieczki (Imatra, archipelag Saimaa, potoki Oulujoki) ruch turystów, przynajmniej cudzoziemców, był bardzo mały. Najważniejszym epizodem turystyki, na które w tej podróży natrafiliśmy, były dwie wycieczki szkolne z Londynu, jedna – małych chłopców, którąśmy spotkali na jeziorach od Vuoksenniski do Savonlinny, i druga – chłopców starszych ± 16-17 letnich – w Pankaharju. Jedyna rodzina turystyczna, która nam towarzyszyła przez całą drogę, począwszy od Imatry i aż do Oulu – to byli Weberowie, brat i siostra. Chociaż Niemcy, byli to ludzie bardzo mili, kulturalni, grzeczni, nawet bardzo uprzejmi i towarzyscy w podróży. P. Weber wiedział, że jesteśmy z Litwy, że ja jestem profesorem i rektorem uniwersytetu w Kownie. Jednak pomimo hitleryzmu niemieckiego, jaki dziś wprost grasuje wśród Niemców i pomimo zaognienia stosunków litewsko-niemieckich, wyrażającego się w namiętnym szczuciu Litwy i wszystkiego, co litewskie, p. Weber i jego siostra byli dla nas i wobec nas prawdziwymi gentlemanami, jak za dawnych dobrych czasów politycznych, byli z nami jak ludzie z ludźmi, zyskując moje uznanie dla starej pięknej kultury niemieckiej. Toteż pożegnaliśmy się z nimi serdecznie w Oulu i życzyliśmy sobie wzajemnie szczęśliwej podróży, bo oni z Oulu zawrócili na południe, podczas gdy my zawracamy na północ. P. Weber, czyli raczej dr Weber, jest „Kaufmann"; jego siostra – studentka.

12 czerwca, rok 1935, środa[•]

13 czerwca, rok 1935, czwartek

Przed dziewięciu laty, będąc w Rovaniemi u gościnnego Fina p. Alfreda Salmeli, poznałem u niego młodego uczonego, kierownika obserwatorium geofizycznego w Tähtali pod Sodankylą, który mię wtedy zapraszał do zwiedzenia tej instytucji, czego wszakże wtedy uczynić nie mogłem. W obecnej podróży myślałem nieraz o ewentualności odwiedzenia obserwatorium, ale nie byłem pewny, czy będę mógł to zrobić bez zakłócenia planu mojej

[•] Zapisy z poszczególnych dni z okresu od 12.VI.1935 do 24.III.1936 (łącznie 59 dni), wykonane na luźnych kartkach i nie wniesione do tomu 35 dzienników, zostały prawdopodobnie utracone; w każdym razie nie udało się ich odnaleźć w żadnej dwóch bibliotek, w których przechowywane są dzienniki Michała Römera. Dalej w tekście dni te będą oznaczone gwiazdką przy dacie.

marszruty. Dowiedziałem się też od p. Salmeli w Helsinkach, że ówczesny kierownik obserwatorium od dawna już się zmienił. Gdy wszakże teraz wypadło mi czekać na wyjazd autobusem z Rovaniemi na północ do jutra, pomyślałem sobie, czy by się nie dało skorzystać z okazji i podjechać do Tähtali pod Sodankylą, położoną na mojej drodze na północ szosą na Ivalo. U kierownika ruchu autobusowego na poczcie, mówiącego nieźle po niemiecku, dowiedziałem się, że o jedno miejsce na dziś w autobusie do Sodankyli nie byłoby trudno. Chciałem więc sam pojechać do Sodankyli obejrzeć obserwatorium, zostawiając Andrzeja z Jadzią do jutra, z tym, że jutro wyjechaliby oni sami z Rovaniemi na Ivalo, ja zaś bym do tego autobusu do nich dosiadł w Sodankyli. Wszakże Jadzia ani słyszeć o rozdzieleniu się ze mną i pozostaniu z Andrzejem nie chciała, bojąc się jakiegoś pogmatwania. Postanowiłem wziąć ją ze sobą, zostawiając jednego Andrzeja, o ile miejsc na trzy osoby w autobusie nie dostaniemy. Kierownik ruchu autobusowego dwa miejsca w autobusie wytrzasnąć do Sodankyli obiecał, ale trzeciego odmówił stanowczo. Chodziło jeszcze o skomunikowanie się telefoniczne z obserwatorium w Tähtali co do możności zwiedzenia Obserwatorium i zapewnienia nam noclegu bądź w Tähtali bądź w Sodankyli. Rovaniemi jest małe i z ludźmi się tu spotkać nietrudno. Wczoraj w drodze z Oulu do Rovaniemi jechaliśmy w wagonie z całą grupą artystów wędrownego cyrku typu cyrku ravioli, właściwie akrobatów i sztukmistrzów, udających się z karuzelami i całym aparatem do przedstawień ludowych na święto świętojańskie do Rovaniemi, na którym ma tam miejsce wielki ruch wycieczek i zjazd wielkiego zbiorowiska ludu ze stref polarnych i północy Finlandii. Wśród tych artystów, ludzi ruchliwych i żywych (było wśród nich także parę artystek cyrkowych) wielkie zainteresowanie obudziły moje zapałki i papierosy litewskie, którymi ich obdarowałem, ale rozmówić się z nimi nie mogłem. Wszakże znalazł się wśród nich jeden artysta, rodowity Estończyk z Tartu, niedoszły student wykolejony, sztukmistrz (po rosyjsku „fokusnik”), mówiący po rosyjsku, z którym się rozgadałem. Ten artysta cyrkowy wykolejeniec, niedopieczony inteligent, zabawiający lud blagą swych sztuk i facecji cyrkowych, okazał się człowiekiem miękkim, miłym, delikatnym, zupełnie poważnym w rozmowie, ludzkim i grzecznym, przypominającym mi nieco mego przyjaciela wileńskiego i także wykolejeńca, ex-reportera i utalentowanego pisarza scenicznego rodzajowego białoruskiego Franka Olechnowicza. Tego oto Estończyka spotkałem rano na ulicy, zaprosiłem na kawę i poprosiłem o zatelefonowanie do obserwatorium w Tähtali w sprawie mojego przyjazdu. Z obserwatorium odpowiedziano, że chętnie mię przyjmą, spotkają na czasie z autobusu, zapewnią nocleg w położonej o 7 kilometrów wsi kościelnej Sodankyla, bo w Tähtali pomieścić nie mogą, i odwiozą do Sodankyli.

O godzinie więc w pół do drugiej po południu odjechaliśmy z Jadzią autobusem z Rovaniemi; Andrzej pozostał w Rovaniemi do jutra. Jutro spotkamy się z nim w Sodankyli w autobusie idącym na Ivalo, gdzie będą miejsca zarezerwowane dla nas. Krajobraz od Rovaniemi na północ mało się zmienia, tylko natura staje się jeszcze nieco dziksza. O kilkadziesiąt kilometrów za Rovaniemi znikła już zupełnie zieleń na brzózkach, wiosna tu jeszcze wcześniejsza niż tam, brzózki są nagie. Laski i laski bez końca, przeważnie sosnowe, niskopienne, prawie jak chrusty, gdzieniegdzie laski brzozowe. Miejscami wielkie bagna tundrowate, w laskach mchy, drzewka pokrzywione dziwacznie, rachityczne, dużo powałów, połamanych drzewek, czasem cały chaos powału i łamańce, jakieś ogromne jamy, pełne złomów kamieni, rzeki, potoki, jeziora. Rzek tu na północy od samego Oulu obfitość wielka i są one potężne i wspaniałe, jak przed tysiącami lat u nas, w epoce polodowcowej. Bo też natura lapońska jest o kilka tysięcy lat młodsza od naszej. Jesteśmy w strefie podbiegunowej w Laponii południowej, w dorzeczu rzek spływających na południe do Zatoki Botnickiej. Śniegów leżących już nie ma; tylko na wysokich samotnych [wzgórzach] bieleją jeszcze z daleka wielkie białe płaty śniegu. Dopiero znacznie dalej za Sodankylą, po przejechaniu wzgórz wodorozdziału dzielącego dorzecze Zatoki Botnickiej od północnego dorzecza

Oceanu Lodowatego, natrafiamy na większe pozostałości śniegów zimowych. To już wczesna wiosna, roztopy, strumienie wezbrane. Towarzyszy nam wciąż kukanie kukułki po lasach. Spotykamy kilkakrotnie półdziko pasące się na polankach renifery, które uciekają spłoszone na nasz widok. Ja widziałem trzy renifery, Jadzia – pięć. Ładne zwierzęta. Widok renów w lasach jest efektowny. Szosa doskonała, jazda autobusem bardzo wygodna. Autobus pełniutki, jadą jacyś Anglicy, wyglądający raczej na komersantów, niż na bogatych turystów, może sportowcy rybacy, bo takich pono dużo jedzie z Anglii do jezior, zatok, rzek i potoków Laponii północnej i Petsamo, gdzie ryb jest dużo i połów ich daje dużo wrażeń sportowych, połączonych z wrażeniami pięknymi niezrównanej natury, jadą też Finowie, jedzie też dwóch jakichś czy to Cyganów (w Rovaniemi widzieliśmy całą rodzinę cygańską z bardzo piękną młodą Cyganką, charakterystycznymi dziećmi i młodym równie charakterystycznym parobczakiem cygańskim), czy też Lapończyków, jakaś studentka, kilka kobiet, towarzystwo mieszane bardzo. Osady dość rzadkie, ale przecież spotyka się je i mija po drodze dosyć dużo. Finowie skolonizowali już w dużym stopniu tę część południową Laponii polarnej, wypierając Lapończyków dalej do strefy północnej – w dorzecze Oceanu Lodowatego. Po drodze przystajemy w całym szeregu osad i wioseczek, gdzie pocztylion, jadący autobusem i pełniący poniekąd czynności konduktora, oddaje i zabiera pocztę. W wioseczce Onnalä stajemy dłużej i w jednym domku większym podróżni piją kawę, palą papierosy itd. W odległości koło 130 kilometrów od Rovaniemi, koło godz. piątej, przed Sodankylą, nasza stacja Tähtali. Wysiadamy z Jadzią. Spotyka nas młody jeszcze, wysoki uczony fiński, kierownik obserwatorium geofizycznego (magnetycznego), magister Suxdorff. Witamy się. P. Suxdorff prowadzi nas pieszo od szosy przez las mszysty i przez łoneczki bagniste do rozlanej, a raczej wezbranej mocno rzeki Kitinenjoki, na której drugim brzegu mieści się obserwatorium, składające się z domu mieszkalnego z basztą, na której odbywają się obserwacje i studia zjawisk zony polarnej w noc zimową, kilka zabudowań gospodarskich i całego szeregu domków i urządzeń do różnych badań i studiów magnetycznych i tym podobnych, także poniekąd obserwacji meteorologicznych. Przez rzekę p. Suxdorff przewozi nas łodzią motorową. W obserwatorium oprowadził mnie (Jadzia, ani słowa nie rozumiejąc, ciągnie się jak cień za mną, milcząca) po aparatach, domkach, przyrządach, tłumaczył szczegółowo, choć bez wielkiego skutku, bo mało co z tego wiem i rozumiem. Ciekawe to i jednak naukowo doniosłe. W strefie polarnej obserwacje magnetyczne są o wiele treściwsze i donioślejsze, niż gdzie indziej. Obserwatorium to jest jedno z najlepiej zaopatrzonych na świecie, jedno z kilku nielicznych pierwszej doniosłości, najdalej wysunięte na północ spośród największych. Wiele obserwacji tu robionych są jedynymi lub mają 2-3 konkurentów na świecie. Praca aparatów jest bardzo precyzyjna, wymagająca ogromnej ścisłości i pedantycznej obsługi. Jest to wielka i cenna praca naukowa. P. Suxdorff mieszka tu już od lat ośmiu z rodziną, złożoną z żony i dzieci małych. Żona jest jego asystentką zarazem, poza tym jest kancelistka i służba niższa techniczna i gospodarska. Zastaliśmy też tu młodego asystenta uniwersytetu w Helsinkach, który tu przywiózł jakieś aparaty; obserwatorium jest instytucją nie uniwersytecką i nie państwową, jeno społeczną, należącą do Fińskiej Akademii Umiejętności, wszakże państwo finansuje na ten cel akademię. Obserwatorium posiada w Tähtali majętność nieruchomą, na której jest ona zbudowana i funkcjonuje, wynoszącą 400 ha ziemi, leżącą po obu brzegach Kitinenjoki. P. Suxdorff ma też gospodareczkę, ma krowę, ma ogrody warzywne, oranżeryjkę do warzyw wczesnych i kilka poletek uprawnych. Zjedliśmy u pp. Suxdorff obiad, piliśmy kawę, obejrzeliśmy urządzenia obserwatorium, po czym p. Suxdorff przeprawił nas za rzekę i stamtąd automobilem swoim odwiózł do Sodankyli.

14 czerwca, rok 1935, piątek

W Sodankyli przenocowaliśmy z Jadźką w małej gospodzie zajezdnej, gdzie magister Suxdorff zamówił dla nas nocleg, albowiem w jedynym hotelu, jaki posiada ta osada, w

hotelu „Polaros", który ogółem ma tylko dwa pokoje dla podróżnych, oba te pokoje okazały się zajęte. Zresztą nie mieliśmy nic przeciwko temu, bo w gospodzie nocleg i śniadanie ranne wypadły jeszcze taniej, niż w hotelu (choć w Finlandii wszystko, nie wyłączając hoteli turystycznych i cen restauracyjnych, jest wprost bajecznie tanie, kilkakrotnie tańsze w stosunku do wygód i obfitości, niż u nas w Litwie na lity), a gospoda była schludna, dwa nasze z Jadzią pokoiki świeżo pomalowane, cieplutkie, bo napalono w piecach, co w Laponii w czerwcu jest rzeczą zwyczajną, obsługa – cicha, uprzejma, z którą zresztą porozumieć się ustnie nie było sposobu, ale dla gości w gospodzie i bez słów wszystko jest, co potrzeba. Wstaliśmy z Jadzią rano i do godz. piątej po południu, to znaczy do przyjścia autobusu z Roveniemi, którym miał dojechać Andrzej i którym mieliśmy jechać dalej do Ivalo, musieliśmy się zabawić w Sodankyli. Jest to wieś kościelna fińska, dosyć rozrzucona i duża, posiadająca dwa kościółki, z których starszy, drewniany, liczy pono 300 lat wieku i uchodzi w okolicy za osobliwość do zwiedzania, poza tym hotel z restauracją, apteka, fryzjer, księgarnia, poczta, szpital, lekarze, wyższa szkoła ludowa typu duńskiego *et caetera*. Zresztą Sodankyla – to nie tylko ta jedna centralna wieś kościelna. Sodankyla – to poniekąd nazwa zbiorowa całej okolicy, ogarniająca całą grupę wsi czy osad w pewnym promieniu od wsi ośrodkowej właściwej. Pochodziliśmy z Jadzią po wsi, kupiliśmy pocztówek, zajrzeliśmy za wieś do nędznego sosnowego lasku polarnego w mchach, znów wróciliśmy do gospody pisać pocztówki. Niebawem zatelefonował do mnie z Tähtali z obserwatorium p. Suxdorff, zapytując mię, czy nie miałbym ochoty zwiedzić wyższą szkołę ludową w Sodankyli, której dyrektor, uprzedzony przez p. Suxdorffa, przyjedzie mię niebawem zabrać. P. Suxdorff, nie mając oczywiście czasu sam się mną zająć i znów nas z Jadzią wozić do Tähtali albo do Sodankyli przyjeżdżać, a czując się w roli gospodarza w obowiązku zająć się gośćmi cudzoziemcami, rzuconymi na pustkowiu wioski polarnej, znalazł ten łatwy sposób zabawienia nas w Sodankyli. Chętnie przystałem na jego wniosek. Niebawem też zgłosiła się do nas nauczycielka szkoły, p. Eerva Lilja, żona dyrektora szkoły – pana Einari Lilja. Przedstawiła się i zabrała nas, na dole zaś nas już czekał p. dyrektor Lilja z dwoma nauczycielami. Nauczyciele wnet znikli, my zaś ruszyliśmy do szkoły, położonej za rzeką Kitinenjoki, przez którą przeprawiliśmy się na promie. Pani Lilja, choć kiepsko, mówi po niemiecku, pan Lilja – tylko po fińsku, toteż milczał z konieczności, ale był uprzejmy. Po drodze przyłączyła się i towarzyszyła nam do końca młoda panna, mówiąca wcale nieźle po niemiecku – panna Katti-Marja Thesloff, młoda ładna dziewczyna, łatwa i dzielna, bardzo miła i przystojna, pełna temperamentu i ekspansywna, mówiąca głośno i swobodnie, przypominająca trochę Litkę Komorowską. Panna Thesloff ubrana była oryginalnie, niby turystycznie, niby wędrownie, jak się tu dosyć często na Północy widzi – w ciemnym stroju męskim, z plecakiem zawieszonym z tyłu, w szerokich spodniach czarnych i w czarnych zwyczajnych (nie lapońskich – o zakręconych do góry nosach i bez obcasów, jak tu w Finlandii jest przyjęte) – lakierowanych butach długich. Okazało się, że uprawia ona zawód *sui generis* instruktorki wędrownej z ramienia jakiejś organizacji społecznej. Praca jej polega na wędrowaniu bądź pieszo, bądź wszelkimi możliwymi środkami komunikacji, począwszy od roweru i kończąc na autobusie i wózku dwukołowym, zimą zaś – reniferami i na ski, jak się zdarzy, od wsi do wsi, od osady do osady i w każdej osadzie na obchodzeniu wszystkich domów i rodzin i udzielaniu porad i wskazówek co do higieny, utrzymania dzieci, środków zdrowotnych itd., itd. Ma ona i apteczkę ruchomą w plecaku, zna się na higienie praktycznej, na potrzebach zdrowotnych, moralnych, pedagogicznych itp. Jest to funkcja opieki społecznej na wsi bardzo użytecznej, docierającej wszędzie, wglądającej w każdą rodzinę i w jej potrzeby i warunki, czynna i inicjatywna. Panna Thesloff, pogodna, ładna i inteligentna, wyszkolona w tym zawodzie, zdaje się znakomicie do tej funkcji nadawać. Obejrzeliśmy szkołę, klasę, warsztaty tkackie, przyrządy gimnastyczne. Szkoła ta jest przeznaczona dla młodzieży obojga płci w wieku od lat 17, którzy ukończyli powszechną obowiązkową szkołę

ludową i chcą się jeszcze dokształcać łącznie z pewnym wykwalifikowaniem się praktycznym w tkactwie, stolarstwie lub innych specjalnościach użytecznych, choć nie ściśle fachowo rzemieślniczych. Podano nam w szkole kawę z ciastami, potem zabawiliśmy pół godzinki w mieszkaniu dyrektorstwa. Przyjemnie spędziliśmy czas, zwłaszcza ja, bo Jadzia, nie mogąc się rozmówić, siedziała jak głuchoniema. Następnie pożegnaliśmy się i odeszliśmy, odprowadzeni przez uprzejmą pannę Thesloff, której rodzina jest pochodzenia duńskiego. Niebawem doczekaliśmy się autobusu z Rovaniemi, z którego wyskoczył Andrzej. Znalazły się i zarezerwowane dla nas dwa miejsca. Wyjechaliśmy z Sodankyli na Ivalo. Drogę mieliśmy ładną. Autobus skakał po wzgórzach. Jechaliśmy wzdłuż rzeki Kitinen w górę jej biegu. Grunt był falisty, autobus podskakiwał na pagórek i spadał w dół podobnie jak samolot w powietrzu. Renów przez całą drogę nie spotkaliśmy ani jednego; widzieliśmy tylko zająca białego, który uciekł do lasu. Za to Lapończyków napatrzyliśmy się do syta. Byli między nimi i tacy, co paradowali w pełnym stroju narodowym – mężczyzni w czapkach rogatych kwadratowych jak konfederatki polskie, z nogami obwiązanymi paskami barwnymi, ale zwłaszcza kobiety Laponki, starsze i dziewczęta, w ładnych ubiorach charakterystycznych głowy i całego stroju od góry do dołu, także dzieci lapońskie. Widziało się ich na większych stacjach, może umyślnie obstalowanych dla atrakcji turystów. Ciekawe, że ten lud polarny w swoim stroju narodowym kocha się w barwach jaskrawych, w których się kojarzy kolor żółty słoneczny, czerwony i zielony jak w barwach narodowych litewskich. Natura dalej na północ coraz surowsza, osad – mniej. Na przystanku w Vuotu zastawa policyjna – sprawdzają paszporty. Zdaje się, że to jest zastawa celna, dzieląca Laponię północną i Petsamo od reszty Finlandii w związku ze swobodnym bez cła ruchem towarów między Laponią północną a Norwegią dla ułatwienia zaopatrzenia ubogiej ludności lapońskiej w artykuły tańsze z Norwegii sąsiedniej. Zastawa ta ma strzec, aby te towary pod pretekstem zaopatrzenia Lapończyków nie przemycały się z Norwegii tranzytem przez Laponię w głąb Finlandii i nie czyniły konkurencji handlowi fińskiemu. Za Vuotu niebawem wjeżdżamy w wyżyny wzgórz – „tunturi", niektórych znacznej wysokości przeszło 500 metrów, gęsto połyskujących białym śniegiem na nagich bez porostu szczytach swoich. Podnosimy się coraz wyżej, śniegów widzimy coraz obficiej, wreszcie w okolicy „Rukatunturi" jesteśmy na grzbiecie wielkiego rozdziału wód Morza Bałtyckiego (Zatoki Botnickiej) na południu i Oceanu Lodowatego na północy. Śniegi rosną, roślinność karleje, wreszcie wjeżdżamy w strefę nagą pustyni polarnej, chłodną, ale ze wspaniałym widokiem na rozległą przestrzeń dzikiej natury. Tu mniej więcej na 265 kilometrze od Rovaniemi autobus przystaje, aby podróżni mogli się nacieszyć chłodem, sferą polarną, dzikością i widokiem. Następnie zjeżdżamy w dorzecze oceanu. Wjeżdżamy w dopływy górne rzeki Ivalojoki. Stopniowo płaty śniegów maleją i znikają, świecąc tylko na wzgórzach lub gdzieś rzadko w rowach, nawet gdzieniegdzie listki zaczynają zielenieć na brzózkach, ale bardzo słabo. Przyjeżdżamy do Ivalo. Stajemy w hotelu turystycznym. Ładnie. Piękna rzeka, wezbrana i płynąca potokiem. Wieczorem się wypogodziło na północy. Idziemy z Andrzejem nad rzekę i oglądamy wreszcie autentyczne, nie za chmurami i nie na pocztówce, słońce o północy. Pocztówki są często zbyt intelektualistyczne. Bądź co bądź uśmiech tych bladych promieni polarnego słońca o północy w rzece i na lasach jest piękny.

15 czerwca, rok 1935, sobota

O godzinie dziewiątej rano wyjeżdżamy z Ivalo autobusem dalej na północ. W Vörtaniemi nieco dłuższy przystanek, pijemy kawę. Potem Nautsi, gdzie po drugiej stronie rzeki pogranicznej Paatsjoki, wypływającej z wielkiego jeziora Inari i wpadającej pod Kirkenes w Norwegii do Oceanu Lodowatego, widzimy terytorium norweskie. Jedziemy wzdłuż tej rzeki w dół jej biegu. Oto po pewnym czasie Pikkajarvi, następnie wieś Salmijärvi, skąd po pewnym postoju zboczymy do Kuivalahti u przystani na rzece Paatsjoki, skąd łódź

motorowa, obsługująca turystów i pocztę, udaje się do Kolttaköngis i dalej dla wycieczek turystów do norweskiego portu miasteczka Kirkenes nad zatoką oceanu. W Kuivalahti jesteśmy o godzinie trzeciej. Jazda autobusem z Ivalo do Kuivalahti jest zajmująca, jak cała jazda autobusem po wielkiej szosie polarnej, przecinającej Laponię od Rovaniemi do oceanu. Jesteśmy tu w dorzeczu wód, zlewających się na północ do Oceanu Lodowatego. Różnica tego dorzecza od dorzecza południowego, zlewającego wody do Bałtyku, jest widoczna i charakterystyczna. Przede wszystkim, zmienia się topografia, następnie klimat i flora, również etnografia i stan gospodarczy kraju w jednym i drugim dorzeczu. Tam w dorzeczu Bałtyku, w Laponii, przeważały wielkie równiny i rzadkie były góry – „tunturi", natomiast częstsze były wzgórza lesiste, chociaż ogólny spadek dorzecza był mocno ku południowi nachylony i wody miał także potokowe. Tam na ogół blok skalisty, mniej występował na zewnątrz, bardziej był przykryty żwirem, złomami kamienia, torfowiskiem tundrowym mchów. Dopiero ku północy, ku wielkiemu wodorozdziałowi, dzielącemu dorzecze południowe od północnego, góry zaczęły się coraz bardziej wynosić i wreszcie utworzyły wysoki grzbiet pustynny wodorozdziału, który wczoraj przekroczyliśmy na odległości mniej więcej 265 kilometrów od Rovaniemi. Tu w dorzeczu północnym za wodorozdziałem góry skaliste są o wiele liczniejsze i coraz bardziej fałdują powierzchnię wielkimi wspaniałymi blokami granitu. Roślinność w dorzeczu południowym już mniej więcej w 50 kilometrach od Rovaniemi zaczęła tracić zieloność wiosenną i za Sodankylą lasy brzozowe były już bezlistne, jeszcze przez wiosnę prawie nietknięte, następnie przed samym wodorozdziałem podnosząc się nań, szybko zmalały, skarłowaciały i wreszcie na samym grzbiecie wodorozdziału znikły, za wodorozdziałem również szybko odzyskały swój wygląd poprzedni, a nawet ukazały się na razie bujniejsze i bardziej obfitujące w starsze drzewa, bo mniej tknięte ręką ludzką, jednocześnie też szybciej i znaczniej zaczęły zielenieć, a pod Salmijärvi już pozieleniały listkami wiosennymi zupełnie (brzozy), jednocześnie jednak zaczęły bardziej karłowacieć, im dalej – tym bardziej widocznie, aż wreszcie za Kuivalahti wzdłuż rzeki Paatsjoki nad granicą norweską lasy zaczęły się stawać całkiem karłowate i zatracać drzewa iglaste, stając się coraz wyłączniej brzozowe. W całym dorzeczu południowym, bałtycko-botnickim, wyraźnie i kategorycznie dominuje sosna, dużo też jest jodły papierówki, brzozy są nasze i w każdym razie są jeszcze porządnymi, choć niskopiennymi i z pewną skłonnością do rosochatości drzewami (ta skłonność brzóz do rosochatości daje się zaobserwować jeszcze w Finlandii środkowej, nawet poniekąd południowo-wschodniej). Za wodorozdziałem w Laponii północnej na razie lasy, choć jeszcze sosnowe i przeważnie starsze, karłowacieją. Przede wszystkim bardzo wyraźnie stają się pustynią. Osady ludzkie tu ku północy są coraz rzadsze, znikają krzywopłotki po lasach, dzielące działki leśne współwłaścicieli prywatnych – włościan. Lasy są mniej tknięte ręką ludzką, ale za to pełne butwiejącego i świeżego powału i wielkich masowych zwalisk drzew. Gdyby kto chciał tu opału, to mógłby nabrać go do syta, tylko że nie ma już komu zbierać. Ogromne masy drzew powalonych marnieją się. Jedzie się przez bory i lasy, choć starsze, mniej zniszczone i wycięte niż poprzednio, ale często przypominające jakieś pobojowiska kosmiczne. Pierwsze znikają jodły, w ogóle na północy bardzo smukłe i spiczaste jak gotyk wieżyc najeżonych subtelnych. Choć zieleń młodych listków brzózek ku północy w miarę oddalania się od wodorozdziału coraz bardziej staje się rozwinięta, znacznie bardziej, niż gdzieś pod Sodankylą, oddaloną o przeszło 100 kilometrów na południe od wielkiego wodorozdziału, jednak brzózki te słabną i wyradzają się coraz widoczniej. Brzoza zaczyna stopniowo przeważać liczebnie nad sosną i w kierunku od Kuivalahti na Kolttakängës wzdłuż Paatsjoki w okolicy wodospadu Janiskoski sosna znika całkowicie i monopol obejmuje brzoza, ale ta brzoza – to już tylko brzózki rosnące krzaczasto jak chrustowata, niska i cienka, a pokrzywiona dziwacznie jak kaleka. I właśnie to jest ciekawe, że ta zwyrodniała krzaczasta brzózka, podobna do naszych młodych jabłonek, tylko o pniach powykręcanych, jest zieleńsza obecnie, niż brzoza o paręset kilometrów na południe

gdzieś pod Sodankylę, mimo że tam jest wyższa, bardziej do drzewa podobna i równiejsza. Te „laski" brzozowe pod Kolttakängës przypominają poniekąd nasze młode sady owocowe. Znać, że wiosna tu w promieniach słońca północnego nieco bardziej rozwinięta, ale na ogół klimat surowszy tamuje rozwój drzewa. Ludzi i osad w tym dorzeczu północnym coraz mniej, coraz rzadziej. Rolnictwo, chociaż i tam nędzne, tu już zanika. Puszcza północna surowa i dzika. Kolonizacja fińska, która się dosyć wyraźnie przejawia jako fakt dokonany w dorzeczu południowym, tu jeszcze prawie nie istnieje albo jest bardzo słaba. Nie wyparła jeszcze stąd Lapończyków, którzy, dawniej szeroko po całej Finlandii rozrzuceni, zajmujący przed wiekami nawet Finlandię południową, jak o tym wyraźnie świadczy szereg nazw (sama nawet nazwa Imatry jest z pochodzenia lapońska, jak na dalekiej północy Ivalo lub Inavi), dziś jeszcze ocaleli w tym ostatnim schronieniu, jakim jest jeszcze dla nich Laponia północna w dorzeczu Oceanu Lodowatego, gdzie istnieją jeszcze, acz stopniowo wymierają aż wymrą, zwyrodniali lub wtopieni w fale kolonizacji fińskiej – ewentualnie na wschodzie rosyjskiej i karelskiej, a na zachodzie – norweskiej i szwedzkiej. W okolicy Nantsi wjechaliśmy w dzisiejszą prowincję fińską Petsamo, nabytą przez Finlandię po Wielkiej Wojnie przez Traktat z Tartu z Sowietami i otwierający Finlandii dostęp bezpośredni do Oceanu Lodowatego. Prowincja Petsamo (Petsamo po rosyjsku się nazywało Pieczengą) była przed wojną rosyjską do Finlandii autonomicznej nie wchodziła. Były dziurą zapadłą, stanowiącą dalekie kresy północne na pograniczu norweskim nad Oceanem Lodowatym, nie miała żadnej komunikacji ani kolejowej, ani szosowej, ani dróg bitych, prócz komunikacji naturalnej wód – jezior i rzek, którą wszakże wszystkie były skierowane do Oceanu Lodowatego, odcięte wielkim wodorozdziałem bałtycko-oceanicznym od południa – od świata całego. Był to głuchy zapadły kąt bez życia i ruchu, zaludniony przez Lapończyków, zwanych przez Rosjan Łaporiami, najciemniejszy odłam nędznego ludu lapońskiego. Nikt się o nich nie troszczył. Lapończycy-Łapori byli ciemni, zaniedbani i półdzicy. Nędza to była kulturalna. Jeno cerkiew prawosławna była na nich zwróciła uwagę przez duchowieństwo oraz przez zakładane tu na dalekiej Północy klasztory prawosławne o charakterze misyjnym niosła im jakąś pociechę i opiekę oraz niby oświatę. W istocie ciemne były i te klasztory same, to też nędzną była i ta opieka oraz oświata. Ze stanu pierwotnego i z zaniedbania nikt tego ludu nie wyprowadził. Teraz jest tu wielka szosa polarna, płynie tędy ruch turystyczny, są szkoły, płynie fala pierwszego uprzemysłowienia i kolonizacji handlowo-przemysłowej fińskiej, powstaje szkolnictwo, Laponia czy też Łaporia Petsamska w porównaniu do doby rosyjskiej amerykanizuje się. Wątpliwe jednak, aby ta amerykanizacja zdołała tych lokalnych zacofanych nędzarzy lapońskich odrodzić i wycywilizować do rozwoju. Prawdopodobnie ich pochłonie i w sobie roztopi fala imigracji i energii fińskiej. Ciemni Łaporzy są zbyt zacofani i bierni, by w falach tej nowej energii powstać i rozwinąć się zdołali. Ostały się tu jeszcze stare klasztory i cerkwie prawosławne, mnisi ciemni rosyjscy, dawni misjonarze Łaporiów z doby ubiegłej, prawie równie ciemni, jak ich pupile duchowi. Dogorywają i jedni, i drudzy. To ruiny dogorywającej przeszłości, która smutne czyni wrażenie, ciekawa tylko jako zabytek rzeczy zanikającej, coś, co ginie i odchodzi w niebyt, ale jako zanikająca jest egzotyczna i owiana pewną tęsknotą archeologiczną.

W drodze z Ivalo do Kuivalahti spotykaliśmy na szosie i w lasach renów. Raz spłoszyliśmy całe ich stado. Mam wrażenie, że było ono inscenizowane dla sensacji turystycznej. W Kuivalahti przesiedliśmy na łódź motorową, która nas powiozła po jeziorach i rzece Paatsjoki do wsi cerkiewnej łaporskiej Kolttakongis (po rosyjsku „Borys-Gleb" od imion świętych, pod których wezwaniem była cerkiew). Jazda łodzią motorową była ciekawa, ładna i sensacyjna. W tej drodze natrafia się na duży wodospad Janiskoski, w którym woda spada z wysokości 11 metrów. Widok bardzo ciekawy. Zjawisko niezwykle efektowne. Pasażerowie schodzą z łodzi i idą pieszo oglądając potok. Łódź zaś przenosi się lądem na wózku po szynach. Wózek po szynach podjeżdża pod wodę pod łódź, zabiera ją, a wtedy

wyciąga się z łodzią na brzeg, przeciąga się po szynach w za potokiem, znowu spuszcza, na wodę. Pod samym Kolttakängës – znowu potoki. Ostatni kilometr idzie się pieszo do wsi.

16 czerwca, rok 1935, niedziela

W Kolttakängës spędziliśmy wieczór wczorajszy i zanocowaliśmy. Jest to bardzo ładnie położona nad rzeką Paatsjok u drugiego wodospadu tej rzeki (pierwszym wodospadem jest Janiskoski) na samym pograniczu norweskim wioseczka lapońska, czyli łaporska, zamieszkała przez 9 czy 10 rodzin dawnych Lapończyków rosyjskich (Łaporów) z cerkiewką drewnianą prawosławną. W tym miejscu granica fińsko-norweska (dawniej rosyjsko-norweska), która mniej więcej od Vuotso biegła rzeką Paatsjoki, przerzuca się na lewym brzegu nieco w głąb od wybrzeża i udziela rodzaju przyczółka Finlandii. Ten rodzaj przyczółka fińskiego na lewym brzegu rzeki – to właśnie Kolttakängës z okolicą. Rzeka tu szumi i w niewielkiej odległości od wsi pieni się potokiem i wodospadem, nad rzeką na podłożu granitowym stoi ładna wesoła cerkiewka z cmentarzykiem dokoła i kilku grobami o białych malowanych krzyżach niskich prawosławnych z dwiema przecznicami – górną horyzontalną i dolną skośną, z grobowcem wieloletniego pasterza tej parafijki lapońskiej na dalekich kresach, popa miejscowego, zmarłego w roku 1915, jak świadczy napis na krzyżu. W pobliżu cerkiewki – zbudowany drewniany, po fińsku malowany na kolor czerwono-burakowy z białym obramieniem okien bardzo miły hotel Związku Turystów. We wsi jest duży dom drewniany żółty handlowy z magazynem, zamieszkały przez Finów, którzy mają tu handel w swoim ręku, i rozsiane po dolinie osiedle lapońskie, złożone z domków mieszkalnych malutkich i jakichś nędznych zabudowań gospodarskich, jak jakieś chlewiki, świronki do składu sprzętów, postawione na czterech po rogach pieńkach drewnianych, ściętych u dołu u rozgałęzienia korzeni i przeto przypominających do złudzenia kurze stopy. Są jeszcze jakieś inne chatynki i lepianki, zgoła opłotki niskie dzielące całą dolinę między rzeką a skałami na szeregu działek, stanowiących łoneczki poszczególnych gospodarstw lapońskich – główne bogactwo tych ferm pierwotnych. Lapończycy, choć już osiadli, ziemi nie uprawiają, tylko koszą i zbierają siano, utrzymują dosyć dużo i dosyć ładne owce, krów przeważnie nie mają, przy każdym osiedlu jest piesek typowy malutki – „koira” fiński, na płotach rozwieszone skóry reniferowe, jakieś nędzne szmaty, rękawice itp. Włóczyliśmy się po tych opłotkach i lepiankach lapońskich, spotykaliśmy i rozmawialiśmy ze starszymi Lapończykami, umiejącymi przeważnie po rosyjsku, bo byli oni rządzeni i kierowani przez mnichów i popów prawosławnych i w starszym pokoleniu, przynajmniej żeńskim, tęsknią widocznie do tych stosunków dawnych i niezbyt się zachwycają panowaniu fińskim, choć na ogół są oni bierni, mało wrażliwi, bardzo pokorni i usposobieni minorowo, nie odważając się na krytykę i jakąś opozycję. Są wśród Lapończyków jedni rybacy, inni – hodowcy renów. Spotkałem wszakże jednego z nich, rybaka, który się bardzo nowymi porządkami fińskimi cieszył z punktu wszakże zarobkowego. Nie czuć u nich żadnej ambicji narodowej ani zmysłu odporności. Owszem – raczej sami podkreślają, że obecnie ich młodzież łączy się dużo przez małżeństwa z Finami, Szwedami i Norwegami. Żalu, wiary w siebie, poczucia konserwacji plemiennej – ani śladu u nich. Wszyscy mają wygląd jakiś przygnębiony, smutny, cichy, jak lud konający. Dzieci mają mało, młodzieży w wieku małżeńskim – prawie wcale. Nie uprzytomniają sobie i nie czują solidarności plemiennej i językowej z Lapończykami fińskimi z Inari i innych okolic i norweskimi, przeciwnie – podkreślają odrębność swoją od tamtych i uważają tamtych za coś innego. Świadomość ich nie przekracza sfery ściśle etnicznej lub etniczno-narzeczowo-wyznaniowej, ale i w tej sferze nie ujawniają energii i przywiązania do tego, co swoje ani żadnej zgoła ambicji utrzymania się i rozwoju. Robią wrażenie bardzo ciemnych, zaniedbywanych i obojętnych na wszelkie zagadnienia społeczne. Cechuje ich inercja i apatia beznadziejna. Takie robią wrażenie.

Kolttakängës otoczony jest w swej dolinie wielkimi blokami granitowymi gór, których kontury są porysowane i masywne. Łącznie z rzeką potokową czyni to wrażenie dosyć dzikie siły pierwotnej, panującej tu nad człowiekiem i wszelką jego kulturą, a delikatna cerkiewka blada, nędzne osiedla lapońskie, owce na cmentarzyku, kilka krówek z dzwoneczkami, brzękającymi wśród skał i niskie, dziwacznie pokrzywione, rosochate lub splecione po kilka razem brzózki, subtelne i wątłe jak marzenie, dziwnie i malowniczo się kojarzą w kontraście z tą energią żywiołu wody i granitu.

Kolttakängës jest jednym z ulubionych miejsc wycieczek Anglików, uprawiających sport łowienia ryb na wędkę. Przyjeżdżają oni tu w dalekie strony polarne i tygodniami łowią ryby. Jeden z takich wariatów, ogarniętych namiętnością rybołówstwa, przyjechał tu z nami wczoraj: jest to stary flegmatyczny Anglik lat 65, dosyć słabo się trzymający na nogach. Zna on tu wszystko i wszystkich i znają go wszystkie dziewczyny i sługi w hotelach turystycznych i stacjach autobusowych po drodze. Wszystkie go witają serdecznie jak starego znajomego i śpieszą go o szansach i widokach połowu ryb informować. I on sam czuje się tu jak szara gęś. Nic go nie zajmuje poza rybą i o niczym innym nie rozmawia, ale za to o rybie i jej połowie mówi ciągle i jedynie. Typ bardzo charakterystyczny na północnym szlaku turystycznym. Turyści angielscy – to w ogóle szczególny typ wariatów przeróżnych rodzajów i gatunków, zresztą nieszkodliwy, zawsze w swoim rodzaju stylowy, ciekawy i nawet sympatyczny. Przeważnie udają, że się niczemu nie dziwią i nawet za największą zniewagę uważaliby wszelkie posądzenie o to, że coś ich dziwić i zajmować może. A przecież sami jadą tysiącami i tysiącami kilometrów na wszystkie końce świata dla wrażeń.

Piękne i ciekawe Kolttakängës opuściliśmy dziś o godzinie dziewiątej rano. Znów po przejściu pieszo za potok wsiedliśmy na Paatsjoki do łodzi motorowej i w towarzystwie pary małżeńskiej Norwegów pojechaliśmy w górę rzeki nazad do Kuivalahtio. Norwegów w Kolttakängës w ogóle jest do syta – przychodzą oni tu co wieczór, a zwłaszcza w święta i wigilie świąt, grupami spacerem pieszo z pobliskiego Kirkenes i zabawiają się w restauracji hotelu turystów; w Kolttakängës wszystkie ceny w restauracji i w sklepie są bądź w markach fińskich, bądź w koronach norweskich, które tu są w użyciu na równi z markami; nawet Lapończycy miejscowi umieją tu nie tylko po lapońsku, po fińsku i po rosyjsku, ale także po norwesku.

Znowu przez potok i wodospad Janiskoski szliśmy pieszo, napawając się na pożegnanie widokiem pięknym tego zjawiska, łódź ciągnięto brzegiem na wózku po szynach. Niebawem dojechaliśmy do Kuivalahti i tam wsiedliśmy do autobusu, który przyszedł z Ivalo. Jedziemy na Liinakhamari nad Ocean Lodowaty. W Kuivalahti jesteśmy jeszcze w strefie sosen, których w Kolttakängës już nie było. Niebawem wszakże natrafiamy na wodorozdział Petsamotunturit, który grzbietem swoim, wysokim na 500 metrów z północy na południe rozdziela dorzecze Oceanu Lodowatego w Petsamo na dwa dorzecza poszczególne tegoż oceanu; jedno – zachodnie – zlewisko wód jeziora Inari i rzeki Paatsjoki, i drugie – wschodnie, dziksze – dorzecze rzeki Petsamojoki. Wyżyna się coraz podnosi, natura dziczeje, znikają sosny, jodeł już dawno nie ma, płaty śniegów coraz częstsze, brzózki karłowacieją, tracą listki, które miały w dorzeczu Paatsjoki. Wreszcie wjeżdżamy w śniegi zupełne, leżące prawie że nieprzerwaną masą wśród rzadkich zarośli karłowatego lasku brzozowego, wśród powykrzywianych małych rosochatych drzewek. Miejscami już znikają zarośla brzozowe. Pustynia, duże płaty tundry, jeziora stoją pod lodem (lody rozmiękłe na jeziorach widzieliśmy także wczoraj w górnym dorzeczu Paatsjoki, ale tutaj lód jest jeszcze biały, zaśnieżony). Zdawało się, że po tych rzadkich laskach brzozowych można biegać na ski, po jeziorze – na łyżwach lub jeździć saneczkami. Ciekawy widok latem. Chłód też wielki. Potoczki pędzą jak opętane. Zdawałoby się – marzec. Tundry stoją nagie, mokre, bez śniegu, który wśród brzózek twardnieje i lepiej się trzyma. Dziko i wspaniale. Jakaś Finka, nie znosząca autobusu, dostaje wymiotów. Na 169 kilometrze od Rovaniemi, jak poprzednio na 264-tym, autobus

przystaje. Widok rozległy na wielką płaszczyznę ciekawą grzbietu Petsamotursturit. Dokoła dzikie góry nagie.

17 czerwca, rok 1935, poniedziałek*

18 czerwca, rok 1935, wtorek*

19 czerwca, rok 1935, środa

Jeszcze w wyspie ptasiej Heinäsuari na Oceanie Lodowatym, którą zwiedziłem z Andrzejem pozawczoraj z parowca Jäämeri. Wyspa ta, płaska i pozbawiona drzew, leżąca na Oceanie Lodowatym, trudno dostępna, bo wylądowanie na nią nie jest łatwe, pokryta pokładem torfu na podłożu granitowym – kawałek tundry na oceanie, której powierzchnia złożona jest z bagien i suchych mchów, między wysokimi kępkami których są zaciszne dołki głębokie, idealne gniazda naturalne – jest klasycznym schronieniem odwiecznym dla ptactwa wodnego do wysiadywania jaj. Ptactwo tu się gnieździ stadami i rojami. Po wykluciu się piskląt upuszcza z potomstwem wyspę, aby wrócić tu z wiosną roku następnego. O tej porze roku ptactwo właśnie się gnieździ, a wyspa jest jeszcze szara jak mchy, bez świeżej zieleni letniej. Ale, jak mię informuje kapitan statku „Jäämeri", niebawem wyspa ta zakwitnie tysiącami kwiatów, zmieniając barwy stosownie do zmian rodzajów kwiecia, to żółta, to biała, to błękitna, to czerwona, i wyglądać będzie jak kobierzec barwny lub klomb kwiecisty na falach oceanu. Następnie zaś napełni się niezliczonym mnóstwem jagód tundry – brusznicą w miejscach suchych, żurawiną w bagnach i zwłaszcza żółtą smaczną jagodą, zwaną po fińsku „hilla" (po rosyjsku „moroszka", której nazwy polskiej nie znam). Mnóstwo tej „hilli" tu się daje zebrać. Te trzy jagody dalekiej północy – „puolukka" „karpalo" i „hillaa" (brusznica, żurawina i „moroszka") oraz jeszcze czernica, choć ta, zdaje się, jest wyłącznie leśna i na bezleśnych terenach najdalszej północy już znika – to bogactwo i przysmak owocowy tundry i puszcz polarnych, doskonały materiał dla napoju, kwasów, soków i konfitur, których też tu dużo kosztowałem – oczywiście ze zbiorów zakonserwowanych zeszłorocznych.

Z wyspy ptasiej wróciliśmy znów na statek, który popłynął do najdalszego punktu północnego – do wsi karelskiej rybackiej Vaitolahti, przeciętej granicą sowiecką. Okrążając przylądek północny Vaitolahti wiatr był duży, morze otwarte, chłód przenikliwy, deszcz. Biedny Andrzej, wrażliwy na kołysanie statku, źle znoszący wszelką lokomocję sztuczną, nie tylko morską i powietrzną, ale nawet autobusową, które go nużą i sprawiają nudzenie, zaczął doświadczać mdłości. Zbladł i pozieleniał, stracił na humorze, ale trzymał się ze wszystkich sił, nadrabiał miną i tylko zamykał oczy i drzemał w kącie, ale do wymiotów nie dopuścił. W Vaitolahti statek stał krótko. Ze statku tylko oglądaliśmy z pewnego oddalenia nędzne domki porozrzucane osady rybackiej na pustkowiu dzikim w perspektywie granitowych skał ponurych „tunturi", wznoszących się majestatycznie dokoła i upstrzonych płatami śniegów i widzieliśmy stronę terytorium sowieckiego, które się zaczyna tutaj, tworząc wybrzeże murmańskie. Z Vaitolahti popłynęliśmy nazad i okrążywszy cypel przylądka północnego wjechaliśmy w zatokę Punmauginvuomo pod wieś rybacką Karelską Punnamanki, gdzie statek stanął na kotwicy do rana. Zrobiliśmy z Andrzejem ze statku wycieczkę łodzią na brzeg do wsi, którą obeszliśmy, oglądając na chybił trafił co się dało. Smutny to widok osady pierwotnej. Są krowy, trochę owiec, małe pozagradzane drutem łoneczki sianokosów, jest szkoła w większym budynku malowanym po fińsku na kolor ciemnoczerwony, jakieś sprzęty, składziki, lepianki i lepianeczki, nędza trudnego życia w warunkach niepospolitych. Z ludźmi starszymi mogliśmy się z biedy rozmówić po rosyjsku, bo Karelowie tutejsi należeli do Rosji i byli (a bodaj i są) prawosławni, rządzeni przez administrację rosyjską i klasztory prawosławne na Pieczendze (Petsamo). Spotkaliśmy też nieszczęsnego wariata, a właściwie

durnia nieszkodliwego, który tylko gada bez przerwy, pokazuje i tłumaczy w nie wiedzieć jakim języku i zalewa się śmiechem serdecznym, aż się zachodzi i wykręca od śmiechu. Inny nas objaśnił, że to dureń, który kiedyś był rozsądny, ale udał się na jakieś zarobki do Norwegii do Kirkenes, gdzie stracił rozum i wrócił po roku głupi. Kapitan nam potem mówił, że jest to tutaj zjawisko powszechne i że w każdej z tych północnych rybackich wiosek przylądkowych na pustyni, odciętych od świata, jest co najmniej po kilku takich durniów. Ale oto włócząc się po smutnych Punnamankach – natrafiamy na clou życia tutejszego, stanowiące oś i ośrodek życiowy istnienia tej osady – na ryby, które w olbrzymiej ilości suszą się tu na wielkim placu, rozwieszone na długich żerdziach, położonych rzędami wysoko na szeregu drągów, które je podtrzymują. Idzie się tam pod tymi rybami schnącymi jak pod dachem, na długiej przestrzeni. Ta ryba – to tzw. „treska"[21], która w stanie suszonym sprzedaje się masowo w całej Rosji, a stąd, ponieważ obecnie do Rosji stąd eksportu nie ma, wywozi się do całego świata – idzie do Afryki, a zwłaszcza do Turcji i na Bałkany do krajów o ludności prawosławnej jako masowy artykuł spożywczy na okres postów. Ryba ta poławia się tu w okresie wiosennym, kiedy napływa ona tutaj z morza masowo ogromnymi stadami. Jak mię informował kapitan, tej ryby „treski" poławia się tu w wioskach przylądkowych do 400 tysięcy kilo rocznie. Stanowi ona główny i najbardziej stały artykuł dochodów i utrzymania tutejszej ludności rybackiej. Dawniej za czasów rosyjskich zbyt dla tej ryby do Rosji był łatwy i popyt olbrzymi. Dawniej praca połowu i suszenia tych ryb zapewniała utrzymanie ludności przez cały rok. Teraz jest trochę trudniej. W pobliżu suszących się ryb natrafiamy na zawieszone olbrzymie wianki suszonych głów tychże ryb, nanizanych na sznury. Głowy te są następnie na fabrykach w Linnahtari mlete na mąkę rybią, służącą za pokarm pożyteczny dla bydła lub za nawóz dla ziemi. Wreszcie na przystani znajdujemy olbrzymie kubły, napełnione wnętrznościami rybimi, na których powierzchni unosi się warstwa różowawego płynnego tłuszczu rybiego. Ten tłuszcz wydzielający się z masy ścisłej wnętrzności rybich, przerabia się następnie w specjalnych destylarniach fińskich na tran.

Kapitan informuje mię, że czasem – nie co roku wszakże – napływa tutaj w zatoki i we fiord Petsamski wielka masa śledzi. Przed czterema np. laty było ich tak wiele, że zatoka fiordu petsamskiego była pełniutka śledzi – tak gęsto, że łódką przepłynąć nie było można. Nałowiono tu wtedy pięć milionów kilo śledzi. Ze śledziami przypływają żarłoczne wieloryby, które je pożerają. Nie co roku jest tyle śledzi. Teraz jest właśnie pora napływu śledzi, których ludność obecnie czeka. W niedzielę kapitan sam widział w Zatoce Petersburskiej wieloryba, zwiastuna śledzi.

Wczoraj koło drugiej wróciliśmy z Andrzejem na statku Jäämeri do Linnahtari. Na przystani spotkała nas stęskniona Jadźka, która cały dzień wczorajszy i noc cierpiała bardzo na ból zębów, aż jej wreszcie policzek wybrzękł i ból ustał. Dzień wczorajszy w Linnahtari zeszedł nam cicho bez większych przygód i wrażeń. Chodziliśmy trochę z Andrzejem po skałach i błądziliśmy nawet nieco. Dziś w południe rozpoczęliśmy już nasz odwrót z północy. Wielki czas, bo Jadzia jest już mocno zmęczona. Andrzej też, zdaje się, jest znużony, choć się nie chce przyznać. Już się tak nie zachwyca wszystkim, jak na początku. Moja wrażliwość okazała się najtrwalsza. Na razie pierwszy etap drogi powrotnej jest miły. Odjechaliśmy od wybrzeża oceanu ledwie 30 kilometrów – do Yläluostari – w sferę prawosławnego klasztoru na Pieczendze. Dziś tu dzień spędzamy i nocujemy. Ale o tym już jutro.

20 czerwca, rok 1935, czwartek

Yläluostari. Klasztor prawosławny na Pieczendze, niegdyś potęga tych stron, narzędzie panowania rosyjskiego na Oceanie Lodowatym i na tym lądzie polarnym, jeden z głównych przewodników ekspansji politycznej Moskwy na daleki zachód północny. Klasztory

[21] Dorsz (ros.).

prawosławne na dalekiej północy – sołowiecki na Morzu Białym, drugi na Ładodze i następnie ten na Pieczendze – były punktami skupienia kolonizacji rosyjskiej na dalekich kresach polarnych, prawosławienia i rusyfikacji plemion fińskich (Karelów, Samojedów i innych) i lapońskich i bazą panowania politycznego Rosji. Gdyby nie było bazy tych mnichów rosyjskich, osiadłych na Północy i skupionych w klasztory, ściągających iześrodkowujących tu przybyszów z guberni północnych w osobach nie tylko mnichów, ale także rozmaitych czyniących vota pobożne lub śpieszących dla tych czy innych przyczyn pod opiekę klasztorną, co wytwarzało pewne ośrodki sił i organizacji na tych dalekich placówkach, trudno byłoby Rosji utrzymać te dalekie ziemie w swej władzy i administrować je bez żadnych środków komunikacji, bez dostępu regularnego do nich, bez ich kontaktu gospodarczego z państwem. Klasztor na Pieczendze założony został przed kilku wiekami (zdaje się – przed przeszło 300 laty, w wieku XVI) przez misjonarza rosyjskiego Trifona, którego cerkiew prawosławna czci jako świętego i uznaje za apostoła Laponii i Karelii północnej. W cerkiewce klasztornej na Pieczendze (Petsamo), w miejscowości, która się po fińsku zwie Yläluostari, leżą zwłoki („moszcze") św. Trifona, nad którymi wznosi się sarkofag ze szczerego srebra, fundowany później. W roku 1591 wszyscy mnisi klasztoru na Pieczendze w Yläluostari zostali wymordowani, a klasztor i cerkiew – spalone, ale następnie odbudowane i wznowione. Klasztor na Pieczendze składa się z dwóch klasztorów – górnego w Yläluostari, który jest centralnym ośrodkiem zakonu, i dolnego, położonego bliżej morza, w którym są jakieś zakłady przemysłowe, zdaje się – tartaki i w ogóle obróbki drzewa. Klasztor ten, panujący na wybrzeżu Morza Lodowatego iześrodkowany na rzece Pieczendze (Petsamojoki), rozciągający swe wpływy również na dorzecze Petajoki aż po granicę norweską i szwedzką, a potem fińską, również na wybrzeże murmanskie, był w bezpośrednim kontakcie i nawet wspólnym zarządzie naczelnym z klasztorem na Wyspach Sołowieckich na Morzu Białym, rozciągającym swe wpływy na ziemię archangielską i Karelię wschodnią i południową na przestrzeniach między Morzem Białym a jeziorem Onegą, podczas gdy na południowym zachodzie dalekich ziem północnych – na ziemiach Ładogi w kierunku Pieczengi w Laponii i w kierunku Onegi kwitł i pełnił takąż funkcję polityczno-misjonarską klasztor wałaamski na wyspach Valaam na Ładodze. Niegdyś za czasów carskich aż do samej Wielkiej Wojny i rewolucji rosyjskiej klasztor na Pieczendze był potężny i opływał w bogactwa. Dobra miał ogromne i niezmierne w lasach, łąkach, zakładach przemysłowych, posiadał stada reniferów, bydła samej rasy chołmogorskiej, pobierał obfite daniny od ludności, zarządzał wyspami ptasimi na oceanie. Ludność lapońsko-łaporska i karelska była (i jest zresztą) prawosławna i ulegała klasztorowi, klasztor miał ogromne siły robocze w osobach przybyszów z Rosji – przeważnie z północy – z guberni archangielskiej, wołogodzkiej, ołonieckiej, Wiatskiej itd. – przeważnie zbiegowie, tułacze, włóczęgi, pielgrzymi pobożni, którzy się ofiarowali Bogu za uleczenie dzieci i chorych – wszystko to zbierało się pod skrzydła klasztorne, na służbę zakonów świętych, oddając klasztorowi energię wielkiej darmowej siły roboczej. Niektórzy z tych ludzi potem tu w kraju osiadali, inni wstępowali do klasztoru na mnichów i braciszków, którymi się dzieliły klasztory sołowieckie, pieczengowskie i wałaamskie, inni wracali po pewnym czasie do Rosji. Były to czasy kwitnące klasztorów północnych. Skądinąd do klasztorów płynęły z Rosji pieniądze, dary od ludzi pobożnych i bogatych, vota, w składach klasztoru na Pieczendze aż się mieni od sukien i materiałów bogatych, ornatów wyszywanych srebrem i złotem. Udoskonalone narzędzia rolnicze z votów pobożnych zasilają inwentarz klasztorny. Dziś klasztor na Pieczendze jest w upadku, z którego się zapewne nie dźwignie. Dali mu się we znaki bolszewicy, którzy zabrali nieruchome dobra klasztorne, ich bydło i stada reniferów. Los był względniejszy dla klasztoru na Pieczendze, niż dla klasztoru sołowieckiego na Morzu Białym. Ten ostatni, znalazłszy się pod rządami sowieckimi, został zlikwidowany, mnisi rozpędzeni, zakłady klasztorne zużytkowane na obóz koncentracyjny dla więźniów GPU. Terytorium

Pieczengi (Petsamo) zostało przez Sowiety ustąpione Finlandii. Klasztor ocalał. Finlandia udzieliła klasztorowi nadział ziemi obszerny po dwa kilometry od ośrodka klasztornego na wszystkie cztery strony, co stanowi kwadrat 4 kilometrów wzdłuż i wszerz i wynosi zatem 16 kilometrów kwadratowych. Są to lasy i laski brzozowe, trochę nawet lasu sosnowego, łąki, zabudowania klasztorne i gospodarskie, wody. Dla potrzeb gospodarczych klasztoru to wystarcza. Rolnictwa właściwego tu nie ma i być nie może, bo zboża nie dojrzewają, ale są sianokosy naturalne i sztuczne, ziemi się uprawia dużo pod zasiew traw (prawie wyłącznie tymotejka) i uprawia się starannie, klasztor ma krowy i konie, utrzymuje gospodę, ma w klasztorze dolnym jakieś zakłady przemysłowe. Ale dopływu przybyszów z Rosji i sił roboczych darmowych już nie ma, robotników trzeba najmować. Mnichów jest jeszcze 23, ale starzeją, a dopływu nowych nie ma. Rząd fiński pozwala przyjmować do nowicjatu tylko obywateli finlandzkich, ale miejscowi nie wstępują. Toteż mnisi wymrą niebawem. Mnisi tu byli i są wyłącznie Rosjanie, ani po łaporsku (lapońsku), ani po karelsku (fińsku) nawet nie rozumieją. Zakon się właściwie li tylko elementem rosyjskim trzymał, nie był ukrajowiony nigdy, nie zakorzenił się w ludności tubylczej i teraz to się na nim mści. Był pasożytem i naroślą obcą, a teraz, odcięty od Rosji, bez dopływu soków żywotnych młodych, schnie i musi zamierać. Mnichów poznałem tu kilka. Przede wszystkim ojca Paisija, przełożonego klasztoru, nieco światlejszego i gładszego od innych, ale przygnębionego i nie robiącego wrażenia orła. Inni – to ciemny i prosty lud – typowi chłopi północni rosyjscy pomieszani od wieków z Finami i Mongołami. Jednego tylko diakona poznałem z guberni aż czernihowskiej, żywszego temperamentu, jeden też z guberni wiatskiej, żywszy i nieco mniej mongolskiego typu – ten mieszka nad oborą i ma sobie dozór krów zlecony. Zabudowania i urządzenia gospodarcze klasztoru są bardzo staranne i zakrojone na większą niż obecnie skalę. Jest w nich wygoda, szerokość, wrażenie dostatku wielkiego i wielkiej fermy, imponującej tu na północy. Ale teraz – to tylko warsztat pusty, wielki młyn, ale... bez wody.

21 czerwca, rok 1935, piątek*

22 czerwca, rok 1935, sobota

Dzień dzisiejszy należy niewątpliwie do najnudniejszych w podróży naszej. Dzień forsownego przejazdu w odwrocie znad Oceanu Lodowatego nad Zatoką Fińską. Ten odwrót forsowny na przestrzeni półtora tysiąca kilometrów trwa już trzeci dzień. Pozawczoraj zajął on dwieście kilkadziesiąt kilometrów z Yläluostari do Ivalo, wczoraj – 300 kilometrów, znowu autobusem, z Ivalo do Rovaniemi i pociągiem z Rovaniemi na Helsinek, dziś dalszy ciąg tej jazdy pociągiem aż do Helsinek. Upał, w wagonie duszno, gorąco – nieznośne. Kurz taki, jak chyba nigdy i nigdzie. Jadzia – zmęczona, nic nie je, leży przeważnie w wagonie. Ale cieszy się, że już wraca, ze jest coraz bliżej Litwy, że doczeka się nocy ciemniejszej, że niebawem będzie w Bohdaniszkach, gdzie się wyśpi i wypocznie. Andrzej – znudzony, skwaszony, siedzi bez humoru, zły. Dąsa się czegoś, ale apetyt ma. Nie daję mu się położyć, toteż drzemie w kącie albo wychodzi na platforemkę wagonu, siada na stopniach i zatapia się nie w kontemplację, ale w jakichś uczuciach złych i ponurych. Jest znerwowany, nierozmowny, nadęty na Jadzię, ze wszystkiego niezadowolony, nieufny jakiś. Dobry to chłopiec, nieraz miły w podróży towarzysz, ale ma swoje kwasy i łatwo ulega zmęczeniu, co mu na humor bardzo działa.

Obudziłem się rano w wagonie, gdyśmy dojeżdżali do stacji węzłowej Seinäjoki, które to miasteczko zasłynęło jako centrum ruchu tzw. Lapua wśród Finów, ruchu o kierunku zbliżonym do faszyzmu czy nacjonalsocjalizmu, wrogiego parlamentaryzmowi i zwłaszcza socjalizmowi (komunizmowi) i agresywnego w stosunku zwłaszcza do Rosji. Jedziemy dalej. Na stacjach kolejowych ukazują się słabe krzewy bzu – dopiero w pączkach. W Sydanmae widzę pierwszy kasztan. Lasy – wciąż przeważnie młodniaki, niskopienne, na mchach:

brzozy, sosny, jodły. Ukazują się już zboża, ale na razie jeszcze mało i w ogóle mało osad i ferm. Wszakże im dalej na południe – tym coraz lepiej. Klimat, flora, zagospodarowanie rolnicze – szybko się zmienia i staje coraz bujniejsze. Bzy w kwiecie, drzewa – coraz ładniejsze, osady – bogatsze, rola uprawna, kultura wysoka. Po północy polarnej ma się wrażenie stron prawie „podzwrotnikowych". Kraj staje się śliczny. Wrażenie zmiany strefy ogromnie podnosi wartość tego, co się widzi. Po godzinie szóstej wieczorem jesteśmy w Helsinkach. Idziemy do hotelu Carlton. Czeka już nas tam paczka listów. Ale jest i zawód. Nie tylko jest niedziela jutro i wszystkie sklepy zamknięte, ale też pojutrze w poniedziałek w dzień św. Jana, który tu jest obchodzony jako święto narodowe wiosny. Żeby się doczekać sklepów otwartych – musielibyśmy tu pozostać do środy, ale na to już pozwolić sobie nie mogę. Zawód to dla nas, bo i ja chciałem kupić tutaj różnych rzeczy, i Jadzia bardzo liczyła na to, a nawet Andrzej. Andrzej zebrał sobie trochę pieniędzy z drobnych datków moich, a Jadzi dałem 150 marek fińskich, zaoszczędzonych przez to, że nie jechała z nami po Oceanie Lodowatym do Vaitolahti.

23 czerwca, rok 1935, niedziela

Rano, ledwieśmy w Helsinkach wstali, a wstaliśmy wyjątkowo późno, między godz. ósmą a dziewiątą, bom dał mojej zmęczonej i niewytrwałej młodzieży się wyspać, oznajmiono mi, że Salmela mię czeka na dole. Poszedłem do niego. Poczciwy p. Salmela, który przed laty okazał mi dużo serdecznej gościnności w Rovaniemi, teraz pilnował już mojego powrotu z północy i pośpieszył się zgłosić, by mnie i moich towarzyszy podróży w Helsinkach rozerwać. Przed trzema tygodniami, gdym się z nim widział w Helsinkach, mówił mi on, że za moim powrotem zawiezie mnie na wieś do swej willi, gdzie spędza lato jego rodzina o 40 kilometrów od Helsinek i pokaże okolice oraz wieś fińską w tych stronach. Teraz zmienił projekt, bo powiada, że synek jest chory na wsi, a poza tym musi pozostać w Helsinkach, bo musi wygłosić jutro jakiś komunikat czy odczyt oświatowy przez radio. Zaproponował mi więc wycieczkę statkiem po Zatoce Fińskiej do Borgo. Nie dałem się jednak do tego namówić, bo miałem wizyty do złożenia w Helsinkach, jutro zaś chcę odjechać. Wtedy Salmela oznajmiał, że ułoży inny program bez wyjazdu z Helsinek. Obiecał wrócić za godzinę. Wrócił w towarzystwie tej samej młodej Estonki z Tartu (Dorpatu), którą poznałem u niego przed trzema tygodniami. Jest to panna Marta Kongro-Pool, nauczycielka rysunków w Tartu, młoda dziewczyna lat dwudziestu kilku, bardzo miła, wykształcona, towarzysko łatwa, ale zupełnie poważna, mająca dużo zmysłu artystycznego i zdobniczo-narodowego i że tak powiem – bałtyckiego. Bawi ona już kilka tygodni w Helsinkach, gdzie ma jakieś wykłady na kursach fińsko-estońskich dla nauczycieli. Z p. Alfredem Salmelą ich stosunek jest bardzo koleżeński i bliski; wobec nas pełnili oni wspólnie rolę gospodarzy. Może nawet jest między nimi sentyment głębszy i bardziej osobisty, co zresztą nie należy do nas sądzić. Przede wszystkim sprowadzili oni automobil i obwozili nas po mieście, pokazując różne dzielnice i charakterystyczne miejsca Helsinek, pełne pięknych efektów natury i architektury w kombinacji skał, parków i ogrodów, morza i tzw. „szcherów" fińskich. Objechaliśmy piękną dzielnicę dyplomatów i ludzi bogatych, niektóre miejsca wybrzeża, dzielnicę will klasy średniej, dzielnicę robotniczą, obejrzeliśmy prześliczny kościół, zbudowany z granitu na granicie i stanowiący jeden z najpiękniejszych gmachów architektury modernistycznej, która w Helsinkach jest szczególnie efektownie reprezentowana. Następnie zwiedziliśmy w ich towarzystwie piękne tak w architekturze również modernistycznej, jak w zbiorach – Muzeum Narodowe Fińskie, poświęcone przeważnie historii kultury Finlandii. Zbiory są duże i bardzo starannie usystematyzowane. Kultury epoki kamiennej, epoki brązu, okres chrześcijański, wpływy szwedzkie i dominacja szwedzka – zamki, rycerstwo, zbroje, miasta, szlachta, stan średni, lud włościański, folklor i etnografia – fińskie, lapońskie, karelskie, stroje, zdobnictwo, narzędzia itd. bardzo ciekawe i bogate. Następnie byliśmy na

lunchu w restauracji „Torni" w śródmieściu i na kawie na tarasie wysokiej baszty tejże restauracji z prześlicznym widokiem na całe miasto, na wysepki, na morze. Po lunchu rozstaliśmy się z p. Salmelą i panną Kongro-Pool. Jadzia z Andrzejem zostali jedni, ja zaś udałem się z wizytami. Musiałem złożyć wizytę formalną rektorowi uniwersytetu w Helsinkach, prof. Brotherusowi i konsulowi generalnemu litewskiemu w Helsinkach p. Öllerowi, o którym wiem, że jest bardzo gościnny i bardzo wystawnie przyjmuje wszystkich Litwinów w Helsinkach; jest to Fin – „*homme d'affaires*" – człowiek bogaty, który jest konsulem dla honoru i tytułu. Nie było obawy, że tych panów znajdę, bo w Finlandii dzień św. Jana i wigilia dnia tego – to wielkie święto lata, w którym miasto pustoszeje, tym bardziej w tym roku, gdy te dwa dni wypadły na niedzielę i po niedzieli, a pogoda jest słoneczna i upał jak pod zwrotnikiem. Rektor Brotherus był wprawdzie w domu, ale się okazało, że jest chory i leży w łóżku; p. Öllera nie było. Złożyłem więc tylko bilety wizytowe, aby uczynić zadość kurtuazji, albowiem wiedzieli oni, że będę w przejeździe w Helsinkach. Pod wieczór wybraliśmy się z Jadzią i Andrzejem małym parostatkiem lokalnym na piękną wysepkę skalistą Högholmen, porosłą ładnym lasem i łoneczkami wśród skał i głazów granitu, stanowiącymi park, w którym urządzony jest ogród zoologiczny, kawiarnie, restauracje, kioski, oranżerie i ogrody kwieciste. Zbiór zwierząt i ptactwa może nie jest zbyt obfity i kompletny, ale okazy są ładne i utrzymane dobrze. Szczególnie piękne są: żubr, lwy, niedźwiedzie bure i niedźwiedzie białe.

PP. Salmela i Kongro-Pool wiedzieli, że się wybieramy wieczorem do ogrodu zoologicznego, toteż koło godziny ósmej spotkaliśmy ich tam. I znowu zafundowali oni nam kolację. Są mili, czas nam z nimi zeszedł przyjemnie, ale zbyt są gościnni, co już jest krępujące nieco. Nie muszą być przecie bogaci, bo są to ludzie żyjący z pracy i pobierający pensyjki średnie, które w Finlandii, taniej dla przyjezdnych, są niskie na ogół i dostosowane do taniości życia, toteż taki rozchód na przyjęcie gości, jak automobil do objechania miasta, lunch i kolacja dla trzech osób obcych – to wielki luksus dla nich i ciężar dla ich kieszeni. Zapraszałem ich, żeby, będąc w Kownie, zajechali wprost do mnie. Mają oni być w Kownie, zwłaszcza p. Salmela. Rozmawialiśmy z nimi po niemiecku, a Jadzia z panną Kongro-Pool – po rosyjsku. Wszyscyśmy nie bardzo mocni w niemieckim, ale jakoś to szło. Sami ludzie są łatwi, serdeczni, nastrojeni sympatycznie do Litwy i zbliżenia bałtyckiego, toteż ta atmosfera serdeczna sympatii ułatwiała rozmowę. Krępowało mię trochę manifestacyjne mówienie Andrzeja do Jadzi i do mnie po polsku. Ci bowiem gospodarze nasi brali nas za Litwinów z krwi i kości i rozmowę toczyli w duchu właśnie emancypacji narodowych ludowych na Bałtyku, co w stosunku litewsko-polskim w Litwie odpowiada stosunkom estońsko-niemieckiemu i fińsko-szwedzkiemu u nich. Nie spostrzegli się oni, że między sobą (dzięki Andrzejowi) mówimy nie po litewsku, lecz po polsku, ale się obawiałem, że spostrzegą, a to by zakłóciło tę harmonię bałtycko-ludową, fińsko-estońsko-litewską, która się kojarzyła. Wytłumaczyć im moją skomplikowaną naturę litewsko-polską, która się całkowicie w Litwie streszcza – to by było zbyt trudne.

Andrzej wszakże jest li tylko Polakiem i innej kombinacji, jak bądź wyłącznie polska, bądź wyłącznie litewska, nie umie nawet pojąć. Moja konstrukcja wydałaby się jemu (zapewne się też wydaje) – renegacją polską.

24 czerwca, rok 1935, poniedziałek

Mieliśmy wyjechać z Helsinek na Tallinu parostatkiem fińskim w godzinie dziesiątej rano. Na przystani wszakże takiego statku nie znaleźliśmy choć rozkład jazdy go przewiduje. Natomiast znaleźliśmy statek estoński „Hansi", odchodzący o godz. drugiej. Jest to mały stateczek, kursujący wyłącznie między Tallinem a Helsinkami. Jest to stateczek mały, którym zapuszczać się na morze, nawet na takie, jak Zatoka Fińska na Bałtyku, mogłoby być czasem niebezpiecznie. Ale pogoda jest tak idealnie piękna, słoneczna i ciepła, że można by płynąć

łódeczką. Złożyliśmy rzeczy na statku i poszliśmy jeszcze na miasto. Nie chcieliśmy już spotkać Salmeli i panny Kongro-Pool, nie dlatego, żeby się oni nam uprzykrzyli, ale dlatego, że czuliby się zapewne w obowiązku gościnności, co jest krępujące może i dla nich, a w każdym razie dla nas. Mieli zaś oni przyjść nas odprowadzić o dziesiątej. Może byli na tamtym statku, któregośmy nie znaleźli. Chcieliśmy ich nie spotkać. Ale gdyśmy siedzieli w kawiarni na Esplanadzie – ujrzeliśmy ich idących. Zawrócili też do Esplanady i usiedli na tarasie kawiarnianej na zewnątrz, podczas gdy my siedzieliśmy wewnątrz. Czy nas widzieli, czy nie – nie wiemy, bo miejsce, gdzieśmy siedzieli, było oszklone; zdaje się, że mogliby nas zobaczyć z zewnątrz. My wszakże ani drgnęliśmy, niby ich nie widząc, a oni też nie podeszli i po pewnym czasie wstali i poszli. Była sytuacja dosyć przykra. Jeżeli nas widzieli – mogli mieć wrażenie, że my umyślnie ich unikamy. Pocieszamy się, że może nie widzieli i nie posądzają nas o nic. Napiszę do nich z Rygi. Szkoda byłoby wyrządzić przykrość tym dwojgu dobrych ludzi, którzy byli tak gościnni i uprzejmi dla nas. Poza tym nie tylko panna Kongro-Pool, jako Estonka, jest gorącą przyjaciółką zbliżenia bałtyckiego, ale i p. Salmela, co u Finów jest rzadsze, należy do tego pokolenia młodych Finów, którzy, będąc niechętni Skandynawom, z którymi Finowie mają porachunki narodowe, orientują się w kierunku bloku bałtyckiego z Estonią, Łotwą i Litwy, czyli bloku cywilizacyjnego i politycznego plemion fińskich i litewskich na tym bałtyckim północnym wschodzie europejskim, rozumiejąc, że między tymi ludami jest organiczny i polityczny solidaryzm niepodległości i że poza tym łączą je głębokie tradycje kontaktu i współdziałania dziejowego od wieków i na długą jeszcze przyszłość. „Bałtyzm" p. Salmeli i tego odłamu młodych Finów jest nie tylko rozumowym, ale także serdecznym. Jest w tym jakiś instynkt rasy fińskiej, która by się chciała emancypować od ciążącej na niej hegemonii germańskiej lub słowiańskiej i w kontakcie z drugą takąż rasą, opanowaną tą samą hegemonią, wybić się do roli czynniku samodzielnego.

O drugiej wypłynęliśmy do Tallina. Morze było bardzo spokojne i ani Andrzejowi, ani Jadzi podróż tym razem nie zaszkodziła. Przesiedzieli oni całą drogę na pokładzie. Przekonali się, że podróż morska nie zawsze nabawia choroby nawet tych, co się tej podróży boją. Ponieważ pieniędzy estońskich miałem mało i na statku ani na przystani nie mogłem wymienić posiadanych pieniędzy na korony estońskie, więc z przystani poszliśmy do dworca kolejowego w Tallinie pieszo. Andrzej, który dźwigał większość rzeczy naszych, był skonfundowany tą rolą tragarza na mieście, zwłaszcza wstydził się bardzo swoich wielkich rogów reniferowych, pokrytych jeszcze szarością i włosami, zwracających uwagę powszechną. Toteż szedł wielkim krokiem, wyprzedzając nas z Jadzią, nie oglądając się na ludzi, jak automat, nadęty i zły, obiecując w duchu nic nie jeść, aby zademonstrować swoje zmęczenie i krzywdę (nie wytrwał jednak w tej demonstracji, bo przy kolacji, choć na razie oświadczył, że jeść nie będzie, „uległ" mojej perswazji i nie tylko jadł, ale zjadł za dwóch). Do odejścia pociągu na Tartu mieliśmy dobre trzy godziny, które poświęciliśmy kolacji w restauracji „Du Nord". Jest to pierwszorzędna restauracja, najlepsza ze wszystkich, jakie w podróży spotkaliśmy. Zarazem tania, jak wszystko w Estonii, i obfita (porcje są wprost potwornie duże, a kuchnia luksusowa i doskonała). Pospacerowaliśmy też po uliczkach starego Tallina, które tym razem pod wieczór czyniły wrażenie jeszcze większe, niż przeszłą razą, zwłaszcza że były one pustynne, bo ludność cała w dnie święta dnia Janowego wyległa za miasto, a małe wąziutkie stare uliczki, pustynne i ciche, czyniły wrażenie jakiegoś średniowiecza. I architektura domków, bram, dziedzińców – wszystko do złudzenia prastare, przenoszące wędrowca w jakieś prawieki wstecz. Zamek wysoki pogłębia to wrażenie, a wielkie plantacje, esplanady, klomby ładne, bukiet drzew u dołu dają szczególny efekt temu przedziwnemu miastu.

Przed północą wyjechaliśmy. Upał duszny, wagony pełne, kurz. Trzy miejsca sypialne III klasy. Trudno wytrzymać w wagonie, duszno; położyliśmy się spać, ale była to męka. Długo w noc studziłem się przy oknie otwartym w sioneczkach wagonu. Komfortu w tym

wagonie sypialnym zgoła nie ma. W ogóle po Finlandii Estonia czyni wrażenie biedniejszej znacznie i bardziej zaniedbanej, pierwotniejszej, ale ludność – przyjemna, łagodna, uczciwa, mająca szczególną dystynkcję miękką.

25 czerwca, rok 1935, wtorek

Tartu. Stare tradycyjne miasto uniwersyteckie jeszcze od czasów szwedzkich aż dotąd. Punkt wielkiej oświaty na ziemiach wschodu bałtyckiego, placówka wiedzy poważnej i cywilizacji zachodniej u samych wrót Eurazji rosyjskiej – na odwiecznych ziemiach plemion fińskich, opanowanych przez zakony rycerskie Niemiec i ekspansję skandynawską, o kilkadziesiąt zaledwie kilometrów od jeziora Peipus, gdzie już mocną nogą stanęła od wieków cywilizacja słowiańsko-prawosławna Pskowa. Dawny Dorpat szwedzko-niemiecki, potem Jurjew rosyjski, dziś już Tartu narodowe estońskie. Miasto i wielki uniwersytet o najświetniejszych na Bałtyku wschodnim tradycjach akademicko-oświatowych, na pograniczu Europy i Eurazji, przechodzące wraz z samym krajem z rąk do rąk w różnych fazach panowania obcego zmagających się wielkich potęg sąsiednich, aż dopiero po Wielkiej Wojnie w wieku XX ustalone samo w sobie w ukonstytuowanym kraju własnym Estonii niepodległej. Szanowny punkt naszej Bałtyki, wielkie imię i wielka tradycja.

Do Tartu przyjechaliśmy rano, niewyspani, zmęczeni upałem. A upał tu od samego rana zapowiadał się jeszcze większy niż wczoraj i pozawczoraj. Zdawało się, że ze sfery północnej trafiliśmy istotnie w zwrotnikową. Ja osobiście znoszę trudy podróży łatwiej, ale Jadzia i Andrzej byli wyczerpani. Jadzia, słaba i zmęczona, względnie jeszcze jest pogodniejsza, ale Andrzej, będąc zmęczony, staje się zły, nadęty, nabuntowany; przykry jest wtedy, nietowarzyski, obraźliwy i opryskliwy. Nic mu się nie podoba, usposobiony jest do wszystkiego pogardliwie i niechętnie. W ogóle w podróży okazał się Andrzej dosyć ciężki i sam do podróży się nie nadaje. Ze mną podróżuje względnie bardzo wygodnie, po pańsku, zgoła nie tak, jak podróżują zwykle studenci. Je bardzo dobrze i dużo, nocuje prawie zawsze w hotelach, a jeżeli czasem jedziemy w nocy pociągiem, to zawsze daję wagon sypialny. Jest też w Andrzeju jakiś opozycjonizm czy raczej przekora głęboka, zarozumiałość, buntowanie się ciągłe, tłumiony bunt wewnętrzny. Od samego przyjazdu do Tartu Jadzia z Andrzejem rozpoczęli atak na mnie, by czym prędzej jechać dalej. Musiałem wreszcie dać reprymendę Andrzejowi.

Celem mojego przyjazdu do Tartu było nie tylko poznanie tego miasta uniwersyteckiego, ale także i zwłaszcza rozmówienie się z rektorem prof. Köppem jako prezesem estońskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej w przedmiocie zaprojektowanej przez nas w Kownie konferencji bałtyckiej tych komisji narodowych Litwy, Łotwy, Estonii i ewentualnie Finlandii. Okazało się wszakże, że rektor prof. Köpp, który spędza lato w swojej własności o 15 kilometrów od Tartu, jest chory, toteż ani sam przyjechać do Tartu nie może, ani go goście mogą odwiedzić. Sekretarz tej komisji, także jeden z profesorów, bawi w Tallinie. Skierowano mię więc z uniwersytetu do prof. Puuseppa, członka tejże komisji estońskiej, wybitnego chirurga neurologa, specjalisty operacji czaszki i chorób mózgu i szpiku. Jest to uczony i specjalista miary europejskiej, publikujący swe prace po niemiecku, szeroko w nauce znany, członek czy doktor honorowy jednego z uniwersytetów polskich. Pojechałem do prof. Puuseppa do kliniki uniwersyteckiej chorób nerwowych za miastem. Rozmówiłem się z nim w sprawie konferencji komisji naszych. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Profesor lubi się chwalić, popisywać się swoją znakomitością, stosunkami, walorami pracy i uznania, ale też widocznie lubi swoją specjalność i chętnie o niej samej także mówi, przeplatając to wzmiankami o sobie. Na uniwersytecie widziałem się i informowałem u sekretarza kancelarii, p. Luka, który dobrze mówi po francusku, złożyłem wizytę prorektorowi prof. Krusowi, człowiekowi młodemu jeszcze, historykowi, specjaliście historii Północy europejskiej, z którym rozmawialiśmy po rosyjsku. Prof. Krus chciał mię

zapraszać i mną się zająć, ale się wymówiłem. Przyszedł wszakże odprowadzić mię wieczorem na pociąg. Złożyłem jeszcze bilet wizytowy profesorowi Piipowi, znanemu publicyście na katedrze prawa międzynarodowego i byłemu ministrowi, którego nie zastałem.

Łaziliśmy po mieście z Jadzią i Andrzejem. Miasteczko niezbyt wielkie i niezbyt eleganckie, ale ma kilka ładnych parków i ogródków czy plantacji, rzeczkę Emajogi, bardzo charakterystyczną, płynącą leniwie do jeziora Peipus, bardzo odbijającą od młodych energicznych rzek fińskich, do których oko nasze w tej podróży przywykło. W Tartu czuje się już bliskie sąsiedztwo wschodu rosyjskiego – zwłaszcza na targu element rosyjski w ludziach, zaprzęgach itd. jest bardzo jaskrawie widoczny. Bo też jesteśmy tu w sąsiedztwie bezpośrednim Pskowa, którego cząstka ziemi – dzielnica Pieczory, słynąca klasztorem prawosławnym pieczerskim, jest do Estonii wcielona, choć jest etnograficznie zupełnie rosyjska. Wszakże klasztor prawosławny w Pieczorze, poniekąd należący dawniej do systemu wielkich rosyjskich klasztorów północy kresowej (Sołowki, Pieczenga, Wałaam, Pieczora), nie jest tu tak oderwany od kraju i ludu lokalnego, jak klasztor na Pieczendze nad Oceanem Lodowatym, ani związany li tylko z ludnością napływową (rosyjską), jak klasztor wałaamski na Ładodze. Dokoła Pieczory jest ludność rdzennie tubylcza rosyjska, a poza tym w dużym jeszcze promieniu na zachód prawosławną jest sama ludność estońska. Toteż cerkiew prawosławna jest na południowym wschodzie Estonii kościołem narodowym i w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości Estonii toczyła się tu uporczywa walka estońsko-rosyjska na gruncie cerkwi prawosławnej; stare duchowieństwo prawosławne usiłowało utrzymać rosyjski charakter cerkwi, wszakże ruch estoński w cerkwi, poparty przez państwo, zwyciężył. Dziś biskupem prawosławnym jest Estończyk, nabożeństwa prawosławne odbywają się po estońsku, w Pieczorze jest estońskie prawosławne seminarium duchowne. I na północnym wschodzie Estonii, w dzielnicy Narwy są Rosjanie prawosławni i prawosławną jest ludność ingermańska tubylcza plemienia fińskiego.

26 czerwca, rok 1935, środa

Po przyjeździe z Tartu przenocowaliśmy w Rydze w hotelu Roma, który jest własnością Uniwersytetu Łotewskiego z testamentu poprzedniego właściciela. Do Rygi przyjechaliśmy dobrze zmęczeni w nocy. Chocieśmy jechali pociągiem ekspresem, który z Tartu do Rygi idzie pięć godzin zamiast siedmiu, jednak jazda była bardzo męcząca, ścisk i tłok był wielki, upał i duszność – nieznośna, kurz – dziki, mimo że okna zamykano. Granicę estońsko-łotewską, jak wszystkie granice, któreśmy przejeżdżali tam i z powrotem, przejechaliśmy doskonale. Mój paszport dyplomatyczny zwalnia mię od wszelkich rewizji celnych i od ograniczeń walutowych Łotwy. Pod moją firmą przechodzą swobodnie rzeczy wszystkich nas trojga. Zresztą nic osobliwego nie mamy – wątpliwość mogłaby zachodzić li tylko co do rogów reniferowych Andrzeja i Jadzi i 10 noży fińskich, któreśmy nakupili.

W Rydze wstaliśmy dość późno w humorach kwaśnych, przynajmniej ja. Dziś i jutro poświęcam rozrywce, dopiero pozajutro rozpocznę wizyty urzędowe. Do obiadu pisałem w hotelu dziennik, w którym się przez intensywną podróż odwrotną potworzyły zaległości. Na obiad udaliśmy się do parku wermańskiego, gdzie w kiosku dużym – dawniej eleganckiej restauracji – mieści się restauracja studencka. Potem wałęsaliśmy się trochę po ulicach miasta i zwłaszcza po prześlicznych parkach ryskich, bez określonego programu, marnując czas. W wycieczkach brak programu i włóczęga *à l'improviste* bywa często bardzo przyjemne i dodatnie w skutkach co do wrażeń i spostrzeżeń. Dopiero po godzinie piątej pojechaliśmy pociągiem na znakomitą ryską „Jurmala" (plaże morskie pod Rygą, zajmujące kilkadziesiąt kilometrów wybrzeża i usiane miejscowościami kąpielowymi, po niemiecku – „Strand", po rosyjsku – „Рижское взморье"). Na chybił trafił wybrałem miejscowość „Dzintari", dawniej po niemiecku „Edinburg". Jeździłem na te słynne plaże ryskie niegdyś z moją Annin, która mi tu robiła honory gospodyni w swojej Łotwie rodzinnej – było to, zdaje się, w roku 1912. I

teraźniejsza wycieczka żywo mi przypomniła ową sprzed lat 23! W Dzintari wyszliśmy nad morze. Trafiliśmy na plażę dość samotną, gdzieśmy się wykąpali dobrze w morzu. Woda była jak grzana. Nie przypominam tak ciepłej w morzu. Zbierały się chmury, zapowiadała się burza, grzmiało nawet trochę, gdyśmy jechali, ale burza przeszła bokiem. Jutro ruszymy na „Jurmalę" na kąpiel radykalną z wannami słonecznymi. Używany ostatnich wywczasów podróży.

27 czerwca, rok 1935, czwartek – NIE MA

28 czerwca, rok 1935, piątek

Dzień dzisiejszy poświęciłem wizytom urzędowym. Jadzię z Andrzejem puściłem samych na plażę i potem chodzić po mieście, sam zaś ułożyłem sobie program wizyt i ruszyłem je załatwiać. Rozpocząłem od magnificencji rektora Uniwersytetu Łotewskiego – prof. Auškapa, którego dotychczas nie znałem. Rektor, którego wizytowałem w uniwersytecie, okazał się człowiekiem bardzo sympatycznym i naturalnie, jako człowiek nauki, światłym i kulturalnym. Jest to z zawodu technolog. Rozmawialiśmy wpierw po niemiecku, potem po rosyjsku. Złożyłem też wizytę prorektorowi prof. Adamowiczowi, który jest zarazem ministrem oświaty i prezesem narodowej łotewskiej komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej, do którego w tym ostatnim jego charakterze miałem interes szczególny, jak do prezesów takichże komisji narodowych w Finlandii i Estonii. Był on jednak bardzo zajęty, przeto zabawiłem u niego króciutko. Prosił, abyśmy pomówili w tych sprawach jutro w przerwach między posiedzeniami kongresu (litewsko-łotewsko-estońskiego), który się jutro zaczyna. Złożyłem też wizytę prorektorowi do spraw gospodarczych prof. Gulnisowi, także byłemu rektorowi z roku 1928 – profesorowi, obecnie emerytowi, Zile, którego w roku 1928 poznałem w Kownie, gdy za pierwszego rektoratu mego przyjeżdżała do naszego uniwersytetu z wizytą grupa profesorów łotewskich z rektorem Zile na czele, wreszcie p. Kazimierzowi Virbarasowi, byłemu konsulowi generalnemu Litwy w Rydze. Tych panów nie zastałem, złożyłem im bilety. Złożyłem też wizytę w poselstwie litewskim. Posła Vileišisa nie zastałem, jest bowiem ciężko chory i wyjechał na kurację do Karlsbadu. Zastałem tylko jego zastępcę czasowego – Žilionisa, byłego ucznia mojego z uniwersytetu. Na tym wizyty urwałem. Zostaje mi jeszcze parę na pojutrze.

Jutro mam ten kongres litewsko-łotewsko-estoński, w którym mam też brać udział z zaproszenia Tpwarzystwa Litewsko-Estońskiego i mam wygłosić mój referat polityczny, napisany w Kownie przed wyjazdem i przetłumaczony na rosyjski przez p. Stankiewiczównę, córkę profesora, a z rosyjskiego tu przez sekretarza biura organizacyjnego kongresu inżyniera Berzina przetłumaczony na łotewski i wydrukowany po łotewsku dla uczestników kongresu Łotyszów. Mam go odczytać po litewsku na kongresie. Informacje te mam mi udzielone listownie przez Jana Vileišisa z Kowna. Jan Vileišis i Karol Żołkowski z zarządu Towarzystwa Litewsko-Estońskiego nie przyjadą na Kongres. Z ramienia tego zarządu przyjedzie tylko notariusz kowieński p. Brazaitis, którego jeszcze nie ma.

29 czerwca, rok 1935, sobota*

30 czerwca, rok 1935, niedziela

O wczorajszym dniu kongresu litewsko-łotewsko-estońskiego napiszę nieco później, może jeszcze dziś trochę, jeżeli miejsca starczy, może innego dnia po skończeniu podróży. Tymczasem przejdę do toku naszej podróży. Kongres odbywał się jeszcze dziś i dziś ma być zakończony, mają być dziś wygłoszone inne referaty, mają być powzięte rezolucje, ma nastąpić zamknięcie uroczyste kongresu wieczorem, jutro zaś i pojutrze – rozmaite jeszcze wycieczki i rozrywki dla uczestników kongresu. Ale już ani w posiedzeniach dzisiejszych, ani

w wycieczkach i rozrywkach dni następnych osobiście udziału nie biorę, bo dzisiaj z Jadzią i Andrzejem wyjeżdżamy z Rygi. Wyjeżdżamy o drugiej i już podróż nasza ma się ku końcowi. Postanowiliśmy jednak skorzystać z ostatniego ranka pobytu w Rydze, aby raz jeszcze pokąpać się w morzu na pięknej plaży Jurmali ryskiej. Umówiliśmy się wczoraj pojechać na plażę o godz. dziewiątej rano z Justysiem Stawskim, którego spotkałem wczoraj na posiedzeniu kongresu i który z nami parę godzin przed wieczorem spędził w kawiarni i na mieście. Spotkanie kogoś bliskiego z Litwy po długiej podróży w stronach dalekich wśród obcych sprawiło dużą przyjemność Jadzi i Andrzejowi, którzy się poczuli wreszcie już jakby u siebie, gdzie w każdym razie już swoich spotkać można. Ma to urok szczególny po dłuższej podróży, bo już szczególnie Jadzia stęskniona do kraju i do swoich. Nie doczekaliśmy się jednak rano Justysia, który pośpieszył widocznie na jakieś zwiedzanie zakładów ogrodniczych, bo to go głównie w Rydze zajmuje, toteż pojechaliśmy sami do Dzintari, gdzie już innych dni na tym samym obranym przez nas stanowisku u sanatorium dr Lifszyca wyszliśmy na plażę. Słońce ładnie świeciło, wietrzyk był trochę większy i nieco większe fale, ale kąpiel doskonała i wanny słoneczne na piasku śliczne. W toku naszej kąpieli w morzu i w słońcu nabrało się publiczności na plaży mnóstwo, ale się do tego przyzwyczaja. Czerwony jestem od opalania dni poprzednich jak rak gotowany, szczególnie na plecach. Dziś opaliłem głównie przód – piersi, jamę brzuszną, nogi. Do wody wchodziliśmy trzykrotnie, wylegiwaliśmy się do południa. Z żalem opuściliśmy plażę, bo czas było wracać do Rygi, żeby na pociąg na wyjazd zdążyć. Dopiero po pierwszej doczekaliśmy w Dzintari pociągu na Rygę, toteż nim dojechaliśmy, nim w hotelu zebraliśmy rzeczy i rachunek zapłaciliśmy, o mało nie spóźniliśmy się na pociąg wyjazdowy. Jedziemy wszyscy troje do Dyneburga, stamtąd rozjeżdżamy się: Jadzia już bezpośrednio do Abel i dziś nocować już będzie w Bohdaniszkach, my z Andrzejem – do Rezekni (Rzeżycy) w Łatgalii (byłych Inflantach polskich), by odwiedzić Antoniego Römera w Janopolu. W Dyneburgu więc na dworcu kolejowym (dawny banhof ryski w Dyneburgu) żegnamy się z naszą wierną towarzyszką podróży Jadźką, którą wsadzamy do pociągu na Grzywę-Eglainę-Abele. Zostajemy z Andrzejem sami i niebawem wyjeżdżamy także. Jedziemy przez ładny kraj łatgalski, przypominający mi nasze strony rodzinne, stanowiący naturalne za Dźwiną przedłużenie naszego terenu malowniczych jezior i pagórków powiatu jeziorskiego i Wileńszczyzny północnej, dobrze mi znaną koleją żelazną, którą przed laty w dzieciństwie i wczesnej młodości jeździłem tylekroć z Bohdaniszek do Petersburga i z powrotem i umiałem na pamięć stacje na tej linii (pamiętam je dotąd): Dyneburg, Wyczki, Raszony, Antonopol, Rzeżyca i potem stamtąd dalej: Iwanówka, Korzówka, Poldary, Pytałowo, Żogor, Fedorino, Ostrów, Czerskaja, Psków itd. itd. Dziś nazwy tych stacji na tym odcinku łatgalskim aż do dawnego Pytałowa-Żogowa na pograniczu łotewsko-sowieckim (Jaunlatgala-Rytupa łotewskie i Bigosowo sowieckie brzmią już z łotewska inaczej i oprócz tego namnożyło się całe mnóstwo drobnych stacyjek i przystanków nowych. W nazwach tych stacji i brzmieniu obecnym między Dyneburgiem a Rzeżycą odnajduję tylko Viški. Ruszony stały się Agloną (znaczy klasztor i obraz cudowny Matki Boskiej w Agłonie). Antopol jest Malta. I sama ta linia kolejowa, która niegdyś stanowiła odcinek wielkiej magistrali potężnego ruchu, łączącej stolicę północną wielkiej Rosji carskiej – Petersburg – z Warszawą i z Europą Zachodnią przez Polskę i przez Litwę (Kowno-Wierzbołów), którędy biegły wielkie ekspresy i kuriery, dziś się stała małą kresową linijką kolejową łotewską, obsługującą ruch lokalny w Łatgalii. Pociąg się składa z kilku nędznych wagonów, zapełnionych publicznością prowincjonalną, wśród której dominują Rosjanie starowiery, Żydzi, trochę Łatgalczyków, gdzieniegdzie brzmi język polski, rozmowy toczą się na jakieś tematy i epizody lokalne. Mała głucha prowincja, ciasny zapadły kąt kraju. Jeżeli w Łotwie w ogóle język rosyjski jest bardzo upowszechniony, to tu w Latgalii jest on stanowczo przeważający. Łotyszów tylko na lekarstwo, język łotewski słyszy się tylko epizodycznie i tylko formalnie – prawie wyłącznie w ustach urzędników

kolejowych. Oni tylko i wszelkie napisy publiczne przypominają, że jesteśmy jeszcze w Łotwie. Łatgalczycy, jako osiadła ludność rolnicza, podróżują mało, toteż ich (mam na myśli Łatgalczyków rdzennych) widzi się tu w pociągu i słyszy mało. Przyjeżdżamy do Rezekni o północy.

Przyjeżdżać o tej porze do Janopola w gościnę – nie ma jak. Będziemy więc nocować w Rezekni. Przekąsujemy w bufecie, na stacji, która jest ogromna – pusto i cicho. Dowiadujemy się o hotel czy zajazd. Jest blisko stacji – pierwszy dom rogowy przy wejściu do miasta – zajazd żydowski, do którego też ruszamy. Nie elegancki wcale, zwyczajny zajazd z numerami, dosyć brudny i opuszczony, o zapachu nie zachęcającym. Ale jakoś to będzie. Gospodarze zajazdu jednak są mili, rozmowni.

1 lipca, rok 1935, poniedziałek*

2 lipca, rok 1935, wtorek

Stryjostwo Kazimierostwo Römerowie mieli cztery córki i jednego syna. Córki były ładne, starannie wychowane; rodzice dbali o utrzymanie stosunków towarzyskich w sferze arystokracji, rodzina była zamożna, bo stryj Kazimierz miał duży majątek ziemski (Janopol) i kamienicę w Wilnie, oprócz tego *in spe* był spadek po bezdzietnej ciotce – cioci Maryni Römerównie na Antokolu, która ma kilka domów w Wilnie i uchodzi za bogatą. Toteż wszystkie cztery Kazimierówny Römerówny wyszły „dobrze" za mąż: Renia za hrabiego Platera, Jola i Lula za dwóch Wańkowiczów, Marynia, najbrzydsza, za hrabiego Łubieńskiego. Małżeństwa czterech Kazimierzówien dobrze zasiliły koligacje w rodzinie Römerów, utrzymując je na poziomie arystokratycznie wysokim. Syna stryj Kazimierz ochrzcił imieniem Antoniego na pamiątkę dziada Antoniego, pierwszego dziedzica Janopola, z którego łaski majątek ten przeszedł do naszej linii rodzinnej i następnie w niej do stryja Kazimierza. Syna Antosia rodzice wychowali i kształcili w domu pod dozorem samego stryja, a następnie oddali i dokształcili na uniwersytecie katolickim w Leuven w Belgii. Stryj Kazimierz umarł zaraz po wojnie, stryjenka żyje dotąd i mieszka w Wilnie. Janopol przeszedł w spadku na Antoniego, który ożenił się po wojnie czy pod koniec wojny z Hanią Sołtanówną, rodzącą się z Weyssenhoffówny z Tarnowa w stronach bohdaniskich, siostry Walunia Weyssenhoffa i znanego utalentowanego pisarza Józefa Weyssenhoffa. Hania z Sołtanów Antoniowa Römerowa przez całe dzieciństwo i młodość aż do wojny spędzała zawsze lato z matką i braćmi w Tarnowie u Walunia Weyssenhoffa, toteż w jej dzieciństwie znałem ją bardzo dobrze. W tym czasie nic o jej talentach rysowniczo-malarskich nie wiedziałem, „Wunderkindem", zdaje się, nie była. Dwoje czy troje pierwszych dzieci Antoniostwa – chłopczyk i jedna czy dwie dziewczynki – urodziło się idiotami. Nie umiały mówić, rosły jak zwierzęta czy raczej jak rośliny bierne, wydawały tylko jakieś nieartykułowane dźwięki, nie chodziły i nie ruszały się o własnych siłach, nie miały żadnej inicjatywy. Począwszy wszakże od czwartego dziecka zaczęły się rodzić dzieci zdrowe fizycznie i umysłowo. Po kilku leciech, gdy idioty podrosły, Antoni Römer, straciwszy nadzieję ich wyleczenia, wywiózł je gdzieś za granicę do specjalnego zakładu dla idiotów i co się z niemi stało, czy żyją czy pomarli – nikt nie wie. O dzieciach tych nie mówi się wcale, jak żeby ich nigdy nie było. Zatracono pamięć o nich. Zdrowych jest jeszcze pięcioro dzieci: starszy Krzysztof, który się uczy gdzieś w Belgii w zakładzie katolickim, córeczka Jola uczy się gdzieś w klasztorze w Niżniowie w Galicji Wschodniej, trzeci jest Heniuś, potem mała dziewczynka, której imienia nie pamiętam i wreszcie chłopczyk Gothard. Ostatnich troje są w domu. Antoniego Römera znałem jeszcze dzieckiem, gdym jadąc do Petersburga odwiedzał stryjostwo w Janopolu. Potem, gdym dorastał, nie spotykałem go więcej. Miałem wrażenie, że stryj Kazimierz rozmyślnie starał się unikać okazji spotkania się Antoniego ze mną, aby go ewentualnie od złego wpływu mojego – od zarazy socjalizmu i „masonerii" – uchronić.

Dopiero po wojnie nawiązałem stosunki z Antonim listowne. W pierwszych listach indagował mię on trochę trybem nieco wścibskim mentora, interesując się moją polskością, moim stosunkiem do Litwy i Polski, nie tykając wszakże kwestii religijnej i przekonań społecznych i ideologicznych, czego by nie omieszkał uczynić w takim razie stryj Kazimierz. Moją ideologię polityczną Litwino-Polaka, który za ojczyzną ma Litwę i jej państwowości jest oddany, ale kocha też Polskę i sprzyja pojednaniu, Antoni uznał widocznie za „nieszkodliwą", a może nawet sympatyczną, choć mam wrażenie, że uważa mię za marzyciela i idealistę mało realnego i moją ideologię polityczną traktuje jako naiwną mrzonkę. W dalszej korespondencji naszej Antoni wykazał bardzo dużo serdeczności krewieńskiej, uczuć ciepłych i wprost braterstwa. Pokochałem go z listów. Jest to człowiek bądź co bądź dobry, ma serce i ma przekonanie – choć tchnące myszką średniowieczną, ale przecież nieco już zmodernizowane w porównaniu do tych, jakie miał jego ojciec. Jego pojęcia są już trochę giętsze. Swoją przekonaniowowość, zasadniczość i uczuciowość łączy Antoni ze skąpstwem, praktycznością, pedanterią i skłonnością do dziwactwa, jak u cioci Maryni antokolskiej i śp. cioci Kasi Tyszkiewiczowej. Jest w nim dużo tej ostatniej cechy Römerowskiej. Dzieci kocha, jest dobrym ojcem rodziny, troszczy się o nie i czuwa nad niemi, bawi się, ale umie też być dla nich twardy i wymagający. Dyscyplinę utrzymuje w rodzinie ścisłą. Żonę Hanię, która jest pierwszorzędną artystką malarką, jedną z najgłośniejszych malarek akwarelistek w Polsce, i bardzo dobrą kobietą, matką i żoną, trzyma pod pantoflem. Nic się w rodzinie i w domu nie robi bez jego wiedzy i woli. Jest on w rodzinie panem dobrym i despotycznym. Jest też doskonałym impresario dla swojej żony, kierującym i eksploatującym finansowo jej talent. Obwozi ją po świecie, wyrabia stosunki, znajduje i ułatwia obstalunki, urządza wystawy i sprzedaje obrazy, naciska do roboty, poniekąd kieruje jej twórczością. Jest kolekcjonerem przeróżnych rzeczy, począwszy od ceramiki ludowej łatgalskiej, miniatur z portretów pędzla żony, rysunków, przyczynków do dziejów rodziny i rodów spokrewnionych, kończąc na różnych sprzętach, gratach, papierach, dokumentach. Ma pasję kolekcjonowania. Lubi też różne kawały dziwaczne, dowcipy, żarty, sentencje lapidarne, ma zmysł humoru i dowcipu. Znaczną część czasu, zwłaszcza zimy, rozjeżdża po świecie, bawi sam lub z żoną, lub sama żona – w Warszawie, w Belgii, w Holandii, w Poznaniu lub różnych innych miejscowościach. Talent żony, szeroko po świecie rozgłoszony, daje spore dochody na jazdy, podróże, bawienie po świecie. Janopol jest dla nich tylko *pied-à-terre*. Na tej małej gospodareczce folwarkowej ledwie by się mogli utrzymać i nie byliby w stanie dzieci kształcić, gdyby na tym poprzestać musieli. W Janopolu prawie nie gospodarzy. Ma cztery krowy, parobków nie trzyma, sieje tylko tyle, ile potrzeba na własne spożycie; przeważnie gospodarzy na łąkach naturalnych i sztucznych, które oddaje do koszenia za odrobek lub w naturze z części sprzedaje siano. Jest obywatelem polskim z zasady, Łotwę dosyć lekceważy, chociaż umie ją sądzić sprawiedliwie nawet. Do Janopola jest przywiązany, ale wielkich iluzji co do przyszłości Janopola nie ma. Na razie wszakże zdecydowany jest trzymać się na Janopola do ostatka, ale czy się to uda – nie wiadomo. Podług ustaw łotewskich, obcy obywatele winni zlikwidować własność nieruchomą w kraju. Dotąd udawało się Antoniemu zwlekać, otrzymywać coraz to nowe prolongaty do likwidacji majątku, obecnie ma prolongatę do końca roku 1936, ale z zastrzeżeniem, że dalszych prolongat nie będzie. Wszakże Antoni nie traci nadziei, że jakoś tam z prolongatami będzie. Zresztą jest on usposobiony dosyć filozoficznie, nie bardzo się czymś trapi, wszelką ewentualność gotów, zdaje się, przyjąć pogodnie. Jest w nim wiele pogody i jakiejś spokojnej ufności religijnej, którą daje wiara głęboka i spokojna. Na kominku położył napis: *„J'y suis – j'y reste*", który położył tam po powrocie do spustoszonego po bolszewikach domu janopolskiego. Trwa i choć legalnie jest na wylocie – urządza się w domu jak na wieki. Na polskość w Łatgalii zapatruje się dosyć sceptycznie, przynajmniej rozumowo, widząc i rozumiejąc jej degradację i dekadencję stopniową, ale i w tym ma jakąś ufność głęboką w siłę trwania i w żywotność, powiedziałbym – wegetacyjną, ceniąc swoje

trwanie na stanowisku u szczytu jako czynnik utrzymujący doły i słuchając pogodnie słów pocieszających posła polskiego Baczkowicza, zapewniającego, że mocarstwowość Polski wzrasta i że na niej oprze się epoka polskości na dalekich kresach narodowych, wchodzących w skład państw obcych, jak Łotwa, Litwa... Rozumowo może nie jest tego tak pewny, ale religijnie w tym nastroju zachowuje pogodę trwania i wiary. Taki jest Antoni Römer w Janopolu.

3 lipca, rok 1935, środa*

4 lipca, rok 1935, czwartek*

5 lipca, rok 1935, piątek

Wyjazd z Bohdaniszek do Kowna. Wyjeżdżam na cały miesiąc sam jeden. Będę w Kownie w mieszkaniu moim zupełnie samotny. Jadzia zostaje w Bohdaniszkach. Służącej też nie biorę. Będzie mi usługiwała piękna Wanda, służąca państwa Mašiotasów i p. Mašiotasowa będzie mnie stołowała.

Wyjeżdżam pociągiem nocnym, toteż cały dzień dzisiejszy spędziłem jeszcze w Bohdaniszkach. Pogoda się popsuła. Deszcz rzęsisty, gwałtowny wiatr zachodni, ochłodło. Na ogrody, które bardzo potrzebowały deszczu i na sadzenie flansów buraczanych to dobrze, ale do uprzyjemnienia czasu to się nie przyczynia. Z domu nie mogłem prawie wychodzić, a w domu nie mam co robić. Tylko parę razy zachodziłem do starego domu Mieczkowskich i do domu Maryni. Andrzej, który spodziewał się, że po powrocie z podróży będzie otoczony rodziną, chciwie słuchającą jego opowiadania i będzie rozpowiadał o Finlandii i Północy, pokazując i tłumacząc pocztówki z widokami – ma zawód. Nikt go nie słucha i nikt tu się jego opowiadaniami egzotycznymi, a raczej polarnymi nie interesuje. Ja sam to już dawno zaobserwowałem i nie usiłuję nigdy streszczać w rodzinie wrażeń i spostrzeżeń podróży. Jeżeli ktoś się tym na wsi interesuje – to raczej włościanie, najmniej zaś – ziemianie nasi. Biedny Andrzej, który ma apetyt wilczy i jest formalnym żarłokiem ultramięsożernym, znosi teraz męki głodu. Rozjadł się tak w podróży, zwłaszcza na zakąskach fińskich i słynnych lunchach Finlandii, kiedy to się nabiera ile chce smakołyków i zjada co niemiara ze wspólnego stołu, któremu nie dostoi żadne święcone nasze, że teraz w Bohdaniszkach w domu nie może się oswoić z więcej niż skromną kuchnią Elwiry. Krupniczki, kartofle, mleko – oto wszystko, co tu ma i w dodatku kucharki żadnej nie ma. Skarżył się Elwirze, że jest głodny, a że wędlinę prawie całą Elwira skarmia Helci w Jeziorosach, więc Elwira wpadła na pomysł przyrządzenia mu kiełbas z mięsa wołowego solonego, mieszanego ze słoniną. Marynia i Ewa śmieją się z tych „kiełbas" i nie zazdroszczą Andrzejowi, bo mięso te pochodzi z krowy, która rozchorowała się przy ocieleniu i została dorżnięta już prawie zdechła, tak że krew już nie szła i z wewnątrz wylewano wodę, a następnie to mięso na poły zdechłej krowy zostało przez Stefana pod nieobecność Elwiry posolone i w beczce złożone w lodowni, aż wreszcie rosół się z beczki wylał i mięso pogniło. Takie to będą te kiełbasy, na które teraz Andrzej łyka ślinkę. Po rybach, konserwach i befsztykach podróży, po smacznych i sutych ucztach, w których Andrzej jak Falstaf pożerał talerze pełne jadła jeszcze po drugich i po trzecich, aż się gorszyłem patrząc – teraz biedak mieć będzie kiełbasę z podgniłego mięsa półzdechłej krowy jako dodatek do krupniczków i kartofli. Biedny chłopiec, ale mu zdrowo tak popościć i zaprawić się do wstrzemięźliwości. Jego żarłoczność jest wprost chorobliwa, nad którą panować nie umie i wszystko dla niej poświęci. Będzie to z czasem tłuścioch, któremu ciężko z tym będzie.

Wieczorem wyjechałem do Abel na stację kolejową, odprowadzony przez Jadźkę stęsknioną, która zostaje sama.

6 lipca, rok 1935, sobota*

7 lipca, rok 1935, niedziela*

8 lipca, rok 1935, poniedziałek*

9 lipca, rok 1935, wtorek*

10 lipca, rok 1935, środa

Byłem dziś u doktora Gudowicza pokazać mu się po podróży. Czuję się doskonale, opaliłem się, wyglądam dobrze, znajomi, którzy mię spotykają, stwierdzają wszyscy, że wyglądam doskonale i twarz mam ożywioną („pagyvėjo"); jest jednak jeden minus, który mię troszkę zaniepokoił, mianowicie przybyło mi wagi koło 4 kilogramów. W podróży się nie ważyłem, jadłem dobrze, choć – w porównaniu z Andrzejem – umiarkowanie, nie zachowywałem postów moich, ale za to byłem w ciągłym ruchu, więc zdawałoby się, że nie powinienem był utyć. A jednak utyłem trochę. Mam skłonność do tego. Teraz znowu będę zachowywał moje posty, mało pochłaniał płynów, rano pić będę sole marienbadzkie, przyjmować żelazo. Dziś właśnie zarządziłem sobie pierwszy dzień postny – bez obiadu. Tyle się nastarałem zimą dla pozbycia się wagi i utrzymania jej na poziomie 80 kilogramów, że teraz każdy kilogram dodatkowy mię drażni i gniewa. Doktor jednak przybyciem wagi zaniepokojony nie jest. Powiada, że to niewielka bieda – zrzucę teraz ze dwa kilogramy i będzie dobrze. Gderał mię tylko za latanie aeroplanem, które uważa za niebezpieczne dla serca ze względu nie tyle na sam lot, ile na nagłe podniesienie się w sferę rzadszego powietrza. Po obejrzeniu mię doktor stwierdził, że serce i organy wewnętrzne są w dobrym stanie, żadnych oznak chorobliwych nie ma, wygląd jest dobry.

Dr Gudowicz jest bardzo poruszony i przejęty niespodziewaną dlań ofertą Wydziału Medycznego. Mówił mi już dziś o tym dziekan tego wydziału – prof. Lašas. Na Wydziale Medycznym oswobodziła się katedra chorób wewnętrznych, połączona z kierownictwem kliniki odpowiedniej. Stary prof. Bagdonas, który ją zajmował, stanowiący zresztą pod względem nauki i sztuki lekarskiej zero, ze względu na wiek – 69 lat – został usunięty. Prof. Bagdonas zastępcy sobie nie przygotował i to mu bardzo zarzucają. W braku wykwalifikowanego młodego uczonego na to stanowisko Wydział Medyczny szuka zastępcy wśród lepszych i wybitniejszych lekarzy. Wybrany został dr Parczewski, wybitny lekarz prowincjonalny na Żmudzi, Polak, mieszkający w majątku swoim, ale ordynujący też w klinice w Kłajpedzie. Ze względów materialnych jednak Parczewski odmówił. Wtedy Wydział Medyczny uchwalił kandydaturę dr Gudowicza. Wprawdzie Gudowicz na razie odmówił także – również dla względów głównie materialnych, ale Lašas uważa, że jeszcze się może namyśli i że pod tym względem mój wpływ podziałać nań może. Są wprawdzie i minusy pewne. Gudowicz jest niewątpliwie praktykiem dobrym, lekarzem starannym, rutynowanym i śmiałym, ma też stopień naukowy doktora na uniwersytecie berlińskim, ale prac naukowych nie ma żadnych, w ogóle do teorii wielkiego nagabania, zdaje się, nie ma, do czytania jest leniwy, w stosunkach bywa szorstki i rubaszny, choć serce ma złote, lubi ploteczki i złośliwe kalambury, choć nieszkodliwe, ale ma wrogów i zazdrośników, co w świecie lekarskim, pełnym intryg i zazdrości zawodowej, może spowodować napaści na wydział za jego wybór i może kandydaturę podkopać. Już nawet był dany do „Lietuvos Žinios" jakiś artykuł złośliwy na wybór Gudowicza, który jednak nie był drukowany, bo redaktor zainterpelował Lašasa i artykuł wycofał, ale to już jest znamienne. Niewątpliwie wrogowie i zazdrośnicy postarają się poruszyć sfery rządowe przeciwko kandydaturze Gudowicza, co może się im udać, bo Gudowicz należy do opozycji lewicowej, choć czynny bynajmniej nie jest. Jak się dziś z rozmowy z Gudowiczem przekonałem, wybór jego bardzo

mu pochlebił i już skłania się on do przyjęcia katedry i gotuje się nawet do tego, choć jeszcze ma pewne zastrzeżenia. Czy co z tego będzie – nie wiem. Osobiście bardzo bym sprzyjał temu.

11 lipca, rok 1935, czwartek

Wpadł do mnie dr Adolf Narkiewicz, mój stary przyjaciel z Wilna, który co roku w lipcu przyjeżdża na miesiąc do swego ukochanego folwarku rodowego na Żmudzi. Krótko jednak bawi w Kownie, bo dziś wieczorem wyjeżdża dalej na wieś. Zaledwie parę godzin spędziliśmy z nim na gawędce. Lubię go, szanuję, bo jest zacny bardzo i szczery, mam wielki z dawnych lat sentyment serdeczny dla niego, ale pod pewnym względem ci Wilnianie krajowcy w stylu oto Narkiewicza albo Krzyżanowskiego mnie męczą, a nawet drażnią poniekąd. W kółko gadają o pojednaniu z Polską, o konieczności kompromisu, boleją nad rozerwaniem Litwy, mają uznanie i sympatię dla jej niepodległości, ale jak sobie tę naprawę rzeczy i syntezę pojednania wyobrażają – to nie wiadomo. Z nich przecie właściwie wyszło to rozszarpanie Litwy, nad którym płaczą i którego – co jeszcze dziwniejsze – bynajmniej się nie zarzekają i bronią wszelkich tez polskich, począwszy od nietykalności terytorialnej Wileńszczyzny w jej obecnej przynależności do Polski i kończąc na usprawiedliwianiu i uzasadnianiu kontaktu polsko-niemieckiego, nie wykluczając nawet, gdy się ich przyciśnie, tolerowania zaboru Kłajpedy przez Niemcy. Przyznam się, że nie rozumiem, czego chcą. Można albo nie życzyć wcale spojenia rozszarpanych Wileńszczyzny i Litwy niepodległej i życzyć pojednania Litwy z Polską w warunkach *status quo*, wyrzekłszy się Litwie Wilna albo machnąwszy nań ręką, uznawszy prawa państwowe Polski do Wilna albo zrobiwszy ofiarę z praw i roszczeń litewskich w zamian za jakieś inne usługi czy poparcie ze strony Polski, można też życzyć spojenia ziem litewskich bądź przez odzyskanie Wilna przez państwo litewskie, bądź przez zabór reszty Litwy przez Polskę. To wszystko chcieć można – zależy od gustu i wiary, ale niepodobna jednocześnie chcieć rzeczy sprzecznych, które się paraliżują i unicestwiają wzajemnie. Tego ci sentymentalni i połowiczni, acz zacni ludzie nie umieją czy nie chcą zrozumieć.

Wieczorem byłem na małym „obiedzie" dyplomatycznym u pp. Urbšysów, na który byłem zaproszony. Urbšys zastępuje teraz bawiącego na urlopie w Lozannie ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Obiadek był pożegnalny dla uczczenia dwóch dyplomatów obcych, którzy zostali przez swoje rządy odwołani i w tych dniach wyjeżdżają z Litwy. Są to: poseł francuski p. Ristelhueber, który otrzymał nominację do Oslo w Norwegii i poseł włoski p. Amadori, który był w Kownie dziekanem korpusu dyplomatycznego. Obaj dość długo pełnili swe obowiązki w Kownie. Amadari po obiedzie się bardzo zapalił w rozmowie. Na razie był usposobiony trochę mentorsko, trochę – prawdę mówiąc – chamsko, jak nie bardzo dyplomacie przystoi. Zaczął przekładać, że na próżno Litwa usiłuje utrzymać kwestię Kłajpedy na terenie zagadnienia prawnego. Tak sprawa kłajpedzka, jak kwestia samej Litwy jest li tylko przedmiotem spekulacji politycznych mocarstw europejskich i będzie rozstrzygnięta li tylko względami tej spekulacji bez żadnego względu na prawo lub na interesy Litwy. Uważał to za bardzo naturalne. Potem wszakże, gdy przeszedł na temat zatargu włosko-abisyńskiego i akcji angielskiej oraz francuskiej w tej kwestii, zapeszył się i przestał zgoła uważać za bardzo naturalne to, co w stosunku do Litwy za naturalne uważał. Tu wypłynęło oburzenie, pogróżki, że Włochy w odpowiedzi na ewentualne udaremnienie ich dążeń abisyńskich poprą w Europie Niemców i rozpętają piekło europejskie, gniewał się, że inne mocarstwa nie liczą się z interesami żywotnymi Wloch i zdradzają je dla spekulacji. Dziwne i ciekawe, jak ludzie są skłonni różną miarą moralną krzywdy stosować do siebie i do innych, zwłaszcza słabszych. Co w stosunku do jednych jest „naturalne", to w stosunku do siebie jest potępiane i oburzające. Tak!

12 lipca, rok 1935, piątek

Mam jeszcze parę zaległości w dzienniku, raczej parę rzeczy z podróży mojej z ubiegłego miesiąca, które bym zanotować pragnął i liczyłem właśnie, że w lipcu w Kownie w sezonie „ogórkowym" będę mógł to z łatwością zrobić. Tymczasem dzień za dniem biegnie i wciąż coś nowego do zanotowania przynosi. Ale już w przyszłym tygodniu muszę się koniecznie zabrać do tej „zaległości". Dziś nawet i czasu nie mam, poza tym znowu jest coś innego. Oto pod wieczór wezwany znów zostałem niespodzianie do Rady Stanu. Okazało się tam posiedzenie – znowu nowina. Gubernator Kurkowski wrócił z Kłajpedy w usposobieniu desperackim. Wiadomość o tym, że wybory do sejmiku mają się odbyć na zasadzie starej ordynacji wyborczej, wywołała wśród Litwinów wrażenie katastrofy. Desperacja jest taka, że porażka litewska jest pewna i głęboka. Ludzie, grawitujący do litewskości, są tak sterroryzowani przez agresję niemiecką, że nie decydują się nawet przyjąć nominacji do komisji wyborczych. Gubernator konferował wczoraj cztery godziny z prezydentem, który miał polecić Šilingowi opracować w Radzie Stanu śpiesznie w ciągu kilku dni projekt ordynacji wyborczej do Sejmu, mający być podstawą ordynacji wyborczej do sejmiku. Łącznie z ordynacją wyborczą do Sejmu wskrzeszony zostaje pomysł faktycznego dokonania wyborów do Sejmu. Rada Stanu zastanawia się nad projektem, zbliżonym do poprzedniego projektu Mašalaitisa z pewnymi wszakże poprawkami. Šiling i Navakas wszakże chcą w wyborach do Sejmu przeforsować na pierwszym miejscu projekt plebiscytowy Rady, przyjmując ten drugi jako tylko zastępczy na wypadek fiaska plebiscytu; dla Kłajpedy wszakże ten zastępczy byłby zasadniczym. Wątpliwości statutowe są duże. Sytuacja jest bardzo trudna i ciężka. Nie wiem, jak wybrnie Rada Stanu, a raczej rząd.

13 lipca, rok 1935, sobota

Znowu mam mało czasu na dziennik. Zanotuję tylko kilka drobiazgów.

Miałem dziś egzaminy studenckie, pierwsze po powrocie moim do Kowna. Zapowiada się teraz ogromny nawał pracy egzaminowej u mnie, bo do egzaminów zaczynają stawać masowo zeszłoroczni słuchacze moi – zwłaszcza ci, którzy wysłuchali kurs prawa konstytucyjnego litewskiego i których było mnóstwo. Aż pod sam koniec roku akademickiego nie dopuszczałem ich do egzaminów ani z prawa konstytucyjnego litewskiego, ani z przesłuchanego już przez nich poprzednio kursu części ogólnej. Teraz zgłaszają się oni do egzaminów już podwójnych – z obydwóch kursów przesłuchanych. Będę teraz egzaminować dwa razy na tydzień – w moje dni postne, aby tą pracą głód poskramiać. Poza tym w sierpniu pozwalam im przyjeżdżać na egzamin do Bohdaniszek i wielu z nich, zdaje się, zamierza skorzystać z tego.

Miałem wizytę Eugeniusza Römera rano. Nadmienił mi on o jednym dość ciekawym dla mnie epizodzie, o którym nie wiedziałem. W roku 1921, jak to w swoim czasie, zdaje się, w dzienniku wspominałem, po pewnym przemówieniu Józefa Piłsudskiego w Wilnie, wystosowałem do niego list zasadniczy i ostry, w którym zarzuciłem mu zdradę państwową litewską. Ten list zamknął moje stosunki osobiste z Piłsudskim, choć mojego szacunku dla niego i uznania dla osoby jego i jego czynu niepodległościowego polskiego nie zmienił. Wielu Litwinów zna i posiada odpis tego listu (Bolesław Stadziewicz, Zygmunt Žemaitis, Bičiunas). Nieraz prosili mię oni o pozwolenie ogłoszenia tego listu w druku, ale im zawsze odmawiałem. List ten przesłałem Józefowi Piłsudskiemu przez Ludwika Abramowicza i Jana Piłsudskiego, brata Marszałka. Nie chciałem robić z tego rzeczy publicznej, przynajmniej za życia mojego i Piłsudskiego. Otóż, jak mię Eugeniusz poinformował, razu pewnego zaszła o mnie rozmowa między Józefem Piłsudskim i generałem Burhardtem-Bukackim. Piłsudski wtedy powiedział: „Michał Römer – tak, on mię zwymyślał, ale on ma serce". Tak, to była sprawa serca.

14 lipca, rok 1935, niedziela

Siedząc teraz latem samotnie miesiąc cały w Kownie – mam zamiar co tydzień w niedzielę wyjeżdżać gdzieś na wieś – do Diskina, do Stefanostwa Römerów, do Geysztorów. Dziś wypadła kolej na Diskina. Sam Diskin spędza czas w Kownie, pracując codziennie w Banku Komercyjnym. Widziałem się już z nim kilka razy po powrocie do Kowna. I sam byłem u niego w banku, gdzie za jego pośrednictwem zlikwidowałem na lity pozostałości pieniężne różnych walut z podróży (ogółem podróż kosztowała mię 3090 litów razem z paszportami i wizami Jadzi i Andrzeja, a bez tych wiz i paszportów ± 2500 litów, czyli na jedną osobę coś po 800 litów) i Diskin też mię już parę razy odwiedzał. Z Diskinem stosunek mój jest serdeczny i osobisty. Lubię go, bo jest szczery i żywy i zdaje się, że on ma sympatię do mnie. Jest on jednym z bardzo nielicznych bliższych mi osobiście ludzi, który nigdy nie korzystał i nie korzysta materialnie ze mnie. Rodzina Diskina spędza wywczasy letnie na letnisku podmiejskim w Kułautuwie nad Niemnem. Jego rodzina – to żona, której nie kocha i z którą się chce rozstać, zaopatrzywszy ją materialnie, i mały synek dwuletni, którego kocha bardzo. Umówiłem się z Diskinem, że pojedziemy dziś z nim razem statkiem po Niemnie do Kułautuwy. Przyszedł on rano o godz. piątej do mnie, skąd udaliśmy się pieszo i dorożką na przystań i o godz. szóstej odjechaliśmy. Niebo było zachmurzone, powietrze niezbyt ciepłe. Gdyśmy dojechali, deszcz się rozpadał. Wstąpiliśmy na chwilę do mieszkania letniskowego Diskina i zanim jego żona przygotowała śniadanie, poszliśmy bez względu na deszcz rzucić okiem na Kułautuwę. Składa się ona z dwóch części – ze starego letniska, nędznego i prostego, które był samorzutne i dawne, stanowiące siedzibę Żydów kowieńskich latem, i z nowego letniska, które zaczęło się tworzyć i rozrastać planowo od lat zaledwie kilku inicjatywą i czynem pułkownika Augustowskiego (mojego skądinąd ucznia z uniwersytetu sprzed laty 10), który zainteresował się i rozentuzjazmował do Kułautuwy i dotąd entuzjastycznie ją tworzy. Jest on dyrektorem tego kurortu. Spotkaliśmy jego i on nas po letnisku oprowadzał. Nie wyobrażałem sobie, że to jest letnisko tak kulturalne, ładnie i starannie urządzane i rozwijane. Zaiste mało znamy to, co mamy. Piękny tu jest las sosnowy i miejscowość. Pięknie urządzona jest wielka aleja prezydenta Smetony i szereg rozplanowanych szerokich, równych, drzewkami obsadzonych uliczek poprzecznych, po amerykańsku nazwanych cyframi porządkowymi – pierwsza, druga, trzecia... dziesiąta itd. Ładnie uporządkowane źródełko, urządzone dwa piękne stawy, para łabędzi, mostki, figura Matki Boskiej na stopniach białych, kaplica, piękny prywatny hotel kurhauzowy z kawiarnią, ławeczki białe w borze sosnowym, kilka will osób znaczniejszych i wyrastające coraz liczniej wille prywatne, na Niemnie jest plaża, komunikacja autobusowa i parostatkowa... Wszystko ładne, staranne, rosnące, czyste. Wróciliśmy do Diskina na śniadanie. Gdy jednak po śniadaniu deszcz nie ustawał, wróciliśmy z Diskinem autobusem do Kowna na obiad. Obiad zjedliśmy w Metropolu. Wypiliśmy nieco przy obiedzie i ja opowiadałem Diskinowi o Jadzi, o moim stosunku do niej, o perspektywach uporządkowania prawnego naszego związku, dużo też o dziejach mego małżeństwa z Reginą itd. z przeszłości osobistej mojej. Rzadko mi się takie zwierzenia zdarzają.

15 lipca, rok 1935, poniedziałek

Dobrałem się wreszcie do moich zaległości dziennikowych z podróży w ubiegłym miesiącu. Z dnia dzisiejszego nic szczególnie ciekawego do zanotowania nie mam (chyba to, że z Feliksem Mackusem po obiedzie w Metropolu kupiłem obicie do mojego gabinetu w Bohdaniszkach, ale to rzecz mała), toteż korzystam z okazji wolnego miejsca w dzienniku.

Zacznę od kongresu litewsko-łotewsko-estońskiego w Rydze, otwartego w dniu 29 czerwca. Kongres ten trwał dwa dni, potem były wycieczki wspólne, ale ja brałem udział tylko w pierwszym dniu, nazajutrz bowiem wyjechałem. Ale przez pierwszy dzień ujawnił się aż nadto dobrze charakter tego kongresu, a ciąg dalszy i dokończenie, jak wiem od notariusza

Brazaitisa, szły w tym samym kierunku, jaki się zaakcentował od razu. Mnie wypadło wziąć udział w posiedzeniu prezydium organizacyjnego kongresu przed otwarciem tegoż i w śniadaniu prezydium, potem w uroczystości otwarcia, na której posiedzeniu publicznym wygłosiliśmy referaty: ja – litewski, rektor Uniwersytetu Ryskiego prof. Auškaps – łotewski i prof. Piip – estoński. Następnie tegoż dnia byłem na tzw. bankiecie uczestników kongresu i wziąłem udział w naradzie grupy kierowniczej litewskiej w przedmiocie zaprojektowania rezolucji do zgłoszenia na kongres. Należy stwierdzić, że, niestety, zbyt imponujący ten kongres nie był i wielkim entuzjazmem i zestrzeleniem uczuć wszystkich trzech grup narodowych nie grzeszył. Uczestników pozornie było dużo, ale dominował szary tłum, którego znaczna część, o ile chodzi o Litwinów, przyjechała dla ciekawości i okazji zwiedzenia Rygi, korzystając z ulg przejazdowych, związanych z kongresem. Z dwóch grup przyjezdnych liczniej się stawili Litwini, mniej licznie – Estończycy. Łotysze byli u siebie. Na otwarciu kongresu, chociaż była depesza powitalna prezydenta Rzeczypospolitej Łotewskiej, której wysłuchano stojąc, i zdaje się – depesza prezesa ministrów, popularnego Ulmanisa, jednak żywym słowem żaden z członków rządu kongresu nie witał i za wyjątkiem ministra i zarazem prorektora prof. Adamowicza – nie był nawet obecny. Zresztą Adamowicz był także nie z tytułu ministerialnego. Podobno rząd łotewski dlatego nikogo z siebie na kongres nie wydelegował, że w roku zeszłym w Kownie nikt nie witał kongresu z ramienia rządu litewskiego. Ale to był defekt mniejszy. Najważniejsze, że nie było w kongresie jednomyślności i serdeczności zbytniej oraz zupełnego zaufania wzajemnego. Najaktywniejsi i najbardziej skłonni do pogłębienia Związku Bałtyckiego wraz z akcentowaniem momentu politycznego byli Litwinie. Jest to w naturze rzeczy, bo sytuacja polityczna Litwy między młotem niemieckim a kowadłem polskim jest najtrudniejsza, przynajmniej w chwili obecnej i przeto też Litwa najwięcej jest teraz zainteresowana w Związku Bałtyckim, który chciałaby wyzyskać na wzmocnienie swojego stanowiska, pozbawionego aliansów. Z największą i bardzo ostrożną rezerwą trzymali się Estończycy, gasząc i tłumiąc skwapliwie wszystko, co gorętsze i usiłując osłabić tętno zbliżenia, szczególnie zaś moment polityczny tegoż. Tej linii najjaskrawiej się trzymał Piip, który był faktycznie przywódcą całej delegacji estońskiej i miał baczne oko na wszystko, studząc wszelki zapał i akcent gorętszy. Łotysze trzymali się linii środkowej, ale byli serdeczniejsi od Estończyków i skłonniejsi do popierania Litwinów.

16 lipca, rok 1935, wtorek

I dziś mogę kontynuować odrabiać zaległości dziennikowe. Trzeba korzystać z okazji, bo nie jestem pewny, czy za parę dni nie zajmą mię inne rzeczy. Oto bowiem zdaje się, że w Połądze, gdzie bawi na „wywczasach" (nie daj Boże takich wywczasów) prezydent Smetona, odbywają się w tych dniach ważne i decydujące (czy decydujące wreszcie?) narady w sprawie Kłajpedy, wyborów sejmikowych i wyborów do Sejmu. Pojechał tam Tubelis i Mašalaitis, pojechał, zdaje się, gubernator Kurkowski, zapewne jest Šiling i może dojeżdża Bruvelaitis i z Kowna inni. Rozstrzygają nieszczęsny problem kwadratury koła. Za parę dni, może jutro, wracają, a wtedy nie są wykluczone nasze posiedzenia do spraw kłajpedzkich tutaj i możliwe są wszelkie niespodzianki i ewentualności. Tymczasem w Kłajpedzie trzeszczy już i rozsypuje się dyrektorium Bruvelaitisa. Jeden z członków dyrektorium, którzy byli zwerbowani w drodze kompromisu spośród elementów powodujących się wpływami niemieckimi, ale względnie umiarkowanych i połowicznych, nie wytrzymał nacisku terrorystycznego Niemców i, jak podały gazety dzisiejsze, uciekł z dyrektorium, podając się do dymisji. Objaw nastrojowy zły.

Sytuacja jest zgoła niewesoła. Trudne są w ogóle losy biednej Litwy, bo i stan finansowy państwa jest ciężki. Pożyczka wewnętrzna, która miała ratować z niedoborów, źle się realizuje, a wpływy kasowe z podatków i innych źródeł są mniejsze, niż przewidywano.

Stwierdza to komunikat, rozesłany do urzędów i zarządzający rewizję preliminarza budżetowego tegorocznego na rzecz dalszych ograniczeń kredytów.

Byłem dziś w kinie na przedstawieniu ciekawego filmu sowieckiego „Czeluskin”, przedstawiającego słynną ekspedycję polarną zeszłoroczną. Wolę stokrotnie takie filmy niż dramaty.

A zatem przechodzę do rzeczy. Kongres czerwcowy litewsko-łotewsko-estoński w Rydze. Powiadam, że Estończycy byli na tym kongresie bardzo ostrożni, pełni rezerwy, studzący wszelki odruch gorętszy, a dyrygował nimi w tym kierunku Piip, który zdaje się po to tylko przyjechał, aby czuwać i udaremniać wszelkie zagalopowanie się. Piip, profesor prawa międzynarodowego w Tartu, były minister i delegat estoński w Lidze Narodów, domniemany prezydent Rzeczypospolitej, jest politykiem i dyplomatą. Estończycy mają wyraźną orientację polityczną polską, a ze względu na stosunki polsko-litewskie boją się angażować mocno i szczerze w związek bałtycki, aby czymś Polski nie urazić i broń Boże nie strefić się czymś antypolskim. Toteż usiłują oni kastrować wszelki żywszy moment polityczny w tym zbliżeniu trzech narodów bałtyckich i ograniczyć się do pewnej sympatii czysto kulturalnej. A już nie daj Boże wzmianki o Wilnie. Zresztą i wyraźny akcent antyniemiecki, a przeto i uwydatnienie sprawy kłajpedzkiej jest im nie na rękę. Po pierwsze dlatego, że Polska dziś uprawia pewien flirt z Niemcami, a po wtóre dlatego, że nadałoby to zbliżeniu pewien wyraźniejszy aspekt polityczny, czego chcą unikać. Niestety – ten związek bałtycki, którego idea jest tak popularna u nas w Kownie i który się u nas nieco rozdmuchuje, nie jest wcale tak wyraźny i cementu ma w sobie mało. To jest dopiero jakaś melodia z zaświatów, czymś raczej przeczuwanym i upragnionym, niż rzeczywistym. Z Łotyszami jest nieco lepiej i szczerzej, choć też nie tak, jak by się nam chciało i jak sobie u nas wyobrażają, ale z Estończykami jest zupełnie minorowo. Przede wszystkim tendencja estońska do rezerwy ujawniła się na posiedzeniu prezydium towarzystw litewsko-łotewko-estońskich, przed otwarciem kongresu. Organ ten stanowi pewnego rodzaju komitet organizacyjny zbliżenia, który wybiera na rok następny prezydium wykonawcze, odpowiedzialne przed nim i rozstrzyga sprawy kongresowe. Na posiedzenie to trafiłem poniekąd przypadkiem w zastępstwie nieobecnych delegatów zarządu Towarzystwa Litewsko-Estońskiego, z których do Rygi był przyjechał tylko jeden Brazaitis, ale i ten na posiedzenie nie przyszedł. Na posiedzeniu tym był ustalony regulamin kongresu, zaprojektowany przez Łotyszów, którzy w tym roku stanowili z Riterem na czele i inżynierem Berziniem jako sekretarzem pierwsze prezydium wykonawcze organizacji. W tym projekcie regulaminu był artykuł orzekający, że wnioski rezolucji będą przedstawiane do uchwały kongresu tylko wtedy, gdy będą przyjęte większością głosów przez prezydium kongresu, złożone z przedstawicieli po dwóch od sześciu towarzystw skonfederowanych (towarzystwa: litewsko-łotewskie, łotewsko-litewskie, łotewsko-estońskie, estońsko-łotewskie, estońsko-litewskie i litewsko-estońskie). Otóż tu nastąpił pierwszy punkt scysji, a raczej charakterystycznej rezerwy Estończyków. Piip zażądał, żeby wnioski rezolucji były przyjmowane przez prezydium jednogłośnie i nie zgodził się na uwzględnienie nawet takiej poprawki litewskiej, że głosy wstrzymujące się nie są uwzględniane. Jednogłośność Piipa objęła wszystkie bez wyjątku głosy twierdzące, to znaczy gdy jeden wstrzymuje się, choć nie przeczy, to już jednogłośności nie ma. Drugi moment charakterystyczny na tym posiedzeniu był ten, że Estończycy nie tylko nie przyjęli z wdzięczności propozycji wyznaczenia Tallina na kongres przyszłoroczny, ale radykalnie się wykręcili i ostatecznie odmówili, przekazując pierwszeństwo Litwinom z Kowna. Przez to samo i prezydium wykonawcze będzie na rok przyszły litewskie – prezesem będzie burmistrz Merkys. Jest to charakterystyczne, stwierdzające niechęć Estończyków do angażowania się czynniejszego w tę imprezę kongresową zbliżenia bałtyckiego.

17 lipca, rok 1935, środa

Istotnie Mašalaitis wrócił dziś z Połągi. Wrócił też prezes gabinetu Tubelis. Narada u Prezydenta została zakończona. Wiem o tym tylko z przelotnego widzenia się z Mašalaitisem. Zdecydowano się na Sejm – naturalnie na zasadzie zreformowanej ordynacji wyborczej dla usprawiedliwienia reformy wyborczej do sejmiku kłajpedzkiego, który w myśl statutu autonomicznego ma być wybierany zgodnie z naturą wyborczą litewską (rozumie się wszakże samo przez się, że ta zgodność może być dopuszczona i jest statutowa tylko o tyle, o ile ustawa wyborcza litewska nie gwałci innych zastrzeżonych w statucie zasad, jak głosowanie powszechne, równe, bezpośrednie i tajne i tryb demokratyczny, choć co statut pojmuje pod tym terminem „demokratycznym" – tego w tekście nie powiedziano i to właśnie pozostaje największym sfinksem). Na naradzie w Połądze odrzucono plebiscytowy projekt Rady Stanu (Šilinga i Navakasa) i nie przyjęto też tzw. projektu Mašalaitisa. Uchwalono oprzeć reformę na zasadzie nie partyjnej, lecz zawodowo-ekonomicznej. Bliższych szczegółów nie wiem. Projekt ma być śpiesznie w gwałtownym tempie opracowany. Zapewne i mnie wypadnie zabrać głos przy omawianiu ostatecznym projektu. Nie ręczyłbym jednak, czy te decyzje są ostateczne. W poglądach i orientacjach samego rządu jest rozgardiasz zupełny. Šiling ciągnie do lasa, Lozoraitis – do Sasa, prezydent Smetona jest, zdaje się, w strachu i czuje, że rząd jest słaby i niejednolity, że nie ma człowieka wielkiej głowy, że fala wypadków w polityce zagranicznej jest groźna dla Litwy, że wewnątrz w kraju jest chaos, niezadowolenie, rozprzężenie, że prądy nastrojów nie są wcale dla władz obecnych entuzjastyczne, że nurty podwodne wzbierają, że sytuacja gospodarcza jest rozpaczliwa. Nie ma ani sprzężenia zbiorowego, ani wodza wielkiego, dyscyplinującego masy, zorientowanego i kategorycznie zdecydowanego. Obecny gabinet ministrów – to niedołęstwo i zupełna anarchia grupy ludzi niezgranych, nie ufających sobie, pokłóconych, skłonnych do intrygowania wzajemnego. Nie tylko zewnętrzna, ale i wewnętrzna sytuacja Litwy jest fatalna.

W dalszym ciągu o kongresie litewsko-łotewsko-estońskim w Rydze z ostatnich dni czerwca. Jeżeli Estończycy z prof. Piipem na czele w ogóle byli na tym kongresie bardzo wstrzemięźliwi i pełni rezerwy przeciwko wszystkiemu, co mogło być w jakimkolwiek kierunku politycznie wyraźne, to już zwłaszcza w stosunku do wszelkich usiłowań litewskich podnoszenia kwestii Wilna i wtrącania jej do kongresu byli oni radykalnie nieprzejednani. Litwini czuli to i wiedzieli o tym dobrze, toteż kierownictwo delegacji litewskich nie próbowało wcale przemycać postulatów wileńskich do uchwał albo jakichkolwiek manifestacji kongresu. Byłoby to bezcelowe i mogłoby tylko osłabić wrażenie kongresu, wywołując sprzeciw Estończyków i dysharmonię w kongresie. Ale wśród delegatów i ekskursantów z Litwy przyjechali też członkowie i agenci „Związku Odzyskania Wilna" („Vilniui Vaduoti Sąjunga"), którzy nie omijają żadnej okazji do śrubowania swojej propagandy, czy by się to komu podobało czy nie. I tutaj więc usiłowali oni wepchnąć swoje trzy grosze, choć niewiele wskórali. Przede wszystkim przedstawiciel tego Związku zapisał się w liczbie innych do słowa przy składaniu gratulacji. Prezydium jednak, na prośbę Estończyków, pominęło go po prostu, udzielając głosu różnym pozdrowieniom. Zdaje się, że ten afront dotknął znakomitego Uždavinysa, który jest głównym organem propagandy Związku. Ludzie ze Związku poczuli się obrażeni. Nie przeszkodziło to im jednak ponowić usiłowania na bankiecie kongresu tegoż wieczora. Jeden z tych panów wystąpił na tym obiedzie z mową bardzo jaskrawą, ostro i gwałtownie antypolską, radykalnie uzasadniającą prawa litewskie do Wilna i wzywającą kongres do wcielenia sprawy rewindykacji Wilna na rzecz Litwy do programu Związku Bałtyckiego, który zdaniem mówcy objąć musi wszystkie sprawy żywotne i bolączki trzech narodów bałtyckich, stając się rzecznikiem ich wolności i zastępcą ich interesów, którego obowiązują względy nie tylko spekulacji, ale też sprawiedliwości i nakazy moralne. O Polsce i Polakach mówca wyrażał się naturalnie nie tylko potępiająco, ale wprost znieważająco. Estończycy, choć szczegółów nie rozumieli, byli tym przemówieniem zgorszeni. Bardzo się im to nie podobało. Tylko jakaś Łotewka, która

niebawem po tym głos zabrała, wprawdzie nie popierała kategorycznie zasady politycznej rewindykacji Wilna, ale powołała się na swoją znajomość Wilna, w którym mieszkała i uzasadniała sentyment Litwinów do Wilna, jej zdaniem zupełnie słuszny i naturalny, oparty na szczególnej romantyce historycznej tego pięknego miasta kresowego, które nazwała perłą Bałtyki. Estończyków to naturalnie nie przekonało.

18 lipca, rok 1935, czwartek

Koło 10 lipca rozpocząłem pracę nad pisaniem drugiej części mojego kapitalnego dzieła, które ma stanowić cykl czterech monografii, zatytułowany „Valstybė ir jos konstitucinė teisė". Część I tego dzieła monumentalnego, którego zapewne nie wystarczy mi już życia zakończyć i które miałoby zamknąć w sobie całą moją wiedzę nauki o państwie i nauki prawa konstytucyjnego, już się ukazała z druku w tym roku pod nazwą „Valstybė". Praca ta zyskała wielkie uznanie wszystkich tych, którzy ją przeczytali i którzy pisali o niej. Część druga, która będzie obszerniejsza od pierwszej i zajmie najmniej trzy tomy druku, jest dla mnie osobiście nie mniej ciekawa, od pierwszej. Piszę ją bardzo po trochę drobnymi ustępami co dzień wśród całego szeregu innych prac bieżących moich – zwyczajną metodą moją mieszania różnych robót, skupiając się tylko na krótko nad każdą i przechodząc niebawem od następnej. Przekonałem się, że tą metodą systematyczną można wyzyskać maksimum energii bez zmęczenia. Wydyscyplinowałem nią moją pracę i osiągnąłem niepospolitą wydajność tejże, która wielu wprost w podziw wprawia. Zanotowuję tu w dzienniku czas rozpoczęcia tej nowej pracy mojej, której dać zamierzam tytuł: „Valstybės formos ir institucijos" („Formy i instytucje państwa"). Praca ta rozciągnie się na kilka dobrych lat, zanim ją skończę i ogłoszę w druku.

Tymczasem dokończę, com zaczął pisać o kongresie litewsko-łotewsko-estońskim w Rydze w ostatnich dniach czerwca. Rezerwa Estończyków, kierowanych starannie przez Piipa, odbiła się też na rezolucjach kongresu. Jeszcze pierwszego dnia kongresu, kiedy jeszcze nie byłem wyjechał, po bankiecie przywódcy delegacji litewskiej z Merkysem na czele i z moim też udziałem, próbowali się porozumieć co do projektu rezolucji kongresowych. Nam między sobą porozumieć się nie było trudno, ale trudność polegała na tym, że zapowiedziane było z góry, że Estończycy nie zgodzą się na żaden ustęp wyraźniejszy. Nic też nie zdołaliśmy wtedy ustalić. Zaprojektować redakcję tych wniosków podjął się wtedy ostatecznie Merkys. Ja sam już wyjechałem nazajutrz, ale wiem od notariusza Brazaitisa, że nad redakcją zaprojektowanych rezolucji stoczona została następnie w prezydium kongresu wielka debata i walka z Estończykami (Piipem). Sprawy wileńskiej i wszelkich ustępów antypolskich Litwini już sami nie proponowali bynajmniej. Estończycy oponowali przeciwko wszystkiemu, co mogło trącić sprawą kłajpedzką lub stwierdzeniem dążeń niemieckich do ekspansji i konieczności wspólnej przeciwko niej obrony, nawet przeciwko głuchej idei jakiegoś aktywizmu politycznego bałtyckiego, nie ustalając istoty konkretnej tegoż. Rezolucje przyjęto tylko najbardziej ogólnikowe w duchu „kochajmy się" li tylko kulturalnego i nic więcej. Te zjawiska kongresowe bardzo mię rozczarowały. Wiedziałem, że Estończycy skłaniają się do rezerwy, ale nie sądziłem, że tak dalece. Zresztą dużo trzeba położyć na karb oddziaływania osobistego Piipa. Gdyby nie on – może by się wśród Estończyków znalazło więcej szczerszego i gorętszego odruchu sprzymierzeńczego. Ze strony litewskiej momentem łagodzącym obawy i rezerwy estońskie, przynajmniej w stosunku do frontu polskiego, o który im najwięcej chodzi, mógł być mój referat. Chociaż był on co prawda bardzo antyniemiecki w stosunku do niemieckiego „Drang nach Osten", uzasadniający całą politykę historyczną bałtycką przez koncepcję bariery między Wschodem a Zachodem, usiłującymi rozwijać ekspansję na Bałtyk do podania sobie ręki przezeń, ale za to Polskę wcieliłem zasadniczo w solidaryzm bałtycki i wyraźnie zaznaczyłem konieczność kontaktu solidarystycznego scementowanej Bałtyki litewsko-łotewsko-estońskiej z Polską.

Łotyszów ten mój referat i ta podniesiona przeze mnie koncepcja solidaryzmu zasadniczego z Polską bardzo zainteresowała i ujęła, bo nie spodziewali się jej podniesienia ze strony litewskiej. Byli nawet zdziwieni i skłonni do upatrywania w tym jakiegoś wielkiego zwrotu lub wielkiej odwagi mojej. Czy zwrócili na to uwagę i czy ją zwrócić mogli Estończycy – nie wiem, bo odczytu mego, wygłoszonego po litewsku, zrozumieć nie mogli, a przetłumaczony on był i wydany w druku li tylko po łotewsku, ale nie po estońsku. Estończycy mogli poznać treść mego referatu tylko z relacji ustnej Litwinów lub Łotyszów.

19 lipca, rok 1935, piątek

Rano wpadła do mnie Zitka Komorowska z wielką i dość niespodziewaną nowiną: jej siostra Litka (Felicja) wychodzi za mąż za młodego Gieysztora z Szałtupia, ślub odbędzie się już 10 sierpnia w Kownie. Niespodzianką dla mnie jest nie tyle to, że Litka się zaręczyła z Gieysztorem, bo że się jej podobał i że między nimi było coś, co mogło zwiastować przyszłe małżeństwo, o tym wiedziałem, ale że to już zaręczyny formalne i tuż za tym ślub – to jest nowina wielka. Z Gieysztorami jesteśmy spokrewnieni przez Świdów, mianowicie przez panią Gieysztorową, matkę narzeczonego Litki, z domu Świdównę z Hranicz w powiecie wilejskim. Znałem ją od lat dziecinnych, spotykałem w Kassucie u Babuni Tukałłowej i w Nowym Dworze u wujostwa Wołodkowiczów, dokąd jako młoda dziewczyna z rodzicami i rodzeństwem przyjeżdżała jako rodzina krewnych i sąsiadów. Pokrewieństwo te ze Świdami pochodzi stąd, że matka mojego dziadunia rodzonego Mieczysława Tukałły, a więc moja prababka Konstancja Tukałłowa, była Świdówną z domu. Ród Świdów jest kalwiński. Kalwinem był też ojciec kuzynki Maryni Gieysztorowej i kalwinami są jej bracia, ale córki w rodzinie Świdów są zwykle katoliczkami. Katoliczką była matka Gieysztorowej, także Świdówna z domu, synowica rodzona swego męża, żyjąca dotąd w Hraniczach, które obecnie należą do Polski. Świdowie, szczególnie młodzi, z Hranicz byli za moich czasów wczesnej młodości traktowani przez nas, to znaczy przez młodzież naszych kuzynów – Wołodkowiczów, Bohdanowiczów, nas, Tukałłów, Hrehorowiczów, Szczytów itd. – dosyć lekceważąco. Nie dostrajali się oni jakoś do nas. Byli wychowywani bardzo po staroświecku i „hreczkosiejsku", panny były nudne, chłopcy byli jacyś niemrawi i głupkowaci. Starsza siostra obecnej p. Gieysztorowej, Anielcia, dzisiaj zakonnica, była zgoła brzydka, młodsza, Marynia (obecna p. Gieysztorowa), była trochę ładniejsza i żywsza, ale też ani bardzo ładna, ani bardzo rozwinięta, gąska naiwna, zadomowiona, trochę prostaczkowata, w stylu drobnoszlacheckim. Pamiętam z tamtych lat jeden drobny epizod, kiedy młodzież nasza dla śmiechu sprowokowała mię do pocałowania Maryni Świdówny (dzisiejszej p. Gieysztorowej), z czego się bardzo uśmiano. Ale to dawne i zapomniane czasy. Zresztą była to tylko facecja, wybryk humoru zbiorowego. Nigdy mi się ona nie podobała, nigdy nie było między nami cienia flirtu, Świdówny i Świdowie hraniccy nie byli u nas nigdy w modzie i byli raczej przedmiotem pośmiechu, toteż nie mogło być mowy o podobaniu się lub intrydze flirtowej. Potem Marynia Świdówna wyszła za mąż za p. Gieysztora w Suwalszczyźnie, właściciela majątku Szałtupie pod Kownem. Spotkałem ją dopiero po wojnie. Jest doskonałą gospodynią, Herod-babą, praktyczną, gospodarczą, skąpą, zapobiegliwą, umiejącą zbywać produkty, ale prostowatą. Elizka, gdy ją poznała, na razie była trochę „*choquee*", nie bardzo się do pokrewieństwa przyznawać chciała. Ale potem to się jakoś utarło, Komorowscy weszli w bliższy kontakt z Gieysztorami, Litka mieszkała czas dłuższy w Szałtupiu jako nauczycielka domowa płatna na stopie wszakże krewnej.

20 lipca, rok 1935, sobota

Jeszcze o zapowiedzianym małżeństwie Litki Komorowskiej z młodym Gieysztorem z Szałtupia. Ojciec narzeczonego, właściciel Szałtupia, p. Gieysztor, dziś człowiek już podeszły, którego imienia, jak również imienia jego syna w tej chwili nie przypominam sobie,

jest bliskim krewnym znanego z powstania roku 1863 Jakuba Gieysztora, który należał do obozu tak zwanych „czerwonych" i zostawił głośne pamiętniki swoje. Zdaje się, że Jakub Gieysztor był stryjem rodzonym obecnego p. Gieysztora, to znaczy był bratem jego ojca, a dziada narzeczonego Litki. Rodzina, raczej ród Gieysztorów jest oczywiście, jak to z samego brzmienia nazwiska widać, pochodzenia litewskiego, ale zupełnie już spolonizowany, dziś – polski. Sam p. Gieysztor był w roku 1919 zamieszany w ruch i następnie w proces peowiacki, był wraz z innymi sądzony i skazany; z tego tytułu jego majątek ziemski uległ konfiskacie, ale ponieważ prawnie majątek jego Szałtupie, położony w powiecie kowieńskim przy szosie do Pren i Birsztan, należał nie tylko do niego, ale w połowie do żony, więc z tytułu reformy agrarnej p. Gieysztorowa swoją normę 80-hektarową własności nietykalnej zachowała i przez to majątek rodzinny został uratowany. Zresztą p. Gieysztor nie jest zgoła działaczem politycznym, natomiast jest doskonałym rolnikiem. Wraz z żoną, doskonałą gospodynią domową i osobą bardzo praktyczną, doskonale się mają na majątku. Majątek nie jest zadłużony i rentuje dobrze. Osobiście p. Gieysztor sprawia wrażenie sympatyczne człowieka dobrego. Młody Gieysztor, narzeczony Litki, skończył nauki w Wyższej Szkole Handlowej w Antwerpii. Jest zdrowia słabego, był zagrożony suchotami, ale zdaje się, że się odchwycił. Ponieważ jako Polak (chociaż obywatel litewski), nie mógłby tu znaleźć posady, a na majątku siedzieć, gdy rodzice gospodarzą jeszcze sami, byłoby mu bezcelowe, więc wyjechał do Polski i ma tam posadę prywatną w Katowicach w jakichś zakładach przemysłowych. Stamtąd przyjechał teraz na urlop i dlatego ślub jest tak prędko. Po ślubie Litka zamieszka z mężem w Katowicach. Okazuje się, że młodzi byli już dawno po słowie i że Elizka wiedziała o tym i udzieliła swojego zezwolenia na związek już od Bożego Narodzenia, tylko się to trzymało w tajemnicy dla uniknięcia niepotrzebnego rozgłosu. Ślub ma się odbyć 10 sierpnia w Kownie, bo gdyby był w Kowaliszkach – musiano by zaprosić dużo gości z okolicy, co byłoby zbyt kosztowne. Ślub będzie cichy w kościele szarytek. Po ślubie w kościele odbędzie się obiad w restauracji hotelu „Wersal" i na tym się skończy. Na obiedzie będą tylko młodzi, ksiądz, rodzina domowa Gieysztorów a ze strony Litki – jej matka Elizka, siostra Zitka, bracia Hektor i Julek z żonami i... ja. Przyjąłem zaproszenie i będę. Byłem na ślubie Julka, byłem na ślubie Hektora, będę na ślubie Litki. Komorowscy mię zawsze w tym względzie wyróżniają. Reprezentuję dla nich rodzinę Elizki.

21 lipca, rok 1935, niedziela

Przeszłą niedzielą poświęciłem Diskinowi, z którym pojechałem do jego letniska w Kułautuwie. Niedzielę obecną poświęciłem z kolei Stefanowi Römerowi, którego odwiedziłem w Szaszewiczach pod Bobtami. Pojechałem tam wczoraj wieczorem w towarzystwie Feliska Mackusa, aby wrócić do Kowna dziś we dnie. Wyjechaliśmy z Kowna autobusem wczoraj o godz. piątej po obiedzie. W godzinę byliśmy już na miejscu. Wysiedliśmy w Sztabownicy w pobliżu przystani parostatkowej, gdzie zaraz spotkaliśmy Stefana i udaliśmy się z nim do Szaszewicz. Maryni Stefanowej ze Stenią nie było w domu. Wróciła dopiero dziś rano z Burń od krewnych swoich Narbutów, do których jeździła. Spędziłem czas u Stefanostwa nieźle. Chodziliśmy na spacer, oglądaliśmy szkółkę drzewek owocowych Stefana, opowiadałem o podróży mojej na Północ. Mackus musiał się nudzić trochę, ale sam sobie winien, bo choć rozumie wszystko po polsku i mógłby próbować mówić, nie próbuje i mam wrażenie, że robi to li tylko dlatego, by się nie „strefić" mową polską, bo jest formalnie „tautininkiem" jako członek korporacji „Neo-Lithuanii", a w tych kołach sam dźwięk mowy polskiej „nie uchodzi". W istocie Mackus osobiście tych zacietrzewień nacjonalistycznych nie posiada, ale jest „koszernym" narodowcem dla względów utylitarnych kariery, bo to dziś popłaca, toteż zachowuje doskonałość koszerną wszelkich pozorów, o które bardzo dba. Nie powiem, żeby mi się to w nim bardzo podobało, bo sprawia to brak szczerości i sztuczność karierowiczowską, która jest rdzą na serce i

charakter. Skądinąd lubię Mackusa, ale ta skłonność do karierowiczostwa i praktycznego urządzania się przez umiejętny oportunizm, przystosowanie się jest ujemną i mogącą go unicestwić jako człowieka wartościowego.

Odjechaliśmy dziś od Stefanostwa w deszcz. Wózkiem pojechaliśmy do Bobt, aby stamtąd udać się autobusem do Kowna. Niestety – autobus się późnił, a że z jednej strony nie było pewności, czy w autobusie znajdzie się miejsce, a z drugiej strony zaraz odchodził parostatek do Kowna po Niewiaży i ryzykowaliśmy, że opuściwszy statek dla czekania autobusu nie znajdziemy potem w autobusie miejsca i zostaniemy do jutra na bruku, a raczej na błocie bobtowskim, więc udaliśmy się na parostatek. Dłuższe to, ale za to pewniejsze, a zresztą podróż statkiem po Niewiaży i Niemnie ładniejsza.

22 lipca, rok 1935, poniedziałek

Czas – prawdziwie „ogórkowy”. Ale to mi da możność cofnięcia się w dzienniku do mojej podróży polarnej z ubiegłego miesiąca – już po raz ostatni – dla utrwalenia moich tam spostrzeżeń i wiadomości o tamtym dalekim a ciekawym kraju i o życiu jego ludzi. Zajmie to w dzienniku niewątpliwie dużo miejsca. Skończę chyba do wyjazdu mego z Kowna, o ile mi jakieś aktualia nie przeszkodzą.

Kraj polarny, należący do Finlandii, który poznałem, podzielę przede wszystkim na dwie wielkie części. Część południowa, stanowiąca dorzecze rzek spływających do Zatoki Botnickiej Morza Bałtyckiego, i część północna, stanowiąca dorzecze rzek spływających do Oceanu Lodowatego. Pierwszą nazwę Laponią Południową. Te dwie części kraju polarnego dzieli wielka wyżyna, tworząca wodorozdział, pustynna i dzika – mniej więcej w połowie drogi między linią kręgu polarnego a Oceanem Lodowatym (± 260-270 kilometrze szosy od Rovaniemi do oceanu, której cała długość wynosi 531 kilometrów). Część północną kraju tego należałoby przede wszystkim podzielić znowuż na dwie różne części – różne zwłaszcza pod względem etnicznym – mianowicie na starą fińską Laponię czy Pohjolę Północną na zachodzie, wrzynającą się w terytorium Norwegii, które ją otacza szeroką linią od zachodu do północy i północnego wschodu i oddziela od Oceanu Lodowatego, i na kraj tak zwany „Petsamo” na wschodzie i północnym wschodzie, pozyskany przez Finlandię od Rosji już po Wielkiej Wojnie i docierający bezpośrednio do oceanu, a nawet wydłużający się przylądkami jeszcze dalej na północ wzdłuż oceanu do północnego cypla sowiecko-karelskiego (rosyjskiego) brzegu murmańskiego – do 70° szerokości geograficznej (przylądek Vaitolahti na cyplu północnym z wsią rybacką karelską tejże nazwy). Wreszcie i ten kraj Petsamo podzielić można na dwie, a nawet trzy części: a. cześć zachodnia czy północno-zachodnia nad granicą norweską, stanowiąca dolinę rzeki Paatsjoki, raczej prawą połowę tej doliny, bo rzeka Paatsjoki jest graniczną i lewy jej brzeg za wyjątkiem małego występu u Költtaköngës należy do Norwegii; ta część zachodnia kraju Petsamo odcięta jest od oceanu wąskim pasem wybrzeża, należącym do Norwegii, a od wschodniej, znacznie większej części tegoż kraju oddzielona pustynną wyżyną, rozdzielającą dorzecze Paatsjoki i dorzecze Petsamojoki (po rosyjsku rzeki Peczengi); b. obszerna część wschodnia, czyli dolina rzeki Petsamo aż do oceanu, od wschodu na całej długości granicząca z Sowietami (sowiecką Karelią autonomiczną); i c. przylądki północne nad Oceanem Lodowatym. Tak w grubych zarysach podzielić można północ polarną fińską. Przecina ją od Rovaniemi, położonego o 5 kilometrów przed linią kręgu polarnego, aż do Liinakhamari, położonego nad Oceanem Lodowatym u zatoki Petsamo (albo inaczej u Fiordu Fińskiego), wielka automobilowa szosa polarna długości 531 kilometrów – jedyna szosa na świecie, docierająca bezpośrednio do Oceanu Lodowatego.

23 lipca, rok 1935, wtorek

Piszę w ciągu dalszym do tego, co rozpocząłem wczoraj. Z kraju polarnego, należącego do Finlandii, który wczoraj że tak powiem – z grubsza rozklasyfikowałem na najbardziej charakterystyczne części – najmniej w podróży naszej dotknąłem tej jego części, który stanowi Laponię północną starofińską, względnie lepiej dzielnicę Petsamo, tak jej część zachodnią w dorzeczu rzeki Paatsjoki, jak jej część wschodnią w dorzeczu Petsamojoki, ale tylko w północnym odcinku tej części, jak wreszcie skrajną północ przylądkową nad Oceanem Lodowatym. W ogóle zresztą stwierdzić muszę, że kraj ten przeważnie sam bezpośrednio obserwować mogłem tylko tyle, ile go jedną długą linią przecina wielka szosa polarna, po której tę podróż odbyłem, zbaczając tylko w dorzeczu Paatsjoki do Költtaköngës, w dorzeczu Petsamojaki – cokolwieczek do klasztoru w Ylälostari i poza tym statkiem po oceanie – do wiosek rybackich przylądkowych i wyspy ptasiej Heinäsaari, a w Laponii południowej – do obserwatorium w Tähtäli. Już to samo czyni krąg moich spostrzeżeń bezpośrednich bardzo ograniczonym i może poniekąd hermetycznym czy epizodycznym, co może niektóre uogólnienia mojej relacji podważać. Wszakże poza obserwacją bezpośrednią i spostrzeżeniami osobistymi posługiwałem się i posługuję do mojej wiedzy o tym kraju i do relacji o nim także materiałem informacyjnym, zaczerpniętym z rozmów z ludźmi, których tam poznałem, a więc z magistrem Suxdorffem, panią Eera Lilja, panną Katri-Marią Thesleff, kapitanem parowca „Jeemäri" p. Leino i jego żoną oraz przełożonym klasztoru prawosławnego „na Pieczendze" w Ylälostari – ojcem Paisijem, wreszcie z Karelami i Laponkami oraz Lapończykami z ludu w dzielnicy Petsamo – zwłaszcza w Költtaköngës, w Pummaukach nad oceanem, w Ylälostari, z którymi byłem w stanie rozmówić się po rosyjsku. Z Laponii północnej starofińskiej szosa przecina tylko młody skrawek południowo-wschodni w okolicy Ivalo i tu najmniej miałem kontaktu bądź z ludźmi, bądź z przyrodą, a najcharakterystyczniejsze pono tej dzielnicy miejsce – Inari, od którego bierze nazwę tameczny „inaryjski" szczep i dialekt lapoński – pozostało poza obserwacją moją, bo w nim nie byłem. I z południowej Laponii przeciąłem z południa na północ tylko sam jej środek wzdłuż rzek Kemijoki i Kitinen, zupełnie nie dotknąwszy obszernych terenów części tak wschodniej, jak zachodniej tej dzielnicy.

24 lipca, rok 1935, środa

Na Uniwersytecie mam nowy kłopot ze zlikwidowaną tzw. „Tautosakos Komisją" (komisja do spraw literackiej twórczości ludowej), która istniała przy Wydziale Humanistycznym i zamknięta została przez cofnięcie jej kredytów i etatów przez rząd. Zamiar zreformowania tej instytucji i przeniesienia jej z Wydziału Humanistycznego i w ogóle uniwersytetu do Ministerium Oświaty powstał w ministerium tej zimy w związku z głośnym, choć nieco przez intrygi pono Juški rozdmuchanym „skandalem" z powodu wydanej przez prof. Krėvė-Mickiewicza książki „Patarlės ir priežodžiai", stanowiącej zbiorek przysłów i przypowieści nieprzyzwoitych. Na miejsce komisji, której etaty i kredyty zamknięto, stworzony został „Tautosakos Archyvas" w łonie Ministerium Oświaty. Kierownikiem tego archiwum mianowany został przez ministra młody dr Balys, były asystent na katedrze etniki na Wydziale Humanistycznym, którego Rada Wydziału na rok przyszły nie wybrała, człowiek chamowaty, zarozumiały, przykry i złośliwy, intrygant i mściwy, który nienawidzi dziekana Krėvė-Mickiewicza i w ogóle wściekły jest na Wydział Humanistyczny, z którym miał zatargi i w którym się skompromitował i został usunięty. Minister żąda obecnie przekazanie zbiorów byłej „Tautosakos Komisji" nowemu „Tautosakos Archyvas". Dziekan wydziału prof. Krėvė-Mickiewicz sprzeciwia się temu. Jestem między młotem a kowadłem. Rzecz jest skomplikowana.

Tymczasem przechodzę nadal do mojego streszczania relacji o kraju polarnym fińskim. Cała południowa Laponia aż do wielkiego wodorozdziału dwóch dorzeczy – bałtyckiego i oceanicznego – jest już ogarnięta kolonizacją fińską o charakterze bądź co bądź rolniczym.

Tak przynajmniej sądzić można z okolic wzdłuż wielkiej szosy polarnej, ale zdaje się, że to się stosuje i do okolic dalszych tak na wschód, jak na zachód w tej części kraju. Potwierdzają mi to też w ogólnych zarysach opowiadania informatorów moich. Niewątpliwie, mówiąc o kolonizacji rolniczej – należy to brać z pewną rezerwą. Kraj ten jest jeszcze przeważnie, zapewne co najmniej w 9/10, leśny, pokryty lasami o charakterze puszczy i nawet na szlakach tej kolonizacji nie przestał być takim. Szlaki zaś tej kolonizacji idą przeważnie dolinami wielkich rzek tamtejszych, po których dokonywany jest wielki spław drzewa i które, zwłaszcza dopokąd nie było szos, stanowiły główne arteria komunikacji. Teraz w szlakach i zgęszczaniu się tej kolonizacji konkurencję rzekom będę czyniły zapewne szosy względnie linie kolei żelaznej, o ile tam one powstawać i rozgałęziać się zaczną. Dotąd jedną tylko linię kolejową tam przeprowadzono i to niedaleko w głąb strefy polarnej: jest to przedłużenie linii kolejowej od Rovaniemi na północny wschód do Kemijärvi. Między szlakami kolonizacji fińskiej w Laponii południowej są jeszcze wielkie przestrzenie dziewicze lasów. Lasy dominują i w samej strefie kolonizacji, która ich prawie że nie zmniejszyła. Bądź co bądź Lapończyków w Laponii południowej już prawie nie ma. Osadnictwo fińskie na szlakach tej kolonizacji, zajmującej stanowiska gospodarcze i społeczne najdogodniejsze, wyparło Lapończyków, gospodarczo i kulturalnie zacofanych, niezdolnych do rywalizowania z Finami, dopiero przechodzących od koczownictwa do stanu osiadłego – na dalszą północ, za wodorozdział, w dorzecze Oceanu Lodowatego.

25 lipca, rok 1935, czwartek

W tych dniach zakończyłem jeden z artykułów, które miałem zaprojektowane. Jest to artykuł sprawozdawczy czy informacyjny o nowej instytucji sądu statutowego w Litwie, poprzedzony wstępem politycznym o naturze knowań niemieckich w Kłajpedzie. Artykuł pisałem po polsku, przeznaczałem go dla „Przeglądu Wileńskiego”, bom przyrzekł Ludwikowi Abramowiczowi coś przysłać dla niego. Po napisaniu wszakże uznałem, że lepiej będzie przeznaczyć artykuł dla jakiegoś pisma zawodowego prawniczego w Warszawie. Doręczyłem więc rękopis korespondentowi warszawskiemu „Lietuvos Aidasu” Gustainisowi, który bawił w Kownie i wczoraj wyleciał aeroplanem via Gdańsk do Warszawy. Prosiłem go, żeby dał artykuł do pisma prawniczego. Ludwikowi Abramowiczowi dla „Przeglądu Wileńskiego” dam co innego: przetłumaczę na polski i prześlę mu mój referat, wygłoszony na kongresie litewsko-łotewsko-estońskim w Rydze. Z Rygi w czerwcu przesłałem Abramowiczowi moją dużą majową pracę o Józefie Piłsudskim, drukowaną w „Mūsų Rytojus” (była ona też drukowana równolegle w miesięczniku „Vairas”). Ale ta praca o Piłsudskim nie jest dla „Przeglądu”, jeno dla informacji Ludwika Abramowicza.

Dalszy ciąg o strefie polarnej fińskiej. Kolonizacja rolnicza fińska w Laponii południowej nie zmieniła charakteru leśnego kraju. Dokoła skroś lasy i lasy. Osady kolonistów farmerów są rzadkie, oddzielone od siebie wielkimi przestrzeniami lasu. Osady te są nie w wioskach, jeno przeważnie bądź w pojedynczych izolowanych zaściankach, bądź jeszcze częściej w niewielkiej grupie dwóch lub kilku zaścianków, położonych blisko od siebie. Te fermy rolne nie są czysto rolnicze, jak gdzie indziej. Nie ma tam pól obszernych, ciągnących się wielką przestrzenią. Osadnicy mają tam folwarki duże, złożone z kilkudziesięciu hektarów – właściwie lasu. Pola uprawne są rozrzucone drobnymi poletkami tu i ówdzie między lasem – przy osadzie, na polankach, na pasiekach; wybierane są na uprawę starannie kawałki dogodniejsze, zaciszne, gdzie trochę mniej kamieni, gdzie jest spad na południe, gdzie gleba nieco lepsza, gdzie mniej mchów i nie ma moczarów tundrowych. Nad rzekami i ruczajami są łąki. Uprawia się tam owies, jęczmień, trochę żyta nawet, kartofle. Hoduje się krowy; są kury, zapewne i świnie; są owce. Miast ani miasteczek w ogóle w całej strefie polarnej nie ma. Najbliższe miasto, położone na samym pograniczu strefy polarnej – to Rovaniemi. Główne zaś miasto, jako centrum administracyjne, jest to dalekie

Kemi, położone aż nad Zatoką Botnicką u ujścia wielkiej rzeki Kemijoki, która dawniej w braku innych środków komunikacji stanowiła główną i najdogodniejszą arterię komunikacyjną wodną dla całej Laponii południowej. Obecnie Kemi jest połączone koleją żelazną z Rovaniemi, a na skutek szos, przeprowadzonych już w samej Laponii arktycznej, Rovaniemi stało się poważnym konkurentem Kemi. We właściwej arktycznej Laponii południowej nawet wsie kościelne są niezmiernie rzadkie; nie ma ich prawie. Największą, a może jedyną na szosie polarnej jest wieś kościelna Sodankyla w 130 kilometrach na północ od Rovaniemi, posiadająca magazyny, wielką szkołę i kościół.

26 lipca, rok 1935, piątek

Że w opinii litewskiej, wbrew jątrzeniu „Związku Odzyskania Wilna" i w ścisłym związku z antylitewską akcją niemiecką o Kłajpedę, narastają usposobienia do ugody z Polską, dla których wyzyskania wszakże Polska najmniejszego gestu ze swej strony nie czyni – to fakt. W szczególności popularną zaczyna się stawać jazda do Polski i przez Polskę. Teraz oto wycieczka sportowa studencka, złożona z 30 osób młodzieży, udająca się na międzynarodową olimpiadę sportową akademicką do Budapesztu, wybiera się jechać wspólnie z takimiż wycieczkami łotewską, estońską i fińską – przez Polskę. Ponieważ się okazało, że dla udzielenia pozwolenia na przejazd konsulat polski w Rydze wymaga, aby wycieczka litewska wykazała, że władze litewskie wiedzą o tym i zezwalają na jazdę przez Polskę, więc pośredniczyłem w ministeriach Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych, aby to zezwolenie dla wycieczki wyrobić i zdaje się, że się to uda. Sprawa przejazdu przez Polskę powstała nie tylko dlatego, że chodzi Litwinom o wspólną jazdę z Łotyszami, Estończykami i Finami, z którymi łączy ich wspólna konfederacja akademicka SELL, ale także dlatego, że w obecnym stanie stosunków litewsko-niemieckich przejazd przez Niemcy naraża studentów litewskich na różne ewentualności szykan. Zgoła nowym przejawem jest to, że młodzież akademicka litewska nie uważa dziś bynajmniej swego przejazdu zbiorowego przez Polskę za coś gorszącego i będącego wprost nie do pomyślenia, jak to się jeszcze niedawno uważało i że robi się to jawnie i publicznie jako coś naturalnego, co nie może wywołać protestów i zarzutów.

I znowu do strefy polarnej fińskiej. O ile Laponia południowa jest dziś już zaludniona prawie wyłącznie przez Finów (chociaż naturalnie to zaludnienie jest jeszcze zupełnie minimalne, nie wiem, czy wynoszące 1 człowieka na kilometr kwadratowy) i ma charakter przeważnie leśno-rolniczy), o tyle Laponia północna starofińska, o której zresztą wiem najmniej, jest jeszcze zaludniona – oczywiście jeszcze rzadziej – przez Lapończyków szczepu i narzecza inaryjskiego wyznania ewangelickiego, którzy trudnią się przeważnie rybołówstwem po jeziorach i rzekach, eksploatacją reniferów itp., zaś prowincja Petsamo na północy i północnym wschodzie jest zaludniona bądź przez Lapończyków prawosławnych szczepu i narzecza łaparskiego, bądź – w kierunku zwłaszcza północno-zachodnim i nadmorskim z wybrzeżem przylądkowym nad Oceanem Lodowatym włącznie – przez Karelów, również prawosławnych. Prowincję Petsamo, szczególnie w jej części północnej wraz z wybrzeżem oceanu, poznałem, zdaje się, najlepiej. I Karelowie, i Lapończycy trudnią się tam głównie i niemal wyłącznie rybołówstwem, które inny ma charakter w głębi lądu na licznych jeziorach i rzekach i inny zgoła – nad oceanem, gdzie rybołówstwo jest morskie. Poza tym tak Karelowie, jak Lapończycy eksploatują renifery, czego rybacy wybrzeża oceanicznego, osiadli na pustyni polarnej, pozbawionej już zgoła lasu i zarośli, nie czynią wcale. Rolnictwa tam w kraju Petsamo już nie ma i być nie może, bo klimat jest za surowy – zima za ciężka, lato za krótkie i żadne zboże nie dojrzewa. Można byłoby wprawdzie siać i owies i jęczmień i żyto, wyrosłoby, wykłosowało, nawet ziarno by nalało przez lato, które w lipcu bywa wcale ciepłe i nawet upały miewa, ale ziarno nie dochodzi, bo jak tylko słońce

zachodzić w końcu lipca lub początku sierpnia zaczyna, zaraz nastają przymrozki, które niszczą zboże niedojrzałe.

27 lipca, rok 1935, sobota

Z nikim się prawie nie widuję teraz oprócz interesantów w rektoracie lub przygodnych spotkań na ulicy. Prowadzę bardzo pracowity żywot pustelniczy w domu. Niewiele też wiem z rzeczy zakulisowych. Po tym, jak mię Mašalaitis poinformował, że na naradzie u prezydenta w Połądze zapadła decyzja dokonania jednak reformy ordynacji wyborczej do sejmiku w Kłajpedzie jednocześnie z ogłoszeniem ustawy o wyborach do Sejmu i dokonania faktycznego tychże wyborów, czekałem wciąż od Mašalaitisa wezwania na posiedzenie dla obrad nad projektem ordynacji. Wiedziałem też, że Rada Stanu obraduje nad tym. Ale czas płynął i żadnego wezwania nie otrzymałem i w ogóle nic w tej kwestii nie słyszałem. Dopiero wczoraj spotkałem przypadkowo w kinie Navakasa, od którego dowiedziałem się wreszcie, że ostatecznie zaniechano reformowania ordynacji wyborczej i zdecydowano się znowu na dokonanie wyborów na zasadach dotychczasowych. Wybory te zapowiadają się dla strony litewskiej groźnie. Niemcy w Kłajpedzie są rozwścieczeni i zdecydowani działać nieprzejednanie. Ludność bierna jest zastraszona i nie śmie pisnąć przeciwko woli Niemców, spodziewając się powrotu rządów niemieckich, a elementy zdecydowanie litewskie są zdezorientowane i usposobione pesymistycznie. Jestem przekonany, że przeciwko reformowaniu ordynacji wyborczej energicznie występował Šiling, który chciał bądź reformy plebiscytowej, do której się uczepił, albo żadnej. Może być jednak, że oddziałały też wpływy Ministerium Spraw Zagranicznych, które boi się bardzo wszelkiego drażnienia sygnatariuszy w chwili obecnej.

Znowu do mojej relacji polarnej. Jeżeli powiadam, że w prowincji Petsamo rolnictwa już nie ma wcale, bo żadne zboże tam nie dochodzi, to jednak trzeba zrobić małe rezerwy. Tak – zbożowego rolnictwa tam być nie może. Wszakże kartofle są tam sadzone, choć naturalnie bardzo mało i tylko na niezbędne potrzeby własne. Karelowie aż do samej najdalszej północy, aż do ostatniego na północ przylądka nad oceanem pod 70° szerokości geograficznej uprawiają kartofle, choć naturalnie tylko trybem ogrodowym i nie co roku udaje im się zebrać plon. Na większą nieco skalę rozwinięte są tam zbiory siana, związane z hodowlą krów. Na całej przestrzeni polarnej aż do samego krańca północnego Karelowie hodują krowy, toteż muszą mieć siano na zimę. Krowy tam są inne niż u nas, północnej rasy miejscowej – białawe, przeważnie bez rogów. Na wiosnę, kiedy tam byłem, a była to tam przecie w drugiej połowie czerwca jeszcze bardzo wczesna wiosna, kiedy niemało było jeszcze resztek śniegów zimowych i w miejscowościach, gdzie rosną jeszcze drzewa lub krzewy, listki się na brzózkach, jarzębinach i czeremchach dopiero ukazywać zaczynały, biedne krowy tamtejsze są zaiste nieszczęśliwymi stworzeniami. Dobrze Jadzia mówi, że nasze krowy zdechłyby na takim pokarmie. Chodzą one puszczone luźnie gdzie chcą; jedna z krów w stadzie ma dzwoneczek zawieszony na szyi, aby z dźwięku jego można było posłyszeć, gdzie jest stadko. Czym się żywią w tej swojej włóczędze – Bóg raczy wiedzieć, bo nic nie widać, jak mech, skała, kamienie, a wszelka łoneczka, jaka się trafia, a na której zresztą świeżej trawy jeszcze nie było, jest starannie ogrodzona na sianokos, bo łoneczka tam – to wielkie bogactwo i rzecz rzadka. Widocznie jednak te biedne stworzenia, które muszą produkować mleko ponadto, gdzieś jakąś traweczkę znajdują w rowkach, przy ścieżkach, bo przecież żyją i chodzą. Gdzie są rzeki – tam łąk, pastwisk i sianokosów nad rzekami, strumykami jest więcej, ale gdzie rzek nie ma, jak w kraju przylądkowo-oceanicznym – tam o sianokos trudniej. Łoneczki tam – to cymes, a dolinki i brzegi ruczajów, gdzie trawa rośnie – to rzecz bardzo cenna i łakoma. Ale krowy hodują tylko Karelowie. Lapończycy, jako prawidło ogólne, krów nie mają, bo siana na zimę nie suszą i łąk nie koszą. Sianokosy u Lapończyków, którzy dopiero świeżo zaniechali koczownictwa, to nowina i wyjątek.

Lapończycy hodują tylko owce, których wełna jest bardzo ładna, miękka i obfita. Zimą oni na ogół owce te trzymają na dworze i żywią je... korą brzozową (oczywiście tam, gdzie jeszcze brzózki rosną).

28 lipca, rok 1935, niedziela

Zamierzałem dziś wybrać się po obiedzie autobusem do Szałtupia, majątku pod Prenami, z wizytą do pp. Gieysztorów, którym dawno wizytę obiecałem, a którzy teraz jeszcze bardziej się z nami przez małżeństwo Litki spokrewnią. Atoli deszcz padał prawie cały dzień, rano lał jednym ciągiem, po obiedzie – z przerwami, więc zaniechałem jazdy. Poszedłem tylko na dłuższy spacer po Zielonej Górze przed wieczorem, wracając zaś stamtąd spotkałem Zosię Römerową (Eugeniuszową), która mię zaciągnęła do kawiarni Konrada. Zosia znów umyśliła malować mój portret. Ma to być tym razem portret olejny. Od jutra zacznie do mnie przychodzić portretować.

Wracam do relacji o kraju polarnym w Finlandii. W kraju Petsamo, gdzie już właściwego rolnictwa zbożowego nie ma i być nie może i gdzie czynności rolne, stanowiące tu zajęcie tylko dodatkowe i podrzędne, ograniczają się tylko do sadzenia kartofli w ogrodach (może też cebuli i jeszcze czegoś na swój użytek) i do sianokosu oraz hodowli krów, jednak może istnieć i intensywniejsze rolnictwo w zakresie przynajmniej hodowli, jak to widać na przykładzie klasztoru prawosławnego na Pieczendze w Yläluostori, który przed wojną na swoich folwarkach miał dużą oborę krów pięknej północnorosyjskiej rasy chołmogorskiej i miał starannie i kulturalnie uprawne poletka, na których siał trawy, przeważnie tymotejkę, na sianokos sztuczny. Teraz po wojnie gospodarka klasztorna, która dawniej była zasobna i zwłaszcza korzystała z obfitej bezpłatnej siły roboczej rozmaitych przybyszów pobożnych z Rosji północnej – „bogomolców" i „posłuszników", którzy za grzechy lub dla różnych wotów pobożnych ofiarowywali się oddać się na usługi klasztoru na szereg lat, podupadła. Teraz sił bezpłatnych roboczych klasztor już prawie nie ma – nowi ludzie z Rosji nie przychodzą, kilku jest zaledwie starszych i już przy klasztorze na zawsze osiadłych, trzeba więc donajmować Karelów, bo ludność miejscowa – Karelowie i Lapończycy – nie dostarcza klasztorowi „posłuszników", a Lapończycy zresztą do pracy na roli i w gospodarstwie w ogóle się nie nadają i tym się nie trudnią, pracują też sami mnisi, których zresztą jest coraz mniej i coraz są starsi, nie mając dopływu z nowicjatu (nowicjat nie jest skasowany, ale władze fińskie pozwalają do nowicjatu przyjmować tylko obywateli fińskich, a ci do klasztoru nie idą, Rosjan zaś z terytorium sowieckiego przyjmować nie wolno i zresztą w ogóle ich się na terytorium fińskie nie wpuszcza). Dziś gospodarka klasztorna w Yläuostari podupadła, krów jest mało i tylko miejscowej rasy polarnej, bo stare stado chołmogorskie w latach 1918-1920 zabrali od klasztoru bolszewicy, a dostać nowych nie ma możności i nie ma środków. Ale poletka folwarkowe klasztorne są nadal starannie uprawiane, nawożone, zasiewane trawami. Do uprawy są używane konie silne i ciężkie i narzędzia rolnicze ładne, jak brony talerzowe i specjalne pasiekowe i inne, które przed wojną stanowiły ostatnie słowo postępu technicznego i pochodziły z ofiar bogatych pobożnych osób z Rosji, o czym świadczą tabliczki z napisami odpowiednimi na tych narzędziach. Bądź co bądź świadczy to, że i w tym dalekim kraju polarnym w pobliżu Oceanu Lodowatego (Yläluostari jest od oceanu odległe o 30 kilometrów) pewne możliwości rolniczo-gospodarcze istnieć mogą. Poza rybołówstwem, które stanowi tam główne i zasadnicze zatrudnienie gospodarcze całej ludności, tak lapońskiej, jak karelskiej, poza eksploatacją gospodarczą reniferów, hodowlą krów i owiec i sianokosem, dodatkowymi artykułami zajęć gospodarczych Karelów i Lapończyków są lub mogą być jeszcze – łowiectwo i myślistwo, zwłaszcza kuropatwy białe (ze zwierząt leśnych są tu jeszcze zające białe, lisy, niedźwiedzie bure, niedużo łosi), mogą być także i są – jagody, których tu są ilości nieprzebrane (brusznice, czernice, żurawina i „lakke", czyli po rosyjsku „moroszka), puch niezrównany dzikiego ptactwa wodnego, którego tu są chmury po

jeziorach, bagnach, rzekach i wyspach, a w części południowej kraju Petsamo – także obrabianie drzewa, czyli przemysł leśny.

29 lipca, rok 1935, poniedziałek

Po obiedzie Zosia Römerowa naszkicowała węglem mój portret na papierze. Jest to rodzaj przygrywki tylko czy uwertury do właściwego portretu, który zacznie malować jutro rano na płótnie. Powiada, że takie naszkicowanie poprzednie potrzebne jej dla uchwycenia właściwego wyrazu, dla – że tak powiem – intromisji wrażeniowej, dla *sui generis* nastrojenia się. Portretuje mię siedzącego przy biurku moim z rękami położonymi na biurku. Na szkicu wyszedłem przystojny – młodszy, zdaje się, i ładniejszy, niż jestem, tak że sam się sobie podobam. Ale od szkicu do portretu może być jeszcze daleko.

I znów przechodzę do mojej relacji z krainy polarnej. Dziś napiszę o rybołówstwie mieszkańców przylądkowych fińskich nad oceanem. Jest to niewielki kawałek ziemi, oddzielony od rosyjskiego wybrzeża murmańskiego i stanowiącego północno-zachodni cypel tegoż, sięgający pod Vaitolahti 70 stopnia szerokości geograficznej, a stamtąd schodzący w dół na południe wzdłuż oceanu aż do zatoki ujścia Petsamo, czyli do tzw. Fiordu Fińskiego, nad którym położone jest Liinakhamari u wylotu wielkiej automobilowej szosy polarnej na Ocean Lodowaty. Ten kraj przylądkowy jest pustynny i dziki. Za Liinakhamari znikają już zarośla, brzózek już nie ma, we florze panuje już tylko mech, rzadkie łoneczki i jagody. Na naturę i widok składa się tu ocean i góry, utworzone z ciężkich wielkich bloków granitowych – „tunturi" po fińsku i karelsku. Potęga ponura i dzika. W czasie, gdyśmy tam byli, na górach były jeszcze duże plamy białe śniegu, którego płaty leżały jeszcze miejscami i w dolinach pustynnych wybrzeża. Do tego też kraiku przylądkowego należą też dwie wysepki ptasie Heinäsaari między zatoką Maattivuono a zatoką Pummaugivuono, stanowiące rezerwat nietykalności ptasiej, strzeżonej przez posterunek wojskowo-pograniczny. Ludność kraju przylądkowego składa się z czterech wsi rybackich, jednej – południowej – lapońskiej i trzech – północnych – karelskich. Wsie te są odcięte radykalnie od świata, bo wszelka komunikacja za granicą sowiecką, która przebiega wzdłuż tego kraiku przylądkowego, jest zamknięta, a na południe do lądu fińskiego w dzielnicy Petsamo nie ma żadnych dróg. Reniferów wsie przylądkowe nie mają, ocean tam zimą z powodu przepływającego tam Golfstromu nie zamarza i jedyną komunikacją z Liinakhamari, a przeto i ze światem lądu fińskiego utrzymuje parowiec „Jeemäri".

30 lipca, rok 1935, wtorek

Zosia Römerowa rozpoczęła dziś mój portret. Jest to dość nużące dla mnie, bo musiałem pozować jej długo – od godz. 9 rano do południa. W mojej dużej ilości prac wyrwanie trzech godzin rannych na pozowanie – to strata czasu i wielka, i dotkliwa. Czas u mnie – to jedna z rzeczy najdroższych, na którą jestem bardzo skąpy.

Ponieważ w ostatnim liście Jadzia mi wyraziła swój zamiar przyjechania za mną do Kowna, gdy pojadę na ślub Litki, więc w odpowiedzi zaproponowałem jej przyjechać wcześniej, a w takim razie ja pozostanę już tu aż do ślubu Litki, to znaczy do 10 sierpnia. Dziś otrzymałem od Jadzi list, że przyjedzie w niedzielę 4 sierpnia autobusem. Tak będzie najlepiej.

Nie dość, że straciłem rano czas na pozowanie, jeszcze wieczorem wezwał mię Mašalaitis na posiedzenie, które było zwołane przez prezesa ministrów Tubelisa. Byliśmy: Tubelis, Urbšys, Mašalaitis, Tadeusz Pietkiewicz i ja. Sygnatariusze, jak widać z relacji dyplomatów litewskich, robią nacisk na Litwę, aby nie dokonywała żadnych zgoła zmian w dotychczasowej ordynacji wyborczej do sejmiku przynajmniej na wybory obecne. Francja żąda, żeby rząd litewski w jakiejś formie oświadczył publicznie, że ordynacja wyborcza nie zostanie zmieniona, grożąc, że w przeciwnym razie nie będzie mogła się oprzeć naleganiu

Anglii na wystosowanie do Litwy noty zbiorowej. Włochy dają do zrozumienia mniej więcej to samo. Anglia jest całkiem po stronie tez niemieckich. Poseł litewski w Paryżu Klimas, także minister Lozoraitis, który bawi na urlopie za granicą, nalegają, żeby dać satysfakcję żądaniom Francji. Klimas złożył już nawet ustne oświadczenie na Quai d'Orsay, że ordynacja wyborcza nie zostanie zmieniona poza co najwyżej drobnymi i nie zasadniczymi zmianami, związanymi ze względami na bezpieczeństwo państwowe. Tymczasem, jak się okazuje, rząd się zdecydował na ustawę, zarządzającą pewne poprawki do ordynacji, z których najważniejsza jest ta, że będzie dopuszczony tzw. „*panachage*", podobny do przyjętego w ordynacji wyborczej do samorządu lokalnego, obowiązującej w Litwie. System konkurencji list w wyborach proporcjonalnych będzie zachowany, zgłaszanie list kandydatów nie ulegnie też zmianie, tylko wyborcy nie będą obowiązani głosować na listę *en bloc*, jeno będą głosowali na kandydatów imiennych, mogąc ich dobierać z różnych list. Wszakże głosy każdego poszczególnego kandydata będą zaliczane na rzecz listy; cały więc skutek może polegać na tym, że na skutek wybierania dowolnego kandydatów z list kolejka kandydatów w liście może ulec zmianie. Taka poprawka jest 100-procentowo zgodna ze statutem, albowiem osłabia ona zależność wyborców od partii, które wystawiają listy i akcentuje wpływ samych wyborów, co niewątpliwie jeno potęguje zasadę demokratyczną, zastrzeżoną w statucie. Uznaliśmy, że Klimas winien poinformować rząd francuski konkretnie, jaka ma być zmiana, aby sprostował informację swoją poprzednią, że zmiana może dotyczyć li tylko względów „bezpieczeństwa" i zaraz po tym poinformowaniu należy odpowiednią ustawę o zmianach w ordynacji, będących stuprocentowo statutowymi – ogłosić, aby uniknąć wszelkiej presji sygnatariuszy i postawić ich w obliczu faktu dokonanego.

31 lipca, rok 1935, środa

Już drugi dzień, jak Zosia Römerowa mię portretuje od godz. 9 rano do południa. Wprawdzie przyjemna to jest rzecz – portret (zresztą nie dla mnie, jeno dla siebie go robi jako pracę swoją na wystawę, chyba, żebym go kupił, ale ile zażąda?) – ale to pozowanie przez trzy bite godziny prawie nieruchome przy biurku i bez pracy – to rzecz nieznośna. Portret wprawdzie ładny, ale jest jakiś felerek w grymasie ust. Zdaje się, że trochę odmłodzony jestem na portrecie, ale może rzeczywiście odmłodniałem po wyleczeniu zeszłorocznym i pozbyciu się tuszy. W porównaniu do mojego portretu pastelowego – pędzla tejże Zosi – z roku 1924, a więc sprzed 11 lat, nie postarzałem wcale, tylko posiwiałem znacznie. To jedno jest bardzo widoczne w postępie wieku.

Wrócę raczej do mojej relacji ze strefy polarnej. Jedyną komunikacją rybackich osad przylądkowych na dalekich fińskich kresach północnych prowincji Petsamo nad Oceanem Lodowatym ze światem utrzymuje parostatek „Jeemäri", kierowany przez dzielnego kapitana Leino, który przez cały rok – latem i zimą (bo ocean tam z powodu przepływającego tam Golfstromu nie zamarza, choć mrozy panują na ziemi i w powietrzu wściekłe i wichry dmą szalone w jesieni i zimą) – kursuje raz na tydzień między portem Liinakhamari u Fiordu Fińskiego a osadami przylądkowymi i przywozi do osad rybackich pocztę, mąkę i inne artykuły spożywcze, których w tym ubogim kraju nie ma. Z relacji kapitana można sobie wyobrazić, jak ciężką jest ta służba komunikacji, bo zimą, kiedy jest ciemno i słońce przez przeszło dwa miesiące nie wschodzi wcale, na oceanie, choć niezamarzającym, panują dzikie burze przy mrozie wściekłym. Co też to musi być za męka tych ludzi z osad rybackich, którzy dojeżdżać muszą wtedy w taką pogodę, w mróz, wicher i po zburzonym morzu, w ciemności, łódkami do parowca po pocztę i towary, bo statek do brzegu tam podejść nie może i staje na kotwicy opodal! I jakie tam musi być życie tych ludzi w osadach rybackich – na końcu świata, nad dzikim morzem i na pustyni dzikiej – gdzie nie ma ani jednego drzewka, ani dróg żadnych, ani słońca przez miesiące, jeno śnieg, góry, ocean i burze! Latem, kiedy jest ruch turystów, statek „Jeemäri" kursuje dwa razy na tydzień. Kapitan Leino ze sceptycyzmem

wielkim mówi o tym nabytku przez Finlandię tego cypla ziemi przylądkowego na skrajnej północy i Finlandię więcej on kosztuje, niż daje, bo trzeba żywić tę ludność przylądkową, w kraju, który sam jej wyżywić nie może, i samo kursowanie statku daje deficyt – państwo dopłacać do tego musi kilkaset tysięcy marek fińskich (marka fińska = 13 centów litewskich). Kapitan wskazuje, że należałoby przynajmniej zrobić tak, jak robią Norwegowie. Rybacy morscy są na zimę koncentrowani w wielkich wsiach czy miasteczkach na lądzie, nie rozproszeni po izolowanych osadach na wybrzeżu, jak tutaj. Latem rybacy z tych osad przylądkowych wyjeżdżają w swych łodziach rybackich na morze i jeżdżą też do pobliskiego na zachodzie portu norweskiego Kirkenes o kilkanaście kilometrów (może kilkadziesiąt) – na targi, dla zbytu ryb, po zakupy, tam też jeżdżą na zarobki do fabryk i zakładów.

1 sierpnia, rok 1935, czwartek

Znowu trzy godziny pozowania rano. Nie, to już nieznośne. I jeszcze jutro to samo, a kto wie, czy się to jutro skończy. Nie ma jednak na to rady.

Znowu o mojej Arktyce. Głównym i prawie jedynym przemysłem rybaków morskich w kraiku przylądkowym fińskim na Oceanie Lodowatym jest naturalnie rybołówstwo. Z ryby muszą oni zdobyć środki na nabycie wszystkiego, co im do życia potrzeba, bo ląd, na którym mieszkają, nic im prawie nie daje oprócz krów, owiec, jagód i torfu na opał. Żywicielem ich jest przeto ocean. Główną podstawą zdobyczy na oceanie jest dla nich wiosna – maj i czerwiec. To dla nich sezon roboczy, ich żniwo. To jest czas połowu masowego ryby. Dawniej za czasów rosyjskich, kiedy ten cypel przylądkowy był cząstką niepodzielną wybrzeża murmańskiego, ciągnącego się pasem nieprzerwanym na wschód wzdłuż półwyspu Kola aż do Morza Białego, połów ryby w tych dwóch miesiącach dawał rybakom północnym tyle dochodu, że to im wystarczało na cały rok utrzymania. Rosja masowo spożywała tę rybę „treskę" suszoną, która się tu łowi w ogromnych ilościach i stanowi kapitalny produkt rybołówstwa polarnego na tych wybrzeżach oceanu. Treska sprzedawała się w niezmiernych ilościach na wszystkich targach w całej Rosji. Był to bardzo tani produkt spożycia masowego, zwłaszcza w poście. Teraz pod tym względem rybakom karelskim i lapońskim tego cypla przylądkowego, oddzielonego od sowieckiego kraju murmańskiego w tzw. Republice Autonomicznej Karelskiej i przydzielonego wraz z prowincją Petsamo do Finlandii, jest gorzej. Zbytu dla treski do Rosji stąd nie ma. Rosja żadnych towarów stąd nie przyjmuje i żadnej komunikacji ani żadnych stosunków z tym wybrzeżem fińskim nie ma. Ma ona dosyć treski ze swego wybrzeża murmańskiego. Wobec tego treska, którą łowią i suszą rybacy fińscy, idzie teraz wraz z norweską – przeważnie do krajów prawosławnych na Bałkanach, bo ludność prawosławna, która dużo pości, jest najlepszym jej odbiorcą; idzie także do Turcji, do Afryki Północnej. Zdaje się, że centrum eksportu treski jest w Kirkenes czy innym porcie norweskim, ale treskę fińską zabiera najbliższy – w Kirkenes. Z wiosny rybacy łowią jakąś małą rybę. Potem napływa w wielkich ilościach treska, ryba dość duża, kilkakrotnie od śledzia dłuższa i grubsza. Poławia się ona sezonowo – w ciągu paru tygodni, kiedy napływa masowo. Osady rybackie przetwarzają się wtedy w wielkie pracownie kolektywne konserwowania treski. Całe góry połowionej treski nasypują się na ląd. Aby mieć pojęcie, ile tego jest, dość powiedzieć, że cztery wsie rybackie cypla przylądkowego fińskiego poławiają rocznie 400 tysięcy kilo treski. Każdej sztuce przed suszeniem obcinają głowę i wypuszczają wnętrzności. Operacja ta musi być wykonana bardzo śpiesznie, bo ryba w stosach zaczęłaby się psuć. Ale nic się nie marnuje gospodarczo. Tak głowy, jak wnętrzności są zużytkowane. Jak – o tym powiem innego dnia. Ryby – bez głów i bez wnętrzności – suszą się, aż wyschną i stwardnieją jak kawałki drzewa na wolnym powietrzu, na słońcu i wietrze. Ciąg dalszy jutro.

2 sierpnia, rok 1935, piątek

Dzisiejszą całą kartę dziennika poświęcę relacji polarnej. Mówiłem wczoraj o połowie ryby treski przez rybaków przylądkowych na Oceanie Lodowatym. Suszącą się treskę widziałem w wiosce rybackiej Pummanki na wybrzeżu oceanu, do której wykonaliśmy z Andrzejem wycieczkę łódką z parowca „Jeemäri", który spędzał noc (zresztą oczywiście słoneczną) na kotwicy w zatoce w pobliżu wsi. W wiosce, rozrzuconej fantastycznie bez żadnego ładu grupami domów i zabudowań lub lepianek gospodarskich na pustkowiu nad oceanem u stóp ciężkich gór „tunturi" granitowych, poprzecinanej ogrodzonymi drutem łoneczkami sianokosu, gołymi jeszcze o tej porze roku (czerwiec), kiedy jeszcze miejscami leżały płaty śniegu zimowego, na pewnym placu w pobliżu pomostu na morze, służącego za przystań dla łodzi rybackich, urządzona była na wolnym powietrzu duża suszarnia treski. Urządzona ona była, jak sobie przypominam, tak. Na długiej przestrzeni kilkudziesięciu czy może nawet kilkuset metrów stały dwa równoległe rzędy wysokich drągów, wetkniętych w ziemię; odległość między tymi dwoma rzędami drągów – kilka metrów, może do dziesięciu. Na każdym rzędzie tych drągów były położone przytwierdzone do szczytów żerdzie, a na tych dwóch rzędach żerdzi położone gęsto w poprzek inne żerdzie z zawieszonymi na nich suszącymi się rybami. Tą drogą cała ta długa przestrzeń wzdłuż między dwoma rzędami drągów uwieszona jest rybą tak gęsto, że można iść tamtędy jak pod dachem z ryb. Zapach jest dość ciężki, bo ryba morska ma zapach ostry i przykry. Ciekawy to i oryginalny widok. Dla odstraszenie ptactwa morskiego – białych rybitw czy mew, których mnóstwo lata u wybrzeża w zatoce i które są łakome na rybę, nad schnącą treską zawieszone są wysoko trupy tych ptaków, zupełnie tak, jak u nas zawieszane bywają wrony zabite dla odstraszenia wron żywych, napadających na pisklęta ptactwa domowego. Mówiłem wczoraj, że z treski nic się nie marnuje, ani głowy, które są przed suszeniem odcinane od tułowia ryby, ani jej wnętrzności, które przed suszeniem ryby są z niej wyjmowane. Głowy treski są nanizywane na sznury i w wielkich wieńcach także suszone, zawieszone na drągach. Te głowy suszone są następnie skierowywane do fabryk mąki rybnej i tam mleta na mąkę. Mąka ta jest eksportowana następnie na południe i za granicę. Używana jest ona na nawóz sztuczny w rolnictwie i jako pokarm poniekąd dla świń i zwłaszcza dla ptactwa (kur). W Liinakhamari zwiedzaliśmy z Jadzią i Andrzejem jedną taką fabrykę mąki rybnej, wytworzonej głównie z głów suszonych treski. Jest to co prawda fabryka niezwykle smrodliwa, która już z daleka daje znać o sobie. Fabryka ta w Liinakhamari położona jest nad samym morzem na Fiordzie Fińskim. W składach i magazynach fabrycznych olbrzymie ilości worów z mąką rybną, podobnych do worów z superfosfatem.

3 sierpnia, rok 1935, sobota

Dziś dopiero Zosia Römerowa skończyła mój portret olejny. Pracowała nad nim od wtorku do soboty włącznie – pięć dni – po trzy przeszło godziny dziennie, co dzień od dziewiątej rano do południa z kapturem, a jednego dnia oprócz tego cztery godziny po obiedzie. Ogółem przeto praca ta zajęła do 21-22 godzin, nie licząc paru godzin w poniedziałek na wykonanie szkicu węglowego. Tyleż oczywiście czasu poświęcić musiałem pozowaniu, które w portretowaniu Zosi jest ścisłe: trzeba siedzieć bezczynnie, utrzymać pozę, można co najwyżej rozmawiać. Takie szafowanie drogiego czasu jest dla mnie wielkim zbytkiem i znudziło mię bardzo. Ale muszę przyznać, że portret jest bardzo ładny. Podoba mi się on teraz nawet więcej, niż mój portret pastelowy z r. 1924 pędzla tejże Zosi. Tam mam wyraz zasępiony, tutaj – żywy, wesoły nawet, pełny wyrazu i pozę bardzo charakterystyczną i podobieństwo wielkie, zresztą wyglądam wcale młody. Rad jestem z tego portretu. Ale jeszcze Zosia niezupełnie go wykończyła, tylko że dziś wyjeżdża, więc przerwała; coś jeszcze w nim wykańczać będzie w jesieni. Tymczasem portret zostawiła u mnie. Dziś nudę pozowania urozmaiciłem egzaminami studentckimi, które odbyłem pozując Zosi. Był to rodzaj widowiska dla Zosi i zarazem dość niezwykły eksperyment dla studentów, którzy

zdawali egzamin. Ale uprzedziłem ich o tym z góry i upewniłem się, że nie mają nic przeciwko temu i że to ich krępować nie będzie.

A teraz wykrajam sobie kawałek miejsca dla kontynuowania mojej relacji polarnej. Mówiłem o suszeniu treski na artykuł spożycia, o suszonych głowach treski na mąkę rybią, teraz powiem o wnętrznościach treski. Wnętrzności te zużytkowują się także. Wsypują się one do olbrzymich kubłów drewnianych, których średnica ma zapewne 4-5 metrów (mówię z pamięci, jak sobie teraz przypominam, więc mogę się mylić), a wysokość zapewne też ze 4 metry, a może więcej. Kubły te stoją u samego wybrzeża, u pomostu, stanowiącego przystań łodzi i zdaje się – miejsce operowania ryb z połowu; widocznie z tego pomostu wnętrzności te są do kubłów wrzucane. Czy tam są wszystkie wnętrzności, czy tylko wątroby rybie – tego dokładnie nie wiem. Zdawało mi się, że wszystkie, ale tłuszcz czy olej, który się z nich wydziela, kapitan Leino nazywał „Leber-Oel", co może wskazywać, że chodzi tylko o wątroby. Gdym z pomostu w Pummaukach zajrzał do tych kubłów – ujrzałem w nich masę tych wnętrzności, pokrytą z wierzchu warstwą płynu przejrzystą o zabarwieniu nieco różowawym. Nie mogłem zrozumieć, co to jest. Myślałem, że to jest coś posolonego i na wierzchu pływa rosół. Zapachu nie czułem żadnego. Usiłowałem się pytać Karelów, którzy się kręcili po pomoście. Ale nie umieli oni po rosyjsku ani po niemiecku, tylko rozumieli zaledwie kilka słów rosyjskich. Usiłowałem więc porozumieć się raczej na migi, niż słowami. Niewiele się jednak dowiedzieć zdołałem, jeno tyle, że to nie jest solone i że to są wnętrzności rybie. Dopiero na statku kapitan Leino i jego żona udzielili mi o tym informacji, które tu jutro zreferuję. Zresztą i z kapitanostwem rozmowa nam szła dość ciężko, bo ani ja, ani oni nie celujemy w niemieckim: oni lepiej mówią po angielsku, który tam na dalekiej Północy jest bardziej rozpowszechniony, ja – po francusku. Wszakże oni nie umieją po francusku, ja nie umiem po angielsku.

4 sierpnia, rok 1935, niedziela

Stosownie do ostatniego listu Jadzi, który otrzymałem w piątek, spodziewałem się jej przyjazdu jutro rano pociągiem. Gdym wszakże wieczorem po powrocie z kina zasiadł przy biurku dla dokończenia mojej pracy dziennej, - rozległ się dzwonek i do mieszkania weszła Jadźka w towarzystwie Stefana Römera, który z nią przyjechał z Bohdaniszek, wracając do Szaszewicz do żony. Ucieszyłem się serdecznie z Jadźki. Jej uczucie dla mnie zawiera w sobie świeżość przedziwną i moc niepospolitą. Gdy po dłuższym rozstaniu znów do mnie wraca, to się porusza jak mała dziewczynka zakochana – z całą naiwnością wzruszeń, która ma urok śliczny. Nie ma żadnego zblazowania, natomiast jest wdzięk najpierwotniejszej świeżości bezpośredniej uczucia, pełnej wstydliwego oddania się, entuzjazmu gorącego, nawet nieśmiałości pewnej, jak w kwiecie delikatnym, który się dopiero naiwnie i gorąco do słońca swego otwiera. Jest to złota dziewczyna i wielki skarb kobiecości i uczucia. Ludzie tego nie umieją ocenić, bo dla nich zasadniczą jest forma, a nasz stosunek z Jadźką, przepiękny w swej głębokiej treści, niestety – formy społecznie uznanej dotąd nie posiada. Jest to jedna z rzeczy, które mię bolą głęboko, ale na którą dotąd rady nie mam.

5 sierpnia, rok 1935, poniedziałek

Jesteśmy z Jadźką na kilka dni we dwoje sami w naszym mieszkaniu kowieńskim, jak w pierwszych leciech naszego pożycia, kiedy nie mieliśmy jeszcze ani służącej, ani żadnego domownika.

Na uniwersytecie dziś zakończyłem mój dyżur letni. Od jutra zastępuje mię już prorektor Jodelė. Odbyłem też ostatnie egzaminy studenckie w Kownie, ale będę, zdaje się, miał kilka kompletów do egzaminowania w Bohdaniszkach, dokąd studenci będą przyjeżdżać na egzaminy.

Stefan Römer odjechał do Szaszewicz. Stefan wygląda bardzo mizernie. Nie wróżę mu długiego życia. Poza tym umysł jego stanowczo jest osłabiony. Nie odchwycił się całkowicie po ataku paraliżu sprzed dwóch lat. Brak mu pamięci, zwłaszcza nie pamięta żadnych imion i nazw rzeczy i rzeczowników. W ogóle umysł jego jest dziecinny. Niewątpliwie są to oznaki paraliżu postępowego w dziedzinie umysłowej. Biedny człowiek i biedna jego żona.

Wracam znów do mojej relacji polarnej. Tym razem znowu do wnętrzności rybich. Z wnętrzności treski, wrzuconych w wielkiej masie do olbrzymich kubłów, wydziela się gęstawy płynny tłuszcz na powierzchni. Tłuszcz ten, czysty i klarowany, zdejmuje się i przelewa do beczek. Ten pierwszy tłuszcz jest najlepszy, stanowiący pierwszy gatunek. Po zdjęciu pierwszego znów się tłuszcz zbiera na powierzchni – nieco już gorszy. I ten się zdejmuje itd., każdym razem nieco już gorszy. Wreszcie ostatni się wyciska i ten jest najgorszy. Wszystkie te tłuszcze, a może wreszcie i sama pozostałość wnętrzności w postaci już kaszy tychże (tego szczegółu nie jestem pewny) – w beczkach się odsyłają na południe do destylarni fabrycznych, gdzie się one destylują i z pierwszych gatunków wytwarza się tran, który piją dzieci i chorzy, a z pośledniejszych gatunków wyrabiają się smary do maszyn. Wszystko to jest artykułem eksportu. Tak przeto nic się z poławianej treski nie marnuje. Później – zapewne w końcu czerwca – napływają śledzie. Nie co roku jest ich tu równie dużo. Śledzie też, które tu do wybrzeży norweskich, fińskich i sowieckich napływają, nie są tak doskonałe, jak te, które się poławiają u wybrzeży islandzkich i dalej na północnym zachodzie. Zdaje się, że są to te same śledzie, ale tu ukazują się one później i nie są tak tłuste, bo są bardziej zmęczone i wyczerpane wędrówką i może też przygodami miłosnymi. Właśnie w tym czasie, gdyśmy byli na oceanie, czekano tam ukazania się śledzi. Jednego roku – przed czterema laty, jak mi opowiadał kapitan Leino, śledzi napłynęło takie mnóstwo, że w jednej tylko zatoce Petsamo u Fiordu Fińskiego pod Liinakhamari wyłowiono 5 milionów kilogramów śledzi! Było ich w zatoce tak dużo, że łódeczką nie można było płynąć, bo morze było zbyt gęste, zbyt pełne ryby. Wielkie łodzie i statki płynąć mogą, ale małe łódeczki przez gęstwinę śledzi nie mogą przebrnąć. Kto żyw – łowił śledzie. Nie trzeba było żadnych sieci, można było je czerpać wprost wiadrami. Było to złote żniwo dla rybaków.

6 sierpnia, rok 1935, wtorek

Spędziłem dzień w domu z Jadźką. Chodziliśmy razem na miasto, załatwialiśmy sprawunki, byliśmy w kawiarni. I w domu gdy się siedzi i pracuje – miło czuć obecność bliską człowieka swojskiego, kochającego i kochanego. Po samotności, którą miałem przez cały miesiąc, czuje się tę przyjemność szczególnie intensywnie. Jadzia jest cicha, zajęta swoją robotą i krzątaniną, wystarczająca sobie, idealna towarzyszka dla człowieka pracy jak ja.

Kilka słów dalszego ciągu mojej relacji polarnej. Jeszcze o śledziach w Oceanie Lodowatym. Za śledziami przypływają też wieloryby, które je pożerają. Nieszczęsnym śledziom drogo kosztuje ich epopeja masowych wędrówek miłosnych. W ich świecie romantyka jest zaiste tragiczną. Dla uciech swoich szukają oni miejsc zacisznych w zatokach u wybrzeży ziemi, ale tu z jednej strony łowią ich w masach milionowych ludzie, z drugiej – pożerają wieloryby, dla których to jest ucztą obżarstwa. Tego samego dnia w niedzielę 16 czerwca, kiedyśmy przyjechali do Liinakhamari nad zatoką Petsamo Oceanu Lodowatego, kapitan Leino widział w zatoce wieloryba. Myśmy go nie widzieli i nie domyślaliśmy się jego obecności, ale kapitan widział na własne oczy i widział charakterystyczny strumień wody, tryskający z głowy zwierza. Oczywiście wieloryb przypłynął na zwiady w poszukiwaniu śledzi. Wszakże na wielorybów tych, towarzyszących śledziom, tam nie polują. Dla polowania na nie potrzebne są specjalne urządzenia i ekspedycja. Zresztą zdaje się, że są to jakieś inne, drobniejsze wieloryby. Tak to przynajmniej ze słów kapitana Leino wyrozumieć zdołałem.

7 sierpnia, rok 1935, środa

Bardzo mile spędzamy te kilka dni z Jadźką we dwoje – sami jedni. Dobrze nam. Ja pracuję, ona się krząta po mieszkaniu albo coś wyszywa lub porządkuje, potem gawędzimy sobie, coś wspominamy i tysiące mamy drobnych rzeczy do powiedzenia sobie, tak że się nie nudzimy nigdy ze sobą i nie przeciążając siebie żadną konwencjonalną rozmową ani debatami na jakieś wielkie tematy lub zagadnienia intelektualne, nigdy siebie wzajemnie nie przesycamy ani nie zamęczamy i nigdy nie mamy siebie wzajem dość. Mam wrażenie, że dla mnie, pracownika wybitnie intelektualnego, najdoskonalszą towarzyszką, która jest dla mnie wypoczynkiem i orzeźwieniem jak zdrój świeżej wody w upał, jest właśnie Jadźka, która nie jest intelektualistką i żadnych zgoła w tym kierunku pretensji nie ma, za to ma gorące uczucie i niesłychanie wierne, głębokie serce. Promieniowanie jej serca jest tak mocne i stateczne, jak promieniowanie radu. Potem idziemy z nią sobie na miasto – i zawsze nam dobrze. A potem wieczorki mamy słodkie i temperamentu pełne.

Wieczorem zaprosiliśmy do siebie Diskina na herbatkę i przekąskę z koniaczkiem. Diskin stawił się z pięknym bukietem z róż dla Jadzi. Zabawny jest Diskin... Co mi potem mówił poufnie!

Jeszcze w ciągu dalszym moja relacja polarna. Jeżeli w kraiku przylądkowym dzielnicy fińskiej Petsamo nad Oceanem Lodowatym Karelowie i Lapończycy trudnią się rybołówstwem i prawie wyłącznie z tego się utrzymują, to w miejscowościach lądowych tej dzielnicy ludność lapońska i karelska także przeważnie się tym trudni, ale rybołówstwo tu jest inne – po rzekach i jeziorach, które są tu bardzo liczne i wielkie i mają mnóstwo ryb, w ich liczbie ogromne jesiotry polarne albo siomgi, dochodzące czasem wielkości człowieka. Na te ostatnie ryby bardzo łasi są sportowcy, przeważnie Anglicy, którzy tam co roku w czerwcu i lipcu przyjeżdżają z wędkami i innymi przyrządami i przesiadują tygodniami i miesiącami. Są wśród nich namiętni fanatycy tego sportu, prawdziwi maniacy, którzy co roku tam jeżdżą i znają na wylot tę sztukę oraz wszystkie miejsca, gdzie można najlepiej i najskuteczniej sport ten uprawiać. Znają wszystkie sekrety *„du métier”* i pilnie ich strzegą. Mają zaufanych współpracowników wśród rybaków i innych ludzi miejscowych. W lipcu i z Kowna także wybrał się tam na połów ryb zamiłowany w tym sporcie nasz pułkownik Grinius, syn dr Kazimierza Griniusa, byłego prezydenta Rzeczypospolitej. Takie uprzywilejowane placówki połowu sportowego siomgi są w okolicy Költtaköngës i za Yläluostari, dokąd nawet specjalna odnoga szosy się przeprowadza. Ale naturalnie ten sport amatorski jest zgoła różny od zawodowego rybołówstwa rdzennej ludności lapońsko-karelskiej w głębi kraju.

8 sierpnia, rok 1935, czwartek

O godz. trzeciej po południu Jadźka odjechała autobusem na Rakiszki do Bohdaniszek. Ja zostaję tu jeszcze do niedzieli ze względu na ślub Litki Komorowskiej, który się odbędzie pozajutro, w sobotę. Te 3-4 dni, spędzone w Kownie sam na sam z kochaną Jadźką po miesięcznej rozłące, pozostawiły niezmiernie miłe wspomnienia i wielką tęsknotę w sercu po jej odjeździe. Było nam bardzo dobrze. Odprowadziłem Jadźkę do autobusu i byłem z nią aż do jego odejścia. Wróciłem stamtąd do mego pustego mieszkania i do mojej samotności sierocej, która po jej wizycie kilkodniowej wydała mi się jeszcze większą i o wiele cięższą, niż poprzednio. Byłem bowiem sam, ale w sobie miałem ostrą tęsknotę.

Mam czas i wolne miejsce w dzienniku, toteż będę kontynuować powoli moją relację z Arktyki fińskiej, stanowiącej najłagodniejszą strefę Arktyki powszechnej. W lądowej części Arktyki fińskiej, tak w prowincji Petsamo, jak we właściwej Laponii starofińskiej – i to zarówno w jej części północnej, za wielkim wodorozdziałem w dorzeczu Oceanu Lodowatego, jak w części południowej w dorzeczu Zatoki Botnickiej Morza Bałtyckiego – ważnym i swoistym artykułem gospodarstwa jest nie tyle hodowla, ile używanie i korzystanie z reniferów. Nie jest to hodowla właściwa, bo renifery hodują się same w stanie naturalnym

bez opieki człowieka, który je tylko eksploatuje na mięso do jedzenia, na skóry i futro i do jazdy zimową porą. Renifery nie są dokładnie oswojone, żyją one po lasach i puszczach Arktyki w półdzikim stanie naturalnym, żywiąc się własnym przemysłem i płodząc się swobodnie. Jednak wszystkie są uwłaszczone i są znaczone na uszach znakiem właściciela, do którego należą. Każdy właściciel reniferów ma swój znak, stanowiący jego własność, jak firma w handlu, prawem strzeżoną. Znaki te, przypominające jakieś pismo runiczne i przechodzące dziedzicznie z ojca na syna, są rejestrowane w odpowiednich urzędach. Raz do roku, późnej jesieni, kiedy śnieg świeży wypadnie i na tyle pokryje ziemię, że można po nim biegać na ski (nartach), właściciele reniferów wybiegają na ski w lasy w towarzystwie charakterystycznych małych piesków żółtych lapońskich o ostrych mordeczkach i stojących uszkach (psy po fińsku nazywają się ładnie: „koira”), które umieją doskonale tropić renifery. W pewnym promieniu od osady lub osad, w bardziej zapadłych okolicach, mniej zaludnionych – w promieniu kilkudziesięciu kilometrów puszczy polarnej, z pomocą tych psów zaganiają oni renifery w wielkie stada do wielkich zagród, urządzonych przy osiedlach ludzkich. Tam w zagrodach tych poszczególni właściciele rozpoznają swoje renifery po znakach na uszach i znaczą młode sztuki przypłodu, które należą do tych właścicieli, do których należą ich matki lub stare sztuki, z którymi młodzież się trzyma.

9 sierpnia, rok 1935, piątek

Byłem u doktora. Stan zdrowia mego jest na ogół dobry. Waga, która po podróży czerwcowej była się nieco podniosła, ponieważ w podróży nie obserwowałem diety, znowu spadła trochę. Doktor stwierdził, że stan jest zupełnie zadawalający. Dr Gudowicz jest już zupełnie zdecydowany przyjąć profesurę czy docenturę na Wydziale Medycznym. Jest nawet zapalony do tego i chce rozpocząć wykłady w semestrze jesiennym. Nakupił książek i studiuje zawzięcie, napisał też swój wykład habilitacyjny, który ma zainaugurować jego instalację na katedrze. Boję się tylko, żeby jakieś intrygi zazdrosnych, a może też jakieś względy polityczne u sfer rządzących nie obaliły jego kandydatury lub nie udaremniły jego zatwierdzenia przez władze. Dla kochanego dr Gudowicza byłby to cios bolesny, bo się zapalił bardzo do tego honoru i traktuje to jako fakt dokonany.

Odwiedziłem Elizkę Komorowską, która już z całą familią zjechała na ślub jutrzejszy Litki. Wieczorem przyszła do mnie Litka ze swym narzeczonym Emilem Gieysztorem. Wygląda bardzo ładnie, ożywiona i wesoła. Emil Gieysztor sprawia też wrażenie bardzo miłe. Jest stateczny, pogodny, bardzo grzeczny i robi wrażenie człowieka dobrego. Darowałem Litce prezencik – nóż i widelec duży srebrny do krajania tortów lub ryby. Ten prezent ślubny jest właściwie zasługą Jadźki, bo to ona o tym pomyślała i poradziła mi kupić i dać coś trwalszego, niż banalne cukierki, które dać zamierzałem. Z Jadźką też przed paru dniami wybraliśmy ten prezencik w magazynie.

Korzystam z miejsca wolnego, aby znów słówko do mojej relacji arktycznej dorzucić. Mówiłem i nie dokończyłem o reniferach. Po zapędzeniu w jesieni reniferów do wielkich zagród i po naznaczeniu młodym znaków na uszach właściciele zwierząt wybierają sztuki na rzeź oraz tresowane zwierzęta do jazdy zimowej, resztę zaś znów wypuszczają na swobodę do lasów. Sztuki przeznaczone do uboju rżną i mięso solą i wędzą. Wędzone mięso reniferów jest nadzwyczaj smaczne i soczyste, przypominające nieco baraninę. Podaje się ono we wszystkich restauracjach całej Finlandii, a zwłaszcza na północy. Jedliśmy tego bardzo dużo i był to dla nas zawsze przysmak największy. Skóry reniferowe są wyrabiane i służą ludności miejscowej za pościel, także za futra, używane są też do czapek, do obuwia, do obszycia różnych części stroju i w ogóle do najrozmaitszych wyrobów lokalnych. Rogi reniferowe, ładne, dawniej przed wojną miały zbyt znacznie większy. Teraz mały jest zbyt na nie. Co ładniejsze – są sprzedawane turystom na stacjach autobusowych, ale jest to tylko mała sprzedaż detaliczna. Na jednej za stacji zafundowałem rogi reniferowe Jadźce i Andrzejowi,

którzy je przywieźli aż do Bohdaniszek. Rogi, które wybrała Jadźka, są niewielkie i symetryczne, rogi zaś, nabyte przez Andrzeja, są mniej zgrabne, ale za to ogromne i porosłe sierścią, co wygląda osobliwie, ale jest rzeczą zwyczajną, dopóki rogi są młode. Renifery bowiem, jak wiele innych zwierząt rogatych, co roku tracą rogi i co roku odrastają im nowe, z roku na rok coraz bardziej rozgałęzione. Nowe rogi wyrastają na razie w pochwie ze skóry i sierści, później wszakże, gdy się już uformują, skóra z sierścią na rogach zamiera i stopniowo odpada. Zwierz sam skrobie rogi o drzewa i pomaga zdrapać z nich sierść.

10 sierpnia, rok 1935, sobota

Ślub Litki Komorowskiej z Emilem Gieysztorem. Obrzędu błogosławieństwa ślubnego dokonał ksiądz prałat Łabanowski, poprzedni długoletni proboszcz i dziekan rakiski, obecnie od roku proboszcz w Remigole pod Poniewieżem. Prałat Łabanowski jest wielkim przyjacielem domu Komorowskich. Dawał on ślub Hektorowi, chrzcił wszystkie dzieci Julków i córeczkę Hektora, toteż Komorowscy dla zachowania ciągłości chcieli, aby i Litce ślubu udzielił Łabanowski, który specjalnie na tę uroczystość przyjechał. Ślub miał się odbyć w kościele szarytek, ale się okazało, że statut tego kościołka zakonnego nie pozwala na to, toteż dokonał się on w kościele parafialnym św. Trójcy na Placu Ratuszowym przy seminarium duchownym. Orszak ślubny i weselny był bardzo nieliczny. Składała się nań oprócz państwa młodych rodzina Gieysztorów w osobach ojca młodego – p. Stefana Gieysztora, matki, dwóch sióstr i dwóch braci Emila, wszystkich młodszych od niego, rodziny Komorowskich w osobach matki – Elizki, obu braci Litki – Hektora z żoną Oleńką i Julka z żoną Madzią i najmłodszym synkiem Dociem, siostry Litki – Zitki, no i mnie, zastępującego poniekąd ojca panny młodej – śp. Zygmunta, i wreszcie prałata. Ja prowadziłem Litkę do ołtarza. Litka była w białej sukni ślubnej i welonie, Emil – we fraku. Ślub odbył się jak się należy, prałat wygłosił do młodych krótkie przemówienie przed ślubem, Litka trzymała się dobrze, nie płakała, wyglądała bardzo ładnie. Po ślubie odprawiona była msza. Spotkanie młodych miało miejsce w gabinecie restauracji hotelowej „Wersal", gdzie też odbył się obiad weselny, następnie kawa, po czym fotografia wspólna u „Zenaidy". Dużo bardzo otrzymano depesz, przy obiedzie wznoszono toasty, śpiewano życzenia „długich lat", z ojcem Emila – Stefanem Gieysztorem – wypiliśmy bruderszafta, ja wygłosiłem mowę tradycyjną, charakteryzując dodatnio młodych, sławiąc ród Gieysztorów i wzywając błogosławieństwa śp. Zygmunta i dziadów oraz udzielając szczególnie serdecznej wzmianki pamięci Zygmunta.

Państwo młodzi odjechali na kilka dni do Birsztan, skąd następnie wyjadą do Polski do Katowic, gdzie Emil ma posadę w syndykacie eksportu żelaza. Najbardziej wzruszone były Elizka i Zitka. Ładny był ślub i ładne wesele.

11 sierpnia, rok 1935, niedziela*

12 sierpnia, rok 1935, poniedziałek*

13 sierpnia, rok 1935, wtorek

Drugi dzień w Bohdaniszkach. Pogoda sprzyja. Jest ładnie. Kąpiel świetna. W domu też pracować dobrze, bo much nie ma i powietrze świeże. W oknach bowiem są wstawione siatki druciane na muchy, wobec czego okno zasiatkowane jest ciągle otwarte i much nie ma. Nie ma tylko w Bohdaniszkach starego Murzy, mojego wiernego psa pięknego. Był już tak postarzał i zniedołężniał, że z mojego rozporządzenia ekonom go przed moim przyjazdem zastrzelił. Był już ze starości nieszczęśliwy i schorowany, więc mu się ulżyło męki.

Dokończę o reniferach z mojej relacji polarnej. Tylko te renifery, które są wytresowane do jazdy zimą, są (nie wiem, czy tylko przez zimę, czy także latem) trzymane na uwięzi u

drzew i co pewien czas od jednego drzewa do drugiego przestawiane, aby miały pokarm. Zimą tam dróg żadnych nie ma. Nie ma ich i latem, oprócz wielkiej szosy głównej z odnogami. Latem są tylko ścieżki w lasach, po których się chodzi piechotą, gdy ktoś musi się w podróż wybrać, a przestrzenie są tam wielkie – po kilkadziesiąt kilometrów między osadami ludzkiemi. Na przykład koło klasztoru w Yläluostari jest o pięć kilometrów wieś lapońska, która nosi szumną nazwę „Moskwa", udzieloną jej pewno przez mnichów prawosławnych przez sentyment patriotyczny rosyjski, a stamtąd w głąb lądu najbliższa wieś jest o 70 kilometrów ścieżkami przez lasy. Innym i głównym naturalnym środkiem komunikacji są rzeki i jeziora. Zimą nawet wielka szosa polarna nie funkcjonuje, bo jest ona oczyszczana od śniegu dla komunikacji autobusowej tylko na przestrzeni 130 kilometrów od Rovaniemi do Sodankyli. Na wielkiej zimowej pustyni śnieżnej bez żadnych dróg można jeździć tylko reniferami. Koń by tam zapadł i nie zdołał przejść. Renifery zaś mają kopyta płaskie i biegają po śniegu bez dróg. Zaprzęgają się one w pojedynkę o jednym lejcu. To, do czego się one zaprzęgają, to nie są właściwie saneczki, jeno łódeczka o ostrym cyplu przednim, ścięta z tyłu. Siedzi się w niej na dnie z nogami przed siebie wyciągniętymi jak w kajaku. Ludzie kulturalni posługują się w tej jeździe po pustyni śnieżnej kompasem, ludzie miejscowi orientują się podług gór, rzek i jezior, znając dobrze miejscowość na wielkiej przestrzeni. Reniferów, które zimą i latem biegają dziko po lesie i pasą się mchem spod śniegu, polować i strzelać nie wolno, bo wszystkie one są własnością prywatną tych lub innych ludzi. Tylko w takim razie, gdy zimą podróżny, zatrzymany zawiejami lub zabłąkany, nie ma żywności, której mu zabraknie w drodze, może on zastrzelić renifera, ale w takim razie musi mu obciąć uszy i potem w najbliższym urzędzie doręczyć obcięte uszy wraz z zapłatą właścicielowi zabitego zwierzęcia. Urząd po znakach na uszach odszukuje właściciela i wypłaca mu pieniądze. Ludność tam jest tak skrupulatnie uczciwa, że taki system może funkcjonować. W ogóle zimą wszystkie domy mieszkańców Arktyki są zawsze otwarte: każdy podróżny może zajechać do każdego domu i nie zgłaszając się nawet do gospodarza przenocować pod dachem w sieni. W tym klimacie i w tych warunkach podróżowania po śnieżnej pustyni polarnej jest to konieczne.

14 sierpnia, rok 1935, środa

Znowu dzień ładny. Na koniec tego tygodnia zapowiadają deszcze, ale dotąd tego nie widać. Jest słonecznie i bardzo ciepło. U mnie w gospodarstwie orzą. Pszenicy i jęczmienia kosić jeszcze nie zaczęto. Nająłem mularza Kuzniecowa do podmurowania gumna, które tego lata remontuję kapitalnie. Cieśla Markow naprawił już ściany, teraz trzeba podmurówkę poprawić. Drogo to wypadnie. Sama naprawa podmurówki będzie kosztowała 200 litów. Oprócz tego w tym roku remontuję jedną izbę w chacie parobczanej, gdzie dam podłogę, płytę kuchenną, wzmocnię ściany i okna przerobię, aby się odmykały. Wreszcie sporządzę przez komornika plan Bohdaniszek. I jeszcze jedno. Wykleję ścianę obiciem w gabinecie moim na górze. Taki mam plan robót w urządzeniu Bohdaniszek tego lata.

Przywieziono mi dziś z poczty z Abel depeszę hołdowniczą na ozdobnym blankiecie – od „Kongresu Wszechświatowego Studentów Litwinów", który się odbywa w Kownie z okazji wszechświatowego zjazdu Litwinów z zagranicy. Odpowiedziałem na nią zaraz depeszą na takimże blankiecie ozdobnym, pozdrawiając kongres studencki.

15 sierpnia, rok 1935, czwartek

Przyjechało do mnie czterech studentów na egzaminy. Zdawali słabo, ale zdali jakoś. Nakarmiłem ich obiadem, po czym odjechali.

Do Maryni przyjeżdżała na krótko Elizka Komorowska z Zitką.

Jadzia była z Renią w Rakiszkach.

Rano był upał, duszno. Przed wieczorem się zachmurzyło, pokropił trochę deszcz, grzmiało, ale burza przeszła bokiem.

Używam wsi.

16 sierpnia, rok 1935, piątek*

17 sierpnia, rok 1935, sobota*

18 sierpnia, rok 1935, niedziela*

19 sierpnia, rok 1935, poniedziałek

Pogoda wciąż taka sama: pochmurno, skłonność do deszczu. Jeździłem z Jadzią do Abel na pocztę. Wiózł nas ekonom Pumpol.

Czułem dziś pewną niedyspozycję żołądkową. Miałem bóle i jakby wydęcie. Z czego to pochodzi – nie pojmuję.

20 sierpnia, rok 1935, wtorek

Pogoda mniej więcej taka sama. Mokro, pochmurno, skłonność do deszczu, nie bardzo zimno, ale na skutek wilgoci ma się wrażenie chłodu.

Przyjechało znowu dwóch studentów na egzamin. Zdali lepiej niż inni przyjeżdżający w tym celu na wieś.

Kocham bardzo wieś litewską. Nie tylko naturę, ale i ludzi nie mniej. Dla mnie osobiście jest niepojęte, jak można, urodziwszy się i wyrósłszy w jakimś kraju i wśród jego ludzi – nie mieć sentymentu do tego kraju i ludu, a kochać i idealizować inny kraj, inny lud, zasadniczo obcy krajobrazowi i całokształtowi geoetnicznemu. Mnie to jest zasadniczo obce. Być może jestem pod tym względem jakimś unikatem, zapewne fermentuje w mojej psychice jakiś głęboki atawizm krwi, który mię łączy z tym krajem i ludem i czyni, że środowisko geoetniczne silniej do mnie przemawia i głębiej struny mej duszy porusza, niż związki kultury. Natura ludu litewskiego jest pełna poezji i zlewa się harmonijnie, zwłaszcza na wsi, z przyrodą. Lubię słuchać pieśni chłopców, idących z jednej wsi do drugiej na wieczorynkę albo piosenki dziewcząt służebnych, zatrudnionych wieczorem jakąś robotą wspólną w izbie. Poezja głęboka jest w naturze mojego parobka Antoniego Juszkiewicza, młodego chłopca od paru lat żonatego, spokojnego, równego i pracowitego, który lubi czytać wieczorami, a w święta chodzi na rzekę Krewnę łowić ryby na wędkę. Jest w nim spokój jezior i głębia kontemplacyjna zadumania, jak w kapliczkach przydrożnych litewskich, w „smutkelisach” sztuki ludowej albo w moim Gaju. Jakże poetyczna znów jest moja gospodyni Adela Jankowska, głęboko tająca zwyczaje i przesądy, wierna sztuce guślarskiej prastarej, a szczera, skrzętna i pracowita albo jak bogata jest Barbutė Pranckunasówna, marzycielka uczuciowa o oczach śniących i polocie fantazji w swoich myślach głębokich, tak daleko odbiegających od praktyki karmienia świń. A nawet Verutė, moja była służąca sprzed lat kilku, jakże jest pełna poezji ze swoją naturą pierwotną Cyganki, pięknej w ruchach i grymasie połyskującym twarzy i oczu i tragizmu swojego temperamentu i perswazji, połączonych z dumą litewską i pogardą dla tych, którym ulegać musi; ta dziewczyna piękna i tragiczna, bolesna i namiętna, a samotna w swojej izolacji dumnej i niezrozumieniu własnej natury, teraz krwawi i łamie się jak anioł strącony z niebios i przetwarzający się na ducha zła: urodziła dziecko nieślubne, które zamordowała i siedzi w więzieniu w Rakiszkach. Biedna ofiara swojej natury bolesnej, która mogła zakwitnąć pięknem, a w warunkach społecznych i nieuświadomienia siebie zabija siebie i swój kwiat bogaty. A Nemeikšysowa, cicha i głęboka, twarda jak mur, w którym ukryta głąb otchłani. A nade wszystko moja Jadźka niezrównana – koń stajenny gorący, rzewny a wierny jak Arab pustyni, mocny i słodki, a także bolesny. Litewska naturo,

któż wielkość twoją zgłębi! Tworzysz ludzi, z których każdy – to wielki i piękny twór, to charakter na wzór i siła ekspansji jedynej, nie powtarzającej się. Witoldowy narodzie, tworzący ludzi monumentalnych.

21 sierpnia, rok 1935, środa*

22 sierpnia, rok 1935, czwartek

Niby zapowiadana jest pogoda; tak twierdzi radio i tak też, acz bardzo nieśmiało, wskazuje barometr. Ale pogody, z dnia na dzień wyczekiwanej, jak nie ma, tak nie ma. Rozjaśnia się wprawdzie czasem, ale znów i znów chmury ciężkie i niskie wypływają zza horyzontu – fioletowo-sinej lub brudnożółtej barwy – i każda ma za obowiązek wylanie na nas deszczu. Nieznośne to wyczekiwanie upragnionej pogody słonecznej, uprzyjemniającej wieś. Chociaż, abstrahując się od gospodarstwa rolnego i rozrywki wiejskiej, kolorystycznie to niebo kapryśne jest piękne, a roślinność, o ile nie chodzi o zbiory, na tym nie cierpi.

Wrócił dziś mój ogrodnik Bieliunas z Poniewieża od Stawskiego, gdzie odbywał praktykę okulizowania drzewek owocowych. Przywieziono też pocztę z Abel. Pełno listów od grup studenckich – przeważnie tylko po dwóch w grupie – zapowiadających przyjazd na egzaminy. Cztery już grupy się zapowiedziały, prócz trzech, które już były.

Dziś napisałem pierwszych kilka zdań początku mego odczytu prawniczego po francusku na listopad na Wydziale Prawniczym w Paryżu. Zdaje się, że referat ten zapowiada się ciekawy i treściwy, o ile mi się uda dobrze go ułożyć.

23 sierpnia, rok 1935, piątek

Po wielu – co najmniej dziesięciu – leciech przerwy wznowiłem dziś zabawę w „króla" z dziećmi, w której byłem mistrzem tak za dzieciństwa Helci i Andrzeja Mieczkowskich po wojnie, jak za dawniejszego znacznie dzieciństwa Ewy i Stefana oraz Zitki przed wojną. Tym razem bawiłem się w tę grę z nowymi – współczesnymi – dziećmi, gdy tamte, dawniejsze są już dorosłe, albo już nawet podtatusiałe, jak Ewa. Bawiłem się ze Stenią Römerówną, córką Stefana, z Lizą Meyerówną, córką Ewy, i z Renią Bagdonasówną, wychowanką Jadzi. Zabawa dla dzieci szła dobrze, choć mam wrażenie, że w wieku lat 55 nie celowałem w niej już tak, jak w wieku lat 42 lub lat 30.

Pogody nie ma wciąż. Uprzykrzyła się już ta słota i brak ciepła i słońca.

Wieczorem przyjeżdżał do Bohdaniszek Julek Komorowski z żoną Madzią i najmłodszym synkiem Dociem. Byli u mnie na herbacie.

24 sierpnia, rok 1935, sobota

Znowu miałem partię studentów do egzaminu. Przyjechało automobilem ze stacji z Abel trzech. Zdali na ogół dobrze.

Pracy mam dużo. Po trochę piszę moją następną z kolei książkę – dalszy ciąg mojej książki „Valstybė", raczej drugą książkę z cyklu, którego pierwszą książką w dwóch tomach jest „Valstybė". Jestem dopiero w samym początku tej dużej pracy. Następnie opracowuję moje odczyty paryskie na listopad. Następnie streszczam zapiski do wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego. Następnie uczę się zawczasu co dzień po trochę mojej mowy na akt immatrykulacji. Następnie porządkuję rejestry studenckie. Następnie porządkuję archiwum moich papierów starych i listów. Następnie odczytuję prace dyplomowe studenckie. Następnie wynotowuję z książek przeczytanych, a raczej zanotowuję do nich w układzie systematycznym odsyłacze, których rejestr specjalny prowadzę jako zbiornik materiału do moich prac naukowych. Następnie układam program kursu prawa konstytucyjnego litewskiego i program kursu skróconego części ogólnej prawa konstytucyjnego dla ekonomistów do egzaminów dla studentów. Następnie piszę co dzień po

jednym liście. Wreszcie co dzień piszę moją tradycyjną kartkę dziennika. Poza tym jeszcze lektura. Naturalnie, że wszystkich tych robót każdego dnia wykonać nie jestem w stanie. Przeplatam je w pewnym porządku kolejności, która coraz to inne roboty na warsztat pracy przesuwa, aby następnie przejść do dalszych itd. Jest to tryb zawiły, który jest u mnie ściśle i szczegółowo ustalony. Mam też czas i dla Jadźki, i na przechadzkę po Gaju, i na lustrację drzewek, i na obserwację gospodareczki itd. Tak mi czas schodzi.

Deszczu dziś nie było, ale pogoda niepewna i na ogół jest pochmurno, chłodnawo, brzydko.

25 sierpnia, rok 1935, niedziela

Od dawna postanowiłem sobie sporządzić plan dokładny mojej własności w Bohdaniszkach. Paweł Koziełł zarekomendował mi geometrę p. Renigera spod Subocza. Za pośrednictwem Koziełły skomunikowałem się z Renigerem, który podjął się wykonania planu względnie tanio – za cenę do 200 litów. P. Reniger wyznaczył mi przyjazd na dziś. Posłałem po niego konie na stację do Abel i przyjechał dziś wieczorem. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że jest żonaty z Jarosławą Choynowską z Junkun za Abelami, którą, jak całą jej rodzinę, dobrze znałem przed wojną, bo było to sąsiedztwo Bohdaniszek. Rodzina jej i trzy panny Choynowskie – starsza Anna, obecna pani Tupalska z Gotyńców, druga Jarosława, obecna Renigerowa, i trzecia Czesława, obecnie zamężna w Rosji – bywały przed wojną w Bohdaniszkach. Choynowscy byli bliskimi krewnymi śp. Józefata Tupalskiego, zamożnego ziemianina i klasycznego starego kawalera w tych okolicach, człowieka zacnego i powszechnie szanowanego, ale ośmieszającego się, który słynął w okolicy z tego, że wiecznie się woził z zamiarami małżeńskimi i do późnej starości był epuzerem i konkurentem spóźnionym o rękę wszystkich po kolei panien z domów ziemiańskich w okolicy, konkurentem zresztą zawsze nieszczęśliwym, bo powodzenia u tych panien nie miał, choć ich rodzice chętnie by nieraz za niego córki wydali. Ten romantyzm epuzerski starego kawalera ośmieszał go w całej okolicy, zwłaszcza u młodzieży. Wreszcie, mając już lat 70, upatrzył sobie ostatecznie żonę w osobie wnuczki rodzonego brata – Ańci Choynowskiej, przystojnej młodziutkiej dziewczyny. Wymurował sobie wspaniałą kamienicę w majątku i był przygotowany do ziszczenia wreszcie marzenia całego życia – doświadczenia słodyczy małżeństwa. Wbrew woli panny jej rodzice Choynowscy, olśnieni fortuną Tupelskiego, zdecydowali się ją wydać za mąż za starego p. Józefata. Panna Ańcia kochała się jednak z młodym kuzynem Tupalskim, synowcem czy wnukiem Józefata po innym jego bracie. Stary p. Józefat zalokował młodziutką wnuczkę-narzeczoną w Wilnie, gdzie miała ona, oddalona od swego kochanka, dokształcać się i dojrzeć do smutnego losu swego. Wszakże w Wilnie młodzi kochankowie widywali się i spotykali gdzieś sekretnie w umówionym miejscu, oszukując czujność straży, czuwającej nad dziewczyną z ramienia starego zazdrosnego wielbiciela, gotującego się ją poślubić. P. Józefat miał kilku siostrzeńców, których wychowywał i którzy wiecznie mu sprawiali tysiące kłopotów. Ci siostrzeńcy, synowcy i bracia starego, chciwi jego fortunny, byli naturalnie wrogo usposobieni do tego małżeństwa, które im wytrącało z rąk spadek po bezdzietnym i nieżonatym starcu. Jeden więc z nich wyśledził tajemnicę młodej narzeczonej i jej schadzek miłosnych z kuzynem i doniósł o tym p. Józefatowi. P. Józefat pojechał do Wilna, sprawdził informacje, przekonał się o niewierności narzeczonej i tak wziął to do serca, że na miejscu umarł nagle. Panna Ańcia wyszła za mąż za kuzyna Tupalskiego, z zawodu leśnika, który dostał gdzieś posadę leśniczego w Rosji, po wojnie był na służbie w państwie litewskim, obecnie zaś z żoną i kilku ładnymi córkami mieszka na emeryturze w swym majątku Gotyńce, pochodzącym ze spadku po p. Józefacie. Działo się to w roku 1903.

26 sierpnia, rok 1935, poniedziałek

Dałem się wczoraj unieść wspomnieniom o p. Józefacie Tupelskim, który był postacią charakterystyczną i popularną tych okolic przed laty przeszło 30 za czasów mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Rodzina Choynowskich jest jedną z tych, które się dały porwać, a przynajmniej dotknąć przez falę litwinizacji jeszcze przed wojną. Jedna z córek, panna Jarosława, wyszła za mąż za Renigera, który się ma za Litwina, młody zaś Choynowski z Junkun, który nie chciał się uczyć, ożenił się jeszcze za życia rodziców wbrew ich woli z włościanką miejscową, córką gospodarską, Litwinką Merkysówną. Zresztą człowiek to, choć zdolny, małej wartości moralnej – karciarz, skłonny do pijaństwa, niezbyt uczciwy. Jego żona i córki mają lepszą opinię od niego. Reniger, żonaty z Jarosławą Choynowską, który do mnie przyjechał w charakterze komornika dla sporządzenia planu mojej własności w Bohdaniszkach, jest osobnikiem dosyć ciekawym i charakterystycznym. Jest to człowiek stary, lat koło 60. Osobiście i z rodziny, z której pochodzi, jest kultury polskiej. Krewnych – siostry i, zdaje się, braci – ma w Wilnie i sam też w Wilnie przed Wielką Wojną mieszkał. W młodości był socjalistą, był w kontakcie z ówczesnymi działaczami „SDKPiL" („Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy"), z której później rekrutowały się kadry komunistów polskich, i zwłaszcza z „LSDP" („Lietuvos Social Demokratų Partija"), która koło roku 1896 utworzyła się i zorganizowała w Wilnie w opozycji do „PPS" („Polskiej Partii Socjalistycznej") głównie z ludzi (Alfons Morawski, dr Andrzej Domaszewicz), którzy osobiście byli kultury polskiej, ale mieli wybitny zmysł krajowy i stali się Litwinami narodowcami na gruncie socjalistycznym. Toteż z Renigerem mamy wielu wspólnych znajomych bliskich, bo był on w ciągłym i długim kontakcie tak z rozmaitymi działaczami socjalistycznymi na gruncie wileńskim z owych czasów w ciągu lat 20 aż do wojny – Litwinami, Polakami, Żydami, Rosjanami – zaczepiając też stosunkami osobistymi działaczy tego okresu i poza Wilnem i Litwą, jak również z działaczami litewskimi narodowymi z obozu ludowców, demokratów dawniejszych, narodowców dzisiejszych itd. Był on jednym z tych charakterystycznych Polako-Litwinów wileńskich i na ogół krajowych przed wojną – Donatów Malinowskich, Dominików Siemaszków, Dowiatów itd., którzy zlitwinizowali się osobiście w pewnym procesie czysto psychologicznym. Dziś jest on Litwinem, choć mówi po polsku, ale Litwinem, że tak powiem, starego autoramentu. Nie jest karierowiczem, posady rządowej nie zajmuje żadnej, do wielu rzeczy w Litwie jest usposobiony krytycznie, niezupełnie jest zlany z młodym ludowym społeczeństwem litewskim epoki powojennej, ale już Litwinem jest zdecydowanym i ostatecznym, dzieci kształci w szkołach litewskich i w domu już zaprowadził język litewski. Jest to typ psychicznie i z ustosunkowań swoich bliższych mnie pokrewny, tylko kategoryczniej ode mnie zlitwinizowany, choć może kategoryczniej tylko formalnie, bo kto wie, czy mój związek z młodym społeczeństwem litewskim nie jest bliższy niż jego, bo faktycznie, choć ja towarzysko jestem dosyć odosobniony i mało towarzysko czy to z Litwinami, czy z kim innym obcuję, jednak w życie i w akcję państwową i narodowo-polityczną litewską bieżącą jestem bodaj bardziej od niego wwiązany. Reniger bądź co bądź jest typem charakterystycznym i niebanalnym, człowiekiem pewnej kategorii bardzo swoistej, wyrazistej i ciekawej w stosunkach krajowych.

27 sierpnia, rok 1935, wtorek*

28 sierpnia, rok 1935, środa*

29 sierpnia, rok 1935, czwartek*

30 sierpnia, rok 1935, piątek

Miałem dziś znów parę studentów do egzaminu. Tych wakacji mam ich dużo. Wielu z nich należy do spóźnionych, którzy już przed kilku, czasem nawet przed lat dziesiątkiem byli

słuchaczami mymi i od dawna studia uniwersyteckie ukończyli, ale się jeszcze późnią z egzaminami. Niektórzy są już dobrze podstarzali, zajmują stanowiska dosyć wysokie. Tacy byli i dzisiejsi, szczególnie jeden z nich, Romuald Burokas, były oficer, sędzia śledczy do spraw większej wagi w Kownie, człowiek lat 42, gruby, łysy, niski, rodem z powiatu święciańskiego w Wileńszczyźnie. Drugi – Talelas, także sędzia śledczy, ale zwykły, młodszy znacznie, ale także student starej daty. Nie bardzo lubię tych spóźnionych i podstarzałych ex-studentów do egzaminowania. Najczęściej nic nie umieją i bardzo słabo kapują, bo już odwykli od studiów i nauki, umysł ich jest ciężki, bardzo po łebkach traktują pojęcia, są leniwi, ociężali w myśleniu, zaprzątnięci li tylko praktyką swoją. Zresztą ci, co się późnią, należą zwykle do mniej zdolnych, mniej lotnych. W ogóle dosyć lekceważąco traktują oni naukę, polegając raczej na swoim doświadczeniu i wiadomościach praktycznych, zbyt ufni w swoją mądrość „realistyczną", która im zresztą nie dopisuje. W istocie są oni w zawodzie swoim, który wymaga wiedzy i doświadczenia, obskurantami. Są to miernoty kariery zawodowej, zawalidrogi dla młodych talentów, partacze swojego fachu, który jest dla nich nie sztuką społeczną, ale korytem, z którego chleb jedzą. Jeden z dwóch dzisiejszych – Talelas – nie zdał egzaminu, drugi – Burokas, jeszcze mniej wart od pierwszego, zdał wprawdzie (choć bardzo nędznie), ale zdał tylko dlatego, że wyciągnął lżejszy bilet i że ostatecznie machnąłem nań ręką jako na beznadziejnego, którego nie warto zmuszać do zdawania powtórnego, bo wszystko jedno niczego się już nie nauczy i lepiej nie zda. Nędza to umysłowa. Dałem mu stopień najniższy: „patenkinamai". Człowiek to może niezły, ale wielka „dupa".

31 sierpnia, rok 1935, sobota

Dożynki składają się u nas z dwóch uroczystości. Jedna jest ścisła i niezmienna, druga – ewentualna. Pierwszą stanowi obrządek pasa i wianka. Robotnicy, kończąc koszenie oziminy (a więc zwyczajnie pszenicy, ponieważ ta się kosi później niż żyto), splatają dla gospodarza pas pszenny, na którego kutasy składają się kłosy, podczas gdy słoma tych kłosów splata pas, zaś dla gospodyni (u mnie dla Jadzi) splatają z kłosów wieniec. W pas i w wieniec wplatają się też duże kolorowe kwiaty polne, maki przeważnie, liliowe, białe, czerwone. Następnie tego dnia wieczorem gromada robotników, wracająca z pola i niosąca pas i wianek ze śpiewem obrzędowym właściwych pieśni dożynkowych, zbliża się do ganku, na który wychodzi na spotkanie gospodarz. Jeden z robotników przepasuje gospodarza pasem, jedna z robotnic wieńczy gospodynię wiankiem. Taki jest przynajmniej zwyczaj we dworach. Zwyczaj wymaga, aby gospodarz dał gościńca robotnikom. Ja dałem im 10 litów. Zamiast datku pieniężnego można dać wódki. Robotnicy sami dzielą datek między sobą. Druga uroczystość, ewentualna, polega na uczcie i zabawie, wyprawionej robotnikom. Jest ona ewentualną, ale my z Jadzią ją zachowujemy i robotnicy to cenią i lubią. Tę ucztę i zabawę wyprawiliśmy dzisiaj. Przenosi się ona zwykle na jakiś dzień świąteczny lub przedświąteczny. Uczta polegała na obiedzie, zestawionym na stole, doraźnie skleconym z desek na placu przed oficyną. Robotnicy od południa zwolnieni zostali od roboty. Zresztą do południa skończyli zwózkę oziminy. Całe zboże jest już w gumnie. Do stołu zasiedliśmy wszyscy – cała „czeladź", to znaczy ja z domownikami i robotnicy. Była więc i Jadzia, i Renia, i ekonom Pumpol, i cała służba domowa – stary Kazimierz, ochmistrzyni Adela, służąca Helena, Barbutia Prenckunówna, następnie ordynarnicy z żonami i dziećmi – ogrodnik Bieliunas, szeryk Pranckunas, parobcy Dainis i Antoni Juszkiewicz z rodzinami, kątnik Murawski z żoną, chodzący na podziennego u mnie, wreszcie goście – dwaj studenci Geležius i Teresas, którzy przyjechali dla zdawania egzaminu, trafili na tę uroczystość dożynkową i *ex promptu* w niej udział brali, mając widowisko bezpłatne, stanowiące oryginalny *divertissement* do egzaminu, wraz z ich szoferem Radžiunasem młodym z Abel, który ich przywiózł. Były też na uczcie i na zabawie dwie wnuczki Maryni – Stenia Römerówna i Liza Meyerówna, które jadły i gorąco się potem bawiły. Obiad był suty. Były

dwa litry mocnej wódki monopolowej, kapuśniak na mięsie, stosy kotletów siekanych i plastrów tzw. fałszywego zająca, na które poszła prawie cała ćwierć krowy, kompot i ogromne pieczywo bułek pszennych – czystych i nadziewanych konfiturami z czernic albo kapustą. Wszystko zostało pochłonięte. Dość powiedzieć, że zjedzono 170 sztuk (sic!) kotletów wołowych. Osób w uczcie brało udział ogółem trzydzieści cztery, licząc z małymi dziećmi. Po obiedzie, który był rozkosznym dla biednych robotników i spełnił do nadmiaru ich tęsknotę do mięsa świeżego i bułki (kapuśniaku prawie że nie ruszono), zaczęła się zabawa. Mężczyźni zwłaszcza – trochę i kobiety – byli lekko podochoceni. Szczególnie się podochocił poczciwy Pranckunas, który też zjadł kotletów co najmniej za pięciu. O zabawie dopowiem jutro.

1 września, rok 1935, niedziela*

2 września, rok 1935, poniedziałek

Nie mogę się doczekać pieniędzy z Kowna, choć już jest po pierwszym, a zwyczajnie pensje na uniwersytecie wypłacane są koło 29-go każdego miesiąca, toteż kasjer mógł mi już wysłać pieniądze. Nie rozumiem, skąd ta zwłoka. Mam tu wypłaty pilne – w pierwszym rzędzie majstrom za podmurówkę gumna i za remont ścian tamże, następnie zaraz potrzebne będą pieniądze na młócenie, trzeba też szykować pieniądze komornikowi Renigerowi za pomiary. Są też inne dosyć pilne wypłaty. Siedzę bez grosza i niepokoję się.

Justyn Budkiewicz, mąż Maryni, którego ona tak chwali jako zacnego i dobrego człowieka i który na wszystkich czyni wrażenie człowieka dobrego, mniej mi się podoba w miarę, jak go poznaję. Jest to wielkie zero i społecznie człowiek wartości małej. Z pozorów wygląda na prostaka bardzo dobrodusznego, ale w istocie jest chytry egoista, jak każdy dzikus pierwotny. Tchórz jest wielki i człowiek nieszczery. Na pozór z każdym i we wszystkim się zgadza, niczemu i nikomu nie oponuje, potakuje wszystkim, ale w istocie jest nieufny, lubi intryżki, za oczami gada na ludzi, nastraja Marynię i przez nią zwalcza to, czego nie chce, sam zawsze schowany, pokątny, pozornie potulny. Wolę już Stefana Mieczkowskiego, bo ten jest przynajmniej wyraźniejszy w oczy i daje się unosić namiętnościom. Niewiele wart i Mieczkowski, ale mniej w nim obłudy, niż w Budkiewiczu. Zresztą w ogóle obaj ci moi szwagrowie nie należą do ludzi ciekawych i wartościowych. Muszę jednak przyznać, że Justyn Budkiewicz jest dla Maryni wygodny, bo pracowity w gospodarstwie, bardzo oszczędny i umiejący w gospodarstwie zaprowadzić pewien ład, a przez to Marynia, hamowana w swoich zapędach i nieco bardziej uporządkowana, nie brnie w nowe długi i nawet, choć bardzo maluczko, coś niecoś z długów spłaca. Przeniesienie też domu Maryni Justyn wykonał bardzo rozsądnie i umiejętnie. Marynia by sama na tym przeniesieniu domu zginęła albo by go nie przeniosła, teraz zaś po prostu wygrała na tym.

3 września, rok 1935, wtorek*

4 września, rok 1935, środa*

5 września, rok 1935, czwartek

Raniutko przyjechał znowu z Abel z pociągu geometra p. Reniger. Dziś obchodził granice zaścianka Jadzi, którego plan jednocześnie z moim planem też dla niej sporządzam. Nie dokończył dziś tej roboty i miał ją dokończyć jutro, ale wieczorem po kolacji przyszła doń depesza od żony, wzywająca go śpiesznie do Kowna dla jego spraw osobistych. Zaraz więc w nocy wyjechał na pociąg, znów przerywając pracę. Narzędzia zostawił. Ma przyjechać za kilka dni dla dokończenia pomiarów.

Sprowadziliśmy dziś z Marynią zza Abel motor i młocarnię, najęta od Vaičiulisa. Jest to ten sam motor, który Vaičiulis kupił przed paru laty od Maryni i odremontował kapitalnie. Ma być bardzo dobry. Za młócenie płacimy mu po 2 ½ lity od godziny. W przeszłym roku za młócenie motorem Kieły płaciłem po 4 lity. Młócenie staniało, ale też bardzo staniało zboże, które „Lietukis" skupuje teraz (żyto) po 6 litów 50 centów cetnar (z wolnej ręki na rynku żyto było na samym przednówku spadło do 4, a nawet do 3 litów za cetnar). Jutro młócić zaczyna Marynia, od poniedziałku – ja.

6 września, rok 1935, piątek*

7 września, rok 1935, sobota*

8 września, rok 1935, niedziela*

9 września, rok 1935, poniedziałek*

10 września, rok 1935, wtorek

Geometra p. Reniger skończył dziś swoją robotę u mnie i w zaścianku Jadzi i na pociąg nocny odjechał. Ponieważ wczoraj przyjechał on do mnie wprost z Kowna, więc przywiózł świeże i bezpośrednie nowinki o reorganizacji personalnej Gabinetu Ministrów. Powiada, że reorganizacja ta była w Kownie zupełną niespodzianką. Był on właśnie w Ministerium Rolnictwa u dyrektora Departamentu Mierniczego w chwili, gdy otrzymano numer „Lietuvos Aidasu", z którego dowiedziano się o ustąpieniu ministra Aleksy. A więc nawet wyższe urzędy centralne Ministerium Rolnictwa nic nie wiedziały zawczasu o ustąpieniu swojego własnego ministra i dopiero z gazet się o tej zmianie poinformowały. Ustąpienie Aleksy i Rusteiki tłumaczą w Kownie tak. Okazało się, że na czele rozruchów włościańskich w Suwalszczyźnie stali właśnie ci włościanie, którzy tworzyli organizację społeczno-rolniczą (zdaje się – „Ukininkų Vienybė"), którą założył i której ze specyficzną ideologią patronował Aleksa. To go skompromitowało i spowodowało jego dymisję. Co zaś do Rusteiki – to jego usunięcie było aktem satysfakcji dla włościan jako środek złagodzenia sytuacji, bo Rusteika zarządził zbyt ostre tłumienie tych rozruchów i przez tę gorliwość naraził się opinii włościan suwalskich, jak na wiosnę naraził się analogicznie opinii studentów, a przed rokiem, choć uratował rząd przed ruchawką przewrotową, naraził sobie przez to voldemarasowców i ich sympatyków w wojsku. Aleksa i Rusteika zostali więc poświęceni jako ofiary sytuacji i ludzie politycznie niedogodni w tej chwili.

11 września, rok 1935, środa*

12 września, rok 1935, czwartek*

13 września, rok 1935, piątek

Wyjechałem rano z Bohdaniszek. Jadę autobusem z Rakiszek. Ze mną jedzie służąca Helena. Jadzia z Renią jadą pociągiem, także z Rakiszek. Miałem w Rakiszkach kilka interesów – w kancelarii więzienia, u sędziego, odwiedziłem Pejsacha Rucha, który mię przyjął kawą i smacznym szczupakiem po żydowsku. O pół do trzeciej wyjechałem. Do Uciany przyjemnie było jechać, z Uciany zaś, gdzie staliśmy przeszło godzinę, było już ciemno i nic się nie widziało przez okno, przeto trzeba było tylko drzemać. Jazda dosyć przyjemna, zwłaszcza dopóki jest światło. Dużo jest fragmentów ładnych widoczków litewskich, dość ładnie się też prezentują miasteczka, w których postęp jest wielki po wojnie. Ale wieś litewska, w porównaniu do przedwojennej, dużo straciła na zniknięciu pięknych i

charakterystycznych dawnych wiosek litewskich, obrosłych potężnymi drzewami, ozdobionych krzyżami i kapliczkami sztuki ludowej. Dziś krzyże i kapliczki bardzo szybko nikną i należą już do wielkich rzadkości, a wiosek nie ma wcale. Zostały rozparcelowane, a za to pola, dawniej rozległe i wolne, pokryły się mrowiskiem zaścianków, szpetnych przeważnie, złożonych z kilku chat na pustkowiu bez drzew. Wprawdzie zabudowania są staranniejsze niż dawniej, ale brak drzew jest rażący. Nie jestem bynajmniej entuzjastą parcelowania wsi na zaścianki, choć w ustroju gospodarczym indywidualistycznym jest to racjonalniejsze. Wszakże w gospodarstwie uspołecznionym, które będzie musiało wyrugować indywidualizm, to rozkolonizowanie wsi i zaakcentowanie indywidualizmu odegra rolę czynnika uwsteczniejącego, który będzie hamować postęp uspołecznienia. Gospodarczo sympatie moje byłyby, przynajmniej w teorii, po stronie kołchozów sowieckich, gdyby nie to, że niepodobna przeoczyć trudności, płynących z głębokiej tradycji indywidualistycznej (może nawet instynktu) włościan, a trudno przecie budować rozwój gospodarczy bez uwzględnienia psychiki podmiotów tegoż, jak niepodobna na przykład zbudować doskonałej organizacji gospodarczej pszczół w społeczeństwie ludzkim. Parcelacja ten indywidualizm jeszcze bardziej pogłębia, zaś gospodarstwa karłowate, które w systemie indywidualistycznym coraz bardziej karłowacieć będą, o ile się temu przez odpowiednią akcję ustawodawczą polityki gospodarczej nie zapobiegnie, będzie pogłębiała ujemne cechy indywidualizmu i będzie pogłębiała jego paradoksalność do coraz większego kryzysu tegoż i do zwyrodnienia. Po pewnym czasie, po kilku może pokoleniach, czego już my nie dożyjemy, szukać będziemy form społecznych i problem innej organizacji stanie się trudniejszy, niż mógł być u nas przez parcelację. No ale iść musieliśmy i musimy tą drogą, na której piętrzyć się zaczną nowe trudne zagadnienia. Na dziś nie było innego wyjścia. A zresztą organizacja i dyscyplina kooperacji, która u nas narasta i integruje gospodarstwa indywidualne w więź społeczną, racjonalizującą produkcję i czyniącą z gospodarstw indywidualnych agentury wielkiej planowej akcji zbiorowej, stanowi korektyw wielkiej siły społecznej. Pod względem jednak krajobrazu nie wróci kraj do piękna wiosek dawnych. Bo jeżeli nawet wypadnie od zaścianków izolowanych wrócić do większych skupień urbanistycznych na wsi, to po pierwsze te zaścianki będą wtedy już piękniejsze krajobrazowo, niż są dziś przy ich tworzeniu i kasowanie ich będzie nowym ciosem dla przyszłego krajobrazu, a po drugie te skupienia przyszłe nie odrestaurują już wiosek przedwojennych, lecz zapewne pójdą torami szablonów urbanistycznych osiedli stereotypowych racjonalizmu miejskiego. Będzie to w każdym razie coś innego. Przedwojenny krajobraz wiosek litewskich umarł zapewne raz na zawsze i nic go do życia nie przywróci. Gdybyż to zachowano w każdej okolicy choć kilka najpiękniejszych wiosek albo gdyby to robiono w jakimś jednym ośrodku na muzeum historyczne krajobrazu krajowego pewnej epoki!

14 września, rok 1935, sobota

Jestem w Kownie. Byłem już na uniwersytecie. Nowin zbyt wielkich i sensacyjnych nie ma. Akt immatrykulacji przeniesiony został uchwałą senatu akademickiego z niedzieli 15 września na poniedziałek 16 września. Nowych studentów na uniwersytet dotychczas zapisało się znacznie mniej, niż lat poprzednich. Spadek ilości studentów już od lat pięciu postępuje z roku na rok. Liczby ogólnej nowych jeszcze ustalić niepodobna, bo przyjmowanie podań przedłużono do 1 października. Założony w roku zeszłym Instytut Komercyjny Gałwanowskiego w Kłajpedzie i świeżo założony Instytut Pedagogiczny tamże odciągają młodzież od uniwersytetu. Działa też kryzys gospodarczy ogólny, przepełnienie urzędów, trudność zdobycia posad i pracy zawodowej dla inteligentów, wreszcie ostre egzaminy maturalne. Na Wydziale Prawniczym wielki kłopot. Rząd nie zgodził się na zreformowanie przepisu ustawy, który profesorom-adwokatom ustanowił termin kategoryczny 1 września 1935 roku do wycofania się bądź z adwokatury, bądź z profesury. Profesorowie adwokaci

Kazimierz Szołkowski, Janulaitis, Tamošaitis wybrali profesurę i wycofują się z adwokatury, natomiast profesorowie-adwokaci Stankiewicz, Bielackin i Tumėnas wybrali adwokaturę, wobec czego z profesury muszą się wycofać. Strata Tumėnasa żadnej wagi nie ma, ale strata Stankiewicza i Bielackina jest ciężka dla wydziału. Osierocone zostają dwie kapitalne katedry – prawa cywilnego (Bielackin) i prawa karnego (Stankiewicz). W dodatku obaj profesorowie są bądź co bądź zdolni i w swoim zakresie wybitni. Zastąpić ich na razie nie ma kim. Kazimierz Szołkowski, który wykłada skrócony kurs prawa cywilnego na sekcji ekonomicznej i proces cywilny dla prawników, nie jest w stanie objąć dodatkowo obszernego kursu cywilnego dla sekcji prawniczej. Młodzi asystenci cywiliści, którzy się specjalizowali w studiach zagranicznych – Penkaitis i Čepas – nie są jeszcze w stanie objąć i prowadzić samodzielnie wykłady i dopiero muszą się doktoryzować, co wymaga pracy dużej i czasu. Asystent prawa karnego, młody Jurgutis, jest wybitnie zdolny, ale także dopiero się specjalizuje i ani mowy o tym nie ma, aby mógł objąć wykłady. Sytuacja jest fatalna. Wydział Prawniczy bez prawa cywilnego i karnego – to kaleka. Dziekan wydziału – Wacław Biržiška – jest bardzo poruszony i znerwowany, oburzony na ministra sprawiedliwości Šilinga, którego uważa za głównego sprawcę odmowy zreformowania odpowiedniego przepisu ustawy. Wacław Biržiška grozi podaniem się do dymisji ze stanowiska dziekana wydziału.

Inna nowina, która może mnie dotknąć, to przewidziane nowe obcięcie pensji urzędniczych. Chociaż moje pobory osobiste są względnie wysokie, ale obciążony jestem tylu obowiązkami pieniężnymi, że każde obcięcie poborów byłoby dla mnie niezmiernie ciężkie.

Sensacyjną nowiną pozauniwersytecką jest aresztowanie byłego dyrektora „Maistasu”, milionera litewskiego i bodaj najbogatszego człowieka w Litwie, wpływowego w stronnictwie rządzącym narodowców, wielkiego parweniusza Lapėnasa. Ale o tym już może innym razem.

15 września, rok 1935, niedziela

Byłem dziś prawie cały dzień sam, bo Jadzię (z Renią) wysłałem do Szaszewicz do Stefanostwa Römerów dla wyjaśnienia kwestii długu wekslowego Stefana z moim żyrem w Banku Polskim. Jadzia wróciła dopiero późno wieczorem. Stefanowstwo widocznie nie mają się jeszcze tak ostatecznie źle, bo Jadzia natrafiła tam na huczne imieniny Marysi Stefanowej z udziałem wielu gości i ucztą sutą, złożoną z jadła i napojów. Mogą jeszcze żyć, choć nie otrzymali jeszcze w tym miesiącu mojej miesięcznej zapomogi pieniężnej w kwocie 100 litów, którą im regularnie od roku przeszło wypłacam i która ma stanowić rzekomo jedyne źródło ich utrzymania.

Zanotuję w dzienniku dwie śmierci, które zaszły w ostatnich czasach i o których się dopiero tu dowiedziałem. Obie zresztą dotyczą ludzi dalekich za granicą, ale ludzi wybitnych nauki. Jedną jest śmierć sędziego Trybunału Międzynarodowego w Hadze, sędziego Schückinga, Niemca. Zastałem tu adresowane do mnie z Hagi zawiadomienie żałobne o jego śmierci. Był to wybitny uczony i wybitny sędzia międzynarodowy, osobiście człowiek uczciwy, zacny i sympatyczny. Gdym z nim kolegował w Trybunale Haskim w roku 1932 w sprawie kłajpedzkiej – byliśmy z nim na dwóch stanowiskach przeciwnych, ale niemniej zyskał on mój szacunek zupełny. Był przeciwnikiem gentlemanem, uczciwym i otwartym, szczerym w swojej taktyce polemicznej rzeczowej. Obce mu były różne sztuczki, machinacje i wybiegi, w których celował jego wierny sekundant – sędzia Holender van Eysinga. Schücking był jednym z młodszych sędziów w Hadze. Zdaje się, że miał wtedy lat 56, to znaczy umarł w wieku lat 59. Był on przeciwnikiem konsekwentnym nacjonalsocjalizmu hitlerowskiego, był demokratą z przekonań i rzecznikiem współżycia narodów i współpracy pokojowej. Do Trybunału w Hadze był wybrany jako Niemiec, ale nie jako kandydat niemiecki, bo Niemcy były przeciwne jego kandydaturze. Rząd Hitlera po dojściu do władzy usunął Schückinga ze stanowiska profesora na uniwersytecie w Kielu. Ponieważ wiadomość o

śmierci Schückinga doszła mię ze znacznym opóźnieniem, nie przesyłałem już kondolencji do Hagi, jakem to uczynił przed kilku miesiącami po śmierci byłego prezesa Trybunału, sędziego Japończyka Adatci. Druga śmierć, o której mi mówiono, a która jest jeszcze bardziej niespodziewana, że aż uwierzyć mi w nią trudno, to rzekomo śmierć prof. Redeloba z Uniwersytetu Strasburskiego, który był naszym gościem przed kilku miesiącami, pełny życia, temperamentu, humoru i jeszcze wcale nie stary. Był to też uczony wybitny i sympatyczny.

16 września, rok 1935, poniedziałek

Akt immatrykulacji na uniwersytecie. Akt w tym roku wyjątkowo krótki, bo nie połączony z posiedzeniem Rady Uniwersyteckiej, a przez to samo i mniej uroczysty już choćby dlatego, że profesury zebrało się znacznie mniej, niż innych lat. Studenci wszakże zapełnili szczelnie całą salę i nawet się nie mieścili w niej, przez co i schody, i przedsionek były zapełnione. Stawiły się wszakże delegacje czy warty honorowe poszczególnych korporacji akademickich ze sztandarami barwnymi, których cały las się utworzył, otaczający półkolem duży stół prezydialny, u którego zasiadł senat akademicki ze mną, rektorem, na czele. Na wypełnienie programu uroczystości złożyło się: a. odśpiewanie przez chór akademicki hymnu narodowego, b. moja mowa rektorska na otwarcie roku akademickiego, zwrócona przeważnie do nowych studentów, c. *exposé* informacyjne sekretarza uniwersytetu prof. Purėnasa, zawierające przeważnie statystykę ruchu studentów na uniwersytecie i d. odśpiewanie przez chór hymnu akademickiego „Gaudemus”. Na tym się skończyło. Potem było tylko krótkie posiedzenie zamknięte senatu, zaś na schodach, w przedsionku i u wyjścia z uniwersytetu na ulicy starzy studenci hucznymi okrzykami witali i odprowadzali wychodzących „fuksów” – nowicjuszów, świeżo kreowanych na studentów. Moje przemówienie zajęło koło 10 minut. Dobrze je umiałem i wyrecytowałem. Zdaje się, że było niezłe. Gości na uroczystości nie było żadnych – ani ministra oświaty, ani profesorów honorowych. Akt immatrykulacji dużo stracił na swej uroczystości, odkąd rektorat przestał być jednoroczny i przez to samo odpadła zmiana formalna rektora, dokonywana na tym akcie. Bez tej ceremonii uroczystej akt immatrykulacji stał się tylko krótką manifestacją otwarcia roku akademickiego i przyjęcia nowych studentów.

Liczba nowych studentów co roku spada. W ciągu pierwszego dziesięciolecia wzrastała stale, doszła do punktu kulminacyjnego w roku 1932, odtąd spada z roku na rok.

17 września, rok 1935, wtorek

W Suwalszczyźnie niezupełnie się jeszcze uspokoiło. Wystąpień zbiorowych i otwartych już nie ma, ale ferment trwa pokątny i podziemny. Hasło nieopłacania podatków i niezbywania produktów rolnych w celu ogłodzenia miast i zmuszenia rządu i opinii elementów miejskich do ustalenia takich dróg polityki handlowo-finansowej i może międzynarodowej, która by odpowiadała potrzebom rolnictwa i otworzyła szeroki i dobrze opłacany zbyt dla produktów rolnych – nie zostało całkowicie przełamane. Wprawdzie dowóz na targi miasteczkowe już się rozpoczął i nie ma już tych zjawisk, które miały miejsce w sierpniu, że targi były zupełnie puste i że włościanie na drogach publicznych napadali na tych, co wieźli produkty na sprzedaż i niszczyli produkty wiezione, ale za to nie ustały wypadki podpalania tych – zwłaszcza dworów – którzy dostarczyli zboże na sprzedaż do „Lietukisu” lub w inny manifestacyjny sposób wyłamali się z nakazu bojkotu. Podobno podpalenia są na porządku dziennym i powtarzają się prawie co dzień. Powiadają, że teraz ośrodek tej akcji podziemnej ześrodkował się w powiecie wiłkowyskim i szakiowskim u granicy pruskiej. Sam przez się ten odruch włościański, przełamujący bierność wobec kryzysu i zmuszający rząd i opinię do aktywniejszego działania, mógłby, abstrahując od pewnych metod tego ruchu, uchodzić za objaw zdrowy inicjatywy społecznej, gdyby jednak nie to, że w akcji tej jest niewątpliwie ręka agentów niemieckich, usiłujących bruździć w Litwie, kompromitować ją i

komplikować sytuację, zwłaszcza w stosunku do polityki litewskiej w Kłajpedzie, o której podkopanie Niemcom chodzi bardzo. W tym ruchu włościańsko-suwalskim wciąż przesmykują pewne nutki żądań i haseł pojednania się z Niemcami, pojednanie zaś to, jak wiadomo, mogłoby polegać li tylko na zrezygnowaniu z Kłajpedy, oddanej na pastwę germanizacji. Innego „pojednania" Niemcy nie chcą i nie rozumieją. Wybory kłajpedzkie do sejmiku odbędą się już w końcu tego miesiąca i Niemcy robią, co mogą, aby te wybory odbyły się w atmosferze najniepomyślniejszej dla Litwy i aby swoje ewentualne zwycięstwo na wyborach – bardzo prawdopodobne – rozdmuchać następnie do pozorów plebiscytu na rzecz Niemiec i oprzeć się na tym ku dalszemu forsowaniu odebrania Kłajpedy.

18 września, rok 1935, środa

Byłem w sali Rady Stanu na odczycie Karola Żołkowskiego o zjeździe kryminologów i penitencjariuszy w Berlinie i w Kopenhadze, w którym on też z ramienia Litwy brał udział. Publiczność na referat się zebrała za zaproszeniami Šilinga. Byli obecni członkowie i referenci Rady Stanu, kilka osób z prokuratury, z sądownictwa, z Ministerium Sprawiedliwości, z Wydziału Prawniczego. Na ogół referat był dość ciekawy, choć sama akcja tych kongresów i ich uchwały wypadły w relacji Żołkowskiego bardzo mdłe, natomiast bardzo jaskrawe było tylko stanowisko Niemców na kongresie berlińskim, ich propaganda, ich koncepcja państwa, prawa, funkcji i polityki karnej. Żołkowski referuje dość barwnie i niewątpliwie jest w tym, co mówi, wyrazisty – to jest jego zaleta, ale zawsze mię trochę irytuje, i dziś irytował w szczególności, jego patos, w który wpada, naiwnie się entuzjazmujący odkrywaniem nowych dla niego, głębokich prawd, które właściwie są innym, przynajmniej mnie, dobrze znane i rewelacji bynajmniej nie stanowią, podczas gdy Żołkowski, sam je wyczuwając i przeżywając jak rewelacje, podaje je słuchaczom z mistycznym rewelacyjnym natchnieniem jak prorok. W tych rewelacjach popełnia też błędy. Ale bądź co bądź ciekawe to było. Niemcy nacjonalsocjaliści do potęgi doprowadzili elementy koncepcji i dyscypliny społecznej, tkwiące w komunizmie sowieckim i faszyzmie włoskim, ale jednocześnie skarykaturowali konstrukcję. Znać na ich wnioskach nieuctwo Hitlera w porównaniu do wysokiej kultury intelektualnej Mussoliniego i Lenina.

19 września, rok 1935, czwartek

Odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Asystentów – mnóstwo, wśród nich już i nowi, świeżo przyjęci – Feliks Mackus, Juliusz Smetona (syn Prezydenta), - natomiast profesury – zaledwie liczone jednostki. Ostatni bowiem szczegół – przepis ustawy o sądownictwie, który ustanawia profesorom-adwokatom termin 1 września roku 1935 do usunięcia się bądź z adwokatury, bądź z profesury i którego zreformowanie, o co zabiegano, zostało przez Gabinet Ministrów odrzucone, pozbawił nasz wydział jeszcze trzech członków profesury – Bielackina, Stankiewicza i Tumėnasa. Jeżeli odrzucimy trzech profesorów sekcji ekonomicznej – Jurgutisa, Rimkę i Šalčiusa, to na wydziale naszym sekcji prawniczej pozostaje już tylko trzech profesorów zwyczajnych – Wacław Biržiška, Janulaitis i ja – i dwóch docentów – Kazimierz Szołkowski i Tadeusz Pietkiewicz i poza tym dwóch prywat-docentów –Antoni Tamošaitis i Kriwicki. Byli dziś wprawdzie jeszcze i dwaj ustępujący – Bielackin i Tumėnas, ale już tylko w charakterze likwidujących się. Dziekan Wacław Biržiška wpisał do porządku dziennego „wybory nowego dziekana", co miało świadczyć o jego dymisji i co prasa wnet ogłosiła. Istotnie Biržiška złożył na posiedzeniu Rady deklarację motywowaną o dymisji, stanowiącą rodzaj protestu motywowanego przeciwko systematycznemu przez cały ciąg istnieniu wydziału szykanowaniu i utrudnianiu jego rozwoju przez władze państwowe. Niektórzy próbowali tak lub inaczej interpretować konsekwencje oświadczenia dziekana, ale bez wielkich dyskusji uznano za najlepsze dokonać niezwłocznie głosowania na rzecz wyboru dziekana, ponieważ wszyscy mieli pewność, że

wybrany znów zostanie Biržiška. Jakoż w głosowaniu wszystkie głosy padły na niego, co też zlikwidowało całą kwestię tej dymisji. Nie była to właściwie dymisja, która powinna by iść drogą służbową do rektoratu, jeno akt dziekana w ramach wydziału, zarządzony dla sprawdzenia posiadanego przezeń zaufania Rady w chwili trudnego kryzysu. Kwestię zaopatrzenia katedr wakujących, egzaminów z przedmiotów, które wykładali ustępujący profesorowie i innych zagadnień, związanych z kryzysem, zlecono „komisji", obejmującej zresztą wszystkie pozostałe resztki profesury sekcji prawniczej.

Janulaitis, który sam też jest dotknięty przepisem ustawy, zabraniającej łączenie profesury z adwokaturą i który wraz z Szołkowskim, Pietkiewiczem i Tamošaitisem zmuszony został zrezygnować z adwokatury, pozostając na profesurze, nie chce jeszcze dać za wygraną i zamierza z Szołkowskim podjąć starania o zreformowanie tego przepisu, jednocześnie czyniąc przeze mnie i przez dziekana zabiegi u Tubelisa na rzecz poparcia tej reformy przez rząd.

Na posiedzeniu dzisiejszym zaszedł mały incydent. Tumėnas, który jest wściekły na rząd za wyrugowanie go z profesury, gdzie zresztą, o ile osobiście o niego chodzi, był on tylko piątym kołem u wozu, obraził się na mnie za wypowiedziany przeze mnie wniosek o tym, że profesorowie, którzy wybrali adwokaturę i w myśl odpowiedniego przepisu ustawy nie mogą już być profesorami od 1 września, bodajże nie mają już formalnie głosu w wyborach dziekana lub innych uchwałach Rady. Nie chodziło mi wcale o potakiwanie ustawie tej, jeno o pewien wniosek interpretacyjny formalny, choć może się myliłem. Ale Tumėnas obraził się i wziął to za jakieś widocznie potakiwanie rządowi, przeciwko któremu jest on w ostrej i zajadłej opozycji. Wystąpił też z przemówieniem z pełnym uszczypliwych docinków i prawie że insynuacji. Nie poniosłem jednak tego. Bóg z nim. „*Sobaka łajet – wieter nosit*".

20 września, rok 1935, piątek

W tych dniach doręczono mi na uniwersytecie adresowany do mnie z Londynu i datowany z sierpnia list od spółki akcyjnej wydawniczej „Atlantis Press LTD", mianowicie od agencji literacko-prasowej tejże spółki („Literary and Press Agency"). W liście agencja ta donosi, że przystępuje w porozumieniu z poselstwami państw bałtyckich w Anglii do wydawnictwa miesięcznika „Anglo-Baltic Review", poświęconego sprawom i stosunkom państw bałtyckich i służącego zbliżeniu anglo-bałtyckiemu oraz informowaniu opinii angielskiej o Bałtyce. Proszony jestem o współpracownictwo i jednocześnie o przysłanie do numeru 1 miesięcznika rękopisu mego referatu, wygłoszonego w d. 29 czerwca na Kongresie Litewsko-Łotewsko-Estońskim w Rydze. Rękopis w odbitce maszynowej zaraz im przesłałem (w tekście litewskim), prosząc jednocześnie poselstwo litewskie w Londynie o pomoc w przetłumaczeniu rękopisu na angielski. Rękopis tego referatu, zdaniem moim – udatnego, będzie się już po raz trzeci drukował: raz po polsku – w „Przeglądzie Wileńskim", drugi raz po litewsku - w miesięczniku „Kultura" i oto *in spe* po raz trzeci po angielsku – w „Anglo-Baltic Review". Cieszę się z ukazania takiego miesięcznika: dla Litwy to bardzo użyteczne. Być może pojęcie „Bałtyki" w tym wydawnictwie obejmie i Skandynawię, bo adres kontynentalny agencji tej wskazany w Sztokholmie.

Rano miało miejsce posiedzenie komisji Wydziału Prawniczego dla obmyślenia środków zaradzenia lukom w nauczaniu, wytworzonym przez stratę profesorów Bielackina i Stankiewicza na sekcji prawniczej. Komisja ta składa się z całych resztek profesury sekcji prawniczej: Wacław Biržiška, Janulaitis, ja, Kazimierz Szołkowski, Tadeusz Pietkiewicz, Antoni Tamošaitis i Kriwicki. Co do wykładów prawa cywilnego, postanowiono zalecić Kazimierzowi Szołkowskiemu, który po ustąpieniu Bielackina stał się dyspozytorem tej katedry, zużytkować do pracy seminaryjnej obu obecnych w Kownie asystentów tej katedry – Olgierda Penkaitisa i Juliusza Smetonę – oraz wdrożyć Penkaitisa, jako starszego i już nieco

wykwalifikowanego, do rozpoczęcia wykładów częściowych – w szczególności na razie części ogólnej prawa cywilnego. Juliusz Smetona, który dopiero co wyszedł z ławy uniwersyteckiej, choć jest chłopcem poważnym i giętkim oraz chętnym i zapowiada się jako materiał dobry, na razie jeszcze do wykładów zużytkowany być nie może. Zresztą prawdopodobnie wyjedzie jeszcze za granicę na studia. Z Penkaitisem jest gorzej. Co prawda, jest niegłupi, ale ma wadę psychiczną – jest neurastenik i kapryśny, niegiętki i niezdyscyplinowany. W ogóle kto wie, czy z niego coś będzie. Wszyscy jego szefowie i ci, którzy się z nim stykają, skarżą się, ze jest nieużyty i bardzo ciężki. Co do historii filozofii prawa, którą wykładał Stankiewicz, postanowiono zlecić prowizorycznie te wykłady w semestrze wiosennym mojemu asystentowi Konstantemu Raczkowskiemu. Najgorzej jest z katedrą prawa karnego i procedury karnej. Zdecydowano się zaprojektować ewentualną kandydaturę sędziego Trybunału Byly na tę katedrę. Janulaitis ma o tym z Bylą pomówić. Podnoszono jeszcze kandydaturę sędziego Trybunału Vaitonisa, ale zdecydowano się raczej na Bylę. Zresztą są to dopiero wnioski na czwartkowe posiedzenie Rady Wydziału.

21 września, rok 1935, sobota

Otwarta dziś została wystawa przemysłowo-rolnicza w Kownie. Zwiedziłem ją. Wystawa okazała się nadspodziewanie ciekawa. Właściwie jest ona nie tyle rolnicza w ścisłym i klasycznym znaczeniu słowa, ile przemysłu domowego z ludową sztuką stosowaną, rzemiosła i drobnych działów gospodarstwa wiejskiego, zwłaszcza sadownictwa, ogrodnictwa, ptactwa. Wielkiego inwentarza żywego – koni, bydła, świń, owiec – i gospodarstwa zbożowego nie ma. Natomiast niezmiernie obfity i ciekawy jest dział ceramiki, tkactwa, skórek, wyrobów z drzewa, mebli, zdobnictwa ludowego i stylizacji tegoż w produkcji rzemieślniczej i domowej etc., także owoców i szkółek owocowych i dekoracyjnych. Postępy są zadziwiające, dorobek wprost imponujący. Akcja Izby Rolniczej, zakładanych przez nią różnych kursów fachowych, odpowiednie szkoły, towarzystwa, spółki dokonały rzeczy nadzwyczajnych. Odpowiednie wyroby są tanie, bardzo ładne i praktyczne i rozkupywane w lot. Ruch jest bardzo wielki. Gdyby ta wystawa nie uwydatniła tak jaskrawie postępów, to trudno by się ich było domyślić. Litwa jednak kroczy szybko naprzód pomimo kryzysu gospodarczego, a zdolna jest, rządna, pracowita i ma wielki zmysł organizacyjny i artystyczny. Wystawa taka jak obecna zaimponowałaby cudzoziemcom.

Druga wielka nowina. Vaitkus wyleciał z New-Yorku do Kowna. Jeżeli lot się uda – jutro go ujrzymy. Zapowiedź tego lotu już od wiosny elektryzowała Litwę. Vaitkus, Litwin amerykański, lotnik, postanowił spełnić to, czego przed dwoma laty dokonać nie zdołali Darius i Girenas, którzy przelecieli Atlantyk i zginęli tragicznie w lasku na Pomorzu niemieckim, gdzie się ich aeroplan „Lituanika” rozbił. Vaitkus leci samolotem „Lituanika II”. Jego lot zapowiadany był od lipca czy nawet czerwca. Aeroklub litewski w Kownie wciąż czekał odważnego gościa, czekała Litwa cała, płynęły składki i dary. Vaitkus wciąż zwlekał, wciąż ćwiczył. Wreszcie zaczęto się gorszyć zwłoką, wątpić w dokonanie lotu, gniewać i kpić z obietnic Vaitkusa. Stało się to tematem pism humorystycznych i satyrycznych. Stracono już nadzieję doczekania lotu. A Vaitkus wciąż się ćwiczył, badał i próbował aparat, obiecywał, usprawiedliwiał się różnymi pretekstami, które brano za wykręty. Aż oto gruchnęła wieść, że Vaitkus wylatuje, radio i komunikaty Elty i Aeroklubu doniosły, że już wyleciał dziś o piątej rano podług zegara amerykańskiego, czyli w południe podług czasu naszego. Leci na New-Foundland, Atlantyk, Irlandię, Anglię, Morze Północne, Danię, Bałtyk, Kłajpedę. Wieść o locie Vaitkusa zelektryzowała całe Kowno, pomnożona przez gości wystawowych. Wystawa i Vaitkus podnieciły ruch i temperament Kowna niezwykle. Elta weszła w kontakt z agencją Reutera dla informacji o etapach lotu, Aeroklub litewski połączył się ze stacjami radiowymi i punktami obserwacyjnymi dla wiadomości o Vaitkusie i Vaitkusowi. Radio kowieńskie przez cały wieczór nadawało komunikaty, które przeważnie brzmiały, że nowych wieści nie ma.

Vaitkus leci nad oceanem. Przylot jego oczekiwany jest na jutro po południu. Wielka sensacja. Wszędzie podniecenie.

22 września, rok 1935, niedziela

Od rana Kowno było pod znakiem Vaitkusa. Przepełnione licznymi gośćmi z prowincji, których zwabiła wystawa, a jeszcze bardziej od wystawy zniżka ceny przejazdu kolejowego na okres wystawy, rojące się od wycieczek, świątecznie usposobione i jakieś radosne Kowno całe od rana wyległo na ulice i nabrało jakiegoś charakteru południowego, pełnego temperamentu. Goście wystawowi – nie tyle włościanie starszego pokolenia, ile młodzież wiejska i mieszkańcy miast prowincjonalnych. Wystawa rolniczo-przemysłowo-rzemieślnicza na górze i otwarcie wystawy „Małej Litwy" (Kraju Kłajpedzkiego) w Muzeum Witolda Wielkiego – zeszły na plan drugi wobec wielkiej nowiny lotu Vaitkusa i oczekiwanego spotkania bohatera na aerodromie, zapowiedzianego na godziny poobiednie. Od rana radio kowieńskie z krótkiemi przerwami podaje komunikaty o locie i spotkaniu bohatera. Każda depesza o Vaitkusie, podająca tylko domniemania, prognozy, jakiś ledwie cień informacji – ogłasza się natychmiast w dodatku nadzwyczajnym dzienników. Już przed południem tłumy spieszą w kierunku Aleksoty na aerodrom. Wszyscy, kto żyw, wybiera się tam po obiedzie. Wzgórze Zielonogórskie i Góry Witolda też są obsadzone publicznością, wybierającą sobie dogodne pozycje obserwacyjne. Młodzież, dzieci na ulicach zadzierają głowy do góry, obserwując wszelki ruch krążących samolotów, jak gdyby już wypatrywano Vaitkusa na jego „Lituanice II". Oto przed południem z radia nadano wiadomość, że w Irlandii dostrzeżono już samolot, który jest domniemanie „Lituaniką II", która zapewne przeto przeleciała już za Irlandię. O godz. pierwszej byłem na otwarciu wystawy Litwy Małej. Po powrocie do domu siedliśmy do obiadu – miałem na obiedzie Józefa i Justysia Stawskich – aparat radiowy zostawiłem otwarty dla łapania komunikatów o Vaitkusie. Nagle w czasie obiadu kounikat: „Lituanika II" doznała awarii w Irlandii, samolot spadł i rozbił się, Vaitkus wyszedł cało. Jedna chwila, krótka wiadomość – zabiła całe oczekiwanie. Litwa ma pecha. Po Dariusie i Girenasie – Vaitkus. Chwała Bogu jednak, że Vaitkus ocalał. Przeleciał wprawdzie Atlantyk, ale zamierzonego celu nie osiągnął. Darius i Girenas w roku 1933 dalej jednak od Vaitkusa przelecieli. Zawód. Ale przynajmniej żałoby nie ma. Nie jest to zblamowanie się, ale nie ma też tego efektu, do jakiego się gotowano.

23 września, rok 1935, poniedziałek

Wczoraj wieczorem z Bohdaniszek przyjechał już Andrzej. Wraz z nim przyjechała na wystawę Bieliunasowa, żona mojego ogrodnika, która pierwszy raz w życiu widzi miasto. Naturalnie że wszystko ją w Kownie zachwyca.

Pracuję nad brulionem moich odczytów paryskich na listopad. Przyjeżdżał tu z Paryża niejaki Glikman, młody Żyd litewski prawnik, który ukończył studia w Paryżu i obecnie się tam doktoryzuje. Jest on w kontakcie z poselstwem litewskim w Paryżu i brał udział w tej inicjatywie, która z ramienia prof. Nibogeta doprowadziła do zaproszenia mię do Paryża przez Faculté de Droit na te odczyty. Wyjaśnia się, że chodziłoby o trzy odczyty, wszystkie trzy z dziedziny zagadnień prawnych Kłajpedy. Jeden odczyt byłby w Faculté de Droit, drugi – w Institut de Droit Comperé przy tymże wydziale, trzeci, urządzony staraniem poselstwa litewskiego, na jakimś zebraniu pod firmą jakiegoś towarzystwa czy związku, na którym audytorium stanowiliby dyplomaci i politycy. Praca już duża. Trzy odczyty mam już w głowie zaprojektowane. Piszę na razie bruliony do nich. Pierwszy brulion gotowy, układam drugi. Gdy bruliony ułożę, odbiję je na maszynce i dam do przejrzenia Kriwickiemu i Raczkowskiemu, z którymi następnie odbędę naradę dla usunięcia różnych wątpliwości i ustalenia ścisłego biegu myśli. Praca jest ciekawa, ale dość uciążliwa i odpowiedzialna bardzo.

24 września, rok 1935, wtorek

Otrzymałem ogromny sążnisty list od Stankaitisa z Polski. Prof. Henryk Paszkiewicz, historyk na Uniwersytecie Warszawskim, pochodzący z Litwy z powiatu święciańskiego spod Łyuntup, gdzie dziad jego miał majątek ziemski, choć już osobiście urodzony w Polsce i nie umiejący po litewsku, w przeszłym roku akademickim (zdaje się, że w styczniu bieżącego roku kalendarzowego), jakem w dzienniku wspominał, przyjeżdżał do Kowna i tu wszedł w kontakt z grupą naszych profesorów i historyków litewskich. Prof. Paszkiewicz ma żywe sympatie dla Litwy, bo rodzina jego nie tylko z Litwy pochodzi, ale ma też żywe tradycje litewskie. Gorący patriota i poeta litewski ze Żmudzi z pierwszej połowy wieku XIX Dyonizy Poszka (Paszkiewicz) był bratem jego dziada, z którym tenże korespondował. Te listy, pisane na poły po polsku i na poły po litewsku, zachowały się jeszcze w zbiorach rodzinnych prof. Paszkiewicza, którego ojciec też jeszcze umiał po litewsku, toteż prof. Paszkiewicz z domu rodzicielskiego z lat dziecinnych wyniósł sympatie i tradycje litewskie, choć osobiście jest zupełnym Polakiem. Chodziło mu bardzo o utrwalenie w jakikolwiek sposób kontaktu z Litwą. Sposób też ten znalazł w postaci trzech stypendiów, o które się wystarał w Polsce dla młodych Litwinów, przyjeżdżających z Litwy niepodległej na studia ściślejsze do Polski za rekomendacją moją i dziekana Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicza. Od kogo pochodzą te stypendia – nie wiem. Czy są one rządowe, z polskiego Ministerium Oświaty, czy ze źródeł prywatnych, od jakiejś instytucji – nie dowiadywałem się, bo nie miałem okazji rozpytywać prof. Paszkiewicza. Rozporządza nimi osobiście prof. Paszkiewicz i młodzi stypendyści litewscy z nim tylko jednym w tej kwestii mają do czynienia. Stankaitis był pierwszym stypendystą Litwinem w Warszawie już w semestrze ubiegłym i jest stypendystą na rok akademicki bieżący. Stankaitis ukończył studia humanistyczne u nas, był czas jakiś sekretarzem w kancelarii Wydziału Humanistycznego i specjalizuje się w zakresie literatur słowiańskich. Będzie ewentualnym asystentem i zastępcą prof. Krėvė-Mickiewicza. Drugi, który właśnie się udał teraz do Polski, reflektując na stypendium prof. Paszkiewicza, jest młody prawnik ekonomista, asystent na naszym wydziale na sekcji ekonomicznej Padelski, młody, bardzo inteligentny, zdolny i miły, wykształcony i dobrze wychowany chłopiec, który pracuje nad dysertacją doktorską i odbywa studia doktoranckie, dla których właśnie chodzi mu o zdobycie materiału naukowego w Polsce. Kandydata na trzecie stypendium prof. Paszkiewicza w Warszawie prof. Krėvė-Mickiewicz ma w osobie pewnego młodego humanisty, którego nazwiska nie wiem. Stankaitis bardzo się zainteresował Polską, jej kulturą, jej zagadnieniami narodowo-państwowymi i problemem stosunku Polski do Litwy. Latem poznał Kraków, Zakopane, był w Poznaniu, na Pomorzu, w Gdyni, znalazł wielu gorących sympatyków Litwy, zapoznał się i wszedł w serdeczniejsze stosunki z kilku profesorami, od których doznał wiele serdecznej gościnności. Moim zdaniem, takie przebywanie młodych Litwinów w Polsce jest bardzo dodatnie. Dobrze jest, żeby w młodym społeczeństwie narodowym litewskim byli ludzie znający kulturę polską i stosunki polskie, bo młodzież litewska w dzisiejszych warunkach braku stosunków z Polską nic o Polsce nie wie i ma w stosunku do niej tylko uprzedzenie i ignorancję, zaprawioną nienawiścią, a to jest niezdrowe.

25 września, rok 1935, środa

Odbył się pierwszy po przerwie wakacyjnej obiad regularny Rotary-Clubu. Referacik, wygłoszony na wstępie, nie dodaje chluby Klubowi. Był to referacik członka Klubu inżyniera Landsberga „O Niemczech i Polsce", stanowiący wiązankę wrażeń osobistych autora z przejazdu automobilem przez te dwa kraje w podróży do Jugosławii na zjazd lotniczy. To, co Landsberg ze swych „spostrzeżeń" o Polsce mówił, to było od początku do końca jednym oszczerstwem złośliwym i fałszem. Suchej nitki nie zostawił ani na Krakowie, ani na

Warszawie, które zobrazował tak, jakg dyby one nie tylko Kownu litewskiemu, ale nawet Rakiszkom nie dorównały i w ogóle Polskę całą z błotem zmieszał. Może mu się tak szczerze wszystko takim wydało, ale też taką jest wartość takich wrażeń i spostrzeżeń z przejazdu przygodnego, gdy się jest uprzedzonym i gdy się na wszystko patrzy przez pewne nastawienie specjalne, nie chcąc i nie usiłując poznawać, jeno szukając za wszelką cenę potwierdzeń dla założeń z góry powziętych. Jakże inna jest relacja obszerna o Polsce drugiego Litwina patrioty Stankaitisa w liście, o którym wczoraj pisałem; tam człowiek poznał kraj i ludzi, wystudiował go, wrażenie i spostrzeżenia oparł nie na spekulacji uprzedzeniowej, lecz na szczerej chęci i usiłowaniu poznania i zrozumienia. Toteż coraz więcej się utwierdzam w tym przekonaniu, że kontakt Litwinów z Polską jest bardzo pożądany i że tylko na tym gruncie może zaistnieć w świadomości litewskiej (także polskiej) solidaryzm polityczny litewsko-polski, w który pomimo wszystko wierzę głęboko, jako w realny czynnik wolności bałtyckiej.

Przykrym niewątpliwie ciosem dla Rotary-Clubu jest aresztowanie Lapėnasa. Prezydium Klubu zawiesiło go oczywiście do czasu rozpoznania jego sprawy. Zdaje się, że mało jest szans na to, aby Lapėnas zdołał się oczyścić i wrócić do społeczeństwa, w którym dzięki narodowcom stał bardzo wysoko i wzbogacił się, dochodząc ze skromnej pozycji handlarza szkaplerzy na odpustach do pozycji dygnitarza, milionera i człowieka wielkich wpływów politycznych i ekonomicznych. Opinia publiczna już od dłuższego czasu była zwrócona przeciwko niemu i aresztowanie jego było raczej wnioskiem, niż przesłanką akcji publicznej na rzecz jego potępienia.

26 września, rok 1935, czwartek

Rozpocząłem dziś wykłady na sekcji ekonomicznej. Ekonomistom pierwszego roku, to znaczy I i II semestru, wykładam część ogólną prawa konstytucyjnego – dwie godziny tygodniowo, we czwartki od 9 do 11 rano. Audytorium nie było liczne, sala nie była wcale przepełniona, nie było i setki słuchaczy, co świadczy, że w ciągu roku, kiedy zainteresowanie nowością wykładów akademickich ostygnie, słuchaczy będę miał bardzo niewielu (mam na myśli słuchaczy stałych i systematycznych). Z roku na rok liczba studentów w ogóle na uniwersytecie i w szczególności na naszym Wydziale Prawniczym od lat kilku spada, zwłaszcza na sekcji prawniczej. Ekonomistów jest nieco więcej, niż prawników ścisłych.

Po wykładzie miałem posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Z inicjatywy Janulaitisa i Kazimierza Szołkowskiego mają być jeszcze ponowione starania o zreformowanie przepisów, dotyczących łączenia adwokatury z profesurą w celu umożliwienia Janulaitisowi i Szołkowskiemu powrotu do adwokatury, Bielackinowi zaś – powrotu do profesury. Co do Stankiewicza, to już nikt ani marzy o jego powrocie, bo wiadomo jest z góry, że po skompromitowaniu się jego w procesie zimowym Sassa, Neumanna i towarzyszy władze są stanowczo zdecydowane nie dopuścić do powrotu jego do profesury. Wszakże podobno szanse na rewizję tych przepisów – z wyłączeniem tylko Stankiewicza – istnieją. Podobno Prezydent Smetona skłania się na rzecz pewnych ustępstw. Dał to podobno do zrozumienia jego syn, Juliusz Smetona, który jest u nas przyjęty asystentem nadetatowym właśnie na katedrze prawa cywilnego jako pupil naukowy Bielackina. W tych dniach my z dziekanem Wacławem Biržišką mamy w tej kwestii prosić o audiencję u Prezydenta. Niezależnie wszakże od tego Rada Wydziału powzięła już dziś pewne decyzje co do zapełnienia niektórych przynajmniej luk, wytworzonych przez ustąpienie profesorów adwokatów, zresztą zwłaszcza w stosunku do luk z ustąpienia Stankiewicza, co do którego powrotu żadnej zgoła nadziei nie ma. Wykłady historii filozofii prawa począwszy od semestru wiosennego zlecono asystentowi Olgierdowi Penkaitisowi, zaś wykłady części ogólnej prawa karnego – po dwie godziny tygodniowo – zlecono asystentowi Jurgutisowi (nie profesorowi Jurgutisowi).

27 września, rok 1935, piątek

Aresztowanie Lapėnasa pod zarzutem malwersacji, dokonane przed 10 dniami z mocy decyzji sędziego śledczego, jest wypadkiem w każdym razie sensacyjnym, który sprawił wielkie wrażenie, choć nie był zupełnie niespodziewany. Dużo uwag nasuwa się przy tej okazji i warto o tej całej rzeczy w dzienniku nadmienić do szeregu dokumentów chwili. Sam przez się Lapėnas jest osobnikiem niezupełnie zwykłym. Jest on żywym świadectwem tego, że nie tylko w stosunkach amerykańskich może się wydarzyć, że człowiek dochodzi nagle z nizin społecznych do potęgi i wielkiego bogactwa, stając się w ciągu jakichś lat 10 z biedaka multimilionerem. Ale również jak nagły jest skok na wyżynę, tak gwałtowny bywa upadek. Przeszłość Lapėnasa jest dość obskurna i mało znana. Wiadomo, że jest to człowiek ze sfer niższych, bez wykształcenia, parweniusz, którego los tylko wydźwignął, ale raz dźwignięty – zdołał szybko awansować, bo spryt ma wielki i głowę pierwszorzędną, a bodaj i sumienie giętkie, choć umie działać ostrożnie i zachować takt. Zdaje się, że jest kreaturą księdza dziekana Mironasa, obecnego głównego kapelana wojskowego, człowieka mądrego, narodowca, przyjaciela osobistego Prezydenta Smetony i człowieka wielkich wpływów politycznych w rządzie obecnym. Ksiądz Mironas był księdzem w diecezji wileńskiej, dziekanem w powiecie trockim i, zdaje się, proboszczem w Mereczu. Był tam wybitnym działaczem narodowym litewskim w stosunkach kościelnych na gruncie walk polsko-litewskich kościelnych. Jest to człowiek przekonań, dobrej głowy i silnej woli. Nie jest karierowiczem, ale władzę i wpływy lubi. Był w opozycji do Chrześcijańskiej Demokracji i u kleru litewskiego nie był i nie jest popularny. Za to w obozie narodowców jest potęgą, która zakulisowo bardzo dużo waży i dużo robi. Otóż zdaje się, że za czasów, gdy Mironas był dziekanem w Mereczu, poznał on tam Lapėnasa, który jeździł po festach i odpustach w obecnym powiecie olickim i trudnił się handlem szkaplerzami, które sprzedawał w budkach pod kościołami. Tyle słyszałem o przeszłości Lapėnasa. Ksiądz Mironas ocenił głowę i zdolności wybitne Lapėnasa i gdy narodowcy doszli do władzy, zaprotegował go, a raczej nastręczył rządowi do różnych akcji gospodarczych. Do czego użyto Lapėnasa i do czego on rękę przyłożył – wszystko się dobrze udawało. Przeprowadził zręcznie różne transakcje gospodarcze, wykazał spryt i zręczność. Zbliżył się do prezydentury, stał się jednym z ludzi zaufanych u narodowców, „swoim” człowiekiem w kółku poufnym prezydentowej, opatrznościowym kombinatorem wszelkich agend finansowych i gospodarczych rządu. Szybko też sam obrastał w pierze i rósł w bogactwo. Został dyrektorem naczelnym „Maistasu”, ześrodkowującego eksport mięsa i wielką produkcję wyrobów mięsnych, którego akcja jest bardzo ściśle powiązana z całym gospodarstwem hodowlanym w kraju.

28 września, rok 1935, sobota

Byliśmy dziś z dziekanem Wacławem Biržiškę na audiencji u prezydenta Smetony. Chodziło o uzyskanie poparcia na rzecz zreformowania przepisu, zabraniającego kategorycznie łączenia adwokatury z profesurą. W szczególności chodzi konkretnie zwłaszcza o Bielackina, bez którego wydział nie jest w stanie zaopatrzyć katedrę prawa cywilnego. W zasadzie reforma polegałaby na uzależnieniu połączenia profesury z adwokaturą od zezwolenia ministra oświaty (prezydent wnosi poprawkę, aby zezwolenie ministra oświaty było skombinowane z porozumieniem z ministrem sprawiedliwości). Na ogół prezydent poradził nam zwrócić się wpierw w tej materii do prezesa ministrów Tubelisa.

Przy tej okazji poruszyłem u prezydenta kwestię nominacji dr Gudowicza na stanowisko profesora katedry chorób wewnętrznych na Wydziale Medycznym. W tej kwestii był u mnie wczoraj dziekan Wydziału Medycznego prof. Lašas, prosząc mię o poparcie kandydatury Gudowicza wobec prezydenta, albowiem minister oświaty Tonkunas jest dość ujemnie usposobiony do tej kandydatury. Tonkunas był zaprosił do siebie Lašasa w tej kwestii i na razie dość ostro krytykował kandydaturę Gudowicza, ale i Lašas energicznie jej

bronił, tak że wreszcie Tonkunas, który na ogół jest bardzo twardy, nieco zmiękł. W poniedziałek Tonkunas ma referować prezydentowi sprawę tej kandydatury. Chociaż po rozmowie z Lašasem Tonkunas zmiękł, ale Lašas pewny dobrego skutku nie jest i obawia się, że jeżeli prezydent będzie przeciwny, to rzecz może upaść, bo na energiczne poparcie Tonkunasa zbyt liczyć nie można. Mnie osobiście kandydatura Gudowicza też bardzo leży na sercu, bo wiem, że Gudowicz bardzo się do profesury zapalił i odmowa nominacji bardzo by go zabolała. Mam dla Gudowicza wielki osobisty dług wdzięczności za uratowanie mi w zeszłym roku życia, skądinąd zaś uważam jego kandydaturę za dodatnią: jest on bądź co bądź wybitnym i doświadczonym praktykiem, postawiłby dobrze klinikę, kwalifikacje formalne ma, a że jest w podeszłym wieku (ma lat 59 czy 60) – to raczej dobre, bo nie zamarynuje katedry, a przez te kilka lat wyrobi dla siebie wykwalifikowanego następcę. Prezydent większych obiekcji przeciwko kandydaturze dr Gudowicza nie ma. Mam nadzieję, że nominacja dojdzie do skutku.

Był u mnie z wizytą niejaki p. Józef Borowik z Polski – z Torunia czy Gdyni, wykazujący się tytułem dyrektora Instytutu Bałtyckiego, wydającego po angielsku jakieś czasopismo poświęcone sprawom bałtyckim w szerokim znaczeniu (ze Skandynawią włącznie). Ten pan, niegłupi, choć mający pewne pozory blagiera, objeżdżał właśnie kraje skandynawskie i bałtyckie i dotarł do Litwy. Zresztą z urodzenia jest Kownianinem, gdzie jego rodzice kiedyś mieli domek. Chodzi mu o kontakt z Litwą i o wciągnięcie jej do aktywizmu bałtycko-morskiego. Porozumiewał się tu z Pakštasem, Kołupajłą, ma się porozumieć jeszcze z Wacławem Biržišką i Dovidaitisem.

29 września, rok 1935, niedziela

Dzień św. Michała. Moje imieniny. Dawno się gotowała do nich kochana Jadźka, która w swoim samotnym, naszym tylko stosunkiem serdecznym, naszą miłością jako jedynym, chociaż silnym i wielkim ogniskiem, opromienionym życiu z radością skwapliwą chwyta się okazji jakiegoś przyjęcia lub uroczystości domowej, aby szarugę wegetacyjną codzienną zapełnić jakąś treścią celu doraźnego i jaskrawszego i energii czynnej, której ma w swej naturze pięknej zapas niespożyty. Kochana kobieta wielkiej wartości charakteru, której, niestety, dać nie jestem w stanie warunków szczęścia zupełnego w środowisku społecznym i cywilizacyjnym, w którym życie nasze się iści.

Do dnia moich imienin zastosowała swój powrót z wakacji do męża do Polski Ewa Meyerowa. Wczoraj przyjechała ona z córeczką Lizą czy Lizią z Bohdaniszek, aby spędzić ten mój dzień imieninowy u mnie w Kownie i jutro odjechać przez Jewje na stronę polską. Jednocześnie na spotkanie z Ewą i na jej pożegnanie zapowiedzieli się Stefanostwo Römerowie z Szaszewicz. Oto i wszyscy moi goście imieninowi: Ewa z córeczką, której czekała z upragnieniem Renia, i Stefan Römer z żoną, a na obiad jeszcze – mój pupil Feliks Mackus, któremu przyznano stypendium na studia doktoranckie i który niebawem wyjeżdża w tym celu do Paryża; poza tym domownicy: Jadzia z Renią, Andrzej Mieczkowski i ja. Miał być jeszcze Diskin, ale mu coś przeszkodziło – musiał wyjechać. Od rana zacząłem przyjmować powinszowania. Jadźka ofiarowała mi ładną, ozdobnie i z gustem przez nią wyszytą serwetę na stół jadalny, Renia – wyszytą poduszkę na kanapę, a Ewa przywiozła mi z Bohdaniszek w darze imieninowym od Steni Römerówny... wycięte z papieru laleczki (sic!), mające mi przypominać dar imieninowy z moich czasów dziecinnych od Maryni. Marysia Römerowa przywiozła z Szaszewicz tort, a jedna z byłych studentek moich, której w tym roku okazałem pomoc w znalezieniu pracy, Żydówka Masza Zivaitė przysłała mi duży piękny kosz kwiatów żywych. Poza tym płynęły depesze gratulacyjne.

Poświęciłem w drodze wielkiego wyjątku cały dzień imieninom. Nie siadałem do pracy i jedynie dziennik napisałem. Rano koło godz. jedenastej w towarzystwie Ewy, Jadzi i małych Reni i Lizy udałem się na przejażdżkę. Pojechaliśmy automobilem na aerodrom, gdzie

obserwowaliśmy przylot i odlot samolotów osobowych Dornluftu, co jest zawsze widowiskiem interesującym i ponętnym i co było wielką nowinką dla Lizy, a może i dla Ewy. Z aerodromu po odlocie samolotów pojechaliśmy na Fredę na mój placyk, niestety, pusty, ale miły i piękny. Wróciliśmy do domu na obiad, który Jadźka zgotowała wspaniały. Były śledzie marynowane w pomidorach i marchewce, rolmopsy, pasztet z wątróbki prosięcej i jeszcze świetniejsza rolada z jajkiem, kura na zimno pod majonezem, zupa wyśmienita z pomidorów na bulionie kurzym z pierogiem, pieczyste z kaczki, pieczyste z indyka z brusznicami, mazurek cygański do kawy, keks, słowem – poezja przysmaków imieninowych, do których ja dodałem butelkę wódki angielskiej gorzkiej i butelkę wina mocnego. Wstaliśmy ciężcy od obiadu, a Jadźka była rozpromieniona, że się jej udało. Następnie z Ewą, Jadzią, dziećmi, Andrzejem i Mackusem poszliśmy na piękną ceremonię spuszczania sztandaru w ogródku Muzeum Witolda u pomnika Nieznanego Żołnierza, aby tę ceremonię Ewie zaprezentować, wreszcie byliśmy na czekoladzie na dancingu w cukierni „Aldona". Tak mi zeszły te imieniny. Jadźka obżałowana, że się skończyły. Jutro odprowadza ona Ewę do Jewja.

30 września, rok 1935, poniedziałek

Do rąk moich trafił ostatni numer „Vyriausybė Žinios", organu urzędowego ustaw, w którym ogłoszona jest nowela ustawowa, dotycząca epizodycznej, ale bardzo ważnej i charakterystycznej, ale wcale nie przyjemnej, reformy statutu uniwersyteckiego. W myśl dotychczasowych przepisów statutu obowiązującego, kandydatów na członków wyższego personelu nauczającego na uniwersytecie, to znaczy profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych oraz docentów, zgłasza senat akademicki na podstawie uchwał odpowiednich wydziałów, minister oświaty przedstawia zgłoszonych kandydatów prezydentowi Rzeczypospolitej do nominacji. Mianują więc prezydent, ale inicjatywa zgłaszania kandydatów należy do uniwersytetu. Otóż teraz nowela, o której mówią, udziela ministrowi oświaty prawa przedstawiania także kandydatów z jego własnego wyboru. To znaczy, minister może sam zgłaszać kandydatów konkurencyjnych w stosunku do kandydatur płynących z uniwersytetu. Jest to bardzo jaskrawe ograniczenie samorządu uniwersyteckiego w jednym z najistotniejszych jego elementów. Rzecz jest bardzo przykra i dziwi mię bardzo to, że o zamierzeniu tej reformy czynniki uniwersyteckie nie były wcale uprzedzone ani powiadomione i zarówno rektor, jak senat akademicki i cała profesura dowiadują się o tym dopiero po fakcie dokonanym ze szpalt „Vyriausybės Žinios". Jest to jaskrawy przejaw ignorowania uniwersytetu i braku zaufania do niego. Rzecz jest bardzo przykra. Nie tylko ta reforma sama przez się, ale może jeszcze bardziej sposób jej wykonania jest ciosem upokorzenia dla uniwersytetu. Nawet już po ogłoszeniu tej noweli, gdym jeszcze o niej nie wiedział, ani prezydent Smetona, u którego byłem w sobotę, ani minister Tonkunas, u którego dziś byłem, nic mi o niej nie wspomnieli. We czwartek zreferuję o tym na posiedzeniu senatu akademickiego. Być może ani rząd w całości, ani prezydent, ani minister Tonkunas nie zdają sobie sprawy z tego, jak podkopują oni przez to powagę uniwersytetu, choć sami wciąż mają na ustach żądanie, aby władze uniwersyteckie sprężyściej ujęły w ręce dyscyplinę i wychowanie młodzieży akademickiej. Jeżeli same władze nie szanują władz akademickich i rozzuchwalają przez to tych, którzy uniwersytet lekceważą i doskonale wyczuwają upokorzenie zadane uniwersytetowi – a takich jest niemało wśród studentów, chętnie się poddających pokusie osła, brykającego powalonego lwa albo kozy, skaczącej na pochyłe drzewo, to jakże mogą chcieć, aby sprofanowany uniwersytet miał powagę i autorytet do spełniania energicznej funkcji wychowawczej i dyscyplinarnej.

Mam wrażenie, że ta nowela wypłynęła z opozycji pierwotnej ministra Tonkunasa kandydaturze dr Gudowicza, choć, zdaje się, teraz, jak się dziś z rozmowy z Tonkunasem przekonałem, kandydatura dr Gudowicza jest na dobrych torach. Tak się przynajmniej zdaje,

choć jeszcze decyzja w tej kwestii jest na razie odroczona. Tonkunas już się prawie nie waha, aczkolwiek jeszcze zwleka.

1 października, rok 1935, wtorek

Rozpocząłem wykłady prawa konstytucyjnego litewskiego na III semestrze obydwóch sekcji – prawniczej i ekonomicznej. W tym roku już nie czytam ich z rękopisu, jak w roku ubiegłym, kiedym te wykłady po raz pierwszy rozpoczął. Rękopis zeszłoroczny przygotowuję obecnie do druku, zaś do wykładów tegorocznych poczyniłem z tego rękopisu notatki. Wykład inauguracyjny dzisiejszy udał mi się świetnie. Wykłady te prowadzić będę w tempie przyśpieszonym, aby poza przerobieniem materiału przeszłorocznego podpędzić wykład historyczny ewolucji konstytucyjnej litewskiej ile można dalej naprzód w okolice przewrotów, dokonanych przez zamachy stanu z lat 1926 i 1927.

Zdaje się, że nowela, reformująca przepisy statutu uniwersyteckiego w przedmiocie nominacji profesorów, nie jest li tylko związana z kandydaturą dr Gudowicza, jak to wczoraj przypuszczałem. Nowela ta przyjęta została na tym samym posiedzeniu Gabinetu Ministrów, na którym był odrzucony wniosek o zreformowaniu zakazu łączenia profesury z adwokaturą. Otóż są pogłoski, że nowela ta została uchwalona w tym celu, aby dać rządowi broń na wypadek, gdyby uniwersytet, niezadowolony z utraty profesorów adwokatów i chcąc dać rządowi poczuć całą szkodliwość tej utraty, usiłował w drodze pewnego sabotażu nie wybierać nikogo na miejsce profesorów, których stracił i utrzymywać wakans na odpowiednich katedrach. Podobno był to pomysł Šilinga, który się zawziął i lubuje się w pognębieniu uniwersytetu. Mówią nawet, że rząd zupełnie konkretnie ma na myśli Karola Żołkowskiego jako kandydata rządowego na katedrę prawa karnego – do mianowania trybem tej noweli. Podobno tak się o tym wygadał minister Šniukšta, który spotkał Żołkowskiego i składał mu już awansem powinszowania rychłej nominacji profesorskiej. Czy Żołkowski przyjąłby nominację w tym trybie, prowokującą wydział, do którego sam jako asystent należy – pozwalam sobie wątpić. Ale zresztą nominacja Żołkowskiego byłaby przeciwna prawu, bo nie posiada on ani stopnia naukowego, ani prac naukowych, a przeto nie ma kwalifikacji ustawowych.

2 października, rok 1935, środa

Wreszcie przyleciał dziś do Kowna lotnik Vaitkus. Nie na swojej „Lituanice II”, która po awarii w Irlandii okazała się tak mocno uszkodzona, że rychła jej naprawa jest niewykonalna. Vaitkus doczekał się w Londynie przyjazdu żony z Ameryki i wyleciał czy też przyjechał stamtąd do Berlina. Władze niemieckie odmówiły zezwolenia na przylot do Berlina samolotu litewskiego po Vaitkusa. Wobec tego Vaitkus wyjechał wczoraj pociągiem z Berlina na Kłajpedę, do której przybył dziś rano. Do Kłajpedy posłano po niego aeroplan litewski z Kowna, którym też Vaitkus dziś koło godz. piątej przyleciał do Kowna w asyście sześciu innych aeroplanów litewskich. Przyjęcie Vaitkusa w Kownie było wspaniałe. Nie byłem osobiście na aerodromie, jeno słuchałem stamtąd translacji przez radio i poza tym miałem sprawozdanie ustne od Jadzi i Andrzeja, którzy tam byli. Na aerodromie zgromadziło się do 30 tysięcy ludzi. Widowisko było ładne i entuzjazm publiczności – ogromny. U Litwinów rozgorzał temperament na wzór południowy. Porządek był jednak dobrze utrzymany. Okrzyki, owacje nie miały końca. Uroczystość celebrował prezes aeroklubu prof. Zygmunt Žemaitis wraz z panią Tubelisową. Były przemówienia powitalne, sam Vaitkus przemówił też krótko przez radio. Vaitkusa nie tylko obdarowano bukietami, ale też obrzucano go ze wszech stron kwiatami. Odjechał Vaitkus z aerodromu automobilem ozdobionym kwiatami, tonąc w bukietach, przez szpalery tłumów aż do samego miasta i w mieście, owacyjnie obwoływany i wciąż obrzucany kwiatami. Vaitkus w asyście udał się wprost do gmachu Wydziału Medycznego, gdzie są przechowywane zabalsamowane zwłoki

jego bohaterskich poprzedników – Dariusa i Girėnasa, którym złożył hołd. Będą jeszcze różne uroczystości dla Vaitkusa. Stał się on kochankiem tłumu, bohaterem dnia i ukochaniem narodowym. Entuzjazm tłumu roznieca się pędem owczym jak psychoza. Ale entuzjazm to zdrowy i postać Vaitkusa, człowieka bardzo „*simple*", jest bardzo sympatyczna, a jego lot przez Atlantyk był zaiste piękny i pełny temperamentu odruchowego.

Nic jeszcze z wyborów kłajpedzkich nie wiadomo. Głosy nie zostały policzone.

3 października, rok 1935, czwartek

Wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Na pierwszy punkt porządku dziennego wniosłem sprawę noweli, ogłoszonej w d. 27 września i reformującej przepisy statutu uniwersyteckiego w przedmiocie nominacji profesorów. Członkowie senatu wiedzieli już wszyscy o tej noweli i czytali ją. Zresztą trudno było nie wiedzieć, bo całe miasto o niej mówi i różne na jej temat komentarze i wnioski snuje. Zreferowałem nowelę, krótko zanalizowałem jej przepisy i istotę, stwierdziłem dobitnie, zaznaczając to wyraźnie do protokółu, że dokonanie tej reformy, bardzo radykalnej i jaskrawej, łamiącej zasadniczo całą konstrukcję statutową, a więc nie stanowiącej bynajmniej jakiejś jeno poprawki detalicznej, odbyło się nie tylko bez konsultacji organów uniwersyteckich, ale nawet zgoła bez ich wiedzy, bez poinformowania ich nawet o tym, tak że ja, rektor, jak również członkowie senatu akademickiego i cała profesura uniwersytetu dowiedzieliśmy się o reformie dopiero po fakcie dokonanym, ze szpalt „Vyriausybės Žinios", co do mnie nawet – to dopiero w trzy dni po wyjściu z druku „Vyriausybės Žinios", w poniedziałek 30 lipca, zupełnie przypadkowo. Stwierdziłem też (do protokołu), że nowela ta jest skierowana wyraźnie przeciwko uprawnieniom statutowym dotychczasowym uniwersytetu i że powyżej scharakteryzowany sposób dokonania reformy jest w jaskrawej sprzeczności z tak często – i to nawet w ostatnich czasach zastrzeganą przez ludzi z rządu potrzebą ścisłego kontaktu bezpośredniego między władzami uniwersyteckimi a państwowymi. Wniosków w moim oświadczeniu nie poczyniłem żadnych, ale wnet członkowie senatu zaczęli je wyciągać. Jedni wnosili zwołanie Rady Uniwersyteckiej, inni – dymisję rektoratu i dziekanów *in corpore*, inni – zwrócenie się do Prezydenta Rzeczypospolitej bądź z memoriałem, bądź z prośbą o audiencję ustną. Na ogół jednak solidarność członków senatu w ocenie sytuacji i stwierdzeniu konieczności zareagowania była zupełna. Że może się zarysować ewentualność dymisji zbiorowej – to już z góry wyczuwałem, choć sam tej inicjatywy pierwszy nie podniosłem, czekając, aby się wpierw członkowie senatu wypowiedzieli. Jestem zresztą zupełnie solidarny w tym reagowaniu aż do dymisji zbiorowej włącznie. Uważam to za obowiązek honoru i powołania. Ostatecznie plan reagowania przyjęty został taki (jego elementy ustalone zostały w precyzowaniu moim): zwrócimy się przede wszystkim z prośbą o audiencję ustną u Prezydenta dla całego senatu akademickiego *in corpore*; o decyzji proszenia audiencji mam uprzedzić ministra Tonkunasa; jeżeli Tonkunas stanowczo się oprze audiencji albo Prezydent jej odmówi – ja, obaj prorektorowie i wszyscy dziekani podamy się do dymisji. Audiencję mieć chcemy ustną, bez memoriału uprzednio spisanego, rezerwując ewentualną ekspozycję pisemną naszych postulatów i sądów albo do memoriału po audiencji, albo do motywów dymisji zbiorowej. O ile do audiencji dojdzie, to dalsza akcja uzależniona będzie od wyników tejże.

Ujawnia się, że inicjatorem tej noweli niefortunnej był znowuż minister Šiling, zawołany wróg uniwersytetu, obskurant, intrygant i zły duch rządów obecnych – wielki szkodnik Litwy. Zgnębienie uniwersytetu, podeptanie wszystkiego, co tchnie jeszcze resztką niezależności wobec fantazji pomysłów p. Šilinga – to jest namiętność tego złośliwego, aczkolwiek w swoim intryganctwie szczerego człowieka.

4 października, rok 1935, piątek

Nic nowego w sytuacji uniwersyteckiej. Do ministra oświaty Tonkunasa dla zakomunikowania mu uchwały senatu, proszącej o audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej, udamy się z prorektorem Česnysem jutro. Jak się zachowa minister Tonkunas – trudno przewidzieć. Jeżeli będzie przeciwny tej audiencji, nie będzie ona mogła formalnie dojść do skutku, ale to by właśnie zaostrzyło niesłychanie sytuację i doprowadziło do kategorycznego kryzysu uniwersyteckiego, który z pewnością nie będzie na rękę ani rządowi, ani państwu. Ale tak być musi. *Est modus in rebus*, a jeżeli rząd z takim „*modus*" liczyć się nie zechce i będzie zdecydowany kroczyć drogą lekceważenia uniwersytetu, wykazanego w świeżo dokonanej „reformie", to odpowiedzialność za skutki ponosić będzie sam. Nic na to nie poradzimy. Nie umiem zgoła wyrozumieć, jaka jest pozycja Tonkunasa w sprawie tej „reformy". Być może nie orientuje się on wcale w wadze tego zarządzenia. Mogłoby się to zdawać z tego, że gdym był u niego w poniedziałek już po ogłoszeniu „reformy", o której zresztą ja nic jeszcze wtedy nie wiedziałem, Tonkunas ani wspomniał o tym, jak gdyby rzecz ta nie istniała. Może jednak nie wspomniał dlatego, że ja też nie poruszałem tego, a Tonkunas mógł nie wiedzieć, że mnie to nie jest jeszcze wiadome; może sądził, że skoro nie wspominam, to uważam to za zupełnie naturalne. Niektórzy przypuszczają, że Tonkunas jest zahukany w Gabinecie Ministrów i wpływów tam wielkich nie ma i nie jest w stanie oprzeć się ofensywie Šilinga, szukającego pognębienia uniwersytetu. Jak nie zdołał obronić w gabinecie przeciwko Šilingowi poprawek do rugów profesorów adwokatów, tak nie zdołał może pokierować i tą sprawą. Może... Ale może jest i przeciwnie. Bądź co bądź, Tonkunas – to nie jego poprzednik – słaby i niezdecydowany Šakenis. Tonkunas jest twardy, uparty, wyraźny, niełatwo ustępuje, gdy jest na coś zdecydowany lub o czymś przekonany. W stosunku do uniwersytetu trzyma się też raczej polityki twardej ręki. Być może więc sam uważał taką reformę, dającą ministrowi radykalny środek pognębienia i szachowania dowolnego uniwersytetu, za pożądany i „na wszelki wypadek" użyteczny. Niektórzy się dziwią, że Tonkunas, który sam z profesury (i z rektoratu Akademii Rolniczej) wyszedł, tak mało wyczuwa i rozumie zasady akademickie. Ale charakterystyczne jest, że narzędziem pognębieniu uniwersytetów często bywają właśnie ministrowie, którzy sami są ze świata akademickiego, jak niegdyś minister prof. Kasso w Rosji, jak również narzędziem pognębienia niezawisłości sądów bywają często właśnie ci ministrowie sprawiedliwości, którzy sami z kadrów stanu sędziowskiego pochodzą: doskonałym przykładem był właśnie minister sprawiedliwości Karoblis za rządów chrześcijańsko-demokratycznych w Litwie. Nikt bardziej nie lekceważył niezawisłości sędziów, jak właśnie Karoblis, który sam był poprzednio sędzią.

5 października, rok 1935, sobota

Byliśmy w prorektorem Česnysem w Ministerium Oświaty, ale ministra nie zastaliśmy. Tonkunas co sobotę wyjeżdża do Datnowa. Wobec tego udamy się do niego w poniedziałek. Pogłoski o konflikcie uniwersyteckim i ewentualnej dymisji rektoratu i dziekanów już się zaczynają szerzyć. Już ciekawi napomykają o tym i dziennikarze zaczynają się zgłaszać. Dziennikarzy odprawiam, zbywając ich krótkim oświadczeniem, że żadnych decyzji nie ma.

Dziwi mię, że rząd, którego pozycja jest bardzo słaba, brawuje sytuację, angażując się nieopatrznie w konflikt z uniwersytetem, który, jak sądzę, mieć będzie w razie zatargu opinię publiczną po swojej stronie. Ferment przeciwko rządowi w kołach wojskowych, w szerokich kołach włościan, zwłaszcza w Suwalszczyźnie, także wśród młodzieży akademickiej – narasta. Czuć w powietrzu niepokój, niepewność. Nastroje jak przed przewrotem. Na uniwersytecie wśród młodzieży gotują się jakieś poruszenia. Gabinet Tubelisa jest bardzo niepopularny. Na razie wystarczyłoby radykalnej rekonstrukcji gabinetu. Jak słychać, świeżo też magistratura sądowa wystąpiła z pewną akcją przeciwko Šilingowi, zwracając się do Prezydenta, ale znowu Šiling podobno zwyciężył. Nie tylko się utrzymał, ale powiadają, że na

skutek tego wyleciał prokurator Trybunału Kalvaitis, przeniesiony w stan spoczynku (do emerytury). Ten złośliwy karzeł wszędzie szkodzi, intryguje, psuje, wszędzie się wtrąca – i do uniwersytetu, i do polityki zagranicznej, i do polityki wewnętrznej.

Dziś po obiedzie byłem na herbatce, którą Towarzystwo Franko-Litewskie urządziło dla nowego posła francuskiego w Litwie – p. Dulong. Zabawiłem się na tej herbatce w lokalu restauracji „Pažangi" przyjemnie. P. Dulong, z zawodu historyk, uczeń Ecole des Chartes w Paryżu, mniej mi się podobał od swego poprzednika p. Ristelhuebera. Szczupły, długi, dość sztywny, o zimnym spojrzeniu, z tikiem nerwowym w ustach. Ale przechodziłem od stolika do stolika, bawiłem się rozmową, miałem werwę, konwersowałem (po francusku) z pułkownikiem Griniusem, który jeździł w lipcu do Laponii i natrafił tam na ślady mojego pobytu, z docentem Baltrušaitisem i jego żoną Francuzką, z Soblysem i innymi.

6 października, rok 1935, niedziela

Rano kilka godzin pozować musiałem znowu Zosi Römerowej do portretu, który namalowała w lipcu, a teraz wykańcza, choć wygląda zupełnie wykończony i jest doskonały.

Po obiedzie byli u mnie Kriwicki i Konstanty Raczkowski, z którymi odbyłem szczegółową naradę co do ujmowania problemu zwierzchnictwa Litwy i przepisów ograniczających konwencji w stosunku do Kłajpedy – w moich odczytach, przygotowywanych dla Paryża na listopad lub grudzień.

Na obiedzie był u mnie mój były pupil, obecnie – asystent, Feliks Mackus. Na wniosek wydziału otrzymał on od Ministerium Oświaty stypendium i już się niebawem wybiera do Paryża na dalsze studia uzupełniające jako doktorant – dla przygotowania się do doktoratu, który będzie musiał u nas po powrocie dostać. Jest poruszony. W ogóle nigdy dotąd nie był za granica, a tu od razu – do Paryża! I nie na zwykłe studia akademickie, w których student trafia na pewien z góry ułożony system studiów, skanalizowanych w określony program dyscyplin i wykładów, ale na studia samodzielne, w których sam musi dokonać wyboru i skanalizować swoją pracę. Dla młodego chłopca, który dopiero co wyszedł z naszej ławy uniwersyteckiej, nie jest to zadanie łatwe. Orłem Mackus może nie jest, nie grzeszy też nadmiarem ruchliwości, ale jest niegłupi, zdolny, uważny i mam nadzieję, że da sobie radę i że się zabierze do pracy poważnie.

7 października, rok 1935, poniedziałek

Rozpocząłem rano wykłady moje studentom I semestru sekcji prawniczej. Tą drogą cały cykl moich wykładów semestralnych już rozpoczęty. Jestem w zupełnym toku mojej kampanii akademickiej jak koń roboczy w zaprzęgu.

O godz. pierwszej udaliśmy się z prorektorem Česnysem do ministra Tonkunasa dla oświadczenia mu o naszym postanowieniu wyjednania u Prezydenta Rzeczypospolitej audiencji dla całego senatu akademickiego *in corpore* w związku z ogłoszoną przed 10 dniami nowelą do statutu uniwersyteckiego. Zakomunikowałem zwięźle ministrowi, że nowela ta, przyjęta i ogłoszona nie tylko bez porozumienia z uniwersytetem, ale nawet bez poinformowania władz akademickich, które dowiedziały się o niej dopiero po fakcie dokonanym ze szpalt „Vyriausybės Žinios", bardzo radykalnie godzi w całą konstrukcję statutową uniwersytetu, toteż senat akademicki, opierając się na nieraz zaznaczanej przez p. Prezydenta gotowości do bezpośredniego kontaktu z władzami uniwersyteckimi, gdy zachodzi coś ważnego, uznał, że właśnie taka potrzeba zachodzi i postanowił prosić o audiencję, o czym p. ministra zawiadamia. Minister wysłuchał, nie uczynił żadnego zastrzeżenia lub uwagi, nie spróbował nawet podnieść kwestii noweli *in merito* i tylko oświadczył, że nic zgoła przeciwko takiej audiencji nie ma. Jaki jest osobisty stosunek Tonkunasa do tej noweli – tego Tonkunas nie dał zgoła poznać po sobie. Česnys nadmienił, że może by minister też zechciał w tej audiencji wziąć udział, na co Tonkunas odparł krótko,

że o ile Prezydent tego zażąda, to on będzie. Na tym się ta kwestia oberwała. Dalej rozmawialiśmy jeszcze czas jakiś o innych zgoła pilnych sprawach bieżących, nie mających nic zgoła wspólnego z tą nowelą i jej konsekwencjami lub stosowaniem i tej kwestii nie dotknęliśmy.

Jutro zwrócę się do adiutantury Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o udzielenie przez Prezydenta audiencji senatowi.

8 października, rok 1935, wtorek

Rano udałem się do gmachu Prezydentury, gdzie zgłosiłem u adiutanta Šliogerisa (mojego byłego ucznia akademickiego) prośbę do Prezydenta o udzielenie Senatowi akademickiemu *in corpore* audiencji. Odpowiedzi adiutantura ma mi udzielić jutro. Choć odwołanie noweli mogłoby być dla rządu trudne i nawet nieco kompromitujące jako przyznanie się publiczne do błędu, to jednak mam nadzieję, że Prezydent Smetona z właściwym mu taktem znajdzie jakieś wyjście kompromisowe z sytuacji i w każdym razie coś łagodzącego do sytuacji wniesie. Jestem dość dobrej myśli, choć trudno zaprzeczyć, że problem nie jest bynajmniej prosty.

Po południu w moim gabinecie rektorskim odbyło się posiedzenie prezydium naszej Komisji litewskiej Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej w osobach mojej, prof. Janulaitisa, prof. Galauni i sekretarza generalnego Komisji dr Soblysa. Prezydium komisji w ostatnich czasach mniej sprężyście pracuje, niż w roku zeszłym, bo Soblys, jako dyrektor nowego Instytutu Pedagogicznego w Kłajpedzie, tam przeważnie przebywa. Ale na ogół Soblys nie zaniedbuje spraw komisji. Wykonał on całą korespondencję z komisjami narodowymi łotewską, estońską i fińską w sprawie Konferencji Bałtyckiej tych komisji w Kownie, o czym już ja się z nimi porozumiewałem ustnie w czerwcu. Otóż konferencja ta dochodzi do skutku i ma się odbyć w ostatnich dniach bieżącego miesiąca. Z Helsinek ma przyjechać prof. Langfors, z Tartu – prof. Piip i prof. Puseps, z Rygi – prof. Adamovičs. Omówiliśmy program konferencji; poszczególne referaty już objęli goście łotewscy, estońscy i fińscy, dwa dodatkowe referaty zleciliśmy Soblysowi i Galauni. Ja mam otworzyć konferencję.

Na śniadanie byłem zaproszony do posła francuskiego p. Dulong, gdzie był też obecny wybitny dziennikarz francuski p. Gillet (zdaje się, że tak się nazywa) – gość z Paryża, który wczoraj wygłosił odczyt w Towarzystwie Franko-Litewskim. Na śniadaniu, prócz gościa z Paryża i posła p. Dulong, byli obecni: sekretarz poselstwa p. de Neyrac, Urbšys z żoną, docent Baltrušaitis z żoną, p. Avetinaitė, prof. Jonynas, dr Soblys i ja. Gość paryski – człowiek dość ciekawy i bardzo charakterystyczny Francuz starszego pokolenia.

Wśród młodzieży akademickiej – ferment. Dochodzą wciąż głuche wieści, że poszczególne grupy studenckie – i to nie tylko z kół lewicy lub chrześcijańskiej demokracji, ale także z narodowców i dawnych prorządowców, jak nawet „Neo-Lithuania" – gotują się do jakichś wystąpień przeciwko rządowi, do jakichś oświadczeń demonstracyjnych. Na wiadomości te wskazuje wciąż rząd i dochodzą nas one też inną drogą. W niedzielę ze względu na niebezpieczeństwo takich wystąpień wypadło cofnąć pozwolenie na zebranie kolejne tzw. „semestru kłajpedzkiego", zainicjowanego w ubiegłym roku akademickim przez związek stowarzyszeń akademickich litewskich, na którym prywat-docent Kriwicki miał wygłosić referat. Były wieści, że po referacie Kriwickiego posypią się przemówienia o zabarwieniu politycznym antyrządowym. Dla tych samych przyczyn na żądanie ministra Tonkunasa wypadło odwołać udzielone na jutro pozwolenie na wielki wiec ogólnostudencki z okazji rocznicy utraty Wilna. Zakaz ten, zwłaszcza ten ostatni, może poniekąd podniecić wrzenie wśród młodzieży, bo obchód patriotyczny żałobnej rocznicy wileńskiej uchodzi za akt narodowy. Ferment młodzieży może znaleźć przeróżne okazje do wylania się. Już dziś wieczorem była mała próbka tego. Odbyło się zebranie związku wydziałowego prawników i

ekonomistów. Zebranie było burzliwe, przemówienia były gorące w tonie jaskrawym opozycyjnym, było dużo krzyku. Słyszałem hałas, bo w tym samym czasie miałem wykład.

9 października, rok 1935, środa

Odpowiedź na zgłoszoną przeze mnie wczoraj w adiutanturze Prezydenta Rzeczypospolitej prośbę o udzielenie senatowi akademickiemu *in corpore* audiencji u Prezydenta – otrzymałem dziś nie z adiutantury, ale telefonicznie od ministra oświaty Tonkunasa, który mi oświadczył, że Prezydent wyznaczył audiencję nie senatowi *in corpore*, ale rektoratowi, to znaczy w osobach mojej jako rektora, obu prorektorów – prof. Česnysa i prof. Jodelė – i sekretarza prof. Purėnasa, jutro na godz. 10 rano. Pójdziemy naturalnie. Z tego, że odpowiedź udzielona została za pośrednictwem ministra, wnoszę, że minister także obecny będzie na audiencji. Zwężenie audiencji do samego tylko rektoratu z wyłączeniem dziekanów wydziałów, formalnie może nawet logiczne, sprawiło na mnie wrażenie ujemne co do perspektyw tej audiencji. Wnoszę, że Prezydent będzie się solidaryzować z dokonaną reformą statutową i że osiągnięcie jakiegoś skutku pozytywnego ze stanowiska naszej tezy będzie trudne.

Istota reformy, dokonanej przez nowelę z d. 27 września bez porozumienia i bez wiedzy uniwersytetu, polega na tym, że kompletowanie profesury odtąd może być (choć niekoniecznie powinno być) wykonywane bez żadnego udziału uniwersytetu przez ministra oświaty, który może przedstawiać Prezydentowi do nominacji kandydatów, upatrzonych przezeń samodzielnie albo wprost, bez żadnej kandydatury uniwersyteckiej, albo konkurencyjnie do kandydatury, zgłoszonej przez uniwersytet i oczywiście w takim razie minister sam ocenia kwalifikacje kandydata. Nie jest to li tylko poprawka lub rekonstrukcja systemu statutowego dotychczasowego, ale reforma radykalna i zasadnicza, o wiele radykalniejsza, niż ta, która była dokonana przez nowy statut uniwersytecki z r. 1931 w stosunku do statutu poprzedniego. Pierwszy statut całe kompletowanie profesury zamykał w łonie uniwersytetu, to znaczy przyjmował czystą tezę kooptacji. Reforma statutu w r. 1931 w tym względzie zreorganizowała ten system tak, że pozostawiając zgłaszanie kandydatów uniwersytetowi, ustanowiła sankcję nominacyjną rządu. Ja sam osobiście byłem zwolennikiem tej reformy wbrew prawie że ogólne opinii samego uniwersytetu. Kolegium akademickie w wydziałach może mieć skłonności do kierowania się sympatiami, do pewnego ducha koterii czy kliki, a senat, jako organ kontrolujący wydziały, składa się przeważnie z dziekanów, którzy nie chcą wchodzić jedni drugim w drogę i skłonny jest przeto akceptować i aprobować wszystko, co który wydział zaproponuje. Kontrola senatu akademickiego nie jest istotą i jego sankcja przeradza się w pospolitą rejestrację. Jest więc bardzo zdrowo i słusznie, że władze państwowe, której funkcji elementem jest uniwersytet państwowy, ma prawo interwencji i kontroli w postaci sankcji. Jest to czynnik kontroli realny pozaakademicki, wolny od atmosfery koteryjnej i którego uprawnienia są uzasadnione z samego tytułu państwowości. System więc statutowy z r. 1931 oparty jest na kolaboracji uniwersytetu i rządu. Reforma obecna otwiera drogę do zupełnego usunięcia uniwersytetu, którego głos może być wysłuchany lub wcale nie słuchany, zależnie od woli ministra, który jest arbitrem zupełnym. Uniwersytet i czynnik organizatora uczelni został zdegradowany. Otwiera się droga do uniwersytetu jako rezerwuaru.

10 października, rok 1935, czwartek

Kryzys szybko dojrzewa.

Udaliśmy się rano z obu prorektorami – Česnysem i Jodelą – i prof. Purėnasem na audiencję do Prezydenta Rzeczypospolitej. W poczekalni zastaliśmy też ministra Tonkunasa, który poszedł z nami do Prezydenta. Wyłożyłem Prezydentowi całą rzecz. Omówiłem dokonaną reformę, stwierdziłem, że została ona dokonana bez porozumienia z uniwersytetem

i nawet bez wiedzy władz akademickich, wskazałem na jej konsekwencje dla uniwersytetu, dla powagi nauki, dla funkcji wychowawczej zdegradowanego uniwersytetu. Zabierał głos też minister Tonkunas, długo mówił Prezydent, wstawili kilka słów prof. Česnys i prof. Purėnas, replikowałem znów ja itd. Nie na wiele się to wszystko zdało. Prezydent Smetona był dla nas bardzo uprzejmy, był dość przejęty nawet, usiłował łagodzić sytuację i nas przejednać, w ogóle rzecz traktować kompromisowo, zapewniał, że prawdopodobnie nie zajdzie wcale potrzeba stosowania tej noweli nieszczęsnej, że jest ona właściwie przewidziana tylko na wypadek ostateczności, gdyby innego wyjścia nie było i że od samego uniwersytetu będzie zależeć, aby nie było potrzeby jej stosowania. Ale jednocześnie uzasadniał jej potrzebę jako środka rezerwowego, wskazując na różne przykłady, np. na niefortunny wybór zeszłoroczny profesorki Danczekowowej przez Wydział Medyczny, także na to, że Wydział Prawniczy, wiedząc od dwóch lat o tym, że straci profesorów adwokatów, nie przygotował się zawczasu do obsadzenia mających zawakować pierwszorzędnych katedr prawa cywilnego i prawa karnego, które pozostały obecnie bez personelu i nadal pozostawia je wakujące, nie zdobywając się na nic innego, jak ponawiać zabiegi o powrót Bielackina. Powoływał się jeszcze na braki Wydziału Technicznego i Medycznego w zakresie przygotowania i wykwalifikowania młodych sił naukowych dla zastąpienia starzejącej profesury pierwszego powołania, przeważnie zresztą miernej. Na te zarzuty replikowałem, wskazując, że jeżeli czasem któryś wydział mógł się pomylić w doborze tego lub innego profesora – zwłaszcza gdy nie było nikogo prawdziwie wykwalifikowanego w kraju, to jakież są gwarancje, że się nie pomyli minister oświaty, bo zresztą z próżnego i sam mądry Salomon nie naleje. A co do wyrabiania młodych sił zastępczych i w szczególności na Wydziale Prawniczym, który w ciągu paru lat ostatnich stracił bodajże dziewięciu profesorów starszych (Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Morawski, Jaszczenko, Sokołowski, Stankiewicz, Bielackin, Tumėnas), to przecie dopiero od 2-3 lat wydział otrzymał etaty asystentów, z których też skwapliwie korzysta i ma cały rój młodych asystentów, którzy bądź uzupełniają studia za granicą, bądź inaczej się dokształcają, gotują do doktoratu, częściowo niektórzy już prowadzą różne ćwiczenia i zaczynają wykładać. Ale wykwalifikowanie wymaga czasu i pracy i trudno ten surowy jeszcze i dokształcający się lub specjalizujący się dopiero materiał od razu zakwalifikować do zupełnego zastępstwa. Nic tu nie pomoże minister i nie przyśpieszy tego dojrzewania władzą własną. Poprzednio zaś Wydział Prawniczy dysponował tylko jednym stypendium zagranicznym rocznym i mając tak ograniczone środki wykwalifikował wszakże dwóch pierwszych – Antoniego Tamošaitisa i Kriwickiego. Co zaś do zaangażowania nowych profesorów ze strony dla obsadzenia katedr, które obecnie zawakowały, to wydział, owszem, szuka. Były rozważane kandydatury Ciplijewskiego, Byly, Vaitonisa, ale są to ludzie, którzy albo nie pójdą, albo nie mają kwalifikacji i mogą być li tylko asystentami. Co tu pomoże nominacja ministra, która z owsa nie zrobi ryżu. Zresztą wydział gotów jest zastanawiać się na kandydaturami wespół z ministrem.

11 października, rok 1935, piątek

Kontynuuję o audiencji wczorajszej rektoratu u Prezydenta Rzeczypospolitej. O ile Prezydent Smetona był bądź co bądź szczerze przyjęty kwestią i pełny dobrej woli, usiłujący złagodzić sytuację i podsunąć coś kompromisowego, chociaż skądinąd wysilał się na usprawiedliwienie ogłoszenia noweli i w tym wysiłku podnosił różne mniej lub więcej słuszne zarzuty karnistyczne w stosunku do tego lub owego wydziału, o tyle minister Tonkunas okazał się twardy i, powiem, bezwzględny. W pierwszej replice swojej na przemówienie moje zaznaczył, że ta okoliczność, iż nowela była ogłoszona bez porozumienia i bez wiedzy uniwersytetu, to zupełnie zrozumiałe, bo przecie było oczywiste, ze uniwersytet będzie oponował i do porozumienia nie przyjdzie, więc nie było potrzeby i racji porozumiewania się. Nie ukrywał też bynajmniej tego, że nowela ta ma na celu pewnego

rodzaju presję na uniwersytet, żeby wydziały pod wpływem groźby nominacji ministerialnej nie zaniedbywały się w spełnianiu obowiązku starannego i pilnego obsadzania katedr wakujących. Przez to samo przyznał pośrednio, że nowela jest skierowana przeciwko uniwersytetowi jako bicz podniecający działaniem groźby. Jest to więc stwierdzenie potrzeby bicza na uniwersytet. Gdy wszakże ja w odpowiedzi na zarzuty konkretne karnistyczne starałem się wykazać, że w wypadkach konkretnych bądź nie było winy uniwersytetu czy wydziałów, a jeżeli były pomyłki, to takie pomyłki są równie możliwe w systemie nominacji ministerialnej i że przeto nie widzę żadnego związku logicznego między podnoszonymi wypadkami a nowelą, mającą odgrywać rolę bicza, skierowanego do uniwersytetu, wówczas minister, zapominając widocznie o tym, że sam przyznawał nowelę za narzędzie nacisku na uniwersytet i nie chcąc zrozumieć naszej opozycji, zaczął mówić o tym, że w naszych zarzutach upatruje dziwaczny pogląd na uniwersytet i rząd jako na dwie strony, kiedy w istocie uniwersytet nie jest wobec państwa stroną, jeno funkcją państwową. Wreszcie zaznaczył, ze zgoła zrozumieć naszych argumentów nie jest w stanie i że wydaje mu się to po prostu kwestią li tylko ambicji, nie zaś istotną troską o dobro sprawy. I tak do końca zrozumieć, o co chodzi, nie zdołał czy nie zechciał. W przemówieniach Tonkunasa były też zwroty zgoła jaskrawsze. Np. na uwagę któregoś z nas, że profesorowie z nominacji ministerialnej okażą się w środowisku akademickim w opozycji bardzo trudnej i drastycznej wobec kolegów, Tonkunas odparł zjadliwie, że rząd potrafi znaleźć takich, którym odwagi nie zabraknie. A gdy Prezydent usiłował nas przekonać, że nowela nie będzie stosowana i że rządowi samemu będzie chodziło o to, aby stosowana nie była, Tonkunas podkreślił, że o ile Wydział Prawniczy nie zaprojektuje obsadzenia katedr wakujących, on ją zastosuje. Słowem, Tonkunas pozostał do końca twardy i stał mocno na stanowisku noweli. Ja w moich przemówieniach nie podawałem żadnych wskazówek, jak zaradzić sytuacji, bo z naszych zarzutów wniosek mógł być tylko ten, że rzecz musi być cofnięta; wszakże skoro nas się nie radzono co do zarządzenia, to nie do nas należy wskazywać, jak to zarządzenie zreperować; mówić zaś o odwołaniu kategorycznym i żądać jego – trudno, bo dla rządu proste i bezpośrednie odwołanie byłoby kompromitującym przyznaniem się do winy. Uważałem więc, że nie my powinniśmy coś proponować, ale rząd, jeżeli nasze argumenty trafiają mu do przekonania i jeżeli chce się z nami liczyć, powinien coś obmyślić. Oczywiście pozycja ministra wyłączyła wszelkie propozycje zreformowania zarządzenia ze strony rządu. Pozostawało więc tylko nam samym wyciągnąć wnioski własne. Ale Česnys i Purėnas wystąpili z wnioskami kompromisu na rzecz takiego zreformowania noweli, które by ewentualnie odebrało jej odium przeciwuniwersyteckie i było dla obu stron (tak, stron!) do przyjęcia. Minister Tonkunas i ja na to nie reagowaliśmy, każdy z nas logiczny w swoim stanowisku. Prezydent, usposobiony kompromisowo, nie odrzucał zasadniczo możliwości zreformowania noweli, wskazując tylko na to, że nie ma żadnego zaprojektowanego wniosku, a na pożegnanie zaznaczył, że ewentualnie możemy coś zaprojektować. Wspominał też, że w związku z obszerniejszą reformą statutu uniwersyteckiego, która jego zdaniem byłaby wskazana, przepisy noweli obecnej mogłyby być nawet całkowicie usunięte. Tak, ale to mówił tylko Prezydent, podczas gdy minister oświaty, który przecie stoi u steru spraw oświatowych w państwie, bynajmniej tych kompromisów nie życzy, nie szuka i nie uważa za wskazane, mocno stojąc na stanowisku noweli i oświadczając, że naszych gawęd nie rozumie i nic w nich poza ambicją nie widzi.

12 października, rok 1935, sobota

Po audiencji u Prezydenta Rzeczypospolitej we czwartek wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Ponieważ inicjatywa tej audiencji wyszła w ubiegły czwartek od senatu i w imieniu senatu i dla całego senatu *in corpore* o tę audiencję Prezydenta prosiłem, więc uważałem oczywiście za konieczne senatowi o audiencji

zreferować. Relacja moja, uzupełniona przez Česnysa, Jodelę i Purėnasa, sprawiła na członków senatu wrażenie ujemne. Zwłaszcza ujemnym było wrażenie z zachowania się ministra Tonkunasa na audiencji. Bo o ile Prezydent usiłował sytuację łagodzić i był skłonny do szukania kompromisu, o tyle Tonkunas był radykalny i stanął kategorycznie na stanowisku noweli, solidaryzując się z nią, zapowiadając, że w razie potrzeby uczyni z niej użytek, uważając ją za zupełnie poprawną, odmawiając wszelkiego zrozumienia dla naszych zastrzeżeń i traktując całe nasze wystąpienie jako odruch próżny ambicji. Oczywiście, że wobec takiego stanowiska ministra oświaty, który i podczas przygotowania noweli nie uważał za potrzebne z uniwersytetem się porozumieć i teraz nie chce się liczyć z uwagami uniwersytetu i uważa, że wszystko jest w porządku, jak być powinno, nie może być mowy, żebyśmy występowali nadal z propozycjami zreformowania noweli, co z góry jest uważane przez ministra za zbyteczne. Tą drogą nie tyle sama nowela, ile stanowisko kategoryczne ministra zamyka nam dalszą drogę do usiłowań znalezienia kompromisu. Pozostaje li tylko wyciągnąć konsekwencje. To znaczy – albo się podporządkować, co bardzo rychło doprowadzi do konfliktów na gruncie mianowań ministerialnych, które wszakże przez podporządkowanie się nasze stałyby się już tylko warcholstwem, albo... wytrwać logicznie w opozycji. Dlatego też wniosek dziekana Žemaitisa (i Jokubėnasa) w senacie, żeby zredagować projekt zreformowanej noweli, sam przez się, po stwierdzeniu niemożliwości tej drogi, odpadł. Niektórzy, jak zwłaszcza dziekan Krėvė-Mickiewicz (poniekąd Lašas, na razie też Wacław Biržiška, Grynkiewicz), wnosili odwołanie się do Rady Uniwersyteckiej jako organu naczelnego profesury (jej zebranie ogólne), które byłoby zwołane „dla omówienia sytuacji". Przeciwko temu zaoponowałem stanowczo, bo byłoby to demonstracyjnym wywleczeniem konfliktu na arenę namiętności wiecowych, co by zaostrzyło konflikt i ostatecznie rozwichrzyło sytuację, wciągając w wir całą profesurę i studenterię naturalnie. Zaszkodziłoby to i uniwersytetowi, i rządowi, i wszelkim możliwościom złagodzenia sprawy, jakie się jeszcze znaleźć mogą w fazach następnych; nie byłoby toteż bynajmniej zdrowe dla państwa, którego sytuacja w ogóle jest trudna i w ogóle działałoby na rzecz dalszego rozpętywania wszelkich wrzeń i fermentów, których jest aż nadto. Byłby to występek przeciwko lojalizmowi państwowemu. Trzeba dźwigać ten ciężar, zachowując równowagę i maximum ostrożności. Toteż oświadczyłem, że w fazie obecnej jedyną konsekwencję konieczną widzę w mojej dymisji jako akcie osobistym. To samo oświadczyli obaj prorektorowie i Purėnas. Ale oczywiście nie w postaci uchwały czy dyrektywy senatu i jako rzecz, która nie jest nawet przedmiotem debat senatu. Albowiem senat jest organem skombinowanym, złożonym z właściwej władzy akademickiej (rektoratu) i z mężów zaufania wydziałów. Rektorat jest ciałem, wybranym przez Radę Uniwersytecką i mianowanym przez władzę państwową. Senat, który rektorat nie wybierał, nie ma żadnej władzy nad jego czynami i nic mu wskazywać nie może. Rektor i prorektorzy odpowiadają przed Radą Uniwersytecką i przed władzą państwową, ale nie przed senatem, który mu nic do powiedzenia formalnie nie ma. Dlatego też nasza decyzja dymisji jest naszym aktem samodzielnym i nawet nie zbiorowym, jeno ściśle osobistym każdego z nas – rektora, prorektorów i sekretarza Purėnasa. Tak też senatowi tę rzecz przedstawiłem, albowiem członkowie senatu nie bardzo się w tym orientowali. Niektórzy z nich – dziekani – skłonni byli wnosić kwestię „dymisji senatu". Wskazałem, że dymisja senatu jest w ogóle nie do pomyślenia, bo dziekani są członkami senatu *ex officio* i dymisjonować się mogą li tylko jako dziekani, ale nie jako członkowie senatu. Czy ustąpią z dekanatów w swoich wydziałach, to ich rzecz własna, ale w obecnej fazie nie widzę zgoła podstawy ani potrzeby do tego.

13 października, rok 1935, niedziela

Dymisja moja i prorektorów formalnie jeszcze zgłoszona nie została. Mamy to uczynić jutro. Ta parodniowa zwłoka pochodzi stąd, że chodziło o zastanowienie się, czy zgłoszenie

dymisji ma być motywowane czy nie. W piątek nie miałem czasu na porozumienie się z prorektorami i tyko na wczoraj zaprosiłem ich do siebie na posiedzenie poufne rektoratu (ja, obaj prorektorowie i sekretarz Purėnas; ten ostatni też zdecydowany jest dymisjonować, ale ponieważ sekretarz jest tylko wybierany przez Radę Uniwersytecką, a przez organy władzy państwowej poza tym nie mianowany, więc jego dymisja zgłoszona będzie na ręce rektora do Rady Uniwersyteckiej i do ministra oświaty nie będzie kierowana). Stoję kategorycznie na stanowisku, że dymisja członków rektoratu jest i powinna być nie aktem zbiorowym, jeno aktami osobistymi każdego z członków rektoratu osobno; nie chcę bynajmniej nadawać temu charakteru protestu kolektywnego, zaogniającego sytuację jaskrawością demonstracji; sytuacja jest zbyt poważna i ciężarna groźnymi i niebezpiecznymi ewentualnościami, aby jeszcze igrać z niebezpieczeństwem i robić cokolwiek, co by bardziej skomplikowało trudny splot rzeczy i zamykało ostatnie furtki do możliwości kompromisu, o ile są one jeszcze możliwe. Zaznaczyłem to wyraźnie wobec prorektorów, stwierdzając, że każdy z nas decyduje li tylko za siebie i nie jest związany żadną ani decyzją zbiorową czyjąkolwiek, której zgoła nie ma, ani układem wzajemnym. Jeżeli nasze decyzje indywidualne są zbieżne – to tylko fakt, ale nie akt prawny. To tylko wypadek logiczny, że te same przyczyny w warunkach takich samych powodują te same skutki. Prorektorowie zaznaczyli swoją decyzje osobistą dymisji. Co do motywowania, to choć prorektorowie pierwotnie uważali, że pożądana jest motywacja, to jednak zdołałem ich przekonać, że lepsza będzie forma kategoryczna bez obszernej motywacji jako bardziej wiążącej, mniej giętkiej i przeto utrudniającej ewentualne znalezienie wyjścia kompromisowego, gdyby takowe zaświtało. Trzeba, dopóki można, iść drogą najmniejszych jaskrawości. W dymisji wskażemy tylko na nowelę jako na punkt wyjścia tej decyzji, nie wdając się w wałkowanie argumentów. Krótką motywację podamy tylko senatowi, zawiadamiając go o zgłoszonej dymisji.

Tymczasem wszakże prasa z wielką skwapliwością rozdmuchała i rozdmuchuje incydent. Czyja niedyskrecja albo jakie pogłoski wprowadziły ten temat i te wiadomości przekręcone do gazet – nie wiem. Niedyskretnych, nie celujących taktem albo wręcz skłonnych do świadomego spekulowania na tej sytuacji dla celów namiętności politycznych – nie brak, nawet w łonie samego senatu. Do pierwszych należy Česnys i Grynkiewicz, do drugich (tak przypuszczam) – Lašas i może Krėvė-Mickiewicz. Ale ze słówek i półsłówek prasa i bez szczególnej niedyskrecji mogła ukuć przejaskrawiony obraz sytuacji. Już w piątek o dymisji rektoratu ogłosiły „Lietuvos Žinios”, a w sobotę z długim i mentorskim artykułem pod tytułem „Quo vadis Universitetas” wystąpił rządowy „Lietuvos Aidas” (podobno artykuł ten pochodził od kogoś ze sfer wyższych, to znaczy od jakiegoś potentata rządowego). W relacji prasowej rzecz urosła do uchwały senatu akademickiego i do aktu kolegialnego dymisji, stanowiących coś w rodzaju zbuntowania się uniwersytetu i deklaracji wojny rządowi. Rozniesiono wieść i za granicą. Napisało o tym ryskie „Сегодня”, ogłosiło skwapliwie radio berlińskie, zapewne i warszawskie oraz wileńskie. W rządzie może to wywołać wrażenie, że tak jest istotnie i że uniwersytet się zbuntował w osobie swych władz akademickich, tym bardziej, że gdy prasa o tym szeroko pisze i komentuje, minister, zwierzchnik państwowy uniwersytetu, nie otrzymał dotąd żadnych ani zgłoszeń dymisji, ani informacji od nas. Żeby usunąć możliwość posądzenia nas o nielojalizm albo choćby o lekkomyślne dopuszczenie do rozpętania buntu, uznałem za właściwe do mojego osobistego podania o dymisję, które zgłoszę jutro, załączyć list osobisty do ministra, stwierdzający fałszywość informacji prasowych i wyraźnie i kategorycznie stwierdzający, że żadnych uchwał ani dyrektyw senatu nie było i być nie mogło i że akty dymisji poszczególnych członków rektoratu są ściśle indywidualne, nie oparte ani na zmowie, ani na jakiejś czyjejkolwiek uchwale i że żadnej „akcji” rektoratu jako takiego ani też jakiegokolwiek organu uniwersyteckiego lub profesury jako takiej, lub Uniwersytetu – nie ma.

Ale sprawa, rozdmuchana w prasie, zrobiła swoje i sytuacja stała się i staje coraz bardziej nerwowa. Poruszenie zaognia się wśród młodzieży akademickiej, w której ferment jest i był już bardzo mocny, tak na prawicy, jak na lewicy i w centrum, choć oparty na różnych przesłankach. W młodzieży powiał prąd „poparcia" i „solidaryzowania się" z „akcją" władz akademickich. Symptomatyczne dla mnie były owacje, których przedmiotem byłem ja na obchodzie uroczystości Czurlanisa na uniwersytecie. Moje ukazanie się, przemówienie inauguracyjne, a nawet samo wymienienie mojego nazwiska przez organizatorów wywoływało burzliwe i długie oklaski.

14 października, rok 1935, poniedziałek

Wypadki szybko dojrzewają i unoszą nas ku najostrzejszym momentom kryzysu. Z dnia na dzień staje się coraz trudniej i niebezpieczeństwo nieodwołalnych faktów – coraz bliższe.

Wczoraj na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego dokonana została zmiana dziekana. Były dziekan Wydziału prof. Waclaw Biržiška podał się do dymisji, tym razem kategorycznie i nieodwołalnie. Choć decyzja dymisji Biržiški była oparta właśnie na sytuacji, wytworzonej przez nowelę z d. 27.IX. i na zarzutach, kierowanych do Wydziału Prawniczego, którymi rząd motywuje rzekomą rację wydania tej noweli, jednak, na skutek mojej interwencji na posiedzeniu wydziału, charakter demonstracyjny tej dymisji został usunięty. W przekonywających słowach wskazałem Radzie Wydziału, że w chwili tak poważnej, grożącej nie tylko przesileniem, ale już wprost ewentualnością bliskiej katastrofy, należy zachować maximum zimnej krwi i równowagi, dyscypliny obowiązku i wytrwania, nie dając się sprowokować nerwom i namiętności, mogących prowadzić na tory jakichś „demonstracji", które jeno przyśpieszyć mogą katastrofę tak akademicką, jak rządową, a może nawet państwową i słusznie ściągnąć mogą na czynniki uniwersyteckie zarzut co najmniej lekkomyślności, jeżeli nie winy bezpośredniej. Stan rzeczy w chwili obecnej nie dotknął jeszcze wydziałów, jeno dopiero same szczyty władzy uniwersyteckiej – rektorat, toteż wydziały i ich dziekanaty muszą nie tylko funkcjonować, ale ani drgnąć na stanowisku obowiązku. Skoro dziekan Biržiška czuje szczególny stan podrażnienia nerwów, odbierający mu możność podołania obowiązkowi, musimy się z tym zgodzić i nie powinnyśmy go forsować, ale winniśmy sobie uprzytomnić, że ten, który zostanie na jego miejsce wybrany, ma obowiązek przyjęcia wyboru i poddania się bezwzględnego dyscyplinie akademickiej. Było zarządzona przerwa. Ekonomiści próbowali napomykać o kandydaturze Jurgutisa lub Rimki, sama przez się nasuwała się kandydatura Janulaitisa jako jedynego profesora zwyczajnego poza mną i Wacławem Biržišką, którzy nie możemy być wybrani. Poparłem kandydaturę Janulaitisa jako najmniej demonstracyjną i zwyczajną, bo jest jedynym kandydatem z najwyższym stopniem profesury. W głosowaniu Janulaitis został wybrany większością głosów. Zdołałem przekonać Radę Wydziału i zmiana dziekana została pozbawiona wszelkiego charakteru demonstracyjnego, związanego z sytuacją obecną.

Janulaitis ma zredagowany projekt paru drobnych poprawek do statutu uniwersyteckiego, których przyjęcie zreformowałoby nieszczęsną nowelę z d. 27.IX. i z pewnością pogodziłoby potrzebę uniwersytecką z tym, o co mogłoby racjonalnie chodzić rządowi. Projekt poprawki Janulaitisa daje te właśnie formuły, na których by niewątpliwie było nastąpiło porozumienie rządu z uniwersytetem, gdyby rząd, po zaprojektowaniu swojej noweli, był chciał się porozumieć z uniwersytetem. I teraz jeszcze takie porozumienie w dobrej komitywie byłoby możliwe i usunęłoby widmo katastrofy, tylko że inicjatywa musiałaby obecnie wyjść od rządu, minister zaś Tonkunas widocznie na to iść nie chce. Myśmy nasz krok zrobili, zwróciliśmy się do Prezydenta, poprosiliśmy audiencji, mówiliśmy. Ale skoro minister uważa, że wszystko jest w porządku, że nowela jest i na tym koniec, że nie było żadnej potrzeby porozumiewania się co do niej z uniwersytetem i że nadal takiej potrzeby nie ma i że on, minister, w ogóle nie wie i nie rozumie, o co nam chodzi i nic poza

ambicją naszą w naszych przemówieniach i troskach nie widzi, to dopóki jest on ministrem i dopóki takie stanowisko w tej kwestii zajmuje, ja kroku nie uczynię: inicjatywa jest obecnie w ręku ministra oświaty i tylko jego. Jeżeli on się zorientuje i schodząc z kategorycznej i bezwzględnej pozycji noweli, zwróci się do nas dla obmyślenia wspólnie z nami środków zaradzenia sytuacji, to rzecz da się załatwić bardzo prosto i wyjście z kryzysu będzie łatwe: projekt Janulaitisa jest doskonały. Daje on doskonałą platformę do osiągnięcia skutku, niweczącego wszystko, co zaszło i zajść jeszcze może. Ale ode mnie inicjatywa ta, wobec pozycji, zajętej przez ministra, już nie wyjdzie. W jego ręku i jego zorientowaniu się jest teraz wszystko – wszystkie możliwości. Jeżeli minister kroku tego nie uczyni – będzie źle. Perspektywy są jeszcze: Rada Uniwersytecka, zwołana dla wyborów nowego rektora i prorektorów, zapewne manifestacyjnie wybierze nas ponownie; my oczywiście wyboru nie przyjmiemy, gdy nic zmienionego nie będzie. Wtedy Rada albo wybierze innych – tylko o wiele jaskrawszych od nas, których rząd nie zechce zatwierdzić, albo jeżeli zatwierdzi, to oni konflikt pogłębią – albo nie wybierze nikogo. Rząd będzie musiał wydać nową nowelę, reformującą nominację rektora i prorektorów – bez kandydatur uniwersyteckich. Dziekani wydziałów i senat nie zechcą uznać taki rektorat, ustąpią, trzeba będzie i dziekanów mianować. Konflikt wejdzie w głąb wydziałów i poruszy całą profesurę, nie mówiąc o studenterii, którą już teraz zaczyna iść na ekscesy. Wtedy albo dojdzie do jakiegoś przewrotu (sic!), albo rządowi nie pozostanie nic, jak zamknąć i nawet zupełnie skasować istniejący uniwersytet i po jakimś roku założyć nowy na zasadach nowego statutu.

15 października, rok 1935, wtorek

Bieg wypadków coraz groźniejszy na uniwersytecie. Czym się to skończy? Prawda – zaszedł dziś pewien moment pocieszający w zwrocie usposobienia ministra Tonkunasa, otwierający pewne perspektywy połowicznej likwidacji konfliktu na gruncie nieszczęsnej noweli z d. 27 września, ale czy już nie za późno, bo żywioł studencki uległ rozhukaniu, które już się opanować bodaj nie da.

Jestem tak zmęczony i znerwowany (a przecie muszę się trzymać i głową a zimną krwią w czynie trzymać nerwy na wodzy, co właściwie męczy jeszcze bardziej), że już nie mam ani sił ani czasu wszystko detalicznie w dzienniku streszczać. Zresztą i wypadki tak prędko biegną i taki ich nawał, że i zmieścić trudno. Będę więc tylko po łebkach je traktować.

Wczoraj przesłałem do ministra Tonkunasa moje podanie o dymisję wraz z załączonym doń listem, o którym w dzienniku wspominałem. Czekałem, czy minister nie zechce mię wezwać i nawrócić do rzeczy zasadniczej. Nie uczynił tego. Wezwał mię, ale mówił o czym innym. Tymczasem w lokalach uniwersyteckich rozrzucone zostały odezwy anonimowe, wzywające młodzież akademicką do tygodniowego strajku demonstracyjnego, mającego trwać od środy 16-go do środy 23-go na znak „solidaryzowania się" młodzieży z rzekomą „akcją" profesury. Porozumiałem się z członkami rektoratu; podjąłem się zredagowania projektu odezwy rektorskiej do studentów. W sprawie tych właśnie pogróżek strajkowych minister mię był wezwał, zaznaczając, że w razie jakichś ekscesów minister spraw wewnętrznych zdecydowany jest użyć policji i działać z całą bezwzględnością. Zaznaczył też, że doszły go jakieś wieści, jakoby i wśród profesury byli ludzie, łączący się z tą „akcją" młodzieży czy nawet współdziałający z nią i zdecydowani zawiesić wykłady; minister oświadczył, że takich profesorów przedstawi niezwłocznie do zwolnienia z obowiązków. Projekt odezwy do studentów zredagowałem wczoraj wieczorem. Zaznaczyłem w nim winę prasy publicznej, która rozpowszechniła wypaczone wiadomości o rzekomej „akcji" uniwersytetu przeciwko rządowi, o rzekomych uchwałach senatu akademickiego na rzecz takiej „akcji", o dymisji „zbiorowej", słowem – o jakiejś zmowie buntowniczej o charakterze anarchicznym. Zaprzeczyłem tym wszystkim twierdzeniom, stanąłem mocno na stanowisku obowiązku akademickiego i państwowego. Zażądałem od studentów uległości obowiązkowi i

dyscyplinie. Projekt mojej odezwy członkowie rektoratu dziś zaakceptowali i została ona ogłoszona – przez studentów skwapliwie czytana. Wszakże ujawniło się już dziś, że do strajku przecie dojdzie i że wielka liczba studentów strajku tego chce, a właściwie szuka ona wszelkiej okazji do wichrzenia dla wyładowania fermentu w gruncie rzeczy politycznego, podszywanego tylko pod pozory akademickie. Wraz z odezwą do studentów rozesłałem okólnik do wszystkich dziekanów, wskazujący im na pogłoski o jakimś rzekomo fermencie strajkowym między profesorami i wezwałem dziekanów do zarządzenia wszelkich środków przeciwko takim ewentualnościom.

Na dziś kończę. Jutro napiszę o mojej dzisiejszej długiej konferencji z ministrem, na skutek której zaświtała wreszcie (niestety – już trochę za późno) nadzieja kompromisu likwidującego ferment, wywołany przez nowelę i przez stanowisko ministra na audiencji u Prezydenta. Napiszę też o zajściach w czasie mojego wykładu wieczornego dzisiaj.

16 października, rok 1935, środa

Paskudny dzień. Chaos, bezład, żywioł rozpętany.

Ale wracam do jaśniejszego promyka, który zabłysnął wczoraj. Wezwał mię minister Tonkunas. Oświadczył, że mój list do niego, załączony do podania o dymisję, zrobił wielkie wrażenie na Prezydencie, który jest oburzony na prasę i zarzucał też ministrowi, że się nie postarał o wyjaśnienie od razu istotnej sytuacji wobec pogłosek i informacji prasowych. Minister spytał, jaki był motyw istotny mojej dymisji. Powiedziałem mu otwarcie: jego, ministra, pozycja kategoryczna, zajęta na audiencji u Prezydenta. Rozgadaliśmy się wtedy z Tonkunasem na dobre i w otwarte karty. Tonkunas mię zapewniał, że sam był przeciwny tej noweli, że może błędem było, że się sam do dymisji nie podał, że zresztą skoro już ustawa została ogłoszona, to zdawało mu się, że rzecz jest skończona, że skądinąd i my na audiencji u Prezydenta nic konkretnego nie proponowaliśmy, że wreszcie nie należy zbyt dużej wagi przywiązywać do słów, tym bardziej gdy są one wypowiedziane w pewnym podrażnieniu, albowiem podczas tej audiencji minister był znerwowany i dotknięty tym, żeśmy go pominęli i nie zwrócili się do niego, jeno wprost do Prezydenta. Tłumaczył się jeszcze z pewnych poszczególnych słów i oświadczeń na tej audiencji. Były to drobiazgi. W rozmowie wskazałem ministrowi, że rzecz była łatwa do polubownego załatwienia, zadawalającego czynniki tak uniwersyteckie, jak rządowe, o ile naturalnie czynnikom rządowym chodzi tylko o potrzeby uniwersyteckie, a nie o specjalne pognębienie korporacji uniwersyteckiej jako domniemanego wroga ukrytego czy też ukryte gniazdo jakichś intryg przeciwko rządowi. Naturalnie jeżeli tak się chce traktować uniwersytet, to wtedy o wspólnej akcji w potrzebach uniwersyteckich nie może być mowy, ale też wtedy ja rektorem pozostać nie mogę. Jeżeli wszakże uniwersytetu się nie traktuje jako domniemanego wroga, którego się chce zgnębić, co wyklucza współpracę i pozostanie moje na stanowisku rektora, to zgodne wspólne znalezienia formuły na rzecz dobrego zaopatrzenia potrzeb uniwersyteckich było zupełnie możliwe i nietrudne przed wydaniem noweli i jest takie i teraz, po wydaniu niefortunnej noweli i nawet po wszystkim, co dotąd zaszło, ale z każdym dniem jest i będzie coraz trudniej, a może nawet stanie się niebawem niemożliwe, gdy wybuchnie strajk studencki i dojdzie ewentualnie do katastrofy. I dodałem, że taką formułę, która nawet samemu rządowi daje więcej, niż daje nowela, ale nie jest, jak ta nowela, zwrócona ostrzem przeciwko uniwersytetowi jako akt pognębiania tegoż, mam przy sobie w kieszeni i że jej projekt skonstruowany jest przez Janulaitisa. W krótkich słowach streściłem ją ministrowi, któremu się ona na ogół podobała i który przyznał, że jest ona lepsza od ogłoszonej noweli i że mogłaby zupełnie dobrze służyć do zespolenie nas z rządem. Spytał zatem minister, czego bym żądał: czy jego dymisji? Odrzekłem, że nie do mnie to należy i że osobiście bynajmniej mi o to nie chodzi, bo osobiście on, Tonkunas, podoba mi się znacznie więcej, niż jego poprzednik Šakenis, który był jak kasza, ale że po zajęciu przezeń wiadomej pozycji u

Prezydenta inicjatywa należy do niego, bo ja jej pierwszy nie podniosę, bo nie przywykłem prosić, gdy mi powiedziano wyraźnie, że się tego nie życzy, o co mnie chodzi. Wszystkie więc możliwości, jakie jeszcze są i dopóki jeszcze są – są w ręku ministra. Wtedy Tonkunas spytał mię wprost, co mianowicie, zdaniem moim, powinien on zrobić. Odparłem, że powinien, jeżeli tego życzy, powiedzieć mi, że chce szukać wspólnie formuły wspólnej, cofając się ze stanowiska bezwzględnego *status quo* noweli i traktowania uniwersytetu za jakiś obóz wrogi, kujący intrygi i powodujący się w swoich uwagach na nowelę li tylko próżną ambicją. Na to Tonkunas oświadczył, że projekt formuły Janulaitisa uważa za wcale dobry i że mi przyrzeka zgłosić go do Gabinetu Ministrów, popierać i usiłować doprowadzić do przyjęcia; czy wobec takiego przyrzeczenia formalnego zgodzę się cofnąć podanie o dymisję? Zastanowiłem się krótko i – odrzekłem twierdząco. Tonkunas, zadając mi to pytanie i chcąc oczywiście pozyskać odpowiedź twierdzącą, sam był zaznaczył, że oczywiście nie jest w stanie z góry mi zagwarantować, że Gabinet Ministrów zaakceptuje naszą propozycję i że przeto cofnięcie podania o dymisję nie przesądza ponowienia tego podania w razie, gdyby minister nie zdołał osiągnąć pożądanego rezultatu w Gabinecie Ministrów. Wczoraj więc o godz. drugiej podanie o dymisję wziąłem z powrotem. Prorektorzy Česnys i Jodelė, solidaryzując się ze mną, także zgłosili na moje ręce oświadczenie cofające zgłoszoną dymisję.

17 października, rok 1935, czwartek

I końca nie ma. Choć dziś napięcie jest mniejsze, jednak nie mogę jeszcze odetchnąć i spokojnie pracę moją wykonywać, do czego bardzo tęsknię.

W relacji mojej wciąż się opóźniam od szybkiego biegu wypadków. Pozawczoraj, jakem pisał, zaszły dwie rzeczy jaskrawe: a. moja odezwa do studentów, wzywająca do obowiązku i zaniechania myśli o strajku i b. moja rozmowa z ministrem Tonkunasem, na skutek której cofnąłem moje podanie o dymisję. Tegoż dnia po obiedzie zreferowałem moją rozmowę obu prorektorom i sekretarzowi prof. Purėnasowi, aby ich postawić w kurs rzeczy i zyskać ich poparcie, bez którego moje cofnięcie dymisji mogłoby być komentowane przez młodzież i nawet profesurę jako zejście z dotychczasowego stanowiska. W tej atmosferze podniecenia, która wielu tak w profesurze, jak wśród młodzieży skłania do upatrywania w sytuacji obecnej jakąś wojnę dwóch obozów – akademickiego i rządowego – może się tym ludziom zdawać, że moje cofnięcie dymisji jest przerzuceniem się do obozu „przeciwnego”, a takie wrażenie opaczne może mi utrudnić sterowanie uniwersytetem. Prorektorowie i Purėnas poczciwie mię poparli. Troska jednak moja na tym się nie skończyła. Tymczasem już tegoż dnia we wtorek – jeszcze przed wybuchem strajku wczorajszego – zaszedł wypadek jaskrawy niesubordynacji masowej studentów. Był to pierwszy masowy strzał strajkowy. Na ten dzień na wieczór zarząd związku studenckich stowarzyszeń litewskich LSOS w osobie prezesa tegoż związku Kairelisa, który w zajściach wiosennych z policją odegrał bardzo użyteczną i taktowną rolę pojednawczą, był od prorektora Česnysa uzyskał pozwolenie na zwołanie zebrania młodzieży akademickiej litewskiej, należącej do LSOS. O tym zebraniu dowiedziałem się od Purėnasa, który był zdania, że zebranie takie jest w tej chwili niebezpieczne. Poprosiłem prorektora o odwołanie pozwolenia, tym bardziej, że się okazało, iż prośba ta była przeciwna statutowi LSOS. Związek ten jest federacją czy raczej konfederacją i takich zebrań masowych w ogóle zwoływać nie może; jego plenum składa się nie z masy studentów, jeno z delegatów stowarzyszeń skonfederowanych po jednym od każdego; drugie – podług statutu, zebranie plenum musi być zwołane trzy dni naprzód, czego nie zachowano; trzecie – zebranie wyznaczone zostało w sali, gdzie o tej godzinie podług rozkładu miał się odbyć mój wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Formalnie więc zebranie zostało odwołane. Ale już wiadomość o zebraniu szeroko się rozeszła i poruszyła nie tylko wszystkie warcholskie elementy akademickie, ale także wszystkie elementy fermentu

politycznego, zwłaszcza komunistycznego, spoza uniwersytetu. Gdym się udał na wykład, już z ulicy zobaczyłem w oświetlonych oknach sali całe mnóstwo głów. W przedsionku poinformowałem się u szwajcara. Okazało się, że w sali zgromadził się tłum i że idą tam jakieś obrady. Usłyszałem hałas, oklaski, okrzyki. Schody do sali – pełne ludzi. Prędko udałem się na salę, przeciskając się przez tłum. Za wielkim stołem nie było nikogo, żadnego prezydium, dokoła zaś gęsty tłum, nie mieszczący się w sali. Moje ukazanie się uciszyło tłum, przerwało jakąś mowę. Wszakże zagrzmiały oklaski – uczyniono mi owację. Przeczekałem. Oświadczyłem, że przyszedłem dla wykładu i że słuchaczy widzę nieco za dużo. Śmiech. Trochę się zagniewałem. Zażądałem usunięcia się i rozejścia tych, którzy przyszli nie na wykład, spytałem, kto jest w prezydium, zaznaczyłem, że zebranie jest nielegalne i nie może mieć miejsca. Nikt się do prezydium nie przyznał, powołano się z tłumu na zwołanie zebrania przez LSOS, zaczęto mi replikować z kątów okrzykami. Na sali pełno było ludzi obcych, nie mających nic wspólnego z uniwersytetem. Z zarządu LSOS nie okazało się nikogo. Powiedziano mi, że Kairelis był, ale wyszedł.

18 października, rok 1935, piątek

W tej relacji mojej idę w ogonku wypadków, nie będąc w stanie nadążyć za szybkim ich biegiem.

Dokończę przede wszystkim o wiecu wtorkowym, który zastałem w audytorium moim, gdym przyszedł na wykład. Zażądałem od zgromadzonych, aby się rozeszli. Zaznaczyłem, że wiec jest nielegalny, że stwierdzam z przykrością niesubordynację młodzieży akademickiej, że żądam posłuszeństwa. Z kątów, acz dość nieśmiało, odzywały się repliki, jakieś szmery, ale nikt się nie rozchodził. Zagniewałem się na dobre i zacząłem wstydzić zebranych. Mówiłem o tym, że sami sobie wstyd robią i że chyba życzą sobie, aby policja państwowa weszła do gmachu i ich rozpędziła, jeżeli nie słuchają upomnienia słownego swojej władzy akademickiej. „Ja rewolweru ani pałki nie mam, a gdybym nawet rewolwer miał – strzelać przecie do was nie będę. Władza akademicka policji własnej nie posiada i środkami siły brutalnej nie operuje. Jeżeli jest przyjęte, że policja państwowa ze swymi pałkami i rewolwerami, które są niezbędne dla nakazywania posłuchu na ulicy, do gmachu akademickiego nie wkracza, to tylko dlatego, że istnieje presumpcja, iż w murach akademickich zebrała się młodzież dla studiów, młodzież inteligentna i dojrzała, której niepotrzebne są środki gwałtu i przymusu i że jest władza akademicka, która innymi środkami posłuch osiągnąć może. Jeżeli presumpcja ta odpada – to cóż dalej? Jeżeli żądacie uszanowania wolności gmachu i atmosfery akademickiej, to sami ją szanować musicie. Wolność ta nie jest jakąś eksterytorialnością gmachu akademickiego w państwie, gdzie każdy mógłby robić, co mu się podoba, nie licząc się z żadną dyscypliną i z dyspozycjami władz akademickich. Odmawiając mi posłuszeństwa – potępiacie się sami i niszczycie wolność akademicką" – itd. Po takiej mojej reprymendzie przywódcy dali znak zebranym do wyjścia i tłum zaczął się rozchodzić, na sali zaś pozostali tylko słuchacze mojego wykładu w liczbie dość dużej. Rozpocząłem wykład, ale za ścianą w korytarzu słyszałem ruch i hałas. Wiec się bynajmniej nie rozszedł. Niebawem przybiegł do mnie stróż oznajmić, że tłum łamie drzwi któregoś audytorium. Kazałem wezwać gospodarza Ruczyńskiego, kazałem mu wezwać telefonicznie prorektora Česnysa i sekretarza Purėnasa, których wszakże nie znaleziono w domu. Cóż mógł poradzić Ruczyński, co mogłem ja, co mogliby poradzić Purėnas i Česnys? Miałem do wyboru: albo wezwać policję z Ministerium Spraw Wewnętrznych, czego bym przecie nie zrobił, albo wykładać i tolerować włamanie się do audytorium tuż w pobliżu i nielegalne wiecowanie. Prowadziłem wykład. Gdy nastała przerwa po wykładzie i wyszedłem na korytarz – już było pusto w gmachu. Po włamaniu się do audytorium przemówiło krótko kilku mówców, tłum uchwalił jakieś „rezolucje" i rozszedł się. Rozejście się było spokojne.

Na ulicy demonstrować nie próbowano. Ale w „rezolucjach” tego wiecu nielegalnego uchwalono demonstracyjny „strajk” trzydniowy.

19 października, rok 1935, sobota

Środa 16 października. Był to dzień, na który zapowiedziany był początek strajku demonstracyjnego studentów. Już dnia poprzedniego wieczorem było wiadome, że strajk będzie miał miejsce i że moja odezwa z dnia poprzedniego, nawołująca do pracy i obowiązku przeciwko podjudzaniu strajkowym wybuchu strajku albo przynajmniej usiłowań strajkowych nie wstrzyma. Zresztą już nielegalny wieczorny wiec wtorkowy, który miał miejsce już po ogłoszeniu mojej odezwy i na którym „uchwalono”, raczej odczytano – „rezolucję” na rzecz strajku – aż nadto wyraźnie wskazał, że wybuch strajku na środę jest nieunikniony. W tej atmosferze nerwowej mnie samemu iść wypadło we środę na pierwszy ogień, bom miał właśnie wykład na I semestrze prawników od godz. 9 do 11 rano. W gmachu uniwersyteckim przy ul. Mickiewicza (tzw. gmachu I), w którym wykładam na sali, dużo się kręciło ludzi na schodach, w westybulu, na korytarzach. Stróż mię spytał, czy salę trzeba otworzyć. Odrzekłem oczywiście twierdząco, choć ewentualnie mogła zachodzić obawa, że sala się zapełni amatorami strajku, którzy będą usiłowali robić obstrukcję, a może nawet wiecować. Nie odważyli się jednak na to wobec mnie, choć gdzie indziej obstrukcji próbowali. Po dzwonku udałem się na salę. Na schodach, na platforemce klatki schodowej przed salą stały gromadki studentów. Niektórzy byli w paltotach, w ogóle wiele widziałem twarzy obcych – widocznie studentów z innych wydziałów. Zachowywali się zresztą wobec mnie poprawnie; żadnych okrzyków, przeważnie za moim zbliżeniem się rozpraszali się, nawet skwapliwie uciekali. Niektórym, którzy byli w paltotach, kazałem wyjść z gmachu, od kilku zażądałem książeczek i zatrzymałem je. Stwierdziłem obecność studentów medyków, studentów matematyków. Na ogół tego dnia przez cały przebieg tego strajku zaobserwowano we wszystkich gmachach, że rej w popieraniu strajku, w obstrukcji, w niedopuszczaniu słuchaczy do audytoriów wodzili w każdym z gmachów uniwersyteckich przybysze z innych wydziałów – *sui generis* gastrolerzy. Gdym wkroczył na salę, była ona pusta – ani jednego studenta. Widocznie strajkujący nie dopuszczali nikogo do sali. Sądziłem jednak, że nikogo nie będzie. Tuż za mną wszakże wkroczył jeden i usiadł. Wszakże zaraz przybyło więcej, korzystając widocznie z tego, że agenci strajku uciekli przede mną. Słuchaczy zebrało się niemało. Rozpocząłem wykład. Na razie z zewnątrz próbowano otwierać drzwi, ale na żadne ekscesy nie zdobyto się. Niebawem stróż z zewnątrz zamknął drzwi do sali na klucz. Nikt mi ani z wewnątrz, ani z zewnątrz nie przerywał i nie przeszkadzał. Po przerwie znów przyszedłem do sali na drugą godzinę wykładu. Na sali zastałem już tylko czterech czy pięciu słuchaczy. Niebawem ujrzałem wszakże innych, wdzierających się do sali przez drzwi, zatrzymywanych z zewnątrz przemocą za poły. Wybiegłem – strajkujący uciekli przede mną i zaczęli się rozpraszać po korytarzach, do czytelni, do biblioteki seminaryjnej. Znowu kilku zatrzymałem, od kilku książeczki odebrałem, przemówiłem do gromadki, karcąc ich usiłowania zakłócenia porządku. Nie replikowano mi, ustępowano. Tymczasem słuchacze zapełnili salę. Wróciłem do nich i wykładałem spokojnie. Raz tylko ktoś drzwi otworzył z zewnątrz i krzyknął: „Mokslo kankiniai!”. Po skończonym wykładzie wyszedłem. Usposobienie jednak na korytarzach było takie, że czułem, iż wykłady innych profesorów nie będą mogły dojść do skutku. Ze mną, jako rektorem, studenci bądź co bądź się liczą i boją się mnie, ale innym będzie trudniej. Jakoż wykład prof. Jungfera zaraz po moim został zakłócony. Na Wydziale Humanistycznym w tzw. wielkim gmachu od samego rana zakłócony był śpiewem i ekscesami wykład prof. Baniewicza i większość innych wykładów nie mogła dojść do skutku albo z braku słuchaczów, albo dla ekscesów i obstrukcji z zewnątrz (otwieranie drzwi, okrzyki, śpiew itd.). Najspokojniej dzień ten upłynął w gmachu Instytutu Fizyczno-Chemicznego na Aleksocie, gdzie z powodu odległości nie było obcych przybyszów, toteż

tam wykłady na wydziałach Technicznym i Matematyczno-Przyrodniczym odbywały się normalnie. W gmachu Wydziału Medycznego wykłady toczyły się, ale z przeszkodami. Było tam kilka ekscesów – raz nawet rzucono jajkiem w słuchaczy i na ogół na wykładach było zaledwie po kilku słuchaczy.

20 października, rok 1935, niedziela

Na razie (ale kto wie, czy już na stałe – śmiem wątpić o tym) jesteśmy w okresie zacisza, toteż mogę spokojniej i retrospektywnie dokonać relacji wypadków kilku dni ostatnich.

Strajk akademicki we środę nie spalił na panewce. Był on efektywny i choć nie na całe 100 procent się udał, jednak niewątpliwie bieg pracy akademickiej bardzo kategorycznie zakłócił. Formalnie i pozornie nikt z profesury w strajku udziału nie wziął, ale bądź co bądź część profesury i niektóre wydziały nie tylko że patrzały na strajk przez palce, ale poniekąd nawet się zeń cieszyły i faworyzowały go. Ogólny bilans strajku podług wydziałów da się tak zreferować. Na Wydziale Teologicznym wszystko się odbyło jak muzyka z nut. Na sekcji teologicznej tego wydziału wszystkie wykłady odbyły się w doskonałym porządku. Na tej sekcji słuchaczami wykładów są klerycy seminarium duchownego, których władza seminaryjna prowadzi do uniwersytetu w ordynku szeregowym jak żołnierzy; klerycy są ujęci w ścisłe karby dyscypliny i o jakimś strajku z ich strony nie może być mowy, bo w studiach biorą oni udział nie indywidualnie, jeno korporacyjnie; strajk z ich strony byłby aktem niesubordynacji nie akademickiej, jeno seminaryjnej – wobec ich władzy duchownej; do tego kler by nie dopuścił i o to chrześcijańskim demokratom oczywiście nie chodziło. Gdyby więc klerycy w wykładach udziału nie brali, to znaczy nie byliby przyprowadzeni do uniwersytetu w szeregach, to taki strajk byłby strajkiem nie kleryków, lecz ich władzy duchownej i profesury wydziału; demaskować się teolodzy bynajmniej nie chcieli; woleli oni kierować zakulisowo akcją strajkową przez posłuszną im młodzież „ateitininków”, pozostając osobiście w cieniu. Toteż na sekcji teologicznej wszystko się odbyło w porządku idealnym – stuprocentowym, bez zakłóceń. Za to na sekcji filozoficznej tegoż wydziału wszystko było też stuprocentowe, jak w mechanizmie zegarkowym – precyzyjnie dokładne, bez żadnych zakłóceń, tylko w sensie odwrotnym: na rzecz strajku. Na żadnym wykładzie ani jednego słuchacza. Żadnej obstrukcji, żadnych tarć, dyscyplina doskonała, ale dyscyplina – strajkowa. Każdy z profesorów przychodził akuratnie, stwierdzał pustkę stuprocentową audytorium i oczywiście odchodził. Taka zegarkowa dokładność w dwóch sprzecznych kierunkach na dwóch sekcjach wydziału była oczywiście nie działem przypadku. W istocie tutaj był właściwy sztab strajkowy. Gospodarzem naczelnym bowiem całej akcji strajkowej w uniwersytecie była Chrześcijańska Demokracja, zaś jej armią wykonawczą – organizacja akademicka „ateitininków”. Na innych wydziałach takiej dokładności już nie było. Ale wyniki były charakterystyczne. Najskuteczniejszy był strajk u humanistów. Wykłady tu były zerwane obstrukcją, której nikt nie usiłował karcić i która wyraziła się z jednej strony w przerywaniu wykładów, z drugiej – w niedopuszczaniu słuchaczy do audytoriów. Sam dziekan wydziału, prof. Krėvė-Mickiewicz – anarchista z usposobienia, w sercu sympatyzujący z akcją strajkową, zresztą sympatyzujący wszelkiej frondzie przeciwko wszelkiemu rządowi, nie przedsiębrał nic istotnego przeciwko warcholstwu obstrukcji, przechadzał się wśród grupek strajkujących z enigmatycznym uśmiechem na ustach, witany żartobliwymi owacjami; w ogóle choć niby akcji strajkowej nie faworyzował, ale też jej nie karcił, rzucając najwyżej jakąś uwagę dowcipną w duchu dobrodusznym, co jeno nawiązywało pewien kontakt czucia wzajemnego między nim i agentami obstrukcji. Na Wydziale Medycznym wykłady dochodziły do skutku połowicznie, przy znikomej ilości słuchaczy i dość jaskrawej obstrukcji. I tu właściwie odbiło się na tym stanowisko dziekana. Dziekan Lašas, ostrożniejszy i mniej szczery od Krėvė-Mickiewicza, mniej też bezwzględny

od teologów z ich dziekanem Kuraitisem, jest jednak człowiekiem partii, która, czekając wszelkiego fermentu opozycyjnego, sprzyjała strajkowi akademickiemu i wpływała nań zakulisowo jako na czynnik destrukcji dla celów ściśle politycznych. Toteż Lašas z tego stanowiska po cichu strajkowi sprzyjał, nie okazując tego formalnie, ale też nie przedsiębiorąc gorliwiej środków przeciwnych poza tym, co formalnie było niezbędne dla pozoru. Była to dwulicowość zimna i wyrachowana. Lepiej stały rzeczy na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym, jeszcze lepiej na Prawniczym. Tu dziekani i profesura zachowali się poprawnie, wśród prawników też odruch samych studentów był energiczniejszy. U prawników wykłady prawie wszystkie się odbyły i liczba słuchaczy na wykładach była na ogół duża, pomimo że agitacja strajkowa w gmachu i usiłowania obstrukcyjne były dość rozwinięte. U techników strajk zupełnie się nie udał, bo tam – ze względu na odległość – elementy agitacyjne prawie że nie dotarły.

21 października, rok 1935, poniedziałek

We środę wieczorem zaprosiłem do siebie dziekanów wydziałów dla poinformowania się o przebiegu strajku studenckiego. Przy tej okazji poinformowałem szczegółowo dziekanów o przebiegu i stanie moich pertraktacji z ministrem oświaty Tunkunasem w przedmiocie zreformowania noweli z d. 27 września i o okolicznościach, w jakich zdecydowałem się na cofnięcie mojego podania o dymisji.

Przede wszystkim więc wskażę w dzienniku, jak się te moje pertraktacje z ministrem do owej chwili przedstawiały. We wtorek, jakem już pisał, po rozmowie z ministrem, w której on mi obiecał podjąć i poprzeć w Gabinecie Ministrów sprawę zreformowania noweli z d. 27. IX., na skutek czego ja się zgodziłem na cofnięcie dymisji, doręczyłem ministrowi projekt reformy w redakcji Janulaitisa jako podstawę do rozważania. Projekt Janulaitisa składał się z dwóch części. W części pierwszej, która nie ma związku bezpośredniego z nowelą, ale otwiera nową drogę zaopatrzenia luk w personelu nauczającym uniwersytetu, przewiduje się możność angażowania tzw. „znawców” czy specjalistów („žinovai”), nie posiadających kwalifikacji naukowych, przewidzianych w statucie; tacy specjaliści mogą być angażowani terminowo i na zasadzie umowy indywidualnej; nie są oni etatowi i nie mają tytułu profesora lub docenta, wszakże pełnią obowiązki profesorów i docentów i korzystają z odpowiednich praw. Ta część projektu ma na względzie taką sytuację, kiedy kwalifikowanych kandydatów w ogóle nie ma i niepodobna znaleźć. Z pustego nawet sam mądry Salomon nie naleje. Jeżeli kwalifikowanych kandydatów nie ma, to ani wydział, ani sam minister na podstawie wydanej noweli nie zdoła nikogo do nominacji przedstawić, a jeżeli przedstawi niekwalifikowanego, to wykroczy przeciwko statutowi i noweli. Odpowiednia część projektu Janulaitisa tę lukę bez wyjścia zapełnia. Czasem zaś w pewnych okolicznościach ten projekt Janulaitisa może być użyteczny nie tylko w wypadkach absolutnego braku kandydatów kwalifikowanych, ale także dla pozyskania jakiegoś szczególnie wybitnego specjalisty, nie posiadającego kwalifikacji formalnych uczonego. Może to mieć pono szczególnie dodatnie znaczenie dla Wydziału Technicznego, w pewnych warunkach także dla Prawniczego i Medycznego. Druga część projektu Janulaitisa jest związana ściśle z nowelą. O prostym odwołaniu noweli; co właściwie byłoby najlepsze, trudno mówić, bo rząd na to się nie decyduje dla względów zwłaszcza autorytetu, albowiem miałoby to pozór cofania się; takie cofnięcie się bezwzględne w związku z ruchawką przeciwko noweli i ze strajkiem studenckim byłoby dla rządu trudne; rząd na to się nie decyduje; skądinąd zaś rząd uważa, że sama przez się zasada, wyrażona w noweli, iż minister może zająć się upatrzeniem kandydata, gdy sam uniwersytet temu podołać nie może, jest słuszna i powinna być utrzymana. Ale w każdym razie należy z niej usunąć ten moment, który jej nadaje cechę jakiegoś *sui generis* bicza przeciwko uniwersytetowi. Temu właśnie usiłuje czynić zadość część druga projektu Janulaitisa. Przewiduje się w niej, że minister może skorzystać ze swego prawa przedstawić Prezydentowi do nominacji własnego

kandydata na stanowisko profesora lub docenta, to znaczy może skorzystać z prawa, którego mu udziela nowela, tylko o tyle, o ile wydział nie przedstawi kandydata na wakującą katedrę w ciągu jednego roku. Nazajutrz we środę minister w rozmowie ze mną poinformował mię, że czynniki rządowe, z którymi on na temat projektu Janulaitisa konferował (Tubelis, Šiling), uważają, że właściwie co do drugiej części projektu Janulaitisa, reformującej nowelę czy raczej ograniczającej jej stosowanie pewnymi zastrzeżeniami ograniczającymi, mogłoby wystarczyć, żeby minister oświaty wystosował list do rektora, oświadczający, że nowela stosowana będzie tylko z odpowiednim zastrzeżeniem. Wszakże rząd gotów jest na ustawowe sformułowanie tych zastrzeżeń, jeżeli uniwersytet tego życzy (oczywiście taki list ministra do rektora nie byłby załatwieniem wystarczającym, bo żadnego charakteru prawnego by nie miał i nawet moralnie wiązałby tylko danego ministra, ale nie jego następcę). Wszakże rząd, decydując się na drogę ustawową, projektuje poczynić bardzo istotną zmianę w projekcie Janulaitisa.

22 października, rok 1935, wtorek

Otóż, jak mi minister we środę oświadczył, rząd zamierza w projekcie formuły Janulaitisa przyczynić takie „poprawki": w pierwszej części usunąć terminowość angażowania specjalistów-znawców i zamiast angażowania tych specjalistów erzac-profesorów w drodze umowy – przyjąć angażowanie ich etatowe; w części drugiej – usunąć warunek nieprzedstawienia kandydata przez wydział w ciągu roku i zamiast tego ustanowić warunek głuchy wakowania posady czy katedry w przeciągu jednego semestru. Przeciwko tym „poprawkom", bardzo istotnie osłabiającym wartości projektu Janulaitisa, oponowałem, ale że nie miałem czasu na dłuższą dyskusję, bo był to dzień gorący „strajku", wymagający ciągłej czujności i różnego zajęcia z mojej strony, a poza tym miałem tego dnia wyznaczony wywiad z dziennikarzami, audiencję z wezwanym przeze mnie prezesem głównych stowarzyszeń akademickich młodzieży, konferencję z dziekanami wydziałów i naradę z prorektorem Česnysem i sekretarzem prof. Purėnasem, więc ułożyłem się z ministrem, że skieruję do niego projektodawcę prof. Janulaitisa dla spróbowania ustalenia tekstu w porozumieniu z ministrem. Sprawa więc trochę się pogorszyła i gdym wieczorem zreferował dziekanom całą historię nawiązania mojego kontaktu z ministrem i cofnięcia zgłoszonej dymisji mojej oraz projekt Janulaitisa i kierunek zamierzonych przez rząd poprawek do niego, to dziekani przyjęli te perspektywy z wielkimi zastrzeżeniami i wątpliwościami. Dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego prof. Žemaitis zgłosił bardzo daleko idącą poprawkę do projektu Janulaitisa, zastrzegającą warunek do nominacji z inicjatywy ministra ten, żeby kandydatem ministerialnym mógł być tylko taki osobnik, który uzyskał kiedykolwiek w uniwersytecie naszym lub zagranicznym tytuł bądź prywat-docenta, bądź docenta lub profesora. Wszyscy dziekani poparli kategorycznie wniosek Žemaitisa, stwierdzając, że w innym razie projekt Janulaitisa ani w jego brzmieniu pierwotnym, ani tym bardziej w kadrach zmian rządowych nie uspokoi umysłów i względom akademickim zadość nie uczyni. Podjąłem się bronić wobec rządu poprawki Žemaitisa i postarać się w tym celu o dopuszczenie mię do udziału w posiedzeniu Gabinetu Ministrów w tej kwestii, wyznaczonym na dzień następny (czwartek). Byłem jednak bardzo sceptycznie usposobiony co do perspektyw przyjęcia przez ministra i przez rząd tych poprawek. Nazajutrz dowiedziałem się od Janulaitisa i od ministra Tonkunasa, że na skutek jego narady z Janulaitisem nic nie zostało zmienione w „poprawkach" rządowych (kiepskich) do pierwszej części projektu Janulaitisa (angażowanie specjalistów), natomiast w części drugiej restaurowano warunek nieprzedstawienia kandydata przez wydział, ale tylko w ciągu jednego semestru, nie zaś roku, i wprowadzono nowy warunek równorzędny – dwukrotnie niezatwierdzenie kandydata wydziałowego; to znaczy tylko w tych dwóch warunkach wyboru. Co zaś do poprawki Žemaitisa, którą zgłosiłem i bardzo gorąco popierałem, nie zdołałem ministra przekonać,

aczkolwiek przyrzekł mi on, że poprawkę tę zreferuje Prezydentowi, do którego miał się niebawem udać, aby uzyskać zawczasu aprobatę Prezydenta na taki czy inny tekst projektu, mający być tegoż dnia przez Gabinet Ministrów przyjęty. Na to posiedzenie Gabinetu Ministrów, o ile będzie na nim omawiany projekt uzupełnienia (właściwie poprawki, ale w formie uzupełnienia) – zostałem dopuszczony. Projekt, zgłoszony na to posiedzenie przez ministra Tonkunas, był taki, jaki on ustalił po wczorajszej rozmowie z Janulaitisem. Kilkakrotnie zabierałem głos na posiedzeniu gabinetu, popierając energicznie zwłaszcza dwa momenty: poprawkę Žemaitisa do drugiej części projektu i przywrócenie terminowości angażowania specjalistów. Podniosłem też trzeci moment, o który szczególnie Janulaitisowi chodzi, albowiem przyjęcie tego momentu umożliwiłoby angażowanie w tym charakterze także adwokatów. Jest to moment angażowania tych specjalistów w formie umowy, nie zaś stanowiska etatowego. Oponowali mi Tonkunas i Šiling. Czułem, że stanowisko, którego bronię, nie zyszcze aprobaty. Inni ministrowie milczeli. Po tej wymianie zdań miedzy mną, Tonkunasem i Šilingiem wyszedłem. Co uchwalił Gabinet Ministrów, nie wiedziałem – dowiedziałem się od ministra Tonkunasa i od Mašalaitisa dopiero nazajutrz.

23 października, rok 1935, środa

Dowiedziałem się nazajutrz (w piątek), że Gabinet Ministrów bronionych przeze mnie poprawek do projektu uzupełnienia noweli nie przyjął. Zarówno poprawkę Žemaitisa (o tym, że kandydat, samorzutnie przez ministra wybrany do nominacji, powinien posiadać tytuł bądź profesora, bądź docenta bądź prywat-docenta, udzielony mu przez nasz lub jakikolwiek inny uniwersytet), jak poprawkę Janulaitisa, restaurującą pierwotny układ jego projektu (angażowanie specjalistów li tylko w trybie wolnej umowy terminowej, nie zaś w trybie stanowiska etatowego) – gabinet odrzucił. Przyjął tylko jedną poprawkę, cokolwiek zbliżoną do proponowanej, choć nieco gorszą: mianowicie że mianowani specjaliści, nie posiadający kwalifikacji profesorskich (stopnia naukowego lub prac naukowych), w ciągu lat pięciu od swojej nominacji winni te kwalifikacje uzyskać; to znaczy – terminowość zasadniczą tych specjalistów przyjęto, bo po 5 leciech, o ile nie uzyszczą kwalifikacji i nie będą mogli się stać zupełnymi profesorami, nie będą mogli pozostać „specjalistami”; wszakże poprawka ta w istocie uwiecznia tych specjalistów, gwarantując im, pod warunkiem pozyskania kwalifikacji, stałe miejsce w profesurze, co nie jest wcale dobre: specjaliści ci bowiem będą potrzebni najczęściej wtedy, gdy wydział nie wyrobił jeszcze młodego adepta nauki – asystenta – do natychmiastowego objęcia katedry, która zawakowała; zważywszy jednak, że wydziały obecnie bardzo energicznie i planowo kształcą młodych adeptów nauki dla wytworzenia kadrów profesury na rzecz uzupełnienia luk, które już są lub mogą się okazać, zamarynowanie stanowisk wolnych przez takich uwiecznionych „specjalistów” zamknie drzwi przed nosem tym młodym adeptom nauki i zwichnie całą akcję planową wykształcenia młodych kadrów profesury.

W piątek wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Dziekani byli bardzo niezadowoleni z tekstu „uzupełnień” do noweli, przyjętego przez Gabinet Ministrów; niektórzy wypowiadali się wręcz, że to uzupełnienie jest jeszcze gorsze od samej noweli. Zwłaszcza radykalnie wypowiadał się wieczny anarchista – Krėvė-Mickiewicz. Ale na ogół wszyscy oceniali sytuację bardzo pesymistycznie. Zwrócono też uwagę na to, że uzupełnienie, zastrzegające, iż ministerialny wybór kandydata do nominacji jest dopuszczony tylko wtedy, kiedy wydział w ciągu semestru nie przedstawi żadnego kandydata albo kiedy dwukrotnie przedstawieni przez wydział kandydaci będą dwukrotnie nie przyjęci przez rząd, przewiduje nie katedrę wakującą, lecz wszelkie stanowiska etatowe wakujące w personelu profesury wydziałowej. W istocie wiele jest etatów niezapełnionych zupełnie świadomie i rozmyślnie i obsadzenie tych etatów nie jest ani ze stanowiska akademickiego na razie niezbędne, bo do obsłużenie katedry wystarcza mniejsza, niż przewidują etaty, ilość personelu

profesorskiego, ani ze stanowiska rządowego pożądane, bo obsadzenie wszystkich nie zajętych etatów podniosłoby niepotrzebnie koszt utrzymania uniwersytetu. Jeżeli więc teraz nieprzedstawienie przez wydziały kandydatów na te nieobsadzone etaty będzie związane z prawem ministra do dyskrecjonalnego przedstawienia po upływie semestru własnych kandydatów do nominacji na te etaty – to wydziały będą zmuszone przedstawić śpiesznie całe dziesiątki kandydatów, skądinąd zupełnie niepotrzebnych, których zresztą rząd z pewnością nie mianuje, po czym wydziały znów powtórzą zgłoszenie i znów nadaremnie, ale wtedy po dwukrotnym daremnym przedstawieniu etaty te automatycznie przyjdą do dyspozycji dyskrecyjnej ministra. Będzie tylko komedia, nawrót do zohydzonej już obecnie noweli i znowu ferment i kryzys, i chaos. Jeżeli się już weszło na drogę reformowanie noweli, choć co prawda pod pozorem jej uzupełnienia, to zdawałoby się – trzeba byłoby tak reformować, aby było lepiej; i skądinąd nie wiadomo, po co ten pośpiech gorączkowy w reformowaniu; lepiej powolniej, ale dobrze ze wszech stron rozważyć. Senat uznał za wskazane prosić dla całego senatu audiencji u ministra oświaty, a na razie wyznaczył do rozmówienia się z ministrem i do ewentualnego proszenia audiencji delegację, złożoną ze mnie, prof. Žemaitisa i prof. Janulaitisa. Dotąd nie zdołaliśmy się z ministrem zobaczyć: wczoraj Žemaitis był chory, dziś – ministra nie było. Mamy być u niego jutro. Tymczasem w sobotę uprosiłem Mašalaitisa, aby się nie śpieszył z ogłoszeniem tej uzupełniającej noweli, przyjętej przez Gabinet Ministrów, o ile byłaby ona przez Prezydenta podpisana.

24 października, rok 1935, czwartek

W ogóle usposobiony jestem pesymistycznie co do perspektyw sytuacji na uniwersytecie i zniechęcony w tych warunkach do rektoratu, który skądinąd lubię. Rząd nie ujawnia skłonności do dalszych ustępstw ze stanowiska noweli z d. 27.IX., a projekt poprawki Janulaitisa rząd też obciął i przystosował do swoich tendencji szachowania uniwersytetu, że już użyteczność tych poprawek przestaje być widoczna. Dziś byliśmy z dziekanami Žemaitisem i Janulaitisem u ministra Tonkunasa. Na razie rozmawialiśmy bardzo krótko, bo minister śpieszył wyjść, więc właściwą rozmowę wyczerpującą odłożyliśmy na poniedziałek. Ale już z tego, co dziś było przelotnie powiedziane, widać aż nadto wyraźnie, że rząd nic więcej zmienić nie chce. Takie same wrażenie odniósł Janulaitis z rozmowy prywatnej, którą miał wczoraj z Prezydentem. Z jednej strony mnie znów dymisję ponowić byłoby niewłaściwe, bo pierwsze podanie się do dymisji motywowałem tym, że minister Tonkunas, stanąwszy na stanowisku noweli, nie chce z nami zgoła mówić o jakichkolwiek poprawkach czy obserwacjach, teraz zaś owszem – rozmawia, nas nie ignoruje i choć w drobnej mierze – pewne ustępstwa łagodzące poczynił; dyktować zaś ustawy nie mogę. Ponowne zgłoszenie dymisji zakrawałoby na presję i byłoby nielogiczne i wprost niegentlemeńskie... Skądinąd wszakże profesura, studenteria i szeroka opinia będzie uważała te „poprawki" i „uzupełnienia" za zgoła nieistotne, a przy pewnej interpelacji, zwłaszcza uprzedzonej, za wręcz pogarszające nowelę, toteż uzna, że moim manewrem cofnięcia dymisji nic nie osiągnąłem i albo dałem się wystrychnąć na dudka, albo po prostu przestraszyłem się i skapitulowałem, przerzucając się na stronę „przeciwną". Obawiam się, że komentarze, które powstaną, mogą mię skompromitować. Aczkolwiek strajk akademicki już nazajutrz po wybuchu, we czwartek, został przerwany (ogłoszony zaś był na trzy dni), ale przywódcy akcji strajkowej, której ster główny był w ręku „ateitininków", zdyscyplinowanych i kierowanych zza kulis przez Chrześcijańską Demokrację, walczącą wcale nie o sprawy akademickie, lecz o władzę polityczną w państwie, nadali temu przerwaniu strajku charakter dobrowolnego powstrzymania tegoż dla nieutrudniania władzy akademickiej rozpoczętych rokowań z rządem o sprawę noweli i dla wyczekania skutków kompromisu. Strajk więc nie został złamany i obalony, jeno zawieszony. Gdy skutki kompromisu okażą się znikome, a może nawet zostaną uznane za pogarszające sytuację – ruchawka może się wznowić. Pozycja moja

będzie wtedy jeszcze trudniejsza. Pesymistycznie jestem usposobiony. Jestem nierad i jestem zmęczony.

Dziś wyjeżdżam do Kłajpedy. Muszę tam jutro wziąć udział w posiedzeniu komisji egzaminacyjnej dla egzaminowania kandydatów na stanowisko referendarzy sądowych w sądownictwie kłajpedzkim. Komisja ta, mianowana przez dyrektorium Bruvelaitisa, składa się z sędziego sekcji kłajpedzkiej Trybunału Najwyższego – p. Bruzdelinasa jako przewodniczącego i członków: mnie, docenta Antoniego Tamošaitisa i sędziego w Šilutė p. Kairysa. Mamy egzaminować dwóch kandydatów – Litwina Šudnagisa (Boże, co za nazwisko!) i Żyda Jawszyca. Egzaminy przyśpieszono, żeby je odbyć, nim jeszcze funkcjonuje dyrektorium litewskie Bruvelaitisa, albowiem Niemcy są tej komisji egzaminacyjnej i w ogóle przeniesieniu egzaminów referendarskich z Królewca do Litwy bardzo przeciwni. Wyjeżdżam dziś nocnym pociągiem z docentem Tamošaitisem.

25 października, rok 1935, piątek

Rano przyjechaliśmy z docentem Tamošaitisem do Kłajpedy i po śniadaniu w hotelu „Wiktoria" udaliśmy się na godzinę dziesiątą do gmachu sądowego, gdzie wyznaczone było posiedzenie komisji egzaminacyjnej. Niebawem przybył prezes komisji sędzia Bruzdelinas i trzeci członek komisji sędzia Kairys z Šilutė. Ten ostatni, acz Litwin (pruski) z pochodzenia (zza Niemna, z okolic Tylży) i wcale dobrze mówiący po litewsku, jest jednak, jak większość tych tutaj Litwinów, usposobiony politycznie raczej niemiecko. Zresztą człowiek to niegłupi i niezły pracownik, politycznie bierny, grzeczny, dobrze wychowany i poprawny, tylko pijak nałogowy. Rozpoczęliśmy egzaminy, które z kilku małymi przerwami zaciągnęły się aż do godziny czwartej po południu. Egzaminowało się na kwalifikację referendarza dwóch kandydatów – Litwin kłajpedzki Šudnagys i Żyd miejscowy Jawszyc. Egzamin trwał bardzo długo, biedni chłopcy byli wyczerpani. Egzaminowaliśmy naraz obu, każdy z nas z kolei. Poprzednio aspiranci byli już zdali egzaminy pisemne; te ich prace poprzednio już każdy z nas przejrzał i zakwalifikował. Teraz pierwszy długo egzaminował sędzia Kairys z prawa materialnego cywilnego i karnego i z obu procesów. Wziął parę dosyć skomplikowanych kazusów, jeden – ze stosunków cywilnych, drugi – z dziedziny karnej i na nich dokonał w egzaminie całej analizy procesu i prawa materialnego. Drugim egzaminował Tamošaitis w zakresie pojęć ogólnych prawa cywilnego z uwzględnieniem prawa rzymskiego. Trzecim egzaminowałem ja – z dziedziny prawa konstytucyjnego i administracyjnego w zastosowaniu do statutu autonomicznego Kłajpedy. Ostatnim egzaminował Bruzdelinas – niesłychanie długo, karnistycznie i pedantycznie. Šudnagys okazał się mocniejszy i głębszy od Jawszyca, ale ostatecznie wynik ogólny był ten sam: zadawalająco. Trzech innych, gotujących się dopiero do takiegoż egzaminu, przysłuchiwało się cały czas uważnie. Wypłacono nam za pracę egzaminacyjną wraz ze zwrotem kosztów jazdy po 355 litów z centami.

Po spóźnionym obiedzie trochę się przeszedłem po mieście i resztę wieczoru spędziłem w hotelu na pracy.

Kłajpedzie mało mogłem udzielić czasu. Wygląda jednak ładnie i pełna jest ruchu. Jutro będę składać wizyty i pojadę nad morze do Sandkrug.

26 października, rok 1935, sobota

Mogłem wyjechać z Kłajpedy wczoraj, bo praca naszej komisji egzaminacyjnej była wczoraj skończona, ale chciałem pozostać jeszcze dzionek. Tu w Kłajpedzie mam przynajmniej małe wakacyjki, oderwany jestem od tych ciągłych trosk i kłopotów uniwersyteckich w sprawie noweli i zajść studenckich. Męczy to i nerwuje, tym bardziej, że choć się dużo na to traci czasu, energii i nerwów – to rezultatu nie ma prawie żadnego. Ta świadomość jałowości zabiegów czyni całą te „akcję" nieznośną. Tu w Kłajpedzie wypoczywam. Jestem poza tą sferą zaczarowaną.

Rano dziś porobiłem szereg wizyt. Nająłem taksi i objechałem mieszkania upatrzonych osób podług adresów książeczki telefonicznej. Byłem u starego sędziego Trybunału Plümickego, u sędziego Trybunału Hessego, u prezesa Sądu Okręgowego w Kłajpedzie Rifar'a, u referenta gubernatury dr Jana Sokołowskiego, u dyrektora Instytutu Handlowego Ernesta Gałwanowskiego, u publicysty i przemysłowca Żyda dr Valsonoka, u prezesa dyrektorium Bruvelaitisa, u gubernatora Kurkowskiego. Zastałem tylko sędziego Plümickego i gubernatora Kurkowskiego. Widziałem się na obiedzie i przy śniadaniu z Morkusem, z dziennikarzem Radziewiczem, po obiedzie był u mnie na dłuższej rozmowie Valsonok, człowiek kultury na miarę europejską i wybitnej głowy. Dużom się ciekawego dowiedział o stosunkach w Kłajpedzie, o sytuacji w związku z wyborami i zwołaniem rychłym nowego sejmiku, o perspektywach. Byłem też w Sandkrug nad morzem. Dokucza mi wrzodzik, który się uformował na małym palcu prawej ręki i bardzo się zaognił. Boję się, żeby to nie była róża, a chwilami boję się nawet gangreny. Na palec chory nałożyłem rękawiczkę, raczej palcówkę.

Wieczornym pociągiem odjeżdżam do Kowna.

27 października, rok 1935, niedziela

Przez noc wróciłem pociągiem z Kłajpedy do Kowna. Spotkała mię w Kownie na dworcu kolejowym Jadźka. W domu zastałem lokaja Kazimierza, którego Jadzia sprowadziła z Bohdaniszek z powodu kawy, która się miała w tych dniach odbyć u mnie w związku z konferencją bałtycką komisji narodowych międzynarodowej współpracy intelektualnej. Konferencja ta, na którą mają przybyć przedstawiciele komisji narodowych łotewskiej (z Rygi), estońskiej (z Tartu) i fińskiej (z Helsinek), ma się odbyć w Kownie 29 i 30 października. Dziś jednak z rozmowy z Soblysem wyjaśniłem, że zapewne odbędzie się bez tej kawy u mnie, albowiem i bez niej dość będzie innych przyjęć dla zapełnienia czasu gości bałtyckich.

Zaniepokojony byłem stanem mego palca, na którym wrzodzik bardzo się rozrósł i zaognił. Zaraz rano po przyjeździe udałem się z Jadzią do dr Zacharina, który mi obejrzał palec, uspokoił i przepisał maść i wanny dwukrotne dzienne w wodzie gorącej z mydłem zielonym na palec. Palec mi obwiązał merlą i w ten sposób dziś cały dzień chodziłem. Dzień zaś miałem pracowity. Nie dano mi wypocząć po podróży. Od obiadu do wieczora byłem zajęty na uniwersytecie czynnościami reprezentacyjnymi. Od godz. czwartej do siódmej niemal odbywał się tzw. odczyt zbiorowy z kryminologii na temat „Problem przestępcy i kary". Musiałem zagaić posiedzenie przemówieniem i przewodniczyć. Prelegentami byli: prof. Blažys, prof. Vabalas-Gudaitis, adwokat Kalvaitis, podprokurator Żołkowski, prof. Lezerson i prof. Stankiewicz. Ten odczyt zbiorowy urządziła redakcja organu kryminalistycznego, którego redaktorem jest dyrektor wydziału kryminalnego policji Povilaitis – student prawa. Po tym odczycie zbiorowym bezpośrednio nastąpił w tejże sali uniwersyteckiej koncert naszego chóru akademickiego z udziałem trzech solistów śpiewu, skrzypiec i fortepianu – Litwinów amerykańskich. I tu mi wypadło otworzyć koncert zagajeniem akademickim. Do końca jednak nie wybyłem i przed godz. dziewiątą, korzystając z przerwy dziesięciominutowej, uciekłem do domu.

28 października, rok 1935, poniedziałek

Nie mam czasu na dziennik.

Uzupełnienie do noweli z d. 27.IX. zostało ogłoszone w „Vyriausybės Žinios" w brzmieniu, ustalonym przed 10 dniami przez Gabinet Ministrów. Nasze zabiegi o pewne dalsze poprawki nic nie wskórały. Wprawdzie minister Tonkunas był wyznaczył nam z Žemaitisem i Janulaitisem na dziś audiencję dla dalszej rozmowy w tej kwestii, ale nim do tej rozmowy doszło – rzecz już została skończona przez ogłoszenie uzupełnienia. Byliśmy u

ministra z Žemaitisem i Janulaitisem, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, ale co do tej rzeczy głównej – rozmowa była już bezprzedmiotowa. Mam wrażenie, że trudności będą. Tymczasem zaznaczyły się nowe przykre rzeczy na uniwersytecie. Prof. Šiwicki z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, będący już w dłuższej wojnie z wydziałem i dziekanem, wystąpił z ostrym napastniczym artykułem na uniwersytet w „Naujoji Romuva". Podchwycił to skwapliwie „Lietuvos Aidas", a za nim radio kowieńskie. We czwartek zapowiada się posiedzenie niespokojne w senacie akademickim.

29 października, rok 1935, wtorek

Cały niemal dzień dzisiejszy pochłonęła mi konferencja komisji narodowych czterech państw bałtyckich międzynarodowej współpracy intelektualnej. Z ramienia komisji narodowej fińskiej przyjechał jej prezes prof. Längfors z Helsinek, dziekan Wydziału Filologii i Literatury na uniwersytecie w Helsinkach. Z ramienia komisji narodowej estońskiej – prof. Puussep z uniwersytetu w Tartu, znany chirurg w dziedzinie mózgu i czaszki. Drugi delegat – prof. Piip z Tartu – przyjedzie dopiero jutro. Z ramienia komisji narodowej łotewskiej – prorektor prof. Adamowičs z Rygi, teolog i były minister oświaty, i prof. Blese, filolog czy historyk literatury. Z ramienia naszej litewskiej komisji narodowej, prócz mnie jako jej prezesa i dr Soblysa jako sekretarza generalnego, brało udział w pracach konferencji kilkanaście osób, w ich liczbie prof. Jonynas, stary prof. Bagdonas – emeryt, prof. Janulaitis, prof. Jakubėnas, docent Baltrušaitis, docent Galaunė, teolog prof. Raczkowski jako delegat Ministerium Oświaty, kompozytor Šimkus, dyrektor konserwatorium Gruodis, dyrektor radiofonu Bielunas, kilku urzędników Ministerium Spraw Zagranicznych itd. Otwarcie konferencji było uroczyste. Zagaił minister spraw zagranicznych Lozoraitis, potem zagaiłem jeszcze przemówieniem ja. Komisja odbyła dwa posiedzenia – ranne od dziesiątej do południa i popołudniowe – od czwartej do szóstej. O godz. drugiej nasza komisja podejmowała gości śniadaniem w klubie „Pažanga". Na posiedzeniu rannym wygłoszony został referat Soblysa o stanie obecnym współpracy intelektualnej międzybałtyckiej i referat prof. Puusepa o zorganizowaniu współpracy uniwersytetów bałtyckich. Wyłoniono też komisję redakcyjną do zaprojektowania rezolucji. Po obiedzie wpłynęła na porządek dzienny sprawa ustalenia języka normalnego dla stosunków międzybałtyckich. Jest to sprawa bardzo trudna. Właściwie w tej kwestii wahają się szanse języka francuskiego i angielskiego. Ale Estonia i Łotwa przez swoje organy państwowe już dokonała wyboru na rzecz pierwszeństwa angielskiego, który też jest nauczany w szkołach. Litwa (nasze Ministerium Oświaty) też się już do angielskiego skłania. W tym przedmiocie na konferencji były dwa referaty: referat nieobecnego prof. Piipa, wypowiadający się na rzecz angielskiego, i referat prof. Blese – na rzecz francuskiego. W dyskusji wszyscy mówcy, nie wyłączając delegata estońskiego, prof. Puussepa, wypowiadali się jednak na rzecz francuskiego. Przekazano tę kwestię do studiów w komisjach narodowych. Referaty były wygłaszane po francusku (Soblys, prof. Blese) i po rosyjsku (obaj Estończycy). Przewodnictwo ustanowione między delegatami narodowymi w porządku alfabetycznym nazw krajów. Toteż na rannym posiedzeniu przewodniczył delegat Estonii – prof. Puussep, na poobiednim – delegat Finlandii, prof. Längsfors. Na jutrzejszym przewodniczyć będzie delegat Łotwy, prof. Adamovičs. Po posiedzeniu poobiednim byliśmy na herbatce tanecznej u pani ministrowej Lozoraitisowej, o godzinie zaś siódmej udałem się do uniwersytetu na mój wykład prawa konstytucyjnego litewskiego. Zmęczył mię ten dzień pracy intensywnej. Z palcem moim jest źle. Żadnej zgoła poprawy nie ma.

30 października, rok 1935, środa

Drugi i ostatni dzień konferencji bałtyckiej czterech komisji narodowych międzynarodowej współpracy intelektualnej. Posiedzenie trwało od godz. dziesiątej do drugiej po południu. Przewodniczył Łotysz prof. Adamovičs. Przyjechał z Tartu i obecny był

na posiedzeniu drugi delegat estoński prof. Piip, zręczny taktyk i dyplomata, który na wszelkich konferencjach i zjazdach zawsze się wysuwa na czoło i jest kombinator i macher niezrównany. Wygłoszone były referaty: Fina prof. Längforsa o przejrzeniu podręczników szkolnych w celu zapewnienia obiektywnych i niezbędnych informacji wzajemnych o krajach bałtyckich w zakresie nauczania zwłaszcza historii i geografii; następnie referat prof. Adamoviča o współpracy umysłowej, wreszcie referat zbiorowy litewski docentów Baltrušaitisa i Galaunė, uzupełniony przemówieniem kompozytora Šimkusa o współpracy w zakresie sztuki, folkloru i muzyki. Po tych referatach i debatach zarządzono przerwę, podczas której komisja redakcyjna, złożona z Längforsa, Piipa, Adamoviča i Soblysa, ustaliła redakcję rezolucji. Po czym wznowiono posiedzenie pod moim przewodnictwem dla uchwalenia zgłoszonych rezolucji. Po przyjęciu tychże prof. Piip w imieniu wszystkich delegatów zagranicznych podziękował mnie i komisji litewskiej za zwołanie konferencji i jej zrealizowanie. Na zakończenie przemówiłem ja, zamykając konferencję i dziękując komisjom narodowym łotewskiej, estońskiej i fińskiej i delegatom tychże za udział w pracy zbiorowej. Uchwalono kontynuować te konferencje i następną zwołać, o ile się da, w Estonii. Na ogół konferencja obecna dobrze się udała, była poważna, treściwa, nie przeładowana. Goście bałtyccy byli pod dobrym wrażeniem. Po zamknięciu konferencji udaliśmy się na obiad do ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, po czym o godz. czwartej zabrałem delegatów dla zaprezentowania im lokalów i urządzeń uniwersyteckich. Zwiedziliśmy szczegółowo gmach i urządzenie Wydziału Medycznego, w którym dużo jest ciekawego do widzenia, potem prorektorowie Česnys i Jodelė z dziekanem Lašasem i prof. Jonynasem zawieźli ich jeszcze do Biblioteki Uniwersyteckiej i tzw. dużego gmachu uniwersyteckiego. O godz. szóstej goście bałtyccy z udziałem kilkunastu osób z naszego senatu akademickiego i profesury zebrali się u mnie na kawę i herbatę z ciastami, buterbrodami i owocami. Spędzili parę godzin na swobodnej rozmowie towarzyskiej. W toku herbatki bardzo serdecznie przemówił do nas prof. Puussep, któremu ja odpowiadałem. Na tym się wszystko skończyło.

31 października, rok 1935, czwartek

Dziś już miałem dzień nieco spokojniejszy. Skończyła się konferencja bałtycka współpracy intelektualnej. Wróciłem do pracy bieżącej. Uspokoiłem się też co do stanu mojego palca, który mię bardzo niepokoił i trapił. Bałem się, że to może róża, może jakiś nowotwór złośliwy, Bóg wie zresztą co. Trochę mię już ręka puchła, a palec wyglądał coraz straszniej. Wszakże przez noc dzisiejszą, po wannie wieczornej wczoraj na palec, trochę mi ulżyło. Poszedłem znowu do dr Zacharina, który stwierdził, że to jest typowy wrzód zwyczajny (funikulus czy coś podobnego) i że materia już wychodzi, toteż w ciągu kilku dni, gdy się ze środka wrzodu wyciągnie ścierżeń, palec się zagoi zupełnie. Tymczasem dla opatrunków mojego palca Jadzia cofnęła swój wyjazd do Bohdaniszek, który miał nastąpić dzisiaj.

Miałem rano wykład, potem różnych interesantów i różne pilne sprawy w rektoracie, wieczorem zaś posiedzenie senatu akademickiego. Na posiedzeniu senatu jedną z kapitalnych spraw, któreśmy omówili, była sprawa zareagowania na ogłoszenie przez prof. Šiwickiego artykułu w tygodniku „Naujoji Romuva", zwróconego przeciwko uniwersytetowi i zarzucającego organom i czynnikom uniwersyteckim obskurantyzm i zachłanność kliki rządzącej. Z artykułu tego skorzystał skwapliwie „Lietuvos Aidas". Główne ciosy artykułu Šiwickiego są zwrócone przeciwko stosunkom na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym i przeciwko dziekanowi Žemaitisowi, bez precyzyjnego wszakże wymieniania nazwisk. Niewątpliwie winą Šiwickiego jest to, że wynosi on te swoje zarzuty i brudy na widowisko publiczne i dyskredytuje uniwersytet. Następnie w tych zarzutach jest całe gniazdo namiętności osobistych, żalów zadawnionych i walk wewnętrznych w łonie wydziału, co wszystko razem przepaja całą tę akcję elementem podmiotowym złości, mącącej sąd

bezstronny. Wreszcie jest w tym pewien element akcji klerykalnej, zwalczającej w łonie uniwersytetu pierwiastek wolnomyślny. Ale poza tym wszystkim jest także nieco bolesnej prawdy, choć spaskudzonej owymi domieszkami intrygi i porachunków osobistych. Przedmiotowo realnym jest zarzut rozpanoszenia się niezdarnej miernoty w wielu dziekanatach z jej skłonnościami do rządów kliki i pasożytnictwa. Tego trochę, niestety, u nas jest. Ale też tym zaciętsze powstało stąd oburzenie w gnieździe dziekanów, usiłujących przez senat rządzić samym rektoratem, do czego powolnym narzędziem służy prorektor Česnys i nawet zacny i rozumny skądinąd Purėnas, idealizujący kolegializm. Wystąpienie Šiwickiego, nacechowane brudem namiętności osobistych i intrygi, ułatwiło dziekanom obronę ich własnych niedoskonałości. Że Šiwickiemu za to jego wystąpienie należy się dochodzenie dyscyplinarne – to pewne, ale ponieważ zarzuty jego są skierowane do tych, co są streszczeni w senacie, należało się, zdaniem moim, nie senatowi wszczynać samemu sprawę przeciwko niemu, tym bardziej, że w takim razie prezesem sądu dyscyplinarnego musi być członek senatu i senat sam mianuje innych sędziów, lecz zwołać Radę Uniwersytetu, to znaczy ogólne zebranie profesury, aby ona całą sprawę rozejrzała i ewentualnie wszczęto dochodzenie przeciwko prof. Šiwickiemu, dając też i jemu możność wytoczenia swych zarzutów na forum publiczne profesury. Senat jednak uznał się sam właściwy do wytoczenia sprawy.

1 listopada, rok 1935, piątek

Dziś to już miałem prawdziwy wypoczynek. Nie wyszedłem z domu wcale. Co za kejf. Nawet się nie ubrałem całkowicie, siedziałem i chodziłem po mieszkaniu w szlafroku. Egzaminowałem studentów, pracowałem przy biurku, gawędziłem z Jadzią i z Kazimierzem, który jutro wyjeżdża już do Bohdaniszek. Na obiedzie był Justyś Stawski. Jadzia zmienia służącą; zamiast Heleny najęła jakąś Żmudzinkę Annę (Onutė), którą jej zarekomendowała koleżanka.

W miesięczniku katolickim „Židinys” ukazała się bardzo ładna recenzja II tomu mojej książki „Valstybė”. Recenzja bardzo pochlebna dla mnie, stawiająca to moje dzieło na poziomie wielkich dzieł naukowych Europy. Istotnie mam wrażenie, że ta moja praca ma wartość wybitną. Bardzo bym lubił ją móc wydać w tłumaczeniu polskim. Ale trudności są tak wielkie, że wątpię, czy by się to dało wykonać. Spróbuję wszakże zwrócić się z tym do Stankaitisa.

Stan mego palca polepsza się, choć dużo jeszcze czasu upłynie, nim zawartość wrzodu się oczyści i rana się zabliźni.

2 listopada, rok 1935, sobota

Kazimierz odjechał do Bohdaniszek.

Znowu miałem dzień spokojny. Zaduszki – na uniwersytecie cicho, wykładów nie ma, młodzież się przeważnie rozjechała. Miałem wieczorem posiedzenie komisji do spraw kłajpedzkich u Mašalaitisa.

Zjawił się znów w Kownie malarz Ejdukiewicz, niefortunny, jak zawsze, bez grosza, nędzarz, artysta i cygan w duszy, ale, niestety, bez większego talentu. Znów będzie mię nachodził, prosił o pożyczkę i o rekomendację do osób, mogących coś u niego z jego obrazów kupić lub portret obstalować. Nie umiem się od takich nieszczęsnych ludzi obronić.

3 listopada, rok 1935, niedziela

Znowu – już trzeci – rozkoszny spokojny dzień, spędzony na pracy w zaciszu domowym. Należy mi się to słusznie po rwetesie i rozgardiaszu październikowym. Z domu wyszedłem tylko pod wieczór z Jadzią i Andrzejem do kawiarni „Aldona” na czekoladę.

4 listopada, rok 1935, poniedziałek

Spokojny dzień, ale stan mojego palca wciąż mię jeszcze trapi. Obrzękłość z ręki znikła, wrzód już dawno pękł, ale zawartość ranki wciąż się nie oczyszcza z materii. Nie wiem, co to jest. Kąpię palec w wodzie gorącej z sodą, nakładam na rankę maść zapisaną przez doktora, ale materia się sączy i nie wyczerpuje; procesu gojenia się nie ma. Trzeba będzie chyba znowu udać się do doktora.

Wieczór spędziłem dziś w domu. Rano miałem wykład bieżący i colloquium, potem posiedzenie komisji promocyjnej wydziałowej w osobach Janulaitisa, Wacława Biržiški i mnie. Znowu mówiliśmy o kombinacjach na odzyskanie Bielackina dla wydziału, poza tym o kandydaturach Byly i Vaitonisa, także o rozpoczęciu zabiegów na rzecz zaangażowania kogoś z uczonych emigrantów niemieckich dla obsady katedry prawa kłajpedzkiego. Wszystkie te rzeczy są bardzo skomplikowane i trudne do ustalenia; Janulaitis będzie musiał się co do nich porozumiewać z ministrem oświaty. Omówiliśmy też kandydatury do promocji: Kazimierza Szołkowskiego i Antoniego Tamošaitisa.

5 listopada, rok 1935, wtorek

Poza wykładem wieczorem i paru godzinami bieżących zajęć rektorskich na uniwersytecie – innej pracy za domem nie miałem.

Zdaje się, że rząd zdecydował się na kontrofensywę wewnętrzną. Spostrzegł się, że grunt się pod nim chwieje i że ferment, skwapliwie jątrzony przez opozycję, narasta. Rozruchy włościańskie w Suwalszczyźnie, ruch młodzieży na uniwersytecie, memoriał byłych Prezydentów Rzeczypospolitej i byłych premierów z czasów sejmowych, zgłoszony do Prezydenta Rzeczypospolitej i domagający się przywrócenia Sejmu, a stanowiący posunięcie polityczne, mające się oprzeć i zarazem zasilić ferment antyrządowy, zaniepokoiły oczywiście rząd. Poczuł on, że słabo siedzi i że siodło stronnictwa narodowców, przepojonego niepewnymi elementami karierowiczów, nie utrzyma go. Zrozumiał, że dla ratowania się nie wystarczą słówka i filozoficzne stylizowane przemówienia Prezydenta Smetony lub gospodarskie przemówienia Tubelisa i że niezbędne są jakieś mocne hasła i żywy ruch zorganizowany, oparty na nich. Do tego użył organizacji młodzieży „Jaunoji Lietuva”, na wpół zmilitaryzowanej, uniformowanej, zorganizowanej pod znakiem swojego „wodza”, którym jest niejaki Grebliauskas, i uznającej nad tym swoim wodzem „Wodza Narodu” – Smetonę. Z wielką pompą zwołano i uroczyście w sali teatru w Kownie odbyto wielki ogólnokrajowy zjazd tej organizacji młodzieży z udziałem Prezydenta Smetony, premiera Tubelisa, ministrów i najwybitniejszych mężów „tautininków”. Na wielkim posiedzeniu zjazdu padły ostre i radykalne słowa, zwłaszcza zaś koncepcja, zawarta w haśle „rewolucji narodowej”, nawiązanej do przewrotu z d. 17. grudnia 1926, oraz wezwanie do ofensywy na opozycję i na wszystko, co jest poza szrankami tej „rewolucji”. Po 9 leciech, w ciągu których się wciąż mówiło o legalności i nawiązywało nici tejże, koncepcja „rewolucji narodowej”, zapożyczona od faszyzmu i nacjonalsocjalizmu (Mussolini i Hitler), wygląda dość komicznie, zwłaszcza gdy ani Hitlera, ani Mussoliniego własnego nie ma. Zakrawa nie na kontynuację „rewolucji”, której nie było, ale na usiłowanie czy zapowiedź rozpoczęcia tejże przez odpowiednie akty radykalne. Trudno tę rzecz zainscenizować bez sztuczności. Ale zobaczymy, jak się to wykonywać zacznie i jak pójdzie. Tymczasem pierwszym aktem ma być zamknięcie stronnictw opozycyjnych chrześcijańskiej demokracji i ludowców. Dla uniwersytetu nie jest to też dobra wróżba. Kontrofensywa się gotuje i dotknąć może wszystkiego, co nie jest kategorycznie podporządkowane.

6 listopada, rok 1935, środa

Byłem na inauguracyjnym wykładzie publicznym dr Gudowicza, obecnie już profesora nadzwyczajnego na Wydziale Medycznym. Cieszę się bardzo z jego nominacji, bo wiem, jak jemu zależało na tym i jak dużo ambicji w to wkładał. Wdzięczny mu jestem zawsze za

uratowanie mi nie tylko zdrowia, ale i życia w roku zeszłym. Zacny to zresztą i kochany człowiek, a lekarz rzeczywiście wybitny.

Dziś miałem taki wypadek, ciekawy w zbiegu okoliczności życiowych. Zwykle, biorąc po wykładzie do podpisu książeczki studenckie, zapraszam do profesorium jakiegoś studenta lub studentkę, który mi pomaga w czynności, dyktując mi do rejestru imiona i nazwiska studentów z książeczek. Zaprosiłem jedną ze studentek na chybił trafił. Okazało się, że jest to niejaka Irena-Karolina Butkiewiczówna ze Żmudzi, z Płungian. Nazwisko to i nawet rysy i wyraz twarzy studentki przypomniały mi pannę Eugenię Butkiewiczówną, którą kiedyś, przed laty niespełna czterdziestu, mianowicie latem roku 1896, poznałem na wsi pod Krakinowem, bawiąc w gościnie w majątku Linkowcu u mego kolegi szkolnego ze Szkoły Prawa Włodzia Zawiszy, obecnie od wielu lat zmarłego. W tej Gieni Butkiewiczównie, młodej, ale starszej wtedy ode mnie panience, gorąco się wtedy zakochałem. Była wesoła, niebrzydka, ładnie śpiewała, kokietowała mię, bo miłość 16-letniego chłopca, jakim byłem, jest ekspansywna i ukryć się nie daje i nie chce, a dziewczyny lubią, gdy się w nich podrostki kochają i adorują. Gienia Butkiewiczówna bawiła w majątku Słobódce o 2 kilometry od Linkowca. Ciągle tam przesiadywaliśmy z Włodziem Zawiszą i ja się oddawałem zachwytom i wrażeniom miłości niewinnej. Zapomniałem nawet o domu, nie wracałem do Bohdaniszek i nic do rodziców nie pisałem, odkładając wyjazd z dnia na dzień, zatrzymywany przez pannę i przez kolegę, tak że wreszcie rodzice moi się przestraszyli i Mama przyjechała osobiście mię szukać. Słyszałem potem, że Eugenia Butkiewiczówna wyszła za mąż za ex-księdza, który się w niej zakochał, ale potem jej nigdy nie spotkałem i nie wiedziałem, co się z nią stało. Spytałem mojej studentki, czy ojciec jej nie miał siostry. Odrzekła, że miał tylko siostrę stryjeczną, ale ona nie wie, co się z nią stało i jej nie znała. Spytałem, czy nie nazywała się Eugenia? Tak. Czy nie wyszła potem za mąż? Tak, wyszła za kogoś. Czy nie za księdza? Tak, pono za byłego księdza. Śpiewała ładnie? Tak, naturalnie, to ta sama, śpiewała, tak ojciec mówił. Opowiedziałem mojej studentce o mojej miłości młodzieńczej. Tak się to w życiu zdarza. Gienię Butkiewiczówną i całą tę miłość moją sprzed lat 40 w Linkowcu i Słobódce zachowałem dobrze w pamięci.

7 listopada, rok 1935, czwartek

Byłem z prof. Purėnasem u ministra oświaty dla poradzenia się z nim w przedmiocie sankcji dyscyplinarnych w stosunku do studentów, skompromitowanych w głośnym zebraniu mityngowym towarzystwa akademickiego prawników i ekonomistów sprzed miesiąca i w wiecu nielegalnym na rzecz rezolucji strajkowych. Dochodzenie w tej sprawie było zlecone przeze mnie prorektorowi Česnysowi i prof. Purėnasowi. W świetle dochodzenia wina poszczególnych studentów bardzo zmalała w porównaniu do doniesień, któreśmy otrzymali z Ministerium Spraw Wewnętrznych przez ministra oświaty. Skądinąd ostre represje mogłyby teraz raczej burzyć, niż uspakajać, środowisko studenckie, które bądź co bądź się umitygowało, zresztą młodzież działała w podnieceniu, wytrącona z równowagi, której i same władze akademickie nie były w stanie zachować; wreszcie jej podniecenie było wyzyskiwane przez czynniki polityczne, działające z ukrycia. Nie byłoby wskazane i pedagogiczne zbyt ostro karać. Co do mnie, byłem skłonny nieco energiczniej reagować w stosunku do jednostek, ale moi koledzy z rektoratu skłaniali się sami i mnie skłonili do większej wyrozumiałości. Jest niewątpliwie też pewna „kiereńszczyzna” w kołach naszych władz akademickich, która w ogóle wzdraga się przed wszelkim radykalizmem. Chodziło wszakże o to, aby przed zastosowaniem tych sankcji łagodnych i wyrozumiałych uprzedzić o tym ministra, aby potem rząd nie uczynił z tego nowego oręża zarzutu przeciwko uniwersytetowi, który jest ze sfer rządowych obecnie mocno atakowany (słychać, że już się opracowuje nowy statut uniwersytetu, podobno radykalnie reformujący całą konstrukcję rządów uniwersyteckich w kierunku ograniczenia lub zgoła skasowania samorządu akademickiego).

Chodziło też o to, aby rząd sam nie zastosował ogólnych środków represyjnych do tych studentów, którzy będą karceni środkami akademickimi. Wieczorem na posiedzeniu senatu sankcje te zatwierdziliśmy. Są one łagodne: uczestnicy (przywódcy) wiecu strajkowego oddani zostają pod akademicki sąd dyscyplinarny, studentowi Abramasowi, głównemu mówcy na zebraniu Towarzystwa Prawników i Ekonomistów – nagana publiczna, zarząd tego towarzystwa zostaje usunięty bez prawa ponownego wyboru tychże osób. Oto i wszystko. Minister zbytnio nie oponował, tylko co do Abramasa uważał, że należałoby może ukarać go ostrzej.

8 listopada, rok 1935, piątek

Na wczorajszym posiedzeniu senatu akademickiego dziekan Wydziału Prawniczego Janulaitis, któremu przed tygodniem senat był polecił zreferować wniosek o wytoczenie prof. Šiwickiemu sprawy dyscyplinarnej o znieważenie uniwersytetu w prasie, zgłosił wniosek przeciwko wytoczeniu sprawy dla braku kwalifikacji występku w czynie Šiwickiego. Senat wszakże odrzucił wniosek Janulaitisa i polecił ten referat dziekanowi Wydziału Medycznego prof. Lašasowi. Właściwie Šiwicki nie jest odosobniony w tej akcji przeciwko korporacji uniwersyteckiej. Jest cała grupa tego kierunku wśród profesury a zwłaszcza wśród młodszego personelu – asystentów. Jądro tej grupy mieści się w Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym; stanowią je: prof. Šiwicki, były rektor prof. Czapiński, który cierpi, zdaje się, na uwiąd starczy i stał się niezwykle nerwowy i złośliwy, i prof. Pakštas. Ciekawe, że w grupie tej najczynniejszym elementem są klerykali; klerykałami są Pakštas i Šiwicki; do nich też należą młodzi prywat-docenci czy asystenci Slavėnas, Juška itd. Bardzo charakterystyczne jest to, że ci sami klerykali z jednej strony posługują się młodzieżą akademicką do walki politycznej z rządem narodowców i używają do tego haseł obrony samorządu korporacyjnego uniwersytetu, z drugiej natomiast strony przez innych ludzi swoich atakują korporację uniwersytecką publicznie, dyskredytują jej samorząd i w tej akcji dostarczają argumentów czynnikom rządowym narodowców do akcji przeciwko uniwersytetowi!

Dziwna walka sojuszników i sojusz przeciwników. Ofiarą zaś jest korporacja uniwersytecka, napastowana z dwóch stron.

9 listopada, rok 1935, sobota

Zdaje się, że nad uniwersytetem, a przynajmniej nad jego ustrojem samorządowo-korporacyjnym zbiera się burza. Są pogłoski, że w kołach rządowych rozpoczęto już projektowanie nowego statutu uniwersyteckiego. Że myśl zasadniczej reformy całego statutu jest w sferach rządowych aktualna – to fakt, bo nieraz w ostatnich czasach tak Prezydent Rzeczypospolitej, jak minister oświaty Tonkunas w rozmowach, które z nimi miałem, nadmieniali o tym lub owym szczególe reformy statutowej i w ogóle o potrzebie tejże. Czy już się projekt nowego statutu przez kogoś układa – tego na pewno nie wiem; są to tylko pogłoski, ale bardzo prawdopodobne. Mam wrażenie, że reforma ta będzie dość radykalna i głęboka i w szczególności bardzo obetnie samorząd korporacyjny i wzmocni kategorycznie czynnik nominacyjny w organizacji władz administracyjnych akademickich oraz ustanowi zewnętrzny dozór policyjny nad organizacjami młodzieży akademickiej. Nie sądzę, aby wykonanie tej reformy nastąpiło bez wiedzy obecnych organów akademickich taką metodą, jaką była ogłoszona nowela z d. 27 września. Ale to „porozumienie" z obecnymi czynnikami kierowniczymi uniwersytetu będzie zapewne rodzajem podyktowania im reformy, już opracowanej i ustalonej. Obawiam się, że będę ostatnim już rektorem z wyborów. Ostatecznie niech już rząd raczej zreformuje uniwersytet, niż czyni tak, jak teraz: nie reformuje, ale przez swoje organy – prasę, radio, zjazdy – napada na uniwersytet i jego ustrój obecny, który przecie oparty jest na statucie, udzielonym mu przez tenże rząd. Jeżeli tylko hasło „rewolucji narodowej", rzucone przed tygodniem, okaże się nie barwnym frazesem, jeżeli rząd potrafi się

na tej linii utrzymać i ją forsować, to oczywiście tak uniwersytet, jak wszystko inne będzie musiało być do tej linii dostosowane. Będzie to tylko kwestia logiki.

10 listopada, rok 1935, niedziela

Rano Jadźka wyjechała na kilka dni do Bohdaniszek. Tą swoją coroczną podróż gospodarską do Bohdaniszek odroczyła sprzed 10 dni ze względu na opatrunki mojego chorego palca. Teraz już opatrunków palcu nie trzeba. Forunculus już pękł i zastrupił się, a choć obrzękłość na palcu jeszcze jest i nie ustępuje, jednak nic już zewnętrznie do robienia nie ma. Jadźka jedzie zakłuć świnię i zarżnąć krowę, porobić kiełbasy i wędliny, solić mięso, ewentualnie sprzedać zboże, sprzedać konia i buhaja, kupić źrebię klaczkę, dokonać różnych wypłat gospodarskich itd. Lubi ona tę wycieczkę coroczną i ma razem rozrywkę zobaczenia się z matką i rodziną swoją. Ale zawsze śpieszy się z Bohdaniszek wrócić do mnie. Odprowadziłem ją na dworzec kolejowy z Andrzejem i wsadziłem do pociągu. Wyjechała w dobrym humorze. Pogoda słoneczna towarzyszy jej wycieczce.

Po obiedzie o godz. czwartej poszedłem do uniwersytetu na obchód pamięci jednego z publicystów i poetów litewskich z okresu „Aušry" i „Varpasu" – Mačysa-Kėkštasa, zmarłego w pierwszych leciech wieku XX w Ameryce, którego prochy spalone w urnie przywiozła tego lata z Ameryki do Litwy działaczka amerykańsko-litewska dr Baltrušaitisowa. Na obchodzie tym, urzędowym staraniem sekcji akademickiej „Towarzystwa Popierania Litwinów za Granicą" („Užsienio Lietuviams Remti Draugija"), wypadło mi, jako rektorowi, wygłosić zagajenie, które poświęciłem scharakteryzowaniu roli dziejowej pracowników okresu „Aušry". Na obchód złożyły się wspomnienia osobiste o Mačysie-Kėkštasie grona jego rówieśników, należących już dziś do najstarszego wygasającego pokolenia inteligencji litewskiej. Wspomnienia te wygłosili: a. nestor czy patriarcha najstarszego pokolenia – przeszło 80-letni generał Bulota, zgrzybiały, ale jeszcze mocno się na nogach trzymający i ruchliwy, wobec którego inni weterani wygasającego pokolenia w wieku lat ± 70 wyglądają jeszcze na młodzieńców; b. stary emerytowany profesor dr Bagdonas; c. stary profesor honorowy Leonas i d. b. Prezydent Rzeczypospolitej i nestor liberalizmu litewskiego dr Kazimierz Grinius. Ci trzej ostatni należą do skrzydła opozycji liberalnej dzisiejszej, ludzie czyści, spracowani, zasłużeni, zepchnięci dziś za nawias akcji państwowej przez prąd nacjonalistyczny, którym nie pozostało nic innego, jak frondować i sentymentem w przeszłość romantyczną sięgać. Audytorium składało się z młodzieży przeważnie ludowców, która manifestowała gorące owacje produkującym się starcom. Bądź co bądź obchód ten był ciekawy, bo przeniósł słuchaczy w przeszłość sprzed laty 30-50, niezbyt jeszcze zamierzchłą, dla nas jeszcze bliską, ale jakże już różną od teraźniejszości, a dla młodego pokolenia już wprost bajeczną. Jest w takim obchodzie wspomnieniowym coś jakby z zaświatów – jakby głos grobów, szeptany serdecznie przez szczątki żywe pokolenia już w czasie swojej umarłego. Obchód był urozmaicony przez śpiew chóru akademickiego.

11 listopada, rok 1935, poniedziałek

Znowu byłem mocno zaniepokojony moim palcem i ranką po drugim wrzodzie na lewym boku, która się nie goi, choć wrzód ten pękł już przed kilku dniami. Na palcu jeszcze jest obrzękłość i pewne zaognienie dokoła dawnego otworu forunkulusa, który się już pokrył skórką. W nocy szczególnie niepokój mię ogarnia i snują mi się po głowie różne złe przypuszczenia, które spać nie dają. Pobiegłem do doktora, tym razem do młodego asystenta Wydziału Medycznego Sidorowicza, który mię jednak uspokoił, że nic złego nie ma i że jest to niewinny forunkulus na palcu i wrzód na boku, które się stopniowo bez śladu zagoją. Nerwowy i wrażliwy jestem, a w nocy się przestraszam jak dziecko, że aż mi włosy na głowie stają i tak się napompowuję przerażeniem, że panować nad sobą nie jestem w stanie.

W ogóle poza tym miałem dziś dzień spokojny. Rano wykład i colloquium na I semestrze sekcji prawniczej, potem – zwyczajne zajęcie w rektoracie, kilku interesantów, po obiedzie – wizyta u doktora i praca biurkowa w domu, wieczorem byli u mnie z wizytą na kawie Piotr Rosen z żoną, bawiący dla interesów w Kownie. Wieczorem znowu przyniesiono mi od dr Gudowicza zająca. Dr Gudowicz jest zawołany myśliwy. Przez cały rok co niedzielę wyrusza na polowanie z psem i zawsze coś upoluje. Od lata tego roku, odkąd został wybrany do uniwersytetu, prawie co tydzień przysyła mi w poniedziałek coś ze zwierzyny. Wpierw przysyłał po kilka kaczek, potem w jesieni – kuropatwy, teraz – zające. Mam w nim, zdaje się, nie tylko zbawcę życia mojego, dobrodzieja, który mię uratował w zeszłorocznej mojej chorobie śmiertelnej, ale także przyjaciela serdecznego. I ja go takąż sympatią serdeczną i wdzięcznością darzę. Bo też mam za co, a skądinąd człowiek to złotego serca i prawości.

Mam kłopot na uniwersytecie z likwidacją tzw. „Tautosakos Komisjos" (komisja do zbierania i porządkowania folkloru). Komisja ta funkcjonowała przez lat kilka przy Wydziale Humanistycznym i w zeszłym roku akademickim została zlikwidowana, a na jej miejsce został utworzony przy Ministerium Oświaty tzw. „Tautosakos Archyvas". Minister oświaty domaga się kategorycznie oddania przez wydział na rzecz archiwum zbiorów komisji, Wydział zaś Humanistyczny, inspirowany przez dziekana Krėvė-Mickiewicza, odmawia kategorycznie, uważając, że zbiory te należą do wydziału. Obie strony upierają się i roznamiętniają, odwołując się każda ze swymi roszczeniami do mnie jako zwierzchnika uniwersytetu.

12 listopada, rok 1935, wtorek

Wprowadziłem od roku akademickiego ubiegłego zwyczaj zwoływania we wszelkich kwestiach trudniejszych rektoratu, to znaczy zebrania *in corpore* tej władzy ogólnoakademickiej, która pochodzi z wyborów Rady Uniwersyteckiej. Jest to rektor, to znaczy ja, obaj prorektorowie i sekretarz prof. Purėnas. Jako kolegium rektoratu, nie jest to organ formalny, przewidziany przez statut lub regulamin uniwersytecki i posiadający kategoryczną kompetencję legalną. Jest to organ, wytworzony w drodze precedensu, rodzaj gabinetu rektorskiego, rada rektorska, służąca do pewnego uzgodnienia stanowiska, do koordynacji poglądów. *Sui generis* organ kontaktu, organ narady i porozumienia. To kolegium rektoratu jest bardziej giętkie, niż senat akademicki, który jest ciałem złożonym i dość ciężkim z przewagą dziekanów wydziałów. W kolegium rektoratu autorytet i waga rektora jest istotniejsza, niż w senacie, gdzie ją osłabia czynnik wydziałów, przeważający za pośrednictwem dziekanów. W rektoracie, którego posiedzenia nie mają żadnej formy ani trybu, ani protokołów, łatwiej się porozumieć i dogadać, niż w senacie. Pewnego rodzaju czynnikiem dyskordującym w rektoracie jest prorektor Česnys, nie dlatego żeby był oporny, bo Česnys jest z natury ultrakompromisowcem, nie lubiącym żadnych stanowisk ostrych, niesklonnym ani do frondy, ani do opozycji, szukającym zawsze rozwiązań li tylko popularnych, ale właśnie przez to, że się boi i unika wszelkiej wyraźności, jest miękki jak kasza, oglądający się na to, co powiedzą inni poza nami i jakie to wywoła wrażenie. Ale za to dwaj inni – Jodelė i Purėnas – są mocni, wyraźni, mają głowy i przekonanie, mają odwagę decyzji i sąd samodzielny. Kolegium rektoratu jest dobre nie tylko jako narzędzie zorientowania się, ale także jako narzędzie przygotowania decyzji senatu. Łatwiej jest osiągnąć ten lub inny skutek w senacie, gdy rektorat jest zorientowany i zsolidaryzowany poprzednio, niż gdy jego członkowie stają w senacie luźnie. Dziś w szczególności omówiliśmy i dobrze ustaliliśmy w rektoracie zasady akcji w kwestii zbiorów byłej „Tautosakos Komisijos". Jest to kwestia dość trudna technicznie ze względu na zacięty upór dziekana Krėvė-Mickiewicza.

Z Paryża Natkiewicz i Klimas wciąż mię atakują o to, abym się zdecydował na referat w Fundacji Pokojowej Carnegie na temat paktu regionalnego bałtyckiego i tzw. kwestii

specyficznych, wyłączonych ze sfery wspólnictwa, opartego na tym pakcie. Dwie inne moje „conférences” paryskie – Faculté de Droit i w Institut de Droit Comparé – są już zupełnie ustalone tak co do tematu, ja co do daty (11 i 13 grudnia), a teksty tych dwóch odczytów są już także przeze mnie opracowane. Wszakże zagadnienia tej trzeciej „conférence” jest jeszcze otwarte. Zaprojektowany przeze mnie temat („Le souveraineté de la Lithuania sur la Territoire de Memel”) z pewnych względów się tam nie nadaje, choć już odczyt na ten temat opracowałem. Temat paktu bałtyckiego jest dla mnie pod względem prawniczym dość nowy, choć politycznie dużo już na ten temat pisałem i mówiłem. Opracowanie go byłoby dla mnie dość uciążliwe, zwłaszcza wobec innych zajęć. Pomówię jeszcze o tym z ministrem Lozoraitisem.

13 listopada, rok 1935, środa

Poczciwy i kochany dr Gudowicz dostarcza mi tyle zwierzyny, że mię tym wprost zawstydza. Prawie co poniedziałek mam teraz od niego zająca. Pozawczoraj też nam przysłał jednego, przy czym stróż jego domu, który mi od niego zwierzynę przynosi, mówił, że doktor jeździł był w niedzielę na polowanie na kozły (sarny), na które sezon polowania się kończy 15 listopada. Czy upolował sarnę – nie pytałem. Aż oto dzisiaj doktor Gudowicz przysłał mi łaskawie wspaniałą szynkę świeżą sarnią – z ogromnego kozła, którego upolował. Sarnina – to zwierzyna wyborowa i rzadka. Jest świeżutka i trzymamy ją na chłodzie, a jutro służąca Onutė zamoczy ją w occie. Z takim przysmakiem, stanowiącym rarytas, zaczekać muszę na Jadźkę, która zapewne w tych dniach wróci z Bohdaniszek. Pośpieszyłem ją zaraz powiadomić listownie o sarninie, nawołując do powrotu. Sarnina – to się jada nie co dzień.

Skądinąd dzień mi upłynął dość spokojnie. Żadnych szczególnych wydarzeń ani większych komplikacji nie było.

Mój wrzód boku, o który się niepokoiłem, już się dobrze goi, ale za to wyrasta nowy na tymże boku nieco niżej i w boleśniejszym miejscu, bo nad kością. O wrzody te się nie niepokoję, ale pozostałość tego foruncululsa na małym palcu prawej ręki ani myśli ustępować. Niby wprawdzie obrzękłość jest mniejsza, niż przed tygodniem i strup już zeszedł, ale na miejscu dawnego furunculusa utworzyło się kółko wybrzęknięcia lokalnego bez otworu, które jest zaczerwienione i od czasu do czasu się zaognia, a skórę ma na środku twardą i suchą, trochę się łuszczącą. Co to jest – sam nie wiem. Wszyscy lekarze, do których się zwracałem – Zacharin, Sidorowicz – twierdzą, że to bagatela i że to samo przejdzie, ale jakoś nie przechodzi. Gdy wymyję – to od wody czerwoność blednie i zaognienia podskórne ustępuje, ale po pewnym czasie powraca.

14 listopada, rok 1935, czwartek

Znowu jeszcze jeden zamach na mój czas i pracę, raczej na resztki tegoż. Wizytował mię nowy poseł francuski – minister Dulong, który mię uprosił o przyjęcie stanowiska prezesa Towarzystwa Francusko-Litewskiego, którego prezesem był dotąd Soblys. Minister Dulong wraz z lektorem języka francuskiego na uniwersytecie, Francuzem Schmitleinem (Alzatczykiem), który bardzo zabiega o propagandę francuską w Litwie, umyślili to towarzystwo zreformować, aby je uczynić bardziej czynnym, wyrazistym i wpływowym. Chcą do niego wciągnąć z jednej strony wszystko, co w społeczeństwie litewskim jest bardziej wybitne i z kulturą francuską związane, z drugiej – więcej młodzieży, ułatwiając jej dostęp przez obniżenie składki członkowskiej albo nawet zwolnienie od tejże. Mnie chcą mieć na czele towarzystwa dla firmy rektorskiej, a sądzę, że i dla mojego stanowiska prezesa litewskiej Komisji Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej, w związku zapewne z poruszoną na ostatniej konferencji Bałtyckiej tych komisji i aktualną sprawą ustalenia jednego języka międzynarodowego w stosunkach międzybałtyckich (jak wiadomo, wybór się waży między językiem francuskim a angielskim). P. Dulong mię zapewniał, że prezesostwo w

towarzystwie będzie raczej firmowe i tytularne i czasu mi dużo nie zajmie, faktyczną zaś pracą czynną będzie obarczony wiceprezes, na którego chcą oni zaangażować panią Urbšysową. Wypadło mi się zgodzić, tym bardziej wobec mojej podróży z odczytami do Paryża.

Wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Większą część posiedzenia zajęła sprawa zbiorów byłej „Tautosakos Komisji", które minister oświaty żąda oddać nowemu „Tautosakos Archyvas", czego Wydział Humanistyczny wykonać się nie zgadza. Sprawa ta w senacie poszła dość ciężko; skomplikował ją szczególnie Janulaitis. Pisać tu o niej dziś nie będę. W sobotę zajmie się nią jeszcze rektorat z udziałem Janulaitisa.

Druga sprawa, załatwiona na posiedzeniu senatu, to sprawa pociągnięcia do odpowiedzialności dyscyplinarnej prof. Šiwickiego za jego artykuł w „Naujoji Romuva", zawierający szereg uwłaczających uniwersytetowi, jego organom i wydziałom twierdzeń. Prof. Lašas bardzo umiejętnie sformułował zarzuty, toteż jego referat i wnioski przyjęte zostały za podstawę do oskarżenia. Sąd dyscyplinarny utworzono w osobach: przewodniczący – dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaits i sędziowie – prof. Stanisław Szołkowski z Wydziału Teologicznego, prof. Mykolaitis-Putinas z Wydziału Humanistycznego, prof. Żyliński z Wydziału Medycznego i prof. Moszyński z Wydziału Technicznego. Na oskarżyciela wyznaczono prof. Wacława Biržiškę. Obrońcę prof. Šiwicki może sam wybrać, a jeżeli nie wybierze – to senat mianuje.

15 listopada, rok 1935, piątek

Byłem u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Poszedłem do niego w sprawie mojej jazdy w grudniu z odczytami do Paryża. Poprzednio byłem doręczył ministrowi rękopisy tych odczytów moich, aby mu dać ewentualnie możność zgłoszenia jakichś rezerw lub przedyskutowania jakichś tez moich, gdyby minister ze względów polityki litewskiej miał pewne zastrzeżenia lub wątpliwości. Minister zwrócił mi rękopisy bez żadnych zastrzeżeń – może ich nawet nie czytał, co najwyżej przejrzał; ufa mi zresztą zupełnie. Spytałem Lozoraitisa, co by sądził o odczycie na temat układu regionalnego bałtyckiego i zastrzeżonych kwestii specyficznych, do którego mię namawiają Klimas z Natkiewiczem, a do którego ja osobiście zbytniego nagabania nie mam, bo się w tych kwestiach specyficznych i w konstrukcji prawniczej samego pojęcia tychże nie bardzo orientuję. Lozoraitis oświadczył, że rozpoznawanie tych zagadnień wydaje mu się zgoła nie na czasie i zatem jest niepotrzebne. To mię utwierdziło w decyzji odmownej i zaraz też z domu napisałem do Paryża do Natkiewicza, że odczytu na ten temat się nie podejmuję. W sprawie sfinansowania mojej jazdy odczytowej do Paryża, która powstała z inicjatywy dyplomacji litewskiej i której sfinansowanie przez Ministerium Spraw Zagranicznych było już zastrzeżone, Lozoraitis przyrzekł mi wypłacić koszta podróży i diety stosownie do odpowiednich przepisów z uwzględnieniem mojej kategorii służbowej. Zdaje się, że będzie to wynosiło cenę biletu kolejowego I klasy z Kowna do Paryża i z powrotem i po 100 litów diet dziennych. Spytałem Lozoraitisa, ile jest prawdy w pogłoskach, że chce on ze stanowiska ministra ustąpić. Odrzekł, że oczywiście pogłoski te należy dementować, ale konfidencjalnie przyznaje, że miałby wielką ochotę ustąpić z tego stanowiska na inne, bo uważa sytuację Litwy za bardzo trudną i uważa za konieczne szukanie pojednania kompromisowego z Polską na podstawie choćby jakichś lekkich koncesji i *modus vivendi* ze strony Polski, ale w tym dążeniu napotyka wielkie trudności i opór tu w kołach rządowych litewskich. Lozoraitis wyraził żal, że się nie zdołał nigdy spotkać i pomówić z Piłsudskim, dopóki ten był żywy. Becka na stanowisku ministra spraw zagranicznych w Polsce uważa za czynnik ujemny do ugody. Co do Mariana Kościałkowskiego, który jest obecnie premierem w Polsce, to choć wie, że jest on człowiekiem, z którym perspektywy ugody byłyby może najbardziej możliwe, to jednak zawsze trudniej jest dojść do czegoś z epigonem, niż z samym wodzem, którego dziś w Polsce

już nie ma. Już poprzednio Lozoraitis mi raz wspominał, że pragnąłby pomówić ze mną poufnie o stosunkach w Polsce i o perspektywach porozumienia. Dziś mi ponowił to życzenie i prosił, żebym mu poświęcił kiedyś czas na taką rozmowę poufną. Umówiliśmy się kiedyś się spotkać na rozmowę po obiedzie; on mi ma wyznaczyć dzień i czas, a tymczasem udzielił mi ściśle poufnie do przeczytania dwa dokumenty zupełnie tajne, jeden – streszczoną przezeń protokularnie „*pro memoria*" swoją rozmowę z Beckiem w Genewie, i drugi – swój referat o stosunkach i perspektywach oraz potrzebie ewentualnej ugody z Polską, czytany przezeń po powrocie z Genewy w Gabinecie Ministrów. Dokumentów tych jeszcze nie przeczytałem; są one niewątpliwie bardzo ciekawe. Zauważyłem tylko adnotację Lozoraitisa na swoim referacie, zaznaczającą, że referat ten był przezeń odczytany wodzowi wojska („kar. vadui" – kto to jest – nie wiem, chyba szef sztabu) i że ten akceptuje tezy referatu i że następnie był odczytany w Gabinecie Ministrów, gdzie napotkał wielką opozycję ze strony M. P. („Ministeris Pirmininkas"? – to znaczy premier Tubelis) i ze strony T. M. („Teisingumo Ministeris"? – to znaczy minister sprawiedliwości Šiling).

Wieczorem dziś wróciła z Bohdaniszek Jadźka. Serdecznie się cieszę. Dużo tam uporządkowała, porobiła zapasy mięsa, sprzedała zboże, powypłacała należności robotnikom i niektóre długi detaliczne, przywiozła jeszcze trochę pieniędzy. Ale najważniejsze to, że sama wróciła, ba sama jej obecność jest dla mnie słodyczą domową i spokojem.

16 listopada, rok 1935, sobota

Miałem długie posiedzenie rektoratu z udziałem zaproszonego Janulaitisa – w kwestii zbiorów byłej „Tautosakos Komisijos". Kwestia pod względem prawniczym jest niełatwa. Jakim był status prawny tej komisji – niepodobna dociec, bo nie było żadnych uchwał, wyraźnie ją konstytuujących ani żadnego regulaminu lub statutu komisji. Inicjatywa jej założenia, a raczej udzielenia przez rząd kredytów na jej założenie i funkcjonowanie wyszła w swoim czasie od Wydziału Humanistycznego, kredyty zaś zostały udzielone uchwałą Gabinetu Ministrów. Personel komisji był wybrany przez Radę Wydziału, kredyty były wpisywane do preliminarza uniwersyteckiego jako dział osobny i rządzone przez komisję pod firmą formalną rektora. Na wiosnę tego roku rząd cofnął te kredyty i latem ustawą specjalną utworzony został „Tautosakos Archyvas" w łonie Ministerium Oświaty. Teraz minister oświaty domaga się kategorycznie przekazania zbiorów „tautosakos" temu archiwum. Wszakże ustawa o utworzeniu „Tautosako Archyvas" nic o tych zbiorach nie wspomina i w ogóle o byłej komisji nie wspomina. Dziekan Wydziału Humanistycznego i Rada Wydziału komisji nie zlikwidowali i traktują ją jako swoją własną instytucję wydziałową w zakresie funkcji lituanistyki, należącej statutowo do wydziału. Choć komisja ta nie dysponuje już kredytami specjalnymi, które jej zostały cofnięte, jednak może funkcjonować, posługując się ogólnymi środkami wydziału. Konflikt się zaostrzył; obie strony – minister i wydział – uparli się i zajmują stanowisko bardzo kategoryczne: jeden żąda oddania zbiorów, drugi – odmawia. Moja rola jest pośrednicząca, ale o koncyliacji i porozumieniu nie ma mowy, bo choć wydział proponuje załatwienie kompromisowe udzielenia zbiorów pod warunkiem sporządzenia dlań odpisów, jednak minister żąda oddania bezwzględnego i natychmiastowego. Że zbiory te są własnością państwa – to uważam za fakt, chodzi jednak o kwestię prawną, który z dwóch organów państwowych – wydział czy „Tautosakos Archyvas" w łonie Ministerium Oświaty – ma kompetencję legalną do dysponowania zbiorami. Problem nie jest łatwy i zdaje mi się, że formalnie dyspozycja zbiorami należy raczej do wydziału. Ale chodzi nie tylko o to. Jest to tylko pierwsza część zagadnienia. Państwo nasze jest policyjne – nie ma ani sądu administracyjnego, do którego można się odwołać w razie sporu o legalność zarządzeń władzy, ani żadnej instytucji o charakterze sądowym, posiadającej moc rozstrzygania arbitralnego sporów między instytucjami państwowymi w zakresie interpretacji prawa. W tych warunkach państwa policyjnego, o ile się nie uznaje anarchii, która oczywiście jest nie

do pomyślenia w państwie, decyzja ostateczna w sporze interpretacyjnym prawnym może należeć li tylko do zwierzchności tych dwóch organów, między którymi powstał spór prawny, a jeżeli te dwa organy są jeden drugiemu subordynowane, to decyzja wyrokująca może należeć tylko do tego, który z nich jest zwierzchni. W tym wypadku spór jest między uniwersytetem a Ministerium Oświaty, które ma dozór zwierzchniczy nad uniwersytetem. Możemy więc naszą interpretację ministrowi przedstawić, bronić się nią, argumentować, ale jeżeli minister pomimo to swej interpretacji nie odstąpi, to ostatnie słowo należy do niego i musi być wykonane. Taka jest moja teza prawnicza, którą uważam za niewzruszoną i logicznie jedyną, opartą na konstrukcji prawnej państwowo-administracyjnej, działającej u nas (w systemie państwa policyjnego).

17 listopada, rok 1935, niedziela

Dziś, jako w przeddzień rocznicy Niepodległości Łotwy, miałem parę uroczystości obchodu tej rocznicy. Od roku zeszłego, odkąd nastąpiło zbliżenie formalne Litwy, Łotwy i Estonii w kierunku Związku Bałtyckiego, ustalił się zwyczaj, że Dzień Niepodległości każdego poszczególnego z tych krajów jest obchodzony w dwóch krajach sąsiednich uroczyście przez wywieszenie chorągwi narodowych kraju-solenizanta, przez obchody uroczyste z udziałem przedstawicieli rządów i przez wizyty ministrów kraju-solenizanta do stolic dwóch krajów zaprzyjaźnionych dla wzięcia tam udziału w uroczystości obchodu. Tym razem przyjechał do Kowna z Łotwy łotewski minister spraw wewnętrznych Gulbis z żoną. Przyjechało też kilku solistów Opery łotewskiej w Rydze, wirtuozów muzyki, dziennikarzy i stary p. Ritters, długoletni prezes Towarzystwa Łotewsko-Litewskiego w Rydze. Obchód centralny Niepodległości w Kownie będzie miał miejsce jutro w sali Klubu Wojskowego Ramovė pod firmą Towarzystwa Litewsko-Łotewskiego. Będą tam mowy, między innymi ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa, będzie dział koncertowy i raut z tańcami. Ale dzisiaj były dwa inne epizody tej rocznicy. O godz. piątej było przyjęcie u posła łotewskiego p. Sēji, gdzie była herbata i kawa, przekąski, trunki, ciasta, owoce, następnie popisy artystów łotewskich w śpiewie i grze na fortepianie i skrzypcach i gdzie się zebrało do 200 osób gości. Wieczorem zaś po ósmej odbył się wieczór akademicki na uniwersytecie, złożony z przemówień i działu koncertowego. Był on urządzony staraniem kilku stowarzyszeń akademickich młodzieży. Musiałem, jak zwykle, zagajać. Przemawiałem po litewsku do młodzieży i po francusku do gości łotewskich. Obecni byli i w prezydium honorowym zasiadali nasz minister oświaty Tonkunas, minister łotewski Gulbis, Sēja, Ritters. Obecni też byli członkowie poselstwa łotewskiego, nowy minister wojny – nasz profesor Dirmantas, burmistrz Merkys, wielu gości, profesorów i całe mnóstwo młodzieży akademickiej. Przemawiał minister Gulbis po łotewsku, poseł Sēja po litewsku, prof. Pakštas, przedstawiciel młodzieży naszej Albin Briedis. W koncercie wzięli udział ze strony litewskiej śpiewaczka Grigaitisowa i artyści łotewscy, wśród nich sympatyczna i bardzo wyrazista i wdzięczna solistka Opery łotewskiej w Rydze – p. Rebane, którą bardzo admiruję za głos, ekspresję i finezję uczuciową.

18 listopada, rok 1935, poniedziałek

We czwartek ubiegły na posiedzeniu senatu akademickiego Janulaitis swoją interwencją niby prawniczą skomplikował jeno zagadnienie zbiorów byłej „Tautosakos komisjos", nadając zagadnieniu temu charakter rzekomo sporu cywilnego o mienie, podczas gdy w istocie jest to zagadnienie prawno-publiczne kompetencji: która z dwóch instytucji – Wydział Humanistyczny uniwersytetu czy „Tautosakos Archyvas" – ma kwalifikacje właściwości legalnej do dysponowania tymi zbiorami. Odpowiedź zależy od interpretacji prawa. Na naradzie uzupełniającej rektoratu z udziałem Janulaitisa, którą odbyliśmy w sobotę, po dość uciążliwym biedzeniu się nad znalezieniem właściwego wyjścia – moja opinia

skrystalizowała się ostatecznie i zyskała aprobatę kolegów z rektoratu. Jest ona taka. Z dwóch sprzecznych interpretacji – wydziału i ministra oświaty – akceptuję jako właściwszą i, zdaje się, istotnie prawniczo mocniejszą, interpretację wydziału, stwierdzającą jego kompetencję dysponowania zbiorami, opartą na jego statutowej funkcji naukowej w zakresie lituanistyki i na stwierdzeniu, że była „Tautosakos Komisja" w istocie była instytucją wydziałową. Przyjmując tę interpretację, nie mogę wykonać wniosku ministra o nakazaniu dziekanowi wydziału wydania zbiorów „Tautosakos Archyvasowi". Interpretację tę, odpowiednio motywowaną na piśmie, przedstawię ministrowi. Jeżeli wszakże pomimo to minister przekonać się nie da i powziąwszy decyzję na rzecz przeciwnej interpretacji, sam wyda mi rozkaz służbowy przekazania zbiorów, to rozkaz ten będzie musiał być wykonany, bo wobec nieistnienia u nas żadnej instytucji sądu administracyjnego lub arbitrażu w sporach między urzędami o interpretację prawną, rozkaz służbowy w trybie hierarchicznym ma moc wyrokowania prawnego. Inaczej byłaby anarchia, która jest wykluczona w ustroju państwowym. Jednocześnie jednak zaproponuję ustnie ministrowi, o ile go moje argumenty interpretacyjne nie przekonają, nie decydować arbitralnie samemu, natomiast zwrócić się do Rady Stanu, prosząc ją o wykonanie ekspertyzy prawniczej co do zasadności jednej lub drugiej interpretacji. Tak też uczyniłem. Moją interpretację sformułowałem na piśmie dość obszernie i dziś ją ministrowi doręczyłem. Minister rozumie moje stanowisko, ale zdaje mu się, że interpretacja przeciwna ma też uzasadnienie mocne. Do Rady Stanu ewentualnie się zwróci, ale w szerszych ramach zagadnienia, czy w ogóle minister oświaty może decydować o dyspozycji mienia uniwersyteckiego, nawet takiego, którego dyspozycja niewątpliwie do uniwersytetu należy.

19 listopada, rok 1935, wtorek

Wyrzuty, których dostałem na ciele tej jesieni, trochę mnie już mniej męczą. Przede wszystkim, choć bardzo powoli, goi mi się forunculus na małym palcu prawej ręki. W tym tygodniu zdjąłem już z palca „palcówkę" (rodzaj rękawiczki jednopalcowej), w której chodziłem przez trzy tygodnie; jednak pewien liszaj na miejscu, gdzie był forunculus, pozostał w postaci skóry stwardniałej w tym miejscu i zbliżonej do strupa, a dokoła tego liszaju pozostało pewne zaczerwienienie skóry, raczej ciemna plama; po trochę, zdaje się, to się zmniejsza, ale postęp jest bardzo powolny. Jednocześnie z tym forunculusem-liszajem na palcu był się na lewym boku w pasie utworzył wrzód duży i głęboki, który po pęknięciu długo się nie goił i wciąż z wnętrza swego materię sączył. Następnie zaczął się goić i zastrupił się, ale jednocześnie nieco niżej na tymże boku, tuż nad kością zaczął się tworzyć nowy wrzód duży, bardzo bolesny i szczególnie dokuczliwy w nocy, bo spać na tym boku nie mogłem, a spać wyłącznie na jednym boku nie umiem. Dziś wreszcie pękł mi i ten wrzód drugi. Daj Boże, aby się nie utworzył trzeci. Wrzody, liszaje i dolegliwości skórne – to jest cierpienie czasem bolesne, ale zawsze przykre, zwłaszcza gdy są na miejscu otwartym i widocznym, jak na palcu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszyscy to widzą i że się brzydzą.

Skądinąd miałem dziś dzień spokojny.

20 listopada, rok 1935, środa

Byłem u ministra Lozoraitisa, zaproszony przez niego na herbatę dla rozmowy prywatnej. Wspominał mi on kiedyś, że chciałby ze mną pomówić prywatnie o perspektywach kontaktu i może ugody z Polską. Potem, gdym był u niego przed tygodniem, udzielił mi on do przeczytania swój memoriał do rządu o nawiązaniu stosunków z Polską i *résumé* swoich dwóch rozmów z Beckiem w Genewie. Dziś przy herbatce, na którą mię zaprosił, chciał ze mną na cztery oczy porozmawiać. Dokumenty, których mi był bardzo poufnie udzielił, nic bardzo szczególnego nie zawierają. Rozmowy z Beckiem były na ogół blade: wynurzenia Becka były mdłe, nacechowane rezerwą i nawet pewną szorstkością,

bardzo nieszczere. Nic z nich wycisnąć konkretnego niepodobna. Najwyrazistsze są może tylko stwierdzenia następujące: a. że Polska w stosunku do Litwy nie dąży wcale do nawrotu do przeszłości, którą się nie kieruje i o której radykalnie zapomniała; b. że ze śmiercią Piłsudskiego wykreślony został z polityki polskiej w stosunku do Litwy pierwiastek sentymentu; c. że Polska świadoma jest tej prawdy, że Litwa wykazała szczerą i mocną wolę niepodległości; d. że Polska nie ma żadnego zgoła ustosunkowania do zagadnień państwa, z którym nie posiada żadnych stosunków dyplomatycznych; e. że o ile Litwa podnosi zagadnienie Kłajpedy jako czynnika solidarystycznego między Litwą a Polską, to należy pamiętać, że dla Polski port ten jest niedostępny, a przeto ją interesować nie może; f. że zresztą Polska gotowa jest zawsze rozważyć wszelkie zwrócone do niej propozycje lub sugestie litewskie, o ile Litwa zechce się z nimi zwrócić. Zresztą w wynurzeniach Becka nie ma żadnych zachęt do kompromisu z Litwą, jeno chłodna rezerwa bierna i manifestacyjna obojętność. Drugi dokument – memoriał Lozoraitisa do rządu litewskiego – słusznie i zasadnie uwydatnia użyteczność dla Litwy nawiązania stosunków z Polską dla umożliwienia jej akcji dyplomatycznej, neutralizującej ewentualnie groźne niebezpieczeństwo niemieckie. Ale naturalnie sprawa ta potyka się o kwestię wileńską, w której Litwa nic ze stanowiska swego ustąpić nie może i przy wszelkim nawiązaniu kontaktu musi sobie zastrzec choćby jednostronną niewzruszoność swego sztandpunktu. Jako program maximum żądań swoich do układu wysunięte są tezy następujące: a. ustalenie granicy państwowej w Suwalszczyźnie z ustąpieniem przez Polskę na rzecz Litwy Sejn i Puńska; b. nawiązanie komunikacji kolejowej i pocztowej z Polską przez granicę w Suwalszczyźnie; c. przesunięcie linii demarkacyjnej polsko-litewskiej w Wileńszczyźnie północnej za Święciany na wschód, pozostawiając po stronie litewskiej linię kolejową od Podbrodzia do Turmontu; d. utworzenie z całej połaci wschodniej aż po linię granicy litewskiej podług Traktatu Moskiewskiego wolnej zony celnej, przenosząc granicę celną polską na tę linię; e. nawiązanie stosunków konsularnych; f. wolny spław dla Polski po Niemnie; g. autonomia kulturalna dla Litwinów w Polsce; h. pewne drobiazgi w zakresie z reformą rolną w Litwie itp. Jest to zresztą tylko maximum. Zwłaszcza punkty c. i d. zdają się być w stosunkach obecnych dla Polski nie do pomyślenia. Ale żeby coś zacząć czy nawet próbować, przede wszystkim Lozoraitis musiałby być pewny aprobaty ze strony rządu litewskiego. A tego właśnie bynajmniej nie ma i mam wrażenie, że dopóki będzie Smetona, dopóty tej aprobaty nie będzie. Šiling i Tubelis są też temu przeciwni. Rozmowa nasza dzisiejsza ostatecznie spełzła na niczym i właściwie była bezprzedmiotowa. Żadnych propozycji mojego udziału w tej akcji Lozoraitis nie poczynił.

21 listopada, rok 1935, czwartek

Czasu nie mam i pisać dużo nie będę. Nadmienię tylko, że w sprawie o zabójstwo ministra Pierackiego w Polsce akt oskarżenia wystąpił z sensacyjnymi i bardzo przykrymi rewelacjami o popieraniu przez byłego ministra spraw zagranicznych Litwy, dr. Zauniusa, pewnej akcji rewolucyjnej ukraińskiej, skierowanej przeciwko Polsce i z której łona wyszedł spisek terrorystyczny i zamach na Pierackiego. Rewelacje te są kompromitujące dla Litwy. Litwa udzielała zapomóg, paszportow, świadectw i w ogóle różnych ułatwień agentom i działaczom tej grupy, która się okazała rewolucyjno-terrorystyczną. Sprawia to bardzo złe wrażenie i zaiste szkodzić jeno może Litwie, a korzyść z tego patronowania spiskowcom ukraińskim – żadna.

22 listopada, rok 1935, piątek

Miałem egzaminy studenckie; wieczorem byłem w kościele garnizonowym (byłym soborze prawosławnym przed wojną) na koncercie muzyki kościelnej dla uczczenia święta wojska, któremu poświęcony jest dzień jutrzejszy; potem byłem na posiedzeniu komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich.

23 listopada, rok 1935, sobota

Nie tylko niedziela, ale i sobota bywa dla mnie często dniem pracy reprezentacyjnej, potrzebnej niewątpliwie tak dla uniwersytetu, jak dla społeczeństwa, ale osobiście dla mnie uciążliwej, często nudnej i bardzo mię odrywającej od produkcyjnej pracy naukowej, której nie porzucam nigdy. Dziś miałem taki występ publiczny. Dziś obchodzony jest „dzień wojska" – rocznica stworzenia armii litewskiej – pierwszego rozkazu do wojska. Kowno było udekorowane chorągwiami, odbyły się nabożeństwa, uroczystość w Muzeum Wojennym, szereg posiedzeń uroczystych, obchodów, odczytów i koncertów poświęconych wojsku. Akademicka korporacja oficerów rezerwy urządziła też obchód wojska na uniwersytecie. O godz. ósmej wieczorem w sali uniwersyteckiej odbyło się posiedzenie tej uroczystości. Młodzież akademicka zapełniła salę, aczkolwiek nie tak gremialnie, jak by się należało spodziewać i jak bywa czasem na innych obchodach. Prezydium było utworzone z przedstawicieli czterech korporacji akademickich – oficerów rezerwy, „Neo-Lithuanii", „Samogitii" i „Romuvos Vaidilutė". Do prezydium honorowego zostali też zaproszeni: ja jako rektor i minister wojny profesor pułkownik Dirmantas. Z profesury na sali było tylko dwóch: prof. Jokubėnas, jeden z nielicznych regularnie uczęszczających na uroczystości akademickie, i prof. Jankiewicz (trzeba stwierdzić, że nasza profesura na ogół bardzo się zaniedbuje w kontakcie z młodzieżą i na uroczystościach akademickich świeci nieobecnością, co bynajmniej dobre nie jest – zwłaszcza młodsze elementy profesury się pod tym względem zaniedbują). Na obchód złożyło się odśpiewanie hymnu państwowego, przemówienia ministra wojny i moje, przemówienia organizacji studenckich, reprezentowanych w prezydium i paru innych, i odśpiewanie kilku pięknych piosnek żołnierskich przez chór męski akademicki oficerów rezerwy, wykonanych bardzo ładnie i efektownie. Ja w moim krótkim przemówieniu położyłem nacisk na moment uspołeczniający wojskowość, ładne też i bardzo treściwe, a wcale nie banalnie-militarystyczne było przemówienie obecnego prezesa „Neo-Lithuanii", studenta Bronisława Niemickiego, chłopca zdolnego i niegłupiego, pochodzącego z naszych stron, ze wsi Pokrewnie, urodzonego w Norwidyszkach, które rodzice jego dzierżawili w czasie wojny. Dość co prawda nieoczekiwana i dziwna była mowa ministra Dirmantasa, który nic nie mówił o wojsku, jeno wygłosił rodzaj kazania do młodzieży akademickiej, nawołując ją do karności i większej jedności, karcąc jej zróżniczkowanie ideowe i ni w pięć ni w dziewięć wdając się w analizę i krytykę samorządu akademickiego *in abstracto*, co jest bardzo modne w kołach prawicowo-narodowych, ale nie bardzo było właściwe tutaj i z ust profesora.

24 listopada, rok 1935, niedziela

Wczoraj wieczorem – po jakimś tygodniu mrozu – zaczął padać śnieg. Padał cały wieczór i noc, trochę padał jeszcze i dziś. Naśnieżyło od razu nieźle. Rozpoczął się dziś sport zimowy, na ulicach dzieci ciągają saneczki, już i dorożkarze w sankach się pokazali.

Wczoraj miałem uroczystość poświęconą wojsku, dziś – uroczystość, poświęconą pamięci wielkiego humanisty i pacyfisty, w szczególności też zdecydowanego antymilitarysty Lwa Tołstoja. Na obydwóch, jako rektor, musiałem naturalnie przemawiać, raczej zagajać. I samo przez się rozumie, że tam chwalić musiałem wojsko, tu – chwalić Tołstoja. Taki los rektora jako przedstawiciela społeczności akademickiej, w której jedne odłamy entuzjazmują się wojskiem, inne – Tołstojem. Wszakże w istocie jest dużo wartości społecznej tak w jednym, jak w drugim. To właśnie uwydatnić należy do mnie. Krótko jednak bawiłem na tym obchodzie Tołstoja na uniwersytecie, urządzonym za inicjatywą grupy młodzieży liberalnej z organizacji „Varpasu". Prelegentami byli prof. Krėvė-Mickiewicz, Leonas i inni. Ja po wygłoszeniu zagajenia uciekłem i pośpieszyłem do Janulaitisa na posiedzenie Towarzystwa

Historyków. Nie było jednak quorum, toteż posiedzenie do skutku nie doszło. Byli tylko: Janulaitis, Konstanty Jabłoński, Iwiński, Šapoka i ja. Wypiliśmy herbatkę i gawędziliśmy.

25 listopada, rok 1935, poniedziałek

Zbliża się już po trochę mój wyjazd na odczyty do Paryża. Choć odczyty są przygotowane – mam tremę. Paryż – to wielki świat. O ścisłość i precyzyjność naukową moich odczytów nie obawiam się, ale wałkowanie zagadnień lokalnych kłajpedzkich na wielkiej arenie świata – w Paryżu – może tchnąć prowincjonalizmem i sprawić na świat naukowy prawniczy wrażenie czegoś bardzo małostkowego i podrzędnego. Tego się boję.

26 listopada, rok 1935, wtorek

Pełno dziś miałem różnych zajęć detalicznych, które mię bardzo rozpraszają. Na godz. pierwszą byłem wezwany do ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Okazuje się, że pisał do niego Klimas z Paryża – wciąż w sprawie mojego ewentualnego odczytu o regionalnym Związku Bałtyckim w Fundacji Pokojowej Carnegie. Klimas nie nalega na tzw. kwestiach specyficznych, których Lozoraitis poruszać nie chce i nie uważa w chwili obecnej za stosowne i w które się zapuszczać nie chcę i ja, ale odczyt na ten temat zaleca. Po rozmówieniu się z Lozoraitisem stwierdziliśmy, że układ litewsko-łotewsko-estoński o Związku Bałtyckim z roku 1934 pod względem analizy prawniczej mało przedstawia obiektów dla odczytu, pod względem zaś politycznym musiałby być w odczycie zredukowany do komunałów, albowiem wszelkie agresje w stosunku do sąsiadów byłyby niewłaściwe. Wobec tego nie warto się w taki odczyt, blady, jałowy i ogólnikowy, wdawać. Napisałem o tym do Mackusa, prosząc, aby zakomunikował to Natkiewiczowi. Swoją drogą, może spróbuję tu jeszcze coś w tym przedmiocie ułożyć, ale wątpię, czy mi się uda coś wartościowego, treściwego i wyrazistego wycisnąć.

Byłem też u Bizowskiego w Ministerium Spraw Zagranicznych w sprawie sfinansowania mojej wycieczki odczytowej do Paryża. Zbyt hojnie ministerium nie finansuje, bo w naszych warunkach gospodarczych i finansowych wszystkie instytucje rozporządzają środkami ograniczonymi. Ministerium wypłaci mi cenę biletu I klasy z Kowna do Paryża i z powrotem oraz diety po 70 litów na dzień. Nie są to diety zbyt wielkie na Paryż. Zaoszczędzę na tym mało, ale zaoszczędzić muszę, bo muszę coś zebrać na finansowanie mojej córki, która podobno mocno zapada na zdrowiu. W Paryżu myślę zamieszkać w małym tanim hoteliku, w którym się lokuje Mackus. Dla profesorów francuskich, którzy by mię chcieli wizytować, będę mógł podać adres poselstwa litewskiego, do którego mi mogą bilety wizytowe przesyłać.

O godz. czwartej miałem u p. Prezydentowej Smetonowej posiedzenie odwiecznego i nieśmiertelnego Komitetu Pomocy Litwie Północnej, datującego się z roku nieurodzaju 1929. Komitet ten posiada 300 000 litów kapitału remanentu, dotąd niezużytkowanego, od którego procentami dysponuje. I teraz uchwaliliśmy udzielić po 5000 litów zapomogi dwom wioskom, które ucierpiały, jedna od burzy, druga – od pożaru.

27 listopada, rok 1935, środa

Poza obiadem Rotary-Clubu – nic szczególnego. Na tym obiedzie w charakterze gości byli: minister francuski p. Dulong, sekretarz poselstwa p. Neyzac i lektor języka francuskiego na uniwersytecie p. Schmitlein. Na dłuższy opis czasu nie mam.

28 listopada, rok 1935, czwartek

Pozawczoraj odbyło się u mnie zebrańko grona historyków i literatów litewskich ze sfer akademickich dla narady nad wnioskiem prof. Henryka Paszkiewicza z Warszawy. W zebrańku wzięli udział: dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Krėvė-Mickiewicz, prof.

Janulaitis, Konstanty Jabłoński, młodzi historycy Iwiński i Šapoka i wybitny literat prof. Mykolaitis-Putinas. Prof. Henryk Paszkiewicz w listach do mnie i do Krėvė-Mickiewicza poruszył kwestię założenia na Uniwersytecie Warszawskim lub jakimkolwiek innym polskim specjalnej katedry historii Litwy. Stwierdza on, że choć historia Litwy jest w pracach historyków polskich bardzo dużo rozważana, to jednak w żadnym z uniwersytetów polskich katedry takiej nie ma, choć istnieją katedry np. historii Bizancjum i historii Ukrainy; historia Litwy jest „rozparcelowana" – wykłada się ona w związku z historią bądź Rosji, bądź Ukrainy, bądź Polski. Ale prof. Paszkiewicz proponuje taką organizację katedry historii Litwy, która by wykłady oddała w ręce uczonych litewskich naszego uniwersytetu, którzy by przyjeżdżali na wykłady na rok, na dwa lata, zmieniając się kolejno, co dałoby też możność użytkowania tej katedry nie tylko na rzecz historii Litwy, ale także literatury litewskiej. Wykładaliby oni tam z tytułu wolnego najmu. Taka organizacja, która by z tej katedry uczyniła *sui generis* kolonię Uniwersytetu Kowieńskiego na uniwersytecie polskim, będąc obiektem „okupacji" uczonych litewskich, jest dość sztuczna i technicznie dość trudna do uskutecznienia. Zresztą jest to tylko sugestia prof. Paszkiewicza, z którą on zwrócił się do nas, bo jeszcze w Polsce inicjatywy tej nie podniósł i chciał wpierw od nas naszą opinię usłyszeć. Nasza narada wyraziła wątpliwości co do takiej organizacji, wskazując, że, naszym zdaniem, o ile by taka katedra powstała, należałoby jej zapewnić obsadę stałą, natomiast od czasu do czasu uczeni litewscy mogliby się udawać dla wygłoszenia cyklu wykładów, wszakże nie w charakterze obsady regularnej tej katedry.

Dziś wieczorem byłem zaproszony na obiad dyplomatyczny do angielskiego „*chargé d'affaires*" p. Prestona. Ale o tym obiedzie – jutro.

29 listopada, rok 1935, piątek

Jakem wspominał wczoraj, byłem zaproszony wczoraj na godz. ósmą i minut 15 wieczór na obiad do angielskiego *chargé d'affaires* p. Prestona, typowego Anglika o rudych włosach i monoklu, mówiącego dobrze po rosyjsku, którego to języka nauczył się już za młodu w Cambridge i później rodziny cudzoziemskiej – coś w rodzaju mieszanki węgiersko-hiszpańskiej czy coś w tym rodzaju (w każdym razie coś bardzo egzotycznego). Preston sam jest bardzo muzykalny, jest kompozytorem i autorem baletu, wystawianego w naszym teatrze kowieńskim. Dyplomatą wielkim nie jest, społeczeństwo i władze litewskie traktuje dość lekceważąco. Nie jest tu lubiany. Ze mną wszakże jest zawsze bardzo grzeczny. Dlaczego mię raczył nagle zaprosić do siebie na obiad – nie wiem. Znałem go mało i nigdy z nim szczególnych stosunków nie miałem. Tylko przed paru tygodniami zdarzyło się, że jakiś związek dla propagandy angielskiej, założony w Londynie na wzór Alliance Francaise i będący w kontakcie z Anglią urzędową, ofiarował naszemu uniwersytetowi całą serię ładnych i wartościowych książek angielskich, które przysłał nam przez p. Prestona. P. Preston dokonał doręczenia tych książek z wielką ceremonią i oczywiście podziękowanie było też uroczyste. Może to go zbliżyło do uniwersytetu i skłoniło do zaproszenia mnie na obiad. A może ta okoliczność, że na naszej konferencji bałtyckich komisji współpracy intelektualnej podniesiona została i nierozstrzygnięta kwestia ustalenia jednego z dwóch języków – angielskiego czy francuskiego – do stosunków międzybałtyckich. Na tę kwestię wyboru języka bardzo wrażliwy jest poseł francuski p. Dulong, który bardzo się teraz kręci koło mnie. Może też i Anglika to porusza i skłania do grzeczności szczególnej dla mnie. Słowem – zaprosił mnie. Naturalnie iść trzeba było we fraku, a p. Preston uprzedził mię jeszcze telefonicznie wczoraj rano, żebym nie zapomniał dekoracji. Poszedłem więc we fraku z orderami, czego amatorem nie jestem. Byłem na tym obiedzie jak intruz z innego świata, bo był to obchód korpusu dyplomatycznego. Obecnie byli – przeważnie z żonami – posłowie angielski, francuski, niemiecki, sowiecki, włoski, amerykański i łotewski, a z Litwinów – prezes ministrów Tubelis i dyrektor Departamentu Politycznego w Ministerium Spraw

Zagranicznych Urbšys z żoną. Przyjęcie było wspaniałe. W salonie płonął kominek. Obiad był przy świetle świec woskowych w pięknych kandelabrach – zupełnie arystokratycznie i poważnie. Stół nakryty był, jak żąda najświeższa moda, bez obrusa, jeno małe serwetki wzorzyste pod nakryciem każdego gościa. Były dobre wina, szampan, koniak, kartofelki smażone jak sucharki, brane palcami i z palców jedzone, migdały pieczone w soli, na wstęp do obiadu kawior świeży czarny z Rosji, zupa doskonała w filiżaneczkach, ryba w cieście z sosem, pieczyste z bażantów z kartofelkami i kompotem z pomarańcz, grzyby świeże, lody, kawa, soda-wisky... Obiad jak w wielkim świecie.

30 listopada, rok 1935, sobota

Dyrektorium w Kłajpedzie zostało utworzone. Prezesem dyrektorium jest Baldžius, Litwin rodowity, ale, jak większość Litwinów kłajpedzkich, orientacji politycznej niemieckiej. Był on przed kilku laty naczelnikiem powiatu w Šilutė czy Pogiegiach, a obecnie wybrany został do sejmiku z „Einheitslisty" i na tej liście otrzymał osobiście największą ilość głosów. Przy ukonstytuowaniu się sejmiku został jego marszałkiem. Do dyrektorium swego wciągnął trzech członków, wszystkich trzech – posłów z „Einheitslisty", dwóch Niemców i jednego Litwina rodowitego, Žygaudasa, oczywiście także działacza proniemieckiego, bodajże jeszcze w tym kierunku jaskrawszego, niż sam Baldžius. Gubernator Kurkowski w porozumieniu z rządem litewskim usiłował przeforsować do dyrektorium choć jednego Litwina-narodowca, ale to się nie udało. Dyrektorium jest jednolicie proniemieckie, to znaczy, że działać będzie w kontakcie nie tyle z gubernatorem, ile z konsulem niemieckim. Zapewne się niebawem ujawnią usiłowania nowego dyrektorium cofnięcia zarządzeń ostatnich dwóch dyrektoriów pozasejmikowych litewskich, skierowanych do uwzględnienia stanowiska narodowego litewskiego, a stąd niebawem wyłonią się zapewne zatargi i nowy stan zaognienia i kryzysu autonomicznego, połączonego z kampanią antylitewską na gruncie międzynarodowym. Kłajpeda – to orzech twardy i kamień Syzyfowy dla Litwy.

1 grudnia, rok 1935, niedziela

Dzień spędziłem w domu, tylko na obiedzie byłem z Jadzią i Andrzejem w restauracji Klubu Narodowców w gmachu „Pažangi". Zbliża się już termin mego wyjazdu dla odczytów w Paryżu. Mam trochę tremy. Paryż – to wielki świat. Czy mi się udadzą te „*conférences*"? Czy zainteresują słuchaczy? Czy nie wydadzą się trochę zaściankowe, czy temat zwłaszcza – zagadnienia prawne, powstające na gruncie autonomii Kłajpedy – nie wyda się w perspektywie paryskiej małostkowym, niegodnym uwagi i zabiegów? Dla nas to są rzeczy wielkie, ale dla Paryża i opinii francuskiej...? A wreszcie i sam czas, czyli pora roku – grudzień, miesiąc najbardziej zanikowy – nie usposabia mię zbytnio do tej ekskursji wielkoświatowej. Na mój gust – najbardziej bym lubił wyjechać wprost do Bohdaniszek i tam w ciszy, w długie wieczory jesienno-zimowe, w cieple płonącego kominka, w moim domu, z Jadźką u boku pracować naukowo, we dnie odwiedzając Gaj lub odbywając spacery sanną. Wolałbym to od Paryża i „*conférences*" w Faculté de Droit. Może sam Paryż byłby dla mnie większą atrakcją, gdybym tam jechał nie na te odczyty, jeno we dwójkę z Jadzią dla rozrywki swobodnej.

2 grudnia, rok 1935, poniedziałek

Nic szczególnego. Gotuję się do podróży do Paryża po trochę, próbuję układać mój trzeci odczyt paryski, niepewny jeszcze – o regionalnym związku bałtyckim – odczyt, do którego mię z Paryża nakłaniają Klimas i Natkiewicz, a przed którym ja się wzdragam. Opracuję wszakże jego szkielet pobieżny na wszelki wypadek, a jeżeli tam w Paryżu Klimas i Natkiewicz bardzo nalegać będą, a tezy mojego projektu zaakceptują i jeżeli nie będzie jeszcze za późno, to go tam wykończę i ewentualnie wygłoszę.

Na uniwersytecie są jeszcze pewne potrzeby do załatwienia przed wyjazdem, ale już najtrudniejsze rzeczy załatwione. Gdy wyjadę teraz za kilka dni do Paryża, to wrócę do Kowna zapewne dopiero na 15 stycznia, bo z Paryża udam się na święta wprost do Bohdaniszek.

3 grudnia, rok 1935, wtorek

Jak zawsze na wyjazd – nagromadza się sporo spraw rozmaitych. Dam jakoś radę, ale byłoby lżej, gdybym nie musiał mieć poza tymi pracami bieżącymi opracowania projektu ewentualnego trzeciego referatu mego.

4 grudnia, rok 1935, środa

Do dwóch orderów litewskich – Giedymina i Witolda Wielkiego – obydwóch II stopnia – przybył mi trzeci: łotewski Order Trzech Gwiazd, także II stopnia. Został mi on nadany przez prezydenta Rzeczypospolitej Łotewskiej w dniu 17 rocznicy Niepodległości Łotwy. Oczywiście inicjatywa należała do posła łotewskiego w Litwie – p. Sēji, może zresztą w porozumieniu z prof. Adomovičsem po konferencji październikowej bałtyckiej komisji narodowych międzynarodowej współpracy intelektualnej. Zresztą miałem wiele okazji do wyrażania moich sympatii łotewskich i bałtyckich tak na uroczystościach uniwersyteckich i innych, tak w tym roku na kongresie w Rydze. O nadaniu mi orderu łotewskiego dowiedziałem się wpierw z gazet. Przed kilku dniami zakomunikował mi o tym urzędowo telefonicznie p. Sēja. Dziś w południe w poselstwie łotewskim odbyło się uroczyste doręczenie orderów przez posła Sēję mnie i grupie oficerów litewskich, wśród których był jeden generał, pułkownicy i inni. Obecny był też sekretarz poselstwa łotewskiego i łotewski *attaché* wojenny. Z cywilów obdarowanych orderem byłem ja jeden, ale stopień mojego orderu był najwyższy. Order – ładny, elegancki, choć mnie, co prawda, do niczego, bo nie jestem człowiekiem światowym i błyskotek nie bardzo lubię. Po rozdaniu orderów poseł Sēja przyjął nas szampanem, pijąc nasze zdrowie.

5 grudnia, rok 1935, czwartek

Przed paru tygodniami poseł francuski Dulong uprosił mię przyjąć wybór na stanowisko prezesa Towarzystwa Franko-Litewskiego, świeżo zreformowanego za staraniem p. Dulonga. W ogóle nowy poseł francuski p. Dulong rozwija energiczny aktywizm w zakresie propagandy francuskiej i nawiązania stosunków w społeczeństwie litewskim. Sekunduje mu w tym lektor języka francuskiego na uniwersytecie – Alzatczyk p. Schmitlein, gorący patriota francuski, działający w kontakcie z poselstwem i dość umiejętnie się orientujący w stosunkach litewskich. Towarzystwo Franko-Litewskie zostało zreformowane w takim kierunku, aby ożywić jego działalność i promieniowanie, bardziej zespolić te elementy litewskie, które są przez kulturę francuską dotknięte i ułatwić dostęp do towarzystwa młodzieży akademickiej, zwalniając ją od składki członkowskiej. Dziś o godz. piątej wieczorem odbyło się właśnie walne zgromadzenie członków towarzystwa, niezwykle liczne. Reprezentowane było w zgromadzeniu wszystko to, co w społeczeństwie litewskim ma lub miało kontakt z kulturą francuską i Francją. Na przewodniczącego powołany był prof. Pakštas, do prezydium honorowego zaproszeni byliśmy ja i poseł Dulong, sekretarzem była p. Avietinaitė z Ministerium Spraw Zagranicznych. Zagaił posiedzenie ustępujący prezes Soblys, obecny dyrektor Instytutu Pedagogicznego w Kłajpedzie. Sekretarz poselstwa francuskiego p. de Neyzac poinformował o zmianie statutu, Schmittlein mówił o programie działalności towarzystwa, w którym przewidziane są odczyty, wystawy, przedstawienie amatorskie itd. Do zarządu wybrany zostałem na prezesa ja (podziękowałem przemówieniem francuskim) i na członków: de Neyzac, Schmittlein, adwokat Raulinaitis, p. Urbšysowa i jeszcze dwie osoby. Ostatni przemówił minister Dulong. Wszystkie przemówienia publiczne

były francuskie. Na ogół powiedziano sobie nawzajem bardzo dużo komplementów. Kurtuazja panowała iście francuska.

Wieczorem odbyło się posiedzenie senatu akademickiego. Poprzednio we dnie w całym komplecie rektoratu byliśmy u ministra oświaty dla omówienia z nim trudnej kwestii przedstawicielstwa studenckiego. Stanęło na tym, że minister postara się o wydanie noweli do statutu uniwersytetu, która to przedstawicielstwo, oparte dotąd na regulaminie, zalegalizuje jako instytucję statutową, zaś regulamin wyborów i działalności przedstawicielstwa ma być w myśl tej noweli układany przez senat akademicki i zatwierdzany przez ministra oświaty.

6 grudnia, rok 1935, piątek*

7 grudnia, rok 1935, sobota*

8 grudnia, rok 1935, niedziela*

9 grudnia, rok 1935, poniedziałek*

10 grudnia, rok 1935, wtorek*

11 grudnia, rok 1935, środa*

12 grudnia, rok 1935, czwartek*

13 grudnia, rok 1935, piątek

Mój drugi wykład, który się dziś odbył w Amfiteatrze X w gmachu Faculté de Droit – udał się znakomicie. Był to wykład, urządzony pod firmą Institut de Droit Comperé, stanowiącego instytucję Wydziału Prawniczego, kierowaną przez profesorów Lévy-Ullmanna i Gedela, którzy zresztą osobiście nie byli na moim wykładzie obecnie, usprawiedliwiwszy mi grzecznie swoją nieobecność. Przewodniczył wykładowi kochany i serdeczny prof. Le Fur. Temat wykładu „*La probléme juridique de vacuum usus le Statut autonome du Territoire de Memel*”. Jest to właściwie w tłumaczeniu francuskim ten sam odczyt, który na wiosnę w Kownie wygłosiłem: a. w Rotary-Clubie, b. w Towarzystwie Współpracy Litwy Małej z Litwą Wielką i c. w gronie dziennikarzy narodowych litewskich. Powodzenie tego wykładu dzisiejszego było znacznie większe, niż poprzedniego. Widocznie ci nieliczni profesorowie, którzy byli na pierwszym wykładzie moim i wynieśli wrażenie bardziej dodatnie, niż się tego spodziewali, zwrócili uwagę innych na zalety naukowe moich wykładów i wytworzyli dla mnie usposobienie dodatnie, toteż zainteresowanie i uznanie dla mnie i dla mego wykładu dzisiejszego w świecie naukowym wzrosło. Co prawda – i dziś „l'essitence” nie była zbyt liczna, choć bądź co bądź znacznie już liczniejsza, ale przede wszystkim była znacznie bardziej „brillante” i pod tym względem satysfakcję miałem znacznie większą, tym bardziej, że zdobyłem to sam nie jakąś reklamą lub względami kurtuazji, ale bezpośrednio walorami mojej myśli. Oprócz tych samych profesorów, którzy byli na pierwszym wykładzie moim, było też kilku innych profesorów, był poseł łotewski w Paryżu p. Groswald, był jeden z panów z Fundacji Pokojowej Carnagie, był prezes Instytutu Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej, był prezes Związku Bałtycko-Francuskiego – bądź co bądź osoby grube w świecie intelektualnym Paryża, byli inni jeszcze, no i naturalnie kolonia młodzieży litewskiej i pracowników poselstwa z posłem Klimasem na czele. Wysłuchano wykładu z wielkim zainteresowaniem i wyrażono uznanie mnie i w ogóle Litwinom. Ten wykład dał mi niewątpliwie imię w świecie naukowo-społecznym Paryża, co jest walorem wybitnym. Litwini byli zachwyceni powodzeniem moim, dającym im radość splendoru narodowego.

Powiadają, że żaden z gastrolujących profesorów cudzoziemskich nie osiągnął takiego powodzenia i nie zdobył takiego uznania profesury francuskiej, jak ja przez te moje wykłady. Rad jestem osobiście z siebie, bo czuję, że stanowię siłę i wartość. Kto by może myślał, że się chwalę. Nie – stwierdzam tylko; i stwierdzam nadto, że to wykwita we mnie szkoła mistrzów francuskich, których uznaniem jestem – tak z Ecole des Science Politiques (Albert Sorel, Vandel, Laeroy-Beaulieu, Stouren, Tarde, Heléry, wielki Esmein), jak ze studiów literatury późniejszych (Haurion i zwłaszcza wielki Duguit). Oni to ze swoją „clarté" i głębią urobili mój umysł i moje kwalifikacje myśli prawniczo-społecznej. Tekst wykładu dzisiejszego ma być ogłoszony w „Revue de Droit Public" profesora Gastona Jèra.

Po wykładzie poszliśmy w gronie kilku Litwinów na pogawędkę przy herbatce do starej studenckiej kawiarni „Le Surce" na „Bulmiszu" kochanym, dobrze mi i serdecznie znanej sprzed lat 30 z moich czasów studenckich. Serdecznie i mile spędziliśmy czas. Byli tam: litewski *attaché* wojskowy generał Gerulaitis, student Uniwersytetu Paryskiego – Żyd Glikman z Jezioros, studenci – byli uczniowie moi z Kowna – Daukša, Vabalas i Mackus. Potem poszliśmy jeszcze we trójkę z generałem Gerulaitisem i Mackusem do restauracji Rouzier na place St. Michel, gdzie zabawiliśmy do północy na gawędce i smacznej kolacji, na którą się złożyły zwłaszcza moje ulubione ostrygi i ślimaki, (escargots), które w tym pobycie w Paryżu zajadam zapamiętale, a których od lat 30, od czasów moich studiów paryskich – nie kosztowałem, bo w Paryżu potem bywałem tylko latem, kiedy ostryg nie ma.

14 grudnia, rok 1935, sobota

Po dwóch pierwszych wykładach moich („*conférences*"), w świecie naukowym Wydziału Prawniczego mam przerwę tygodniową do trzeciego wykładu – bardziej politycznego – w Fundacji Pokojowej Carnegie. Co prawda, muszę jeszcze ten trzeci wykład dokończyć, bo nie jest on jeszcze cały napisany. Muszę go dokończyć ułożyć i ostatecznie jeszcze tekst jego skorygować w porozumieniu z poselstwem litewskim. Mam dość duże wątpliwości co do tego trzeciego wykładu, czy dobrze uczyniłem, żem się dał do niego nakłonić. Boję się, że zepsuje on poważne wrażenie moich dwóch pierwszych wykładów prawniczych. Te dwa pierwsze były fachowe i ścisłe – przemówiłem w nich jak mistrz prawa publicznego, który jest pewny swoich twierdzeń, zbudowanych mocno i poprawnie. Tu natomiast – w tym trzecim wykładzie na temat związku regionalnego bałtyckiego – wkraczam w dziedzinę płynną jakichś perspektyw i wnioskowań politycznych, dość nieokreślonych, gdzieś ledwie się zarysowujących, mniej lub więcej dowolnych, pozbawiających ścisłości konstrukcji prawniczych. W tej dziedzinie rozumowania zasadniczo się różni od prawniczego i staje się jakąś ekwilibrystyką lub sugestią frazesów. Sprawa Związku Bałtyckiego pod względem prawniczym jest bardzo wodnista, natomiast wszystko polega na domniemaniach i tendencjach politycznych, co jest pracą nie fachowca uczonego, lecz dyletanta spekulacji politycznej. Trochę się tego boję.

Ale sądziłem, że ten tydzień będę mógł mieć wolny do wolnego użytku własnego. Wszakże niebawem się przekonałem, że tak nie będzie. Jedne po drugim sypią się na mnie zaproszenia, które mi stopniowo na każdy dzień coś narzucają. Dla siebie – dla wolnego korzystania z Paryża – zostaje mi bardzo mało. A mam jeszcze także sprawunki do załatwienia dla siebie i różnych osób w Kownie. Zresztą to mi czas bardzo zapełni i uczyni ten drugi tydzień pobytu bardzo intensywnym, jakim był też pierwszy. W poselstwie litewskim uzupełniłem dziś moje finanse, dobrałem awansu drugi tysiąc franków. Sądzę, że tego wystarczy, ale też samych sprawunków mam na jakieś 500 franków.

Byłem dziś o godz. piątej z docentem Baltrušaitisem u p. Marksa, wysokiego urzędnika na Quai d'Orsay, w którego rękuześrodkowuje się cała akcja propagandy francuskiej za granicą. Nawiązanie tego kontaktu jest dla nas bardzo ważne na różnych polach potrzeb kulturalnych. P. Marks był uprzedzony o mnie przez posła francuskiego w Kownie p.

Dulonga, który przed tą nominacja był urzędnikiem Quai d'Orsay właśnie w dziale Marksa i który w Kownie bardzo czynnie tę samą akcję wraz ze Schmitleinem prowadzi. Moje tytuły jako rektora uniwersytetu, prezesa litewskiej Komisji Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej i prezesa Towarzystwa Franko-Litewskiego bardzo mię kwalifikują do kontaktu z p. Marksem i czynią mię bardzo interesującym dla tego pana. Konkretnie omawialiśmy z nim ewentualną wizytę do Kowna na odpowiednie odczyty – przez Le Fura, co wymagałoby sfinansowania tej sprawy przez Quai d'Orsay. P. Marks jest usposobiony bardzo szeroko i hojnie do naszych potrzeb współpracy z Francją, a przez Dulonga dużo się da zrobić. Francja jest bardzo aktywna na wschodzie europejskim, który politycznie bardzo ją interesuje.

Wieczorem byłem na obiedzie u prof. Mertze'a. Byli jego rodzina – żona, dwaj synowie, ciotka z Tuluzy, parę naszych osób bliskich z młodzieży francuskiej, student Glikman – Żyd litewski z Jezioros, jeden z inicjatorów moich wykładów i noszący się obecnie z ideą zainicjowania Instytutu Bałtyckiego przy Uniwersytecie w Paryżu (Sorbonie i Wydziale Prawniczym) i poseł Klimas. Prof. Mertze robi na mnie bardzo miłe wrażenie człowieka dystyngowanego, szczerego i bardzo subtelnego. Jest zresztą nie tylko prawnikiem i profesorem, ale też artystą muzykiem, amatorem gry na fortepianie. Bardzo ładnie grał Chopina. Natura artystyczna ma zawsze subtelność głębokiej szczerości, która nigdy się nie łączy z narcyzmem i kariewiczostwem. Jest pewna żyłka szlachetnego entuzjazmu u Mertze'a, jak u Le Fura i Olivier-Martena, czego nie wyczułem ani u kabotyna politycznego Josepha Basdevantego, ani u Nibogeta, który, acz dość sympatyczny, wydaje mi się też w gruncie narcyzowaty, a przynajmniej ma skłonność do tego. Zaprosiłem Mertze'a do Kowna na wiosnę. Dla nas – parę odczytów fachowych z dziedziny prawa administracyjnego i jurysdykcji Conseil Etat wygłoszonych przez uczonego francuskiego – miałyby walor niemały. Mertze ma wielką ochotę przyjechać. Prosił mię o podjęcie tej inicjatywy wobec Marksa na Quai d'Orsay. Sądzę że się to da z łatwością zrobić.

15 grudnia, rok 1935, niedziela

Po kawie w „Cafe des Deux Magots" w starej niewielkiej kawiarence naprzeciwko kościoła St. Germain des Près, znajomej mi jeszcze z czasów studenckich, pojechałem z Mackusem do Natkiewicza, do którego byliśmy zaproszeni na śniadanie. P. Natkiewiczowa, Brundzówna z domu, kobieta ładna, stylowo sucha, wcale nie głupia, z rodziny inteligentnej, świadoma swej kobiecości i ceniąca siebie, towarzyszyła nam w tym śniadaniu. Sam Natkiewicz zbyt ciekawy nie jest – jest bardzo zarozumiały, zazdrosny, małostkowo ambitny, więcej nad swój walor wyobrażający o sobie i o swoich kwalifikacjach naukowych. W swoim czasie, po wykonaniu doktoratu w Paryżu, miał on wielką ochotę dostać się w Kownie do naszego uniwersytetu, co mu się nie udało, toteż teraz skłonny jest do lekceważenia naszego uniwersytetu, a już w szczególności nie cierpli Kriwickiego, ponieważ tenże wykłada prawo międzynarodowe, które Natkiewicz uważa za swoją specjalność. Nieciekawy to człowiek, napuszony, zarozumiały, choć niewątpliwie żyłkę ambicji nie tylko karierowiczowskiej, ale i naukowej – ma. Ale osobiście w krótkim stosunku, zwłaszcza we dwójkę z żoną, może być nawet przyjemny. Skądinąd Natkiewicz bardzo dużo dołożył starań w sprawie uregulowania różnych szczegółów, dotyczących tych moich wykładów. Co prawda, inicjatywa tych wykładów wyszła nie od niego i nawet nie od poselstwa litewskiego, jeno od studenta – Żyda-litewskiego z Jezioros – Glikmana i od prof. Nibogeta, którego Glikman na to przedsięwzięcie zagitował, a następnie sprawę tę i dalszym pokierowaniem inicjatywy zajął się na wiosnę mój były uczeń, młody *attaché* poselstwa Daukša, chłopiec szczery i wielkiej wartości, ale potem w jesieni Natkiewicz tę sprawę przejął i naturalnie z rąk nie wypuścił. Mam nawet wrażenie, że Natkiewicz trochę mi zazdrości powodzenia moich wykładów w Paryżu, a nawet doszły

mię pewne słuchy, że przed wykładami moimi wyrażał się o nadesłanym przeze mnie rękopisie wykładów z pewnemi zastrzeżeniami co do ich wartości naukowej.

Ale mniejsza o to. Bądź co bądź się napracował i był mi pomocny, a jest uprzejmy dla mnie.

Po obiedzie u Natkiewicza udałem się z Mackusem na wielkie bulwary, gdzie poczyniłem zakupy kilku upominków ładnych a niezbyt drogich dla Jadziuńki kochanej i dla Andrzeja. Z pieniędzmi już muszę się liczyć i bardzo patrzeć na palce czyniąc wydatki.

Wieczorem byłem w teatrze Michel na rue des Mathurins. Grano revue o charakterze nieco politycznym pod tytułem „Lavalicious"; jest to „un verbe", utworzony od nazwiska obecnego prezesa ministrów francuskiego – Lavala, który kręci się jak w ukropie, czyni gesty i operuje frazesem, w istocie wszakże wszystko idzie, jak szło. Revue – niezłe, ma „de la finesse", jest też urozmaicone i nie przeszarżowane elementem politycznym, ale dla mnie trochę za długie i za późno się kończące. Drogi też jest teatr francuski – zapłaciłem za miejsce 50 franków. W moim stanie kasy więcej do teatru w Paryżu nie pójdę.

16 grudnia, rok 1935, poniedziałek*

17 grudnia, rok 935, wtorek*

18 grudnia, rok 1935, środa*

19 grudnia, rok 1935, czwartek

Napiszę dziś przede wszystkim o wczorajszym wielkim obiedzie wydziałowym u dziekana Faculté de Droit prof. Alixa. Dziekan ma apartament do użytku prywatnego w samym gmachu Faculté de Droit. Państwo Alix w nim jednak nie mieszkają, bo mają własny hotel w dzielnicy Auteuil, który zamieszkują prywatnie. Przyjęcia jednak publiczne dziekan Alix z żoną urządzają w swoim apartamencie wydziałowym, który jest obszerny, doskonale umeblowany, urządzony z komfortem, obsłużony. Tutaj też był wyznaczony obiad wczorajszy. Był to wielki dinner z rautem, w którym brała udział prawie całe profesura z żonami. Na samym obiedzie osób było niedużo – koło 20 razem z paniami, wszakże po obiedzie na raut przyszło wielu jeszcze, tak że ogółem było do 50-ciu, może więcej. Na obiedzie byli: sami gospodarze pp. Alix, poprzednik Alixa dziekan honorowy emerytowany profesor H. Buthélenny z żoną, Anglik profesor z Cambridge, któremu nadano niedawno tytuł doktora *honoris causa* na Uniwersytecie Paryskim i który tu z tego tytułu przyjechał dla wygłoszenia paru wykładów na Faculté de Droit, jak ja, prof. Olivier-Martin z żoną, profesor prawa rzymskiego Collinet z żoną, prof. Niboyer, jakiś profesor z Tuluzy i kilku jeszcze profesorów wydziału z paniami. Obiad był wspaniały, menu bardzo staranne, wina doskonałe, nakrycia, podania, ozdoba stołu – eleganckie. Naturalnie wszyscy byli we frakach, panie – dekoltowane. Siedziałem na lewo od pani dziekanowej Alix, to znaczy na miejscu honorowym, drugim z kolei, albowiem na prawo od niej zasiadał Anglik z Cambridge. Pani Alix – ładna osoba i bardzo miła, mądra, subtelna, młoda jeszcze, znacznie młodsza od męża. Z drugiej strony obok miałem panią profesorową Collinet, osobę w wieku przeszło lat 40, ale niezmiernie sympatyczną, żywą, ekspansywną nawet, bardzo łatwą i towarzysko tak wyrobioną, że w kilku słowach od razu się z nią przechodzi na stopę poniekąd zażyłości. Musiała być śliczną wielkiego wdzięku towarzyskiego dziewczyną. Mówiła mi dużo o Graužinisie, który był uczniem jej męża i którego profesorostwo Collinet spotkali tego roku w Rzymie w Watykanie, gdzie jest on *chargé d'affaires* litewskim. W towarzystwie Graužinisa dużo spędzili chwil wspólnych w Rzymie, robili wycieczki i są nim zachwyceni, a przez Graužinisa, który jest wielkim patriotą, z jego słów i opowiadań nabyli wielkiej sympatii do Litwy. Po obiedzie rozmawiałem także z profesorem Collinetem, który też mi mówił o

Graužinisie i wyraził chęć przyjazdu do Litwy. Zasmakował w podróżach i dalekich wycieczkach zagranicznych, był z grupą profesorów z Faculté de Droit w Rumunii, o której to wycieczce dużo mi tu w Paryżu profesorowie opowiadali. Była to wycieczka zbiorowa i tournée po wszystkich uniwersytetach rumuńskich, gdzie profesorowie francuscy byli podejmowani wspaniale, jak my byśmy ich podejmować nie zdołali. Prof. Collinet odbył też świeżo podróż do Egiptu, Palestyny, Syrii i Libanu, przed kilku laty był w Polsce, jeździł do Szwecji, chciałby być i w krajach bałtyckich. Naturalnie, że musiałem mu wyrazić uprzejmie chęć widzenia go w Kownie, ale czy co z tego będzie – nie wiem. *C'est encore vague*[22]. Zaprosiłem już poprzednio do Kowna Le Fura i Mertze'a i już trzymać się będę tego zaproszenia, czyniąc z Kowna zabiegi o doprowadzenie tego do skutku. Po obiedzie napłynęło na raut multum nowych gości ze świata profesury. Wszyscy naturalnie we frakach, tylko jakiś profesor amerykański w smokingu, ale też zachowywał się *sens facon*, podając rękę nawet paniom w sposób, w jaki się podaje rękę chyba tylko sługom. W ogóle Amerykanie – to są jednak towarzysko chami. Co innego Anglicy ze starej Anglii: ci są często sztywni, nawet mają pozory lekceważenia, w każdym razie „samowystarczalności", ale bądź co bądź są gentlemani. Rozmawiałem dłużej z prof. Olivier-Martinem i jego żoną: oboje są bardzo sympatyczni, wielkiej kultury, bardzo subtelni i mają dużo słodyczy i głębi naturalnej. Rozmawiałem dłużej także z prof. Basdevantem, którego znam z Genewy z roku 1933. Basdevant nie jest przyjacielem Litwy i mam wrażenie, że nie może zapomnieć swojej porażki w Trybunale Haskim w sprawie kłajpedzkiej w roku 1932, bo to on był autorem skargi przeciwko Litwie od imienia państw sygnatarnych i nie tylko że sprawę przegrał, ale jeszcze naraził się na bardzo zjadliwą krytykę Anzilottiego, który mu wytknął nieumiejętność techniczną samego wytoczenia sprawy, to znaczy niezdarność procesualną. Basdevant jest doradcą prawnym Ministerium Spraw Zagranicznych na Quai d'Orsay i z tego tytułu wciąż analizuje wszelkie epizody i zarządzenie litewskie w Kłajpedzie i dużo czyni kruczków Litwie. Jest on w ogóle więcej urzędnikiem, niż uczonym i dla Litwy, z którą ma wciąż do czynienia z powodu spraw kłajpedzkich, jest trudny, ciężki i przykry. Inni Francuzi są instynktownie tak przeciwni Niemcom, że wystarcza im to, że Litwa w sprawie kłajpedzkiej ma konflikt z Niemcami i że agresja jest niemiecka, aby od razu spontanicznie i uczuciowo stanąć po stronie litewskiej, a wszelka analiza faktów ich w tych utwierdza. Basdevant – przeciwnie. Nie tylko że Litwie nie sprzyja i uczuciowo jej nie popiera, ale jeszcze złośliwie wszystko nicuje, a nawet, jak ze mną po tym obiedzie, w sposób uszczypliwy i niby to niewinny insynuuje czy kwestionuje samą zasadność przydziału Kłajpedy do Litwy. Żałuję, że nie odpowiedziałem, że gdyby Alzacji dano takiż statut autonomiczny, jak Kłajpedzie, to i Francja miałaby trudności, jak je ma Litwa, mimo że Alzacja należała do Niemiec przez lat 50, a nie lat 500, jak Kłajpeda.

Raut u dziekana Alixa był wielki. Była też muzyka – grała na fortepianie utwory Chopina, Beethovena, Brahmsa, Schuberta, Liszta, Chabiera – panna Colette Réard, pianistka, która ukończyła konserwatorium, ładna młoda panna, która takimi koncertami prywatnymi w salonach zarabia. Piękne to było przyjęcie. My się na takie zdobywać nie możemy. Skąd Francuzi mają pieniądze na takie wystawne i bogate przyjęcia? Muszą być na to środki w bogatym wspaniałym Uniwersytecie Paryskim.

Dziś byłem na dorocznej „Distribution des Prix" w Faculté de Droit.

20 grudnia, rok 1935, piątek

Odbyłem trzecią i ostatnią „*conférence*" moją z powodzeniem świetnym – i już jestem wolny. Ale nie uprzedzając faktów w relacji – zanotuję jeszcze wczorajszą uroczystość uniwersytecką „Distribution des Prix" na Wydziale Prawniczym, na którą byłem przez

[22] To jest jeszcze niejasne (fr.).

dziekana Allixa zaproszony jako gość honorowy wydziału. Było to „clou" mojego dnia wczorajszego, który skądinąd upłynął dosyć bezbarwnie – przeważnie na załatwianiu paru sprawunków, wizycie w poselstwie litewskim ze śniadaniem u Klimasa i przejrzeniu tekstu mojej *conférence* dzisiejszej dla redakcji ostatecznej pewnych poprawek oraz na przygotowaniu mojego krótkiego przemówienia na wstępie do *conférence*. Co do tekstu tej *conférence*, na którą w ogóle nie bardzo chętnie się zgodziłem, bo jest ona nie tyle prawnicza i ścisła, ile polityczna i bardzo rozciągła w twierdzeniach i perspektywach, to poselstwo litewskie w osobach Klimasa i Natkiewicza bardzo uważnie go przestudiowało i udzieliło mi kilku uwag, które poniekąd uwzględniłem, poniekąd odrzuciłem. W ogólności na terenie politycznym mniej się czuję pewny i mocny, niż na precyzyjnym prawnym, a zresztą ten związek regionalny bałtycki, który jest przedmiotem tej konferencji, jest dotąd zjawiskiem dosyć wodnistym, nadającym się więcej do snucia domniemań i perspektyw, którym dawałem kierunek optymistyczny w duchu organizacji harmonijnej wschodu europejskiego „od morza do morza", niż do analizy ścisłej, chociaż i tej nie zaniedbałem. Ale co szczególnie komplikowało zadanie tej *conférence* – to mianowicie to, że należało zachować doskonałość pacyfistyczną solidaryzmu nie tylko bałtyckiego, ale i powszechnego, i nie narazić ani współtowarzyszy związku – Łotwy i Estonii – ani kogokolwiek z wielkich sąsiadów – Sowietów, Niemiec i Polski (zresztą co do Polski – to w mojej konstrukcji solidarystycznej wschodu europejskiego Polska jest wyraźnie elementem łącznikowym Bałtyku z Bałkanami i z organizacją środkowo-południową Małej Ententy), ani wreszcie Małej Ententy lub młodego Związku Bałkańskiego. Słowem, trzeba było obejść wszystkie kąty ostrzejsze i wszędzie znaleźć element syntezy solidarystycznej na rzecz harmonii. A zadanie to tym trudniejsze, że wszyscy niemal sąsiedzi i nawet sami członkowie związku (Sowiety, Polska, Niemcy, Łotwa i Estonia) każdy z innych względów żywi pewne obawy względem tego Związku Bałtyckiego i węszy w nim jakieś ukryte sprężyny jeżeli nie intrygi, to przynajmniej spekulacji Litwy. Jest to sztuka nie lada potrafić powiedzieć w tej materii coś treściwego i razem nikogo nie zaczepić, nie dotknąć, nie obudzić jego posądzeń, owszem – powiedzieć tak, aby i on był zadowolony. Zdaje się jednak, że dokonałem tej sztuki, a może nawet, jak powiadają, dałem koncepcję mistrzowską związku regionalnego bałtyckiego w ramach doskonałego solidaryzmu. Ale przede wszystkim wczoraj miałem uroczystość „*distribution des prix*" na Wydziale Prawniczym. Jest to właściwie solenny akt doroczny wydziału, zamykający ubiegły rok akademicki, tym razem późno, dopiero w listopadzie, więc akt zamknięcia roku ubiegłego z rozdawnictwem nagród studentom odnosi się do okresu przedświątecznego. Uroczystość była wyznaczona na godzinę trzecią po południu. Gdym śpieszył, cokolwiek spóźniony, natrafiłem w kuluarach na maszerujący już uroczyście orszak profesury wydziału, podążający z profesorium przez kuluary i schody do „sale des fêtes". Na przedzie szło kilku zapewne urzędników w czarnych szatach, niosących insygnia i emblematy. Za niemi na czele pochodu szli trzej dygnitarze wydziału: pośrodku dziekan aktualny Allix, po bokach – były dziekan emerytowany prof. Berthéleny i jakiś trzeci. Dalej postępowała długa gromada profesorów w togach czerwonych i beretach. Było też kilku w togach czarnych – doktorowie nie posiadający tytułu profesora. Cała ta elita usadowiła się na podniesieniu za dziekanami, którzy usiedli u stołu honorowego. Salę zapełnili goście na przedzie i młodzież akademicka w głębi. Rozpoczęła się uroczystość. Przede wszystkim wygłosił długą, starannie opracowaną i z rękopisu odczytaną mowę akademicką sprawozdawczą dziekan Allix. Mowa była starannie wystylizowana i zarazem pełna powagi dostojnej mądrości. Zwłaszcza piękny był „éloge" trzech zmarłych w roku ubiegłym członków wydziału – przestarzałego prof. Legon-Caena, prof. Deschamps i jeszcze trzeciego. Każdemu z nich było poświęcone właściwe studium osoby, życia, pracy. Jest to piękny zwyczaj hołdu dla tych, co odeszli. Potem dwaj profesorowie jeden po drugim referowali wyniki konkursu prac studenckich i ogólną ocenę tez (dysertacji) doktorskich, wyróżniając i charakteryzując wyróżnione. Na zakończenie

wydano dyplomy nagród tym, co je otrzymali. Cała uroczystość trwała dwie godziny. Po uroczystości dziekan i profesorowie wstali, nakryli głowy beretami i w orszaku odeszli. Po tej uroczystości miała jeszcze miejsce herbata u dziekana, na którą też byłem zaproszony, ale już poleniłem się i tym razem nie poszedłem. Mój kontakt z Faculté de Droit był już zakończony.

O moim wykładzie dzisiejszym w Dotacji Carnegie napiszę jutro.

21 grudnia, rok 1935, sobota*

22 grudnia, rok 1935, niedziela

Wyjechałem rano z Paryża.

Wczoraj ostatni dzień w Paryżu spędziłem na przygotowaniach do odjazdu i kilku ostatnich spacerach i spotkaniach. Byłem w poselstwie litewskim, pożegnałem się z Klimasem, Natkiewiczem, Daukszą, generałem Gerulaitisem, p. Vabalasową, moją byłą słuchaczką na prawie, Žemaitisówną z domu. Dużo mi oni w Paryżu usług oddali, dużo mi ułatwili, ale sami też byli w tym zainteresowani i uważają powodzenie mojej wizyty paryskiej za wielki i wybitny atut dla akcji dyplomatycznej litewskiej, wprost za jedno z kapitalnych wydarzeń. Kupiłem dla siebie i dla Diskina koniaku, wina, ananasów do Kowna i Bohdaniszek. Poza tym byłem z Mackusem i studentem-humanistą Liaugminasem w Cité Universitaire, bardzo ciekawej i w ostatnich latach założonej i rozbudowanej w miejscu dawnych fortyfikacji za parkiem Montsouris pod Montrougém (w pobliżu porte d'Orléans, niedaleko od mojego dawnego mieszkania studenckiego, które kiedyś miałem przez całe niemal trzy lata na bulwarze Rospil pod nr 295 koło Lion de Belfort). Liaugminas zaprezentował nam tę ciekawą nową Cité, o której wiedziałem tylko ze słyszenia i którą profesorowie paryscy radzili mi zwiedzić, wskazując skądinąd, że dałoby się tam i studentów Litwinów zalokować, gdyby się grupa tychże w tym celu utworzyła. Ale tylko zewnętrznie – i to tylko bardzo powierzchownie – tę Cité obejrzałem, bo czasu na obejście jej całej i zwiedzenie wnętrz nie miałem. Są tam bardzo gustowne gmachy stylowe, modernistyczne na ogół, ale też z zastosowaniem typu swoistego pawilonów poszczególnych krajów, które dla swoich studentów je pobudowały. Naturalnie, że nasza biedna Litwa na taki zbytek zdobyć się nie zdołała, bo i pieniędzy ma mało, i studentów swoich niewielu liczy w Paryżu. Wszakże może by i mógł stanąć wspólny pawilon bałtycki, ewentualnie zaś studenci bałtyccy (Litwa – Łotwa – Estonia), może i Finlandia mogliby być zespoleni dla zalokowania ich w którymś z istniejących i nie zapełnionych całkowicie gmachów tej Cité, ale nie wiadomo, czy to warto robić, bo by się odciągało studentów od kontaktu z Paryżem i Francuzami i zasklepiało w swoim środowisku narodowym. Liaugminas zaprowadził nas do restauracji studenckiej w Cité, ogólnej, bardzo wielkiej i doskonale urządzonej. Każdy tam sobie sam nabiera potrawy na tacę, którą każdemu dają, a wybór potraw jest bardzo duży, jest także i wino. Wszystko jest bardzo zdrowe i tanie, a smaczne i bardzo obfite, ale nie można nabrać więcej, niż na 10 franków. Obliczają potrawy na tacy i dają fiszę z oznaczeniem ceny, a po zjedzeniu tacę z naczyniem się odnosi i przy wyjściu płaci się należność. Za 5-6 franków można doskonale się najeść – coś z *hors-d'oeuvres*, mięso, jarzyna, deser, wino – wybór duży i urozmaicony. Restauracja ta jest tylko dla studentów, względnie ich krewnych lub bliskich którzy im towarzyszą. Przy wyjściu sprawdzono karty studenckie Mackusa i Liaugminasa.

Wieczorem wczoraj spotkałem się raz jeszcze na pożegnanie z gronem studentów Litwinów (w kawiarni, La Source) z którymi zresztą spotykałem się często, a już regularnie po każdym moim wykładzie zbieraliśmy się na pogawędkę i podzielenie się wrażeniami – do kawiarni. Zwykle inicjatorami tych zebrań byli Vabalas i Glikman, mający najwięcej inicjatywy. Vabalasa studenci i poselstwo litewskie nie bardzo lubią, zarzucają mu, że jest intrygantem i że w każdym razie ma skłonność do warcholstwa, w czym bodaj trochę mają racji. Nie jest to człowiek, mogący coś zorganizować i organizację utrzymać, choć pretensji

do organizowania i przewodzenia ma dużo i w ogóle dużo ma ambicji. Zdaje się jednak, że jest zdolny i w każdym razie duch niespokojny, pełny pomysłów i ruchu. Zarzucają mu także, że jest na utrzymaniu żony, która ma posadę w poselstwie litewskim i z pracy tej utrzymuje siebie i męża i daje mu możność studiowania. Ale to zarzut nieuzasadniony. Że studiuje i zdobywa fach – to dobrze. Vabalas napisał recenzję do „Lietuvos Aidasu" o mojej wizycie odczytowej paryskiej. Drugi wodzirej – Glikman (albo Glikmanas, jak mu się nawet po francusku pisze) – trochę miszuginowaty, ale sympatyczny i dobrej woli, trochę wścibski, ale w tym, co robi, życzliwy Litwie i bardzo usłużny, a nie karierowicz, spekulujący dla posady w Litwie. I przez swoje wścibstwo, przez ciągłe kombinowanie czegoś nowego – porusza sprężyny, z których czasem coś większego i użytecznego wyskakuje. Właściwie i tej mojej wizyty paryskiej inicjatorem był Glikman, choć go później zasłonili inni, którzy się na razie z jego pomysłu śmieli.

Kolonia studentów Litwinów w Paryżu jest teraz niezorganizowana. Było założone towarzystwo studenckie litewskie, które kilka lat funkcjonowało jakoś, choć ciągłe były niesnaski i kłótnie, akurat tak samo, jak dawniej w koloniach studenckich polskich za moich czasów bywało. Od przeszłego roku towarzystwo przestało funkcjonować i nie ma zarządu, choć nie zostało zlikwidowane. Wpadło w letarg. Zdaje się, że do zawieszenia towarzystwa przyczynił się Vabalas. Zresztą i młodzież studencka litewska w Paryżu zmarniała. Przed kilku laty była liczniejsza i lepiej się trzymała. Teraz dużo jest wykolejeńców, właściwych studentów mało, liczni są malarze, świat „bohême'y". Był doskonały projekt wspólnego najęcia lokaliku akademickiego przez młodzież litewską, łotewską i estońską. Łotysze podobno bardzo tego życzyli i życzą, ale Litwini są obecnie rozprzężeni, nim ktoś się nie znajdzie nowy, który ich znów sprzęże, Estończyków zaś bardzo mało.

Choć się namęczyłem i napracowałem w Paryżu, jednak mi tu dobrze było i żal mi odjeżdżać. Bałem się przyjeżdżać, nie lubiłem tu przyjęć towarzyskich, ale teraz, gdy przeszły, wspominam je mile. W ogóle jestem pod bardzo dobrym wrażeniem. Sam Paryż też znów mię chwycił za serce. Jest miły i bardzo kochany, a dla mnie szczególnie swojski, jak coś rodzonego. Orientowałem się w Paryżu doskonale, znam go gruntownie.

23 grudnia, rok 1935, poniedziałek

A teraz perypetie mojej podróży. Odjechałem wczoraj rano o dziewiątej z Gare du Nord, odprowadzony i serdecznie żegnany przez grono młodzieży litewskiej – Vabalas, Glikman, Daukša, Mackus, Zabarskas (młody beletrysta, który do Paryża przyjechał dla studiów języka). Pociąg odszedł. Granicę belgijską, potem niemiecką – przejechałem pomyślnie. W Belgii pokazał się śnieg. Im dalej na Berlin, tym ziemia bardziej biała. W Akwizgranie, będąc zajęty formalnościami paszportowymi, celnymi i rejestracji dewiz, rozmienić register-marki na gotówkę nie zdążyłem. Z poprzedniego przejazdu przez Niemcy zostało mi kilkanaście marek, którymi płaciłem w pociągu za obiad i inne, tak że do Berlina dojechałem jeszcze z 6 markami. Tu wszakże spotkało mię fiasko. Pociąg nasz miał przyjść do Berlina o pół do dwunastej w nocy i tu na banhofie Friedrichstrasse, jak mię zapewniano, będę mógł rozmienić register-marki. Miałem też zaraz o północy odjechać na Królewiec. Tymczasem nasz pociąg się spóźnił i gdy przyjechaliśmy – już i kantor wymiany był zamknięty, i pociąg na Królewiec odjechał. Następny pociąg na Królewiec odchodzi nazajutrz o siódmej z minutami rano. Trzeba w Berlinie nocować. Ale gdzie szukać hotelu, zwłaszcza z komplikacjami zapłaty. Zdecydowałem się przeczekać noc na dworcu. Ponieważ poczekalnię I-II klasy na noc zamykają, udałem się do poczekalni klasy III, która przez całą noc jest otwarta. Tanie są tam w bufecie konsumpcje, toteż piłem ze trzy razy kawę, jadłem kiełbaski, poprzednio opłaciłem tragarza, dawałem napiwki i do rana mi jeszcze 2 marki zostały. Poczekalnia III klasy, gdym się w niej przytulił, czyniła wrażenie ponure. Mało ludzi, przeważnie jacyś podróżni nędzni, znękani, zdezorientowani w kombinacjach

komunikacyjnych, senni, drzemiący lub wprost śpiący przy stolikach, zrezygnowani, apatyczni, nie rozmawiający zgoła. Byli i tacy, którzy po prostu, jako bezdomni, przyszli noc spędzić na dworcu w cieple i przy ludziach. Urzędnik kolejowy w ciągu nocy kilkakrotnie obchodził wszystkich, sprawdzając, czy mają bilety, szczególnie się czepiał śpiących i wyrzucał tych, co się wylegitymować z tytułów podróży nie mogli. Wielka sala poczekalni i zarazem bufetu, zapełniona rzadką publicznością drzemiących niedobitków, czyniła ponure wrażenie. Nie rozweselała jej zbytnio i wielka zapalona zwyczajem niemieckim choinka (choinka tu w porze przedświątecznej jest wszędzie – na dworcach i peronach kolejowych, w bufetach, w magazynach i nawet na placach i ulicach publicznych). Nieco urozmaicały decorum poczekalni prostytutki, siedzące najczęściej samotnie nad kuflem piwa i z papierosem w ustach, ponure i samotne w tej atmosferze zmęczenia, łowiące wzrok mężczyzn, czy aby się nie znajdzie ktoś, kto by się dał skusić na chwilkę taniej pieszczoty przelotnej gdzieś w jakiejś im wiadomej norze w pobliżu. Inne siedziały po dwie i gawędziły, ale amatorów do filtru, a raczej do ich ciała, nie było. Może czekały zresztą na gości późniejszych, bo oto między godziną trzecią a czwartą poczekalnia zaczęła się napełniać przybyszami z pociągów podmiejskich, wracających do Berlina z wycieczek niedzielnych. Niebawem poczekalnia zmieniła zupełnie oblicze. Tłumy podochoconych wycieczkowców obojga płci, przeważnie młodych, przepełniły poczekalnię. Zabrakło miejsc do siedzenia. Zrobiło się ludno, gwarno; śmiechy, dowcipy, zabawa. Całowano się publicznie, chłopcy ściskali dziewczęta, piski, okrzyki, objęcia. To bawił się lub kończył zabawę świąteczną Berlin ludowy, dość rubaszny, bawiący się bez finezji. Łatwo w takim towarzystwie nabawić się zajścia, co i mnie omal się nie przytrafiło, gdy jakiś jegomość podchmielony z trzech pareczek wesołych, które przysiadły do mego stolika, wpierw mię namawiał do odejścia, potem zaczął żartować ze mnie i nawet jakieś wice robić, jak np. niby przez roztargnienie kładł swój kapelusz zamiast na ławkę – na moją głowę, proponował mi resztę swojej zupy itd. i miał widocznie wielką ochotę zaczepić mnie skuteczniej i wyśmiać albo sprowokować ku uciesze gawiedzi, gdyby nie to, że właśnie jego towarzysze zaoponowali przeciwko zaczepianiu. Na szczęście nie spytano mię, kto jestem i skąd, bo rekomendacja litewska jest w tłumie niemieckim najgorsza, tym bardziej, że słyszałem, iż świeżo w Kownie wybito szyby w poselstwie niemieckim, co wywołało w prasie niemieckiej nową falę nagonki antylitewskiej. Doczekałem wreszcie ranka, rozmieniłem register-marki i przed ósmą odjechałem do Królewca, gdzie dziś nocuję.

Ciężko teraz podróżować przez Niemcy. Pieniędzy niemieckich wwozić nie można, a z rozmianą register-marek na gotówkę w podróży bywa trudno, toteż czasem się bez pieniędzy zostaje, jak oto mnie się zdarzyło tym razem. No ale oby się dobrze skończyło.

24 grudnia, rok 1935, wtorek

Już przyjechałem do domu. W Skopiszkach spotkała mię Jadźka, z którą odbyłem ostatnie trzy stacje podróży koleją żelazną – i jestem w Bohdaniszkach.

Słówko jeszcze o ostatniej fazie mojej podróży – od Berlina. Po nocy niespanej na dworcu Friedrichstrasse – wczoraj rano rozmieniłem wreszcie moje nominalne registermarki na marki w brzęczącej gotówce i wyjechałem do Królewca. Od Berlina w tą stronę – na Prusy Wschodnie – od razu czuć wschód. Inny krajobraz, inny nawet rodzaj ludzi w pociągu, inna atmosfera. Ruchliwość, nerw i tempo słabnie i ustępuje miejsce powolności, ciszy większej, skupieniu. Ludzie jadą bardziej niemrawi, II klasa pustoszeje, na stacjach mniej ludzi, nie ma krzykliwych roznosicieli gazet, słodyczy i innych artykułów sprzedaży detalicznej. W wagonie restauracyjnym też ludzi mało. Krajobraz przeważnie rolniczy. I klimat coraz surowszy, śnieg leży głębszy, na Pomorzu polskim już trochę sanna. Żydzi, którzy dawniej roili się tutaj w pociągach i panoszyli się głośno, ożywiając swoją ruchliwością i gwarem pociąg, teraz w systemie hitlerowskim ukryli się w cieniu i jeżeli się czasem który z nich w

pociągu ukaże, to albo siedzi cicho i unika kontaktu z ludźmi, albo, jak obserwowałem jadąc z zachodu do Berlina, podlizuje się do Niemców i udaje wobec nich gorliwszego od nich Niemca. Potakują oni Niemcom we wszystkim i radzi są, gdy któryś z Niemców raczy z nimi rozmawiać i odpowiadać im. Szczególnie to się widzi u Żydów bogatych i grubych, jadących w I klasie, przemysłowców i handlowców. Chwalą oni czasy cesarskie, nadają sobie pozory patriotyzmu państwowego niemieckiego, broń Boże – nic nie mówią dodatniego o régime liberalnym II Reichu, w którym mieli oni sytuację błogosławioną, ale który w Niemczech nacjonalsocjalistycznych jest uważany za ohydę Niemiec.

Niebawem przyjechaliśmy do granicy polskiej. Chojnice – Pomorze polskie, tak zwany przez Niemców „korytarz". Na mnie osobiście ten widok Pomorza polskiego działa szczególnie. Nie jest to wcale korytarz polski na ziemiach niemieckich, ale pierwszy wyłom w krzywdach dziejowych tych rozległych ziem wschodnich, zalewanych od wieków przez systematyczną inwazję niemiecką, pierwszy ciasny jeszcze, ale wolny posterunek prawowitych dziedziców tych ziem. Nigdzie tak jak tu nie czuję solidaryzmu naszego z Polską; tutaj solidaryzm ten jest dla mnie jaskrawy. Polska pozycja tutaj – to element naszej pozycji niepodległej i w Kłajpedzie, i w całej Litwie, bo jak my u siebie zakładamy podwaliny wolnego rządzenia się ludów Bałtyku, tak samo tu – na najdalszym na zachód czołowym odcinku rewindykacji bałtyckiej – czynią to na Pomorzu Polacy. I oby ten posterunek wolnej Polski rozwinął się w przyczółek, z którego rozrastać by się zdołało promieniowanie rewindykacji ziem wschodnich co najmniej po Wartę na zachodzie i poprzez całe Prusy Wschodnie aż tam, gdzie drzemią jeszcze resztki Mazurów i gdzie się już nasza rewindykacja litewska po Królewiec rozpocząć zdoła. Toteż Pomorze polskie budzi we mnie uczucia radosne. Tu widzę ideę bratnią – naszą solidarność bałtycką i w awangardzie polskiej na tych ziemiach widzi mi się nasze wspólne hasło: za wolność naszą i waszą! Wąziutki jest ten pas Pomorza. Oto za Tczewem Wisła – skrawek terytorium gdańskiego, znów Wisła i – Prusy Wschodnie sieroce i zamarłe, ale butne i twarde w swej pysze malborskiej. Niebawem Królewiec, szczątek wielkiego ośrodka. Tu wysiadam, jadę do hotelu Park-Hotel, idę na miasto, ożywione wielkim ruchem przedświątecznym, kupuję sobie koszul, zachodzę do cukierni, wracam do hotelu i wysypiam się do rana. Dziś rano o ósmej wyjechałem z Królewca na Tylżę. Kupiłem sobie do Pogiegiów nowy bilet kolejowy; mojego biletu, obowiązującego do pobytu 7-dniowego w Niemczech, nie pokazuję. Przejeżdżam Tylżę, Niemen, jestem w Kraju Kłajpedzkim w Litwie. Otacza mię atmosfera podróżnych litewskich, jestem w domu. Ruch w pociągu wielki, podróżni śpieszą w różne strony na święta. Przejeżdżam Radziwiliszki, Poniewież, w Skopiszkach podług układu wsiada do pociągu Jadzia. Witamy się szczęśliwi, znów jesteśmy razem. Mile nam schodzi czas do Abel. W Abelach Andrzej przyjechał na spotkanie. Para koni z dzwoneczkami pod siatką, wielkie sanie parokonne. Droga zawiana, zaspy wielkie, łatwo zabłądzić i przewrócić się. Powozi Bieliunas, dojeżdżamy doskonale. Pokazuję Jadźce prezenty, które jej przywiozłem – od siebie i nawet od Mackusa. Ode mnie 6 sztuk podstawek do sztućców, fantazyjnych z życia zwierząt, ilustrujących znane bajki Lafontaine'a, kieliszek i łyżeczkę do jajek srebrne, solniczkę małą ładną z bursztynem i srebrem, którą kupiłem w Królewcu, trochę cukierków holenderskich „kopjas", od Mackusa wazeczkę japońską. Jadźka rada z prezentów. Mam też prezent dla Andrzeja, dla Maryni, nawet dla ekonoma.

Jemy kucję zwyczajem naszym w gronie całej czeladzi.

Na tym się dzień kończy. Jestem wreszcie u siebie, z Jadzią kochaną, w Bohdaniszkach. Niczego by mi nie brakło, gdyby nie te nieznośne nieszczęsne wrzody, o których sam nie wiem, co myśleć, które mi się nie goją. I Jadźka nie bardzo zdrowa, ma bóle w brzuchu od tygodnia i wolny żołądek.

25 grudnia, rok 1935, środa

Boże Narodzenie. Upłynęło mi ono cicho w Bohdaniszkach na przystosowaniu się psychicznym do nowej atmosfery samotnej. Do pracy się jeszcze nie zabrałem i nie wdrożyłem. Siedziałem w domu. Zachodziłem tylko do starego domu do Mieczkowskich. Marynia Budkiewiczowa gdzieś wyjechała. U mnie Jadźka jeździła do swego zaścianka. Cicho było u mnie i odludnie. Po obiedzie za to była choinka dla dzieci parobczanych. Ubawiła się dziatwa, bo też dużo zabawek rozmaitych dostała. Dziewczynki śpiewały, potem kręciły się w kółko pod śpiew chóralnych archaicznych tańców litewskich. Ale najweselej im było z zabawkami. Paryż – centrum wielkiej cywilizacji – i wieś litewska w Bohdaniszkach – dwa kontrasty. Ale wieś litewska nie traci na tym.

26 grudnia, rok 1935, czwartek

Pozwoliłem studentom, pragnącym zdawać egzaminy u mnie, przyjeżdżać do mnie dla egzaminów przez czas moich wakacji do Bohdaniszek. Ponieważ kolejka zapisanych do egzaminów jest bardzo długa, wynosząca coś bodaj ze 300 nazwisk, egzaminuję zaś w Kownie tylko raz na tydzień i nie więcej naraz niż czterech, a tu pozwalam przyjechać bez kolejki, więc amatorów zdawania egzaminów w Bohdaniszkach jest, zdaje się, niemało. Dziś miałem pierwszą pareczkę tych aspirantów – studenta Klimkę, który zdał bardzo dobrze, i studentkę Gasiunaitė, która zdała dobrze.

Wiatr dziś wielki południowo-wschodni. Przed wieczorem jeździłem saneczkami z Jadzią do Gaju. Poza tym byłem w domu. Na ogół czuję się trochę „depaysé" po wielkim świecie Europy i Paryża. Konstrast – ogromny.

Do starego domu do Mieczkowskich nie bardzo się kwapię chodzić. Nie mogę się nagiąć do atmosfery ideowej, która tam panuje wszechwładnie. Moja linia ideowa jest litewska i świeżo wracam z Paryża, gdzie spełniłem wybitny akt służby Litwie. Mam wrażenie, że moja praca paryska była ze stanowiska litewskiego bardzo cenna. To samo przeświadczenie miał Klimas i cała młodzież litewska w Paryżu. Podniosłem imię Litwy, wyrusztowałem w świecie naukowym paryskim autorytet uniwersytetu litewskiego, dałem też ciekawe „exposé" czynnika politycznego Litwy i Związku Bałtyckiego na wschodzie europejskim, utwierdzając w świadomości francuskiej walory polityczne litewskie, co Klimas uważa za niezmiernie dodatni i ważny owoc mojej pracy. Tymczasem tu dla Mieczkowskich ta moja jazda ma walor tylko rozrywki osobistej mojej i jakiegoś „szczęścia" mojego – bez żadnych zgoła walorów społecznych, które w ich nastawieniu ideowym nie istnieją wcale. To, co dla mnie cenne i istotne, dla nich nie istnieje i jest wprost niepojęte. Bo ich nastawienie polskie jest rdzennie antylitewskie i dobrym dla nich jest li tylko to, co jest złe dla Litwy. Na tym gruncie jest między nami przepaść i obcość zupełna. Ich polskość jest zgoła inna niż moja. Polskę kochają oni, kocham i ja. Tylko że dla nich polskość jest czymś, co się przeciwstawia Litwie i co jest wrogie sprawie litewskiej. Ich polskość wyklucza litewskość i zwalcza ją. Podczas gdy ja kocham Polskę solidarystycznie, kocham ją o tyle i tylko tyle, ile idea polska z litewską się zbiega. O ile ona nastaje na Litwę i jej rozwój ogranicza lub tłumi albo tym bardziej o ile ją ujarzmić lub obciąć usiłuje – o tyle jestem jej wrogi. Natomiast dla nich to jest właśnie istotne w polskości i jej walorach. Może się łudzę, ale nie mogę z serca wyrwać tej głębokiej wiary, jaką mam, w solidaryzm polsko-litewski. Jadąc przez pomorski „korytarz" polski, wzruszenie mię ogarnia i entuzjazm dla dzieła polskiego, ale właśnie dlatego, że Polska jest tam narzędziem wolności i emancypacji całego wschodu bałtyckiego. Taką Polskę kocham, podczas gdy oni co innego w niej kochają i widzą. Co dla nich jest w Polsce kochane – dla mnie jest obce lub nawet bolesne. Natomiast to, co ja w Polsce kocham, jest dla nich co najmniej obojętne i obce zupełnie. Nie mamy ze sobą punktów stycznych. Ich polonofilizm namiętny jest spiskowaniem przeciwko Litwie, mój polonofilizm wychodzi z założeń litewskich. Nie rozumiemy się i nie mam o czym mówić z nimi. Toteż mój kontakt z domem sióstr – zwłaszcza Mieczkowskich – jest bardzo płytki i formalny tylko.

27 grudnia, rok 1935, piątek*

28 grudnia, rok 1935, sobota*

29 grudnia, rok 1935, niedziela*

30 grudnia, rok 1935, poniedziałek

Ekonom Pumpol jeździł do Rakiszek kupić młodego buhaja na miejsce mego Fina, Aidasa, którego Jadzia przed moim przyjazdem sprzedała, bo stał się złośliwy i był już za ciężki. Nie znalazł jednak na rynku odpowiedniego i nie kupił przeto. Poza tym dzień upłynął leniwie. Odwilż, padał deszcz; mgła. Śnieg stał się miękki, sanna dobra, tylko koń się przesuwa. Byłem w starym domu u Elwiry, byłem także u Maryni, u której znalazłem starego Pawła Koziełłę z Użukrewnia.

31 grudnia, rok 1935, wtorek*

1 stycznia, rok 1936, środa*

2 stycznia, rok 1936, czwartek

Przyjeżdżało zdawać egzaminy trzech młodych studentów Żydów. Żydów obecnie na prawie z roku na rok coraz mniej. Na zasadzie nowej ustawy (z roku 1933) o sądownictwie, wstęp do adwokatury jest uzależniony od odbycia stażu praktyki sądowej w charakterze aplikantów („kandydatów") i zdanie egzaminu aplikanckiego, samo zaś przyjmowanie aplikantów (jak również przyjmowanie do adwokatury po stażu i egzaminach) należy do ministra sprawiedliwości. Tym ministrem jest obecnie Šiling, antysemita notoryczny. Żydów na aplikantów nie przyjmuje i basta. Co prawda, jest wśród aplikantów ośmiu czy dziewięciu Żydów, przyjętych poprzednio. Obecnie zdali już oni egzamin i będą reflektowali do adwokatury, bo zresztą wrota magistratury są dla nich faktycznie zamknięte i poza adwokaturą nie mają żadnych perspektyw. Chyba że Šiling do adwokatury ich przyjmie i wtedy może przyjmie na ich miejsce kilku nowych aspirantów Żydów. W każdym jednak razie, szanse dla młodych Żydów prawników są bardzo niewielkie i wrótka dostępu do ziemi obiecanej adwokatury są niesłychanie dla nich ciasne. Toteż na uniwersytecie Żydzi prawie się przestali wpisywać na prawo. A ci, co są lub świeżo pokończyli, prawie wszyscy reflektują na wyjazd do Palestyny, dla kariery zawodowej tamże. Wielu już wyjechało i trudni się w Palestynie adwokaturą. Wszakże władze mandatowe angielskie czynią duże utrudnienia imigracji żydowskiej do Palestyny. Położenie Żydów jest trudne, zwłaszcza w tych krajach w Europie, gdzie są masy ludowe żydowskie, a także w Niemczech hitlerowskich, gdzie Żydów jest dużo i gdzie stosunek do nich jest drakoński.

Okazało się, że ze wszystkich ruchów żydowskich najrealniejszy był i jest syjonistyczny, który dąży do skolonizowania Palestyny przez Żydów i dania Żydom zasady terytorialnej. Ruch ten, w początku tego stulecia zwalczany i wyśmiewany przez inne kierunki „postępowe" żydowskie, jak bundyści, folkiści, okazał się zasadny. Dążenie i idee postępowców oparte były na wierze w zasady Wielkiej Rewolucji Francuskiej, skorygowane przez socjokratyzm, nie wykraczający z humanizmu. Zdawało się, że po obalaniu caratu, po rewolucji, do której się gotowano i w której doskonałość humanistyczną i sprawiedliwość społeczną wierzono, zapanuje era sprawiedliwego rządzenia się ludów z równouprawnieniem wszystkich, z liberalizmem narodowym, z ewentualną autonomią narodowościową dla „mniejszości", w czym Żydzi zdołają zrealizować zarazem i swoje prawa obywatelskie oraz cywilne w państwach, zrównani z innymi, i swoje zbiorowe aspiracje narodowe.

Rzeczywistość nacjonalizmu powojennego i ruchów etatystycznych zadała temu kłam bolesny i Żydzi okazali się za burtą praw obywatelskich, pariasami państwowości, poza tym wypieranymi z placówek dotychczasowych w handlu i wolnych zawodach bez perspektyw na lepsze warunki. Dziś jedyne zbawienie realne widzą w zdobyciu podstawy terytorialnej hen w Palestynie. Biedny naród bezdomny, który przez brak umiaru sam sobie w społeczeństwach krajowych w Europie wytworzył opozycję i reakcję, która ich samych zagnębia. Narady krajowe chętnie posługiwały się Żydami w swoim ruchu emancypacyjnym, ale wyemancypowane – nie chcą się już dzielić z nimi owocami emancypacji i optymizm humanistyczno-równościowy Żydów uważają za arogancję, która ich razi, bo chcą być sami gospodarzami niepodzielnymi. Żydzi biedni są jak rybak z bajki o złotej rybce. Dziś wiary już nie mają i optymizmu naiwnego się pozbyli. Wielkie rozczarowanie dziś ich cechuje.

3 stycznia, rok 1936, piątek*

4 stycznia, rok 1936, sobota*

5 stycznia, rok 1936, niedziela

Przyjeżdżali na egzaminy trzej studenci Litwini: Witold Raczkowski, Eugeniusz Birman i Władysław Radziewicz, młodzi chłopcy z rodzin inteligenckich. Dwaj pierwsi zdali doskonale; z przyjemnością się egzaminuje takich, gdy natomiast osłów lub chłopców tępych egzaminować jest dosyć męcząco. Trzeci zdał średnio.

Miałem niespodziankę po obiedzie. Ktoś przyszedł nagle oznajmić, że przywieziono mi z Rakiszek... psa. Domyśliłem się od razu, że to szczenię rasy New-Foundland, które przed rokiem przeszło obstalowałem przez Żyda kupca Kagana w Kownie z Niemiec. Kagan, właściciel sklepu przy Laisvės Alei, zajmuje się dodatkowo handlem psami rasowymi, raczej pośrednictwem w sprowadzaniu ich od firmy w Niemczech, która prowadzi hodowlę psów rasowych. Zapłaciłem wtedy à conto 100 litów i dotąd nie mogłem się doczekać psa. Straciłem już prawie nadzieję, choć Kagan wciąż zapewniał, że piesek będzie, gniewał się na firmę niemiecką i już się zwracał do poselstwa litewskiego w Berlinie o interwencję, aby wpłynęło na wykonanie obstalunku, bo pieniądze firmie, jak powiadał, był przesłał. Jadzia już była przekonana, że nic z tego nie będzie, że nie zobaczę ani psa, ani pieniędzy i gniewała się na Kagana, który się na nią obrażał, a ze mnie kpiła, że jestem naiwny i daję się nabierać. Pośpieszyłem ja i wszyscy do pokoju jadalnego, dokąd już była wniesiona paka drewniana kratowa z psem. Otworzyli pakę i wylazło z niej spore już szczenię, zapewne już trzymiesięczne, czarne jak kruk, lśniące, o długiej miękkiej sierści. Jest to suczynka, bo samiczkę obstalowałem. Przywiózł ją Żydek furman z Rakiszek, którego wyekspediował do mnie Pejsach Ruch. Widocznie Kagan przesłał ją do Pejsacha. Żadnych papierów nie załączono, ale oczywiście jest to ten sam obstalunek szczenięcia, który zrobiłem. Na życzenie Jadzi nazwałem szczenię „Saima” od imienia jeziora Saimy w Finlandii, po którym odbywaliśmy wycieczkę ubiegłego lata. Saima będzie na opiece ekonoma w Bohdaniszkach. Piękna to rasa psów New-Foundlandzkich – duże, lśniąco-czarne, o sierści miękkiej i długiej, trochę kędzierzawej, nie boją się mrozu, lubią wodę. Jest to jeden z najpiękniejszych, eleganckich dużych gatunków psów. Saima jest dosyć chuda z podróży, zawstydzona i nieśmiała w nowym otoczeniu wśród obcych ludzi, ale łagodna i potulna. Boję się tylko, żeby jej ktoś nie ukradł lub żeby nie zabłądziła. Kagan mówił, że w Litwie jest tylko jeden pies tego gatunku, samiec, sprowadzony także z Niemiec z tego samego gniazda. Pies ten jest w Kiejdanach. Właścicielem jego jest jakiś urzędnik. Będę się starał skomunikować z tym urzędnikiem, aby połączyć Saimę z tym psem, gdy ona dorośnie, aby mieć po Saimie szczenięta rasowe. Cieszę się z tego pieska, który oby się szczęśliwie wyhodował. Mojego starego Murzy, który był pięknym okazem owczarka irlandzkiego, już nie ma. Był już

zupełnie zniedołężniały i w jesieni ekonom go zastrzelił. Saima będzie jego następczynią u mnie.

6 stycznia, rok 1936, poniedziałek*

7 stycznia, rok 1936, wtorek*

8 stycznia, rok 1936, środa*

9 stycznia, rok 1936, czwartek*

10 stycznia, rok 1936, piątek*

11 stycznia, rok 1936, sobota*

12 stycznia, rok 1936, niedziela*

13 stycznia, rok 1936, poniedziałek

Dzień wyjazdu z Bohdaniszek. Nie lubię prawie żadnych wyjazdów.

Wyjechaliśmy do Kowna we czworo: ja, Jadzia, Andrzej Mieczkowski i córka kowala Błażewicza z Bohdaniszek – Marytė Błażewiczówna, która z inicjatywy i przy pomocy materialnej mojej siostry Maryni Budkiewiczowej ukończyła szkołę gospodarską w Sołach i teraz jedzie szukać jakiegoś miejsca w Kownie.

Podróż odbyliśmy bez szczególnych wydarzeń i wieczorem przyjechaliśmy do Kowna.

W Abelach przed wyjazdem otrzymałem list od Wacława Sidzikowskiego, który jest prezesem tzw. „Vakarų Draugijos”, to znaczy towarzystwa, poświęconego sprawom Kłajpedy. Towarzystwo to, ze współudziałem „Šiaulių Sąjungi” i „Vilniui Vaduoti Sąjungi”, urządza pojutrze w Kownie wielki obchód rocznicy Powstania Kłajpedzkiego z roku 1923, które przesądziło wcielenie Kłajpedy do Litwy. Głównym punktem obchodu będzie wielkie zebranie publiczne w teatrze z przemówieniami i przewidzianym odczytem moim, toteż Sidzikowski prosi mię o ten odczyt. Zdecydowany jestem odmówić, bo nie mam nic przygotowanego, a po wtóre nie bardzo chcę się angażować w obchody publiczne natury politycznej w sprawie Kłajpedy, zwłaszcza w kompanii ze Związkiem Odzyskania Wilna, który orientację kłajpedzką będzie zapewne zamącać polonofobią, co uważam za błąd orientacyjny.

14 stycznia, rok 1936, wtorek

Na uniwersytecie dziś jeszcze nie byłem. Na miasto wychodziłem tylko na krótko; ogoliłem się u fryzjera, zaszedłem do „Spaudos Fondas” dla zakupu książek i papieru na następny zeszyt dziennika, wstąpiłem do kawiarni na filiżankę kawy. W kawiarni zajrzałem do ilustrowanego pisma „Иллюстрированная Россия”, wydawanego przez emigrację rosyjską w Paryżu z okazji 100-letniej rocznicy założenia naszej byłej Cesarskiej Szkoły Prawa w Petersburgu, którą ja sam też ukończyłem. Miał tam miejsce akt uroczysty pod przewodnictwem księcia Aleksandra Georgijewicza Romanowskiego, hercoga lechtenberskiego, spokrewnionego z byłą rodziną cesarską Rosji, który odbywał studia w Szkole Prawa za moich czasów i w mojej właśnie klasie (62 rocznik prawowiedów – z roku 1901), i bal prawowiedzki w kilka dni potem. Tak akt uroczysty, jak bal odbyły się w Paryżu akurat w czasie mojego tam pobytu. Wiedzialem o tym, bo data założenia Szkoły Prawa (5 grudnia starego stylu, czyli 18 grudnia nowego stylu) dobrze mi jest znana i zawsze była w szkole obchodzona uroczyście jako jej święto doroczne. O obchodzie rocznicy stuletniej

byłem też zawczasu zawiadomiony w Kownie przez sekretarza Związku Prawowiedów Rimskiego-Korsakowa. O ile chodzi o moment stosunków czysto osobistych, byłbym się na tych uroczystościach spotkał chętnie z kolegami prawowiedami z moich lat, szczególnie chętnie z niezmiernie ciekawym i niepospolitym człowiekiem z mojego rocznika – Mikołajem Jewreinowem, który mieszka w Paryżu i był na tych uroczystościach (widziałem portret Jewreinowa w piśmie; napiszę do niego, bo to człowiek niezwykłej miary, którego uczuć i myśli ciekaw jestem). Ale rozmyślnie nie poszedłem na te uroczystości. Nie poszedłem dla względów, że tak powiem, ideowo-politycznych. Społeczność bowiem prawowiedów jest na wskroś reakcyjna i stoi na niewzruszonym stanowisku nie tylko nacjonalizmu rosyjskiego, ale idealizowania caratu, całego starego ustroju Rosji carskiej i niepodzielności starego Imperium Rosyjskiego, negującego przez to samo nie tylko Sowiety i rewolucję i nie tylko jakąkolwiek innowację i reformę ustrojowo-konstytucyjną państwa, ale też wszystkie państwa i państewka, które się oddzieliły od Rosji na zachodnich kresach jej dawnego terytorium z doby cesarskiej. Że takie jest stanowisko związku prawowiedów – o tym się przekonałem z „Памятной Книжки Императорного Училища Правоведения”, wydanej przed uroczystością i wypisanej też przeze mnie. Są tam portrety wszystkich carów od Mikołaja I do Mikołaja II, a tekst szkicu historii Szkoły Prawa i zasług prawowiedów wobec „Tronu i Ojczyzny” od założenia szkoły aż po jej likwidację w rewolucji, włącznie z opisem „męczeństwa” ofiar rewolucji i przewrotu bolszewickiego i wierności tychże zasadom caratu etc. – aż nadto jaskrawy bez cienia kompromisowej wyrozumiałości nie tylko względem bolszewików, ale nawet względem demokracji i ruchu konstytucyjnego. Nie chciałem się kompromitować przez udział w manifestacjach uczuć, które mi są obce i zgoła przeciwne moim, a których uwydatnienia w tych uroczystościach się spodziewałem. I dobrze zrobiłem, bo jak z opisów widzę – istotnie manifestowały się tam te uczucia i uroczystość miała charakter bardziej polityczny, niż koleżeński.

Przychodził do mnie Wacław Sidzikowski namawiać mię do wystąpienia jutro z odczytem w teatrze na obchodzie rocznicy kłajpedzkiej. Odmówiłem, ale oświadczyłem, że odczyt chętnie Towarzystwu Litwy Zachodniej udzielę, jeno bez obchodu politycznego i innym razem. Będę mógł wygłosić dla tego towarzystwa lub pod jego firmą publicznie po litewsku jeden z moich odczytów paryskich.

Odwiedzał mię prof. Purėnas, z którym się w ostatnich czasach bardzo zbliżyłem.

15 stycznia, rok 1936, środa

Korespondencję zastałem w Kownie – w mieszkaniu i w uniwersytecie – ogromną. Z różnych stron świata, z różnych krajów i miast. Są więc listy z Paryża, z Pragi Czeskiej, z Brukseli, z Norwegii, z Bukaresztu, z Wiednia, z Warszawy, z Wilna, z Rygi, z Ameryki. Najciekawsze są dwa listy. Jeden – z Paryża, od rektora Uniwersytetu Paryskiego prof. Charléty. Rektor Uniwersytetu Paryskiego – to wielki pan. Uniwersytet to nie lada. Rektora Charléty w czasie mojej wizyty paryskiej widziałem dwukrotnie. Raz złożyłem mu wizytę po przyjeździe. Za pośrednictwem poselstwa litewskiego wyznaczył mi on dzień i godzinę tej wizyty. Drugi raz widziałem go na obiedzie u posła litewskiego Klimasa. Uniwersytet Paryski jest bardzo zdecentralizowany. Obejmuje on nie tylko poszczególne wydziały (Sorbonę czyli wydział „Sciences et Lettres”, Wydział Prawniczy, Wydział Medyczny), ale też wszystkie wyższe zakłady naukowe publiczne w Paryżu i okolicy – przeróżne uczelnie techniczne, specjalne itd. Wydziały Uniwersytetu Paryskiego są właściwie uczelniami odrębnymi. Moim gospodarzem właściwym, którego byłem gościem, był nie tyle rektor, ile dziekan Allix. Wszakże po powrocie do Litwy napisałem list z podziękowaniem do rektora Charléty, wyrażając w nim hołd dla Uniwersytetu Paryskiego. Charléty mi odpisał. Ta odpowiedź jest wzorem klasycznym kurtuazji francuskiej, rzeczywiście niezrównanej. Oto dosłownie co mi rektor Charléty pisze:

„Monsieur le Recteur et Honoré Collègue,

Je suis très sensible aux sentiments si aimables et si flatteurs pour l'Université de Paris, que vous voulez bien m'exprimer à votre retour en Lithuanie. Mais vous oubliez de dire une chose: c'est que le prestige scientifique dont notre Université jouit dans le monde se trouve rehaussée lorsque des savants comme le Recteur de l'Université de Kaunas veulent bien venir prêter à Paris l'éclat de leur science et leur talent. Croyez, Monsieur le Recteur et Honoré Collègue, à mes sentiments dévoués.

Le Recteur:

(podpis:) *Charléty*"[23].

Szczyt doskonałej kurtuazji. Któż poza Francuzami zdobędzie się na komplement tak elegancki.

List z Pragi Czeskiej pochodzi od Czeskiej Akademii Nauki i Sztuki, która mię zawiadamia o wyborze mnie na członka zagranicznego tejże, już zatwierdzonego przez rząd czechosłowacki. Dyplom ma być przysłany osobno. Tymczasem Akademia przysyła mi do zapełnienia kwestionariusz.

Byłem na obiedzie Rotary-Clubu. Ponieważ od przeszło miesiąca byłem nieobecny, a wracam z Paryża z odczytów moich, o których, jak również o powodzeniu wizyty mojej, prasa kowieńska, jak się okazuje, dużo pisała, więc bracia Rotary-Clubu przyjęli mię oklaskami.

16 stycznia, rok 1936, czwartek

Rozpocząłem już dziś moje wykłady semestru wiosennego. Po wykładzie i colloquium byłem na posiedzeniu sekcji prawniczej naszego wydziału, która w osobach swoich profesorów, docentów i prywat-docentów (profesorowie zwyczajni Janulaitis, Wacław Biržiška i ja, świeżo awansowany na profesora nadzwyczajnego Kazimierz Szołkowski, docent Tadeusz Pietkiewicz i świeżo awansowany na docenta Antoni Tamošaitis i prywat-docent Dominik Kriwicki) obraduje od pewnego czasu nad ściślejszą organizacją nauczania w sekcji (mają być wprowadzone seminaria w ścisłym znaczeniu słowa, ustalają się dokładnie ilości godzin wykładów, klasyfikacji katedr i pewne specjalizacje kursów wykładowych na poszczególnych katedrach – zresztą nie Bóg wie co osobliwego i nowego). Później odbyło się u mnie w gabinecie posiedzenie komisji w osobach Janulaitisa, Wacława Biržiški i mnie, obradującej nad zaangażowaniem specjalistów do obsadzenia katedr prawa kłajpedzkiego – cywilnego i karnego. Janulaitis jest zwolennikiem zaangażowania byłych profesorów niemieckich, którzy już to dla względów rasowych jako Żydzi, już dla swoich przekonań lewicowych lub poprzedniej działalności politycznej zostali usunięci ze stanowisk przez rządy Hitlera. W tym kierunku też Janulaitis już poczynił kroki na rzecz ustalenia kandydatów i zdaje się, że nasze władze państwowe nie oponują przeciwko temu. Z kandydatów, których Janulaitis dotąd znalazł, uwzględnialiśmy niejakiego prof. Baumgartena, który jest na uniwersytecie w Bazylei, i niejakiego Freunda, Żyda, prawnika-publicystę, który jest znawcą raczej prawa sowieckiego i był redaktorem i kierownikiem Instytutu „Ost-Recht" we

[23] Panie Rektorze i Szanowny Kolego,
Jestem bardzo wrażliwy na tak łaskawe i tak pochlebne wyrazy uczucia dla Uniwersytetu Paryskiego, które zechciał Pan mi złożyć po powrocie do Litwy. Zapomina Pan jednakże powiedzieć o jednej rzeczy: to, że prestiż naukowy, którym nasz Uniwersytet cieszy się na świecie, wzrasta za każdym razem, gdy tacy uczeni, jak Rektor Uniwersytetu Kowieńskiego, chcą łaskawie użyczyć Paryżowi blasku swej nauki i swego talentu. Proszę wierzyć, Panie Rektorze i Szanowny Kolego, w szczerość mych uczuć. Rektor: Charléty.

Wrocławiu i czasopisma „Zeitschrift für Ostrecht". Nie jest to jeszcze zresztą ostateczne, jeno wniosek komisji.

Wczoraj przez radio z Warszawy translowane było *exposé* polskiego ministra spraw zagranicznych Becka w komisji sejmowej spraw zagranicznych. W *exposé* tym, na ogół bardzo arogancko w stylu Becka wygłoszonym, są bardzo brutalne i drażniące zwroty w stosunku do Litwy. Jest to nowy przyczynek do zaognienia tych stosunków. O Litwie p. Beck wyraża się nie tylko z lekceważeniem i obraźliwą pogardą, ale pozwala też sobie na pogróżki w związku z kampanią polską zarzutów o popieraniu przez Zauniusa ruchu terrorystycznego ukraińskiego w Polsce. Oczywiście o o wiele jaskrawszym popieraniu przez Polskę spisku Plečkaitisa przed kilku laty Polska zapomina. Beck jest specjalistą drażnienia aroganckiego Litwy, jak również arogancko traktuje Francję. Przekonałem się w Paryżu, jak nie cierpiany jest Beck przez Francuzów. Dowiedziałem się tam, że Beck, będąc we Francji *attaché* wojskowym polskim, był z Francji wylany (jak jedni mówią – za akcję szpiegowską, inni – za usiłowanie przekupienia oficerów francuskich na rzecz szpiegostwa, ale że był wylany – to fakt); stąd też, zdaje się, płynie jego szczególna animozja do Francji. Kiedyż Polska pozbędzie się tego germanofila, którego tak niefortunnie wysunął na czoło polityki zagranicznej polskiej śp. Marszałek Piłsudski?

17 stycznia, rok 1936, piątek

Nowe komplikacje zapowiadają się na uniwersytecie. Zaiste – męczeński jest żywot tej naszej wielkiej instytucji. I problem rektorski jest ciężki; lada chwila jest się między młotem a kowadłem. Paryż, Bohdaniszki – to był dla mnie wypoczynek od tych codziennych trosk rektorskich na uniwersytecie. Tam byłem sam panem siebie i swoich czynności. W Paryżu mogłem mieć pracę, trudności, obawy o moje odczyty, ale rozwiązanie tego wszystkiego zależało ode mnie, było w mojej mocy. Tutaj trzeba lawirować, szukać dróg między żywiołami, które działają z zewnątrz i których ja kierować nie mogę. Muszę zaś znaleźć wyjście w polu tego działania takie, aby powagi uniwersytetu nie uronić i zarazem nie dać się unieść namiętnościom, które usiłują i mnie ze sobą porwać albo mną się posłużyć.

Oto ledwo siako tako wybrnęliśmy z ciężkich kłopotów semestru jesiennego, a oto już nowe chmury się gromadzą. Od razu na samym początku semestru wiosennego nowe komplikacje. „Lietuvos Aidas" przed kilku dniami ogłosił list prywatny, pisany przez prof. Dovydaitisa do jakiegoś księdza, kapelana gimnazjalnego. W liście tym Dovydaitis czyni księdzu wymówki za to, że ten nie dość starannie rozwija ruch „ateitiników" (ruch organizacyjny o charakterze klerykalnym) wśród uczni swojego gimnazjum i wzywa go do forsowania czynnego tego ruchu. Już od lat kilku władze państwowe zabroniły tego ruchu w szkołach średnich, ale kler i działacze organizacji „ateitiników", stanowiącej związek legalny o silnych wpływach wśród młodzieży akademickiej i poza nią, nie chcą się do tego zakazu stosować i ruch ten wśród młodzieży szkolnej tajnie utrzymują i rozwijają. Dovydaitis jest jednym z najczynniejszych i najenergiczniejszych wodzów ruchu „ateitininków". Jest on nie tylko profesorem na Wydziale Teologicznym w kierunku ultrakatolickim, ale jest także działaczem społecznym katolickim o wielkim i zajadłym temperamencie. Nie jest to wcale człowiek przyjemny ani głowa otwarta, jak np. prof. Stanisław Szołkowski, także katolik zdecydowany i działacz katolicki wybitny; ale trzeba przyznać, że Dovydaitis jest człowiekiem przekonań i człowiekiem żywym, którego czyn jest wierny słowu i wierze. Już kilkakrotnie za mojego rektoratu minister oświaty ostrzegał Dovydaitisa, wytykając mu udział kierowniczy i wręcz czynny w tajnej akcji organizacyjnej „ateitininków" w szkołach średnich. Dovydaitis się wykręcał i wyłgiwał; ścisłych dowodów nie było, choć wiadome jest, że Dovydaitis istotnie w tym ruchu jest bardzo czynny. Ten list Dovydaitisa do księdza ksiądz ten, widocznie sympatyk narodowców, doręczył swoim władzom szkolnym. List dostał się w ręce władz państwowych i został opublikowany skwapliwie w urzędówce. I oto minister

oświaty Tonkunas wyciągnął wnioski radykalne: przedstawił Prezydentowi wniosek usunięcia Dovydaitisa z profesury i akt zwolnienia Dovydaitisa został przez Prezydenta Rzeczypospolitej podpisany. Urzędowo jeszczem go nie otrzymał, ale już wiemy o nim. Rzecz jest przykra i ciężka. Jest to pierwszy wypadek wydalenia profesora aktem Prezydenta bez prośby o dymisję i bez dochodzenia dyscyplinarnego. Jest to dla uniwersytetu precedens, na który profesura jest bardzo wrażliwa. Statut kategorycznie nieusuwalności profesorów nie zastrzega, ale interpretacja tych przepisów, które dotyczą zwolnienia, zdaje się przemawiać na rzecz nieusuwalności poza wypadkami dymisji, wyroku dyscyplinarnego i przekroczenia granicy wieku. Co teraz na to poradzić? Oczywiście w pierwszym rzędzie i najbardziej gorąco biorą tę sprawę do serca teolodzy, można też wnosić, że ogół profesury poczuje się dotknięty i poruszony. Zachodzić też może ewentualność reagowania studentów, może nawet ruchu strajkowego, bo wśród młodzieży akademickiej „ateitininki" są najliczniejsi i najsilniejsi, a Dovydaitis jest ich wodzem ideowym, „ateitininków" zaś, gdyby tylko zdecydowali się na jakąś ruchawkę, poparłaby młodzież lewicowa dla samej idei walki z rządem – w pierwszym rzędzie komuniści, także socjaliści i varpasowcy. Zgłosili się do mnie w tej sprawie Dovydaitisa dziekan Wydziału Teologicznego prof. Kuraitis w towarzystwie prof. Stanisława Szołkowskiego. Żądają przedsięwzięcia jakichś kroków. Na razie Kuraitis proponuje wyjście kompromisowe: cofnięcie przez rząd aktu pod warunkiem zapewnienia słowem honoru Dovydaitisa, że w ruchu tym nadal udziału brać nie będzie. Ale żeby rząd zdecydował się na odwołanie aktu, o którym już wszyscy wiedzą, bardzo wątpię. Jestem nawet pewny, że to się nie uda. W każdym razie przyrzekłem im, że będę się starał jutro o audiencję u Prezydenta (bo minister Tonkunas sobotami jest w Datnowie) i spróbuję pomówić w tej sprawie. To jeszcze dopiero początek.

18 stycznia, rok 1936, sobota

Spróbowałem udać się do Prezydentury, ale tam mię adiutant poinformował, że już cały czas audiencyjny na dzień dzisiejszy jest zajęty i że przeto mogę mieć audiencję tylko w poniedziałek. Nie prosiłem więc o nią, bo w poniedziałek już minister Tonkunas będzie w Kownie, przeto wypadnie mi przede wszystkim do niego się zwrócić, a tam dopiero zobaczymy, czy coś się w układzie z rządem da zrobić. Odpis aktu Prezydenta Rzeczypospolitej o zwolnieniu prof. Dovydaitisa już został dziś z ministerium przysłany do uniwersytetu. Co z tej sprawy jeszcze wyniknie – Bóg raczy wiedzieć. Mam wrażenie, że rzecz się nie obejdzie bez komplikacji akademickich. Przede wszystkim teolodzy nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Ogół profesury także zapewne się poruszy i zechce w jakikolwiek sposób reagować. Nie chodzi o to, żeby uznawać akcję Dovydaitisa za poprawną, ale chodzi o precedens, o interpretację statutu w kierunku negowania nieusuwalności profesorów bez dochodzenia dyscyplinarnego. Wreszcie i ze strony młodzieży akademickiej można się spodziewać reagowania. Ze słów prof. Stanisława Szołkowskiego wnoszę, że teolodzy życzyliby protestu senatu. Mnie się zdaje, że senat do wyrażania protestów nie ma kwalifikacji. Sądzę, że zastrzeżenie motywowane przeciwko legalności takiego trybu usuwania profesorów mógłby wyrazić bądź tzw. rektorat, to znaczy władza akademicka w osobach rektora i profesorów, bądź Rada Uniwersytetu, to znaczy ogólne zebranie profesury. Oczywiście, skoro nie ma sądu administracyjnego, mogącego rozpoznać spór o legalności aktu, przełamać faktu dokonanego nie mamy mocy, ale zgłosić zastrzeżenia przeciwko jego legalności, żeby zakwestionować precedensową wagę tego aktu, możemy i może nawet powinniśmy.

19 stycznia, rok 1936, niedziela

Ta jeszcze niedziela, pierwsza po świętach i po powrocie do Kowna, jest wolna. Nie miałem żadnej służby reprezentacyjnej, ale już na dwie niedziele następne mam

zarezerwowane wystąpienia: na akademickim obchodzie rocznicy kłajpedzkiej i na uroczystości jubileuszu prałata Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa.

Spokojnie dzień mi dziś zeszedł. Siedziałem przeważnie w domu, zajęty moją pracą bieżącą. Na obiedzie był Diskin. O zmroku poszliśmy z Jadźką do cukierni „Aldona" na czekoladę, a wróciliśmy stamtąd do domu saneczkami.

Pisma litewskie rozgłosiły wiadomość o moim liście do premiera polskiego Mariana Kościałkowskiego, który napisałem w Kownie i wysłałem pocztą z Paryża. Był to zresztą list najzupełniej prywatny, pisany do dawnego z lat jeszcze wczesnej młodości znajomego. Że w nim wspomniałem o potrzebie solidaryzmu polsko-litewskiego – to bardzo naturalne. Ale nie było w tym żadnej inicjatywy jakiegoś pośrednictwa, wniosków konkretnych czy dobrych usług. Nie było żadnego powodu do komunikowania o tym w prasie. Z informacji prasowej wszakże niektórzy wnoszą, ze to był wystosowany przeze mnie do Kościałkowskiego „list otwarty", inni to interpretują jako pewnego rodzaju „*démarche*". Nic podobnego nie było.

20 stycznia, rok 1936, poniedziałek

Po krótkim wykładzie na II semestrze sekcji prawniczej udałem się po godz. dziesiątej do ministra oświaty Tonkunasa w sprawie prof. Dovydaitisa. Minister dosyć przychylnie potraktował wniosek dziekana Kuraitisa, który mu zakomunikowałem o zlikwidowaniu całej sprawy przez obietnicę solenną i popartą słowem honoru Dovydaitisa o niewtrącaniu się na przyszłość w sprawy nielegalnego ruchu „ateitininków" w szkołach średnich, obietnicę, zagwarantowaną przecz czynniki odpowiedzialne Wydziału Teologicznego. W zasadzie minister skłania się do takiego kompromisu, choć ma jeszcze pewne zastrzeżenia. Naturalnie, że ponieważ akt o zwolnieniu prof. Dovydaitisa jest już podpisany i nawet przesłany urzędowo do uniwersytetu – a zresztą już i prasa o tym podała do wiadomości publicznej – więc ze stanowiska rządowego zlikwidowanie tej sytuacji nie może być dokonane inaczej, jak w drodze nowej nominacji na zasadzie nowej propozycji Wydziału Teologicznego. Sam minister mi zaproponował udać się z nim razem do Prezydenta. Zaraz też pojechaliśmy. Prezydent także rad był ewentualności kompromisu, bo wydalenie Dovydaitisa było mu osobiście przykre. Prezydent Smetona okazał się jeszcze bardziej skłonny do umiarkowania, niż minister Tonkunas, bo podczas gdy ten ostatni uważał, że nominacja powrotna Dovydaitisa będzie możliwa dopiero w następnym semestrze, Prezydent tej konieczności nie zastrzegał i nadmienił, że może to być uczynione w związku z dniem 16 lutego. W każdym razie stanęło na tym, że ja się zwrócę do ministra Tonkunasa w towarzystwie przedstawicieli Wydziału Teologicznego – dziekana Kuraitisa i prof. Stanisława Szołkowskiego – dla omówienia sytuacji i porozumienia się w sprawie dróg i warunków zlikwidowania tejże. Mamy to zrobić we środę. Mam nadzieję, że rzecz się da załagodzić kompromisowo, choć naturalnie możliwe są jeszcze trudności, zależne z jednej strony od dość daleko idących zastrzeżeń Tonkunasa i z drugiej – od tego, czy i do jakiego stopnia Wydział Teologiczny zachce zejść ze stanowiska protestacyjnego i traktować rzecz kompromisowo w myśl zasadniczych założeń stanowiska rządowego. Gdyby o samego dziekana Kuraitisa chodziło, rzecz byłaby łatwiejsza, ale za nim stoją zwarte kadry teologów i kleru politykującego.

21 stycznia, rok 1936, wtorek

Ogłoszono o śmierci króla angielskiego Jerzego V, która nastąpiła wczoraj późnym wieczorem i zresztą była już spodziewana. Na tron wstąpił jego syn najstarszy, książę Walii, który się ogłosił królem pod imieniem Edwarda VIII. Nowy król Edward VIII liczy lat przeszło 40; jest nieżonaty i przeto formalnie bezdzietny, choć są pogłoski, że miał dziecko, które bardzo kochał i które podobno umarło, ale oczywiście nie było urzędowo dzieckiem królewskim; powiadają nawet, że król Edward VIII jest związany małżeństwem morganatycznym; gadają wreszcie, że się nie żeni, bo jest chory na syfilisa. Są to wszystko

anegdoty, związane zresztą może z tym, że nowy król, jak niegdyś jego dziadek król Edward VII (panował od roku 1900 do 1910), syn królowej Wiktorii, który także długo czekał na dziedzictwo tronu, znany jest powszechnie jako „bon viveur", lubiący używać życia i hulanek. Niemniej wszakże Edward VII, choć się bawił przez długie lata, użył do syta uciech i rozkoszy życia, był jednym z największych królów angielskich i odegrał wybitną rolę w dziejach świata, albowiem on to był twórcą Ententy, która sprowokowała Wielką Wojnę i zdruzgotała imperializm militarystyczny Niemiec. Królowie angielscy są zresztą tak doskonale stylizowani, że stanowią perfekcyjną instytucję społeczną, w której kadrze każdy z nich jest czynnikiem dziejowym niepospolitym.

Złożyłem kondolencję w poselstwie angielskim.

22 stycznia, rok 1936, środa

Byłem z dziekanem prof. Kuraitisem i prof. Stanisławem Szołkowskim u ministra Tonkunasa w sprawie prof. Dovydaitisa. Były pewne małe tarcia, ale na ogół rzecz rozwiązania kompromisowego jest na dobrej drodze, a przynajmniej zdaje się być na niej. Już idąc uprzedziłem Kuraitisa i Szołkowskiego, żeby zbyt ostro problemu zasadniczego o prawie arbitralnego uwolnienia profesora nie stawiali, bo to mogłoby kompromisowi raczej zaszkodzić. A ponieważ teologom bardzo chodzi o odzyskanie Dovydaitisa, któremu i samemu bardzo na tym dla względów wprost materialnych zależy i zresztą wiedzą oni dobrze, że na gruncie zasadniczym, gdyby nawet słuszność była po stronie interpretacji uniwersyteckiej, nic nie wskórają, gdyż arbitra dla rozstrzygnięcia sporu prawnego między ministrem czy Prezydentem a uniwersytetem w naszych nędznych warunkach praworządności, niestety, nie ma, więc o rezultat kompromisowy bardzo teologom chodzi. Zwłaszcza Kuraitis jest na to wrażliwy. Dylemat jest taki: albowiem kompromis, albo fakt dokonany i przesądzony, na który uniwersytet może reagować co najwyżej zastrzeżeniem platonicznym.

Po krótkich targach i debacie stanęło na tym, że zwolniony prof. Dovydaitis złoży na ręce dziekana Wydziału Teologicznego prof. Kuraitisa oświadczenie na piśmie, w którym przyrzecze solennie nie wtrącać się nadal do zabronionego przez władze państwowe i przez to nielegalnego konspiracyjnego ruchu „ateitininków" w szkołach średnich i jednocześnie udzieli wyjaśnienia zadawalającego w przedmiocie użytego w liście inkryminowanym zwrotu o „sługach Szatana", który to zwrot dotknął szczególnie ministra i Prezydenta, dostrzegających w tym aluzję do rządu. Że to oświadczenie (mała Kanossa) pójdzie przez ręce dziekana wydziału – to pewna satysfakcja dla teologów, albowiem to świadczy, że jednak uwolnienie prof. Dovydaitisa jest o tyle niezupełne, że nie zerwało jego związku z wydziałem. Dziekan to oświadczenie Dovydaitisa ze swoją aprobatą skieruje przeze mnie do ministra. Minister podnosił jeszcze kwestię zapewnienia, że ten ksiądz kapelan, do którego był pisany list Dovydaitisa i który list władzom rządowym przesłał, nie zostanie przez swoją władzę kościelną za to usunięty ze stanowiska kapelana. Tego mu teolodzy obiecać nie byli w stanie, zastrzegając jeno, że będą o to prosić arcybiskupa. Pozostała jeszcze otwarta forma likwidacji faktu dokonanego. Teolodzy nie chcieliby, żeby trzeba było dokonywać nowych wyborów Dovydaitisa na stanowisko profesora i nowej nominacji. Pragnęliby, żeby rząd po prostu odwołał czy anulował akt o zwolnieniu. Minister przeciwko temu zbytnio, przynajmniej zasadniczo, nie oponował, jednak ma wątpliwości co do dopuszczalności prawnej anulowania aktu Prezydenta choćby przez nowy akt Prezydenta. Ma też pewne zastrzeżenia co do tego, aby takiego odwołania aktu nie uznano za zwycięstwo nad rządem czy też za stchórzenie ze strony rządu. Ma więc w tej kwestii poradzić się jeszcze z prezesem ministrów Tubelisem i ewentualnie zasięgnąć opinii prawników. Kwestii tej nie wystudiowałem ściśle, ale mam wrażenie, że takie odwołanie aktu, mające charakter restytucji statusu prawnego *quo ante* nie jest zasadniczo prawnie niedopuszczalne i może

znaleźć pewne oparcie nawet w konstytucji naszej, a w każdym razie władzy Prezydenta nie pomniejsza.

23 stycznia, rok 1936, czwartek

Tak na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego, jak wieczorem na posiedzeniu senatu akademickiego referowałem dziś moją wizytę paryską i złożyłem na ręce senatu jako dar dla uniwersytetu medal na uczczenie moje, ofiarowany mi przez Faculté de Droit Uniwersytetu Paryskiego.

Toczące się rokowania na rzecz kompromisowego zlikwidowania sprawy prof. Dovydaitisa sprawiły, że kwestia ta na posiedzeniu senatu nie wypłynęła na obrady. Trochę się tego obawiałem, bo o zaognienie sytuacji jest łatwo.

Bardzo zaogniła się natomiast w ostatnich czasach sprawa już nie akademicka, ale ogólnopaństwowa i narodowa stosunków z Polską i Wileńszczyzny. Ostatnie agresywne wystąpienie Becka przeciwko Litwie, szereg wieców „protestacyjnych" w Wilnie i Polsce, zwróconych przeciwko Litwie pod pretekstem prześladowania Polaków w Litwie (zaiste „kocioł garnkowi przymawia"), zarządzenia władz polskich przeciwko Litwinom wileńskim o charakterze niby „retorsyjnym", cała dziwna kampania antylitewska, rozpętana nagle w Polsce i konkurująca z miotaniem się litwinożerczym nacjonalsocjalistów niemieckich, rozdmuchana w dodatku oskarżeniami Litwy o popieranie terrorystów ukraińskich, zapominając zgoła o poparciu o wiele jaskrawszym, które Polska udzielała spiskowcom litewskim Plečkaitisa – wszystko to nie tylko że pogrzebało naraz wszystkie wątłe kiełkowania nastrojów ugodowych polsko-litewskich, ale też wywołać tu musiało odruch oburzenia i nowe zaognienie jaskrawe. Niewątpliwie komuś chodzi o mącenie stosunków. Czyja w tym jest ręka, jak ona działa i jaką jest w tym rola pana Becka – to niewątpliwie wyjaśni historia. Że serce tej intrygi jest niemieckie – to nie może ulegać wątpliwości. Czyż można się dziwić, że młodzież akademicka litewska zwołała dziś wiec antypolski, że „Związek Odzyskania Wilna" podwoi swoją akcję zaczepną i że panowie Rondomańscy i Uždavinisy umocnią się w swojej aroganckiej kampanii antypolskiej radiowej, pięknym za nadobne oddając takimże w stylu i arogancji kwiatkom kampanii antylitewskiej radiowej panów Kaupasów i Ostrowskich z Wilna. Ilekroć zaświtało znikome ukojenie – tylekroć pośpieszono z tej, a najczęściej z tamtej strony rozniecić nowe zarzewie nienawiści. Smutno, głęboko są te stosunki zbałkanizowane i ja nie widzę żadnego w nich świtu jaśniejszego. I w miejscowym społeczeństwie polskim szybko narasta radykalizm antylitewski triumfujacej akcji Surwiły i Stachórskiego, która stąd podaje dłoń agresji polskiej przeciwko Litwie, podnieca ją i rozpala do białości. Zwolennicy pojednania w tutejszym społeczeństwie polskim są coraz bardziej wytrącani z siodła przez akcję rozpędową „młodych", tracą wpływy i nikną z widowni czynników kierowniczych. Stosunki i usposobienia się coraz bardziej radykalizują i to zwłaszcza po stronie polskiej. Niestety! Tak jest wszakże.

24 stycznia, rok 1936, piątek

Miałem dziś egzaminy studenckie, trochę pracy w rektoracie, poza tym pracowałem w domu.

Minister Tonkunas mi telefonował, że rząd nie uznał za możliwe załatwić kompromisowo sprawy prof. Dovydaitisa przez proste odwołanie przez Prezydenta Rzeczypospolitej swego aktu o uwolnieniu Dovydaitisa; zatem ten sposób kompromisu, który był dla teologów najdogodniejszy, odpada. Pozostaje jeno wyjście drugie: ponowna nominacja prof. Dovydaitisa na podstawie nowego wyboru go przez Wydział Teologiczny. Trochę to komplikuje sprawę, albowiem przez dokonanie nowego wyboru Wydział Teologiczny akceptuje fakt uwolnienia, który chciałby on uważać za nieistniejący prawnie jako, zdaniem wydziału, nie odpowiadający zasadom statutu. Chyba jednak wydział się

zdecyduje na tę drogę kompromisową, bo o Dovydaitisa chodzi mu bardzo, a przełamać aktu Prezydenta nie może, bo nie posiada środków do tego. Co do mnie – wskazywałem Kuraitisowi i Stanisławowi Szołkowskiemu, że nowy wybór Dovydaitisa i przedstawienie go przez wydział do nominacji bezpośrednio po jego uwolnieniu i właśnie na jego własne opróżnione przez uwolnienie stanowisko nie będzie wcale zakrawało na jakieś ustępstwo ze strony wydziału, przeciwnie – będzie oznaczało, że wydział mocno i kategorycznie obstaje za Dovydaitisem bez względu na zwolnienie go i nie uważa tego uwolnienia za właściwe; w tych warunkach nominacja ponowna Dovydaitisa da wydziałowi satysfakcję. Tymczasem dziekan Kuraitis nadesłał na moje ręce deklarację Dovydaitisa, obiecującą niewtrącanie się nadal do ruchu „ateitininków” w szkołach i tłumaczącą się z użycia wyrazów „sługi Szatana” w liście inkryminowanym do księdza. Oświadczenie to jest poparte przez deklarację dziekana Kuraitisa na piśmie, gwarantującą słowność obietnicy Dovydaitisa.

25 stycznia, rok 1936, sobota

Dzień bez żadnych wypadków szczególnych.

Jutro w lokalu Wydziału Medycznego odbędzie się, a może się tylko rozpocznie sąd dyscyplinarny akademicki w sprawie prof. Šiwickiego. Bronić go będzie prof. Czapiński, oskarżać – prof. Wacław Biržiška, prezesem sądu – prof. Janulaitis. Najwięcej tym sądem jest przejęty i nerwuje się prof. Žemaitis, bo właściwie on wraz z Wydziałem Matematyczno-Przyrodniczym był głównym obiektem zarzutów i napaści prof. Šiwickiego i do niego skierowywać będzie wszystkie pociski oskarżenia prof. Czapiński, broniąc Šiwickiego. Žemaitis pragnąłby, żeby oskarżenie prof. Šiwickiego było ściśle obroną Wydziału Matematycznego i jego dziekana i gniewa się z góry na Wacława Biržiškę, że ten o specjalną obronę Žemaitisa i wydziału nie dba, a nawet gotów jest przyznać zasadność pewnych zarzutów Šiwickiego i uznać to za okoliczność łagodzącą w jego niedopuszczalnych wystąpieniach prasowych przeciwko uniwersytetowi, uogólniających wnioski i zarzucających uniwersytetowi to, co się do wydziału stosuje.

26 stycznia, rok 1936, niedziela

Nie zajrzałem na rozprawę sądową w sprawie dyscyplinarnej prof. Šiwickiego. Osobiście miałem ochotę to uczynić, ale uważałem, że jako rektorowi wypada mi raczej zachować się biernie, nie ujawniając żadnego zainteresowania i jakiegokolwiek wtrącania się w tok sprawy choćby tylko zwyczajną ciekawością. Słyszałem wieczorem od prorektora Jodeli, że sąd dyscyplinarny sprawy jeszcze nie zakończył. Dokonał tylko badania świadków oprócz głównego i najbardziej roznamiętnionego w sprawie świadka oskarżenia – dziekana prof. Žemaitisa. Rozprawę sąd odroczył do przyszłej niedzieli.

Byłem na obchodzie rocznicy Powstania Kłajpedzkiego i wcielenia Kłajpedy do Litwy. Obchód był urządzony w uniwersytecie przez stowarzyszenie studentów Kłajpedzian „Mažoji Lietuva“. Naturalnie musiałem przemawiać. Był dział koncertowy, w którym brał udział chór akademicki i dział przemówień i referatów: przemawiał prezes Stowarzyszenia „Mažoji Lietuva” student Klinkaitis, ja i prezes Towarzystwa Litwy Zachodniej Wacław Sidzikowski; krótkie referaty wygłosili: dr Didis z Kłajpedy, prezes Izby Lekarskiej, osobiście rodem z Tylży (referat był niebanalny, wskazujący na różne zaniedbania psychologii kłajpedzkiej ludności litewskiej przez Litwę), i Karol Żołkowski. Na ogół obchód się dobrze udał. Był translowany przez radio. Obecny był na obchodzie minister sprawiedliwości Šiling. Po obchodzie Šiling wyraził mi chęć zobaczenia się i pomówienia ze mną. Umówiliśmy się, że Šiling mię odwiedzi w piątek. Dosyć dawno z Šilingiem się nie widziałem i nie miałem okazji rozmawiania z nim. W wielu akcjach Šiling jest szkodliwy, ale nie mogę mu odmówić szczerości – nawet w intrydze i ta szczerość trochę mię rozbraja. Nie mogę powiedzieć, żebym go nie lubił, choć go nie cenię w jego działalności państwowej.

27 stycznia, rok 1936, poniedziałek

Po długiej niemal dwumiesięcznej przerwie Mašalaitis wezwał mię wieczorem na posiedzenie komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich. Udział w tej komisji w porównaniu do pracy jest bardzo dobrze płatny – po 400 litów miesięcznie. W istocie opłaca się nie tyle praca, ile wysokie kwalifikacje. Nie dużo pracy, ale dobra praca – oto widocznie zasada, na której ufundowana jest ta komisja. Chodzi rządowi o dobre dokumentowanie prawnicze zarządzeń polityki kłajpedzkiej. Dla mnie osobiście zarobek tych 400 litów jest rzeczą wielkiej wagi. Opłaca mi to akurat mieszkanie. Ale mała ilość pracy, kiedy czasem przez cały miesiąc albo dwa nie ma żadnego posiedzenia, krępuje mię osobiście. Wstydzę się brać zapłatę i nie mam czoła upominać się o nią, a znów Mašalaitis nie wypłaca należności czasem po miesiącu i po dwa; wtedy ja zaczynam już się niepokoić, że może komisja została zlikwidowana, gdy tymczasem ja w moich obliczeniach finansowych przeznaczyłem te pieniądze na różne cele, na które zbieram grosz do grosza.

28 stycznia, rok 1936, wtorek

O godz. jedenastej w kościele ewangelickim miało miejsce nabożeństwo żałobne za króla angielskiego Jerzego V, celebrowane przez prof. Jakubėnasa. Jest to dzień pogrzebu zmarłego króla. Nabożeństwo urządzone było staraniem poselstwa angielskiego. Nie zdecydowałem się pójść na nie, albowiem trzeba było nakładać frak z orderami, cylinder, czego nie lubię, a zresztą i czasu niedużo miałem. Napisałem tylko list do angielskiego *chargé d'affaires* Prestona, ponawiając kondolencję.

Byłem z dziekanem Wydziału Teologiczno-Filozoficznego prof. ks. Kuraitisem u ministra Tonkunasa. Chodziło znów o sprawę prof. Dovydaitisa. Odwołania aktu Prezydenta o zwolnieniu Dovydaitisa rząd kategorycznie odmawia. Rzecz się komplikuje. Widocznie zajdzie potrzeba złożenia przeze mnie zastrzeżenia interpretacyjnego na ręce ministra, motywującego nasz uniwersytecki pogląd na tryb statutowy zwalniania profesorów, odpowiedni do trybu ich nominacji, to znaczy mianowicie, że podstawą do ich zwolnienia może być tylko bądź dymisja, bądź wyrok dyscyplinarny, bądź granica wieku, bądź wyrok sądowy i że w każdym razie droga zwolnienia musi iść przez wniosek rektora do ministra oświaty i następnie dopiero wniosek ministra oświaty do Prezydenta Rzeczypospolitej. Ministrowi Tonkunasowi to zastrzeżenie nie bardzo trafia do przekonania i nie bardzo się podoba, choć nie może on odmówić rektorowi tego prawa. Dopiero w obliczu tego zastrzeżenia rektorskiego Wydział Teologiczny dokona ponownego wyboru prof. Dovydaitisa. Ministrowi właściwie nie trafia do smaku nie tyle to zastrzeżenie, ile ta okoliczność, że zgłoszenie tego zastrzeżenia stanie się wiadome szerszej opinii i młodzieży akademickiej, wobec czego ponowna nominacja prof. Dovydaitisa może być traktowana jako pewnego rodzaju Kanossa rządu. Tonkunas jest na to bardzo wrażliwy i nie chce dać żadnych pozorów tego, że rząd idzie na „kompromis", który może być przez niektórych interpretowany jako stchórzenie przed ewentualnością jakichś ruchów studenckich czy też profesury. Podobno już na zebraniu stowarzyszenia akademickiego wydziałowego teologów chciano kwestię Dovydaitisa poruszyć i nie poruszono jej tylko dlatego, że jakaś studentka uprzedziła, że może to zaszkodzić „rokowaniom" o „układ", toczącym się między władzą akademicką a rządem. Tonkunasa we wściekłość wprawia to, że w pojęciu studentów teologów rząd od jakichś odruchów studenckich „obroniła" jakaś tam studentka i że powaga i moc aktu Prezydenta zależy od „łaski" studentki, od „łaskawej" jej interwencji, zapewniającej o ustępliwości rządu. Toteż Tonkunas uprzedził Kuraitisa, że wobec zamiarów zastrzeżeń uniwersyteckich, o których oczywiście wieść się rozejdzie i w kołach studenckich, i wobec jakichś debat i łaskawych interwencji studenckich, które się już faktycznie rozpoczęły w tej kwestii, on, Tonkunas, nie będzie się śpieszył z przedstawieniem Dovydaitisa do ponownej

nominacji. Uczyni to dopiero wtedy, gdy wszystkie odruchy możliwe się skończą i wyczerpią i gdy wyraźnie zatriumfuje teza rządowa. Dopiero gdy rząd mocno postawi na swoim, dopiero wtedy może być mowa o nominacji ponownej. Nie może pozostać żadnego niedomówienia, żadnego zgoła posądzenia, że rząd uległ presji odruchów. Kwestię zastrzeżenia interpretacyjnego wniosę we czwartek pod obrady rektoratu.

Był u mnie Eugeniusz Römer na obiedzie. W społeczeństwie mniejszościowym polskim w Litwie postępy stopniowego zwyciężania „starych" przez „młodych" rosną, Eugeniusz o tej akcji „młodych" mówi z przekąsem.

29 stycznia, rok 1936, środa

Bawi w Kownie Daukša z poselstwa litewskiego w Paryżu, bardzo sympatyczny i wartościowy – poważny, wykształcony i dobrze wychowany a bardzo subtelny – młody człowiek, z którym się bliżej poznałem w czasie mojej wizyty w Paryżu, zresztą mój uczeń z naszego uniwersytetu, obecnie się doktoryzujący na Wydziale Prawniczym w Paryżu. Rozmawiałem z nim o druku moich wykładów paryskich w poważnych „Revues" prawniczych. Rękopis pierwszego z moich wykładów („Le systeme juridique de garanties de la souverainete de la Lithuanie sur le Territoire de Memel") zaraz po mojej „*conférence*" wziął ode mnie prof. Niboyet dla „Revue Générele de Droit International Public" (jest to „Revue", założone niegdyś przez Fauchille'a, po którego śmierci redaguje ją zięć Fauchille'a Siebert). Rękopis drugiego wykładu („Le problème juridique du vacuum deus le Statut du Territoire autonomie de Memel") poprosił u mnie zaraz po „conférence" Mirkin-Gecewicz, sekretarz Instytutu de Droit Comparé, pod którego firmą odbyła się ta „conférence" (Mirkin-Gecewicz, człowiek jeszcze młody, jest emigrantem rosyjskim, Żydem z pochodzenia, który się kręci przy Wydziale Prawniczym i różnych czasopismach i organizacjach naukowo-prawniczych w Paryżu; nie jest profesorem, ale jako „*chargé de cours*" ma niektóre wykłady specjalne w Faculté de Droit, bywa też używany do różnych poleceń specjalnych, delegowany na odczyty poszczególne nawet poza Paryżem i Francją i z tego żyje; wpływów dużych nie ma, ale umie się wkręcać i uchodzi za znawcę tekstów konstytucyjnych poszczególnych krajów). Wszakże zaraz, przy mnie jeszcze, zainterweniował prof. Niboyet, wskazując, że Mirkin-Gecewicz zużytkuje rękopis do rocznika Instytutu, który się ukaże dopiero po roku i przeto Niboyet zaraz go zaproponował profesorowi Jére do jego „Revue de Droit Public". Mirkin-Gecewicz musiał ustąpić, bo wobec profesorów musi się stuszować, zaś Jère chętnie się zgodził na rękopis dla swojej „Revue". Na tym też rzeczy stały, gdym wyjeżdżał. Co do rękopisu trzeciego wykładu („L'Entente régionale Baltique") z „conférence" w Dotation Carnégie, to prof. Tibel, który mi nazajutrz po tej „conférence" przysłał czek na 800 franków honorarium, nabył go w imieniu „Dotation" na własność i dysponuje nim podług uznania (wydrukuje go bądź w „L'Esprit International", bądź w „Cahiers", wydawanych przez „Dotation"). Sądziłem, że dwa pierwsze odczyty moje wkrótce się ukażą w druku. W tych dniach wszakże miałem list od Natkiewicza, który mi zakomunikował o komplikacjach, które zaszły. Teraz mi o tym samym Daukša mówił. Jak tylko Natkiewicz zwrócił się do „Revue" Sieberta, zapytując, kiedy się mój pierwszy odczyt ukaże, zaraz zgłosił się do poselstwa litewskiego sekretarz tej „Revue" Kopelman (Żyd litewski, zaaklimatyzowany w Paryżu, o którym mi profesorowie paryscy mówili jako o młodym prawniku wybitnie zdolnym, specjalizującym się naukowo w prawie międzynarodowym) z oświadczeniem, że redakcja ma już dużo materiału, ułożonego do druku do numerów najbliższych, wobec czego mój rękopis mógłby być drukowany dopiero po 4-5 miesiącach, jeżeli wszakże poselstwo litewskie życzyłoby przyśpieszyć druk, to można by to zrobić, ale to by pociągnęło koszta wykonania odbitek, zbroszurowania tychże itd., co wyniosłoby do 1000 franków: krótko mówiąc zaproponował poselstwu przyśpieszenie druku za cenę 1000 franków. Wielkie czasopisma specjalne paryskie przywykły do takiego rodzaju spekulacji: nie tylko same nie płacą

autorom, zwłaszcza cudzoziemskim (z wyjątkiem szczególnie renomowanych) honorarium, ale jeszcze chcą, żeby im dopłacono, co też wielu autorów chętnie czyni, albowiem ukazanie się pracy w takim „Revue" naukowym paryskim, które jest czytane przez cały świat naukowy, daje rozgłos i reklamę. Jakiś profesor z Bałkanów chętnie dopłaci 1000 franków za to, żeby jego artykuł był tam drukowany. Ja wszakże nie prosiłem o drukowanie i sam zabiegów nie czyniłem: nie ja dałem artykuł, ale sam Niboyet mię o rękopis poprosił i udzielił „Revue" Sieberta. Ale oczywiście gdy redakcja „Revue" zobaczyła, że poselstwo litewskie tym się interesuje, zaraz postanowiła wyzyskać to zainteresowanie. Daukša jednak powiada (czego Natkiewicz mi nie pisał), że poselstwo litewskie jednak gotowe jest zdecydować się na zapłacenie tego 1000 franków i zakupienie 1000 egzemplarzy odbitek, bo chodzi mu o to dla dokumentacji kłajpedzkiej. Co do rękopisu drugiego odczytu – to okazuje się, że Mirkin-Gecewicz coś naplątał i udzielił rękopis nie profesorowi Jère, który na zapytanie poselstwa odpowiedział, że bardzo chętnie go w swojej „Revue" gotów drukować, gdyby rękopis otrzymał, ale udzielił go redakcji jakiejś nowej „Revue", która się dopiero zakłada („Revue de Droit Constitutionel"). Powiedziałem Daukšy, że wprawdzie nie jestem bardzo zainteresowany w tym, gdzie to będzie drukowane, ale wolałbym raczej w „Revue" Jère'a. Daukša będzie się tą kwestią zajmował w Paryżu.

30 stycznia, rok 1936, czwartek

Mówił mi też Daukša, że kiełkuje myśl o postawieniu mojej kandydatury przy wyborach sędziów do Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Nie jest to jeszcze rzecz bardzo aktualna, bo wybory generalne tych sędziów na nową kadencję dziewięcioletnią odbędą się dopiero w roku bodaj 1939. Są wprawdzie obecnie trzy wakansy (po zmarłym Schückingu, po Kellogu, który się podał do dymisji, i jeszcze jakiś jeden), ale na poszczególne wakansy trudniej się dostać, niż przy wyborach generalnych. O stanowisku sędziego w Trybunale Haskim marzę od roku 1932. Choć szanse nie są bardzo mocne, ale nie jest zupełnie wykluczone, że grupa drobnych państw bałtyckich (Litwa-Łotwa-Estonia), która dotąd nie była w tym Trybunale reprezentowana, mogłaby kiedykolwiek na jakąś jedną kadencję stanowisko to otrzymać. Gdyby zaś tej grupie zechciano udzielić stanowisko, to bodaj że najwięcej szans mógłbym mieć ja. Ewentualnym konkurentem moim mógłby być chyba tylko Estończyk prof. Piip z Tartu. Byłem już sędzią *ad hoc* w Hadze, sędziowie mię znają i cenią, mam u nich dobre imię, moje świeżo nawiązane stosunki z kołami profesury prawniczej w Paryżu, moje odczyty paryskie, które się ukażą w druku w „Revues" paryskich – wszystko to dodaje mi autorytetu. Tylko trochę za mało jestem znany w kołach politycznych Ligi Narodów w Genewie. W ostatnich wyborach do Trybunału Haskiego Litwa wcale kandydatów nie stawiała. Gdyby państwa bałtyckie upomniały się solidarnie o jedno stanowisko w Trybunale, gdyby się poprzednio w tej kwestii między sobą porozumiały, może by się coś zrobić dało. W każdym razie abstynencja bierna nie popłaca nigdy. Dobrze, że kwestia ta już zwróciła na siebie uwagę niektórych elementów młodszych dyplomacji litewskiej, które może nie zaniedbają jej, gdy przyjdzie czas stosowny. Zdaje się, że na rzecz tę zwrócił już uwagę Klimas, a ten jest żywy i czujny. Jeżeli nawet nie uda się tym razem i jeżeli moja kandydatura już nic na tym nie zyszcze, to bądź co bądź interes Litwy pozostaje w tym nadal bez względu na osobę kandydata. Dla mnie osobiście dostanie się do tego Trybunału byłoby atutem wielkim. Przy wyborach sędziów do Trybunału uwzględnia się zawsze tu okoliczność, aby różne grupy państw były reprezentowane, a ponieważ wszystkie naraz reprezentowane być nie mogą, bo miejsca by nie starczyło, więc czyni się to po kolei, kadencjami. Oczywiście wielkie mocarstwa reprezentowane są w każdej kadencji, ale inne zmieniają się.

31 stycznia, rok 1936, piątek

Otrzymałem list od de Chambona z Paryża. Jest to stary dziennikarz francuski, wielki przyjaciel Litwy, broniący jej interesów i tez, pisujący też korespondencje i artykuły z Paryża do „Lietuvos Aidasu". W czasie mojego pobytu w Paryżu de Chambon bywał na moich conférences i na ogół był bardzo uprzejmy dla mnie. Podczas śniadania, wydanego dla mnie w „Cercle Interalié" przez grono przyjaciół państw bałtyckich de Chambon w rozmowie z posłem litewskim Klimasem i pewnym działaczem i wybitnym publicystą politycznym z kół bliskich rządowi francuskiemu poruszył prywatnie – oczywiście poza mną – kwestię udekorowania mię odznaką Légion d'honneur. Potem Klimas spisał moją biografię dla przedstawienia do tej odznaki. Otóż widocznie sprawa ta jest na dobrej drodze, bo de Chambon, choć nie wymienia w liście wyraźnie Legii Honorowej, jednak pisze, że jest pewien, iż rząd francuski niebawem da mi dowód uznania za moją działalność i zasługi na polu szerzenia w Litwie sympatii francuskich i rozwijanie zbliżenia kulturalnego z Francją.

Był dziś u mnie po obiedzie na kawie minister Šiling. Sądziłem, że ta jego wizyta, o którą on sam mię prosił, będzie miała coś bardziej konkretnego. W istocie rozmowa była bez głębszej treści. Šiling dużo mówił o kwestii skonstruowania Sejmu, która wypłynąć ma obecnie na porządek dzienny prac rządu pod kierunkiem osobistym Prezydenta Rzeczypospolitej. Radził się, jaki system wyborów byłby najwłaściwszy, aby Sejm odpowiadał kierunkowi rządu narodowców, łączył potulność z autorytetem przedstawicielstwa kraju i nie stał się ekspozyturą Chrześcijańskiej Demokracji ani terenem walk partyjnych. Trudno mi było coś konkretnego powiedzieć, bo zresztą są sytuacje, w których dwóch celów naraz osiągnąć niepodobna. Šiling wspominał o systemie wyborów kurialnych albo korporacyjnych, ale są to jeszcze kombinacje nieskrystalizowane.

Na posiedzeniu rektoratu zaaprobowany dziś został mój wniosek o ułożeniu przeze mnie zastrzeżenia interpretacyjnego do ministra oświaty Tonkunasa o trybie statutowym zwalniania ze stanowiska profesorów uniwersytetu (w związku ze zwolnieniem arbitralnym prof. Dovydaitisa).

1 lutego, rok 1936, sobota

Nie będę pisać, bo czasu nie mam.

O spotkaniu się naszym z p. Freundem, kandydującym do profesury Wydziału Prawniczego na katedrze prawa cywilnego kłajpedzkiego, napiszę jutro.

2 lutego, rok 1936, niedziela

Napiszę o wczorajszym spotkaniu z Freundem. Freund jest z pochodzenia Żydem, urodzonym w Łodzi w Polsce, ale wychowanym i zaaklimatyzowanym w Niemczech. Jest on adwokatem w Berlinie, któremu rząd nacjonalsocjalistyczny tylko dlatego nie odebrał dotąd prawa praktyki zawodowej jako nie-Aryjczykowi, że podczas Wielkiej Wojny był w służbie wojennej na froncie. Po wojnie, w okresie tzw. II Reichu, to znaczy za rządów liberalnych w Niemczech, był on redaktorem znanego czasopisma fachowego prawniczego „Zeitschrift für Ostrecht". Profesurą się nie trudnił, ale naukowo pracował; prac naukowych napisał i wydał dużo: są to przeważnie studia nad prawem sowieckim, w ostatnich czasach – polskim. Oprócz niemieckiego – zna języki rosyjski i polski. Osobiście już w drugim pokoleniu jest chrześcijaninem, żonaty też jest z Niemką rodowitą – rasy aryjskiej, ale w prawie nacjonalsocjalistycznym decydujący jest moment nie wyznania, jeno „rasy" (pochodzenia).

W poszukiwaniu kandydatów do obsadzenia u nas katedry prawa cywilnego kłajpedzkiego Janulaitis upatrzył kandydaturę Freunda. Zespół prawników Wydziału Prawniczego kandydaturę tę w zasadzie zaaprobował (rezerwę zgłosili tylko Tadeusz Pietkiewicz i Kriwicki). Według oświadczenia Tonkunasa Janulaitisowi, Gabinet Ministrów, który dla niepojętnych powodów zaoponował przeciwko kandydaturze profesora z Bazylii Baumgartena na katedrę prawa karnego kłajpedzkiego, przeciwko zaangażowaniu Freunda

nic nie ma. Wobec tego Janulaitis wezwał go do Kowna dla zapoznania się z nim i ewentualnego ułożenia i wczoraj zaprosił do siebie na herbatkę jego i profesorów Wacława Biržiškę, Kazimierza Szołkowskiego i mnie. Wrażenie na nas Freund zrobił dodatnie i Janulaitis ma się z nim porozumieć. Kandydatura jego zostanie zapewne zgłoszona formalnie.

3 lutego, rok 1936, poniedziałek

Poza innymi pracami bieżącymi, które są u mnie na warsztacie, pracuję teraz także nad artykułem politycznym, obstalowanym u mnie przez Ministerium Spraw Zagranicznych na temat sytuacji międzynarodowej na wschodzie europejskim, w szczególności – niebezpiecznych cech „bałkanizacji" w ustroju stosunków na Wschodzie, i w związku z tym – problemu Kłajpedy. Zrobię z tego dwa artykuły. Jest to praca przeznaczona do pewnej międzynarodowej publikacji informacyjnej, wydawanej przez jakąś firmę zagraniczną.

Układam też po trochę mój referat interpretacyjny do ministra oświaty w sprawie trybu legalnego zwalniania profesorów uniwersytetu. Jest to akt reagowania uniwersyteckiego na zwolnienie prof. Dovydaitisa bez wiedzy i udziału czynników akademickich.

Na uniwersytecie mam teraz na porządku dziennym przykrą sprawę zareagowania z urzędu na nielegalne korzystanie z poborów przez prof. Songaiłę z Wydziału Technicznego i na opieszałość służbową w tej sprawie dziekana wydziału prof. Grynkiewicza. Chodzi o zwrot przez prof. Songaiłę przeszło 30 000 litów, pobranych w ciągu 3 ½ lat za wykłady, których faktycznie nie miał, zlecając je asystentom swoim, którzy podług przepisów prawa nie są opłacani za wykłady. Sprawa jest przykra i skomplikowana.

4 lutego, rok 1936, wtorek

Z kandydaturą adwokata berlińskiego Freunda na stanowisko profesora prawa cywilnego Kłajpedzkiego rzecz do skutku nie doszła. Freund w rozmowie z Janulaitisem zastrzegł, że może się zgodzić na objęcie tej katedry tylko pod takim warunkiem, że na wypadek, gdyby rząd niemiecki, któremu ta katedra u nas jest solą w oku, odebrał Freundowi obywatelstwo niemieckie, byłoby mu zagwarantowane w Litwie po pierwsze – obywatelstwo litewskie i po drugie – nieusuwalność bezwzględna z profesury. Czynniki polityczne litewskie, do których się Janulaitis odwołał, takich gwarancji odmówiły. Rzecz więc upadła. Janulaitis ma na względzie innego kandydata – niejakiego Zengera czy Sengera, także pochodzenia żydowskiego, emigranta niemieckiego, zamieszkałego obecnie w Bazylii, byłego profesora we Frankfurcie, usuniętego przez władze hitlerowskie jako nie-Aryjczyka.

Chciałbym napisać jeszcze o liście, który otrzymałem od prezesa dyrektorium w Kłajpedzie Baldžiusa i w związku z tym o komisji egzaminacyjnej referendarzy sądowych, której członkiem jestem. Ale czasu nie mam. Może o tym innym razem napiszę. Jest to rzecz dosyć ciekawa.

5 lutego, rok 1936, środa

Wspomniałem wczoraj o liście, który otrzymałem od prezesa dyrektorium w Kłajpedzie Baldžiusa. Jak wiadomo, rząd litewski był od dawna niezadowolony z tego, że kandydaci do posad w sądzie autonomicznym Kłajpedy byli egzaminowani za granicą – w Królewcu, jak to było za czasów, kiedy Kłajpeda należała do Prus. Wszakże rządy autonomiczne w Kłajpedzie kwestii tej uregulować, organizując egzaminy w kraju, nie chciały; chodziło im o utrzymanie wszelkich pozostałości związku z Prusami. Dopiero pozasejmikowe dyrektorium litewskie Bruvelaitisa wydało przepisy, zarządzające egzaminy referendarskie dla aspirantów w Kłajpedzie przed komisją, mianowaną przez dyrektorium. Prezesem tej komisji mianowany został przez dyrektorium Bruvelaitisa sędzia Litwin sekcji kłajpedzkiej Trybunału Najwyższego Bruzdelinas, członkami zaś – sędzia miejscowy z Šilutė Kairys (Litwin rodowity z pruskiej części Litwy Małej, za Niemna spod Tylży, dobrze mówiący po

litewsku, człowiek niezły i niegłupi, wcale dobry prawnik, z przekonań wszakże germanofil, mający skądinąd słabość – pijaństwa nałogowego) i przedstawiciela nauki prawa – ja i docent Antoni Tamošaitis. Komisja w tym składzie raz już w październiku odbyła sesję egzaminową, o której w swoim czasie w dzienniku pisałem. W grudniu przed samym Nowym Rokiem miała być druga sesja. Czekałem wtedy wezwania do Kłajpedy na tę sesję, ale się nie doczekałem takowego w Bohdaniszkach. Okazało się, że zaszła kombinacja osobliwa. Prezes komisji Bruzdelinas telefonował z Kowna do prezesa Sądu Okręgowego w Kłajpedzie Riffarta, prosząc, żeby tenże zarządził wszystkie przygotowania techniczne do sesji (przygotowania lokalu w gmachu sądu okręgowego, zawezwania aspirantów, dozor nad nimi podczas egzaminu pisemnego itd.). Te czynności techniczne i podczas pierwszej sesji wykonywał Riffart. Riffart skierował Bruzdelinasa do prezesa dyrektorium Baldžiusa. Bruzdelinas ku swemu zdumieniu najwyższemu otrzymał od dyrektorium zawiadomienie na piśmie, że dyrektorium na własną prośbę Bruzdelinasa zwalnia go od obowiązków prezesa komisji egzaminacyjny. Prezesem zaś tej komisji dyrektorium mianowało Riffarta. Bruzdelinas nie miał na względzie dymisji, ale Baldžius przyczepił się oczywiście do tego, że skoro Bruzdelinas oświadcza, iż sam czynności technicznych związanych z sesją egzaminacyjną wykonywać nie chce i prosi o zlecenie tychże Riffertowi, to niby znaczy, że odmawia się od obowiązków prezesa komisji. Bruzdelinas podjął rwetes, odwołał się do Baldžiusa, który mu oświadczył, że przecie sam Bruzdelinas telefonicznie go prosił o zwolnienie od czynności. Bruzdelinas apelował do gubernatora Kurkowskiego, gubernator interweniował, ale Baldžius i dyrektorium, zdaje się, nie myśli ustąpić, trzymając się mocno interpretacji Baldžiusa jako pretekstu, choć może trochę sztucznego. Bruzdelinasa (nawiasem mówiąc – człowieka zdolności mniej niż miernych, karierowicza zwykłego dość niskiej próby) Niemcy i germanofile Kłajpedzcy bardzo nie lubią i chętnie się go pozbyli. W gruncie rzeczy, czy Bruzdelinas, czy Riffart – to dla sprawy egzaminacyjnej wielkiej wagi nie ma. Riffart, choć jest Niemcem, jest prawnikiem dobrym i człowiekiem wyrobionym, taktownym. Ważne jest nie tyle to, czy prezesem będzie Litwin Bruzdelinas czy Niemiec Riffart, ile to, żeby dyrektorium Baldžiusa nie skasowało rozporządzenia dyrektorium Bruvelaitisa o samych egzaminach w kraju i o komisji egzaminacyjnej. Nominacja Riffarta świadczy o utrzymaniu tych przepisów. Otóż Baldžius w liście urzędowym do mnie zawiadamia mię o nominacji Riffarta na stanowisko prezesa komisji i zapytuje, czy zechcę pełnić nadal obowiązki członka komisji egzaminacyjnej. Jeszcze kilka słów o tym jutro.

6 lutego, rok 1936, czwartek

Nie piszę dziennika, bo nie mam czasu. Dzień mocno zapełniony.

7 lutego, rok 1936, piątek

Dziś miałem egzaminy studenckie, po obiedzie byłem na przyjęciu w poselstwie sowieckim na uczczenie dwóch artystów – pianisty i skrzypaczki z Rosji, którzy koncertują w Kownie. Jak zawsze – pełno było osób i doskonała była zastawa stołu z przekąskami. Po herbacie artyści koncertowali. Przed obiadem złożyłem wizytę posłowi czechosłowackiemu Skalickiemu, który mi był przesłał na piśmie powinszowania z okazji mojego wyboru na członka zagranicznego „Czeskiej Akademii Ved a Umenje” w Pradze.

Mój duży i staranny elaborat interpretacyjny o trybie legalnym zwalniania profesorów uniwersytetu, przeznaczony dla ministra oświaty w związku z usunięciem prof. Dovydaitisa, odczytałem wczoraj na posiedzeniu rektoratu, wieczorem zaś – na posiedzeniu senatu. Rektoratowi przedstawiłem go do aprobaty, senatowi zaś tylko podałem do wiadomości, nie poddając go debatom. Zresztą ani rektorat, ani senat nie usiłowały go poddawać debacie, całkowicie się godząc na moją interpretację i wyrażając uznanie dla pracy rzeczywiście dużej,

którą w to ułożyłem. Elaborat ten przesłałem już ministrowi. Wydział Teologiczny dokonał też ponownego wyboru prof. Dovydaitisa.

Zdaje się, że zapowiada się nowa wycieczka służbowa moja na koniec marca – tym razem do Sztokholmu, w którym nigdy dotąd nie byłem. Z Ministerium Spraw Zagranicznych przysłano mi odpis listu posła litewskiego w Szwecji Sawickiego do tegoż ministerium. W tym liście Sawicki wyraża pożądanie, abym przyjechał do Sztokholmu na jakieś Święto Bałtyckie w dniu 24 marca, na którym będzie też szwedzki następca tronu. W roku ubiegłym otwarcie tego święta było dokonane przez znanego działacza i męża stanu estońskiego – Tömeisena, w tym roku zaszczyt otwarcia przypada, zdaje się, Litwie. Chodziłoby też o wygłoszenie przeze mnie jakiegoś referatu na temat Związku Bałtyckiego. Sawicki dodaje, że uniwersytety szwedzkie w Sztokholmie i Uppsali skorzystałyby zapewne chętnie z tej okazji dla zarządzenia paru wykładów moich na tematy prawnicze. Trzeba się będzie dowiedzieć w Ministerium Spraw Zagranicznych.

Skądinąd poseł czechosłowacki Skalicki nosi się z myślą wymiany prelegentów akademickich między Kownem a Pragą. Oczywiście i tu, gdyby to doszło do skutku, wypadłoby jechać mnie, bo sam mój tytuł członka Czeskiej Akademii „Ved a Umenje” do tego mię w pierwszym rzędzie kwalifikuje. Coś się bardzo święci na istny potok takich wycieczek moich, bo wszak i Klimas w Paryżu nosi się z pomysłami nowych „conférences” moich w przyszłości. Wycieczki te są miłe wprawdzie, ale bądź co bądź bardzo pracowite.

8 lutego, rok 1936, sobota

Znowu czasu na dziennik nie mam.

Byłem na otwarciu wystawy sztuki belgijskiej w Muzeum Witolda Wielkiego. Jest to wystawa sztuki współczesnej. Wystawa jest obfita i, zdaje się, ciekawa, ale na uroczystości „vernisage'u” trudno ją obejrzeć, bo więcej się trzeba witać z figurami, które się tam zebrały, niż można oglądać. Trzeba przyjść innym razem. Zdaje się, że malarze i rzeźbiarze belgijscy, przyzwyczajeni zapewne do bogatych społeczeństw zachodnich, przeceniają resursy materialne Litwy i zdolność nabywczą miłośników sztuki u nas, bo ceny na swe obrazy i rzeźby wyznaczyli takie, o których się u nas nie słyszało: czasem po kilkanaście tysięcy litów.

Wieczorem byłem na pierwszym balu francuskim w Kownie.

9 lutego, rok 1936, niedziela

Na wczorajszym balu Towarzystwa Franko-Litewskiego, którego jestem prezesem tytularnym, być musiałem z urzędu. Jest to pierwszy i jedyny bal, na który w tym karnawale poszedłem (nie licząc wieczora u ministra spraw zagranicznych w przyszłą niedzielę w dniu 16 lutego). Bal udał się dobrze, był ożywiony i urozmaicony loterią fantową niezłą i barem, w którym szynkowano szampan, kriuszon, coctail itd. Zabawiłem się nieźle, ale już o północy wróciłem do domu.

Dziś miałem na uniwersytecie obchód uroczysty 75-lecia urodzin prałata Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa, jednego ze starszych działaczy Odrodzenia litewskiego, profesora honorowego i doktora naszego uniwersytetu, poety, publicysty, matematyka i teologa. Obchód był zainicjowany przez Wydział Teologiczny, ale pod firmą uniwersytetu. Musiałem otworzyć posiedzenie uroczyste i zagaić je, po czym wygłoszone zostały przez członków uniwersytetu cztery krótkie referaty o działalności jubilata, następnie śpiew akademickiego chóru męskiego i przemówienie jubilata.

Prócz zaproszenia do Szwecji, o którym wspominałem, i inicjatywy, którą chce podnieść poseł czeski Skalicki w przedmiocie wymiany wizyt uniwersyteckich między Kownem a Pragą, zarysowuje się jeszcze trzecia perspektywa wizyty międzyuniwersyteckiej dla nas. Mianowicie na balu wczorajszym delegat rządu belgijskiego, który przybył na otwarcie belgijskiej wystawy obrazów, zakomunikował mi formalnie pozdrowienia dla

naszego uniwersytetu od ministra oświaty w Belgii i od czterech uniwersytetów belgijskich – w Brukseli, Leuvain, Leodjum (Liêge) i Gandary (Gand), wraz z zaproszeniem wymiany profesorów dla szeregu „conférences" i wzajemnych ekskursji wakacyjnych młodzieży akademickiej między Litwą a Belgią.

10 lutego, rok 1936, poniedziałek

Miałem rano wykład, ale w moim gabinecie rektorskim na uniwersytecie nie byłem, bo w południe miałem w prezydenturze posiedzenie coroczne (przed dniem 16 lutego) Kapituły (Rady) Orderu Giedymina, a potem przed godz. drugą – audiencję u Prezydenta Rzeczypospolitej. W Kapitule Orderu Giedymina zmiana zaszła ta, że na miejsce zmarłego prezesa kapituły Matulaitisa prezesem mianowany został dotychczasowy członek kapituły, były prezes Sądu Wojennego i były minister wojny, obecnie członek Rady Stanu generał Šniukšta; przybył za to nowy członek – burmistrz Merkys. Skład personalny tej kapituły jest zatem taki obecnie: prezes – Šniukšta i członkowie – stary przeszło 80-letni generał Bulota, ksiądz Kazimierz Šaulys, ja, dr Zaunius i burmistrz Merkys. Rozpoznawaliśmy, jak zawsze, spisy zgłoszonych przez poszczególnych ministrów kandydatów do obdarowania orderem z okazji nadchodzącego święta narodowego rocznicy Niepodległości. Zresztą opinia kapituły jest tylko doradcza, jak doradcza jest także opinia kanclerza orderu, księdza Bielskiego, sekretarza osobistego Prezydenta. Władzę decydującą ma li tylko Prezydent Rzeczypospolitej.

Na audiencji u Prezydenta omawiałem z nim kwestie akademickie, w szczególności sprawę renominacji prof. Dovydaitisa, sprawę obsadzenia katedr na Wydziale Prawniczym i sprawę organizacji przedstawicielstwa akademickiego studentów. Rozmowa była przyjemna i użyteczna, a na pożegnanie Prezydent Smetona darował mi swą książkę, wydaną przez Ministerium Oświaty z przedmową prof. Szyłkarskiego. Jest to tłumaczenie niektórych dzieł Platona.

11 lutego, rok 1936, wtorek

Nic bardzo szczególnego specjalnie z dnia dzisiejszego do zapisania nie mam. Oczywiście znalazłoby się zawsze nie tylko cokolwiek, ale i dużo do mówienia, np. o zaproszeniu formalnym, które dziś ze Sztokholmu otrzymałem albo o małym epizodzie, który zaszedł na moim wykładzie wieczornym, nie mówiąc już o różnych innych sprawach bardziej lub mniej aktualnych, które nie są specjalnie z dniem dzisiejszym związane – tylko że czasu zgoła na to nie mam.

12 lutego, rok 1936, środa

Umarł stary emerytowany profesor Mačys w wieku lat 72, były członek Wydziału Prawniczego, poprzednio – prezes Sądu Okręgowego w Kownie.

Byłem na śniadaniu w poselstwie francuskim. W liczbie zaproszonych byli: Urbšys z żoną, adwokat Raulinaitis z żoną, Karol Żołkowski z żoną, Schmitlein z żoną i prof. Pakštas. Zdaje się, że śniadanie miało miejsce z okazji sobotniego balu francuskiego. Dochód czysty z tego balu na rzecz Towarzystwa Franko-Litewskiego wyniósł przeszło 3000 litów.

13 lutego, rok 1936, czwartek

Byłem na obiedzie u ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa z okazji wizyty pożegnalnej posła Stanów Zjednoczonych, który odjeżdża dla objęcia nowego stanowiska w Turcji. Poseł amerykański obsługuje trzy małe państwa bałtyckie – Litwę, Łotwę i Estonię i rezyduje w Rydze; w Kownie jest tylko *chargé d'affaires*, który go zastępuje, podczas gdy sam poseł przyjeżdża tylko extra – w razie szczególnej potrzeby lub na wielkie uroczystości. Na obiedzie byli: ustępujący poseł amerykański Max-Murray, amerykański *chargé d'affaires* z Kowna i sekretarz jego (piękny młody chłopiec, pożeracz serc niewieścich), poseł łotewski

Sēja, poseł estoński Leppik, Bizowski i Girdwojń z Ministerium Spraw Zagranicznych, sekretarz osobisty Prezydenta ksiądz Bielski, minister spraw wewnętrznych Čaplikas, ja i oboje Lozoraitisowie.

Potem o godz. piątej byłem jeszcze na przedstawieniu reklamowego filmu francuskiego o Indochinach. Musiałem być dla aktu grzeczności względem posła francuskiego p. Dulong. Film był wyświetlony (dość kiepsko co prawda – technicy nasi się nie spisali) w sali uniwersytetu. Objaśnień udzielał nasz geograf prof. Pakštas.

Te rozmaite konieczne udzielenia się to tu, to tam bardzo mię odrywają od moich prac bieżących, dla których trzeba by mi było teraz więcej czasu niż zwykle, skoro się muszę do moich ewentualnych odczytów szwedzkich zacząć gotować.

14 lutego, rok 1936, piątek

Byłem na eksportacji zwłok śp. prof. Władysława Mačysa z jego mieszkania przy Dzukų gatvė do kościołka zielonogórskiego. Zdecydowaliśmy w łonie rektoratu nie ofiarować wieńca na grób Mačysa i nie ogłaszać w gazetach wyrazów współczucia rodzinie zmarłego, ale zamiast tego uczcić pamięć zmarłego przez ofiarowanie 400 litów od uniwersytetu na zapomogi dla ubogiej młodzieży akademickiej. Na nabożeństwo jutrzejsze za duszę Mačysa wydelegowałem prorektora Česnysa, a mowę na pogrzebie jutrzejszym wygłosi z ramienia Wydziału Prawniczego i zarazem z ramienia uniwersytetu dziekan Janulaitis. Mnie więc wypadnie tylko kroczyć za konduktem żałobnym.

Wieczorem odbyło się u Mašalaitisa w Gabinecie Ministrów posiedzenie naszej komisji konsultantów do spraw kłajpedzkich z udziałem ministra Šilinga, prezesa Trybunału Najwyższego Ciplijewskiego i prof. Jurgutisa. Chodziło o zagadnienia związane z sądownictwem kłajpedzkim.

Ciekawy jest fakt ten, że rząd niemiecki zwrócił się do rządu litewskiego z propozycją rokowań w sprawie umowy handlowej z Litwą. Propozycja była niespodziewana, bo Niemcy w ostatnich czasach, już od lat kilku, prowadziły wprost wojnę ekonomiczną przeciwko Litwie i zupełnie zamknęły jej eksport do Niemiec. Niektórzy widzą w tym wpływ Anglii i domyślają się presji pacyfikacyjnej ze strony Anglii, żądającej, żeby Niemcy odpowiedziały na „pacyfikację” stosunków kłajpedzkich przez Litwę pacyfikacją ekonomiczną. Usiłują też to łączyć z niedawną wizytą Lozoraitisa w Londynie i jego rozmowami z ministrami angielskimi.

15 lutego, rok 1936, sobota

Byłem na pogrzebie śp. prof. Mačysa. Przyłączyłem się do konduktu żałobnego już na ulicy Donelaitisa i szedłem za zwłokami na cmentarz. Zwłoki wiezione z kościołka zielonogórskiego szosą wiłkomierską do Laisvės Alei, potem ulicami Orzeszkowej i Donelaitisa i prospektem Witolda. Trumna była złożona na automobilowym karawanie, którego nie cierpię; porusza się on powoli, zastosowany do kroku ludzkiego, pstrzykając leciutko gęstym, ale tłumionym pstrzykaniem; robi on wrażenie czegoś żywego, delikatnie przystosowanego do żałoby, dyskretnie, ale pewnie obsługującego śmierć i unoszącego po kolei a nieubłaganie, choć z wielką atencją i uprzejmością, jednego po drugim do tego samego celu. Mam odrazę do tego dyskretnego karawanu. Wolałbym karawan, a jeszcze lepiej wóz pospolity, zaprzężony w konie. Jest dla mnie coś ohydnego w tej ślepej i posłusznej maszynce, spełniającej cicho i pokornie swoją funkcję dostarczania trupów cmentarzowi. Po drodze kondukt przystawał pod sądem okręgowym, którego zmarły był w latach 1919-1923 pierwszym prezesem, pod Bankiem Litewskim, którego był juryskonsultem, i pod uniwersytetem, w którym był profesorem. To przystawanie symboliczne zwłok u tych miejsc, z którymi była zespolona działalność żywego, jest smutne. Zdawałoby się, że umarły usiłuje się w swojej ostatniej podróży w głąb ziemi czepiać tych miejsc, w których życie jego

tryskało czynem, by uzyskać trochę zwłoki w odejściu, ale niestety – na próżno. Po chwili postoju nieubłagana maszynka znów drżeć zaczyna miarowo i puszcza się w drogę i nic już tej podróży ostatniej nie powstrzyma: chcesz czy nie chcesz, przystajesz czy nie przystajesz, rozpamiętywasz swoje miejsca czynu czy też o niczym nie myślisz – skończone: dowiozą cię, trupa, do grobu i nic nie pomoże, bo tak być musi – zakopią cię, przysypią ziemią i „*les morts vont vite!*” Utoniesz w wielkim cmentarzysku tego, co było i co już przeszło. Na wieki wieków, amen.

Nad mogiłą śp. prof. Mačysa przemawiali: ksiądz proboszcz zielonogórski, minister sprawiedliwości Šiling, dziekan Wydziału Prawniczego prof. Janulaitis, jakiś sędzia śledczy, prezes Rady Adwokackiej i kolega szkolny zmarłego prof. Leonas i jakiś włościanin gospodarz, sąsiad zmarłego z okolic zaścianku, który sobie Mačys po wojnie był kupił, urządził i ładnie zagospodarował.

16 lutego, rok 1936, niedziela

18 rocznica Niepodległości Litwy i 14 założenia uniwersytetu naszego. Tego dnia, jak zawsze, na uniwersytecie odbywa się wielkie posiedzenie uroczyste. Te dwa dni w roku – 15 września (akt immatrykulacji) i 16 lutego (rocznica uniwersytecka) – to są dnie popisu rektorskiego, w których rektor występuje z dużą mową akademicką. Otwarcie posiedzenia miało miejsce o godz. pierwszej po południu. Na posiedzenie przybył minister oświaty Tonkunas i wiceminister Masiliunas. Profesura była prawie że w komplecie. Studenci byli wpuszczani za biletami. W głębi za stołem prezydialnym ustawiły się delegacja korporacji ze sztandarami. U stołu prezydialnego zasiadł minister i cały senat akademicki w komplecie. Otworzyłem posiedzenie, które rozpoczęte zostało przez odśpiewanie hymnu narodowego przez chór akademicki. Następnie wystąpiłem z mową ja. Mowa mi się udała dobrze. Pierwszą jej część poświęciłem Niepodległości. Co do tekstu części drugiej, to przygotowując mowę, miałem kłopot z dobraniem stosownego przedmiotu. Należało ją poświęcić sprawom akademickim. W liczbie wszakże aktualiów akademickich do najjaskrawszych należały w bieżącym roku akademickim rzeczy dość drastyczne do poruszania publicznego w uroczystości i wobec ministra: nowela jesienna i uwolnienie prof. Dovydaitisa. Trudno było o tym mówić. Należało przemilczeć, ale czym to skompensować równie aktualnym? Łamałem sobie nad tym głowę i radziłem się z Wacławem Biržiška i Purėnasem. Znalazłem wszakże i wyszło bardzo dobrze. Omówiłem fakty udziału naszego uniwersytetu w międzynarodowym ruchu umysłowym, dość imponująco się prezentujące, w szczególności też moją wizytę paryską i nowe wizyty *in spe*, następnie poruszyłem kwestię stopniowego spadku liczby studentów na uniwersytecie i wnioski stąd, wreszcie dotknąłem aktualnej kwestii reprezentacji studenckiej. Mowa moja zrobiła dobre wrażenie. Następnie sprawozdanie akademickie szczegółowe odczytał sekretarz uniwersytetu prof. Purėnas, poczym ładnie przemówił minister Tonkunas, po czym na zakończenie chór odśpiewał hymn akademicki „Gaudeamus”. Po uroczystości publicznej odbyło się posiedzenie niepubliczne Rady Uniwersyteckiej, którego porządek dzienny był dość obfity.

17 lutego, rok 1936, poniedziałek

Po wczorajszym dniu i wygłoszeniu mojej dużej mowy rektorskiej spadł mi wielki ciężar z głowy. Poza tym do wieczora w uroczystościach niepodległościowych udziału nie brałem. Nie miałem czasu na złożenie powinszowania Prezydentowi Rzeczypospolitej, nie poszedłem też na uroczystość w Muzeum Wojennym. Tylko wieczorem wykonałem niezbędne „*actes de présence*”. Byłem na koncercie w teatrze, na który się złożył ładny program muzyki narodowej, złożonej z pieśni litewskich, wykonanych przez chór operowy, ze suity Gruodžiusa, wykonanej przez orkiestrę Opery, i z kantaty, poświęconej prezydentowi Smetonie, wykonanej przez orkiestrę i chór Opery z udziałem solisty Opery Aleksandra

Kutkowskiego i artysty dramatycznego Kaczyńskiego. Bezpośrednio z teatru cała publiczność, złożona ze śmietanki towarzyskiej wyborowej, pośpieszyła na raut do ministra spraw zagranicznych Lozoraitisa. Pośpieszyłem i ja wraz ze wszystkimi, ale krótko tam zabawiłem. Nie lubię tych wielkich „zabaw" ceremonialnych, w których, w oczekiwaniu przybycia Prezydenta, muszę pół godziny stać w gronie obecnych i byłych członków rządu i ich żon; szczególnie te ostatnie tworzą nieciekawą wcale klikę próżniaczą pań, trawionych ambicją zaszczytów i próżności, nadymających się i zajętych sprawami koteryjnymi. Tak mię to wyczekiwanie w towarzystwie koteryjnym znudziło, że nie miałem humoru i przy uczcie *à la fourchette*, gdzie już można się było poruszać swobodnie.

18 lutego, rok 1936, wtorek

Nie mam czasu na dziennik.

19 lutego, rok 1936, środa

Wykład rano, potem egzamin dwóch studentów, zajęcia rektorskie, obiad Rotary-Clubu, pod wieczór – posiedzenie zarządu Towarzystwa Franko-Litewskiego. Trochę pracy w domu. Oto mój dzień dzisiejszy.

20 lutego, rok 1936, czwartek

Miałem posiedzenie profesury sekcji prawniczej Wydziału Prawniczego. Profesura tej sekcji obraduje teraz nad pewną reorganizacją planu nauczania prawniczego i kwestią obsadzenia wykładów oraz w ogóle potrzebami sekcji. Niektóre wykłady są przenoszone z jednych semestrów do innych, poza tym są utworzone dwa lub trzy nowe kursy wykładowe – prawa gospodarczego (są to dziedziny prawa cywilnego, ewolucjonującego w kierunku prawa administracyjnego), prawa kościelnego (właściwie stosunku prawnego Kościoła do państwa) i prawa administracyjnego kłajpedzkiego. Jest także zamiar utworzenia dwóch równoległych alternatywnych cyklów – kłajpedzkiego i ogólnego, obejmujących dyscypliny prawa cywilnego, prawa karnego i prawa administracyjnego.

Wieczorem miałem posiedzenie senatu akademickiego.

21 lutego, rok 1936, piątek

Z Ministerium Spraw Zagranicznych otrzymałem zawiadomienie, że minister Lozoraitis dał polecenie sfinansowania mojej podróży odczytowej do Szwecji, które wypadnie na koniec marca, to znaczy za miesiąc. Podróż będzie sfinansowana na tych samych warunkach, na jakich była sfinansowana moja podróż grudniowa do Paryża: bilet kolejowy I klasy i 70 litów diet dziennych od dnia wyjazdu do dnia powrotu. 70 litów dziennie na Szwecję, która jest krajem wysokiej waluty, a przeto drogim, to nie jest wiele, ale koszty pokryje. Zaoszczędzić się dużo nie da, ale z tym mniejsza. Mam wygłosić krótki referat polityczny na temat solidaryzmu bałtyckiego na Święcie Bałtyckim i referaty prawnicze na uniwersytetach szwedzkich w Sztokholmie, Uppsali i ewentualnie w Lundzie. Jazda jest sama przez się ciekawa; Szwecji nie znam, nigdy w niej nie byłem; zapoznam się też z jej światem naukowym i w ogóle dadzą mi z pewnością okazję do poznania, co jest ciekawszego. Pewną mam trudność z doborem tematów odczytowych dla uniwersytetów. Jeden dłuższy odczyt, któryby się dał zastosować do długości wykładu uniwersyteckiego, mam obecnie w toku pisania; mam wrażenie, że jest ciekawy i treściwy, ale nie jestem pewny, czy się dla uniwersytetu nadaje, bo jest poniekąd publicystyczny i może się nie wyda ściśle naukowo-prawniczy. Dwa inne mógłbym pożyczyć z moich wykładów paryskich, które dotąd nie są wydrukowane. Będę musiał się jeszcze porozumieć w tej kwestii z posłem litewskim w Sztokholmie p. Sawickim.

22 lutego, rok 1936, sobota

Był dziś u mnie w gabinecie rektorskim Zubow wraz z generałem Kurkowskim i Janem Vileišisem, co razem ze mną stanowi zarząd naszej krajowej grupy Związku Pan-Europy. Zubow wrócił świeżo z Wiednia, gdzie brał udział w konferencji gospodarczej paneuropejskiej (organizacji Coudenhove-Kalergi). Chce pod firmą naszego związku urządzić odczyt sprawozdawczy z tej konferencji. Po drodze do Wiednia i z powrotem jechał przez Polskę i zatrzymywał się w Warszawie. O konferencji gospodarczej paneuropejskiej opowiada dość ciekawe szczegóły. Odniósł wrażenie, że w kołach społeczeństw naddunajskich dojrzewają jakieś inicjatywy i kombinacje gospodarcze, inspirowane zakulisowo przez Niemcy. Co do Warszawy, to z kół rządowych widział się tylko z ministrem Poniatowskim. Stwierdza, że sytuacja gospodarcza w Polsce jest trudna, na którą rząd środków skutecznych nie znajduje, choć tą sprawą bardzo się zajmuje. Co do perspektyw stosunku Polski do Litwy, to w Polsce po ostatnich hecach antylitewskich panuje dezorientacja. I w ogóle, jak to ze wszech stron słychać, w rządzie polskim jest pewien rozgardiasz z braku ręki kierowniczej.

23 lutego, rok 1936, niedziela

Rozpoczęły się uroczystości Niepodległości Estonii, której rocznica wypada jutro. Główne uroczystości odbędą się jutro; dziś ich zwiastunem był tradycyjny obchód tej Niepodległości na uniwersytecie, urządzony staraniem kilku korporacji akademickich zbliżenia bałtyckiego. Na obchód ten złożyła się część odczytowa i część koncertowa. Przedstawiciele rządu estońskiego i społeczeństwa Estonii, prócz artystów estońskich, jeszcze nie przyjechali, więc z ramienia Estonii na obchodzie akademickim dzisiejszym był tylko poseł estoński Leppik, ze strony zaś litewskiej byli ministrowie: oświaty – Tonkunas, spraw wewnętrznych – Čaplikas, wojny – Dirmantas i wielu przedstawicieli społeczeństwa oraz znaczny tłum młodzieży akademickiej. Na obchód złożyły się: moje słowo wstępne rektorskie, przemówienia prezesa Towarzystwa Litewsko-Estońskiego Jana Vileišysa i prof. Żołkowskiego, odczyt informacyjny o Estonii, wygłoszony przez studentkę, hymny narodowe litewski i estoński, pieśni ludowe estońskie, odśpiewane przez chór akademicki. Na część drugą złożył się śpiew solistek Opery: naszej – p. Grigaitisowej i estońskiej w Tallinie (nazwiska nie pamiętam). Uroczystość dobrze się udała, program nie był przeładowany. Z ramienia uniwersytetu wręczyłem bukiety kwiatów żywych p. Grigaitisowej i primadonnie estońskiej.

24 lutego, rok 1936, poniedziałek

Zapusty. Dla mnie nie są one jakoś wesołe. Zagłębiam się w pracę jak ślimak w skorupę i w tej pracy skupionej zapominam się i topię mój smutek nieokreślony i próżnię, którą mi wypełnia tylko tęsknota: przywiązanie głębokie i ciepłe do biednej mojej Jadzi, która mi życie swoje poświęciła, a choć ma pozorny dostatek i wygodę, nie jest w swej samotności przecież szczęśliwe. Są jakieś chwile, kiedy się czuję głęboko znużony i nie chcę zaiste żyć.

Dzień dzisiejszy w Kownie był poświęcony rocznicy Niepodległości Estonii. Co do mnie, wziąłem udział tylko w śniadaniu wydanym w Metropolu przez ministra oświaty Tonkunasa na cześć ministra oświaty estońskiego, który jest naszym gościem w Kownie. Byli ministrowie Lozoraitis, Čaplikas, Staniszewski, byli inni goście estońscy, byli wyżsi urzędnicy ministeriów Oświaty i Spraw Zagranicznych... Przy śniadaniu siedziałem obok dyrektora agencji telegraficznej estońskiej „Eta”, z którym dość ciekawie gawędziłem.

25 lutego, rok 1936, wtorek

Dzień spędziłem w domu cicho na pracy, czytaniu głośnym Jadzi i grze w „ramsa” (w karty) z Jadzią, Andrzejem i Renią. Tylko na krótko zaszedłem po południu do gabinetu

rektorskiego dla odrobienia spraw bieżących. Pierwotnie miałem zamiar się wybrać na posiedzenie plenarne odbywającego się od wczoraj w murach seminarium duchownego zjazdu katolickich uczonych i miłośników nauki, zwołanego przez tzw. „Litewską Katolicką Akademię Nauk", na którego otwarcie wczoraj posłałem list pozdrawiający od imienia uniwersytetu, ale potem zaniechałem tego zamiaru. Wieczorem na prośbę Jadzi poszedłem z nią na zakończenie karnawału – na kolację do restauracji Metropol, choć sam obecnie już od dłuższego czasu wieczorem nic nie jadam. Nie o kolację chodziło, ale o widok zabawy, bo restauracja łączy się tam z kabaretem i dancingiem i jest właściwie wielką knajpą. Już będąc w Metropolu, wezwaliśmy tam do nas przez telefon Andrzeja i siedzieliśmy we trójkę aż za północ. Ruch karnawałowy był tam rzeczywiście wielki. W sali po drugiej stronie przedpokoju odbywał się jednocześnie bal studencki związku akademickiego „Varpasu", na który też przy tej okazji zajrzałem, w gabinecie zaś restauracyjnym, zwanym „gabinetem Trzech Książąt" („Trijų Kunigaikščių kabinetas") odbywała się kolacja (bliny) Związku Dziennikarzy. Sala restauracyjna była zalana tłumem młodzieży i urzędników w średnim wieku, rozbawionym, roztańczonym, podochoconym. Nie pojmuję, skąd te koła urzędnicze, a poniekąd nawet studenckie biorą pieniądze na te zabawy. Wszystko to narzeka na ciężkie czasy, na brak pieniędzy, a przecież bawi się i na zabawę wydaje dużo. Zresztą przeciętne koła urzędnicze na to jedno wszystkie swoje pieniądze przeznaczają. Po odbyciu godzin biurowych odwiedzają się, jedzą, piją, bawią się, grają w karty. Puste jest życie większości urzędników stołecznych. Jest to wielkie jałowe środowisko zjadaczy chleba, z których korzyść jest tylko w ich pracy służbowej w biurach, która zresztą tylko niewielką część energii ludzkiej pochłania. Takie życie puste bez ambicji idealistycznej, bez podniety dzieł twórczych nie jest w moim smaku. Tak żyć bym nie mógł. Dla wielu jednak z młodzieży, która się z dołów społecznych wybija, jest to celem i marzeniem o szczęściu.

26 lutego, rok 1936, środa

Popielec. Byłem u dr Gudowicza, który mię, jak za każdą wizytą, obejrzał szczegółowo i stwierdził, że stan mój jest bardzo dobry, lepszy, niż kiedykolwiek dotąd. Diametr serca, który w momencie krytycznym mojej choroby w końcu czerwca 1936 wynosił 21 centymetrów (był to „*cor bovi*"), a po wyzdrowieniu zmniejszył się do 13 centymetrów, teraz wynosi już tylko 12 centymetrów. Ciśnienie krwi, które w chorobie wynosiło zaledwie 90, potem po wyzdrowieniu wynosiło 110-115, dziś wynosi 130! Zupełnie normalne, energiczne. U dołu nóg, nad kostką, gdzie się zawsze utrzymywało pewne, choć już lekkie tylko nabrzmienie od wody podskórnej, wprawdzie już niewidoczne, ale dające się jeszcze stwierdzić przy silnym naciśnięciu palcem – znikło zupełnie: noga jest już zupełnie sucha. Waga utrzymuje się równo na poziomie; w obuwiu i w spodniach – 85 kilogramów (nago ± 83 kilo). Słowem – doktor jest zupełnie zadowolony z wyników i chwali mnie. Nie jadam teraz wieczorami nic, napojów używam mało, do snu w łóżku spożywam tylko gruszkę, raz na dzień do syta jem obiad, apetyt zresztą mam dobry, ale umiarkowany, rano wielkiej ochoty do jedzenia nie mam. Doktor zalecił mi latem konną jazdę. Nie pokazałem tylko doktorowi moich wrzodów na lewym boku na nodze i śladów po nich. Mam wrażenie, że już te wrzody się kończą i że dobrze podziała na nie jod, który zacznę pić za kilka tygodni, gdy skończę ostatnią porcję pigułek żelaza. Wstydziłem się pokazywać te wrzody, a zdaje mi się, że to jest tylko lokalne, choć trwa to już od końca października.

27 lutego, rok 1936, czwartek

Znowu umarł jeden ze starszych profesorów naszego uniwersytetu, mianowicie inżynier prof. Šliogeris z Wydziału Technicznego. Miał lat 65. Człowiek był poważny, mądry, taktowny i kulturalny. Jeden z synów jego jest sędzią, drugi – głównym adiutantem Prezydenta Rzeczypospolitej. Stary prof. Šliogeris umarł nagle. Znaleziono go dziś rano w

łóżku nieżywego. Był zdrów, nie skarżył się i nikt się nie spodziewał jego śmierci. Wczoraj wieczorem jeszcze był obecny na posiedzeniu Rady Wydziału Technicznego, na którym uchwalono przedstawić go do awansu na profesora zwyczajnego.

28 lutego, rok 1936, piątek

Żadnych szczególnych aktualiów nie ma. W pracach bieżących moich obecnie dominują następujące sprawy: a. przygotowanie się do odczytów szwedzkich; jeden z odczytów piszę na nowo, nieźle mi się on udaje, choć ma wybitny charakter polityczny, więc nie jestem zupełnie pewny, czy się będzie nadawał do wykładu uniwersyteckiego (zagadnienia organizacji międzynarodowej wschodu europejskiego metodą związków regionalnych); po wykończeniu poślę go posłowi litewskiemu w Sztokholmie Sawickiemu, aby osądził, czy się będzie nadawać; dwa inne wykłady uniwersyteckie powtórzę te same, które wygłosiłem w Paryżu; krótki zaś wykład na „Święto Bałtyckie" opracuję po wykończeniu tego, nad którym pracuję obecnie; b. powoli systematycznie prowadzę dalej kolejną część mojej wielkiej pracy, rozpoczętej przez moją książkę „Valstybė"; tu siedzę jeszcze w historii pojęcia zwierzchnictwa, tkwiącej w anarchii średniowiecza; c. opracowuję na rok przyszły dalszy ciąg moich wykładów prawa konstytucyjnego litewskiego, mianowicie pracuję teraz nad okresem sejmowym (okres działania konstytucji z roku 1922); w tej materii dziś zaprosiłem do siebie adwokata Garfunkela, wybitnego działacza politycznego żydowskiego, który był stałym posłem sejmowym frakcji żydowskiej i zna dokładnie z pamięci wszystkie epizody polityczne z tej epoki; chodziło mi o informacje ścisłe co do różnych etapów zlikwidowania korporacyjnego samorządu żydowskiego za czasów panowania Chrześcijańskiej Demokracji. Poza tym mam kilka krótkich mów do przygotowania na różne uroczystości nadchodzące.

29 lutego, rok 1936, sobota

Odbył się pogrzeb śp. prof. Šliogerisa. Pogrzeb odbył się z wielką pompą, w licznej asyście duchowieństwa, z orkiestrą; kondukt żałobny wyruszył z kościoła garnizonowego (byłego soboru prawosławnego) wśród wielkiego tłumu publiczności. Liczni byli przedstawiciele wysokich sfer. Od imienia Wydziału Technicznego i zarazem uniwersytetu przemawiał nad grobem dziekan wydziału prof. Grynkiewicz.

1 marca, rok 1936, niedziela

Na dziś na uniwersytecie z inicjatywy młodzieży akademickiej (studentów Wilnian i sekcji akademickiej Związku Wyzwolenia Wilna) wyznaczone było otwarcie tak zwanego „semestru wileńskiego", polegającego na cyklu wykładów publicznych niedzielnych, wygłaszanych przez szereg uproszonych przez młodzież profesorów i publicystów i poświęconych różnym zagadnieniom dotyczącym Wilna i Ziemi Wileńskiej. Zapowiedziane są wykłady, raczej odczyty dr Zauniusa, dr Juški („Zagadnienia Kraju Wileńskiego"), prof. Pakštasa („Etnografia i ludność Kraju Wileńskiego"), dr Zenona Iwińskiego („Z przeszłości Wileńszczyzny"), prof. Kołupajły („Rzeki i jeziora Wileńszczyzny"), dr Kriščiunasa („Rolnictwo w Kraju Wileńskim), prof. Rimki („Budowa gospodarcza Wileńszczyzny i rynki"), prof. Michała Biržiški („Historia prasy Litwinów wileńskich"), docenta Galaunė („Wilno – litewski ośrodek sztuki"). Uroczystość otwarcia tego „semestru wileńskiego" odbyła się z pompą, o którą się postarali inicjatorzy. Uroczystość filmowano. W głębi na froncie za plecami prezydium honorowego uszykowały się delegacje korporacji akademickich ze sztandarami. Naturalnie, że uroczystość otwierać musiałem ja jako rektor. Nie było mi to przyjemne, bo jest to zawsze z natury rzeczy skierowane przeciwko Polsce, co mię zawsze rani, choć rozumiem dobrze uczucia litewskie i wiem, że zawiniła tu Polska. W przemówieniu moim przede wszystkim wskazałem na użyteczność i konieczność poznawania zagadnień

wileńskich przez młodzież litewską, która innych dróg do tego nie ma, jak studia i wykłady poważne. Następnie zaznaczyłem, że metoda faktów, dokonanych jednostronnie przez Polskę, sporu prawnie rozstrzygnąć nie jest w stanie i że Litwa nie może ugiąć się przed przemocą i przyjąć czynnik siły obcej za sprawdzian do rozstrzygania jej zagadnień żywotnych. Podniosłem dewizę Marszałka Piłsudskiego: „Zwyciężeni, którzy nie ulegną, będą zwycięzcami". Zakończyłem oświadczeniem, że wolną Polskę narodową szanujemy, sympatyzujemy jej i gotowiśmy się z nią solidaryzować, ale stosunki z nią układać i kwestię granic państwowych przesądzać możemy li tylko na zasadzie prawa, nie zaś dyktatury faktów, dokonanych przez Polskę jednostronnie. Czy moje słowa o szacunku, sympatii i solidaryzmie z Polską wszystkim się podobały – nie wiem, ale jest to moje stanowisko zasadnicze. Po uroczystości otwarcia wyszedłem. Na odczycie Zauniusa nie pozostałem, bo mi się nie podoba gruboskórne pchanie się Zauniusa do zagadnień wileńskich i polsko-litewskich akurat wtedy, kiedy imię jego zostało skompromitowane rewelacjami polskimi w procesie Pierackiego. Przyzwoitość i subtelność powinna by mu wskazywać niemieszanie siebie do pozycji litewskiej, której to mieszanie może tylko zaszkodzić. Ale Zaunius woli salwować siebie i swoją pozycję przez właśnie ściślejsze powiązanie siebie za sprawą państwową i narodową litewską, afiszując swój patriotyzm i zarazem dając ujście swojej podrażnionej niechęci i zemście na Polsce. Dla mnie to bardzo niesmaczne. Ale gusta są oczywiście różne.

2 marca, rok 1936, poniedziałek

Widocznie sprawa nadania mi odznaczenia francuskiej Légion d'Honneur, zainicjowana przez grono przyjaciół krajów bałtyckich w Paryżu na śniadaniu, wydanym na moją cześć w Cercle Interallié w dniu 18 grudnia (zresztą inicjatywa ta była poufna, nie podniesiona bynajmniej jawnie na tym śniadaniu), nie zamarła. W tych dniach telefonowano do mnie z Ministerium Spraw Zagranicznych, zapytując w związku z tym zaprojektowanym odznaczeniem, jakie i którego stopnia posiadam obecnie ordery. Chodzi o etykietalne dostosowanie stopnia odznaczenia francuskiego do stopni posiadanych przeze mnie orderów. Zdaje się, że będzie to stopień „*commandeur*" (komandor).

Zanotuję jeszcze w dzienniku, że sprawa usunięcia prof. Dovydaitisa, która w styczniu wywołała poruszenie w kołach profesury, a szczególnie u teologów, już została zlikwidowana. Co prawda, nie udało się uzyskać odwołania aktu usunięcia profesora, dokonanego bez wniosku czynników uniwersytetu. Precedens pozostał, ale osłabiony przez motywowane zastrzeżenie, które zgłosiłem na ręce ministra oświaty. Ale ponowna nominacja Dovydaitisa została dokonana. Wprawdzie aktu nominacji uniwersytet jeszcze nie otrzymał, ale już minister mię o tym poinformował prywatnie. Akt nominacji został przez Prezydenta Rzeczypospolitej podpisany, ale nominacja działać będzie dopiero od 16 marca. Dovydaitis zaś ze swej strony złożył uroczyste przyrzeczenie na piśmie, że nie będzie się wtrącał do tajnego ruchu „ateitininków" wśród uczni szkół średnich oraz wyjaśnienia, że zwrotu „šetono tarnai" („słudzy szatana"), użytego w liście do księdza, nie stosował do rządu. Przyrzeczenie uroczyste Dovydaitisa zostało potwierdzone (zagwarantowane) przez dziekana Wydziału Teologicznego.

3 marca, rok 1936, wtorek

Znowu nie mam czasu na dziennik.

Miałem posiedzenie zarządu komisji narodowej litewskiej Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej w osobach mojej jako prezesa, członków prof. Janulaitisa i Galauni i sekretarza generalnego Trimakasa, który zajął miejsce Soblysa. Był też u mnie lektor języka szwedzkiego na uniwersytecie naszym p. Falk, który mi udzielał informacji co do mojej

podróży do Szwecji, której termin się już zbliża. Wieczorem miałem wykład i colloquium prawa konstytucyjnego litewskiego.

4 marca, rok 1936, środa
Święty Kazimierz – patron formalny Litwy.
Na dziennik znowu czasu nie mam.
O uroczystości jubileuszu 75-lecia urodzin dr Jana Šliupasa napiszę jutro.

5 marca, rok 1936, czwartek
I dziś nie bardzo mi dużo czasu na dziennik zostało. Ale już bądź co bądź cokolwiek o wczorajszym jubileuszu dr Šliupasa napiszę. I jubilat wart tego, i uroczystość obchodu rocznicy 75-letniej urodzin sędziwego wiekiem, ale zgoła młodego temperamentem i niespożytą energią jubilata bardzo pięknie się udała. Šliupas – to postać w odrodzeniu Litwy zaiste niezwykła. Indywidualność – renesansowa, coś z Prometeusza i społecznego Mikel-Andżelo. Człowiek tragiczny czynu i walki, rycerz niezłomny swojej idei, którego nigdy i nic odwieść od jego prawdy podmiotowej, do której jest przywiązany namiętnie, nie zdołało i nie zdoła. Nigdy i nic. Ani zaszczyty, ani starość, ani laury, ani wygoda, ani nic na niego nie działa. Jest młody wiecznie, szczery i naiwnie bezwzględny, płonący ogniem jak młodzieniec w latach uniesienia, które u innych przemijają i toną w pospolitości. Šliupas nigdy pospolitym nie jest, nie był i nie będzie i w późnej starości jest takimże entuzjastą walecznym, jakim był za młodu. Całe życie strawił na walce zaciętej i służbie swoim ideałom, które są społeczne i nie spłowiały nigdy. Gdy się Šliupas czego uchwyci – nie wypuści tego z rąk i broni nie złoży, nie skapituluje przed niczym. Całe życie organizował, tworzył, poruszał. Kędy przeszedł – ślad swojego czynu niezłomnego głęboki zostawił. Kiedy zaczynał przed laty 60, był wraz z kilku innymi młodymi budowniczymi Litwy jak wódz bez armii. Otaczała ich pustynia. Litwa żywa była tylko w nich, w ich myśli i sercu, poza nimi była tylko bierna masa ludowa litewska, a wszystko, co było czynne, było przeciwko nim. Dziś jest on w Niepodległej czynnej Litwie narodowej. Ani rąk, ani broni nie złożył. Nie „uspokoiło" go to, co z jego marzeń i ukochań się ziściło i wyrosło. Zresztą nigdy nie „marzył", zawsze „chciał" i „czynił". Dla niego nigdy i niczego nie dosyć. Jedno zwłaszcza z jego ukochań nie zostało spełnione i temu dziś lwią część energii oddaje. To walka o odklerykalizowanie Litwy, walka namiętna i bez pardonu z Kościołem i zachłannością kleru. I jeszcze jedno: Šliupas nigdy nie był małostkowym, próżnym, osobiście obraźliwym, mściwym. Był i jest wielki.

6 marca, rok 1936, piątek
Pomysł uroczystego obchodu 75 rocznicy urodzin dr Šliupasa został podniesiony dopiero w ostatnich czasach, prawie że na poczekaniu. Utworzył się śpiesznie komitet jubileuszowy organizacji społecznych, na którego czele stanął z ramienia Związku Ochotników z Walk o Niepodległość prezes tegoż Związku, niegdyś jeden z pierwszych ochotników, dziś adwokat – Gužas i przedstawiciele szeregu innych organizacji. Skądinąd myśl tę poparł Wydział Medyczny uniwersytetu, którego Šliupas jest doktorem honorowym (jest on doktorem honorowym także Wydziału Humanistycznego). Czasu na urządzenie obchodu było mało. W ciągu 10 dni wszystko urządzono. Dowiedziano się, że Šliupas będzie w Kownie w dniu 4 marca, na św. Kazimierz. Na razie powstała myśl urządzenia obchodu w uniwersytecie wspólnie przez uniwersytet i organizacje społeczne. Uniwersytet na obchód przystał, bo Šliupas jest osobnikiem zbyt wybitnym (w dodatku doktorem honorowym dwóch wydziałów), aby obchód jego jubileuszu był aktem nie uniwersyteckim, jeno wydziałowym. Ale senat akademicki nie uznał za właściwe łączyć się w tym obchodzie z organizacjami społecznymi. Uznał, że obchód akademicki powinien być osobny i autonomiczny. Wpłynął na to nie tylko wzgląd na akademicki charakter obchodu uniwersyteckiego, ale także

niewątpliwie obawa jakichś wyskoków zbyt jaskrawych bądź ze strony Šliupasa, bądź ze strony organizacji społecznych, mogących narazić na szwank powagę akademicką. Chodziło zwłaszcza o wyskoki przeciwko religii. Šliupas pod tym względem jest nieposkromiony. Raz na pewnej uroczystości w uniwersytecie nazwał on kult Matki Boskiej kultem rozpustnicy. Dla Šliupasa w jego namiętności antyreligijnej i antyklerykalnej nie ma nic niedopuszczalnego i nie ma granic. Tego się profesura lękała, tym bardziej, że wszystkiego się też można było spodziewać po organizacjach społecznych, zwłaszcza po organizacjach wolnomyślnych, które swego wodza i ojca – Šliupasa – przyjdą uczcić i nie będą się krępowały w manifestowaniu okazyjnym swoich namiętności, aż nadto zresztą wobec zachłanności klerykalnych usprawiedliwionych. Bano się więc, aby obchód akademicki rocznicy Šliupasa, przy zespoleniu uniwersytetu z organizacjami społecznymi, nie zdegenerował w hecowy wiec przeciwko Kościołowi. Trzeba było mieć wzgląd i na Wydział Teologiczny, który mieści się w łonie uniwersytetu. Teologom, którzy Šliupasa nie cierpią i uważają za sługę szatana, potępionego na piekło bez pardonu, bo też bez pardonu zalewa on im za skórę, obchód akademicki Šliupasa nie musiał się bardzo podobać, ale wystąpić z opozycją nie odważyli się i nie mieli tytułu, bo sami niedawno korzystali z firmy uniwersyteckiej dla obchodu jubileuszu jednego ze swoich zasłużonych – ks. Aleksandra Dąbrowskiego-Jakštasa. Ale po uchwale senatu o oddzieleniu obchodu akademickiego Šliupasa od obchodu społecznego ujawniły się zaraz trudności wykonania, a czasu było mało. Okazało się, że na obchód bądź uniwersytecki, bądź społeczny – jest tylko jeden dzień 4 marca. Urządzać jednego dnia dwa osobne obchody byłoby i dla Šliupasa zbyt męczące, i dla obu obchodów ujemne, bo publiczność nie mogłaby się na oba rozerwać, co w ogóle obniżyłoby poziom uroczystości. W drodze porozumienia delegatów komitetu społecznego i władz akademickich (ja, Lašas) stanęło na tym, że obchód społeczny będzie bezpośrednim dalszym ciągiem akademickiego z małą między obydwoma przerwą, w ciągu której od stołu prezydialnego się usuną czynniki uniwersyteckie i miejsce ich u stołu zajmą przedstawiciele organizacji społecznych. Na obchód akademicki miały się złożyć: moje zagajenie rektorskie i referaty profesorów Michała Biržiški, Avižonisa i Dubasa i na obchód społeczny: krótkie przemówienie dr Griniusa i generała Buloty oraz pozdrowienia organizacji społecznych. Wspólnym tylko końcowe przemówienie dr Šliupasa.

7 marca, rok 1936, sobota

Wielka nowina na wielkim świecie: Niemcy wypowiedziały swój udział w Pakcie Lokarneńskim i wojsko niemieckie wkroczyło do zdemilitaryzowanej przez Traktat Wersalski strefy pogranicznej w Nadrenii. Że Niemcy się do tego kroku gotują, to już słychać było w związku z dyskusją w parlamencie francuskim nad ratyfikacją paktu franko-sowieckiego, który w Niemczech wywołuje protesty i uważany jest za skierowany specjalnie przeciwko Niemcom. Izba francuska uchwaliła ratyfikację paktu, a w tych dniach ratyfikował go senat. Niemcy niezwłocznie odpowiedziały na to wkroczeniem wojsk do strefy zdemilitaryzowanej i wymówieniem Locarno. Za pretekst wzięły one to, że demilitaryzacja zarządzona została przez Traktat Wersalski w myśl supozycji o usposobieniu pokojowym. Skoro jednak jedna strona nie tylko się zbroi, ale także zawiera układy wojenne, skierowane rzekomo przeciwko drugiej, to i drugą stronę zarządzenia i ograniczenia pacyfistyczne, jak demilitaryzacji strefy reńskiej, obowiązywać nie mogą. Skoro zaś pakt franko-sowiecki w myśl interpretacji niemieckiej jest skierowany przeciwko Niemcom, to i Pakt Lokarneński, gwarantujący pokój i bezpieczeństwo na zachodzie, nie może już obowiązywać Niemiec, względem których Francja od linii lokarneńskiej się odchyliła. Zarządzenia te zostały dziś w południe obwieszczone w deklaracji uroczystej Hitlera, wygłoszonej na posiedzeniu publicznym Reichstagu i translowanej na cały świat przez radio berlińskie. Ale Hitler w sposób bardzo zręczny nie tylko nadał tym zarządzeniom, gwałcącym Traktat Wersalski i łamiącym dzieło

lokarneńskie Brianda-Kelloga, motywację obronną, ale także ubrał je w szaty dobrej woli i usposobienia pokojowego Niemiec. A więc przede wszystkim wyraził gotowość zawarcia z Francją układu o demilitaryzacji, ale tylko obustronnej, strefy pogranicznej niemiecko-francuskiej po obu stronach granicy. Następnie zaproponował Francji i Belgii zawarcie paktu o nieagresji na lat 25, gwarantowanego przez Anglię i Włochy, proponując ewentualnie i Holandii akces do tego paktu. Wreszcie Hitler oświadczył, że Niemcy zgodzą się też obecnie na pakt wzajemnego zagwarantowania bezpieczeństwa także na wschodzie, przeciwko czemu oponowały dotąd. Zgodzą się, albowiem obecnie odpadła przyczyna, dla której się dotąd na taki pakt wschodni nie zgadzały. Mianowicie ponieważ Litwa obecnie zmieniła swoją pozycję w sprawie kłajpedzkiej i szanuje autonomię Kłajpedy, więc obecnie ze stanowiska niemieckiego pakt wschodni o nieagresji objąć może i Litwę pod warunkiem, że Litwa konsekwentnie szanować będzie tę autonomię.

Deklaracja Hitlera wyzywała entuzjastyczne oklaski Reichstagu, tylko ustęp o nieagresji w stosunkach z Litwą był mniej gorąco oklaskiwany.

Zarządzenia niemieckie mają efekt bomby europejskiej. Ciekawe, jak zareaguje na nie Francja i Europa. Hitler oświadczył także gotowość Niemiec powrotu do Ligi Narodów, skoro Niemcy przez to zarządzenie odzyskały stanowisko równości praw z innymi państwami.

O zarządzeniach dowiedziałem się najpierwiej od Prezydenta Smetony, u którego po południu byłem na audiencji. Prezydent na ten zwrot w sytuacji międzynarodowej zapatruje się dość optymistycznie. Podkreśla, że to skoncentrowanie agresji niemieckiej na odcinku kłajpedzkim, które się od dłuższego czasu zaznaczało i było groźne dla Litwy, obecnie zostanie odprężone i niebezpieczeństwo niemieckie rozłoży się na całą Europę i wszystkich sąsiadów Niemiec. Dla Litwy będzie to więc *„une détente*”. Jednak w propozycji paktu o nieagresji z Litwą tkwi pewne niebezpieczeństwo dla Litwy, które nie wiem, czy zostanie w Litwie dostrzeżone. Jest w nim zastrzeżenie warunku o szanowaniu przez Litwę autonomii kłajpedzkiej. Taki warunek może mieć ten skutek, że Niemcy przywłaszczyłyby sobie tą drogą pewien dozór nad wykonaniem tej autonomii przez Litwę, to znaczy mogłyby zyskać tytuł prawny do interwencji, którego teraz zgoła nie mają. Nieagresja na tych warunkach mogłaby się wyrodzić w prawo do interwencji i w pakt gwarancyjny.

8 marca, rok 1936, niedziela

Nie miałem dziś żadnych uroczystości, fet, obchodów, przemówień. Osobliwość. Niedziela w mojej dyspozycji. Byliśmy z Jadzią, Andrzejem i Renią na obiedzie w restauracji „Wersal”; przed wieczorem byłem z Jadźką w kinie na przedstawieniu wesołego i przyjemnego filmu „Węgierka”. Dobrze mi i spokojnie ta niedziela upłynęła w towarzystwie Jadźki. Był to mój dzień prywatny, jakich mam mało.

9 marca, rok 1936, poniedziałek

Dałem mój odczycik, przeznaczony na Święto Bałtyckie w Sztokholmie, do przetłumaczenia na niemiecki. Tłumaczyć będzie panna Enbergaitė, młoda urzędniczka w Ministerium Spraw Zagranicznych, a potem tłumaczenie przejrzy prof. Jungfer. Obawiam się trochę, czy ten odczyt, choć względnie krótki, nie będzie zbyt mądry i głęboki na tę uroczystość. Dowiaduję się bowiem od posła litewskiego w Sztokholmie, p. Sawickiego, który przyjechał do Kowna, że na tej uroczystości Święta Bałtyckiego będą tańce, a więc będzie to zabawa towarzyska, tylko poprzedzona przemówieniami i odczytem jako działem wstępnym. Dla publiczności mieszanej o charakterze zabawy towarzyskiej mój odczyt może być zbyt akademickim. Kto wie, czy nie za dużo weń włożyłem treści i głębi. Z posłem Sawickim spotkałem się w Ministerium Spraw Zagranicznych. Ułożyliśmy z nim program mojej gościny szwedzkiej. Ma być taki: we czwartek 19 marca wyjazd z Kowna na Berlin-Sassnitz do Malmö, gdzie w piątek 20 marca wieczorem spotka mię konsul litewski, z Malmö

w sobotę 21 marca udam się do Lundu, gdzie wygłoszę pierwszy odczyt uniwersytecki i wrócę do Malmö na noc. W niedzielę 22 marca zrobię z Malmö wycieczkę do Kopenhagi. W poniedziałek rano przyjadę do Sztokholmu, gdzie we wtorek 24 marca odbędzie się Święto Bałtyckie. We czwartek 26 marca drugi odczyt uniwersytecki w Sztokholmie, w piątek 27 marca trzeci odczyt uniwersytecki w Uppsali, następnie do 31 marca będę wolny, 31 marca w południe – wyjazd parowcem „Mariekolna" do Kłajpedy, gdzie 1 kwietnia spotka mię Jadzia.

Wieczorem byłem w teatrze na koncercie naszego chóru akademickiego, który obchodzi swoje 10-lecie. Chór ten bardzo ładnie się rozwinął pod kierownictwem Kaweckiego. Koncert bardzo ładnie się udał, złożyły się nań piękne pieśni litewskie. Szczególnie ładnie śpiewa chór męski, doskonale wyćwiczony. W jednym z antraktów odbyła się uroczystość stosowna. Na scenie przed chórem zasiadła starszyzna w osobach mnie, obu prorektorów, ministra oświaty Tonkunasa, prof. Žemaitisa, solistek Opery Zauniusowej i Grigaitisowej, burmistrza Merkysa, dyrektora konserwatorium Gruodisa, Jana Vileišisa i kilku innych. Naturalnie musiałem zagajać mową powitalną i pozdrowieniem chóru. Udekorowano nas znaczkami chóru i doręczono ładne dyplomy członków honorowych. W imieniu udekorowanych pięknie dziękował minister Tonkunas. Przemawiał też Žemaitis. Ładne przemówienie wygłosił delegat chóru akademickiego z Rygi, Łotysz. Były też pozdrowienia od różnych chórów litewskich. Po koncercie dokonano wspólnej fotografii na scenie. Animusz być wielki. Bawiono się dobrze. Młodzież jest zawsze wesoła, a z nią wesoło i wszystkim. W koncercie wziął też udział Kipras Piotrowski. Gdy go udekorowano, pocałował nie tylko prezesa chóru studenta Chwerensa, ale także śliczną chórzystkę Jonynasównę, córkę profesora, która przypięła mu znaczek. Na koncercie była i Jadzia.

10 marca, rok 1936, wtorek

Minister Sawicki, poseł litewski w Sztokholmie, przywiózł nam od Norwegów z Oslo dar Towarzystwa Norwesko-Bałtyckiego – wielki piękny puchar srebrny i 10 małych kubków srebrnych do rozegrania w szeregu konkursów sportowych w biegu na ski między młodzieżą akademicką Litwy, Łotwy i Estonii. Puchar srebrny jest ozdobiony rysunkami herbów Norwegii, Litwy, Łotwy i Estonii i napisami odpowiednimi w języku norweskim. Na małych kubkach – krótkie napisy norweskie i rok na każdym kubku inny – od roku 1936 do roku 1945. Statut tej fundacji przewiduje dziesięć konkursów rocznych na ski między sportowcami akademickimi litewskimi, łotewskimi i estońskimi od roku 1936 do r. 1945. Każdoroczni zwycięzcy otrzymują jeden kubek odpowiedniego roku. Kraj, którego młodzież odniosła zwycięstwo, przechowuje puchar i pozostałe nierozegrane kubki do roku następnego. Po 10 leciech wielki puchar srebrny przechodzi na własność młodzieży akademickiej tego kraju, który zdobył największą ilość małych kubków. Na razie całość daru wraz ze statutem złożona została przez ministra Sawickiego do rąk naszego uniwersytetu. Złożenie daru odbyło się w moim gabinecie w obecności mojej, obu prorektorów i studenta prezesa Akademickiego Klubu Sportowego („ASK"). Nasza młodzież sportowa akademicka stwierdza, że sytuacja naszej młodzieży akademickiej w tym względzie jest gorsza, bo sport na ski jest u naszych akademików bardzo zaniedbany. W krajach bałtyckich pierwsze miejsce zajmują Estończycy, Łotysze też są słabi, ale Litwini – najsłabsi. Podnosili więc kwestię, czy nie warto byłoby prosić ofiarodawców Norwegów o rozciągnięcie konkursu na niektóre inne sporty zimowe, jako hockey i inne, które u nas są lepiej rozwinięte. Sawicki wszakże, ja i Česnys byliśmy zdania, że byłoby to niewłaściwe. Norwegowie mieli intencję popularyzowania właśnie swego sportu narodowego. Skądinąd ustanowienie takiego konkursu długoterminowego ma na celu nie premiowanie rezultatów, dotychczas już osiągniętych, ale właśnie podniecenie do nowego wysiłku, pobudzenie nowej energii na rzecz przyszłej zdobyczy. 10 lat – to termin długi, w ciągu którego można osiągnąć rezultaty wielkie i prześcignąć tych, co dziś prym trzymają. Można w ciągu lat kilku przegrać, a w dalszych leciech wynagrodzić zwycięstwo i

nawet wielki puchar zyskać. Mylne jest twierdzenie naszych sportowców, jakoby u nas nie było warunków terenowych i klimatycznych dla sportu na ski. Tegoroczna zima istotnie była u nas bezśnieżna, ale przeważnie nawet pod samym Kownem śniegu zimą jest dosyć, a teren dla sportu na ski jest bardzo dobry: dla biegu jest wielkie długie łożysko Niemna, a dla biegu figurowego – wzgórze. Ale klasycznym centralnym dla całej Litwy terenem zimowym sportu na ski mogą być strony jezioroskie, gdzie śniegu jest zawsze dużo, a płaszczyzny jezior i liczne wzgórza dają teren doskonały, nadający się do urządzenia stosownego. Wojsko litewskie poczyniło w krótkim czasie duże postępy w stosowaniu ski. Kilku instruktorów szwedzkich doskonale wyćwiczyło młodzież wojskową i dziś już zapewne własnych instruktorów wojskowych mieć możemy. Co zdobyło wojsko – to zdobyć może i młodzież sportowa akademicka. Czasu jest dosyć. Zapewne rozgrywanie tego konkursu i jego organizacja będą zlecone konfederacyjnemu związkowi bałtyckiemu młodzieży „SELL”.

11 marca, rok 1936, środa

W tym roku akademickim ożywił się mój kontakt ze światem dyplomatycznym. Częściej zaczęli mię zapraszać posłowie państw obcych. W tych dniach byłem zaproszony na śniadanie u posła czeskiego Skalickiego, dziś na obiad u posła łotewskiego Sēji. Zresztą do kontaktu z przedstawicielami tych krajów mam pewne tytuły szczególne: jestem członkiem Akademii Czeskiej „Ved a Umeni” i kawalerem orderu łotewskiego Trzech Gwiazd drugiego stopnia. U posła Skalickiego śniadanie miało miejsce z okazji rocznicy urodzin byłego prezydenta Masaryka. Na śniadanie byli zaproszeni przeważnie wojskowi – minister wojny prof. Dirmantas, naczelny wódz wojska Raštikis, szef sztabu generalnego Černis, naczelnik wszystkich służb dostaw generał Sutkus, naczelnik awiacji Gustaitis, pułkownik Dulkanys – przeważnie z żonami, a z cywilów tylko ja, prof. ksiądz Izydor Tamošaitis i dyrygent Opery Bukša. Byłem dość uhonorowany, bo siedziałem obok pani Skalickiej, gospodyni domu, pięknej Czeszki, zresztą kobiety dość płytkiej i, zdaje się, pospolitej. Dziś sam nie wiem, z jakiej okazji był obiad u posła łotewskiego Sēji. Naturalnie było się we frakach, zapowiedziane były nawet ordery, ale nie wszyscy przyszli udekorowani. Był prezes ministrów Tubelis z żoną, minister Lozoraitis z żoną, minister Putwiński z żaoną, ex-minister, a obecnie wiceburmistrz Rusteika z żoną, generał Nagiewicz z żoną, młody dr Trimakas z Ministerium Spraw Zagranicznych ze swoją piękną młodą żoną, poseł włoski ze swoją ekscentryczną i egzotyczną żoną Gruzinką, strojną i kokietującą brunetką, obwieszoną ciężkimi kolczykami i flirtującą przy obiedzie zapamiętale z Lozoraitisem, posługując się po kolei językami francuskim, włoskim i rosyjskim, poseł niemiecki Zechlin... Na takich śniadaniach i obiadach dyplomatycznych bawię się znośnie, ale zawsze żałuję trochę czasu, który musze na to odkradać od pracy mojej, przy której bawię się lepiej.

Poza tym miałem dziś obiad Rotary Klubu, rano wykład na uniwersytecie, godziny urzędowania rektorskiego.

12 marca, rok 1936, czwartek

Miałem posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, wieczorem – posiedzenie senatu akademickiego. Nie mogę jednak tych posiedzeń opisywać, choć były dość ciekawe – bo czasu nie mam. Zanotuję tylko, że Rada Wydziału Prawniczego uchwaliła wniosek o udzieleniu tytułu doktora honorowego Janowi Šliupasowi.

13 marca, rok 1936, piątek

W Kownie powódź. Dosyć niespodziewana. Zima bowiem była na ogół dosyć ciepła i łagodna. Ale pod koniec lutego nastały duże mrozy, które trwały parę tygodni i mocno skuły rzeki lodami. Gdy teraz zrobiło się ciepło i rzeki puściły, poniosły one wielkie masy lodu. Na Niemnie uformował się wielki zator lodowy gdzieś pod Sapieżyszkami („Zapiškis”) i masy

lodu rozciągają się stamtąd w górę rzeki do Czerwonego Dworu i wyżej. Tymczasem wyżej rzeka jest wolna i woda napływa. Poza tym wielkie masy wody pędzi i Wilia, wpadająca do Niemna w Kownie, i Niewiaża, wpadająca pod Czerwonym Dworem. Pod Czerwonym Dworem rozlane szeroko wody wyniosły na dolinę i napełniły ją lodem, którego masy zatopiły 3 kilometry szosy czerwnodworskiej, orząc ją jak pług. W Kownie woda, aczkolwiek bez lodu, zalała niższe ulice miasta. Po ulicy Kiejstuta pływają lodzie i woda po ulicy Maironisa podchodzi do Laisvės Alei.

Zwołałem dziś posiedzenie rektoratu. Jest przykra sprawa. Redaktor „Židinysu" poinformował mię poufnie, że otrzymał artykuł, oskarżający dziekana Wydziału Ewangelicko-Teologicznego prof. Jakubėnasa o plagiat. Podobno wydana przez niego jako praca oryginalna broszura o Abrahamie Kulwieciu („Abraomas Kulvietis", wydana koło roku 1928) jest tłumaczeniem dosłownym pewnego artykułu z „Alt-Preussische Monatsheft" z roku 1905 czy 1906. Redaktor „Židinysu" artykułu nie wydrukował, ale może się on ukazać gdzie indziej. Zarzut jest przykry, ale nie pierwszy w stosunku do naszych profesorów. Poleciliśmy prorektorowi Česnysowi sprawdzić zarzut, tymczasem konfidencjalnie.

Z Paryża Natkiewicz przysłał mi nieco zreformowany redakcyjnie tekst mojego odczytu, wygłoszonego w „Faculte de Droit" („Le systeme juridique des garanties de la Souvereinete de la Lithuania sur la Territoire de Memel"), przeznaczony do druku w „Revue Generale de Droit International Public". Tekst został zreformowany do druku przez redakcję tego „Revue". Chodzi o moją aprobatę. Ma być zaraz drukowany. Reforma tekstu polega jednak tylko na pewnych skrótach, wykonanych na ogół umiejętnie i nie szkodzących pracy. Zaakceptuję i odeślę do redakcji „Revue".

Wieczorem przyjechał z Bohdaniszek Stefan Mieczkowski.

14 marca, rok 1936, sobota

Stefan Mieczkowski przyjechał do Kowna, wezwany przez sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi jako świadek w pewnej sprawie. Spędza on czas przeważnie z Andrzejem. Mieszka u mnie.

Nic bardzo szczególnego z dnia dzisiejszego do zanotowania nie mam.

Byłem na przedstawieniu filmu francuskiego „L'automobilisme en France". Jest to film propagandowy industrii francuskiej, trochę nawet reklamowy z zakładów firmy Renault pod Paryżem. Film ten wędruje po Europie. Poseł francuski p. Dulong bardzo gorąco się tym filmem opiekował, narzucił patronowanie jego przedstawienia Towarzystwu Franko-Litewskiemu, którego jestem prezesem i uprosił mię nakłonić Prezydenta Rzeczypospolitej i prezesa ministrów Tubelisa, aby zechcieli zaszczycić przedstawienie swoją obecnością. Istotnie prezydent Smetona z żoną i p. Tubelisowa byli na przedstawieniu. W ogóle sala była pełna gości. Przedstawienie odbywało się w kinematografie „Forum" za zaproszeniami.

15 marca, rok 1936, niedziela

Byłem o godz. szóstej na odczycie Zubowa, który się odbył w sali aktowej uniwersytetu pod firmą litewskiego Związku Paneuropy, którego prezesem jestem. Zubow z ramienia tego związku naszego był w ubiegłym miesiącu na konferencji ekonomicznej paneuropejskiej w Wiedniu, a po drodze bawił w Rydze, Warszawie, Pradze Czeskiej i Budapeszcie, widział się we wszystkich tych stolicach z ministrami przeważnie rolnictwa, poniekąd także innymi i interesował się zagadnieniem organizacji międzypaństwowej gospodarczej państw rolniczych. O tym też przeważnie w odczycie swoim mówił. Zaznaczył dwie koncepcje takiej organizacji, które się uwydatniły na samej konferencji wiedeńskiej i w rozmowach, które prowadził z ministrami krajów naddunajskich. Jedną nazwał koncepcją czechosłowacką ministra Hodży, drugą – węgierską. Koncepcja Hodży jest oparta na systemie związków regionalnych wschodu europejskiego od Skandynawii do Bałkanów (grupy regionalne bałtycka, dunajska i

bałkańska z Polską jako ogniwem między grupą bałtycką a dunajską). Koncepcja węgierska jest oparta na bloku związku regionalnego dunajskiego z Rzeszą Niemiecką dla szachowania i układów z Zachodem przemysłowym. Budowa odczytu Zubowa była dosyć banalna, ale istnienie tych dwóch koncepcji i prądów odpowiednich jest ciekawe.

Na odczycie Zubowa mało było słuchaczy; ogółem naliczyłem ich trzydziestu pięciu. Po odczycie miało się odbyć ogólne zebranie doroczne członków naszego Związku Paneuropy. Członków jednak było zaledwie kilku, więc generał Kurkowski, który jest założycielem i był dotąd *spiritus movens* tego związku, uznał, że zebranie do skutku dojść nie może. Może się odbyła li tylko narada zebranych, ale ja musiałem uciekać do teatru, więc nie wiem, czy się odbyła. Nasz Związek Paneuropy dogorywa. Zainteresowanie tym ruchem jest znikome i związek wegetuje tylko. Sam generał Kurkowski skłania się do zlikwidowania go, bo nie ma tymczasem szans na jego rozwój. Zresztą nie trzeba go będzie likwidować, bo wobec nowej ustawy o stowarzyszeniach, związki i stowarzyszenia, które do 1 kwietnia się nie zreformują stosownie do osobliwych wymagań tej dziwacznej ustawy, która jest *chef d'oeurve*'em Šilinga, umierają *ipso jure*.

Wieczorem byłem ze Stefanem Mieczkowskim i Andrzejem w teatrze na operze „Bajki Hoffmanna" z udziałem Kiprasa Piotrowskiego. Chodziło mi o zaprezentowanie naszej pięknej opery Stefanowi Mieczkowskiemu, bo mamy się czym poszczycić. Opera „Bajki Hoffmanna" – bardzo efektowna.

16 marca, rok 1936, poniedziałek

Jestem zaproszony na superarbitra w sprawie honorowej między inżynierem Landsbergiem, synem nieżyjącego przedwojennego literata i dramaturga litewskiego Landsberga-Žemkalnisa a Strazdasem, działaczem scenicznym litewskim sprzed wojny i pracownikiem administracji drukarni „Spindulys". Chodzi o zatarg taki. Istnieje w Kownie „Towarzystwo XXVII miłośników książki", bibliofilów, posiadających biblioteki osobiste i rozmiłowanych w książce litewskiej, której zebrania swoje poświęcają. Towarzystwo to założone zostało, zdaje się, przez śp. księdza Tumasa, obecnie prezesem towarzystwa jest Bizowski, dyrektor departamentu w Ministerium Spraw Zagranicznych (liczba „XXVII", oznaczająca ilość członków tego towarzystwa, jest sakramentalna, bo członków winno ono posiadać ani mniej, ani więcej, niż 27; nowy członek jest do towarzystwa dopuszczany dopiero wtedy, gdy jeden ubędzie drogą śmierci lub wystąpienia). Otóż w tym Towarzystwie XXVII Miłośników Książki Strazdas miał odczyt o nieżyjącym Landsbergu-Žemkalnisie. W odczycie tym odarł Žemkalnisa z aureoli, przedstawił go jako nędznego quasi-literata, który, będąc w nędzy, uganiał się za lada pieniądzem, nie bardzo był rzetelny, nie przebierał też w środkach dla zdobycia sławy literackiej i honorarium, przywłaszczając sobie cudze utwory i tłumaczenia i wydając je pod swoją firmą. Kilka utworów scenicznych przedwojennej literatury litewskiej, uchodzących za należące do pióra Landsberga-Žemkalnisa, Strazdas scharakteryzował jako plagiaty, dając na to dowody, powołując się na twierdzenia i listy właściwych osób, zresztą dziś przeważnie nieżyjących. Syn Landsberga-Žemkalnisa dowiedział się o tym referacie i zarzutach Strazdasa i stając w obronie honoru ojca pozwał go przed sąd honorowy, ukonstytuowany w osobach prof. Krėvė-Mickiewicza, uproszonego przez Landsberga, i prof. Janulaitisa, uproszonego przez Strazdasa, oraz mnie w charakterze superarbitra. Dziś wieczorem w gabinecie rektorskim była wyznaczona rozprawa. W charakterze świadków z ramienia Landsberga byli wezwani: prof. Michał Biržiška, prof. Wacław Biržiška i Żyd, pracownik asekuracji i handlowiec Arbitblat. Rozprawa jednak do skutku nie doszła, albowiem zaszła potrzeba załączenia do sprawy całego referatu Strazdasa, a prócz tego Strazdas ma jeszcze zgłosić inne dokumenty i wskazać świadków. Wobec mojego wyjazdu do Szwecji i do Bohdaniszek – rozprawa została odroczona do mojego powrotu w drugiej połowie kwietnia.

17 marca, rok 1936, wtorek

Zbliża się już mój wyjazd do Szwecji, który ma nastąpić pozajutro. W związku z tym narasta w moim trybie życia nastrój nerwowy. Przygotowania do wyjazdu, porządkowanie odczytów, różne zajęcia na uniwersytecie, które muszą być zakończone przed odjazdem, nagromadzają się jak zator lodowy na rzece. Zacząłem się ćwiczyć w odczytywaniu głośnym po niemiecku mego odczytu na Święto Bałtyckie w Sztokholmie, który mi przetłumaczyła na niemiecki panna Enbergaitė w Ministerium Spraw Zagranicznych. Przekonałem się jednak, że odczytywanie po niemiecku dłuższego odczytu będzie dla mnie trudne i że na tym czytaniu moim dużo straci wartość odczytu. Zdecydowałem się przeto na zmianę radykalną: zamiast tego odczytu niemieckiego wygłoszę odczyt francuski – mianowicie ten sam, który w grudniu w Paryżu wygłosiłem w Dotation Carnégie. Temat pasuje doskonale.

Kupiłem już walutę szwedzką i „register-marki" niemieckie, obstalowałem bilet kolejowy do Sztokholmu. Klasyfikuję rzeczy do Szwecji i do Bohdaniszek, dokąd wprost ze Szwecji się udam.

18 marca, rok 1936, środa

Mam już wszystko. Jestem do wyjazdu gotów. Jutro ruszam w drogę. Otrzymałem depeszę od posła litewskiego Sawickiego w Sztokholmie, że program, który z nim w Kownie ustaliliśmy, jest przyjęty, zatem pierwszy mój odczyt na uniwersytecie w Lundzie odbędzie się w sobotę 21 marca. Sawicki dodaje, że należy zabrać do Szwecji frak, smoking, żakiet i czarną marynarkę, słowem, całą garderobę, oraz ordery.

Wieczorem na pożegnaniu poszliśmy z Jadźką do kina. O Jadźce chciałbym nieco napisać w dzienniku. Zrobię to może w Bohdaniszkach.

19 marca, rok 1936, czwartek

Dzień wyjazdu na wycieczkę odczytową szwedzką. Porządkowanie się, odkładanie rzeczy do zabrania do Szwecji i do wysłania do Bohdaniszek, powtarzanie mów szwedzkich po francusku, dziennik wczorajszy, dokończenie lektury z Jadzią, spisanie budżetu na kwiecień i zlecenie finansowe Jadzi – zabrały mi ranek. W uniwersytecie jeszcze urzędowałem dzisiaj. Załatwiłem sprawy bieżące i kilka okazyjnych – w szczególności dałem wskazówki prorektorem, którzy mię będą zastępowali, sekretarzowi prof. Purėnasowi co do wykonania uchwał ostatniego posiedzenia senatu, naczelnikowi kancelarii Furewiczowi. Udzieliłem wskazówek co do redakcji komunikatu prasowego w przedmiocie odparcia zarzutów, które na uniwersytet był w swoim czasie skierował prof. Šivicki i które zostały przez stwierdzenie akademickiego sądu dyscyplinarnego obalone. Podpisałem też list do prof. Jakubėnasa, dziekana Wydziału Ewangelicko-Teologicznego, informującego go o skierowanych doń zarzutach plagiatu, co jest rzeczą bardzo niemiłą.

Po obiedzie w domu poszedłem jeszcze z Jadźką na pożegnanie na czekoladę, którą ona bardzo lubi, do cukierni „Aldona", i o godz. piątej, odprowadzony przez Jadzię i Andrzeja, udałem się na dworzec kolejowy. Tym razem wyjeżdżam w dobrym usposobieniu i spokojny. Nie czuję tej troski i niepokoju, które mię trawiły przy wyjeździe w grudniu na odczyty uniwersyteckie do Paryża. Widocznie powodzenie tamtych odczytów dodało mi otuchy. Nie mam żadnej tremy. Może nawet zbyt spokojny jestem. Oby tylko to nie był zły omen. Lepiej jest raczej trochę niepokoju, niż zbyt wielka pewność siebie.

Jadę do Berlina w wagonie sypialnym. Po drodze powtórzyłem sobie przemówienia cztery, które przygotowałem na zagajenie do czterech odczytów. Są to przemówienia zawierające komplementy dla Szwedów i uniwersytetów szwedzkich w czterech wariantach. Zresztą Szwecja warta komplementów, które będą najzupełniej szczere w moich ustach.

Na granicy w Eytkunach załatwiłem gładko wszystkie formalności – paszportowe, celne i walutowe. W obecnych czasach podróż i przejazd przez granicę są pełne komplikacji. Między Wystrucią (Insterburgiem) a Królewcem położyłem się spać.

20 marca, rok 1936, piątek*

21 marca, rok 1936, sobota*

22 marca, rok 1936, niedziela

Dzień, poświęcony Danii. Nie znałem krajów skandynawskich, o ile do Skandynawii nie należy Finlandia, którą znam nieźle z moich wycieczek dwukrotnych. Z całej Europy nie znałem dotąd i nie byłem nigdy tylko w trzech krajach skandynawskich (Szwecja, Norwegia i Dania) i na Półwyspie Pirenejskim (Hiszpania, Portugalia). Co prawda, podczas mojej zeszłorocznej podróży arktycznej po Finlandii miałem sposobność wkroczenia na terytorium norweskie pod Költakonges nad rzeką Paatsjoki w okolicach dalekiego portu podbiegunowego Kirkenes. Ale wstąpienie na ten mały skrawek terytorium norweskiego na Dalekiej Północy, wstąpienie zresztą zupełnie okolicznościowe, trudno uważać za bytność w Norwegii. Ze Skandynawii poznam obecnie Szwecję ze Sztokholmem, Uppsalą, z prowincją Skanii z jej Atenami w Lundzie, jej płucami w Malmö. Zaprojektowałem jednak skorzystać z tej okazji, żeby wstąpić choć na chwilę do pobliskiej Danii i okiem rzucić na Kopenhagę, do której z Malmö jest bliziutko. Wycieczkę tę wyznaczyłem sobie właśnie na dziś. Z Malmö do Kopenhagi jedzie się statkiem 1 ½ godziny. Konsul generalny litewski w Kopenhadze był już o moim przyjeździe powiadomiony. Wczoraj konsul litewski w Malmö p. Streiffert porozumiał się z nim telefonicznie, że przyjadę dziś o godzinie pierwszej po południu. Miałem więc rano trochę czasu w Malmö na powtórzenie moich przemówień i na kawiarnię. O godzinie 1.30 udałem się na przystań i wsiadłem na statek Öresund. Jadę bez rzeczy, które zostawiłem w hotelu Kremmer i które mi stamtąd zostaną dostarczone wprost do wagonu sypialnego na dworcu kolejowym w moim przejeździe z Kopenhagi do Sztokholmu. Parowiec „Öresund" duży i ładny, pełny był publiczności, udającej się do Kopenhagi na wycieczkę niedzielną. Dla Malmö Kopenhaga jest miejscem wycieczek i atrakcji świątecznych. Że publiczności było dużo – tym lepiej: ciekawie się przyglądać Skandynawom. Słynne są z piękności Szwedki o delikatnej cerze, blondynki subtelne. Rzeczywiście niemało ładnych tego typu się widzi, chociaż oczywiście są rozmaite. Spędziłem całą podróż na pokładzie. Pogoda była prześliczna, słoneczna, świeża, wiosenna. Rzeczywiście pogoda mi znakomicie sprzyja w tej wycieczce skandynawskiej dotąd (nie urzekając). Morze było spokojne i piękne, fale jeszcze mniejsze, niż w przejeździe z Sasconity do Trälleborge. Ani się spostrzegłem, jak się zaczął rysować brzeg duński i wyrastać sylwetka Kopenhagi, która jest największym miastem Skandynawii, mimo że Dania, która kiedyś była wielką panią Skandynawii jako władczyni Norwegii i szwedzkiej obecnie Skanii, a na południu panująca na Szlezwiku i Holsteinie, dziś jest najmniejsza z krajów skandynawskich. Piękny i wspaniały jest wjazd parowcem do Kopenhagi. Oto już przystań. Schodzimy. Komora celna – nie mam rzeczy żadnych. Rewizja paszportów u przejścia na miasto. Pasażerowie z krajów skandynawskich – Szwedzi, Norwegowie, Finowie – przechodzą mimo: nie ma dla nich wiz i meldowania paszportów. Inni muszą się legitymować wizami paszportowymi. Ja należę do tych innych. Gdy urzędnik ogląda i stempluje mój paszport – widzę za nim dwoje ludzi: starszy pan siwy i suchy i młoda kobieta wysoka i przystojna; kobieta zagląda przez ramię urzędnika do mego paszportu i daje znak porozumiewawczy starszemu panu. Domyślałem się, że to konsul generalny litewski w Danii, Duńczyk p. Björne Nielsen, ale czyżby mię spotykał z żoną? To mię dziwi. Urzędnik zwraca mi paszport, przechodzę. Tak, to konsul. Młoda kobieta zwraca się do mnie i przemawia... po litewsku. Ta młoda panienka to sekretarka konsula generalnego.

Nazywa się panna Goebling, urodzona jest w Moskwie z ojca Rosjanina o pochodzeniu niemieckim, z matki rodowitej Dunki; po wojnie jej rodzina z dziećmi, uciekając od rewolucji, udała się do Danii, stamtąd pojechali do Kowna; jej ojciec uzyskał obywatelstwo litewskie; panna Goebling skończyła w Kownie gimnazjum niemieckie; rodzina jej przeżyła tragedię: matka umarła, ojciec zbankrutował na jakichś przedsiębiorstwach, był podobno człowiekiem bardzo zacnym, powiesił się, pozostały trzy córki sieroty. Panna Goebling, która dzięki matce Dunce znała język duński, udała się dla chleba do Kopenhagi, pracowała jako korespondentka w dziennikarstwie, od roku zaś otrzymała posadę sekretarki u konsula generalnego p. Nielsena, który jako Duńczyk sam po litewsku nie umie. Jest bardzo miła, grzeczna panienka, robi wrażenie łagodnej, zdyscyplinowanej. Jest dystyngowana i ładna. Konsul p. Nielsen, przemysłowiec zajmujący się dużymi operacjami handlowymi z Islandią, bogaty Duńczyk, człowiek kulturalny, dżentelmen, starszy pan o rysach twarzy szlachetnych i przystojnych, bardzo zrównoważony, spokojny. Oboje poświęcili mi cały swój czas w ciągu mojego pobytu w Kopenhadze do godziny siódmej wieczorem. Przede wszystkim, powieźli mię automobilem na dłuższą i niezwykle piękną wycieczkę w okolice Kopenhagi. Jechaliśmy wpierw trochę przez miasto, przez dziedziniec pałacu królewskiego, prześliczną promenadę drogi, wijącej się wzdłuż wybrzeża morskiego i poprzez przedmieście aż do wspaniałego olbrzymiego lasu bukowego w Klampenborgu, stanowiącego własność państwową, niegdyś miejsce polowania królewskiego. Ten las u samej stolicy, miejsce masowych wycieczek, zwłaszcza świątecznych i zwłaszcza letnich – to jeden z prawie cudów Kopenhagi. U wjazdu do lasu wysiedliśmy z auta i konsul najął śliczny wielki faeton, zaprzężony w parę rosłych tęgich koni, chyba oldenburgów. W tym faetonie przejechaliśmy się po lesie. Teren w lesie pagórkowaty, bardzo urozmaicony, buki – rozłożyste, olbrzymie, las bez podszycia, gdzieniegdzie dęby, są też szkółki młodych buków, są też zarośla jakichś niższych drzew, których nie znam, a które, jak mię poinformowano, pokrywają się całe kwieciem białym lub czerwonym. Są też w tym olbrzymim lesie wielkie łąki lub pastwiska. Jedną z osobliwości lasu w Klampenborgu są wielkie stada jeleni, saren, gazeli, bodajże i łosiów, które tu biegają i pasą się swobodnie, a ludzi się nie lękają wcale, bo nikt im tu krzywdy nie robi. Parę takich stad po kilka setek sztuk zwierzyny widzieliśmy przechodzących w pobliżu. W lesie nawet o tej porze roku dużo w niedzielę publiczności. Buki w tym lesie są czerwone, tylko że teraz są oczywiście bez liści. Podobno to najpiękniejszy las bukowy na świecie. Dojechaliśmy do dawnego królewskiego pawilonu myśliwskiego w lesie i wróciliśmy inną drogą. Znów automobilem stamtąd konsul Nielsen zawiózł mię do miejscowości podmiejskiej Outrup, zabudowanej przez wille i domki w ogrodach, przeznaczone na mieszkania dla jednej rodziny, gdzie w oryginalnym ładnym domku mieszka córka konsula z młodym mężem przemysłowcem i dziećmi. Domek od ulicy jest bez okien i wygląda oryginalny. Wewnątrz śliczne ma pokoje i bardzo bogato umeblowany. Obrazy na ścianach, kominek ceglany w saloniku, wszędzie dywany i futra na podłodze, dużo mebli miękkich i wygodnych, zakątki, biureczka, kantorki, drobne sprzęty i cacka... Przyjęto nas vermouthem, jakimś trunkiem z pomarańczy, likierem duńskim. Wpisałem się do albumu gościnnego, porozmawiałem z gospodarzami. Ubiegłego lata konsul Nielsen po śmierci żony spędził wakacje z córką i jej rodziną w Litwie w kurorcie nadmorskim w Nimersecie między Połągą a Kłajpedą. Jest cały album fotografii stamtąd wykonanych przez jego zięcia, a dwie starsze wnuczki konsula na powitanie umieją powiedzieć po litewsku „laba diena”. Stamtąd kolejką podmiejską elektryczną wróciliśmy do Kopenhagi, przeszliśmy się kilku ładnymi ulicami, oglądając z zewnątrz ciekawsze gmachy i pomniki, aż wreszcie konsul z panną Goebling zaprowadzili mnie, już mocno wygłodniałego, na obiad do najwspanialszej luksusowej restauracji Vivex, gdzieśmy spożyli obiad. Kopenhaga – wspaniałe ogromne miasto, jak wielki pan. Po obiedzie już się zbliżała pora odjazdu mego. Przeszliśmy się jeszcze trochę i wreszcie odprowadzony zostałem na dworzec kolejowy. Mam już bilet i miejsce w wagonie sypialnym. Odjechałem i

niebawem pociąg znów, jak w Sassnitz, wlazł do środka wielkiego parostatku, a pasażerowie udali się do restauracji, kawiarni lub innych sal i gabinetów parowca. Spotkałem na statku młodego Malinbörge, mojego wczorajszego znajomego z Lundu. W Malmö przyniesiono mi z hotelu Kremer moje walizki. Miejsce sypialne w wagonie są w Szwecji bardzo wygodne i tanie (10 koron szwedzkich = ± 15 litów naszych za noc bez względu na odległość, w II klasie naturalnie, nie licząc biletu jazdy). Konsul p. Nielsen darował mi ładną ilustrowaną książkę po francusku o Danii.

23 marca, rok 1936, poniedziałek

O godzinie w pół do ósmej byłem już na nogach, doskonale wyspany. Przez całą noc nie budziłem się i nie wstawałem wcale. Pościel w wagonie sypialnym była bardzo wygodna, nie było wcale duszno ani gorąco. Byliśmy już w pobliżu Sztokholmu. Gdym z przedziałku sypialnego, gdzie było ciasno, wyszedł na korytarzyk wagonu, uderzyło mię wielkie wiosenne światło słoneczne i śnieg pokrywający ziemię. W okolicach Malmö i Lundu, pod Kopenhagą – śniegu nie widziałem wcale, choć na mniejszych kanałach i sadzawkach w Kopenhadze jest jeszcze warstewka lodu zimowego. Na Pomorzu pruskim i na wyspie Rugii widziałem resztki śniegu na odkosach rowów i jam. Na wschód od Berlina i u nas pod Kownem nie ma śladu śniegu. Pod Sztokholmem jeszcze cała niemal ziemia pod śniegiem, choć już sanny nie obserwowałem na drogach. Dwie rzeczy, podjeżdżając do Sztokholmu, zwróciły moją uwagę: wielka ilość lasów, które są tutaj przeważnie iglaste i zupełny niemal brak przedmieść. Do samego miasta jest szczera wieś, a potem nagle, jak ściana obcięta, wyrasta z próżni wiejskiej wielkie miasto kamienic. Przed miastem w lesie widzi się gdzieniegdzie wille i domki mieszkalne podmiejskie, na polanach z uprawną ziemią – fermy gospodarskie. Jedne domki są murowane, inne, jak w Finlandii, drewniane i malowane na kolor burakowy lub inny z ramami okiennymi, malowanymi na biało. Przyjeżdżamy do Sztokholmu z opóźnieniem. Na dworcu spotykają mię: zacny profesor Curman, który jest prezesem Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego i jednym z głównych organizatorów Święta Bałtyckiego, poseł litewski minister Sawicki i sekretarz poselstwa, mój były student Žilionis, konsul litewski (Szwed) i pewien docent, którego spotkałem w Kownie (nazwiska nie pamiętam). Poseł Sawicki zawozi mię do swego mieszkania przy ulicy Narvavägen, gdzie będę mieszkać. Wygodnie mi będzie u niego. Mieszkanie nieduże, kilka pokoików i gabinet od frontu, jadalny nieco w głębi, a z jadalnego korytarz prowadzi do kuchni; z jadalnego pokój sypialny Sawickiego i pokój sypialny gościnny, który będzie moim, z osobną toaletą, wanną i ustępem. Poseł Sawicki – człowiek bardzo kulturalny i światły, literat subtelny, były dyrektor teatru państwowego w Kownie. Ma dorastających synów, ale nie przy sobie; z żoną, która jest w Kownie, rozstaje się, w Sztokholmie mieszka po kawalersku, ma kucharkę i służącą Szwedkę, służąca jest bardzo zaufana, gospodarna i miła, jak w domu samotnego mężczyzny, ale nie mówi ani słowa inaczej, jak po szwedzku. Zastajemy już w mieszkaniu fotografa, który nas z ministrem Sawickim fotografuje i już w dzienniku popołudniowym „Nya Dagligt Allehanda" ukazuje się po obiedzie nasza fotografia na miejscu naczelnym. O godzinie pierwszej jedziemy z posłem Sawickim na śniadanie do prof. Curmana. Śniadanie ciche, domowe w dziewięć osób, włącznie z gospodarzem i jego żoną. Jest wiceprezes Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego, ten sam docent, który był na stacji, dwóch młodych asystentów z uniwersytetu, dyrektor jakiejś szkoły. Nastrój miły i bardzo serdeczny, który szczególnie serdecznym czyni sam p. Curman, wielki przyjaciel Litwy i człowiek bardzo zacny i ludzki. Prof. Curman (wymawia się po szwedzku: Cürman) – mieszka bardzo skromnie. Był jeszcze przed laty kilku człowiekiem bardzo bogatym, miał dwa miliony koron kapitału, miał mieszkanie o 14 pokojach. Katastrofa finansowa miliardera Kreugera, który zbankrutował na olbrzymich przedsiębiorstwach i odebrał sobie życie (była to rzecz głośna i u nas, bo Kreuger stał na czele koncesji monopolu zapałkowego w Litwie), pochłonęła całą fortunę Curmana. Curman zniósł

cios finansowy filozoficznie. Stracił kapitał, stracił dwa majątki ziemskie i kamienice. Dziś mieszka w małym mieszkanku i nawet jadalnego pokoju nie ma. Lunch był podany w gabinecie, stanowiącym razem bibliotekę. Curman jest zwierzchnikiem wszystkich archiwów i muzeów w Szwecji. Kulturalny to i światły człowiek. Po lunchu minister Sawicki odprowadził mię do domu. Obejrzeliśmy jeszcze wielki i ciekawy, wzorowo urządzony zakład kąpielowo-gimnastyczny publiczny z ogromnym basenem do pływania, łaźniami różnych typów, salami gimnastycznymi i sportowymi, gabinetami do masażu itp. Oprowadzała nas młoda Szwedka, usługująca w zakładzie czy też instruktorka, piękna dziewczyna, stylowa i typowa jako Szwedka, uważna i spokojna, rozsądna, dobrze wygimnastykowana, chłodna, ubrana w luźne ubranie sportowe o szerokich spodniach piżamowych. Wieczór miałem do dyspozycji własnej. Przeszedłem się po mieście do ulicy wielkich magazynów i ruchu – Kungsgatan – i wróciłem do domu. Spać poszedłem dosyć wcześnie. Jutro będzie pracowity dzień. Będzie wieczorem wielkie Święto Bałtyckie – fraki, ordery, mój odczyt, koncert, różne mowy, zabawa. Obecny ma być książę Gustaw-Adolf, następca tronu szwedzkiego.

24 marca, rok 1936, wtorek*

25 marca, rok 1937, środa

Zacznę od wczorajszej uroczystości Święta Bałtyckiego. Odbyła się ona w wielkich apartamentach Grand Hotelu. W wielkiej złoconej sali zaczęła się zbierać świetna publiczność. Panie, eleganccy panowie dygnitarze, młodzież. Wielki świat szwedzki. Nie było to tylko szczupłe grono ściślejszych przyjaciół krajów bałtyckich, ale szeroka publiczność całej śmietanki stolicy, zwabiona zapowiedzianą obecnością księcia królewskiego następcy tronu – Gustawa-Adolfa z żoną. Ta obecność „Kronprinca" dodała wielkiego blasku uroczystości, co stanowi wielki atut propagandowy idei zbliżenia szwedzko-bałtyckiego, której poświęcone są te Święta Bałtyckie coroczne, zainicjowane w roku ubiegłym. Niewątpliwie, jak to zaobserwować mogłem, takie święto ogromnie popularyzuje w Sztokholmie myśl zbliżenia z krajami bałtyckimi. Jest to znakomity środek propagandy. Propaganda ta jednak robi stopniowo postępy i choć powoli – krystalizuje się jednak coraz bardziej. Tak wczoraj, jak już poprzednio i nadal z szeregu rozmów i spostrzeżeń jestem w stanie stwierdzić, że idea zbliżenia skando-bałtyckiego albo może tylko szwedzko-bałtyckiego, zdobywa teren w Szwecji i nie jest już tylko dalekim marzeniem. Ale o tym pomówię już innym razem, może już po moim powrocie ze Szwecji, bo na razie chcę przede wszystkim zreferować fakty.

Wielka piękna sala Grand Hotelu szybko się zaczęła napełniać gośćmi. W pierwszym rzędzie dostawionych foteli, w których zajęli miejsce tylko dyplomaci krajów bałtyckich – posłowie litewski, łotewski i estoński, kilku wysokich urzędników jako przedstawicieli rządu i przewodniczący na niniejszej uroczystości p. Hildebrand – wyróżniały się w środku dwa fotele luksusowe szczególne, oddzielone od innych małą przerwą, przeznaczone dla królewskiego księcia, Gustawa-Adolfa, następcy tronu szwedzkiego, *in spe* króla, i jego małżonki, rodem księżniczki angielskiej. Już przy wkroczeniu naszym na salę dowiedziałem się, że książęca para następców tronu, która zachowuje punktualność doskonałą, jest obecna. Na razie jednak, nim goście napływali, para królewska bawiła w apartamentach gościnnych. Niebawem wszyscy zajęli miejsca i całe zebranie się uporządkowało (jest to dodatnia cecha dyscypliny społeczno-towarzyskiej krajów monarchicznych) – i książę następca tronu z małżonką wkroczyli z drzwi bocznych na salę. Cała publiczność wstała z miejsc i gdy książę z żoną usiedli w swych fotelach, publiczność siadła także. Odbyło się to wszystko w ciszy zupełnej bez żadnych manifestacji. Książę Gustaw-Adolf był we fraku, jego żona w jasnej sukni obramowanej futrem. Książę wygląda na swój wiek bardzo młodo, zdaje się być lat 35,

choć liczy lat 54, jest bardzo wysokiego wzrostu, ma figurę męską doskonałą, o długich nogach, wygimnastykowany, spojrzenie ma otwarte i przenikliwe. Księżna – przystojna jeszcze, twarz ma drobną i suchą, nerwową, wzrostu raczej wyżej niż średniego, ma w twarzy wdzięk i spokój, kojarzący się z wyrazistością. Rozpoczęto wnet program uroczystości. P. Hildebrand zapowiedział program i zaraz śpiewak Opery królewskiej szwedzkiej w Sztokholmie p. Carl Richter rozpoczął część wokalną programu. Solista ten ma głos potężny. Wykonał trzy utwory szwedzkie. Z kolei wstąpił na trybunę prezes Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego, wierny rzecznik ideologii związku skando-bałtyckiego p. Sigurd Curman, który wygłosił po szwedzku referat sprawozdawczy o akcji szwedzko-bałtyckiej w roku 1935. W toku swego referatu zwrócił się on w pewnym ustępie po francusku do mnie, wyrażając mi uznanie i podziękowanie za przyjazd do Szwecji na to święto dla wygłoszenia odczytu. Po referacie Curmana wystąpiła para artystów łotewskich – mężczyzna prof. Nicolai Grandon na wiolonczeli i przystojna młoda brunetka, zdaje się – jego żona, p. Hanna Frendberg-Grandon, u fortepianu, która wykonała trzy utwory muzyczne łotewskie. Przyszła kolej na mnie. P. Hildebrand zagaił, wzywając mię do wygłoszenia odczytu. Siedziałem w drugim rzędzie, to znaczy za dostawionymi fotelami honorowymi, prawie że bezpośrednio za księżną następczynią tronu. Choć obok księżnej, której fotel był oddzielony od rządu regularnego foteli honorowych, przez to samo było miejsce do przejścia, ale etykieta wymaga, aby obok osób królewskich nie przechodzić ocierając się o nie. Wstałem więc i przeszedłem naokoło wzdłuż rzędu drugiego. Wszedłem na estradę i powitany oklaskami stanąłem u pulpitu. „Altreus Royales” – zacząłem, skłaniając głowę w kierunku pary książęcej, po czym, po krótkiej pauzie dla zaznaczenia rozdziału między parą dostojną a ogółem publiczności, dodałem: „Mesdames et Messieurs!”. Wypowiedziałem kilka zdań mojego przygotowanego i utrwalonego w pamięci przemówienia wstępnego, po czym rozłożyłem na pulpicie rękopis odczytu i wygłosiłem go. Już teraz nie był za długi i był całkowicie akademicki. Po ogłoszeniu odczytu wśród oklasków wróciłem na moje miejsce. P. Hildebrand w krótkim i bardzo ładnym przemówieniu mi podziękował i podkreślił walory moje jako wybitnego prawnika i męża stanu, który przeżył osobiście katastrofy społeczne Wielkiej Wojny, zdobył doświadczenie głębokie i mądrość społeczną, ukochał swój kraj i posiadł po wojnie nową Ojczyznę (w myśl pojęć tradycyjnych, utożsamiających Ojczyznę i naród z państwem narodowym niepodległym) i swoją wiedzę, mądrość i troskę oddaje do usług krajowi i tworzy dlań formy doskonalsze bytowania i związku. Alokucja Hildebranda znów mi dała oklaski i książę następca tronu dla podkreślenia swego uznania – odwrócił się w krześle do mnie i udzielił mi oklasków wyraźnie *ad personam*. Następnie wystąpiła ładna śpiewaczka estońska, panna Elfride Kopten. Na tym program był wyczerpany. Wstano z miejsca. Książę następca tronu odwrócił się do mnie, wyrażając oczywiście chęć, żeby mu mię przedstawiono. Wnet minister Sawicki mię przedstawił księciu, który długo i serdecznie mi dłoń ściskał i przez kilka dosyć długich minut rozmawiał ze mną, podczas gdy całe zgromadzenie stało bez ruchu. Książę wiedział o mnie z gazet, zresztą wiedział o moich odczytach grudniowych paryskich, rozpytywał mię o moich studiach, mówił o mojej wizycie w Szwecji. Sprawił na mnie wrażenie bardzo przyjemne. Jest bardzo kulturalny, jak cały dom królewski Bernadottów skandynawskich, jest poważny, zrównoważony, mądry. Pan całą gębą i uczony bez blagi. Książę Gustaw-Adolf, któremu wszystkie zagadnienia nauki i wiedzy społecznej nie są obce, kocha się szczególnie w archeologii i historii prastarej, a w prahistorii kultury Wschodu jest specjalistą i znawcą pierwszorzędnym. Starożytności chińskie mają w nim znawcę poza wszelką konkurencją. Po rozmowie przedstawił mię książę swojej żonie, która stała opodal odwrócona do nas i jakby chcąca także coś powiedzieć. Ucałowałem rękę księżnej i niebawem oboje księstwo odeszli, opuszczając zebranie. Publiczność wylała się do sal i korytarzy sąsiednich, a służba tymczasem zestawiła na wielkiej sali stoły wielkiego bankietu. W tym antrakcie obstąpili mię Litwini, którzy tu są na studiach lub pracują w poselstwie.

Poselstwo litewskie ma tu personel nieliczny – prócz ministra Sawickiego jest sekretarz Žilionis i panienki młode Litwinki (jest jeszcze pewna Szwedka czy Dunka). Studentów Litwinów, stypendystów rządu litewskiego, jest na studiach w Szwecji czterech: dwaj w Instytucie Weterynaryjnym, jeden – w Szkole Leśnictwa i jeden – na Uniwersytecie w Uppsali. Wszyscy ci młodzi studenci posiadają już język szwedzki, oswoili się i dobrze wycywilizowali, robiąc bardzo dobre wrażenie ludzi kulturalnych, zdyscyplinowanych, doskonale się prezentujących.

26 marca, rok 1936, czwartek

Jestem już w relacji spóźniony. Pozawczorajsza uroczystość Święta Bałtyckiego przekroczyła ramy swego dnia w dzienniku, ale pomimo to wrócę do niej jeszcze. W zanadrzu mam już dzień wczorajszy i dzisiejszy z ich nowymi wrażeniami. Podczas wielkiego bankietu na Święcie Bałtyckim wypadło mi siedzieć między Hildebrandem i dyrektorem Opery królewskiej; wygłoszono szereg mów i toastów. W szczególności przemawiali gospodarze uroczystości, następnie przemawiali (również po szwedzku) posłowie litewski (Sawicki), łotewski (Sēja, ale nie krewny posła łotewskiego u nas) i *chargé d'affaires* estoński, także sekretarz generalny Ministerium Spraw Zagranicznych p. Günther, wiceprezes Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego p. Sjövell, stary senator Lindleagen, wielki przyjaciel krajów bałtyckich i ideolog formalnego związku skando-bałtyckiego i kilku innych jeszcze – jedni programowo, inni *ex promptu*. Przede wszystkim, przed wszelkimi mowami zgłoszono tradycyjny i niezbędny toast za króla. Był też toast za prezydentów rzeczpospolitych bałtyckich. Przed każdym toastem i przemówieniem programowych grzmiały fanfary, zapowiadające uroczyście odpowiednie wystąpienie. Ponieważ przemawiano po szwedzku, więc tekstu szczegółowo rozumieć nie mogłem, ale ze skrótów, którymi komunikowano, wiem, że wszystkie przemówienia były skierowane do krajów i narodów bałtyckich – Estonii, Łotwy i Litwy – i wszystkie wyrażały uznanie serdeczne i zapowiadały zbliżenie i dążenie do związku szwedzko-bałtyckiego czy skando-bałtyckiego. W kilku przemówieniach wzmiankowano moje imię i mój referat, wygłoszony na święcie. Zdaje się, że referat ten, który w swoim czasie był rewelacją o związku bałtyckim dla Francuzów, i tu zrobił wrażenie. Dowiedziano się o tym związku więcej, niż się spodziewano i domyślano po nim. W ogóle trzeba przyznać, że takie Święto Bałtyckie jest znakomitym środkiem propagandy. Kilka lat pracowano nad zorganizowaniem tej imprezy, która nareszcie w roku zeszłym została po raz pierwszy wykonana. Szczególnie dodatnie jest to, że zdołano nadać temu świętu wielką uroczystość i pompę, działającą na imaginację. Jest to doskonała popularyzacja idei. Mam wrażenie, że w Szwecji – zwłaszcza w Sztokholmie – budzić się zaczyna szczególny prąd filobałtycki, który ma w sobie coś z reminiscencji historycznych, dotyczących roli Szwedów na wschodzie. Po obiedzie, który upłynął w atmosferze serdecznej, publiczność się rozeszła po salonach, w których pito kawę, herbatę, alkohol, po czym na uprzątniętej sali rozpoczęły się tańce. Zabawiłem do pierwszej. W szczególności omówiłem ze Szwedami kwestię ich udziału w zapoczątkowanych przez nas konferencjach międzybałtyckich Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej. Chętnie wezmą oni w nich udział, choćby na razie w roli obserwatorów. Trzeba im tylko zaproszenia posłać.

Nazajutrz po Święcie Bałtyckim, to znaczy wczoraj, miałem dzień bez odczytu; był on jednak całkowicie zapełniony. Rano przyszedł do mnie Curman, który mię zaprowadził do wielkiego i słynnego na cały świat parku etnograficznego w Sztokholmie, zwanego Skansen, założonego przed laty 50 na rozległej wyżynie skalnej przy samym mieście. Jest to bardzo ciekawe i piękne dzieło. Odtworzone są domki, zabudowania mieszkalne i gospodarskie różnych dzielnic Szwecji i różnych stanów, wnętrza domów, urządzenia charakterystyczne, fragmenty starych miast, kościółka, dworki, kamienie runiczne, dzwonnice, świronki, młynki, studnie, chlewy z inwentarzem żywym, płoty, zagrody itd. z różnych epok i stron od Skanii na

południu, łączącej Szwecję z Danią, aż do dalekiej Laponii na północy i gór szwedzkich. Cała kultura obszernej Szwecji, cały świat obyczajowy w jego ewolucji, całe wnętrze różnorodne tradycji, zwyczajów, zawodów, strojów, tworzenia i doskonalenia urządzeń – wszystko tam jest reprezentowane. Jest to wielkie muzeum cywilizacji w naturze, znakomita akademia dla studiów, prawdziwy skarbiec obiektów dla nauki, a razem znakomita atmosfera rzeczy swojskich z całego kraju dla mieszkańców miasta, którzy w Skansen mają miejsce spacerów w otoczeniu krajowym. Zespala to ich z całym krajem, oswaja z tym, czego w mieście skądinąd nie widzą. Jest to szkoła obywatelska, szkoła zrastania się ludności specyficznie stołecznej z całą Ojczyzną. Oglądając urządzenia gospodarskie wiejskie, także dworki ziemiańskie z ich wnętrzem – widziałem bardzo dużo rzeczy, urządzeń, zabudowań, mebli po dworkach, świronków włościańskich itd. – bardzo podobnych do naszych. Ma się wrażenie, że zaiste istniała długa i mocna specyficzna cywilizacja bałtycka, w której współpracowały elementy skandynawskie, fińskie i litewskie. Była to wielka i szczególna gałąź regionalna Europy Północno-Wschodniej. I wszystko to nie jest jeszcze zupełnie umarłe. Czasem chodząc po tych zagrodach i dziedzińcach włościańskich w Skansen może się zdawać, że się chodzi po wioskach litewskich, a wnętrza dworków szlachecko-ziemiańskich; meble, urządzenia i rozkład pokoi itd. – zdumiewająco nieraz przypomina nasze wnętrza dworskie sprzed wojny. Szkoda, że adepci nauki etnografii, która jest jeszcze tak młoda, nie jadą od nas na studia do Skansen. Mieliby tu materiał ogromny dla studiów i pracy. Są tu premisy do wniosków, które z pewnością będą bardzo ciekawe i owocne o przyszłości. Przy parku Skansen jest też niewielki dział żywej fauny szwedzkiej – renifery, niedźwiedzie, łosie, sarny, wilki nawet, foki, bobry, inne zwierzęta leśne, rzeczne i morskie, żubr także; są i krowy północne, owce, dużo ptactwa wodnego. Wracając ze Skansen, wstąpiliśmy z p. Curmanem do muzeum tzw. historycznego, poświęconego czasom od Reformacji. Zajrzeliśmy do niego tylko przelotnie. Składa się ono przeważnie z dwóch rodzajów zbiorów: strojów ludowych i pamiątek oraz zabytków królewskich i rycersko-wojennych. Budzi to uczucie historyczne wielkości Szwecji, jej wspaniałości czynnej i znakomitej, jej duchu wojennego i rycerskiego. Mało który naród miał taką epopeję wielkości czynów wspaniałych, co Szwecja – dziś taka spokojna i taka zrównoważona.

Tegoż dnia we środę wieczorem odbył się u ministra Sawickiego obiad proszony na moją cześć, czyli z okazji mojego przyjazdu. Zaproszonych było osób przeszło dwadzieścia. Ponieważ minister mieszka tu bez żony – towarzystwo było wyłącznie męskie. Zwyczajem szwedzkim, wszyscy stawili się punktualnie, wszyscy naraz – co do minuty, ani minuty przed wskazaną godziną, ani minuty po. Wszyscy byli w smokingach, który tu jest strojem wieczorowym nie tylko zebrań proszonych męskich wyłącznie, ale w ogóle wszystkich proszonych prywatnych. Oto niektórzy goście tego obiadu: Curman, wiceprezes Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego, Sjövell, Hildebrand, rektor uniwersytetu w Uppsali Engeströmer, rektor Szkoły Wyższej w Sztokholmie prof. Tunberg, profesor teorii państwa z tejże Wyższej Szkoły Tingsten, docent Schück ze Sztokholmu (ze starej rodziny żydowskiej o mocnych tradycjach i kulturze szwedzkiej, syn długoletniego rektora i znanego uczonego z Uppsali), senator Lindhagen, filolog prof. Bilander z Uppsali – trochę lituanista, filolog-slawista – ale też lituanista prof. Ekblon z Uppsali, rektor Instytutu Weterynaryjnego prof. Schlastadt, sekretarz stanu z Departamentu Oświaty Knös, młody kandydat Brandel, redaktor dziennika prorządowego socjalno-demokratycznego Pauli, dyrektor Biblioteki Królewskiej w Sztokholmie Collein i kilku innych.

27 marca, rok 1936, piątek

Dziś dzień uppsalski, ale ja dopiero ogarniam w dzienniku pozawczorajszy. Mianowicie jestem jeszcze na środowym obiedzie proszonym u ministra Sawickiego. Obiad był dosyć ożywiony. Wypito niemało, bo Szwedzi pić lubią bardzo, a zwyczaj przepijania do siebie

wzajemnie, podnosząc kielich na „skol" i patrząc sobie w oczy na znak kontaktu szczególnego, powiększa ilość spożytych kieliszków alkoholu, bo w zasadzie każdy wypija z każdym, czyli ostatecznie wszyscy ze wszystkimi. Zwyczajem też etykietalnym szwedzkim nie obeszło się bez przemówień. Sakramentalne przemówienie do gości szwedzkich i do mnie wygłosił gospodarz domu minister Sawicki, który przemawiał po francusku, choć nie bardzo umie po francusku (ale że jest zawsze jowialny, przeto braki językowe roli nie grają). To przemówienie sakramentalne gospodarza i odpowiedź mu kogoś z gości albo specjalnie tego, do kogo się gospodarz szczególnie zwraca, to jest specjalnie honorowane w przyjęciu, wygłasza się zresztą nie wstając z miejsca, ale z kieliszkiem w ręku i patrząc w oczy temu, do kogo się mówi. Odpowiedział ministrowi w końcu obiadu ktoś z gości, ja się nie fatygowałem, bo u swojego ministra jestem jak u siebie. Po obiedzie goście się porozchodzili po salonach i gabinecie. Popijano kawę, likiery, koniak, poncz szwedzki, gawędzono swobodnie w grupach i parami. Humory rosły, w czubach dymiło, temperament spokojny szwedzki, podniecony alkoholem, zaczynał grać. Po dłuższym czasie gospodarz poprosił znów do jadalnego „na śledzie". Była to nowa przekąska „*a la fourchette*", na stojąco, dobra okazja do wódki. Rozochocono się. Po tej też przekąsce nastąpiła część „koncertowa". Wykonawcą tego osobliwego koncertu stał się gruby 60-letni prof. Ekblon, często odwiedzający Litwę, lingwista i poniekąd lituanista (formalnie slawista), którego poznałem w roku ubiegłym latem w Kownie, ale się w nim nie domyślałem wesołego bibosza. Ma on usposobienie wesołe, mimo że jest uczonym porządnym i umie być poważny. Za to jego młode i burszowskie usposobienie, połączone z doskonałym sercem i wartością naukową, kochają go podobnie szczególnie i ubóstwiają studenci. Prof. Ekblon, dobrze podhumorzony, zaczął się popisywać piosenkami ludowymi i studenckim, zabawną modulacją głosu budząc śmiech wesoły słuchaczy, którzy się zebrali do kupy. Ekblon odśpiewał jakąś piosenkę włoską, akompaniując sobie do taktu zamiast tamburyna książką, którą uderzał siebie to po głowie, to po ręku, po kolanie, po stopie, wykonując odpowiednie podskoki niby taneczne. Koncertując był ucieszony i bawił się swoją grą temperamentu. Napisał on, poza swoimi pracami naukowymi, pełnymi powagi i waloru, niezgorsze opowiadania humorystyczne, podobno bardzo dowcipne i pełne aluzji, pod tytułem „Pędrak w trzeciej klasie". Goście rozbawieni rozeszli się dopiero o godz. pierwszej po północy.

Mój dzień wczorajszy, czwartek, był akademicki. Wyjazdy miały miejsce w Sztokholmie[24]. [Właściwie są tu uniwersytety tylko dwa, to jest mało. Oprócz dwóch tradycyjnych szwedzkich uniwersytetów w Lundzie i Uppsali, jest jeszcze sieć bogatych uniwersytetów ludowych. RektoraTunberga widziałem na obiedzie u Sawickiego. Rektor Tunberg, człowiek dość solidny, pochodzący z ludu, jest dobrym gospodarzem i bardzo dobrym administratorem. Rektor Tunberg zaprezentował mi swoją uczelnię. W jednym gmachu mieści się rektorat, sala posiedzeń, dziekanaty. Jest też gmach akademicki jak w Lundzie, z audytoriami, kawiarnią, restauracją, salami i gabinetami do gry, sportu itd. W gmachu administracyjnym są zbiory pochodzące z darów od wybitnych kolekcjonerów z obrazami wielkiej wartości artystycznej i pieniężnej wielkich artystów. Są to ogromne zbiory sztuki. Po obejrzeniu ich rektor zaprowadził mię do swego mieszkania, gdzie byłem zaproszony na lunch. Oprócz mnie i gospodarza rektora Tunberg było obecnych na lunchu jeszcze trzech profesorów, z których jeden, którego poznałem dnia poprzedniego, wykłada na Wydziale Prawniczym. Sam rektor Tunberg jest historykiem. Śniadanie upłynęło w przyjemnej atmosferze. Naturalnie, rektor Tunberg, jako gospodarz domu, przemawiał do mnie, przepijając, na co ja mu przy deserze odpowiedziałem także krótkim przemówieniem. Po obiedzie przeszliśmy do gabinetu na kawę z likierem. Tu nawiązała się między mną a dziekanem Heolityem i prof. Tingstenem rozmowa na temat sytuacji konstytucyjnej w Litwie,

[24] Od tego miejsca na przestrzeni około 20 dalszych wierszy tekst pisany ołówkiem jest prawie całkowicie starty, dlatego w kilkunastu miejscach odczytanie z konieczności będzie tylko kontekstowe.

jej ewolucji i czynników. Między prawnikami specjalistami był to temat fachowy.] Profesorów bardzo interesowało to, co im mówiłem. W ogóle sprawili oni na mnie wrażenie dodatnie. Niebawem rozeszliśmy się. O godz. ósmej przyjechał automobilem po mnie i ministra Sawickiego młody kandydat praw Bilden, który jest prezesem Towarzystwa Polityki Zagranicznej. Pod firmą tego bowiem Towarzystwa odbywał się mój odczyt w Szkole Wyższej. Zastałem rektora Tunberga, profesorów, którzy byli u niego na śniadaniu, prof. Curmana, Schücke, p Sjövella i innych. Publiczności na odczycie było ze 40-50 osób. Prezydent Towarzystwa młody kandydat Bilden ładnym językiem francuskim wygłosił zagojenie i zaprezentował mię audytorium. Starannie to opracowane przemówienie wygłosiłem ja, po czym odczytałem mój odczyt o „vacuum" w statucie Kłajpedy (powtórzenie dosłowne jednego z odczytów paryskich). Odczyt się podobał. Po odczycie ofiarowano mi w imieniu Towarzystwa Polityki Zagranicznej kolację w jednym z gabinetów restauracji studenckiej w domu akademickim. O kolacji tej opowiem jutro. Minister Sawicki, który nazajutrz odjeżdżał ze Sztokholmu, nie był na kolacji obecny. Dziś, gdym dzień spędzał w Uppsali, Sawicki odjechał na urlop miesięczny na południe Francji do Mentony. Teraz pozostałem w jego mieszkaniu sam jeden pod opieką gościnnej i rządnej fröhin (panny) Elzy. Wygodę mam w tym mieszkaniu wielką.

28 marca, rok 1936, sobota

Cofam się jeszcze do dnia pozawczorajszego. *Je suis en retarde*. Kolacja w domu akademickim po odczycie moim. [W gabinecie rolę gospodarza domu pełnił młody i przystojny kandydat Bilden jako prezes Towarzystwa Polityki Zagranicznej na Wyższej Szkole w Sztokholmie, pod którego firmą odbył się mój odczyt, Szwed wysokiego wzrostu, blondyn, dobrze mówiący po francusku. Ogółem w kolacji wzięło udział ze 12-15 osób: kandydat praw Brandel, rektor Tunberg, ja, prorektor, rektor szkoły średniej i wiceprezes Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego p. Sjövell, młody docent Schück], sekretarz poselstwa litewskiego Žilionis, kilku studentów, jedna blondyneczka studentka i... I sekretarz poselstwa polskiego p. Unrug ze znanej rodziny spolonizowanej Unrugów w Poznańskiem (kilku Unrugów było przed wojną i za okupacji niemieckiej w Litwie, jeden z nich człowiek starszy wiekiem, był wzorem ofiarności w Legionach polskich, znałem go dobrze, jest to krewny obecnego, który był na kolacji). W charakterze kogo i z jakiego tytułu Unrug, sekretarz poselstwa polskiego, trafił na tę kolację – nie wiem. Był on na odczycie moim, zapewne w charakterze obserwatora, a potem gospodarze go zatrzymali na kolację. Mój odczyt nie dotyczył wcale Polski i stosunków z Polską. Zresztą Unrug zachowywał się na kolacji doskonale. Przepijaliśmy z nim do siebie „skol" po szwedzku i rozmawialiśmy po polsku. Unrug był uprzejmy dla mnie i rozmawiał też (po francusku) z Žilionisem. Dla mnie obecność jego była nawet przyjemną, bo wszelkie przyjemne spotkanie polsko-litewskie jest mojemu polonofilstwu miłe. Posłem polskim w Sztokholmie jest p. Roman – z Suwalszczyzny, a żona jego jest z Litwy właściwej, gdzieś znad Dubisy; z posłem litewskim Sawickim stosunki osobiste pp. Romanów są dobre, odwiedzają się wzajemnie i goszczą, Sawicki przywiózł raz szynkę litewską dla p. Romanowej.

Kolacja w tym zasadnym gronie upłynęła przyjemnie. Nastrój był bardzo przyjemny i serdeczny, zresztą wypiłem niemało. Przemówienie sakramentalne do mnie wygłosił kandydat Brandel, ja zaś mu odpowiedziałem dość zręczną mówką, ułożoną zawczasu. Przy kawie z prawdziwą mową po niemiecku, bardzo treściwą i ładną, wygłoszoną stojąco, wystąpił sympatyczny i rozumny mój kolega z prawa konstytucyjnego, dziekan Wydziału Prawniczego w Sztokholmie prof. Herlitz. Przemawiał też znany Sjövell, wierny i doświadczony stary przyjaciel Litwy, dziękując organizatorom mego odczytu w imieniu Towarzystwa Szwedzko-Litewskiego. Kawa z likierami i ponczem szwedzkim zaciągnęła się do późna – do godz. 1 w nocy. Szwedzi, umiejący się podniecać trunkami i zyskujący wtedy

na temperamencie, śpiewali pieśni charakterystycznie szwedzkie – studenckie, rybackie, marynarskie, ludowe, wojenne, gawędziarskie. Ładne są one i charakterystyczne na bardzo różne odcienie. Śpiewali je we troje: dziekan Hipolitz i dwaj studenci. Jest w nich pewien rytm, jakby zew do czynu, jest jakiś styl dźwiękowy, skandujący słowa i nawet sylaby w tonach rosnących i spadających, mający w sobie raczej coś drapieżnego, a w każdym razie pewien niepokój i ruch rosnący lub przypominający rzut fal. Z przyjemnością słuchałem tego. Ten wieczór w ogóle mi się utwierdził w pamięci przyjemnie. Miałem zawsze sympatię intuicyjną do Szwedów i Skandynawii, gdy ich nie znałem jeszcze. Sama ich kultura, ich rola obecna w ludzkości, ich dzieje bogate, ich odwieczny kult czynu, który się wylał w formy nauki, prawa, przedsiębiorczości, pierwiastek bohaterstwa w ich dziejach i naturze, wszystko to usposabia do nich dodatnio. Piękno Szwedek także się przyczynia raczej do predyspozycji dodatniej. Bliższe poznanie Szwedów, które zyskałem obecnie, potwierdza to me wrażenie dodatnie o nich. Są oni równie spokojni, mają swój pierwiastek regionalny w Europie, lubią etykietę, są zdyscyplinowani, ale są zarazem jowialni, mają pogodę wielką, są lojalni, mają w głębi ukryty temperament, który nie jest wprawdzie wybuchowy, ale rozpłomienia się stopniowo, co też zapewne jest przyczyną tego, że lubią wypić. Przyjemni to są ludzie. Ale przechodzę do Uppsali, to znaczy do dnia wczorajszego, który był ostatnim moim dniem odczytowym. Ten dzień ze wszystkich czterech dni odczytowych najmniej mi się udał, to znaczy najmniej mi dostarczył zadowolenia i przyjemności. Gdybym miał moje cztery dni odczytowe zaklasyfikować, to bym na pierwszym miejscu postawił Święto Bałtyckie, które było najefektowniejsze, następnie na drugim miejscu – występ w Szkole Głównej w Sztokholmie, na trzecim – Lund, i dopiero na ostatnim – Uppsala. Wyjechałem ze Sztokholmu do Uppsali o godz. 10 rano pociągiem. Jechałem sam. Nikt mi nie towarzyszył. Byłem na ogół tego ranka zmęczony po trzech czy czterech dniach późnego kładzenia się i jadła po północy. Minister Sawicki odprowadził mię na pociąg. Pożegnałem się z nim, bo on już tego dnia wyjeżdżał do Francji. Przed jedenastą pociąg, który po drodze nigdzie nie stawał, stanął w Uppsali. Na dworcu spotkał mię rektor uniwersytetu w Uppsali prof. Thore Engströme. Zaprowadził mię przede wszystkim do biblioteki uniwersyteckiej słynnej i stanowiącej olbrzymi skarbiec ksiąg i starych rękopisów. Bibliotekę prezentował mi rektor uniwersytetu wraz z dyrektorem Biblioteki. Naturalnie, że przede wszystkim pokazano mi fragment Złotej Księgi czy Złotej Biblii, czy też Złotej Kroniki, stanowiący największą i sławną na cały świat osobliwość biblioteki uppsalskiej. Osobliwość ta jest atrakcją dla turystów, którzy przede wszystkim po przyjeździe do Uppsali biegną ją oglądać. Jest ona czymś takim jak papież w Rzymie. Trzeba ją widzieć. Ze wstydem i pokorą trzeba przyznać, że nic o tej sławnej osobliwości nie wiedziałem i właściwie nie wiem dotąd, choć jej autentyczny fragment oglądałem na własne oczy. Nie wypadło spytać rektora, co to jest, jak nie wypada, ujrzawszy papieża w Rzymie, pytać, kto to taki i co to jest właściwie papież. Byłbym skompromitował siebie, uniwersytet nasz i Litwę. Wydałbym się barbarzyńcą i nieukiem. Powiedziałem więc, nie rozumiejąc, że podziwiam. Jest tam do oglądania publicznego tylko fragment tej księgi, złożony z dwóch jej kart, przechowujący się w specjalnej gablocie pod szkłem, a gablota jest przykryta suknem, aby światło nie szkodziło starodrukowi. Obejrzeliśmy sale czytelni, bardzo obszerne i ciekawie urządzone ze stolikami osobnymi dla tych, co pracują systematycznie i mają na swoim stoliku na dłuższy czas cały stos książek, potrzebnych do ich pracy, a przeto nie potrzebują za każdym razem zwracać je i na nowo żądać. Oprowadzono mię po lokalach administracji i magazynach książek. Doskonała wentylacja, czystość, światło, obszerność. Z biblioteki udaliśmy się z rektorem do gmachu uniwersytetu. Ogromny westybul, wspaniałe schody, równie wspaniała sala uroczystych posiedzeń i koncertów na 200 osób ze sceną dla uroczystości, wielkim amfiteatrem siedzeń półkolem z przejściem między rzędami ław, wznoszącym się stopniami coraz wyżej i z galeriami. Biura i gabinet rektora, sala posiedzeń wydziałowych, wszystko –

wielkie, wspaniałe, bogate, wielkie i znakomite obrazy, rzeźby, zbytek, wielkość. Jest to uniwersytet królewski nie tylko z tytułu, ale też z wyglądu. Jest to jeden z wielkiej arystokracji uniwersyteckiej w Europie, szczycący się osiągnięciami i zasługami znakomitymi. Wszystko tu – tradycja, moc, uroczystość. Bogactwa też materialne tego uniwersytetu są ogromne. Nie mówię tylko o obrazach, gmachach, bibliotece, urządzeniach. Uniwersytet w Uppsali ma olbrzymie dobra ziemskie, ma las, fermy, majątki dochodowe; podobno ma do 300 nieruchomości własnych. W bibliotece archiwa i dział rękopisów – ogromne. Wiele tu jest dokumentów i do historii Litwy, są też stare książki i rękopisy, należące do zabytków piśmiennictwa i folkloru litewskiego, pruskiego i innych ludów bałtyckich. Wciąż się tu odkrycia robią i dla naszych historyków i archeologów jest tu pole do studiów. Są też dary i pamiątki z różnych wojen szwedzkich, od królów, którzy z Niemiec, z krajów bałtyckich i skandynawskich odsyłali wszystko osobliwe do muzeów sztokholmskich i archiwów uppsalskich.

29 marca, rok 1936, niedziela

W dalszym ciągu o Uppsali, to znaczy o dniu dopiero pozawczorajszym. Wczoraj pisałem, że nie wiem, co to za księga, jaka osobliwość jedyna przechowuje się w bibliotece uppsalskiej. Nazwałem ją „Złotą Biblią". Dziś już wiem o niej. Jest to nie „Złota", ale słynna „Srebrna Biblia", którą albo raczej, której fragment oglądałem z bliska. Istotnie, księga ta ma wartość niezrównaną, bo jest to jedyny na świecie dokument języka Gotów w Skandynawii, unikat literatury pragermańskiej. Ma ona przeto wartość dla całej rasy germańskiej. Problem Gotów jest w ogóle zawiły. Naród ten, jak sądzą, zamieszkiwał południową Szwecję i wyspę Gotland, dziś jest on stopiony w narodzie szwedzkim, który nazwę wziął od ludu, zamieszkującego na północ od Gotów. Gotowie czy Goci są tym narodem wojowniczym i przedsiębiorczym, który przed tysiącami przeszło lat rozwinął ogromną ekspansję na wschód i południe, zdobywał południowe i wschodnie wybrzeża Bałtyku, znalazł drogi handlowe rzekami na wschód – przez Newę i Nowogród, przez Dźwinę i Niemen na Dniepr do Bizancjum i Grecji, założył państwo ruskie i opanował księstwa wzdłuż tych dróg, a wielkie szczepy tego plemienia drogami Dunaju przedostały się i pozakładały państwa aż we Włoszech i Hiszpanii. Srebrna Biblia w języku gockim w Uppsali jest dokumentem pragermańskim niezrównanej ceny naukowej.

Przechodzę do swojej relacji z pobytu w Uppsali. Po zaprezentowaniu mi biblioteki i uniwersytetu rektor Engströme zapoznał mię z prorektorem von Hofstenem, profesorem prawa cywilnego Holmbäkem i lektorem czy docentem Alfem Lornbadem, docentem romanistyki. Rektor dał mię w ich ręce oświadczając, że, niestety, zmuszony jest wyjechać do Sztokholmu, gdzie został wezwany na posiedzenie jakiejś komisji parlamentarnej, którego opuścić nie może. Już w Sztokholmie na obiedzie u ministra Sawickiego uprzedzał mię o tym. Naturalnie z całą kurtuazją wyraził mi on, że na skutek tego nie będzie mógł być obecny na moim odczycie. W jego zastępstwie przyjmie mię śniadaniem prorektor von Hofsten, zdaje się przyrodnik, zaś właściwym gospodarzem odczytu mego będzie prof. Holmbäck, prezes Towarzystwa Prawników w Uppsali, które udziela firmy odczytowi memu. U Holmbäcka miałem być wieczorem na kolacji. Prorektor Hofsten z Holmbäckem zaprowadzili mię do katedry z wieku, zdaje się, XV czy XIV, która została przebudowana, a w wieku XIX naturalnie odrestaurowana. Katedra jest imponujących rozmiarów i w swoich kształtach zewnętrznych z dwiema ostrymi wielkimi wieżami daje widok majestatyczny, a nawę ma wewnątrz bardzo piękną i ma różne fragmenty ładne i ciekawe, jak ambonę rzeźbioną z drzewa, grobowiec arcybiskupa założyciela katedry i bodajże uniwersytetu. Po zwiedzeniu katedry udaliśmy się do prorektora na śniadanie. Byliśmy tylko we czworo: prorektor, jego żona, prof. Holmbäck i ja. Śniadanie było skromne. Prorektor von Hofsten, drobny, suchy staruszek, dość oschły i nieciekawy, nie bardzo się też interesujący mną i Litwą, trochę, zdaje

się, znudzony. Odczyt mój był wyznaczony na godz. trzecią, toteż udaliśmy się nań po lunchu. Odczyt odbył się w obszernej sali z ławami, pnącymi się do góry się w kilka stopni wysoko. Słuchaczy było ±5 0, może więcej nawet – nie liczyłem. Zagaił prof. Holmbäck. Wypowiedziałem krótkie przemówienie kurtuazyjne, jak zwykle, i wygłosiłem mój odczyt – ten sam, co przed tygodniem w Lundzie. Po odczycie kilka słów kurtuazyjnych dodał jeszcze prof. Holmbäck. Na godz. siódmą byłem zaproszony na kolację, a tymczasem docent Lombard ze studentem Rutgerem von Essenem zaprowadzili mię pokazać nieco miasto i następnie zalokować mię na te kilka godzin na wypoczynek do hotelu. Docent Lombard jest mieszańcem Francuza ze Szwedem. Mówi naturalnie po francusku świetnie. Obejrzeliśmy zamek w Uppsali, dowiedziałem się dużo o mieście, które liczy obecnie do 35 000 mieszkańców i jest miastem typowo akademickim. Niegdyś stara Uppsala była położona dalej, a przed czterystu jeszcze laty aż do miasta obecnego włącznie dochodziło jezioro, które na skutek powolnego podnoszenia się gruntu tyle się cofnęło, że obecnie wybrzeża jej są od Uppsali odległe o 4 kilometry. Zwyczajem starożytnym uniwersytetów szwedzkich, młodzież akademicka dzieli się tu na „narody”, odpowiadające rożnym dzielnicom regionalnym Szwecji. Jest to coś szczątkowego z przeszłości archaicznej, kiedy Szwecja nie stanowiła jeszcze jednostki stopionej, lecz była zlepkiem różnych szczepów etnicznych. Każdy student na uniwersytecie musi się wpisać do któregoś z „narodów”. W zasadzie za kryterium służy pochodzenie dzielnicowe studenta, ale dla niektórych nie jest to i nie może być ścisłe; w szczególności studenci cudzoziemcy też muszą się do któregokolwiek szwedzkiego „narodu” akademickiego wpisać. Ta organizacja studencka jest przeto apolityczna, neutralna, ściśle dzielnicowo-akademicka. Nie są to korporacje ideologiczne, ani burszowskie w stylu niemieckim. Każdy „naród” akademicki, mający za szefa jednego z profesorów, ma swój dom w Uppsali. Ten dom jest rodzajem klubu członków odpowiedniego „narodu”. Są w nim czytelnie, sale do gry w szachy i inne gry, sale do zebrań, pokoiki do rozmów, ale w tych domach studenci nie mieszkają. Docent Lombard zaprowadził mię do jednego z tych domów „narodów”. Zwiedziliśmy go szczegółowo. Urządzenia wygodne, ładne, czysto i przyjemnie; studentów dużo, są i studentki. Zaiste do zwiedzenia wybierany jest dom „narodu” najlepiej urządzony, wzorowy.

W hotelu był dla mnie zarezerwowany pokój, ale nie zachodziłem do niego. Nie czułem się zmęczony i wypoczynku, tym bardziej snu, nie potrzebowałem. Wołałem spędzić te parę godzin w restauracji i zarazem kawiarni hotelowej. Towarzyszył mi przez czas pewien młody student von Essen, z rodziny arystokratycznej, pochodzącej z baronerii estońskiej. Znałem kilku młodych ludzi tego nazwiska przed laty w prawowiedach. Student von Essen, bardzo dobrze wychowany i bardzo dobrze mówiący po francusku, sympatyczny i towarzyski, niegłupi, zainteresowany moim odczytem i Litwą. Porozmawialiśmy z nim, po czym zostałem sam. Piłem kawę, pisałem pocztę. Hotel bardzo porządny, elegancki na takie małe miasto, elegantszy od wszystkich hoteli w Kownie; a lokal restauracyjny wprost świetny, jak w wielkim mieście. Młodzież akademicka szwedzka w Uppsali jest zamożna i jest jej 3000. Zna też miasto i stanowi główną klientelę restauracji, kin i wszelkich zabaw i lokali.

O siódmej pojechałem na kolację do prof. Holmbäcka. Był gospodarz domu z młodą, ładną i bardzo sympatyczną żoną, prorektor, mój znajomy i bardzo sympatyczny prof. Egblom, pewien dziennikarz uppsalski, którego młoda żona, piękna Szwedka, obecna na moim odczycie, pożyczyła ode mnie po odczycie rękopis tegoż do użytku prasy lokalnej, był młody docent prawa handlowego i dwóch studentów kandydatów. Wynudziłem się tam dobrze, bo po obiedzie musiałem wysiedzieć do godz. 10, kiedy nadszedł czas odjechać na pociąg. Sympatyczni byli tylko prof. Egblom i pani Holmbäckowa, spokojna i miła, swojska, jak dawna znajoma, która, idąc do obiadu, bez ceremonii wsunęła mi lewą rękę pod moją rękę i rozmawiała swobodnie, poważna, a zawsze z uśmiechem życzliwym i miękkim. Kobiety szwedzkie mają zresztą w ogóle dużo kobiecości ładnej i miękkiej. Natomiast prof.

Holmbäck, były poseł i bodaj nawet były minister, nie podobał mi się wcale. Trochę robił na mnie wrażenie zdziwionego moim przyjazdem i na ogół wyczuwałem w nim jakiś sceptycyzm do Litwy. O stosunkach Litwy do Polski, o sprawie wileńskiej mówił, raczej przebąkiwał, dość dwuznacznie, prawie nawet z przekąsem i zdziwieniem, mnie spytał, czy to rząd litewski mnie tu wysłał, widocznie sądzi, że dla propagandy; w ogóle zrobił na mnie wrażenie osobnika gruboskórnego i nie interesującego się zgoła niczym, co wychodzi poza zakres jego życia bieżącego. To samo i prorektor. Wszystko jest dla nich obojętne, dziwaczne i nieciekawe zgoła, chyba dla jakiejś sensacji, gdyby była. Ludzie banalni. Holmbäck – typowy ograniczony liberał zdawkowy, jak wytarta drobna moneta bez życia i bez wartości, głowa jałowa.

Michał Römer
dziennika tom XXXV
zakończony w Sztokholmie w d. 29.III.1936.